

LUDZIE, LUDZIE,
CUDĄ W TEJ BUDZIE...

HALINA NIZIOŁEK

LUDZIE, LUDZIE,
CUDĄ W TEJ BUDZIE...

© by Halina Niziołek, 2023

ISBN 978-83-969791-1-7

Recenzenci:

prof. Janusz Mroczka

prof. Zdzisław Noga

prof. Stanisław Waltoś

Korekta:

mgr Dorota Stępień

Skład techniczny i projekt okładki:

Łukasz Sady

Patronat:

mgr Leszek Klabacha b. dyrektor I LO
im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy

Autor zdjęcia na okładce:

Józef Ambrozowicz

Sponsor wydania:



Wydawca:

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Dębicy



Druk:

PASAŻ sp. z o.o.

ul. Rydlówka 24

30-363 Kraków

SPIS TREŚCI

WSTĘP	7
I. TA NASZA SZKOŁA...	13
II. CI NASI DYREKTORZY...	161
III. TA NASZA MŁODOŚĆ...	215
IV. CI NASI PROFESOROWIE...	283
V. CI NASI UCZNIOWIE...	523
VI. TEN CZAS PŁYNACY TAK SZYBKO...	621
VII. NOTY BIOGRAFICZNE RECENZENTÓW	695
VIII. PODZIĘKOWANIA	699
PAMIĘTAM...	701
FOTOGRAFIE	703

WSTĘP

„O, wspomnień słodkich, wspomnień rój,
Błogosławiony kaprys twój...”

[Tadeusz Żeleński-Boy]

Napisanie książki pt. „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”, będącej przypomnieniem „złotego wieku” działalności Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, było moją nieodpartą potrzebą. Wciąż przecież kłębi się we mnie pełno wspomnień, zarysów twarzy kolegów i uczniów, zapamiętanych uśmiechów, zamyśleń i trosk, zapachów i dźwięków przeszłości; choć wydają się coraz bardziej zamglone, wyblakłe i jakby nie całkiem rzeczywiste.

„Trudno nanizać korale zdarzeń sprzed półwiecza – pisał Edward Stachura – bo nawet najlepsza pamięć zawodzi i się stopniowo, po kawałeczku wykrusza”. Historie sprzed wieku, te – niezapisane, migotliwe i ulotne – nieodmiennie zachodzą mgłą, rozpływają się w niebycie i wreszcie giną w morzu niepamięci, bo czas, który obchodzi się z nami jak mól ze ślubnym welonem, postępuje równie niesprawiedliwie z naszymi wspomnieniami. To, co nie zostaje opowiedziane, umiera.

„Takie są przemijań niepisane prawa...”

Sławny absolwent naszej szkoły Jan Wiktor pisał po latach: „Co wtedy łązy wyciskało – to zwietrzało, co budziło huragany śmiechu – to się ulotniło, barwa spłowieła, zostały bezduszne resztki, ot, wśród kartek pamiętnika zasuszone płatki róż, które pod dotykiem kruszeją i już nigdy nie nabiorą dawnego uroku, już nigdy nie rozkwitną”.

Mimo to, pisarz postanowił zmierzyć się z meandrami pamięci, utrwalając w swej biograficznej książce „Prześwietlone wspomnienia”, przeżycia z czasów spędzonych w murach naszego gimnazjum. Tak o tym pisał: „Zostało za mgłą wspomnienie czegoś, co bym chciał dzisiaj wcielić w szatę czarnych liter i zostawić na bieli papieru. Znajduję je gdzieś, jak umarłe, zabite ptaki. Podnoszę je. Przytulam”.

Tak je ocalił od zapomnienia.

Każda szkoła ma swą własną historię; jakieś zastygłe chwile, jak okruszki bursztynu opierające się przemijaniu – piękne i cenne, wspominane z rozrzewnieniem i uśmiechem.

Przemijanie...

Najwymowniej chyba dramat przemijania, nietrwałość rzeczy i niszczący upływ czasu wyraził najwybitniejszy surrealista – hiszpański malarz Salvatore Dali, którego dzieła oglądaliśmy na jednej ze szkolnych wycieczek w hiszpańskim *Figures*.

Przejmujący cykl obrazów „Trwałość pamięci” z 1931 roku, na którym widzimy jakby topniejące, rozlewające się, wiotkie zegary o amorficznych kształtach, wyraża żal, że czas pożera wszystko [więc i my też przemijamy – co napawa artystę niepokojem, a nawet grozą] – chociaż nadzieją ocalenia jest pamięć. „Wiedzie doń zaginionych ścieżek ślad...”

Owa pamięć pozwala utrwalić to, co ulotne, zmienne, śpiące gdzieś głęboko pod powiekami: jakiś błysk, ułamek sekundy, czasem kilka sekund, a innym razem długą, szarą godzinę, strzępy rozmów niedokończonych, przeżytych wzruszeń i niepowtarzalnej atmosfery.

„W szufladach pamięci przechowuję ułamki przeszłości” – napisała pięknie Krystyna Mołodyńska, bo pamięcią rządzi zawsze prawo przypadku. A znów ktoś inny – też pięknie – że „Bóg dał nam wspomnienia, byśmy mogli mieć różę w grudniu”.

Dlatego warto – zanim ostatnie okruszki owych wspomnień porwie wiatr niepamięci – otworzyć dawne albumy, schowane gdzieś na strychu pudła, przepastne szuflady i wydobyć je: wyblakłe, osierocone, omdlałe i mgliste, ale wciąż poruszające nasze serca, by przekonać się, że są ludzie i czasy, do których warto wrócić pamięcią, a także utrwalić.

Na pozór wydawać by się mogło, że o szacownym Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy napisano już wszystko. Powstały poważne opracowania dokumentalne, wspomnienia wielu osób, życiorysy sławnych absolwentów, zebrano różne ważne dokumenty i zdjęcia. Ale przecież warto ocalić również to, co było żywą tkanką życia szkoły,

choć nie nadawało się na karty utrwalające oficjalną jego historię; różne – z pozoru błahe, a przecież godne przypomnienia – sytuacje, które się zdarzały, dowcipne teksty pisane na gorąco, zapomniane historyjki, chwile, które domagają się wyrażenia w anegdocie oraz ciekawi ludzie.

Bo przecież w ciągu 100 lat zdarzyło się tak wiele!

Stefan Hertmas w powieści „Wojna i terpentyna” przedstawił „w pigułce” wydarzenia owych stu lat dotyczące świata zewnętrznego: „Dwie wojny, tragiczne masowe rzezie, najbardziej bezwzględny wiek w całej historii ludzkości, powstanie i upadek nowoczesnej sztuki, światowa ekspansja przemysłu motoryzacyjnego, zimna wojna, rozwój i upadek wielkich ideologii, wynalezienie bakelitu, popularyzacja telefonu i saksofonu, industrializacja, przemysł filmowy, plastik, jazz, przemysł lotniczy, lądowanie na Księżycu, wyginiecie niezliczonych gatunków zwierząt, pierwsze duże katastrofy ekologiczne, wynalezienie penicyliny i innych antybiotyków, maj 1968, pierwszy raport Klubu Rzymskiego, muzyka pop, wynalezienie pigułki antykoncepcyjnej, emancypacja kobiet, pojawienie się telewizji, pierwszych komputerów”.

A w jakich słowach pomieścić historię stu lat mojej szkoły?

Olga Tokarczuk pisała, że „pisanie to zawód wielkiego ryzyka, że to „dziwna siła” i „męcząca obsesja”. Trzeba przecież zakłąć wydarzenia w odpowiednie słowa, które często tak trudno okiełznać, przyciosać, dopasować, by oddawały naszą myśl. Ale – jak znów pisał ksiądz Józef Tischner – „gdyby nie było słowa, to by to wszystko przemknęło, to by to wszystko zostało pożarte przez czas [...], zapadłoby się w nicłość”. I tego byłoby żal.

Urok ponownego odkrywania czasu, który już odszedł, ma coś z atmosfery legendy i snu. Bo wydarzenia odgrzebane z niepamięci i przeniesione na papier – choć prawdziwe – jawią się przesłonięte jakby mgiełką, przefiltrowane przez czas; i to ma swój dziwny urok i wagę.

Pragnę równocześnie odskrobać patynę powagi i dostojeństwa, z jaką postrzegane jest dębickie „królewskie” liceum, zaglądać dyskretnie do wnętrza, podpatrywać toczące się tam życie okiem nostalgicznego obserwatora, a zarazem uczestnika wydarzeń, optymisty, wesołka, a nawet prześmiewcy i ironisty; zawsze jednak z serdecznością, z zadumą i z sentymentem człowieka mile wspominającego swą ukochaną „budę”, w której drzemie historia, którą zna się jak własną kieszeń i do której można trafić z zamkniętymi oczami. Chciałabym też, by to wspomnienie było książką, która – jak „Colas Breugnon” Jana Rollanda – „śmieje się życiu w twarz, uważa je bowiem za dobre”.

Dębickie liceum – przez wiele lat jedyne w mieście – to była moja szkoła. Najpierw, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, w ponurych czasach siermiężnego PRL-u, zdobywałam tu doświadczenia uczniowskie, a od początkowych lat siedemdziesiątych, czyli w dekadzie Gierkowskiego sukcesu aż do końca XX wieku, pracowałam jako nauczycielka. Tu więc dorastałam, tu zdawałam maturę, tu uczyło mnie wielu wspaniałych profesorów, z których kilku stało się potem moimi kolegami. Moje doświadczenia są więc „z pierwszej ręki”. Znam tu każdy zakamarek, każdy kamień, załomek muru, każde pomieszczenie, każdy schodek wyżłobiony podeszwami setek uczniów, każdy widok z okien.

Dziś, gdy z nostalgią wspominam tę moją szkołę, „trzęsie mi się łyza na rzęsie”... Wszak zostawiłam tam część siebie.

Moją opowieść wzbogacam przywołując wypowiedzi i wspomnienia ludzi ściśle związanych z dziejami naszego liceum: uczniów, ich rodziców, nauczycieli, mieszkańców miasta. Nieraz sięgam do wspomnień pisarza Jana Wiktora [absolwenta gimnazjum z 1910 roku], który – odwiedzając po latach Dębicę – miasto swej młodości, pisał:

„Już od mostu na Wisłoce pod Dębicą, w tym to sławetnym mieście wspominałem gimnazjum: każde drzewo, każdy zagon budzi serce, wyraźają wspomnienia jak żywe, jakby dopiero wczoraj przeżyte. Tyle tu zdarzeń ważnych, tyle przygód, radości, smutku, upadków doznawanych przez czasy gimnazjalne, tyle porywów i ognia”.

Nawiązując do słów pięknej piosenki śpiewanej przez moją imienniczkę Halinę Wyrodek w krakowskim kabarecie „Piwnica pod Baranami” pt. „Ta nasza młodość, ten piękny czas...” – podzieliłam moje wspomnienia na kilka rozdziałów [choć jest to podział umowny i płynny]:

Ta nasza szkoła...

Ci nasi dyrektorzy...

Ta nasza młodość...

Ci nasi profesorowie...

Ci nasi uczniowie...

Ten czas, płynący tak szybko...

Oczywiście, moje wspomnienia są bardzo fragmentaryczne i subiektywne; nie sposób przecież zmieścić na kilkuset stronach prawie połowy życia, nie sposób poznać i przywołać opowieści choćby części tych osób, których los związany był z dębickim liceum. Każdy ma inne wspomnienia i doświadczenia. Inaczej zapamiętał dyrektora, nauczycieli, kolegów, czy jakieś zdarzenia sprzed lat. Ja również staram się przywołać w pamięci róż-

ne sytuacje, szczegóły wydarzeń, strzępy rozmów i układam z nich obrazy, choć wiem, że są niepełne i kalekie. Tok opowiadania bywa tu chaotyczny; ma przecież odzwierciedlać meandry pamięci, wobec których wszelka logika nie ma szans.

Niezmiernie trudną okazała się próba wyrażenia w języku przeżywanego dawno temu uczuć, wrażeń, niepokojów i uniesień, czyli tego, co duchowe, wewnętrzne, ulotne, mimo że przecież – tu znów przywołam słowa Stasiuka – „posiedliśmy cud języka, cud opowiadania, cud ocalenia przed śmiercią zdarzeń, których już nie ma”. Mam jednak nadzieję, że książka pomoże Wam, Drodzy Czytelnicy, przypomnieć swoje własne doświadczenia, sprowokuje do refleksji, obudzi emocje. Wszak we wszystkich utrwalonych na piśmie wspomnieniach „spoczywa dusza tych, którzy je napisali i serce tych, których ukazali na stronicach książki” [Mario Escobar].

Początki mojej pracy w naszym liceum były dla mnie dość stresujące. Moi niedawni profesorzy stawali się nagle kolegami. Na pewno jeszcze pamiętały moje uczniowskie niedociągnięcia i psoty.

Boże! – myślałam – a jak mnie zapytają o coś, czego nie umiałam na lekcji? Takie czarne myśli długo były powodem moich stresów i powracających koszmarnych snów. Ale spotkałam się z wielką życzliwością dawnych profesorów i młodych kolegów, i szybko poczułam się bezpiecznie. Grono nauczycielskie – nie tak liczne jak teraz – było bardzo ze sobą zżyte. Wspólnie sobie pomagaliśmy, wspieraliśmy się, przyjaźnili. Wiele z tych przyjaźni trwa do dziś.

Przez te wszystkie lata mojej pracy poznałam też setki wspaniałych młodych ludzi przychodzących do naszej szkoły po wiedzę. Patrzyłam, jak zalęknione, onieśmielone dziewczynki i nieopierzeni chłopcy wyrastają na dorosłych, dojrzałych młodzieńców i piękne, mądre panny. Fascynujące było być świadkiem ich rozwoju, uczyć ich, kształtować, pomagać odkrywać świat literatury i sztuki, rozbudzać marzenia, zainteresowania i pasje.

Miałam okazję obserwować działalność szkoły przez wiele lat. Przez ten czas zmieniał się wygląd zewnętrzny i wnętrze budynku, zmieniał się patron szkoły, zmieniali się dyrektorzy i nauczyciele. Co roku witaliśmy nowych uczniów i żegnaliśmy odchodzących; niektórzy ludzie związani z tą szkołą odchodzili już na zawsze, a my stawaliśmy nad ich grobami. Ale mimo tego, w tych starych murach było coś trwałego, uroczystego, choć nieuchwytnego i pięknego.

Czułam, że tym stałym mieszkańcem szkoły był Duch Wiedzy i Przemijania, tworzący niezwykłą atmosferę tego miejsca.

A to nasze liceum wciąż przyciąga coraz nowych uczniów, wciąż cieszy się dużym autorytetem i osiągnięciami. Jestem dumna, że jest trochę moje.

Maria Dąbrowska, obserwując leciwego już aktora Ludwika Solskiego grającego w jakiejś sztuce napisała: „Życ tak długo i nie zejść godnie ze sceny jest nieprzyzwoitym kawałem”. Nie chciałam zrobić takiego kawału młodzieży i zesłam ze sceny, zanim dopadłaby mnie rutyna i skleroza. Dziś witam każdy dzień jak niedzielę. Staram się żyć aktywnie, a gdy mam czas, odwiedzam stare mury, by spotkać się z przyjaciółmi i przypomnieć sobie zapach minionego świata, utkany ze wspomnień i wzruszeń...

Lekceważąc jedną z zasad pisania, które Stanisław Jerzy Lec sformułował dowcipnie: „Nie cudzysłów!”, całymi garściami czerpałam z różnorodnych istniejących tekstów; świadomie, dobrowolnie i z ogromną satysfakcją. Szczególnie pomocne były tu książki: Anety Kwolek „Liceum Ogólnokształcące w Dębicy”, Ewy Nowackiej „I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły we wspomnieniach nauczycieli i uczniów”, Ryszarda Pajury „Zagłada i walka”, Antoniego Stańki i Eugeniusza Skowrona „Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów”, Arkadiusza Więcha „Miasteczko. Życie codzienne mieszkańców Dębicy w latach 1900-1939”, Edwarda Wodzenia „Dębica. Nasze szkolnictwo do końca XX wieku” oraz różne artykuły zamieszczane w „Obserwatorze Lokalnym”. Autorom tych materiałów wiele zawdzięczam. Korzystałam też z opracowań znajdujących się na stronie internetowej naszej szkoły, szczególnie prezentujących sławnych absolwentów i licealnych olimpijczyków.

Dziękuję wszystkim, którzy zechcą nabyć i przeczytać tę książkę, prosząc równocześnie, by wybaczyli istniejące ułomności tekstu, pominięcie spraw – według nich – ważnych, a ukazanie epizodycznych i wątpliwych. Zachęcam, by sami chwycili za pióro i dopisali na pozostawionej wolnej stronie chociaż jedno wspomnienie, jedną anegdotę, czy jeden opis dla tych, którzy kiedyś może sięgną po „cuda w tej budzie”.

A teraz pora zaczynać: „Muzy, natchniuzo” i „Pegazie – aniele koński” – do dzieła!

„O, snuj się, nitko złota snuj,
Błogosławiony kaprys twój [...].
O, wspomnień, słodkich wspomnień rój,
Błogosławiony kaprys twój...” – jak pisał prześmiewca Boy.

TA NASZA SZKOŁA...

„Chociaż starowina,
Lecz nieźle się trzyma!”
[„Na stulecie naszej szkoły”]

Widoczny z rynku dostojny, okazały gmach dębickiego liceum przy ulicy Słowackiego, choć nieco nadkruszony zębem czasu, robi wrażenie, budzi szacunek, wywołuje zadumę i nostalgię. Ileż wspomnień zostało uwiecznionych w tych znajomych murach! Ileż ech przeszłości! Ileż pustych miejsc po młodzieńczych porywach serca, po umarłych miłościach, po smutkach i nadziejach, radościach i rozczarowaniach!

Masywna kamienna bryła wyrasta w pejzażu niezbyt wysokich budynków, usadowiona tu od ponad stu lat, wpleciona w żywą tkankę miasta. Trwają na pewno lekcje, bo wokół zupełna cisza; czasem obok przemknie jakiś samochód, przebiegnie chodnikiem dziecko z plecaczkiem, śpieszące pewnie do „dwójki”; szkoły mieszczącej się przy niedalekiej ulicy Ogrodowej, wolniutkim krokiem przekuśtyka jakaś staruszka, czy rażno przemaszeruje elegancik z teczuszką. Spokojnie, sennie, swojsko; jak dawniej, jak wtedy, gdy było się młodym. Na rynku również toczy się spokojne życie: codzienne spieszenie nóg, mieszanina fryzur, ubiorów, krótkie rozmowy, bieganie dzieci, trzepot gołębih skrzydeł na wypolerowanym niebie o barwie spranego błękitu. I fontanny o kontrowersyjnej urodzie, które „szepcą cicho rozdając darmowy czas spragnionym gołębiom” – jak pisał pochodzący z pobliskiego Podgrodzia poeta Janusz Pyziński, absolwent naszej szkoły z 1951 roku. I „tyle słońca w całym mieście”...

Środa, więc dzień targowy.

Centrum miasta przesunęło się na ulicę Kraszewskiego, gdzie na wielkim placu rozłożyli swe kramy handlarze warzyw i owoców, kwiatów i różnych drobiazgów. Wokół barwny tłum. Prawdziwy festiwal ludzkich typów, jaskrawych kolorów, mocnych zapachów, bogactwa asortymentów. Ale prawdziwa bazarowa różnorodność – najczęściej „badziewnych” towarów – zalewa place handlu wzdłuż ulicy, wylewa się na chodniki, krzyczy obfitością i jarmarcznym szykiem, mami cenami i rozwrzeszczanym jazgotem południowoeuropejskich handlarzy, wyróżniających się ciemną karnacją skóry, egzotycznymi rysami i nachalnymi, skrzekliwymi nawoływaniem; – tanio! tanio!

Króluje chaos i „kakofonia zapachów, ubrań, twarzy i ruchów”.

Wśród tego natłoku towarów wszelkiego autoramentu, zalewu tandetnej chińszczyzny i tureckiego chlamu przelewa się rozgorączkowany, rozwibrowany tłum; najwięcej przyjezdnych z okolicznych wsi, raniutko przybywających na zakupy, by szybko wrócić do swoich domowych i gospodarskich obowiązków.

Mieszkańcy wsi często nie uprawiają już zbóż ani ziemniaków, nie hodują krów, kur czy świń. Pracują w różnych zakładach pracy, a wszystkie potrzebne produkty kupują w sklepach. Wielu z nich mieszka w nowo wybudowanych domach – wielkich, nowoczesnych, niekiedy będących przykładem dziwacznej architektury – wytworu wyobraźni o luksusie, którego jeszcze tak niedawno mogli tylko zazdrościć Zachodowi. Stąd w tej architekturze często ujawnia się – jak zauważa Andrzej Stasiuk – ta „sobiepańskość, to warcholstwo, ta wolność od reguł, od estetycznej poprawności, od napomnień znawców, czasami nawet od rozumu [...], jakby mała bawiła się pędzlem”.

Ale można podziwiać też wiele pięknych, funkcjonalnych, wypieszczonych w każdym szczególe domów i ogrodów. Niestety, najczęściej zdołają je obce naszej rodzimej tradycji, oglądane gdzieś na południu Europy podczas wakacyjnych wojaży, zimozielone bukszpany, smukłe cyprysy i inne iglaki, wypierające skutecznie nasze swojskie, cudowne drzewa owocowe i odmieniające zupełnie wiejskie pejzaże.

Jakże te nowoczesne wioski nie przypominają naszych, sprzed lat, które przemierzaliśmy całą gromadą, zdążając do dębickich szkół. Mijaliśmy małe drewniane domki przycupnięte wzdłuż drogi, skryte w krępych sadach, drzewa owocowe o cieplej, szorstkiej korze; aż na drogę wychylały swe gałęzie. Tak, jak w innych sadkach, „koło mego ogródeczka zakwitała jabłoneczka, bielusieńko zakwitała czerwone jabłuszka miała”. I – jak w wierszu Janusza Pyzińskiego:

„ławeczka pod jabłoni kiecką
kusiła słodyczą wytchnienia”.

Owoce pacały na trawę. Wystarczyło się schylić po rumiane, dojrzałe jabłko, obetrzeć z kurzu i napawać się pachnącym jesienią, słodkim smakiem słońca zamkniętym w soczystym wnętrzu. Ciężkie od fioletowych owoców stare śliwy schylały gałęzie tak niebezpiecznie, że musiały być podpierane drewnianymi palikami. Tam, gdzie widywaliśmy ogródki kipiące barwami różnorakich kwiatków zasianych z ręki – „od Sasa do lasa”, podwórka pełne gęsi, kaczek i kur, gdzie pleniły się chwasty, pokrzywy i różnorakie ziele, dziś królują równiutko przystrzyżone trawniki i betonowe ścieżki. Prawie nie uświadczysz gruszy, jabłoni, wiśni. A przecież ziemia tu żyzna, owocorodna, czekająca na błogosławioną dłoń człowieka i na cywilizacyjną równowagę, przywracającą ład między naturą a kulturą.

Na targowiskach jarmarczne kolory: „od sufitu, od dębu, od marchwi” – kuszą oczy, przyciągają pstrokacizną, mają plastikowym pięknem. Nikogo to nie dziwi. Zmuszeni do niedawna żyć w szarości komunizmu, pozbawieni możliwości zdobycia wielu rzeczy, wychowani w świecie zakazów, od: „Nie deptać trawników” po „Palenie surowo wzbronione”, nie potrafimy oprzeć się pokusie.

Oddajmy jeszcze raz głos Stasiukowi: „Tłumy ludzi, którzy jeszcze do niedawna żyli w świecie permanentnego niedoboru. I teraz raptem, bez uprzedzenia wrzucono ich w świat, gdzie głównym problemem jest wybór pomiędzy jednym towarem a drugim [...]. Jeszcze niedawno głód był doświadczeniem powszechnym i codziennym. Teraz muszą się mierzyć z doświadczeniem nadmiaru i doświadczeniem powszechnej dostępności wszystkiego”.

Ale te obrazki kolorowego targowiska, na którym rządzi kicz, mają swój swoisty urok, stwarzają specyficzny klimat, kuszą, by powąłęsać się tam i siam, by kluczyć między straganami, potargować się, pogadać ze znajomymi, wpleść się w uliczki – gwarne i tak swojskie. Bo nazajutrz będzie tu cicho, szaro i zwyczajnie.

Dębica – spokojna, trochę senna, urokliwa ze swą atmosferą małomiasteczkowości, ma duże pokusy bycia nowoczesnym miastem i corocznie realizuje wiele ambitnych planów. Ale wciąż straszą brzydotą różne zaułki, pełne wybojów uliczki z resztkami rozsypującego się asfaltu i wyszczerbionymi chodnikami, rozwalające się obskurne rudery domów – często jeszcze przedwojennych, bujające zielsko wyrastające wśród reliktyw so-

cialistycznej przeszłości: kawałków porozbijanego betonu, rdzewiejącego żelastwa, walających się wokół śmieci, porzuconych kłopotów różnego auctoramentu.

Umierająca stara ulica Piaski, gdzie powoli dogorywają skrywające swe tajemnice domy-widma; zarośnięte i puste, od lat jest tego przykładem, a będący kompletną ruiną niegdyś okazały dom przedwojennego rabina – smutnym symbolem przeszłości. Nawet rosnący tam olbrzymi, pradawny dąb – pomnik przyrody – stoi okaleczony, z ułamanym konarem. Jedynie polne kwiatki – owe „sieroty natury”: mlecze, stokrotki, firletki, czy jaskry są ozdobą tych zaniedbanych miejsc. „Bo tutaj jest jak jest – po prostu...”

Wiele pięknych starych drzew, które nie tylko dawały cień, ale tworzyły klimat miasteczka, wycięto. Topole, kochające strzelistość, bo łatwo się łamały zagrażając w czasie burz i porywistych wiatrów samochodom, budynkom i ludziom, wierzby, dęby, lipy, kasztanowce, bo przeszkadzały budowanym osiedlom, szerokim ulicom, placom zabaw czy skwerkom.

Władysław Broniewski pisał: „W moim oknie pole i topole, i ja wiem, że to właśnie Polska”. Patrzę przez okno i pytam za poetą: „A gdzie to jest?”

Ale są też piękniejące dzielnice z nowoczesnymi gmachami, zdobnymi w barwne murale, ciekawe architektonicznie kościoły, szerokie ulice, urokliwe place, wygodne ronda i eleganckie sklepy.

Charakterystyczne dla podmiejskich dzielnic ciężko ciosane domy-kloce, bez lekkości i wdzięku, otrzymują nowe dachy i elewacje, bogacą się o ganeczki, nowoczesne okna, ciekawe balkony obrastające zielenią. Są też niezmiennie piękne widoki na pobliskie wzgórza, bo przecież – jak pisał Stanisław Kłos: „południowe krańce miasta sięgają wysoko na zbocza proggu Pogórza, aż po płaty porastających je lasów”.

A to miasto, z jego urodą i brzydotą, jest zagnieżdżone w naszych sercach, bo jest nasze, bo tylko tu czujemy się naprawdę u siebie, tu przecho-wujemy mapę naszych wspomnień, tu zapisaliśmy ścieżki, którymi wiodło nas życie.

Te uczucia zostały ciekawie wyrażone w wierszu „Moje miasto” Marii Skowron, który w konkursie literackim Miejskiego Ośrodka Kultury w Dębicy w roku 1992, uzyskał pierwsze wyróżnienie:

„Na mapie Polski
jest niewielkie miasto Dębica.
Świat dwudziestego wieku
Tu istnieje.

A w nim życie
Zasłuchane w ludzkie niepokoje.
Kocham to miasto,
Bo jest moje.

Obsadzę je różanymi krzewami,
Przystroję pięknie, wypełnię ogrodami
Z pięknymi, barwnymi kwiatami.

Ptaki będą układać tu pieśni
O przyjaźni, miłości
I o tym, by się ludziom spełniały
Marzenia,
O jakich nawet im się nie śni”.

W tym „zasłuchanym w ludzkie niepokoje” mieście, jeszcze z okresu mojej młodości zachowały się w rynku i w jego otoczeniu stare kamieniczki nadszarpnięte zębem czasu, poprzyklepiane do siebie wspólnymi ścianami, niższe i wyższe, ładne i brzydkie, z górującym nad innymi „Rolnikiem”; niektóre fasady przedwojennych budynków z zatartymi już dawnymi nazwami sklepów, a także miejsca wciąż żywe, jak cukiernia „U Kiciowej”, piekarnia „Po Schodkach”, czy apteka „Gardziela”.

W kamieniczkach na północnej pierzei był sklep „u Fereta”, „Praktyczna Pani”, gdzie – zachęcane przez profesorkę Helenę Oleńską – uczęszczałyśmy na kurs kroju i szycia, „PUPiK” rozprowadzający prasę i kiosk z gazetami „U Domarskich”. Tuż obok – gdzie niosły się głosy i zapachy z restauracji o swojskiej nazwie „Dębiczanka” – wchodziliśmy przez ciasnny, mroczny korytarz do Biblioteki Miejskiej po książki niedostępne w liceum, a potem szliśmy na drugą stronę rynku obok pomnika „Karolka”, by w sklepie „U Zagórskiego” kupić sobie jakiś kobiecy drobiażdżek, lub choćby pooglądać cieniutkie szaliczki, gładkie zamszowe rękawiczki, czy modne paski ze skóry. Skręcając na ulicę Słowackiego oglądałyśmy wystawę nowych butów w sklepie „U Bata”. W późniejszych latach – gdy ulokowało się tam „Merino” – kupowałyśmy w nim wełenki, kaszmiry czy jedwabie, by wystąpić na kolejnej uroczystości szkolnej w modnej kreacji. Co roku nowe ślady wypalało słońce, wypłukiwały deszcze, pokrywały śniegi i nadgryzały mrozy.

Janusz Pyziński w wierszu „Czas miasteczka” [pewnie właśnie Dębicy!] pisał:

„w naszym miasteczku już dawno
nie woła przekupka
i koń się nie śmieje do wozu
kocie łby pod asfalt
schowały ogony...”

Ale nie wszystko – na szczęście – zatarł czas.

W rozkładzie głównych ulic nic się nie zmieniło, choć wiele z nich otrzymało nowe nazwy, a dzwony dębickich kościołów – te same; tak samo dźwięczne i tajemnicze, brzmiały jak głosy z dalekiej przeszłości. Najważniejsze jednak jest to, że – jak znów pisał inny, pochodzący z Dębicy poeta – Wojciech Kawiński [absolwent naszej szkoły z 1958 roku]: „na dłoni miasta plamka naszej obecności tli się”.

Chociaż – po latach nieobecności – na wszystko patrzył trochę inaczej:

„za progiem ten sam kamień
przy studni ten sam łańcuch powleczony rdzą
w izbie stół chleb nóż kołyska piec cynowe zakryte
wiadro stare buty zegar cień matki zapach potu gazeta
kalendarz i kot
ale widzenie
z innej już odległości”.

Urodzona w Sędziszowie poetka Eugenia Basara-Lipiec w wierszu napisanym na konkurs literacki, zorganizowany przez Miejski Ośrodek Kultury słusznie zauważyła, że uroda „naszego” miasta mieszka tak naprawdę w naszych sercach:

„Miasto
Wrasta w człowieka
Nawet jeśli nieduże,
Wchodzi zakolem rzeki,
Zapachem beztroski, skaleczeniem stopy;
Starą witryną
Sklepu z cukierkami,

Piekarnią pachnącą
Jak nasycenie
Pełną precli
I ręką matki
Coraz piękniejszą
Z oddalenia...”

Ambicje mieszkańców Dębicy – miasteczka założonego w połowie XIV wieku i nazwanego tak od wszechobecnych tu w owych czasach dębów – zawsze były duże. Już w XVII wieku anonimowy poeta – prawdopodobnie na zamówienie miejskich rajców [najpewniej też poparte sowitą zapłatą] – zastanawiał się tak samo, jak po kilku wiekach Julian Tuwim: „jak by tu miasto przystroić w rym”. Napisał więc z przymrużeniem oka, z humorem i nutką ironii:

„Dębica – ojczyzny czoło
Murem opasana w koło...”

Gdzież tam murem! Zbudowana na mocy przywileju lokacyjnego udzielonego właścicielowi tutejszych dóbr Światosławowi herbu „Gryf” przez Kazimierza Wielkiego [co prezentuje piękna rzeźba przed gmachem Urzędu Miasta przy ulicy Kościuszki], kształtowała się samoistnie; zmieniła, rozrastała, ale też padała łupem najeźdźczych wojsk, czy szalejących pożarów. A potem znów była budowana na nowo. Zwyczajne polsko-żydowskie, prowincjonalne miasteczko. Ale, że „ojczyzny czoło”?

Takie prowincjonalne miasteczka malował Mark Chagall, co skomentował poetycko Wojciech Młynarski:

„Tych miasteczek nie ma już.
Pokrył niepamięci kurz
Te uliczki, lisie czapy, kupców rój,
Płotek z kozą żywicielką,
Krawca Szmula z brodą wielką,
Co jak nikt umiał szyc ślubny strój”.

Losy Dębicy były często tragiczne, co zostało uwiecznione w różnych dokumentach, wspomnieniach i na pamiątkowych tablicach. Bo – jak twierdził Filip Springer – „mniejsze miasta pielęgnują swe nieszczęścia.

Wszystkie się paliły, z reguły kilka razy i to do imentu. Nie omijały ich zarazy, gradobicia, wichury. W każdym, w którym jest rzeka, jest też stara kamienica albo kościół, na którym starannie zaznaczono przybór wody z czasów wielkiej powodzi. Kiedykolwiek by do niej doszło. Przez każde z miast przeczołgał się kiedyś jakiś front”.

Tak było i z naszym miastem.

Absolwent dębickiego gimnazjum z 1936 roku, znany pisarz Wilhelm Mach, po jednym ze spotkań, jakie odbył w latach pięćdziesiątych w Dębicy [którą w „Jaworowym domu” opisał jako Niewychów], napisał: „Dębica – miasto bądź co bądź powiatowe. W ciągu ostatnich lat dziesięciu nie tylko zdążyło wygoić się z wojny, lecz rozrosło się w sposób bijący w oczy. I atmosfera spotkań z ludźmi inna, mniej familijna, zobiektywizowana światowym obyciem”. Potwierdzał to w swym wspomnieniu inny z wybitnych absolwentów dębickiego gimnazjum – Jan Wiktor: „Biegłem ścieżkami deptanymi uczniowskimi stopami [...]. Zniknęły zagajniki, romantyczne strumienie, odmieniła się ziemia, na ich miejscu wyrosły domy, wille”.

W powietrzu czuć lekki powiew wiatru znamionujący nadchodzącą drobnymi kroczkami jesień. Rdzawy wrzesień snuje się uliczkami senny, pachnący astringentami i świeżym chlebem. Na policzkach czuć łagodne ciepło słońca jawiącego się w wieńcu chmur, a wokół miły nastrój nieśpiesznego, złocistego poranka.

Miło w taki czas zanurzyć się w jarmarcznym zgłębku, popatrzeć „na miasto zmęczone jak ja”, gdzie jesień „spaliną oddycha”, ale i tak jest pięknie...

Powróćmy jednak z powrotem na senną ulicę Słowackiego i pod pozornie uśpiony gmach, z wyrzeźbionym napisem: 1900, zatrzymajmy się tu na chwilę, wsłuchajmy się w panującą wokół ciszę, spójrzmy na stare, jakby przydymione przez czas ściany, podmurowane kamieniami; już omśzałymi, z wyraźnymi liszajami starości, bo „nic, co nie zostało zawarte w niemych, milczących przedmiotach, nie wraca w czasie, ale kamienie jak najbardziej przemawiają” [Stefan Hertmans].

Zawsze lubiłam stare budowle, które mają swój niepowtarzalny urok, swoją tajemnicę, swoją historię do opowiedzenia tym, którzy chcieliby jej uważnie posłuchać. Jak pisał Krzysztof Górecki – także „każda szkoła ma swoją historię, którą otacza wyjątkowym szacunkiem i osłania przed zapomnieniem”.

Co chcą powiedzieć gimnazjalne kamienie sprzed stu lat? Zamknijmy oczy i niech pamięć skrzydlata cofnie nas do owego roku 1900., niech go ożywi dotyk pamięci, i obudzi echo tamtych lat.

W ówczesnej prasie toczą się gorące spory, czy ów „okrągły” rok to schyłek XIX wieku, czy już początek XX?

A świat stoi w obliczu nowych, nieznanych wyzwań. Fine die siecle – „koniec wieku” budzi lęki o przyszłość, rodzi pesymizm dekadentyzmu, bezideowość i przecucie katastrof, których zapowiedzią są niepokojące zjawiska: podział Europy, zbrojenia, rywalizacja europejskich mocarstw w Afryce i Azji. Pojawiają się też śmiałe marzenia i wieszczczenia pełne nadziei.

W „Kronice XX wieku” czytamy: „Ludzkość przekraczała próg nowego tysiąclecia z niepokojem, z niepewnością, co przyniesie dzień jutrzejszy. Energia elektryczna, radiofonia, automobilistyka, lotnictwo, postęp w medycynie i farmakologii miały radykalnie zmienić: komunikację, transport i wiele innych życiowych sytuacji; przewidywano, że człowiek zapanuje nad działaniem przyrody, podporządkuje sobie rytm dnia i nocy, ciepło i zimno; a mózg ludzki w pełni zapanuje nad przypadkiem. Inni, wręcz przeciwnie, wieszczili tylko nieszczęścia i tyranię”.

Zagłębimy jeszcze na chwilę do pamiętnika szlachcianki Janiny Kornarskiej, w którym pod datą 31 grudnia 1900 roku czytamy: „Dziś koniec roku i wieku XIX zarazem, chwila ważna i uroczysta, obchodzi ją cały świat chrześcijański modlitwami i rozmyślaniami; w katolickich kościołach specjalne nabożeństwa są odprawiane [...]. Jak to dziwnie pomyśleć, że w nowym wieku będziemy żyli! Ciekawa rzecz, co nowego ludzie w nim wymyślą i jakie zmiany zajdą na świecie...”

Otwórzmy więc skrzydełko cytowanej wyżej „Kroniki XX wieku”:

„Nowy Rok 1900 przypadł w poniedziałek. 90-letni papież Leon XIII już od 22 lat zasiadał na tronie Piotrowym i właśnie w Roku Świętym 1900 poświęcił całą ludzkość Sercu Jezusa. Światem rządzą wówczas królowie i cesarze. Na południu Afryki toczyła się wojna burska, a w Chinach okrutnie stłumiono powstanie Bokserów. Max Planck opracował teorię kwantów, która zrewolucjonizowała fizyczny obraz świata, zaś w technice samochodowej właśnie opatentowano wynalazek kolistej kierownicy. Młody Amerykanin Dwight Filley Davis postanowił ufundować srebrny puchar dla tenisistów, Robert Scott kończył przygotowania do wyprawy na biegun południowy, a Polacy organizowali zbiórkę na zakup dworku w prezencie dla wielkiego pisarza Henryka Sienkiewicza. Kipling kończył pisać „Kima”, a Czechow zabierał się do szkicowania „Trzech sióstr”.

W 1900 roku pewien podróżnik odkrył w dżungli tropikalnej Konga nieznany dotąd w Europie gatunek zwierzęcia, które nazwano okapi”.

„Okapi – pisała Mariana Leky – jest zwierzeniem absurdalnym, wygląda kompletnie nieskładnie – z tymi swoimi łydkami zebry, biodrami tapira i rudawym ciałem żyrafiego kształtu, z tymi sarnimi oczami i mysimi uszami. Jest całkowicie nieprawdopodobne [...]. Sprawia wrażenie totalnie wyśnionego”.

To okapi – takie dziwaczne i absurdalne, świetnie symbolizowało nadchodzące wydarzenia nowego wieku: niepojęte, niemożliwe, a jednak nieuniknione.

W naszym kraju w roku tysiąc dziewięćsetnym mija właśnie 105 lat niewoli narodowej. Brak własnego państwa nie sprzyja rozwojowi wielu dziedzin życia. Nasila się germanizacja i rusyfikacja, rośnie frustracja, zwłaszcza wśród młodego pokolenia Polaków.

Ale – mimo wszystko – następuje rozwój przemysłu, a wraz z nim wzrost ludności w dużych miastach, „ulice, na których pojawiły się już samochody, zaczęto oświetlać elektrycznością, ruszyły elektryczne tramwaje i metro. Działyły telefony, trwały próby nawiązania łączności radiowej. Bracia Lumiere opatentowali kinematograf, a bracia Wright kreślili projekt samolotu” [Grzegorz Łyś].

Wzrasta też poczucie tożsamości narodowej, działają ośrodki myśli politycznej i kulturalnego fermentu. Sprzyja temu m.in. autonomia Galicji, z prężnymi ośrodkami kultury: Krakowem i Lwowem. Nasilają się tendencje wyzwolenicze, czego wyrazem jest m.in. odsłonięcie w Warszawie, niedługo przed nadejściem nowego wieku – przed samą wigilią 1898 roku – pomnika Adama Mickiewicza w stulecie jego urodzin. Było to znamienne wydarzenie, gdyż kult wieszczów był pielęgnowanym w czasie niewoli nakazem patriotycznym. Po wielu latach bezwzględного zakazu, udało się ze składek społecznych wybudować pomnik i uzyskać wreszcie zezwolenie zaborczych władz. Wydarzenie zaszczycił swą obecnością sam autor dzieła – Cyprian Godebski oraz Henryk Sienkiewicz, któremu jednak nie zezwolono na wygłoszenie przemówienia.

Za parę lat Sienkiewicz otrzyma Nagrodę Nobla – pierwszą literacką nagrodę dla Polaka, co napełni dumą naszych rodaków i skłoni do ufundowania nobliście dworku w Oblęgorku. Po nim wkrótce Nagrodę Nobla otrzyma kolejny z polskich pisarzy – Władysław Reymont. Będą się o nich uczyć na lekcjach „polaka” wszystkie kolejne pokolenia gimnazjalistów i licealistów.

Z Zachodu przenikają nowe tendencje artystyczne i nowinki techniczne. W Paryżu odbywa się wielka Światowa Wystawa, której największą bohaterką jest „czarodziejka-elektryczność”. Piękne pawilony wystawien-

nicze oświetlają lampy elektryczne, na ogromnym ekranie wyświetlane są filmy Louisa Lumiere'a, nowiutkie metro przewozi pierwszych pasażerów, na arenach Olimpiady walczą sportowcy całego świata [niestety, bez Polaków]. Malarze impresjoniści wystawiają swe obrazy, Pablo Rivera tworzy w Meksyku rewolucyjne murale, a gdzieś w Ameryce rodzi się wielki trębacz i muzyk jazzowy, który osiągnie światową sławę – Luis Armstrong.

Tendencje niepodległościowe, głoszone na naszych terenach przez polskich działaczy politycznych, budzą zaniepokojenie cesarza Franciszka Józefa, który we wrześniu 1900 roku grozi deputacji polskiej utratą autonomii Galicji. A choć Dębica jest miasteczkiem małym, sennym, ponurym, „prowincjonalnym i parafiańskim”, bytującym na pograniczu dwu odmiennych światów – miasta i wsi, a życie toczy się – mówiąc słowami Olgi Tokarczuk: „cienkimi, leniwymi strumyczkami”, to i tu nie brak ludzi ambitnych, z dużymi aspiracjami i dalekosiężnymi planami. Jednym z tych planów jest kształcenie dzieci i młodzieży.

Tadeusz Boy-Żeleński pisał: „Jak orężem szlachectwa była niegdyś szabla, tak orężem mieszczaństwa stała się „inteligencja”, „wykształcenie”.

Dlatego – jak czytamy w monografii naszej szkoły autorstwa profesorki Anety Kwolek [absolwentki liceum z 1984 roku] – „u schyłku lat 90. XIX wieku środowiska inteligenckie – także w Dębicy – rozpoczęły walkę o tworzenie nowych gimnazjów”. To one dawały młodzieży szansę intelektualnego rozwoju i robienia karier.

W owym czasie – jak pisał Antoni Stańko [absolwent gimnazjum z 1926 roku] „ukończone studia uniwersyteckie należały do rzadkości i otwierały drzwi wszystkich salonów. Tytuły uniwersyteckie były traktowane na równi z tytułami rodowymi. Dlatego mieszczanom dębickim tak bardzo zależało na otwarciu szkoły średniej w Dębicy”.

Na zorganizowanie takiej szkoły należało uzyskać zgodę samego cesarza, „miłościwie nam panującego” Franciszka Józefa, który – na szczęście – dość chętnie udzielał łaskawego pozwolenia, bo – według jego planów – szkoły miały wykształcić sprawnych urzędników, lojalnych wobec władzy monarszej.

Tak było i w Dębicy.

Inicjatorem powstania gimnazjum byli – jak pisał Edward Wodzień [absolwent liceum z 1958 roku] „najznamienitsi mieszkańcy miasta” – burmistrz Henryk Zauderer, do którego dołączyli: proboszcz dębicki ksiądz prałat Eugeniusz Wolski, adwokat krajowy Sydon Friedberg, doktor praw Kazimierz Wilusz i hrabia Józef Michałowski. Zwrócono się też o wsparcie do Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie. Swoją pomoc zaoferowali również:

Michał Jedynak [członek Rady Powiatowej w Ropczycach] oraz Jan Siwula z Paszczyny, którzy – będąc posłami do Wiedeńskiej Rady Państwa – cieszyli się w Galicji wielkim autorytetem. Cennymi radami prawnymi służył Adam Piątek, syn kierownika Szkoły Ludowej w Paszczynie – Jana Piątka, który pracował jako prawnik w Wydziale Krajowym we Lwowie.

Zabiegi tych szlachejnych ludzi zakończyły się sukcesem. Szczególną radością napawało dębickich działaczy to, że – mimo protestów niektórych posłów [m.in. Franciszka Krempy, który uważał, że decyzja Rady Krajowej Szkolnej została podjęta wbrew uchwale Sejmu] – zezwolenie na otwarcie gimnazjum dano Dębicy, a nie rywalizującemu z naszym miastem Mielcowi.

Dzięki przejęciu nowej szkoły przez budżet centralny, a budynku szkolnego na własność skarbu państwa – na podstawie reskryptu Ministra Wyznań Religijnych i Oświaty z 31 sierpnia 1900 roku – nowa placówka oświatowa pod nazwą C. K. Państwowe Gimnazjum Cesarza Franciszka Józefa mogła rozpocząć swą działalność już od września tegoż roku.

I tak się stało, a 30 października prałat Eugeniusz Wolski z radością poświęcił uroczyste pierwsze budynek szkoły.

To „dębickie gimnazjum – czytamy w pracy Anety Kwolek – miało stanowić swoiste curiosum – spośród 128 istniejących u schyłku monarchii galicyjskich gimnazjów tylko 9 miało swą siedzibę poza miastami powiatowymi, a jednocześnie gimnazjum dębickie było szkołą państwową”.

W czasie obchodów 100-lecia szkoły, ówczesny dyrektor Ryszard Pękała podkreślał, że powstałe gimnazjum było – „obok linii kolejowej i garnizonu wojskowego – jednym z najważniejszych czynników miastotwórczych, przedmiotem dumy mieszkańców, a także ważnym ośrodkiem inspirującym działalność naukową i kulturalną mieszkańców Dębicy”, a absolwent z 1908 roku, a zarazem profesor naszej szkoły w latach 1944-1945 Michał Urbanek pisał: „Gimnazjum było błogosławieństwem dla Dębicy, zapewniało jej rozwój kulturalno-oświatowy i gospodarczy. Gimnazjum stawało się ważnym ośrodkiem oświaty i kultury obok dotąd istniejących – szkoły powszechnej i kościoła oraz ważnym czynnikiem wyrównywania różnic społecznych [...]. Wszyscy zachowaliśmy pamięć o ukochanej szkole, ale i wdzięczność, że umożliwiła nam awans społeczny i ukształtowała naszą osobowość, dzięki czemu mogliśmy z pożytkiem pracować dla dobra ojczyzny i szczęścia osobistego”.

Oddajmy jeszcze głos innemu absolwentowi naszej szkoły Antoniemu Stańce: „Zakład ten przeszedł różne koleje losu. Zniszczony i zdewastowany wojnami, odbudowywał się i organizował na nowo z prawdziwie godną

wytrwałością i uporem, nie zapominając w najcięższych okresach czasu, do jakiego celu został powołany [...]. Całe pokolenia z Dębicy i okolicy zawdzięczają mu swoje życiowe kariery. Pracuje jako gigantyczna machina, której rozruch nastąpił w roku 1900, a której koła obracają się nieustrudzenie po dzień dzisiejszy. Jego zasługi dla Dębicy są wprost nieobliczalne”.

Prowincjonalne gimnazja, takie jak nasze, miały często wysoki poziom nauczania. Tak było właśnie w – też prowincjonalnym – gimnazjum krzemienieckim, do którego uczęszczał młody Słowacki, tak było w gimnazjum nowogródzkim, który kończyli bracia Mickiewiczowie; w tym, przyszły autor naszej narodowej epopei, tak też było i w gimnazjum dębickim, o czym świadczą jego wybitni absolwenci.

Brat Adama Mickiewicza, Franciszek tak wspominał gimnazjum nowogródzkie: „Tu młodzież uczuła zamiłowanie ku naukom i umysłowej pracy, wzniosła patryjotycznego ducha i rozwijać uśpione nadzieje kraju poczęła. Z jej – dobrych, pocziwych urzędników, godnych obywateli, utalentowanych geniuszów, sławnych ludzi i obrońców piórem czy mieczem ojczyzny naszej niemało wyszło [...]. Uczono nas, jak być dobrem Polakiem i nie szczędzić życia, majątku dla dobra kraju”.

Tak samo mógłby ocenić naszą szkołę niejeden z absolwentów dębickiej „Alma Mater”. Edward Wodzień np. pisał, że nasze gimnazjum „było jednym z najlepiej urządzonych i wyposażonych gimnazjum galicyjskim”. Tu również największymi wartościami były przejęte jeszcze od romantycznych zapaleńców hasła: „Ojczyzna, nauka, cnota”.

„Na progu wieku zakwitła, jej sława trwa do dziś...”

Tak zaczyna się hymn naszej szkoły, autorstwa ucznia Adama Prażaka, absolwenta z 1974 roku. Utwór powstał w wyniku konkursu zorganizowanego przez dyrekcję liceum, nad którym patronat przejął profesor muzyki Ludwik Tyrpin. On kierował konkursowym jury, on też napisał do zwycięskiego tekstu melodię.

Nasza szkoła została w owym hymnie określona dumnie jako: „siłaczka, szkoła ambitna”, bo taką się stała. Okazała się wnet – jak określił Arkadiusz Więch – „błogosławieństwem dla Dębicy”, a także – co bardzo ważne – „kuźnicą polskości”.

A oto słowa owego „Hymnu szkoły”:

„Na progu wieku zakwitła,
Jej sława trwa do dziś,

„Siłaczka” – szkoła ambitna,
Jedna w niej łączy nas myśl.

Nowy świat stworzyli jej uczniowie,
Nie szczędzili ofiar, trudu, ani krwi,
Idąc w ślad Wiktora i Gawrysia
Wspólnym marszem powitamy nowy świt.

Nie straszne nam trudy życia,
Spokojnie patrzymy w dal,
Nauka, praca i przyjaźń -
Szkoła jednoczy dziś nas.

Nowy świat stworzyli jej uczniowie,
Nie szczędziła im historia trudnych chwil.
Nowy marsz w ojczyzny dni spokojne
Głosi światu nową myśl -
Więc śmiało idź!

Wróćmy jednak do owego września 1900 roku, gdy pierwsi uczniowie zasiedli w ławkach dębickiego gimnazjum, aby spróbować odtworzyć tamtą rzeczywistość, utkaną z realiów, ale też z marzeń i dążeń, jakie przejawiała ówczesna „młódź”, i by poczuć atmosferę zatrzymanego czasu.

Pierwsi studenci.

Było ich 83, prowadzonych przez 2 stałych nauczycieli. Znamy ich nazwiska [listę uczniów zamieścił m.in. Antoni Stańko w swej pracy „Dębica. Karpacka Brygada Legionów”].

Pierwsi uczniowie pochodzili z Dębicy i okolicznych wiosek, a także z Pilzna, Ropczyc i Sędziszowa. Jednym z nich był właśnie Michał Urbanek, który wspominał, że gdy „w 1900 roku gruchnęła wieść, że w Dębicy od pierwszego września ma być otwarte gimnazjum, najbardziej ucieszyli się rodzice, bo oto miały się spełnić ich marzenia dotyczące przyszłości syna. On sam znalazł już sobie pracę przy czyszczeniu cegieł i trochę żał mu było utraty zarobku. Ale rodzice uszyli mu ubranie z szewiotu ze stojącym kołnierzykiem i wysłali go na egzamin. Zdał go bez trudu i tak – po opłaceniu czesnego – stał się w wieku 14 lat uczniem pierwszej klasy gimnazjum.

Powietrze przesiąknięte było jeszcze zapachami lata, drzewa ocieężałe od owoców chyliły swe gałęzie ku ziemi, łaskawie grzało słońce, ale poja-

wiały się już poranne mgły, chłodne poranki, coraz krótsze dni i coraz więcej dropiatych, żółtobrązowych liści; wszystko to zapowiadało, że „światem zaczęła rządzić jesień...”

Profesorka liceum Lidia Górską [absolwentka z 1979 roku] pisała: „Szkoła tamtych lat. Zagłębiamy do sal. Młodzi ludzie w mundurkach szkolnych, roześmiane twarze, figlarne błyski w oku. Dla wielu z nich przebywanie w szkolnych murach jest niejako awansem społecznym. Niewielu jest stać na mundur szkolny, który z taką dumą noszą. Wykładów swych profesorów słuchają z zapartym tchem”.

Pierwsi „studenci” [bo tak ich nazywano], „urodzeni – jak to określił potomek dziedziców z pobliskiego Zasowa Maciej Łubieński – w cieniu wąsów cesarza Franciszka Józefa”, pochyleni nad książkami, wciąż oszołomieni nową sytuacją, w jakiej się znaleźli, dumni, ale też przerażeni, nie tracili przecie z oczu tego, co działo się wokół nich i na szerokim świecie. „Paliwody i świstaki, podskakiewicze i ślamazary, galopanci i świszczypały” – poznawali 10 przykazań studenta, w których na jednym z pierwszych miejsc było to: „Pamiętaj, że masz się uczyć dla życia, nie dla szkoły”. Poznawali też listę kar, które groziły za lenistwo, niesforność, samowolne i kłamliwe opuszczanie godzin szkolnych, burdy, zuchwalstwo, brak uwagi na lekcjach, palenie papierosów, picie alkoholu, przesiadywanie w cukierniach itp.

„Do klasy I gimnazjum przyjmowano chłopców w wieku 8-10 lat, przygotowanych w domu do podjęcia nauki, lub po ukończeniu kilku klas szkoły powszechnej. Ale też gimnazja prowadziły zazwyczaj klasy wstępne dla dzieci rozpoczynających naukę od podstaw” [Edward Wodzień].

Uczniowie za naukę płacili czesne.

Nauka w gimnazjach prywatnych była droga i stać na nią było tylko ludzi zamożniejszych, a w szkołach państwowych niższa – stąd duża popularność naszego gimnazjum.

Edward Wodzień przytaczał dane z okresu 20-lecia międzywojennego: „Roczna opłata za naukę ucznia wynosiła w gimnazjach prywatnych od 700 do 8000 złotych, zaś w gimnazjum państwowym w Dębicy około 550 złotych; w dodatku uczniowie wyróżniający się w nauce korzystali z możliwości zwolnienia z czesnego do połowy, w przypadku sieroctwa nawet do stu procent”.

Oprócz czesnego istniały inne opłaty gimnazjalne, które były dla wielu rodziców zaporą niezwykle trudną do pokonania. Ludwik Mrocza wyliczał te, z okresu XX-lecia: „Uczeń płacił wpisowe, opłacał każdy egzamin, czesne, lub w latach trzydziestych specjalną opłatę administracyjną na-

leżność za kopię świadectwa dojrzałości i inne doraźne składki, które już wówczas szkoła umiała mnożyć”. Opłata szkolna tzw. dydaktrum musiała być uiszczona w ciągu pierwszych sześciu tygodni każdego półrocza.

Najczęściej uczniowie doceniali wartość nauki i starali się z całych sił, by nie zawieść nauczycieli, ale też rodziców, których mogli narazić na dodatkowe koszty. Ale zdarzały się wyjątki.

Znany pisarz Arkady Fiedler, uczęszczający do gimnazjum w Poznaniu, wspominał, że – opętany młodzieńczą miłością – zaniedbał się w nauce więc utracił szansę na zniżkę czesnego. To był dramat dla rodziców.

– „Chodziłem jak oczadziały i nie dostałem promocji do wyższej prymy – wspominał.

Niepowodzenie syna i strata czesnego spada na rodziców, jak grom z jasnego nieba. Martwią się. Ojciec przypłaca to chorobą płuc, ociera się o gruźlicę”.

W rześkim powietrzu, w szumie drzew i leniwym słońku czuć było jesienną melancholię, zwiastującą porę babiego lata. Tu, w małym galicyjskim miasteczku było spokojnie i sennie. Kolejne jesienne dni „spełzały monotonnie z kalendarza”, a w szkole królowały: dyscyplina, posłuszeństwo, bogobojność i rygor.

A życie gwałtownie przyspieszało: śmiałowie początku XX wieku przekraczali kolejne granice, projektowali coraz wyższe gmachy, nawiązywali łączność telefoniczną przez ocean, wzbijali się w niebo, marzyli o sięganiu gwiazd. Gimnazjaliści też mieli wielkie i małe marzenia, które chcieli spełniać w przyszłości, chociaż w „młodym” gimnazjum dębickim problemów nie brakowało.

„Pierwszy okres istnienia szkoły – czytamy w pracy Edwarda Wodzieńa – był bardzo trudny ze względów lokalowych. Przez dwa lata zakład mieścił się w wynajmowanym jednopiętrowym budynku prywatnym, położonym obok budynku urzędu gminnego przy ulicy Mickiewicza [obecnie Rzeszowska] i zajmował 7 pomieszczeń, w tym cztery większe sale lekcyjne; w trzecim roku w sąsiednim budynku zwanym perlsteinowskim utworzono sześć izb lekcyjnych, salkę gimnastyczną, biblioteczną i na zbiory naukowe”, ale – jak wspominał Władysław Urbanek – brak było „jakichkolwiek pomocy naukowych”.

Mimo to od początku działalności szkoła przyjmowała coraz większą liczbę uczniów: najpierw kilkudziesięciu, w czasie I wojny światowej – 400, a w latach dziewięćdziesiątych XX wieku – nawet ponad tysiąc, o czym

z dumą przypominał z okazji 110-lecia liceum – ówczesny dyrektor Ryszard Pękała.

Szkolnictwo średnie w Galicji funkcjonowało na podstawie programów szkolnych, które obowiązywały w całej monarchii od 1867 roku, a językiem wykładowym był język uczniów. Dębickie gimnazjum było klasycznym, z językiem polskim jako wykładowym i z przewagą języków klasycznych: łaciny i greki, przy zmniejszonym wymiarze godzin z przedmiotów przyrodniczych i ścisłych. Były to [oprócz religii]: język niemiecki, historia, geografia, matematyka, nauki przyrodnicze, fizyka z chemią, propedeutika filozofii, rysunki, kaligrafia i gimnastyka.

Corocznie ówcześni uczniowie otrzymywali dwa świadectwa: tzw. małe na półrocze i drugie – na zakończenie roku szkolnego. Oceny na nich były różne. Sprawozdania dyrekcji z tamtych lat zawierają zestawienia uczniów: „chlubnie uzdolnionych”, na ogół uzdolnionych” i „nieuzdolnionych”.

Dopiero w 1919 roku wprowadzono w gimnazjach nowy system nauczania.

„Odchodzono stopniowo od dotychczasowego – klasycznego modelu szkoły, a przechodzono do modelu bifurkacyjnego, tzn. wprowadzającego trzy typy klas: klasy I-III – przejściowe, klasy IV-VI – o profilu humanistycznym, klasy VII-VIII – o profilu klasycznym” [Aneta Kwolek].

Ostatnie dojrzałe jabłko spadło z jabłunki rosnącej w przydomowym sadzie, w powietrzu snuła się „zaduma polna – Osmętnica”, jakby wypłynęła z wiersza Kazimierza Przerwy-Tetmajera, „głos dzwonu zapukał do domów, przyniósł pieśń i zapach dymu” [Janusz Pyziński]. Nastąpiły mgliste, deszczowe dni, pulsujące zwyczajnym, powszednim rytmem.

„Rano mgła w pole szła, wiatr ja rwał i ziębił.

Opadały ciężkie grona kalin i jarzębin” – jak to ślicznie zrymował Józef Czechowicz. Codziennie było więcej opadłych liści, krótsze dni, zimniejsze ranki, na trawie szron, potem śnieg i Wisłoka skuta lodem.

Gdzieś daleko wykrwawiało się powstanie chińskich Bokserów i Burów w Afryce. Wyspiański w swym krakowskim pokoiku kończył „Wesele”, które w marcu następnego roku zostanie wystawione w teatrze w atmosferze skandalu, a po wielu latach stanie się obowiązkową lekturą licealną. Muszę dodać, że ulubioną przez moją panią profesor Irenę Jandę, która straszliwie nas wszystkich maglowała, domagając się szczegółowej interpretacji każdego epizodu tego dzieła i przyprowadzając nas tym o palpitację serca.

– „Miałeś chamie złoty róg” – co autor chciał przez to powiedzieć? I jeszcze co? I jeszcze?...

Ale to było dużo później.

Pierwszym uczniom czas płynął dość leniwie, ale też stresująco. Musieli oswoić nową rzeczywistość, tak inną od tej, znanej od dzieciństwa, musieli przyzwyczaić się do surowych rygorów i wymagających nauczycieli.

A „nauczyciel – zwany zwyczajowo profesorem – pisał Arkadiusz Więch – miał, oprócz funkcji pedagogicznej i dydaktycznej, być także jako wychowawca wzorem do naśladowania dla swoich uczniów. Na jego przykładzie kształtować mieli swój wzorzec męskości, który podobnie, jak wyniesiony z domu przykład ojca, charakteryzować miał się surowością i stawianymi wymaganiami, dzięki czemu zyskiwać miał w oczach dzieci i młodzieży autorytet. Autorytet budowany był poprzez narzędzia kontroli, a więc system dyscypliny, przymusu, represji oraz wymierzanych kar bądź nagród – chwalenie uważano raczej za mało wychowawcze. Młody mężczyzna musiał zachowywać się godnie, by nie narazić na szwank dobrego imienia szkoły, do której uczęszczał. Jego zachowanie było pilnie obserwowane i w razie naruszenia norm, komentowane przez całą społeczność i poddawane karze”.

Nie było łatwo. „Metoda paznokciowa i brak wskazówek, jak się uczyć – wspominał Michał Urbanek – zmuszały do samodzielnego kształcenia się. Uczeń sam musiał zgłębiać problemy, borykać się z tekstami, posługiwać się słownikiem, wybierać i opracowywać lektury, opanować pamięciowo mnóstwo wiadomości, korzystać umiejętnie z podręczników”.

Ale uczniowie codziennie lepiej poznawali szkołę, profesorów, kolegów, swe obowiązki i rozrywki, uczyli się nowych obyczajów, radzenia sobie w trudnych sytuacjach czy stosowania różnych uczniowskich sztuczek. Chociaż za oknami klas coraz częściej „o szyby deszcz dzwonił, deszcz dzwonił jesienny”, a światem rządziła już niepodzielnie jesienna szaruga, to studentom często jeszcze „pachniały akacją, szalwią, sianem, żywicą niedawne wakacje” [Zuzanna Ginczanka], a w oczach wielu jawił się wciąż obraz rodzinnego domu i żegnającej matki, za którą tęsknili.

Taką, zapamiętał Jan Wiktor: bosą, z poobijanymi na kamieniach stopami, zatroskaną, ale i dumną z syna, i pełną marzeń:

„Nożyśka obite [...]. Może anieli takie właśnie kamienie zbierają na ścieżkach i zanoszą do rajszych ogrodów, aby żyły. W szczególności, aby z nich zrodziła się legenda o kwiatach macierzyńskiej miłości [...].

– Synu mój, żeby choć tobie było lepiej, żebyś nigdy nie zaznał głodu, żeby ci nigdy słońko nie skąpiło jasności... – na każdej łzie taił się okruh

tego słońka, toteż wszędzie było radośnie; i na wysokościach, i na ziemi, gdzie matka popatrzała, do kogo się uśmiechnęła”.

Na ciemnych gimnazjalnych korytarzach gościła zazwyczaj ponura cisza, ale w klasach słychać było niepewne głosy odpowiadających uczniów, głośnie uwagi profesorów, monotonnie skrzypiały pióra przepisujące teksty z tablicy, za uchylonymi oknami majaczyły kontury szarych kamienic z liszajami wilgoci i dolatywał orzechowy zapach gnijących liści, które wiatr zwiewał z rosnących przed gimnazjum, zmokniętych, prawie już nagich drzew. Jakiś smutek wisiał w powietrzu, snuły się światem jesienne melancholie...

A na świecie działo się tak wiele ważnych wydarzeń!

W styczniu 1901 w Londynie zmarła w wieku 81 lat wielka władczyni – królowa Anglii, Irlandii i cesarzowa Indii – Wiktoria, a w Mediolanie – 87-letni kompozytor włoski Giuseppe Verdi – twórca wybitnych oper: „Traviatta”, „Otello”, „Aida”, „Falstaff”, czy „Nabucco”, którą po wielu latach wystawi na dębickiej scenie profesor muzyki w naszym liceum, znany animator kultury – Paweł Adamek.

W owym roku rodzą się wielcy aktorzy: Clark Gable i Gary Cooper, którzy w latach naszej młodości byli u szczytu sławy i przyprawiali nas o przyspieszony rytm serca w wielkich filmach: „W samo południe”, czy „Przeminęło z wiatrem”. Wówczas urodził się też Julian Przyboś – „syn Rzeszowskiej Ziemi”, „poeta chłopskiego pochodzenia”, co z dumą podkreślał mój licealny profesor języka polskiego – Edmund Galas. W tym samym roku urodził się też Mieczysław Fogg, który tak pięknie przekonywał, że „w kalendarzu jest wciąż taki dzień, przeznaczony wyłącznie dla ciebie” oraz Mira Zimińska – współzałożycielka i dyrektor artystyczny zespołu „Mazowsze”. W kwietniu przyjechała do Warszawy Maria Skłodowska-Curie, gdzie – gorąco witana przez rodaków – przedstawiała właściwości odkrytego wraz z mężem radu, a w czerwcu odbyła się w Paryżu pierwsza wystawa obrazów młodego Pabla Picassa, który wkrótce dokona rewolucji w malarstwie światowym. W sztuce zapanuje kubizm, surrealizm i secesja.

Czy zasiadający w ławkach dębickiego gimnazjum uczniowie znają te wydarzenia? Chyba tak. Píše o nich prasa, a młodzi zawsze żądni są nowości. Ale przede wszystkim wkuwają łacińskie słówka, matematyczne wzory, czytają zadane teksty, a w każdą niedzielę spieszą w ordynku na mszę świętą do kościoła Świętej Jadwigi. Idąc w zwartych szeregach spoglądają na to swoje polsko-żydowskie miasteczko: senne, ubogie, tak bardzo prowincjonalne, posępne, nudne; jesienią zwłaszcza – brzydkie. „Mieścina, bo mie-

ścina, szkoła stawiająca pierwsze kroki...” – napisze we wspomnieniach znany dębiczanin, doktor Marian Morawczyński [absolwent z 1951 roku].

Zostawia tu swoje ślady. I będą wracać. Bo tam, gdzie się przeżyło dzieciństwo i młodość, tam zawsze jest centrum świata. Stamtąd się wyjeżdża i tam wraca; jeśli nie fizycznie, to we wspomnieniach. I chociaż te wspomnienia po latach bywają zawsze fragmentaryczne, wyblakłe, zamazane, niepewne, to one właśnie są bezcenne, bo przypominają szczegóły, które ocalił czas. A – jak trafnie twierdził znany pisarz Wiesław Myśliwski – „szczegół może więcej nam powiedzieć niż byśmy podejrzewali. Szczegół to kosmos. Świat niby wielki, a decydują szczegóły, że ktoś kogoś spotkał tu nie tam, że jabłko spadło z jabłoni, dzięki czemu Newton odkrył prawo grawitacji, że bakterie hodowane przez Flaminga uśmiercił niespodziewanie jakiś grzybek i w ten sposób wynaleziona została penicylina. I tak dalej, i tak dalej”.

Mój rocznik zawitał do dębickiego liceum w roku 1959. Byliśmy dumni, bo wiedzieliśmy, że ta szkoła to „kolebka polskiej inteligencji”, „kuźnia talentów”, „szkoła-legenda o pięknej tradycji”. Stąd fraszka, zatytułowana: „Nasza dębicka „Jagiellonka – w setną rocznicę urodzin”:

„Kiedyś młodą była,
Nas – młodych, uczyła.
Ciągłe znakomita,
Dzisiaj dziadków wita”.

Najpierw czekały nas egzaminy wstępne, które przerażały, zwłaszcza tych – pochodzących z biednych wiosek, odległych od Dębicy, zagubionych w koślawych sadkach, w topolach i wierzbach, lipach i brzozech, ulokowanych wzdłuż zapyłonych gościńców, pełnych dziur i kałuż, ze szkołkami tyleż ambitnymi, co biednymi, mającymi dużo mniejsze możliwości dydaktyczne niż ich miejskie odpowiedniki.

Dębickie liceum onieśmiewało i budziło respekt wielkością, tajemniczą atmosferą, renomą i legendą. Było w tych murach coś mrocznego, zagadkowego, coś uroczystego, niepokojącego i pociągającego zarazem. I tak jest do dziś.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Lidia Górską twierdziła, że „błądząc po zakamarkach dębickiego liceum nie sposób oprzeć się wrażeniu, że historia dotyka nas bezpośrednio niejako, że ocieramy się o nią bardziej, niż sobie to uświadamiamy. Ponadto mamy wrażenie, że niejako przenosimy się w czasie bardziej odległym niż sama budowla została wzniesiona. To było prawdopodobnie zamierzeniem

architekta, gdyż w tym duchu wznosił swoje kamienice i budynki użyteczności publicznej”.

Potwierdza to wielu absolwentów. Oto dwa przykłady.

Aleksandra Czarnawska [matura 2015]: „Doskonale pamiętam pierwszą wizytę w „Jagielle”, o którym nie miałam wtedy zielonego pojęcia. Wiedziałam tylko, gdzie się znajduje. Jak się okazało, to mi wystarczyło. Kiedy poczułam zapach tych 115-letnich murów, byłam oczarowana [...]. Ta szkoła ma w sobie coś niepowtarzalnego. Jakiś niezidentyfikowany do tej pory czynnik, który sprawia, że nawet ucząc się w drodze do szkoły, cieszę się, że tam jadę. Mam przyjaciół, wspaniałych nauczycieli i same pozytywne wspomnienia. Właśnie tyle dała mi ta szkoła”.

Ryszard Pazdan [matura -1975]: „Dębicki ogólniak dał mnie i moim kolegom dobre podstawy do dalszej edukacji, o czym przekonaliśmy się, kiedy poszliśmy na studia wyższe do Krakowa. Zasób naszych wiadomości był często dużo wyższy niż kolegów z Krakowa.

Oni czasem wyraźnie od nas odstawali. I tylko w jednym Dębica ustępowała Krakowowi. Brakowało nam takiej ogólnej ogłady, bo gdzie i jak mogliśmy ją zdobyć w tak małym mieście jak Dębica”.

Wiesław Myśliwski pisał, że „nie powinno się odwiedzać dawnych miejsc, bo to nie są już te same miejsca. Miejsca, jak wszystko, przemijają”. Ja jednak przemierzam uliczki mojego miasteczka, by spróbować obudzić atmosferę minionego czasu.

Sędziwy gmach o znajomych konturach – monumentalny, dostojny, groźny, widoczny już z rynku, zamyka króciutką ulicę Słowackiego, nazwaną tak imieniem wieszczki w 1909 roku, w czasie uroczystości obchodzonej wówczas setnej rocznicy jego urodzin.

Przystaję. Z nutą nostalgii ogarniam wzrokiem omszałe kamienie, kolorowe tablice na szarym murze; w niektórych otwartych oknach widać młodziutkie twarze, słysząc wesoły gwar...

„Spoza gór i rzek
Tu-m po wiedzę szedł.
Potęgą wyrośnie z nas?
No, no, pokaże czas”.
[„Piosenka ucznia idącego do liceum”]

Ciężkie, masywne drzwi otwierają się powoli jak wielkie skrzydło groźnego ptaka. Skrzekliwie skrzypią wiekowe zawiasy. Rozglądam się cieka-

wie dokoła. Wewnątrz jasne ściany, optymistyczne gazetki. Plamy słońca na podłodze. W kątach łaskawy półmrok. Stukot obcasów na kamiennych schodach niesie się echem po długich korytarzach – jasnych i czystych.

Jakże inaczej zapamiętałam tamte dwa egzaminacyjne czerwcowe ranki!

Wówczas panował w tych murach jakiś chłód, wyczuwalny zapach dawności, półmrok oddzielający tę enklawę obcego nam, tajemniczego i mrocznego miejsca, od zewnętrznego świata. Dziwiły długie korytarze, okna wpuszczone w bardzo grube mury i wytarte przez setki stóp schody, które prowadziły gdzieś w górę, w nieznane, dokąd kierował zbitych w gromadki, przerażonych kandydatów na licealistów, długoletni, wierny strażnik tego miejsca – woźny Jan Strzałka.

Kontynuował on chlubną tradycję działalności „cerberów gimnazjalnych”, którzy zapisali się pozytywnie w dziejach szkoły. Na zachowanym zdjęciu z 1932 roku trzech z nich zasiadło na podłodze przed profesorami gimnazjum. Gładko uczesane włosy, poważne miny, obowiązkowe wąsy i mundury z metalowymi guzikami, a w rękach służbowe czapki z daszkiem. Powaga w oczach i godność przynależna pełnionej funkcji.

Jan Szymaszek [matura – 1932 rok] pisał: „Nie można we wspomnieniach pominąć długoletnich woźnych, szczególnie Józefa Ciurkota oraz jego pomocników: Michała Malinowskiego i Józefa Maduzię”.

A Marian Grundboeck [absolwent z 1946 roku] – mieszkający w bezpośrednim sąsiedztwie podwórza szkolnego, skąd dochodziły „odgłosy porannej gimnastyki, lekcji wychowania fizycznego, gry w palanta i piłkę nożną, zbiórek harcerskich, uroczystości szkolnych i spotkań niedzielnych przed wymarszem do kościoła przy dźwiękach orkiestry” – zapamiętał, że „po każdej lekcji tercjan gimnazjalny, Jan Ciurkot, ogłaszał ręcznym dzwonkiem przerwę, w czasie której podwórze rozbrzmiewało gwarem rozmów i śmiechem”.

Adam Przewłocki zaś wspominał: „O ład i porządek w szkole dbali woźny i tercjan. Ciekawe postacie, jakby zrośnięte z murami naszej szkoły. Obydwaj poważni, z godnością noszący swoje mundury: stróż skromniejszy, szaraczkowy, tercjan bogatszy, ciemnozielony, zawsze w czako ze złotym galonem, jak gdyby symbolem jego władzy. Donośnym, mosiężnym dzwonkiem dawał znak na rozpoczęcie lekcji i jej zakończenie. Po dzwonku na lekcję obowiązywała cisza, bez względu na to, czy profesor wszedł już do klasy, no i siedzenie w ławkach. Tercjan strzegł wejścia do dyrektora i pokoju nauczycielskiego, a w czasie dużej przerwy interweniował w czasie jakichś incydentów na podwórku szkolnym, na które wypuszczał woźny,

otwierając drzwi wiodące na podwórze. Tercjan prowadził też skromny bufet z kanapkami.

Uczniowie pierwszych lat powojennych wspominali też jednego z „cerberów”, który zwykł mawiać „Ja ...i pan dyrektor”.

Woźny Jan Strzałka w okresie mojej nauki w liceum miał około 50 lat. Był to mężczyzna stateczny [wszak ojciec czwórki dzieci], szczupły, niewysoki, niepokąźny, trochę zgarbiony, ale godnie się prezentujący w swoim codziennym uniformie, krzepki i – jako strażnik szacownej instytucji – niezmiernie stanowczy. Spotykaliśmy go codziennie i wydawało się, że jest jej integralną częścią, że zawsze tu był; jakby nie miał innego życia niż to – w szkolnych murach. Nie wyobrażaliśmy sobie liceum bez tej postaci, szanowaliśmy go, bo dawał poczucie pewności, bezpieczeństwa, trwałości, porządku.

Jakże często dzierżył w ręce ów solidny, ciężki, mosiężny dzwonek z drewnianym uchwytem, którego głos wyznaczał dokładnie wymierzony czas nauki i odpoczynku!

Woźny Strzałka – zazwyczaj dobrotliwy i łagodny – był zupełnie nieczuły na nasze modły i prośby, by np. uszczknął choć minutkę z lekcji, na której miała być okrutna „pytanina”, na zmyślane przez nas dramatyczne historyjki czy próby brania go na litość. Woźny dzwonił punktualnie, co do minuty, chodząc długimi korytarzami, które oddzielały nas od barwnego, gwarne go świata grubymi, chłodnymi murami.

I wtedy po piętach niosło się wyzwalające echo metalicznego, donośnego głosu.

Dyrektor Galas, siedząc w swym gabinecie, spoglądał czasem na stojący tam wielki zegar szafowy, kryjący we wnętrzu mnóstwo tajemniczych zębatych kółek, śrubek i innych „ustrojstw” i sprawdzał punktualność dzwonek. Zawsze z satysfakcją mógł stwierdzić, że woźny to człowiek porządny, obowiązkowy, solidny, zdyscyplinowany, uczciwy i lojalny; taki, na którym zawsze można polegać. Takich ludzi dyrektor cenił i z takimi chciał pracować.

Byliśmy przekonani, że w razie potrzeby woźny Strzałka broniłby szkoły do ostatka i poświęciłby dla niej wszystko. W tym przypominał dozorcę naszego gimnazjum Michała Jaworka, który pod koniec I wojny światowej – gdy uciekający Rosjanie podpalili szkołę – wraz z profesorem Józefem Wyróbkim z poświęceniem gasił pożar budynku.

Pamiętam też naszego woźnego Jana Strzałkę z czasów mojej pracy w liceum, gdy – jak dawny „tercjan” – przekazywał nauczycielom zarządzenia dyrektorskie. Pukał nieśmiało do klasy, cichutko zamykał drzwi i przedkładał te pisma do podpisu każdemu nauczycielowi. Nasze podpisy

były dowodem, że przyjęliśmy do wiadomości dane zarządzenie i zobowiązujemy się do jego przestrzegania.

Ten – od początku istnienia szkoły panujący obyczaj – zaniknął po zainstalowaniu w budynku liceum radiowęzła. Odtąd wszelkie komunikaty przekazywane były do klas drogą radiową. Radiowęzeł niekiedy wykorzystywano też do innych celów; np. dyrektor przemawiał przez głośnik do rodziców na początku wywiadówek, czasem wygłaszane bywały tą drogą pogadanki dla uczniów lub realizowane jakieś „mini-akademie”. Zdarzyło się też, że młodzież – po którejś ze szkolnych reform, postulującej zwiększenie samorządności uczniów – wymogła na dyrektorze, by na dużej przerwie nadawać przez radiowęzeł muzykę. Okazało się jednak, że zlepek dźwięków nowoczesnej muzyki młodzieżowej i głosów uczniowskich dawał efekt hałasu tak niewyobrażalny, że rychło zrezygnowano z tego pomysłu i głośniki na przerwach zamilkły na dobre. Również czas lekcji zaczął odmierzać nowoczesny zegar elektroniczny, zamilkł więc głos starego, pocziwego szkolnego dzwonka, który wylądował na półce jako eksponat szkolnego muzeum.

Gdy pewnego razu, podczas jazdy pociągiem do Rzeszowa, dosiadł się do mnie dyrektor Galas i zaproponował mi pracę w liceum, byłam w szoku. Zaczęłam coś dukać, że chętnie, ale czy sobie poradzę z dyscypliną, bo nigdy dotąd nie uczyłam dorastającej młodzieży, a tylko dzieci z podstawówki. Wtedy on z łobuzerską miną odrzekł: – A, z dyscypliną to pani pomoże woźny Strzałka.

Bo woźny Strzałka był „lekiem na całe zło”. Wydawało się, że będzie tak trwał – na zawsze. Ale i jego czas przeminął, a jego miejsce zajął nowy woźny Jan Dziurdzik – również świetnie sprawdzający się w swej roli.

Gdy, pełni niepokoju, wchodziliśmy do gmachu liceum na egzamin wstępny, woźny Strzałka uśmiechał się do nas życzliwie, dodając nam otuchy. Ale emocje i tak brały górę. Trudno je nawet opisać. Niech więc uczyni to poeta Julian Tuwim, który tak cudnie wyraził atmosferę takich egzaminów wstępnych:

„Ogrodnik w bukiet białość wtrąca,
Która porankiem jest pachnąca,
Przedwakacyjnym w mieście czerwcem,
Kiedy zamierające serce
W kolana lękiem zapadało,
Płynęło potem do przetyku,
Słabło po drodze, w dołku mdlało

I ćmiło markotnością słodką
Przelewów, ciągót i dreszczyków;
Gdy do gimnazjum na egzamin
Piśmienny szło się – i dlatego
Z rulonem kancelaryjnego
Papieru ...”

Swe wspomnienia [jako 10-letniego chłopca] z egzaminu wstępnego do naszej szkoły, opisał m.in. Adam Przewłocki [matura – 1920].

„Nadszedł oczekiwany dzień egzaminu wstępnego, od wyniku którego zależała niemal cała dalsza moja życiowa kariera [...]. Pragnienia moje sprowadzały się jedynie do jak najrychlejszego wydostania się z dusznej atmosfery szkoły ludowej i do włożenia gimnazjalnego munduru, bycia studentem [...]. Egzamin wstępny zaczynał się od napisania curriculum vitae. Zasiadało się w ławce w sali egzaminacyjnej, dostawało arkusz papieru kancelaryjnego i pod okiem profesora trzeba było napisać krótki życiorys, obejmujący pierwsze dziesięć lat istnienia na tym „padole płaczu”. Pisanie życiorysu w ramach egzaminu było świetnie pomyślanym testem inteligencji kandydata na studenta i równocześnie kontrolą dotychczas zdobytych niektórych wiadomości z zakresu kaligrafii, ortografii oraz umiejętności gramatycznej budowy zdań. Egzamin z rachunków ograniczał się do przepytania tabliczki mnożenia. Reszta to już niewiele: czytanie i kilka pytań na temat tego, co się przeczytało. I jeszcze katechizm u katechety”.

Pamiętam swoje egzaminy wstępne. Zetknięcie naszych marzeń z rzeczywistością było bolesne; do końca towarzyszyła nam niepewność, jakiś obezwładniający lęk przed nieznanym i wrażenie obcości.

Przed aulą zbity tłumek wystraszonych kandydatów na licealistów, rozglądających się po pustym korytarzu; takim obcym, onieśmiałającym, ponurym jak korytarze klasztorne, z cieniem chłodu, powodującym drżenie pleców i nóg. Chłopcy, króciutko obcięci, w pierwszych w życiu „dorosłych” garniturach, pokracznie wyglądających na ich – jeszcze dziecięcych sylwetkach, dziewczyny w białych bluzkach i granatowych plisowanych spódnicach, ze splecionymi ciasno warkoczami lub krótko przyciętymi włosami, podpiętymi metalową wsuwką, by żaden niesforny kosmyk nie spadał na oczy. Nastrój napięcia i oczekiwania wypełniały niespokojne myśli.

W ogromnej, surowej auli rzędy ławek, pochylone głowy nad kartką egzaminacyjną, dostojni, wyniośli profesorowie, siedzący za szerokim stołem, przykrytym zielonym suknem, wokół nieznajome twarze. Najwięcej było

dziewcząt [tak jest do dziś]; nawet trzy koleżanki z mojej podstawówki; ale siedziały dość daleko i nie mogłam nawiązać z nimi żadnego kontaktu.

Gdzieś pod moim sercem gnieździł się robak strachu.

Rozglądałam się po sali szukając „natchnienia”. Z portretów na ścianie spoglądali surowo najważniejsi przedstawiciele władz, a w rogu okna mały pajaczek tkął precyzyjną nić.

Pajaki – święte stworzenia. Ponoć ocaliły Matkę Boską, kiedy Święta Rodzina uciekała do Egiptu. To one uplotły obok drogi otoczonej zarośłami tak gęstą sieć, że żołnierze Heroda nic nie dostrzegli. A kto mnie ocali? Wprawdzie zadania nie wydają się zbyt trudne, ale stres robi swoje.

Bałam się bardziej matematyki, ale to matematykę napisałam dużo lepiej niż „polaka”. Zaważyły błędy; jako jedyna z mojej wioseczki zaliczyłam egzamin, ale poprawkę z ortografii, zdawaną u pani profesor Olgi Sidorowicz, zapamiętam na zawsze; np. pisownię skrótów i dbałość o interpunkcję. A do takich drobiazgów nikt w mojej szkole podstawowej nie przywiązywał zbytnej uwagi.

Pamiętam też dzień, gdy z ogromnym niepokojem i obawą czekaliśmy na korytarzu na wywieszenie na tablicy listy przyjętych osób. W powietrzu unosiła się mieszanina zgiełku, chaosu, niepewności i nadziei. W smudze słonecznego światła, wpadającego przez niedomknięte drzwi, tańczyły złotawe drobinki kurzu. Przed tablicą ogłoszeń, na której woźny Strzałka zawiesił kartkę z wynikami egzaminów, zrobiło się tłoczno i gwarно. „Zwycięstwo” miało smak słodko-gorzki, bo obok rozpaczali ci, których na liście nie wymieniono. Ale jednak radość zwyciężyła. Jak lekko było wracać do domu; cóż tam te 10 kilometrów, gdy miało się uciechę w sercu i duma rozpieierała piersi!

Przez tak wiele lat powtarzał się corocznie taki egzaminacyjny rytuał. Ileż niósł nadziei, satysfakcji, ale też rozczarowań! Dopiero w 1999 roku jedna z reform oświatowych zniosła egzaminy wstępne do liceum, zastępując je tzw. egzaminami kompetencyjnymi z języka polskiego i matematyki w szkołach podstawowych. Z pięciu najważniejszych przedmiotów oceny końcowe były przeliczane na punkty i o przyjęciu do szkoły średniej decydował konkurs świadectw.

Trochę żał tych zmian. Tamte egzaminy pamiętało się całe życie.

A potem – pierwszy dzień w nowej szkole. Ileż to znów emocji, ileż wspomnień!

Trudno dziś sobie wyobrazić, jak czuli się ci pierwsi uczniowie w 1900 roku. Jak musieli być wystraszeni, ale też dumni, że cesarz wyraził swą zgodę na powstanie w Dębicy gimnazjum i że mogli uczęszczać do tej szkoły.

„Studenti” musieli wcześniej zakupić strój szkolny, zgodny z przepisami. Nosili odtąd jednakowe mundury; rozpoznawalne i budzące szacunek. Byli to sami chłopcy, bo szkoła była gimnazjum męskim, a w owej epoce „gorsetów i obowiązkowych kapeluszy”, kobietom pozostawało wykształcenie domowe. Chociaż zdarzały się nieliczne wyjątki. Pierwszą absolwentką dębickiego gimnazjum była Jadwiga Friedberżanka, która maturę zdała w roku 1908. Dopiero jednak od roku 1926 wydano zarządzenie dotyczące przyjmowania kobiet w charakterze tzw. hospitantek [mogły stanowić nie więcej niż 10 % młodzieży]. Okazało się, że nigdy nie brakowało chętnych, a dziewczyny były pilnymi, zdolnymi i zdyscyplinowanymi uczennicami.

Decyzję o powstaniu dębickiego gimnazjum wyrażał Akt Erekcyjny, który określał też zasady jego funkcjonowania, a także środki potrzebne na utrzymanie szkoły.

Zaczynał się podniośle słowami: „Jego Cesarska i Królewska Apostolska Mość raczył Najwyższym Postanowieniem z dnia 29 sierpnia 1900 roku najmiłościwiej zezwolić z zastrzeżeniem konstytucyjnego uchwalenia potrzebnych środków, aby z początkiem roku szkolnego 1900/1901 w Dębicy utworzonym zostało państwowe gimnazjum z językiem polskim wykładowym, a zarazem zezwolić najłaskawiej, aby zakład ten nosił nazwę Państwowe Gimnazjum Cesarza Franciszka Józefa”.

Marian Morawczyński napisał, że to gimnazjum „w małej mieścinie, jedyne między Rzeszowem a Tarnowem, przeznaczone było dla mniej zaможnych mieszczan, miejskiej i wiejskiej biedoty – i dla nauczycieli, którzy nie zdołali uzyskać pracy w większych miastach lub będą tu karnie zsyłani za brak subordynacji władzom austriackim”.

Gdy przed uroczystością obchodów 90-lecia szkoły przygotowywano referat o historii jej powstania, dano mi do przeglądnięcia proponowany tekst. Rozśmieszyło mnie to, że określenie „akt erekcyjny” zostało przekreślone i poprawione na „akt elekcyjny”. Najprawdopodobniej ktoś przestraszył się, że słowo „erekcyjny” może wzbudzić w uczniach nieprzyzwyczajone skojarzenia.

Początkowo oficjalna nazwa szkoły brzmiała dumnie: C. K. Państwowe Gimnazjum Cesarza Franciszka Józefa w Dębicy. Później kilkakrotnie jej nazwę zmieniano: w 1925 roku na Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława Jagiełły, w 1972 roku na Liceum im. Jana Wiktora, a w czerwcu 1990 roku – ponownie na Liceum im. Króla Władysława Jagiełły.

W 1934 roku wystąpiono też o nadanie szkole imienia Józefa Piłsudskiego, gdyż – jak pisał Edward Wodzień – „był to okres, w którym ideał wychowawczy wiązano z postacią Józefa Piłsudskiego [...]; miał on być praktycznym wzorem osobowym”, zwłaszcza z jego maksymą: „Bierz duszę i dawaj duszę”. Jednak takiego imienia gimnazjum nigdy nie nosiło.

Patronem religijnym szkoły był Stanisław Kostka. Młodzież czciła jego święto w listopadzie, uczestnicząc w specjalnych nabożeństwach i przystępując do spowiedzi.

Patronat Władysława Jagiełły był dość popularny. Jego imię np. nosiło gimnazjum w Płocku, do którego uczęszczał poeta Władysław Broniewski, a także gimnazjum w Drohobyczu, które ukończył pisarz Bruno Schulz i w którym później pracował jako nauczyciel rysunku i robót ręcznych.

W okresie stalinowskim w ogóle nie używano publicznie imienia patrona; w 1950 roku ten tytuł szkole odebrano. Był to czas dla królów bardzo niełaskawy, więc i królewski patronat nie był mile widziany. Tak właśnie było za moich szkolnych czasów, więc na moim świadectwie maturalnym próżno szukać śladu królewskiego imienia. A gdy w roku 1973 wróciłam do liceum jako nauczyciel, szkoła miała nowego patrona – Jana Wiktora, podarowanego nam przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Rzeszowie.

Aneta Kwolek pisała: „Całe przed- i powojenne pokolenia wychowanków przywiązane były do imienia wielkiego patrona szkoły. Tym większe rozgoryczenie w tym szczególnie środowisku wywołał fakt nadania liceum imienia Jana Wiktora – przedwojennego absolwenta dębickiego gimnazjum” z 1910 roku, pisarza „słusznego”, mającego chłopskie pochodzenie.

Dla uczczenia nowego patrona w roku 1987 zostało wykonane jego popiersie, które do dziś dekoruje szkolną klatkę schodową między parterem a pierwszym piętrem. Jego twórcą był rzeźbiarz Stefan Niedorezo.

Młodzież polubiła owego „Wiktorka”; uczniowie często przysiadali na półeczce znajdującej się pod rzeźbą, rozmawiali, śmiali się, „douceali”, czasem ktoś wieszał na jego nosie jakiś drobiazg: na przykład rękawiczkę, owijał jego głowę znalezionym szalikiem, lub zdobił dowcipnym napisem. Pod „Wiktorkiem” można też było czasem zauważyć ściskające się, lub nawet całujące po kryjomu uczniowskie pary. Byli też tacy, którzy twierdzili, że przynosi pecha więc omijali schody obok rzeźby patrona szkoły.

Absolwent Leszek Starkel [matura z 1949 roku] wspominał swój przyjazd do Dębicy w 1979 roku: „Niedzielę zacząłem od obejścia starych kątów. Nasza buda już nie króla Władysława Jagiełły [za mało postępowe i efek-

tywne było widać, zdaniem niektórych, zwycięstwo pod Grunwaldem], ale pisarza Jana Wiktora, wybitnego ucznia naszej szkoły”.

Dziś znów patronuje nam król Władysław Jagiełło, o czym przypomina dumne popiersie, ustawione niedawno przed gmachem liceum. A przywrócenie dawnej nazwy poprzedzały burzliwe dyskusje, m.in. podczas świętowania rocznicy 80-lecia istnienia szkoły. Szczególnie najstarsi absolwenci domagali się powrotu dawnej „królewskiej” nazwy, nie szczędząc pełnych niezadowolenia słów i pretensji. Atmosfera, która zapanała wówczas w auli, była bardzo gorąca i nas – nauczycieli, którzy długo przygotowywali to święto szkoły, starając się, by było niezwykle uroczyste, piękne i podniosłe – napawała goryczą i żalem. Chociaż my też chcieliśmy dawnej nazwy, ale było nam bardzo przykro, że nasze wysiłki, by ten dzień był wyjątkowo piękny i radosny, zostały zniweczone. Ambitny repertuar artystyczny, wymagający wielu godzin prób, poświęcenie czasu i zaangażowanie nauczycieli i uczniów: recytatorów, konferansjerów i muzyków, nie zostały prawie dostrzeżone.

Ostre, nieprzyjemne komentarze były wymierzone przede wszystkim przeciwko dyrektorowi Edmundowi Galasowi, gdyż to jego obwiniano o zgodę na nadanie szkole imienia Jana Wiktora. Kpiono, że gdzieś mu do Jagiełły, by miał zajmować jego miejsce! Najostrzej brzmiał głos mecenasa Juliana Roztoczyńskiego [absolwenta gimnazjum z roku 1925].

Dyrektor Galas znalazł się w bardzo niekomfortowej sytuacji. Choć próbował załagodzić napiętą atmosferę, musiał wysłuchać wielu nieprzyjemnych komentarzy, pretensji, nawet kłótni. Na szczęście, po wielu staraniach dykcji, Rady Pedagogicznej i Samorządu Szkolnego – na fali przemian, które ogarnęły wszystkie dziedziny życia – udało się doprowadzić do przywrócenia szkole dawnego, dumnego, królewskiego imienia.

Jak pisała Aneta Kwolek: „dla wielu absolwentów przywrócenie tego historycznego imienia szkoły było istotnym wydarzeniem na progu drugiego stulecia jej istnienia. Nastąpiło to w roku 1990”.

Walkę o tego patrona obrazuje fraszka, nawiązująca do słów znanej piosenki: „Królu Zygmuncie powiedz nam czyś, widział Warszawę tak piękną jak dziś”:

„Królu Jagiełło,
Powiedz nam, czy,
Walczył o Ciebie ktoś tak,
Jak dziś my?”

I druga:

„O, Jagiełło!

Szkoła ta to wielkie dziełło,

Co początek swój przed wiekiem było wzięłło

I Dębicę w całą Polskę rozsławiłło!”

Kiedy walka już została wygrana, patronat królewski przywrócony, w auli zawisł nad sceną piękny portret króla Władysława Jagiełły, podarowany przez jednego z uczniów. Na owym portrecie nasz patron wygląda dostojnie i pięknie. Z dumą wypina królewską pierś i spod przymrużonych powiek z z troskaniem spogląda na swych podopiecznych. Tak go sobie wyobraził sam mistrz Jan Matejko, a potem już wszyscy patrzyli na owego władcę jego oczami [obecnie wszyscy z sympatią patrzymy też na wizerunek owego króla umieszczony na banknocie stułotowym].

Absolwent z 1968 roku profesor Krzysztof Cios napisał w 2019 roku: „Jagiełło był jednym z najlepszych królów Polski, a nasze „Jagiełło” jest jednym z najlepszych liceów – oby tak dalej!”

Wróćmy jednak do początków dębickiego gimnazjum. Nadana przez cesarza nazwa szkoły określała jej charakter. Jak pisał Antoni Stańko: „nie było to gimnazjum ani cesarskie, ani królewskie [...]; była to szkoła polska, gdzie obok zasadniczych przedmiotów, uczono patriotyzmu [...]. Zawdzięczać to należy profesorom Polakom, którzy te ideały wydobywali na światło dzienne i przekazali swoim wychowankom”.

Potwierdzał to absolwent z 1916 roku – Wincenty Dołżycki: „Budzono i podtrzymywano w nas poczucie godności Polaka i narodu polskiego oraz poczucie własnej godności i wartości. Poziom nauczania w gimnazjum był wysoki. Od uczniów i od siebie wymagano dużo. I stanowczo”.

Pedagogikę opierano m.in. na poglądach dziewiętnastowiecznego „guru” pedagogów – szwajcarskiego twórcy szkół ludowych – Johana Pestalozziego, który był zwolennikiem organicznego kształcenia intelektualnego, moralnego i fizycznego.

Dzięki tej szkole Dębica mogła się wkrótce chlubić własną elitą kulturalną. Stańko pisał, że „zakład ten był ośrodkiem życia kulturalnego, oddziałującym na społeczeństwo dębiczian [...] przez kształcenie młodzieży, przysparzając Dębicy ludzi światłych, przygotowanych od podstaw do pracy zawodowej, ludzi, którzy niejednokrotnie zajęli wysokie stanowiska w hierarchii społecznej”.

I tak jest do dziś. To ważna misja i tradycja tej szkoły.

Największą troską władz gimnazjum, ale też władz miasta w pierwszych latach jego istnienia było zbudowanie własnego budynku dla rozwijającej się placówki. Musiał być odpowiednio duży, piękny, solidny, reprezentacyjny, budzący podziw i respekt.

O sporządzenie planu gmachu poproszono więc sławnego architekta Teodora Talowskiego, który przez swe pochodzenie związany był z naszym regionem. Urodził się bowiem w 1857 roku w niedalekim Zasowie i znał doskonale Dębicę.

Talowski studiował we Lwowie i w Wiedniu, a w 1901 roku został profesorem Politechniki Lwowskiej; był też profesorem Krakowskiej Wyższej Szkoły Techniczno-Przemysłowej. Zasłynął jak doskonały rysownik, publikujący w piśmie „Architekt”, ale przede wszystkim był wspaniałym architektem. Pisano o nim, że „wyrósł poza ramy swej epoki”, że „odchodził od standardów i kanonów sztuki przełomu wieków”, że pod jego ręką „proza architektury stawiała się poezją rozkwitającą pełnym blaskiem”, co wynikało z jego „wielkiego talentu, odwagi, niespokojnego, wręcz niesfornego charakteru”. Był autorem projektów kilku kamienic w Krakowie [...], zaprojektował szpital Bonifratrów, wiadukt nad ulicą Lubicz, elektrownię przy ulicy Łobzowskiej i rodzinny grobowiec ze Sfinksem na cmentarzu Rakowickim. Talowski był również autorem projektów licznych dworów, pałaców i willi na terenie całej ówczesnej Galicji. Projektował też kościoły; m.in. kościół św. Elżbiety we Lwowie, kościoły w Chorzowie, w Wadowicach Górnych, a także w pobliskim Nagoszynie i w Lubzinie. Zmarł w 1910 roku we Lwowie.

Malarz, rzeźbiarz i projektant Tadeusz Bystrzak napisał w 2018 roku pracę o zasługach tego wielkiego architekta pochodzącego z naszej okolicy pt. „Teodor Marian Talowski”. Książka ma formę obszernego albumu z wieloma zdjęciami obiektów zaprojektowanych przez owego wybitnego architekta. Na premierę wydania tej książki w Krakowie został zaproszony ówczesny dyrektor naszego liceum Leszek Klabacha, któremu towarzyszyła profesorka Jadwiga Biernacka. Otrzymałam wtedy egzemplarz albumu Bystrzaka z serdeczną dedykacją od autora. Jest ona dla mnie bardzo miłą pamiątką.

Pod koniec XIX wieku zrodził się w Stanach Zjednoczonych nowy architektoniczny styl tzw. funkcjonalny, który szybko zadomowił się też w Europie. Preferował on prostotę i funkcjonalność powstających gmachów, rozmach i przestrzenność, stosowanie nowatorskich materiałów, jak beton i stal, odrzucenie zbędnej dekoracyjności, charakterystycznej dla

secesji. Talowski korzystał z nowoczesnych rozwiązań architektonicznych, ale wzbogacał je swymi oryginalnymi pomysłami.

We wstępie do książki Tadeusza Bystrzaka czytamy, że „jest on do dziś twórcą rozpoznawalnym dzięki stosowaniu w projektowanej architekturze własnego zestawu elementów formalnych, zarówno w formowaniu bryły budynku, jak i kompozycji form oraz detali elewacji; tak w warstwie czysto formalnej jak i symbolicznej”.

Zaprojektowany dla Dębicy dwupiętrowy gmach gimnazjum, wspierający się na solidnej, kamiennej podmurówce, pokryty różnopoziomowym dachem, o dużych, zróżnicowanych oknach, wyglądał godnie i budził podziw. Piękną trzyczęściową frontową ścianę zdobiła elegancka attyka z wykutym początkowo napisem: „GYMNAZYUM MCMVII” i z austriackim orłem. W czasie II wojny światowej wisiała tam płaskorzeźba z orłem niemieckim, a obecnie widnieje aktualne godło i data: 1900 – rok powstania gimnazjum. Dekorację jasnej elewacji, prócz poziomych pasów z cegły w kolorze pomarańczowym, stanowią oryginalne, ciekawe, metalowe elementy, zróżnicowane na każdym piętrze. Na uwagę zasługuje ozdobne, monumentalne wejście: półkoliste „rozetowe” okno wspierają dwie kolumny ograniczające przestrzeń, w której umieszczone są wielkie, ciężkie drzwi wejściowe – reprezentacyjne, dwuskrzydłowe, prowadzące do westybulu, przez który po kilku schodach wchodzimy do wnętrza. Kolejne drzwi wiodą na korytarz i na elegancką, przestronną klatkę schodową o półkolistym sklepieniu, wiodącą na piętra.

Do dziś budynek zachował w dużej mierze swój pierwotny architektoniczny charakter. Na czołowej ścianie budynku przybyło kilka tablic pamiątkowych, poświęconych zasłużonym nauczycielom i uczniom, a ostatnio na placyku przed szkołą stanęło – wspomniane wyżej – popiersie patrona szkoły – Króla Władysława Jagiełły.

Architektoniczny plan dębickiego gimnazjum został bez zastrzeżeń zaakceptowany, a nadzór budowlany powierzono inżynierowi Tadeuszowi Tekielskiemu. Cieszą się, że gmach będzie taki duży, piękny, nowoczesny i funkcjonalny. Jedyne takie w miasteczku!

Wiosną roku 1906 rozpoczęto – na gruntach подарowanych przez Jana i Annę Kottasów – pierwsze prace budowlane. Roboty szły pełną parą; już 24 maja 1907 roku odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, a 31 października 1907 roku biskup Leon Wałęga poświęcił ów piękny gmach szkoły.

Tu warto dodać, że ważne dla historii szkoły uroczystości wielokrotnie zaszczycali dostojnicy kościoła. Podczas mojej pracy w liceum gościliśmy biskupów: Józefa Życińskiego, Wiktora Skworca, Wiesława Lechowicza i Andrzeja Jeża.

Antoni Stańko podkreślał, że: „biorąc pod uwagę fakt, iż ówczesni budowniczy dysponowali skromnymi środkami technicznymi ułatwiającymi pracę ludzką, to postawienie z cegły dwupiętrowego gmachu, liczącego 51 izb, o łącznej powierzchni użytkowej 11000 metrów kwadratowych, w ciągu jednego roku, było nie lada wyczynem [...]. Mieszkańcy miasta byli dumni [...]; na poświęcenie przybyli wszyscy, bo oddanie do użytku nowego budynku to było wielkie święto nie tylko uczniów i nauczycieli, ale wszystkich mieszkańców miasta”. Koszt budowy wyniósł 250 000 koron.

Jakże dumni musieli być również ci, którzy rozpoczynali naukę w nowiułtkim gmachu, pachnącym jeszcze farbą! A uczniów było już ponad 400 i ich liczba rosła z roku na rok. Prócz wiedzy książkowej zdawali życiowy egzamin „z pilności, obojętności i pracowitości”, uczono ich też „hartu, którego każdy mężczyzna potrzebuje”.

Wkrótce, bo w roku 1908, po raz pierwszy w dębickim gimnazjum 35 abiturientów zdawało egzamin maturalny [w roku 2000 było ich 250!]. Wielu z nich kontynuowało naukę na studiach wyższych.

Co czuli, trzymając w ręku ów sztywny papier, będący tak ważnym dokumentem, wypełniony starannie atramentem, na którym, na białym tle kokosił się duży orzeł austriackiej monarchii, gdzie widniały ich nazwiska, fotografie, oceny, a także podpisy profesorów?

Dumni, zdawali sobie sprawę z tego, że wraz z opuszczeniem gimnazjalnych murów zaczyna się nowy etap ich życia. Obiecywali wracać. I wracali.

Przed rozpoczęciem edukacji w domach przyszłych gimnazjalistów trwały gorączkowe przygotowania. Sierpień brzęczał sierpami i kosami, gościńce kurzyły się białym piachem, w sadach dojrzewały jabłonie, po wybojach toczyły się chłopskie wozy czubate od przewożonych snopów, świeciły łysinami rozległe ścierniska, w ogródkach dojrzewały jarzyny i barwiły się pierwsze jesienne kwiaty. Senne miasteczko dyszało upałem, mrowiło się przekupkami w środy, jarmarczne poranki i prawie zastęgały wieczorami pachnącymi maciejką, pieczonym świeżo chlebem i skoszonym sianem, wyczuwalnym w poszumach chłodnego, późnoletniego wiatru. Zbliżał się czas rozpoczęcia nauki...

Atmosferę przygotowań do wyjazdu z Radomyśla nad Sanem do dębickiego gimnazjum w „Prześwietlonych wspomnieniach” opisał Jan Wiktor:

„Trzeba było jechać. Kolejowy bilet drogi. Skąd brać tyle pieniędzy. O zarobek trudno. Każdy cent ciężki. Z potu go musisz wycisnąć. Jazda daleka. Spod Sandomierza, znad Wisły, znad Sanu. Ile to kilometrów? Świat myślą nieogarniony. Na mile trzeba liczyć, to łatwiej w głowie się pomieści. Jak to zmierzyć?”

Dziś, gdy prawie wszyscy mają samochody, a i komunikacja autobusowa i kolejowa sprawnie działa, Dębica wydaje się „o rzut beretem” od miejsc, z których pochodzili ówcześni uczniowie. Ale na początku XX wieku był to rzeczywiście „świat myślą nieogarniony”.

„Wóz drabiniasty wytoczył gospodarz z boiska. Chłopcy przynieśli półkoszki uplecione z prętów wikliny. Mogą dużo pomieścić. Matka musiała w ostatnich dniach i nocach natrapić się, aby wszystko przygotować, oprać, upiec, ugotować. A potrzeba wiele, na długie miesiące, a może lata. Przecież to osiem klas. Duma, że pierwszy „student” w rodzinie, w gromadzie, ale łeb pękał od strapień. Łóżko trzeba było zbić z desek, żyto wymłócić, bo słoma potrzebna, ziemniaki wykopać, bo przydadzą się, kaszy z beczki, mąki z sásieka naczepać. Innym dzieciom i sobie od gęby odjąć, aby synkowi starczyło. Matka oka nie zmrużyła, tyle było przez całą noc uganiaczki. Nóg nie czuła, ręce grabiały, ale nie ustawała”.

Pierwsi zamiejscowi uczniowie kwaterowali w prywatnych domach. Warunki ich bytowania były często bardzo prymitywne, więc w trosce o nich postanowiono utworzyć bursę. W tym celu najpierw wynajęto, a potem zakupiono przy ulicy Gawrzyłowskiej dwa domki parterowe [drewniane i murowane]. Ale już na przełomie roku 1903/1904 powstało Stowarzyszenie Bursy im. Świętej Jadwigi, mające na celu zebranie funduszy i wybudowanie nowego budynku. Członkiem honorowym tego stowarzyszenia został biskup Leon Wałęga, a działaczami byli m. in: hrabia Mikołaj Rej, ksiądz Eugeniusz Wolski, hrabia Edward Raczyński, Henryk Zauderer.

Budynek Bursy im. Świętej Jadwigi powstał głównie ze składek społecznych. Uroczystość jego poświęcenia odbyła się 13 czerwca 1905 roku i – według relacji profesora gimnazjum Józefa WYROBKA – „dzień ten był nader uroczystym dla Gimnazjum i miasta. W tym dniu przybył tu Najprzewielebniejszy X Biskup Leon Wałęga pociągami z Tarnowa”.

Prefektami bursy byli katecheci; początkowo ksiądz Andrzej Rejowski, później ksiądz Błażej Kotfis, ksiądz Wawrzyniec Dudziak, ksiądz Teofil Dec, a głównymi źródłami jej utrzymania były opłaty uczniów i dary od osób prywatnych.

Julian Roztoczyński [matura -1925 rok] wspominał: „Bursacy rekrutowali się wyłącznie ze wsi, a wśród nich wielu z biedoty wiejskiej, niedysponującej pieniędzem nie tylko na opłatę czesnego, a tym bardziej na koszty utrzymania. Ci trzymani byli w bursie za darmo, lub za pół darmo. Za to chłopcy wywodzący się z zamożniejszych kręgów włościańskich płacili znacznie wyższe stawki, bo ksiądz prefekt Kotfis wyrównywał w ten sposób nierówności społeczne i majątkowe”.

Początkowo owych „bursaków” było dziewiętnastu, ale liczba chętnych wciąż rosła.

Niestety, w czasie I wojny światowej jeden budynek został spalony, a w drugim uległa zniszczeniu część wyposażenia. Tuż po wojnie udało się jednak odrestaurować budynki i wznowić działalność bursy, a w roku szkolnym 1927/1928 ją zelektryfikowano. Istniała do czasu II wojny światowej [wówczas w budynku zorganizowano niemieckie przedszkole i szkołę Hitlerjugend], a po wyzwoleniu znów przyjmowała uczniów z okolicznych wsi.

Jacek Bit-Łatkiewicz [absolwent z 1966 roku] wspominał: „Internat gromadził synów okolicznych rolników. Byli oni bardzo biedni [...]. Doceniali swoją szansę i żyli w dziwnej obawie przed jej utratą. Byli przy tym zdolni, pracowici i ciekawi świata”. Łatkiewicz pisał też o trudnych warunkach panujących w internacie: „Zimno w pomieszczeniach, kaflowe piece, zimna woda w kranie, brak radia, prasy, ciekawych książek i nas dwudziestu na sali”.

Oprócz bursy dla chłopców, zorganizowano też internat dla dziewcząt. Ten internat funkcjonował przez pewien okres na parterze naszego liceum, gdyż w 1958 roku w budynku internatu zainstalowano nowo powstałą Szkołę Podstawową nr 4. Biegałyśmy tam czasem po lekcjach, by zobaczyć, jak mieszkają nasze koleżanki.

Pokoje były ciasno zastawione łózkami i ubogo wyposażone, ale panowała tam miła atmosfera, chociaż też surowa dyscyplina! Wyznaczone były i rygorystycznie przestrzegane godziny posiłków, nauki własnej, wyjść do miasta, snu i wypoczynku.

Aneta Kwolek pisała, że „uczniowie najubożsi, bądź posiadający niewielkie środki finansowe z powodów losowych byli częściowo zwalniani z opłat za internat i wyżywienie [...]. Wśród najczęstszych przyczyn złych warunków domowych wymieniano biedę, wielodzietność rodzin, panujące choroby [zwłaszcza gruźlicę], alkoholizm, sieroctwo”.

„Bursacy” mieli zapewnioną całodobową opiekę wychowawców, mogli liczyć na ich pomoc w nauce, a także na wsparcie starszych kolegów; po-

dziwialiśmy, że zawsze byli przygotowani do lekcji i byli wzorem pilności i grzeczności. Nauczycielami pracującymi w internacie byli m.in. profesori: Stefan Dziepak, Helena Gałuszka, Maria Nowak, Zofia Kruczek, Ludwik Tyrpin, Władysław Gazda, Krystyna Jargas.

Dawni absolwenci, odwiedzający nasze liceum po latach, chętnie zwiedzają budynek, szukają śladów z ich szkolnych lat, zauważają zmiany, lecz podkreślają, że gmach zachował swój charakter, chociaż remont [z 1965 roku], gdy dobudowano 6 sal, trochę zepsuł pod względem architektonicznym jego wnętrze. Z ich wspomnień „wyłaniają się szeregi ławek udręczonych kozikami, poplamionych atramentem, gdzie ręka czyjaś wydłubuje w twardzieliźnie deski serce przebite strzałą”, piece rozparte przy ścianach, zbudowane z zielono-oliwkowych lub rudych kafli, z żelaznymi, misternie kutymi drzwiczkami, podwyższenia dla profesorów przypominające estrady, zwane „katedrami”, które pozwalały pedagogom z góry spoglądać na uczniów i dostrzegać najmniejszy ruch, próbę podpowiadania, odpisywania czy pokusę zajmowania się czymś innym niż nauka.

Staraniem nauczycieli w pracowniach przedmiotowych co roku gromadzono coraz więcej pomocy naukowych. Według Michała Urbanka nasze gimnazjum należało do najlepiej urządzonych i wyposażonych gimnazjów galicyjskich. A na uczniów spoglądał ze ściany sam „miłościwie panujący” cesarz.

Jan Wiktor wspominał: „Widzę na ścianie w ramach wizerunek Franciszka Józefa I z jego tajemniczym podpisem. Górował ponad wszystkimi sprawami, zawsze obcy, daleki”.

Rzeczywiście, z charakterystycznymi wąsami i straszliwie staroświeckimi bokobrodami, dodającymi mu dostojęstwa, ale i lat, wyglądał dziwnie, niepokoił, nawet śmieszył.

Wiktor z nutką ironii wspominał dalej: „W początkach istnienia gimnazjum – a rosło ono z roku na rok – klasa za klasą podobna była do szczebli drabiny przystawionej do wysokiej góry. Młodzież śpiewała hymn państwowy z wielkim przejęciem; na pewno słyszać było go w całej monarchii. Wrony zgromadzone na drzewach żarliwie wspomagały w poddańczych pieniach i skrzydłami biły oklaski”.

„Boże wspieraj! Boże ochroń
Nam cesarza i Nasz kraj...
Tarczą wiary rządy osłoń,
Siłę Jego państwu daj”.

Autor „Prześwietlonych wspomnień” opowiadał też anegdotę o – związanym z tym hymnem – incydencie. Otóż pewnego razu młodzież umówiła się, że – gdy podczas uroczystości w kościele organista zaintonuje „Boże wspieraj...” – wszyscy będą milczeć. I tak się stało.

Zrobiła się z tego wielka awantura; uznano, że to obraza majestatu i bunt przeciw monarchii, i grożono poważnymi konsekwencjami. Na szczęście, dzięki dyplomatycznym zabiegom dyrekcji, takich konsekwencji udało się uniknąć, ale było śledztwo i kilku uczniów relegowano ze szkoły. Władze grzmiały, że zamiast dbać o godność CK Zakładu, aby był chlubą państwa i dostarczał lojalnych urzędników jako podpory dla tronu, staje się on siedliskiem jakichś powstańczych mrzonek, a pod skrzydłami orła kryją się buntownicy. A przecież w szkołach wszechobecny i obowiązkowy był lojalizm wobec monarchii austriackiej – „w programach nauczania i szkolnych podręcznikach, w postawach nauczycieli i uczniów”.

„Młodź” naszego gimnazjum – wychowywana w duchu patriotyzmu – buntowała się przeciwko temu lojalizmowi, kpiła z celebrowania państwowych świąt i wiernopoddanych wystąpień.

Jan Wiktor z gorzką ironią opisywał np. nadętą uroczystość na część cesarza:

„Uroczyste nabożeństwo przed głównym ołtarzem, dla zaznaczenia ważności, dla uświetnienia odprawiał dostojnik parafii, sam ksiądz prałat. Przepych. Złociste ornaty. Las świec. Każda gorzała, ile tylko mocy i światła w czystym wosku. Nie dziwota. Przecież to państwowe święto, wszędzie, gdzie czarny orzeł rozpostarł władcze skrzydła nad krajami, nad poddanymi ludami, nad Dunajem, Wisłą, Sanem, Prutem, Wełtawą, nad Morzem Adriatyckim – imieniny najjaśniejszego pana, Franciszka Józefa I. W prezbiterium ciżba dostojników różnych rang, władz, urzędów.

Złociły się kołnierze, lampasy na wąskich nogawicach, lśniły lakiery, dziwaczne pierogi przyciskane do piersi, pyszniły się piórami wyrwanymi dla uświetnienia dzisiejszego dnia ze strusich kuprów, nawet szabelki, nikomu niepotrzebne, migotały blaskiem”.

Gdy wkrótce jednak nadeszła „wielka wojna białych ludzi”, sytuacja w Europie gwałtownie się zmieniła. „Świat wypadł z utartych torów i w oblędzie pędził przed siebie na zatracenie” [Miroslawa Kareta]. W listopadzie 1916 roku po 68 latach panowania zmarł Franciszek Józef, rozpadła się również monarchia. I choć jeszcze – powołani do armii Polacy – bili się „za cesarza”, to równocześnie w legionowych oddziałach patriotyczna młodzież [w tym uczniowie naszego gimnazjum] walczyła i ginęła za wol-

ność ojczyzny. W 1918 roku uzyskaliśmy niepodległość, a w 1919 – w hołdzie i podzięce za wolność – w naszym mieście na placu Gryfitów stanęła dostojna statua Matki Boskiej, ufundowana przez mieszkańców miasta w pierwszą rocznicę odzyskania niepodległości.

Młodzi ludzie znów zasiedli w szkolnych ławach.

Wróćmy jednak do wnętrza budynku gimnazjum. Tu przez lata niewiele się zmieniało. Absolwent z roku 1919 Adam Przewłocki wspominał, że na parterze przy wejściu było mieszkanie stróża, a w lewym korytarzu biblioteka uczniowska, gabinet „fizykalny” i sala gimnastyczna. Mniej więcej ten sam układ był za moich szkolnych czasów, choć zamiast „gabinetu fizykalnego” z audytorium urządzone amfiteatralnie, była [przeniesiona na pierwsze piętro] zwyczajna pracownia fizyczna z przeszkłonymi szafami pełnymi różnorodnych, dziwacznych pomocy naukowych, a stróż nie mieszkał przy wejściu, a w bocznym skrzydle od strony podwórza. Ale w narożnej sali na parterze wciąż jeszcze była szkolna biblioteka.

Aneta Kwolek pisała: „W gimnazjum istniały biblioteki: dla nauczycieli, czasopism polskich i niemieckich, programów szkolnych, dla młodzieży [z pozycjami w językach: polskim, niemieckim i ukraińskim] oraz tak zwana biblioteka pauperum, posiadająca podręczniki szkolne dla najbiedniejszych uczniów [...]. Generalnie stan czytelnictwa nie był najpewniej zadowalający – pamiętać należy o obowiązującym uczniów zakazie korzystania z innych niż szkolna bibliotek [...]. Funkcję opiekuna biblioteki pełnił wyznaczony nauczyciel”.

Od 1907 roku istniała też czytelnia, której nadano imię Adama Mickiewicza, a przy której utworzono kółka naukowe: historyczne, historii sztuki i literatury.

Absolwent z 1916 roku Wincenty Dołżycki wspominał, że owa czytelnia „była pięknie zorganizowana” i że odbywały się tam różne odczyty naukowe dla uczniów.

Zapamiętał też, że „dębickie gimnazjum przed I wojną światową posiadało całkiem spory księgozbiór [prawie 3 000 pozycji]; biblioteka i czytelnia zapewniały dostęp do książek szerokim rzeszom młodzieży [...]. Boga ta biblioteka gimnazjum, pod kierunkiem profesora Wyrobka, dostarczała literaturę patriotyczną, nie wyłączając polskich periodyków np. warszawskich. Wszystkie dzieła klasyków polskich były do dyspozycji uczniów”.

A Ludwik Mroczka dodawał, że „poprzez odpowiednio dobrane książki, które zakupywano do szkolnej biblioteki, można było wywierać wpływ

na młodzież i kształtować pożądane postawy i zachowania”. Wypożyczalnia „udostępniała wiele tytułów czasopism” [w latach dwudziestych około 30].

Jedną z obowiązkowych książek, czytaną z przejściem przez wszystkich, była „Trylogia”. „Dzieło Henryka Sienkiewicza – wspominał Gustaw Holoubek, którego edukację gimnazjalną przerwał wybuch II wojny światowej – stało się dla mojego pokolenia własnością duchową, jak polska książeczka do nabożeństwa, jak polski krajobraz ze słotną jesienią, śnieżną zimą, kwietną wiosną i latem z płaczącymi wierzbami i pęczniejącymi od dostatku zbożami [...]. To przede wszystkim z Sienkiewicza, z jego kodeksu patriotyzmu, wzięła się w nas wiara [...]; to z tego powodu nie trzeba nas było namawiać [...], abyśmy w trzydziestym dziewiątym z radością, w cudownym poczuciu niezagrożenia, my, szesnastoletni, zarzucili karabiny na ramię i poszli na wojnę”.

Początkowo „czytelnia, obsługiwana przez uczniów klas wyższych pod nadzorem dyżurującego profesora, czynna była raz w tygodniu [...]. Termin zwrotu książki był ściśle określony” [Adam Przewłocki].

Kto chciał czytać książki „zakazane” lub inne – „nieobecne” w bibliotece szkolnej, musiał je sam zdobyć. Jan Wiktor rozczytywał się w Wyspiańskim, Kasprowiczu, Żeromskim, a także w podręcznikach ekonomii i historii. Pisał: „Miałem własną biblioteczkę, nabywaną za uciulane grosze – kosztem bułki, kosztem kromki chleba, kosztem sznurowadeł, których nigdy nie kupowałem [...]; używałem sznurka szykownie szukwałem poczernionego”.

Za czasów mojej nauki w liceum uczniowie miejscowi mogli korzystać z biblioteki miejskiej, zaś pochodzący ze wsi – z dość ubogich bibliotek wiejskich, a czasem tylko z punktów bibliotecznych, tworzonych przy tzw. klubokawiarniach lub świetlicach. Były wówczas jeszcze i takie wioski, gdzie – jak mówiono – „diabeł mówił dobranoc” i gdzie w ogóle nie było możliwości pożyczenia książek. Ale jakoś sobie radziliśmy.

Przez cały okres działalności biblioteka szkolna bogaciła się o nowe dzieła, a prowadzący ją nauczyciele korzystali z pomocy chętnych uczniów.

Absolwent z 1932 roku Jan Szymaszek wspominał: „Moje odczytanie i zamiłowanie do książek zostało zauważone przez nauczycieli polonistów, wobec czego zostałem zaangażowany do pracy w bibliotece uczniowskiej. W charakterze bibliotekarza spędziłem wiele czasu, aby w czasie przerw między lekcjami wypożyczać kolegom potrzebne im książki”.

Szymaszek z dumą wspominał również, że dla usprawnienia pracy w bibliotece własnoręcznie sporządził katalog bibliotecznych zbiorów. „Katalog został napisany na arkuszach papieru kancelaryjnego [na wypożyczo-

nej od profesorki Herminy Gaszczykówny maszynie do pisania] w kilku egzemplarzach. Jeden egzemplarz został naklejony na arkuszach papieru pakunkowego; całość została przytwierdzona na ścianach korytarza szkoły. W czasie przerw uczniowie mogli zapoznawać się z tym spisem”. Ot, myśl techniczna tamtych lat!

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie”!

Taka sytuacja trwała do czasów II wojny światowej.

Edward Wodzień pisał, że w czasie okupacji stacjonujący w gimnazjum Niemcy wyrzucili biblioteczne książki na podwórze, wiele też zniszczyli. „Zbiór podręczników [...] rozprowadzono między uczniów. Inne książki rozebrało na przechowanie grono nauczycielskie”.

W zorganizowanym wkrótce gimnazjum w Ropczycach „biblioteki ani śladu”. Natomiast o sytuacji, jaką zastali uczniowie po powrocie do Dębicy, pisał m.in. Leszek Starkel [matura – 1947 rok]: „Piękna biblioteka szkolna zniknęła, zrobiliśmy więc zbiórkę książek, chodząc z domu do domu. Część książek z pieczętkami dawnej biblioteki jednak później się odnalazła”.

W okresie mojej nauki licealnej, w bibliotece usytuowanej w narożnej sali na parterze, panował okrutny ziąb i wilgoć, a książki pachniały pleśnią. Ten zapach, przenikający salę biblioteczną, odczuwalny nawet w domu, gdy czytaliśmy pożyczone lektury – najczęściej stare, zniszczone, ze śladami wielokrotnego korzystania – kojarzył się z rozkładem i przemijaniem. Dopiero wiele lat później tę salę odgrzybiono i osuszono, by stworzyć tam pracownię geograficzną, a bibliotekę przeniesiono na pierwsze piętro do pomieszczeń, będących dawniej mieszkaniem dyrektora szkoły. Trzeba było wzmocnić strop, gdyż księgozbiór wciąż się rozrastał.

Z tamtych dawnych czasów zachował się przy obecnej głównej sali bibliotecznej niewielki balkon, na którym lubiła pić kawę pani dyrektorka Pietrzykowska, a później często wychodziła tam profesorka Lidka Górską czy – również pracująca w bibliotece – profesorka Krysia Wojciechowska, by na chwilę oderwać oczy od ciągłej „pisaniny”, spojrzeć na boisko szkolne, zawsze pełne ćwiczących uczniów i nacieszyć oczy zielenią starych drzew, bujnie rosnących wokół szkolnego podwórza.

Profesorka Lidka wspominała: „Jedyny w szkole balkon był właśnie w bibliotece. Często stawałam na tym balkonie, zastanawiając się, jak kiedyś, na początku istnienia szkoły, mogło wyglądać boisko szkolne i przypominając sobie własne lekcje wychowania fizycznego z profesorką Grundboeck”.

Przed profesorką Lidką biblioteką kierowały m.in. profesorka Stanisława Wójtowicz [prowadziła też szkolny chór], profesorka Olga Sidorowicz, a od 1973 roku profesorka Maria Zaguła [absolwentka z 1949 roku]. Przez kilka lat „dorabiała” też w bibliotece profesorka Helena Gałuszka. Dzięki zaangażowaniu pań tam pracujących w roku szkolnym 1988/1989 powstało Koło Przyjaciół Książki.

W czasach mojej pracy w liceum w bibliotece „królowała” profesorka Lidia Górka. Uczyła też języka angielskiego.

„Biblioteka liceum, w której rozpoczęłam pracę w 1983 roku – wspominała – kryła wiele ciekawych, starych książek. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że potem, po latach, będę chciała odtworzyć stan dawnej biblioteki licealnej”.

W roku 2000 – m.in. dzięki jej staraniom – powstało Muzeum Szkolne. Była też współautorką biografii pierwszej dębickiej olimpijki Julii Wojciechowskiej-Senftleben oraz profesora dębickiego gimnazjum – Michała Urbanka. Od 2005 roku wydawała „Zeszyty Licealne”, w których opublikowała m.in. historię „Strzelca” w Dębicy oraz informacje o budynku gimnazjum pt. „Dębicki stulatek”.

Niespodziewanie, w grudniu 2014 roku, zginęła w wypadku samochodowym.

Tuż po jej tragicznej śmierci, na łamach „Obserwatora Lokalnego” redaktor Agnieszka Majba-Pochwat [Porzuczek] – absolwentka z 1990 roku – wspominała profesorkę Lidkę jako „energetyczną, pełną entuzjazmu, bezpośrednią w kontaktach, człowieka-orkiestrę, kobietę, którą rozpierała energia i radość życia. Wesołą, z poczuciem humoru, z dystansem do siebie i łagodną pobłażliwością do otaczającego świata.

Okazało się, że praca w bibliotece była tylko wrywką jej działalności, bo równocześnie zaangażowana była w kilka innych przedsięwzięć. Gromadziła archiwum szkoły, urządziła muzeum, cały czas w kontakcie z uczniami; wciągała ich do tej pracy, zarażała bakcylami dobrych pasji. Pracowała nad kilkoma rzeczami równocześnie. Była autorką opracowań historycznych, pomysłodawczynią wielu ciekawych imprez integrujących społeczność szkoły. Jej pisarska aktywność nie kończyła się na wydawnictwach popularnonaukowych. Mało kto wie, że profesorka Lidka pisała też powieść [...]. Nie będzie więcej jej nietuzinkowych pomysłów – jak choćby ten, by zaktywizować i zjednoczyć grono byłych nauczycieli Jagiełły. W jej dobrym domu nie mają już miejsca kolejne psy, przygarniane ze schronisk.

Są tacy ludzie, których odejścia nie sposób przeoczyć. W świecie, który opuszczają, pozostaje wyrwa ziejąca pustką i smutkiem ogromnej straty. Profesorka Lidka była taką osobą. Z zacięciem do czynienia świata lepszym, z dobrym, otwartym sercem i życzliwością do ludzi – nawet jeśli na nią nie zasługiwali.

Powiedzenie o tym, że nie ma ludzi niezastąpionych, w odniesieniu do niej traci sens [...]. Nigdy się nie skarżyła, nie utyskiwała na rzeczywistość, robiła swoje. Nigdy też nie pchała się na świecznik. Nominowana na Człowieka Roku Obserwatora Lokalnego, nie mogła ukryć zdumienia, że to o nią chodzi”.

Pamiętam, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

Rozpoczyłam właśnie pierwszą lekcję języka polskiego w nowym roku szkolnym 1975/1976. Gromadka dziewcząt – bo to była klasa żeńska – wpadła hałaśliwie do klasy i rzuciła się do ławek. Każda z uczennic chciała dopaść tej ostatniej albo przynajmniej jednej z ostatnich. Tymczasem Lidka wkroczyła dostojnie – gdzieś tam chyba przedostatnia – i bez wahania usiadła w pierwszej ławce, tej stojącej najbliżej mojego stolika. I choć nie była malutką, filigranową dziewczynką, pozostała wierna temu miejscu aż do matury.

Jak wszystkie koleżanki, karnie nosiła granatowy fartuszek z przepisywym białym kołnierzykiem; jednak wyróżniały ją włosy – gęste, rudawe, lekko pofalowane, z bujną, niesforną grzywką i grubym, ciężkim warkoczem.

Od razu też można było zauważyć, że interesuje ją literatura, a zwłaszcza poezja, że lubi lekcje języka polskiego i chętnie zabiera głos na temat omawianych utworów.

Gdy więc pewnego razu daremnie próbowałam uzyskać od milczących uczennic informacje na temat poezji Bolesława Leśmiana, wywołałam na środek właśnie Lidkę, będąc pewną, że jest – jak zawsze – świetnie przygotowana. Jednak to był jakiś pechowy dzień. I Lidka – niestety – otrzymała jedyną chyba z „polaka” – ocenę niedostateczną. Zapamiętała ją na zawsze i nawet po latach, ciągle wspominała tę swoją porażkę; choć zawsze na wesoło, nazywając ją „źródłem kompleksu wobec Leśmiana”.

Dlatego, gdy podarowałam jej limeryk w podziękowaniu za to, że tak ciepło wspominała mnie w książce Edwarda Wodzenia o szkolnictwie w Dębicy – nawiązałam w nim do tamtej; sprzed wielu lat – szkolnej sytuacji:

„Pewna Lidka z Dębicy od rana
Zwykła czytać poezje Leśmiana.
A że talent, chęci i serce ma złote,

I ocalić – to, co cenne – ma ochotę;
Pisze, zbiera, – bo w swym mieście zakochana”.

Profesorka Lidka bardzo się ucieszyła z limeryku i zaraz pochwaliła się nim kolegom, którzy właśnie wpadli do biblioteki – jak co dzień – na herbatkę.

Po maturze, w czasie której Lidka świetnie poradziła sobie z językiem polskim, na kilka lat straciłam z nią kontakt. Aż pewnego razu pojawiła się znowu – już dorosła, elegancka, choć wciąż nieśmiała – jako koleżanka zatrudniona w naszym liceum. Serdecznie się przywitałyśmy; to spotkanie właśnie mile wspominała.

„Spotkałyśmy się na schodach i była to pierwsza osoba w szkole, która niespodziewanie powitała mnie wtedy w sympatyczny sposób, burząc swym szczerym uśmiechem mój mur niepewności i zagubienia. Zapytała, czy to prawda, że będę pracować w bibliotece szkolnej, pogratulowała mi i powiedziała, że się bardzo cieszy. Był to dla mnie bardzo sympatyczny gest, a przede wszystkim dodało mi to trochę odwagi”.

Podczas miłej rozmowy okazało się, że profesorka Lidka początkowo marzyła o archeologii: „Snułam plany licznych podróży, niesamowitych odkryć archeologicznych i najlepiej, gdyby mogły one być prowadzone w Egipcie”. Gdy nie dostała się na studia z powodu braku miejsc, podjęła pracę w Domu Dziecka, później w Bibliotece Miejskiej, a od 1983 roku w naszym liceum. Pracując w bibliotece szkolnej ukończyła studia na kierunku: bibliotekoznawstwo i informacja naukowa.

„Miałam być tutaj bibliotekarką i „koleżanką z pracy” swoich niedawnych profesorów. Odnalezienie się w takiej sytuacji nie było łatwe, dlatego szczególnego znaczenia nabrało dla mnie to powitanie pani Niziołek. Jako moja polonistka знаła mnie ona nie tylko jako swoją dawną uczennicę, ale także znała moje wypracowania i zawsze odpowiednio się do nich odnosiła. Także później, kiedy stawiałam swoje pierwsze kroki w publikowaniu tekstów w prasie, zawsze mogłam liczyć na recenzje profesorki Niziołek”.

Profesorka Lidka szybko pokochała swoje miejsce pracy, które stało się jej drugim domem. Zawsze witała każdego z życzliwym uśmiechem i radością. Uczniowie traktowali ją trochę jak kumpla, któremu można opowiedzieć o wszystkich kłopotach, my – nauczyciele, biegaliśmy do biblioteki, żeby odpocząć, pogadać, wypić na zapleczu herbatę, którą ciągle komuś parzyła.

Sama rzadko mogła usiąść na dłużej. Przysiadła więc tylko na chwilkę na brzegu krzesła; zawsze pogodna, życzliwa, miła, by za moment biec do swoich zajęć, do czekających uczniów, czy innych interesantów.

Od wielu lat opiekowała się olbrzymią chińską różą rosnącą w sali biblioteki. Zawsze zdobił ją przynajmniej jeden – dorodny, czerwony kwiat. Gdy pytałam: – Liduś, co robisz, że ta róża tak ciągle kwitnie – śmiała się swoim charakterystycznym, trochę chropawym śmiechem i mówiła, że to z miłości do niej tak się ta róża odwzajemnia.

Pewnego dnia profesorka Lidka zapytała mnie, co myślę o zorganizowaniu w liceum cyklicznych spotkań dla nauczycieli emerytów, które można by nazwać „Herbatką u Władka” – nawiązując do imienia patrona naszego liceum. Bardzo mi się ten pomysł spodobał. Został zrealizowany, z czego była bardzo dumna.

Gdy rozpoczęła tworzenie muzeum szkolnego, ciągle „dręczyła” wszystkich prośbami, by przynosić jakieś stare pamiątki dotyczące przeszłości naszego ogólniaka. Podarowałam jej więc zdjęcia z profesorem Kuligiem [seniorem] zrobione w dniu matury oraz z profesorką Gałuszką i profesorką Nowak, wykonane w Tatrach w czasie obozu wędrownego, który prowadziły. Profesorka Lidka – ucieszona – zaprowadziła mnie do „izby muzealnej”, by się nią pochwalić. Ponieważ dopiero ją organizowała, było tam zaledwie kilka różnych „rupieci”: jakieś stare ławki, sfatygowana mapa, trochę czarno-białych fotografii.

Nie zrobiły na mnie jakiegoś większego wrażenia.

Ale nagle zobaczyłam, z jaką uwagą Lidka gładzi delikatnie odrapaną ławkę, z jakim pietyzmem bierze do ręki wyblakłe zdjęcie z urwanym rogiem, z jakim błyskiem w oczach roztacza wizje przyszłych zbiorów. Wtedy zrozumiałam: to będzie ważne i piękne dzieło – zrobione z potrzeby serca, z pasji i miłości. I tak się stało.

Profesorka Lidka wspominała: „Pomysł założenia Muzeum i Archiwum Szkolnego wziął się z potrzeby zabezpieczenia pamiątek stuletniej historii szkoły. Ponadto, obserwując zmiany zachodzące w oświacie i organizacji szkół, a także wymianę sprzętu i likwidowanie starych, nieużytecznych pomocy naukowych, pomyślałam, że to wszystko, co chcemy „usunąć” ze szkoły na rzecz wprowadzenia nowoczesności, ma swoją historię. Bo historię mają nie tylko ludzie, ale także sprzęt szkolny. Historia szkoły zakłeta jest nie tylko w dokumentach i zdjęciach. Drzemie sobie w starych ławkach i tablicach na kredę. Warto było popracować nad zgromadzeniem tego i warto teraz o tym opowiadać młodzieży”.

W czasie tamtych ostatnich wakacji spotykałam Lidkę w kościele Du-cha Świętego. Za każdym razem, przechodząc obok, łapała mnie za rękę i szeptała: – Proszę przyjść do biblioteki w odwiedzin. Czekam.

Zawsze obiecywałam i naprawdę się wybierałam, ale czas tak szybko biegł. Nie zdążyłam. Odeszła tak nagle, tak ostatecznie.

Za swe zasługi została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi i Srebrnym Medalem za Długoletnią Służbę. Na jej grobie widnieje napis: „Lidia Górka [1960-2014] – nauczycielka, bibliotekarka, historyk lokalny. Obok stoi wielki, pięknie wyrzeźbiony biały anioł, strzegący jej wiecznego snu.

Za czasów mojej nauki w liceum – tak samo, jak za czasów Adama Przewłockiego – „na pierwszym piętrze znajdował się gabinet dyrektora, poczekalnia [sekretariat], sala konferencyjna, stanowiąca równocześnie pokój nauczycielski [...], mieszkanie dyrektora i klasy lekcyjne. Na drugim piętrze mieściła się aula ze sceną”. Aula to było serce szkoły. Tu – od początku istnienia gimnazjum – odbywały się ważne uroczystości, spotkania, spektakle i koncerty gromadzące nie tylko uczniów. Pełniła ona bowiem rolę środowiskowego przybytku kultury.

Arkadiusz Więch pisał np. że „dużym zainteresowaniem cieszyły się – organizowane w auli – wykłady powszechne profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, które gromadziły elitę kulturową i naukową miasta, pomagały dębiczanom pozostawać w kontakcie ze światem naukowym i artystycznym”. Także – jak znów wspominał Ludwik Mrocza – „kilka razy w roku mieszkańcy mogli posłuchać profesjonalnych zespołów muzycznych, które tu zjeżdżały z wielkich miast i koncertowały w auli gimnazjum”.

A Antoni Darłak, opowiadając o sukcesach szkolnej orkiestry, wspominał, że „na koncert do auli gimnazjum ściągaly tłumy słuchaczy. W jej repertuarze znajdowały się m.in. utwory Beethovena, Vivaldiego, Schuberta, Moniuszki, Noskowskiego i innych”.

Na scenie w auli wystawiali też swe sztuki uczestnicy „Teatru Szkolnego” założonego i prowadzonego przez profesora Jana Piotrowskiego, a później przez innych nauczycieli, a także prawdziwi aktorzy różnych teatrów; nawet stołecznych. Występ w naszym gimnazjum, wraz z noclegiem w jednej z klas, wspominała np. wielka artystka krakowska – Irena Solska.

Podobno – jak relacjonował Ludwik Mrocza – „jeden z takich spektakli zakończył się dużym wrzieniem tutejszej opinii publicznej, kiedy to na scenie podczas występu warszawskiego zespołu rewiewego Bronisława Nowińskiego, pojawiły się półnagie artystki [...], zaś dużą część widowni

stanowili uczniowie starszych klas. Mieszczkańska pruderia wzięła górę nad walorami artystycznymi”.

Dbając o morale młodzieży, w auli wygłaszano też pogadanki uświadamiające; m.in. o skutkach korzystania z usług „upadłych kobiet”, o chorobach wenerycznych, przypadkowych ciążach, niechcianych, nieślubnych dzieciach itp.

Wielokrotne remonty, nowe wyposażenie i dekoracja wnętrza, odmieniły aulę. Ta, w obecnym kształcie: piękna i funkcjonalna, z powodzeniem – tak samo jak za moich czasów szkolnych i nauczycielskich – służy społeczności szkolnej i miastu.

Przez pewien czas na półpiętrze szkoły [w jednej z dobudowanych sal] funkcjonowała harcówka. Lidia Górka wspominała: „Zaraz na początku mojej pracy zorganizowaliśmy wieczór poezji w harcówce. Swoje wiersze recytowali: Robert Kuźniar, Bogusław Prajsner i Michał Rusin [...]. Pomieszczenie to swoją nazwę przejęło od harcerzy, którzy tam właśnie się spotykali na zbiórkach. Było bardzo zadbane i wyposażone w sprzęt należący do drużyny harcerskiej LO. Niestety, po latach ocalały tylko nieliczne pamiątki”, a sala pełniła różne funkcje użytkowe, np. w czasie uroczystości 80-lecia istnienia szkoły, właśnie w harcówce „była zorganizowana wystawa historyczna i prezentacja dorobku szkolnych drużyn harcerskich”.

Wszystkie główne pomieszczenia w budynku liceum były bardzo wysokie, miały solidne grube ściany i ciężkie drzwi. Dyrektor Galas niekiedy zwykł mawiać, że gdyby nawet bomba wpadła do pokoju nauczycielskiego, to drzwi są tak solidne, że na pewno pozostaną nienaruszone. Czuliśmy się więc pewnie, choć czas tajemniczych telefonów o podkładaniu bomb pod różne instytucje miał dopiero nastąpić.

Zdarzyło się to jednak pewnego razu i w naszym liceum. Anonimowy telefon sprawił, że – zgodnie z zarządzeniem ówczesnego dyrektora Stanisława Kłoka – wyprowadziliśmy młodzież na podwórze szkolne i czekaliśmy, aż odpowiednie służby sprawdzą cały budynek.

Telefon okazał się – tak samo, jak w przypadku innych szkół – jedynie nieodpowiedzialnym żartem, głupią modą, która, na szczęście, dość szybko przeminęła. Incydent z bombą był jednak dla mnie nieprzyjemną nauczką.

Otóż, nazajutrz po tym wydarzeniu, woźny Jan Dziurdzik poprosił mnie na bok i cichutko poinformował, że w czasie przeszukań szkoły znaleziono w szafce w mojej pracowni butelkę wódki. Był to już okres bezwzględnego zakazu wnoszenia do szkoły jakiegokolwiek alkoholu, a to, że

właśnie u mnie ją odkryto, szokowało każdego. No, bo gdyby jeszcze u jakiegoś mężczyzny...

Woźny wyszeptał mi na ucho, że dyrektor polecił mu tę butelkę schować w mojej szafce w pokoju nauczycielskim i zażądał, bym ją co prędzej zabrała ze szkoły.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że w przeddzień „bombowej” afery przyniosłam ten alkohol koledze, który miał go dostarczyć osobie, coś mi tam załatwiającej. W czasie ogromnych niedoborów na rynku wiele rzeczy musiało się właśnie „załatwiać”, czyli zdobywać przy pomocy zaufanych osób, mających różne znajomości, zwane „dojściami”.

Przez lata ów chory system świetnie funkcjonował i umożliwiał nabywanie np. wartościowej książki, czy innego przedmiotu pożądanego. Za fatygę wypadało dać załatwiającemu jakiś „suvenir”; nie było wielkiego wyboru, a alkohol zawsze był dobrze widziany.

Ponieważ kolegi akurat nie było w szkole, butelkę schowałam, by nie przynosić jej znów nazajutrz. A tu taki pech!

Przez wiele dni umierałam ze strachu, spoglądając w pokoju nauczycielskim na dyrektorskie drzwi i oczekując wezwania, które nie wróżyło nic dobrego. Dyrektor Kłok był w takich sprawach surowy, skrupulatnie pilnował przestrzegania przepisów i obowiązujących zasad. Nigdy jednak nie wezwał mnie na dywanik, nie przeprowadził ze mną rozmowy na ten temat, ni słówkiem nie skomentował tego incydentu ani nie uczynił najmniejszej aluzji. Natomiast koledzy często mi dokuczali, nadając mi – oczywiście w żartach – miano największego alkoholika w liceum.

Tysiące spraw administracyjnych, socjalnych, wszystkie problemy dotyczące różnych dokumentów, załatwialiśmy w sekretariacie szkolnym, znajdującym się na pierwszym pięttrze obok gabinetu dyrektora, do którego bywaliśmy czasami wzywani na „dywanik”. W owym „królestwie” dyrektora – zawsze zimnym i ponurym – stały dwa wielkie biurka zavalone papierzy-skami, oszklona szafa pełna sportowych trofeów i piękny zegar, odmierzający beznamietnie czas. Czuło się tu zapach władzy, dyscypliny, surowości.

W sekretariacie stał w kącie rogaty wieszak na ubrania, przy ścianie – proste szafy, a za czymś w rodzaju lady – dwa wielkie, złączone z sobą biurka, pełne różnych dokumentów. Tu zawsze urzędowały uśmiechnięte, spieszące z pomocą i radą, bardzo miłe panie.

Za moich czasów licealnych „królowała” tam pani Ania Klimek. Zawsze elegancka, w jedwabnych bluzeczkach i stonowanych kostiumach, ze starannie uplecionym wokół głowy ślicznym warkoczem, łagodna, statecz-

na, pracowita i odpowiedzialna, zawsze witała nas dyskretnym uśmiechem i życzliwym spojrzeniem. Dojeżdżała do pracy z Grabin pociągiem, ale nigdy nie zdarzyło się jej spóźnić czy wbiegać do szkoły w ostatniej chwili. Wysoka, postawna, z podniesioną głową, przemierzała ulice naszego miasta nieśpiesznie, dystygowanie, z godnością.

Gdy już jako pracownik liceum przychodziłam do sekretariatu załatwiać różne sprawy, spotykałam tam dwie cudowne panie: panią Zosię Stelmach [Garncarską], absolwentkę liceum z roku 1986 i panią Jadzię Kurzawę [Kubicę], absolwentkę naszej szkoły z roku 1972.

Pani Jadwiga Kurzawa była filigranową, eteryczną, subtelną blondynką; tak sympatyczną, zawsze uśmiechniętą i miłą, że nazywaliśmy ją zdrobniale Jadzią, a nawet Jadziusia. Przyjaźnie nastawiona do świata i ludzi, zawsze miała dla nas czas. Załatwiała wszystkie sprawy z ochotą i zapałem. Zawsze doradziła, pomogła, pocieszyła. Niestety, nie mogła zerwać z paleniem papierosów, choć wciąż walczyła z tym nałogiem. Lubiła też dodawać sobie wigoru czarną jak smoła kawą. Stąd fraszka:

„Papieros, uśmiech, kawusia –
Jadziusia.
Serce ze złota szczerego,
Czas dla każdego
I w pracy
Wszystko na cacy”.

Pani Jadzia pracowała zawsze z wielką ochotą, solidnie, dokładnie, szybko, „za dwóch”, za co była ceniona przez wszystkich kolejnych dyrektorów. Była bowiem też niezwykle sumienna, skrupulatna, profesjonalna. A także energiczna, ruchliwa, lekka jak piórko i tak krucha, że ciągle sobie coś łamała. Absolutnie nie psuło jej to dobrego humoru, którym nas też зараżała. Od dawna już nie pali.

Kolejną cudowną osobą pracującą w sekretariacie była pani Zosia Stelmach. Zawsze pogodna, cała w uśmiechach i serdecznościach, gotowa do pomocy, zrywała się, by powitać, poradzić, załatwić, pogadać. Do dziś bardzo lubię odwiedzać szkołę wiedząc, że spotkam tam moją „pannę Zosię”. Określenie „panna Zosia” wywodzi się z czasów, gdy była jeszcze moją uczennicą. I tak już pozostało, choć zdążyła wyjść za mąż, urodzić i wychować dzieci, a także zostać babcią.

Przez kilka lat „urzędowała” w sekretariacie pani Ela Surman [absolwentka z 1974 roku] – szczupła, niewysoka szatynka, żywa jak srebro i wiotka jak gałązka, wesoła, chętna do rozmowy, uczynna i miła. Bardzo ją lubiliśmy, więc było nam żal, gdy przeszła do pracy w „ekonomiku”. Po wielu latach podczas spaceru nad Wisłoką spotkałam jej przystojnego brata Józka, mojego byłego ucznia. Serdecznie wspominaliśmy szkolne czasy i przesympatyczną Elę.

Przez krótki okres w sekretariacie jako kadrowa pracowała też mama profesorki Lidki Górskiej; zawsze w eleganckich czółenkach na obcasie, wąskich spódniczkach i ślicznych bluzeczkach. Miała, jak profesorka Lidka, bujne rudawe włosy, wijące się wokół głowy, przyjazny uśmiech i życzliwą twarz. Siedziała za swym biurkiem cichutko, zagłębiona w jakieś dokumenty i najczęściej milczała.

Dziś wciąż serdecznym uśmiechem wita mnie pani Zosia, a także zawsze chętnie do rozmowy i do wszelkiej pomocy panie z sekretariatu i rachunkowości: Asia, czyli Joanna Kurzawa, Katarzyna Gleń i Barbara Szwed.

Pracownie przedmiotowe znajdowały się na pierwszym i drugim piętrze, na które wchodziliśmy po szerokich, wytartych schodach, pod łukowatym, eleganckim sklepieniem. Tak jest do dziś, choć schody wyrównano i odnowiono, a charakter pracowni, ich wygląd i wyposażenie zmieniły się nie do poznania.

Za moich szkolnych czasów wciąż były to surowe sale, gdzie królowały katedry z biurkiem i wyściełanym, wygodnym krzesłem dla nauczyciela, stały staromodne ławy z otworem na kałamarz, z niewielkimi wgłębieniami na obsadki ze stalówkami i półką pod blatem na nasze teczki i worki z pantoflami, gdzie na ścianach lśniących lamperiami w kolorze orzecha wisiało godło PRL-u, portrety władz, różne tablice pogładowe i gazetki przedmiotowe.

Okna były nagie, bez firanek i zasłon, na głównej ścianie tablica, a na półeczce pod nią wskaźnik, kawałek kredy, jakaś ścierka do wycierania, czasem na parapecie doniczka z kwiatkiem.

Pracownię języka polskiego zdobiły portrety pisarzy, w geograficznej i historycznej był stojak na mapy, w fizycznej i chemicznej szafy z różnymi „ustrojstwami” i książkami.

Najpiękniejsza była pracownia biologiczna na drugim piętrze. Było tam mnóstwo kwiatów doniczkowych różnego rodzaju, w tym wielka pod sufit palma, która dokończyła swój żywot na półpiętrze, będąc przez kilka lat wesołym akcentem zieleni zdobiącej smętny korytarz i tłem dla wielu

klasowych zdjęć. W kącie pracowni stało duże akwarium z rybkami, które karmiliśmy rozwieltkami, też w owej pracowni hodowanymi. Mieliliśmy wyznaczone dyżury i nie mogliśmy się wymigać od operacji krojenia tych robali, by stały się smacznym daniem dla ryb. Za pracownią była salka z pomocami naukowymi, których mnóstwo zgromadziła i wykorzystywała na lekcjach profesorka Helena Gałuszka. Najcenniejsze były mikroskopy, które obsługiwaliśmy z wielką ostrożnością, jakieś obrzydliwe eksponaty w formalinie, a nawet pewnego razu pomieszkowały tam złowione przez kolegów żaby, przyszłe ofiary przeprowadzanej przez nas wiwisekcji.

W pracowni historycznej na drugim piętrze zamontowano wzdłuż ścian długie stoły, gdzie pod szkłem znajdowały się różne historyczne okazy: od kości pradawnych zwierząt znalezionych w Wisłoce, po pamiątki z czasów II wojny światowej. Zostały one później przekazane do utworzonego w naszym mieście Muzeum Regionalnego.

Lidia Górka wspominała: „Marzeniem dyrektora Galasa, jak również kilku osób z jego otoczenia, było założenie i zorganizowanie muzeum regionalnego w Dębicy. Pamiętam kartonowe pudełko przechowywane w bibliotece [...], które nazywano potocznie „muzeum”; mieściło w sobie kilka drobiazgów z historii regionu, które miały zapoczątkować zbiory muzeum. Była wśród nich filiżanka z wizerunkiem cesarza Austrii – Franciszka Józefa I oraz czapka gimnazjalisty; taka granatowa ze złotą literką „G”. Wśród tych pamiątek był także zbiór srebrnych monet”.

Moja pracownia języka polskiego na pierwszym piętrze, którą odziedziczyłam po profesorze Oldzie Sidorowicz, była – jak na początek lat 70. – urządzona ciekawie i nowocześnie. Nie było w niej katedry ani biurka, ale stary, drewniany stół i krzesło, a cała frontowa ściana była zabudowana bardzo praktycznymi – wprawdzie dość tandetnymi, wykonanymi z odkształcającej się sklejki, ale wyglądającymi dość estetycznie – pojemnymi szafkami, gdzie mogłam zmieścić moje wszystkie książki i pomoce naukowe: tablice, wykresy, portrety pisarzy, zbiory czasopism literackich itp. Za oszklonymi drzwiami powstała podręczna biblioteczka z książek darowanych przez uczniów, na bocznej ścianie wisiała ciągle uaktualniana „literacka” gazetka, a w kącie stał kwietnik z różnymi kwiatkami. Po jakimś czasie na tylnej ścianie zawisł – do dziś cieszący oczy uczniów – bardzo ciekawy, duży pejzaż naszej okolicy z Wisłoką w roli głównej, podarowany przez jedną z uczennic.

Nad tablicą panoszył się duży orzeł w szerokich ramach; oczywiście bez korony. Przez wiele lat nie zdawałam sobie sprawy, że ów orzeł był ja-

kiś wyjątkowy. Aż tu pewnego razu dyrektor Galas zarządził poszukiwanie zaginionego godła w cennych, złożonych ramach. Przetrzęsnięto wszystkie zakamarki szkoły. Gdy wydawało się, że chyba ktoś wykradł ten cenny przedmiot, orzeł nieoczekiwanie się odnalazł – na ścianie w mojej pracowni. Kto go tu powiesił, nie wiem i nie wiem, co się z nim później stało. Czy – po zmianie socjalistycznego godła na orła w koronie – ktoś ocalił chociaż te cenne, złożone ramy?

Zięb, jaki dokuczał nam w szkole przez wiele miesięcy w roku, przychodził wraz z pierwszym listopadowym wiatrem. W mojej pracowni było jednak przytulnie, miło i – wyjątkowo ciepło. Zdarzało się, że zmarznięci w zimnych pracowniach uczniowie, biegli już na początku przerwy do mojej klasy, ciesząc się, że tu na pewno się zagrzeją.

Jesienią już wczesnym popołudniem zapadał zmierzch, więc na ostatnich lekcjach paliły się nieliczne lampy. Choć zainstalowano ich dość dużo, to niektóre – dla oszczędności – były pozbawione żarówek. Ale w pogodne dni moją pracownię zalewało jasne, czyste światło, które już od rana zaglądało do okien i kładło się żywymi plamami na podłodze.

Moi wychowankowie dbali o przytulną atmosferę w pracowni; kupowali firanki, wymyślali jak najciekawsze gazetki, przynosili kwiaty, a nawet – zdarzyło się, że sami kupili farbę, a jeden z chłopców – Boguś K. pięknie pomalował ściany.

Od początku istnienia gimnazjum – jak wspominali pierwsi absolwenci – obchodzono uroczystości różne święta i rocznice, takie, jak początek i zakończenie roku szkolnego, rekolekcje wielkopostne, urodziny i imieniny cesarza Franciszka Józefa, rocznicę śmierci cesarzowej Elżbiety; organizowano także rocznice narodowe: powstań – listopadowego i styczniowego, Konstytucji 3 maja, bitwy pod Grunwaldem, a także wieczorki literackie i uroczystości okolicznościowe, „czasami uświetniane występami orkiestry szkolnej lub fragmentami dzieł wieszczów”. Np. w listopadzie 1909 roku szczególnie uroczysty charakter miały obchody 100-lecia urodzin Juliusza Słowackiego. Wówczas to imieniem wieszczka nazwano też ulicę, przy której mieści się budynek szkoły.

Władze wyzwolonej Polski usilnie starały się o sprowadzenie do ojczyny zwłok ulubionego przez marszałka Piłsudskiego „drugiego” wieszczka. Nastąpiło to w czerwcu 1927 roku. W całym kraju przygotowano wspańiałe uroczystości towarzyszące temu wydarzeniu. Trumna przypłynęła do Gdyni, a stamtąd Wisłą do Warszawy. Witął ją sam prezydent Ignacy Mościcki. Bateria armat w Alejach Jerozolimskich oddała dwadzieścia je-

den wystrzałów, a orkiestra wojskowa odegrała „Marsz żałobny” Chopina. Z katedry Świętego Jana trumna została przewieziona na Dworzec Główny i na ramionach wniesiona do purpurowego wagonu. Pociąg ruszył do Krakowa. Na całej trasie witały wieszczka tłumy Polaków; ludzie biegli przez pola, machali czapkami i rzucali kwiaty. Każdy chciał pożegnać tego, o którym Zygmunt Krasiński mawiał, że „na króla wygląda, gdy zacznie mówie polskiej rozkazywać”.

„Po uroczystości powitania, prochy Słowackiego zostały przeniesione do zaaranżowanej na Barbakanie kaplicy, gdzie spoczywały przez całą noc w asyście wart honorowych i krakowian, pragnących złożyć hołd poecie. 28 czerwca Józef Piłsudski, na tonącym w deszczu wawelskim dziedzińcu, wygłosił przemówienie, które zakończył słowami: „W imieniu rządu Rzeczypospolitej, polecam panom odnieść trumnę do krypty wawelskiej, by królom był równy” – pisał Cezary Harasimowicz.

Przemawiał też biskup Michał Godlewski, który w podniosłych słowach podkreślił wielkość tego poety: „Prochy Słowackiego pleśnią pokryte, wstąpiły na Wawel do świątyni narodu, aby na ziemi polskiej tym razem u stóp Bogurodzicy naszej, obok Mickiewicza prochów, na wieczność spocząć. Nie do zgłiszcz, nie do rumowisk powraca wieszcz z wygnania [...], ale do wolnej, do zmartwychwstałej Polski, której pożył i o której marzył w sennych widziadłach i płomieniach ekstaz”.

Dla wszystkich Polaków było to wydarzenie wyjątkowe. Uczestniczyli w nim również dębiczanie; zapewne też „studenci” gimnazjum. Oczywiście, w naszej szkole zorganizowano wspaniałą wieczornicę poświęconą pamięci wieszczki, podczas której zaprezentowano – jak pisał Norbert Sokołowski – „stosowne produkcje: chóru męskiego, orkiestry mieszanej, deklamacji solowej oraz odtworzenie 3 scen aktu III „Kordiana”.

Zresztą kult romantycznych wieszczów [w tym Juliusza Słowackiego] był w naszej szkole zawsze żywy; wielokrotnie organizowano różne uroczystości czy konkursy poświęcone romantycznym poetom. Tradycją były też wycieczki szkolne do Krakowa z obowiązkowym odwiedzeniem krypty królów na Wawelu, by oddać hołd spoczywającym tam wielkim Polakom. Oglądaliśmy tam układane na trumnach narodowych bohaterów szkolne tarcze młodzieży z całej Polski i kładliśmy też nasze z napisem: LO 6 Dębica. A o Słowackim stało się znów szczególnie głośno, gdy na stolicy apostolskiej zasiadł nasz wielki rodak Karol Wojtyła. Wówczas przypomniano sobie tajemnicze słowa wieszczki, prorokujące wybór Polaka na Piotrowy tron:

„Więc oto idzie – Papież Słowiański [...]
On rozda miłość, jak dziś mocarze rozdają broń,
Sakramentalną moc on pokaże, świat wzięwszy w dłoń”

Znany pisarz i prześmiewca Witold Gombrowicz w powieści „Ferdynand” kpił ze sposobu czczenia Juliusza Słowackiego. W słynnej lekcji języka polskiego, którą przedstawił w tym utworze, profesor „zwany po-
spolicie Bładaczką, od szczególnie niezdrowej i ziemistej cery”, wmawia uczniom, że należy kochać tego wieszczą, bo „Słowacki wielkim poetą był!”

„Wielkim poetą!.. Zapamiętajcie to sobie, bo ważne! Dlaczego kochamy? Bo był wielkim poetą. Wielkim poetą był! Nieroby, nieuki, mówię wam spokojnie, wbijcie to sobie do głowy – a więc jeszcze raz powtórzę, proszę panów: wielki poeta, Juliusz Słowacki, wielki poeta, kochamy Juliusza Słowackiego i zachwycamy się jego poezjami, gdyż był on wielkim poetą. Proszę zapisać sobie temat wypracowania domowego: Dlaczego w poezjach wielkiego poety, Juliusza Słowackiego, mieszka nieśmiertelne piękno, które zachwyty wzbudza?

W tym miejscu wykładu jeden z uczniów zakręcił się nerwowo i zajęczał:

Gałkiewicz: – Ale kiedy ja się wcale nie zachwycam! Nie zajmuje mnie! Nie mogę wyczytać więcej jak dwie strofy [...].

Nauczyciel: – Jak to nie zachwyca Gałkiewicza, jeśli tysiąc razy tłumaczyłem Gałkiewiczowi, że go zachwyca.

Gałkiewicz: – A mnie nie zachwyca.

Nauczyciel: – To prywatna sprawa Gałkiewicza. Jak widać, Gałkiewicz nie jest inteligentny. Innych zachwyca.

Gałkiewicz: – Ale, słowo honoru, nikogo nie zachwyca [...]. Nikogo nie przewierca. Nikogo to nic nie obchodzi, wszystkich nudzi. Nikt nie może przeczytać więcej niż dwie lub trzy strofy. O Boże! Nie mogę...

Nauczyciel: – Gałkiewicz, to jest niedopuszczalne. Wielka poezja, będąc wielką poezją, nie może nie zachwycać nas, więc zachwyca”.

Gałkiewicz: – A ja nie mogę. I nikt nie może! O Boże!”

Ów Gałkiewicz – „gwałcony przez uszy”, wiedząc, że z profesorami nie warto się spierać, w końcu przyznał, że go Słowacki zachwyca. A Bładaczka tryumfował:

„A widzi Gałkiewicz? Nie ma to jak szkoła, gdy chodzi o wdrożenie uwielbienia dla wielkich geniuszów”.

Czasami, wspominając lekcje języka polskiego myślę, że pewnie i moi uczniowie z powątpiewaniem i przymrużeniem oka przyjmowali moje zapewnienia o tym czy owym pisarzu, że „wielkim poetą był”. Ale taki los polonisty...

A młodzi ludzie twierdzili zazwyczaj, że wolą zwykłych poetów od wieszczów, bo przecież dziś panuje moda na lapidarność, a – jak w tej fraszce nauczyciela naszego gimnazjum Jana Sztaudyngera:

„Tym pisarz różni się od wieszca,
Że się streszcza”.

Kult wieszczów i wielkiej poezji romantycznej, wpajane w naszej szkole, na pewno wpłynęły na sposób postrzegania świata przez wielu uczniów. Jan Wiktor wspominał:

„Z gimnazjum wynieśliśmy tchnienie zaczerpnięte z wielkiej poezji romantycznej, które żywiło nasze czyny i było drogowskazem”.

Potwierdzeniem tego był fakt, że w naszym gimnazjum istniało nawet tajne kółko związane z ruchem „Promienistych”, nawiązującym do organizacji, do której należał młody Mickiewicz. „Początkowo prowadziło wśród młodzieży głównie działalność samokształceniową [...]. Później w jego programie pojawiły się postulaty reformy szkolnictwa, zniesienia ograniczeń stowarzyszania się uczniów i przymusu religijnego”.

We wspomnieniach Jana Wiktora znajdujemy taki fragment:

„Czyż ówczesne gimnazjum mogło istnieć bez konspiracji? Toć to ognisko rzucające płomienie w szarość życia. Nie każdy mógł należeć. To tylko wybrani. Zadaniem tajnych kółek było urabianie charakterów bojowników. W podziemiach istniała szczapa zmieniona w głównię, która miała płonąć. Schadzki, zebrania – czasem w opuszczonej ruderze, w piwnicy, przy kanku, kiedy indziej w lesie pod dębem, nad rzeką w wiklinach. Kordian był wzorem. Trudno było o podziemia klasztorne. Ale nastrój odpowiedni, bo ta sama tajemniczość. Spiskowcy w przebraniu, kołnierz kurtki postawiony tak, że trudno rozeznąć twarz [...]. W ciemnościach znać zarysy postaci. Cicho. Przecież to straże rozstawione w wielu miejscach.

W razie niebezpieczeństwa dadzą znak. Hasło wymawiane szeptem przelatywało z warg do warg i ginęło w szeleście liści [...].

– Służba wolnej ojczyźnie...

– Jest naszym wezwaniem i godłem”.

Jan Wiktor nie tylko należał do „Promienistych”, nie tylko rozpoczął swą twórczość literacką, pisząc artykuły i reportaże do ich czasopisma

„Promień”, ale w roku 1906 był nawet delegatem na zjazd szkolnych Kół „Promienistych” we Lwowie.

Niestety, owo tajne kółko działające w gimnazjum dębickim zostało zdekonspirowane, a Wiktorowi groziło nawet wyrzucenie ze szkoły.

Dyrektor Edmund Galas w artykule „Z dziejów Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy”, zamieszczonym w „Roczniku Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy”, pisał też o gimnazjalistach okresu międzywojennego, którzy – przejmując testament ideowy wieszczów, mówiący, że „jeśli trzeba”, niech „na śmierć idą po kolei, jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec” – „z walką rewolucyjną związali późniejsze losy i za wyzwolenie narodowe i społeczne życie swe oddali”. Wymieniał wśród nich mieszkańca mojej rodzinnej Bobrowej – Romana Bonara oraz Józefa Olechowskiego z Kędzierz. Obaj zginęli w mojej miejscowości w czasie pacyfikacji niemieckiej lipcu 1943 roku.

W okresie dwudziestolecia duży wpływ na postawy młodzieży miały też idee komunistyczne. Ich propagatorem w gimnazjum był m.in. profesor Stanisław Skrzyszewski. Za swą działalność został usunięty ze szkoły, tak jak i kilkunastu uczniów.

Również po II wojnie światowej młodzież – kontynuując romantyczne tradycje – manifestowała swe niezależne poglądy i buntowała się przeciwko zarządzeniom władz szkolnych, ograniczających jej działalność. W maju 1946 roku w Krakowie zorganizowano strajk związany z zakazem obchodów rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. A przecież tradycja świętowania tej rocznicy była bardzo długa.

Michał Urbanek wspominał: „Co roku Święto 3 Maja szkoła obchodziła bardzo uroczyście. Dzień był wolny od nauki. Rano odbywała się msza święta z patriotycznym kazaniem, a wieczorem pochód wszystkich uczniów z muzyką gimnazjalną przez miasto do jakiejś kapliczki lub figury. W pochodzie brała udział cała Dębica”.

Wieści o krakowskim strajku szkolnym szybko dotarły do naszego miasta.

Aneta Kwolek zacytowała fragment protokołu Rady Pedagogicznej, w którym możemy przeczytać, że „rankiem 12 maja na drzwiach budynku szkoły pojawiła się odezwa wzywająca uczniów do strajku. Wychowawcy i nauczyciele w tym jeszcze dniu przeprowadzili rozmowy z przedstawicielami gmin klasowych i rodzicami”.

Okazało się, że rozmowy te nie na wiele się zdały. Dwunastego i trzynastego maja nasza młodzież podjęła akcję strajkową. Na szczęście, nie wyciągnięto

zbyt surowych konsekwencji dyscyplinarnych, zaplanowano jednak wzmożoną pracę wychowawczą. Sytuacja wróciła do normy, a ferment wśród młodzieży pojawił się chyba tylko raz jeszcze, w czasie „karnawału Solidarności”.

Nazwa organizacji „Promieniści”, do której należał Jan Wiktor, nawiązywała – jak wspomniałam – do „Towarzystwa Promienistych”, działającego na Uniwersytecie Wileńskim, w którym uczestniczył m.in. Adam Mickiewicz. Z jego poezji wywodziło się też hasło drużyn „sokolich”, tak popularnych wśród gimnazjalistów: „Ze słabością łamać uczmy się za młodu. Razem, młodzi przyjaciele, w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele. Wspólna moc tylko zdoła nas ocalić oraz odwaga, siła wytrwałość, męstwo, dzielność, karność, sokoli lot!”

Bo duch romantycznych wieszczów: Mickiewicza i Słowackiego, towarzyszył młodzieży gimnazjalnej przez cały czas funkcjonowania szkoły. Absolwentka liceum z roku 1956 – Barbara Lis [Kołodziej], do dziś z sentymentem wspomina wieczorki poezji Mickiewicza, przygotowywane przez profesorkę Irenę Jandę. Również ja i moje koleżanki-polonistki organizowałyśmy takie wieczorki.

Także na moich lekcjach romantyzm był okresem szczególnie docenianym, a lektury dotyczące tamtego czasu, dogłębnie analizowane. Wiele lekcji poświęcaliśmy największym dziełom romantycznym, takim, jak „Oda do młodości”, „Ballady i romanse”, „Konrad Wallenrod”, „Dziady”, „Pan Tadeusz”, „Kordian”, „Balladyna”, „Nieboska komedia”, liryka Mickiewicza, Słowackiego i Norwida.

Sprawdzian ze znajomości „Pana Tadeusza” dowodził, że uczniowie wnikliwie czytali epopeję, że świetnie analizowali zawarte tam problemy, że rozpoznawali nawet króciutkie – często bardzo trudne – fragmenty. Każdy uczeń losował jakiś cytat z epopei, np: „Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy nad ubogą Litwina chatą”. Miał podać tytuł księgi, w której ów cytat się znajdował, wyjaśnić, z czym się kojarzył, jakiej sprawy dotyczył, kto był autorem zacytowanych słów [który z bohaterów czy narrator].

Podziwiałam moich uczniów; prawie wszyscy świetnie sobie poradzili! Wszyscy uczyli się też na pamięć wielu ważnych fragmentów tej epopei – z „Inwokacją”, opisami przyrody i „Koncertem Jankiela” na czele. Ochotnicy mogli sobie poprawić notę z języka polskiego, recytując dodatkowe teksty. Pamiętam, jak pięknie wygłaszał całą „Wielką Improwizację” z „Dziadów” Krzysiek Maj [matura -1989 rok], który nauczył się tekstu nie dla oceny [miał najwyższą], ale z miłości do Mickiewicza. Ale najbardziej

chyba zaskoczyła i uradowała mnie sytuacja, jaka zdarzyła się podczas spotkania absolwentów w czasie obchodów 110. rocznicy powstania szkoły.

Otóż, do pokoju nauczycielskiego, pełnego profesorów i gości, „wprowadził” w pewnej chwili przystojny, elegancki pan, który przedstawił się jako mój były uczeń, który dzięki takiej dodatkowej recytacji uzyskał z języka polskiego ocenę pozytywną na semestr. Dodał, że jest mi niezmiernie wdzięczny, bo dzięki temu tekstowi zdobył też swoją przyszłą żonę.

Potem wyjaśnił, że kiedyś na randce wyszeptał jej ten romantyczny tekst, czym ją olśnił i przekonał, że jest fajnym facetem. By udowodnić, że wciąż ten tekst zna, zaczął go głośno recytować, zwracając się do mnie tymi słowami: „Kobieto! Puchu marny, Ty wietrzna istoto, postaci twojej zazdroszczą anieli” itd. itd...

Absolwenci naszego liceum na pewno łatwo rozpoznają ten fragment IV części „Dziadów”, który krytycy uznali za najpiękniejszy wiersz miłosny do czasów Mickiewicza. Wszyscy obecni w pokoju nauczycielskim zamilkli i patrzyli zdziwieni, ja także byłam w szoku.

Tak, to była niezapomniana chwila. Dla takich chwil warto było być polonistą!

Innym razem, na sylwestrowym balu poprosił mnie do tańca starszy, łysawy pan z wąsami i podczas płaśów zagadnął: – Czy profesorka mnie pozna? Ja jestem ten Mirek, który buntował się przeciw uczeniu się tekstów literackich na pamięć. Pyskowałem, że w klasie matematyczno-fizycznej powinno się „przerabiać” z „polaka” tylko najbardziej niezbędne minimum. Chciałem za to dziś przeprosić, bo teraz widzę, że takie wnikliwe poznawanie literatury miało głęboki sens. W życiu dorosłym nikt z nas nie sięga przecież do Mickiewicza i Słowackiego, a to, co zostało w naszej głowie, wielokrotnie się przydaje. Możemy nawet zaimponować własnym dzieciom...

Swą miłość do poezji romantycznej, do której przekonywałam młodzież, wyraziłam najbardziej osobiście biorąc udział w konkursie na wiersz o Ryszardzie Kuklińskim, zorganizowanym w 1995 roku przez amerykańskie Radio „Atlantic”. Był to czas, gdy ocena działalności Kuklińskiego, przebywającego na emigracji w USA, budziła ogromne kontrowersje; kiedy jedni nazywali go bohaterem narodowym, inni – zdrajcą. Wiersz nosił tytuł: „Ryszardowi Kuklińskiemu – prawdziwemu Polakowi „ku pamięci”. Otrzymał wyróżnienie i był zamieszczony w zbiorze utworów poświęconych tej postaci. Niestety, nigdy nie przysłano mi tego zbiorku, natomiast otrzymałam nagrodę pieniężną – „aż” sto dolarów!

A wiersz brzmiał tak:

„Niełatwo znosić obojętność świata,
Niewdzięczność, kpinę, podle podejrzenia,
Krzywdzące sądy, o zdradę zarzuty,
Głupotę ludzką i – straszną samotność z dala od domu.
„Ale tak zawsze, tak zawsze bywało,
O czym pisali najlepsi poeci,
Że los największych – tragiczny – niestety!”

Nasz wieszcz, by dramat narodu wyrazić,
Kiedy szlachetnej nie mógł użyć broni
– Widząc caratu pętlę nad ojczyzną -
Wspominał stare Makiawela hasło:
„Należy wam bowiem wiedzieć,
Że są dwa sposoby walczenia –
Trzeba być lisem i lwem”.
Więc Wallenroda pokazał cierpienie,
Jego samotność ogromną wśród obcych -
Bo taka była patriotyzmu cena,
Której go uczył stary wajdelota:
„Tyś niewolnik, jedyna broń niewolników – podstęp”.

A kiedy „dumał na paryskim bruku”,
Jak straszny los tułaczy nam, Polakom
I że kochanej Litwy nie zobaczy
Pełnej „pagórków leśnych i tych łąk zielonych”,
Wtedy powtarzał to, w co gorzko wierzył,
Że być Polakiem to być męczennikiem.
Wszak „Polak stąd między narodami słynny,
Że bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny.
Gotów zawsze rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walczyć z ludźmi i losem, póki mu wśród burzy
przyświeca ta nadzieja, że ojczyźnie służy”.

Słowacki „w wielkim świecie obłąkany,”
Z dala od matki, od kraju, od domu,
Gdy widział „lotne w powietrzu bociany”,
To łzę tęsknoty ścierał po kryjomu

I słał do Boga modlitwę pokorną.
Czując, że śmierć go wśród obcych dosięgnie,
„Testament...” pisał do wszystkich Polaków,
Mówiąc: „niech na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.”

Norwid, mieszkając w paryskim przytułku
– Niepewny swego tułaczego losu –
O Mickiewiczu – gdzieś dalekim – myśląc
I tylu innych, co pośród współczesnych
Nie mogli liczyć na cześć i uznanie, pisał proroczo:
„Mniejsza o to, w jakiej spocznieś urnie,
Gdzie, kiedy, w jakim sensie i obliczu,
Bo grób twój jeszcze odemkną powtórnie,
Inaczej będą głosić twe zasługi,
I leż wylanych dziś, będą się wstydzić,
A łać ci będą łzy potęgi drugiej
Ci, co człowiekiem nie mogli cię widzieć”.

A Miłosz, który w swych wierszach opiewał
Wiarę, nadzieję i miłość człowieczą,
W Apokalipsie widział oczyszczenie.
I choć „dotykał ran swego narodu”,
To uczył przecież, że zawsze zwyciężą:
„Dwa ocalone wyrazy: Prawda i Sprawiedliwość.”

Dzisiaj przeminął czas wielkich herosów,
Ale Ty staniesz kiedyś na cokole;
Jeśli nie z brązu, to z serc naszych szczyrych
I z tej wdzięczności, której nic nie zmaże,
A z którą łatwiej samotność wśród obcych i troski znosić:
Błogosław ci Boże!”

Wielu spotykanych przez mnie absolwentów potwierdzało, że zaszczytowany w szkole kult dla wielkich twórców i dzieł literackich, pozostał w nich na zawsze. Mówili też, że wciąż pamiętają nasze „obowiązkowe” wyjazdy do tarnowskiego, rzeszowskiego i do krakowskich teatrów na spektakle prezentujące największe dzieła narodowe.

– Teraz również jeździmy do Krakowa – mówili – by oglądać sztuki naszych wielkich pisarzy na deskach teatru i by pokłonić się naszym wieszczom. Takie wyznania są bardzo miłe.

Mój rocznik także – w okresie, gdy omawialiśmy literaturę romantyzmu – odbył „pielgrzymkę” do Krakowa. Obowiązkowym punktem programu było zwiedzanie Wawelu, w tym zejście do krypty, gdzie spoczywają wielcy Polacy. Kierownikiem wycieczki była profesorka Olga Sidorowicz.

Tak, jak uroczyste czczono w naszej szkole wieszczów, tak też obchodzono różne rocznice i święta państwowe. I tak jest do dziś.

Od początku istnienia szkoły wielką rolę w uświetnianiu wszelkich uroczystości odgrywał szkolny chór i orkiestra. Muzyki uczyli przecież w liceum utalentowani profesorzy, a przy tym wielcy pasjonaci: Błażej Kotfis, Stanisław Darlak, Ryszard Christoff, Zdzisław Czerny, Ludwik Tyrpin, Paweł Adamek, Monika Szarek. Działalność orkiestry, przerwana wybuchem I wojny światowej, została wznowiona w 1920 roku i przetrwała do wybuchu II wojny światowej, a potem – po wyzwoleniu – znów była kontynuowana.

Syn profesora Stanisława Darlaka – Antoni, wspominał atmosferę międzywojennego gimnazjum, sprzyjającą działalności orkiestry: „Profesor Kotfis grał na skrzypcach, prowadził szkolny chór i był fantastycznym melomanem, rzecz rzadka wśród kleru [...]. Angażując mojego ojca, nauczyciela muzyki, powstał tandem muzycznych zapaleńców, nie znających granic swych możliwości. Rezultaty nie kazały na siebie długo czekać i z czasem powstała gimnazjalna orkiestra symfoniczna, prezentująca w szczytowym okresie poziom pozwalający na wykonanie V symfonii Beethovena, czy „Niedokończonej” Schuberta”.

Profesor Darlak w szkolnej auli często organizował występy tej swojej świetnej orkiestry symfonicznej, do której angażował też muzyków wojсковых i absolwentów gimnazjum. Jak wspominał Julian Roztoczyński [matura – 1925 rok]: „Gimnazjum nasze promieniowało w tych dziedzinach sztuki na zewnątrz, nie tylko na Dębicę, lecz i na sąsiednie miasteczka, jak Ropczyce, Pilzno, Radomyśl Wielki i inne.

Gdy wybuchła II wojna światowa, orkiestra zamilkła, a instrumenty gdzieś się zapodziały; przetrwał jednak fortepian. Pamiętam jeszcze, gdy – zapomniany, bezużyteczny, nie przypominający dawnej świetności – stał smętnie w kącie pracowni profesorki Władzi Prokop. Wyglądał żałośnie: ot, niepotrzebny nikomu relikwiarz przeszłości, bezbronny obiekt uczniowskich wygłupów; zakurzony, poobijany, smętny. Czasami, gdy w tej pracowni czekaliśmy na jakieś zebranie nauczycielskie, profesorka Małgosia

Kurcz wygrywała na nim różne pasaże; ale dźwięki były nieczyste, jakieś metaliczne, „zardzewiałe”, drażniące uszy.

Wreszcie przeniesiono go na scenę do auli, gdzie pełnił rolę stałego, „głuchego” rekwizytu podczas różnych uroczystości szkolnych; czasem był tylko „zawalidroga”, intruzem, niezbyt udanie wkomponowanym w scenografię, a czasem elementem pomysłowej dekoracji. Zdarzało się, że nakrywało się go serwetą, stawiało na nim dzbanek kwiatów, gałązkę kolorowych, jesiennych liści, jakiś starodawny świecznik przyniesiony z domu, czy artystycznie ułożone książki. Wyglądał wtedy stylowo, ale – niestety – nie wydawał już żadnych dźwięków, do czego przecież został stworzony...

No a ta, która „na progu wieku zakwitła”, od samego początku rozwijała się niby „pąki białych róż” z żołnierskiej piosenki.

Corocznie nowi uczniowie zajmowali miejsca w gimnazjalnych ławach. Mierzyli się z tajnikami wiedzy, zdobywali doświadczenie i gotowali się do przyszłych obowiązków, do wyzwań, które czekały ich u progu dorosłości. Młode gimnazjum kształciło kolejne roczniki, przestrzegało norm i rygorów, realizowało skrupulatnie sporządzane programy.

A wokół działo się tyle ważnych spraw, zapowiadających gwałtowne zmiany w Europie i na terenie naszego kraju!

Car Mikołaj II rozwiązał właśnie Dumę, zmarł brytyjski król Edward VII, umierali też wielcy Polacy, o których gimnazjaliści uczyli się na lekcjach i o których czytali w gazetach: Stanisław Wyspiański, Helena Modrzejewska, Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Bolesław Prus, Józef Chłomoński. Zmarł też Robert Koch – lekarz i bakteriolog, odkrywca prątków gruźlicy, która dziesiątkowała ludzi. Prasa donosiła o przygotowaniach Roalda Amundsena do wyścigu z Robertem Scottem, by zatknąć zwycięską flagę na Biegunie Południowym i o olbrzymich stratach spowodowanych trzęsieniem ziemi w San Francisco. Powstało „W pustyni i w puszczy” i „Chłopi”, Ford wyprodukował pierwszy masowy samochód, a Francuz Louis Bleriot przeleciał przez kanał La Manche. W maju 1910 roku pojawiła się na niebie kometa Halleya, widoczna gołym okiem – zła wróżba wieszcząca wojny i inne kataklizmy. Państwa zaborcze wciąż prezentowały swą siłę, Michał Drzymała zamieszkał w wozie na kółkach, protestując przeciw pruskiej ustawie zakazującej chłopom osadnictwa, a Rosjanie wzniesli na Placu Saskim w Warszawie prawosławną bazylikę.

Z okazji rocznicy grunwaldzkiej – jak pisał Norbert Sokołowski – „odbył się w Dębicy uroczysty obchód, zorganizowany 19 czerwca 1910 roku [...], podczas którego w parku przy budynku Towarzystwa „Sokół” ustawio-

no pamiątkowy głaz z napisem: „Bohaterom Grunwaldu 1410-1910”. Całości towarzyszyli uczniowie gimnazjum wraz ze szkolną orkiestrą, wykonującą „wieniec melodii narodowych”. Była zapewne w owym wieńcu „Rota” Marii Konopnickiej napisana na tę rocznicę, w której znalazły się znamienne słowa: „Polski my naród, polski lud, królewski szczep Piastowy”.

Gdzieś tam na litewskiej prowincji rodził się Czesław Miłosz, Einstein ogłaszał swą teorię względności, a na Atlantyku 15 kwietnia 1912 roku, w swym dziewiczym rejsie do Nowego Jorku, zatonął Titanic – ten niezniszczalny ponoć parowiec, na którego burcie widniał napis: „Nic nas nie przemoże, ani Bóg, ani morze”.

W 1912 roku „miłościwie panujący” cesarz zezwolił nasze „wierne miasteczko podnieść do rzędu miast” i przywrócić mu dawny herb „Gryfa”. Ale choć Dębica odzyskała prawa miejskie, wciąż była „małą, prowincjonalną miejsciną. Mieszkała w niej w większości biedota żydowska utrzymująca się z drobnego handlu, żyjąca w nędzy nieznannej naszej dzisiejszej rzeczywistości. Oczywiście, że pośród tego morza nędzy było kilka zamożnych rodzin [...]. Wśród pozostałej ludności największą grupę stanowili kolejarze [...]. Dzieci kolejarzy kształciły się w dużej liczbie. Drugą, dość liczną grupę stanowili rzemieślnicy zrzeszeni w cechu, którego przewodniczącym był przez długie lata znany piekarz Roztoczyński. Do tej grupy należeli też kupcy [...]. Wreszcie trzecią grupę stanowili nauczyciele, urzędnicy i bardzo wtedy nieliczni przedstawiciele wolnych zawodów” – pisała Aneta Kwolek.

W Europie trwał niebezpieczny wyścig zbrojeń; ówczesne mocarstwa „prężyły mięśnie i wypinały torsy”, a w naszym gimnazjum zdobywały wiedzę kolejne roczniki uczniów. Wciąż ważnym elementem działalności szkoły było wychowanie patriotyczne.

Jan Wiktor pisał: „Z tego gimnazjum wynieśliśmy nakaz, który brzmiał nam w ciągu późniejszego życia na wszystkich ścieżkach, w każdej godzinie: Polska i Polak”.

Potwierdzał to uczeń Wincenty Dołżycki [w gimnazjum od roku 1908]: „Nauczyciele budzili w nas patriotyzm i podtrzymywali nadzieję na odzyskanie niepodległości”.

W 1911 roku z inicjatywy profesora Stanisława Wiśniewskiego powstał ruch skautowski z hasłem „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Formą jego działalności były przede wszystkim ćwiczenia fizyczne, wycieczki, dyskusje na podstawie przygotowywanych referatów, wpajanie młodym skautom zasad moralnych, dbałość o ich rozwój intelektualny i kształtowanie postawy patriotycznej.

Dzieje ruchu skautowskiego w naszej szkole wymagają osobnego opracowania. Warto jednak podkreślić, że chociaż zmieniał się jego kształt, charakter, formy działalności, to zawsze przyciągał najlepszą młodzież, pragnącą działać i przeżywać wspólnie różne przygody.

Gdy władze austriackie zezwoliły na tworzenie organizacji paramilitarnych, tzw. Związków Strzeleckich, powstawały „drużyny sokole”, skupiające początkowo tylko mężczyzn, ale wkrótce też kobiety. Młodzi [również w naszym gimnazjum] przysięgali służyć ojczyźnie, śpiewali hymn Strzelców: „Marsz Sokołów”, odbywali ćwiczenia i gotowali się do walki o wolność:

„Ej bracia, kto ptakiem przelecieć chce świat,
Niech skrzydła sokole ma od młodych lat”!

Dębickie stowarzyszenie „Sokół” powstało w grudniu 1894 roku i szybko zdobyło popularność wśród mieszkańców miasta. W zajęciach chętnie uczestniczyła młodzież, wielu członków towarzystwa było profesorami gimnazjum.

Dębicka „sokolnia”, zwana też gniazdem – działała prężnie. Dzięki fundacji hrabiego Edwarda Raczyńskiego powstał wspaniały gmach, na którego czołowej ścianie dumnie prężył skrzydła kamienny orzeł, założono także park, w którym odbywały się ćwiczenia gimnastyczne i inne zajęcia sportowe, a także uroczystości patriotyczne. Pierwszym prezesem był Henryk Zauerer, a po nim – przez wiele lat profesor gimnazjalny Stanisław Wiśniewski. W czasie okupacji Niemcy zamienili budynek na kasyno wojskowe, wreszcie został zniszczony. Przejęty po wojnie przez Skarb Państwa, został odbudowany i przekształcony na dom kultury.

W czerwcu 1914 roku w zamachu w Sarajewie młody Serb Gawiło Princip zastrzelił habsburskiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żonę Zofię. Jeszcze w solidnych ławkach dębickiego gimnazjum siedzieli nad książką, nad mapą, nad zeszytem „chłopcy malowani, sami wybierani”, ale tuż za progiem czaiła się „wojenka, wojenka”; owa pani, która potrzebowała takich „chłopców malowanych”, by zapamiętywali się w bitewnym szale i ginęli; tragicznie młodzi, ale gotowi do największej ofiary – dla ojczyzny.

Więc gdy wkrótce wybuchła owa „wielka wojna białych ludzi”, szczerzy poryw patriotyczny, jaki ogarnął cały naród sprawił, że poszli walczyć i ginąć ze słowami „Roty” Marii Konopnickiej, tak cenionej przez strzelców i Legionistów Piłsudskiego:

„Orężny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił.
Pójdziem, gdy zabrzmiał złoty róg...
Tak nam dopomóż, Bóg!”

Adam Przewłocki” wspominał: „Zamordowanie arcyksięcia Ferdynanda Habsburga w Sarajewie i wybuch wojny w pierwszym miesiącu wakacji 1914 roku przerwały nasze niemal beztroskie bytowanie, spokój i ciszę miasta. Początkowo wszystko, na co patrzyłem i w czym brałem udział, raczej mnie bawiło niż niepokoiło. Ruch wojsk w mieście i zatrzymujące się na naszej stacji transporty wojsk zmierzające na wschód, wszystko to było ciekawe i podniecające [...]. Wzruszające było pożegnanie pierwszej grupy trzydziestu starszych kolegów, członków „Strzelca”, którzy pod wodzą profesora Gawrysia odjeżdżali w sierpniowy wieczór do Krakowa, by dołączyć do Legionów, organizowanych przez Józefa Piłsudskiego. Kwiaty, uściski, pocałunki. Hymn narodowy. Wielu z odjeżdżających nie wróciło już nigdy do bliskich”. Bo owa wojna okazała się czasem tragicznym, nie-ludzkim, w którym walczyły i ginęły ogromne rzesze żołnierzy, cierpiały miliony ludzi.

Janina Konarska w swym pamiętniku pisała: „Nie ma takiego miejsca w Europie, żeby nie było słychać armat”.

W Rosji szalała rewolucja, a nowe wynalazki i odkrycia zaprzęgnięto w rydwan wojenny. W 1915 roku Niemcy zastosowali pod Ypres gazy bojowe, a pod Verdun, nad Sommą i w innych bitwach wykorzystywano nowe rodzaje broni i pojazdów. Smutną pamiątką po tzw. bitwie gorlickiej są cmentarze wojenne rozsiane po całym naszym regionie. Śmiertelne żniwo zbierała „hiszpanka”, umierały ofiary wybuchów, różnych chorób i traumy okopów, a inwalidzi wojenni często dożywali swych dni w cierpieniach, nędzy i opuszczeniu.

Z mapy zniknęły wielkie mocarstwa, a pojawiły się nowe państwa, w tym Polska.

Swe rządy zakończyły dynastie, które władały tymi ziemiami od wielu stuleci. Ogromne były straty materialne tej I światowej wojny: zniszczone fabryki, szkoły, sklepy, szpitale, zdewastowane kościoły, uszkodzone drogi, mosty, linie kolejowe, zburzone domy. Przerazała panująca nędza, bezdomność, przestępczość i beznadzieja.

Również dla naszego miasta owa wojna była czasem tragicznym.

Edward Wodzień pisał: „Dębica kilkakrotnie w ciągu jesieni 1914 roku przechodziła z rąk do rąk walczących armii. We wrześniu wkroczyli Kozacy, w październiku wojska austriackie, których odwrót nastąpił w listopadzie. Od 9 IX do początku maja 1915 roku stacjonowali tu ponownie Rosjanie. Budynek szkoły został zajęty przez wojsko. Mieściły się tu koszary i szpital wojskowy – początkowo rosyjski, a od maja do lipca 1915 roku austriacki [...]. Sala gimnastyczna była przez Rosjan wykorzystywana jako cerkiew”.

„W sierpniu 1915 roku władze oddały budynek szkolny, ale udało się go uporządkować dopiero w drugiej połowie września. I wtedy ponownie rozpoczęła się nauka, chociaż szkoła borykała się z ogromnymi problemami materialnymi i brakami personalnymi. Do wojska w początkowym okresie wojny zostali powołani profesorowie: Arseni Dorożyński i Antoni Migdał oraz ksiądz Błażej Kotfis, a do Legionów wstąpili Tadeusz Gawryś i Stanisław Mydlarczyk [...]. Mimo niezwyklej ofiarności profesora Józefa Wyrobka, który starał się czuwać nad majątkiem gimnazjum, szkoła poniosła w okresie stacjonowania z niej wojsk olbrzymie straty [...]. Zbiory pomocy naukowych oraz księgozbiór uległy poważnemu uszczupleniu, a brak środków finansowych spowodował, że przez następne lata uzupełniano je w bardzo niewielkim zakresie” [Aneta Kwolek]. Skutki tej wojny widoczne były w całej Dębicy.

Antoni Stańko pisał: „Niemał całkowicie został spalony Rynek. Pożar strawił również wiele innych domów, wiele też zostało zdewastowanych i zniszczonych. Wszystkie płoty i budynki drewniane z zabudowaniami gospodarczymi zniknęły, rozebrane i użyte jako materiał opałowy do palenia ognisk, przy których biwakowali po ogrodach, placach i polach konni taboryci armii rosyjskiej. Wiezorami i nocami, gdzie okiem sięgnąć, wszędzie się paliły ogniska, przy których grzało się wojsko i gotowało strawę. Widok jak z „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza”.

A tak zapamiętał tamtą Dębicę Jan Wiktor: „Chciałem choć w ciemności widzieć miasteczko, tak mi pamiętne z czasów szkolnych [...]. Z jakimś drżeniem wstępowałem w te ciche, opustoszałe uliczki znane mi tak dobrze. Rozrzewnienie tkliwe omotało mnie wobec wspomnień tak świeżych, pięknych, młodych, wobec ludzi, którzy tu żyli, działali [...]. Ledwie poznaję połać rynku spalonego. Przechodzę obok gimnazjum, które w mrokach zatopione w spustoszeniu nad czymś sobie dumało”.

Nad czym mogło dumać? Groziło mu zamknięcie, a nawet całkowite unicestwienie. Na szczęście – jak pisał Antoni Stańko – „budynek gimnazjalny ocalał przed zniszczeniem profesor Józef Wyrobek [...]. Przyszedł do

gimnazjum w momencie, kiedy wojska rosyjskie pośpiesznie opuszczały Dębicę i podłożyły ogień w jednej z sal wykładowych”. Ogień ugasił – jak już wspomniałam – przy pomocy dozorczy szkoły Michała Jaworka.

Na zachowanym zdjęciu profesor Wyrobek ma poważną, zatroskaną minę, przymrużone oczy, spoglądające gdzieś w dal, ale nie wygląda na he-rosa. Trudno sobie wyobrazić tego skromnego człowieka, walczącego z po-żarem, by ocalić swoją ukochaną szkołę. Ale często pozory mylą, a fakty jednoznacznie świadczą o jego bohaterstwie.

Mimo ogromnych strat wojennych, w ocalonych Polakach rodziła się nadzieja i radość. Konrad Winkler pisał: „Z końcem wojny skończył się stary świat [...]. Cała Polska, cała Europa, ba, cała ludzkość wkraczają oto w nową epokę [...]. Świat oszalał. Witaliśmy pokój i niepodległość gestami obłądnej radości”.

Dębiczanie natychmiast rozpoczęli odbudowę miasta poranionego wojną i remontowanie gmachu naszej szkoły.

Niestety, owa niedawna „chluba miasta” była w opłakanym stanie i wymagała kosztownych prac. Na szczęście jednak – jak pisała Aneta Kwolek: „społeczeństwo Dębicy okazało szczególną odpowiedzialność za przyszłość szkoły w trudnej dla niej sytuacji [...]. Organizacją prac remontowych i zbiórką środków zajął się komitet w składzie: nadradca sądu Dihm – prezes, zarządca podatkowy Gradziński – skarbnik. Dzięki ich pomocy udało się zdobyć cegłę i glinę na reperację budynku”. Prace postępowały sprawnie. Gdy gmach był gotowy do użytku, uczniowie zerwali z frontowej elewacji austriackiego orła, tkwiącego tam od samego początku istnienia budynku.

Znów młodzi ludzie mogli zasiąść w gimnazjalnych ławach, choć warunki pracy w szkole były bardzo ciężkie. W sprawozdaniu z roku 1920/1921 czytamy, że „sala gimnastyczna z braku pieców nadaje się do użytku tylko w porze letniej. Tak samo ma się sprawa z aulą [...]. Mieszkanie dyrektora urządzone w sposób bardzo prymitywny. Obecny stan budynku wskutek długoletniego użycia i zniszczenia wojennego jest nader opłakany, zwłaszcza piece, drzwi i okna są nie do użycia tak, że gimnazjum grozi na zimę zamknięcie”.

Na szczęście, nie doszło do takiej sytuacji i działalność szkoły była kontynuowana nawet zimą, ale szkody wojenne usunięto dopiero w połowie lat dwudziestych.

Ci uczniowie, którzy przeżyli straszne lata wojny, z ochotą wrócili do gimnazjum. Teraz z żalem wspominają profesorów poległych w bitwie pod Mołotkowem, a także kolegów, którzy oddali swe młode życie za wolność

ojczyzny. Było ich wielu. W Legionach walczyło ponad trzydziestu uczniów dębickiego gimnazjum, liczni służyli w austriackiej armii, wielu zaginęło bez wieści i nigdy nie powróciło do domu.

Pierwszy rok powojenny był dla tamtych uczniów i dla całej szkoły niezwykle trudny. Z powodu szalejącej epidemii tyfusu plamistego musiano dwukrotnie przerywać naukę: placówka była nieczynna od 26 września do 21 października i od 27 października do 23 kwietnia.

Jak pisała Aneta Kwolek: „W roku szkolnym 1918/1919 szkołę ukończyło zaledwie 225 uczniów [...]; w następnych latach liczba uczniów systematycznie wzrastała, osiągając w połowie lat dwudziestych około 700 osób. W latach kolejnych nastąpił stopniowy spadek liczby uczniów [...]. Stan taki utrzymywał się do połowy lat trzydziestych. W ostatnich przedwojennych latach zaobserwować można ponowny wzrost liczby uczniów”.

Wielu spośród tuż powojennych wychowanków gimnazjum borykało się z nędzą. Tym pomagali profesorzy i bogatsi rodzice – kupując podręczniki, organizując dożywianie czy zbiórkę i rozdzielanie odzieży. Mecenasaowa Friedbergowa np. zainicjowała powstanie kuchni, wydającej najuboższym uczniom śniadania. Korzystało z niej ponad 30 uczniów. Wielkim zaangażowaniem wykazywał się ksiądz Błażej Kotfis, zawsze uczulony na los najbiedniejszych wychowanków. A przecież w naszym gimnazjum najwięcej było biednych dzieci chłopskich. Pozostali to dzieci kupców, urzędników, robotników, rzemieślników i inteligencji.

Dębickie gimnazjum, wznowiając swą działalność w 1918 roku, opierało się wciąż na zasadach organizacji szkoły sprzed wojny i realizowało program gimnazjum klasycznego. Pewne zmiany programowe wprowadzono w roku szkolnym 1925/1926 [m.in. w programie znalazły się rysunki i prace ręczne], ale dopiero reforma tzw. „jędrzejewiczowska” z marca 1932 roku zmieniła całkowicie system funkcjonowania gimnazjów. Mówił o tym profesor Marian Grundboeck [matura – 1946 rok] na spotkaniu z młodzieżą w 2000 roku: „Ósmioklasowe gimnazjum męskie przeobraziło się w koedukacyjne czteroletnie gimnazjum, a dalszą kontynuację nauki umożliwiało dwuletnie liceum, którego program był sprofilowany”.

Dębicki uczniowie mieli do wyboru wydziały: klasyczny, humanistyczny, matematyczno-fizyczny i przyrodniczy.

Do pierwszej klasy – jak to było w zwyczaju – przyjmowano uczniów na podstawie egzaminów wstępnych. Pierwsi maturzyści nowego, dwuletniego liceum ukończyli szkołę w roku 1938/1939, a więc tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Edward Wodzień pisał, że „reforma jędrzejewiczowska” przekształciła szkołę polską „z instytucji nauczającej, w instytucję przede wszystkim wychowującą”. Statut szkoły podkreślał bowiem, że „uczeń sposobi się przez wychowanie i kształcenie w szkole na świadomego swych obowiązków i twórczego obywatela Rzeczypospolitej, który za prawo naczelne uznaje dobro państwa”.

Wyobraźmy sobie owych uczniów unowocześnionego gimnazjum: pilnie wkuwają łacińskie słówka, uczą się dat i matematycznych wzorów. Ale wzrok ucieka za okna, skąd dochodzi gwar miasta. Ptaki zrywają się ku niebu czarną chmurą, słońce kładzie blaski na pochylone studenckie głowy, na książki upstrzone matematycznymi łamańcami, na niecierpliwe oczy i serca. My też wkuwaliśmy te wzory. Wkuwali je potem nasi wychowankowie i nasze dzieci. W tej kwestii nic do dziś się nie zmieniło.

Tamci uczniowie – tak samo jak my wiele lat później – też z nadzieją patrzyli w przyszłość. Wkrótce matura! Zdadzą ją, niestety, tuż przed wybuchem wojny. Dla wielu z nich będzie ona czasem straszliwych cierpień, a nawet śmierci.

Tuż po I wojnie światowej – ze względu na trudną sytuację materialną uczniów – nie wymagano w naszym gimnazjum obowiązkowego ubioru, ale już w 1923 roku ustalono szczegółowe przepisy dotyczące obowiązkowych mundurów dla gimnazjalistów.

Antoni Stańko wyliczał ich elementy: „Czapka „rogatywka” koloru ciemnogramatowego, na froncie znak „G”, dla Dębicy – opaska jasnoniebieska na czapce [...], bluza ciemnopopielata, wolna, zapięta [...] z leżącym wykładanym kołnierzem [...], pasek z tego samego sukna na biodrach, wolny [...]; w lecie dozwolone używanie koszuli koloru ciemnozielonego z wykładanym kołnierzem bez krawata, spodnie ciemnopopielate krótkie; ale dopuszczalne są i długie, w zimie płaszcz ciemnopopielaty z paskiem.

Uczniowie nosili te mundury z dumą, ale też potrafili z nich żartować, o czym świadczy ułożona przez nich piosenka:

„Że studencikiem jestem ja,
to wszyscy o tym wiecie.
Znąją mię tu, znają mię tam,
Znąją na całym świecie.
Odznaką mą są paski te,
Co na kołnierzu noszę,

Na czapce zardzewiałe „G”
I te spodenki w klosze”.

No tak, „to był świat w zupełnie starym stylu...” A myśmy narzekali na nasze granatowe fartuchy i tarcze!

Co prawda, te fartuchy – nazywane przez nas chałatami – wykonane z byle jakiego materiału, najczęściej „podszewkowego” [jedna strona matowa, druga błyszcząca], okropnie się gniotły i nigdy nie wyglądały elegancko; ale równocześnie skutecznie zasłaniały nasze ubiory – często również liche, stare i brzydkie.

Zachowało się zdjęcie mojej klasy z przesympatycznym katechetą uczącym nas religii – księdzem Zbigniewem Skubielem. Obowiązkowe chałaty, białe kołnierzyki, gładkie fryzurki. Za dziewczynami i na obu flankach – chłopcy w ciemnych ubraniach. Na rękawach – tarcze.

Chałaty, tak jak i obowiązkowe białe kołnierzyki – najpierw przyszywane fastrygowym ścięciem, a później przypinane za pomocą małych guziczków – musiałyśmy ciągle prasować. Pamiętam, gdy pewnego razu profesorka Pietrzykowska urządziła na korytarzu solidną awanturę mojej koleżance z klasy, gdyż uznała, że Tola miała za mały kołnierzyk. – Co to jest? To jakaś kpina z obowiązków! To, co założyłaś, to jakieś wspomnienie po kołnierzyku! Jutro proszę się pokazać w przepisowym ubraniu! Tak to było.

A czerwone tarcze z napisem: „LO 6 Dębica” miały być dla nas powodem do dumy. Wszak przynależało się do sławetnej szkoły; jedynej takiej w mieście, a nawet w okolicy. Ale to było dla nas – młodych, żywiołowych, zbuntowanych, pragnących swobody i wesołych włóczęg po ulicach – bardzo też stresujące i niewygodne.

Tarcze musieliśmy mieć naszyte na lewym rękawie fartucha [chłopcy – na ciemnym swetrze albo na marynarce], a także na ubraniu wierzchnim. Dodatkowo – w trosce o nasze zdrowie – zarządono, że od października do 1 maja [włącznie], mamy nosić berety „ozdobione” nad czołem okrągłym znaczkiem naszego liceum. Te berety – twarde, podłej jakości, wyglądały na naszych głowach jak paskudne, granatowe purchawki. Zniechęciliśmy się od razu.

Tak oznaczeni, a raczej „napiętnowani”, natychmiast rozpoznawalni, musieliśmy się wszędzie zachowywać godnie i zważać, czy nie ma w pobliżu kogoś, kto śledzi nasze zachowanie i – nie daj Boże! – doniesie władzom szkoły.

Próbowaliśmy więc nosić tarcze na agrafce, aby łatwo je można było odpiąć, ale dyżurujący na dolnym korytarzu profesorzy sprawdzali je

skrupulatnie, szarpali nasze rękawy i surowo żądali solidnego przyszycia, grożąc różnymi karami, m.in. obniżeniem oceny ze sprawowania. A wiadomo, że to mogło zadecydować nawet o pozostaniu na drugi rok w tej samej klasie.

A drugorocznych uczniów było wówczas bardzo dużo, bo profesorszy z całą stanowczością egzekwowali naszą wiedzę, chętnie stawiali „pały”, nie darowali żadnym słabościom i lenistwu, a również ogromną wagę przywiązywali do odpowiedniego zachowania i ubioru.

Dopiero dużo później – w czasie wprowadzania kolejnej ze szkolnych reform – wymyślono hasło: „Dwójka dla ucznia to dwójka dla nauczyciela”, co spowodowało dużo mniejszą drugoroczność; niestety, kosztem poziomu nauczania. Nauczyciele byli bowiem przez władze rozliczani z decyzji o pozostawieniu ucznia na drugi rok w klasie; żądano sprawozdań z udzielania mu pomocy i ze współpracy z rodzicami, wymagano angażowania kolektywu klasowego, zmuszano do tłumaczenia każdej takiej decyzji na konferencjach Rady Pedagogicznej. Trzeba było wysłuchiwać cierpkich uwag dyrektora o zaniżaniu poziomu szkoły i nieusprawiedliwionej niczym winie uczącego, nie radzącego sobie z obowiązkami. Zdarzało się więc, że nauczyciele – chcąc uniknąć tych nieprzyjemności [wbrew swemu przekonaniu i lekceważeniu obowiązków przez ucznia], dla tzw. „świętego spokoju” promowali go do kolejnej klasy.

Nasi profesorszy byli najczęściej nieprzejednani; zarówno w sprawie ocen, jak i w sprawie obowiązujących ubiorów, a także owych tarcz i berecików. Przechytrzenie ich czujności było dla nas pewnego rodzaju grą, a spryciarze byli przez kolegów podziwiani i naśladowani.

Używaliśmy różnych uczniowskich sztuczek. Staraliśmy się np. dowiedzieć, kto w danym dniu dyżuruje przy drzwiach wyjściowych, bo niektórzy profesorszy byli bardziej, a inni – mniej tolerancyjni. Niektórzy nie uznawali żadnych wyjaśnień: że się zapomniało, że ostatni raz, że zmieniliśmy w ostatniej chwili ubranie, że w praniu, że się zgubiło czy zniszczyło. Nic nie pomagało. Uczeń nie był wpuszczany do budynku, a jego nieobecność była nieusprawiedliwiona.

Na taką okoliczność dziewczyny nosiły z sobą igłę i nici, i za rogiem budynku przyszywały pośpiesznie – sobie, koleżankom czy kolegom – tarcze i znaczki na berecie. Pożyczało się też ubranie czy beret z solidnie przyszytymi oznaczeniami, wyrzucając je przez okna z którejś z bocznych pracowni dla czekającego na dole delikwenta w potrzebie. Niestety, również na terenie szkoły bywały niespodziewane kontrole.

Najczęściej więc nosiliśmy tarcze przyszyte zgodnie z żądaniami władz, a zaraz po wyjściu ze szkoły wrzucaliśmy nasze mundurki do teczek, by – przebywając „na mieście” – nie być zidentyfikowanym. Chociaż nie robiliśmy niczego złego, ale w taki sposób wyrażaliśmy swój młodzieńczy bunt, swoje poczucie niezależności, swą odwagę i rezon. Była to też pewnego rodzaju „moda”, czyli „szpan” – jak wówczas mówiono.

Jeszcze w czasach, gdy wróciłam do liceum jako nauczycielka, wciąż obowiązywały szczegółowe przepisy dotyczące zachowań, ubiorów, fryzur. Pamiętam, jaką syzyfową pracą była walka z modnymi wówczas długimi włosami moich pierwszych wychowanków, buntujących się przeciwko obowiązkowemu wówczas na chłopięcych głowach „wojskowemu językowi”. Upominana przez dyrektora, by coś z tym zrobić, gdyż to „brak patriotyzmu i szacunku do szkoły”, prosiłam, groziłam, przypominałam i – przegrywałam. Niektórych z owych wychowanków i dziś spotykam: elegancko ubrani, krótko ostrzyżeni, zdyscyplinowani. Bunt się ustatecznił.

Uśmiecham się. Na zachowanym zdjęciu w tych długich włosach również wyglądają niewinnie i grzecznie.

Pamiętam też, gdy moi uczniowie buntowali się przeciwko szkolnemu umundurowaniu. Nie nalegałam zbyt. Rozumiałam ich i najczęściej patrzyłam przez palce. Tylko niektórzy nauczyciele rygorystycznie tego przepisu przestrzegali. Ale była to coraz częściej walka z wiatrakami. Z każdym kolejnym rokiem uczniowie coraz bardziej łamali dawne zasady; chałaty były zastępowane ciemnymi sukienkami lub bluzkami i spódnicami, a wkrótce potem nowa moda zawładnęła światem i dziewczyny porzuciły typowo damskie ciuszki na rzecz dżinsowych bluz i „dzwonowatych” spodni, niekształtnych dresów, powyciąganych swetrów i męskich koszul. Dżins pokochali również chłopcy. Wkrótce ubiory męskie i damskie niewiele się od siebie różniły.

Pamiętam wyjście młodzieży na jakiś film do domu kultury „Kosmos”. Spoglądałam ze smutkiem na idących chodnikiem uczniów. Była to klasa koedukacyjna, ale ani jednej spódniczki. Około czterdzieści par podobnych do siebie dżinsowych, ponurych, granatowo-szarych spodni i tylko jedno spodnie – czarne. Wyglądało to brzydko, smutno, szaro, bez wdzięku.

Ale moda młodzieżowa wciąż się zmieniała, a my, nauczyciele nie nadążaliśmy za nią. Pewnego razu zwróciłam jednej z dziewczyn uwagę, że chyba przez pomyłkę założyła dresową bluzę na lewą stronę. Popatrzyła na mnie z ironią:

– Tak się teraz nosi.

Kiedy indziej zaczepiłam syna koleżanki, który schodami zdążył do auli na jakąś imprezę. Był elegancko ubrany, ale spod kamizelki na plecach wymknęła mu się biała koszula.

– Tak jest modnie – odrzekł z wyższością.

Odtąd żadne uczniowskie ekstrawagancje nie sprowokowały mnie do wygłaszania jakichkolwiek komentarzy. Ignorowałam wielkie jak koła młyńskie dziury na jaskrawych skarpetkach zblazowanego „aktora”, rozczochrane dredy awangardowego muzyka czy makijaże dziewczyn w stylu „zombie”. Wiadomo, nauczyciele to „konserwa”, „wapno”, „zgredy” i o obowiązującej modzie nie mają zielonego pojęcia. A młodzież każdego pokolenia musi się przecież buntować przeciwko uznanym zasadom, bo natura ludzka jest z gruntu anarchiczna. Wiadomo również, że z czasem ów bunt się ustatecznia, będąc jednocześnie siłą sprawczą w świecie. I nie dotyczy to tylko ubiorów. Ale wróćmy do dawnych czasów.

Aneta Kwolek pisała, że młodzież naszej szkoły zawsze chętnie uczestniczyła w różnych wydarzeniach patriotycznych. Przytoczyła m.in. fragment sprawozdania z roku szkolnego 1919/1920: „W Dębicy nie było ani jednego obchodu, w którym by zakład nie miał poczesnego udziału, owszem, najważniejsze manifestacje patriotyczne przygotował i urządził ze spół naszych uczniów i profesorów”. Tak też było np. 13 X 1918 roku z okazji proklamowania przez Radę Regencyjną niepodległości państwa, gdy uczniowie gimnazjum wzięli udział w dziękczynnym nabożeństwie, czy 3 IV 1919 roku, gdy uroczyście witali przejeżdżającego przez Dębicę generała Józefa Hallera, o czym wspominała Anna Żerebecka:

„Przez nasze miasto przejeżdżał generał Haller Józef. Młodzież gimnazjalna wyraziła hołd przez usta dyrektora. Wódz wzruszony do głębi odpowiedział:

– Proszę złożyć uczniom serdeczną podziękę za ich manifestację. Młodzież jest najzdrowszą częścią społeczeństwa, w niej pokładam największe nadzieje”.

Tuż po odzyskaniu niepodległości w młodym państwie następowały zmiany. Odbudowywano kraj, w 1920 roku rozpoczęto wznoszenie „polskiego okna na świat” – portu w Gdyni, w 1933 odkryto szczątki grodu w Biskupinie, w 1938 na Nabrzeżu Wiślanym w Warszawie stanął pomnik Syrenki. Początkowa „radość z odzyskanego śmietnika” – jak nazwał schyłek po zaborach polityczny pisarz Juliusz Kaden-Bandrowski – szybko ustąpiła miejsca niepokojom i konfliktom towarzyszącym formowaniu się nowej władzy. Niedługo też cieszą się z odzyskanej niepodległości.

Już w 1920 roku wybuchła wojna polsko-bolszewicka, która – jak pisała Aneta Kwolek – „była wielką próbą wychowania młodzieży i postawy nauczycieli [...]. Początkowo uczniowie „utworzyli Egzekutywę Wojenną mającą za zadanie zasilić wyczerpane szeregi jak najliczniejszym zastępem świeżego ochotnika [...]. Zbierali amunicję i sprzęt wojenny, starsi zgłaszali się do służby ochotniczej”. Znow Polacy składali ofiarę swej krwi.

Julian Roztoczyński [matura – 1925] wspominał: „Nadciągała burza ze wschodu. Pojawiły się apele i odezwy najwyższych czynników państwowej, między innymi prezesa Rady Ministrów Wincentego Witosa, dowódcy armii ochotniczej generała Hallera i naczelnego wodza, marszałka Józefa Piłsudskiego – wzywające do zaciągnięcia się pod ochotnicze sztandary wojskowe dla obrony kraju zagrożonego drugim potopem w historii. Dużo młodzieży naszego gimnazjum odpowiedziało aktywną deklaracją i czynnym udziałem [...]. Byliśmy też świadkami i radość budziła nasze serca, jak właśnie w Dębicy formował się pułk ułanów, później nazwany IX Pułkiem Ułanów Małopolskich pod dowództwem ppłk. Józefa Dunin-Borkowskiego.

Młodszy, którzy nie ukończyli 16 lat, mieli pretensje do losu, że nie urodzili się „pod wcześniejszą gwiazdą”. Uczniowie wyższych klas naszego gimnazjum wzięli udział w zaciągu ochotniczym”. Wielu z nich poległo, a społeczność szkoły – jak zawsze – pamiętała o bohaterach i czciła patriotyczne rocznice. Uczniowie gimnazjum opiekowali się też grobem zmarłego w Dębicy pisarza-legionisty Jerzego Żuławskiego, uczestniczyli w uroczystej mszy świętej z okazji imienin marszałka Józefa Piłsudskiego czy prezydenta Polski.

Z pompą obchodzono też 25-lecie powstania gimnazjum. Była msza święta, okolicznościowa akademia, zawody sportowe, uroczysty obiad w „Sokole” i raut z muzyką.

W roku szkolnym 1928/1929 „za zebrane przez młodzież pieniądze ufundowano pamiątkową tablicę ku czci poległych w I wojnie światowej i w okresie walki o niepodległość; obecnie została odtworzona na pierwszym piętrze budynku szkoły” [Aneta Kwolek].

Na losy naszego miasta i naszej „Alma Mater” zawsze miały wpływ wydarzenia dziejące się w kraju, w Europie i na świecie. W grudniu 1922 roku Eligiusz Niewiadomski zastrzelił pierwszego prezydenta niepodległej Polski Gabriela Narutowicza, w 1924 roku w nowym państwie radzieckim, utworzonym po rewolucji 1917 roku, zmarł jego wódz Włodzimierz Lenin, a jego schedę przejął Józef Stalin, zapoczątkowując najbardziej ponury okres rządów totalitarnych, znaczonego terrorem, głodem, gułagami i po-

gardą dla człowieka, a w maju 1926 roku Józef Piłsudski dokonał zamachu stanu. W 1927 roku Amerykanin Charles Lindberg przeleciał Atlantyk, w 1928 Alexander Fleming wynalazł penicylinę. Gwałtownie zbliżał się wielki kryzys światowy lat 30-tych, którego początkiem był czarny czwartek 24 października 1929 roku na giełdzie nowojorskiej, znamionujący zapasć ekonomiczną, która ogarnęła cały świat.

W 1930 roku zakończył życie Tomash Edison, w 1932 – tuż po zwycięskich zawodach lotniczych w Berlinie zginęli koło Cieszyna Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura, a w 1934 – zmarła Maria Skłodowska-Curie.

Rosnący w siłę faszyzm doprowadził w 1933 roku do wyboru Adolfa Hitlera na kanclerza Niemiec. Ten, na pierwszy rzut oka groteskowy polityk z charakterystycznym wąsikiem i „zaczeską”, spadającą na oczy, wyzywający się na partyjnych wiecach, budził w Europie uzasadniony niepokój. Następująca militaryzacja Niemiec, rządy nazistów, ustawy norymberskie przeciw Żydom, palenie książek, emigracja elity intelektualnej, obozy dla przeciwników władzy, wkroczenie wojsk niemieckich do Austrii, pakt Ribbentrop-Mołotow – wszystko to stanowiło wielkie zagrożenie dla świata i przybliżało widmo nowej wojny.

W 1935 zmarł Józef Piłsudski, w 1936 roku abdykował angielski następca tronu Edward II, by poślubić Amerykankę Wallis Simpson, w 1939 zmarł papież Pius XI, a na tronie Piotrowym zasiadł Pius XII.

Szczególnie uroczyście czczono w całym kraju pamięć Józefa Piłsudskiego. Wielu naszych rodaków jechało w tym celu do Warszawy czy do Krakowa. Czy byli wśród nich nasi „studenci”? Na pewno obserwowali wydarzenia dziejące się w Polsce i na świecie, w których wkrótce mieli sami uczestniczyć jako elita polityczna i kulturalna kraju.

Redakcje gazet donosiły wówczas o „pękniętym sercu narodu” i pisały, że wszędzie żegnały marszałka tłumy ludzi. „Słychać było wycie syren, warkot myśliwców lecących nad głowami zgromadzonych i bicie kościelnych dzwonów”.

Corocznie szkolne mury dębickiego gimnazjum opuszczały kolejne rzesze absolwentów, a na ich miejsce przybywali nowi – żądni wiedzy, ciekawi świata, marzący o robieniu karier. Bo – obok wielkiej polityki – toczyło się zwyczajne życie, w które śmiało wkraczała nowoczesność. Pojawiały się nowe wynalazki, rozwijała się motoryzacja, kwitło życie kulturalne. Coraz popularniejszą dziedziną, budzącą powszechne zainteresowanie był w okresie dwudziestolecia również sport. Polscy sportowcy byli ulubieńcami młodzieży.

W 1928 roku Halina Konopacka zdobyła na olimpiadzie w Amsterdamie pierwszy złoty medal dla Polski rzucając dyskiem, w 1932 roku w Los Angeles wywalczyliśmy 2 złote medale: Janusz Kusociński w biegu na 10 kilometrów i Stanisława Walasiewiczówna na 100 metrów. Polacy przywieźli z tej olimpiady jeszcze 1 srebrny i 4 brązowe medale.

Niestety, kolejne Igrzyska Olimpijskie w 1936 roku w Berlinie odbywały się pod znakiem tryumfującego faszyzmu. Ale i tam zdobyliśmy 3 srebrne i 3 brązowe medale.

Dużym zainteresowaniem cieszyły się też pierwsze Mistrzostwa Świata w piłce nożnej. W finałowym meczu niespodziewanie tryumfowali Urugwajczycy, wygrywając z Brazylią 4:2.

Tyle wydarzeń! – mówiąc słowami Jana Wiktora: „świat myślą nieogarniony”.

Ów świat, zmieniający się w coraz szybszym tempie, wymuszał też zmiany w szkolnictwie. Dębickie gimnazjum przez całe dwudziestolecie działało sprawnie, ciesząc się coraz większą renomą. I choć zmieniali się uczniowie i nauczyciele gimnazjalni, zmieniała się szkoła, ale wysokie wymagania, wzniosłe ideały, kształtowanie postaw patriotycznych i prospołecznych pozostawały niezmiennie.

W naszej szkole zaczęły się coraz liczniej pojawiać dziewczęta, więc gimnazjum z męskiego przekształciło się w koedukacyjne. Początkowo „studentek” było niewiele.

Wciąż preferowano dla kobiet wykształcenie domowe i normy zachowań wyrażające się w popularnym haśle: „Buzia w ciup, dłonie w mały drzyk”, ale pod koniec lat 20-tych zaczął się upowszechniać styl na chłopczykę [rozpropagowany przez amerykańskiego pisarza Scotta Fitzgeralda], uwalniający dziewczyny od sznurowanych gorsetów, dziwacznych, obowiązkowych kapeluszy i długich, niezgrabnych sukien, towarzyszący dążeniom do uzyskania przez kobiety większych praw i większej samodzielności. Okazało się, że dziewczęta garnęły się do wiedzy i osiągały sukcesy w nauce nie mniejsze niż ich koledzy. Kariery robili jednak przede wszystkim mężczyźni, dlatego wśród sławnych absolwentów gimnazjum z okresu 20-lecia prawie nie ma kobiet. Dziś w naszym liceum dziewcząt jest więcej niż chłopców, a ich osiągnięcia w różnych dziedzinach życia są równie spektakularne jak kariery mężczyzn.

By sprostać wymogom czasu, potrzeba było nowych, zdolnych, dobrze wykształconych nauczycieli. Dlatego w naszym mieście od września 1922 roku zaczęło funkcjonować Prywatne Seminarium Nauczycielskie Żeńskie

im. Królowej Jadwigi. Jego założycielem był dyrektor gimnazjum Piotr Pasowicz, a pierwszym kierownikiem – profesor Jan Piotrowski. Zajęcia odbywały się w budynku naszej szkoły. Owo seminarium wykształciło wielu wykwalifikowanych, wspaniałych pedagogów, podejmujących potem pracę w mieście i w okolicy. Przy seminarium działała też szkoła ćwiczeń, „by przyszłe nauczycielki – jak pisał Marian Grundboeck – w zajęciach z dziećmi nabywały rutyny pedagogicznej”.

Jan Szymaszek, który zdawał maturę w 1932 roku, wspominał: „Gimnazjum w Dębicy było w tym czasie typowo męskie. Pojedynczo spotykane dziewczęta uczęszczały na prawach eksternistek [nazywanych też hospitantkami]. Miało to swoje dobre strony, bo staraliśmy się być rycerskimi wobec dam, ale z drugiej strony nie umieliśmy bliżej poznawać psychiki dziewcząt. Z zainteresowaniem zerkaliśmy przez okna na dziedziniec szkolny, gdzie często przebywały uczennice sąsiadującego Seminarium Nauczycielskiego”.

W 1932 roku przeprowadzono reformę oświatową, tę „jędrzejewiczowską”, zmieniającą system szkolny, wprowadzającą 4-letnie gimnazja i 2-letnie licea, koedukację, nowe formy doskonalenia nauczycieli oraz głoszącą, że wpajanie wiedzy jest tylko jednym z elementów kształtowania osobowości człowieka, że trzeba go również wychowywać, formować jego charakter, rozwijać zainteresowania, rozbudzać postawy społeczne. Na mocy tej ustawy w 1937 roku dawne gimnazjum zostało przekształcone w Państwowe Liceum i Gimnazjum imienia Władysława Jagiełły w Dębicy, które odtąd miało być państwową szkołą średnią ogólnokształcącą [w jej skład wchodziło 4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum].

W latach trzydziestych także w naszym mieście nastąpiły wielkie zmiany. W tym samym 1936 roku, gdy Dębica stała się powiatem, zapadła historyczna decyzja o lokalizacji na naszych terenach – w ramach powstającego Centralnego Okręgu Przemysłowego – kilku większych zakładów przemysłowych: w Dębicy – fabryki przemysłu gumowego „Stomil”, w Pustyni – wytwórni kauczuku, w Pustkowie – zakładu wytwarzającego materiały wybuchowe. Ta decyzja miała ogromne znaczenie dla wielu rodzin, gdyż spowodowała ożywienie gospodarcze Dębicy i regionu, zapewniła pracę wielu mieszkańcom, poprawiła ich byt, a także rozbudziła ambicje dotyczące kształcenia dzieci. W 1936 roku utworzono w Dębicy jednoroczną Szkołę Przysposobienia Kupieckiego, której dyrektorem został nauczyciel matematyki w naszym gimnazjum – Ludwik Kita. Przedmiotów ogólnokształcących uczyli też profesorzy naszej szkoły. W 1937 roku kurs ów

przekształcono w Miejskie Koedukacyjne Gimnazjum Kupieckie, które dało początek późniejszemu „ekonomikowi”.

Tamto dwudziestolecie obfitowało również w wiele rewolucyjnych osiągnięć w dziedzinie sztuki i kultury. W 1919 roku Marcel Duchamp namalował dadaistyczny, zmodyfikowany obraz *Giocondy z wąsami*, w 1937 Salwator Dali – surrealistyczną „Płonącą żyrafę” a Pablo Picasso – kubiistyczną „Guernicę”. Nowatorskie trendy zawładnęły nie tylko malarstwem, ale też literaturą, architekturą, sztuką teatralną, muzyką, filmem. Zrodził się futuryzm, który – zafascynowany wizjami przyszłości – chciał burzyć dotychczasowy dorobek kulturalny, ekspresjonizm, będący „krzykiem duszy” doświadczonych w strasznej wojnie, czy właśnie surrealizm, odwołujący się do sennych koszmarów i katastroficznych wizji.

Powstawało dźwiękowe kino, rodził się jazz. Młodzież tańczyła też foks-trota i charlestona, fascynując się popisami Freda Astaire’a i Ginger Rogers.

W połowie lat dwudziestych zmarli dwaj nasi najwięksi pisarze tradycjonalisci – wciąż obecni w lekturach szkolnych: Henryk Sienkiewicz i Władysław Reymont, a ich miejsce zajęli nowi, awangardowi twórcy, jak np. formista Witkacy, ironista Witold Gombrowicz, ale też kontynuatorzy wielkiej prozy: Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, Jan Parandowski. Poeci tworzyli grupy literackie, ogłaszali manifesty programowe, chcieli być „signum temporis” – znakiem czasu. Największą sławę zdobyli „Skamandryci”, poeci „Awangardy Krakowskiej”, „Formiści”, „Futuryści” i „Katastrofiści”.

W 1926 zmarł ulubieniec mas Rudolf Valentino, 1929 roku rozdało pierwsze Oscary; honorową statuetkę odebrał wtedy Charlie Chaplin. W tym samym roku powstało ponadczasowe dzieło literackie „Przeminęło z wiatrem”, które przez lata wzruszało do łez wszystkie dziewczyny.

Pamiętam, że często nawet na lekcjach, pod ławką – pochłaniałyśmy okropnie „zacytane” strony. A potem, jeszcze do późnej nocy, zamiast wkuwać łacińskie słówka, czy uczyć się chemicznych wzorów, płakałyśmy nad losami Skarlet Ohary, Reda Butlera, Aschleya, Melanii. Za oknami wtórowały nam jesienne deszcze, w ogródku konały ostatnie zwiędłe róże, a my – zakochane w Skarlet – chłonełyśmy jej filozofię życiową: „Dziś nie będę się martwić. Pomyślę o tym jutro”.

W 1926 roku zaczęło emitować pierwsze audycje polskie radio. Mieczysław Fogg swym aksamitnym głosem śpiewał „Tango Milonga” Jerzego Petersburskiego, a Hanka Ordonówna zapewniała, że „Miłość ci wszystko wybaczy”. W kinach wyświetlano filmy z udziałem wielkich gwiazd: Jadwigi Smosarskiej, Mieczysławy Ćwiklińskiej, Eugeniusza Bodo czy Adolfa

Dymszy, w modnych kabaretach występowały: Loda Halama, Mira Zimińska, tańczyła „Messalka”, szmoncesy wygłaszał Kazimierz Krukowski-Łopek, a zapowiadał artystów charyzmatyczny Fryderyk Jarosy.

W 1931 roku cała Polska żyła procesem Rity Gorgonowej, która zamordowała córkę swego konkubenta. Z jakimież wypiekami na twarzy musiały śledzić ówczesne gimnazjalistki tamtą prasę, rozpisującą się o tym sensacyjnym wydarzeniu!

Życiem naszego gimnazjum, warunkami bytowymi uczniów interesowała się cała społeczność Dębicy, która życzliwym okiem patrzyła na szkołę, była z niej dumna i chętnie udzielała potrzebnej pomocy.

Edward Wodzień pisał: „Nie szczędzono wysiłków, by pozyskać dla gimnazjum przychylność Rady Miasta, właścicieli niewielkich przedsiębiorstw i zasłużonego dla miasta mecenasa – hrabiego Raczyńskiego. On podarował szkole 1 hektar pastwiska, na którym urządzono stadion sportowy, a Zarząd Miasta oddał w użytkowanie część placu targowego na boisko do koszykówki [...]. W 1937 roku urządzono także kąpielisko szkolne. Od roku szkolnego 1937/1938 funkcjonował w gimnazjum gabinet dentystyczny”.

By skutecznie pomagać szkole, już w marcu 1920 roku utworzono Komitet Rodzicielski. Jego działalnością kierował na początku naczelnik sądu S. Dihm.

„Wśród celów jego działalności – jak pisała Aneta Kwolek – znalazło się: dbanie o ład i czystość budynku szkolnego, badanie warunków życia uczniów mieszkających na stancjach, pomoc materialna świadczona gimnazjum [zakup ławek, pomocy naukowych, opłaty, itp.]”. Zadania te wynikały z trudnej sytuacji materialnej szkoły i jej wychowanków. Nie ingerowano jednak w działania dydaktyczne i wychowawcze.

Uczennica gimnazjum w latach 1939-1946 Ewa Cięciel wspominała, że – choć tuż po wojnie kompetencje Komitetu Rodzicielskiego były ograniczone; jego członkowie prowadzili m.in. bibliotekę podręczników. „Uczniowie będący w trudnej sytuacji materialnej – a takich nie brakowało – zamiast kupować książki, mogli je za drobną opłatą wypożyczyć”.

W latach 50., zgodnie z nową polityką władz oświatowych, przyznano Komitetowi Rodzicielskiemu bardzo duże uprawnienia w zakresie zadań ideologicznych, a także kontrolnych, dotyczących nie tylko uczniów, ale również nauczycieli. „Przedstawiciele komitetu mieli nawet możliwość hospitowania zajęć lekcyjnych i pracy kółek, odwiedzali mieszkania uczniów i stancje. W roku szkolnym 1955/1956 powołano także specjalną komisję uprawnioną do kontrolowania młodzieży szkolnej przebywającej w godzinach wieczornych w miejscach publicznych” [A. Kwolek].

Taka inwigilacja środowiska uczniowskiego, a nawet nauczycielskiego, była czymś okropnym; nie tylko ograniczała wszelką swobodę, ale burzyła poczucie bezpieczeństwa, niszczyła więzi międzyludzkie, podważała kompetencje uczących, zaufanie, pewność siebie. Królował strach, atmosfera podejrzeń i nieufności.

Na szczęście te czasy minęły, a Komitet Rodzicielski znów stał się organizacją lojalną wobec szkoły, darzącą zaufaniem nauczycieli, niezwykle przyjazną, pomocną, pożyteczną; podejmował wiele inicjatyw sprzyjających krzewieniu najwartościowszych ideałów, żywo włączał się w realizację różnych zadań szkoły, pomagał wychowawcom i uczniom, przez co wpisał się na stałe w chlubną historię naszego liceum. Zresztą działa do dziś.

Korzystaliśmy z jego funduszy jako uczniowie i potem – jako wychowawcy. Dzięki pomocy Komitetu Rodzicielskiego mogliśmy np. brać udział w wycieczkach szkolnych, a potem sami je organizować.

Przez cały okres trwania liceum przewinęło się przez ten Komitet wielu wspaniałych, chętnych do współpracy ludzi; pełnych inicjatywy, pomysłów, pragnących jak najwięcej uczynić dla szkoły i młodzieży.

Nie sposób ich wszystkich wymienić. Ale podam chociaż kilka nazwisk rodziców, z którymi miałam możliwość i przyjemność współpracować. Oto oni: pan Edward Brzostowski – wielce zaangażowany w sprawy naszego liceum, zawsze spieszący z pomocą, pani Gajewska i pani Woźniak – tak pięknie nas goszczące w czasie studniówek i „dożywające” podczas matur, pani Kądziaława, która tuż po rozpoczęciu roku szkolnego przyszła do szkoły, by zapytać, w czym mogłaby pomóc, panie: Koszelnik i Janeczko, które zorganizowały wyjazd młodzieży do ośrodka sportowego w Straszynie i obdarowały wszystkich uczestników smakowitymi ciasteczkami, pan Wielgos – zawsze chętny do pomocy w organizowaniu wycieczek klasowych, pan Bik, który podarował dla pracowni polonistycznej eleganckie tablice służące do dziś jako gazetki ścienne, a także zorganizował wyjazd do Zawady, gdzie młodzież mogła poznać historię zawadzkiego zamku, zabytkowego kościoła z cudownym obrazem Matki Boskiej, a także wypocząć w parku i zająć się kiełbaskami upieczonymi na ognisku. Odwiedziła też słynną, starą karczmę, gdzie w roku 1979 nakręcono epizod filmowej komedii przygodowej „Ojciec Królowej” w reżyserii Ludwika Solorza, w której główne role zagrali wspaniali aktorzy: rolę króla Jana Sobieskiego – Mariusz Dmochowski, jego żony Marysieńki – Anna Seniuk, a jej ojca – Ignacy Machowski. Dzięki staraniom pani Czernickiej została zorganizowana wspaniała „zielona szkoła” w Rozdzielu koło Limanowej,

gdzie młodzież nie tylko się uczyła, ale poznawała tamtejsze cudne okolice, organizowała integracyjne wieczory, występy artystyczne i zabawy przy ognisku.

Jedną z inicjatyw Komitetu Rodzicielskiego była też realizacja hasła: „Szkłanka mleka dla ucznia”. Wyraża ją moja najkrótsza, 6-literowa fraszka pt. „Zaproszenie do picia mleka na dużej przerwie”:

„Idź pić!”

Dorównałam tu w lapidarności fraszce ulubionego Jana Sztaudyngera pt. „Nagrobek człowieka zmarłego na udar słoneczny”:

„Ceń cień”.

Chociaż – niestety – nie udało mi się pobić rekordu fraszki „Idol” [nieznanego autora], która ma tylko 5 liter:

„As mas”.

Do akcji wydawania uczniom mleka na dużej przerwie włączono także nauczycieli.

Pamiętam, jak pewnego razu z profesorką Teresą Czyżowską zostałyśmy zwolnione przez dyrektora Galasa z lekcji, by ugotować mleko dla uczniów. Postawiłyśmy więc olbrzymi gar na płycie kuchennej w maciupieńkiej kuchence znajdującej się na parterze, na końcu bocznego, prawego skrzydła szkoły. Mimo że piec był chyba z czasów króla Ćwieczka, nie trzeba było palić w nim węglem. Wewnątrz paleniska był bowiem zamontowany gazowy palnik mający kształt podkowy, który ogrzewał kuchenną płytę. Bałyśmy się tego dziwnego „ustrojstwa”, więc poprosiłyśmy woźną, która z chęcią przybiegła na pomoc.

Roześmiana, w takiej śmiesznej, białej, barankowej czapeczce, zabrała się chyżo do pracy z miną znawcy, z pobażaniem spoglądając na dwie niedoświadczone nauczycielki. Chwyciła zapaliki, podpaliła jakiś papier, otworzyła drzwiczki i... jak nie rypnie! Okno otworzyło się z hukiem, a my zamarliśmy bez ruchu. Pani woźna patrzyła na nas blada jak papier, z rękami przy tej czapeczce, która stała się czarnym, skwierczącym skwarkiem. Nie dostałyśmy zawału chyba tylko dlatego, że tak nas zszokowała ta czapeczka. Spojrzałyśmy na siebie i ryknęłyśmy śmiechem. Bo na szczęście nic

groźniejszego się nie stało. Wróciliśmy do klas prawie całe i zdrowe, choć bez grzywek i rzęs, a dyrektor już nigdy nie powierzył nam tak odpowiedzialnego zadania. Podejrzewam też, że młodzież w owym feralnym dniu nie dostała mleka i musiała obejść się smakiem.

Z uśmiechem wspominam też inny ciekawy szkolny epizod. Trwa jakaś wielka szkolna impreza. Aula wypełniona po brzegi: zebrali się uczniowie, profesorzy, dyrekcja oraz zaproszeni goście, reprezentujący dębickie władze. Uroczy przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego całuje rączki pań profesorek, rozdziela uśmiechy, wita wszystkich; trochę zdenerwowany, bo za chwilę wystąpi publicznie.

Sala odświętnie przystrojona, za sceną szmery „aktorów” przygotowujących część artystyczną. Pan Ludwik poprawia elegancki krawat, zapina starannie guziki w marynarce, odchrząkuje cichutko i podchodzi do mikrofonu. Jego wystąpienie – jak zwykle – krótkie, serdeczne, zostaje nagrodzone szczerymi brawami. Bo Pan Ludwik nigdy nie smęcił długimi przemowami i zawsze umiał trafić do serc młodych ludzi. Zanim wróci na swe miejsce w pierwszym szeregu krzeseł, uśmiecha się szeroko w stronę profesorki Marysi Marek, pełniącej funkcję wicedyrektora szkoły i mówi: – A teraz prosimy o zabranie pani dyrektor.

W sali na moment zaległa cisza. A potem buchnął śmiech, któremu nie było końca. To była niezapomniana chwila!

Oczywiście nikt się nie obrażał, nikt nikogo nie zabierał, a pani dyrektor skwitowała ten lapsus językowy, to pominięcie jednego małego słowa „głosu”, tak bardzo zmieniające sens utartego powiedzenia „zabrać głos”, które wywołało niespodziewaną wesołość – serdecznym śmiechem. Wywołana tak zaskakująco – oczywiście – zabrała głos, a lapsus pana Przewodniczącego przeszedł do historii anegdot szkolnych.

W 1992 roku powstała nowa instytucja wspierająca szkołę – Rada Szkoły, w skład której weszli przedstawiciele rodziców, nauczycieli i uczniów. Jedną z form działalności owej Rady stały się coroczne bale charytatywne, z których dochody były przeznaczone na niezbędne potrzeby szkoły.

Zazdrościliśmy profesorce Ani Dominiak, która została członkiem komitetu organizacyjnego, że mogła uczestniczyć w tych balach. Szczególnie czekałyśmy na jej wrażenia po spotkaniu z artystką Kasią Skrzynecką, która występowała pewnego razu jako gość specjalny. Byłyśmy bardzo rozczarowane, gdy okazało się, że artystka nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Po zaśpiewaniu każdej piosenki wychodziła szybko na zaplecze, gdzie urządzono przytulną garderobę.

Zupełnie inaczej zachowywali się inni artyści. Np. w czasie antraktu w spektaklu dla młodzieży liceum w Domu Kultury „Mors”, aktorzy zaprosili mnie na zaplecze i miło ze mną gwarzyli. Laura Łącz, wypoczywająca z filiżanką jakichś ziółek, w eleganckim szlafrocжку i pantofelkach z futerkowymi pomponikami, z zainteresowaniem pytała o nasze codzienne troski, o dzieci, zaopatrzenie, warunki pracy, a Janusz Zakrzeński, który wkrótce potem zginął w katastrofie smoleńskiej, był ciekawy sytuacji w naszym mieście, kurtuazyjnie chwalił czyste ulice, nowe kościoły, nowoczesny dom kultury; pytał o słynny „Igloopol” i o naszą szkołę twierdząc, że znał kogoś, kto był jej absolwentem i miło ją wspominał.

Wróćmy jednak do końca lat trzydziestych XX wieku. Nasza szkoła – ta, która „na progu wieku zakwitła” i zdobyła już zasłużoną renomę, ma wkrótce świętować 40-lecie istnienia. Ale życie zgotuje dramatyczną niespodziankę.

Jeszcze w kwietniu 1939 roku dumnie otwierano w Nowym Jorku Wystawę Światową z optymistycznym hasłem: „Świat Jutra”, na której polski pawilon zdobił konny posąg króla Władysława Jagiełły – patrona naszego gimnazjum [dziś w Central Parku], jeszcze na terenie wystawy zakopano radośnie Kapsułę Czasu z różnymi symbolami epoki, ale już za progiem czaił się straszliwy kataklizm wojenny, zagrażający światu.

Maturzyści 1939 roku cieszą się z nadchodzących wakacji, dumnie niosą do domów świadectwa maturalne, nie wierzą wieściom o zbliżającej się katastrofie...

Cezary Harasimowicz we wspomnieniu o matce pisał: „Stop! Zatrzymajmy się w tym miejscu. Stoimy na granicy dwóch światów. Moja osiemnastoletnia mama połyka łzy, jeszcze o tym nie wie, że ból i gorycz będą teraz nieodłącznym atrybutem nadchodzącego świata [...]. Jest maj. Kwitną kasztany, pachną bzy i tak dalej. Za chwilę będą wakacje, potem zaplanowane studia [...], potem dorosłe życie, plany, marzenia [...]. „A lato było piękne tego roku” – napisze poeta w swoim wierszu, ale jeszcze niebo jest czyste błękitem...”

Absolwenci dębickiego gimnazjum z 1939 roku również rozjechali się do swych domów, pełni planów na dorosłe życie.

Lato było upalne i zwyczajne. Pisałam o nim w „Polach zielonych...”. Dojrzewały pięknie zboża, ludzie pracowali przy żniwach, zwózce, uprzętanii pól. Radio w porze obiadowej nadawało audycje z muzyką rozrywkową; śpiewała Hanka Ordonówna i Mieczysław Fogg. W gazetach entuzjastycznie pisano o zdobyciu przez Polaków ośmiotysięcznika Nanda Devi w Himalajach, co było dużym sukcesem, choć okupionym śmiercią części

ekipy wspinaczy. Donoszono o wyścigu kolarskim dookoła Polski i o rozbudowie Centralnego Okręgu Przemysłowego. Pojawiały się wprawdzie też informacje o narastającym w Europie napięciu, ale podkreślano również, że mamy oddanych sojuszników, a Polska była ukazywana jako kraj silny, posiadający sprawną armię, właściwie rządzony i bezpieczny. Niestety, pierwszego września zawałił się dawny świat.

Poeta Krzysztof Baczyński pisał:

„A potem kraju runęło niebo
Tłumy odarte z serca i z ciała
I dymił ogniem każdy kęs chleba
I śmierć się stała”.

Pamięć o tamtym, tragicznym wrześniu 1939 roku była tematem dominującym na corocznych powojennych akademiach, rozpoczynających każdy nowy rok szkolny.

Już na wakacjach, wyznaczona do przygotowania tej uroczystości polonistka, musiała napisać scenariusz, nawiązać kontakt z uczniami-recytatorami i organizować próby tej akademii. Nie było to łatwe, bo zazwyczaj uczniowie porożjeżdżali się po Polsce, nie zawsze mieli też ochotę „zarywać” wakacje i uczyć się tekstów. Ale dawałyśmy radę. Zawsze czekali w pogotowiu „dyżurni” poeci: Władysław Broniewski, Antoni Słonimski, czy Krzysztof Kamil Baczyński.

Zazwyczaj pierwszego września cała społeczność licealna gromadziła się na podwórzu szkolnym. Zaczynały się dni bursztynowej jesieni – jeszcze ciepłe, soczyste, przesiąknięte czystym, świeżym, powietrzem; miłe, z nutką melancholii.

Popędzani przez dyrektorów – ubranych w odświętne garnitury, marszerujących nerwowo to tu, to tam po podwórzu, jakby bardziej niż co dzień sztywnych, oficjalnych, nieprzystępnych – ustawialiśmy młodzież w wielki, mrowiący się czworobok. Uczniowie, zgrupowani klasami w zwartym szyku czwórkowym, wypełniali trzy boki czworokąta, a my – kadra nauczycielska – czwarty. W kącie podwórza, a nawet na chodniku za bramą gromadziło się też sporo gapiów, chcących zobaczyć to szkolne widowisko. Uczniowie przyszli obowiązkowo odświętnie ubrani na biało-granatowo; prawie nikt się nie wyłamywał. Nieliczne „czarne owce” w jakimś kolorowym ciuszku, po wysłuchaniu reprimendy wychowawców, przepędzane

były gdzieś na tyły, by nie drażnić oczu dyrekcji i nie psuć „ogólnego wyrazu artystycznego” imprezy.

Grono profesorskie, usadowione na przyniesionych ze szkolnych sal krzesłach, wyróżniało się barwną plamą; wyglądało ciekawie i uroczyście. Szczególnie dotyczyło to pań profesorek, które zakładały na tę okoliczność najbardziej eleganckie kostiumy i nowiutkie buty, twarze „zdobiły w maki-jaże”, a na głowach dumnie nosiły fryzury wprost od fryzjera.

W czasach największego kryzysu, gdy na sklepowych półkach smętnie czuwał tylko ocet i musztarda, jechało się po obowiązkowo nowy ciuch gdzieś w Polskę. Trudy się opłacały; mogliśmy na akademii inaugurującej początek roku szkolnego wystąpić w modnych, oryginalnych kreacjach.

Mężczyźni oczywiście szpanowali w garniturach, w odprasowanych na sztywno koszulach i w nowych krawatach; starannie ostrzyżeni i ogoleni, a chyba przez to bardziej szarmanccy i mili. Wiadomo: „mężczyzna w krawacie jest mniej awanturujący się”.

Najczęściej dogrzewało słońeczko, więc nadstawialiśmy twarze, łapiąc ostatnie ciepłe promyki. Wracaliśmy z wakacji opaleni, bo moda na brąz wciąż trwała i nikt nie straszył żadnym rakiem. Wysłoneczniona skóra wyglądała zdrowo i złościście, jak smakowita skórka wypieczonego chleba. Niestety, będzie powoli jaśnieć i szarzeć przez długie miesiące przebywania w zimnych ścianach szkoły.

Po długasnym wystąpieniach dyrekcji, przedstawicieli władz, Komitetu Rodzicielskiego i występach chóru, wkraczałyśmy do akcji, serwując kilka mocnych [„broniewsko-baczyńsko-słonimskich”] wojennych wierszy, akuratnych na tę okazję, w stylu: „Kiedy przyjdą podpalić dom, ten, w którym mieszkasz – Polskę...”, które wszyscy znali, których się spodzielali i które niespecjalnie interesowały zgromadzonych.

Czasami jednak przemyślałyśmy jakiś nietypowy, oryginalny tekst; niekoniecznie klasyków tego gatunku. Pewnego razu np. była to „Ballada o barwach” – jakiegoś mało znanego poety. I nagle zrobiło się cicho i naprawdę wzruszająco. A brzmiał on tak:

„Pierwszy rudy był jak rydz w zieleni traw,
Jakby jesień użyczyła mu swych barw.
Tuląc synka matka śmiała się do łez:
Mój rydzyku, moje słońko, co ci jest?

Drugi czarny był; tak zrządził ślepy los,
Oczy ciemne miał, a włosy niby noc.
Matka śmiejąc się gładziła jego skroń:
– Widać nocą mi się przyśnił kary koń.

Gdy zerwała się do lotu wojny pieśń,
Megafony wychrypiały trwożną wieść,
Pokłonili się synowie matce w pas:
– Żegnaj mamó! Idzie wojna... W drogę czas!

Poszedł pierwszy i ten drugi poszedł syn,
Tam gdzie hulał rudy ogień, czarny dym,
Przez wyblakłą zielen frontu szli na bój
i poznali lazaretów krwawy znój.

Już dopala się zbutwiały wojny pień,
Matka wierzy, matka czeka na ten dzień,
Gdy synowie znów przekroczą domu próg -
I ten rudy, i ten czarny niby kruk.

Co za radość, co za szczęście dał jej los,
Chociaż matki w całej wiosce płaczą w głos,
Ona jedna doczekała tego dnia...
Oto znowu w swoim domu synów ma.

Cali, zdrowi powrócili w domu próg,
Ani rąk im nie brakuje, ani nóg.
Czego więcej matce trzeba? W domu są,
A na bluzach im orderzy złotem lśnią.

Usiadł rudy i ten czarny niby noc,
Patrzy matka – i załamał jej się głos!
Obaj siwi ... jak gołąbki siedzą dwa.
Widać wojna pod dostatkiem bieli ma”...

Na koniec akademii recytowano zawsze jakiś wierszyk przekonujący [wbrew wszystkim zbuntowanym minom znudzonych i niechętnych uczniów], że tak fajnie jest znów wracać do szkoły!

I wreszcie mogliśmy udać się do klas, by poznać nowych wychowanków lub powitać ubiegłorocznych.

W całej swojej trzydziestoletniej karierze w liceum nie udało mi się ani razu wymigać od wychowawstwa, które wiązało się z wielką odpowiedzialnością i wieloma dodatkowymi obowiązkami. Wychowawstwa wprawdzie były płatne, ale były to tylko jakieś marne grosze. A ponieważ klas było zawsze bardzo dużo [nawet od „a” do „j”], to odpoczynek od pełnienia funkcji wychowawcy mieli tylko nieliczni profesorowie, których uznawaliśmy za szczęśliwców. Kochałam młodzież, lubiłam uczyć języka polskiego, bez szemrania pełniłam obowiązki wychowawcy, ale zawsze marzyłam, by choć przez rok być „wolnym ptakiem”. Jakoś się to nigdy nie udało. Szłam więc powitać moich podopiecznych.

Szkoła, w której przez dwa wakacyjne miesiące mieszkała przygnębiająca cisza – gęsta jak mgła – znów rozbrzmiewała wielogłosowym gwarem, śmiechem, życiem.

Ale wróćmy do owego roku 1939, przypominanego na akademiach każdego 1 września, kiedy rozpoczął się „jeden z najbardziej krwawych i destrukcyjnych konfliktów w dziejach ludzkości”.

Wybuch II wojny światowej nie pozwolił na normalne rozpoczęcie roku szkolnego w dębickim gimnazjum, gdyż już w pierwszych dniach września na Dębicę spadły śmiertelne bomby.

Profesor Zdzisław Czerny wspominał: „Tragicznym dla Dębicy stał się nalot i bombardowanie miasta w słoneczne sobotnie popołudnie drugiego września. Noc z drugiego na trzeciego września rozjaśniały pożary nad miastem, a towarzyszył im stukot naprawianych torów kolejowych. Straszliwy nalot spowodował ucieczkę dębiczan z miasta. Mój dom rodzinny na Budziszu rozbrzmiewał gwarem około 30 uciekinierów. Niedzielny nalot trzeciego września zniszczył okazały budynek poczty. Skutkiem dalszych bombardowań zniszczeniu uległy koszary wojskowe, tam, gdzie obecnie znajduje się szkoła muzyczna”. W jednym z tych nalotów zginął profesor gimnazjalny Ludwik Kita.

Już szóstego września wojska niemieckie zajęły miasto, a także budynek gimnazjum. 17 września wkroczyły do Polski wojska rosyjskie. I znów oddajmy głos profesorowi Zdzisławowi Czernemu:

„Niedawni uciekinierzy na wschód wracali z obolałymi nogami, znów o proszonym chlebie, informując, że ucieczka jest bezcelowa, bo Niemcy opanowali Polskę, a na wschodzie są wojska sowieckie [...]. W którejś z kolejnych niedziel na nabożeństwie w kościele świętej Jadwigi, ówczesny ksiądz

proboszcz Władysław Kopernicki na ambonie powiedział: „I znów ojczyzny nie mamy” i zapłakał, a wierni wypełniający świątynię razem z nim”.

Jeszcze w ostatnich dniach tego pierwszego wojennego miesiąca próbowano w budynku Szkoły Powszechnej rozpocząć naukę według programów przedwojennych, ale już pod koniec października – na mocy zarządzenia władz – szkołę zamknięto. Zaczęła się okupacja.

Dramatyczną okazała się sytuacja nauczycieli. Już w listopadzie 1939 roku zmuszono ich do podpisania deklaracji współpracy z władzami okupacyjnymi. Czytamy w niej:

„Zobowiązuję się słuchać rozkazów cywilnej i wojskowej administracji i zaniechać wszelkich działań, które mogłyby zaszkodzić państwu niemieckiemu [...]. Złożoną wobec państwa byłego polskiego przysięgą o wierność lub odpowiednimi służbowymi zobowiązaniami nie czuję się zobowiązany.”

Jak pisał Ryszard Pajura: „Nauczyciele są w rozterce. Choć rząd generała Sikorskiego w nadawanych przez radio komunikatach wydaje zgodę na złożenie takich oświadczeń, oni chcą być lojalni wobec własnego państwa. Odmowa oznaczała jednak zwolnienie z pracy, jeśli nie aresztowanie”. Dziennikarz w swej książce „Zagłada i walka” przywołuje sytuację z Pilzna, gdzie władze zgodziły się, by zamiast podpisu czy ustnej przysięgi, na znak zgody ucisnąć dłoń urzędnika Suverna, który odczytał tekst lojalki. „Podchodzą do Suverna, podają mu dłoń. Starają się odwracać wzrok, w wielu oczach pojawiają się łzy”.

Bo nauczyciele nie mogli pogodzić się z istniejącą sytuacją. Mimo grożących represji, nie potrafili być bierni, buntowali się przeciw naczyniu okupantów, chcieli pracować jak dawniej, działać – nawet w konspiracji, umożliwiać młodzieży kontynuowanie nauki. Pod wpływem starań różnych wpływowych osób, takich jak burmistrz Michał Staroń, księżna Helena Jabłonowska czy Stanisław Marcisz, udało się dyrektorowi gimnazjum Franciszkowi Sadowskiemu otworzyć dwuletnią ponadpodstawową szkołę kupiecką z programem ograniczonym do przedmiotów ściśle zawodowych. Była namiastką szkoły średniej [działała w latach 1940-1943], ale pod jej szyldem realizowano pełny program gimnazjum i liceum.

Właśnie do niej uczęszczał wybitny aktor Tadeusz Łomnicki, a jego brat Jan [reżyser] – do naszego liceum; tuż po wojnie. W tej szkole handlowej uczyła się też profesor Eugenia Łoch, uczęszczając równocześnie na lekcje tajnego nauczania.

Z początkiem 1940 roku wznowiła swą działalność dębicka szkoła mechaniczna. Tam znalazła zatrudnienie spora liczba nauczycieli, tam prze-

niosło się wielu uczniów i tam też rozpoczęto konspiracyjne nauczanie przygotowujące do matury. Profesorzy wykazywali się dużą odwagą. Cały czas istniała przecież realna groźba wykrycia tej nielegalnej działalności, grożąca tragicznymi konsekwencjami; na dodatek nauczyciele jako elita intelektualna byli szczególnie narażeni na niebezpieczeństwo. Ale gotowych do działania było wielu. Aneta Kwolek w swej pracy wylicza ich nazwiska – warte przypomnienia.

Niełatwo było w warunkach okupacyjnych prowadzić zajęcia szkolne: brakowało programów, książek i pomocy naukowych. W 1940 roku – jak pisał Edward Wodzień – „wydano nakaz oddania wszystkich map, obrazów historycznych, podręczników szkolnych oraz szkolnych księgozbiorów. Zniesiono naukę literatury polskiej, ograniczono lekcje religii”.

Ale nauczyciele wykazywali się dużą determinacją i pomysłowością, by przekazywać swym wojennym wychowankom jak najwięcej wiedzy, a uczniowie doceniali ich wysiłki.

Część młodzieży kształciła się również w podchorążówkach akowskich, gdyż na naszych terenach ugrupowania akowskie były liczne i świetnie zorganizowane.

Jak pisała Aneta Kwolek: „W sierpniu 1941 roku opracowano dla dębickiego obwodu AK [„Deser”] plan sieci kompletów, lokali, kadr. Kompletu odbywały się w Dębicy oraz w Pilźnie, Brzezinach, Łękach Górnych, Jastrzębce Starej, Wiewiórcze, Sędziszowie, Ropczycach, Witkowicach, Łopuchowej, Krowodrzy, Górze Ropczyckiej, Olicach, Gołęczynie [...]. Szczególnie wielkie zasługi w organizowaniu tajnego nauczania w obwodzie „Deser” położyli komendanci obwodu: Artur Towarnicki, Antoni Cwen i Adam Lazarowicz”.

Egzaminy przeprowadzali doświadczeni pedagodzy z Rzeszowa i Dębicy – reprezentujący tzw. „Kuźnicę” – czyli Państwową Komisję Egzaminacyjną, utworzoną w roku 1940.

Z „Kuźnicą” współpracowało wielu nauczycieli dębickich, w tym – gimnazjalnych. Ich nazwiska wylicza w swej książce Ryszard Pajura.

Młodzież bardzo często łączyła naukę z działalnością podziemną; wychowana w duchu patriotyzmu, gotowa była bić się i ginąć za ojczyznę, jak tamta – z 1914 roku. Już w tragicznym wrześniu 1939 roku dała piękny przykład patriotycznej powinności wobec Polski, walcząc w różnych oddziałach wojska polskiego. Chłopcy i dziewczęta wstępowali też do organizacji podziemnych, zwłaszcza do „Szarych Szeregów” i AK. Brali udział

w wielu akcjach przeciwko Niemcom, a podczas akcji „Burza” toczyli nierówną walkę z wrogiem, okupioną śmiercią wielu z nich.

W tych tragicznych latach cała Europa, ba, cały świat został wciągnięty w maszynę wojny, toczącej się na lądzie, na morzu i w powietrzu przy pomocy nowoczesnego sprzętu i udoskonalanych rodzajów śmiercionośnej broni. Grozą przejmowały miejsca masowych śmierci: niemieckie obozy, żydowskie getta, toczona krwawa bitwa, bombardowania, Powstanie Warszawskie. Nie było bezpiecznego schronienia; śmierć czyhała wszędzie. Nie oszczędzała nikogo. Życie stawało się niebezpieczną, nędzną wegetacją.

Po zwycięskiej hitlerowskiej nawale, która zniewoliła Europę, jak powietrza oczekiwano choćby iskierki nadziei. Przynosiło ją załamanie się niemieckiej ofensywy w Związku Radzieckim, walki we Włoszech, lądowanie aliantów w Normandii, ofensywa Armii Czerwonej zbliżająca się do granic naszego kraju. W lipcu 1944 roku ogłoszono stan gotowości do akcji „Burza” – narodowego powstania mającego na celu ukonstytuowanie się władzy przed zajęciem Polski przez wojska rosyjskie. Walki na Kałżówce koło Dębicy i działania odwetowe Niemców przyniosły wiele ofiar. Linia frontu usytuowana wzdłuż rzeki Wisłoki zmusiła ludność Dębicy i okolic do ewakuacji. Mieszkając kątem u obcych ludzi, oczekiwano końca wojny. Ale dopiero w styczniu 1945 roku można było wrócić do domu. Została wyzwolona Warszawa, Dębica, Kraków, kolejne miasta Europy, aż wreszcie 2 maja skapitulował Berlin.

1 października 1944 roku udało się wznowić działalność naszego gimnazjum, ale nie w Dębicy, a w budynku dawnej Szkoły Ogrodniczej w Ropczycach. Jego dyrektorem został Franciszek Sadowski. Tak jak przed wojną, utrzymano 4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum. Do gimnazjum przyjmowano młodzież w wieku od 12 do 16 roku życia, a do liceum od 16 do 20. Szkoła liczyła ok. 500 uczniów i 22 nauczycieli.

Jedną z nauczycielek tam pracujących – Maria Pasieczna [późniejsza dyrektorka dębickiej Szkoły Podstawowej nr 2] – wspominała, że ropczycki okres liceum był bardzo trudny ze względu na ciężkie warunki życia wielu rodzin, na ich dramatyczne przeżycia wojenne, na brak podręczników, na duże odległości, które uczniowie musieli pokonywać, chodząc do szkoły z odległych miejscowości.

Również Michał Urbanek na spotkaniu po latach w liceum mówił o strasznych warunkach nauki w Ropczycach: „Sale były brudne, nieodpowiednie. Ściany puste, okna w najlepszym razie pozaklejane tekturą [...]. Zimno tak przejmujące, że młodzież siedzi na godzinach w płaszcach,

a mimo to trzęsie się od zimna [...]. O sali gimnastycznej, jadalni [...] czytelnicy nie ma. Zupełny brak – tak ważnych – pomocy naukowych [...]. Nawet biblioteki ani śladu”.

A Leszek Starkel [matura 1948 rok] wspominał: „Listopad 1944 roku, zimna noc, śnieg. Drogą od Sędziszowa ku Ropczycom zdążamy przy pomruku dział, by uczyć się w dębickim gimnazjum króla Władysława Jagiełły na wysiedleniu. By nieść w torbie parę zeszytów, w której przyrastają notatki z fizyki, historii, literatury, bo nie ma podręczników”.

Tę szkołę wspominał też Antoni Darlak, który – będąc z rodzicami na wysiedleniu – uczęszczał tam wraz z siostrą: „Ropczycki okres naszego wysiedlenia był pod wieloma względami przykry. Atrakcją i ożywym pokarmem duchowym była szkoła, skupisko młodzieży pragnącej kontaktów i gromadnego współżycia, zabronionych przez pięć lat okupacji. Ale zimno i brak opału dokuczały dotkliwie. W klasach siedzieliśmy w płaszczach, kichający i kaszlący, zmarzniete ręce nie pozwalały pisać. W domu nastrój też nie był najlepszy [...]. W klasie byłem najmłodszy i miałem kolegów w pełni dojrzałych, nawet żonatych [...]. Do nauki nie trzeba było nikogo przymuszać [...]. Front ruszył 12 stycznia 1945 roku, a my za nim w te pędy, skoro tylko na to pozwolono. Po kilku dniach byliśmy w Dębicy, mieście – widmie, opustoszałym, z licznymi śladami wojny”.

Pierwszego lutego 1945 roku również szkoła „przeniosła się” z powrotem do Dębicy.

Gdy wznowiono w niej naukę, wojna dogorywała. Z niepokojem, ale też nadzieją śledzono wieści o przełamaniu Wału Pomorskiego, o bombardowaniu niemieckich miast, konferencji w Jałcie, zdobywaniu Berlina, samobójstwie Hitlera, wreszcie – o podpisaniu aktu kapitulacji przez hitlerowskie Niemcy.

Tajne nauczanie, odbywające się w cieniu wojny, które obejmowało program licealny i przygotowywało do matury, odegrało bardzo ważną rolę w życiu wielu młodych ludzi.

Aleksandra Grek wspominała: „Mała matura zdawana na tajnych kompletach była honorowana po wojnie przez dyrektora gimnazjum w Dębicy Franciszka Sadowskiego, dzięki czemu mogłam kontynuować naukę [...] i już w lutym 1946 roku zdawałam maturę”.

Aleksandra Grek z sentymentem wspominała też nauczycieli uczących na tajnych kompletach, w tym doktor Zofię Bastgen – polonistkę, która była wcześniej dyrektorką gimnazjum w Bielsku i uciekła do Dębicy przed Niemcami, a po zakończeniu wojny – zanim wyjechała do Warszawy, gdzie

została wykładowcą akademickim i znaną autorką słowników do języka angielskiego – pomieszkiwała w budynku naszej szkoły. Dzięki tajnemu nauczaniu – jak pisał ksiądz Sebastian Musiał w książce o właścicielach Straszęcina [„Ziemiańskie oblicze Straszęcina”] – ich syn Edward Teofil Stubenvoll – mógł już w czerwcu 1945 roku złożyć egzamin maturalny, a wkrótce potem zdać na studia medyczne.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku na budynku liceum umieszczono tablicę upamiętniającą uczniów i nauczycieli „Kuźnicy” i drugą – poświęconą pamięci Jana Kity – komendanta dębickich „Szarych Szeregów”.

W 1946 roku zdał maturę w naszej szkole Tadeusz Ziobrowski, urodzony w 1928 roku w Gliniku, również uczęszczający na tajne komplety. Po studiach w Akademii Handlowej w Krakowie powrócił do Dębicy i od 1950 roku pracował jako nauczyciel w Technikum Finansowym. W 1973 uzyskał stopień naukowy doktora nauk ekonomicznych w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Krakowie. Był wykładowcą na wielu uczelniach, m.in. na rzeszowskich filiach UMCS, Wyższej Szkoły Handlowej, Akademii Rolniczej, czy na Politechnice Rzeszowskiej, autorem publikacji z zakresu dydaktyki, działaczem związkowym, a od 1972 roku – dyrektorem Liceum Ekonomicznego w Dębicy. Zmarł w 2004 roku. Za swą działalność był wielokrotnie nagradzany, m.in. Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, czy Złotym Medalem ZNP.

Wojna przerwała edukację wielce zasłużonego dla dębickiej oświaty Dionizego Jelenia, który – po powrocie z przymusowych robót w Niemczech – mógł kontynuować naukę właśnie na tajnych kompletach, a po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w 1947 roku podjąć studia nauczycielskie. Te przykłady dowodzą, jak ważne było owo tajne nauczanie.

Tuż po zakończeniu wojny, wprowadzono tzw. „klasy semestralne” o przyspieszonym toku nauczania, by opóźnionej w nauce młodzieży dać szansę nadrobienia choć w części straconego czasu. Ów przyspieszony tok polegał na opanowywaniu w ciągu jednego roku szkolnego programu dwuletniego. Antoni Darłak wspominał, że dzięki temu systemowi, mógł już w 1947 roku przystąpić do matury.

Po zakończeniu wojny Dębica powoli budziła się do życia, chociaż jeszcze długo straszyły puste domy, powyrywane okiennice, oczodoły okien, wałający się gruz, liszaje na ścianach kamienic; obłazących z tynku, dziobatych, podziurawionych kulami.

Marian Morawczyński wspominał: „Po powrocie z ewakuacji w zimowych miesiącach 1945 roku miasto wyglądało żałośnie; ruiny domów,

okna pospiesznie zabite czym się dało, papiery leniwie wałęsające się po drogach, porzućwane lub zupełnie zniszczone płoty, słupki sterczące gdzieśgdzie, odgłosy niewypałów, smutne uroczystości pogrzebowe; ktoś nieostrożnie nastąpił na minę, to znów chłopaki zaaranżowali wojnę w doskonałym plenerze autentycznych wojskowych okopów i kikutów dział, używając prawdziwej amunicji, prezentując coraz bardziej wymyślne, udoskonalone wzory pistoletów własnej produkcji. Tu znowu kroczy smutny kondukt pogrzebowy ofiary złośliwości wojny, chociaż już dawno po wojnie. Ale najmocniejsze było życie, a jego symbolem szkoła, instytucja młodości i wiedzy”.

Chociaż po wojnie zmniejszyła się liczba mieszkańców miasta [wymordowano Żydów, dębiczanie ginęli w walce, na ulicach i w domach, uciekli, wyjechali, wyemigrowali na Ziemię Odzyskaną], to wielu wracało, by znów z naszym miastem związać swoje losy.

Uczeń lat 1945-1950 Zenon Książek tak zapamiętał tamten czas: „Po pięciu ciężkich miesiącach ewakuacji mieszkańcy Dębicy, natychmiast i gromadnie, wracali do zrujnowanego i zdewastowanego miasta bez prądu, bez handlu, bez jakiegokolwiek zaopatrzenia, bez opieki medycznej, administracji itp. Przez kilkanaście dni mroźnego i śnieżnego stycznia 1945 roku całe karawany dębiczanie ciągnęły pieszo, rowerami, różnego rodzaju wózkami do swego miasta, dźwigając tułaczę schedę z nadzieją, że odnajdą swoje dawne domy i mieszkania całe. Nierzadko zdarzało się, że nadzieja ich zawiodła, nie było gdzie mieszkać. Nie wiem, jakim sposobem przeżyliśmy tamte trudne miesiące zimy 1945 roku [...]. Entuzjazm i radość społeczeństwa z odzyskanej wolności były tak wielkie, że nieraz natychmiast rodziły się żywe przejawy życia społecznego. Jako jedno z pierwszych zostało wznowione szkolnictwo”. Tak rzeczywiście było.

Gdy po przesunięciu się linii frontu na zachód nasze gimnazjum mogło wrócić do swojego dawnego budynku w Dębicy, wydelegowano spośród grona pedagogicznego profesora Stanisława Gierulskiego, by dopilnował koniecznego zabezpieczenia opuszczonego budynku. Okazało się, że piękny gmach przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy – częściowo zrujnowany, podziurawiony, огоłocony ze sprzętów. Przez ogromną wyrwę w murze wiatr nawiewał zasy pył sęgu. Szczególnie ucierpiał zachodnie skrzydło budynku, narażone na niemiecki ostrzał artyleryjski. Po jego północno-wschodniej stronie widniał parking, zbudowany dla byłych niemieckich urzędników z macew przywiezionych z żydowskiego cmentarza.

Na zachowanym zdjęciu gmach gimnazjum naprawdę wygląda ponuro i żałośnie.

„Szkoła – pisał Marian Morawczyński – która stanowiła dumę dębickiego społeczeństwa, wychowała m.in. Jana Wiktora, Wilhelma Macha, rozbrzmiewająca dotąd polską mowę, w czasie wojny stała się siedzibą niemieczyny [...]. Została zamknięta i obrabowana przez okupanta, nauczyciele i uczniowie rozproszeni, czy też wymordowani, a na frontonie budynku pojawiła się płaskorzeźba niemieckiego orła. Budynek zajęło niemieckie starostwo [...]. Toteż z chwilą odzyskania niepodległości organizacja szkoły miała wartość symbolu”.

Jednak „olbrzymie wyrwy w ścianach – jak wspominał znów Antoni Darlak – wykluczały korzystanie z sal tam położonych. Dach budynku był jak sito, toteż woda opadowa dopełniała reszty zniszczenia. Znajdująca się na najwyższym piętrze aula była kompletnie zrujnowana i przywrócenie jej do stanu choćby częściowej używalności wymagało wielkich nakładów pracy [...]. W czasie okupacji dowódca jednostki wojskowej, kwaterującej w gimnazjum, z zawodu nauczyciel [był dyrektorem szkoły średniej w Nadrenii], po zajęciu budynku, zaraz w pierwszych dniach okupacji splądrował gabinety i pracownie fizyki, chemii, biologii i inne. Zagrabił wszystkie przyrządy pomiarowe, aparaturę, kosztowne pomoce naukowe, spakował do skrzyń i pierwszym pociągiem z Dębicy na zachód wysłał do Niemiec. Resztę pomocy naukowych i urządzeń kazał zniszczyć i wyrzucić na dziedziniec. Ze stosu szkła i rozbitych szaf inżynier Władysław Zieliński z grupą uczniów wybrał nadające się jeszcze do użytku pomoce”. Niewiele z nich przetrwało wojnę. Zniszczone były też instrumenty i nuty, gdyż – jak pisał Tadeusz Ozga – „grali na nich niemieccy żołnierze, którzy na początku wojny kwaterowali w gimnazjum”.

Tamten trudny czas doskonale zapamiętał też Marian Grundboeck: „Gdy w kwietniu 1945 roku wchodziłem w mury gimnazjalne, budynek był w opłakanym stanie. W jego zachodniej ścianie widniały ogromne wyrwy spowodowane przez artylerię niemiecką. Dach był znacznie uszkodzony i brakowało w oknach szyb. Nadto sale były beładnie zawałone sprzętem i biurowymi, ponemieckimi aktami, zmieszanymi z gruzem. Kilkanaście sal było jednak doprowadzonych do porządku i tam odbywała się nauka. Ja zapisałem się na skrócony kurs licealny”.

Takie wspomnienia mieli też inni ówcześni uczniowie. Oto kilka z tych wspomnień:

Leszek Starkel: „Młodzież gimnazjalna „kierowana przez wspaniałych przedwojennych nauczycieli, odbudowywała naszą szkołę i wyrzucała sterety niemieckich formularzy i dokumentów”.

Ewa Cięciel: „Nauka w gimnazjum zaczęła się od porządków. Pracowali wszyscy wspólnie, uczniowie i nauczyciele. Do domu wracaliśmy zmęczeni i bardzo brudni [...]. A uczniów było bardzo dużo, sale nie mogły ich pomieścić, brakowało także nauczycieli”.

Marian Morawczyński: „Niełatwo było zebrać odpowiednią kadrę nauczycielską. Brak było ludzi z wyższym wykształceniem. Braki te uzupełniano nauczycielami ze szkół podstawowych lub absolwentami liceum, przyuczonymi dodatkowo na różnych kursach”.

Michał Urbanek [absolwent gimnazjum, który w roku szkolnym 1944/1945 wrócił do naszej szkoły jako nauczyciel]: „Mimo trudnych warunków materialnych i bytowych nauczyciele dawali z siebie wszystko. Poświęcili nie tylko własne siły, ale i zdrowie, bo nauka odbywała się na dwie zmiany, w ciasnocie, bez żadnych pomocy naukowych”.

Gdy wielkim wysiłkiem nauczycieli, uczniów, rodziców i władz miejskich udało się uruchomić 6 oddziałów szkolnych, „odbył się wielki bal, otwierający nowe życie studenckie”. Oddajmy znów głos uczniom:

Zenon Książek: „Skład społeczności uczniowskiej był bardzo zróżnicowany wiekowo, bo oprócz nas, najmłodszych, naukę wznawiali znacznie od nas starsi, którym edukację na pięć lat przerwała wojna i okupacja hitlerowska. My, najmłodsi uczniowie, z wielkim szacunkiem i respektem spoglądaliśmy na starszych kolegów, często już wąsatych, którzy do szkoły wrócili prosto z leśnych ścieżek partyzanckich”.

Marian Grundboeck: „Zarówno ja, jak i moi koledzy o podobnej przeszłości, czuliśmy się nieswojo w uczniowskich ławach. Najbardziej zszokowani czuli się ci, którzy we wchodzącym do klasy nauczycielu rozpoznawali byłego podwładnego z pracy lub działalności konspiracyjnej”.

Zofia Kawalec-Duszkiewicz zapamiętała pierwsze zajęcia, podczas których za zeszyty służyły zdobyte gdzieś okupacyjne kartki żywnościowe zadrukowane tylko na jednej stronie: „W klasach szybko zorganizowano jakieś stoły, nie wiadomo skąd zdobyte, ale usiąść przy nich nie było już na czym. Każdy musiał przynieść z domu własne krzesło albo taboret [...]. W każdej klasie był piec kaflowy, ale nie było do niego opału [...]. W 1945 roku mury gimnazjum były słabo oświetlone i ogrzewane. Uczniowie przynosili w torbach opał”. Atmosfera w szkole – mimo trudności – była optymistyczna.

Zofia Kawalec-Duszkiewicz: „Uczyliśmy się chętnie, dowodząc przy tym okropnie, chociaż bardzo rzadko złośliwie. Każdy z nas garnał się do wiedzy i pracy. Rozpierała nas radość i wielkie nadzieje na przyszłość”.

Krystyna Kołodziej-Selbirak: „Pierwsze lata powojenne były trudne, ale cudowne. Byliśmy młodzi, po przejściach wojennych zlaknieni wolności, możliwości działania, pełni nadziei na lepsze jutro, pełni optymizmu. Chcieliśmy się uczyć, bawić i cieszyć”. I jeszcze jedno wspomnienie – Zenona Książka:

„Akcją szczególną, godną przypomnienia, było usunięcie niemieckiego godła z fasady budynku gimnazjalnego. Była to sporych rozmiarów betonowa, wmurowana w podłóżę konstrukcja, umieszczona wysoko poza zasięgiem drabiny strażackiej. Znalazł się śmiałek, Zbyszek Baster, który, zawieszony na linie spuszczonej z dachu, pracował ciężko młotkiem i przecinakiem przez kilka godzin, zanim udało mu się usunąć znienawidzony symbol.

Codziennie wchodzenie do budynku, na którym widniał, jak upiór przeszłości, wrogi nam znak, było nie do zniesienia. Dlatego akcji tej sekundował tłumek uczniów i przygodnych gapiów, wspomagający psychicznie wiszącego na linie kolegę. Na drugi dzień dyrektor w obiegowym komunikacie udzielił z jednej strony nagany za narażenie życia jednego z uczniów, z drugiej zaś podkreślił jego odwagę i patriotyzm, nie wspominając jednak, iż był on synem legionisty”.

Do końca roku szkolnego 1944/1945 – czytamy w pracy Anety Kwolek – „budynek był już zadaszony, naprawiono rynny, system kanalizacyjno-wodociągowy, uporządkowano boisko, parter i I piętro budynku. Do użytku oddano wówczas ponad 30 sal lekcyjnych i 6 sal mieszkalnych. Nadal nie przygotowano II piętra, sali gimnastycznej, części zrujnowanych sal parteru i I piętra [...]. Remont posuwał się powoli [brak funduszy], mimo to, co roku przybywało pomieszczeń szkolnych” i do końca 1947 roku wyremontowano cały budynek. Znowu zadziwił i cieszył oczy, stając się symbolem zwycięstwa wiedzy nad okrucieństwem i barbarzyństwem.

Wkrótce została otwarta szkolna stołówka i biblioteka, a w pięciu salach szkolnych działał żeński internat. Szkoła posiadała też boisko sportowe i ogrodzony stadion. W latach 1946/1947 rozpoczęła działalność organizacja ZHP i Spółdzielnia Uczniowska, której opiekunem został profesor Władysław Zieliński. Jego działalność przez wiele lat z powodzeniem kontynuował profesor Kazimierz Gwóźdź, który nie tylko prowadził sklepik uczniowski, świetnie zaopatrzony w najpotrzebniejsze uczniom artykuły,

ale też organizował dla członków spółdzielni wspaniałe wyjazdy wakacyjne nad morze.

Pomocą w poprawianiu warunków pracy szkoły służył – jak zawsze – Komitet Rodzicielski.

W roku szkolnym 1948/49, dzięki jego pomocy, wyposażono w sprzęt świetlicę szkolną i zradiofonizowano szkołę.

By ułatwić reaktywowanie szkół średnich, w pierwszym roku po zakończeniu wojny władze oświatowe nie wprowadzały żadnych zasadniczych zmian organizacyjnych czy programowych. Nadal istniało 4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum. W roku szkolnym 1945/1946 działalność gimnazjum oparto na VII klasie szkoły podstawowej oraz skrócono czas nauczania z 4 do 3 lat, a w roku szkolnym 1947/1948 połączono gimnazjum i liceum; czas nauki w nowej szkole miał trwać 4 lata. Stan taki istniał tylko przez jeden rok, gdyż w kolejnym roku szkolnym zostały utworzone 11-letnie szkoły ogólnokształcące [4-letnie gimnazja weszły w ich skład jako klasy VIII-XI].

„Od początku powojennej działalności w szkole tej – pisał Edward Wodzień – pracowali nauczyciele o dość wysokich kwalifikacjach. Wielu uzupełniało je na studiach wyższych. Nauczyciele propagowali wiedzę polityczną, wykładali w istniejącym Uniwersytecie Niedzielnym, stanowili główny trzon kadry wykładowców Towarzystwa Wiedzy Powszechnej i Towarzystwa Przyjaciół Nauk”.

Już w pierwszych latach po wojnie w szkolnictwie zaczęto realizować nowy plan wychowywania młodzieży w duchu idei socjalizmu. Nie było to łatwe.

Jak dalej pisał Edward Wodzień: „Wielu nauczycieli wykazywało niechętny stosunek do zachodzących przemian politycznych. Za manifestowanie tego rodzaju niechęci, tuż przed wyborami w 1947 roku lubiany przez młodzież dębickiego gimnazjum profesor Jan Szczerba, członek PSL-u, został profilaktycznie zamknięty w areszcie przez miejscowy UB”.

Ale kraj się odbudowywał, drukowano nowe książki, coraz lepiej funkcjonowały urzędy, sklepy, szpitale, szkoły. Priorytetem władz stało się wykształcenie nowej kadry pedagogicznej, zaangażowanej w krzewienie wśród młodzieży idei socjalizmu.

Już w 1947 roku zastępca naczelnego dowódcy Wojska Polskiego do spraw polityczno-wychowawczych Marian Spychalski mówił o potrzebie rewolucyjnych działań w oświacie, w tym o gruntownej „przeróbce polityczno-wychowawczej” nauczycieli. Podkreślał, że – aby stworzyć nowego, socjalistycznego człowieka – potrzebni są ludzie, którzy „sprostają wyzwania

niu przebudowy świadomości”. Dlatego władze oświatowe organizowały dla wszystkich nauczycieli obowiązkowe szkolenia ideologiczne „pod czułą opieką Podstawowej Organizacji Partyjnej”, które kończyły się egzaminami.

W roku szkolnym 1947/1948 w budynku naszej szkoły umieszczono dwuletnie liceum pedagogiczne, mające kształcić nowe kadry pedagogów. Uczyli w nim m.in. Jan Cichocki [kierownik studium], Zofia Hołubowicz, Józef Wiercioch.

Aneta Kwolek pisała: „Coraz większy nacisk kładziono na szkolenie ideologiczne grona nauczycielskiego i uczniów, poznawanie metody materializmu dziejowego, zasad marksizmu-leninizmu. Szczególnie obowiązani w tej dziedzinie byli nauczyciele języka polskiego i historii”. Wprowadzono nowy, obowiązkowy przedmiot – język rosyjski. Nauczyciele pisali drobne konspekty, w których musieli – oprócz planowanego przebiegu zajęć – wpisywać zaplanowany na każdą lekcję cel ideowo-wychowawczy. Wymyślanie tych celów było zajęciem żmudnym, czasem karkołomnym.

W pokoju nauczycielskim śmialiśmy się z anegdoty o pewnej nauczycielce biologii, którą wizytowały władze partyjne. Tematem lekcji była budowa dżdżownicy. Jaki tu można było wymyślić cel ideowy? Jeszcze na języku polskim, nawet ucząc o zaimku, czy o odmianie wyrazów, udawało się wcisnąć jakiś „słuszny” cytat, określenie, porównanie; ale na biologii, opowiadając o dżdżownicy? No, był problem!

Ale od czegoż pomysłowość i talent pedagogiczny? Nauczycielka każała uczniom ulepić z plasteliny dżdżownicę, a następnie przerobić ją na popiersie towarzysza Lenina. Ponoć władze były zachwycone.

Lata powojenne obfitowały w wiele dramatycznych wydarzeń w kraju i na świecie.

W Polsce nastąpiły rewolucyjne przemiany we wszystkich dziedzinach życia. Ukształtowanie się władzy ludowej, nacjonalizacja przemysłu, reforma rolna, gospodarka planowa, przewodnia rola PZPR, elektryfikacja i walka z analfabetyzmem – to wszystko miało ogromny wpływ nie tylko na warunki życia, ale przede wszystkim na kształtowanie postaw, marzeń i dążeń młodych ludzi. W 1949 roku Niemcy zostały podzielone na NRF i NRD. Zjednoczenie się bloku państw będących pod wpływem Związku Radzieckiego spowodowało rozłam Europy, którego symbolem była budowa berlińskiego muru, gdzie od kul będą padać śmiałkowie próbujący ucieczki na Zachód. W owym 1949 roku George Orwell wydał rewolucyjną, demaskatorską, proroczą książkę „Rok 1984” o zniewoleniu [którą będziemy mogli przeczytać dopiero u schyłku lat osiemdziesiątych, wraz

z „Archipelagiem Gułag” Aleksandra Solżenicyna i „Innym światem” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego].

W Dębicy – jak w całym kraju – odbudowywano zniszczone budynki, powstawały nowe domy, sklepy, po kolei uruchamiane były zdewastowane w czasie wojny zakłady przemysłowe: w 1946 roku – Zakłady Mięsne, w 1949 – Zakłady Chemiczne, w 1950 – „Stomil”, w 1951 – Chłodnia Składowa, przemianowana później na Wytwórnię Urządzeń Chłodniczych.

Wśród licznych haseł, którymi nagminnie ozdabiane były mury fabryk i różnych instytucji, pojawiło się też to: „Polska krajem ludzi kształcących się”. Młodzież chętnie korzystała z powstałej szansy. Do naszego liceum zgłaszało się coraz więcej uczniów z rodzin robotniczych i chłopskich.

W 1949 roku na Zjeździe Literatów Polskich w Szczecinie została ogłoszona doktryna realizmu socjalistycznego, która stanie się obowiązującą w literaturze i sztuce. Miała ona ogromny wpływ szczególnie na naukę języka polskiego i historii. Jednym z jej haseł było wezwanie: „Niechże polonistyka nasza współtworzy socjalizm w Polsce”. Odtąd na lekcjach języka polskiego nauczyciele będą zobowiązani analizować zaangażowaną poezję propagującą socjalizm, sławiącą Związek Radziecki i jej wodza Józefa Stalina oraz omawiać tzw. „powieści produkcyjne”, ukazujące obrazy pracy, jej przodowników i wrogów. Owe „produkcyjniaki” – jak je później pogardliwie nazwano – nosiły znamienne tytuły: „Traktory zdobędą wiosnę”, „Węgiel”, czy „Buraczane liście”. Gloryfikowały socjalistyczną rzeczywistość i zapowiadały świetlaną przyszłość.

„Mądre zioła” Wojciecha Żukrowskiego kończyły się słowami; „Ku światłom szli roześmiani ludzie”. Ach, jakaż to była piękna metafora nadchodzących czasów! Ileż optymizmu!

Zofia Turowska pisała o tym okresie z ironią: „Panuje umiar i grzeczność – w literaturze i w teatrze, i w sztuce. Jesteśmy jak ta wieś spokojna i wesoła. Taka spokojna i wesoła, taka cicha i grzeczna, aż groza i strach bije z tej ciszy. W samo południe XX wieku, w gorącym blasku dnia, sumienie w nas kona, godność w nas ciemnieje, „a muzyczka tirlu, tirlu, a muzyczka gra”. O prześladowaniach, więzieniach, zmuszaniu do kolektywnego gospodarowania w tej literaturze – ani słowa”.

Literatura miała być bowiem posłanką idei, miała – według słów Agnieszki Daukszty – być „pisarstwem dla budowniczych, stachanowców, pracy akordowej i rozwoju rewolucyjnego, kolejną cegielką w budowie socjalizmu”. Tak naprawdę była sztampowa, nudna, pozbawiona wartości

artystycznych i ładunku prawdziwych wzruszeń, a jej język był przewidywalny, prosty, nasycany nowomową.

Owa nowomowa królowała też w programach szkolnych, zarządzaniach władz, w metodyce pracy. Nauczyciele byli np. zobligowani wprowadzać „system ustrukturalizowanych zadań, które pozwalały rozwijać w uczniach instynkt kooperacji”. Wzorem dla nauczycieli miał być radziecki pedagog Antoni Makarenko, który w dziele „O socjalistycznej pedagogice” dowodził, że „interes ogółu, grupy i socjalistycznej ojczyzny należy przedkładać ponad emocje i indywidualne pragnienia, a w każdym kolektywie karność powinna górować nad interesem jednostki”. Władzom oświatowym wtórowała zaangażowana prasa. Znana publicystka Irena Krzywicka „Poemat pedagogiczny” Makarenki nazwała jedną z najpiękniejszych książek świata.

Nad realizacją nowych założeń oświatowych czuwała minister oświaty Eugenia Krasowska – typowy „aparaczyk” tamtych lat. W notatce prasowej zamieszczonej w „Obserwatorze Lokalnym” czytamy, że „traktowana była raczej jak gmach ministerstwa niż jak ktoś z krwi i kości, ale uosabiała ideał tamtych lat, w których nic nie trzeba [a nawet nie wolno] było robić, tylko trwać”.

Nasza szkoła – tak jak inne – realizowała założenia nowej ustawy oświatowej. W 1948 roku zainicjowano założenie w liceum organizacji ZMP, która – kierując się ideami Makarenki – miała wychowywać ideowych obywateli i inicjować podejmowanie przez młodzież tzw. „zobowiązań produkcyjnych”. Można było tam znaleźć np. zobowiązania do wykonania konkretnych prac przy ogrodzeniu przyszkolnego poletka doświadczalnego, ale też podniesienie wyników w nauce, czy – co dziś nas śmieszy i zaskakuje całkowitym brakiem poczucia realizmu – „przyswojenie w 100 procentach zasad ortografii”, czy „nieopuszczenie ani jednej godziny lekcyjnej w ciągu roku”.

Wprowadzono obowiązkowe apele szkolne, w czasie których najpierw śpiewano „Hymn młodzieży świata” zawierający bardzo modną wówczas metaforykę batalistyczną [„Hej, kto młody, pójdź z nami i walcz!”], a potem omawiano m.in. ideową działalność szkoły, wygłaszano propagandowe mowy, ogłaszano różne akcje społeczne, wytykano najgorszych uczniów, odczytywano nazwiska najlepszych. Apele odbywały się raz w tygodniu przed lekcjami na korytarzu szkolnym. Uczniowie stali wzdłuż ściany uformowani czwórkami według klas. Obok uczniów stali wychowawcy: „inży-

nierowie dusz” – pilnujący porządku i dyscypliny. Apele niekiedy trwały nawet pół godziny.

Uczniowie najczęściej niezbyt interesowali się treściami wygłaszanymi przez dyrekcję czy działaczy ZMP, chyba, że dotyczyły ich osobiście, np. musieli wystąpić i przed całą szkołą tłumaczyć się z jakiejś niesubordynacji czy nieobecności na obowiązkowej masówce.

Zazwyczaj jednak wszyscy się cieszyli, bo upływały minuty przeznaczone na lekcję, a najbardziej wtedy, gdy przepadała zapowiadana klasówka lub powtórka materiału.

Zetempowcy ze swadą prezentowali założenia organizacji, które brzmiały bardzo zachęcająco, bo głosiły równość i sprawiedliwość społeczną oraz kult nauki i pracy na rzecz dobra wspólnego, propagowali swoistą „urawniłowkę” i wychowanie kolektywne, bo przecież „jednostka zerem, jednostka bzdurą”. Najgorliwsi aktywiści niekiedy nawet denuncjowali najbardziej opornych kolegów, co spotykało się z aprobatą władz. O nich ta fraszka:

„Nadstawia ucha,
Słucha, i -
W te drzwi!”

Aneta Kwolek pisała, że w roku szkolnym 1948/1949 „do ZMP należało 470 uczniów, a do TPPR – cała młodzież”. Przytoczyła też sprawozdanie z działalności szkoły w roku szkolnym 1949/1950, w którym możemy przeczytać, że „młodzież ZMP-owska zakładu jest bardzo czujna na wrogą propagandę, umie wyszukać i wykryć wrogów klasowych i unieszkodliwić ich. Przykładem dwie siostry Komorówny, uczennice klasy X, wydalone za wrogie nastawienie do dzisiejszej rzeczywistości”. A więc donoszenie na kolegów?

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...!”

Były to – na szczęście – przypadki odosobnione.

Ale sytuacja polityczna w kraju i na świecie sprzyjała umacnianiu idei socjalistycznych, co oczywiście musiało też znajdować odbicie w szkolnictwie tego okresu: w programach nauczania, w lekturach i w działaniach wychowawczych. Treściom nauczania poszczególnych przedmiotów zaczęto nadawać coraz wyraźniejszy charakter ideologiczny. A działacze ZMP – jak potwierdzał bobrowianin Antoni Baran, rozpoczynający edukację w naszej szkole w 1948 roku – „brali udział w posiedzeniach Rady Pedagogicznej i w konferencjach

okresowych. Mieli prawo zabierania głosu i przedstawiania swoich opinii o kolegach, o wynikach ich pracy, o warunkach materialnych”.

Bardzo surowo ocenił ten okres działalności naszego liceum Marian Morawczński: „Upolitycznienie i schematycznie włączana do programu ideologia – wyróżniało tę szkołę zdecydowanie spośród pozostałych szkół średnich. Dopuszczono do nadmiernego rozwinęcia uprawnień rozpolitykowanego Związku Młodzieży Polskiej, który często był drugą, a nawet pierwszą władzą szkolną; za sprawą tego związku abiturientom nie mieszczących się w jego szablonach, z przedmiotów maturalnych jawnie obniżano oceny, by uniemożliwić im ubieganie się na studia, ingerowano w proces rekrutacji na studia, w różny sposób szykanowano. Niezależnie od oceny organizacji, nie najlepiej to świadczy o niektórych nauczycielach, a także dyrektorach”.

Chociaż do ZMP należało w Polsce ponad 2 miliony młodzieży, to prawdziwych aktywistów było jednak niewiele. Piotr Nesterowicz – nieodrodne dziecko nowego systemu oświaty – ze zgorzaniem pisał, że większość członków była bierna, że „najczęściej masowo zapisywali się do organizacji uczniowie najstarszych klas tuż przed maturą, widząc w niej „bramę do wyższych uczelni”.

Potwierdza to m.in. Hanna Piotrowska, koleżanka z klasy księdza Adama Bonieckiego: „Cała nasza klasa wstąpiła do ZMP. Byliśmy już tak rozsądni, że myśleliśmy o studiach i zdawaliśmy sobie sprawę z konieczności pozytywnej postawy społeczno-politycznej”. Adam Boniecki był wyjątkiem i nie wstąpił do organizacji.

Następcą ZMP w szkole stał się Związek Młodzieży Socjalistycznej, który – jak jego poprzednik – miał jednoczyć młodzież w walce o idee socjalizmu i o zeświecczenie szkoły, jeszcze skuteczniej wspomagać socjalistyczne wychowanie młodzieży i przygotowywać kandydatów na członków PZPR. Ta organizacja również była traktowana przez wielu z dystansem. Pojawiły się nawet buntownicze hasła, dowcipy i ironiczne piosenki na jej temat, jak ta:

„Włazł kotek na płotek,
Przy blasku księżycy ścierpł,
Bo ten płotek to nie był płotek tylko młotek,
a ten księżyc to nie był księżyc tylko sierp”.

W czasach stalinowskich dużą wagę w szkole przywiązywano do sportu i czynów społecznych, traktowanych jako ważny element wychowania

młodzieży w duchu walki o socjalistyczne idee. Nesterowicz pisał: „Sport to przyszłość. Siła i sprawność powtarzają się wszędzie; są cechami nowego, socjalistycznego człowieka. Nie na darmo młode władze podjęły akcje upowszechniające. Rozdają ponad milion odznak „Sprawny dla Pracy i Obrony”.

Praca fizyczna uczniów na rzecz szkoły i środowiska nie była czymś nowym. Miała bardzo długą tradycję, chociaż różnie określano jej cele.

Aneta Kwolek pisała, że „oryginalną formą działalności pozalekcyjnej szkoły było istniejące już od roku szkolnego 1908/1909 kółko pracy fizycznej [...]; członkowie koła pracowali przy przygotowaniu ogrodu szkolnego, żywopłotu oraz w ogrodzie „Sokoła”, a w następnych latach utrzymywali ogródek szkolny, pracowali także w ogrodach nauczycieli”.

Ta ostatnia informacja dzisiaj dziwi i śmieszy. Nie wyobrażam sobie, żeby moi wychowankowie pielęgnowali mój ogródek. Nie wyobrażają sobie tego na pewno też inni nauczyciele.

Aneta Kwolek pisała też o różnych akcjach społecznych na rzecz szkoły i środowiska, które podejmowali uczniowie w kolejnych latach istnienia placówki. Chętnie dokładali swą cegielkę do budowy ulic, budynków użyteczności publicznej czy różnych instytucji.

Julian Rostoczyński wspominał: „Drzewa, jeszcze dzisiaj rosnące w ogrodzie-parku dawnego „Sokoła”, sadziliśmy z profesorem Wiśniewskim w trybie, jakby to dzisiaj ochrzczono: uczniowskiego czynu społecznego”.

Szczególnie tuż po zakończeniu II wojny światowej młodzi ludzie angażowali się do różnych działań na rzecz szkoły; odgruzowywali budynki szkolne, pomagali w wyposażaniu sal w pomoce naukowe, naprawiali szkolne meble.

Michał Urbanek, który wówczas uczył w naszym liceum, pisał, że tamta młodzież „żyła szkołą i dla szkoły, ale nie jedynie. Gdy stanęła przed nią konieczność podjęcia jakiejś ważnej, nieodzownej pracy społecznej, nie uchylała się od niej, podejmowała ją ofiarnie i z zapałem [...]. Z początkiem maja 1945 roku – wspominał – na mojej lekcji [...] zjawił się oficer z żołnierzami i zapytał, kto z uczniów chciałby zgłosić się do rozminowywania pól w Pustyni. Zadrżałem na myśl o niebezpieczeństwie tej pracy [...]. Zgłosili się wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczęta. Oficer był zszokowany i wzruszony”.

Urbanek zapamiętał, że wybrano kilku chłopców, którzy „spisali się znakomicie”. Ja nie wyobrażam sobie nawet, że można było wysyłać uczniów na akcje zagrażające życiu; ale – okazuje się – i takie sytuacje bywały.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...!”

W latach 50. młodzież wraz z profesorami wyjeżdżała pracować m.in. do PGR-u w Zawadzie, co mało wymiar nie tyle praktyczny, co ideologiczny. Alfreda Ździebło wspominała, że podczas takich wyjazdów uczniowie wyrwali len, obrywali szyszki chmielu i zbierali ziemniaki.

To zbieranie ziemniaków było chyba najpopularniejszym – przez wiele lat kontynuowanym – czynem społecznym. Pamiętam, gdy również jeździłam z młodzieżą na wykopki na żyrakowskie pola „Igloopolu”, a koła wiozącego nas mikrobusu turkotały socjalistyczną pieśń: „Do roboty, do roboty...”

Dla uczniów, zwłaszcza tych pochodzących z miasta, była to fajna przygoda, odskocznia od codzienności i – co najważniejsze – okazja do zdobycia punktów na ocenę z zachowania. Na polach, gdzie zbieraliśmy ziemniaki, panowała zawsze pogodna atmosfera [choć niebo czasem nie skąpiło deszczu!], była tradycyjna grochówka, uściski rąk i podziękowania od dyrekcji.

Nasi uczniowie pracowali też m.in. przy powstawaniu ulicy Słonecznej, Ogródka Jordanowskiego, wykonywali prace porządkowe przy Szkole Muzycznej i nowym szpitalu.

Owa ulica Słoneczna, która była arterią przeprowadzoną w nowej dzielnicy miasta powstałej „za torami”, stała się symbolem optymistycznego okresu w rozwoju Dębicy, a osiedle „Słoneczne” – zadziwiające rozmachem i ciekawymi architektonicznie, pięknymi tarasowcami – symbolem nowoczesności i wizytówką miasta; przede wszystkim jego dotychczas bardzo zaniedbanej części, gdzie jeszcze niedawno były śmietniki, byle jak sklecone budy Cyganów, a na zdziczałych pastwiskach pasły się kozy.

Na nowym osiedlu zamieszkało wielu nauczycieli pracujących w naszym liceum, a także – oczywiście – mieszkało tam wielu uczniów.

Dyrektor Edmund Galas zawsze z dumą podkreślał zaangażowanie młodzieży naszej szkoły w działalność społeczną. W okresie moich lat licealnych pisał: „Młodzież liceum na apel ZMW stanęła w roku 1961 do pomocy przy oświetleniu miasta i dała 2200 roboczogodzin pracy dla miasta. W roku 1962 przy budowie nowych ulic w Dębicy pracował „Hufiec Pracy” naszej szkoły, który przepracował 1800 roboczogodzin. W roku 1963 roku młodzież przepracowała około 2000 godzin przy budowie ulic, 150 godzin przy budowie Ogródka Jordanowskiego, 300 godzin pracy przy uporządkowaniu Cmentarza Żołnierzy Armii Radzieckiej.

Chociaż nie należałam do ZMP, ani do „Hufców Pracy”, to przecież brałam wraz z moimi kolegami udział w różnych pracach społecznych na rzecz Dębicy, więc chyba mogę stwierdzić, że to miasto jest też trochę moje.

Także za moich czasów nauczycielskich promowana była aktywność społeczna młodzieży. Był np. taki okres, że poprzez pracę „dla dobra wspólnego” uczniowie zbierali punkty potrzebne do ustalenia oceny z zachowania.

W ogniu walki o socjalistyczną szkołę wprowadzono w 1950 roku tzw: „jedenastolatki”. Powstały one pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Jeden z bohaterów książki Piotra Nesterowicza „Každy został człowiekiem” mówił o nich z entuzjazmem: „W gazetach piszą, że jeszcze niedawno do liceów uczęszczali tylko ci z burżuazyjnych i inteligenckich domów. Teraz, gdy priorytetowo traktuje się klasy pracujące, a prawie tysiąc liceów połączono ze szkołami podstawowymi w jedenastki, by rozbić klasowo wrogą sieć szkół średnich, uczy się w nich coraz więcej dzieci chłopów i robotników. W 1956 roku przekroczą połowę całkowitej liczby licealistów”.

Nasza szkoła – jak pisała Aneta Kwolek – „w roku szkolnym 1951/52 również została „stepedezowana” i otrzymała nazwę: Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Podstawowego i Licealnego TPD. Jej dyrektorem został Jan Czyhin. Nauka w owej szkole trwała 11 lat.

Powstanie takich placówek oznaczało „stosowaną wówczas przez walczące o laicyzację władze praktykę powierzania szkół podstawowych i średnich „opiecz” świeckiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

Szkoły takie, traktowane jako wzorowe ośrodki laickiego wychowania, miały zazwyczaj lepsze niż inne placówki wyposażenie i dogodniejsze warunki lokalowe. W związku z tym zlikwidowano nauczanie na dwie zmiany, polepszone stan wyposażenia gabinetów, dla uczniów dojeżdżających utworzono świetlicę szkolną. Działały kółka samopomocy koleżeńskiej, w których pracowali nauczyciele. Pomoc uczniom słabszym była formą pracy społecznej grona pedagogicznego”. W szkołach TPD panowały nowe obyczaje, działało harcerstwo z czerwonymi chustami, propagandowe apele i masówki, na których śpiewaliśmy:

„Naprzód młodzieży świata,
Nas braterski połączył dziś marsz,
Groźne przeminą lata,
Hej, kto młody pójdź z nami i walczyć” [znów ta metaforyka wojenna!].

W owych nowych szkołach wprowadzono też nowy program i nowe podręczniki „opierające całokształt materiału nauczania na leninowsko-marksistowskiej metodzie, w atmosferze całkowitego oddania się sprawie socjalizmu”.

Jak przypominała Agata Tuszyńska, „wielcy bohaterowie literaccy zostali wywiezieni z głównej sceny za niezdolność do życia w realnym świecie: Kordian, Hamlet i doktor Judym, pragnący „cierpiętniczą ofiarą” rozwiązać konflikty klasowe. Piętnowano Krasieńskiego za wsteczność i Wyspiańskiego za związki z ideologią schyłkowej burżuazji [...]. Wiele godzin poświęcano w programie na szerokie omówienie tematyki Związku Radzieckiego jako przykładu i wzoru dla naszego narodu. Propagowano współzawodnictwo, walkę o zdobycie dyplomu przodownika nauki i pracy społecznej, wojowano z religią, którą wyszydzano i określano jako „opium dla mas”.

Program laicyzacji szkoły sprawił, że już w 1952 roku usunięto ze szkół religię i zdjęto ze ścian krzyże, co spotykało się z oburzeniem rodziców i młodzieży.

Wspominała tę sytuację Alfreda Ździebło: „Doszło wówczas do swojej „wojny krzyżowej”. Uczniowie przynosili własne krzyże i wieszali na ścianie [co dzień kto inny], po lekcjach woźny krzyż zdejmował, a rano historia się powtarzała. Trwało to kilka tygodni. Wreszcie pojawili się w szkole członkowie Zarządu Powiatowego ZMP i na apelu zagrozili poważnymi konsekwencjami w przypadku kontynuowania „krzyżowych praktyk”.

Księża i środowiska katolickie były inwigilowane, a nauczycielom zabraniano praktyk religijnych. Dopiero czas odwilży październikowej 1956 roku, który określił poprzedni okres „czasem błędów i wypaczeń”, umożliwił zawarcie porozumienia rządu i episkopatu, na mocy którego w 1957 roku do szkół wróciła religia jako przedmiot nadobowiązkowy [lekcje religii odbywały się poza szkołą], a na ścianach klas znów zawisły krzyże.

„Ustawa o Prawach i Obowiązках nauczyciela” z tegoż roku określała też nowe zadania szkoły i powinności pedagogów.

Sytuacja panująca w szkolnictwie lat pięćdziesiątych negatywnie wpływała na stosunki międzyludzkie, rodziła frustrację, osłabiała więzi koleżeńskie. Po latach Isaac Singer nazwie ówczesną pedagogikę „śmiertelną trucizną”.

Profesor Andrzej Mol – jako młody nauczyciel liceum, dorabiający w roku szkolnym 1955/1956 w Technikum Ekonomicznym, wspominał atmosferę panującą w obydwu placówkach: „Bardzo miło mi się w „ekonomiku” pracowało, bardzo dobrze układała się współpraca z gronem pedagogicznym, które było małe, ale zgrane, w nim koleżeńskie relacje, kwitło życie towarzyskie [...]. Takiego życia i relacji nie było u nas w liceum. Tam ludzie przychodzili, robili swoje i szli do domu lub do innej pracy”.

Lata pięćdziesiąte obfitowały też w wiele dramatycznych wydarzeń w kraju i na świecie. W 1953 roku zmarł wódz ZSRR Józef Stalin, i choć

jego idee nadal były żywe, a reżim wciąż trwał, to w 1956 roku wybuchło antysowieckie powstanie na Węgrzech, a w naszym kraju tzw. „polski październik”, poprzedzony robotniczym protestem robotników w Poznaniu, przeciwko którym władza wysłała czołgi. Trwały właśnie Międzynarodowe Targi. Z Zakładów Metalowych im. Józefa Stalina na ulice wyszli robotnicy. Padły strzały, a później znamienne słowa premiera Józefa Cyrankiewicza: „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie”.

Ale 23 października tegoż roku Polacy z nadzieją słuchali relacji z Placu Defilad w Warszawie, gdzie przemawiał nowy I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, obiecujący głębokie przemiany we wszystkich dziedzinach życia, w tym również w oświacie.

Ów przełom październikowy przyniósł krótkotrwałą „odwilż”, która zaowocowała m.in. zwolnieniem więźniów politycznych, rozwiązaniem upadających kołchozów, ożywieniem kulturalnym i debiutami wielu oryginalnych twórców, takich jak Miron Białoszewski, Zbigniew Herbert czy Stanisław Grochowiak.

W 1956 roku we Francji powstał film „I Bóg stworzył kobietę” z młodą aktorką Brigitte Bardot, która stała się idolką pokolenia. Choć w Polsce jeszcze długo nie mogliśmy zobaczyć tego filmu, to sława „Bardotki” szybko dotarła do nas, wywołując modę na „kociaka” – połączenie dziewczęcości i erotyzmu. Dziewczyny zaczęły naśladować jej ubiory – rozkloszowane spódnice i bluzki z dekoltem, jej koński ogon, jej lekkość i zwiewność ruchów.

W 1957 roku odbyły się u nas pierwsze po wojnie wybory Miss Polonia, które wygrała Alicja Bobrowska, a w 1958 roku czasopismo „Film” ogłosiło konkurs „Piękne dziewczęta na ekrany”, dzięki któremu rozpoczęła karierę filmową wiele młodych Polek. Idolką młodzieży stała się Pola Raksa, debiutująca w „Szatanie z siódmej klasy” [1960 rok], która szczyt popularności osiągnie po premierze serialu „Czterej pancerni i pies” [1966 rok], gdzie zagra rolę radzieckiej sanitariuszki Marusi.

„Z socrealizmu posypały się wióry”, a do programu języka polskiego i historii wprowadzono zmiany niosące nadzieję, rozszerzające propozycje lekturowe, umożliwiające nauczycielom większą swobodę w nauczaniu i wychowaniu.

W latach 50. powołano w naszym liceum Punkt Konsultacyjny Liceum dla Pracujących, którego kierownikiem został Marian Morawczyński. Kontynuacją owego Punktu [od roku 1955] było działające przez wiele lat Liceum

dla Pracujących, w którym uczyli profesorowie liceum dziennego. W pierwszym okresie przyjmowano do niego absolwentów szkoły podstawowej i nauka trwała 4 lata, a w latach siedemdziesiątych utworzono 3-letnie liceum wieczorowe dla absolwentów zasadniczych szkół zawodowych.

Przez kilka miesięcy również ja „dorabiałam” w tym liceum, zastępując koleżankę będącą na urlopie, ale była to praca bardzo trudna i wyczerpująca. Uczniowie – niektórzy starsi od nas, nauczycieli – byli zazwyczaj bardzo mili, chętni do nauki, ale wyniki ich starań były przeważnie mizerne. Przychodzili na lekcje po pracy; zmęczeni, myślący o tysiącu różnych, niecierpiących zwłoki spraw, o swoich rodzinach, często o czekających dzieciach, o codziennych obowiązkach.

Niektórzy wyróżniali się zdolnościami, pilnością, sumiennością, ale wielu też było takich, którzy nie przynosili podręczników, zapominali zeszytów, nie odrabiali zadań, zwalniali się wciąż, lub opuszczali lekcje, nie mieli czasu czytać lektur, czy zastanawiać się nad zmyślonymi przez pisarzy perypetiami bohaterów literackich. Uczęszczali, bo potrzebne im było świadectwo dojrzałości, by dorównać innym współpracownikom, nie zostać wyeliminowanymi przez lepszych, zdobyć awans czy lepszą pracę. To było ich najwyższym celem, dla którego się męczyli, choć często był to trud ponad ich siły.

Tylko dla niewielu owa szkoła była spełnieniem ich ambicji o poszerzeniu wiedzy, zdawaniu na studia, czego nie mogli zrealizować wcześniej w liceum dziennym, ze względu na jakieś ważne życiowe przeszkody.

Starałam się jakoś uatrakcyjnić lekcje „polaka” w owej „wieczorówce”, wykorzystując ich dorosłość i doświadczenie. By zapamiętali rodzaje literackie, mówiłam np:

– Rodzajom literackim odpowiadają etapy życia w małżeństwie, o czym na pewno wiecie z doświadczenia. Pierwszy etap to sama poezja czyli liryka, drugi to proza czyli epika, a trzeci to dramat. Uśmiechali się ze zrozumieniem, ale czy zapamiętali?

Bardzo wielu uczniów owej „wieczorówki” nadludzkim wysiłkiem przełamywało wszelkie przeszkody, docierało do matury, a potem ją zdawało, co było największą nagrodą za poniesiony trud. Przygotowanie tych ludzi do tego egzaminu wymagało też wiele wysiłku i poświęceń ze strony nauczycieli. Profesorzy naszej szkoły zawsze traktowali swą pracę jako misję, stawiali uczniom wysokie wymagania, uczyli samodzielniego myślenia, krzewili szlachetne idee, nie ulegali naciskom czy modom.

Język polski, którego uczyłam w liceum dziennym i w „wieczorówce”, dawał możliwość wykorzystania w tym celu omawianych lektur. Judym i Siłaczka uczyli poświęcenia swego życia dla innych, Maria Dąbrowska krzewiła wartości rodzinne, Zofia Nałkowska przestrzegała przed lekceważeniem zasad moralnych, marzenia o szklanych domach, ukazane w „Przedwiośniu” Żeromskiego, budziły nadzieję na lepsze życie. Ale nawet te – ogólnoludzkie, uniwersalne wartości władza próbowała wykorzystywać do propagowania idei socjalistycznych. Tak było m.in. z mitem szklanych domów. Mówiono, że „socjalizm skradł marzenia lewicy” i że właśnie „nowa” Polska będzie tym krajem szklanych domów z wizji Żeromskiego.

Symbolem urzeczywistniania się tej wizji miał być wybudowany w Warszawie – przeszkłony, charakterystyczny przez zaokrąglone naroża, wielostoiiskowy budynek PDT, później przemianowany na dom towarowy „Smyk”. Jego zdjęcie pojawiało się wielokrotnie w gazetach, na plakatach, w szkolnych podręcznikach.

Chociaż Żeromski – ze względu na kreowany typ bohatera-indywidualisty – w czasach, gdy sztandarowy poeta Włodzimierz Majakowski pisał, że „jednostka zerem, jednostka bzdurą”, nie był lubianym przez władze pisarzem, to owe „szklane domy” wpisywały się świetnie w modne tendencje i miały być swoistym wypełnieniem jego ideowego testamentu.

Niestety, ten warszawski symbol okazał się osamotnionym, jednostkowym obiektem, a sabotażowe podpalenia doprowadziły do jego degradacji. Wkrótce o nim zapomniano, a symbolem nowoczesności stał się inny warszawski gmach – „dar narodu radzieckiego dla Polski” – Pałac Kultury i Nauki.

Począwszy od roku szkolnego 1957/1958 jedenastolatki przestały być szkołami „tepedowskimi”, a stopień podstawowy został oddzielony od stopnia licealnego. Był to czas w życiu moim, moich koleżanek i kolegów, kiedy należało zdecydować o wyborze szkoły średniej. Podanie złożyłam do dębickiego liceum.

A w świecie działo się wiele ważnych rzeczy. W 1957 roku z wypiekami na twarzy przeczytaliśmy wiadomość, że polski film „Kanał” Andrzeja Wajdy zdobył na prestiżowym festiwalu filmowym w Cannes „Srebrną Palmę” razem z dziełem Irwinga Bergmana „Siódma pieczęć” [potem jeszcze tylko 2 polskie filmy otrzymają Złote Palmy: „Człowiek z żelaza” – również Wajdy i „Pianista” Romana Polańskiego].

Ale czas nie był dla nas łaskawy. W latach 60-tych nastąpiła niebezpieczna eskalacja napięć między supermocarstwami: Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. W październiku 1962 roku świat stanął na

granicy katastrofy wojny nuklearnej z powodu tzw. kryzysu kubańskiego, gdy Rosjanie wysłali na Kubę głowice nuklearne. Na szczęście kryzys został zażegnany, chociaż wciąż trwał wyścig zbrojeń i wyścig w zdobyciu Kosmosu. Rosjanie pierwsi wysłali na orbitę rakietę kosmiczną, a potem następne, m.in. z suczką Łajką, o której nawet powstała niezwykle popularna wówczas piosenka:

„Sate – sate – satelita!
Kto nie wierzy,
W gazecie niech przeczyta.
Sate – sate – satelita,
A na satelicie pies!”

W marcu 1961 roku w Kosmos wyleciał pierwszy człowiek – Jurij Gagarin. Było to wydarzenie niezwykle spektakularne. Pamiętam, jak idąc po lekcjach przez dębicki rynek, oglądaliśmy na wystawie w sklepiu „U Domarskich”, uśmiechającego się z kolorowych okładek czasopism, tego „bohatera naszych czasów”. Świat kisił się w zimnej mżawce, brudne resztki śniegu leżały na trawnikach, wiatr porywał jakieś śmieci i gnał je po ulicach, wokół było „szaro, buro, ponuro”, a on śmiał się szeroko jak ktoś z innego wymiaru.

W 1963 roku, gdy „wyfruwaliliśmy” właśnie z licealnych murów, w Kosmos poleciała pierwsza kobieta – Walentyna Tierieszkowa, o której śpiewaliśmy, że to „pierwsza w świecie podniebna miss”.

Lata 60. przyniosły nowe wydarzenia i nowe mody mające duży wpływ na młodzież. Władysław Gomułka – którego ambasador francuski w Polsce w 1963 roku nazwał „ascetą stwardniałym jak kawał suchego drewna”, utrwał „naszą małą stabilizację”, nienawidząc wszystkiego, co pochodziło zza „żelaznej kurtyny”. Pomstował np. na sprowadzanie do Polski kawy, bo „ileż za to można byłoby zbudować fabryk!”

To były czasy, w których było bardzo ciężko, chociaż – wyzbywszy się wielkich marzeń i idei – dało się „maleńki los naparstką pić” – jak pisała Wisława Szymborska i „wiązać koniec z końcem za te polskie dwa tysiące” – jak znów – w słynnych „Okularnikach” pisała Agnieszka Osiecka. Ale już w Stanach Zjednoczonych rodził się ruch hipisowski skierowany przeciw konsumpcjonizmowi dorosłych i wojnie w Wietnamie, na której ginęli młodzi ludzie, w Anglii ogromny rozgłos zdobywali Beatlesi, tworzący nowoczesny rodzaj muzyki, który całkowicie uwiódł ówczesnych młodych ludzi,

a w 1968 roku w amerykańskim miasteczku Woodstock odbył się pierwszy festiwal rockowy, dający początek nowej epoce w dziejach muzyki.

„Reforma Systemu Oświaty” z 1961 roku, która zadecydowała o wprowadzeniu ośmioklasowych szkół podstawowych i 4-klasowych liceów [rozpoczęli ją realizować w roku 1966/1967 uczniowie z rocznika 1952] potwierdzała jednolitość, bezpłatność i świeckość instytucji oświatowych, starała się przybliżyć szkołę do wymogów nowych czasów, unowocześnić nauczanie, wprowadzić metody pogładowe i aktywizować uczniów do samodzielnej pracy. Zalecano organizowanie klaso-pracowni przedmiotowych, w których preferowano zajęcia laboratoryjne, stosowanie nowych pomocy pogładowych, zindywidualizowane nauczanie zgodnie z zainteresowaniami uczniów.

Chodziłam wówczas do X [II] klasy i byłam świadkiem nieśmiałych prób profesorów, by nie tylko pytać uczniów, ale z nimi dyskutować. Zdarzało się to jednak rzadko, a my najczęściej baliśmy się mieć inne zdanie niż nasi wykładowcy. Dalej więc królował wykład, ewentualnie owa praca z książką, czyli: „przeczytajcie stąd dotąd, a ja was potem przepytam”.

Na niektórych jednak przedmiotach, takich jak język polski, biologia, geografia czy fizyka nowe metody bywały stosowane z powodzeniem, a ich rezultaty – satysfakcjonujące.

21 września 1963 roku – jak pisał Edward Wodzień – „niezwykłe radośnie zabrzmiał w Dębicy hymn „Gaudeamus”, odśpiewany z okazji inauguracji roku akademickiego w Punkcie Konsultacyjnym Politechniki Krakowskiej. Kierownikiem tego punktu był Eugeniusz Skowron”. Wykłady odbywały się początkowo w Technikum Mechanicznym, a później [do 1967 roku] w naszym liceum. Tu również – po latach odbywały się niektóre zajęcia Dębickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Gdy od 1966 roku zaczęły funkcjonować w szkołach podstawowych klasy ósme, będące efektem reformy z 1961 roku; wówczas – ze względu na zbyt dużą liczbę uczniów – do naszego liceum dołączono dwie klasy VIII ze Szkoły Podstawowej nr 2. Propagowano, oczywiście, wychowanie przez pracę i wychowanie przez sztukę – podporządkowane ideologii. Podkreślano świeckość szkoły i utworzono Towarzystwo Szkoły Świeckiej. Celebrowano święta państwowe, m.in. świeckie obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego. To wydarzenie zostało uczczone nie tylko wielką, propagandową defiladą w Warszawie, ale też akcją „Tysiąc Szkół na Tysiąclecie”.

Na ową rocznicę również władze kościelne organizowały wielkie uroczystości. W czasie największego z nich, w Częstochowie, zostały złożone

słynne „Śluby Jasnogórskie,” ułożone przez uwięzionego prymasa polski – Stefana Wyszyńskiego. Śledziliśmy te wydarzenia i przeżywaliśmy je mocno, czerpiąc z nich naszą wiarę i siłę.

Z wielkim zainteresowaniem szliśmy do kina „Uciecha”, gdzie wyświetlano nakręcony z wielkim rozmachem nowy film Jerzego Kawalerowicza „Faraon” z Jerzym Zelnikiem w roli głównej, słuchaliśmy przebojów „Czerwonych Gitar”, „Trubadurów” i „Skaldów”, i fascynowaliśmy się osiągnięciami naszych sportowców. Ówczesną królową lekkoatletyki była Irena Szewińska, mieliśmy też wiele sukcesów w boksie. Szczęśliwcy mogli obejrzeć na żywo występ Rolling Stonesów, którzy w 1967 roku przyjechali do Polski. Taki szal będą młodzi ludzie przeżywać jeszcze kilkakrotnie, gdy do naszego kraju przyjadą ich idole: w 1976 roku zespół „ABBA”, w 1996 – Michael Jackson, czy w 1999 – Whitney Houston.

Lata 60. to też czas przełomu w medycynie, dzięki pierwszemu przeszczepowi serca dokonanemu przez Christiana Bernarda [1967]. Takie same emocje przeżyjemy w 1985 roku, gdy polski kardiochirurg Zbigniew Religa dokona pierwszej w Polsce operacji na otwartym sercu, a niedługo potem – przeszczepu serca. W 1969 roku amerykańscy kosmonauci wylądują na Księżycu. Ale lata sześćdziesiąte to też wojna w Wietnamie [1965-1973] i zbrojna interwencja wojsk radzieckich w Czechosłowacji w 1968 roku.

Rok 1968 zapisał się też dramatycznymi wydarzeniami w Polsce. Wystawienie „Dziadów” Adama Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka sprowokowało wolnościowe wystąpienia studentów, co doprowadziło do dramatycznych represji władz, a także do antysemickiej nagonki, powodującej m.in. masową emigrację żydowskich intelektualistów. Niepokoje udzielały się również młodzieży licealnej, a bolesny rozrachunek z owymi wydarzeniami znajdowaliśmy w naszych późniejszych lekturach, m.in. w wierszu Stanisława Barańczaka „U końca wojny dwudziestodwuletniej”. Stefan Kisielewski nazwie rządy Gomułki „dyktaturą ciemniaków”, którzy ograniczają wolność wypowiedzi i cenzurują nawet Mickiewicza.

W pokoju nauczycielskim toczyły się gorące dyskusje na temat wystąpienia studenckich tłumionych brutalnie przez milicję. Ktoś opowiadał dowcip; oczywiście o Jasiu.

Sąsiad pyta:

-Panie, wysyłasz pan Jasia na studia?

A ojciec Jasia:

- Nie. Sam go spałuję.

Dramatyczne dni przeżywali również mieszkańcy naszego powiatu. 7 maja 1968 roku w katastrofie kolejowej w Brzeźnicy zginęło kilkunastu żołnierzy 13 Batalionu Saperów, jadących na ćwiczenia wojskowe do Radomyśla nad Sanem. Świadkowie ze zgrozą relacjonowali to wydarzenie: huk miażdżonych pojazdów wojskowych, wybuchy płonącego paliwa, nieludzkie krzyki rannych; trudno było otrząsnąć się i uspokoić nawet wtedy, gdy szczegółów tej strasznej katastrofy znało się tylko z relacji osób postronnych.

A 21 lipca 1969 roku, w nocy o godzinie 3. 56 czasu polskiego Amerykanie wylądowali na Księżycu. To był historyczny moment, niezwykle czas, „mały krok człowieka, ale wielki krok ludzkości”.

Nasza młodzież coraz częściej z zazdrością spoglądała na Zachód. Bardzo podobał się jej tamten styl życia, znany z filmów i telewizyjnych przekazów; marzyła, by przeżywać i posiadać to, co jej zagraniczni rówieśnicy. I chociaż z trudem przenikały do nas nowoczesne tendencje i mody, to w szkole zaczęły się coraz częściej pojawiać „luzackie” zachowania, kolorowe, hipisowskie stroje i fryzury, a także „szaleństwo” dżinsowe, które wkrótce ogarnęło cały świat. Potem pojawiły się kominiarki, bluzy z kapturami i inne modne ubiory, które wygrywały z tradycyjnym umundowaniem szkolnym. Szalenie popularne stawały się powstające w naszym kraju, jak grzyby po deszczu, coraz to nowe, rockowe zespoły muzyczne, awangardowe przeboje, czy – zorganizowany po raz pierwszy w 1970 roku – kontrowersyjny, głośno komentowany i krytykowany w prasie festiwal w Jarocinie, na który zjeżdżała młodzież całej Polski; niekoniecznie za wiedzą i zgodą rodziców.

Pamiętam, że w jednej z moich klas, dziewczyny miały specjalną skarbonkę z napisem „Jarocin”, na który zbierały cały rok pieniądze zaoszczędzone kosztem bułki, zeszytu czy biletu do kina. Najbardziej zapalona do tego wyjazdu Marta, egzekwowała ów haracz z wielką gorliwością.

Młodzi ludzie coraz śmielej wyrażali swą niezależność, swój bunt przeciwko różnorodnym ograniczeniom; także szkolnym, co budziło niepokój władz. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że szkoła musi zmienić swe oblicze.

Gdy w 1973 roku wróciłam do liceum jako nauczyciel, było już po kolejnej reformie oświatowej z 1968 roku i po wprowadzeniu w 1972 roku „Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela”.

Po krwawych wydarzeniach na Wybrzeżu w 1970 roku, zakończonych masakrą robotników, nastąpiła zmiana władzy, która stawiała przed oświatą nowe wyzwania. Już w 1971 roku na zjeździe młodzieży I sekretarz PZPR

Edward Gierek głosił, że „awans człowieka zaczyna się w szkole i należy go tam nauczyć dobrej roboty”.

Ta dyrektywa doprowadziła do powołania przez KC PZPR grupy ekspertów, której celem było dokonanie oceny sytuacji w polskim szkolnictwie i przedstawienie sposobu jego unowocześnienia. W sporządzonym „Rapporcie o Stanie Oświaty w PRL” wyknięto wówczas wiele błędów: przestarzałe programy, złe podręczniki, brak właściwej współpracy z rodzicami, nienowoczesne formy nauczania, zbyt liczne klasy. Spośród różnych propozycji zmian wybrano tę, opracowaną przez Heliodora Muszyńskiego.

Ten marksistowski pedagog stawiał przed szkołą zadania nakierowane na przyszłość, w której uczniowie będą funkcjonować jako „świadomi i twórczy obywatele. Nauczyciel miał inicjować i stwarzać na lekcjach sytuacje, które pobudzają aktywność i kreatywność, uczą współodpowiedzialności, uspołeczniają, doprowadzają do pożądanых zmian w osobowości, a przez to przygotowują do aktywnego i twórczego życia w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym”.

Wśród różnych propozycji dotyczących lekcji języka polskiego były istne kurioza. Np. podawanie tematu na początku lekcji okazało się wielkim błędem. Należało stworzyć sytuację skłaniającą uczniów do dyskusji nad jakimś materiałem literackim, w czasie której miano wysnuć pożądane przez nauczyciela wnioski, a z nich dopiero miał się wyłonić temat, czyli odpowiedź na pytanie: – To o czym rozmawialiśmy dziś na lekcji?

Było dziwacznie i czasami trudno. Ale przeżyliśmy i to. A reforma w dużej mierze unowocześniła styl pracy w szkołach, dążących do wszechstronnego rozwoju uczniów, do kształcenia pozwalającego na robienie karier, do otwarcia na świat.

To otwarcie na świat, dokonujące się w różnych dziedzinach życia i ambitne cele polityczne nowych władz, wpływały na pozytywne przemiany zachodzące w naszym mieście i w całej Polce.

Lata siedemdziesiąte to rozwój wielkich zakładów przemysłowych, to również rozwój budownictwa mieszkaniowego z wielkiej płyty, to produkcja małego fiata – samochodu dla każdej rodziny, to różne spektakularne przedsięwzięcia, jak odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie [będąc na wycieczce w Krakowie wrzucaliśmy drobne datki do wielkiej szklanej skarbonki stojącej na krakowskim rynku, już do połowy zapełnionej pieniędźmi na odbudowę tego zabytku], budowa Trasy Łazienkowskiej, huty „Katowice” i Portu Północnego, to zrealizowany z wielkim rozmachem

przez Jerzego Hoffmana film „Potop”, to lepszy dostęp do towarów; także zagranicznych, to wielkie sukcesy w sporcie.

W 1973 roku odnieśliśmy podwójne zwycięstwo na mistrzostwach świata w kolarstwie [I miejsce – Stanisław Królak, II – Stanisław Szozda], na olimpiadzie w Monachium w 1972 roku zdobyliśmy 21 medali [7 złotych, 5 srebrnych i 9 brązowych], na olimpiadzie w 1976 w Montrealu -26 medali; w tym w siatkówce [7 złotych, 6 srebrnych i 13 brązowych], a w 1974 roku na mistrzostwach świata w piłce nożnej Grzegorz Lato został królem strzelców.

Słuchaliśmy świetnych piosenek Wojciecha Młynarskiego, Zbigniewa Wodeckiego, Alicji Majewskiej, Michała Bajora, Ewy Demarczyk, Marka Grechuty. Pojawiły się kasety magnetofonowe, kolorowe telewizory, wynaleziono też telefon komórkowy, choć jeszcze długo był dla nas odległym marzeniem.

W telewizji oglądaliśmy – jeszcze czarno-biały serial „Czterej pancerni i pies” w reżyserii Konrada Nałęckiego w oparciu o powieść Janusza Przymanowskiego, ukazujący w sposób „lekki, łatwy i przyjemny” wojenne losy załogi polskiego czołgu walczącego bohatercko w czasie II wojny światowej. Nasze dzieci bawiły się odtwarzając sceny z serialu, a w Ogródku Jordanowskim oblegały zainstalowany tam czołg „Rudy”. Zasiadaliśmy też przed ekranem, by oglądać ogromnie popularny serial Jerzego Gruzy „Czterdziestolatek”, ukazujący z wdziękiem, lekkością i przymrużeniem oka gierkowską rzeczywistość. Wspaniałe kreacje stworzyli tam: Anna Seniuk, Irena Kwiatkowska i Andrzej Kopiczyński.

W sklepach pojawiły się dotąd niedostępne towary – także z importu. Wzbogacaliśmy się o nowe meble, artykuły gospodarcze, wyjeżdżaliśmy na wycieczki i na wczasy częściowo dotowane przez państwo; niekiedy zagraniczne. Modnie było wypocząć w bułgarskich Złotych Piaskach, a potem z dumą obnosić piękną opaleniznę i chwalić się urokliwymi zdjęciami.

Ów „sockonsumpcjonizm” lat siedemdziesiątych, który wabił i mamił, a który miał być realizacją Gierkowskiego hasła: „By Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”, nic jednak nie mówił o duchowych potrzebach człowieka. Marcin Zaremba nazwał tamte czasy „bigosowym socjalizmem”.

Wzrastał eksport i prestiż naszego kraju na arenie międzynarodowej. Polskę, którą niektórzy nazywali „tygrysem Europy”, po raz pierwszy odwiedzili amerykańscy prezydenci: Richard Nixon, Gerald Ford, Jimmy Carter. Edward Gierek pojechał z rewizytą do Stanów Zjednoczonych. W mediach propagowano hasło; „Polak potrafi”.

Kolorowy, wielki świat oglądać można było w radzieckich telewizorach „Rubin”; niestety bardzo drogich, a na dodatek często wybuchających, na przedpłaty można było nabyć małego fiata, choć kolejki były ogromne, więc niekiedy tuż po urodzeniu dziecka dokonywano dla niego pierwszej przedpłaty. Były też organizowane loterie. Pamiętam, że jeden z naszych nauczycieli wygrał szczęśliwy los i mógł cieszyć się ślicznym, nowoczesnym „maluchem”. Przez wiele lat wpłacało się wkład na mieszkanie, by w końcu uzyskać nowiutkie lokum w blokach z wielkiej płyty. To były nasze małe szczęścia.

Przemiany we wszystkich dziedzinach życia – znamionujące epokę „ukorzonego PRL-u” – sprawiały, że rosły ambicje rodziców i uczniów, poprawiały się warunki pracy szkół, a także warunki życia nauczycieli. Nasze liceum święciło triumfy, uczniowie zdobywali laury w olimpiadach przedmiotowych i w różnych konkursach, prawie w stu procentach zdawali maturę i udawali się na studia na uczelniach w całym kraju [np. w roku szkolnym 1970/1971 zajmowaliśmy I miejsce w województwie pod względem liczby uczniów przyjętych na studia].

Już w połowie lat siedemdziesiątych owo gierkowskie „niebo” okazało się jednak złudne. Na sklepowych półkach znów było coraz mniej towarów, zaczęły gwałtownie rosnać ceny, ogłaszano coraz to nowe podwyżki; te dotyczące podstawowych towarów bolały najbardziej. Protesty robotnicze w Radomiu i Ursusie w 1976 roku zostały stłumione, a wobec uczestników – których nazwano wicherzycielami i warchołami – zastosowano okrutne represje.

Znamiona nadciągającego kryzysu były coraz dotkliwsze. By spłacać zagraniczne pożyczki zaciągano nowe, drogie sklepy komercyjne budziły kontrowersje, uwierała zima stulecia. Zamiast obiecywanej „drugiej Polski” gloryfikowanej przez nachalną, kłamliwą propagandę medialną, coraz bardziej dawały się we znaki problemy gospodarczo-rynkowe, coraz trudniej było zdobyć potrzebne towary, wydłużały się kolejki, rosła gorycz z powodu warunków życia – dalekiego od tego, na Zachodzie. Nasilały się protesty intelektualistów przeciwko planowanym zmianom w konstytucji i przeciwko cenzurze, coraz wyraźniejszy był bunt wobec polityki państwa, organizował się ruch opozycyjny. Zdesperowani ludzie pragnęli cudu. Ogromną popularnością cieszyły się m.in. seanse uzdrowicielskie angielskiego bioenergoterapeuty Clive’a Harrisa [tak, jak na przełomie lat 80. i 90. seanse hipnotyczne rosyjskiego psychoterapeuty Anatolija Kaszpirowskiego, prowadzone w telewizji].

Władza również potrzebowała na gwałt jakiegoś sukcesu. Okazał się nim udział Polaka Mirosława Hermaszewskiego w 1978 roku w radzieckim

podboju Kosmosu. O tym bohaterze rozpisywała się prasa, krzyczało radio i telewizja.

16 października tegoż samego 1978 roku świat obiegła niesamowita wiadomość: papieżem został Polak – Karol Wojtyła! Nadzieja i duma wstąpiła w serca Polaków.

Zygmunt Bauman pisał: „Wybór Karola Wojtyły na papieża przywracał narodowi godność poniewieraną przez zaborców, miażdżoną przez zaco-fanie gospodarcze lat międzywojennych, obrażaną przez wyciszenie głosu narodowego w okresie rządów komunistycznych. Polacy odzyskali pewność siebie”.

A potem były pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny, zwiastujące odmianę „oblicza ziemi. Tej ziemi”.

W 1979 roku nastąpiła niespodziewana inwazja Związku Radzieckiego na Afganistan, gwałtownie nasilił się wyścig zbrojeń, a wraz z nim widmo nowej wojny zawisło znów nad światem. W marcu 1980 roku w lesie kabackim rozbił się samolot pasażerski z 183 osobami na pokładzie, lecący z Nowego Jorku. Zginęli wszyscy, a wśród nich bardzo popularna, młoda, piękna, utalentowana piosenkarka Anna Jantar, która tak niedawno śpiewała nieświadomie proroczo: „Nic nie może przecież wiecznie trwać...” Wśród ofiar katastrofy byli dębiczanie. Po dniach szoku i żalu życie znów wróciło na swe zwyczajne tory.

Nasza Dębica w latach 70-tych szybko zmieniała swe oblicze. Wspaniale rozwijał swą produkcję dębicki „Stomil”, WUCH i inne zakłady przemysłowe, w 1972 roku powstała Fabryka Farb i Lakierów, a w 1978 – wielki kombinat rolno-przemysłowy „Igloopol”. Rosły bloki mieszkalne, powstawały nowe dzielnice, kościoły, szkoły, szpital, sklepy, obiekty sportowe i instytucje kulturalne. Prężnie działały domy kultury: „Kosmos” i „Śnieżka”, a od 1976 roku – nowo powstały, wspaniały dom kultury „Morsy”. Odbывało się w nich wiele imprez artystycznych; prezentowali swe programy artyści z kraju i zagranicy, a także miejscowe zespoły, m.in. „Igloopolanie”, w których występowała młodzież naszego liceum, czy Miejska Orkiestra pod batutą świetnego muzyka i pedagoga, współtwórcy wielu imprez miejskich i powiatowych, późniejszego dyrektora Państwowej Szkoły Muzycznej – Stanisława Świerka. Tę rozwijającą się Dębicę sławiła optymistyczna piosenka:

„Dębica, Dębica na ustach wszystkich w kraju,
Dębica, Dębica opony przy fiatach śpiewają.

Jeśli ci za gorąco, lody w Dębicy kup:
Wytwórnia Urządzeń Chłodniczych,
Czyli po prostu WUCh”.

Ale obok pięknych obiektów, powstawały też różne „brzydaczki”. Budowano szybko, często byle jak, z tandetnych materiałów, nie przejmując się, że na długie lata będą szpecić miasto. Jonasz Kofta kpił:

„Arcytekтура,
Arcytekтура.
Rosną nam domy, szkoły i biura,
Klubokawiarnie, sale narad,
wszystkie stylowe – wczesny barak”.

Świetnie prosperujące fabryki prowadziły szeroko rozwiniętą działalność socjalną. To dzięki niej wielu z nas, nauczycieli w czasie wakacji prowadziło kolonie letnie, łącząc zarobek z wypoczynkiem. Ja również – razem z koleżankami nauczycielkami kilkakrotnie wyjeżdżałam z dziećmi pracowników WUCh-u nad Bałtyk, a raz z dziećmi „Igloopolu” – na Węgry. Dębickie zakłady pracy niosły też pomoc finansową szkołom [w tym i naszej], sponsorowały działalność domów kultury, a także inwestowały w rozwój infrastruktury miejskiej i sportu.

W latach 70-tych Dębica była nazywana zapaśniczą stolicą Polski. To wtedy zapaśnicy z klubu „Wisłoka” rozślawili nasze miasto na cały świat bardziej niż stomilowskie opony i dębicka szynka. Odnosili sukcesy na igrzyskach olimpijskich i na mistrzostwach świata.

Największym były Mistrzostwa Świata w Teheranie w 1973 roku, skąd Polacy przywieźli 6 medali; w tym 5 należało do dębiczian. Józef i Kazimierz Lipieniowie wywalczyli złoto, Ryszard Świerad i Jan Michalik srebro, a Andrzej Skrzydlewski – brąz. Kazimierz Lipień na olimpiadzie w Monachium wywalczył brązowy medal, a w Montrealu – złoty. Jego brat Józef zdobył srebrny medal w Moskwie.

Cieniem na sporcie lat 70-tych położyły się dramatyczne wydarzenia na olimpiadzie w Monachium w 1972 roku, gdy grupa palestyńskich ekstremistów zamordowała 11 sportowców izraelskich, co jednak nie przerwało igrzysk.

Polskie osiągnięcia w olimpiadach tamtych lat to 7 złotych medali w Monachium i w Montrealu, i 3 w 1980 roku w Moskwie. Na tej moskiew-

skiej olimpiadzie Władysław Kozakiewicz – wygrywając z Rosjaninem skok o tyczce – wykonał spektakularny gest, który zyskał chyba większy rozgłos niż sam jego wyczyn.

Pasjonowali się wydarzeniami sportowymi i rodzice, i nauczyciele, i uczniowie, a dyskusje przenosiły się nawet na lekcje. Najbardziej chyba przeżywaliśmy zdobycie złotych medali: w 1972 roku w piłce nożnej [olimpiada w Monachium] i w 1976 – w siatkówce mężczyzn [olimpiada w Montrealu], a także rekordy Ireny Szewińskiej – naszej lekkoatletki wszech czasów.

A nasze liceum wciąż rozkwitało, wciąż „prężyło muskuły”, kształciło nowe zastępy młodzieży, osiągało sukcesy, było na czele wojewódzkich rankingów, oceniających poziom nauki, udział uczniów i ich osiągnięcia w różnego rodzaju konkursach, przodowało w ilości absolwentów zdających z powodzeniem na wyższe uczelnie. I wciąż cieszyło się w środowisku wielką popularnością. Prezentowało też nowiutki hymn, nazywający szkołę „siłaczką”.

Dziś ów hymn został trochę zapomniany; może dlatego, że nieco razi socjalistyczną frazeologią, charakterystyczną dla tamtego czasu. Ale jest ciekawym przyczynkiem do poznania historii liceum, a jego tekst został umieszczony w gablotce na korytarzu szkoły. Dokonano jednak jego drobnej korekty. W pierwotnej wersji za absolwentów godnych naśladowania uznano Wiktora i Bonara, w późniejszej – Wiktora i Gawrysia.

Wydana w 1972 roku „Karta Praw i Obowiązków Nauczycieli” podkreślała wysoką rangę społeczną zawodu nauczyciela, chociaż nie zapewniała pedagogom odpowiedniego statusu finansowego. Czytaliśmy tam, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa szczególną troską otacza stan nauczycielski, w którego rękach spoczywa wychowanie narodu”. Żądała ona jednocześnie od niego zaangażowania ideowego.

Nauczyciel miał być zarówno przedmiotem, jak i podmiotem edukacji narodowej, a także pionierem tzw. „kształcenia ustawicznego”. Szef resortu oświaty głosił, że „doksztalcanie czynnych nauczycieli jest jednym z najważniejszych problemów w polityce kadrowej ministerstwa”. Realizowano więc akcję doksztalcania pedagogów na uczelniach pedagogicznych i różnego rodzaju kursach, a także na rejonowych konferencjach pedagogicznych, w czasie których tematy pedagogiczne uzupełniano o informacje polityczne i kształcenie ideologiczne, a które były dla nas – przede wszystkim – okazją do miłych towarzyskich spotkań.

Wprowadzono tytuły zawodowe dla nauczycieli, podniesiono nieznacznie płace [ale odebrano dodatki za wychowawstwo oraz wymagano

prowadzenia bezpłatnych kółek przedmiotowych i innych zajęć dodatkowych]. W miejsce dawnego listopadowego Dnia Nauczyciela uchwalono październikowe Święto Edukacji Narodowej.

Nowa reforma oświaty z 1973 roku dążyła do upowszechnienia szkolnictwa średniego, chciała udoskonalić kształcenie, a także promować aktywność m.in. przez tzw. „rozszerzoną ocenę” z zachowania, której ważnym elementem był znów obowiązek pracy fizycznej [ok. 35 godzin w miesiącu].

Wprowadzono „Kodeks Ucznia”, określający jego obowiązki, ale też prawa, uwzględniający większą samorządność i swobodę dotyczącą np. ubiorów, fryzur, czy możliwości udziału w różnych zajęciach pozaszkolnych itp. Przyjęto określony Ceremoniał Szkolny, propagowano tworzenie tzw. „Izb Pamięci”, na świadectwach szkolnych zaczęto wpisywać indywidualne osiągnięcia uczniów. Utworzono funkcję asystentów przedmiotowych, składających nauczycielowi meldunki o obecności i przygotowaniu uczniów, obowiązkowe przerwy śródlekcyjne zwane też „gimnastyką śródlekcyjną”, promowano pracę w grupach. Położono nacisk na rozwijanie uzdolnień i talentów uczniów, na ich udział w kółkach zainteresowań. Zmieniono regulamin matur i wprowadzono możliwość dopuszczenia wyjątkowo zdolnych uczniów do egzaminu maturalnego rok wcześniej. Z tej możliwości skorzystał m.in. Janusz Zachara – zdobywca II miejsca na V Międzynarodowej Olimpiadzie Chemicznej w Sofii.

W 1973 roku sejm uchwalił powołanie 10-letnich szkół podstawowych, co miało również zmienić strukturę szkół średnich. Nauczyciele masowo uzupełniali kwalifikacje. W naszym liceum zorganizowano nawet zespół pomocy dla pedagogów uzupełniających studia z zakresu chemii i fizyki. Jednak reforma dotycząca powstania „dziesięcioleci” nigdy nie weszła w życie.

Wciąż uroczystości celebrowano święta państwowe. Jednym z największych było robotnicze święto 1-Maja. Miało ono długą tradycję.

Doskonale pamiętam, jak w zimny, wietrzny, majowy ranek, gdy na burym niebie nie majaczył nawet najmniejszy odprysk słońca, maszerowałyśmy wraz z całą szkołą w białych, cieniutkich tuniczkach, które zostały uszyte na występy taneczne przygotowywane przez profesorkę Grundboeck. Zazdrościłyśmy gapiom stojącym wzdłuż ulicy, zakutanim w płaszcze i kurtki, chociaż udawałyśmy, że nic a nic nie marzniemy. Pamiętam też pierwszomajowe zbiórki na stadionie „Wisłoki”, skąd zaczynały się pochody i odczytywanie przez wychowawcę Piotra Rybkę listy obecności. Nikt nie odważył się zdezerterować.

Potwierdza to wspomnienie jednego z uczniów, zamieszczone w „Echu Załogi” [1966 rok]: „Nasi nauczyciele na miejscu zbiórki, która miała miejsce na ulicy I Maja, sprawdzali obecność uczniów. Ci, którzy nie przyszli na pochód, mieli obniżone zachowanie. Dla wielu z nas był to argument, by w pochodach uczestniczyć. Więc szliśmy. Pochody były na długo wcześniej planowane i starannie przygotowane”. Tak było również w czasach mojej pracy w liceum.

Już od świtu witał nas uroczysty, radosny głos radiowego spikera: „Da zdrowstwuje! prazdnik pierwowo maja!” Relacjonował on obchody w największym kraju bloku socjalistycznego – Związku Radzieckim. Mówił, że Moskwa pełna jest rozentuzjasmowanego tłumu, że czerwona od sztandarów, że pogoda słoneczna i ludzie szczęśliwi. Prawdopodobnie rozpylano tam jakiś związek srebra zapewniający tę corocznie słoneczną pogodę, ale ja – nieuk chemiczny – nigdy tego nie mogłam pojąć. W radiu śpiewał słynny radziecki „Chór Aleksandrowa”.

Nasze miasto również tonęło w morzu czerwonych sztandarów, łopoczących na wietrze, który niósł z sobą radość i nadzieję wiosennego poranka. Ulice lśniły czystością, wystawy sklepów przybrały biało-czerwone barwy, wszędzie pełno było chorągiewek i kolorowych baloników.

We wspomnianym wyżej „Echu Załogi” mogliśmy przeczytać: „Pochód wyruszał ulicami miasta po wysłuchaniu transmisji przemówienia I sekretarza PZPR [...]. Jak zwykle otwierał go poczet z flagami państwowymi, orkiestra, poczty sztandarowe organizacji politycznych, społecznych, kombatanckich, młodzieżowych, Komitet Honorowy Obchodów Święta Pracy, a także przedstawiciele władz polityczno-administracyjnych miasta. Za nimi szła młodzież szkolna i załogi zakładów pracy [...]. Miasto wyglądało odświętnie i kolorowo, ulice wykwitły purpurą, łopotały na wietrze chorągwie, rachityczna zieleń pachniała wiosną, a mieszkańcy tłumnie, z całymi rodzinami, od wczesnych godzin spieszyli na miejsce zbiórek, by później już w pochodowym szyku przejść ulicami miasta ze sztandarami i transparentami, głoszącymi pokój, pracę i porozumienie”.

Nad maszerującymi rzeczywiście płynęło morze czerwonych sztandarów i biało-czerwonych flag. Najpiękniejsze były te – z największych dębickich zakładów pracy: „Stomilu” i WUCh-u – nowiutkie, zrobione z cieniutkiego, delikatnego materiału, łagodnie falujące w powiewach wiatru. Nasze – licealne były wieloletnie, tradycyjne, siermiężne, a choć świeżo uprane i uprasowane przed tym świętem, to najczęściej wypłowiące, poszarzałe i „uponiewierane” od niezbyt delikatnego obchodzenia się z nimi

tych, którzy byli skazani na ich niesienie. Dyrekcja wyznaczała do tej funkcji uczniów klas najstarszych; tuż przed maturą bali się narazić i grzecznie dzierżyli te flagi i transparenty, a potem zdawali je w wyznaczonym miejscu w obecności wychowawców.

Dla nauczycieli 1 Maj był dniem trudnym. Przychodziliśmy do szkoły odświętnie ubrani, „zwarci i gotowi”, obserwując zdenerwowanie dyrektorów, którzy starali się, by szkoła zaprezentowała się w oczach władz i mieszkańców Dębicy jak najlepiej. Pokrzykiwali na niesfornych uczniów, a niekiedy nawet na nas – trochę opieszale organizujących pochód. Patrzyliśmy nieco zdziwieni; akurat wtedy nieprawdą okazywało się powiedzenie, że „mężczyzna w krawacie jest mniej awanturujący się”. A potem szliśmy.

Na czele – dyrekcja, wyróżniający się, „wyodznaczeni” orderami pedagodzy, potem młodzież i my – zwyczajni nauczyciele.

Pamiętam jak dziś: czerwień chorągwi wśród młodej, wiosennej zieleni, socjalistyczne hasła na sztandarach, głośnie dźwięki orkiestry wojskowej, okrzyki sławiące rząd i partię, wylewające się z głośników ustawionych na jednym z balkonów kamienicy na rogu rynku i ówczesnej ulicy Świerczewskiego, marszowy krok młodzieży, wystukujący rytm, jak u Majakowskiego: „Kto tam szagajet prawoj? Lewoj! lewoj! lewoj!”

Zgromadzeni na chodnikach ludzie coś krzyczeli, znajomi machali do nas wesoło, inni robili zdjęcia. Dużo było tych fotografujących. Pewnie jeszcze w wielu domach walają się gdzieś zakurzone fotografie z tamtych pochodów. No i pewnie na nich i my – już na zawsze maszerujący: „Lewoj! lewoj! lewoj!”

Zdarzały się małe piękne, słoneczne, ciepłe, więc pochód był też trochę wiosennym spacerem, kończącym się w cukierni „U Kiciowej”, gdzie właśnie pierwszego maja zaczynał się sezon serwowania lodów. Ale były też inne małe – ponure, zimne, z deszczem, a nawet ze śniegiem.

Pamiętam, gdy pewnego roku nie udawaliśmy się – jak to było w zwyczaju – na miejsce zbiórki na stadion „Wisłoki”, ale oczekiwaliśmy przed Szkołą Podstawową nr 6, by stamtąd włączyć się do pochodu. Ziąb był niesamowity. Wiał mroźny wiatr i zaczął padać taki zamarzający, lodowaty deszcz. Ręce przymarzały do parasoli, nogi w cieniutkich pończoszkach robiły się fioletowe, a przemówienia, których słuchaliśmy przez megafony, zdawały się nigdy nie skończyć. Żal nam było – też już wiosennie wystrojonej – młodzieży; ale trwaliśmy. A potem szliśmy: „Lewoj! lewoj! lewoj!” Najbardziej jednak utkwiał nam w pamięci 1 maj 1986 roku.

W tamtym roku właśnie, 26 kwietnia wybuchł reaktor atomowy w Czarnobylu, tworząc toksyczną, zabójczą chmurę, przenoszoną z wiatrem po Europie. Nasze okolice były szczególnie zagrożone. Ale władze – oczywiście – starały się ukryć katastrofę, a gdy to się nie udało, jak najbardziej zminimalizować informacje o jej skutkach. Wzmiankę o wybuchu podano dopiero po kilkunastu godzinach, równocześnie zapewniając, że jesteśmy zupełnie bezpieczni.

Wprawdzie pocztą pantoflową dochodziły hiobowe wieści. Milicjanci najwcześniej „zapędzili” swe pociechy z piaskownic i podwórek do domów i pozamykali okna. My, słuchaliśmy komunikatów w TV, w której uspokajali nas coraz to nowi eksperci. Dzieciom postanowiono „profilaktycznie” podać płyn Lugola, więc prowadziliśmy je do przychodni dziecięcych, pełni obaw i niewiedzy. Dorośli byli ponoć odporni na ewentualne skażenie, więc nam płynu poskąpiono. Profesorka Marysia Grek skądś jednak „wytrzasnęła” ów drogocenny specyfik, więc piliśmy go na przerwach, łudząc się, że to nas ustrzeże od dramatycznych skutków wybuchu.

Pierwszego maja tamtego roku wszyscy karnie – jak zawsze – stawiliśmy się w szkole, chociaż pełni niepokoju, rozterek i obaw. Zgodnie z zasadą: „dobrowolnie, ale obowiązkowo” stawili się też uczniowie. Czekaliśmy w napięciu decyzji o pochodzie, wymieniając się zasłyszanymi hiobowymi wieściami. Ktoś przypomniał, że niedawno widoczna była na niebie komety Halleya. Od dawna uważano, że to zły omen. Na szczęście, następnym razem ukaże się dopiero w roku 2061.

Czas mijał, a dyrektor Galas wciąż przebywał na konsultacjach w komitecie partii. Wreszcie przyniósł decyzję: – Idziemy. Więc szliśmy: „Lewoj, lewoj! lewoj!”.

W tym dniu rozpoczął się też tradycyjny Wyścig Pokoju i mimo oporu zawodników i wycofania się drużyny USA, kolarze podążali etapem na Ukrainę, co miało dowodzić braku skażenia środowiska. Słońce prażyło wyjątkowo mocno. Obchody pierwszomajowe uznano za udane.

Szliśmy w takt marszowej muzyki, a cichcem skradała się epoka zachorowań na raka, na różne niebezpieczne choroby tarczycy i inne paskudztwa. Słychać było chichot historii.

Niekiedy udawało mi się zdezerterować z marszu. Gdy przechodził obok klasztoru, oświadczałam idącej obok koleżance, że tylko na chwilkę wstąpię po ciastka dla dzieciaków do znajdującej się obok cukierni „U Kurgana”. Oglądałam te „ciacha” powoli, długo się decydowałam, a potem – gdy moja grupa była już daleko z przodu – wycofywałam się między

blokami na ulicę Piaski, a stamtąd wracałam do domu. Takie ucieczki zdarzały się wielu kolegom.

A uroczystości 1 Maja nie kończyły się pochodami. Corocznie w szkołach, a także w dębickich domach kultury odbywały się różne imprezy artystyczne. Recytatorzy wygłaszali wysławiające to święto wiersze, chór śpiewał rewolucyjne pieśni, prezentowano czerwień sztandarów, „bo na nich robotnicza krew”. W moich szpargałach zachowało się zaproszenie z 1978 roku na uroczystą akademię miejską z dedykacją: „Dla Przodowników Pracy – na koncert w wykonaniu Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.

Drugą cykliczną imprezą obchodzoną z pompą w naszej szkole była rocznica rewolucji październikowej [zawsze pisanej wielkimi literami]. Dyrektor Galas czasem zaglądał na próby, nie do końca ufając naszym pomysłom. Pewnie miał rację, bo starałyśmy się jak najbardziej „odpolitycznić i „odideowić” te akademie. Bardzo się np. zdenerwował pewnego razu, gdy zobaczył, że wystrój sceny miał stanowić duży obraz przedstawiający urokliwą cerkiewkę; zresztą z wielkim talentem namalowaną przez moją wychowankę Basię Ziemiowską, a najlepsza recytatorka naszego liceum Anka Augustynowicz prezentowała dowcipny wierszyk: „Poszła raz do cerkwi baba”.

Choć z natury spolegliwa, nie zgodziłam się wówczas na żadne proponowane przez szefa zmiany i przeforsowałam swój pomysł z cerkiewką i babą, który – jak się okazało – wszystkim się spodobał.

Oczywiście, musiało być na takiej akademii też coś o Leninie, Aurorze, z której „wystrzał padł”, o Pałacu Zimowym i „nacierającej czerni”. Pamiętam, że recytatorskie szlify zdobywał wtedy, pięknie interpretujący rewolucyjne teksty, mój uczeń Boguś Maciaszek. Zostanie księdzem, a jego oratorski talent na pewno mu się przyda.

Pewnego roku wraz z dyrektorem Galasem poszliśmy zrobić próbę akademii o rewolucji do komitetu partii, by „towarzysze” mogli dokonać cenzury, bo do naszego liceum mieli przyjechać na tę uroczystość jacyś oficjele i dyrekcja bała się wpadki. Któryś z sekretarzy – nie wyglądający na wielkiego znawcę poetyckich spektakli – przyglądał się występom. Był chyba porządnym człowiekiem, bardziej niż ja zażenowanym tą sytuacją; niczego nie komentował tylko kiwał potakująco głową i zdawał się przepraszać, że polecono mu nas oceniać.

W latach siedemdziesiątych, zwanych ironicznie „epoką orderów”, partia święciła triumfy i decydowała o wszystkich dziedzinach życia. Na Zjeździe w 1975 roku gościem specjalnym był sam Leonid Breżniew, witany z pompą i hołubiony przez władze. Zapewniano o dozwolonej przyjaźni

ze Związkiem Radzieckim. Ale za dumnymi hasłami czały się znamiona kryzysu. Sytuacja w kraju coraz bardziej się komplikowała, co również wpływało negatywnie na działalność szkół.

Na skutek skrócenia tygodnia pracy szkoły pogorszyły się warunki jej funkcjonowania; nastąpiło spiętrzenie lekcji, trudno było zrealizować coraz bardziej przeładowane programy, niskie zarobki wpływały na pauperyzację zawodu nauczyciela, a problemy finansowe szkół – na ograniczenie zajęć pozalekcyjnych; zwłaszcza przedmiotowych. A przecież kółka przedmiotowe i artystyczne były trwałym i ogromnie ważnym elementem pracy naszego liceum. Gdy ze względów finansowych niektóre z nich zawieszono, wielu pedagogów kontynuowało tę działalność bezpłatnie. Przykładem może być teatr szkolny prowadzony przez polonistki: profesorkę Bogusię Kowal i profesorkę Małgosię Pasek. Ja np. [nigdy nie mając płatnego kółka] prowadziłam Klub Miłośników Teatru, tzw. Wychowanie Filmowe, przygotowywałam też uczniów – jak wszystkie polonistki w naszym liceum – do udziału w olimpiadach i w konkursach recytatorskich, opiekowałam się uczniami próbujących swych sił w pisaniu poezji i prozy.

Wynikiem ograniczeń w oświacie było obniżenie poziomu nauczania, negatywna selekcja do zakładów kształcenia nauczycieli spowodowana też m.in. niskimi zarobkami, a także – na skutek wyżu demograficznego – wzrost liczby uczniów w klasach.

Rok szkolny 1980/1981 rozpoczął się w atmosferze niepewności i licznych akcji strajkowych. Gazety były pełne niepokojących informacji o sytuacji w kraju, szeptane na przerwach plotki zawierały coraz czarniejsze wizje dotyczące przyszłości, coraz trudniejsza okazywała się też nasza codzienność.

Na lekcjach „polaka” zanurzaliśmy się w świecie literatury. Tu umierał Hamlet, Kordian wołał ze szczytu Mont Blanc: „Jam jest posąg człowieka na posągu świata”, Wokulski daremnie starał się o rękę rozkapryszonej arystokratki, „prosto do nieba czwórkami szli żołnierze z Westerplatte”, ale po lekcjach – wracała bolesna rzeczywistość: papierowe atrapy towarów na sklepowych wystawach, półki w „Kaprysie” zastawione tylko octem i musztardą, w „mięsnym” puste haki, na ladzie jakieś fioletowe ochłapy, a przed sklepem wijące się długim węzem kolejki. Smętne miny i szeptane pytania: -Wejdą czy nie wejdą? Przecież weszli do Afganistanu. Niepokoiły codziennie organizowane nowe strajki, choć telewizja i prasa uspokajały, że to tylko „nieuzasadnione przerwy w pracy”, bo produkcja przemysłowa

idzie w górę, skup żywca się ożywia i będzie lepiej. Wracaliśmy codziennie do domu, mając niepewne miny...

25 października 1980 roku – z okazji 80-lecia istnienia naszej szkoły zorganizowano w liceum [wówczas im. Jana Wiktora] zjazd absolwentów. W okolicznościowej, optymistycznej ulotce informowano, że „od 1908 do 1980 roku gimnazjum i liceum ukończyło 5653 abiturientów”, że „w tym okresie uczyło w szkole 273 nauczycieli”, że „aktualnie szkoła zatrudnia 38 nauczycieli, że „w roku 1980 egzamin maturalny złożyło 182 abiturientów” i że „w roku szkolnym 1980/1981 uczy się w szkole, w 20 oddziałach, 692 uczniów”.

W 1981 roku „Dziennik Urzędowy” ogłosił nowy regulamin Rady Pedagogicznej, a także nowy regulamin oceniania, klasyfikowania i promowania uczniów, mający udoskonalić pracę szkoły, zwiększyć wymagania pozwalające na podniesienie poziomu nauczania i wpływać skuteczniej na kształtowanie postaw moralnych młodzieży. Zniesiono tzw. egzaminy poprawkowe i możliwość promowania uczniów z ocenami niedostatecznymi. Zwolniono nauczycieli z obowiązku pełnienia tygodniowo dwu bezpłatnych godzin zastępstw, zmieniono też system wypłat za godziny ponadwymiarowe.

Jak możemy przeczytać np. w monografii dębickiego „mechanika”: „zmianie też uległ termin spotkań z rodzicami tzw. wywiadówek; nastąpiło odejście od PRL-owskiej tradycji zebrań niedzielnych, na rzecz wyznaczonego dnia w tygodniu w godzinach popołudniowych”. Odetchnęliśmy z ulgą, bo te niedzielne spotkania z rodzicami [najczęściej organizowane w godzinach sumy i świątecznego obiadu] były dla nas wielką uciążliwością.

Lata osiemdziesiąte niosły z sobą wiele niespodziewanych wydarzeń. Coraz wyraźniej widoczny był kryzys państwa komunistycznego. Bolała ponura rzeczywistość: puste półki, przydziałowe kartki na prawie wszystkie podstawowe produkty, rosnące napięcie, niepewność. Szerzyły się strajki, niepokoiło, ale też budziło nadzieję powstanie „Solidarności”, o której Ewa Bieńkowska pisała, że „była przeżywana jak narkotyk; ludzie mówili o niej na jawie i we śnie”. A strajki – początkowo lokalne – wkrótce ogarnęły cały kraj i doprowadziły do podpisania w sierpniu 1980 roku w gdańskiej stoczni – kolebce „Solidarności” – porozumień między rządem a związkowcami, co stało się początkiem wielkich przemian politycznych w kraju.

3 maja 1981 roku na jednym z dębickich placów, nazwanym później Placem Solidarności, odbyła się pierwsza w naszym mieście publiczna msza święta, którą sprawował biskup Piotr Bednarczyk i proboszcz parafii Świętej Jadwigi – ksiądz Stanisław Fiołek.

Wokół kolejna wiosna przypominała o cudzie odradzającego się życia. Słoneczny poranek oddychał rześkim powietrzem, pachniała świeża, delikatna, nieśmiała zieleń. Za to już bezwstydnie bujały stokrotki. Kwitły nieposkromione, wszędzie tam, gdzie tylko miały ochotę i trochę słońca.

– Mamo, skąd wzięły się stokrotki?

– Pewnego razu święta Maryja, będąc jeszcze małą dziewczynką, spojrzała w niebo wyhaftowane gwiazdami. Ach, wyszeptwała, gdyby te gwiazdy zmieniły się w kwiaty rosnące na ziemi! Tak by mogły cieszyć swym widokiem wszystkich ludzi!

Gwiazdy w jednej chwili odbiły się w kropelkach rosy. A gdy rano zaświeciło słońce, Maryja zobaczyła, że ziemia usłana jest białymi kwiatuskami. Uszczęśliwiona, uwiła sobie z nich wianek; od tego czasu stokrotki są jej kwiatami. Pojawiają się każdą wiosną, ciesząc nasze oczy i serca.

Owa majowa msza polowa zgromadziła wielotysięczną rzeszę ludzi. To było niezwykle, piękne, rodzące nadzieję wydarzenie. Aż na rynek niesły się słowa pobożnych pieśni. Uświetniła tę uroczystość – tak jak wszystkie większe święta w naszym mieście – Miejska Orkiestra pod batutą Stanisława Świerka. Wielokrotnie mieliśmy okazję słuchać tej wspaniałej orkiestry, która już od 1959 roku czciła, reprezentowała, dostarczała wrażeń estetycznych, rozweselała, ubarwiała szarość życia i krzepiła serca dębiczan.

Wkrótce jednak zszokował wszystkich majowy zamach na papieża i zasmuciła śmierć prymasa Stefana Wyszyńskiego.

Ale owe lata to też inne wydarzenia – niosące radość: Nagroda Nobla dla Czesława Miłosza [1980], czy „Złota Palma w Cannes dla filmu „Człowiek z żelaza” Andrzeja Wajdy[1981], który oglądaliśmy z wypiekami na twarzy. Rekordy popularności biła – występująca na festiwalu w Opolu – charyzmatyczna Izabela Trojanowska, wnosząca do szarej, siermiężnej rzeczywistości powiew świeżości i buntu. Jej ostry makijaż, szokująca fryzura na „chłopczycę”, awangardowe zagraniczne kostiumy, wyluzowany sposób poruszania się na scenie, nowoczesne brzmienie śpiewanych przez nią piosenek, odważne, kontrowersyjne teksty jak np. „Pieśń o cegle”, czy „Wszystko, czego dziś chcę” – czyniły z niej idolkę młodych, podziwianą i naśladowaną. To była eksplozja rocka! Oglądaliśmy piosenkarkę na ekranach naszych telewizorów, oferujących nam 2 programy i na okładkach czasopism np. „Panoramy” – barwną jak ptak.

Zafascynowana młodzież natychmiast uległa modzie na „rockowe” ubiory, fryzury i zachowania. Tradycyjna grzeczność – w wyglądzie i w stosunku młodych ludzi do szkoły, do nauczycieli, w różnych sytuacjach ży-

ciowych – przechodziła do lamusa. Nasza walka o wysoki poziom nauki, o dyscyplinę uczniów, przestrzeganie regulaminu szkolnego w sprawach ubioru i zachowania – stawała się coraz trudniejsza, tym bardziej, że łączyła się z troskami i niepokojami codzienności. Otaczająca nas „rzeczywistość skrzeczała” i bolała.

Pamiętam. Idę do domu po dniu pracy zmęczona, przeziębiona, z grubym plikiem kolejnych klasówek do poprawienia. Późnojesienna Dębica tonie w zimnej mgle, która – oczywiście – „wisiała nad ziemią jak strzecha ze słomy nad ubogą Litwiną chatą” [ten „Pan Tadeusz”!], niebo nabrzmiałe od ciemnych chmur grozi deszczem, dzień oddycha przejmującą wilgocią. Na rogu ulicy okutana babuszka sprzedaje ozdobne witki pomaziane złotą farbą i przewiązane czerwoną tasiemką; to mikołajowe różgi – wciąż obowiązkowy prezent dla wszystkich dzieci. Przez rynek przemykają szybko, skryci pod kapturami, z wysoko postawionymi kołnierzami ludzie, ginący szybko w tej mgle; szaro, smutno, nijako.

I nagle w tej szarości rozlegają się cudne dźwięki harmonii. To uliczny grajek „Józiu”, nie zważając na zimno, przysiadł na schodkach prowadzących do księgarni przy rynku i tuląc się do wyblakłej fasady starej kamienicy wygrywa uroczą piosenkę francuską, kojarzącą się ze słońcem, latem, radością: „A Sekwana zakochana chyżo toczy falę swą, aby stary ujrzeć Paryż i ramieniem objąć go”! Jak cudnie!

Takie chwile niespodziewanej radości zjawiające się nie wiadomo skąd, zaskakują, budzą uśpiony optymizm, a w tym wypadku – także wspomnienia dawnych lipcowych dni i spacerów po rozgrzanych ulicach Paryża.

Tuż obok księgarni, przy której zawsze warto się zatrzymać, by popoglądać wystawę pełną książek, na jednym z drzew krzyczy wielki napis: „Telewizja kłamie”, gazeta kupiona w sklepiku „U Domarskich” już z daleka pachnie pesymizmem, popularny „mięsny” zieje pustką, zaczyna siąpić zimny kapuśniaczek. Przyspieszam kroku. „Idźmy, Nikt nie woła...”

W domu szara codzienność, kontrastująca z barwnym światem telewizyjnego serialu.

Za oknem jesień melancholia. Sąsiedzi przystają na chodnikach. Niewinna rozmowa o pogodzie kończy się – jak zwykle – politykowaniem. Ożywione dyskusje toczą się wszędzie, przenoszą się z domów, na ulicę, do sklepów, do szkół. Zapętleni w ponurą codzienność próbujemy wyłuskać prawdę z telewizyjnych wiadomości przekazywanych przez dyżurnego redaktora z „przyklejonym” uśmiechem, odszyfrować ją z gazet, z zasłyszanych

na mieście rewelacji, a potem toczy my „nocne Polaków rozmowy”. Córeczka koleżanki wybiega na balkon i krzyczy na cały głos: – Precz z komumom!

W naszym liceum również panuje atmosfera podniecenia, niepewności, ożywionych dyskusji, agitacji, lęków i wątpliwości. Wszyscy rozumieją, że nadszedł czas rewolucyjnych przemian, że muszą one objąć także szkolnictwo i dotknąć do głębi każdego z nas.

Aneta Kwolek pisała: „Wydarzenia początku lat osiemdziesiątych wywołały wstrząs polityczny także w szkole. Wśród nauczycieli została zawiązana „Solidarność”. W liceum założyły ją profesorki: Wanda Zakrzewska i Zofia Wawrzaszek. Wtedy to powstał wiersz „Pedagodzy”:

„Byli zawsze pedagogdzy, ideowi, choć ubodzy.
Zgodni i posłuszni tacy, choć na nos padali w pracy.
Propartyjni, progierkowi, prouczniowscy, proszefowi.
Lecz, choć pilni i „akcyjni”, ale wciąż nieprodukcyjni.
Za darmo liczne godziny: akcje, kółka, kursy, czyny,
Nasiadówki, wywiadówki. Za pracę – nędzne złotówki.
Zły to był dla szkoły czas. Sprawiedliwość „poszła w las”.
Anonimów kwitła pora, wizytacji ciągłych zmora.
Z rzadka uchwały „szyszki” z pijackich datków podwyżki,
Lub wręczały krzyż – ukuty z stali katowickiej huty.
Dziś o prawa swe wołamy, „Solidarność” zakładamy
I wierzymy mocno że, już nie wrócą czasy złe”.

Związek Nauczycielstwa Polskiego i „Solidarność”, która szybko zyskała w szkołach wielu zwolenników, podejmowały walkę o zmiany w szkolnictwie i o poprawę bytu nauczycieli. W kolejnych latach wielokrotnie owe związki zawodowe ogłaszały akcje protestacyjne, urządzały pikiety przed sejmem, marsze milczenia, zgłaszały różne postulaty do władz. W tej działalności wyróżniały się profesorki naszego liceum: Maria Grek – przewodnicząca dębickiego oddziału ZNP i Ewa Kantor – przewodnicząca Międzyszkolnego Komitetu Zakładowego NSZZ „Solidarność”. Szkoda, że oba związki nie potrafiły się porozumieć. Rodziło to rozterki, dzieliło nauczycieli, dezorientowało, osłabiało skuteczność działań.

Niepokoje związane z trudną sytuacją w kraju, gorąca atmosfera w domach i w szkole – to wszystko odbijało się na postawach młodzieży i wpływało na jej zachowania. Staraliśmy się – mimo wszystko – utrzymać wysoki poziom nauki i właściwą dyscyplinę.

Jak pisała Aneta Kwolek: „Wzburzenie nastrojów wśród młodzieży zawoocowało wezwaniami dyrektora do uspokojenia, prowadzeniem rozmów z uczniami i rodzicami. Nie było żadnych większych ekscesów. Dyrektor stwierdził jedynie nieliczne próby niszczenia majątku szkolnego, np. napisy i rysunki o treści antypaństwowej na atlasach geograficznych, historycznych i podręcznikach do języka rosyjskiego”.

Ale coraz więcej było niepewności, złości, niechęci. Tak trudno było żyć. Gdy gasła rozbudzona nadzieja, pocieszały się nawzajem i słuchaliśmy utworów „wieszczów” tamtego czasu: Jacka Kaczmarskiego i Przemysław Gintrowskiego. Wśród powstającej wówczas masowo poezji, wyróżniała się piękna pieśń-modlitwa Natana Tenenbauma, ze słowami:

„Chroń mnie, Panie od pogardy,
Od nienawiści strzeż mnie, Boże”.

Wczesna zima. Śnieg i mróz. Po tygodniu pracy, myślimy: – Było ciężko, „ale za to niedziela, ale za to niedziela, niedziela będzie dla nas”...

Niestety, nie tamta! Bo tamta niedziela – bez „Teleranka”, za to z groźnie spoglądającym przez ciemne okulary generałem Wojciechem Jaruzelskim, ogłaszającym stan wojenny – była dla wszystkich szokiem. „Obywatele i towarzysze” – wciąż powtarzane, brzmiało groźnie i odbierało wszelką nadzieję... Tak skończył się karnawał „Solidarności”. Pamiętam tę niepewność, niedowierzanie, strach.

Przychodzi sąsiadka z płaczem: – Wojna! Boże, znów? Przeżyła już dwie: tę pierwszą – światową jako dziecko, a potem drugą – jako dojrzała kobieta z małymi dziećmi.

Siedzimy ciągiem przed telewizorem. Działa tylko pierwszy program. Oglądamy na przemian: wciąż powtarzane przemówienie Jaruzelskiego i obrazki z różnych polskich miast. Na opustoszałych ulicach zasypanych śniegiem, przemykający lękliwie, nieliczni przechodnie opatuleni przed ostrym mrozem, czołgi, transportery opancerzone, żołnierze grzejący ręce w ustawionych koksownikach. Jakaś kobieta wynosi z domu gorącą herbatę i częstuje żołnierzy. Umundurowany spiker przedstawia to jako akt poparcia dla działań władz.

Słuchamy o kolejnych drakońskich prawach wprowadzonego właśnie stanu wojennego: zakaz zgromadzeń, godzina milicyjna jak za okupacji, legitymowanie przechodniów, patrole milicjantów z psami i długą bronią, na ro-

gatkach miast kontrole pojazdów. Zamknięte dworce, lotniska, granice. Brak prasy, nie działają telefony, coraz mniej artykułów na sklepowych półkach.

Żyjemy z dnia na dzień. Skąpe informacje, coraz to nowe restrykcyjne ograniczenia sprawiają, że narasta atmosfera lęku, przygnębienia, niepewności, zastraszenia. Jesteśmy jak w pułapce. By móc udać się poza miejsce zamieszkania, konieczne jest zezwolenie władz. Koleżanka pisze prośbę o możliwość wyjazdu na święta do rodziny w Rzeszowie. Otrzymuje odmowę.

Wloką się mroźne, upokarzające dni, przepełnione pesymizmem i beznadzieją. Dochodzą do nas wieści o protestach górników, hutników i stoczniowców – niepewne i niepotwierdzone. A zaraz potem dramat kopalni „Wujek”. W dzień przed Wigilią Ronald Reagan ogłasza sankcje gospodarcze wobec Polski. Dołączają się państwa Europy Zachodniej.

Boże Narodzenie odbywamy w atmosferze żałoby. W kościołach – modły w intencji ojczyzny i internowanych działaczy opozycyjnych, bożonarodzeniowe szopki, nawiązujące do tragicznej sytuacji i antyrządowe występy aktorów. I „cicha” składka na ofiary stanu wojennego. Każdy wrzuca papierowy banknot, współczując pokrzywdzonym. „Jak cień drapieżnego ptaka niesiemy pod powiekami lęk”.

Na ulicach pojawiają się nielegalne ulotki. Przynoszą wieści o represjach wobec księży, działaczy zdelegalizowanej „Solidarności” czy nielojalnych artystów.

Dowiadujemy się też z telewizyjnych informacji, że w poniedziałek, po świątecznych feriach, nie idziemy do pracy, gdyż lekcje w szkole zostają zawieszone do odwołania. Wcale się nie cieszymy z tych dodatkowych dni wolnych. Co będzie dalej? Wciąż trwają „nocne Polaków rozmowy”. Chociaż zgromadzenia są zabronione, w czasie spotkań w zaufanym gronie przekazywane są nielegalne ulotki i książki, śpiewane są patriotyczne pieśni; nawet w kościołach wierni intonują:

„Ojczyzno ma, tyle razy we krwi skąpana,
Ach, jak wielka jest Twoja rana,
Jakże długo cierpienie Twe trwa...”

Wracamy do szkoły 2 stycznia 1982 roku. Dyrektorzy milczący, sztywni, poważni. Atmosfera ciężka, przygnębiająca. Czekamy na rozwój wypadków, chowając w dłoniach zmęczone, zwiedłe twarze, na których zły czas wyrzeźbił nowe bruzdy, pełni niepokoju i niepewności. Na dużej prze-

rwie – nadzwyczajne zebranie Rady Pedagogicznej. Szepczemy po kątach, snujemy domysły...

Tuż przed rozpoczęciem zebrania zapada przykre milczenie, które przerywa – zawsze pogodna – profesorka Małgosia Kurcz. Jej żartobliwe pytanie: – A dyrektorzy to nie w mundurach? – zawisa w powietrzu bez odpowiedzi. Patrzymy na dyrektora Galasa. Na jego kamiennej twarzy nie drży nawet jeden mięsień.

Przez moment trwa martwa cisza. Ale już po chwili pęka to jakieś nieznośne napięcie, towarzyszące wszystkim; uśmiejemy się, oddychamy swobodniej, swobodniej oddychają też dyrektorzy. Ze spokojem słuchamy wytycznych władz stanu wojennego oraz Ministerstwa Oświaty i Wychowania o konieczności przestrzegania dyscypliny oraz podporządkowania się decyzjom dyrekcji; m.in. dotyczącym weryfikacji nauczycieli i zorganizowania w liceum oddziału obrony cywilnej.

Tak zostałam żołnierzem. Do dziś zachowała się moja Karta Przydziału do Formacji Obrony Cywilnej, informująca, że otrzymałam „przydział organizacyjno-mobilizacyjny do pełnienia służby na stanowisku ratownika w Samodzielnej Drużynie Ratownictwa Ogólnego przy LO Dębica”, co zostało poświadczone podpisem dyrektora. Moim dowódcą został profesor Czesław Surowiec.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” Na szczęście nie musiałam niko- go ratować.

26 stycznia 1982 roku weszła w życie kolejna „Karta Nauczyciela”, na nowo określająca nasze prawa i obowiązki. Zlikwidowano m.in. dodatki specjalne, które dotychczas dyrekcja przyznawała wybranym nauczycielom. Ta decyzja została przyjęta dość spokojnie. Były bowiem te „uznaniowe” dodatki powodem częstych niesnasek, rodziły niekiedy poczucie niesprawiedliwego traktowania, wyróżniania niektórych pedagogów; subiektywnie ocenianych.

Od września wchodził też w życie nowy regulamin egzaminu dojrzałości, a od stycznia 1983 roku miano wprowadzić trzynastą pensję oraz wynagrodzenie za prowadzenie wychowawstwa. Te pieniądze za wychowawstwo okazały się raczej symboliczne, a obowiązków, odpowiedzialności i papierowej roboty przybyło.

Tak doczekaliśmy zniesienia stanu wojennego, ale sytuacja wciąż była dynamiczna.

Lata 80. niosły nowe wyzwania i rewolucyjne wynalazki w każdej dziedzinie życia. Zmieniała się młodzież i zmieniała się szkoła.

To był początek ery komputerów osobistych, pierwszych płyt kompaktowych, przebojów Michaela Jacksona, Maanam, zespołu Lady Pank i Republiki, Perfectu, Dżemu, Budki Suflera; ery rocka, rapu, break dance'u i aerobiku. To były czasy olimpiady w Los Angeles, zbojkotowanej przez blok krajów socjalistycznych; więc bez Polaków i tej z 1988 roku w Seulu, gdzie zdobyliśmy 2 złote, 5 srebrnych i 9 brązowych medali, to niebywały sukces frekwencyjny „kina kopanego”, jak nazwano „Wejście smoka” z Bruceem Lee, Pokojowa Nagroda Nobla dla Lecha Wałęsy w 1983 roku, to także „głasność i pierestrojka” Michaiła Gorbaczowa, który słynnymi pytaniami: – „Jeśli nie ja, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?” – rozpoczął proces rozpadu ZSRR.

W październiku 1984 roku cały kraj obieğła straszna wiadomość. Z Wisły pod Włocławkiem wydobyto zmasakrowane zwłoki kapelana „Solidarności” księdza Jerzego Popiełuszki, kilka dni wcześniej uprowadzonego przez trzech wysokich funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Okazało się, że była to wyreżyserowana prowokacja, a zabijając tego charyzmatycznego kapłana, „chciano zabić nadzieję.”

W 1985 roku głośnym wydarzeniem było odnalezienie wraku „Titanica”, który po zderzeniu z górą lodową zatonął 15 kwietnia 1912 roku, przynosząc śmierć ponad 155 pasażerom, a o którym zespół Lady Pank śpiewał: „Zostawcie Titanica, nie wyciągajcie go, tam jeszcze gra muzyka, a oni tańcząc, śpią”. W 1986 roku tuż po starcie eksplodował amerykański wahadłowiec kosmiczny Challenger, a władze polskie wydały zaoczny wyrok śmierci na Jerzego Kuklińskiego „za dezercję i zdradę”.

W 1987 roku ster rządów w naszym liceum przejął dyrektor Stanisław Kłok, zastępując odchodzącego na emeryturę dyrektora Edmunda Galasa. Uczyliśmy się nowych zasad i nowych zwyczajów, wciąż starając się o jak najlepsze funkcjonowanie szkoły.

W tymże 1987 roku odbyła się trzecia z kolei pielgrzymka papieża Jana Pawła II do ojczyzny, znów budząca nadzieje Polaków, a tytuł Miss Świata, zdobyty przez Anetę Kręgliką w 1989 roku w Hongkongu, fascynował i przekonywał, że „nie można nie wierzyć w niemożliwe”.

Komplikowała się wciąż sytuacja polityczna w naszym kraju; wzrastały ceny mięsa, mleka, cukru, alkoholu, gazet, rosło niezadowolenie i przekonanie o konieczności kolejnych zmian. Adam Zwierz śpiewał pieśń, budzącą niepokój o los młodych ludzi:

„Gdy Polska da nam rozkaz,
Stanie cały naród nasz,
Jak zielony młody las,
Zgłosimy się do wojska,
Żeby wrogom spojrzeć śmiało w twarz”.

Wciąż było bowiem niespokojnie. Jeszcze w 1988 roku Rada Państwa odznaczyła Nicolae Ceausescu Wielkim Orłem za zasługi dla Rumunii, ale reżimy komunistyczne zbliżały się do kresu. W Polsce w lutym 1989 roku rozpoczął obrady „Okrągły Stół”, a w czerwcu tegoż roku odbyły się wybory do sejmu, w wyniku których w naszym kraju rozpoczął się okres transformacji ustrojowej. Nastąpiła zmiana konstytucji i nazwy państwa, zlikwidowano komunistyczne struktury władzy, rozwiązano PZPR. W listopadzie upadł mur berliński – symbol podziału Europy, a Tadeusz Mazowiecki z kanclerzem Niemiec Helmutem Kohlem modlili się razem w Krzyżowej na historycznej mszy pojednania.

Mirosław Kareta pisał z żalem: „Ów mur to był symbol. Choć rewolucja zaczęła się zupełnie gdzie indziej, choć to inni ryzykowali głową, by ten mur mógł runąć. Ale co zrobić? W zwrotnych momentach historii ludzie potrzebują patosu, a tymczasem w kraju nad Wisłą tego patosu zabrakło. Bo czy ikoną upadku znienawidzonego systemu może być długopis albo stół? A więc symbol obalenia komunizmu będzie należał do Niemców”.

W 1990 roku ceny dalej szalały, agencja TASS ogłosiła komunikat o odnalezionych dokumentach potwierdzających, że za zbrodnię katyńską jest odpowiedzialna Rosja Sowiecka, a w wyborach na prezydenta Polski wystartował niespodziewanie „peruwiański szaman” Stan Tymiński, z tajemniczą czarną teczką. Zwyciężył Lech Wałęsa, który zastąpił powołanego przez Zgromadzenie Narodowe Wojciecha Jaruzelskiego. Polska weszła na drogę zmian w każdej dziedzinie życia.

Następstwa tych gwałtownych, rewolucyjnych przemian dotknęły oczywiście szkolnictwo i „zrodziły szereg nieoczekiwanych, negatywnych skutków”. Prywatyzacja, wolny rynek, uszczuplenie działalności opiekuńczej państwa, masowe bezrobocie, drożyzna, spadek płac realnych, ubożenie społeczeństwa: wszystko to budziło – również wśród nauczycieli – niepokój i frustracje. Nowe stawki uposażenia, wprowadzone w 1988 roku, nie poprawiły sytuacji, a powodowały dalszą pauperyzację zawodu.

Edward Wodzień wyliczał, że „miesięczne wynagrodzenie nauczyciela z wyższym wykształceniem magisterskim z przygotowaniem pedagogicz-

nym po 30-u latach i więcej, starczyło na zakup dwóch garniturów średniego gatunku lub dwu modnych spódniczek dżinsowych”.

Walkę o poprawę sytuacji w oświacie podejmowały związki zawodowe nauczycieli. Związek Nauczycielstwa Polskiego na XXX Zjeździe Delegatów ZNP żądał większych nakładów na oświatę, poprawienia warunków materialnych nauczycieli, mądrej polityki kadrowej, współpracy z NSZZ „Solidarność”. W październiku 1990 roku odbył się tzw. Marsz Milczenia w obronie oświaty, w którym wzięła udział profesorka Maria Grek, wkrótce potem – referendum w sprawie strajku pracowników oświaty, a w 1999 roku również pikietę nauczycieli przed Sejmem RP, w której udział wzięły profesorki naszego liceum: Maria Grek i Urszula Bochyńska.

Sytuacja niepewności, sporów, strajków, zwolnień nauczycieli, ciągłych zmian programowych nie sprzyjała staraniom o wysoki poziom nauczania. Szkoły w latach 80. i 90. borykały się też z dużymi problemami wychowawczymi, towarzyszącymi burzliwej atmosferze panującej na świecie i w Polsce. W owym czasie „kiełkującej wolności” coraz bardziej dochodziły do głosu różne tendencje indywidualistyczne, pojawiły się też nowe ruchy kulturowe, którym młodzi ludzie chętnie ulegali.

Zdziwieni i często bezradni obserwowaliśmy te nowe mody: ręce nie dbale trzymane w kieszeni, ostentacyjnie międlona guma do żucia, chipsy i popcorn zastępujące kanapki, skórzane kurtki zdobne w agrałki, ciężkie glany, dudniąca muzyka techno. Dziewczęta w postrzępionych, nastroszonych włosach, malowanych na dziwaczne kolory, krzykliwe stylizacje, obcisłe T-shirty z szokującymi napisami, ostry makijaż, długie, kolorowe paznokcie, niedbałość w ubiorze i nonszalancja w zachowaniu. Wciąż walczyliśmy, ale często doświadczaliśmy goryczy porażek. I oczekiwaliśmy nowej, mądrej reformy szkolnej, odpowiadającej na wyzwania, jakie niesła rzeczywistość.

Agnieszka Majba wspominała: „W tamtych czasach szkoła nosiła wiele mówiący przydomek: klasztor. Nie bez powodu, bo dyscyplina panowała niemal klasztorna, zwłaszcza jeśli chodzi o uczniowski przyodziewek i fryzurę. O tej ostatniej wspominam celowo, bo jako posiadaczka długich, rudych loków [farbowanych, o zgrozo!], nieraz lądowałam na dywaniku u samej dyrektorki. Do dziś nie wiem, jak nam się udawało przychodzić do szkoły w tych wszystkich glanach, skórkach i innych symbolach subkulturowej przynależności. To znaczy wiem – kosztem ciągłych połajanek, wspomnianych dywaników, wezwań rodziców do szkoły i obniżonych ocen ze sprawowania”.

W roku 1989 dokonano radykalnych zmian kadrowych na wszystkich stopniach zarządzania oświatą. Ministerstwo Oświaty przekazało szereg spraw dotyczących szkolnictwa administracjom lokalnym, zwiększyło uprawnienia dyrektorów szkół, zainicjowało powstanie Rad Szkoły. W 1990 roku do szkół wróciła religia, a w 1991 roku została wydana kolejna „Ustawa o Systemie Oświaty i Wychowania”.

Mówiła ona o konieczności postępu w oświacie – „zgodnie z wyzwaniem chwili” – który miał być osiągnięty przez systematyczne hospitacje, wizytacje władz, badanie wyników nauczania, dokonywanie oceny pracy nauczycieli, a także przez „inspirowanie, koordynowanie i organizowanie współpracy między nauczycielami, nauczycielami i nauczycielami akademickimi, szkołami i szkołami wyższymi, szkołami i organami gmin oraz stowarzyszeniami i organizacjami” związanymi z wychowaniem młodzieży. Wprowadzono nowy regulamin klasyfikowania i oceniania według sześciostopniowej skali ocen – od 1 do 6. Ustanowiono trzydniową przerwę w nauce dla odbycia rekolekcji wielkopostnych, a na skutek oszczędności w oświacie zredukowano kółka przedmiotowe, a także liczbę niektórych zajęć obowiązkowych.

W naszym liceum w 1991 roku na stanowisko dyrektora został mianowany profesor fizyki w „mechaniku” Ryszard Pękała, który zastąpił dyrektora Stanisława Kłoka. Jak pisze Edward Wodzień: „przejął on obowiązki dyrektora w trudnym okresie dla szkolnictwa, okresie wdrażania tzw. programu oszczędnościowego”.

Na pierwszym spotkaniu panowała atmosfera niepewności i napięcia, która chyba udzieliła się samemu nowemu dyrektorowi, gdyż w ciągu całego tego „spektaklu” milczał jak głaz, nieśmiało się tylko uśmiechając. Poznawaliśmy się powoli i wdrażaliśmy się – nie pierwszy przecież raz – do pracy w nowych warunkach.

Szkoła otrzymała większą autonomię, opracowano nowe regulaminy jej funkcjonowania; m.in. – jak pisał Edward Wodzień: „zezwolono nauczycielom na dość swobodną interpretację programów nauczania i odstąpiono od administracyjnych zasad monopolu podręczników”.

Dzięki temu „zezwoleń” przez pewien okres korzystałam z podręcznika „Literatura „źle obecna” w szkole” [do klasy IV], umożliwiającego wprowadzanie wielu zmian w doborze i interpretacji różnych, często nowatorskich tekstów literackich. Znalazły się tam m.in. utwory Jana Pawła II, Zbigniewa Herberta, Stanisława Barańczaka, a także różnego rodzaju eseje i recenzje pomijanych dotychczas w szkole dzieł literatury polskiej i światowej.

Biblia stała się znów lekturą obecną na lekcjach języka polskiego. Dużą pomocą w analizowaniu tekstów biblijnych okazały się wypożyczone nam świetne opracowania, dokonane przez księdza Teofila Deca. By spopularyzować tę „Świętą Księgę”, postanowiliśmy zorganizować międzyszkolny konkurs na znajomość jej tekstu. W moich szpargałach zachowało się zaproszenie do udziału w tym konkursie, które wysyłaliśmy do dębickich średnich szkół:

„Komitet Organizacyjny przy LO im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy zaprasza uczniów Waszej szkoły do udziału w konkursie: „Biblia – Księga sercu bliska”. Konkurs ma uświetnić Dni Kultury Chrześcijańskiej i rozbudzić zainteresowanie Biblią”.

W jury zasiadał kapelan Sióstr Służebniczek – ksiądz Andrzej Pękała i polonistki naszego liceum. Pierwsze miejsce i podziw jurorów zdobył uczeń naszej szkoły Bartosz Bąk [matura – 1999 rok], który otrzymał cenną nagrodę – rower. Z łatwością rozpoznawał wszystkie fragmenty Biblii, wiele z nich znał na pamięć i świetnie interpretował symbolikę biblijną. Bartosz – z powodzeniem brał również udział w konkursach recytatorskich. Cieszyliśmy się, gdy później został księdzem.

O nowych zwyczajach w szkolnictwie lat 90-tych Edward Wodzień pisał: „W salach lekcyjnych obok nowego godła [orła w koronie] zawieszono krzyże, a uroczystości inauguracji i zakończenia roku szkolnego rozpoczynała msza święta w kościele parafialnym. Młodzież pod opieką wychowawców regularnie uczestniczyła w rekolekcjach wielkopostnych [...]. Położono nacisk na szkolnictwo ogólnokształcące, aby zwiększyć liczbę absolwentów wyższych uczelni [...]. Zmienione zostały programy nauczania z języka polskiego i historii”.

Plan pracy szkoły oparto na Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i Międzynarodowej Konwencji Praw Dziecka. Podkreślał on rolę szkoły we wszechstronnym rozwoju osobowości ucznia, w kształtowaniu uniwersalnych postaw etycznych, pielęgnowaniu tradycji narodowych. Zmodyfikowano kalendarz imprez szkolnych; np. świętowano rocznicę Konstytucji 3 maja, Dzień Ziemi, organizowano spotkania opłatkowe. Rozwiązano organizacje polityczne: TPPR, ZSMP. Szkoły przybierały imiona nowych patronów. To właśnie wówczas, w 1990 roku, nasze liceum powróciło do imienia Króla Władysława Jagiełły.

„Ustawa o Systemie Oświaty i Wychowania” z 1991 roku została znowelizowana w 1999 roku. To wtedy wprowadzono 6-letnie szkoły podstawowe, 3-letnie gimnazja i 3-letnie licea. Powstały nowe profile klas.

Aneta Kwolek pisała, że „w roku szkolnym 1993/1994 powstały klasy z autorskim programem nauczania muzyki, biologiczno-chemiczna z ukierunkowaniem medycznym, matematyczno-geograficzna z ukierunkowaniem menadżerskim, informatyczna, klasy z poszerzonymi programami nauczania języków obcych i [...] klasa wstępna, w której znaleźli się utalentowani lingwistycznie uczniowie klas ósmych”. Klasy sprofilowane znalazły bardzo wielu zwolenników, więc odtąd utrwalił się zwyczaj dostosowywania profili do zainteresowań i ambicji uczniów.

Kształcenie i wychowanie miało każdemu uczniowi stwarzać lepsze niż dotąd warunki do indywidualnego rozwoju, przygotować go do pełnienia obowiązków rodzinnych i obywatelskich, rozwijać miłość ojczyzny, poszanowanie tradycji narodowych, ale też otwierać na wartości kultur Europy i świata. Miało uczyć odpowiedzialności, tolerancji, zasad solidarności, demokracji, sprawiedliwości i wolności. Przywołano też amerykańską zasadę stosowaną w pedagogice: „Umiesz, potrafisz, dasz radę”.

By zrealizować te cele wzbogacono o nowy sprzęt pracownie komputerowe, wprowadzono do poszczególnych przedmiotów wyżej wspomniane programy autorskie i innowacyjne metody, stworzono różne typy szkół prywatnych i licea profilowane.

Nauka w liceach została ograniczona do 3 lat; przyjmowano do nich młodzież po trzyletnich gimnazjach. Licea miały realizować „kanon kształcenia ogólnego, wspólny dla wszystkich uczniów oraz kształcenie w danym profilu”.

Związki z uczelniami zaowocowały organizowaniem spotkań z pracownikami różnych uczelni; często z byłymi absolwentami naszej szkoły, chętnie odwiedzającymi stare mury, jak np. Józef Buszko, Eugenia Łoch, Stanisław Waltoś, Janusz Mrocza czy Zdzisław Noga. Dzięki współpracy z uczelniami wyższymi od roku szkolnego 1997/1998 niektóre egzaminy maturalne zostały połączone z egzaminami wstępnymi do szkół wyższych.

Od 1998 roku rozpoczęto przygotowania do wdrożenia tzw. nowej matury. Uczestniczyliśmy w wielu kursach przygotowujących do tej zmiany. Jeden z nich – odbywający się w urzędzie starostwa prowadziła profesorka języka polskiego z naszej szkoły, moja była uczennica – Marta Socha. W tym roku wprowadzono również kodowanie prac maturalnych i nowe sposoby oznaczania uczniowskich błędów [m.in. ich zliczanie].

Wzrost zainteresowania młodzieży kulturą Europy Zachodniej i USA, większe otwarcie na świat i możliwości kształcenia umiejętności językowych w latach osiemdziesiątych spowodowały, że nawiązano m.in. współpracę z niemieckim gimnazjum w Boppard, co umożliwiło coroczną,

trwającą kilka tygodni, wymianę młodzieży obu szkół. Od początku lat dziewięćdziesiątych zatrudniane były także w naszej szkole lektorki języka angielskiego, a młodzież brała udział w zagranicznych wycieczkach.

Te wszystkie zmiany, przystosowujące szkołę do potrzeb młodzieży końca XX wieku, przynosiły wiele pozytywnych efektów. Ale swoboda w wyborze podręczników, różne programy autorskie, pośpiech i prowizoryczność w ich układaniu, powodowały też pewien chaos i błędy. Szkoła chciała być placówką wychowania bezstresowego; wprowadzano więc elementy rozrywki i zabawy [dzień wagarowicza, wybory miss, konkurs na najfajniejszego nauczyciela], pojawiały się coraz bardziej swobodne ubiory, „luzackie” zachowania, lekceważenie nauczycieli. Telewizja pokazywała pedagogów, chwalaćcych się nowoczesnym sposobem uczenia i wychowywania uczniów, polegającym na odrzucaniu dotychczasowych, tradycyjnych form nauki, na kpieniu z autorytetów, upodabniających się ubiorem i awangardową fryzurą do uczniów, traktujących ich jak kumpli, którzy do nauczyciela zwracają się po imieniu. Wszystko to prowadziło do nieodpowiedzialnych, nawet aroganckich, wręcz chuligańskich zachowań niektórych uczniów, rozluźniało dyscyplinę, utrudniało solidną pracę, niepokoiło, a także budziło protesty wielu pedagogów. W pokoju nauczycielskim coraz częściej słyhać było narzekania. Ktoś opowiadał dowcip:

„Pani zwraca się do niemożliwie rozwyrzonego Jasia:

– Jasiu, czy mam wezwać twoją matkę?

A Jaś na to:

– A czy moja mama dzwoni do pani i żali się, że nie radzi sobie w pracy?”

Negatywny wpływ na zachowanie uczniów miały media ukazujące przemoc [także wobec nauczycieli], modę na narkotyki, seks, a także drastyczne gry komputerowe. Tajemnicze telefony o podłożeniu bomby w budynku szkolnym dezorganizowały pracę. W szkołach pojawili się psycholodzy [w naszym liceum pani Dorota Bieszczad] i pracownicy ochrony [pan Janusz Pyziński]. Gdy nauczyciele, których mizerne płace nie sprzyjały umocnieniu autorytetu, próbowali strajkować, minister Andrzej Stelmachowski groził im laską.

Edward Wodzień zwrócił też uwagę na to, że „odchodzili ze szkół na emeryturę nauczyciele jeszcze w pełni żywotni, z dużym doświadczeniem. Wydaje się, że nazbyt pochopnie pozbywano się kadry cennej, bo mogącej pełnić ważne role, podobne do pełnionych w rodzinach przez ich najstarszych członków”.

Młodzież tamtych lat nazwano generacją „X”, dorastającą w chaosie największych ustrojowych przemian, zagubioną, niepewną przyszłości, zapatrzoną w wytwory popkultury, w komiksy i telewizję. W okresie panującego bezrobocia i wciąż utrzymującego się kryzysu gospodarczego studia nie zapewniały pracy, młodzi nie mieli szans na mieszkanie, nie widzieli więc sensu starania się o lepsze oceny, stąd preferowanie stylu abnegacji [„Jeśli wiadomo, że nic cię nie czeka, po prostu idź spać”], bylejakości w ubraniu i braku ambicji. Wystarczyły kraciaste flanelowe koszule, sfatygowane dzinsy, bluzy z kapturem. Tadeusz Różewicz w wierszu „Przyszli żeby zobaczyć poetę” ubolewał:

„widzę byle jakie działanie
przed byle jakim myśleniem
byle jaki Gustaw
przemienia się
w byle jakiego Konrada [...]
słyszę jak byle kto mówi byle co
do byle kogo
bylejakość ogarnia masy i elity...”

Za nimi już czało się pokolenie „frugo” [od nazwy modnego napoju], wychowywane bezstresowo przez nowoczesne mamy, eksponujące własne potrzeby, a lekceważące innych, traktujące naukę jedynie jako konieczny środek do zdobycia pieniędzy, zapatrzone we wzorce zachodnie i pragnące jak najszybciej dorabiać się za granicą. Czekwały na nie różne poważne zagrożenia: narkotyki, epidemia AIDS, sekty, a także nowe mody: dredy, irokezy, tatuaże, kolczyki w nosach oraz coraz drastyczniejsze gry komputerowe, internet, młodzieżowa „muza” – propagujące bezkrytyczną wolność i luz. Lansowano smukłą sylwetkę, a moda ta prowadziła nawet do anoreksji; na topie były dresowe bluzy, sportowe, markowe buty, dudniąca muzyka elektroniczna, krzykliwe dyskoteki, na których królowała piosenka grupy Boys „Niech żyje wolność, wolność i swoboda, niech żyje zabawa i dziewczyna młoda”, a także mecze piłkarskie, odbywające się w atmosferze awantur i bólek wszczynanych przez wściekłych kibiców przeciwnych drużyn.

Ktoś powiedział, że homo sapiens zachłysnął się tym wszystkim, co nie było zakazane, a przez to dozwolone, i to tak łączywie, że jakby przestał być „sapiens”, ktoś inny opowiadał dowcip o Jasiu:

„Autobus pełen ludzi siedzących i stojących. Mama robi miejsce Jasiowi:

– Siadaj synku. Na stare lata jeszcze się nastoisz”.

Młodzi ludzie, jeszcze niedojrzali, ulegający łatwo modom, bombardowani wieloma informacjami, wobec których nie mieli dystansu, poddawani wielu złudnym pokusom, często nie umieli się odnaleźć w tradycyjnej szkole, znanej z rygorystycznych zasad. Ale nauczyciele naszego liceum – zawsze cieszący się dużym prestiżem – z wielkim zaangażowaniem i desperacją podejmowali walkę o dusze powierzonych im uczniów.

Oczywiście „lwia” część młodzieży to byli ludzie ambitni, solidni, świetnie przygotowani do obowiązków licealisty, zachowujący się wzorowo, nie ulegający dziwnym, anarchistycznym modom, umiejący właściwie korzystać z osiągnięć i możliwości gwałtownie zmieniającego się świata, który niósł nowe wyzwania, ale i nowe zagrożenia, doceniający rolę solidnego wykształcenia i stałych zasad moralnych. To oni dominowali. Dawali temu wyraz m.in. uczestnicząc w 1991 roku w Światowych Dniach Młodzieży w Częstochowie, w czasie których papież Jan Paweł II nazwał młodzież „nadzieją świata”.

A wokół działo się tak wiele. W 1990 roku nastąpiło zjednoczenie Niemiec, 1991 – rozpad Związku Radzieckiego, a w 1993 – rozpad Czechosłowacji. W tym samym – 1993 roku ostatni żołnierze sowieccy opuścili Polskę, powstała Unia Europejska, zaczęła grać Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. W 1994 roku Edyta Górniak piosenką „To nie ja byłam Ewą” wyśpiewała trzecie miejsce w Konkursie Eurowizji, popularność zdobywały Anita Lipnicka, Kayah, Justyna Steczkowska. Nowe przeboje nagrywali wciąż: Krzysztof Krawczyk, Zbigniew Wodecki, Maryla Rodowicz. Na bazarach kwitł handel na rozkładanych łózkach, gdzie można było zakupić pirackie kasety z wszelaką muzyką. Z głośników „leciały” przeboje disco-polo, rozwijające się z tzw. „muzyki chodnikowej”.

W szkole przygotowywaliśmy się do obchodów 95-lecia placówki, które miało miejsce w 1995 roku. W tym samym roku nastąpiła denominacja złotego i nasze pensje zmalały o cztery zera. „I bądź tu poetą przed pierwszym!”

W 1997 roku uchwalono Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej. W tym też roku oglądaliśmy tragiczną powódź, nazwaną „powodzią tysiąclecia”, a w kolejnym – szokowała nas wiadomość o sklonowaniu owieczki Dolly. Wyginęły kolejne gatunki owadów, a na biegunach niepokojąco topniały lodowce. Młodzież słuchała nowoczesnej muzyki: popu, rapu, rocka; tryumfy święcili: Michael Jackson, Madonna, Celine Dion; u nas – zespoły Varius Manx, Hey, Kult, a także soliści, m.in. Edyta Górniak, Edyta Bartosiewicz, Kasia Kowalska. W 1999 roku Polska przystąpiła do NATO.

W listopadzie tegoż roku miał miejsce ogólnopolski strajk pracowników oświaty, żądający kolejnej reformy szkolnictwa, dostosowanej do wymogów nowych czasów, zapewniającej podniesienie poziomu nauki, godne warunki pracy dla nauczycieli, wzrost nakładów na oświatę i lepszą politykę kadrową. Pewną nadzieję niosła tzw. reforma Handkego [od nazwiska ministra oświaty] z 1999 roku; ostatnia reforma szkolnictwa w XX wieku. Jednak wiele kontrowersji oraz lęku przed utratą pracy budziła nowa struktura szkolnictwa: 6-letnie szkoły podstawowe, 3-letnie gimnazja i 3-letnie licea. Wielu nauczycielom szkół średnich groziła utrata pracy.

Pytaliśmy z niepokojem, ale też z nadzieją, co przyniesie zbliżający się nowy – XXI wiek. Któż mógł np. przypuszczać, że jako państwo – nie zmieniając się – przestaniemy sąsiadować z największymi trzema [dziś nieistniejącymi] – krajami: NRD, ZSRR i Czechosłowacją, że światem wkrótce wstrząsną dramaty nie do pojęcia: śmiertelny wirus „Covid” czy napaść Rosji na Ukrainę.

W latach 90-tych zmieniała się wciąż i piękniała Dębica. Powstało wiele eleganckich domów prywatnych, instytucji państwowych, a także nowoczesnych sklepów, nazwanych początkowo – zgodnie z szalejącą modą na angielczyznę – „szopami” i butikami, a potem jeszcze nowocześniej – galeriami. Zakłady fryzjerskie stały się salonami, na rynku wybudowano muszlę koncertową i fontanny, powstała oczyszczalnia ścieków, kryta pływalnia, lodowisko, ulice wypełniły nowoczesne, piękne samochody, a przechodnie zaczęli prezentować się coraz bardziej elegancko i światowo. Dawna, prowincjonalna Dębica pozostała gdzieś w zaułkach, małych uliczkach, w drobnych elementach architektonicznych, „uratowanych” w czasie kolejnych remontów; no i na starych pocztówkach:

„Nasza piękna Dębica,
Która wciąż nas zachwyca,
Powracamy po latach -
A tu inna ulica”.

Dziś miasto jakże jest inne od tego z końca XX wieku! Większe, nowocześniejsze, piękniejsze, czasami zaskakujące oryginalnymi rozwiązaniami, jak np. ciekawy system rond, ułatwiających komunikację. Chociaż rozterki, a nawet kontrowersje wzbudzają wśród mieszkańców niektóre nowe obiekty [np. dworzec kolejowy], czy pomniki, jak ten, upamiętniający katastrofę smoleńską, „którego piękna – mówiąc słowami Magdy Działoszyńskiej-Kos-

sow – nie da się oddzielić od dziwaczności i który zuchwale demonstruje swą niechęć do podporządkowania się otoczeniu”.

Ale wróćmy do tego niezwykłego czasu, gdy szybkimi krokami nadchodził – niosący nadzieję, ale też niepokojący – przełom tysiącleci. Anna Bimer pisała, że „wprowadzał on ludzi w różne nastroje. Zmiana pierwszej cyfry w roku to jednak co innego niż ostatniej. Niby zmiana kartki w kalendarzu, a jednak oszołomienie na miarę odysei kosmicznej. Wieszczono nawet ogólnoswiatową katastrofę komputerów. Jedni czuli się zaniepokojeni wielką nieodwracalnością, jakby z wybiciem północy mieli się postarzyć dwa razy bardziej. Inni odczuwali podekscytowanie, które towarzyszy chwili poprzedzającej spełnienie obietnicy. Snuli plany, marzenia, projekty, składali wyjątkowe noworoczne przyrzeczenia i podejmowali postanowienia”. W 2000 roku naszej szkole „stuknęło” 100 lat!

Przez cały okres jej istnienia zmieniało się miasto, cała Polska, zmieniał się świat i ludzie; ich życie, ideały, poglądy, marzenia, działania, losy. Zwłaszcza powojenne czasy były rewolucyjne w wielu dziedzinach; także artystycznych. Rodziły się coraz to nowe trendy i mody, określające charakter sztuki i literatury: socrealizm, turpizm, egzystencjalizm, awangarda, postmodernizm, abstrakcjonizm, taszyzm, fantasy, pop-art, kultura masowa. Pojawiły się nowe nazwiska twórców, symbolizujących te przemiany: Tadeusz Kantor, Józef Szajna, Jerzy Grotowski, Władysław Hasior, Marek Hłasko, Tadeusz Konwicki, Sławomir Mroźek, Edward Stachura, Alina Szapocznikow, Magdalena Abakanowicz, Igor Mitoraj, Andrzej Wróblewski, Zdzisław Beksiński, Jerzy Duda-Gracz. Krzykliwe graffiti zaanektowało mury budynków – owych swoistych „antygalerii” naszych czasów.

Wciąż czynni byli też twórcy starszego pokolenia: Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Witold Gombrowicz czy Wisława Szymborska. Po sukcesach tzw. „polskiej szkoły filmowej”, przyszły inne, za sprawą takich reżyserów, jak Andrzej Wajda, Jerzy Hoffman, Krzysztof Kieślowski czy Filip Bajon.

Szkolne podręczniki nie nadążały za gwałtownymi przemianami w świecie polityki, w sztuce, w literaturze, a także za dokonaniem na polu różnych dziedzin nauki. Coraz popularniejszy stawał się Internet. Korzystaliśmy też na wielu lekcjach z prasy, wyjeżdżaliśmy do teatru, do galerii malarstwa, organizowaliśmy wyjścia do kina.

Wydarzenia polityczne i gospodarcze, przemiany filozoficzne, kulturalne i obyczajowe miały zawsze wielki wpływ na młodych ludzi. Zdawaliśmy sobie sprawę, że liceum skupia młodzież u progu dorosłości; najbardziej chłonną, wrażliwą, podatną na różne wpływy, dającą się kształtować i chętną do

podejmowania różnych wyzwań. Trudno jednak niekiedy było „urodzonych z pilotem w rękę”, nazywanych też „pokoleniem podłączonych”, przekonać do odejścia od komputera, by podejmować trudne zadania „w realu”, poświęcać swój czas nauce i walczyć o oceny. Na dyrekcji i nauczycielach spoczywała więc wielka odpowiedzialność za wychowanków. Tę rolę nasza szkoła starała się wypełniać jak najlepiej. Choć niekiedy na próżno staraliśmy się zrozumieć sens i logikę różnych reform w oświacie, to sukcesy naszych uczniów, ich dalsze kariery i losy świadczą, że nasz „ogólniak” spełnił pokładane w nim nadzieje, a skala jego osiągnięć jest bezdyskusyjna.

Setną rocznicę istnienia szkoły czciliśmy w czerwcu 2000 roku. Przebieg tych trzydniowych uroczystości zawarł w swym wspomnieniu Marian Grundboeck. Oto fragmenty tych wspomnień:

„Uroczystości rozpoczęły się dnia 16 czerwca 2000 roku od sesji popularnonaukowej na temat historii Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy [...]. Sesja zakończyła się częścią artystyczną, obejmującą popisy wokalne i taneczne młodzieży, przy czynnym współudziale dyrektora szkoły, który nawet włączył się do zespołu młodzieżowego, tańcząc na scenie poloneza. Dalszym punktem programu był finał konkursu dotyczącego patrona szkoły. W południe uformował się pochód, który przeszedł z budynku licealnego na Stary Cmentarz. Uczestnicy, głównie młodzież liceum, wzięli udział w apelu poświęconym zmarłym nauczycielom i wychowankom szkoły [...].

Następnego dnia, w sobotę, rozpoczyna się zjazd absolwentów. Już od godziny ósmej schodzą się uczestnicy do budynku licealnego, gdzie oczekują na nich materiały zjazdowe. Wyróżnia się wśród nich monografia Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy opracowana przez Anetę Kwolek [...].

Przed godziną dziesiątą do budynku przybywa Jego Ekscelencja, ksiądz biskup Wiktor Skworec, ordynariusz tarnowski. Dostojnego gościa wita dyrektor liceum Ryszard Pękala i prowadzi do auli, szczelnie wypełnionej uczestnikami zjazdu [...].

Następnie ma miejsce odsłonięcie tablicy wyrażającej hołd społeczeństwa powiatu dębickiego wybitnym pedagogom i absolwentom tutejszego gimnazjum i liceum [...].

Zebrani formują pochód podążający do najstarszego dębickiego kościoła pod wezwaniem świętej Jadwigi [...]. Mszę świętą celebrowała ksiądz biskup w białym ornacie z infułą na głowie. On też wygłasza Słowo Boże do zgromadzonych uczestników zjazdu. Po mszy już indywidualnie wracamy do liceum [...].

W budynku liceum każdy odszukuje odpowiednią dla niego salę spotkań koleżeńskich [...]. Po południu idziemy do domu kultury „Mors” na uroczystą akademię.

Wieczorem odbywa się w hali sportowej KS „Wisłoka” wieczór wspomnień, połączony z baletem [...].

Nazajutrz, w niedzielę 18 czerwca, przychodzimy przed południem do liceum jeszcze raz na spotkania koleżeńskie [...]. Swoje spotkanie kończę rozmową z dyrektorem szkoły, któremu gratuluję wspaniałego zorganizowania 100-letniego jubileuszu”.

Takich głosów, chwalejących nasze uroczystości, słyszeliśmy wiele. Były nagrodą za długotrwałe przygotowania, w których wszyscy pracownicy szkoły brali czynny udział. Pozostały niezapomniane wspomnienia, odnowione przyjaźnie i mnóstwo kolorowych zdjęć, które pozwalają przypominać tamte chwile.

Józef Ambrozowicz, który w wydanym w 2000 roku albumie poświęconym Dębicy, zamieścił kilka fotografii dotyczących „Jagiełły” z podpisem „Migawki z dębickiego ogólniaka”, napisał: „Sędziwy gmach szkolny jest pełen kontrastów: obok nowocześnie urządzonych sal lekcyjnych [dzięki mecenatowi Firmy Oponiarskiej Dębica S. A.], są i takie, z ławkami sprzed pół wieku. Jednak o atmosferze szkoły decyduje, tak jak dawniej, kadra świetnych pedagogów i chętna do nauki młodzież.”

A absolwent – Norbert Sokołowski podkreślał, że „państwowe Gimnazjum im. Cesarza Franciszka Józefa w Dębicy, zarówno na początku istnienia jak i w późniejszych latach, było miejscem, w którym wykształcono nie tylko młode umysły, ale także kładziono nacisk na wspólnotę duchową uczniów – więzy przyjaźni i koleżeństwa, uczono poszanowania dla polskiej historii i obyczajowości. Rola tej placówki w przekazywaniu narodowej tradycji, a także we wpajaniu młodzieży szacunku do dziejów narodu, dorobku kulturalnego przodków, miłości do ojczyzny stanowi niepodważalny argument w uznaniu dębickiej Alma Mater za swoiste dziedzictwo kulturowe, w którym kształtowano poczucie przynależności do wspólnoty zarówno narodowej, jak i lokalnej”.

Z okazji stulecia szkoły wydany został okazały folder, w którym m.in. czytamy:

„Aktualnie w naszej szkole uczy się 1260 uczniów pod opieką doświadczonej kadry nauczycielskiej, wspaniałych pedagogów nauczających z pasją, próbujących pogodzić wymogi niedoskonałego wciąż systemu na-

szej oświaty i własnymi pomysłami inspirującymi uczniów do efektywnej i twórczej pracy.

Jesteśmy też dumni z wielu mądrych, pracowitych i samodzielnych uczniów, którzy mobilizują i motywują nauczycieli do pracy ponad szkolne szablony. To oni sprawiają, że nauczanie bywa prawdziwą przygodą, wspólną wyprawą na „szczyty”. W wyniku takiej współpracy rodzą się sukcesy”.

Różne pamiątki związane ze stuletnią historią naszego gimnazjum i liceum możemy dzisiaj oglądać w Muzeum Szkolnym, znajdującym się w jednym z pomieszczeń biblioteki.

Wiele informacji na jego temat zawiera kolejny folder poświęcony szkole [z roku 2015].

Czytamy tam, że: „działające w I LO im. Króla Władysława Jagiełły Dębicy Muzeum Szkolne powstało niejako z przypadku [...]. Szkoła obchodziła w 2000 roku stulecie swojego istnienia i pracujący w nim nauczyciele rozpoczęli z inicjatywy kierowniczkii szkolnej biblioteki Lidii Górskiej [1966-2014] zbieranie szkolnych pamiątek. Zbiegło się to w czasie z odnalezieniem na szkolnym strychu skrzynki po amunicji wypełnionej starymi fotografiami. Rozpoczęto kompletowanie szkolnych zbiorów – wspomnień uczniów, nauczycieli i absolwentów, dawnego wyposażenia pracowni lekcyjnych, pomocy naukowych, a ze szkolnej biblioteki wydzielono stary, przedwojenny, liczący ponad dziewięćset pozycji, księgozbiór. Do najciekawszych zbiorów należą archiwalne fotografie, związane nie tylko z historią szkoły, ale i miasta Dębicy, przedwojenne świadectwa szkolne, przyrzędy naukowe oraz starodruki; wydany w 1578 roku komentarz do prawa kanonicznego [...], czy „Orbis Sensualium Pictus” [wydanie z 1772 roku], będący jednym z pierwszych – zawierających obrazki – elementarzy dla dzieci.

Obecnie działalność Muzeum Szkolnego koncentruje się nie tylko na gromadzeniu materiałów archiwalnych, ale także prowadzone są poświęcone historii szkoły lekcje muzealne, przygotowywane wystawy tematyczne, publikowane wspomnienia uczniów oraz wydawnictwa poświęcone związanym ze szkołą postaciom, m.in. Józefowi Szydłowskiemu, Tadeuszowi Gawrysiowi, Michałowi Urbankowi [...]. Muzeum Szkolne to nie tylko miejsce spotkań z historią, ale także przestrzeń służąca integracji młodzieży polskiej i izraelskiej, która rokrocznie odwiedza dębickie I Liceum”. Ogromnym ciosem w działalności muzeum była tragiczna śmierć jego pomysłodawczyni i „kustosza” – profesorki Lidii Górskiej.

Po spotkaniu emerytów z czynnymi profesorami liceum, nazwanym ślicznie i pomysłowo: „Herbatka u Władka”, szłam do domu prawie pustymi ulicami mojego miasta.

Te „Herbatki” – myślałam – to był świetny pomysł. Stały się okazją do spotkań, do wspomnień, dają poczucie więzi, budzą ciepło w sercu, jakie rodzi się z uczucia przynależności do miejsca; tak nam bliskiego. Lubimy tam wracać.

W powietrzu wyczuwało się już późnojesienną nutę. Pochmurne niebo wisiało nisko siąpiąc deszczem, nad ulicą unosiła się sinawa wilgoć, nabrzmiałe krople deszczu spływały po szybach mknących aut, które rozchłapywały po chodnikach kałuże brudnej wody. Grupka młodych zakonniczek, jak stadko czarnych ptaków, w pośpiechu przecinała zapłakany rynek. Zimny wiatr smagał ich czarne, szerokie habity, ale one uśmiechały się; jak zwykle pogodnie i radosne. Zawsze wzruszał mnie ich widok. Jak dobrze, że wybrały naszą Dębicę, by tu żyć, modlić się i pracować!

Z piekarni, usadowionej w rogu starej kamienicy, na której ścianach z daleka widoczne były bure lizaje odpadającego tynku – jak zawsze – unosił się zapach świeżego chleba. Pomyślałam: – Jak bardzo wrosłam w to miasto, a może i ono we mnie. Przypomniał mi się wiersz Eugenii Basary-Lipiec pt. „Dębica”:

„Miasto wrasta w człowieka
nawet jeśli nieduże,
wchodzi zakolem rzeki,
zapachem beztroski,
skaleczeniem stopy,
starą witryną
sklepu z cukierkami,
piekarnią pachnącą
jak nasycenie
pełną precli
i ręką matki
coraz piękniejsza
z oddalenia...”

A lata wciąż biegły. Przeminięła ta setna, potem sto dziesiąta, sto piętnasta, a nawet już sto dwudziesta rocznica istnienia szkoły.

Tę 115 uczilaam wierszykiem:

„Pewne zacne gimnazjum w Dębicy
Na Słowackiego wyrosłe ulicy,
Tradycją wciąż piękną obrasta.
Jest chlubą dla uczniów i miasta.
Więc dzisiaj z radością czcimy
Jego – 115 urodziny”.

W ulotce wydanej z tej okazji poinformowano, że szkoła „należy do Stowarzyszenia na Rzecz Najstarszych Szkół w Polsce”, że uczniowie – jak zawsze – „osiągają wysokie wyniki na maturze i studiują na wymarzonych uczelniach”, że „I Liceum Ogólnokształcące w Dębicy to nie tylko szkoła z tradycjami, to także „kuźnia talentów” w naszym środowisku, kolebka inteligencji ziemi dębickiej”.

Znów minął dzień. Siadam z albumem starych zdjęć, by wspominać, by przywołać zastygłe chwile i by słuchać ciszy nocy – aksamitnej, gęstej, granatowej jak atrament. Tylko malarze potrafili odtworzyć jej niezmierne piękno.

Taki niesamowity obraz stworzył np. Vincent van Gogh. Zgodnie z jego oryginalną, rozpoznawalną manierą stylistyczną, opierającą się o zdobycze impresjonizmu, malował wrażenia i uczucia, jakich doznawał obserwując naturę. „Gwiezdna noc” to jedno z najbardziej wizjonerskich dzieł malarza, wyrażające piękno, potęgę i majestat wszechświata. Obraz jest niezwykle dynamiczny: „wszystko wiruje i łączy się w ekstatycznym, falującym rytmie” – ciemnogramatowe niebo, gwiazdy otoczone jaskrawą poświatą, jasny sierp księżyca i stylizowana droga mleczna, przedstawiona jako spiralne smugi światła. Ciemne, smukłe cyprysy, widok miasteczka z górującą wieżą kościoła stanowią dopełnienie kompozycji.

Zamykam album i spoglądam w niebo za oknem. Przypomina mi się fraszka mistrza Sztaudyngera:

„Błogosławione noce,
Dnie sobie nimi złocę”.

Z promieniem księżyca we włosach i z uśmiechem nostalgii na wargach wdycham powietrze – ciepłe i pachnące, i czytam „humor z zeszytów szkolnych” moich uczniów, spisany przez lata. Ów humor był urozmaicheniem długich godzin spędzanych przy żmudnym poprawianiu uczniow-

skich prac. To prawdziwe perełki dowcipu, pomysłowości i fantazji młodych ludzi. Może któryś z nich pozna swoją „złotą myśl”?

„Jagusia była pożądana przez całą wieś.
Wśród chłopów w „Weselu” występują pewne n e g a t y w y.
Makbet miał tytuł T y t a n a [Tana] K o w a l o r u [Kawdoru].
Stasia Bozowska dawała każdemu, kto do niej przyszedł.
W tej miłości nie padły słowa wyznania, słyhać było tylko szum wody.
Przemówienie dyrektora szkoły z i o n ę ł o szczerością i uznaniem.
Mój osobisty kołtun to człowiek płci żeńskiej.
Przykładem może być s o n e t a „Żegluga, w której porównano okręt
do w o n n e g o [wolnego] pegaza.
Małgorzacie Braunek w „Potopie” brak jest czegoś ważnego z kobiecości.
Pasek ożenił się z p r z e s t a r z a ł ą wdową.
Szkoła nie wydaje mi się już tak o k r o p a, jak myślałam.
Starościna udaje c h o r o b l i w ą.
Trup Hektora miał być w a ł ę s a n y przez psy.
Popieram to, co napisałam wcześniej.
Krasicki krytykował p o p s u t ą ludność.
Achilles – mimo wszystko – zachował swą męskość.
Wokulski był typem”.

CI NASI DYREKTORZY...

„Korytarzem kroczy dostojnie.
Generał na wojnie?”

[„Dyrektor”]

Maj – miesiąc entuzjazmu, nadziei, radości, miesiąc kwitnących pianą krzewów tarniny i czeremchy, pęczniejących pąków magnolii, wiśni i jabłoni, wypełniony zapachami bzów i jaśminów, trelami słowików i budzących się młodzieńczych miłości, czas matur i wzmożonej nauki przed klasyfikacją na koniec roku szkolnego. Pamiętam. Jest 9 maja – Dzień Zwycięstwa. Przed drzwiami naszego liceum kłębi się tłumek uczniów w szkolnych ubiorach z tarczami na rękawach. Po porannym deszczu chmury rozstąpiły się nieco, odsłaniając skrawek błękitu i kilka nieśmiałych promyków słońca, niosących obietnicę pogodnego dnia. Od wschodniej strony rozlała się cudna tęcza urzekająca feerią barw. Wiosenny wiatr muska nasze głowy, obdarowując nas ciepłem i optymizmem. Na szczęście już można odłożyć znienawidzony twardy beret z identyfikatorem, pozdejmować grube płaszcze i kurtki, założyć lekkie buty. Podśpiewujemy zasłyszaną gdzieś piosenkę:

„Szumią wiosną wszystkie drzewa,
Tańczy z wiatrem każdy krzak.
W górze ptaszek. Niech pan śpiewa,
Niech pan śpiewa, panie ptak!”

Nasi wychowawcy pospieszają nas, marudnie ustawiających się czwórkami. Po chwili, już w karnym ordynku, idziemy na rynek, by uczcić kolejną rocznicę zakończenia wojny. Na czele dyrektor Wiktor Pietrzykowski i jego zastępca Edmund Galas – odświętnie ubrani, uroczyści, poważni. Wiktor Pietrzykowski – dumny z renomy liceum, z wysokiego poziomu, jaki prezentują jego uczniowie, cieszący się wielkim autorytetem, doskonale jest znany wszystkim dębiczanom. Wkrótce jego funkcję przejmie zastępca Edmund Galas, który renomą i autorytetem przewyższy nawet swego poprzednika.

Jak wiadomo, o „randze i wartości szkoły decydują w dużej mierze właśnie dyrektorzy”.

A w naszym gimnazjum i liceum było ich wielu: Józef Szydłowski [1900-1918], Michał Staroń [1918-1919], Piotr Passowicz [1919-1925], ks. Błażej Kotfis [1925-1932], Franciszek Sadowski [1933-1948], Zofia Hołubowicz [1948-1949], Jan Czyhin [1949-1954], Wiktor Pietrzykowski [1954-1964], Edmund Galas [1964-1987], Stanisław Kłok [1987-1991], Ryszard Pękala [1991-2016], a po moim odejściu na emeryturę – Leszek Klabacha [2016-2018], Wiesław Ostafin [2018-2023] i Ludmiła Stelmach-Kołodziej [od 2023].

Pierwszym dyrektorem dębickiego gimnazjum, mianowanym przez cesarza Franciszka Józefa, był Józef Szydłowski – „wspaniały człowiek, wielki patriota i doskonały pedagog” [Adam Przewłocki]. „Zakres jego władzy, ale i obowiązków, był rozległy, a sama funkcja uchodziła za wyjątkowo intratną” [Aneta Kwolek].

Te dyrektorskie obowiązki wylicza Edward Wodzień. Dyrektor był i jest „organizatorem i inicjatorem merytorycznej działalności kierowanej przezeń placówki [...]; od stylu jego pracy, przygotowania pedagogicznego i metodycznego oraz stosunku do współpracowników w dużym stopniu zależy ich styl pracy oraz osiągnane przez nich wyniki”.

Trzeba przyznać, że mieliśmy szczęście do dyrektorów, którzy uczynili naszą szkołę wspaniałą placówką dydaktyczno-wychowawczą, instytucją ważną dla miasta i regionu, miejscem zdobywania wiedzy i kształtowania charakterów młodych ludzi, przepustką do ich dorosłego świata, do karier, do realizowania marzeń i ambitnych planów życiowych.

Ponieważ Józef Szydłowski przyjął obowiązki dyrektorskie zaraz po otwarciu placówki, zobowiązano go do skompletowania obsady nauczycieli; co nie było łatwe, bo gimnazjum było przecież szkołą prowincjonalną,

a – jak później twierdził absolwent Jan Wiktor – było też „kolonią karną” dla nauczycieli i z zadania tego wywiązało się zadowalająco.

Dyrektor Szydłowski – urodzony w 1863 roku w Horodence – był absolwentem gimnazjum w Kołomyi oraz absolwentem filologii klasycznej i historii starożytnej na Uniwersytecie Lwowskim. Po studiach pracował jako nauczyciel w gimnazjum we Lwowie, a później w Jarosławiu. Stąd został zaproszony przez burmistrza Dębicy Henryka Zauderera do pracy w nowo powstałym dębickim gimnazjum. Początkowo pełnił obowiązki kierownika, a od 1905 roku – dyrektora naszej szkoły. Był też działaczem społecznym [m.in. radnym Rady Powiatowej w Ropczycach], sympatykiem sportu, znaną w ówczesnej Dębicy personą. Uczył języka łacińskiego i propedeutyki filozofii.

Z zachowanego czarno-białego zdjęcia spogląda na nas mężczyzna postawny, przystojny, elegancki, o wysoko sklepionym czole, z twarzą poważną, skupioną, z oczami spoglądającymi śmiało przed siebie, z niewielką, starannie utrzymaną brodą i figlarnie zadartym wąsem, nadającym rysom wyraz łagodności. Niewątpliwie był to człowiek znający swą wartość, cieszący się autorytetem, odpowiedzialny. Absolwent z 1908 roku Michał Urbanek zapamiętał go jako „młodego blondyna średniego wzrostu, o twarzy uśmiechniętej i oczach pogodnych [...], wybitnego pedagoga i przyjaciela młodzieży”.

Inny z absolwentów – Adam Przewłocki – wspominał: „Z miejsca zyskał sobie nasze zaufanie [...]. Nie był człowiekiem łatwym. Nie zabiegał o tanią popularność czy fałszywą sympatię. Był człowiekiem pracowitym, wiele wymagającym od siebie, tyleż od grona nauczycielskiego i od nas, swych wychowanków. Ale był wyjątkowo sprawiedliwy i za to właśnie przez wszystkich ceniony”. A Aneta Kwolek dodawała: „Człowiek szanowany, znakomity pedagog i nauczyciel”.

Dyrektor Józef Szydłowski zmarł w roku zakończenia I wojny światowej na szalejącą na naszych terenach „hiszpankę”, która zebrała na świecie około 25 milionów ofiar. Trumnę przeniesiono z budynku gimnazjum do kościoła parafialnego, a po nabożeństwie żałobnym i uroczystościach pogrzebowych, złożono w głównej alei na Starym Cmentarzu w Dębicy.

Adam Przewłocki tak wspominał ów pogrzeb: „W ponury, jesienny dzień odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku ciało drogiego nam dyrektora, który odszedł od nas przedwcześnie, w pełni sił twórczych. Rozbrzmiewała w uszach melodia marsza żałobnego Chopina, odśpiewa-

nego przez chór gimnazjalny i słowa przemówienia wygłaszanego przez jednego z uczniów:

„Z wszystkich zalet i przymiotów – my młodzi – ceniliśmy w śp. dyrektorze szczególnie jego dla nas serce, które kierowało każdym jego czynem dla nas podjętym”.

Po śmierci Józefa Szydłowskiego – uwielbianego przez młodzież – obowiązki dyrektora pełnił przejściowo Michał Staroń [do 31 marca 1919] uczący historii i geografii, a następnie na to stanowisko mianowano Piotra Passowicza [1872-1958], który pełnił swą funkcję do 1924 roku.

Dyrektor Passowicz był mężczyzną średniego wzrostu, dość tęgim, ale przystojnym. Na zachowanym zdjęciu spogląda śmiało przez okągłe okulary – staranne uczesany i elegancko ubrany.

Stanisław Ożóg [absolwent z 1929 roku] napisał, że był to „dość surowy z wyglądu, a faktycznie dobrotliwy człowiek”. Inni gimnazjaliści wspominali, że chodził sprężysto, dostojnie, dumnie i swą postawą budził respekt wśród nauczycieli i uczniów, lecz – jednocześnie – potrafił zdobywać sympatię wychowanków, zwłaszcza starszych.

Bolesław Tabas [matura 1922 rok] zapamiętał, że dyrektor mieszkał w budynku gimnazjalnym na pierwszym piętrze, od strony południowo-zachodniej. Wejście do mieszkania było na zewnątrz od strony południowej”. Tam mieszkało również kilku późniejszych dyrektorów, a wśród nich – za moich szkolnych czasów – dyrektor Wiktor Pietrzykowski z rodziną.

Dyrektor Piotr Passowicz lubił młodzież, zawsze miał dla niej czas i zrozumienie, dzięki czemu zapisał się w pamięci wychowanków jako człowiek godny szacunku.

Pochodził z małego przysiółka Paszczyń – Kmieci. Uczęszczał do gimnazjum w Tarnowie, a czas tam spędzony był dla niego okresem trudnych doświadczeń, bo – jak pisał ksiądz profesor Leopold Regner [absolwent z 1930 roku] w książce „Ścieżki i drożyny Paszczyń”: „chłopiec został nagle przeniesiony z zabitej deskami wioski do szkoły, która stawiała duże wymagania”. Ale pilnie się uczył i dzięki swemu uporowi ukończył tarnowskie gimnazjum, a następnie studia z filologii klasycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. „Po studiach został nauczycielem łaciny i greki w gimnazjach w Tarnowie, później w Równem i we Lwowie [...]. Po wybuchu pierwszej wojny światowej – jako kapitan rezerwy – został powołany do służby w armii austriackiej. Walczył na wielu frontach. Po zakończeniu

wojaczki, w 1919 opuścił Lwów, aby objąć stanowisko dyrektora gimnazjum w Dębicy, gdzie uczył greki, łaciny i propedeutyki filozofii.

Dyrektor Passowicz kierował też utworzonym w naszym mieście Seminarium Nauczycielskim, a także działał w Radzie Miejskiej i był prezesem Okręgowego Związku Młodzieży Polskiej. Następnie, gdy w 1924 roku został mianowany wizytatorem krakowskiego kuratorium, przeniósł się do Krakowa, ale po przejściu w stan spoczynku wrócił do swojej willi w Dębicy, gdzie mieszkał aż do śmierci w 1958 roku. We wrześniu 1945 roku w jego domu zorganizowano pierwsze po wojnie świeckie przedszkole. W 1948 zostało ono przeniesione do sąsiedniego budynku, a w willi profesora powstał Państwowy Dom Dziecka.

W czasie okupacji dyrektor Passowicz brał udział w tajnym nauczaniu. Jego wielką pasją była historia filozofii. Był też autorem „Gramatyki łacińskiej” dla studentów.

Edward Madejski, mieszkający niedaleko willi profesora, tak go zapamiętał: „Wysoki, starszy pan z laseczką w dłoni, zawsze uśmiechnięty, nienaganna sylwetka [...]. Każdego dnia wychodził z domu na spacer do miasta i wracał na obiad”.

Będąc na emeryturze Piotr Passowicz zajmował się pracą naukową. Chociaż gnieździł się w jednym małym pokoiku, który mu pozostał po przejściu jego domu przez państwo, wciąż gromadził książki, bez których nie umiał żyć: „Książki leżały na półkach, stole, na krzesłach i na podłodze. Było ich bardzo dużo i w różnych językach”. Niestety, na kilka lat przed śmiercią dyrektor Piotr Passowicz utracił wzrok.

Jego grób znajduje się na dębickim Starym Cmentarzu.

Następnym dyrektorem gimnazjum [od 1925 do 1932 roku] był ksiądz Błażej Kotfis, o którym Stanisław Ożóg mówił: „Muzyk, skrzypek w sutannie”.

Dyrektor Kotfis był absolwentem gimnazjum w Bochni i seminarium duchownego w Tarnowie. Początkowo uczył religii w Pilźnie, następnie – w 1902 roku został zatrudniony w gimnazjum dębickim jako katecheta, a od 1925 roku jako dyrektor, który – jak pisał Marian Morawczyński: „cieszył się wielkim autorytetem wśród uczniów i mieszkańców Dębicy”.

Jako postać niezwykle barwna, stał się bohaterem wielu wspomnień swych wychowanków. Oto kilka z nich:

„Kochał młodzież, dbał o nią, zaspokajał jej potrzeby duchowe i wychowywał wedle zasad wszczepionych w seminarium” [Marian Morawczyński].

„Był na miarę wielkiego humanisty: nic co ludzkie nie było mu obce i obojętne. Miał szczere spojrzenie na świat i ludzi, nie zamykał się tylko i wyłącznie w suchej doktrynie dogmatycznej. Swoje obowiązki katechetyczne wypełniał nienagannie” [Julian Roztoczyński].

„Mieliśmy wspaniałego dyrektora, którym był ksiądz Błażej Kotfis – człowiek dobry, szlachetny i sprawiedliwy. Często pomagał uczniom zdolnym a biednym. Lubił porządek i chciał swych chłopców wyprowadzić na ludzi [...]. Traktował wszystkich po ojcowsku. Jako argumentu przekonującego używał dyrektor „logii” lub rzemienia” [Tadeusz Ozga – gimnazjalista z 1927 roku].

„Był serdecznym i przystępnym. Na młodzież szkolną i jej zbytki patrzył przymrużonym okiem” [Julian Roztoczyński].

„Rubaszny. Umiejący zażegnawać konflikty, przebaczący drobne wykroczenia za pocałowaniem w mankiety” [Stanisław Ożóg].

„Jako dyrektor „grzeszył pobłażliwością” [Michał Urbanek], ale był niezwykle konsekwentny „pod względem zaciekłości w zwalczaniu wszelkiego zgorzenia i obyczajowego zepsucia”.

Oczywiście, nie mógł pominąć milczeniem tej ciekawej i barwnej postaci sławny wychowanek naszego gimnazjum – Jan Wiktor. W „Prześwietlonych wspomnieniach” wielokrotnie pisał o księdzu Kotfisie: „Tępił bezbożnictwo. W niedzielę wygłaszał budujące nauki z ambony, a równocześnie rzucał spojrzenia po gromadach uczniów. Wszystko dostrzegał i zapamiętał. Nazajutrz skazańca wzywał na rozprawę. – Gdzieżeś to bywał [...]? Mnie chłystku nie zwiedziesz. Wszystko widzę i każdego na wskroś przepatrzę. Kazanie? Mszę opuszczać? Zaganiał do spowiedzi zwłaszcza tych, których podejrzewał, że czytają zakazane książki. Każdy musiał składać kartki z nazwiskiem i imieniem”. W czasie mszy, podejrzewając, że między okładkami pobożnych książek uczniowie ukrywają zabronione poezje, „w komży, z brewiarzem, zjawiał się niespodziewanie, cicho przemykał w ciżbie, tu zerknął, tam okiem dziobnął, gdzie indziej groźnie chłystnął. Coś mu się nie podobało. Skoczył jak jastrząb z wyżyn.

– To takie wasze książeczki! Z tego się modlisz! Ty byku potępiony, śmiesz Boga oszukiwać”!

W czasie I wojny światowej ksiądz Błażeja Kotfisa – tak jak kilku innych profesorów – powołano do służby wojskowej w armii austriackiej, gdzie pełnił funkcję kapelana. Adam Przewłocki wspominał że „lepiej prezentował się w mundurze kapelana wojskowego niż w sutannie”.

Po zakończeniu wojny ksiądz Błażej Kotfis powrócił do Dębicy i do pracy w gimnazjum.

Brał czynny udział w świeckich organizacjach społecznych [np. w „Sokole”]. Angażował się w działalność społeczną i charytatywną. Był członkiem pierwszej, wybranej w 1921 roku dębickiej Rady Miejskiej, organizował dożywianie dzieci i młodzieży czy zbiórki i rozdzielanie odzieży wśród najbiedniejszych uczniów. Był też prefektem bursy, która powstała z jego inicjatywy i o którą się troszczył przez wiele lat. Po pożarze w 1939 rokułożył pieniądze na jej odbudowę i mieszkał w niej do śmierci.

Jan Wiktor dowcipnie wspominał jeden z epizodów jego życia: „Spoza narożnika jednopiętrowej kamienicy ukazała się fałdzista czern sutanny. To katecheta miejskiego gimnazjum. Właśnie zdążał z bursy, którą z wielkim wysiłkiem zbudował dla młodzieży ubogiej, poniewierającej się po brudnych stancjach, w zepsuciu, bez opieki, puszczonej samopas. Szedł chodnikiem swojego chowu, na którym lśniły kałuże, tak, że nieraz musiał podkasać referendę i zgrabnie, upodobniony do jelenia, skakać po kamieniach. Gdyby był zwykłym śmiertelnikiem, to by szpetnie kłął, ale sługa boży mógł tylko wzdychać. Obok biegły niskie domki, odrapane, pokrzywione, i witały przechodnia kwiatami w oknach. Czasem uchylała się firanka, ukazywała się na chwilę za szybą postać w koszuli rozmemłanej, kusząca nagością.

– Pfuj! Gorszycielka! – jegomość odwracał głowę. Zasłona szybko spadała. Cień umykał w głąb mieszkania i żegnał się, i spluwał, bo „jakeś zobaczył z rana księdza, to cię spotka nieszczęście. Wrzucić szpilkę do ognia albo okręć się dookoła trzy razy, wtedy unicestwisz zgubne działanie”.

Adam Przewłocki wspominał, że ksiądz Kotfis „poza szkołą był postrachem młodzieży i zbyt interesował się jej życiem prywatnym. Odbывał wieczorne „rajdy” inspekcyjne po ulicach Dębicy, nachodził też prywatne stancje studenckie”.

Życzliwie pisał o dyrektorz – pracujący w naszej szkole jako polonista, wybitny fraszkopisarz Jan Sztudynger: „Ksiądz Kotfis – jedyny z moich dyrektorów, którego całkiem dobrze wspominam”.

Dyrektor miał różnorodne pasje; np. „wyróżniał się wyjątkowym umiłowaniem muzyki, był fanatycznym melomanem [...], krzewicielem kultury muzycznej” [Edward Wodzień]. Już w drugim roku swej pracy [w 1904] utworzył orkiestrę gimnazjalną. Prowadził ją z wielką pasją.

Miał przyjaciół w Krakowie i również w tamtejszych zespołach katedralnych „udzielał się muzycznie z zamiłowaniem i wielkim znanstwem”. Nie opuścił też żadnego balu ani zabawy szkolnej.

Jego szkolna orkiestra „często swymi występami uświetniała obchody szkolne i narodowe, towarzyszyła wycieczkom, a nawet dawała koncerty publiczne. Zabiegi dyrektora Kotfisa stały się początkiem pięknej licealnej tradycji. Od tamtego czasu zmieniali się muzycy i chórzysci, a także dyrygenci, ale orkiestra grała i gra do dziś”.

Wojciech Wójcik [matura -1928 rok] wspominał: „Przy jej taktach szliśmy zawsze w każde święto do kościoła”. No cóż, „jest w orkiestrach dętych jakaś siła...”

Dyrektor Kotfis zmarł w czasie trwania II wojny światowej, w grudniu 1944 roku. Został pochowany w alei głównej na Starym Cmentarzu w Dębicy.

Na pięknym, starym grobowcu, kryjącym szczątki prałata Jana Wolskiego, zmarłego w 1924 roku – pod kamienną tablicą w kształcie medalionu ozdobionego stylizowanymi liśćmi – widnieje tablica z napisem: „Kś. Błażej Kotfis – prefekt i dyrektor dębickiego gimnazjum, opiekun i przyjaciel młodzieży. Żył lat 68”.

Jego imieniem nazwano maleńki skwerek przy kościele świętej Jadwigi, w którym odprawiał msze święte i opiekował się młodzieżą przychodzącą tu na niedzielne nabożeństwa.

Jak go żegnano w tamten zimowy, smutny, wojenny czas? Sięgnijmy do opisu pogrzebu dokonanego przez Mariana Morawczyńskiego:

„Pod oknami bursy, którą zakładał i której dyrektorował, zgromadziła się cała młodzież szkolna oraz liczni mieszkańcy miasta. Orkiestra, którą założył i prowadził, grała znane melodie. Przywoływały one dawne wspomnienia wśród zebranych, wzbudzające żywe serca bicie i serdeczne poruszenie. Gdy wynoszono trumnę ze zwłokami księdza profesora, opiekuna młodzieży, wielu ocierało oczy, niektórzy dyskretnie dusili grube łzy spływające po policzkach [...]. Pozostawał żal. Przeświadczenie, że tak wiele uczynił dla szkoły i na długie dziesiątki lat zostanie pamięć serdeczna i barwne o nim anegdoty”.

Kolejnym dyrektorem gimnazjum [od 1933 roku] był Franciszek Sadowski – były legionista. Urodzony w Smogorzewie, ukończył gimnazjum w Sandomierzu, studia inżyniersko-budowlane we Lwowie, a później wydział filozoficzny na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Po studiach pracował jako nauczyciel gimnazjalny w Tomaszowie Lubelskim i w Ostrowcu Świętokrzyskim. Następnie – po wygraniu konkursu – został skierowany do Dębicy jako mąż zaufania administracji szkolnej; był realizatorem tzw. „reformy jędrzejewiczowskiej”. Najpierw przez rok był

w naszym gimnazjum „pełniącym obowiązki dyrektora”, po czym otrzymał mianowanie i na stanowisku dyrektora pozostał do 1948 roku. Uczył fizyki, a także matematyki. Jego mieszkanie pełne było encyklopedii, atlasów i książek popularnonaukowych.

Zenon Książek [matura – 1950 rok] wspominał, że dyrektor Sadowski „nie wyróżniał się okazałym wzrostem, ale był za to wielki duchem”. To bardzo ciekawa postać.

Na zachowanym zdjęciu widzimy dyrektora w wieku dojrzałym jako łysawego mężczyznę z wysokim czołem i króciutkimi, ciemnymi włosami. Pełna twarz: zwyczajna, dobrotliwa, bez śladu wyniosłości czy dostojeństwa, żywe, bystre, czarne oczy, z życzliwością i troską spoglądające w dal, usta wąskie, z nikłym śladem uśmiechu.

Leszek Starkel [matura – 1947 rok] tak go zapamiętał: „Niski, krępy, siwiejący pan, stukający laską o posadzkę, wędrujący przez długie, z łukowatymi sklepieniami korytarze [...]. Pozornie nie wyróżniający się niczym, ale budzący respekt i szacunek każdego, z kim się spotkał. Konkretny w rozmowie. Podejmujący przemyślane i nieodwołalne decyzje dobry gospodarz, potrafiący się pochylić nad każdym w potrzebie”.

Zenon Książek wspominał: „Dyrektora Franciszka Sadowskiego zapamiętałem jako człowieka spokojnego, nigdy nie podnoszącego głosu. Swoje obowiązki wykonywał z pasją i pełnym zaangażowaniem oraz okazywanym zawsze umiłowaniem młodzieży, przez co zyskał u nas ogromny autorytet, a w całej społeczności dębickiej wdzięczność i uznanie [...]. Darzyliśmy go szacunkiem i równocześnie czuliśmy przed nim duży respekt. W szkole wszędzie było czuć jego obecność. Wystarczyło, że usłyszeliśmy na korytarzu charakterystyczny stukot jego jednego podkutego buta, a natychmiast milkły zbyt głośne rozmowy i kończyły się młodzieńcze wygłupy. Nie było to wynikiem strachu przed dyrektorem, a tylko wyrazem szacunku dla niego”.

Również Julian Roztoczyński zapamiętał dyrektora jako „męża sprawiedliwego”.

A profesor Józef Buszko, absolwent naszej szkoły z okresu II wojny światowej, pisał, że „cechowały go przymioty menedżerskie. Potrafił zdobyć sporo sprzętu dydaktycznego do nauki biologii, m.in. ponad dwadzieścia mikroskopów. Ponieważ uczniów i uczennic w poszczególnych klasach było około 45 osób, więc ustawił tak program nauczania, że podczas, gdy połowa klasy [płci męskiej] odbywała naukę biologii, to dziewczęta miały gimnastykę lub odwrotnie”.

Trzeba przyznać, że dzielenie uczniów na grupy to był wówczas pomysł nowatorski, który powszechnie zaczęto stosować w szkołach dopiero wiele lat później.

Dyrektor Sadowski – jak wspominał dalej Buszko – „wprowadził do szkoły nowe meble: małe, zgrabne dwuosobowe stoliki, w miejsce dawnych tradycyjnych ław. Każda klasa została urządzona według wzorów regionalnych. Była więc klasa m.in. łowicka, krakowska, góralska, kurpiowska – to była moja klasa”.

Ten pomysł – aczkolwiek ciekawy – nie znalazł naśladowców. Klasy wkrótce przestały być „regionalne”, a tradycyjne ławy powróciły do sal. Kokosiły się wielkie, ciężkie, pomalowane najczęściej na ciemnozielono, z otworem na kałamarz i półką na książki umieszczoną pod blatem. Zapisane różnymi wzorami, cytatami, porżnięte kozikami, wydrapane cyrkami, były jednak praktyczne, wygodne, a klasa zapełniona takimi ławkami wyglądała schludnie. Ustąpiły jednak w końcu miejsca bardziej nowoczesnym krzesłom i stolikom, a same zawędrowały do szkolnego muzeum lub do szkolnego lamusa, gdzie dokonywały swego żywota, lądując najczęściej w piecu.

Gdy pracowałam w liceum, nieraz tęskniliśmy do czasów, gdy stały w klasach tamte solidne ławki szkolne: charakterystyczne, rozpoznawalne, stabilne, praktyczne, wygodne. Ówczesne krzesła do klas otrzymywaliśmy zwykle „z drugiej ręki”, gdy były demontowane np. z domów kultury czy sal posiedzeń jakichś instytucji, gdzie zastępowano je nowszymi. Te nasze – „po przejściach” – wkrótce się „rozłaziły”, niszczyły, co wywoływało gniew dyrekcji, która często obarczała nas – Bogu ducha winnych nauczycieli – odpowiedzialnością za ich stan.

Krzesła były tworem ruchliwym, niestabilnym, bez przerwy zmieniającym swe miejsce. Podmieniano je, fałszowano lub zacierano znaki przynależności do danej klasy, a ponieważ najczęściej było ich za mało, to w trosce o luksus siedzenia, wykradano je i przenoszono z sali do sali.

Ów problem z krzesłami był – jak pamiętam – żywy „do końca dni moich” w liceum. Zdarzało się nawet, że to nauczycielowi zabrakło krzesła, ale wtedy zawsze znajdowało się wielu chętnych do poszukiwań, bo można było się „urwać” na chwilę z klasy w czasie najbardziej niewralgicznym, gdy uczący „upatrywał sobie ofiarę” do pytania. Zresztą nie wypadało przecież potem męczyć tego, kto poświęcił się w poszukiwaniu tak koniecznego przedmiotu dla „ulubionego” nauczyciela.

Również nowoczesne stoliki uczniowskie były mało solidne, nie miały półki pod blatem, by położyć tam książki czy plecak. W klasach już na za-

wsze zapanował bałagan. Powodowały go krzywo stojące stoliki i krzesła, walające się – najczęściej na podłodze – plecaki, sportowe buty, dresy w jakichś reklamówkach, książki, drugie śniadania, różne przedmioty potrzebne uczniom po zajęciach, nawet instrumenty muzyczne, gdy uczniowie szli po lekcjach do szkoły muzycznej. Pamiętam też, gdy byle jak wrzucony do jakiejś foliowej torby, leżał na podłodze obok ławki bochenek chleba.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Profesor Stanisław Darłak, który był pasjonatem muzyki, mówił o dyrektorze Sadowskim, że to „człowiek w wielu dziedzinach i edukacji zasłużony, ale, niestety, muzyki co najmniej nie lubił, nie doceniał jej znaczącej roli wychowawczej, nie stwarzał więc sprzyjających warunków dla gimnazjalnych orkiestr [...], więc szanse dalszego rozwoju gimnazjalnej muzyki zmalały drastycznie”. Rzeczywiście, jak pisał znów Józef Buszko: „Dyrektor Sadowski rolę orkiestry szkolnej znacznie ograniczył [między innymi zlikwidował dział orkiestry dętej]”.

„Upadek gimnazjalnych orkiestr pozostawił żal do dyrektora o to, iż nie dołożył starań przynajmniej podtrzymania wspaniałego dorobku dwóch muzycznych zapaleńców – Kotfisa i Darłaka [...], a czynną edukację muzyczną ograniczył do programowego minimum według wolnego wyboru ucznia: śpiew lub rysunki. Kontynuował jednakowoż przynajmniej umożliwienie bierne, polegające na obowiązkowej obecności uczniów na koncertach w wykonaniu artystów zamiejscowych, przeważnie krakowskich. Odbywały się one w auli gimnazjalnej raz w miesiącu, zwykle w środy, w porze dwóch ostatnich lekcji, z których uczniowie byli zwalniani” [Antoni Darłak].

Przedwojenne władze doceniły osiągnięcia dyrektora Sadowskiego, odznaczając go w 1937 roku Złotym Krzyżem Zasługi.

W czasie II wojny światowej nie zaprzestał swej działalności. Został zastępcą prezesa Powiatowej Rady Opiekuńczej, wyszukiwał rodzin, które godziły się ukrywać Żydów, przyczynił się też do utworzenia w naszym mieście 2-letniej Miejskiej Szkoły Handlowej, której został dyrektorem. Uczył również w Szkole Mechanicznej i tam prowadził tajne nauczanie. Od 1942 roku kierował Powiatową Komisją Oświaty i Kultury, a od 1943 był Przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej dla szkół średnich. W 1944 roku „podjął współpracę z nowymi władzami, został aktywnym członkiem PPS, z ramienia którego pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego oraz opiekuna Organizacji Młodzieży TUR. Dla społeczeństwa Dębicy ta nieznana twarz dyrektora była sporym zaskoczeniem” [Antoni Darłak].

Dużą zasługą dyrektora Franciszka Sadowskiego było to, że – jak pisał Edward Wodzień – już w 1944 roku „podjął starania o wznowienie działalności dębickiego gimnazjum i liceum ogólnokształcącego. Został ich dyrektorem, a naukę rozpoczęto 1 października 1944 roku w budynku dawnej szkoły ogrodniczej w Ropczycach. Gdy 1 lutego 1945 roku szkoły wróciły do swego dawnego budynku, zniszczonego przez pociski artyleryjskie, ogołoconego ze sprzętu i pomocy naukowych, dyrektor z ogromnym zapałem przystąpił do odbudowy i tworzenia w kierowanych przezeń szkołach niezbędnych warunków do nauki. Został też dyrektorem powołanego w roku szkolnym 1947/1948 Liceum Pedagogicznego dla Pracujących.”

Zbigniew Książek z podziwem pisał o tym okresie działalności dyrektora Sadowskiego: „Natychmiast po wyzwoleniu przystąpił z pasją do wykonywania swoich obowiązków i wykonał gigantyczną pracę w rekordowo krótkim czasie, a sprawa nie należała do łatwych. Budynek był zrujnowany, klasy ogołocone z podstawowego wyposażenia i pomocy dydaktycznych, grono nauczycielskie rozproszone. W ciągu jednego miesiąca wszystkie te piętrzące się trudności dyrektor Sadowski zdołał pokonać. Wyposażył klasy szkolne w konieczny sprzęt, skompletował obsadę nauczycielską, która pracowała kilka miesięcy bez wynagrodzenia. Ogłosił i zorganizował nabór uczniów do wszystkich klas [na podstawie egzaminów wstępnych, przedwojennych świadectw i zaświadczeń tajnego nauczania]”.

Nauczyciele zwerbowani przez dyrektora spełnili oczekiwania młodzieży.

Stanisław Waltoś [matura 1950] pisał: „Zespół nauczycieli, któremu wypadło nas uczyć był gronem zaangażowanym w nauczanie. Byli to ludzie przyjaźni, których postaci tkwią nie tylko w naszej pamięci, ale i w sercach. Bez względu na ograniczenia tkwiące w nich, w nas, w tamtych czasach, bez względu na prawie nędzę materialną i ciężar psychicznych przeżyć okupacyjnych, wbijali w nas wiedzę, jaką byli w stanie przekazać”.

Również Michał Urbanek z podziwem wspominał dyrektora Sadowskiego: „Był wzorem, ideałem dla uczniów i nauczycieli. Był wszędzie, dwoił się i troił, aby sprostać obowiązkom [...]. Interesował się gorliwie losem uczniów i nauczycieli, pomagał w czym mógł. Podnosił na duchu, zachęcał do przetrwania, wskazywał szczęśliwsze jutro. Był duszą szkoły, jej mózgiem i kręgosłupem”.

Leszek Starkel podkreślił, że były to czasy ogromnie trudne dla dyrektora. W gimnazjum zebrano około 600 uczniów; była to w dużej mierze młodzież przedwcześnie dorosła, mająca pięcioletnią przerwę w nauce, wracająca z lasu, z oddziałów wojskowych, z więzień. „Kulejący i łysiejący,

krzątał się wśród tego tłumu, rozdzielał role, pilnował realizacji programu [...]. Równocześnie popierał wszystkie inicjatywy, szczególnie życia kulturalnego [sztuki, teatr, jasełka wojenne, chór, orkiestra, koło sportowe, gazetka szkolna]”. Wspierał też organizowanie w szkole harcerstwa.

Duży wpływ na powojenne losy dyrektora Franciszka Sadowskiego – jak pisała Aneta Kwolek – miał strajk szkolny; ten, który rozpoczął się w Krakowie w maju 1946 roku, gdy młodzież – wbrew zakazowi władz – postanowiła uczcić rocznicę Konstytucji 3 maja. Wieści o tych wydarzeniach szybko dotarły do gimnazjum w Dębicy. I choć do otwartych wystąpień nie doszło, to władze domagały się najsurowszych konsekwencji dla uczniów. Wtedy dyrektor odważnie stanął w obronie młodzieży, zarządzając jedynie podjęcie wzmożonych działań wychowawczych. Zapłacił za to dużą cenę. „Władze zarzuciły mu zaniedbanie wychowania ideologicznego młodzieży”.

Leszek Starkel zwrócił uwagę na to, że „w 1948 roku rozpoczęła się czystka polityczna, straszenie i zwalnianie pedagogów, tworzenie Związku Młodzieży Polskiej. Dyrektor Sadowski był zmuszony odejść”. Przeniesiono go służbowo do Katowic, gdzie objął funkcję dyrektora Liceum Przemysłu Węglowego, a potem w Krakowie – dyrektora Technikum Geologicznego.

Franciszek Sadowski zmarł w 1971 roku i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Nowe, powojenne władze kładły ogromny nacisk na wychowanie ideologiczne. Organizowano obowiązkowe szkolenia dla nauczycieli, kończące się egzaminami i na każdym posiedzeniu Rady Pedagogicznej sprawy marksizmu i leninizmu były najważniejszym punktem programu. Powoływano nowych dyrektorów szkół, zaangażowanych w tworzenie i umacnianie socjalistycznego ustroju państwa. Takim dyrektorem naszego gimnazjum była Zofia Hołubowicz, a po niej – Jan Czyhin.

Zofia Hołubowicz – ucząca historii i nauki o Polsce i świecie współczesnym – przejęła ster naszej szkoły zaraz po ustąpieniu dyrektora Franciszka Sadowskiego i pełniła funkcję dyrektora w latach 1948/1949.

Jej uczniowie wspominali, że była energiczną, króciutko ostrzyżoną brunetką o kostycznych rysach i donośnym, trochę skrzypiącym, metalicznym głosem. Pochodziła z Paszчины; uczęszczała do Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie, a po powrocie do rodzinnej wioski, złożyła egzamin maturalny w gimnazjum dębickim. Początkowo była nauczycielką w Szkole Podstawowej w Paszчыне, potem w Zawadzie, w Dębicy, a wreszcie

w Krakowie, gdzie równocześnie studiowała historię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ksiądz Leopold Regner pisał, że „oprócz historii i literatury pociągała ją filozofia”.

Pracując w Paszczynie, Zofia Hołubowicz prowadziła działalność kulturalną; m.in. przygotowywała z młodzieżą spektakle teatralne. Również kroniki Szkoły Żeńskiej w Dębicy, w której parę lat uczyła, wspominają jej aktywny udział w różnych uroczystościach, a zwłaszcza jej przemówienia o tematyce historycznej – „piękne i porywające”.

Wojna przeszkodziła w jej planach naukowych. Wróciła wówczas do domu, a po wyzwoleniu została zatrudniona w naszym liceum. Jako profesorka „każdej niedzieli – jak zapamiętał ksiądz Leopold Regner – wraz z młodzieżą szkolną uczestniczyła w nabożeństwach w kościele klasztornym, przykładnie stojąc przed balaskami, korzystając z modlitewnika dużego formatu jak brewiarz. Gdy została dyrektorem, gwałtownie zmieniła światopogląd – Szaweł, tylko w spódnicy i zmiana w drugą stronę”.

Leszek Starkel zapamiętał, że dyrektor Zofia Hołubowicz „wzbudzała więcej strach niż respekt, tym bardziej, gdy na swoje ofiary napadała z furii, jak jastrząb, nie dając prawa do żadnej obrony, zarzucała gradem słów, najeżonych nową ideologią spod znaku rewolucji [...]. Była zafascynowana marksizmem i postacią Stalina”.

Rzeczywiście, dyrektorka wykazywała się dużą aktywnością w krzewieniu nowych, socjalistycznych idei w pracy wychowawczej i politycznej. „Organizowała pogadanki, propagowała czytelnictwo, nawiązywała kontakty z rodzicami”. Pod jej rządami w naszej szkole – jak pisał dalej Leszek Starkel – „nastąpiła zasadnicza zmiana kierunku wychowania. Urwała się szeroka działalność artystyczna i kulturalna młodzieży, zaczęły się rządy jedynej „słusznej” organizacji ZMP i podporządkowanego jej samorządu. Plenilo się donosicielstwo”.

W czasach jej dyrektorowania do ZMP należało 417 osób, a do TPPR musiała przystąpić cała młodzież. „Wymagania jakie dyrektorka stawiała gronu nauczycielskiemu i różnice w poglądach politycznych sprawiły, że miała wielu wrogów i przezwisko – Robespierre” [Leopold Regner].

Jeden z absolwentów liceum wspominał, że nazywano ją również „Czarną Zośką”, inny – że „partyjną historyczką”, a Alfreda Ździebło [matura -1950 rok], że „starsi uczniowie wspominali ją ze zgrozą, jako zadeklowaną komunistkę i kobietę, która trzyma wszystko żelazną ręką”.

A oto jeszcze wspomnienie o dyrektorce Hołubowicz absolwenta liceum Zenona Książka: „Była to osoba o niezbyt miłej aparycji, nie wzbudzała sympatii. Wrażenia te jeszcze pogłębiała sposobem sprawowania władzy dyrektora, opartym na ciągłym zastraszaniu młodzieży. Zapisła się w naszej pamięci jako osoba oschła, szorstka, apodyktyczna. Tylko taką ją widzieliśmy i wysłuchiwalismy jej krzyków. Najważniejszą sprawą dla pani dyrektor była indoktrynacja młodzieży [...]. Uruchomiła radiowęzeł szkolny, przez który ciągle wysłuchiwalismy wykładów paleoantropologicznych i komunikatów zarządu ZMP. Wiem również o naciskach pani dyrektor na grono pedagogiczne w sprawie wstępowania w szeregi partyjne [...]. Zarządzeniem pani dyrektor Hołubowicz skończyły się niedzielne, wspólne przemarsze młodzieży na msze ze szkoły do kościoła [...]. Nie lubiła sportu i innych rozrywek [...], lubowała się w mityngach szkolnych, w masówkach, na których dokonywała bezwzględnie potępienia jakiejś niestosowności – faktycznej, bądź według jej własnej oceny [...]. Miała obsesję na punkcie posiadania, w stosunku do przedwojennej warstwy średniej; toteż dzieci tzw. kamieniczników i obszarników nie miały łatwego życia – kilka dziewczyn pod presją dobrowolnego przymusu przeniosło się do Ropczyc.

Pożegnanie „Dyrektorki” było bardzo okazałe; awansowała na wizytatora kuratorskiego. Podobno w czasie jednej z wizytacji dokonała pogromu z wiedzy politycznej. Gdy na koniec zapytała: – Kto to jest Ilia Erenburg? – uczennica XI klasy odpowiedziała, że „wierna żona Stalina”. „Dyrektorka” scenicznie zemdląca”.

Zofia Hołubowicz wyjechała z naszego miasta do Gdyni, gdzie szefowała jednemu z liceów ogólnokształcących. Zmarła w 1985 roku.

Kolejnym dyrektorem został mianowany Jan Czyhin. Rządził naszym liceum od 1949 – do 1954 roku. Uczył języka polskiego i rosyjskiego.

Zenon Książek wspominał: „W 1949 roku nowym dyrektorem szkoły został Jan Czyhin, którego zapamiętałem jako człowieka spokojnego, pogodnego i w przeciwieństwie do poprzedniczki, bardzo miłego i przychylnego młodzieży”.

A Alfreda Ździebło dodawała: „Tytułowaliśmy go „panem naczelnikiem”. Tytuł ten przyszedł za nim do szkoły po wcześniej zajmowanym stanowisku w jakiejś instytucji w Rzeszowie”.

Dyrektor Jan Czyhin – równie zaangażowany jak jego poprzedniczka – nie zapisał się niczym wyjątkowym w annałach szkoły, nie zostawił też

po sobie żadnych ciekawych wspomnień. Nie znalazłam również jakichś danych biograficznych, stąd moja fraszka pt. „Dyrektor Czyhin”:

„Może ktoś coś o nim wie –
Ja nie”.

Jedynie Edward Wodzień przytoczył fragment pracy dyrektora Edmunda Galasa „Z dziejów Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy”, gdzie znajduje się informacja, że dyrektor Czyhin kontynuował prace remontowe w szkole rozpoczęte po II wojnie światowej.

Kolejnym dyrektorem naszej szkoły był Wiktor Pietrzykowski, który [wraz z żoną Jadwigą] rozpoczął pracę w tutejszym liceum w roku szkolnym 1954/1955. To za jego czasów zaczęłam swą przygodę z dębickim liceum.

Dyrektor Wiktor Pietrzykowski był świetnym włodarzem szkoły i wspaniałym człowiekiem o doskonałych manierach. Okazałej postury, z lekko falującymi, ciemnymi włosami, gdzieniegdzie poprzetykanymi białymi „pasemkami mądrości”, z przenikliwymi oczami i krótko przyciętym czarnym wąsikiem, wyglądał poważnie, nawet wyniośle, a równocześnie trochę staroświecko. Szalenie przystojny, dumny, pewny siebie, wyrazisty, dystyngowany, zachowujący pełną chłodu rezerwę, miał w sobie wrodzoną rysę dostojeństwa i arystokratyzmu. Nosił wysoko głowę, a jego mocny zarost już po kilku godzinach kładł się cieniem na jego twarzy. Zawsze zadbane, elegancki [taką elegancją przedwojenną], w nienagannie świeżej koszuli, w spodniach bryczesach i wyglansowanych wysokich butach, oficerskim krokiem maszerował po korytarzu z namaszczeniem, ale też z istic ułańską fantazją, kłaniając się przechodzącym profesorkom z atencją i nutką humoru. Zawsze prosty jak struna, z piersią wypiętą do przodu, wyrażał swą majestatyczną sylwetką gotowość działania i pewność sukcesu. Choć miał władczy wygląd, to równocześnie pełen był życzliwości i zatroskania.

Urodził się w 1919 roku w Zduńskiej Woli. Po ukończeniu gimnazjum, w 1937 roku rozpoczął studia z filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie okupacji działał w podziemiu, a po wojnie kontynuował studia na kierunku filozoficznym. Pracował jako nauczyciel w Liceum Pedagogicznym w Zduńskiej Woli, a później jako dyrektor w Liceum Ogólnokształcącym w Sokołowie Małopolskim. Następnie objął funkcję wizytatora w Kuratorium w Rzeszowie, a w 1954 roku – funkcję dyrektora naszego dębickiego liceum.

Serdecznie wspominał dyrektora Pietrzykowskiego jego gimnazjalny uczeń z Sokołowa – profesor Czesław Surowiec: „Poznałem go jako znakomitego nauczyciela, który uczył mnie języka polskiego, matematyki i logiki. Posiadał olbrzymią wiedzę, wybitny umysł, był bardzo wymagający wobec uczniów, ale jednocześnie był ich przyjacielem i wychowawcą. Wysoko cenił szczerość, solidarność i zwalczał donosicielstwo [...]. Troszczył się również o biedną młodzież, organizując dla niej dożywianie, przyznając pomoc materialną, a dla zamiejscowej młodzieży miejsce w internacie [...]. Dał się poznać jako świetny organizator i pedagog”.

Dyrektor Pietrzykowski dbał o szkołę, o poziom nauczania, interesował się postępami uczniów i ich zachowaniem. Pamiętam, że niekiedy, stojąc przy drzwiach wejściowych, osobiście sprawdzał, czy uczniowie mają tarczę na rękawie. Jeśli ktoś miał ją przypiętą agrafką, to nie był wpuszczony na lekcje.

Uczył nas w jedenastej [IV] klasie logiki, prowadząc na lekcjach ciekawe dyskusje na wiele tematów. Byliśmy pod wrażeniem jego wiedzy i inteligencji.

Pamiętam, jak rozważaliśmy problem bezwzględnej uczciwości. Wstępem do dyskusji była opowiedziana przez niego anegdota o pewnym człowieku, ściganym przez policję, który ukrył się na statku. Gdy funkcjonariusze zapytali o tego człowieka księdza, przebywającego również na pokładzie, ten – wkładając dłonie w szerokie rękawy sutanny – odpowiedział: – Tu go nie ma. Nie skłamał, bo myślał o miejscu, gdzie ukrył dłonie. Dyskutowaliśmy: – Czy kłamstwo w imię wyższej wartości jest cnotą czy przestępstwem?

A ten ksiądz ze statku to człowiek szlachetny czy grzesznik? Czy musiał uciekać się do takiej sztuczki? Czy chcąc być uczciwymi, musimy bezwzględnie mówić prawdę, czy możemy w sytuacji ekstremalnej skłamać, by np. uratować życie drugiego człowieka?

Pamiętam, że owa dyskusja była bardzo żywa, a dyrektor ze spokojem wysłuchiwał naszego „wymądrzania się”. Czasem wyciągał z wewnętrznej kieszonki marynarki piękny zegarek z dewizką i sprawdzał czas do końcowego dzwonka. Gdy ten wybrzmiał, bez słowa wyszedł z klasy, zostawiając problem nierozstrzygnięty. I takim nierozstrzygniętym pozostał do dziś...

Jak pisał profesor Czesław Surowiec, dyrektor Pietrzykowski „przywrócił dębickiemu liceum wysoki poziom nauczania, jaki prezentowało w okresie międzywojennym. Przywrócił też w szkole mądrą dyscyplinę i nie zgadzał się na angażowanie nauczycieli i uczniów w akcje propagandowe w godzinach nauki, jak miało to miejsce za poprzednich dyrektorów.

Nie pozwalał na ingerowanie w życie szkoły władz miejskich i partyjnych, zapewniając szkole i nauczycielom niezależność”.

Za jego dyrektorowania uczniowie zaczęli odnosić sukcesy w różnego rodzaju konkursach i w olimpiadach przedmiotowych. Pierwszym po wojnie laureatem olimpiady był [w 1958 roku] uczeń profesora Władysława Kuliga – Mieczysław Rękas. Była to olimpiada matematyczna. Także w sporcie nasza szkoła miała wówczas wiele osiągnięć.

Profesor Andrzej Mol wspominał: „Z młodzieżą ćwiczylismy na małym boisku, a dyrektor Pietrzykowski widział nas z okien swojego mieszkania. Obserwował, czy nauczyciel jest punktualny, dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków, przygotowuje się do lekcji, jaki ma stosunek do młodzieży. Kiedy nabrał przekonania, że się jest uczciwym pracownikiem, któremu można ufać, to mu naprawdę ufał [...]”.

Dyrektor szanował nauczycieli, Rady Pedagogiczne były zaplanowane i spokojne, nie było publicznego oceniania czy krytykowania pracowników. Wszystkie sprawy sporne były załatwiane w gabinecie, bez osób trzecich i protokołów”.

Zdecydowany i charakterny, zapisał się dyrektor Pietrzykowski w naszej pamięci złotymi zgłoskami.

Dzięki jego staraniom dokonano generalnego remontu szkoły; m.in. – jak wyliczała Aneta Kwolek: „powiększono sale lekcyjne, odnowiono instalację elektryczną, doprowadzono wodę i wyremontowano system kanalizacji, założono instalację gazową”.

Późniejszy dyrektor liceum Edmund Galas również podkreślał zasługi swego poprzednika, dotyczące remontów: „Ze względu na długotrwałe zacieki, trzeba było również wymienić stropy nad salą gimnastyczną, aulą, klasami na II piętrze, dokonać gruntownej naprawy dachu. Ponadto wybudowano dla szkoły budynek gospodarczy, wykonano ogrodzenie z siatki, uporządkowano boisko”.

Taką szkołę oglądałam w moich czasach szkolnych. Niestety, ubikacje wciąż wyglądały jak za króla Ćwieczka; dziury w posadzce stanowiły całe ich wyposażenie. Aż strach było z nich korzystać.

Dyrektor Wiktor Pietrzykowski był w Dębicy znaną personą, człowiekiem cenionym i lubianym, choć – jak wspominał profesor Andrzej Mol – wyznawał zasadę: „Mój dom moją twierdzą”, nie zapraszał gości, prowadził skromne życie, nie miał samochodu, rzadko podróżował. Za to uwielbiał grać w brydża. Był doskonałym brydżystą. Dość szybko zorganizował kil-

ku graczy z grona nauczycielskiego. Ja byłem w tym gronie najmłodszy” – wspominał dalej profesor Mol.

A całkiem wyjątkową niespodzianką – na zawsze zapamiętaną – było zaproszenie przez żonę dyrektora, panią Jadwigę, grających w gabinecie dyrektorskim „brydżystów”, na kieliszek koniaku do ich mieszkania. To było dla młodziutkiego profesora Mola wielkie przeżycie.

Ja pamiętam, że dyrektor Pietrzykowski odwiedzał czasem dom mojej koleżanki z klasy, Toli, gdzie spotykał się z przyjaciółmi przy brydżu i herbatce, ale nigdy nie wyróżniał jej spośród uczniów. Traktował wszystkich jednakowo; czasem surowo, ale zawsze sprawiedliwie. Wiedzieliśmy, że jest nam życzliwy, że obchodzi go nasza nauka i nasza przyszłość, choć czuliśmy wobec niego dystans i onieśmienie. Szanowaliśmy go i cenili.

Po ustąpieniu ze stanowiska dyrektora, wyjechał z Dębicy wraz z rodziną. Na pożegnanie młodzież zaśpiewała mu popularną piosenkę zespołu „Filipinki”: „Do widzenia profesorze”:

„Tą piosenką Cię żegnamy, Profesorze,
Nasze myśli będą zawsze z Tobą szły,
Tą piosenką przepraszamy, Profesorze,
Za kłopoty przepraszamy i za łzy.
To jest nasze, Profesorze pożegnanie,
A niełatwo nam się rozstać, co tu kryć,
Przyrzekamy rozwiązywać Twe zadanie,
Jak uczciwie i mądrze żyć”.

Po odejściu z naszej szkoły, Wiktor Pietrzykowski pełnił funkcję dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Piotrkowie Trybunalskim, a później w Konstantynowie koło Łodzi.

Zaproszony po latach do odwiedzenia naszego liceum z okazji 80-lecia szkoły, przysłał na ręce dyrektora Edmunda Galasa bardzo miły list, który zachował się w archiwach szkoły:

„Drogi Kolego!

Bardzo się ucieszyłem, że organizowany jest Zjazd absolwentów i że będę mógł w nim uczestniczyć. Serdecznie dziękuję za zaproszenie. Z Dębicą, ze szkołą, a zwłaszcza z przyjaciółmi łączą mnie bardzo miłe wspomnienia, dlatego z wielką radością pojadę.

Okazuje się, że wspomnienia są miłe nie tylko dla mnie; również moje dzieci chciałyby uczestniczyć w Zjeździe, choć Ola ukończyła tylko dwie klasy.

Jeżeli to możliwe, bardzo proszę o wpisanie ich na listę uczestników.

Mam do Was, Kolego jeszcze jedną prośbę; chodzi o zabezpieczenie noclegów. Sądzę, że w Dębicy jest jakiś hotel lub noclegi typu kwater domowych. Bardzo proszę o zamówienie dla mnie noclegu z 24 na 25 i z 25 na 26 dla czterech osób [urządzały mnie też hotel w Tarnowie].

Nie wiem, jaki jest program Zjazdu i związane z tym koszty, które chciałbym pokryć. To jest proste i nie będzie mnie krępowało.

Raz jeszcze serdecznie Wam dziękuję.

Serdeczne pozdrowienia dla Was i dla całej rodziny

Z poważaniem

Wiktor Pietrzykowski

Konstantynów, 4 X 1980 rok.”

Dyrektor Wiktor Pietrzykowski odwiedził ponownie szkołę w 1995 roku – niestety – po raz ostatni, gdyż wkrótce – w październiku 1996 roku zmarł nagle podczas pobytu w sanatorium.

To spotkanie po latach – w 1995 roku – było samą przyjemnością. Rozpoznaliśmy go od razu, bo niezbyt się zmienił. Ten sam uśmiech i sprężystość ruchów, choć włosy miał już całkiem przyprószone srebrem, ta sama atencja wobec kobiet, pewna staroświeckość w sposobie bycia, będąca jego miłą zaletą, a w bystrych oczach – ta sama mądrość i siła. Siwe wąsiki, spopieliałe szronem włosy i zmarszczki wokół oczu nadawały mu jeszcze bardziej męski wygląd. Nienagannie ubrany, pachnący – jak dawniej – lawendą, elegancki, dystyngowany starszy pan; wydawało się, że czas cofnął się do lat mojej młodości...

Po oficjalnym przywitaniu szybko rozluźnił krawat, rozpiął górny guzik koszuli, chętnie napił się herbaty sypanej do szklanki w metalowym koszyczku z uchwytem – obowiązkowym w tamtym czasie. Serdeczne rozmowy, wspomnienia, anegdoty wypełniły to – niestety – zbyt krótkie spotkanie. A potem przyszła smutna wiadomość o jego śmierci.

Profesor Czesław Surowiec – uczestniczący w pogrzebie dyrektora Wiktora Pietrzykowskiego – wspominał, że „uroczystościom pogrzebowym towarzyszył smutek, łzy i żal [...]. Prawie 50 lat swojego bardzo pracowitego życia poświęcił pracy pedagogicznej i kierowaniu pracą szkół, osiągając znakomite wyniki. Dla tych, których uczył i dla współpracowników pozostanie niedoścignionym wzorem wychowawcy, nauczyciela i dyrektora”.

W rok po zdaniu przeze mnie matury, Wiktora Pietrzykowskiego zastąpił na stanowisku dyrektora naszego liceum Edmund Galas, który władał szkołą w latach 1964-1987.

Dyrektor Galas to prawdziwa legenda liceum. Jestem dumna, że przez wiele lat mogłam z nim pracować. Jego zasługi dla naszej szkoły są ogromne, a poświęcenie – niespotykane.

Przyznawał, że w pracy korzystał z doświadczeń swego poprzednika: „O, Pietrzykowski to znakomity człowiek. Wspaniały organizator, pedagog. To prawda. Wiele mu zawdzięczam. Był dla mnie wzorem”.

Wspomniałam już, że pewnego razu, gdy jeszcze uczyłam języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 4, przysiadł się do mnie w pociągu do Rzeszowa. Byłam trochę zażenowana, bo Edmund Galas był ważną osobistością, niezwykle popularną w Dębicy; nie tylko dyrektorem jedyne go wówczas w mieście – prestiżowego liceum, ale też człowiekiem pełniącym wiele ważnych funkcji społecznych, zasiadającym w różnych gremiach, piszącym artykuły do dębickiej prasy, wygłaszającym odczyty, uświetniającym uroczystości miejskie itp.

Moją uwagę zwróciła wówczas jego młodzieńcza sylwetka, pogodny uśmiech, życzliwa twarz i włosy króciutkie – „na języki”. Ubrany w cienką koszulę i ciemne spodnie, dźwigał grubą teczkę zapiętą na metalowe uchwyty. Zналиśmy się, bo przecież w liceum był moim nauczycielem języka polskiego oraz wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, a potem spotykaliśmy się na różnych nauczycielskich spotkaniach i konferencjach, ale wciąż wzbudzał we mnie pewne onieśmienie.

To wtedy, podczas wspólnej jazdy, niespodziewanie zaproponował mi pracę w liceum, z czego byłam bardzo dumna, choć na początku ogromnie wystraszona. Za oknem umykał pejzaż znany i swojski, łagodny i żyzny: mnóstwo drzew okrytych ciemną zielenią, wiejskie domki, sadki pełne koślawych drzew, drut kolczasty walący się w zaroślach, bałagan na podwórkach, kury, kaczki, jakieś narzędzia, gnojowiska, wygodki, chwasty, suszące się pranie rozwieszone na sznurkach, mostki nad strumykami, pola „malowane zbożem rozmaitym, połączane pszenicą, posrebrzane żytem” – już prawie dojrzałe, czekające na żniwa.

Rozmowa początkowo nie bardzo się kleiła, ale wkrótce zapomniałam o tym, co za oknem, a zamieniłam się w słuch, gdy dyrektor z wielką pasją opowiadał o ukochanej szkole, którą kierował, o osiągnięciach uczniów i zaangażowaniu nauczycieli. Jechał na jakąś konferencję, gdzie zamierzał zabrać głos na temat sytuacji w oświacie, stąd teczka wypchana dokumentami.

A potem były wakacje 1973 roku. W radiu królował przebój lata „Tyle słońca w całym mieście” Anny Jantar, radio informowało, że w Sanockiej Fabryce Autobusów powstał nowoczesny autobus „Sanos 09”, kolorowa prasa wciąż pełna była artykułów o śmierci 91-letniego awangardowego malarza-kubisty Pabla Picassa, w USA powstawał pierwszy dom zasilany energią słoneczną – „Solar one”, w Chile krwawo kończył się pucz wojskowy, a na tronie w Szwecji zasiadał nowy król Karol Gustaw XVI.

Szykowałam się do podjęcia nowej pracy pełna planów, nadziei, a przede wszystkim – obaw. Ale okazało się, że całkiem łagodnie „wpłynęłam na szkolnego przestwór oceanu”, szybko się zaaklimatyzowałam, pokochałam młodzież, koleżanki, kolegów i atmosferę tej szkoły; i za nic nie chciałabym już jej zmienić.

Gdy szłam po znajomych, starych, wytartych schodach, by podpisać umowę o pracę, czułam się znów jak przed lekcją chemii. „Najtrudniejszy pierwszy krok...”

Nowy „pryncypał” przywitał mnie serdecznie, podając mi rękę. Jego uścisk był mocny, twardy, „robociarski”, krzepiący. Niepokój gdzieś się ulotnił, bo podczas krótkiej rozmowy dyrektor był przyjazny, bezpośredni, rzeczowy, zdecydowany. Życzył mi owocnej pracy i obiecywał swą pomoc i radę. I rzeczywiście, zawsze mogłam na niego liczyć.

O tej życzliwości pisała też profesorka Lidia Górską: „Zapamiętałam dyrektora Galasa jako człowieka o dobrym i wrażliwym sercu [...]. Cechowała go zapobiegliwość w pozyskiwaniu do szkoły nowych pracowników. Jeśli wiedział o człowieku choćby tylko to, że potrafi być dobrym pracownikiem, nauczycielem z powołaniem, to potrafił go nie tylko pozyskać, ale zadbać o jego gruntowne przygotowanie”.

Wracając do domu z podpisaną umową o pracę, stanęłam przed szkołą i położyłam rękę na ocienionym murze. Był szorstki, lekko wilgotny i chłodny. Teraz już trochę mój.

Wszyscy ceniliśmy w dyrektorze jego naturalność w sposobie bycia, w rozmowach i w decyzjach, to, że był przewidywalny, wiarygodny, emanujący spokojem, pewnością siebie, jasno określający swe oczekiwania wobec nas – nauczycieli i wobec uczniów. Przekonywaliśmy się, że jego sposób kierowania szkołą pozwala właściwie wypełniać jej edukacyjną funkcję, służy rozwojowi zainteresowań uczniów, zaspokaja ich ambicje i umożliwia wybór studiów spełniających ich marzenia.

Profesorka Maria Marek wspominała: „Dyrektor był osobą bardzo wymagającą od siebie i od podwładnych. Potrafił inspirować do lepszej i efek-

tywniejszej pracy. Podczas rozmów indywidualnych zachęcał zarówno nauczycieli, jak i uczniów do wielu wyzwań, organizowania i uczestnictwa w olimpiadach, konkursach i zawodach sportowych”.

Dyrektor Galas był człowiekiem pewnym siebie, nosił głowę wysoko, trzymał się prosto, chodził żwawo, sprężysto, stawiając wielkie kroki, wyglądał zawsze rześko i zdecydowanie. Nie przywiązywał zbyt wielkiej uwagi do ubioru. Przeciwnie, wydawało się, że galowy garnitur z ciasno zawiązanym pod szyję krawatem, jaki wkładał na uroczystości szkolne, nazbyt go krępuje. Lepiej czuł się w skromnym, ciemnoszarym ubraniu, w którym przychodził do szkoły i w zwyczajnych czarnych półbutach, których obcasy niejedną przeszły drogę. Wszędzie chodził pieszo, bo nie miał samochodu. Dopiero w późniejszym okresie przyjeżdżał do pracy brązowym fiatem, ale – jakby trochę wstydliwie – parkował między drzewami po drugiej stronie ulicy, co przypominał mi profesor Zdzisław Noga. Nie należał do osób, które co rano sprawdzają, czy ich spodnie mają staranne kanty, lub które – przechodząc koło lustra – zerkają, czy fryzura jest dobrze ułożona. Zresztą krótki język nie wymagał od dyrektora wielu zabiegów.

Również – wydawało się – nie zwracał uwagi na nasze ubiory czy fryzury. Dlatego byłam ogromnie zdziwiona, gdy pewnego razu zagadnął mnie w pokoju nauczycielskim:

– O, ledwo dałem nauczycielom podwyżkę, to już widzę nowe zakupy. Po czym wskazał na moje nowe, zwisające, srebrne kolczyki i uśmiechnął się, trochę krzywo.

Dyrektor był realistą. Nigdy nie bujał w obłokach; praktycznie podchodził do swych obowiązków i taką solidność i realność cenił najbardziej. Znał szkołę jak własną kieszeń. Jego oczy – pewne i wnikliwe – dostrzegały wszystko, a nieugięty charakter budził szacunek i podziw.

Uważaliśmy, że ulubioną polonistką dyrektora była profesorka Władzia Prokop – zakochana w literaturze, zawsze świetnie przygotowana, prowadząca zajęcia na wysokim poziomie, osiągająca świetne wyniki nauczania. Jednak pewnego razu, gdy zachwycaliśmy się jej lekcją pokazową, przeprowadzoną dla nas – polonistów z liceum, dyrektor podszedł do mnie i powiedział z krzywym uśmiechem: – E, ja nie lubię takiego wydziwiania. Stąd taka fraszka:

„O Galasie nie mam wierszyka,
bo się wszelkiej poezji wymyka.
Stąpa twardo po tym łez padole,
przeto prozą opisać go wolę”.

Bo dyrektor Galas nie był typem pięknoducha; wołał konkret, trzymanie się realnej rzeczywistości, prymat treści nad formą.

Niczego nie udawał. Z jego twarzy czytaliśmy jak z otwartej księgi. A była to twarz najczęściej pogodna; choć bywała też zatroskana, a czasem surowa albo zmęczona. Nigdy nie okazywał jednak słabości, nie żalił się, nie narzekał, nie brał lekarskich zwolnień, jakby zawsze tryskał zdrowiem. Był prawdziwym „twardzielem”.

W 1968 roku Leszek Gil pisał w „Echu Załogi”: „Zawsze pogodny i wyrozumiały, ale wymagający w stosunku do siebie [w pierwszym rządzie] i do innych”.

Z tą pogodą ducha to nie była cała prawda. My, którzy spotykaliśmy go na co dzień, wiedzieliśmy, że bywał czasem zniecierpliwiony, nawet porywczy, a przymrużone oczy, chłodne spojrzenie i surowa mina nie wróżyły niczego dobrego. Na szczęście szybko się opanowywał, nie nosił w sercu urazy i nie wypominał nam wcześniejszych „wpadek”, o czym miałam okazję się przekonać.

Pamiętam. Zbliżał się koniec roku szkolnego. Wypisywaliśmy naszym wychowankom świadectwa, co było pracą mozolną, a przy tym ogromnie odpowiedzialną. By wypełnione – i podpisane przez uczących danego ucznia profesorów – świadectwa nie miały jakichkolwiek błędów, należało je dać do sprawdzenia któremuś z nauczycieli, który porównywał ich zgodność z arkuszami ocen, co potwierdzał swoim podpisem. Było to tzw. „kol-lacionowanie”, od łacińskiego collatio – czyli zgodność. Potwierdzało się tę zgodność skrótem: „coll.” i swoją parafką. Każdy uczeń liceum na swych świadectwach posiada taki wpis.

Pewnego razu poprosiła mnie o „skollacionowanie” świadectw jedna z koleżanek. Choć nie mieliśmy nawet wolnej chwili, bo czekało mnóstwo papierowej roboty, a przecież wciąż trwały lekcje, uczniowskie poprawki, konferencje, przygotowanie uroczystości zakończenia roku szkolnego, ale pomocy nie można było odmówić; zresztą sama też musiałam kogoś prosić o sprawdzenie moich świadectw. Koleżanka bardzo się gdzieś spieszyła. Przekonywała, że świadectwa na pewno są bez błędów, bo były już kilkakrotnie sprawdzane, że mogę spokojnie, bez czytania, postawić na nich owo „coll”. Zaufałam i po przejrzeniu kilku przypadkowych, złożyłam swój podpis.

Nazajutrz rano, ledwo zdążyłam wejść do pokoju nauczycielskiego, dyrektor Galas wezwał mnie pilnie na dywanik. Nie wróżyło to niczego dobrego, bo od razu zauważyłam, że był ponury jak chmura gradowa, a jego oczy płonęły szczerym oburzeniem.

Niekiedy, w sytuacjach nieoficjalnych i w chwilach dobrego humoru, mówił mi po imieniu, ale oficjalnie, przy uczniach zawsze: – pani profesorko. Wtedy od razu rzucił na biurko parę świadectw i zaczął mnie obsztorcować:

– Halina, nie wiedziałem, że jesteś taka głupia! No bo chyba nie specjalnie zgodziłaś się na sfałszowanie świadectw! Czytałaś dokładnie wszystkie? Chyba wiedziałaś, że należy szczegółowo je sprawdzać, zanim złoży się na tak ważnym dokumencie swój podpis!

Stałam jak skamieniała. Okazało się, że dwie oceny nie zgadzały się z arkuszami, w tym – w jednym przypadku – ta na świadectwie była wyższa aż o dwa stopnie! Byłam w szoku.

Dlaczego doszło do takiej sytuacji? I jak dyrektor to wytropił? Nie sprawdzał chyba przed złożeniem swojego podpisu wszystkich świadectw z wszystkich klas. Czy może miał jakieś podejrzenia? Wiedziałałam, że uczył w tamtej klasie i znał uczniów.

Bezbronna i straszliwie zawstydzona, nie umiałam się wytłumaczyć z mojej własnej głupoty i niefrasobliwości. Wszystkie zarzuty dyrektora bolały, jak sypanie solą na ranę, ale były słuszne, więc milczałam. Czułam się jak w scenie z Moniuszkowskiej „Halki”, gdy Jontek śpiewał wśród szumiących jodeł na gór szczycie: „Hej, Halino, hej jedyno, dziewczyno moja, to wina twoja”!

Na koniec dyrektor jakoś tak krzywo się uśmiechnął i powiedział: – No idź już, idź i pamiętaj: nikomu nie wierz na słowo!

Zapamiętałam tę nauczkę, ale chyba nie całkiem nią się kieruję, bo przecież, jak można nie ufać ludziom, których znamy, z którymi na co dzień współpracujemy, z którymi tworzymy wspólny kolektyw. Ale jako typowy, introwertyczny Skorpion dręczyłam się tym incydentem długo. I do dziś nie potrafię zrozumieć, jak mogło dojść do tamtej sytuacji; jedynej takiej w mojej nauczycielskiej karierze. Ale, jak to słusznie uważał mój ulubiony poeta Jonasz Kofta:

„Refleksje powstają po fakcie.
Bo zaiste trudno jest w trakcie,
Bo zaiste trudno jest w trakcie...”

A dyrektor Galas już po chwili odzywał się do mnie z życzliwością, nie chował w sercu urazy, nigdy też nie wypominał mi tej „wpadki”.

Choć zazwyczaj surowy i szorstki, bywał też żartobliwy, a nawet czasem przysiadł się do nas w pokoju nauczycielskim i opowiadał jakiś dowcip. Zapamiętałam dwa o Jaśku:

„Na wzgórzu stoją górale i z troską obserwują powódź, która zalała dolinę, gdzie mieli pola uprawne. Nagle jeden mówi:

– A co to tam jakiś beret posuwa się na wodzie wzdłuż doliny – tam i z powrotem, tam i z powrotem?

– A to Jasiek – odpowiada drugi. – Powiedział, że ma gdzieś powódź i orze”.

Drugi dowcip był o Jaśku, który uratował z powodzi tonące dziecko. „Przychodzą do niego rodzice chłopca. Ten z dumą opowiada, jak ocalił dziecku życie, oczekując podziękowań. Wtedy ojciec uratowanego pyta:

– A berecik?”

Pewnego razu sam dyrektor Galas stał się bohaterem śmiesznego incydentu w pokoju nauczycielskim.

Pamiętam. Szukał jakichś dokumentów w szafkach umieszczonych wysoko pod sufitem, stojąc na wysokiej drabinie. Jedna z koleżanek weszła z małym, może dwuletnim synkiem, którego miała zaprowadzić do lekarza. Ten natychmiast podbiegł pod drabinę i wznosząc błękitne oczęta radośnie zawołał: – Tata! Tata! Zamilkliśmy, wstrzymując śmiech, bo sytuacja była groteskowa.

Dyrektor – zaskoczony – „z wysokości swego majestatu” spoglądał na malca. Skonfundowana mama na próżno usiłowała przekonać synka, że to nie jego rodzic, ale on trzymał się drabiny i wciąż wołał: – Tata! Tata! Wtedy dyrektor zszedł na dół i zagadnął chłopca, żartując, że on to raczej bardziej dziadek niż tata, ale ten nie zdążył nic odpowiedzieć, bo momentalnie znalazł się w ramionach zarumienionej rodzicielki, która wyniosła go – wierzgającego nogami – na korytarz.

Dyrektor na moment znieruchomiał, patrząc na nasze miny, ale zaraz uśmieł się z nami z tej niecodziennej sytuacji i był to chyba najszczęśliwszy uśmiech, jaki widziałam na jego twarzy.

Dyrektor Edmund Galas nie był rozpieszczany przez życie, które nie skąpiło mu trudów, rozczarowań i ciężkich doświadczeń. Ale nigdy się nie poddawał. Był charakterny. Walczył.

Jacek Dymitrowski [absolwent z 1975 roku] wspominał: „Pan Edmund Galas był pedagogiem i to takim przez duże P. Każdy z nas, którzy byli jego wychowankami w murach dębickiej Alma Mater przy ulicy Słowackiego, doskonale zdają sobie z tego sprawę”.

Urodził się w 1926 roku niedaleko Dębicy w Podgrodziu i tam ukończył szkołę podstawową. „Podczas okupacji – pisał Dymitrowski – pracował przez trzy lata jako robotnik drogowy. W 1945 roku zdał egzamin do szkoły średniej w Dębicy, a w 1949 otrzymał świadectwo ukończenia Liceum Pedagogicznego, nominację na nauczyciela szkoły 7-klasowej w Zwierniku i kierownika tej placówki [...]. Zorganizował tam kurs dla analfabetów, który ukończyło około 30 młodych ludzi”. Tam poznał swoją przyszłą żonę Irenę, która w Zwierniku była nauczycielką.

Jacek Dymitrowski pisał dalej: „W 1952 roku Galas ukończył Wyższy Kurs Nauczycielski z języka polskiego, historii i języka rosyjskiego i został przeniesiony do Liceum Ogólnokształcącego w Pilźnie [tam uczył języka rosyjskiego]. W latach 1953-1956 pracował w KP PZPR w Dębicy w dziale propagandy, oświaty i kultury. W 1957 roku został nauczycielem oraz zastępcą dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy. Podjął też studia na UW, które ukończył obroną pracy magisterskiej [...]. W 1964 roku rozpoczął swoje długoletnie dyrektorowanie, które przyniosło mu wiele sukcesów i satysfakcji”.

W rozmowie z Teresą Będkowską dyrektor wyznał: „Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że kiedyś przyjdzie mi uczyć w tej szkole, do której sam uczęszczałem. Tak, to było w czterdziestym piątym, gdy zdałem egzamin, gdy zostałem wpisany na listę uczniów. W pięćdziesiątym siódmym wróciłem do liceum. Ale już jako zastępcę dyrektora”.

W czasie całej swej kariery zawodowej dyrektor Galas uczył ulubionej historii, wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, a – w razie potrzeby – również języka polskiego, czego doświadczyłam w pierwszej klasie liceum. Był pasjonatem historii, zwłaszcza współczesnej.

Dyrektor Galas prawie nigdy nie mówił o swym życiu prywatnym. Szkoła była jego drugim domem. W nielicznych wolnych chwilach lubił spotkać się ze znajomymi, by rozegrać partyjkę brydża.

Żona dyrektora – pani Irena – niezwykle sympatyczna szatynka; niska, szczupła, niepokązna, zawsze uśmiechnięta, o miłej aparycji i takim-ż głose, niby żyła w jego cieniu, ale wiernie stała u jego boku. Zapewne swym uśmiechem i serdecznością kołała jego bóle i troski. Była dla niego wsparciem, najlepszą przyjaciółką, oddaną i lojalną, choć nigdy nie ujawniała publicznie swej roli. Byliśmy przekonani, że wspólnie stanowili zgodne, kochające się małżeństwo, a dyrektor bardzo się z żoną liczył i czuł się szczęśliwy, gdyż starała się uwalniać go od przyziemnych trosk. Wszak:

„Mężczyzna, choć wielki i mocny jak słoń,
Wnet zmięknie, gdy ujmie kobieca go dłoń.
Jest władczy i mądry, na wszystkim się zna,
A z głupim guzikiem kłopotów sto ma”.

Pamiętam – bo taka sytuacja zdarzyła się tylko raz w moim życiu – że dyrektor poprosił mnie, bym nie oblała na maturze pewnej uczennicy, której rodzice byli dawnymi sąsiadami z wioski jego żony.

– Halina, gdyby to dziecko nie zdało, to by mnie żona chyba zabiła; a na pewno nie miałbym po co wracać do domu.

Te słowa bardzo mnie wzruszyły. Wiedzieliśmy dobrze, że dyrektor nie uznawał żadnych protekcji, że zawsze pilnował, by wszystkich traktować tak samo. Byłam więc w szoku, że zwrócił się do mnie z tak nietypową prośbą. Myślę, że musiało go to dużo kosztować, ale prośba żony przeważała. Okazało się, że owo „dziecko” nie potrzebowało żadnej pomocy, zdało bez problemu, dobrze sobie radząc z wylosowanymi pytaniami.

A panią Irenę – pełniącą funkcję sekretarza dębickiego oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego – poznałam dużo wcześniej, gdy, przydzielając nauczycielom skierowania na wczasy z Funduszu Wczasów Pracowniczych, „wysłała” mnie – uczącą wówczas w małej wioseczce pod Dębicą – na wakacje do Gdańska. Była bardzo serdeczna, życzliwa i pomocna. Dzięki niej po raz pierwszy zobaczyłam morze, które pokochałam już na zawsze. Wciąż noszę w sobie jego szum i ciągle muszę tam wracać. W moich snach jawi się nieprzeniknione, pełne tajemniczości i niebywałego piękna.

Edward Wodzień w swej pracy pisał, że pani Irena [wcześniej nauczycielka w Zwierniku, Podgrodziu, Parkoszu i Dębicy] „pełniła w ZNP funkcję sekretarza [od 1953 roku], koordynatora pracy oddziałów w powiecie dębickim [od 1975 roku], przez ponad 40 lat opiekowała się Sekcją Emerytów i Rencistów przy Oddziale Powiatowym w Dębicy”. W 1983 roku dzięki jej zabiegom [wspomaganych przez męża, który „skupił wokół siebie kilku byłych działaczy zawieszonego związku] reaktywowano działalność dębickiego Oddziału ZNP”.

Dyrektor Galas był dla uczniów, rodziców i nauczycieli niekwestionowanym autorytetem. Szanowaliśmy go i pragnęliśmy jak najlepiej wykonywać swe obowiązki. Wszyscy oddawaliśmy całe serce pracy dydaktycznej i reprezentowaliśmy jednolity front wychowawczy. W naszej szkole pracowało więcej kobiet niż mężczyzn i cały ten „babiniec” trzeba było utrzymać w ryzach. Ale dyrektor był mistrzem w zarządzaniu – jak by to dziś modnie

powiedziano – „zasobami ludzkimi”. W Dębicy nazywano nas żartobliwie „galasówkami” i nie było to określenie nam niemiłe; przeciwnie – byliśmy dumne, że pracujemy w dębickim liceum.

A dyrektor żądał od nas nie tylko solidnej pracy, ale też poświęceń. Nie tolerował spóźnień ani nieobecności w pracy. Był ogromnie niezadowolony, gdy przynosiłyśmy zwolnienia lekarskie, a tym bardziej, gdy chorowały nasze dzieci. Zawsze wtedy, gdy brał do ręki takie zwolnienia „na opiekę” – przecież poświadczone przez lekarzy – spotykałyśmy się z utyskiwaniem i z uwagami, że jak chcemy pracować w tym liceum, to musimy sobie jakoś inaczej zorganizować swoje prywatne życie, by nie kolidowało z obowiązkami zawodowymi.

A dziecięce choroby często dopadały nasze pociechy, więc wielokrotnie oglądałyśmy grymas niezadowolenia na twarzy dyrektora, wysłuchiwałyśmy gorzkich słów, czasem nawet popłakałyśmy gdzieś w kącie, ale rozumiwałyśmy jego troskę o szkołę, o to, by nie przepadały lekcje, a program był realizowany harmonijnie i według planu. Dlatego nieraz zaniedbywałyśmy własne dzieci, by nie brać urlopów wychowawczych i nie narażać się na niezadowolenie i utyskiwania szefa. Dyrektor Galas, który z wielkim entuzjazmem podchodził do realizacji zadań szkoły i wszystko robił najlepiej jak potrafił, wymagał również od nauczycieli, by zawsze byli gotowi do pełnienia swych obowiązków, do uczestniczenia we wszystkich działaniach szkoły; również w czasie wolnym od pracy – w godzinach popołudniowych, w niedziele, na feriach, czy na wakacjach.

Priorytetem był wysoki poziom nauczania, którego pilnował, systematycznie kontrolując lekcje, pracę zespołów przedmiotowych, dzienniki, rozkłady materiału, przebieg matur, a także organizując konferencje, spotkania z przedstawicielami uczelni, wysyłając nas na kursy, szkolenia, mobilizując do podejmowania studiów podyplomowych, zdobywania stopni nauczycielskich itp.

Profesorka Lidia Górską, skierowana na studia na kierunku „Bibliotekarstwo i Informacja Naukowa” wspominała: „Zawdzięczam mu wysłanie mnie na studia i pilnowanie, abym z nich nie zrezygnowała [...]. Dyrektor Galas z ojcowską troską sprawdzał często indeks, przeglądając oceny z egzaminów [...]. To były dobre czasy, jeśli się chciało zaocznie studiować, doskonalić. Szkoła ułatwiała mi możliwość wyjazdów, zwroty delegacji i kosztów noclegów, a dyrekcja podchodziła życzliwie do moich studiów”.

Dyrektor Edmund Galas tworzył atmosferę sprzyjającą solidnej pracy, systematyczności, aktywności i dbałości o rangę szkoły, słynącej z wysokie-

go poziomu wiedzy i obrosłej już legendą. To przynosiło efekty. Jak pisał Jacek Dymitrowski: „Za jego rządów liceum stało się kuźnią olimpijczyków i jedną z przodujących w naszym kraju szkół średnich” [np. w roku 1974 było 7 laureatów i 13 finalistów olimpiad przedmiotowych].

W wywiadzie udzielonym dla „Nowin Rzeszowskich” w 1973 roku dyrektor mówił o czynnikach sprzyjających licealnemu „olimpijczykom”: „Codzienna systematyczna praca na zajęciach bieżących, a także na kółkach przedmiotowych [...], ciągłe obcowanie z książką uniwersytecką, szukanie dodatkowych informacji, dyskusje i konsultacje z prowadzącymi zajęcia profesorami [...], szlachetna rywalizacja i współzawodnictwo [...]. Każdy sukces odniesiony przez ucznia naszego LO jest omawiany na apelu szkolnym. W ten sposób powstaje atmosfera, w której „rodzą się” olimpijczycy i kształtują charaktery [...]. Popularyzując bardzo dobre wyniki uzyskiwane przez poszczególnych uczniów, propagujemy równocześnie wzorzec dobrej, rzetelnej, nieprzeciętnej pracy. Nie tworzymy sztucznych bohaterów. To, że w ich ślady idzie coraz więcej uczniów, uważam za ogromny sukces całej szkoły, całego grona pedagogicznego”.

Profesor Czesław Surowiec w swych wspomnieniach pisał, że „dębickie liceum również w latach osiemdziesiątych było najlepszym w województwie w uzyskanych wynikach nauczania, w ilości ubiegających się o przyjęcie na studia i przyjętych oraz w ilości finalistów i laureatów olimpiad krajowych i międzynarodowych. Zaliczało się też do krajowej czołówki liceów”.

Ponieważ dyrektor Galas swoją pracę, a właściwie misję traktował z największym oddaniem, nigdy nie mogliśmy liczyć na jakąkolwiek taryfę ulgową. Tak było np. z konferencjami nauczycielskimi i innymi zebraniem Rady Pedagogicznej. Każda była starannie przemyślana, przygotowana, a wszystkie wystąpienia zaplanowane i rozdzielone. A takie zebrania trwały nawet 5 godzin!

Ponieważ odbywały się po lekcjach, wracaliśmy do domu już wieczór, wymęczeni, z bolącymi głowami, nie mając czasu i siły, by poświęcić się rodzinie. W czasie tych konferencji słuchaliśmy szczegółowych sprawozdań z działalności szkoły, oceny pracy nauczycieli, osiągnięć uczniów, ich zachowania, frekwencji, aktywności społecznej w szkole i poza szkołą. Szczególnie trudne dla nas było sprawozdanie z odbytych hospitacji lekcji, prawie nigdy niezapowiedzianych wcześniej; zawsze stresujących i nie zawsze miłych. Na sukces lekcji składało się bowiem wiele czynników, nie zawsze zależnych od nauczyciela; ale to tylko on odpowiadał za efekt.

Sprawozdania składali również przewodniczący zespołów przedmiotowych i wychowawcy, czasem występował psycholog, higienistka, czy jakiś reprezentant szkolnych czy miejskich władz. Na koniec była dyskusja o wielu problemach, których nigdy nie brakowało oraz przedstawiane nowe zarządzenia i zadania, które nas czekały. Gdy czasem ktoś pod nosem sarknął cicho na te długie „nasiadówki”, dyrektor mówił, że można zawsze zmienić pracę, co było dla nas jednoznaczną nauką.

Przez wiele lat protokoły zebrań Rady Pedagogicznej pisały polonistki. Najbardziej bałyśmy się tych, na zakończenie roku szkolnego. Gdy wszyscy uciekali na wakacje, trzeba było jeszcze kilka dni poświęcić sporządzeniu takiego protokołu w wersji ostatecznej. W końcu wywalczyłyśmy, że te długie protokoły mieli sporządzać po kolei wszyscy nauczyciele.

Chociaż zebrania Rady Pedagogicznej były nad wyraz uciążliwe, ale okazywały się bardzo potrzebne. Szkoła działała jak dobrze naoliwiony zegarek. W czasie przerw w obradach wychodziliśmy na korytarz, by rozprostować nogi, pogwarzyć i zapalić papierosa [gdy jeszcze palenie było dozwolone]. Korytarz był po chwili ciemny od dymu, bo niektórzy kopcili jak lokomotywy. Papierosowy dym wnikał w nasze ubrania, w nasze włosy, przenikał do płuc. Nie uważaliśmy jeszcze wtedy, że palenie tak naprawdę nam szkodzi i że „papieros to śmierdzące ziele z ogniem po jednej, a głupcem po drugiej stronie” – jak mawiał Bernard Shaw. Zagraniczne filmy pokazywały nam przecież wielu eleganckich mężczyzn i wytworne damy zaciągające się papierosowym dymem. I to nasze palenie – jakby powiew dalekiego, zachodniego świata, który kojarzył się z luksusem, za którym tęskniliśmy, a od którego oddzielała nas żelazna kurtyna – miało swój swoisty urok.

Paliliśmy zazwyczaj droższe papierosy, koniecznie z ustnikiem, łudząc się, że te są zdrowsze. Mężczyźni szpanowali zagranicznymi „marlboro”, my – kobiety, lubiłyśmy cieniutkie, eleganckie „mentolowe”; jak się okazało – jedno z najbardziej szkodliwych!

Ale palili prawie wszyscy i wszędzie: w mieszkaniu, w biurze, w autobusie, na ulicy. Nawet nastoletni chłopcy uzyskiwali niekiedy przyzwolenie rodziców.

Pamiętam, jak jedna z mam – przygotowująca podczas matury w szkolnej kuchni [znajdującej się na parterze] kanapki dla uczniów – podawała przez okno papierosy swojemu synowi, nie mającemu jeszcze osiemnastu lat.

Gdy po długich obradach wracaliśmy wreszcie do domów, po korytarzach uwijały się panie sprzątaczkę dbające o czystość pomieszczeń

szkolnych. Wspominam je z uśmiechem. Zawsze były miłe, życzliwe, pracowite, zatroskane, solidne.

Dyrektor Galas dużą uwagę poświęcał zajęciom pozalekcyjnym, wzbogacającym wiedzę uczniów.

A tradycja kółek przedmiotowych w naszej szkole była bardzo długa. Także duża była ich różnorodność. Niektóre nawet budzą uśmieszek, jak Kółko Abstynenckie [1907 rok], czy Liga Morska [bez dostępu do morza -1944 rok]. Nie wszystkie były płatne, ale nikt z nauczycieli się nie buntował. Taki był zwyczaj i wszyscy rozumieli korzyści płynące z ich istnienia.

Poloniści prowadzili kółka literackie, recytatorskie, dziennikarskie, teatralne, czy wiedzy o filmie.

Edward Wodzień podkreślał, że „przez upowszechnienie zajęć w kółkach przedmiotowych, stosowanie nowoczesnych metod nauczania, świadomą dyscyplinę, szkoła w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zajmowała pierwsze miejsce w województwie rzeszowskim, a później w tarnowskim pod względem wyników nauczania, liczby uczestników, zwycięzców i laureatów olimpiad przedmiotowych, wyników egzaminów i przyjęć na studia wyższe, a w rankingu krajowym wśród 300 najlepszych szkół plasowała się zawsze między 25 a 30 miejscem”.

Dzięki osiągnięciom naszego liceum dyrektor Galas spotykał się z wielkim uznaniem uczniów, pracowników i ludzi z zewnątrz: Teresa Będkowska, po zwiedzeniu naszej szkoły, pisała: „Na każdym kroku widać rękę dobrego gospodarza, opiekuna, nauczyciela”.

Lidia Górską wspominała: „Kiedy jako bibliotekarz przychodziłam do gabinetu w celu załatwienia z dyrektorem spraw bibliotecznych, zastawałam dyrektora pochylonego nad jakimś pisanem, stukającego w maszynę do pisania lub po prostu zanurzonego w sterty papierów i notatek zalegających biurko”. A profesor Andrzej Mol podkreślał, że Galas „był przede wszystkim dyrektorem sprawiedliwym. Tak, jak dyrektor Pietrzykowski, którego – jako jego zastępcę – dobrze znał i cenił, zawsze bronił nauczycieli przed krzywdzącymi opiniami rodziców i wizytatorów kuratorskich. Miał odwagę sprzeciwić się wydanej opinii”. Tak rzeczywiście było.

Pamiętam. Jedna z mam poskarżyła się dyrektorowi, że nie była przeze mnie informowana o wagarach syna, które spowodowały brak klasyfikacji Bogusia do następnej klasy. Jej pretensje były bardzo niesprawiedliwe, bo wielokrotnie wzywałam ją do szkoły, dzwoniłam do domu, nawet zaczepiałam na ulicy. Dyrektor Galas bronił mnie wtedy jak lew, wykazując siłę

woli i zdecydowanie. Sam zresztą widział kilkakrotnie tę panią czekającą na mnie pod pracownią. Było mi bardzo miło, że wierzył mi bez zastrzeżeń.

W ciągu całego „dyrektorowania” starał się poprawiać warunki pracy szkoły, choć był bardzo oszczędny i miał w tym zakresie niezbyt wygórowane wymagania. Utyskiwaliśmy np. na okrutne zimno, które królowało w budynku, gdyż zawsze oszczędzał węgiel. Ze złością patrzyliśmy na wysokie czarne hałdy usypane na podwórzu, które pozostawały do wiosny, ku satysfakcji dyrektora, dumnego ze swego racjonalnego gospodarowania, co wynikało z jego pobudek ideowych. Upominaliśmy się też o jaśniejsze oświetlenie klas, a zwłaszcza korytarzy, gdzie zawsze panował półmrok, bo ze względu na oszczędności, świeciło się niewiele lamp, a i te chyba miały niewielką moc. Również sprzęt szkolny pozostawiał wiele do życzenia. Ale dyrektor wielokrotnie tłumaczył nam konieczność oszczędzania dla dobra socjalistycznego państwa

Dopiero rządy kolejnego dyrektora – Stanisława Kłoka wiele zmieniły w tym względzie. Otrzymaliśmy do pracowni nowe, ładne biurka, zakupiono lekkie stoliki i krzesła, w pokoju nauczycielskim pojawił się czajnik elektryczny, a także lustro, o które prosiłyśmy od „świętej pamięci”, a w nowo utworzonej szkolnej kuchni – meble, niezbędne wyposażenie i naczynia.

Oczywiście dyrektor Galas dbał – w miarę możliwości – o stan materialny budynku liceum; m.in. w latach sześćdziesiątych zainicjował i nadzorował kapitalny remont internatu i szkoły, wykazując niezwykle zmysł organizacyjny. To za jego czasów – jak wyliczała Aneta Kwolek – „w 1968 roku założono centralne ogrzewanie, a w następnym okresie dokonano rozbudowy budynku szkolnego. Otrzymywane w kolejnych latach skromne środki finansowe dawały niewielkie możliwości przeprowadzenia generalnych remontów – co roku wykonywano jedynie niezbędne prace konserwatorskie [np. wymiana oświetlenia, okien, malowanie sal, remont sali informatycznej – na początku lat dziewięćdziesiątych szkoła otrzymała 2 pracownie informatyczne]”.

A Marian Morawczyński dodawał: „dobudowano 6 sal [wprawdzie zepsuło to dotychczasową architekturę zabytkowego budynku], urządzono 2 boiska do piłki siatkowej, jedno do piłki koszykowej, poszerzono boisko szkolne [...]. Po tych pracach szkoła rozporządzała 29 pomieszczeniami dydaktycznymi [22 w roku 1945], w tym 7 pracowniami”.

„Często widywałam dyrektora wkręcającego osobiście żarówki czy też zaglądającego do kotłowni szkolnej i dokładającego do pieca, gdy w klasach robiło się już chłodniej” – chwaliła dyrektora Lidia Górską.

Oczywiście prace remontowe i modernizacyjne były wykonywane też przez wszystkich kolejnych szefów szkoły.

Dyrektor Edmund Galas – zawsze gotowy do poświęceń – oddał swe serce szkole, a duszę – ustrojowi socjalistycznemu. Przekonany o jego słuszności, zawsze bronił jego zasad, przekonywał o jego wartościach, tłumaczył różne, nawet kontrowersyjne poczynania władz, niedogodności życia, wyjaśniał na konferencjach marksistowskie – jedynie słuszne – teorie, zawiłości polityki, nożyce cen itp. Jego nieukrywana nienawiść do wszystkiego, co miało jakiś związek z poprzednim ustrojem, miała głębokie korzenie w doświadczeniach z dzieciństwa. Opowiadano taką historijkę, ponoć prawdziwą.

Kiedy jako wiejskie dziecko biegał po łące, z dumą paradygując w nowiutkiej, wymarzonej czapce, obok przecwałowały na koniach panny z pobliskiego dworu. Jedna z nich – urażona, że nie okazał jej szacunku przez odsłonięcie głowy, strąciła mu tę nowiutką czapkę, a narowisty koń wdepnął ją w błoto. To zraniło go do żywego i na zawsze utrwaliło nienawiść do bogatych, gardzących prostymi ludźmi.

Czy w tej opowieści tkwi ziarenko prawdy? Nie wiem. Ale nietolerowanie nierówności społecznej, niezgoda na krzywdzenie biednych i słabych, a szacunek dla człowieka ciężkiej pracy i gotowość poświęcenia się dla dobra wspólnego, były dla dyrektora Galasa zasadą życia.

Jacek Dymitrowski pisał: „Dyrektor Galas sprawiał wrażenie twardego mężczyzny i surowego przełożonego, ale pod tą skorupą tkwił wrażliwy człowiek, szczególnie uczulony na ludzką krzywdę. Kiedy miał do czynienia z młodymi ludźmi, pochodzącymi z biednych rodzin, nigdy nie pozostawał wobec nich obojętny”.

Dyrektor kochał swoją pracę, kochał historię, której uczył, kochał miejsce, w którym przyszło mu żyć. Do pracowni historycznej zakupił przeszklone gabloty i stworzył tam „kącik pamięci”, ocalając i eksponując znalezione przez mieszkańców Dębicy i okolic materialne ślady zamierzchłej przeszłości naszych ziem: kości pradawnych zwierząt, fragmenty dawnych naczyń, monety, a także pamiątki z II wojny światowej, czyli – jak pisała Zyta Rudzka, trochę ironicznie, ale w konwencji pasującej do charakteru jej wspomnień: „ślady po naszych świętych umarłych, po bohaterach, co do nieba szli czwórkami jak żołnierze z Westerplatte, a czerwone róże na Monte Cassino zamiast rosy piły ich krew. Z tych rzeczy nasza izba pamięci powstała. Każda rzecz odpicowana, świeża i jak malowana”.

Tak na serio, eksponaty te były cennymi zbiorami, przekazanymi później do utworzonego w Dębicy prawdziwego muzeum.

„W życiu i w działalności politycznej – jak pisał dalej Jacek Dymitrowski – dyrektor Edmund Galas miał swoje niezłomne zasady, których się zawsze trzymał. Można się było z nim zgadzać lub nie, ale za to, że nie był chorągiewką na wietrze, należało go szanować”. Był aktywnym działaczem politycznym i społecznym.

Edward Wodzień wyliczył funkcje, które pełnił: „Był przez 25 lat radnym Powiatowej Rady Narodowej w Dębicy, wieloletnim przewodniczącym Komisji Oświaty i Kultury tej Rady, członkiem KC PZPR, lektorem KW PZPR, a następnie Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, wiceprzewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego TWP w Tarnowie. Pełnione funkcje wykorzystywał do upowszechniania postępu w oświacie oraz do tworzenia przyjaznej atmosfery dla pielęgnowania pamięci o dorobku pokoleń, pamięci o ludziach, którzy ten dorobek tworzyli.”

Istota i zadania owego – wyżej wspomnianego – Frontu Jedności Narodu były jednym z tematów, który wylosowałam na maturze ustnej z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. W Komisji Egzaminacyjnej zasiadały profesorki: Olga Sidorowicz, Stanisława Gawrysiowa i – oczywiście – mój nauczyciel historii Edmund Galas, który wtedy jeszcze pełnił funkcję wicedyrektora szkoły.

Pamiętam, że strasznie się płątałam, więc polecił mi dać słowo honoru, że po maturze nauczę się „na blachę” wszystkiego o tym Froncie. Oczywiście przyrzekałabym wtedy wszystko, więc przyrzekłam i to, ale – przyznam się – natychmiast po wyjściu z budynku zlekceważyłam tę sprawę i o niej całkiem zapomniałam. Gdy po dziesięciu latach szłam na spotkanie z dyrektorem, przyjmującym mnie do pracy w liceum, byłam trochę zaniepokojona; bo – a nuż pamięta i zapyta! Na wszelki wypadek przeczytałam jakiś długi artykuł z podręcznika na ten temat. Na szczęście dyrektor zapomniał o mojej obietnicy, a i ów Front gdzieś się wkrótce rozmył, tak, jako i atmosferyczne fronty czynią.

Dyrektor Edmund Galas, jako aktywny działacz PZPR, był też szefem szkolnej organizacji partyjnej. Starał się poszerzać grono jej członków, mobilizował do podejmowania różnych czynów społecznych, organizował szkolenia i różne akcje. Również ja uczestniczyłam w kilku z nich. Ponieważ wcześniej pracowałam w małej wiosce pod Dębicą bez prądu i dojazdu, usilnie starałam się o przeniesienie do jakiejś szkoły położonej bliżej miasta. Władze szkolne postawiły mi jeden, jedyny warunek: muszę zapisać się do partii.

„Partia każdego przytuli” – mówiono, więc – po wielu wahaniach – zapisałam się, choć nigdy nie byłam aktywną działaczką, a mój udział ograniczał się do płacenia obowiązkowych składek, „odbębniania” również obowiązkowych zebrań i czynów społecznych, co i tak było strasznie uciążliwe. Ciągle próbowałam się zwalniać, tłumacząc się obowiązkami rodzinnymi, małymi dziećmi, złym samopoczuciem, ale nie zawsze się to udawało.

Pamiętam, jak szłam pewnej niedzieli sprzątać park z sąsiadem, będącym dyrektorem jednej z dębickich podstawówek, który maszerował na ten czyn z łopatą owiniętą białym papierem i przewiązaną wstążeczką, co bardzo mnie śmieszyło. Biły głośno kościelne dzwony, w domu czekały małe dzieci, a my tak sobie szliśmy: „Do roboty grodzić płoty, okopywać rowy”.

No, ale dziś mogę powiedzieć, że mam swój wkład w porządkowaniu naszego parku, a także oddawanego do użytku budynku szkoły muzycznej czy nowego szpitala.

Ogromną uciążliwością były przeprowadzane co jakiś czas przez władze tzw. „rozmowy partyjne”, odbywane w kancelarii szkolnej, w czasie których sprawdzano nasze poglądy i zaangażowanie, zalecano namawianie innych do wstępowania do organizacji i pytano o nasz stosunek do Kościoła. Bo nie wystarczyło „oddać co cesarskie cesarzowi” – partia była zazdrosna i zaborcza – nie pozwalała niczego „oddać Bogu”.

Czekaliśmy w pokoju nauczycielskim w kolejce, wymyślając różne hipotetyczne odpowiedzi na różne hipotetyczne pytania, w atmosferze żartu i ironii. Usypiały nasz niepokój, choć okazywało się, że były to najczęściej rozmowy czysto formalne, gdyż nie ingerowano specjalnie w nasze życie pozaszkolne; żyliśmy według własnych przekonań, według zasad wpojonych nam przez rodziców, tradycję, religię, zdobyte doświadczenie. Zawieraliśmy śluby kościelne, chrzciliśmy dzieci, a potem przygotowywaliśmy je do I Komunii Świętej i bierzmowania, uczestniczyliśmy we mszach świętych i uroczystościach kościelnych, przyjmowaliśmy księdza chodzącego corocznie po kołędzie, organizowaliśmy dla naszych bliskich umarłych katolickie pogrzeby. Bo wiara była dla nas fundamentem życia: oczywista, prawdziwa, choć tajemna i niepojęta. Nikt i nic nie mogło tego zmienić.

W pokoju nauczycielskim nikogo nie traktowano inaczej ze względu na jego przynależność partyjną. Krytyk literacki naszego pokolenia -Tadeusz Nyczek pisał: „W moim pokoleniu nikt nie zadawał sobie trudu, żeby komuś sprawdzać legitymację [...]. O wiele ważniejsze było, kto co naprawdę myśli i jakim jest człowiekiem”. Ale mnie ta „przynależność” ogromnie uwierała.

Pewnego razu, dyrektor Galas – wróciwszy z jakiejś narady w Komitecie partii – wszedł do pokoju nauczycielskiego cały rozpromieniony i ogłosił, że PZPR już nie potrzebuje nowych członków, że jest nas wystarczająco dużo, że teraz będziemy już walczyć tylko o jakość, że jesteśmy mocni i niezagrożeni. Wicedyrektor Józef Nowak – też w uśmiechach – zażartował wtedy, że teraz – gdyby ktoś chciał – to mógłby się nawet z partii wypisać. Wtedy natychmiast powiedziałam, że ja właśnie bardzo chcę.

Dyrektorzy zamilkli skonsternowani. Potem pytali mnie, czy to aby nie był żart i polecili tę decyzję jeszcze dobrze przemyśleć. Ja jednak twardo się upierałam i postanowiłam natychmiast złożyć podanie. Usłudzy koledzy zaczęli mi podpowiadać, jak mam je sformułować, by było skuteczne. Najbardziej ubawiło mnie to, które napisał pewien Icek z dowcipu:

„Z powodu serca feleru

Proszę wypisać mnie z pezetpeeru

I nie trzymać mnie więcej za członka.

Z poważaniem – Icek Skowronek”.

Moja decyzja była szeroko komentowana w szkole i w środowisku; nawet ksiądz na kazaniu w kościele Ducha Świętego pochwalił „pewną odważną nauczycielkę”, a ja mogłam cieszyć się wreszcie wolnymi niedzielami. Potem jeszcze kilkakrotnie, gdy wchodziłam przypadkiem do pokoju nauczycielskiego, gdzie akurat odbywało się zebranie partyjne, dyrektor Galas zachęcał mnie, bym została. Zawsze grzecznie dziękowałam i jak najprędzej się „ulatniałam”.

Jacek Dymitrowski pisał: „Dyrektor Galas był człowiekiem, który cały swój wolny czas, a miał go naprawdę niewiele, poświęcał na poznawanie i opisywanie dziejów naszej „małej ojczyzny”. Lidia Górską dodawała: „Potrafił zarazić miłością do regionalizmu. W tej dziedzinie był dla mnie autorytetem i wzorem pasjonaty, który potrafi godzinami mówić i dociekać faktów historycznych [...]; to, czym ja się teraz interesuję, zawdzięczam jego pracowitości i ciekawemu przedstawieniu historii tych ziem w literaturze regionalnej”.

Dyrektor współpracował także przy powstawaniu lokalnej prasy. Był m.in. współtwórcą „Naszej Gazety”. Niestety, wkrótce przestała istnieć [wyszło tylko pięć numerów].

„Był też – jak dalej pisał Jacek Dymitrowski – jednym z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy, jego prezesem w latach 1964-1967, który zawsze przygarniał pod swoje skrzydła tę społeczną organizację, której władze nigdy nie szczędziły obietnic, za to bardzo rzadko je realizowały.

Przez ponad 30 lat zasiadał w zarządzie Towarzystwa wspomagając je swoją wiedzą. Był współautorem i redaktorem książek „Dębica i okolice” [1962 rok], trzech tomów „Roczników dębickich – Dębica 1969, 1971 i 1974”. Ze szczególnym pietyzmem zbierał materiały dotyczące zbrodni hitlerowskich podczas II wojny światowej. Wielką szkoda jest, że monografia obozu w Pustkowie [„Hitlerowski obóz zagłady w Pustkowie”], której jest współautorem, w wyniku zawirowań politycznych roku 1968, do dzisiaj nie ujrzała światła dziennego [...]. Dzięki jego ofiarności została uratowana dla potomnych dębicka „Księga wójtowska” pochodząca z XVIII wieku, a będąca bezcennym źródłem historycznym do badań dziejów historycznych naszego miasta i jego mieszkańców”.

Dyrektor Galas interesował się też gwarą regionu, znał wiele regionalnych zwyczajów i charakterystycznych powiedzeń. Pewnego razu w pokoju nauczycielskim, pełnym nauczycieli, z szelmowskim błyskiem w oku i nutką ironii zapytał: – Halina, a u ciebie w tej Bobrowej, to jak mówią na czerwemchę?

– Korcipka.

– A na maśniczkę?

– Maśnicka.

– A nie lejbicha?

– A skądże! To chyba w Nagoszynie – odpowiedziałam, zerkając na rozradowanych kolegów.

Moja rodzinna wioska Bobrowa charakteryzowała się specyficzną gwarą i rzeczywiście ten język był barwny, oryginalny, bogaty w specyficzne, zawsze celne, czasem śmieszne i dosadne określenia. Dyrektor znał ich dużo i czasem sobie z nich żartował. Nawet będąc na emeryturze żywo interesował się rozwojem regionu.

„Swoją pasję do regionalizmu potrafił zaszcześcić kolejnym pokoleniom – pisał Jacek Dymitrowski – i za to należy go szanować [...]. Pamiętam jego wspomnienia poświęcone przedwojnemu uzdrowisku w Latošynie. Kiedy o tym mówił, zapominał o wszelkich dolegliwościach. Głos stawał się mocniejszy, wzrok roziskrzony. Znękany licznymi chorobami nagle stawał się takim, jakim pamiętałem go sprzed czterdziestu lat. Mężczyznę pełnego energii, zamaszystymi krokami przemierzającego szkolne korytarze [...]. Zgadzał się też na często szalone pomysły, jak na ówczesne małomiasteczkowe pojmowanie nowoczesności, jeśli tylko ktoś potrafił go do tego rzeczowo przekonać. Nie dążył do hamowania, lecz do rozwoju intelektualnego młodych ludzi”.

Pracując wiele lat „pod wodzą” dyrektora Galasa, poznałam jego prawdziwy charakter i obyczaje, mocne strony i słabości, typowe reakcje i zachowania. Ceniłam go i lubiłam, jak wiele moich koleżanek i kolegów.

Pewnego razu, tuż po długachnych – jak zwykle – uroczystościach rozpoczynających nowy rok szkolny, odbywających się na licealnym podwórzu, nagle zerwała się gwałtowna ulewa. Wszyscy rzucili się do drzwi. Ale, że te od podwórza są przecież małe, a młodzież sprytniejsza i żwawsza od nauczycieli, znaleźliśmy się na końcu umykającej do budynku, stłoczonej gromady. Mężczyźni nie mieli wiele do stracenia, choć i ich odświętne ubrania straciły momentalnie swoje walory i – przylegając do profesorskich ciał – wyglądały dość opłakanie. Ale dużo gorzej było z paniami. Nasze nowe, „zdobyte” gdzieś spod lady odświętne garsonki, suknie zdobne w broszki i korale, pieczołowicie na tę okazję ułożone fryzury – wszystko to przybrało wygląd żałosny. Moja „trwała”, pracowicie prostowana na grzebieniu [prostownic jeszcze nie było], skręciła się w drobniuteńkie fioczeki, z których na moją twarz upiększoną makijażem ściekała deszczowa woda. Dyrektor Galas, tłoczący się wraz z nami – a lało coraz bardziej i nikt tu na nikogo już nie zważał – nagle tubalnym głosem zawołał:

– Wpuście wreszcie profesorkę Niziołek, bo się jej baran na głowie filcuje!

A powiedział to z takim błyskiem w oku, dowcipną miną, figlarnym spojrzeniem, a zarazem z sympatią w głosie, że nie poczułam się ani ciut urażona; raczej rozbawiona. Wszyscy ryknęli śmiechem i w dobrych humorach wtłoczyli się do środka. Parę dobrych chwil zajęło nam przywracanie naszego wyglądu do jakiegoś takiego porządku, by – już w klasach – kontynuować rozpoczęte zajęcia.

Dyrektor Galas odwiedzał mnie – tak jak i innych nauczycieli – kilka razy w roku na lekcjach, podczas hospitacji. Były to niezapowiedziane wcześniej kontrole, na których sprawdzał przygotowanie nauczyciela do lekcji, sposób jej prowadzenia, poziom nauczania, stosowanie pomocy naukowych i różnorodnych metod pracy, dyscyplinę na zajęciach, harmonijność toku lekcji, aktywność uczniów, wykorzystanie tzw. przerw śródlekcyjnych itp. Cały czas, siedząc w ostatniej ławce, robił tajemnicze notatki, a po lekcji wzywał nauczyciela do kancelarii, gdzie omawiał lekcję i oceniał jego pracę. Również – jak już wspomniałam – w czasie konferencji Rady Pedagogicznej publicznie komentował przeprowadzone hospitacje, nie szczędząc uwag; zwłaszcza krytycznych. Ponieważ ukończył kurs języka polskiego, przez wiele lat przewodniczył Komisji Maturalnej i odbywał wiele hospitacji, to potrafił merytorycznie i wnikliwie ocenić i skomento-

wać lekcje z „polaka”. Trudno było się z nim nie zgodzić, czy polemizować. Po jednej z takich hospitacji powstała fraszka:

„Zeszyt hospitacji:
Dokument dyrektorskich racji”.

Muszę przyznać, że dyrektorowi zawsze podobały się moje zajęcia, a nawet zdarzało się, że podchodził do mnie na przerwie z zaszępiłą miną i smutkiem w oczach, i mówił zmęczonym głosem: – Halina, mogę przyjść do ciebie na lekcję? Taki mam dziś ciężki dzień.

Oczywiście dyrektorowi się nie odmawia, więc – choć zazwyczaj nie byłam zadowolona z takiej niezapowiedzianej wcześniej wizyty – robiłam dobrą minę do złej gry.

Zasiadał wtedy – jak zawsze – w ostatniej ławce z jakimiś papierami w ręku, ale zazwyczaj nawet do nich nie zaglądał, a obserwował lekcję lub pogrążał się w zamyśleniu. Czasem to jakieś zamyślenie trwało dość długo, innym razem już po chwili jego znużone oczy zamykały się same, głowa opadała, a on drzemał sobie spokojnie, co nie umykało uwadze zdziwionych uczniów, zawsze widzących dyrektora pełnego energii i życia.

– Pani profesorko, a dyrektor to cały czas spał – donosili mi uprzejmie na przerwie uczniowie. Widziałam to przecież, ale odpowiadałam wtedy: – No, tacy byliście nudni, że o mało i ja nie zasnęłam.

Ale zdarzały się też hospitacje oceniane, a zapowiedziane w ostatniej chwili, tuż przed dzwonkiem na lekcję, które zawsze mnie przyprawały o palpitację serca. Gdy udało mi się wejść do klasy wcześniej niż dyrektor, prosiłam uczniów, żeby się godnie zaprezentowali, zabierali chętnie głos i nie rozrabiali. Muszę przyznać, że zawsze stawali na wysokości zadania i nigdy mnie nie zawiedli, za co do dziś jestem im wdzięczna.

Pamiętam, gdy w czasie jednej z takich lekcji dyskutowaliśmy o „Antygonie” Sofoklesa. Z uczniami tej klasy – zresztą o profilu nie humanistycznym a matematycznym – miałam szczególnie dobry kontakt; lubiliśmy się i wiedziałam, że dadzą z siebie wszystko. I tak było.

Cały czas dyrektora – siedzącego w ostatniej ławce – zasłaniał las rąk chętnych do dyskusji, wiele argumentów odpowiadający popierali cytatami z utworu, panowała coraz gorętsza atmosfera sporów; słowem – lekcja toczyła się wzorowo! I nagle dyrektor poderwał się z ławki, wypadł na środek i włączył się do dyskusji, ze swadą przedstawiając swoje racje. A temat był ponadczasowy: „Kto jest ważniejszy: władza czy jednostka”?

W ogóle nie byłam tam potrzebna. Przebrzmiał dzwonek, skończyła się przerwa, a w klasie wciąż wrzało.

Pewnie bohaterowie tej lekcji do dziś to pamiętają. Po wyjściu dyrektora otoczyli mnie kołem i pytali, czy jestem z nich zadowolona? Byłam. Bardzo. I on też.

Bo dyrektor Galas zawsze doceniał solidną pracę nauczycieli. Nominował do nagród dyrektorskich, kuratorskich i ministerialnych, awansował, przyznawał dodatki, choć – jak już wspominałam – był bardzo oszczędny. Gdy świeżo upieczone, młodziutkie nauczycielki zaczęły przychodzić do pracy w mini-spódniczkach, „wzorowanych na erze charlestona, odkrywających kolana w sposób, o którym się starszym pedagogom nie śniło” – jak pisała Agata Tuszyńska – powstała fraszka pt. „Prośba do dyrektora o podwyżkę”:

„Niech pan profesorkom
Nie skąpi pieniędzy,
Bo spódniczki mini
Świadczą, że są w nędzy”.

Przez te ponad dwie dekady, w czasie których dyrektor Edmund Galas zarządzał liceum, wiele się w naszym mieście zmieniło. Dębica urosła, wypiękniała. W jej obręb „włączono pobliskie wioski: Wolicę, Kawęczyn i Pustynię. Z biegiem lat została otoczona pierścieniem nowych osiedli” [Stanisław Kłos]. Powstały nowe ulice, szkoły, kościoły, ronda, sklepy i różne instytucje użyteczności publicznej. Nasze domy zapełniły się nowoczesnymi urządzeniami ułatwiającymi życie. Telefony przestały być luksusem, tak samo jak samochody czy zagraniczne podróże. Powstało przez ten czas tyle nowych książek, płyt, filmów! Wyrosło nowe pokolenie, zrodziły się nowe idee i dążenia.

Niewyobrażalne przemiany, które nastąpiły we wszystkich dziedzinach życia, oddziaływały na nas, a zwłaszcza na młodzież; przewartościowały jej wyobrażenia o świecie i miały wielki wpływ na jej zachowania, nie zawsze pożądane.

Ale mimo wielu trudności, nasza szkoła w czasach dyrektorowania Edmunda Galasa była miejscem solidnej nauki, ostoją humanistycznych wartości, najszlachetniejszych idei, trwałych zasad moralnych, a dyrektor przez lata władania liceum potrafił trzymać w ryzach młodzież i pracowników; również sam niewiele się zmienił. Oczywiście, nieubлагany czas zdążył posrebrzyć mu włosy siwizną, trochę przygarbić plecy i wyostrzyć rysy,

ale tak naprawdę nic nie ujął z jego zapału działania, energicznych ruchów, stanowczości, gotowości do poświęceń i oddania wszystkich sił szkole.

Jego działalność była przez dębiczán wysoko ceniona. Również był doceniany przez władze i wielokrotnie odznaczany. Edward Wodzień wyliczał te odznaczenia: „Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski, Zasłużony Nauczyciel PRL, Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Zasłużony Działacz Kultury, Odznaka TWP, Złota Odznaka ZNP”.

Profesor Andrzej Mol pisał: „Dyrektor Galas był idealistą; wierzył, że system komunistyczny jest dobry, że ludziom z roku na rok będzie się żyło coraz lepiej. Kiedy system się zaczął kruszyć, a inne wartości dochodzić do władzy, dyrektor przeszedł na emeryturę i całkowicie wycofał się z życia publicznego. Miał w Dębicy piękny dom, ale przeniósł się na ojcowiznę do Gołęczyny. Pracował tam ciężko na roli jak zwykły rolnik [...]. Pojechałem go kiedyś odwiedzić. Kiedy podał mi rękę na powitanie, zauważyłem, że była to ręka twarda, szorstka i spracowana”.

Dyrektor Edmund Galas zmarł 5 lutego 2011 roku i został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Dębicy. Na klepsydrze znalazło się kilka lapidarnych słów: „Wieloletni nauczyciel I Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy, dyrektor szkoły w latach 1964-1987, oddany pracy z młodzieżą, wychowawca wielu pokoleń dębiczán, zasłużony dla oświaty i środowiska lokalnego”. Stojąc nad mogiłą dyrektora i słuchając przemówień władz, wyliczających jego zasługi, mieliśmy w sercach smutek, ale też wiele serdecznych wspomnień o tym niezwykłym człowieku. Na oficjalnym zdjęciu – zamieszczonym m.in. po jego śmierci w „Obserwatorze Lokalnym” – dyrektor Galas wygląda poważnie, nawet trochę surowo. Elegancki, gładkolicy, w garniturze, białej koszuli i krawacie – chyba nie czuje się komfortowo. Jeden kącik ust trochę niżej [stąd pewnie przydomek, który ktoś z nauczycieli mu nadał: „Krzywousty”], kilka srebrnych nitek na skroni, głowa trochę przechylona na jedno ramię, jakby chciała odpocząć po trudach życia.

Kolejnym dyrektorem naszego liceum został Stanisław Kłók, który władał naszą szkołą w latach 1987-1991.

Dyrektor Kłók był doświadczonym pedagogiem uczącym geografii, urodzonym przywódcą, szefem z powołania, człowiekiem stanowczym, zdecydowanym, o mocnym charakterze. Słusznego wzrostu blondyn, zawsze starannie ubrany, noszący wysoko głowę, przemierzał korytarze dziarsko i sprężysto, co zdradzało niezachwianą pewność siebie, werwę,

zamaszystość i pasję. Jego dumna postawa, bystre oczy, poważna mina, pewna szorstkość, małowówność i zdystansowanie sprawiały, że czuliśmy wobec dyrektora respekt, onieśmienie; ba, niekiedy nawet uwierało nas maleńkie ziarenko strachu. Bo dyrektor zazwyczaj był milczący, poważny, sprawiający na pierwszy rzut oka wrażenie nieprzystępnego. Również w jego twarzy było coś władczego, co budziło niepewność. „Cichutko chodzimy, bo się go boimy”...

Gdy przechodził energicznie przez pokój nauczycielski do swego gabinetu, omiatając wszystko dokoła chłodnym spojrzeniem, to jakby wiatr się zerwał, a wszyscy nagle milkli. Stąd fraszka pt. „Dyrektor K.”:

„Módl się co rano i wieczorem,
By się nie spotkać z dyrektorem”.

Podziwialiśmy jego pracowitość, dokładność, wręcz pedanterię, perfekcjonizm, determinację w realizacji zamierzeń, zmysł taktyczny godny Napoleona i to, że nigdy nie tracił wigoru i wiary w słuszność działań szkoły. Wydawał się silny, niestrudzony, mający nieskończone pokłady energii i zapału. Starannie ukrywał swe dolegliwości i nigdy nie narzekał, bo przecież „chłopaki nie płaczą”.

Zawsze punktualny [a przecież „punktualność jest grzecznością wielkich ludzi”], pryncypialny, słowny, kochał pracować i kochał całą buchalterię związaną z zarządzaniem szkołą, co wyrażało się w skrupulatności i pieczołowitości, z jaką prowadził szkolną dokumentację. Kolejne – zawsze klarowne zarządzenia, informacje, instrukcje przekazywane nam na konferencjach – brzmiały w jego ustach zdecydowanie, ale też niemal pieszczotliwie. Ulubionym „rodzynkiem” językowym, którego używał, było wielokrotnie powtarzane słowo – „spływać”: „dokumenty spływały”, „zarządzenia spływały”, „spływały decyzje władz”. A te frazeologizmy, które również „spływały” z dyrektorskich warg, brzmiały jak muzyka!

Jako szef – solidny i odpowiedzialny, nieprzejednany w sprawach zasadniczych, arbitralny – przydzielał wszystkim zadania sprawiedliwie, oceniał skrupulatnie, ale uczciwie, był konsekwentny i przewidywalny.

Z wielkim zaangażowaniem oddawał się misji, którą mu powierzono i którą wypełniał w stu procentach. Mieliśmy dla dyrektora Kłoka szacunek i poczucie odpowiedzialności za powierzone nam zadania.

Jako kobieta z gruntu bojaźliwa, bardzo się starałam, żeby w czymś dyrektorowi „nie podpaść”. Nie zawsze się to udawało. A było tak.

„Za czasów” dyrektora Galasa zdarzało się niekiedy, że ktoś w ważnej sprawie dzwonił do szkoły i prosił o kontakt z którymś z nauczycieli, a miłe panie z sekretariatu zapraszały do skorzystania z telefonu. Wielu z nas bowiem nie miało jeszcze w domu powszechnego obiektu pożądania – aparatu telefonicznego, a o komórkach też nikomu się jeszcze nie śniło, więc – ten szkolny – umożliwiał kontakty w ważnych sytuacjach życiowych. Dyrektor Kłok nie godził się na to i na jednej z pierwszych konferencji zarządził, że są to praktyki bezwzględnie zabronione, bo nauczyciel nie ma prawa wychodzić z lekcji pod żadnym pozorem. Zarządzenie było sensowne, choć uciążliwe. Ale rozumieliśmy je i przestrzegaliśmy.

Aż tu pewnego razu, pani sekretarka wywołuje mnie z lekcji, informując, że w kancelarii mam odebrać jakiś telefon. Szłam na miękkich nogach i od progu przeproszałam, tłumacząc, że to pewnie mąż, bez mojej wiedzy, zadzwonił ze „Stanów” do szkoły. Okazało się, że dyrektor – który wydawał mi się nieprzystępny i surowy – przywitał mnie życzliwie, oddał mi słuchawkę, a sam dyskretnie wyszedł. Gdy mu po długiej dość rozmowie dziękowałam i przeproszałam za ten incydent, powiedział, że mogę w takich sytuacjach zawsze skorzystać ze szkolnego telefonu, bo rozumie, jak bardzo kontakt przez ocean jest utrudniony, a wiadomo – bardzo ważny.

Byłam mile zaskoczona, tak samo jak wtedy, gdy znaleziono w mojej szafce alkohol, a dyrektor nawet nie powiedział mi jednego złego słowa.

Pewnego razu na moją lekcję „wparowały” jakieś dziewczynki z miniaturowymi różyczkami w doniczce, mówiąc, że to pan dyrektor Kłok podarował mi te kwiaty. W klasie wybuchła salwa śmiechu. Mówi się, że róże zawsze noszą balowe stroje, ale tamte różyczki przedstawiały obraz nędzy i rozpacz; były wysuszone i wyglądały jak wyjęte ze śmietnika. Przyjęłam je jednak chętnie i kazałam ślicznie podziękować, co spowodowało dalsze wybuchy radości. Uczniowie nie mogli przecież wiedzieć o naszej wcześniejszej rozmowie w pokoju nauczycielskim.

Mówiłam właśnie jednej z koleżanek, która kupiła sobie takie miniaturowe różyczki, że warto – gdy przekwitną w doniczce – obciąć je i wysadzić do ogródka. Wtedy odżyją i znów ślicznie zakwitną. Dyrektor Kłok, przysłuchujący się tej rozmowie, powiedział, że ma takie w pracowni geograficznej i że mi je chętnie przysśle. I tak się stało.

A moi uczniowie do końca lekcji patrzyli na mnie i na ten dyrektorski „prezent” bardzo podejrzanie.

Innym znów razem, ośmieliłam się prosić dyrektora o łagodność podczas ustnej matury z geografii dla jednej z moich wychowanek; naprawdę

bardzo pracowitej, ale strasznie nieśmiałej. Zaraz po zakończeniu egzaminu dyrektor Kłok odszukał mnie w szkole, by mi powiedzieć, że pamiętał o prośbie, ale dziecko nie potrzebowało pomocy, bo zdawało bardzo ładnie. Byłam mu jednak bardzo wdzięczna.

Żądając od nas punktualności, dyscypliny, obowiązkowości i pracowitości, potrafił też docenić zaangażowanie nauczycieli, ich starania i osiągnięcie dobrych wyników w nauczaniu.

Myślę, że darzył mnie zaufaniem, bo ani razu nie przyszedł na hospitację lekcji, nie sprawdzał mojego przygotowania, nigdy też nie podważał żadnej z moich ocen zapisanych na pracach maturalnych, choć to przecież dyrektor – według przepisów – ustalał ostateczną ocenę.

Również jako Przewodniczący Komisji Maturalnej zawsze zgadzał się z oceną, którą ustalałyśmy po wysłuchaniu ucznia zdającego egzamin ustny; nigdy żadnej nie kwestionował, uznawał nasze argumenty, co było dla nas sytuacją komfortową i miłą.

Zdarzało się nawet, że po szczególnie udanej maturze, gdy uczniowie odpowiadali pięknie, a oceny końcowe były wysokie, dyrektor wraz z polonistkami z Komisji zostawał na chwilę, by – już na luzie – „przegadać” zakończony egzamin, chwilę odpocząć po wielogodzinnym ślęczeniu i uważnym śledzeniu odpowiedzi maturzystów. W pustej już szkole, pozwalaliśmy sobie na złamanie przepisów i wypijaliśmy lampkę wina za szczęśliwy finał matur. Dyrektor przymykał oko na to nasze „przestępstwo”, a czasem nawet przyłączał się do toastu. Ale były to sytuacje naprawdę wyjątkowe.

Dyrektor Stanisław Kłok dbał o szkołę, o warunki pracy nauczycieli, o remonty, nowe sprzęty, pomoce naukowe, modernizację pracowni. Dościliśmy np. do klas nowe meble.

Po raz pierwszy miałam ładne, funkcjonalne biureczko, a nie stół z „powyłamywanymi” nogami. Do pokoju nauczycielskiego zakupił elektryczny czajnik, pozwalający wyrzucić do lamusa radzieckie „ustrojstwo” – prymitywną grzałkę wkładaną wprost do szklanki z wodą [która jednak spełniała swą rolę i przez lata umożliwiała nam napicie się czegoś gorącego]. Dyrektor był pedantem, więc denerwowało go to, że czasami zostawialiśmy brudne szklanki w zlewie czy bałagan na stołach w pokoju nauczycielskim.

Był mieszaniną stanowczości i delikatności, bezkompromisowości i ugodowości, co – pisząc pozytywnie o bohaterze „Lalki” – Wokulskim – Władysław Bogusławski nazwał „zygzakowatą osobowością”.

Gdy na miejsce dyrektora Kłoka miał przyjść jego następca – Ryszard Pękala, pożegnałam obecnego „szefa” parafrazą słynnego szlagieru „Już ni-

gdy...”, napisanego przez Jerzego Jurandota jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym do muzyki Jerzego Petersburskiego:

„Już nigdy pieścić uszu nie będzie Ci to,
Już nigdy, żeś dyrektor sławnego LO,
Już nigdy, że co krok słowo: Kłok
Zniknąć musi z pieczętek i list,
Świadectw i pism – na zawsze.
Już nigdy, nikt z kawusią nie będzie tak gwał,
Już nigdy, tak podobać nie będzie się chciał,
Już nigdy, na fotelik nie wrócisz już ten,
Choćbyś śnił o tym nocą i dniem,
Myślą czy snem – już nigdy!
Już nigdy, z taką siłą nie zabrzmi Twój głos,
Już nigdy, na twe ręce „nie spłynie” pism stos,
Ktoś inny siądzie od dzisiaj na miejsce Twe,
Między te panie dwie – a Ty gdzie?
Już nigdy, tych czarownych nasiadówek dni,
Już nigdy – gdy w głównej roli Ty, tylko Ty,
Również tych paragrafów, zarządzeń i dat
Czas zatrze ślad, zatrze ślad.
Ale...
Już nigdy, drżał nie będziesz o remont i prąd,
Już nigdy, cały w nerwach do domu szedł stąd,
Na zawsze – święty spokój, swoboda i luz.
Z piedestału władzy więc tu zstąp,
Oddaj ten klucz i ucz -
Tak jak my.”

Owe dwie panie, wymienione w tekście, to wicedyrektor – profesorka Marysia Marek i przewodnicząca ZNP – profesorka Marysia Grek, na konferencjach zasiadające zazwyczaj obok „szefa”. Tworzyli zgrany „tiumwirat”, czyli barwną grupkę „trzymającą władzę”.

Przyznam, że trochę się bałam reakcji dyrektora na mój wierszyk, ale okazał się człowiekiem z klasą, z humorem, z wielkimi pokładami życzliwości i tolerancji. Nie doszukiwał się w tym tekście żadnych złośliwości, co przecież absolutnie nie było moim zamiarem.

Po kilkunastu latach – wiosną 2004 roku pojawił się w prasie utwór „Tango – Już nigdy, Leszku” poświęcony znanemu politykowi Leszkowi Millerowi, na motywach tej właśnie piosenki; całkiem podobnie skonstruowany, ale bardzo ironiczny:

„Już nigdy, tak nie wkurzy nas cynizm twych ust,
Już nigdy, sprytniej Olki nie wesprze Cię biust,
Już nigdy, zza twych ramion cwaniaków i szuj
Nie dopadnie pazerny nas rój, sojusznik twój
Już nigdy” itd. ...

Byłam dumna, że owo „Już nigdy”... ja sparafrazowałam wcześniej i na pewno bez tej ironii, która w tym gazetowym tekście aż kipi.

Dziwiliśmy się, że dyrektor Stanisław Kłok tak łatwo „zszedł” z dyrektorskiego stołka, zachowując pogodę ducha, nie dystansując się od nas, nie utyskując czy nosząc w sobie jakieś urazy. Był miłym kolegą, uczestniczącym chętnie w naszych rozmowach w pokoju nauczycielskim, chętnie opowiadał o swojej pasji: zbieraniu i przetwarzaniu grzybów, chętnie też brał udział w organizowanych spotkaniach koleżeńskich i wycieczkach. Do dziś, spotykając się przy różnych okazjach, zawsze z sentymentem wspominamy wspólne czasy w liceum.

Kolejnym dyrektorem w naszej szkole był Ryszard Pękala, który zarządził nią od 1991 roku i był ostatnim szefem przed moim odejściem na emeryturę. Przyszedł do nas z Zespołu Szkół Zawodowych, gdzie uczył fizyki.

Jako osoba emocjonalna i naiwna zarazem, na pierwszym spotkaniu nowego dyrektora z gronem nauczycielskim – podpuszczona przez kolegów – wyrwałam się zapytaniem, jak zamierza usprawnić pracę szkoły, co ponoć było przyczyną jego powołania. Odpowiedzi udzieliła – towarzysząca mu wtedy i przedstawiająca go – dyrektor Wydziału Oświaty, Kultury, Sportu i Turystyki Starostwa Powiatowego – Anna Chmura. On sam wymownie milczał i tylko się uśmiechał. Myślę jednak, że mi pamiętał ten incydent, choć nigdy tego jawnie nie okazał.

A ja wciąż zapominałam o tej złotej zasadzie: „Mniej mówić, więcej słuchać”, wszak Pan Bóg dał nam dwoje uszu, a tylko jeden język.

Dyrektor Ryszard Pękala – wysoki, postawny mężczyzna o dobrotliwym wyglądzie, zwracał uwagę swoją godną posturą, chłodną elegancją i niewzruszoną powagą. Jego mądre oczy, ciepły głos, dystygnowane ruchy,

elokwencja krasomówcza, ale też zdystansowanie i opanowanie, od początku robiły na nas wrażenie. I chociaż – jak mówi muzułmańskie przysłowie: „Sama broda prorokiem nie czyni”, to jednak starannie przystrzyżona – dodawała mu dostojności i powagi. Stąd fraszka pt. „Dyrektor P”:

„Broda, uroda, ogłada -
Dostojnie liceum włada”.

A władać mu przyszło w czasach trudnych – w sytuacji rewolucyjnych przemian, które dotknęły także oświatę, w tym szkoły, gdzie m.in. wprowadzono tzw. program oszczędnościowy. Zaowocowało to np. zawieszeniem działalności kółek przedmiotowych. Ale w naszym liceum niektóre formy zajęć jednak kontynuowano; działał szkolny teatr, powstała drużyna harcerska im. Janka Bytnara, w ramach demokratyzacji szkoły ożywioną działalność prowadził Samorząd Szkolny, podejmując np. prace nad opracowaniem konstytucji szkoły. W 1992 roku dyrektor powołał Radę Szkoły, tworzone były też nowe profile klas.

Aneta Kwolek pisała, że „w roku szkolnym 1993/1994 powstały klasy: z autorskim programem nauczania muzyki, biologiczno-chemiczna z ukierunkowaniem medycznym, matematyczno-geograficzna z ukierunkowaniem menedżerskim, informatyczna z poszerzonymi programami nauczania języków obcych – tzw. klasa „0”. Wprowadzano nowe formy współpracy szkoły z uczelniami wyższymi, owocujące nie tylko organizowaniem wspólnych spotkań, ale też wprowadzeniem nowych form matur, połączonych z egzaminami wstępnymi na wyższe uczelnie. Ten kontakt z uczelniami zaowocował też spotkaniami z byłymi absolwentami liceum, którzy zostali naukowcami na wielu polskich wszechnicach.

Pamiętam, że za czasów dyrektorowania Ryszarda Pękali były też organizowane tzw. spotkania opłatkowe. Jedno z nich miało miejsce na plebanii kościoła św. Jadwigi z udziałem ówczesnego proboszcza, księdza Stanisława Fiołka. Inne odbywały się w szkole. Na jedno z nich przybył biskup Wiesław Lechowicz, były nauczyciel naszej szkoły [obecnie biskup polowy Wojska Polskiego]. Biskup Lechowicz serdecznie wspominał czasy dębickiego liceum i jako miłą pamiątkę pokazywał atlas geograficzny z dedykacją, подарowany mu przez kolegów-nauczycieli.

To spotkanie zaszczylił też proboszcz parafii św. Jadwigi – ksiądz Ryszard Piaseczki.

Zdarzył się wówczas drobny, ale śmieszny incydent. Tłumek uczestniczących na tym spotkaniu nauczycieli kłębił się, łamiąc się opłatkiem i składając sobie życzenia. Zaaferowana, natknęłam się na księdza proboszcza Piaseckiego i podstawiłam mu kawałek opłatka, gdy on szepnął: – Myśmy sobie już składali życzenia. Poznałem po kołnierzyku.

Rzeczywiście, miałam bluzeczkę z dość charakterystycznym kołnierzykiem, ozdobionym drobną koronką. Osłupiałam i już do końca spotkania czerwieniłam się ze wstydu za swoje roztrzepanie.

Gdy proboszcz razem ze swą „świtą” opuszczał salę, nagle wyszedł z grona asystujących mu osób, podszedł do mnie i cichutko – z taką iskierką w oku – jeszcze raz dowcipnie skomentował nasze spotkanie. Towarzyszący mu księża czekali. Również inni uczestnicy tego spotkania stali zdziwieni i ogromnie zaciekawieni, co tak ważnego dostojny gość miał akurat mnie do powiedzenia. Czułam się zażenowana i nie chciałam nikomu nic zdradzić.

Dyrektor Pękala zawsze emanował spokojem, łagodną dobroduszością, zawsze był opanowany, cierpliwy, zdystansowany, uprzedzająco grzeczny, o nienagannych manierach. Jednak pewien rodzaj jakby zawstyżenia czy niepewności w kontaktach z nami to były tylko pozory; tak naprawdę był stanowczy, konsekwentny, nawet uparty i nieustępliwy. Swoje wymagania stawiał jasno, choć ze stoickim spokojem.

Serdecznie wspominał go profesor Wojciech Szmajda, który rozpoczął pracę w naszym liceum jako nauczyciel przysposobienia obronnego w roku 2002: „Wyjątkowy człowiek. Urodzony pedagog i przełożony. Mało mówiący, niekiedy zbyt mało, ale jakże wyraziście. Każdy wiedział, co i kiedy ma robić”.

Dyrektor Pękala, niezwykle szarmancki wobec kobiet, rozmawiał z nami zawsze z uśmiechem i stoickim spokojem; nigdy się nie unosił, nie używał ostrych słów. Chociaż był milczkiem, to na konferencjach i szkolnych uroczystościach potrafił przemawiać interesująco, merytorycznie, pięknym, literackim językiem.

Przez lata dyrektorowania codziennie „drałował” piechotą do szkoły, a także na różne spotkania czy narady. Stąd druga fraszka pt. „Dyrektor P”:

„Pan dyrektor – broda siwa
I tak rzadko się odzywa.
Anioł przyodziany w spodnie!
Choć Jagiełłą rządzi godnie,
To na co mu taka fucha?
Nie stać go i na malucha”.

Ciekawym wydarzeniem w życiu naszej szkoły było zorganizowane przez dyrektora Pękale spotkanie z benedyktynem, publicystą i pisarzem – ojcem Leonem Knabitem. Ten „mnich tyniecki” – jak o sobie mówił – autor wielu artykułów prasowych, książek, pogadanek w telewizji, przyjaciel naszego papieża Jana Pawła II, cieszący się dużym autorytetem, miał wielki dar pięknego i ciekawego opowiadania. Z zapartym tchem słuchaliśmy, gdy mówił o tym, że miłość trzeba zacząć od siebie, ale mamy też kochać innych, że swoimi decyzjami wyrażamy nasz stosunek do drugiego człowieka, że mamy pielęgnować naszą wiarę i nadzieję. Uczył nas optymizmu i radości życia. Zapamiętaliśmy jego słowa: „Nie przypinajmy sobie łątki, że katolik to człowiek umartwiony, poszczący, smutny”. Sam był przykładem optymizmu i pogody ducha.

Ojciec Leon Knabit był też autorem powiedzenia, że „cymbał, co się po świecie przedyndał, mądrzejszy jest od tego, co nie widział niczego”. Ta myśl towarzyszyła nam przy organizowaniu zagranicznych wycieczek dla młodzieży. Wynikały one m.in. z programu zbliżania naszego kraju do innych krajów Europy w sytuacji naszego kandydowania do Unii Europejskiej i zawsze były dla nas i dla uczniów wspaniałą przygodą.

Ojciec Knabit porównał naszego dyrektora do Janusza Korczaka, dopatrując się podobieństwa w rysach i w jego stosunku do wychowania młodzieży. Wykorzystałam to określenie w „Peanie na część Dyrektora”, napisanym z okazji świętowania 100-lecia szkoły.

Wcześniej, bo na uroczystościach 95-lecia, celebrowaliśmy nadanie szkole sztandaru. Jest piękny. Można go oglądać w gablocie na korytarzu pierwszego piętra liceum. Uświetnia też ważne uroczystości szkolne.

Profesor Andrzej Mol wspominał: „Był to sztandar ufundowany przez absolwentów, ale trochę pieniędzy dopłacił dyrektor Pękala. Ten sztandar przekazaliśmy mu w czasie uroczystej mszy świętej, w czasie której nastąpiło poświęcenie, a on przekazał uczniom”.

Na pamiątkowym zdjęciu wykonanym w kościele św. Jadwigi, dyrektor Pękala przyklęka przed sztandarem. Drzewce trzyma profesor szkoły – Andrzej Mol. Obok asystuje ksiądz uczący ówczesnie w naszej szkole religii – Bogusław Czech.

Dyrektor Pękala przewodniczył uroczystościom 95-lecia i 100-lecia szkoły [później jeszcze 110-lecia i 115-lecia]. Na stulecie powstał – wspomniany wyżej – „Pean na cześć Dyrektora”, nawiązujący do poezji wieszczów:

„Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje pieśni podniosłej, wesołej,
Aby wyróżnić tu, z naszego grona
Tego, kto dzierży dziś ster naszej szkoły.
Postać to bowiem godna i sfinksowa;
Choć to absolwent nie jest nasz, niestety,
Anielską dobroć w swoim sercu chowa,
Duszę mu zdobią wszelakie zalety.
Sam mędrzec ojciec Leon orzekł kiedyś,
Że jest coś w Panu z Janusza Korczaka.
Pewnie powaga, która czoło zdobi,
Taki sam profil i dostojność taka.
Godność, szlachetność, oratorska swada
I innych tysiąc ozdabia Go zalet.
W stulecie szkoły mądrze szkołą włada.
Życzymy, żeby władał nami dalej.
Dyrektorze! Niech sława Twych czynów
Jak rwąca rzeka wokół się rozlewa.
„Niech ją anioł srebrnopióry w niebiosach,
A czuły słuchacz w swym sercu dośpiewa”.

Podczas dyrektorowania Ryszarda Pękali, dzięki jego zabiegom, poprawiła się baza materialna szkoły, powstały nowe pracownie; niektóre zostały zmodernizowane, odnowione, wyposażone w nowoczesny sprzęt, a w 2006 roku szkoła wzbogaciła się o piękną salę gimnastyczną.

Trzeba przyznać, że wszyscy kolejni dyrektorzy otrzymywali wielką pomoc w remontowaniu, unowocześnianiu i doposażaniu szkoły od dębickich zakładów pracy; przede wszystkim od Zakładów Opon Samochodowych „Stomil”, Wytwórni Urządzeń Chłodniczych czy Kombinatoru „Igloopol”.

Dyrektor Ryszard Pękala był też działaczem społecznym, a po odejściu z liceum pełnił wiele funkcji samorządowych w naszym mieście, m.in. był radnym miejskim czy przewodniczącym Rady Miasta.

A ową 100-letnią rocznicę powstania szkoły świętowaliśmy z wielką pompą. Uczciłam ją fraszką „Na jubileusz 100-lecia LO w Dębicy”:

„Pewne zacne Gimnazjum z Dębicy,
Wyrosłe na Słowackiego ulicy
Tradycją wciąż piękną obrasta,

Jest chlubą uczniów i miasta
Więc dzisiaj z radością czcimy
Jego – już setne – urodziny.”

Jak pisała Aneta Kwolek „Jubileusz stał się okazją do odnowienia kontaktów ze szkołą wybitnych jej wychowanków oraz osób, dla których ważne są losy naszego liceum”. Wielu z nich weszło do utworzonego z tej okazji Honorowego Komitetu Obchodów Jubileuszu.

Po opracowaniu planu, rozpoczęły się prace przygotowawcze. Cała społeczność szkolna żyła tą rocznicą, która była ważnym wydarzeniem nie tylko dla samego liceum, ale całego miasta.

„Obserwator Lokalny” pisał: „Ponad czterystu absolwentów dębickiego Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły wzięło udział 17 czerwca w Jubileuszowym Zjedzie”. Obchody rozpoczęły się w piątek 16 czerwca na Starym Cmentarzu, gdzie odbył się uroczysty Apel poświęcony zmarłym nauczycielom, wychowawcom i absolwentom. Sienkiewicz pisał o cmentarzach, że „są szkołą, do której wiodą pamięć i serce, wdzięczność i boleść, i miłość”. To piękne, że tam pospieszyli absolwenci, uczniowie i zaproszeni goście. A na tym cmentarzu mogli nauczycieli dębickiego gimnazjum i liceum jest wiele.

Dzień 17 czerwca był piękny, słoneczny. Gdy szliśmy pod sztandarami z budynku szkolnego do kościoła św. Jadwigi, wielu mieszkańców miasta przystawało i uśmiechało się z życzliwością, bo chyba w życiu prawie każdego z nich zapisały się jakieś wydarzenia związane z działalnością tej placówki. Honorowy gość tych uroczystości – biskup tarnowski Wiktor Skworec „w homilii mówił m.in. o naukach papieża Jana Pawła II, jakich udzielał podczas swoich pielgrzymek, o godności człowieka i jego powołaniu”.

Później były spotkania w klasach, wspomnienia, zdjęcia, wzruszenia i emocje. „Został rozstrzygnięty konkurs historyczny na temat patrona szkoły, króla Władysława Jagiełły, w którym równorzędne pierwsze miejsca zajęli Łukasz Łakomy i Michał Materowski [...]. Kulminacyjnym punktem obchodów była akademie w Domu Kultury „Mors”, na której zjawili się ponad tysiąc widzów. Aż tylu dawno tam nie widziano” [„Obserwator Lokalny”].

Po wielu przemówieniach, wspomnieniach absolwentów różnych roczników, pięknym programie artystycznym, przygotowanym przez młodzież, wystąpił zespół kabaretowy „Skra”, założony m.in. przez uczniów naszego liceum; ten, który pamiętałam jeszcze z czasów mojej nauki szkolnej.

„Obserwator Lokalny” pisał wówczas także, że: „dębickie liceum spotyka się z wielką życzliwością społeczeństwa, w tym z pomocą sponsorów. Prezes TDC Zdzisław Chabowski i współzałożyciel firmy „Jabo Marmi” Jacek Bokota otrzymali podczas akademii odznaczenia honorowe „Zasłużony dla Oświaty”. Troje pedagogów wyróżniono Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Otrzymali je: Jadwiga Pajkowska – wicedyrektor szkoły, Maria Marek – nauczyciel historii i Władysława Prokop – nauczyciel języka polskiego. Dyrektor Pękala otrzymał nagrodę podkarpackiego kuratora Władysława Rusina. Swoją nagrodę w formie stypendium ufundowało też Stowarzyszenie Wychowanków Liceum Ogólnokształcącego [...]. Będzie to coroczna nagroda przyznawana dla najzdolniejszego ucznia. W tym roku z rąk prezesa Stowarzyszenia – Jerzego Niemczyka otrzymała ją Karolina Duś, maturzystka, której średnia na świadectwie wynosiła 5,5.

Wśród listów gratulacyjnych, które nadeszły na adres szkoły, zwraca uwagę ten od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego oraz od wicepremiera i ministra gospodarki Janusza Steinhoffa, który napisał m.in. „Uroczystość Jubileuszu jest dla mnie tym bliższa, iż z bogatą historią Liceum związana jest również moja rodzina, wielu moich kolegów i przyjaciół”.

A ja jeszcze dziś z nostalgią wracam do tamtych lat, przywołując miłe sercu wspomnienia, także te, dotyczące moich wszystkich szefów.

Powoli dogasa jesień. Jeszcze wczoraj ciepły blask słońca wyłączał grzbiety poddębickich lasów mieniących się kolorami nad horyzontem, więc „odmierzałam czas liści kolorami” i cieszyłam się czystym powietrzem przesyconym aromatami jesieni, a dziś przygaszone niebo ciemniej coraz bardziej, a „deszcz deszczy deszczem, że tylko siadłszy, płacz”.

Mgła wisi nisko nad ulicami [oczywiście „jak strzecha ze słomy nad ubogą Liwina chatą”!], ostatnie barwne kwiaty georginii, napęczniałe od deszczu, smętnie umierają w przydomowym ogródku, policzki chłoszcze zimny wiatr, a parasol bezradnie wywija się do góry, szczerząc połamane druty.

Do pokoju wkrada się łagodna szarość zmierzchu, nocne powietrze pachnie mokrą ziemią, trawą, melancholią. Chłonę tę niezmaconą ciszę wieczoru, która koi i usypia.

Przez tyle lat, zanim odpłynęłam w magiczną krainę snu, musiałam zasiadać do poprawiania zadań. To był naprawdę ciężki kawałek chleba.

Jerzy Żuławski, który przez pewien okres parał się belfrowaniem, pisał do przyjaciela: „Co do pracy nauczycielskiej, to muszę przyznać, że męczy mnie ona bardzo [...]. Gdy poprawię 60 zadań polskich, okropnym języ-

kiem i stylem napisanych, nie jestem w stanie wziąć się do żadnej pracy literackiej, bo sam zapominam dobrze po polsku mówić”.

Spoglądałam na wieczorne niebo, tak podobne do tego, które obserwowałam przez lata. Żadnych wymówek – myślałam. Przede mną spory stosik zadań. Dam radę, „dopóki księżyc lirycznym jest tłem” [Jonasz Kofta] i dopóki wciąż bawi mnie „humor z zeszytów szkolnych”. Czytałam więc:

„Losy Konrada Wallenroda śpiewa Alpuhar.

Wraz ze wzrostem fizycznym wzrastała jego świadomość.

Chłop tracił zdrowie przy u s c i s k u przez pana.

Kraj d z i ę k i zgubnej polityce panów chylił się ku upadkowi.

Człowiek drżałby i t e l e p a ł, gdyby ujrzał ducha na żywo.

Przy czytaniu „Siłaczki” zrodziło mi się uczucie współczucia.

Teresa była córką ojca.

Wypiański chłopom nie p o p u s c i ł.

Co do pozostałych utworów Żeromskiego, to nie warto, a właściwie nie mam już czasu streścić, ale niektóre z nich były lepsze lub gorsze, miały wartość większą, lub mniejszą.

Wypiański uwielbiał bezlitośnie opisywać ważne wydarzenia, które w rzeczywistości nie miały wcale miejsca.

Miłosz pisał: „który s k r z y w i ł e ś człowieka prostego”

Chłoptwo w „Weselu” to ś l e p o t a niezdolna do samodzielnego działania.

Współorganizatorem Staszica był Kollątaj.

Chłop był i s t o t ą własną szlachcica.

Pasek brał l i c z n y udział w wojnach.

Staszic ukazał nędzne życie chłopów śpiąc wraz z dobytkiem.

Mickiewicz pisał, podczas gdy męczono naród polski.

Maryla wołała hrabiego Puttkamera niż takiego młodego s k r a b a c h ę [czyli Mickiewicza].

Chociaż Mikołaj Rej to ojciec literatury, to o j c o s t w o Kochanowskiego jest znacznie większe.

Reymont ukazał chłopów nie tylko na co dzień, przy kopaniu ziemniaków, sianokosów, wycinaniu kapusty, ale również w dniu świątecznym – przy zabawie i r o z p u s c i e.

„TA NASZA MŁODOŚĆ...”

„Ta nasza młodość, ten piękny czas,
Ta para skrzydeł, zwiniętych w nas...”
[Tadeusz Śliwiak]

Zimowa noc sprzyjała głębokim snom, a ranki budziły się późne, leniwe, szare, mroźne. Bezдушny dzwonek budzika wyprzedzał najpilniejszego koguta. „Jak dobrze wstać skoro świt, jutrzeńki blask duszkiem pić...”

No, gdzież tam! Pod powiekami jeszcze snują się strzępy ciepłych snów, a świadomość znajduje się w stanie nieokreślonego zawieszenia.

Jan Paweł II – trawestując znane przysłowie, mówiące, że „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje” – powiedział żartobliwie: „Kto rano wstaje, temu się cały dzień chce spać”. I miał – oczywiście – rację! Bo okrucieństwem była konieczność zrywania się jeszcze przed świtem, by zdążyć na ósmą do szkoły, gdy czekało nas około 10 kilometrów do przebrnięcia w śniegu, mrozie i wietrze.

Mieszkaliśmy zazwyczaj na stancjach. Ale po niedzieli, na którą wracaliśmy do domu, trzeba było – dźwigając jakieś wiktuały przygotowane przez zatroskane mamy, ubrania na zmianę i oczywiście książki, z których mieliśmy się uczyć, choć przeleżały zapomniane gdzieś w kącie – wrócić na kolejny tydzień do Dębicy. Za każdym razem wszystko się w nas buntowało. I tak strasznie zazdrościliśmy tym kolegom, którzy mieli szczęście urodzić się niedaleko szkoły. „Nie ma jak u mamy ciepły piec, cichy kąt...”

Wychodziliśmy gromadką jeszcze przed świtem. Mijaliśmy dość monotony krajobraz utopiony w bieli: niskie domki w karłowatych sadkach,

nieskazitelnie białe pola, pokryte lukrem śniegu, po których pędziły tumany śnieżnego puchu, nagie drzewa przydrożne, chylące swe konary pod naporem wiatru, gwiżdżącego jakąś szaloną, mroźną melodię, rozpoznając gdzieś daleko rzadkie, nadwisłocznе zarośla, nad którymi dopiero niebo zaczęło błędnąć, wreszcie – daleko na horyzoncie – wyłaniające się z mlecznobiałej mgły, również pokryte bielą, łagodne wzgórza.

Droga była bardzo uciążliwa i wyczerpująca. Lodowate powietrze wdzierало się pod nasze paletka, ziębiło nasze ręce, nosy, policzki i nogi. Na wełnianych szalikach, którymi okutaliśmy głowy, osiadała wilgoć naszych oddechów. Ciężyły niesione torby, wlokły się kolejne minuty; dopiero pojawiała się z mgły dawna szkoła podstawowa, tzw. „Zenówka” na początku naszej wioski, a już trudno iść! Uff!, „Kiedy znów zakwitną białe bzy? ...

Tak szybko minęły świąteczne ferie, gdy można było odpoczywać w ciepłym domu. Dom to był nasz świat – oswojony, znany, ciepły. To było lekarstwo na młodzieńcze zmartwienia, na rozpacz, na ból, na beznadzieję, na złe oceny i na nieszcześliwą miłość. To był azyl, gdzie wszystko było na swoim miejscu, tak, jak być powinno, by czuć się bezpiecznie i by nasze życie nie zmieniło się w chaos. To była przystań, gdzie królowała matczyna troskliwość, gdzie jej opiekuńcze ramiona odgradzały nas od niebezpieczeństw i ratowały przed rozpaczą. Gdzie witały nas uśmiechy i radość najbliższych. Chcieli nas ochronić przed złem, mieć blisko, bo – jak ktoś powiedział – „statki są bezpieczne w porcie. Ale przecież nie po to buduje się statki!”

„pod moim domem
malwy w ogrodzie
strzegą spokoju
jego bram
i drzwi otwarte

tu dla każdego...” – pisał pięknie Janusz Pyziński w wierszu „Nad moją ziemią”.

W domu rodzinnym „święte były święta i święte były obiady”, tu pielęgnowane były rodzinne tradycje i zagnieżdżone od lat rytuały.

Minęło Boże Narodzenie: magiczny okres zielonych drzewek pachnących żywicą i lasem, lukrowanymi pierniczkami i wanilią, okres „złota i czerwieni, czas kartek świątecznych, tajemnicy i zapachów” – upleciony z radości i wzruszeń. Najpierw Wigilia – czas wybaczenia, miłości i na-

dziei; wszak „póki opłatek dzielony, oczy łąą ciepła nam szkli, świat jeszcze nie jest stracony, świat nie do końca jest zły.”

Choinka pachniała lasem, iskrzyła się światełkami świeczek i kolorowymi bańkami, w których można było oglądać nasze twarze – wypukłe, zdeformowane, pobudzające do śmiechu. W ciepłe przytulnej izby unosiły się słodkie dźwięki kolęd i wysokie tony saksofonu. Ozywały się w owych starych kolędach echa ludowych melodii: polonezów „W żłobie leży...”, „Bóg się rodzi”, czy kujawiaczka „Jezus malusieńki”. Za oknem skrzypiący mróz, zawodził wiatr w kominie. Wszystko wokół zasypane bielutkim śniegiem – ciche i tajemnicze. Znów można było być dzieckiem.

Ktoś powiedział, że cały problem ze świętami sprowadza się do tego, iż człowiek staje się dorosły. I wtedy już nie ma magii. Ale my wciąż ją czuliśmy...

Bniemy przez śnieżne zasy. Przed nami zastygły pejzaż tonący w biele. Dopiero kapliczka przy młynie w Woli Żyrakowskiej, dopiero dwór w Żyrakowie otoczony starym parkiem pełnym nagich, wiekowych drzew, nad którymi kołują stada czarnych wron. Ich głosy niepokoją; ochryple, wrzaskliwe, brzydkie. Dopiero cegielnia Darłaka z charakterystycznym wysokim kominem, górującym nad okolicą, most na Wisłocę i wreszcie widoczne z oddali wojskowe koszary, w których zawsze panował duży ruch, a po przeciwnej stronie ulicy jednorodzinne, murowane domy. W jednym z nich mieszka Ewa – moja koleżanka z ławki. Nad kominami domów widać ciepłe dymy płożące się po dachach.

Wreszcie stajemy „u wrót miasta”, czyli – mówiąc słowami profesorki Oleńskiej – „ante Portas”, nad którym wisi zimne niebo. Wokół świat wciąż jest spowity szarością, chociaż już trochę poróżniewał od porannych zór.

Mijamy żołnierza pełniącego wartę przy głównej bramie koszar. Stoi wyprostowany, jakby nie czuł zimnego wiatru i mrozu, który tak nam dokucza. Przechodzimy pod ponurym, ciemnym tunelem kolejowym i wchodzimy w wąską, zaniedbaną uliczkę wiodącą do rynku, noszącą ślady końskich podków. Jest całkiem pusta, ale w środowe dnie wypełnia się furmankami, które przybywają do miasta na targ. Obok wozów rozmawiają chłopcy pilnujący koni, które drobią w miejscu z pyskami zanurzonymi w workach z pożywnym obrokiem.

Miasto dopiero się budzi. Nieliczni przechodnie przemykają szybko do swych zajęć. Strzępy wilgotnej, zimnej mgły oblepiają budynki o lizajowatych ścianach, pełnych pęknięć i blizn, otulają drzewa i ogrody. Z rynku rozdzielamy się do różnych szkół: do „mechanika”, do „handlówki” i do „ogólniaka”.

Gmach liceum, widoczny w głębi ulicy Słowackiego, wygląda dość ponuro, groźnie, a swym dostojnictwem budzi respekt. Jeszcze kilka kroków. Wreszcie zgrabiałymi rękami otwieramy ciężkie drzwi. Przemarznięci, ledwo żywi ze zmęczenia, docieramy do swoich klas.

„Spoza gór i rzek,
Tu-m po wiedzę szedł.
Potęga wyrośnie z nas.
– No, no pokaże czas!”

Tu otwierał się przed nami inny świat. Z odmętów pamięci wyłaniają się tamte chwile. Pachnąc wiatrem i mrozem, z płonącymi policzkami ogrzewam skostniałe dłonie o ciepły piec kaflowy stojący w rogu klasy, przybliżam się zbyt blisko do gorących drzwiczek i nagle czuję okropny swąd. Odsuwam się więc przerażona, a mój sfatygowany chałat z granatowego materiału świeci na pupie rudą, wypaloną plamą. Prążkowe pończochy wciąż skrywają drobinki nabitego w bawełnę śniegu, a wyziębione nogi do ostatniej lekcji nie wysychają na dobre. Lekcje „ciągną się jak makaron...”

Koleżanki mnie pocieszają. Lubimy się i wspieramy. Tyle już czasu jesteśmy razem!

Wracam myślami do pierwszych chwil pobytu w tej szkole. Będzie to łowienie dawnych ech, zapomnianych przeżyć, umarłych chwil, gdy przeszłość była teraźniejszością, tamtych zapachów i barw, czasu, który wydaje się jakimś odległym, dziwnym snem. A jednak był realny, namacalny, często bolesny. Ów czas powraca – zlepiany ze wspomnień młodości, wydobywany ze zdjęć w staroświeckich ramkach, ze strzępków różnych zapisków na marginesach naszych książek, z fragmentów cudem ocalonych pamiętników, z opowieści bliskich nam osób, z różnych napomknień i z meandrów naszej pamięci, która powoli zaciera dawne ślady.

Wojciech Kawiński w wierszu „Noc zimowa” pisał:

„pamięć jest także więzieniem
nigdy nie zdradzi, nie zezna tego
czego nie było, karmi nas
wspomnień resztkami”.

Jest przełom lat 50. i 60. Liceum w owym czasie było placówką świetnie zorganizowaną i mądrze kierowaną przez kompetentnego dyrekto-

ra Wiktora Pietrzykowskiego, dbającego o poziom nauczania i właściwą dyscyplinę. Jego działania sprzyjały umacnianiu pozycji szkoły jako ważnej placówki kulturalnej miasta, kształcącej przyszłe elity i cieszącej się wielką renomą.

Byliśmy pokoleniem „pokolumbowym”, urodzonym na granicy wojny i pokoju. W większości dorastaliśmy w wioseczkach oddalonych od wielkiego świata. A chociaż już wynaleziono komputer [na razie wielki jak lekcyjna sala!], energię atomową, lodówki, pralki i inne nowoczesne urządzenia, to nasza codzienność wciąż była szara i prozaiczna. Nie było jeszcze kolorowej telewizji, długo jeszcze nie mogliśmy korzystać z telefonów komórkowych, laptopów, kart kredytowych, bankomatów, zdalnie otwieranych samochodów.

Manuela Kalicka pisała: „Świat wówczas był groźny, nieprzewidywalny, niebezpieczny, ale też niosący w sobie jakąś obietnicę. Ludzie milczeli, nie gadali. To, czego się nauczyli w czasie wojny: nieufność, ostrożność i strach – dalej szło za nimi. Wielu czekało. Na zmianę. Jaką i skąd miałyby ona nadejść, nie wiedziano. Wolność wyczekiwana, wyśniona, wymodlona, nie przyniosła radości. Była jakaś skażona i zatruta. Ale była. Jakaś. To pozwalało żyć. Nadzieja, że jednak wreszcie kiedyś tam wszystko zmieni się na lepsze, że tylko tak, na początku”...

Rodzice wierzyli, że dorastamy do tego lepszego świata. I chcieli nas kształcić. A my, z ufnością i wiarą cechującą ludzi młodych, uczyliśmy się słów Zygmunta Krasińskiego, że „młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały” i śpiewaliśmy: „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata”, bo nie chcieliśmy wracać do sytuacji z naszego dzieciństwa – trudnego i biednego. Byliśmy pełni zapału i nadziei, bo „młodość nie wierzy, że coś złego może się przydarzyć”, a wykształcenie było taką nicią Ariadny, o której czytaliśmy w precudnej „Mitologii” Jana Parandowskiego, która miała nas prowadzić przez labirynt życia.

Ostatnie dni beztroskich wakacji. Jeszcze poranki pachnące apetycznie śliwkowym powidłem, jeszcze południa dyszące upałem, spalona słońcem trawa, jeszcze „niebo skąpi suchej ziemi kropli deszczu”, jeszcze ogniskami znaczone wieczory, ale już w nocy myśli galopujące, wyobrażenia niepokojące i sny zmacone: – Jak będzie w tej nowej szkole? Groźne opowieści i ostrzeżenia starszych kolegów:

„Masz poparcie,
Czy na pożarcie”?

Spoglądałam na niebo pełne sierpniowych gwiazd. Jakie tajemnice przechowują? Jaką kryją przyszłość? Od tysięcy lat ludzie spoglądali na gwiazdy, doszukiwali się w ich położeniu jakichś znaczeń, a teraz ja „gwiazd szukam, przewodniczek łodzi”...

Jan Wiktor wspominał matkę, żegnającą go przed wyjazdem do dębickiego gimnazjum:

„O, tam w drzwiach stoi matka w sukience, bosa. Widać chustkę na głowie, twarz w ognjach. Jakby odmłodzona [...]”.

Oj, synu, oj, synu! Ino się ucz, bo to twój chlib na całe życie.

Syn zostawił matkę płaczącą”.

Nasze pożegnania z czasem – który Paweł Kudroń [absolwent z 1989 roku] nazwał „jesienią dzieciństwa i zaraniem dojrzałości” – nie były aż tak dramatyczne. Były to raczej rozterki dotyczące wyboru szkoły i niepokoje związane z naszymi umiejętnościami i możliwościami, lęk przed nieznanym, zmieszany z ciekawością. Wyrywaliśmy się w świat utkany z marzeń i fantazji, choć zafrasowani, pełni niepewności i lęków.

O tym, jak poważna to była decyzja, mówił profesor Stanisław Waltoś w czasie uroczystości 110-lecia naszego liceum: „Wybór szkoły średniej jest niezwykle ważnym krokiem dla każdego człowieka, bo ta otwiera jego drogę życiową i decyduje o dalszym losie. Tuż przed jej zakończeniem, podejmuje się decyzję o wyborze studiów. A przecież te paradoksalnie wybiera się w oparciu o to, jaką wiedzę zdobyło się w szkole średniej”.

Dotyk pamięci ożywia ten dzień, gdy samotna, ze spuszczoną głową, w której kotłowało się tysiące trwożnych pytań i ze ściśniętym gardłem szłam między zupełnie obcych sobie ludzi – tak jak ja niepewnych i zagubionych. „Co nam napisane, co przepowiedziane, kto wrogiem będzie, kto przyjacielem...?”

Przywiodła nas tu niejedna droga. Towarzyszyły nam poczucie dumy, ciekawość i lęk. Czy przywyknijemy do nieznanego nam miejsca, czy znajdziemy przyjaciół, czy podołamy trudom nauki?

Pamiętam jedwabiste powietrze tamtego poranka, wrześniowy dzień przesycony światłem, surowe piękno jesiennego czasu. Przez otwarte na oścież drzwi miejski gwar wlewał się do środka szkolnego gmachu. Onieśmieleni jego wielkością, monumentalnymi schodami, długimi korytarzami z dużą ilością zamkniętych drzwi i dostojnymi minami przechodzących profesorów, czekaliśmy, rozglądając się niepewnie jak spłoszone ptaki.

A owi profesorzy zachowywali się z wielką rezerwą i z dystansem, co oczywiście zapewniało im prestiż należny „ciału pedagogicznemu” sza-

cownego liceum. Ich twarze, jakby wyrzeźbione z kamienia, budziły respekt i lęk.

Pamiętam, że gdy przechodziła profesorka Olga Sidorowicz, zapamiętana z egzaminów wstępnych, owionął nas delikatny zapach eleganckich perfum...

Jakże inaczej dziś spoglądam na te same mury, to samo niebo, to samo słońce. Ale nagle – jakaś książka, film, obraz, czyjeś wspomnienie czy wiersz sprawiają, że odnajduję czarodziejski klucz do tamtego świata.

Klasy – pachnące jeszcze latem, wysłonecznione, czyste, pełne radoznego rozgwaru, ale też niepokojów, skrywanych lęków i nieśmiały nadziei. „Pierwszaki” uroczyste, podekscytowane, a także trochę wystraszone oczekują z niepokojem na to, co się za chwilę wydarzy. Ale – jak wspominał bobrowianin Antoni Baran – „nikt nie miał czasu na rozczulanie się nad nowo przyjętymi. Tymczasem nowo przyjęci, szczególnie ci spoza miasta, trochę się obawiali nowej szkoły i nowego środowiska. Mieli dopiero po 13, 14 lat. Uległem również tym obawom i lękom”.

W tej surowej atmosferze obcości czekaliśmy na jakieś ciepłe słowo „łamiące lody, rozmiękczające twardość szkolnych murów – ośmielające mimo swej niewzruszoności” – wspominał Marian Morawczyński. Nic takiego się nie zdarzyło.

Na początek ma być lekcja łaciny z profesorką Heleną Oleńską. Jaka ona jest? Większość z nas nie zna tu nikogo. Uroczysty, donośny dźwięk dzwonka i zaraz otwierają się drzwi:

– Wielgus! Tarnopolski!

To właśnie profesorka Oleńska, nie czekając na nasze chóralne: dzień dobry, krzykiem ucisza chichoczące koleżanki, które zasiadły odważnie w pierwszej ławce. Czują się tu świetnie, bo tu uczęszczały do starszych klas, utworzonej niedawno szkoły TPD.

A ja? Beznadziejnie naiwna, pełna wątpliwości, wystraszona – milczę. Wokół mnie – jakby to powiedziała profesorka Oleńska – „terra incognita” – ziemia nieznana. Przyjazne wydają się tylko ławki pełne blizn, noszące ślady uczniowskich cyrklów żłobiących napisy, które są niemym łącznikiem pokoleń. Tu matematyczny wzór; pewnie trudny dla jakiegoś chłopaka czy dziewczyny do zapamiętania, tu koślawe serce z literami BK – pewnie imionami zakochanych, obok brzydki wyraz na „d”. Tak rozpoczynam nowy etap życia. Każdy dzień był nowym doświadczeniem.

Eugeniusz Jasiński [absolwent z 1955 roku] wspominał: „Dla młodego chłopaka rozpoczęcie nauki w szkole średniej było dużym wyzwaniem.

Zmiana środowiska i zupełnie nieznani nauczyciele – to wszystko stwarzało niepewność, czy dam radę pokonać trudności”.

Potwierdzał te niepokoje Antoni Baran: „Pierwszy rok nauki był bardzo trudny. Inny, nowy dla mnie sposób nauczania i prowadzenia lekcji. Nauki także znacznie więcej niż w szkole podstawowej. Znacznie więcej przedmiotów. Poza tym, bałem się, nie wiem dlaczego, kilku nauczycieli. Dopiero pod koniec I klasy złapałem właściwy rytm nauki i zdomowałem się w szkole oraz zaprzyjaźniłem z kolegami. Okazało się, że strach ma wielkie oczy. Mieliliśmy szczęście trafić na wspaniałych wychowawców, wyśmienitych nauczycieli i troskliwych opiekunów”.

Powoli i my oswajaliśmy to nasze nowe miejsce, staraliśmy się zakotwiczyć tu swoje serca, poznawaliśmy kolegów i nauczycieli, uczyliśmy się przyjaźni, zdobywaliśmy szlify uczniowskie, odnajdowaliśmy radość i satysfakcję z różnych osiągnięć i marzyliśmy; wszak marzenia są za darmo.

Absolwent 1975 roku – Ryszard Pazdan wspominał: „To jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu”. Tak twierdzi wielu absolwentów.

Zdających wraz ze mną do liceum było bardzo dużo, ale już po egzaminach, a potem po kilku tygodniach czy też miesiącach pobytu w szkole – odpadało wielu; zwłaszcza pochodzących ze wsi, gdzie poziom nauki nie był zbyt wysoki.

Pisała o tym Aneta Kwolek: „Częste było – zwłaszcza w klasach młodszych – zjawisko opuszczania szkoły, przerywania nauki. Szczególnie duży odsetek odchodzących ze szkoły przypadało na klasy pierwsze”. I chociaż to stwierdzenie dotyczyło początkowych lat istnienia gimnazjum, to i za moich licealnych czasów nie straciło na aktualności.

Każdy z nas wiedział, że należało za wszelką cenę przetrwać najtrudniejsze pierwsze miesiące, by w listopadzie, kiedy kończył się pierwszy okres nauki, nie mieć zbyt wielu ocen niedostatecznych. Ale najczęściej było, jak w tej fraszce:

„Upływa szybko życie –
Coraz więcej dwój w zeszycie”.

A my jacyś niezdarni, niedostosowani, niewytrwali, wystraszeni... Wprawdzie wszyscy wokół powtarzali, że uzyskanie matury to klucz do przyszłości, że bez niej ani rusz, ale trudności adaptacyjne uczniów, skomplikowany dojazd, zbyt wysokie wymagania sprawiały, że już w pierwszych miesiącach nauki „wykruszyło się” i z mojej klasy kilkoro uczniów. Kilku

też opuściło szkołę po ukończeniu pierwszej klasy. Uznali, że mimo szczerych chęci i usilnego „wkuwania”, nie mają szans na wyrównanie braków i ukończenie szkoły, więc wracali „na tarczy” do swoich domów; pełni goręczy i niespełnionych nadziei.

Wspominał o tym Antoni Baran: „Po pierwszym roku wielu uczniów rezygnowało z dalszej nauki. Z wielu również zrezygnowała szkoła. Niektórzy nie mogli przystosować się do wymagań, inni musieli już podjąć pracę, inni jeszcze nie wytrzymali codziennych wędrówek, a na stację nie było stać ich rodziców.”

Każdy z nauczycieli uważał, że jego przedmiot jest najważniejszy, każdy zadawał jak najwięcej, bo chciał jak najwięcej nauczyć, często nie licząc się z realiami i ograniczeniami młodych ludzi. Ów „wszystkoizm” był ponad siły wielu, często uzdolnionych w jakimś jednym kierunku licealistów.

Zdarzało się też, że uczniów wyrzucano ze szkoły za zbyt dużą absencję. Nie tolerowano byle jakich usprawiedliwień, wzywano rodziców, grożono delikwentowi, wreszcie skreślano go z katalogu. Te rygory stawały się jednak z czasem coraz łagodniejsze, a młodzi ludzie – coraz bardziej pomyślowi w wymyślaniu powodów swych nieobecności. Największa absencja bywała w dniu trudnych klasówek, a rodzice z zapalem tłumaczyli swoje pociechy. Pojawiły się wagary; nawet kilkudniowe.

Pamiętam. Jedna z moich uczennic namówiła kolegę, żeby ten – udając jej ojca – usprawiedliwił telefonicznie jej nieobecność. Bardzo zdziwił mnie głos owego „ojca” – jakiś taki niedojrzały, niemęski, załękniiony. Szybko zwerifikowałam to usprawiedliwienie. Okazało się, że rodzice Ewki byli przekonani, iż córka codziennie chodzi do szkoły, a ona wagarowała, że hej!

Pamiętam też, że uczniowie wielu klas masowo nie przychodzili do szkoły w ostatnie dni roku szkolnego, gdy byli już sklasyfikowani. Pewnego razu, dyrektor Galas ogromnie tym zdenerwowany, zabronił wydania im świadectw i zażądał obecności rodziców. To było skuteczną karą i przestrogą. Ale choć przez cały okres naszej pracy walczyliśmy z wszelkimi sposobami „bumelowania”, nie udało się tego nigdy całkowicie uniknąć. A ten, kto nigdy nie był na wagarach, był ośmieszany przez kolegów i uznawany za tchórza.

Uczniowie, którzy musieli z różnych powodów zrezygnować z naszej szkoły, najczęściej przechodzili do szkół zawodowych lub do prywatnych warsztatów rzemieślniczych na przyuczenie zawodu, albo pozostawali w domach, by pracować w gospodarstwach rolnych rodziców. Byli też tacy, którzy upatrywali szansy na zdobycie zawodu w czasie obowiązkowej służby wojskowej, czy – po skończeniu 18 lat – podejmowali jakąkolwiek pracę

fizyczną, pozwalającą na szybkie usamodzielnienie się. Niektórzy rezygnowali z nauki w liceum nawet w starszych klasach, dużo też młodych ludzi nie otrzymywało promocji.

Julian Roztoczyński pisał: „Klasie gimnazjalnej, do której chodziłem [lata dwudzieste XX wieku] towarzyszył niezwykle duży odsiew. W klasie pierwszej było nas dwa oddziały liczące po trzydziestu uczniów [...]. W klasie czwartej zredukowano nas do jednego oddziału [...]. Przystąpiło nas do matury dwudziestu dwóch i trzy koleżanki”.

Także Jan Szymaszek wspominał, że „w ostatnim roku pobytu w szkole [lata trzydzieste XX wieku] nastąpiło połączenie obydwu oddziałów, tak, że uczniowie z klas: A i B znaleźli się w jednej klasie.

Liczba uczniów mojego rocznika też tak się skurczyła, że z trzech klas utworzono po drugim roku dwa. Choć na początku mojej edukacji licealnej klasy liczyły po ok. 40 uczniów, to maturę zdało tylko 97 abiturientów. Również kalendarz szkolny z roku szkolnego 1968/1969 informował, że w pierwszym okresie na 159 uczniów klas pierwszych tylko 111 było bez ocen niedostatecznych.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie!”

Ci jednak uczniowie, którzy dotarli szczęśliwie do końca edukacji gimnazjalnej czy licealnej, dziś z radością i rozrzewnieniem wspominają tamten czas. Stąd z okazji 100-lecia liceum powstała fraszka „Nasze powroty”:

„Kiedyśmy do tej szkoły chodzili,
Wciąż narzekaliśmy i psioczyli.
Więc co nas skłania dziś do powrotu?
To stąd wzięliśmy skrzydła do lotu”.

Pamiętam. Jest późna jesień. Mokre ulice, wokół rynku stare kamienice o spłowiałym kolorze musztardy – pełne brudnych liszajów, zacieków i głębokich rys, krzywe schodki, mętne szyby okien, niebo nabrzmiałe od ciężkich chmur, czarne wrony kraczące w czubkach ogołoconych z liści drzew. Zbliżają się szarugi, zimne deszcze, gęste mgły, szare dnie wpłątane w szelest spadających liści, snują się jesienne zadumy i listopadowe melancholie.

Wracamy ze szkoły do naszych tymczasowych domów, usadowionych najczęściej przy bocznych uliczkach, na obrzeżach miasta. W błotnistym gruncie odciskają się ślady naszych podeszew, mokra breja płaska pod butami.

Wielu z nas niesie pokiereszowaną, pełną bolesnych ukłuc duszę. Bo choć jako zespół klasowy stanowimy zgraną grupę dziewcząt i chłopców, choć naj-

częściej spotykamy się z serdecznością i zrozumieniem, to przecież zdarzają się uszczypliwe komentarze wobec tych ze wsi, jakaś kpina z niemodnego ubioru, gwarowego powiedzenia czy nieznajomości różnych rzeczy.

Miejscowi uczniowie zazwyczaj przeważali obyciem, doświadczeniem, bogactwem. A bieda zawstydziała i deprymowała. Trudne do zabliźnienia wzgardliwe słowo to wprawdzie „nie strzała, a głębiej zranić może”. Tak bywało zawsze. Dyrektor szkoły Edmund Galas pisał o początkach szkoły: „W tej małej mieścinie synowie chłopscy czuli się nieco lepiej niż gdzie indziej, ale i tu nie szczędzono im przykrości i upokorzeń”.

Pamiętam. Kolega przyszedł na lekcję z wypisanym na czole czerwoną farbą obraźliwym przewiskiem. Profesor Piotr Rybka, który był naszym wychowawcą, polecił mu zmyć napis, a gdy ten wyszedł do ubikacji, strasznie nakrzyczał na jego kolegów – współlokatorów. Pamiętam też jedną z dziewcząt mieszkającą bliźniutko szkoły, w kamienicy przy rynku; dorodną, hożą, zadufaną w sobie, krzykliwą, lekceważącą nas – wieśniaków. „Mówiła: „Gęś łabędzi nie dopędzi” i odchodziła zamiatając powietrze grubym warkoczem. Okazało się jednak wkrótce, że choć była piękna, nie wyróżniała się niczym wyjątkowym; pusta lalka, jak puste w środku jajko Faberge – „więcej dźwięku niż wdzięku”...

Pogardliwe spojrzenia i kpiny bolały najbardziej. Miękki koc, gorąca herbata i przytulna poduszka przywoływały sen, który leczył tamte rany. Choć – jak mówił Antoni Słonimski – „za każdą chwilę dobrą musieliśmy przeżyć trzy chwile niedobre”, bo los nie bywa sprawiedliwy i niczego nie rozdziela według zasług czy chcień. Na szczęście różnice między uczniami szybko się zacierały i już wkrótce byliśmy fajnym, zgranym zespołem. Tak było i w innych rocznikach.

Janusz Mrocza [matura -1971rok] wspominał: „Uczniowie mojej klasy pochodzili z różnych grup społecznych. Były tu dzieci inteligencji, robotników, chłopów. Uczniowie ci reprezentowali rodziny bardzo różniące się stopniem zamożności i warunkami, w jakich w młodości byli wychowywani i dorastali. Pomimo to, szybko zawiązały się różnego rodzaju przyjaźnie, stąd też zasady demokratycznej równości nie występowały w naszej klasie tylko w postaci formalnej”.

Swoją klasę wspominam z sentymentem. Tak, jak Jan Wiktor w „Prześwietlonych wspomnieniach” staram się przypomnieć nazwiska, imiona, „przylepić przezwisko”.

Jak w każdej grupie, byli wśród nas ludzie ambitni i lenie, brylujący w towarzystwie i nudziarze, realiści i marzyciele, zarozumiali i skromni, barwne

ptaki i szare myszki, piękności i przeciętniacy, wrażliwcy i szpanerzy. Najwięcej było zwyczajnych, pracowitych, serdecznych, fajnych młodych ludzi. Z wieloma się zaprzyjaźniłam. Pragnę tu przypomnieć choćby kilka, tych najbliższych: Irkę Dziurgot – prześliczną i zgrabną, Ewę Gosiewską – żyjącą w świecie sztuki, Marysię Kalitę – niezwykle energiczną i pomysłową, ruchliwą jak żywe srebro, zaradną i „usportowioną”, Krysię Kocoł – spokojniutką, wrażliwą, tak bardzo podatną na zranienia, Ewę Lipińską – choć z hardą miną, ale delikatną, zwiewną, rezolutną, z którą ciągle „pytlowaliśmy jak najęte”, Marysię Panek – klasową piękność, trzpiotkę, której perlisty śmiech brzmiał niby srebrny dzwoneczek na wietrze, niezwykle ambitną, wprost zachłanną na wiedzę Zosię Sak – zawsze przygotowaną na sto jeden procent i recytującą z szybkością karabinu maszynowego zarówno łacińskie słówka, jak chemiczne wzory, Tolę Skibińską – powolną, rozmarzoną, czasem uroczo kapryśną, smakującą życie, Adę Szelę – zawsze roześmianą, przyjazną, o żywiołowej naturze, Zosię Walach, której „oczy jak dwa błękity”, Zosię Węglowską – chyba najpoważniejszą i najrozsądniejszą z nas, Halinę Wróbel – spokojniutką i grzeczniutką moją imienniczkę. Wiele z nich wyjechało gdzieś daleko, nie wiadomo dokąd.

„Gdzie dziewczęta z tamtych lat? Czas zatarł ślad...” Tylko niektóre czasami jeszcze spotykam. Ale pamiętam całą naszą klasę.

Byliśmy beczelnie młodzi i beczelnie radosni, silni marzeniami i żądni przygód, a ta nasza młodość „szumiała w nas jak wzburzona rzeka”. Światłe umysły i gorące serca, młodzieńcze dusze – w których szaleństwo i płomień, gdy wszystko jeszcze jest możliwe – to uskrzydlało nasze dnie i noce.

Z niefrasobliwością, ufnością i wiarą patrzyliśmy w przyszłość, która była utkana z naszych marzeń i snów. Nieśliśmy w sercach radość i nadzieję, chcieliśmy żyć zachłannie i pięknie, Byliśmy jak bohaterowie jednej z opowieści biblijnych, którzy „nic nie mają, a posiadają wszystko”, czy jak mitologiczny Ikar, lekceważący zagrożenia i szybujący w słońce.

Tamte „przaśne” czasy nie sprzyjały Ikarom. Ale szczęście nieśliśmy w sobie i to było źródło naszej siły.

Dni płynęły wartkim nurtem, często niosąc trudne wyzwania. Ale nie poddawaliśmy się. Przysłowie: „Bierz Michale, co Bóg daje” – to nie było dla nas. My byliśmy ciekawi każdego nowego dnia, chcieliśmy kochać i smakować życie. Wszak młodość licealna to czas, gdy – jak dowcipnie mówił Jan Nowicki – „o grzech było trudno, a do chorób i wiecznego potępienia rozkosznie daleko”.

Każda pora roku inaczej pachniała. Kochaliśmy zapachy wiosny i lata, jesieni i zimy, kochaliśmy życie. Ale ta nasza młodzięcza euforia była ulotna jak mgiełka poranna i – nie wiadomo kiedy – nagle zmieniała się w smutek bezbrzeżny, a kolejne życiowe doświadczanie miało gorzki posmak.

Pamiętam. Jest jesienny, słotny dzień, wypełniony jednostajnym szmerem deszczu bębniącego w okna, w rynny, w dachy; szary, melancholijny.

„W szkole znów pełno łuf...”

Ale ostatni dzwonek odczarowuje wszelki smutek. Wybiegamy ze szkoły niefrasobliwą czeredką, pełni gwaru, śmiechu, wygłupów.

Nagle przystajemy. Ulicą wzdłuż rynku sunie korowód żałobny z czarnym, ozdobnym karawanem na przedzie – owym niemym świadkiem ludzkich tragedii, ciągnionym przez równie czarne, przystrojone kirem konie. Za nim las czarnych parasoli.

Kondukt żałobny to częsty widok. Ale dziś tą swą ostatnią drogą podąża 10-letnia dziewczynka, która – wbiegając nagle na jezdnię – zginęła potrącona przez ciężki samochód.

Mnóstwo białych kwiatów, długi wąż żałobników, na chodnikach stojący przechodnie. My też stoimy w milczeniu. Więc można umrzeć tak młodo, tak nagle i tak ostatecznie? Kilka kropel osiada na moim policzku. Deszcz to czy łzy? Dziś już nie wiem.

Młodzięcze wzruszenie i smutek nie trwały długo. Taka była ich natura. A my niczego nie udawaliśmy. Byliśmy autentyczni i wiarygodni. Bo – jak mówił Piotr Fronczewski – „młodości zagrać się nie da. Ona jest nie do podrobienia. Rembrandta da się podrobić, dolary można podrobić, można udawać mądrość, nawet miłość, ale młodości już nie”. A najpiękniej o młodości pisali poeci:

„Mieć lat szesnaście i przed sobą życie,
I głowę pełną zamiarów i chceń,
Pędzić przed siebie w radości, w zachwycie,
W cudny słoneczny, szafirowy dzień” [Hanna Mortkowicz].

Byliśmy tuż przed granicą dorosłości. „Kiedy człowiek ma 17 lat – pisała Gabriela Gargaś – czuje się jak król bądź królowa. Próbuje używek, tańczy boso po deszczu, zarywa noce na imprezy. Robi różne głupie rzeczy, by na starość mieć co wspominać”.

Wydawało nam się, że świat należy do nas, ale szybko zmienialiśmy się z naiwnych dzieciaków w dojrzałe kobiety i mężczyzn. Choć Tadeusz Boy-

Żeleński określał cechy tego wieku: „sam wdzięk i dojrzewająca ponętność”, to bardziej charakteryzowały nas: młodzieńcza niezgrabność ruchów i sylwetek, tłuszczące się włosy, twarze upstrzone pryszczami, u chłopców zarost jak wykluwająca się pierwsza trawka – rzadki i cienki, i brak oleju w głowach. Ale twarze powoli traciły dziecięce rysy, a figury dziewcząt nabierały pełnych kształtów. Do matury przystępowały już urodziwe panny i przystojni kawalerowie.

Dowcipnie o tym „przepoczwarzaniu” się z dziecka w kobietę pisał satyryk Andrzej Waligórski:

„Zuzia rośnie w czasie i w przestrzeni,
Coraz bardziej się robi strzelista,
Już na widok Zuzi się rumieni
Tymoteusz Dyćko, polonista.
Idzie Zuzia, przegina się w pasie,
Jakby była dorosłą osobą,
Rośnie bowiem w przestrzeni i czasie,
A już zwłaszcza w przestrzeni przed sobą.
Zuzia rośnie z tygodnia na tydzień,
Już przestała być cienka jak patyk
Kiedy szkolnym korytarzem idzie,
To przełyka ślinę matematyk.
Robi nagle – jak zając – stójkę,
Czuje dreszcze w krzyżu i w piętach:
– Jak tu takiej postawić dwóję,
Skoro taka dobrze rozwinięta?
Zuzia rośnie dosłownie z dnia na dzień
Czerwienieje pan gimnastyk Dziobak,
Widząc Zuzię w skłonie i w przysiadzie
I subtelnie mruczy: – O, choroba.
Rusycysta za nią okiem strzela,
Myśląc w duchu: – Wot, kakoj ananas
I potyka się ksiądz prefekt Chudzielak
Z trwożnym szeptem: – Apage, satanas!
Zuzia rośnie z momentu na moment,
Tatko dumny jest z takiej córy,
Zuzia rzadko przebywa za domem,
Zuzia uczy się do matury.

Wkuwa daty i co jedzą zebry
I odmianę angielską: „the sister”
I korepetycje jej z algebry
Daje Ryszard Dreptak, magister.
Uczy Zuzię nieprzytomny całkiem,
Wchodzi w okna zamiast we drzwi,
Całka mu się ciągle myli z ciałkiem,
A różniczka z różnicą płci.
Zuzia cieszy oko, tak jak kwiaty,
Swoją śliczną figurą i buzią.
Gdybym ja był ministrem oświaty
Nie musiałybyś się męczyć, Zuzio!
Nie wkuwałabyś słówek na pewno,
Bowiem jednym szerokim gestem,
Dałbym ci maturę honoris causa
Za sam wygląd. I za to, że jesteś”.

Oczywiście, wszystkie chciałyśmy wyglądać jak najpiękniej i ubierać się modnie. Podziwiałymy dziewczyny chodzące po ulicach naszej Dębicy w kolorowych, kloszowych spódnicach, ściśnięte mocno w talii szerokim, gumowym, czarnym pasem; lekkie i barwne jak motyle. Bo moda lat sześćdziesiątych była – wbrew wszystkiemu – wesoła i kolorowa. Mimo ścisłych przepisów dotyczących szkolnych ubiorów, udawało się i nam czasem przemycić jakiś modny ciuszek ukryty pod chałatem.

Choć najczęściej naszymi ubiorami kierowały dwie przyjaciółki: bieda i wygoda, a nasze ubiory – w które raczej przyodziewałyśmy się niż stroiły – były banalne, oklepane „trzy sezony temu modne”, to czasem rodzice dawali nam zaoszczędzony grosik na jakąś małą ubraniową „zachciankę”.

Pamiętam, jak z dumą nosiłyśmy pierwsze stylonowe pończochy, kloszowe, sztywne spódnice, czy kwieciste sukienki typu „worek”. Pamiętam też, jak nasza koleżanka zwana Pchełką, przechadzała się podczas lekcji „wuefu” po boisku szkolnym w nowo zakupionych, pięknych, bardzo wysokich czarnych szpilkach. Trwała krótka przerwa w czasie rozgrywanego przez nas meczu siatkówki. Wszystkie patrzyłyśmy z zazdrością, a profesorka Grundboeck tylko się uśmiechała. Marysia-Pchełka była świetną zawodniczką; najlepszą z nas i profesorka bardzo ją lubiła.

Gdy nie mogłyśmy sobie kupić pożądanых ciuszków czy butów, wtedy przydawała się pomysłowość. Szyłyśmy taftowe spódnice „z koła”, które na-

wet ukrywane pod chałatem przez wiele godzin, a „uwolnione” dopiero po lekcjach – wyglądały pięknie i świeżo. Pamiętam też, gdy nastała moda na „welingtonki” z wywiniętymi cholewkami, odsłaniającymi podszewkę. Ta podszewka musiała być w żywą kratkę. To ona nadawała butom charakter i urodę. Niestety, oryginalne „welingtonki” były drogie, więc wyszukiwałyśmy w domowych zakamarkach stare koszule flanelowe, lub „mamine” spódnice w kratkę i szyłyśmy odpowiedniej szerokości rurki, które wkładało się do posiadanych „cholewiaków-gumowców” [z powodu wszechobecnego błota prawie wszyscy takowe mieli] i formowało tak, by udawały modną podszewkę. Ale te nasze „welingtonki” – siermiężny wytwór rodzimego przemysłu gumowego – nie miały żadnej ocieplanej wkładki. Ordynarna guma odparzała stopy, które marzły z powodu zimna i wilgoci, a w miejscu zagięcia cholewek pozostawały na nogach długo utrzymujące się czerwone pręgi. Choć cierpiało się dodatkowo z powodu startych do krwi pięt, ale było modnie i tylko to się liczyło.

Wyłudzało się też czasami na rodzicach zakup szpanerskich kurtek „budrysówek”, czy „szwedek”, musiało się mieć czarne „rokendrolowe” trumniaki, a w ostateczności – malowało się czarną pastą tenisówki. Liczył się pomysł, a pomysłów nam nie brakowało. Ale najbardziej zdołała nas młodość, uśmiech i optymizm.

Gdy na niedzielę i na ferie wracaliśmy do domów, już z daleka witał nas dym z komina, radość rodziców – zabieganych, troskliwych, wciąż gdzieś spieszących i dziadków o siwych włosach i złotych sercach. Rzucaliśmy książki w kąt i biegliśmy nad rzekę, w pole, na łąkę, do lasu.

Przyroda była dla mnie zawsze cudem. Ta moja fascynacja, a także charyzma profesorki od biologii Heleny Gałuszki zachęciły mnie do uczestnictwa w kółku biologicznym – ogromnie ciekawym, prowadzonym profesjonalnie, z pasją.

W latach mojej nauki szkolnej takich kółek przedmiotowych, świetnie zorganizowanych, było wiele. Aneta Kwolek wylicza te, działające w roku szkolnym 1964/1965: „polonistyczne [profesorka Olga Sidorowicz], dramatyczne [profesorka Czesława Ryszawa], chemiczne [profesor Piotr Rybka], fizyczne [profesor Czesław Surowiec], biologiczne [profesorka Helena Gałuszka], matematyczne [profesor Kazimierz Gwóźdź], elektro-fotograficzne [profesor Mieczysław Kogut], chór szkolny [profesor Zdzisław Czerny]”.

Pamiętam, gdy na jednym z zajęć kółka biologicznego powędrowaliśmy gdzieś poza zabudowania Dębicy. Szliśmy cudowną aleją lipową pod baldachimem starych, rozłożystych gałęzi. Jesienny wiatr porywał serdusz-

kowe listki w jakiś niezwykły, czarodziejski taniec. Było cudnie. Śmialiśmy się głośno. Ktoś krzyknął i kilka szarych ptaków poszybowało w błękit.

Urok tamtych drzew pamiętam do dziś. A z lipowego drzewa – i skrzypce, i ołtarz Wita Stwosza, i przydrożne świątki.

Poeta Julian Przyboś, przebywając na wsi, pisał: „Niczego tu nie czytamy, prócz obłoków na niebie”. My też kochaliśmy rozslonecznione niebo i pędzące po nim szalone, puchate obłoki, kochaliśmy też śnieg i grad, deszcz i mgły, zieloną trawę i kwiatki na łące, dojrzałe łany zbóż pełne maków, złociste słoneczniki, jabłka spadłe z drzewa, wygrzane słońcem pomidory i makówki grzechoczące przy każdym podmuchu wiatru, gałązki wiśni obsypane białym kwieciami, opadłe liście, swiergocące ptaki, smyrgające po miedzy zające. Pełni młodzieńczej energii kochaliśmy cały świat w jego zagadkowym pięknie, co rano zdumiewający czymś nowym, zmiennym, ulotnym, nie dającym się zatrzymać; a choć tak kruchym i chwilowym, to przecież odwiecznym. Na czarno-białych zdjęciach, leżących gdzieś na dnie szuflady, zachowały się te nasze zadziwienia przyrodą, te chwile idylli i ulotnego szczęścia. „O, tak smakuje życie...”

Jan Wiktor pisał: „Piękno przyrody jest harmonią, może właśnie jest mową Boga. Tylko tutaj człowiek czuje się dobry, wolny i szczęśliwy. Nawet najzwyklejszy kwiat jest częścią tej harmonii. Któż go tak stworzył dla mnie nędznego? Dlaczego? Po co taka mnogość barw, kształtów? Boże wzruszenia przeniknięte w kształty i barwę, Boże myśli przeistoczone w lot motyla”.

Te zadziwienia bogactwem otaczającego nas świata potrafili wyrazić najtrafniej poeci. Kornel Filipowicz pisał dowcipnie:

„Te chaszcze i paszcze, i leszcze i deszcze,
Bodzisзки, modliszki – gdzie ja to pomieszczę [...]
Do dzbanka jednego ten łopian i łopot,
I łubin i popłoch, i przepych i kłopot”.

Po niedzieli spędzonej w domu wracaliśmy do szkoły z niepokojem, bo trochę zapomnieliśmy o „budzie” i zadanych lekcjach. Mark Twain twierdził bardzo mądrze, że „poniedziałek jest po to, by móc wypocząć po trudach niedzieli”. Ale, gdzież tam! Nasi profesorzy pytali od samego rana, jakby nawet ze zdwojoną energią. Oj, sypały się pały, sypały!

Najgorzej mieli ci, których jakiś profesor przyłapał na spacerze po mieście czy w parku, lub na seansie w kinie „Uciecha”. Pytany był tak solidnie,

tak dogłębnie, że zazwyczaj wracał z pałą – „ku pamięci”, żeby się uczył, a nie włóczył!

W ciągu tygodnia nadrabialiśmy braki, wkuwając wieczorami łacińskie słówka, życiorysy rosyjskich poetów, matematyczne i chemiczne wzory. Byliśmy bardzo zajęci, ale czasami udawało się uciec na chwilę gdzieś z dala od książek, zgiełku miasta, kieratu codzienności – „na łono przyrody”. Szczególnie upajał nas uroczy pejzaż naszej „rodzinnej rzeki”, będący wspaniałą scenerią dla marzeń.

Jonasz Kofta śpiewał: „A pośrodku detalicznie skutecznia fale Wisła”. W Dębicy „detalicznie skuteczniała fale” Wisłoka – pachnąca mułem, wiklinami i starym, nadgniętym drewnem. Stanisław Kłos pisał o niej uczenie: „zabudowania Dębicy rozsiadły się szeroko na wyniosłej terasie doliny Wisłoki, której błękitna wstęga przewija się wzdłuż jej północno-zachodnich granic”.

Uczniowie gimnazjum kąpali się w niej na lekcjach gimnastyki, tu uciekali na wagary, tu organizowali sportowe zawody.

A Wisłoka, co to od wieków „płynie, wije się jak błękitna wstążeczka”, toczyła swe wody dość chyżo; kapryśna, nie uregulowana, nieobliczalna. Wszak i „cicha woda brzegi rwie”... Tak było szczególnie podczas częstych powodzi.

„W czasie wylewów Wisłoki – wspominał Adam Przewłocki [matura – 1919 rok], urządzaliśmy sobie zawody w przepływaniu rozlewisk. Miejscem startu był wtedy zwykle wysoki brzeg rzeki za koszarami kawalerii. Meta znajdowała się po drugiej stronie rozlewiska przy drzewach, które wystawały ponad lustro wody”.

Pamiętam. Zapach butwiejących trzcin na postrzępionych brzegach, mokrych traw i ziół napełniał powietrze dziwną, dusząco-cierpką wonią, „gałęzie czochrały wodę” – chłodną, przynoszącą ulgę stopom, zmaconą w drobne zmarszczki; w niektórych miejscach głęboką i czarną. Jej bełkot – nieustanny, rytmiczny – uspokajał i koił. Ale dno rzeki – nierówne, zdradliwe, usłane drobnymi kamyczkami i szarym mułem – niepokoiło.

Na wielu lekcjach nasze myśli ulatywały z czterech ścian klasy właśnie tam, ku tej rzece, ku słońcu i swobodzie. Gdy na tablicy rosła gmatwana liczba czy chemicznych wzorów, gdy „w szkole znów pełno luf”, oczami wyobraźni widzieliśmy naszą rzekę – niby spokojną – ale zawsze niepojętą; ciemną, głęboką. W niektórych miejscach burzyła się wirami, mamrotała groźnie, czepiała się niskich gałęzi drzew, chylących się nad wodą, chlupotała, pluskała, lub szemrała tajemniczo.

Szczególnie późną jesienią robiła się ciemnoszara, niemal stalowa, a porywisty wiatr marszczył jej drobne fale. Zimą często zamarzała, za to

wiosną niosła lodowe kry, a potem wzbierała powodziową falą – groźną, nieprzewidywalną, niebezpieczną. W gorące lato toczyła niewiele wody; tworzyły się wysepki, zastoiska, grząskie bajorka zarastające rzęsą, pełne brązowych, niezdarnych ropuch o wyłupiastych oczach. Rzucony w wodę kamień mącił spokojną toń i zapadał pluskiem w głębinę, zostawiając czarodziejskie koła na powierzchni. Czasem błysnęła w słońcu rybia łuska, by zaraz przepaść gdzieś w mulistym dnie.

Claude Monet – francuski mistrz impresjonizmu – namalował cykl dwudziestu płócien, przedstawiających w sposób niezwykle piękny, jego [i moje] ulubione topole; w różnym świetle, w różnych porach dnia i roku. Kilka z nich przypomina tamten nasz nadwisłoczny pejzaż. Ten „mistrz opętany światłem i kolorami”, stosując technikę barwnych, delikatnych plam, rozmytych kolorów i kształtów, umiał jak nikt tworzyć pełne romantyzmu pejzaże, potrafił uchwycić ulotność przeżytego wrażenia i nastój chwili, malując trochę odrealnione, wysmukłe drzewa, zielone zarośla czy kłębiaste białe obłoki na błękitie nieba, odbijające się w spokojnej wodzie. Te oryginalne, impresjonistyczne obrazy wciąż budzą – śpiące gdzieś na dnie serca – serdeczne wspomnienia.

Na brzegach Wisłoki rosły krzaki dzikiego bzu, wiklina i drzewa o dziwnych kształtach, które łączyły swe gałęzie, tworząc prawdziwy labirynt. Były tu miejsca odludne, tajemne, intymne. Tu spotykało się przytulone nieśmiało, zakochane pary, ukrywające się w zieleni nadbrzeżnych zarośli. Bo tu umawiało się na randki, tu nawiązywało znajomości, zawierało przyjaźnie, a nawet bliższe związki.

Pachniało wakacjami. Odbijająca się w wodzie zieloność nastrajała lirycznie. Tu rodziły się pierwsze wiersze, bo gdy się jest młodym, zakochanym, szczęśliwym, to – jak mówią słowa starej piosenki – „Każde słowo układa się w wiersz”:

„Nad brzegami Wisłoki trzciny na wietrze drżą,
Nigdy nie odczytamy, co powiedzieć nam chcą.
Gdy dłoń w dłoni zamknięta, łatwo głośno się śmiać,
Raczej wietrze szalony w rytm serc naszych dziś wiać”!

Takie to były nasze pierwsze zauroczenia i pierwsze, nieudolne poetyckie próby.

Straszliwie romantycznym „wierszopisem” był w naszej klasie Staszek – czarnobrewy szalawiła, mieszkający nad rzeczką koło „bóżnicy”. Znużony

nocnym obcowaniem z muzą poezji, przynosił do szkoły te swoje wiersze ociekające łzami i krwią serdeczną, i podsyłał je pantoflową pocztą dziewczynom. Traktowaliśmy go trochę z przymrużeniem oka; po skończeniu liceum gdzieś – nie wiadomo gdzie – nieznane go wiatry powiały, a wraz z nim tę jego poezję, nad którą pewnie nasza polonistka profesorka Janda załamałaby ręce z politowaniem i zgorszeniem. Ale, gdy ma się osiemnaście lat, „któż zmusi wiersze do milczenia”?

Poza tym, chyba jakieś dziewczyny łąpały się na wędkę poetyckich uniesień Staszka, bo widziałyśmy go czasem wieczorem – ożywionego, szczęśliwego, otoczonego kręgiem dorodnych nastolatek. Podobno poezja zaczarowuje „drzewo dotykane ręką, ptaki na niebie, wzdychającą w południe wodę, złotogłów słoneczników, ślad na śniegu”. W przypadku naszego klasowego wierszopisa – oczarowywała także młode, piękne dziewczyny, wrażliwe na poetyckie słowa.

Profesorka Irena Janda wbijała nam do głowy tylko strofy poezji najwyższych lotów, jak te Mickiewiczowskie: z „Ody do Młodości” – „Ty nad poziomy wylatuj”, z „Romantyczności” – „Miej serce i patrzaj w serce”, czy z „Dziadów” – „Ja i ojczyzna to jedno!”.

Pragnęliśmy innych wierszy, więc po kryjomu czytaliśmy liryki o miłości i uciekaliśmy w świat marzeń. Ale szybko dawała o sobie znać proza życia.

Do szkół uczniowie docierali różnymi sposobami: piechotą, furmanką, rowerem, czasem przygodnym traktorem lub poobijaną ciężarówką „na pace”.

Rozpoczynający szkołę średnią w 1948 roku Antoni Baran, tak wspominał drogę, którą przemierzał na egzamin wstępny i później do liceum: „Ostatnie dni sierpnia. Deszcz leje jak z cebra. Ścieżką wzdłuż Wisłoki maszeruję z Bobrowej do Dębicy na egzamin. Bose stopy ślizgają się na glinie. Dopiero tuż przed miastem, na drewnianym jeszcze moście, myję nogi i wkładam buty [...]”.

Od września do listopada dochodziłem codziennie do Dębicy pieszo [na skróty i wzdłuż Wisłoki, około 10 km] lub dojeżdżałem na rowerze [drogą około 15 km]. Potem rodzice załatwili mi tzw. stancję. Od listopada do kwietnia mieszkalem więc w Dębicy. Pozostałe miesiące codziennie przemierzałem trasę Bobrowa – Dębica pieszo lub rowerem. Dopiero w ostatniej klasie mieszkalem cały rok na stancji”.

Dojazdy rowerem były dość popularne, ale też niełatwe, a ze względu na duże odległości i kapryśną pogodę, nie zawsze możliwe. Dodatkowo, twarde siodełko – jak trafnie zauważał Ernest Hemingway – sprawiały,

że „jazda na rowerze boleśnie uczyła ukształtowania terenu; szczególnie w drodze pod górkę”.

Niektórzy korzystali więc z otwieranych nowych połączeń autobusowych, wielu też mieszkalo w wynajętych pokojach. W początkowym okresie istnienia szkoły – jak pisała Aneta Kwolek – „ponad 50 % uczniów pochodziło spoza Dębicy. Mieszkali oni u krewnych lub najczęściej na stacjach [...]. Szkoła miała prawo i obowiązek kontrolowania warunków tam panujących”. Ale różnie bywało.

Michał Urbanek, którego rodzice wynajmowali uczniom kwatery, wspominał: „Była u nas jedna stancyjka, licząca najwyżej 9 metrów kwadratowych, w której mieszkalo trzech moich kolegów. Trzy łózka, stolik i ława stanowiły całe umeblowanie. Pożywienie przywozili im rodzice, w naturze również płacili rodzicom za mieszkanie, gotowanie i obsługę.

Tak mniej więcej wyglądały wszystkie stancje. Upychano uczniów zamiejscowych gdzie się dało. Nic dziwnego, że lokatorom stancji było nieraz głodno i chłodno, a warunki do nauki zawsze marne”. A jak swą stancję w Dębicy wspominał Jan Wiktor?

„Różnie bywało. Gorzkie życie. Mieszkanie w izbie od podwórza. Za ścianą kury nie zamykały dziobów [...]. Kogut darł się jakby go ktoś z piór oskubywał. Szczury wesele sobie urządzały [...]. Nie wolno okna otworzyć, bo zimno wchodzi. Skąd drzewo na opał brać? Chleb nieraz spleśniały, twardy razowiec trzeba w ciepłej wodzie moczyć [...]. Ale to nic. Jakoś to będzie. Pewnie później się odmieni. Na obiad kasza, albo ziemniaki okraszone sadłem – po palcach trzeba kroić, żeby na długo starczyło”.

Jeszcze tragiczniej przedstawiała się sytuacja uczniów w okresie okupacji, gdy około połowa młodzieży gimnazjum znalazła się na wysiedleniu, a szkoła rozpoczęła swą działalność w Ropczycach. Jedna z uczennic wspominała: „Jestem wysiedlona z Dębicy i mieszkam w Pietrzejowej, zajmuję małą kuchenkę w niewykończonym domu [...]. Nie mam do dyspozycji ani stołu, ani krzesła. Nie mam również światła żadnego [...]. Nie mam żadnych podręczników, tylko dwa zeszyty”.

W okresie moich lat licealnych wielu uczniów wynajmowało pokoiki w „kolejowych domkach” naprzeciw koszar. W czasie okupacji Niemcy wybudowali nową parowozownię niedaleko dworca, przed wiaduktem na ulicy Kościuszki. Po drugiej stronie ulicy w 1940 roku powstało całe osiedle jednakowych parterowych domków dla niemieckich kolejarzy, wzniesionych – tak jak parowozownia – przez robotników z obozów pracy. Nieliczne z nich zachowały się do dziś.

Wiele zamieszkujących tam po wojnie rodzin to byli przesiedleńcy ze Wschodu, tak jak gospodarze, u których mieszkalam przez dwa lata, dopóki do mojej wioski nie zaczęły jeździć autobusy. Pokoik, który dzieliłam z siostrą, był małeńki, bez pieca, a jedynymi meblami był stół, dwa krzesła i dwa żelazne łóżka.

Fiodor Dostojewski pisał, że w małym pokoiku nawet myśleć ciasno. Chyba miał rację.

Nasz, tylko czasami wypełniony był bladym słońcem, które kładło smętne cienie na wąskiej podłodze; najczęściej panował tam zimny mrok i snuły się smętne melancholie. Ale choć z każdego zakamarka wyzierała wszechobecna szarzyzna, to ściany były czyste, świeżo pomalowane w modne „pikasy” [Picasso dopiero by się zdziwił!]. Ów pokoik to była raczej komórka przekształcona na „stancję”.

Cały mój „majątek” mieścił się w małej, brązowej walizce ustawionej w kącie.

Pan domu oczywiście był kolejarzem, pracującym w systemie: 12 godzin na 24. Prawie zawsze spotykałam go w kolejarskim uniformie, zawsze starannie wyczyszczonym i wyprasowanym. Utrzymanie owego uniformu w jak najlepszym stanie należało do obowiązków żony, która zajmowała się domem, miała też pieczę nad nami i kilkunastoletnią córką. Syn studiował gdzieś na Śląsku i nigdy go nie widziałyśmy, bo gdy przyjeżdżał na święta lub ferie, my byłyśmy wtedy w rodzinnych domach.

I tu zaczyna się wątek – jak we wspomnieniach Jana Wiktora – z kurami w roli głównej. Otóż, gospodyni, jak prawie wszystkie żony kolejarzy z tego osiedla, handlowała drobiem. Kobiety co środę chodziły na targowisko i tam kupowały po kilkanaście dorodnych kur. Przetrzymywane w jakimś kojcu, darły dzioby straszliwie i bez przerwy. Na szczęście szybko je zabijano, skubano i patroszono. W powietrzu wciąż wisiał obrzydliwy zapach zaparzanych we wrzątku korpusów tych ptaków, by łatwiej je było oskubać, a potem ten – jeszcze straszniejszy – z opalanych nad ogniem resztek puchu. Powodował on uciążliwe bóle głowy, który leczyło się zażyciem „pigułki z kogutkiem”; popularnego leku przeciwbólowego, którego recepturę opracował w 20-leciu polski farmaceuta Adolf Gąsecki.

Kobiety – korzystając z bezpłatnych biletów dla kolejarskich rodzin – wywoziły taki oskubany i wypatroszony drób na Śląsk, gdzie można go było sprzedać z dużym zyskiem. To był znaczący zarobek, wspomagający rodzinny budżet.

Rozmowy wciąż krążyły wokół tego handlu; sąsiadki obgadywały zwłaszcza te sprytnie „baby”, które umiały znaleźć lepszych kupców lub kupić na rynku tańsze, a też dorodne sztuki, wciąż też opowiadano sobie historyjki związane z uciążliwą podróżą pociągami czy różne przygody, które przydarzały się podczas handlowania na Śląsku. Ponieważ domki były dwurodzinne i najbliższych sąsiadów dzieliła tylko cieniutka ścianka działowa, wystarczyło w nią zapukać, a już zjawiała się sąsiadka chętna na plotki. Czasem głośne rozmowy odbywały się nawet przez ścianę, więc do rzadkości należały chwile, w których dom był wypełniony ciszą, dającą wytchnienie i spokój.

W naszym domku, w dużym pokoju, będącym zarazem salonem i sypialnią, mieszkowała jeszcze młoda dziewczyna z odległej wioski – pani Marysia, pracująca w Urzędzie Miasta, który miał swoją siedzibę przy ulicy Rzeszowskiej, naprzeciw piekarni Roztoczyńskich. Wszyscy żyli w zgodzie, byli dla siebie życzliwi i nawzajem sobie pomagali. Córka gospodarki często przychodziła do naszego pokoiku, bo czuła się trochę samotna. Gadałyśmy godzinami o różnych dziewczynskich sprawach, czytałyśmy wspólne książki, chodziłyśmy do kina, do kościoła, na działkę, biegłyśmy na pobliski plac, by grać z chłopakami w piłkę, aż zupełny mrok przerywał nasze zabawy. A dzieciaków w pobliżu było bardzo dużo.

Gospodyni kochała oglądać filmy. Z lokatorką panią Marysią przynajmniej raz w tygodniu, a czasem i częściej, biegały do jedyne go w mieście kina „Uciecha”, a potem długo wieczór dzieliły się wrażeniami, co nas bardzo interesowało i – niestety – odrywało od nudnych domowych zadań. A ta ich fascynacja filmami rozbudziła i w nas zainteresowanie tą dziedziną sztuki, więc również zaczęłyśmy chodzić na różne filmy – oczywiście tylko te, dozwolone od lat szesnastu, co skrupulatnie sprawdzały panie bileterki z „Uciechy”. Najciekawsze były filmy dla dorosłych, ale cóż – nie dla nas. Można by było smętnie sobie zaśpiewać: „Nie możemy iść dzisiaj do kina, dozwolone od lat osiemnastu”, gdyby nie to, że „Czerwone Gitary” nagrały ten piosenkę dopiero w roku 1968.

I tak miałyśmy lepiej niż przed wojną, gdy kino dla uczniów gimnazjum było rozrywką całkowicie zakazaną.

Kiedy rozpoczęło działalność w naszym mieście? Nie wiemy. Według „Ziemi Dębickiej” z 2001 roku „istnieją pewne przesłanki, że pierwszy pokaz filmowy odbył się na dworcu kolejowym, wzbudzając wielkie poruszenie wśród mieszkańców miasta”. Możemy tam również przeczytać, że „pierwsza pewna wzmianka o istnieniu kina w Dębicy pochodzi z 1913

roku, kiedy to Franciszek Kubiszał otrzymał licencję na prowadzenie „wyświetlarni” – Kinoteatr „Bajka”. Miało się ono znajdować przy ulicy Kościuszki 37 i posiadać salę mogącą pomieścić 200 widzów”.

W okresie XX-lecia dla dębickich gimnazjalistów parę razy wyświetlano filmy w budynku „Sokoła”. A w 1929 roku w pomieszczeniach po „Bajce” otwarto kino „Wenus”, które później przemianowano na „Uciechę”. Grano tylko w soboty i niedziele. Początkowo filmy były nieme, z ilustracją muzyczną wykonywaną przez dobrany zespół kameralny. Ale – jak wspominał Julian Roztoczyński: „dla uczniów kino było owocem zakazanym”.

By obnażyć X Muzę z jej tajemniczości – pisał – czyniliśmy wyprawy aż do Tarnowa i to dopiero w ósmej klasie [...]. Na obcym gruncie byliśmy nieosiągalni dla argusowego oka dyscypliny szkolnej. Napotkanie gimnazjalisty w kinie skończyłoby się dla niego wylaniem z budy lub co najmniej obniżeniem obyczajów i konferencją z rodzicami delikwenta. Ówczesny totalny zakaz uczęszczania do kina był stawiany na równi z indeksem ksiąg zakazanych”. W czasie wojny rozbudowano kino łącząc dwa budynki i nadając mu nazwę „Deli”. Po wojnie stało się „Uciechą”.

Pamiętam, że czasami udawało nam się przemknąć na któryś z filmów niedozwolonych dla młodzieży, choć drżeliśmy, żeby nie zobaczył nas jakiś nauczyciel. A magia kina wyczarowywała przed nami nowe, barwne światy, które były czymś wspaniałym, nieznanym, co wciągało jak magnes i było odskocznią od szarej, biednej, siermiężnej rzeczywistości.

Pamiętam, z jakim podziwem oglądałyśmy młodzietkę Romy Schneider, debiutującą w filmie „Dziewczęta w mundurkach” jako naiwna pensjonarka i jak bardzo przeżywałyśmy później jej losy – jej kolejne filmy, związek z „przystojniakiem” Alainem Delonem, podróże, sławę; nic nie wskazywało, że po latach popełni samobójstwo.

Bardzo wzruszał nas film „Pożegnania” Wojciecha Hasa, w którym Sława Przybylska śpiewała słynny przebój „Pamiętasz, była jesień”, czy „Deszczowy lipiec” Leonarda Buczkowskiego. W „Uciesze” spotykałyśmy nasze koleżanki ze szkoły i jak one podziwiałyśmy piękne aktorki i kochałyśmy się w aktorach.

Bilety nie były drogie, ale nasze zasoby pieniężne – mizerne, choć oszczędzałyśmy każdy grosik. Rezygnowało się z kupna jakiegoś potrzebnego drobiazgu, a często z obiadu w barze mlecznym [przed którym – na małym skwerku – była „stacja benzynowa”!]. Do owego baru przechodziło się z rynku „Ciasną” uliczką obok „Rolnika”, wiodącą do ulicy Rzeszowskiej. Poświęcenie obiadu dla sztuki było wielkim wyzwaniem, bo

przecież byliśmy w wieku, kiedy – jak mówił Kornel Makuszyński – „nawet największa porcja jest za mała”.

Musiała jednak wystarczyć „wałówka” przywieziona z domu, ugotowane przez gospodynię ziemniaki i kiszony ogórek.

Bo filmy były czymś, co rozbudzało nasze marzenia, ośmielało naszą wyobraźnię, poszerzało naszą wiedzę o świecie, kształtowało świadomość, wypełniało czas, oddalało samotność, pustkę i nudę. Można było rozsiąść się na wygodnym, obitym pluszem krześle i znaleźć się w świecie ułudy.

Potem – już zasypiając – jeszcze raz przeżywaliśmy losy filmowych bohaterów i tworzyliśmy projekcje swoich przyszłych losów; zawsze wspinałych – utkanych z marzeń i snów, a także z historii obejrzanych w kinie i tych, zawartych w czytanych w książkach.

Ach – marzyłyśmy – gdyby jeszcze mieć indiański amulet – „łapacz snów” – taki, zobaczony właśnie w jednym z filmów – żeby zatrzymywał wszystkie złe sny, a przepuszczał tylko te najpiękniejsze!

Potem w szkole na przerwach dyskutowaliśmy zawzięcie na temat obejrzanych filmów i aktorów, nieudolnie starałyśmy się naśladować zachodnie ciuchy, fryzury, sposób bycia. Chłopcy dyskutowali o swoich fascynacjach filmowych i o swoich idolach.

A ta miłość do kina przetrwała do dziś. Była też żywa przez wszystkie lata mojej pracy w szkole. Często organizowaliśmy wyjścia młodzieży na różne filmy, oglądaliśmy też – na tzw. wolnych lekcjach, czy na zastępstwach klasowych – adaptacje filmowe szkolnych lektur.

Zdarzyło się nawet też, że sami uczniowie naszego liceum mieli okazję zagrać w filmie, który potem oglądaliśmy na srebrnym ekranie. Był to film produkcji polsko-amerykańskiej „I skrzypce przestały grać...”, zrealizowany w 1988 roku przez reżysera o polskich korzeniach Aleksandra Ramatiego. Opowiadał o dramacie Żydów w czasie II wojny światowej. W obliczu grożącej zagłady Cyganie z Warszawy podążają do Brześcia, by zorganizować ucieczkę z kraju. I choć nie jest to łatwe – głównym bohaterom filmu – rodzinie Mirgów, udaje się przedostać na Węgry. Tam jednak zostają złapani i wywiezieni do Oświęcimia. Ich los jest przesądzony...

Główne role zagrali: Horst Buchholz i Piotr Polk, muzykę opracował „ostatni klezmer Galicji” Leopold Kozłowski, a wiele epizodów – kręconych w lasach w okolicy Dębicy – zagrali właśnie nasi uczniowie. Oglądali się potem z dumą na ekranie, a i my cieszyliśmy się, rozpoznając ich w różnych scenach filmu.

Kolejarskie rodziny „naszego” osiedla były bardzo religijne, choć ta religijność wyrażała się przede wszystkim w kultywowaniu obrzędowości, przyjmowaniu kolejnych sakramentów i uczęszczaniu do kościoła. Natomiast nie zawsze udawało się przestrzegać wszystkich zasad religii. Chociaż moi gospodarze żyli zgodnie i cieszyli się szacunkiem, to wśród sąsiadów zdarzały się kłótnie, kradzieże i zdrady. Trudne warunki życia po osiedleniu się w nieznanym mieście, oswajanie nowej sytuacji na „obczyźnie”, uczenie się życia na nowo; to wszystko było przecież nie lada wyzwaniem.

Rodziny kolejarskie korzystały z plonów wyhodowanych przez siebie w ogródkach działkowych położonych niedaleko Wisłoki. Przechodziło się do nich przez wysoką, metalową bramę, nad którą widniał wielki napis „Ogródki Działkowe „Kolejarz”. Potem każdy „działkowicz” udawał się na swoje zagonki, gdzie dojrzewała marchewka, fasola, pomidory pachnące słońcem, a przede wszystkim – ziemniaki. Nikt tam nie wypoczywał, a wszelkie „czasomarnotrawstwo” było nie do pomyślenia. Wykopywaliśmy motykami nieforemne gule ziemniaków, a w chłodnym, niemal przezroczystym powietrzu niosły się zapachy jesieni. Gdy zimne już słońko kryło się za drzewami nad brzegiem Wisłoki, a kolory bladły w szarościach nadchodzącego wieczoru, wracaliśmy do domu, przynosząc z sobą późne, kolorowe astry, które długo cieszyły oczy w stojącym na stole szklanym wazonie. Na parapecie przeciągał się leniwie bury kocur, chodzący swoimi drogami, a na kuchni gwizdał czajnik z wrzątkiem na herbatę. I było prawie jak w rodzinnym domu, o którym myśleliśmy z nostalgią, dopóki „noc nie skradła naszych serc”.

W październikowe wieczory wraz z domownikami chodziłam na różaniec. Do kościoła świętej Jadwigi, najstarszego w Dębicy, bo pochodzącego z XVI wieku, docieraliśmy, gdy zapadał zmrok. Gdy zdążaliśmy uliczką prowadzącą do kolejowego tunelu – nieoświetlonego, ponurego, pachnącego wilgocią – pod stopami niepokojąco chrzęścił żwir. Wiedzieliśmy, że tam niekiedy czai się tajemniczy ekshibicjonista – milczący i groźny, będący postrachem dzieci i kobiet. Dlatego zazwyczaj szli z nami mężczyźni. Kolejnymi ścieżkami, na przełaj, zdążaliśmy ku kościelnym białym murom, widniejącym z oddali, a lekki mrozek i chłodny wiatr przypominały nam o zbliżającej się zimie.

Wewnątrz kościoła zawsze było pełno ludzi. Spoglądaliśmy z ufnością na główny ołtarz, w którym królowała święta Jadwiga Śląska. Po latach zostanie patronką Dębicy, a jej piękna, subtelna figurka stanie na placyku obok Urzędu Miasta.

W wieczornym świetle świec stary obraz świętej Jadwigi lśnił tajemniczo nieziemskim blaskiem, tak, jak i ten, przedstawiający Chrystusa w Ogroju, umieszczony w bocznym ołtarzu. W całym kościele wypełnionym ludźmi powtarzającymi zdrowaśki i przesiąkniętym ciężkim zapachem kadzidła, panowała jakaś magia, czar niezwykłości i uniesienia.

Zawsze kochałam wnętrza starych kościołów, ich niezbadane tajemnice, zakamarki, gdzie spały echa dawnych modlitw, wplątane w złocone figury świętych, do których je zanoszono.

Gustaw Holoubek pisał: „Kościoły. Na wołowej skórze nie spisałbyś, ilu ludzi w ciągu stuleci nakłoniły do pobożności, ilu grzesznikom nie pomogły, ile grobów kryją, grobów tych – którzy je za życia kupili, i tych, którzy na nie zasłużyli. Ile błagalnych modłów wysłuchały, a ile bluźnierstw i przekleństw. Ile udzieliły chrztów, ślubów. Ile wysłuchały spowiedzi. Jak to jest możliwe, żeby ich pojemność wytrzymała takie morze łez, bólu i rozpacz, i nie tylko nie rozsadziła murów, ale zamknęła w nich szczelnie całe to ludzkie nieszczęście, i jeśli został po nich ślad, to tylko w koleinach kamiennych posadzek, wyżłobionych przez ludzkie stopy”.

W wypełnionym ludźmi kościele świętej Jadwigi koło ciepłe, migotliwe, płynne światło świec i smętne zaśpiewy organisty. Chciało się wierzyć, że było trochę prawdy w owym wierszu z XVII wieku, sławiącym „z fantazją” Dębicę; że „kościół z włoska malowany”, że kaplice „bardzo misternie zrobione”, że „obrazy wszystkie ryte”, że „weneckie organy” i „pruskie dzwony” na wieży.

Wracaliśmy już po ciemku, całą gromadą, od której odrywały się pojedyncze postacie, skręcające do swych kolejowych domków i roztapiające się w gęstniejącej mgle: – Dobranoc, dobranoc, z Bogiem...

Jeszcze pospieszne mycie i już w łózkach powtarzanie zadanych lekcji. Oczy kleiły się niemiłosiernie, więc wkładało się książkę pod poduszkę z nadzieją, że wiedza podczas snu przepłynie do naszych głów. Przez chwilę jeszcze słuchaliśmy nieznanym nam wcześniej dźwięków naszego nowego domu, budzących niepokój. Trzeba było je oswoić i polubić. Ale otuleni w kokon puchatej pierzyny zasypialiśmy prędko, a „sny dziecięce pachniały wanilią”.

Bezlitosny budzik dzwonił zawsze za wcześnie, przerywając nam mocny sen – przywilej młodości. Jeszcze raz, pobieżnie, powtarzaliśmy lekcje i w pośpiechu biegliśmy do szkoły. Czasem zatrzymywał nas na chwilę pstrokaty afisz zapowiadający przyjazd do Dębicy cyrku albo Wesołego Miasteczka.

A to zawsze był świąteczny czas dla miasta i okolicy. Przed cyrkowym namiotem, ustawionym na miejscu dzisiejszego Placu Solidarności, kłębił

się rozentuzjasmowany tłum. Przez ulice niosły się wzmocnione megafo-
nem melodie popularnych przebojów: „Marzolene, dziewczyno ma”, „Que
sera, sera”, „Karuzela, karuzela, na Bielanych co niedziela”...

Echa tych piosenek wplątywały się w kołyszące się na wietrze koro-
ny dorodnych topoli, tworzących malownicze kępy lub długie szpalery, na
wiosnę zdobnych w puchate baze, podobne do włochatych gąsienic.

Występy artystów cyrkowych oglądaliśmy z zapartym tchem. A następ-
nego ranka, świetnego humoru nie mogły nam zepsuć ani chmury – coraz
bardziej kołtuniaste i groźne, ani chmurne oblicza profesorów, zgorzno-
nych naszą niewiedzą. Przepisywaliśmy z tablicy skomplikowane matema-
tyczne wzory i spoglądaliśmy z zazdrością na ptaki drepcące po parapecie;
beztroskie, że nie muszą, jak my, siedzieć w ławkach, „a Pan Bóg je żywi”...

Na stancjach różnie bywało. „Czasem aż kłuła „drzazga samotności”,
dopadał smutek „nieodzowny towarzysz tęsknoty”, a wieczorna cisza uwie-
rała i rodziła niewesołe myśli. Ale tak nauczyliśmy się samodzielności, zarad-
ności, wytrwałości i odwagi.

Wczesną wiosną pękały lody na niedalekiej Wisłoce. Do naszego dom-
ku dochodziły odgłosy jakby odległych, powoli przetaczających się po nie-
bie grzmotów, to znowu głośniejszych wybuchów. To żołnierze odpalali ładunki,
pomagające kruszyć lód powodujący groźne zatory. Budziła się w nas radość
z powodu coraz cieplejszych dni i nadzieja na wakacje; choć jeszcze nierychłe.

Niektórzy, niestety, nie potrafili się zaadaptować do nowych warun-
ków, bardzo źle znosili oddalenie od domu i samotność. Zwłaszcza doty-
czyło to dawnych uczniów gimnazjum, rozpoczynających naukę, gdy byli
jeszcze dziećmi.

Oddajmy głos Janowi Wiktorowi: „Wieczorem odwrócił się do ścia-
ny i płakał. Ściana zawilgocona była jakby chusta, która ocierała biedne
łzy zagubionego dziecka. Powiernica cicha. A barłóg szeleścił po chłopsku
i pocieszał”.

Wiktor wspomina, że za jego czasów, nędzne wegetowanie uczniów
z dala od rodziny stawało się niekiedy przyczyną różnych chorób, a nawet
śmierci. Jeden z jego kolegów „zgaśł cicho, tłumacząc pieśń grecką do późna
w noc. Dźwięczały mu wyrazy sprzed wieków, jakby Hektor, heros uderzał
w spiszową tarczę. Głośno było w zaświatach. Na pewno ociemniały nauczy-
ciel od filologii uśmiechał się i wpisywał na błękicie wśród gwiazd: celująco.

Za trumną poszła boleść całej wsi, zapłakała głuchą, chłopską pieśnią,
a pomieszana z grudami ziemi spadła na wieko z deski nieheblowanej [...].

Na cmentarzu został wzgórek z piachu i gliny, czasem zakwitł wiankiem bławatków, które tak lubił”.

Nam rodzice wyszukiwali takie stancje, gdzie warunki były znośne, dbali też o nasze wyżywienie, a i wcześniejsze, groźne choroby – m.in. gruźlica, nie były już tak częste.

Nasi gospodarze okazali się ludźmi o wielkim sercu. Dobrze nam tam się mieszkalo. Wspominam tamte chwile z nutką żalu i kropelką sentymentu.

Wielu mieszkańców kolejowego osiedla – jak już wspomniałam – przybyło do Dębicy gdzieś ze Wschodu. Wyrwani z rodzinnych gniazd, tu znaleźli pracę i znośne warunki życia. Trzymali się razem, często odwiedzali się, pomagali sobie, wspierali. Poznaliśmy wówczas bardzo wielu ciekawych, życzliwych nam ludzi.

Pamiętam. Najbliższa sąsiadka była już kobietą w podeszłym wieku, ale wciąż energiczną i chętną do rozmów. Wstawiała skoro świt, by napalić w piecu, zagotować wodę i zaparzyć kawę – zbożową oczywiście – dla siebie i mieszkających u niej na stacji dziewczyn. Otwierała pokoi, w którym się gnieździły i wołała z charakterystycznym wschodnim zaśpiewem:

– Dziołchy, stajać, kawę dajajo!

Zakutane w pierzyny po czubek głowy, bo pokoi – taki sam jak nasz – nie był niczym ogrzewany, jeszcze zawieszono między snem a jawą, chichrały się zawsze na dźwięk tych słów i biegły do kuchni, by zacząć nowy dzień. W największe mrozy nie zamykano drzwi do pokoiku i wtedy ciepło z kuchni łagodziło przejmujący ziąb.

Gdy wracaliśmy ze szkoły, sąsiadka zawsze stała przed domkiem i zachęcała nas do pogaduszek. Była cudowną „opowiadaczką”. Nikt nie potrafił tak barwnie, tak ciekawie opowiadać o rzeczach codziennych, pospolitych, błahych. Na pewno można by ją nazwać – tak jak pisarz Jerzy Pilch swą babkę Czyżową mieszkającą w Wiśle – „opowiadaczką absolutną”.

Wspominał o niej z humorem: „Babka Czyżowa studiowaniem od dzieciństwa Biblii trenowana jest do logicznego mówienia. Nie gubi wątków, choć chętnie od nich odbiega, by zatoczyć narracyjną pętlę, wrócić do punktu wyjścia i do samego finału utrzymać opowieść w ryzach dyscypliny [...]. W Wiśle każde wydarzenie, a zwłaszcza wydarzenie tragiczne lub odbiegające od normy, było długo pielęgnowane w opowieści. Przez babkę Czyżową szczególnie, a była ona opowiadaczką absolutną. Opowiadała totalnie. Wszystkie szczegóły, wszystkie konteksty, labirynty dygresji.

Jeśli, dajmy na to, chciała powiedzieć, że stary Pilch się powiesił, to zaczynała od pramomentu i prapoczątku. To znaczy zaczynała od szczegó-

łowego opowiedzenia okoliczności, w których się o tym tragicznym wydarzeniu dowiedziała. Jeśli na przykład dowiedziała się o tym na targu, opowiadała, kogo spotkała na tym targu, a kogo w drodze na ten targ. I o tym, że rozważała, czy w ogóle iść na targ, bo pogoda tego dnia była fatalna, a dzień wcześniej przed targiem dużo lepsza. A potem wracała do spotkania na targu czy w drodze na targ i opowiadała historię życia napotkanego. Nie zapominała też opowiedzieć o jego zakupach i po co on i skąd, i z kim był, gdy siedł na targ. Et cetera, et cetera. Pojawiali się inni przechodnie, bliżsi i dalsi znajomi. Jedni sprawę znali, drudzy w ogóle.

Babka znała ich wszystkich, losy ich rodziców i pradiadków. Wszystko to było po kolei sumiennie przytaczane. I zanim wróciła do starego Pilcha, byliśmy całkowicie pogubieni. Nikt z nas nie wiedział, o czym ta kobieta w ogóle opowiada. Natomiast ona suwerennie panowała i nad głównym wątkiem opowieści, i nad wszystkimi jej obocznościami”.

Nasza sąsiadka też tak cudownie, tak barwnie i tak „totalnie” opowiadała, że zapominaliśmy o burczącym brzuchu, bolących nogach i czekających lekcjach.

W naszym domu również gospodyni i jej mąż chętnie snuli różne ciekawe historie. Wiele było związanych z koleją, wszak prawie wszyscy mężczyźni z tego osiedla byli kolejarzami. Opowiadano o groźnych wypadkach, o opóźnieniach pociągów, o młodzieży szkolnej, czasem nieodpowiedzialnej, brawurowej, wskazującej do ruszającego składu. Słuchaliśmy z wielkim zainteresowaniem. Wszak z pociągów osobowych korzystali codziennie i nasi koledzy – uczniowie dębickich szkół średnich.

Narzekali, bo pociągi często się spóźniały, ulegały awariom, przepuszczały inne – ważniejsze, przegrywały z oblodzeniem, nawianym śniegiem, uszkodzonymi torami. Czekali wtedy cierpliwie w zadymionej poczekalni lub na peronie. Pracownicy kolei snuli się wzdłuż wagonów, obstukiwali koła, gwarzyli. Czas włókł się niemiłosiernie. Gdy wreszcie lokomotywa ruszała „z mozołem” gwiżdżąc, buchając czarnym dymem i smoląc wszystko wokół sadzą, siadali w rozklekotanych „szkolnych” wagonach z niewygodnymi, drewnianymi ławkami i oddawali się rozmowom, czasem grze w karty, nierzadko flirtom.

Odgłos przejeżdżających nieopodal kolejarskich domków pociągów co chwilę zagłuszał spokój naszej cichej uliczki, a w kredensie brzęczały ustawione tam równym rzędkiem szklanki.

O tych pociągach tak pisze we wspomnieniach dębicki poeta, absolwent liceum z 1990 roku, mój uczeń – Roman Misiewicz:

„Całe swoje dzieciństwo mieszkalem w domu oddalonym o 200 merów od torów kolejowych prowadzących ze Śląska na wschód w kierunku na Medykę i potem do ZSRR. Często w nocy budziły mnie spadające z półek na moją głowę drobne przedmioty. To szły ze wschodu pociągi z rudą żelazną. Potem wracały równie wypełnione po brzegi, choć już nie rudą. Byliśmy przez czterdzieści cztery lata rosyjskim terenem służącym do eksploatacji”.

Ów stukot, którego słuchaliśmy dniami i nocami, był dla sąsiadujących z koleją mieszkańców naszego osiedla nie tylko utrapieniem. Czasem nawet go lubili.

Często pociągi towarowe jadące w kierunku Medyki, a przewożące różnorodne towary, miały dłuższy postój w Dębicy. Wtedy skrzykiwały się dzieciaki z okolicy i – za cichym przyzwoleniem rodziców – o zmroku, skradały się na tory. Kilku chłopaków wdrapywało się na wagony i zwałało trochę węgla, buraków lub ziemniaków, a zbierający napełniali nimi swe koszyki czy wiadra. Oczywiście, nie było tego wiele, ale w tamtych trudnych czasach liczył się każdy „zdobyczny” łup. Był to też rodzaj przygody, a także sposób, by choć trochę dokuczyć „ruskim”.

Dzieci i młodzieży było na naszym osiedlu dużo. Całymi popołudniami grały w piłkę, szalały na rowerach, lub organizowały różne zabawy. Czasami z córką gospodyni dołączałyśmy do grających. Całe rozległe pola były nasze, aż do lokomotywni, o której gospodarz mówił tajemniczo: „Depo”. Wracaliśmy już po zachodzie słońca, gdy znad pobliskiej Wisłoki podnosiła się szara mgła.

Wśród chłopców prym wodził mały spryciarz, który potem został milicjantem. Po latach uczyłam jego syna – ciekawego indywidualistę, uzdolnionego artystycznie. Lubił się wyróżniać. Gdy wszyscy chłopcy nosili juniorki czy adidas, on chodził w wysokich, żołnierskich oficerkach. Ocytany, lubił dyskutować na lekcjach języka polskiego, zawsze upierając się przy swoich racjach. Po latach spotkaliśmy się podczas wycieczki do Wilna, dokąd zawoziliśmy dary dla domów dziecka i domów seniorów. Był skrzypkiem w jednym z zespołów artystycznych z Dębicy. Wieczorem wychodziliśmy na podwórze, gdzie odbywały się muzyczne próby. Pewnego wieczoru Boguś zagrał pięknie – tylko dla mnie.

Owa wycieczka spełniła moje wielkie marzenie, by zobaczyć „kraj lat dziecinnych” Mickiewicza, o którym tyle razy opowiadałam na lekcjach języka polskiego i Matkę Boską Ostrobramską, do której pielgrzymował nasz wieszcz, by „za wrócone życie podziękować Bogu” – jak pisał w Inwokacji do „Pana Tadeusza”.

Pragnęłam ujrzeć ów pejzaż „malowany zbożem rozmaitym, połączony pszenicą, posrebrzany żytem, gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała” i miejsca, które wiązały się z jego młodzieńczymi przeżyciami.

Pamiętam. Szliśmy ulicą ku Ostrej Bramie. Spojrzałam w górę i oniebiałam z zachwytu. Wszystkich ogarnęło ogromne wzruszenie. Były modlitwy, szloch, a potem myśli układające się w rym:

„W bujnej zieleni Wilno utopione,
Gwarne uliczki lśnią w kolorach stu.
I nagle oczy podnosisz zdumione
I wiesz na pewno, że to właśnie tu.

Kapliczka nad ulicą zawieszona,
Jak tęcza błyszczy jasnym blaskiem, hen -
Tak skromnie i tak pięknie ozdobiona,
W niej promienieje cudny obraz ten.

Więc stajesz tu i patrzysz urzeczony:
To Ty, o Matko, która słyniesz z łask
I w Ostrej Bramie – Matko Miłosierdzia -
„Lud nowogródzki ochraniasz” i nas.

Gdy nocą księżyc świeci na wieżami,
Ty nie śpisz, pragnąc dla nas sprawić cud;
Do nieba spieszysz z naszymi prośbami,
Żeby je złożyć u Jezusa stóp.

A potem cicho biegniesz uliczkami,
By w Wilii umyć zatroskaną twarz
I wracasz szybko tu, do Ostrej Bramy,
By znowu pełnić swą Matczyną straż.

O, Miłosierna Matko, spójrz – błagamy -
Na nasze serca pełne skrytych ran,
Na nasze oczy przepełnione łzami,
Utul nas, Matko i błogosław nam”.

Ponieważ corocznie otwierano nowe połączenia autobusowe między Dębicą a różnymi okolicznymi wsiami, wielu z nas rezygnowało ze stacji, wybierając dojazdy autobusem, dzięki którym mogliśmy codziennie wracać do domu.

Słynne jelcze z początku lat pięćdziesiątych, będące – jak głosiła propaganda – „najwyższym osiągnięciem odradzającego się przemysłu samochodowego”, zwane były przez nas „ogórkami”, „mękolami” lub „stonkami”. Jeżdżące nieregularnie, ciągle spóźniające się i psujące, zatłoczone ponad wszelką miarę – były jak klatki, w których próbowaliśmy znaleźć kawałek miejsca. Śmierdziały jakąś podłą benzyną, wyrzucały kłęby burych spalin, ale przynajmniej umożliwiały powrót do domu.

Chociaż istniało coś takiego jak „rozkład jazdy”, ale jeździły jak chciały; najczęściej spóźniały się okropnie, skazując oczekujących na niepewność, stres, na pokorne znoszenie kaprysów aury: upału, wiatru, deszczu czy mrozu. Królowały w nich rozkrzyczane konduktorki, starające się siłą przemieszczać wśród tłumu, by sprzedawać bilety; zazwyczaj tylko brały pieniądze, bo prawie nigdy nie było żadnej kontroli. Pamiętam, jak jedna z nich – dorodna, czarnooka i czarnowłosa, przechwalała się ze śmiechem, że codziennie sobie dorabia na tenisówki. Dlatego pewnie zawsze witała pasażerów wesołym: „Dobre ranko”!

Ale prawdziwym władcą i panem w „mękolu” był kierowca. Od jego widzimisię zależało, ile osób uszczęśliwi wpuszczeniem do środka, a kogo zostawi na dworcu, bez możliwości jakiegokolwiek powrotu. Na przystankach ciągle kłębił się tłum; zdesperowany, rozpychający się łokciami, nie zważający na innych. Byle tylko docisnąć się do drzwi, byle tylko znaleźć się w środku!

Mieliśmy wykupione bilety miesięczne, po które stało się godzinami w gigantycznych kolejkach. Dlatego czasem któryś z profesorów – np. profesor Wiercioch – pozwalał, by dwóch uczniów zebrało od dojeżdżających w klasie pieniądze i zakupiło bilety dla wszystkich. Uprawniały one do przejazdu tylko o określonych godzinach. Tak było i w pociągach, gdzie nawet wyznaczono osobne przedziały dla uczniów. Gdy nasz pobyt w Dębicy z jakiegoś powodu – np. szkolnego wyjścia do kina – się przedłużał, powrót zależał całkowicie od łaskawości kierowcy.

Pamiętam szczególnie jednego, starszego mężczyznę o złej twarzy, straszliwie „humorzystego”, którego bali się wszyscy pasażerowie. Nigdy nie byliśmy pewni, ile osób zabierze, na kogo nakrzyczy, czy aby nie ruszy nagle, zostawiając absolutnie wszystkich na przystanku. Taka „obrażona persona” to było coś strasznego! Bo potem już tylko – „per pedes”...

Gdy jednak udało nam się wcisnąć do środka „mękola” i wywalczyć sobie jakiś kawałeczek miejsca, byliśmy szczęśliwi. Za oknami umykał znajomy pejzaż: senne wioski, bielone domy w sadkach, oplecione dzikim winem, na elektrycznych drutach rzędy jaskółek, wyglądające jak czarne nutki tajemniczej melodii, samotny fraszobliwy Świątek przy drodze, zadumany nad niezrozumiałym światem. Wisłoka wciąż inna – to leniwie, prawie bezszelestnie toczyła swoje wody między ocienionymi brzegami, porośniętymi gęstymi zaroślami, to zamarzała, to odmarzała, huczała spiętrzoną krą, pieniała się i rosła niebezpiecznie, by znów złagodnieć i powrócić do spokojnego nurtu, odsłaniając całe połacie piachu o płowym odcieniu, kontrastujące z ciemną zielenią nadbrzeżnych zarośli.

Docieraliśmy do domów późno; jesienią – już o zmroku [zimą najczęściej kursy były zawieszane]. Nad domami sączyły się niskie, szarobure dymy, przypominające o czekającym nas gorącym posiłku. Szybki obiad, lekcje i już, przytuleni do poduszki, z jakąś ulubioną książką, przenosiliśmy się w świat literatury, świat marzeń i wyobraźni, lub roztrząsaliśmy w myślach jakiś szczególnie pechowy incydent dnia, przeżywaliśmy od nowa sobie tylko znane strachy, zmartwienia i żale. Potem odpływaliśmy w krainę snu. A sen przychodził cichutko, niespodziewanie. Czytana książka wypadała z ręki... Śniliśmy jakieś horrory lub niezwykle radosne przygody, nie mając żadnej władzy nad swymi snami.

Dla dojeżdżającej autobusami i pociągami młodzieży szkolnej otwarto świetlicę przydworcową, usytuowaną u wylotu ulicy Kolejowej, w nieistniejącym już dziś przedwojennym budynku; w miejscu, gdzie obecnie znajduje się sklep „Jubilatka”. Bardzo lubiliśmy tam zachodzić. Pewnie wielu moich rówieśników z sentymentem wspomina godziny spędzane w tej świetlicy, w oczekiwaniu na spóźniające się notorycznie autobusy i pociągi. Czekaliśmy w cieple, mając tuż obok przystanki autobusowe, stację kolejową i dwa kioski, które zaspokajały nasze uczniowskie potrzeby. W kiosku spożywczym kupowaliśmy jakieś landrynki czy herbatniki, a w „Ruchu” gazetę, brakujący zeszyt czy tabletkę z krzyżykiem od bólu głowy. Byliśmy zazwyczaj biedni, przyzwyczajeni do oszczędzania. Nasze mamy mówiły: – I po szpilkę warto się schylić.

A owe kioski „Ruchu” – charakterystyczne wytwory socjalistycznej myśli technicznej – były stałymi elementami miejskiej architektury. Miały kształt budek – tak małych, że sprzedawca ledwo się w nich mieścił. Ale zawsze było w nich wiele towaru, a także jakoś upychano tam i „słoneczko” ogrzewające nogi w zimnym wnętrzu, i elektryczną kuchenkę na zaparzenie herbaty.

Lekkie, niedrogie, odkrywcze w swej prostocie, łatwe do przewożenia i zainstalowania, zajmowały mało miejsca, a – choć nie grzeszyły urodą – były bardzo pożyteczne. Można było skoczyć do kiosku [wyrażenie „skocz do kiosku” – stało się trwałym związkiem frazeologicznym] po zapalki, papierosy, poranną gazetę, po żyletkę, ołówek, mydełko, pastę czy szczoteczkę do zębów, po wodę toaletową, smoczek dla dziecka czy denaturat.

Jeszcze do dziś niektóre przetrwały jako relikty minionej epoki. Najciekawszy jest chyba ten przy skrzyżowaniu ulicy Rzeszowskiej z ulicą Kościuszki. Każdego ranka obrasta barwnymi drobiazgami, stanowiącymi reklamę zawartości wnętrza. Różne gadżety „od Sasa do lasa”: plastikowe zabawki, gumowe piłki, nagrobne znicze, sztuczne kwiaty – wiszą na ściankach, stoją wokół na chodniku, wychylają się z wnętrza, pełniąc też funkcję miejscowego folkloru.

W naszej młodzieżowej świetlicy przydworcowej panował ciągły ruch – wchodził i wychodził uczniowie różnych dębickich szkół średnich; tu zawierało się przyjaźnie, dyskutowało o szkole, plotkowało o chłopakach i nauczycielach. Pamiętam, jak jedna z dziewczyn głośno uczyła się nazw jakichś roślin, wśród których były: tulilezka, kocimiętka i wężymord. Tak nam się spodobały, że szukaliśmy wśród uczących nas profesorów tych, których można by obdarzyć takimi określeniami. Bo przecież każdy nauczyciel miał jakąś „ksywę”: Lolo, Flak, Rozwielitka, Dusiołek, Rusek, Ciotka ...

Dwie panie „świetliczanki”, które na przemian pełniły tu dyżury, dbały o ciepłą atmosferę tego miejsca, ale też żądały względnej ciszy potrzebnej tym, którzy już tu odrabiali zadania domowe, pilnowały porządku i kulturalnego zachowania. Staraly się też uczyć nas i wychowywać. Wypożyczały do czytania czasopisma, pomagały w rozwiązywaniu krzyżówek, prowadziły dyskusje na różne tematy interesujące młodzież, uczyły *savoir-vivre`u*. – „Na grzeczności nikt nie traci” – mówiły.

Pamiętam, że zachęcały nas do śledzenia porad dotyczących dobrego zachowania zamieszczanych w „Przekroju” przez Irenę Ipohorską, piszącą pod pseudonimem – Jan Kamyczek. Pomagały nam też we wspólnym rozwiązywaniu ambitnej krzyżówki z tegoż czasopisma, podsuwały satyryczne wiersze Jerzego Kerna, „złote myśli” Kreci Pataczkówny, czy dowcipne rysunki Eryka Lipińskiego o profesorze Filutku i jego jamniczku, zamieszczane na ostatniej stronie.

Panie świetliczanki polecały nam to czasopismo, świadome jego wartości. Bo „tygodnik „Przekrój” – jak mówiła Anna Seniuk – był jedynym pismem, w którym udawało się omijać wszechobecną propagandę [...].

Zaczynali tam najwięksi: Stanisław Lem, Jerzy Kern, Leopold Tyrmand, Lucjan Kydryński. W tym tygodniku można było znaleźć niedostępne na rynku fragmenty światowej literatury, wiadomości ze świata sztuki i mówiące o trendach modowych na Zachodzie. A przy tym lekkość, wdzięk, dobre fotografie, grafika [...] i dział mody Barbary Hoff, który pozwalał kobietom uwierzyć, że mogą być równie atrakcyjne jak paryżanki [...]. A wszystko to trzymał w garści nieoceniony naczelny Marian Eile”.

Pamiętam, jak w kąciaku modowym „Przekroju” pokazano szalenie drogą torebkę „Chanel 2.55”. Podziwialiśmy to чудо, które ponoć słynna projektantka mody stworzyła w lutym 1955 roku; stąd cyfry w jej nazwie. Torebka była uszyta z czarnej, pikowanej skóry, miała złoty łańcuszek i także zapięcie w kształcie liter CC. Podobno piękna, bordowa podszywka miała nawiązywać do koloru mundurka, jaki Coco nosiła w szkole klasztornej, do której uczęszczała. Mimo że zdjęcie było dość liche, ale i tak ogromnie nam się podobało. Pragnęliśmy mieć taką torebkę i obiecywałyśmy sobie, że kiedyś musi nas być na taką stać. Nie wiem, czy któryś z nas spełniło się to marzenie.

Panie świetliczanki włączały też radio, a w nim np. modną muzykę, by nas sprowokować do rozmów na jej temat. Podsuwały nam artykuły o najgłośniejszym wówczas zespole The Beatles, powstałym w 1960 roku w Liverpoolu, w którym występowali nasi idole muzyczni: John Lennon, Ringo Starr, Paul McCartney, George Harrison. Z wypiekami na twarzy czytaliśmy o swoistej „bitlesomanii”, jaka zapanowała wśród młodzieży, o koncertach, na których dziewczyny krzyczały, płakały i mdlały. Podziwialiśmy też na gazetowych zdjęciach innego idola młodzieży, „króla rock and rolla” – Elvisa Presleya, z charakterystyczną bujną fryzurą, występującego w amarantowych marynarkach, spodniach z lampasami i w kolorowych butach, a także śledziłyśmy rosnącą modę na polskie zespoły „bigbitowe”, które zaczęły powstawać w naszym kraju jak przysłowiowe grzyby po deszczu.

Największe sukcesy odnosiła warszawska grupa „Chocholy”, karierę rozpoczynał Czesław Niemen, a pierwszą nagrodę na festiwalu w Opolu w 1963 roku wyśpiewała przebojowa Karin Stanek. Najsłynniejsze zespoły „bigbitowe” miały dopiero powstać, ale czasopisma, takie jak „Filipinka”, „Nowa Wieś” czy „Na przełaj” zachęcały młodych ludzi do nauki gry na gitarze, która dla wielu moich rówieśników stała się instrumentem-marzeniem; drukowano nuty i teksty modnych piosenek i uczono prostych gitarowych chwytów. Karin Stanek śpiewała: „Chłopak z gitarą byłby dla mnie parą” i reklamowała piosenką „Autostop” modę na podróżowanie „za jeden uśmiech”.

Panie świetliczanki zachęcały nas też do dyskusji o filmach, które wchodziły na ekrany światowych kin i do tych, granych w dębickiej „Uciesze”, tak popularnej, że często brakowało miejsc. Kolejki do kasy były więc czymś normalnym, tak jak i panowie zwani „konikami,” wystający przy schodach wiodących do kina i oferujący bilety po dużo wyższej cenie. Korzystających z tej oferty nigdy nie brakowało, więc interes się kręcił. My, biedni „szkolarze”, w takich sytuacjach odchodziliśmy spod kasy niepokieszeni.

Pamiętam, jak bardzo pragnęliśmy obejrzeć nakręcony w 1960 roku pierwszy polski film szerokoekranowy – „Krzyżacy”. Miał dużą reklamę, wiele pozytywnych recenzji, a w czasopismach pojawiały się różne ciekawostki z planu i zdjęcia aktorów kreujących główne role. Niestety, w naszej „Uciesze” nie było szerokiego ekranu, dlatego szkoły i zakłady pracy masowo organizowały wyjazdy do kina „Tęcza” w Rzeszowie. Czekaliśmy niecierpliwie. Wreszcie i nasza szkoła zorganizowała taki wyjazd. Byliśmy zauroczeni i żywo dyskutowaliśmy na temat owych „Krzyżaków” – w szkole, w świetlicy i w domu. Adaptacja powieści Sienkiewicza była zrobiona z rozmachem, choć twórcy nie ustrzegli się drobnych błędów; uważny widz mógł dostrzec gdzieś na horyzoncie przejeżdżający samochód, jakiś słup telegraficzny, a na ręce króla Jagiełły – zegarek. Ale jeszcze dziś – choć film bardzo się zestarzał – z sentymentem go sobie przypominamy.

My, dziewczyny, z zapartym tchem śledziłyśmy burzliwe życie gwiazd polskiego i światowego kina. Zbierałyśmy fotosy aktorek i aktorów, które wycinałyśmy z czasopism, niekiedy zdobywanych spod lady i wklejałyśmy je do specjalnych zeszytów. Mama koleżanki z klasy – Ady prowadziła kiosk w Ciasnej uliczce. To od niej „po znajomości” kupowałyśmy „Ekran” czy „Film”, choć nie miałyśmy tam założonych specjalnych teczek, uprawniających do nabywania tych czasopism.

Wzdychałyśmy do niezwykle przystojnego, młodzieżowego idola amerykańskiego kina Jamesa Deana, który zagrał w „Olbrzymie”, w „Na wschód od Edenu”, czy w „Buntowniku bez powodu”. Zwłaszcza po tym ostatnim filmie aktor stał się symbolem wrażliwego, zbuntowanego nastolatka, a jego niespodziewana śmierć w wypadku samochodowym w 1955 roku tak bardzo wpisywała się w wizerunek, który stworzył. Jego polskim odpowiednikiem stał się fascynujący aktor Zbigniew Cybulski, zwłaszcza po filmie „Popiół i diament” [1958 rok], gdzie świetnie zagrał przegranego akowca. Maciek wyróżniał się spośród postaci filmu nowoczesną sylwetką i ubiorem. Chodził w modnej skórzanej kurtce, w wąskich spodniach i ciemnych okularkach. Szybko stał się legendą pokolenia i idolem młodzieży, a także

ikoną mody i wzorem zachowań. Miał wielu naśladowców – także wśród moich kolegów. Ale chyba najdoskonalej naśladowali jego wygląd i zachowanie dwaj bracia W. którzy często przesiadywali na ławeczce na dębickim rynku, prezentując z dumą skórzane kurtki, spodnie-rurki i ciemne okulary „toczka w toczkę” podobne do tych – Zbyszka Cybulskiego. Również ich fryzury, sylwetki, miny, czyniły z nich prawdziwych sobowtórów aktora. Szpanowali, przybierali odpowiednie pozy, naśladowali jego zachowane i charakterystyczne powiedzonka. Obok nich zawsze kręciło się mnóstwo dziewczyn, jakby i im udzielała się niezwykła aura otaczająca braci. Nikt się nie spodziewał, że za kilka lat, w mroźny styczniowy dzień 1967 roku Zbyszek Cybulski zginie tragicznie we Wrocławiu pod kołami pociągu. Charakterystycznych braci W. też zresztą „jakieś wiatry żalosne rozwiały”. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat? Czas zatarł ślad...”

Nasza szkoła niezbyt często organizowała wyjścia do kina, więc każda taka „impreza” była dla nas świętem. Pamiętam, z jaką radością oglądaliśmy piękny, kolorowy film „Toni Sailer – Czarna Błyskawica”, opowiadający barwną historię życia austriackiego zjazdowca, trzykrotnego mistrza olimpijskiego i siedmiokrotnego mistrza świata. Po skończeniu kariery występował w filmach. Był niezwykle przystojny, utalentowany, a film wypełniały jego popisy na precudnych alpejskich trasach narciarskich; wydawało się nam, że chciał dogonić, a może nawet przegonić wiatr. Film był niezwykle barwny, dynamiczny, ciekawy. Wychodziliśmy z kina zauroczeni, roześmiani, szczęśliwi. Ale okazało się ta „siurpryza” miała gorzki smak.

W czasie, gdy trwał seans, zerwała się śnieżna burza i wszędzie „zasypało na białą”, więc wszystkie autobusy do poddębickich wiosek zostały odwołane. Czekaliśmy na żmudną wędrówkę w zapadającym zmierzchu przez kompletnie zawiane drogi. Wciąż sypało i wiało w oczy. Brnęliśmy w coraz bardziej kopnym śniegu. Nie dotarłam do domu...

Na szczęście na nocleg zaprosiła mnie koleżanka z klasy, śliczna Irenka, czarnooka i czarnobrewa, zwinna jak baletnica i delikatna jak mimoza. Jej rodzice zaopiekowali się nami troskliwie: nakarmili, ogrzali, ułożyli do łóżek, wysuszyli nasze mokre ubrania.

Pamiętam, że leżąc w pokoju Irenki pod puchatą, ciepłąką pierzyną, podziwiałam olbrzymią paproć stojącą na szafie i zwieszającą swe pędy aż do samej ziemi. Przypomniałam sobie powiedzenie, że paproć buja tylko tam, gdzie panuje zgoda i miłość!

Do domu dotarłam dopiero na trzeci dzień, bo zawieje zupełnie odcięły moją wioskę od świata. Czekający na jakąś wiadomość rodzice, odetchnęli

z ulgą. Były bowiem takie zimy, gdy liczne wsie, utopione w ogromnych śniegach, skute mrozem, nie miały żadnej łączności ze światem.

Pewnego razu skorzystałam z propozycji mojej miłej koleżanki Krysi mieszkającej w Pustyni, która zaproponowała mi pobyt u niej na czas największych śniegów i mrozów. Krysia była milutką, czarnooką dziewczyną o okrągłej buzi z dołeczkami na policzkach, a jej uroczemu uśmiechowi zawsze towarzyszył nieśmiały rumieniec. Uczyłyśmy się razem, zwłaszcza historii, której Krysia panicznie się bała. Chociaż „wkuwała na blachę” całe strony ze szkolnego podręcznika, wywołana na środek przez profesorkę Gwrysiową, była tak ogarnięta obezwładniającym strachem, że nie mogła wydobyć głosu. Spuszczała tylko swoje wielkie, smutne oczy i milczała. Była śliczna, wesoła, uczuciowa i pracowita, ale wtedy, gdy tak stała samotnie przy tablicy, wydawała się słaba i krucha; wprost „skrzywdzona bezbronność”. Sypały się dwójki, nieprzyjemne komentarze, które były bardzo niesprawiedliwe, bo Krysia w domu śpiewając „recytowała” cały zadany materiał.

Dawnymi czasy – jak wspominają absolwenci – niektórzy pedagodzy uważali, że gdy się ciągle mówi uczniowi, że jest najgorszy, leniwy, nieuk i głupiec, to on się zmieni na lepsze. A to tylko rodziło kompleksy, smutek, żal; a początkowy entuzjazm, z jakim rozpoczynało się naukę, gasł jak wąty płomyk świecy.

Krysia mieszkała tylko z chorą mamą, której nie chciała martwić, więc starałyśmy się uczyć jak najwięcej. Była to bardzo fajna, kochająca się rodzina; serdeczna i skromna. Pobyt tam wspominam bardzo miło. Dom Krysi stał niedaleko przystanku kolejowego, ale i tak marzyliśmy okropnie, czekając na strasznie spóźniające się pociągi. Lubiliśmy śnieg, ale w tamtym roku miałyśmy już prawdziwy „śniegowstręt”.

Pamiętam tamte poranki. Wychodzimy z ciepłego domu na ostry mróz. Oślepia blask słońca odbijającego się od białego puchu, który grubą warstwą pokrywa wszystko dokoła. Zięb natychmiast przenika nasze ubrania, arktyczne powietrze powoduje ból w oskrzelach. Tupiemy nogami, chowamy w kieszeniach lodowato zimne ręce, wtulamy czerwone nosy w wełniane szaliki. Wydaje się, że nawet nasze słowa zamarzają.

Noblistka Olga Tokarczuk pisała o takim dniu: „Ranki zimowe zrobione są ze stali, mają metaliczny smak i ostre krawędzie [...]; widać, że świat nie został stworzony dla człowieka, a na pewno nie ku jego wygodzie i przyjemności”.

Wreszcie dostrzegamy migające jaskrawym światłem reflektory i z ogłuszającym hukiem, i przeraźliwym piskiem hamujących kół wtacza się na pe-

ron czarny pociąg spowity chmurą szarego dymu, wypełniając powietrze zapachem węgla i pary. Gramolimy się niezdarnie po wysokich, oblodzonych schodach. W pociągu – przejmujące zimno i niemal pusto. Wagony bezprzeziałowe, zniszczone, brudne. Czekamy, nie wiadomo na co.

Wreszcie brzuchata, czarna lokomotywa, ciężko sapiąc i wypuszczając kłęby białej pary, szarpie „z mozołem i kręci się, kręci się koło za kołem”, wystukując znajomy, miarowy rytm. W milczeniu spoglądamy przez częściowo zamrożone szyby na niesamowicie piękny, cały w nieskazitelnej bieli, cichy i nieruchomy pejzaż, jak z obrazów Juliana Fałata. Gdyby tylko nie było tak zimno!

Zdarzały się też takie zimy, jak ta z 1963 na 1964 rok – najcięższa od wielu lat, nazwana „zimą stulecia” – gdy zajęcia szkolne zostały całkiem zawieszone.

Ten zwyczaj miał długą tradycję. Aneta Kwolek pisała, że tuż po I wojnie światowej, „w lutym 1919 roku zawieszono zajęcia ze względu na silne mrozy”.

Zanim uczniowie zyskiwali dodatkowe ferie, przez wiele dni mroziło, wiało, sypało, kurzyło dniem i nocą, tak że spychacze i pługi śnieżne zupełnie nie nadążały z usuwaniem z dróg białego puchu. Zawiewało drogi, zrywało łączność telefoniczną, świat tonął w śnieżnej powodzi. Siedzieliśmy przy piecach i spoglądając za okno na męczącą, jednostajną biel, marzyliśmy, by jak najprędzej przyszła wiosna – cała w kolorach, zapachach i dźwiękach. By w dębickim parku znów białą pianą rozkwitły zawilce o delikatnych płatkach z żółtą plamką w środku, by znów po podłodze w kuchni łążyły pokraczne, puchate kurczątko, a znajomy bocian w gniazda na wysokiej topoli znów rozkładał swe majestatyczne skrzydła, szykując się do lotu, by znów pachniała świeżo zaorana ziemia, czekająca na wiosenny zasiew. No cóż, pomarzyć dobra rzecz...

Po powrocie do szkoły profesorzy zmuszali uczniów do jeszcze intensywniejszej nauki, by nadrobić zaległości, robili więcej niż zwykle sprawdzianów, klasówek i powtórek.

Znów sypały się dwójki, a oni straszili wychowanków repetowaniem i niezdaną maturą.

Czasem, chcąc zmięknąć serce jakiegoś profesora, niektóre dziewczyny uciekały się do łez. Bo kobiety – jak zauważył jeden z pisarzy – mają tę cudowną umiejętność, że kiedy trzeba, wydobędą – choćby spod ziemi – odrobinę wilgoci pod oczy. Ale profesorzy naszego liceum, niestety, pozostawali zazwyczaj niewzruszeni.

Czas – jak słusznie stwierdził ktoś inny – jest chytry jak lis i bywa złośliwy. Najczęściej więc czekaliśmy końca lekcji jak zbawienia, odliczając chwile, które – właśnie jakby na złość – sączyły się powoli jak przeciekająca woda. Wreszcie – najpierw w oddali, potem coraz bliżej rozlegający się dźwięk dzwonka ogłaszał upragnioną przerwę. Profesorzy zazwyczaj nie zwracali uwagi na ten wyzwalający głos i spokojnie kończyli materiał przeznaczony na dany dzień, choć byliśmy już w „blokach startowych”, by wybiec na korytarz; już gwarne głosami uczniów z innych klas.

Niektórzy dyżurujący nauczyciele natychmiast zaganiali nas do maszerowania po korytarzu – w kółko, parami, co było naszą wielką zmart. Oburzało nas straszliwie, więc buńczucznie – oczywiście, gdy nikt z profesorów nas nie słyszał – wykrzykiwaliśmy nasz protest, a gdy tylko było to możliwe, zostawaliśmy w klasie. Ten bunt – choć dość tchórzliwy – był czymś naturalnym dla młodych ludzi w wieku „burzy i naporu”, co trafnie ujął Julian Tuwim: „Kto się w siedemnastym roku nie burzył, ten nigdy nie był morzem, chyba łyżką wody”.

Ale wtedy natychmiast wpadała np. profesorka Helena Gałuszka krzycząc, że zaduch, że smród; kazała nawet w największy ziąb otwierać okna nadkruszone zębem czasu i wypędzała nas do spacerowania. Sama też sprężystym krokiem przemierzała korytarz, bacznie obserwując nasze zachowanie. Lubiła, gdy z książki lub zeszytu odświeżaliśmy sobie jeszcze przed lekcją zadany materiał, choć to było zazwyczaj ponad nasze siły i tylko największe kujony spacerowały z nosem w podręczniku. Niekiedy profesorze Gałuszcze towarzyszył profesor Zdzisław Czerny, ale nawet szeptane przez niego dowcipy czy inne wesołe historyjki nie zdołały osłabić jej czujności.

Przed tym beznadziejnym spacerowaniem w kółko nie było ucieczki. No, ostatecznie można było schronić się w ubikacji, ale nie było to miejsce miłe, a i tam zdarzały się profesorskie kontrole.

Bardzo ważny był nasz tygodniowy podział godzin, choć prawie wszystkie lekcje były wyzwaniem. Ale zdarzało się, że jakiś wtorek czy czwartek był dniem bez matmy czy chemii, co pozwalało na „złapanie oddechu”. Okazało się też, że jedni profesorzy byli niezwykle surowi, inni zaś bardziej tolerancyjni i wyrozumiali. Poznanie „od podszewki” tajników działania szkoły miało dla nas ogromne znaczenie.

Dopiero po ostatniej lekcji czuliśmy się wolni. Po ogromnie stresujących godzinach przebywania w surowych, grubych murach, z panującym półmrokiem korytarzy – które odbierały nam wszelką spontaniczność i naturalną dla młodych ludzi radość – gdy wreszcie pojawiała się rychła perspektywa wypły-

nięcia na wolność, na powietrze, na słońce, na deszcz, na śnieg, na mróz czy wiatr, czekaliśmy niecierpliwie na ten wyzwajający ostatni dzwonek.

I wtedy natychmiast robiło się gwarно jak w ulu. Wrzucaliśmy byle jak do naszych teczek książki i zeszyty, podrywaliśmy się z miejsc i tłoczyliśmy się w drzwiach, by jak najszybciej znaleźć się na ulicy. Buzowało w nas życie, dźwięczał śmiech zaraźliwy jak katar i gwar jak w środę na bazarze.

Pamiętam. Marysia, chyba najpiękniejsza z nas, o romantycznym sercu i wesołym usposobieniu, przesyła powłóczyście spojrzenia klasowemu „czarusiowi”, Tola – zawsze pogodna i pewna siebie, opowiada jakiś dowcip, Ewa – czemuś naburmuszona – zbiera swoje „malunki”, Krysia o twarzy gładkiej jak z porcelany, a także Zosia o oczach tak błękitnych jak dwa skrawki nieba, Ada, Basia, Irena – zdejmujemy w pośpiechu chałaty i upychamy do teczek. Nasze kolorowe letnie bluzeczki pachną tanimi perfumami, kupowanymi w drogerii przy rynku, włosy – umyte rano – rozsypują się na wietrze...

Z nami chłopaki z klasy – szpanujący, udający dorosłych, choć jeszcze dziecinni i pryszczaci, jak wszyscy w tym wieku: Staszek, Bogdan, Jurek, Rysiek, Leszek, Zdzisek, Dolek. Przez wiele godzin uwięzieni w kamiennych murach, wybiegamy na słońce, mrużąc oczy nieprzywykłe do jasności. Kipi w nas energia, irracjonalna radość i beztroska. „Tych lat nie odda nikt”...

W okresie młodości chętnie ucieka się w świat ułudy, piękna, rojonych snów. Taką ucieczkę od szarej rzeczywistości dawało nam obcowanie ze sztuką. Zbigniew Herbert pisał, że „zadaniem sztuki jest przygotowanie oczu na nieustający zachwyt i zdziwienie”, Józef Hen, że umożliwia „rozładowanie emocji i poznawanie życia”, a Jan Wiktor, że to „objawienie piękna i doskonałości”.

Może w Dębicy nie było zbyt wielu okazji do takiego „obcowania” z prawdziwą sztuką, gdyż rzadko występowali tu jacyś wielcy artyści [jak np. wspomniana już Irena Solska]; najczęściej przyjeżdżały zespoły prowincjonalne, a jeśli krakowskie, to mało popularne, o których Jan Wiktor pisał: „ot, takie odpadki od kół królewskich”.

Ale młodzi ludzie chętnie wyjeżdżali do Krakowa, Tarnowa czy Rzeszowa. Tam zwiedzali muzea, galerie sztuki, wystawy, uczestniczyli w różnych spotkaniach z ludźmi kultury. Tak było zawsze. Zawsze też kochali teatr, bo – jak pisał Jonasz Kofta: „bez teatru życie jednakowoż utyka”.

Mieczysław Jastrun wspominał czas, gdy do Tarnowa – gdzie chodził do gimnazjum – przyjechał młody, ale już sławny Julian Tuwim. Młodzież fascynowała się nowoczesną, awangardową poezją, która jednak w ówczesnej szkole była nieobecna, a nawet wyszydzana. Wychowawca zabronił

uczniom brać udział w spotkaniu tego twórcy, „którego otaczała tak pociągająca, gdy się ma lat siedemnaście, sława gorszyciela, futurysty, niemal bolszewika”. Ale i tak wielu młodych z Tarnowa i okolicy przybyło potajemnie na to spotkanie. Na pewno byli tam też uczniowie naszego dębickiego gimnazjum, chociaż takie wyjazdy były ryzykowne.

Autor „Prześwietlonych wspomnień” pisał, że jako gimnazjalista nie tylko szukał spotkań ze sztuką, ale marzył też, by zostać dramaturgiem i aktorem teatralnym:

„Wówczas marzyłem o występach w teatrze, o pisaniu sztuk. Pragnąłem z siebie wyrwać to, co tailem, zawrzeć w słowie wszystko, co jest pięknem, co jest światłem, wszystko, co szczęściem darzy, co mroki rozprasza, co ból uśmierza. Z takim słowem pragnąłem iść ku skrzywdzonym, smutnym, cierpiącym, ku samotnym, opuszczonym, do izb ciemnych, do suterren, do barłogów, ku zropaczonym, ku wąpiącym, ku tym, którzy stracili wiarę w człowieka, w dobro i miłość, ku tym, którzy w ciemności się mżolą, czekając świtu, którzy budują jutro, wciąż burzone przez zbrodnicze ręce. Wierzyłem, że takie słowo znajdę w teatrze, nabrzmiałe słońcem, napojone uśmiechem szczęśliwych ludzi [...]. W tym okresie upadków i wzlotów przeżywaliśmy szaleństwo teatralne związane z tęsknotą do przebudowy świata. Żłuda teatralna stawiała się treścią życia [...]. Żądza teatru pożerała umysły. Niejednego uwiodła”.

Pamiętam i ja nasze szkolne fascynacje teatralne w czasie wyjazdów z młodzieżą do Krakowa na różne przedstawienia: na „Protesilasa i Leodamię” Stanisława Wyspiańskiego, na „Noc listopadową” tegoż autora, „Baladynę” Juliusza Słowackiego, czy „Szklaną menażerię” Tennessee’a Williamsa. To były niezwykle wrażenia!

Szczególnie mocno uczniowie przeżyli spektakl w Teatrze imienia Słowackiego „Brat naszego Boga” autorstwa Karola Wojtyły – późniejszego papieża Jana Pawła II – w którym główną rolę świętego brata Alberta kreował Jan Frycz, czy „Mord w katedrze” Tomasza Eliota, wystawiony nie w teatrze, a w katedrze wawelskiej. Mogli uczestniczyć w akcji przenoszonej w różne miejsca katedry, a także z bardzo bliska zobaczyć sławnych krakowskich aktorów: Annę Dymną, Annę Polony, Dorotę Pomykałę, Jerzego Bińczyckiego, Krzysztofa Globisza, Edwarda Lubaszenkę, Jerzego Radziwiłowicza i podziwiać ich talent.

Wielokrotnie organizowaliśmy dla naszych uczniów takie wyjazdy na różne spektakle – do Krakowa, Rzeszowa i Tarnowa, oglądaliśmy też wiele sztuk teatralnych pokazywanych w Dębicy. Nasi wychowankowie pamię-

tają pewnie tarnowskie „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego – wystawione z rozmachem, nowatorsko, gdy Chochół śpiewał złowieszczo: „Ostał ci się jeno sznur...” chodząc wśród publiczności, którą prowokowano do aktywnego odbioru sztuki. Oglądaliśmy też „Sen srebrny Salomei” Juliuszałowackiego, „Betlejem polskie” Lucjana Rydla, „Antygonę” Sofoklesa, „Hamleta” Szekspira, „Zemstę” i „Śluby panieńskie” Aleksandra Fredry, „Tango” Sławomira Mrożka, „Iwonę, księżniczkę Burgunda” Witolda Gombrowicza i wiele, wiele innych.

Nasze młodzieńcze fascynacje, tak jak fascynacje naszych uczniów, dotyczyły również czytania książek. Te, które w latach licealnych najbardziej nas interesowały, pożyczaliśmy nie w szkole, ale w dębickiej bibliotece powiatowej, w bibliotekach znajdujących się w naszych wioskach, a przede wszystkim – w zbiorach prywatnych. Pożyczaliśmy je sobie nawzajem, czytaliśmy pod ławką na lekcjach, w świetlicy, na przystanku, w autobusie i w domu. Często zarywaliśmy noce, bo od lektury trudno było się oderwać.

Co to była za lektura? Najróżniejsza. Dziewczyny kochały oczywiście „Trędowatą” Heleny Mniszkówny, „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell, „Dzieje grzechu” Stefana Żeromskiego, „Nędzników” Wiktora Hugo, „Targowisko próżności” Thackeraya, „Opowieść wigilijną” Karola Dickensa. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie literatura rosyjska: „Wojna i pokój” i „Anna Karenina” Lwa Tołstoja, „Szlacheckie gniazdo” Iwana Turgeniewa, „Zbrodnia i kara” Fiodora Dostojewskiego, „Cichy Don” Michaiła Szołochowa, a najbardziej chyba – „Droga przez mękę” Aleksego Tołstoja.

Chłopcy preferowali kryminały, książki wojenne, podróźnicze i fantastykę, która nieśmiało wkraczała do literatury.

Ulubione książki zmieniały się wraz z upływem kolejnych dekad, tak jak zmieniała się rzeczywistość i do liceum przychodziły kolejne roczniki młodzieży. Dziś klasyka jest niemodna, a i książek młodzież czyta mniej. Szkoda.

Jako uczniowie uczestniczyliśmy w wielu uroczystościach organizowanych przez szkołę. Oprócz obowiązkowych akademii pierwszomajowych, z okazji Święta Wojska Polskiego czy rewolucji październikowej [tej, pisanej wówczas wielką literą], były ciekawe wieczornice literackie, koncerty muzyczne, spotkania z twórcami kultury.

Ale najbardziej czekaliśmy na występy kabaretu „Skra”, w którym brały udział również moje koleżanki z klasy: Danka Borowiecka, Jasia Wielgus i Maryla Tarnopolska. Kabaret ów – jak można było przeczytać w lokalnej gazecie „Echo Załogi” – był „najsłynniejszym i najpopularniejszym w historii rozrywki, a wręcz całej dębickiej kultury”. Powstał na harcerskim

obozie, ale szybko wypłynął na szersze wody: zdobył dużą popularność i rozwinął swą działalność, która trwała przez wiele lat. Uświetnił nawet uroczystości stulecia naszej szkoły. Założycielami i niekwestionowanymi gwiazdami owego kabaretu byli bracia – Jerzy i Jan Maślanka. Zaśmiewaliśmy się do łez, siedząc w auli z moją koleżanką z ławki – Jasią.

W ósmej [czyli pierwszej] klasie – jak wspominałam – siedziałam w ławce z Ewą: spokojną, poważną, miłą, grzeczną i serdeczną, cichą i mało mówną, a potem – już do matury – właśnie z Jasią, będącą przeciwieństwem Ewy: bezpośrednią, gadatliwą, temperamentną, wesołą. Tak się złożyło, że obie dziewczyny były wychowywane tylko przez mamy.

Dzieliłyśmy się wszystkim, dyskutowałyśmy zawzięcie, a ciekawych tematów nigdy nie brakowało. Jadłyśmy po kryjomu cukierki w papierkach kolorowych i szeleszczących, i pyłowałyśmy bez końca.

Ewka była dziewczyną niezwykle uzdolnioną plastycznie i przejawiającą ogromną, nieustanną potrzebę ciągłego rysowania. Wszystkie jej książki, zeszyty, luźne kartki zdobiły piękne malunki, tworzone – oczywiście – również podczas lekcji. Przeszkadzało jej tylko wyrwanie do odpowiedzi lub przerwa, na którą nas przymusowo wypędzano z klasy.

Miałam nadzieję, że Ewka będzie wykonywać za mnie prace plastyczne, jako że talentu do malowania nie miałam za grosz, choć daremnie próbowałam ją nieudolnie naśladować. Niestety, profesor Stefan Dziepak uczący nas plastyki, zawsze na zajęciach preferował tematykę batalistyczną. Polecał nam więc rysować czołgi, karabiny, sceny bitewne itp. czy odwzorowywać ryciny o tematyce wojskowej, a lekcje te były jakby przedłużeniem przysposobienia wojskowego, którego też nas uczył. Ta tematyka była Ewie zupełnie obca i odporna nawet na jej talent.

Zdesperowana nad pustą kartką, powtarzała maksymę, że „linia prosta jest ludzka, krzywa natomiast pochodzi od Boga” i ona umie rysować tylko te krzywe, niestety...

I szkicowała śmiało esy-floresy, które pod jej ręką układały się prześliczne wzory, a potem wypełniała rysunek równie śmiałymi barwami.

Upływały minuty „plastyki”, białe kartki wciąż pozostawały czyste, a my szukałyśmy natchnienia, gapiąc się w sufit lub za okno. Mucha brzęcząc łaździła po szybie, na kominie sąsiedniego budynku klóciły się skrzekliwie sroki, gałęzie drzew czochrane wiatrem zamiatały niebo w kolorze szarego płótna, krople deszczu tworzyły na szybach różnorodne, skomplikowane wzory, a my bazgraliśmy jakieś bohomazy, czekając na uwalniający głos dzwonka.

Moja późniejsza koleżanka z ławy szkolnej Jasia była piekielnie zdolną, czytana, niezwykle wrażliwą blondyneczką z wijącymi się wokół owalnej twarzy złotymi loczkami. Jej oczy świetnie określiłyby słowa Jeremiego Przybory, który pisał o oczach Agnieszki Osieckiej: „takie wiosenne sadzawki wniebowstąpiątka”.

Bardzo się lubiliśmy. Jej mama prawie codziennie przynosiła do szkoły pyszne rogaliki lub bułeczki maślane w takiej ilości, że Jasia mogła wykarcić całe grono najbliższych koleżanek. Korzystałyśmy z tego skwapliwie. Mama Jasi kochała tę swoją córeczkę nad życie. Pewnie – jak wiele naszych mam – była przekonana, że jej dziecko jest najpiękniejsze, najzdolniejsze i najinteligentniejsze na całej ziemi.

Jasia na pozór była zwyczajna, zgodna, skromna, ale „jej uroda była, jak ta cicha woda”, która „brzegi rwie”. Miała więc wielu adoratorów, choć nie przywiązywała wagi do ich niezdarnych zalotów i odpisywała z zapamiętaniem na liściki przesyłane jej na lekcjach pocztą pantoflową, nie szczędząc kpin i drobnych złośliwości. Przyjaźniła się natomiast ze wszystkimi i zapraszała do swojego domu. Korzystałam z tych zaproszeń z wielką ochotą.

Gdy – rozchichotani i rozgadani – wybiegaliśmy po lekcjach ze szkoły, witała nas senna, niespieszna atmosfera miasta, szczególnie odczuwalna na pobliskim rynku – obmytym deszczem, lub rozgrzanym słońcem, zaśnierzonym lub szarym od mgły, ale przez nas ulubionym, tak jak i mała cukiernia „U Kiciowej”; elegancka, stylizowana na „wiedeńskość”, gdzie zawsze spotykało się zaszeptanych i zapatrzonych w siebie młodych ludzi, i gdzie różowiutkie napoleonki kusiły pachnącym, smakowitym kremem, a lody – „mała porcja dużej przyjemności” – pachniały beztroskim dzieciństwem. Ich cztery smaki: śmietankowy, waniliowy, owocowy i czekoladowy wydawały się obfitością. Ponoć zimą przywożono do budynku gospodarczego na zapleczu cukierni wycięte z pobliskiej sadzawki i przesypane trocinami bryły lodu, które służyły latem do schładzania tych delicji. Dziś owej sadzawki już nie ma, a lody wytwarza się zupełnie innymi, nowoczesnymi sposobami.

W pogodne dni kochaliśmy siedzieć na ławeczkach pod pomnikiem radzieckiego żołnierza zwanego pieszczotliwie „Karolkiem”, gdyż zawsze działały się tam różne ciekawe rzeczy: ciemnonice Cyganki wróżyły naiwnym przechodniom, podpici mężczyźni prowadzili nader interesujące rozmowy, dzieci biegały goniąc gołębie, uganiające się za okruszkami dopiero co kupionych w sklepie „U Urbana” bułek, które pałaszowaliśmy, urywając smaczne kąski, pachnące świeżością. Popijaliśmy je oranżadą, marząc

o coca-coli, która była u nas – niestety – niedostępna aż do lat siedemdziesiątych. Propaganda nazywała ją pogardliwie amerykańską stonką ziemniaczaną, którą wraży kapitaliści wynaleźli na pohybel narodowi. A nad nami – jak na obrazach Wyspiańskiego – często wisiał „błękit tkany niezmordowaną dłonią z barwy bławatu i niezapominajek”.

Śmialiśmy się z byle czego, a nawet bez powodu, bo przecież – jak pisał Tadeusz Boy-Żeleński: „śmiech jest animalną rozkoszą młodego życia [...]”. Obserwuję, z jaką łatwością śmieje się młodość. Właściwie bez powodu. Śmiesz ich nauczyciel, śmiesz piątka, śmiesz dwójka, „stary, ale ubaw”! Śmiesz sprytne zwycięstwo i śmiesz porażka”.

I tak właśnie było.

Wyciągaliśmy z teczek zeszyty z gromadzonymi tam tekstami modnych piosenek, tak trafnie wyrażającymi nasze nastroje i uczucia, pachnące „dżezem”, prywatkami i wieczornym spacerem pod gwiazdami i nuciliśmy je, budząc zdziwienie, a czasem nawet oburzenie przechodniów:

„Bardzo lubię jazzu rytm rozkołysany
Lubię z kina wyjść jak dziecko zapłakana.
Lubię wiersze Gałczyńskiego, lubię pośmiać się z niczego
Nawet wtedy, kiedy komuś to nie w smak”.

Zmienialiśmy też prowokacyjnie i buntowniczo słowa piosenek, które kazano nam śpiewać na apelach i uroczystościach. I tak, zamiast:

„Zdobyczym krokiem idziemy w słoneczny świat,
wznosząc do góry i czoło i pięść,
my nowe życie stworzymy i nowy ład,
a ponad nami jak sztandar płynie pieśń” – śpiewaliśmy:
„My nowe życie stworzymy przez jedną noc,
a ponad nami jak sztandar płynie koc”.

Pod „Karolka” chodziliśmy też na randki. Były flirty, marzenia, zaurroczenia, ale też bolesne rozczarowania. Zakochiwaliśmy się łatwo, jak to bywa w młodości, a te nasze miłości były często panaceum na wszystkie smutki. Bo przecież tak urządzony jest ten świat, że każdemu człowiekowi do szczęścia potrzeba kogoś, kogo się kocha i dla kogo warto żyć.

Wtedy bez żalu można zarywać noce, być wesołym, mimo porażek i klęsk, mimo uwag w dzienniczku i kolejnych „luf”, bawić się, nieść w so-

bie nadzieję, rozstawać się i znów wracać. No i oczywiście wtedy – „każde słowo układa się w wiersz”. Na przykład taki:

„Kocham miasto to, bo ciebie kocham,
Tutaj marzę całe noce i dnie,
Tutaj śmieję się i tutaj szlocham,
Tutaj śnię, tu na zawsze zostać chcę.

Idę z tobą ulicą deszczową,
Co – na przekór – Słoneczną się zwie
I na sercu jest mi tak kolorowo,
Chociaż świat utonął we mgle.

Na seansie w kinie „Uciecha”
Nagle wokół zawirował świat,
Bo mi rzekłeś to jedyne słowo,
Na które tak czekałam od lat.

Idę z tobą ...

A na rynku pod starym kasztanem,
Rzekłeś, że mnie jedną tylko masz.
Aż Karolek uśmiechnął się czule,
Choć zazwyczaj kamienną ma twarz.

Idę z tobą...

W szkole Judym pod sosną rozdartą,
W celi Konrad koszulę swą rwie,
A ja czuję, że rozpaczać nie warto;
Każdy młody o tym dobrze wie!

Idę sobie...

„U Kiciowej” małej stoliczek.
Tak wesoło patrzysz w oczy me!
Wtedy dwójek w zeszycie nie liczę.
Jest cudownie i żyć się chce!

Idę z tobą...

Choć w uliczce Ciasnej wiatr się miota,
Zmiata liście w każdziutki kąt,
A na plantach coraz mniej już złota,
bo już jesień odchodzi stąd...

Idę z tobą...

To nic, miły, ze wkrótce deszcz spadnie,
Przyjdą mrozy, śniegi, szare dnie,
Dla mnie – w mieściecie mym – zawsze najładniej,
Bo ty jesteś tu i kocham cię.

Idę z tobą...”

No cóż, „liryka, liryka, tkliwa dynamika, angelologia i dal...” Pamiętam, że w naszych teczkach – zgodnie z ówczesną modą – nosiliśmy specjalne zeszyty, w których koledzy i koleżanki wpisywali różne złote myśli. Najwięcej było – oczywiście – tych o miłości i o szczęściu: „Miłość jest jak jakieś nie wiadomo co, przychodzące nie wiadomo skąd i nie wiadomo jak, sprawiające ból nie wiadomo czemu”, „Miłość przychodzi kiedy chce i kiedy chce odchodzi”, „Szczęście to delikatna roślina”, „Porcelanowe serce łatwo rozbić” itd. itd.

Tematy tych złotych myśli były odbiciem naszych uczuć, przeżyć i zauroczeń.

Najczęściej zakochiwaliśmy się na krótko, na zabój, nieszczęśliwie. O takiej młodzieńczej, gimnazjalnej miłości pisał Jan Wiktor, że „gorzała w piersiach jak hutniczy piec, nic też dziwnego, że ogarniony jej pożarem odziewał się w purpurę, rodził najpłomienniejsze wiersze, no i wygłaszał je pod drzwiami wybranki. Trudno nie wspomnieć o różach ukradzionych nocą z cudzych ogrodów [o, szczekające psy, żeby wam wypadły z paszczęki wszystkie zęby, które szarpały porcięta i nie uszanowały pośladków wielce narażonych na niebezpieczeństwo w czasie mało chwalebnych ucieczek przez płoty!]. One płomieniste róże składał młodzieniaszek naiwny [...] pod drzwiami umiłowanej, jakby pod drzwiami świątyni. Później skrobał wiersze i oblewał je łzami. Tak musiało być. Źle ubrany trubadur w poła-

tanych chodakach [...]. Strzał rewolwerowy często rozbrzmiewał w wierszach”. Zdarzały się też prawdziwe samobójstwa.

Paweł Rzewuski pisał, że powstała w okresie międzywojnia, a wciąż modną w moich czasach licealnych piosenkę, skomponowaną przez Jerzego Petersburskiego do słów Zenona Friedwalda, śpiewaną przez Mieczysława Fogga „Ta ostatnia niedziela”, nazwano tangiem samobójców. Bywało bowiem, że odtrącony chłopak, czy zdradzona dziewczyna, przy wtórze słów „Ta ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy, dzisiaj się rozejdziemy na wieczny czas” – naprawdę rozstawali się z tym światem.

Na szczęście, moje pokolenie ceniło życie, które „toczyło się swoim torem, niezmiennym od wieków, mimo złamanych serc i straconych nadziei”. I to było pocieszające. Gdy czuliśmy się nieszczęśliwi, Cyganki ratowały nas przed rozpaczą. Obnażaliśmy przed nimi sekrety naszych dusz, a potem wierzyliśmy tylko w te przepowiednie, które wróżyły nam cudowną przyszłość.

Cyganie – choć nie było ich zbyt wielu – stanowili barwną grupę mieszkańców Dębicy. Żyli gromadnie i zamieszkiwali stare, rozwalające się domy, m.in. obok kina „Uciecha”. Pełno tam było jakiś szop, dobudówek, ruder, krzaczorów, śmietnisk, walających się rupieci, rozbebeszonego prania, bałaganu i chaosu. W tej dziwacznej enklawie biegały półnagie, umorusane dzieci, siedzieli na trawie gestykujący żywo smagli, czarnowłosi mężczyźni i rozwrzeszczane, krzątające się kobiety w pstrych bluzkach i długich, marszczonych spódnicach.

Kilka z nich zawsze „pełniło straż” na rynku, zaczepiając przechodniów i natrętnie oferując swe wróżby. Nie znaliśmy imion ani nazwisk dębickich Cyganów i tak niewiele o nich wiedzieliśmy; chyba tylko to, że – zmuszeni do porzucenia wędrownego życia – czuli się w kamiennych domach jak w klatkach i nigdy nie byli szczęśliwi. Ale Cyganki na rynku uśmiechały się szeroko i chyba lubiły to swoje wróżenie i to leniwe przesiadywanie na ławeczkach koło „Karolka”.

Czasem szliśmy na postój taksówek, których parę zaledwie czekało na klientów przed budynkiem „Żniwa” [późniejsza nazwa – „Rolnik”]. Nie chcieliśmy nigdzie jechać, a tylko popatrzeć z podziwem na pierwszą w Dębicy kobietę-taksówkarza. Był to wówczas ewenement prawie jak ciele z dwiema głowami. Zdarzało się więc nawet, że ktoś z oczekujących na taksówkę rezygnował z jazdy, nie ufając „babie za kółkiem”. Podobnym ewenementem było spotkanie na ulicy kobiety będącej pod wpływem alkoholu. Taki obrazek budził powszechne oburzenie, co wyrażał nawet znany okrzyk: „Widziałem pijaną babę w biały dzień”!, czyli coś, co było tak nie-

zwykle, jak np. ujrzenie ducha. Natomiast mężczyznom stan „wskazujący na spożycie” – nawet duże – uchodził na sucho. Spotykało się ich często: przed starą knajpką przy rynku, pod „Karolkiem” na ławeczce, na ulicy. Ale nikogo to nie dziwiło. Takie to były czasy.

A my, kochaliśmy przebywać na dębickim rynku również dlatego, że stąd widać było z daleka ewentualne zagrożenia: kogoś z rodziców, maszerującego milicjanta, który mógł nas wylegitymować, czy – nie daj Boże! – któregoś z profesorów. Wtedy bezpieczniej było schować się na chwilę za dorodny postument, dominujący na środku placu. Pod tym pomnikiem odbywały się różne miejskie uroczystości, które też szalenie lubiliśmy, bo zamiast siedzieć w szkole, szliśmy parami na rynek i tam spędziliśmy wesoło czas, plotkując i marząc, by te uroczystości trwały jak najdłużej. W wielkich kamiennych misach paliły się wysokim ogniem pochodnie, żwawa muzyka wojskowa odbijała się echem o sąsiadujące z rynkiem kamienice, wystrzelało w niebo stadko siwych gołębi.

Ten sentyment do „Karolka” pozostał w nas na zawsze, więc gdy go zabrano, było nam trochę żal. Tak powstała fraszka:

„A na rynku „Karolek”
Strzegł porządku i ładu.
Kto porządku strzegł będzie,
Gdy „Karolka” ni śladu”?

Pamiętam też, jak bardzo lubiliśmy spacerować główną ulicą Krakowską, którą docieraliśmy aż do „stomilowskiego” parku, po drodze wstępując do klasztornej kościółki, gdzie panowała cudowna atmosfera ciszy, spokoju i świętości. Modliliśmy się gorąco i szczerze w intencji naszych szkolnych losów, bo nasza wiara była fundamentem życia; oczywista i prawdziwa, choć tajemnicza i niepojęta.

Czasem znowu wychodziliśmy ze szkoły bramą od podwórza, przechodziliśmy obok domu profesorki Gundboeck i dalej szliśmy ścieżkami wśród pól aż pod wzgórze Stasiówki, czy na Łysą Górę, na którą w zamierzonych czasach – jak wspominał Julian Roztoczyński – „wedle kursującej wśród miejscowej ludności klechdy, zjeżdżały na miotłach czarownice, „kiedy księżyc wszędzie nowy”, by warzyć w kotle jadowite mikstury i lubczyki”.

Mijaliśmy wtedy zaniedbany, stary dom samotnej kobiety, która była oryginalną, niezwykłą postacią lokalnego folkloru, o której wszyscy mówi-

li: Wandzia Buba. Niedawno temu, z sentymentem wspominał tę barwną osobę na łamach „Obserwatora Lokalnego” jeden z dębiczan.

Potem szliśmy dalej obok kolejnych cichych domków w małych ogródkach z kępkami różanych kwiatów, pnących się po starych murach lub drewnianych ścianach.

Do parku chodziliśmy o różnych porach dnia i o każdej porze roku. Niektórzy uciekali tu na wagar, ale łatwo można było być zdemaskowanym. Wiadomo; przed południem młodzież powinna być w szkole, więc widok wałęsających się młodych ludzi oburzał wielu i prowokował do donosów. A nasz dębicki park to były: „Dęby, krzaczki, pijaczki”.

Choć był rozległy, cudownie zielony, to jednak zaniedbany i na pół dziki. Ale i tak wspaniały! Rosnące tam drzewa rzucały na dróżki, którymi szliśmy, misterne, koronkowe wzory, złożone z cieni i słonecznego blasku.

Grube, sędziwe dęby prezentowały się najpiękniej. To właśnie one były charakterystycznymi drzewami, rosnącymi od wieków na naszych terenach. Wznosiły dumnie swe korony, górując nad innymi drzewami prastarej Puszczy Sandomierskiej. Nie lękały się byle burzy. To one dały nazwę naszemu miastu, przechowały też pewnie w swej pamięci poszumy pierwotnej kniei i zapisały w fałdach kory pradawne tajemnice. Niestety, niewiele ich zostało.

Szkoda, że nie sadi się ich teraz tak dużo, by przyszli mieszkańcy mogli się chwalić: Dębica – bo dęby! A one szumią przy każdej ulicy, na skwerach, placach, na osiedlach i w ogrodach. No cóż, pomarzyć dobra rzecz...

Stanisław Kłos pisał, że jeszcze tylko kilka sędziwych dębów, dziś chronionych jako pomniki przyrody, rośnie w obrębie miasta. Jednym z nich jest ów imponujący okaz przy ulicy Ogrodowej – ze wzruszającą swą naiwną urodą małą kapliczką, zawieszoną na olbrzymim, chropowatym pniu. To wspaniałe drzewo wspominał Adam Przewłocki:

„Dom Jana Leśniaka – profesora gimnazjum i mistrza – stoi przy ulicy Ogrodowej. Dom pochylił się i nieco zapadł w ziemię, ale rosnący przed nim, olbrzymi, wspaniały dąb – pomnik przyrody, trwa niezmiennie, potężny i majestatyczny”. Owego domu już nie ma, natomiast kilka zachwycających dębów przetrwało też – na szczęście – na terenie byłych koszar.

W naszym parku, gdzie spędzaliśmy wiele cudownych, wykradzionych szkole chwil, rosły też dorodne kasztanowce, jeszcze niedotknięte żadną zarazą, mordującą dziś te, tak sympatyczne drzewa; dumne i nieruchome, zwiastujące swym „uroczystym” kwieciami zbliżający się czas matur, a jesie-

nią rodzące lśniące, gładkie jak aksamit kasztany, które „wprost pod stopy par roześmianych, jak rudy lecą grad”.

Wiele tam było też innych, pięknych drzew, wśród których królowały niewątpliwie strzeliste sosny.

Park o każdej porze roku był piękny i przyjazny ludziom; i młodym, i starszkom spacerującym z pieskami, i dzieciom, i nawet pijaczkom. Latem chłodny cień dawały baldachimy z jasnozielonych liści rozłożystych klonów, wpłatające się w sztywne gałęzie świerków i wierzb płaczących, jesienią urzekały ciepłe brązy, rdzawe czerwienie i słoneczne żółcie spadających liści, w których można było brodzić jak w głębokiej wodzie. Na gęstych krzakach dojrzewał obficie czarny bez i kalina pyszniła się szkarłatnymi koralami, a po wysokich pniach sosen smyrgały prawie czarne wiewiórki, kradnące orzechy z przydomowych sadków, usadowionych na obrzeżu parku. Zimą park tonął w bieli śniegu, a wiosną w bieli zakwitających w każdym zakamarku cudownych zawilców, zmieniających to niezwyczajne miejsce w czarowny ogród. Pachniała ziemia pokrywająca się świeżą zielenią, pachniało powietrze pełne ptasich świergotów.

Czasem wędrowaliśmy jeszcze dalej, aż za miasto, mijając małe domki w otulinie fioletowych bzów, białych jaśminów i liliowych róż, by skręcić z głównej ulicy na boczną alejkę wysadzoną olbrzymimi, starymi akacjami i wiodącą aż nad zarośnięty brzeg Wisłoki; bezludny i bezpieczny. Sędziwe akacje, a właściwie robinie – choć nikt tak ich tu nie nazywał – urzekały urodą, majestatycznością i tajemniczymi poszumami. Grube, surowe pnie, pełne narośli, guzów i szczerb, twarde i chropowate, dźwigały wielkie konary – wspaniałe, fantastycznie powyginane, mocne. Na wiosnę te drzewa długo trwały w letargu i okrywały się dopiero pierwszymi listkami wtedy, gdy inne – stały już całe w zieleni. Na ich gałęziach pojawiały się najpierw piękne, pierzaste liście, a potem drobne, ale urzekające swym wdziękiem kwiaty. Te kwiaty – zebrane w kredowobiałe kiście, cudownie pachnące, pełne miodnego nektaru – zwabiały tysiące pszczoł. Wśród starych pni uwijały się też ptaki.

Te urokliwe drzewa zwabiały także nas, zwłaszcza, gdy właśnie zakwitały, zwiastując rychłe wakacje. Gdy tak szliśmy, śmiejąc się i plotkując, pod nogami miękko chrząścił piasek, w którym pełno było twardych, ostrych kolców, spadłych z drzew jesienią. Czując smak ożywczego, wiosennego powietrza, snuliśmy marzenia o zbliżającym się lecie i o tym, za czym tęskniliśmy i czego pragnęliśmy dokonać po maturze. I choć życie brutalnie

zweryfikowało nasze plany i fantazje, to czasem wracamy tam, by odszukać zaplątane w gałęziach echa naszych młodzieńczych rojeń.

Kusiły nas też i zachwycaly zielone łąki, rozciągające się na równinach pod lasem wiodącym do Stasiówki, gdzie rosła ściana młodej kukurydzy, zagonki słoneczników o stwardniałych, chropowatych łodygach i skąd widać już było przyleśne pagórki poszarpane dołami, zarosłe różowobiałą koniczyną, którą Mickiewicz nazywał „dzięcieliną”, a także dziko pachnącą miętą, bujnymi chwastami i rachitycznymi drzewkami. Zaraz wyżej, gdzie owe pagórki garbiły pejzaż, zieleniąc się tarniną, krzakami czarnego bzu i jarzębiny, zaczynały się bukowe lasy pełne wykrotów, zwalonych drzew, z kępami krzaków owiniętych zimolubnym bluszczem, z wysokimi trawami, paprociami i mchami obrastającymi stare pnie. Kochaliśmy ten nasz łagodny, swojski pejzaż, który też z miłością opiewała „sarmacka muza” Elżbieta Drużbacka, mieszkająca w niedalekim Rzemieniu:

„Lasy kocham, zielone chłodniki,
Drzewa przyjemny szum dający z siebie,
Trawy, pagórki, biegnące strumyki,
Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie”.

Pamiętam. Z zakupionym w kiosku „napojem młodości”, czyli butelkową oranżadą z kapslem wielorazowego użytku, zmęczeniu, ale radośni, siedzieliśmy przy pylistej ścieżce na miękkiej trawie i na rozgrzanych na słońcu kamieniach, zającąc pestki słonecznika, którego wielgaśne koło przydzwigała z domu jedna z dziewczyn. Zaśmiewając się z byle czego, pluliśmy słonecznikowymi łupinami, farbującymi na fioletowo nasze palce i wargi. Ktoś przypomniał, że na zajęciach kółka biologicznego gawędziliśmy o tej niezwyklej roślinie, którą znali już pierwotni mieszkańcy Ameryki – Indianie. Dostarczała im nie tylko pożywienia, ale była też kosmetykiem i lekiem na różne dolegliwości. Zaobserwowali, że w ciągu dnia kwiaty słoneczników obracają się za słońcem, a w nocy kierują je ku wschodowi, jakby wyczekując kolejnego świtu. Uznali je więc za symbol bogini Słońca. Wierzyli, że wchłaniają słoneczną energię i gromadzą ją w swych ziarnach, dlatego jedząc je, zdobywa się zdrowie, siłę i piękno. Europejczycy sprowadzili słonecznik w czasie wielkich odkryć geograficznych jako dar dla hiszpańskiego króla. Stał się wkrótce bardzo popularny; szczególnie ulubili sobie słoneczniki artyści-malarze [Vincent van Gogh, Stanisław Wyspiański, Jan Stanisławski, Julian Fałat]. My też kochaliśmy złociste słoneczni-

kowe kwiaty, bardzo popularne w przydomowych ogródkach, ale przede wszystkim smaczne ziarenka – dostępne dla każdego i darmowe, o czym doskonale wiedziały dzieci i ptaki.

Potoczek bez imienia płynący obok leniwie – kręty, kapryśny, zarosły sitowiem – okazywał się akuratny do brodzenia bosą stopą, z czego skwapliwie korzystaliśmy.

Ta nasza ziemia – „rzeczna, leśna i polna” była nam przyjazna i bliska. Wracaliśmy szczęśliwi, wytrzępując piasek zaplątany w naszych sandałkach i pokrzykując tak głośno, że z telefonicznych drutów zrywały się spłoszone jaskółki.

Chociaż staraliśmy się dbać o zdrowie, to nasza forma fizyczna pozostawiała wiele do życzenia. Dokuczały nam różnorodne dolegliwości: odmrożenia, anginy, bóle zębów czy głowy, anemie, grypy i inne choróbka. Pomagali nam wtedy pracujący w liceum wspaniali ludzie. Jednym z nich był doktor Tomasz Gąsior [absolwent gimnazjum z 1926 roku] – starszy, jowialny pan z siwiejącą czupryną, dobrymi oczami i z wielkim sercem dla każdego z nas.

Tomasz Gąsior po ukończeniu studiów medycznych prowadził praktykę lekarską w Wielopolu. W czasie wojny działał w podziemiu [ps. „Odys”]; był zastępcą delegata na powiat dębicki w Delegaturze Rządu RP, a w czasie akcji „Burza” prowadził szpital polowy dla rannych żołnierzy w Brzezinach. Po wojnie w 1950 roku zamieszkał w Dębicy. Oprócz pracy w naszej szkole prowadził referat sanitarny [załączek „Sanepidu”], pełnił funkcję lekarza powiatowego i organizował placówki służby zdrowia w Dębicy i w Ropczycach. Od 1951 roku pracował też w poradni dziecięcej, powstałej dzięki jego staraniom. Zmarł w 1988 roku.

Troszczył się również o nas szkolny dentysta pan Skiba, choć urządzenia i narzędzia w szkolnym gabinecie dentystycznym budziły grozę. Wysoki, postawny, mocny, zdecydowany, kpił z naszego panicznego lęku przed igłą, obcęgami i wiertarką prześwidrowującą – wydawało się – nasze dziąsła „i uszy” na wylot. Stojąc przed gabinetem i słuchając dźwięków dochodzących zza drzwi, żegnaliśmy się pobożnie i drżeliśmy ze strachu.

Za to z wielką przyjemnością biegaliśmy do przemiłej higienistki, którą była żona profesora Rybki, pani Emilia nazywana Miłą. Zawsze uśmiechnięta, niewysoka blondynka z ciepłymi, troskliwymi oczami budziła powszechne zaufanie, dlatego powierzaliśmy jej nasze problemy; nie tylko zdrowotne.

Jej poprzedniczką, tuż po wojnie, była mama naszego absolwenta – Andrzeja Mikołajkowskiego – pani Leokadia Mikołajków. To była niezwykła kobieta,

kobieta-bohaterka. Pięknie wspominał ją Zbigniew Szurek: „energiczna, elokwentna, konsekwentna w działaniu, wrażliwa na nieszczęścia innych”.

W czasie okupacji wraz z mężem – będącym znanym dębickim lekarzem – uratowała z dębickiego getta 13 Żydów; niosła też pomoc innym mieszkańcom getta, a także partyzantom. W wywiadzie udzielonym w 1999 roku wspomniała pracę w naszej szkole: „Byłam działaczem aktywnym PCK w Dębicy w latach 1930 do 1944, tj. do wysiedlenia z Dębicy. Po wojnie po 6 miesiącach wysiedlenia wróciłam do pracy zawodowej jako pielęgniarka dyplomowana na 3 etatach i jako higienistka gimnazjum. Miałam pod opieką 700 dzieci przez pięć lat i wszystkie te dzieci odkarmiłam prowiąntem z UNRA, poza tym opiekowałam się 3 szkołami powszechnymi”.

Po jej wizycie w 1961 roku w Nowym Jorku, gdzie pojechała, by odwiedzić uratowanych Żydów, rabin Reich napisał: „Jest 53-letnią pulchną, ciemnowłosą, drobną kobietą z pogodnymi oczami i dziecięcym zapałem [...]. W jej osobie i jej osobowości jest poświęcenie, blask, który sam w sobie jest rodzajem komunikacji [...]. Ona ma łatwość we wszystkim co dobre”. Warto poznać bliżej sylwetkę tej niezwykłej kobiety.

Urodziła się w 1906 roku w Opatowcu. W gimnazjum w Kielcach angażowała się w pracę społeczną, m.in. rozprawdzała czasopismo „Rycerz Niepokalanej” Maksymiliana Marii Kolbego. Zamierzała iść na medycynę, ale ze względów materialnych podjęła naukę pielęgniarstwa w Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa. „Po przybyciu do Dębicy była jedyną dyplomowaną pielęgniarką w mieście.” Tu też pracowała społecznie, m.in. w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, czy w Ruchu Czerwonokrzymskim. Wygłaszała na wsiach pogadanki na temat zdrowia, higieny, odżywiania, opieki nad dziećmi; organizowała półkolonie dla biednych dzieci za pieniądze z organizowanych kwest przed kościołami, pomagała w powstawaniu pierwszego w naszym mieście ośrodka zdrowia. W 1937 roku w jej domu – stojącym naprzeciw kina „Uciecha” przy ulicy Kościuszki – zorganizowano biuro Oddziału PCK. Później – w latach okupacji – była tu siedziba filii Powiatowej Rady Głównej Opiekuńczej. Zadaniem Jadwigi Mikołajków było opiekowanie się Polakami, którzy uciekli z terenów zajętych przez Sowieć oraz wysiedlonymi przez Niemców z województwa poznańskiego. Karmiła ich i udzielała im schronienia.

Jadwiga Mikołajków opiekowała się też samotnymi matkami z dziećmi. Wraz z księżną Heleną Jabłonowską wyszukiwały rodziny zastępcze lub umieszczały samotne, żebrzące dzieci w kolbuszowskim sierocińcu, założonym przez ojca księżnej – hrabiego Reya. Działała też w AK, w sekcji

sanitarnej Wojskowej Służby Kobiet. Chociaż dom Mikołajkówów sąsiedował z budynkiem zajęтым przez gestapo, w bunkrze pod garażem ukrywali się partyzanci, m.in. komendant Antoni Cwen, ranny po akcji przeprowadzonej w Sędziszowie.

Ta wspinała kobieta pomagała także – jak już wspomniałam – Żydom zamkniętym w dębickim getcie, gdzie przebywało około 12 tysięcy ludzi. Nosila im wiadomości i jedzenie, które ukradkiem, nocą, skradając się boso – często z młodszym synem Andrzejem – przerzucała przez ogrodzenie getta.

Ocalony rabin Reich wspominał: „Rano w niedzielę 17 VII 1942 roku [...] przyszła z ostrzeżeniem, że likwidacja odbędzie się za kilka godzin. Dała mi klucz od swojego strychu i powiedziała, abym spróbował tam ukryć tyle osób, ile tylko się da”.

Jakby na ironię na ścianie jej domu Niemcy powiesili plakat o karze śmierci grożącej za pomoc Żydom.

W 1999 roku Jadwiga wspominała: „O przechowywaniu Żydów w moim domu wiedziało kilkanaście osób, lecz żadna z nich tego nie zdradziła [...]. Nocami gotowałam dla nich stawę koszerną, którą zanosił mąż, czasem straszny syn [...]. Ile to nas kosztowało nerwów, stresu, wyrzeczeń i obaw! W razie odkrycia faktu ukrywania osób narodowości żydowskiej groziło nam i im rozstrzelanie, a w najlepszym wypadku obóz koncentracyjny”.

Gdy na trzy miesiące przed wyzwoleniem Polska Policja Granatowa przyszła ostrzec Mikołajkówów, że wiadomo, iż w ich domu są ukrywani Żydzi i że muszą się ich pozbyć, doktor powiedział, że cokolwiek się stanie, gotów jest podzielić ich los.

Udało się. Wkrótce Sowieci wkroczyli do miasta, a uratowani Żydzi przenieśli się do Rzeszowa. Stamtąd przedostali się do Austrii, a potem do Stanów Zjednoczonych.

Mikołajkowowie zostali wysiedleni do Braciejowej, gdzie – w dniu wyzwolenia Dębicy – Aleksander zginął od szrapnela, a Leokadia z dziećmi przeniosła się do rodziny w okolicy Ostrowa. Po powrocie do Dębicy została zatrudniona jako higienistka w naszym liceum oraz w szkołach podstawowych. Zajęła się też odbudową zniszczonego domu i wychowaniem dwóch kilkuletnich synów.

W lipcu 1946 roku, wraz z wielu dębiczanaми, interweniowała w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego przeciwko egzekucji partyzantów na dębickim rynku czym naraziła się władzom. Zarzucono jej, że na pewno ukrywający się w jej domu Żydzi solidnie jej płacili, choć było

to okropne kłamstwo. Zmuszano ją, by przyznała się do przynależności do Armii Krajowej, miano pretensje, że koresponduje z uratowaną rodziną Reichów, osiedloną w USA i otrzymuje od nich pomoc rzeczową i finansową.

Z tego powodu przez kilkanaście lat nie mogła uzyskać paszportu, by wyjechać do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie ocalonych.

Gdy wreszcie pozwolono jej na wyjazd, „Żydzi zgotowali jej królewskie przyjęcie: zatrzymali ruch na głównej ulicy Brooklynu, zaprosili panią Mikołajków do kabrioletu i przy pomocy pasów przypiętych do wozu ciągnęli pojazd wzdłuż ulicy pośród wiwatujących ludzi.

Była bohaterką w oczach dziennikarzy polonijnych i amerykańskich” – pisał Zbigniew Szurek. Gdy pytali ją, dlaczego narażała życie, odpowiadała, że przecież jest pielęgniarką i to naturalne, że zawsze pomagała ludziom. A gdy zapytano, czy się bała, odpowiadała: „A któż by się nie bał? Bałam się o nich i o siebie. Nie chciałam umierać”.

Leokadia Mikołajków również po wojnie działała społecznie; m.in. w latach 50-tych pełniła funkcję przewodniczącej Komisji Zdrowia w Radzie Miasta, a po przejściu na emeryturę w 1966 roku opiekowała się chorymi staruszkami jako opiekunka parafialna. Gdy pod koniec życia wyjechała z Dębicy i zamieszkała w Warszawie, jej dębicki dom został upaństwowiony, a wreszcie zburzony. Ale pamięć o tej niezwyklej kobiecie przetrwała. Możemy być dumni, że pracowała również w naszej szkole.

Zmarła w 2004 roku w wieku 98 lat. My biegaliśmy do gabinetu lekarskiego, gdzie królowała pani Rybkowa.

Nie byliśmy bez skazy. Buntowaliśmy się często przeciw dyscyplinie, surowym nakazom, ciągłej kontroli. Popalaliśmy po kryjomu papierosy, niektórzy poznawali smak wina, zamiast przepisowych mundurków zakładali kolorowe koszule i zdobyte cudem modne džinsy-„wycierusy”, szaleli na zakazanych prywatkach i zabawach na deskach w swych rodzinnych wioskach.

W naszej „budzie” palenie papierosów przez uczniów było oczywiście surowo zakazane. Chociaż, jak pisała Aneta Kwolek: „Pierwsi powojenni absolwenci – mający tragiczne doświadczenia okupacyjne, a często przeszłość żołnierską lub powstańczą – z trudem podporządkowywali się rygorom szkoły. Zdarzały się przypadki nałogowego palenia papierosów [...]”. W roku szkolnym 1945/1946 Rada Pedagogiczna wyraziła zgodę na wydzielenie palarni dla uczniów”.

Zenon Książek, który rozpoczynał naukę w 1945 roku, tak zapamiętał tę sytuację: „Trudno dzisiaj uwierzyć, ale nie zauważyłem nigdy wśród kolegów palenia. W szkole było jedno wyznaczone pomieszczenie, w którym

mogli palić papierosy starsi, „przeterminowani” przez wojnę uczniowie. Nikt z nas nie odważył się tam wejść. Z upływem czasu pomieszczenie to zlikwidowano; było bezużyteczne”.

Za moich nauczycielskich czasów nikt z uczniów nie odważyłby się jawnie palić na terenie szkoły, choć niekiedy spod ubikacyjnych drzwi wydobywała się cieniutka smużka pachnąca papieroskiem. Nauczyciele dyżurujący mieli obowiązek sprawdzać i te miejsca, ale zdarzało się to rzadko; sami przecież paliliśmy, bo taka była moda.

W trosce o zapewnienie kulturalnej rozrywki, w naszej szkole czasami były organizowane zabawy dla młodzieży. Były to imprezy pilnie obserwowane przez dyżurujących nauczycieli; wymagano odpowiedniego, szkolnego ubioru i wzorowego zachowania. Jako uczniowie nie mogliśmy zaprosić nikogo spoza szkoły, co było dokładnie sprawdzane przy wejściu, a była tak duża przewaga dziewczyn, że taniec z chłopakiem to była prawie loteria.

Pamiętam. Pewnego razu koleżanki namówiły mnie na taką zabawę i obiecały zapewnić mi nocleg. Zakręciłam więc sobie na noc kilka sterczących kosmyków i przyszykowałam granatową, odświętną sukienkę. Kiedy rano na lekcji chemii profesor Rybka zobaczył, co mam na głowie, natychmiast wezwał mnie do tablicy, postawił dwóję z powodu mojej niewiedzy i pouczył, że zamiast myśleć o tańcach, powinnam się uczyć. Oczywiście, ten wieczór spędziłam w domu, wkuwając chemię, a „te walczyki leciutkie jak świerszcze” pozostały w sferze niespełnionych marzeń.

Najbardziej popularną formą koleżeńskich spotkań przy muzyce były jednak w czasach mojej nauki szkolnej prywatki. Organizowali je ci, którzy mieli w domu choć trochę przestrzeni, bo przecież „do twista nie trzeba dużej sali”, zgodę rodziców i dużo zapachu. „Zdobyczny” adapter i przyniesione przez uczestników tych spotkań płyty, zapewniały dobrą zabawę. Tańczyliśmy różne modne przeboje. Panował pełny luz, szpan i swoboda.

Edward Wodzień wspominał: „Na koleżeńskie spotkania, randki i tzw. prywatki ubieraliśmy ciuchy zachodnie – „zdobywane” przeważnie na targach we środy i modne buty; ubiory, które obrzydzano młodym ludziom w propagandowej twórczości. Zachłannie słuchaliśmy jazzu, graliśmy i tańczyliśmy jazzowe przeboje”.

Starsze pokolenie strasznie utyskiwało na tę młodzieżową muzykę. Kornel Makuszyński nazywał ją „jazzbandytyzmem”, co „wyje, ryczy i grzmi bekiem saksofonu, jazgotem skrzypiec i hukiem bębna. Wyje, ryczy i grzmi głosem tak natarczywym, rozzuchwalonym, beczelnym i aroganckim, że potrafi zagłuszyć huk strzału [...]”. Nie można od niego uciec, ani się schro-

nić [...]. Nie wszystko stracone. Jazz jest wszędzie, jak wszędzie był potop i w tym właśnie nadzieja. Kiedyś przeminie tak samo, jak skończył się potop”.

Makuszyński nie miał racji. Jazz wciąż ma się dobrze; jest też – w porównaniu np. z muzyką „techno” – łagodny i pieszczący uszy!

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – jak pisała Anna Bimer – „światem rządziły twist, jive i rock and roll, a przede wszystkim – entuzjazm. Chciało się żyć, być, wyglądać”.

Na prywatki przynosiliśmy różne modne nagrania – polskie, bo zagranicznych zespołów można było posłuchać jedynie w radiu „Luxembourg”, a my mieliśmy zazwyczaj kilka rodzimych – wypożyczonych, mocno zdartych płyt. Ale „nic to!” Wystarczyła np. piosenka Heleny Majdaniec „Wesoły twist”, by wszyscy ruszali na środek pokoju. No bo:

„Już przecież wiecie, że dziś na świecie
Króluje wszędzie twist,
Gdy grają twista, to oczywista
Entuzjastyczny się rozlega gwizd.
Do twista zbyteczne są lakierki,
Do twista nie musisz mieć partnerki [...].
Tańczyć twista jak artysta to niełatwa rzecz,
Bo prócz ruchu, rytmu słuchu, trzeba giętkość mieć”.

Giętkości nam, tak przecież młodym, nie brakowało, choć nasze wygibasy nie zawsze były zgodne z kanonami sztuki tanecznej. Czasem zdarzał się też jakiś muzyczny przytulas – jakieś tango lub walczyk „na trzy pas”, które tańczyliśmy – rozmarzeni, zaszeptani, szczęśliwi. Niektórzy popalali po kryjomu papierosy, czasem wypijaliśmy kapeczkę domowego wina, podkradzionego rodzicom i raczyliśmy się samodzielnie przyrządzanymi kanapkami. Na chwilę mogliśmy też zapomnieć o szkolnych granatowych mundurkach i – jak to wspominał Edward Wodzień – wystroić się w modne ciuszki.

Biała bluzka z dekoltem-„łódką”, kloszowa, taftowa, szeleszcząca spódnica na halce z szerokim, czarnym, gumowym pasem, lub króciutka wąska sukienka w grochy w stylu „Twiggy”, czarne „trumniaki”, czasem tenisówki wybielone pastą do zębów lub kredą, wyregulowane boleśnie pęsetką brwi, a do tego tusz na rzęsach i pierwsza kredka na ustach!

W szkole takie upiększanie się byłoby nie do pomyslenia. Alfreda Ździebło pisała: „Bardzo surowo piętnowano uczennice, które odważyły się chodzić w spodniach, malowały rzęsy i paznokcie. Chłopcom zakazano nosze-

nia wąskich spodni, butów na grubej podeszwie i kolorowych skarpetek”. Ale my, dziewczyny, chciałyśmy być piękne, przynajmniej poza szkołą.

Nie wszyscy rozumieli sens tych naszych upiększających zabiegów. Wyżej wspomniany Kornel Makuszyński kpił: „Czy Napoleon pozwoliłby sobie wyskubać brwi? Nie, wołał prowadzić wojny, bo to znacznie łatwiejsze i mniej bolesne. Czy Kopernik dla poprawienia cery okładałby sobie twarz surową cielęciną, czy piłby ocet, żeby schudnąć, albo kazał sobie wyrwać zęb, tylko dlatego, że krzywo wyrósł? Nie, wołał zająć się zatrzymywaniem słońca, choć nikomu do niczego się to nie przydało”.

„Szaleliśmy” na miarę tamtych warunków, ale przecież szaleństwo jest przywilejem młodości, a te prywatki, „kiedy się miało w ramionach cały świat”, były namiastką upragnionej dorosłości, wolności i szczęścia. W szarych, biednych, praśnnych latach sześćdziesiątych oszalały kolorem i radością.

Ech,

„gdzie się podziały tamte prywatki niezapomniane,

Elvis, Sedaca, Speedy Gonzales, albo Diana.

Pod paltem wino, a w ręku kwiaty,

Wieczór „Bambino” i ty.

Same przeboje Czerwonych Gitar -

Tak bardzo chciało się żyć”.

Pamiętam takie prywatki u koleżanek z klasy – Jasi i Toli, w czasie których można było uciec od szarej rzeczywistości w świat barw, muzyki i beztroski. Szczęśliwi, spoglądaliśmy z okien na uśpione miasto. „Stomilowskie” bloki, gdzie mieszkała Jasia, otwierały się na park obsiadły nocą przez wrony, zza którego wyłaniały się kontury fabrycznego kolosa, z górującym kominem sięgającym nieba. Królowały świetnie smakujące kanapki z pomidorem, drożdżowe ciasto przyniesione przez którąś z dziewczyn, kropelka owocowego wina i muzyka, cudowna muzyka z czarnych płyt nakładanych na obracający się talerz... Czegoż chcieć więcej?

U Toli, mieszkającej w jednym z oficerskich budynków w koszarach – tam, gdzie dziś Urząd Miasta i muzeum – podziwiałam piękne meble, oryginalne bibeloty, a przede wszystkim przytulną łazienkę, o jakiej mogłam tylko pomarzyć.

Kanapki, przystawki, kawa i znów fajna muzyka. I pyszne ciastka, o których chciało się rzec, jak Marcel Proust o magdalenkach: „rozkoszna słodycz!”

„Kto miałby ochotę na sen, gdy ziemia pod nogami tańczy i wszystko kręci się w rytm modnych melodii”?

Wychodziliśmy na trawnik przed domem, by podziwiać noc królującą pod kopułą nieba. Wydawało się, że pobliskie wysokie drzewa niemal dotykają gwiazd. Księżyc białym światłem oblewał ziemię. W oddali majaczyły kolejowe domki, na które patrzyłam z sentymentem. A wokół królowała noc, twist i ten obłądny księżyc.

Wracaliśmy całą gromadą przez ciche, uśpione ulice; znajome, takie same od lat. Chociaż – jak powiedziałyby profesorka Oleńska: „ab urbe condite”, czyli „od założenia miasta” wiele się w naszej Dębicy zmieniło, to wciąż panowała atmosfera małomiasteczkowości i swojskości: sąsiedzi pozdrawiali się co rano, mężczyźni uchylali kapelusza, kobiety przystawały na rogu, by przekazać sobie najnowsze nowinki, a dzieciaki grały na podwórkach w klipę i palanta. W ogródkach kwitły astry i georginie, czerwieniły się pomidory, bujało zielsko, gałęzie chmielu oplatały drewniane płoty.

Czuliśmy się wspaniale, a młodość szumiała w nas jak wzburzona rzeka, więc – nie zważając na panującą ciszę i na przemykających, nielicznych przechodniów – śpiewaliśmy buńczucznie, udając odważnych:

„O wyjdź na balkon dziewico,
Nie zważaj na nocny chłód,
Popatrz jak gwiazdy się świecą,
pogoda będzie jak drut”.

Nasza głupota i lekkomyślność jakoś uszły nam płazem. A potem znów była twarda, szara codzienność, choć tamte prywatki pojawiały się jeszcze długo w naszych snach.

A tu już matura zbliżała się wielkimi krokami. Leniwe, białe puszki mniszków, zwanych u nas mleczami tańczyły z wiatrem nad nadwisłocznymi łąkami, w napęczniałych pączkach bzów w przyulicznym ogródku, w nutce błękitu za oknem i w kolejnej kartce zrywanej z kalendarza czaiła się nieśmiała nadzieja na rychły, prawdziwy wybuch wiosny. Ale radosne myśli mąciło widmo zbliżającego się egzaminu dojrzałości.

Ogarniało nas przerażenie i zwątpienie. Czy zdążymy wszystko powtórzyć, utrwalić, czy – jak nas wciąż straszili profesorzy – polegniemy jak ścięte kłosa?

Zarywaliśmy więc noce, rezygnowaliśmy ze spacerów pachnących majem, mobilizowaliśmy wszystkie siły „mierzone na zamiary”; jak co roku

wszyscy uczniowie od początku istnienia szkoły – przed tym sprawdzianem, weryfikującym dojrzałość.

Jeden z pierwszych maturzystów naszego gimnazjum – Michał Urbanek wspominał:

„Matura to centralny problem, który zaprzątał nasze myśli [...]. Nie było w klasie ani jednego kolegi, który nie zmieniłby swego stosunku do nauki na pozytywny. Koledzy uczący się dotąd w kratkę, lenie, wagarusy stali się na lekcjach uważni, wzorowi, ślęczeli po nocach, by nadrobić zaległości [...]. Matura wypadła pomyślnie. Pożegnanie maturzystów było wzruszające”.

My też, przerażeni porażkami na maturze, którymi wciąż nas straszili profesorzy, prawie nie wyściubialiśmy nosów z książek. A tu nastały ciepłe, majowe dni: kępki topolowego puchu pod nogami, pękające pąki kasztanowców, konwalie i narcyzy, wieczory znaczone ciepłem, zapachem bzów i jaśminu, kumkaniem żab, bo przecież „kiedy wiosna buchnie majem, cały świat się majem staje...”

Tak bardzo chcieliśmy wyfrunąć już w dorosłość! Odliczaliśmy dni do tego, tak ważnego egzaminu, coraz bardziej wystraszeni i niepewni.

Pamiętam. Wystrojone w odświętne białe bluzki i plisowane, granatowe spódnice, w cieniutkich pończoszkach-kryształkach i lśniących nowością, modnych bucikach „kaczuszkach”, z sercem, które łomotało z dziwnym przyspieszeniem, zbierałyśmy się pod szkołą, spoglądając na naszych kolegów; także odświętnych, gładkolicych, świeżo przystrzyżonych, w „dorosłych” garniturach i krawatach dodających im powagi.

Po tej „sztywnej elegancji” można było poznać czas matur, tak, jak po kwitnących kasztanowcach oraz śladach niedospania i strachu na bladych twarzach.

Wszyscy udajemy dzielnych, dodajemy sobie nawzajem odwagi, śmiejemy się – trochę nerwowo, próbujemy ukryć drżenie rąk i oszukać nasze płochliwe serca. Szepczemy, gdzie ukryliśmy nasze bryki. Każdy przecież coś ma.

Tak było od zawsze.

Oto np. wspomnienia wspaniałej aktorki Ireny Kwiatkowskiej, zdającej maturę w latach trzydziestych ubiegłego wieku: „Twarze rozgorączkowane, sto białych bluzek, nieco wydętych w okolicy brzuszka [ściągi]. Po zapoznaniu z tematami następuje mała oracyja pani Przełożonej, która zapowiada groźne skutki ściągania. W tem miejscu ściskam piętą mój drogi notesik, umieszczony w pantofelku [pantofle o numer za duże]”.

Każdy z nas zapamiętał maturę inaczej, ale dla każdego było to na pewno wielkie przeżycie. Oto kilka takich wspomnień.

Adam Przewłocki [matura – 1919 rok]: „Za moich czasów egzaminu tego nie poprzedzała żadna uroczysta studniówka. Nie poprzedzała go kampania prasowa zapowiadająca, ilu to w kraju abiturientów zasiądzie przy stole maturalnym. Egzamin ten poprzedzała tylko nasza zdwojona praca, trud nieprzespanych nocy, spędzonych nad książką. Nie było żadnych specjalnych konsultacji [...]. Egzamin dojrzałości składał się z egzaminu pisemnego i ustnego. W czasie egzaminu nikt na nas nie chuchał i dmuchał. Nie było suto zastawionego przez komitet rodzicielski stołu śniadaniowego. Kto przyniósł z sobą kawałek chleba w kieszeni, zjadł go i popił wodą z konewki stojącej na korytarzu, kto zapomniał o posiłku, zdawał egzamin „na głodnego”.

Przewłocki wspominał, że przewodniczącym Komisji był inspektor krajowy, który również zadawał pytania; często podchwytliwe, a to rzucanie pytań „było wynikiem jego złośliwości. Zza okularów w złotej oprawie z oczu dobrze mu nie patrzyło”.

Julian Roztoczyński [matura – 1925 rok]: „Wybiła godzina matury... Podniecenie, napięcie nerwów, strach. Trzech kolegów padło, w tym dwóch z greki. Prolongowano im zdawkę maturalną po wakacjach”.

I jeszcze Stanisław Ożóg [matura – 1929]: „Matura ustna. Ogromna trema, szczególnie przed matematyką, do którego to przedmiotu natychmiast zostałem wezwany. Po momentach krytycznych [srogi profesor Kita pozwolił łyknąć wody ze szklanki], reszta poszła składnie i gładko. Uśmiech profesora... i mój. Ulga...! Myśli tabunami galopują mi po głowie”.

Ja pamiętam łagodność i świeżość tamtego poranka, kontrastującą z chłodem korytarzy, surowymi obliczami profesorów i ciszą auli, aż dzwoniącą w uszach. Nie było mowy o piciu czy jedzeniu czegokolwiek.

Tematy z języka polskiego nie były trudne. Wybrałam ten o literaturze oświecenia.

Również na „matmie” nie było najgorzej. Ale kto wie? Wracalam do domu z nadzieją, choć wątlą jak nitka babiego lata...

Na egzaminie ustnym z biologii pamiętam dociekliwość profesorki Gałuszki i groźną minę wojewódzkiego wizytatora, a na języku polskim głośny śmiech profesorki Olgi Sidorowicz, gubiącej się ze zmęczenia w zaślnościach deklinacyjnych jakiegoś trudnego wyrazu i jej słowa: – Ja już sama nie wiem, jak to trzeba właściwie odmienić!

Jakże cieszył nas pomaturalny uścisk dłoni dyrektora Galasa – mocny jak stal i ogłoszony pozytywny wynik egzaminu. Jeszcze uśmiechy, życzenia: powodzenia! – i – schodami w dół, bez tchu, na skrzydłach szczęścia – do domu, no bo tam czekają, bo się niepokoją.

A tu „rzeczywistość skrzeczy”. Zapada zmrok gaszący majową zielenią; soczystą, obmytą deszczem, miasteczko opustoszałe drzemie, ostatni autobus dawno odjechał, trzeba więc drałować „per pedes”. Ale, cóż to te dziesięć kilometrów! Zupełnie nie przeszkadza padający deszczyk. „Deszczyk majowy, jak łzy młodej wdowy” – dzwoni mi wesoło w głowie ulubione powiedzonko profesora Czernego.

„Hura! Zdana matura,
Minął wiek ośli,
Jesteśmy dorośli!” – cieszył się po egzaminie dojrzałości wnuk profesorki Heleny Golus.

Niektórzy moi rówieśnicy mieli już ukończone 18 lat, inni – ci z późniejszych miesięcy roku – jeszcze czekali na ów cudowny dzień. Kasztanowce w pełnym rozkwicie pyszniły się kwiatostanami stojącymi wśród gałęzi jak białoróżowe świeczniki, pachniały bzy i jaśminy. Biegliśmy do zakładu fotograficznego Praisnera i – robiąc poważne miny – prosiliśmy o utrwalenie tej, dopiero co osiągniętej dojrzałości, i zastanawialiśmy się „za którym horyzontem świat będzie nasz”? To był nasz skok w dorosłość.

Nie było dawniej zwyczaju przedmaturalnych wyjazdów do Częstochowy, za to na rekolekcjach, odbywanych tuż przed Wielkanocą, modliliśmy się w intencji pomyślnego zdania egzaminów i przyrzekaliśmy nie tknąć alkoholu aż do dnia osiemnastych urodzin. Ale matura niektórym tak zaszumiała w głowie, że gdzieś na łące za miastem, wraz z kolegami, uskrzydleni wolnością, wypijali po kryjomu jakieś owocowe wino z wielofunkcyjnej musztardówki, zawsze przydatnej do gaszenia pragnienia. Mogliby tam zaśpiewać: „Już nam dzisiaj więcej wolno, bo matura już w kieszeni, bo się ma już to świadectwo dojrzałości”, ale płyta z tym przebojem Filipinek powstanie dopiero za rok.

Niektórzy nasi absolwenci wspominali jeszcze pomaturalne bale w auli, zwane komersem, ale my mieliśmy tylko uroczyste rozdanie świadectw.

Każdy poszedł własną drogą. I choć obiecywaliśmy sobie często się spotykać, okazało się, że życie płacze nasze drogi i zawiewa ślady młodzieńczych

przyjaźni. A „przyjaźnie – jak pisał poeta Tadeusz Różewicz – starzeją się tak jak drzewa; schną gałązki, listki, potem konary, wreszcie korzenie”...

Tamtej wiosny uśmiechaliśmy się do naszych marzeń. Zdana matura miała swój powab i wartość; była kluczem do czekającego nas wkrótce dorosłego świata. Ufaliśmy, że ów cały świat leży u naszych stóp i że wymarzone szczęście „czeka na nas tuż za zakrętem”.

A potem przyszło dorosłe życie. Pomieściły się w nim – ból i radość, gorycz i słodycz chwil, smutek po stracie i gniew, wzruszenie i lęk, złość i pragnienie, miłość i nienawiść, pasja i bezradność. Bo nie ma instrukcji obsługi życia, by było tylko szczęśliwe.

Osypywały się każdego maja kwiaty jabłoni, co roku puszyła się złotem kolejna jesień, mijały upalne lata i mroźne zimy. Zszarzały nasze marzenia, straciły blask szalone pomysły, przepadła gdzieś naiwna wiara i beczelna radość. Kolejne lata przynosiły więcej goryczy niż nadziei; coś się nie spełniło, coś za wcześnie się wypaliło, coś niezauważalnie przeminało, jakies młodzieńcze rojenie skarłało lub umarło, zdarzyła się jakaś chwila, która zmieniła wszystko. Czas, który biegł na oślep, niepostrzeżenie okradał nas z młodości. A „na strychu pamięci – jak pisała Beata Obertyńska – zaległy worki z dartym pierzem połamanych skrzydeł”...

Więc „gdy patrzę dziś za siebie w tamte lata co minęły”, na życie – takie nieprzewidywalne, gorzkie, drwiące z naszych planów – wówczas rozumie, że na wszystko jest odpowiednia pora: na młodzieńcze marzenia, ale też na rozstawanie się z nimi, na zgodę na świat, choć coraz bardziej niezrozumiały i obcy, na pogodzenie się z tym, że pominęliśmy tyle dróg, którymi mogliśmy iść:

„tyle już było adwentów, narodzin,
tyle postów, zmartwychwstań,
dorocznych spowiedzi, obietnic,
a z każdą chwilą niebo
coraz bardziej chudsze” [Janusz Pyziński „Zmien”].

Wokół nas następował niewyobrażalny rozwój techniki, rodziły się wynalazki, które zmieniły wszystko i uczyniły świat szalonym, nieprzewidywalnym, niezrozumiałym. Żyjemy pod presją szybkości, nowoczesności, odkrywania wciąż czegoś nowego. Nie nadążamy i to napawa nas lękiem, tworzy poczucie zagubienia i niepewności.

Z młodzińczych lat licealnych pozostały jednak fajne wspomnienia, których nam nikt nie zabierze i czarno-białe zdjęcia, na których utrwalone zostały nasze młodzięcze sylwetki i twarze.

Już prawie noc. W chłodnym powietrzu czuć pierwszy oddech wiosny. Na ulicy ułożyły się powłóczyste cienie. Przez okno sący się blask księżyca – doskonale okrągłego, wielkiego jak latarnia, zagubionego w nieskończoności kosmosu. Zacieniony dotąd fragment pokoju zalewa pomarańczowe światło. Gwiazdy rozsypane na wysokim sklepieniu nieba migocą srebrnym blaskiem. Uliczka za oknem tonie w głębokiej ciszy. Jak to było przez kolejnych 30 lat?

– Tyle spraw czeka! Nie pozwolić opaść powiekom. Wprawdzie lenistwo uszczęśliwia, ale praca uszlachetnia. A więc do zadań – tych uczniowskich, zanim świat mglistą powłoką ogarnie atramentowa ciemność nocy! A w nich – jak zawsze – humor z zeszytów szkolnych:

„Ksiądz Robak tajemnicę życia miał ukrytą pod habitem.

Pod kapturem cechowała Robaka duma.

Były tam wzniosłe słowa pełne pustki.

Mickiewicz nie mógł pogodzić się z n i e p o d l e g ł o ś c i ą.

O d n o w i o n y Jacek prowadzi tajną działalność na Litwie.

W „K a t a r y n c e” Prus ukazuje miłość Wokulskiego do kobiety upadłej, powoli upadającej ze swego stanowiska.

Wańkowicz oglądał pole bitwy lecąc a n i e l s k i m [angielskim] samolotem.

Mama musiała się zająć wychowaniem d o m u.

Gdy stanął nowy dom, mama p o r o d z i ł a brata.

Nowosilcow w s t r z ą proces.

Czesław pasąc krowy, zawsze ludziom robił szkodę.

Pochlebianie polskiej arystokracji dało panu żniwo, które widzimy na ławie oskarżonych.

Molier w swych utworach porusza stosunki.

Spółczeństwo było podzielone na cztery warstwy: chłopów, szlachtę, mieszczaństwo i d y c h o w i e ń s t w o. Ale Molier był innego zdania.

Kochanowski w t e r e n i e XIX stara się podnieść na duchu.

W kronikach średniowiecznych czasem przekręcano fakty, przez co stawały się utworami literackimi.

Jasno widać, że Felicjan Dulski odznaczał się brakiem męskości.

Dulska nienawidzi biednego Felicjana, który prócz miłości nie zrobił jej nic przykrego.

Biskup Krasicki uważa wódkę za lekarstwo na żołądek.

Pod ostrze krytyki dostał się sejm – plemię mówców, które miało język oślicy.

Ordon wysadził siebie i żołnierzy w górę.

CI NASI PROFESOROWIE...

„Nauczyciel to nie tylko zawód, to powołanie
i każdy musi się w tym powołaniu odnaleźć,
nawet wówczas, gdy za swe poświęcenie
nie może liczyć na uznanie i zrozumienie ze strony wielu ludzi”

[Jan Paweł II]

Marzec jak zawsze ślimaczył się deszczem, a my marzyliśmy o zwiewnych letnich sukienkach i o błękitie nad naszymi głowami. A tu szarość rządziła światem: szare niebo, szara ziemia, szare życie... Niedawna biel śniegu zmieniła się w brudną, brązową breję, odsłaniając całą brzydotę przedwiośnia: morze błota, jakieś sterczące badyle, ubiegłoroczne, przygniłe liście, połamane gałęzie...

Drogi wciąż były nieprzejezdne na skutek powstawania tzw. „giętek”, tworzących się na wielu fragmentach słabo utwardzonych powierzchni i mających konsystencję rozgotowanego budyniu, które – rozmarzając – zapadały się, traciły spójność, pękały. Nie pomagały ciągle naprawy dróg: szutrowanie, wysypywanie gruzu: błoto zwyciężało, pochłaniało kamienie; robiły się rozpadliny – głębokie, niebezpieczne, rozkisie, często na pierwszy rzut oka niewidoczne. Grzęzły w nich koła pojazdów, czyniąc drogi zupełnie nieprzejezdnymi. Zawieszono więc linie autobusowe do wielu wiosek. Trzeba było chodzić pieszo aż do krzyżówki przed drogą na Straszecin, brnąć po kolana w obrzydliwej, rzadkiej brei.

Mijane domostwa drzemały uśpione w otulinie z mgieł. Wilgotne, bezlistne gałązki białych brzoź, nagie konary rozczochranych wierzb i wysokich topól stały jeszcze uśpione, czekając na cieplejsze promyki słońka.

Czasem przemknął jakiś okutany człowiek, zaszczekał pies, zaświecił ślepiami skradający się kot. Poza tym pusto, cicho, ponuro. Po szarym niebie płynęły nisko chmury nabrzmiące od deszczu, porywisty wiatr przenikał do kości, zimna wilgoć lepiła się do twarzy.

Dziewczyny nie nosiły spodni, a paletka podszyte wiatrem nie chroniły naszych wątłych ciał. Ciężka teczka z książkami, przerażała perspektywa wytrwania wielu lekcji, by znów wracać – czasami już po zmroku – do naszych odległych wsi. A potem w snach znów powtarzało się tę upiorną drogę ciągnącą się w nieskończoność.

W ciężkich buciorach, czasem w welingtonkach wykonanych z samej gumy bez podszewki czy ciepłej wkładki, docieraliśmy wreszcie na przystanek; zmoknięci, zziębnięci, ubłoceni i ledwo żywi. A dzień przecież dopiero się zaczynał. W autobusie zaraz wyciągaliśmy zeszyty czy książki i jeszcze coś tam doczytywaliśmy z zadanych lekcji. Ale już z gęstej mgły wyłaniały się nadbrzeżne zarośla Wisłoki, migwały budynki koszar, kolejowy tunel i gmach dworca, przy którym był kres naszej podróży. Miasto – spowite szarością – dopiero budziło się do życia, na uliczkach – prawie pustych zalegały mroczne cienie, nieliczni przechodnie spieszyli do swych zajęć, roztapiając się we mgle przesiąkniętej nieprzyjemną mżawką.

W szkole trudno nam było rywalizować z tymi, którzy mieszkali niedaleczko; nawet przy rynku, czy w blokach obok poczty. Przychodzili tuż po śniadaniu; wyspani, starannie ubrani, rozgrzani.

A już woźny dzierżył wielki, ręczny dzwonek z drewnianym trzonkiem, który obwieszczał nastanie najważniejszej dla nas pory dnia – czasu nauki. Czekaliśmy w swoich ławkach wpatrzeni w drzwi, które tuż po dzwonku otwierały się szeroko i pojawiał się w nich profesor uczący danego przedmiotu, witany przez nas z szacunkiem, na stojąco.

Iluż było tych profesorów! Najchętniej wspominamy tych, którzy nas uczyli, byli w jakiś sposób charakterystyczni, wpłynęli na nasze postępowanie, nasze decyzje, nasze późniejsze życie. Bo przecież – jak pisała Julia Fiedorczuk – „ucząc zostawia się ślad; nie materialny ślad na ziemi, gdzie wszystko prędzej czy później ulega zatraceniu, tylko w duszy”.

Najczęściej nauczycielami byli ludzie nietuzinkowi, szlachetni, dobrzy, chociaż i wśród nich zdarzali się przeciętni, nieżyczliwi dla uczniów, a nawet antypatyczni.

Grzegorz Łyś tak wspominał profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Władysława Heinricha: „Był jednym z licznych wśród krakowskiej profesury oryginałów, nieprzesadnie sympatycznym; znany był z arogancji i lek-

ceważącego stosunku do studentów. Potrafił na przykład powiedzieć do nieszczęsnej studentki:

– Z psychologii jest pani przygotowana. Ale nogi to pani ma okropne”.

Również takim niekonwencjonalnym nauczycielem był awangardowy poeta – Julian Przyboś. Justyna Sobolewska pisała o nim: „Sam powtarzał, że nie miał powołania, a w cieszyńskim gimnazjum się męczył. Nauczycielstwo uważał za stan przejściowy: – „Ja sam nie miałem nigdy i nie mam zamiaru tkwić ciągle w belferze; nauczycielstwo uważam za przykrą i przejściową tylko niewolę, którą wcześniej czy później strząsnę z siebie, żeby ocalić w sobie to, co wartościowe”.

O nauczycielach zawsze plotkowali uczniowie i rodzice, wydając nie rzadko krzywdzące opinie, a czasem powtarzając wyssane z palca historie, jak ta, zapisana przez Piotra Jarawana o swojej profesorce: „Miała za bardzo rozstawione oczy. Krążyły plotki, że specjalnie kazała się tak zoperować, żeby widzieć, czy ściągają także uczniowie siedzący po bokach klasy”.

Najczęściej jednak we wspomnieniach wychowanków czujemy sympatię, wdzięczność i podziw dla nauczycieli. Takich sławił Jonasz Kofta, nawiązując do znanej, obowiązkowej pieśni młodzieży lat 50-tych: „Tysiące rąk, miliony rąk”:

„Tysiące głów, miliony głów,
A nauczyciel jeden.
Miliony głów, tak pustych głów
Jak pięć plus dwa to siedem.
On uczy nas od pierwszych klas,
Ma serce wielkie, piękne,
On uczy nas od młodych lat,
To serce piękne mięknie.
Z nami idzie przez drogi życiowe
Światły przykład wszelkich cnót.
Swoim głosem jednoczy młodzież
W tym pochodzie do wiedzy wrót”.

W dębickim gimnazjum i liceum pracowało wielu nauczycieli, których możemy nazwać prawdziwymi autorytetami, mistrzami, przyjaciółmi młodzieży, nie żałującymi czasu, sił i serc dla młodych ludzi. Traktowali swą pracę jako szlachetną służbę i poświęcali się tej służbie całym sercem,

zgodnie z zasadą zamieszczoną w Biblii: „Kto skąpo sieje, ten skąpo zbiera, kto zaś hojnie sieje, ten hojnie też zbierać będzie”.

Tadeusz Ozga [w gimnazjum od roku 1926] pisał: „Większość nauczycieli wspominam z sympatią i wdzięcznością jako życzliwych i szczerych przyjaciół młodzieży”, Wojciech Wójcik [matura – 1928 rok], że to były „niepowtarzalne osobowości”, Ryszard Pazdan [matura 1975 rok], że „byli to nauczyciele starej daty. Myśmy chcieli i oni chcieli”, a Janusz Mrocza [matura -1971], „że byli to ludzie dobrze przygotowani do pracy pedagogicznej [...]. W swojej aktywności zawodowej dawali wyraz przeświadczeniu, że zawód nauczyciela zobowiązuje ich do realizacji wzniosłych norm moralnych. Swoją pracę traktowali jako misję, którą spełniali na rzecz niezależności polskiej kultury. Dbałością o te ideały i stanowczością głoszonych tez, obowiązkowością, systematycznością, gorliwością kształtowali nasze osobowości”.

Takich miłych wspomnień o profesorach naszej szkoły zachowało się wiele. Wiemy jednak, że byli to zawsze ludzie z krwi i kości, mający też swoje słabości i wady, swoje śmieszności, o których przez lata pamiętają byli uczniowie. Ktoś powiedział, że w ogóle nauczyciele nie mogą być normalnymi ludźmi nawet z tego powodu, że koniec roku obchodzą w jego połowie.

To świetnie, że profesorzy dębickiej „Kuźnicy wiedzy” zapisali się trwale w pamięci wychowanków, że po latach nie są oni tylko białą kartą, nazwiskiem wpisanym na świadectwie, przebrzmiałym echem. Można o nich mówić bez końca, a każdy z nich to osobna opowieść. Te opowieści snute są najczęściej podczas spotkań absolwentów po latach.

Niestety, wielu ze wspomnianych w tej książce, już nie żyje, a ich twarze możemy jedynie oglądać odcisnięte na zdjęciach; te najwcześniejsze w sepii, te późniejsze utrwalone już w kolorach. Jak je dzisiaj ożywić?

Jan Wiktor pisał: „Przecież to cienie. Staram się przypomnieć twarz, nazwisko. Tyle ich było. To osoby jakiegoś zapomnianego dramatu. Odegrały swoją rolę, zeszły ze sceny, zginęły za kulisami, które stanowiło życie, a potem grób”.

Czasami, odwiedzając dębickie cmentarze, trafiamy przed ich mogiły. Na Starym Cmentarzu spoczywają m.in. profesorzy: Błażej Kotfis, Zbigniew Fladerer, Irena Janda, Józef Wiercioch, Józef Nowak, Maria Grek, Helena Golus, na Cmentarzu Komunalnym przy ulicy Cmentarnej – Edmund Galas, Zdzisław Czerny, Stefan Dziepak, Lidia Górską, przy ulicy Wielopolskiej – Urszula Piękoś, Anna Łucarz, a na cmentarzu w Dębicy-Latoszynie Małgorzata Pasek.

Groby niektórych profesorów naszej szkoły: Heleny Gałuszki, Piotra Rybki, Bogusławy Kowal, Czesławy Ryszawy znajdują się różnych miejscach Polski; daleko od naszego miasta. Ale tu została pamięć. I wszyscy są wspominani z największą atencją i życzliwością. W ich intencjach – szczególnie w okresie zadusznym – odprawiane są msze święte, młodzież odwiedza profesorskie groby i zapala na nich znicze.

Niech ich ma w swej opiece patron profesorów święty Jan Kanty – mądry i miłosierny wykładowca i kaznodzieja!

Spoglądając na wiecznie zielony barwinek oplatający dawne mogiły na Starym Cmentarzu, nawet zimą zielony i niezwykle trwały, a obok na kruszące się kamienie nagrobne, dumamy nad trwałością pamięci, ale też nad przemijalnością świata, kruchością życia, bo przecież każdy z tutaj spoczywających – jak pisała Magdalena Kordel – „żył, śmiał się, kochał, pił herbatę przed snem, miał półkę z ulubionymi książkami, coś planował, czegoś pragnął. I nagle nic?”. Tylko nadzieja na wieczność.

„Nauczyciel
Jak magik
Z sezamów książek uczy odklinać
Myśli ulęgłe
Złożone do grobu dziejów
Uczy głosić zmartwychwstanie
Wielkich idei
Zmarłych wieszczów
Zakurzonych wartości
Norwidowskim spojrzeniem ogarniać nieogarnione
Mickiewiczowskim cierpieniem odbliźniać zabliźnione
Tuwimowskim zachwytem zachłysnąć się
Nad mową ojczystą”.

Takich nauczycieli wspomina się do końca życia. Absolwent z 1932 roku – Jan Szymaszek, który po latach [w 1946 roku] wrócił do szkoły jako lekarz, napisał: „W pamięci zachowałem wszystkich moich profesorów, którym tak wiele zawdzięczam”, a Zenon Książek dodawał: „Czuję ogromną wdzięczność za ich trud włożony w naszą edukację. W moim przekonaniu byli doskonałymi wychowawcami i nauczycielami. W swojej trudnej pracy kierowali się zawsze pedagogiczną zasadą nierozzerwalności wychowania i uczenia. Mimo pozorów szorstkości, odczuwaliśmy okazy-

waną nam zawsze życzliwość, ale równocześnie potrafili być w stosunku do nas wymagającymi nauczycielami. Lata spędzone w tej szkole wspominałam z nostalgią i sentymentem, a nad grobami naszych profesorów składałam nisko posiwiął już głowę z wielkim szacunkiem i składałam serdeczne podziękowania za tamte wspaniałe lata naszej młodości burzliwej, górnej, a czasem durnej i chmurnej, przez którą przeprowadzili nas bez niebezpiecznych zawirowań”.

Te piękne słowa mogłabym powtórzyć w swoim – i pewnie w imieniu wielu wychowanków naszej szkoły.

Każdy nauczyciel chciałby zasłużyć na takie wspomnienia, każdy przecież chciałby być idealny. A jaki powinien być ten ideał? Ktoś sporządził przepis na takiego pedagoga, podobny do przepisu na smakowite ciasto:

„Garść koleżeństwa
szczypta czułości
cztery krople serdeczności
łyżka opiekuńczości
dwa ziarna szczerości
odrobina zaufania
wymieszać odczekać
15 minut i nauczyciel
gotowy”.

Czy profesorzy naszego gimnazjum i liceum byli „ulepieni” według tego przepisu? Zawsze tym mianem ich nazywano i tytułowano z przyjemnością, bo to nobilitowało także tego, kto się tym określeniem zwracał do pedagogów, którzy „nieśli oświaty kaganiec”, którzy ucząc i wychowując młodych ludzi starali się zaspokajać również ich potrzeby emocjonalne, rozwojowe, społeczne i duchowe. Kierowali się piękną zasadą sformułowaną jeszcze przez Komisję Edukacji Narodowej: „Nauczyciel powinien być o tym przekonany, że przymioty jego rozumu i serca wpływają w rozum i serca uczniów”. Po jednej z reform nadano nam z urzędu tytuły: „profesor szkoły średniej”, a później je odebrano po przemianach 1989 roku.

Od samego początku istnienia naszej szkoły pracujący tu nauczyciele odgrywali wiodącą rolę wśród dębickiej inteligencji. Lidia Górska pisała: „A w ciastkarni Kiciowej zasiadano przy herbatce i ciasteczku, i prowadzono rozmowy nie tylko te: „Co tam panie w polityce”? Wśród gości na herbatce spotkać można było urzędników, lekarzy i profesorów dębickiego

gimnazjum”. Brali udział w uroczystościach państwowych i imprezach kulturalnych, prowadzili działalność naukową, zasiadali w różnych gremiach, zaszczykali, reprezentowali, latem wyjeżdżali na wczasy do „Zakopca” lub wysyłali swe żony „do wód”. Byli to ludzie najczęściej solidnie wykształceni.

A zdobycie pełnych kwalifikacji w tym zawodzie zawsze wymagało wielu lat żmudnej pracy. Najpierw absolwenci uniwersytetu przechodzili wielostopniowe, trudne egzaminy, które dopiero dawały uprawnienia do nauczania danego przedmiotu. Po kilku latach pracy „suplent” otrzymywał mianowanie na stopień nauczyciela rzeczywistego, a następnie – na profesora. Dlatego nauczyciele gimnazjalni cieszyli się w środowisku prestiżem, stanowili elitę intelektualną, a także finansową.

Profesorzy naszej szkoły chętnie włączali się do działań na rzecz środowiska: organizowali państwowe uroczystości, przewodniczyli różnym organizacjom społecznym, prowadzili akcje oświatowe, różne kursy czy działania charytatywne, a także – jak pisał Edward Wodzień – „uczestniczyli we władzach samorządowych miejskich i powiatowych, byli założycielami szeregu stowarzyszeń i przewodzili w ich działalności – w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, Towarzystwie Mieszczańskim, Towarzystwie Kasynowym, w Kole Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwie Muzycznym „Lutnia”, Lidze Pomocy Przemysłowej, Składnicy Kółek Rolniczych i Spółdzielni „Kłos”.

Przykładem może być profesor Stanisław Alojzy Wiśniewski, który – jak pisał Zbigniew Szurek – „w 1906 roku po ukończeniu studiów filozoficznych w Krakowie podjął pracę w dębickim gimnazjum. Od początku włączył się w nurt życia miasta w różnych dziedzinach. Przyczynił się do budowy siedziby Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, później był jego długoletnim prezesem [...]. W pierwszych miesiącach okupacji kierował [do chwili rozwiązania przez okupanta] Oddziałem Miejscowym PCK”. Działalnością społeczną para się i dziś wielu profesorów naszego liceum.

Ale najważniejszą misją gimnazjalnych i licealnych nauczycieli było niesienie wysoko owego „kaganka oświaty”, czyli utrzymywanie wysokiego poziomu nauczania. Tak było przez cały czas istnienia szkoły. Tak jest i teraz.

My też – jak nasi poprzednicy – cały czas uzupełnialiśmy swą wiedzę i wykształcenie. Zdawaliśmy różne egzaminy, zdobywaliśmy kolejne stopnie pedagogicznego awansu, kończyliśmy studia podyplomowe. Dzięki temu – jak pisała Aneta Kwolek – „uczniowie i absolwenci liceum byli dobrze przygotowani merytorycznie przez szkołę. Świadczą o tym dane o liczbie przyjętych na studia wyższe; na przykład w roku szkolnym 1970/1971

dębicka szkoła zajęła pod tym względem pierwsze miejsce w województwie. Co roku duża liczba uczniów startowała w olimpiadach przedmiotowych, osiągając często wysokie miejsca w finałach ogólnopolskich, a nawet międzynarodowych”.

Wśród kilkunastoosobowego, ale dość płynnego grona nauczycielskiego, byli ludzie wszechstronni, o olbrzymiej wiedzy, świetnych umiejętnościach i talentach pedagogicznych, barwni, charakterystyczni, niepowtarzalni.

Początkowo pedagodzy gimnazjum często się zmieniali. Władze szkolne przenosiły, zwłaszcza suplentów, czasami nawet dwa razy w roku. Także te – „wysoko oceniające pracę nauczycieli gimnazjalnych w Dębicy”, niejednokrotnie wysyłały ich do nowych miejsc, by wzmocnili miejscowe kadry. I tak: Prywatnym Gimnazjum w Nisku kierował profesor Tadeusz Rojek, a IV Gimnazjum we Lwowie – profesor Krzysztof Krzysztofowicz. Z biegiem lat grono nauczycielskie stało się bardziej stabilne, zaczęły też pojawiać się kobiety – nauczycielki. Początkowo uważano je za mniej inteligentne od mężczyzn, a także słabsze fizycznie. Jedna z dawnych wedlowskich reklam – promująca „kakao owsiane” – polecała je w pierwszej kolejności właśnie nauczycielkom, „które wskutek umysłowego, fizycznego i nerwowego naprężenia cierpią na osłabienie”. Te poglądy były całkowicie bezsensowne, a historia szkoły pełna jest nazwisk wybitnych profesorek.

Za moich czasów szkolnych pracowali tu cenieni profesorzy i profesorki, którzy zostali później moimi kolegami z pracy. Oczywiście, corocznie przychodzili nowi, młodzi wykładowcy, ale były to przypadki pojedyncze.

A losy nauczycieli naszej szkoły były bardzo skomplikowane. Wielu z nich żyło w czasie wojen światowych: tej pierwszej, w której „głowę na ołtarzu ojczyzny” złożył profesor Tadeusz Gawryś, czy tej drugiej, gdy zginął profesor Ludwik Kita, profesor Franciszek Dwornik, czy profesorowie Zofia i Stanisław Marciszowie.

Gdy w czasie I wojny światowej budynek szkoły przekształcono na koszary i szpital wojskowy, kilku nauczycieli wyjechało do Wiednia, Pragi, Berlina, gdzie prowadzili kursy dla uczniów. Jak pisał Edward Wodzień: „z Dębicy na tych kursach kontynuowało naukę 32 uczniów”.

W czasie II wojny światowej około dwudziestu profesorów pracowało w powołanym przez dyrektora Franciszka Sadowskiego dębickim gimnazjum i liceum, które znalazło miejsce w budynku Szkoły Ogrodniczej w Ropczycach. Podejmujący tam pracę nauczyciele zdawali sobie sprawę z konsekwencji swej decyzji, ale doceniali wagę istnienia tej szkoły i godzili się na trudne warunki życia.

Jak pisał jeden z nich, „budynek był zniszczony, bez szyb, bez ławek – nie mówiąc o jakichkolwiek pomocach naukowych. Nawet nauczyciel nie posiada własnego podręcznika – kancelaria nie ma żadnych materiałów piśmiennych [...]. Znaleźliśmy się na skutek przymusowej ewakuacji na terenie sobie obcym, w otoczeniu przeważnie mało życzliwym dla „przybłądów”. Zdobycie dachu nad głową w Ropczycach jest obecnie niemożliwością. Dochodzą więc nauczyciele 7 km z Sędziszowa, 14 km z Olchowej, „tylko” 5 km, ale za to niesłychanie błotnistej drogi z Pietrzejowej. A szczególnie sublokatorzy zagrzybionej izdebki drżą ustawicznie przed eksmisją [...]. Na nadchodzącą zimę nikt z nas nie ma możliwości zaopatrzyć się w opał, nie posiada ciepłego ubrania, obuwia – potraciliśmy przeważnie wszystkie rzeczy [...]. Tragicznie przedstawia się również kwestia wyżywienia. Nie otrzymaliśmy żadnych przydziałów, żadnych kartek żywnościowych [...]. Dodajmy do tego wszystkiego niepomysłny na ogół stan zdrowia przy braku pomocy lekarskiej, wyczerpania nerwowego na skutek wydarzeń wojennych”.

Gdy – po zakończeniu wojny – szkoła wróciła do swego budynku w Dębicy, powrócili też profesorzy, by podjąć tu swą pracę, choć warunki życia były w dalszym ciągu katastrofalne.

Na skutek przemian ustrojowych władze zaczęły wymagać od nauczycieli odpowiedniej postawy ideowej i zaangażowania w służbę nowej, socjalistycznej ideologii.

Były to trudne czasy. Panowała niepewność i strach. Usuwano z pracy lub szykanowano tych, którzy nie radzili sobie w nowej rzeczywistości. Na skutek ówczesnej polityki kadrowej, w pierwszej połowie dekady lat pięćdziesiątych, odeszło w naszym kraju z zawodu pięćdziesiąt tysięcy doświadczonych nauczycieli. Ich miejsce zajmowali absolwenci rozbudowanej sieci liceów pedagogicznych, przygotowujących młode, zaangażowane kadry, wywodzące się w dużej mierze ze środowisk robotniczych i chłopskich. Jak pisze Piotr Nesterowicz: „Wszyscy wyuczeni według socjalistycznych zasad Antona Makarenki”.

Jolanta Kosowska wylicza cechy tych „wyuczonych według zasad Makarenki” nauczycieli: „Tacy akuradni i wszystkowiedzący, skrupulatni, poukładani, nieomylni, jakby stworzeni do kształtowania, analizowania i oceniania zachowań innych [...], wygłaszali autorytarne opinie, które jako prawdy z definicji nie wymagały dowodzenia. Uważali się za alfę i omegę. Mierzili świat miarą własnej etyki i własnego poczucia przyzwoitości. Chcieli w wypowiedziach uczniów słyszeć własne myśli i słowa, bo prze-

cież tylko ich poglądy miały rację bytu. Próbowali nas kształtować na swój wzór i swoją miarę, jakby oni byli idealni”.

Prawie wszystkim profesorom naszego liceum, mimo ideologicznej presji, udało się przejść przez ten okres, zachowując godność, niezależność i wierność swym przekonaniom oraz przekazując swym uczniom wartości uniwersalne, zawsze ważne i niezależne od aktualnej mody. Leszek Starkel, który ukończył naszą szkołę w 1949 roku, pisał: „W latach gimnazjalnych i licealnych znaczące było wychowanie patriotyczne, a wychowawcy kładli nacisk na obchodzenie świąt narodowych. Dbali też o pielęgnowanie tradycji rodzinnych i religijnych [...]. Również działalność artystyczna, często inspirowana przez nas samych, spełniała istotną rolę kształtującą nasze podejście do życia”.

Późniejsze lata dawały nauczycielom większą swobodę w realizowaniu zadań pedagogicznych, łączących naukę z wychowaniem patriotycznym, społecznym i moralnym.

Mimo różnych szkolnych doświadczeń – podczas spotkań; szczególnie tych jubileuszowych – dawni uczniowie wspominają najczęściej swych profesorów z uśmiechem i nostalgią, tak jak to uczynił w „Prześwietlonych wspomnieniach” Jan Wiktor:

„Chociaż tak ciężkie były lata szkolne, przypominają tego od łaciny, tamtego od matematyki czy historii.

– Wiesz, czego mi żal? Że nie mogę pochylić się z czcią i przeprosić:

– Panie profesorze, teraz dopiero doceniam trud nauk, jakie słyszałem; są chlebem, który mnie karmi. Mogę tylko ceniom się pokłonić i ceniom to powiedzieć”.

Warto więc – „zanim czas nie zaćmi i niepamięć” – przybliżyć sylwetki niektórych profesorów naszej szkoły; tych, najbardziej zapamiętanych. Niech owe wspomnienia – przemielone przez żarna czasu – ocalą ich od zapomnienia.

Było ich tak wielu, tak różnych, tak barwnych, a każdy miał swoją „ksywkę”. Pojawiały się one nie wiadomo kiedy i nie wiadomo skąd, były bardzo pomysłowe i różnorodne. Niekiedy stanowiły przekształcenie [np. skrócenie] nazwiska, zastępowały nazwisko imieniem [często w formie zdrobniałej], określały jakąś cechę profesora, jego zabawne powiedzonko czy sposób zachowania. Najczęściej nie było w nich złośliwości; raczej sympatia oraz wytwór fantazji, pomysłowości młodzieży i – mody.

Te od imion – np. Celka, Dorotka, Kazek, Krysia, Władzia, Wiesiu – były wyrazem życzliwego stosunku wobec nauczycieli skracających dyktans, „nieobraźalskich”, bezpośrednich, serdecznych. Używano też imion

bez zdrobnień: Teresa, Urszula, Halina – też chyba z powodu mody na spoufalanie się, a trochę dla szpanu i podkreślenia, że się jest ważnym. Bo przecież – jak pisał Artur Andrus; ten, co to „pił w Spale, a spał w Pile” – to „każdy człowiek może być Haliną dobrą albo Haliną złą, nawet tak naprawdę Haliną nie będąc”.

Pseudonimy pochodzące od skrótów nazwisk są i dziś bardzo modne. Wspaniały piłkarz Robert Lewandowski to „Lewy”, znany siatkarz Michał Zagumny to „Guma”, a piosenkarz Andrzej Piaseczny to „Piasek”. Zgodnie z tą zasadą ja byłam nazywana „Niziołem”, profesorka Grundboeck – „Grunberką”, a profesor Wozowicz – „Wózkiem”. Pojawiały się też inne pseudonimy – trudne do wytłumaczenia, chociaż bardzo popularne.

Ale pora przejść do prezentacji sylwetek gimnazjalnych i licealnych pedagogów. Na pierwszy ogień – poloniści!

Pierwszego profesora języka polskiego Jana Szufę, który pracował w gimnazjum od początku jego istnienia – niestety – niezbyt miło wspominał Michał Urbanek: „Niski, szczupły blondyn, noszący głowę stale pochyloną na prawo [...]. Wykład prowadził suchy, metodę miał nudną, schematyczną, przy wygłaszaniu z pamięci nie zwracał uwagi na dykcję, akcenty, przestankowanie. Nudziliśmy się przy streszczeniu „Pana Tadeusza”, „Ogniem i mieczem” z opuszczeniem scen erotycznych. Prawdziwe nudy narodowe. Brak było nawet wzmianki o wartościach wychowawczych. Ważna była sucha treść, bez analizy i komentarzy [...]. Lekcje trzeba było wkuwać z podręcznika na pamięć. Bigot, klerykał, konserwatysta, wiernopoddańczy wobec rządu austriackiego. Podręcznik był dla niego alfa i omega [...]. Uczył nas przez cztery lata, ale budził odrazę do języka polskiego”.

Michał Urbanek podkreślał jednak, że dzięki profesorowi nauczył się wielu tekstów literackich na pamięć i kaligraficznego pisania. Ostatecznie jednak twierdził, że ów polonista był powszechnie nielubiany. „Jego rutyniarstwo i skostniałość odstręczały od przedmiotu, który uczył, odpychały od jego osoby. Nawet uczniowie wybili mu szyby w oknach i ostatecznie zmusili do opuszczenia Dębicy”.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie”...

Również Jan Wiktor dosyć krytycznie oceniał swego nauczyciela ojczystego języka:

„Srogi polonista czytał wypracowanie „na dowolny temat” ucznia klasy wyższej; na kołnierzach złościły się paski, teraz raczej podobne do połamanych kijów. Nastrój panował ponury. Nikt nie śmiał popatrzeć na onego

skazańca, który pewnie się czuł jak mysz w pułapce. Znać było, że nauczyciel usiłuje go ośmieszyć w celach wychowawczych, a nie myśli, że zadaje tortury. Czasem minął przecinek, kropkę, wiązał zdanie ze zdaniem, to znów słowo zniekształcił, mowę wykoszławił i wychodziły bzdury, że można za boki się brać. Szczególnie dobitnie podkreślał rymy częstochowskie, wytarte: rury-chmury, mury-dziury.

Uczniak spuścił głowę. Zdawało mu się, że kiedy tworzył, to wyrazom przyprowadził skrzydła orle, to odłamywał promienie gwiazdom i wcielał je w dźwięki, w czarną powłokę liter. Teraz zaś słyszy je sponiewierane, wzgardzone, wystawione na pośmiewisko. I co tu owijać w bawełnę, czuł się upokorzony i zawstydzony. Znalazł się pod pręgierzem wszystkich oczu. Chłosta bolesna [...]. Zrywał się, aby coś powiedzieć, wyjaśnić, usprawiedliwić, zasłonić jakby tarczą te swoje udręczone wyrazy”.

Na szczęście, kolejni nauczyciele języka polskiego pozostawili w pamięci uczniów ciepłe uczucia.

Od 1904 roku języka polskiego uczył w gimnazjum profesor Adam Zassowski, a od 1907 – Marcel Prószyński – ludowiec. Michał Urbanek zapamiętał, że był to „młody brunecik z bródką i wąsikami, dynamiczny, ruchliwy jak żywe srebro. Duża kultura literacka. Systematyczność, jasność, zwięzłość, rzeczowość – tych cech wymagał w odpowiedziach. W analizie utworów Słowackiego i Krasińskiego uwydatniał nie tylko ich piękno i patriotyzm, ale i pierwiastki postępowe, demokratyczne. Tym chwycił za serca i budził do siebie zaufanie”.

Od 1912 roku polonistą był w naszej szkole „nauczyciel i mistrz” – Jan Leśniak.

Adam Przewłocki pisał: „Najbliższym mi i kochanym był profesor Jan Leśniak [...]. Był to człowiek niezwyklej szlachetności, rozmiłowany w swoim zawodzie, świetny znawca poezji romantycznej i młodopolskiej, nie tylko nauczyciel języka polskiego, ale nauczyciel miłości do poezji. Znał nas wszystkich doskonale. Znał nasze zainteresowania, umiał te najwartościowsze rozwijać i pogłębiać. Zawsze cichy, spokojny, nawet smutny, trawiony chorobą, prowadził swoje świetne wykłady w sposób niemal studencki. Człowiek skromny i biedny. W jego domu, oprócz najprostszych drewnianych łóżek, kuchennych stołów, takich samych krzeseł i półek pełnych książek, nie było nic więcej. Ale w tym domu biło najlepsze, gorące serce. Największym zaszczytem i radością dla mnie było zaproszenie mnie do tego domu na rozmowy o twórczości Stanisława Wyspiańskiego. To właśnie profesor Leśniak wszczepił we mnie miłość do twórczości Wyspiańskiego, która przetrwała

po dziś dzień.” Adam Przewłocki wspomina sytuację, gdy profesor poszedł na urlop dla poratowania zdrowia, ale zgodził się przyjść na kilka godzin lekcyjnych tygodniowo. „Doprowadził nas do matury – już w wyzwolonej z przeszło stuletniej niewoli, ojczyźnie”. Również „uznanie i wdzięczność” dla tego profesora, który – niestety – zmarł przedwcześnie na gruźlicę, wyraził w swych wspomnieniach Julian Roztoczyński.

Antoni Stańko wspominał profesora języka polskiego – Jana Piotrowskiego [w gimnazjum od 1918 roku]: „Oficer c. k. armii, gorący patriota i społecznik, który wpajał w młodzież szkolną miłość do ojczyzny”, a także – Bronisława Nagawieckiego [w gimnazjum od 1919 roku]: „Nadzwyczaj miły i przystępny profesor. Dusza człowiek, jak go powszechnie nazywano”.

Jana Piotrowskiego miło wspominał również Edmund Król: „Był wspa- niałym pedagogiem i dydaktykiem. Cierpliwie i wytrwale uczył nas piękna polskiej mowy, szczególną uwagę zwracał na logikę i jasny sens wypowiedzi” – oraz Stanisław Ozóg: „Wymagał dobrych manier i całych ustępów poetyckich Mickiewicza i Słowackiego na pamięć [...]. Wystawił według własnej inscenizacji „Dziady” w miejscowym „Sokole” i w naszej szkole. Lokalny arystokrata. Nie wiem, dlaczego nazywano go „Drzystek”.

Od 1924 roku języka polskiego w gimnazjum uczył też profesor Adam Zamirowski, a od 1926 profesor Stanisław Skrzyszewski.

Wojciech Wójcik wspominał polonistę Asankę-Japoła, który również przyszedł do gimnazjum w 1926 roku: „Przez rok czy dwa języka polskiego uczył nas wiecznie zakatarzony, zapominalski – profesor Michał Asanka -Japoł, który później przeniósł się do gimnazjum w Cieszyńcu”.

Justyna Sobolewska w biografii poświęconej pisarzowi Kornelowi Filipowiczowi – który był uczniem tamtej szkoły – pisała: „Poza Julianem Przybosiem [pracował tam też jako polonista] wśród profesorów była też inna postać nietuzinkowa, a mianowicie Michał Asanka-Japoł – nauczyciel łaciny i greki, germanista z Monachium i poeta, przyjaciel Stanisława Przybyszewskiego. Jego nazwisko i postać pojawia się w „Czarodziejskiej górze” Tomasza Manna, a to w związku z głośną sprawą honorową – Japoł obraził żonę Przybyszewskiego i został przez niego spoliczkowany. Profesor nie chciał nigdy o tym rozmawiać”.

Japoł był chyba człowiekiem wielu talentów [język polski, język niemiecki, języki klasyczne!]. Pracując w naszej szkole „pisał jakąś powieść i chodził zawsze w zamyśleniu”.

W tym samym okresie uczyła również języka polskiego profesorka Aniela Emilewiczówna – „wybitna przez swoje super wyemancypowane zachowanie. Przeto nie utrzymała się długo w środowisku dębickim”.

Dumą napawa fakt, że w roku 1928 polonistą w naszej szkole został „młody, bardzo skromny” doktor filozofii, a wkrótce wybitny poeta i satyryk, tłumacz i teoretyk lalkarstwa – Jan Sztaudynger. Warto bliżej poznać jego sylwetkę.

Jan Izidor Sztaudynger urodził się w 1904 roku w Krakowie. W jego żyłach płynęła mieszanka krwi polskiej, niemieckiej i francuskiej. Wiersze pisał już w dzieciństwie, więc jako 9-letni chłopiec swoje wypracowanie o wakacjach „wysmażył” wierszem. Studiował polonistykę i germanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1923 roku ukończył również studium pedagogiczne, a w 1924 zdobył tytuł doktora filozofii. Jako młody twórca został członkiem grupy literacko-artystycznej „Helion”, a także organizatorem i teoretykiem teatrów lalkowych. W 1924 roku debiutował tomikiem poezji „Dom mój”. Był autorem bardzo płodnym. Spod jego pióra wyszły przede wszystkim setki fraszek. Ciekawe są tytuły zbiorów: „Piórka”, „Wiórki”, „Śmiesznoty”, „Szumowiny”, „Półśłówka”, „Krople liryczne”, „Jak zwykle wszystko winą jest Amora”.

Te niezwykle lapidarne, skrzące się dowcipem i odkrywczością utwory dotyczyły wielu spraw: od błahych, jak „Obłuda”:

„Chwałę niewinną,
Lecz wolę inną”, – czy: „Ej, tato!”

Przypomniała mama tacie,
Że gnuśniej na etacie” – po te, dotyczące własnej twórczości, jak „Pocałunek Muzy”:

„Naiwni mówią: – Pocałunek Muzy -
A to są rany, kopniaki i guzy” – do refleksji nad życiem, jak „Wieczność”:

„Wieczność za nami i wieczność przed nami,
A dla nas chwila między refleksjami” – czy zadumy nad śmiercią, jak „Pytajnik”:

„A może tylko zmieniamy ramy,
Gdy umieramy?”

Podobno Sztadynger nawet rozmawiał wyłącznie fraszkami. Gdziekolwiek się znalazł – „w słońcu i w deszczu, przy brydżu i w kawiarni” – tam natychmiast zabierał się do pisania. Krytyk literacki Ryszard Kosiński powiedział pięknie, że Sztadynger „nakłuwa swą poezją baloniki ludzkiej próżności”, że jest w nich „pieprz i miód, sól ziemi, słońce i wino, piołun i gorczyca”. Nigdy jednak ów twórca nie przekraczał granicy dobrego smaku. I choć z pokorą twierdził:

„Oto historia życia nie skłamana w niczem:
Nie byłem Mickiewiczem”

– to przecież słusznie nadano mu miano najwybitniejszego współczesnego polskiego fraszkopisa, a także – w 1937 roku – odznaczono „Srebrnym Wawrzynem Literackim”.

Gdy Jan Sztadynger przyszedł do pracy w naszym gimnazjum, miał 24 lata, a za sobą już debiut poetycki i wiersze zamieszczane w różnych czasopismach.

Zachowała się do dziś jego umowa o pracę „zawarta między Księdzem Błażem Kotfisem, dyrektorem państwowego gimnazjum w Dębicy, działającym w imieniu i z upoważnienia Kuratorium Szkolnego w Krakowie i Skarbu Państwa, a Panem Doktorem Janem Sztadyngerem w sprawie stosunku służbowego”.

Profesor Jan Sztadynger miło wspominał dyrektora naszego gimnazjum. Pisał: „Pierwszą moją posadę miałem w 1928 roku w Dębicy, w Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły. Dyrektorem był ksiądz Kotfis – facet poczciwy z kośćcami, kochający uczniów. Nigdy nie doznałem od niego najmniejszej przykrości”.

Na zachowanej fotografii oglądamy młodego, ale bardzo poważnego bruneta o dość ostrych rysach, pociągłej twarzy, wysokim czole, ciemnej oprawie oczu, z grubymi, bardzo wyrazistymi brwiami i króciutkimi włosami. Bardziej przypomina na nim demonicznego Brunona Schulza niż dobrotliwego fraszkopisarza, jowialnego prześmiewcę i wesołka.

Po roku pracy w naszej szkole Sztadynger został powołany do wojska w Zaleszczykach. Później wyjechał do Bydgoszczy i Poznania, gdzie wykładał w seminariach nauczycielskich, zajmował się też lalkarstwem i prowadził zajęcia z tej dziedziny. Pozwoliło mu to po wojnie organizować teatry lalek; najpierw w Lublinie, a później w Łodzi. Pisał też o tej dziedzinie sztuki-

ki w różnych czasopismach. W uznaniu zasług został członkiem honorowym Międzynarodowego Stowarzyszenia Teatrów Lalkowych „Unima”.

Podczas okupacji brał udział w tajnym nauczaniu. Został aresztowany i osadzony w obozie przejściowym pod Sandomierzem. Po zakończeniu wojny i krótkim pobycie w Lublinie przeniósł się do Łodzi, a w 1947 roku do Szklarskiej Poręby, gdzie wygłaszał odczyty w ramach przywracania życia kulturalnego na Ziemiach Odzyskanych. Tu, oprócz fraszek, pisał też wiersze dla dzieci [„Zwrotki dla Dorotki”].

Ostatnie lata życia spędził w Zakopanem, dokąd przeprowadził się w 1961 roku i gdzie pełnił funkcję prezesa Klubu Literackiego.

Już jako dojrzały mężczyzna i uznany pisarz, na początku lat sześćdziesiątych odwiedził nasze liceum, by w czasie wieczoru autorskiego recytować swoje fraszki.

„Ze dwa czy trzy lata temu – wspominał – zaprosiło mnie to moje gimnazjum na wieczór autorski. Pojechałem wzruszony. Wspomnienia, wspomnienia. Pierwsza posada nauczycielska.

Stanąwszy przed młodzieżą zaznaczyłem, że pierwszą rzeczą, którą zrobiłem na nowej posadzie, było zestawienie liczby uczniów dojeżdżających. Trudno było od młodzieży, która szereg godzin traciła na dojazd, marnując czas i energię, wymagać tyle, co od stałych mieszkańców Dębicy.

W tym miejscu zerwała się z miejsca nauczycielka i pokazując palcem na kolegów wykrzykiwała: – A co, a co, a nie mówiłam?

Ta pani to była polonistka”.

Doskonale pamiętam to spotkanie. Sztaudynger był wówczas żwawym, pogodnym, eleganckim mężczyzną o bystrym spojrzeniu i trochę ironicznym uśmiechu; fraszkopisarzem zarażającym wszystkich radością i optymizmem.

Po krótkim wstępie, jaki wygłosił, zawierającym wspomnienia z pobytu w Dębicy oraz informacje o swym życiu i pisarstwie, przystąpił do recytowania fraszek. Miał ich całe mnóstwo, a wszystkie cudowne, oryginalne, celne i radosne, tak, że atmosfera spotkania stała się bardzo przyjemna, luźna, wesoła; znikło skrępowanie i trochę sztywny, poważny nastrój początku spotkania. A niektóre z tamtych fraszek warte są przypomnienia:

„Powyżej brody, poniżej nosa
Miejsce na całus i papierosa”.

„Nim pomyślicie o miłosnej uczcie,
Pierwej się uczcie”.

„Mała mi się spodobała, myślę już o jej upadku,
Nagle ona – cmok! mnie w rękę:
– Bardzo-ście przyjemni, dziadku”.

„Tak lubię tort,
że mógłbym mieć kilka mord”.

„Niech skórę łożą,
Byle nie moją”.

„Strach musi być uroczy,
Bo strach ma wielkie oczy”.

„Co robimy od stuleci?
Dzieci”.

„Myjcie się dziewczyny,
Bo nie znacie dnia ani godziny”.

Śmialiśmy się, biliśmy brawa, czuliśmy się świetnie, swobodnie i na luzie. Wciąż domagaliśmy się bisów, na co Sztaudynger z chęcią przystawał. Wreszcie na koniec uraczył nas pożegnalną fraszką, w której natychmiast rozpoznaliśmy analogię do wiersza Juliusza Słowackiego „Testament mój”:

„Żyłem z wami, kochałem i cierpiałem z wami -
Teraz życie, kochajcie, płaczcie sobie sami”.

Po latach poeta tak wspominał zakończenie tego spotkania:

„Odczytałem fraszki, wiersze i zakończyłem wieczór. I tu nastąpiła dla mnie wielka niespodzianka, bo oto uformowało się w kolejce kilkadziesiąt młodych dziewcząt i każda kładła na katedrę przede mną bukiet kwiatów. Nigdy i nigdzie nie dostałem tyle kwiatów na raz. Dyrektor [Pietrzykowski] odkomenderował dwie dziewczynki, bo po prostu problemem było uniesienie tych naręczy kwiatów. Wszyscy troje, tonąc w kwiatach, znaleźliśmy się na dworcu.

Czułem się doprawdy szczęśliwy, gdy nadszedł pociąg i gdy moje towarzyszkę o uroczych dziewczęcych twarzyczkach sunęły za mną z naręczami kwiatów. Nazajutrz miałem gotowe prezenty dla cioci Jadzi, dlatego tak do-

brze zapamiętałem sobie datę tego wieczoru. Poza tym odszukałem moją dawną uczennicę z Dębicy i podzieliłem się z nią dębickimi kwiatami.

Morze kwiatów tak mnie oszołomiło, że zamieniło gorycz wspomnień na słodycz uznania. Chytrze mi zabroniono opłakiwać dawną, minioną przeszłość”. No tak, przecież sam pisał:

„Mimo najszybszych samolotów,
Do wczoraj nie ma już powrotu”.

Jana Sztaudyngera pokochali czytelnicy wszystkich pokoleń, docenili też krytycy literaccy określając go mianem „odnowiciela gatunku”. Zygmunt Natanson pisał, że „Sztaudynger chciał wyprostować nieco wykoślawione pojęcie fraszki i przywrócić jej znaczenie poetyckie”. Pamiętam, jak bardzo lubił te „utworki” profesor Józef Nowak.

Pewnego razu wszedł na przerwie do mojej pracowni, gdy właśnie czytałam tomik Sztaudyngera – starannie wydany i ślicznie ilustrowany erotycznymi rysunkami Mai Berezowskiej. Dyrektor poprosił mnie o wypożyczenie zbiorku, a potem bardzo chwalił i powiedział, że dały mu dużo radości. Jan Sztaudynger zmarł w 1970 roku i został pochowany w Krakowie.

Wiele ciekawostek o jego życiu i twórczości możemy poznać z pracy wspomnieniowej jego córki Anny Sztaudynger-Kaliszewicz pt. „Chwali-pięta, czyli rozmowy z Tatą”, a najciekawsze wiersze – ze zbioru wydane-go pośmiertnie pt. „Piórka prawie wszystkie”. W naszej licealnej bibliotece znajduje się ów zbiór – подарowany szkole przez syna poety – Jacka. Jako motto zamieszczono w nim fraszkę „Kropelkami”:

„Miły czytelniku, upraszam cię wielce,
Nie pij fraszek haustem – sącz je po kropelce”.

Pisarzowi poświęcono kilka tablic pamiątkowych. Na tej w Łodzi – czytamy: „Uczył piękna i radości życia”. Na naszej szkole brak takiej tablicy, ale – by przetrwała pamięć o słynnym poloniście gimnazjum, pracująca w bibliotece szkolnej pani Maria Trojanowska [Jodłowska], absolwentka z 1982 roku, organizuje lekcje biblioteczne o życiu i twórczości Sztaudyngera, a także konkurs z nagrodami na uczniowskie fraszki, nawiązujące do tych -Sztaudyngerowskich. Po zamieszczeniu regulaminu konkursu na stronie internetowej szkoły, pani Maria otrzymała mail z podziękowaniem od syna poety – Jacka. Zafascynowana twórcą, z pasją opowiada o frasz-

kach naszego byłego profesora, przytacza anegdoty związane z jego życiem, koresponduje z jego dziećmi, odwiedziła zakopiańską willę, gdzie znajduje się muzeum Sztadyngera.

Od 1930 roku języka polskiego w naszym gimnazjum uczyli również profesorzy: Józef Marcinkowski – „pedagog bardzo wymagający, ale sprawiedliwy” i Hermina Gaszczykówna.

Tuż po wojnie – od 1944 roku polonistami w naszej szkole byli: „bardzo spokojna i delikatna” profesorka Maria Śnieżek i absolwent naszego gimnazjum z 1908 roku – Michał Urbanek, od 1945 roku – profesorka Irena Stalowa, a od 1947 – profesorka Anna Sobocińska.

Ewa Cięciel zapamiętała profesorkę Irenę Stalową jako „elegantką brunetkę, która stwierdziła, że uczniowie mają wielkie zaległości w języku polskim, dlatego zadawała całe partie materiału do nauczania się w domu, a potem, co dwa tygodnie solidnie sprawdzała tę wiedzę.

W latach 1947-1950 historii i języka polskiego uczyła w naszej szkole – związana z Dębicą – znana pisarka Waleria Szalay-Gröele. Warto poznać bliżej sylwetkę tej niezwykłej kobiety.

Urodziła się w 1879 w Czernichowicach pod Zbarażem. Jej ojciec był Węgrem, a matka Polką. Gimnazjum i konserwatorium ukończyła we Lwowie, a następnie rozpoczęła w tym mieście pracę nauczycielską. Dzięki wstawiennictwu samej Marii Konopnickiej przyjechała do Przecławia, gdzie uczyła w jednoklasowej szkółce, równocześnie tworząc i działając na niwie kultury. Przygotowywała spektakle teatralne, zorganizowała orkiestrę i chór młodzieżowy, dla którego tworzyła muzykę i pisała teksty; zawsze pobrzmiwały w nich nuty ludowe i patriotyczne. W Przecławiu Waleria Szalay poznała męża Edwarda Groele; z pochodzenia Niemca, absolwenta seminarium nauczycielskiego w Tarnowie.

W czasie I wojny światowej, gdy mąż został wcielony do wojska austriackiego, wyjechała do Wiednia, gdzie chroniło się wielu Polaków. Po wojnie Groelowie wrócili do Przecławia, a następnie wyjechali do Poznania, gdzie było wielkie zapotrzebowanie na polskich nauczycieli. Tam profesorka Waleria uczyła historii i języka polskiego.

Po wybuchu wojny w 1939 roku, Groelowie – wyrzuceni przez Niemców z domu – schronili się w rodzinnej wsi Edwarda – Pławo, niedaleko Mielca, a następnie przenieśli się do Dębicy i zamieszkali przy ulicy Kolejowej, w domu, gdzie dziś wisi pamiątkowa tablica poświęcona pisarce.

W czasie wojny obydwójce małżonkowie wstąpili do AK i działali w konspiracji. W styczniu 1944 roku Edward został aresztowany i zamordowany

w obozie w Buchenwaldzie, Waleria jednak dalej wykonywała zadania konspiracyjne; m.in. przewoziła powstańcą „bibułę”. Po wojnie podjęła pracę nauczycielską; najpierw w gimnazjum w Przecławiu, a następnie w Dębicy. Jak pisał Marian Morawczyński: „uczniowie dębickiego gimnazjum pamiętają panią Szalay-Gröele jako staruszkę-nauczycielkę, która na swoich lekcjach malowała plastyczne obrazy dawnych dziejów Polski”.

Jej twórczość – dosyć bogata i różnorodna – była kierowana do różnych odbiorców. Waleria Szalay-Groele pisała utwory dla dzieci [„Milusińscy”], powieści historyczne dla młodzieży [„W orlim gnieździe”, „Błądny ognik”], opowieści dla dorosłych [„Dziewica-rycerz”, „Nasze warownie i grody”], a także obrazki sceniczne [„Przed siedmiu wiekami”], widowiska słowno-muzyczne [„Jasieńka”], a nawet libretta [„Legenda Bałtyku”], teksty kolęd i reportaże. Jej utwory przesycane były patriotyzmem, który zawsze dla niej stanowił wielką wartość.

Jako profesorka naszej szkoły „była przyjacielem młodzieży. Spieszyła jej z pomocą bezinteresownie, przeznaczając na ten cel część swoich poborów” [Marian Morawczyński]. Opiekowała się też harcerzami.

Waleria Szalay-Gröele zmarła w wieku 85 lat 4 marca 1957 roku i została pochowana na Cmentarzu Wojskowym w Dębicy, a jej pamięci poświęcono jedną z ulic naszego miasta.

W latach 1949-1954 języka ojczystego uczył też ówczesny dyrektor szkoły – Jan Czyhin, o którym życzliwie pisała Alfreda Ździebło: „Był to człowiek o wielkim sercu. Uczył nas języka polskiego i robił to znakomicie”.

Gdy w 1959 roku rozpoczynałam naukę w dębickim liceum, moją klasę ósmą [czyli pierwszą] „polaka” uczył zastępca dyrektora szkoły, profesor Edmund Galas [w naszym liceum od 1947 roku]. Chociaż był z wykształcenia historykiem, to uważał, że jest też specjalistą od języka polskiego. Ukończył przecież Wyższy Kurs Nauczycielski z języka polskiego, historii i języka rosyjskiego. Dlatego, gdy został dyrektorem naszej szkoły, jego hospitacji poloniści bali się na równi z nauczycielami historii.

Edmund Galas był nauczycielem solidnym, konkretnym, realizującym na lekcjach obowiązujący na początku lat 60. program nauczania. Wymagał przeczytania podstawowych lektur, znajomości treści podręcznikowych, najważniejszych zasad ortografii, a także pisania zadań domowych na tematy popularne w tamtym okresie, czyli interpretujące literaturę zgodnie z zasadami marksistowskiej ideologii. Pamiętam, że recytowaliśmy np. obszerny fragment nowelki Henryka Sienkiewicza „Sachem”, zaczynający się od słów: „Z całego pokolenia zostało tylko jedno dziecko...” – ukazu-

jącej wymordowanie przez niemieckich kolonistów indiańskiego szczepu „Czarnych Węzów”. Potępialiśmy imperialistyczną, zaborczą politykę niemieckich kolonistów, a Sachema, który postanowił się zemścić, traktowaliśmy jak bohatera walczącego o wolność i gotowego oddać życie dla tej idei.

Profesor Edmund Galas – choć dość szorstki w obyciu – był nauczycielem sprawiedliwym i chociaż wymagającym, ale przewidywalnym, prostolinijnym, życzliwym. A także tolerancyjnym; zwłaszcza dla uczniów – tak jak on – pochodzących ze wsi. Nie znosił uczniowskiego fantazjowania i ulubionego przez nas „lania wody”. Domagał się konkretów, które można było wyczytać w podręczniku, więc nietrudno było zdobyć ocenę pozytywną. Czuliśmy, że był przede wszystkim historykiem, a jego pasją była nie beletrystyka, a historia; zwłaszcza najnowsza.

Profesor Galas uczył nas też wiadomości o Polsce i świecie współczesnym. A świat był wtedy niespokojny i groźny. Wiedzę o nim czerpaliśmy z radia i z gazet, które musieliśmy systematycznie czytać, a najważniejsze artykuły streszczać w specjalnym zeszycie „do prasówki”, których profesor Galas bezwzględnie żądał i z których nas rozliczał.

Pewnego razu, w czasie największego kryzysu politycznego tamtych lat, gdy na skutek incydentów między Stanami Zjednoczonymi a ZSRR świat stanął na krawędzi III wojny światowej, za nieznamość „jedynie słusznej” oceny tych wydarzeń, profesor Galas pozostawił całą naszą klasę po lekcjach „w kozie”.

Zagroził, że nie wypuści nas nawet na noc, aż nauczymy się „na blachę” szczegółów o owej sytuacji. Dla nas nie była to jednak kara, a fajna okazja do przebywania razem bez opieki i kontroli profesorów, więc dowcipkowaliśmy, wyjadaliśmy ostatnie kanapki, planowaliśmy, jak spędzimy noc w szkolnych ławkach; niektórzy flirtowali, inni odrabiali domowe zadania, a kilku wyznaczonych kolegów – „speców od polityki” – przygotowywało odpowiedź dla profesora, której potem wyuczyliśmy się prawie na pamięć. Wraz z upływem godzin robiło się jednak coraz bardziej smętnie. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak dotrzemy do domów i jak bardzo będą się niepokoić rodzice, gdy nie wrócimy nawet ostatnim autobusem.

A profesor zwolnił nas dopiero wieczorem, nie pytając o nic, a tylko grożąc solidnym sprawdzianem. Ten incydent w kubańskiej Zatoce Świń, zakończony kompromisem zawartym między Nikitą Chruszczowem i Johnem Kennedym, zapamiętaliśmy na długo.

Od dziewiątej [drugiej] klasy języka polskiego uczyła nas profesorka Irena Janda [absolwentka gimnazjum z 1922 roku], która rozpoczęła pracę w naszej szkole tuż po zakończeniu wojny, w roku 1945.

Profesorka Janda była kobietą poważną, o szczupłej, trochę pochylonej sylwetce, już przetkanych siwizną prostych włosach, gładko zaczesanych i zwiniętych w grzeczny koczek na karku, z kilkoma niesfornymi kosmykami, opadającymi na twarz – szczerą i jasną. Cechowała ją prosta elegancja i skromność. Długie, szare lub brązowe spódnice i swetry, stonowane bluzeczki z matowego jedwabiu w kolorach zgaszonej malwy, perłowej bieli, czy rozwodnionej żółci, zawsze zapięte wysoko pod szyją, nadawały profesorce wygląd godny i stateczny.

Profesorka Janda miała trochę schrypnięty, jakby zmęczony głos i melancholijny, leciutki uśmiech błakający się kącikach warg, i przydający jej rysom dobrodziejstwa wyrozumiałości. Kojarzyła nam się trochę z poetką Kazimierą Iłakowiczówną – jak ona pryncypialną, prowadzącą niemal ascetyczny tryb życia, wierną swym przekonaniom i wartościom, zamkniętą na nowoczesne trendy i „mody” i – jak tamta – łączącą tradycyjną religijność z patriotyzmem.

Do dziś pamiętam piękny wiersz Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej pt. „Barwy narodowe”, który nam ze wzruszeniem czytała:

„Biało-krwawy,
Krwawo-biały, lniany
Opatrunku, który zwiesz się: sztandar,
Coś się z wielkim krwotokiem uporał!
Wiatr rozwiewa ten dokument rany,
Wznosi w górę bohaterski bandaż,
Tę pamiątkę,
Ten dług
I ten morał”.

Profesorka Janda, niepokodzona ze światem, w którym przyszło jej żyć, z dystansem patrzyła na rzeczywistość i – opierając się wszelkim naciskom – zawsze postępowała godnie i uczciwie. Absolwent liceum z 1950 roku, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisław Waltoś wspominał: „Ileż mówił nam dystans intelektualny profesor Jandówny lub profesora Zielińskiego do tego, co się w tym czasie działo w Polsce. Uczyli nas, że w najgorszych czasach trzeba umieć zachować się przyzwoicie”.

Profesorka Janda do końca życia pozostała wierna swoim poglądom, swoim zasadom i przyzwyczajeniom. Często spotykaliśmy ją modlącą się w kościółku klasztornym – również przez nas ulubionym – i w czasie religijnych procesji, gdy w skupieniu szła tuż za baldachimem, szepcząc po cichu słowa modlitwy.

Prostolinijna, pięknie „niemodna”, nie przystająca do obowiązującego wówczas wizerunku nauczyciela zaangażowanego, propagującego nowe trendy w literaturze, opierała się nowomodnej fali poezji reprezentowanej przez takich twórców, jak Stanisław Dobrowolski, Jerzy Woroszyński czy Jan Brzechwa, wybierając do analizowania teksty klasyków liryki, niosące humanistyczne wartości uniwersalne. Szczególnie preferowała literaturę dawną, tradycyjną i jej poświęcała najwięcej uwagi, ignorując awangardowe utwory, a także te – ukazujące modny światopogląd socjalistyczny. Oficjalnie, zawsze brakowało na taką literaturę czasu, ale czuliśmy, że taki był świadomy zamysł profesorki.

Wymagało to wielkiej odwagi i determinacji. Wszak jeden z decydentów, Stefan Żółkiewski – kierownik wydziału kultury Komitetu Centralnego PZPR – żądał w 1950 roku: „Wobec każdego dzieła literackiego należy postawić pytanie: Co zdziałало ono dla budowy socjalizmu w Polsce, jak wzbogaciło duchowo jego budowniczych jako budowniczych socjalizmu?” Zdecydowanie bezpieczniej było zajmować się romantykami.

Chociaż to Juliusz Słowacki był patronem ulicy prowadzącej do ogólniaka, no i – jak twierdził nauczyciel Bładaczka z „Ferdynandem” Gombrowicza – „wielkim poetą był”, co to „nas wszystkich zachwyca”, to profesorka bardziej ceniła Adama Mickiewicza, i to jemu poświęcała więcej uwagi, to jego dzieła analizowała dokładniej; organizowała też wieczorki Mickiewiczowskie i inscenizacje jego utworów, m.in. ballady „Romantyczność”.

Każdy, kto ukończył nasz ogólniak, „na mur” wie, że owa „Romantyczność” to była ballada kluczowa do rozumienia twórczości naszego wieszka, że to wiersz programowy, w którym Mickiewicz wyłożył zasady prądu literackiego romantyzmu, z ponadczasowym hasłem „miej serce i patrzaj w serce”. Bohaterka ballady – Karusia to młodziutka dziewczyna, rozpaczająca po śmierci ukochanego Jasia. Zachowuje się jak szalona: biegnie z rozwianym włosom ulicą miasteczka, krzyczy, rozmawia z duchem kochanka, którego widzi obok siebie.

Pamiętam, jak jej prosiłem, by ją ukochany dotknął swą ręką: „tutaj połóż, tu na łonie”, jedna z moich uczennic wyraziła słowami: „tutaj połóż, tu

na łonie – przyrody”. Cóż, pewnie zawsze tylko z takim „łonem” kojarzyła Mickiewiczowską poezję.

Profesorka, zafascynowana Mickiewiczem, wyjaśniała, kim jest poeta-wieszcz i czytała z wielką mocą i przejęciem profetyczne zakończenie „Reduty Ordona”:

„Bóg wyrzekł słowo: Stań się! Bóg i – zgiń – wyrzeczcie!
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona;
Karząc plemię zwycięzców, zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę”.

To było bardzo przejmujące. Stąd pewnie wzięła się i moja miłość do Mickiewicza, która towarzyszyła mi w moich trzydziestoletnich zmaganiach z licealną młodzieżą. Eugeniusz Jasiński pisał o profesorce: „Jej wiedza literacka i konsekwencja w nauczaniu powodowały, że wszyscy uczniowie musieli czytać zadane lektury [...]. Kto ich nie znał, nie miał żadnych szans na uzyskanie pozytywnej oceny z przedmiotu. Stosowane przez profesorkę Jandę metody nauczania w konsekwencji powodowały, że egzamin maturalny z języka polskiego nie sprawiał trudności maturzystom”.

Tak było, ale – chociaż czytaliśmy owe lektury obowiązkowe – to przecież w czasach licealnych mieliśmy całkiem inne ulubione książki. Na przykład „Trylogia” zachwycała mnie wówczas tak samo, jak i dziś, wszak – jak mówił Marian Hemar: „Sienkiewicz był pisarzem dla dzieci, które na zawsze pozostają w nas i którymi my na zawsze zostajemy gdzieś w głębi serca”. Orzeszkową przeczytałam wtedy od deski do deski, choć po latach – moi uczniowie – straszliwie narzekali na styl owej pisarki, przekonując, że akcja „Nad Niemnem” wlecze się niemiłosiernie, „jak batoniki długie i ciągliwe” i że „nie da się tego „zmęczyć”. W tym jednym wypadku ulegałam, opierając analizę utworu na obejrzanym wspólnie z uczniami filmie w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego, będącym adaptacją powieści Orzeszkowej.

Stefan Żeromski, Maria Dąbrowska, Honoriusz Balzac, Wiktor Hugo – to byli autorzy dostępni w bibliotece szkolnej czy miejskiej, więc ich utwory wówczas wypożyczaliśmy. Ale chłopaki czytali najchętniej książki wojenne i przygodowe, a my – dziewczyny, różne „romansidła”, które sprawiały, że zarywałyśmy noce i marnowałyśmy długie wieczory, zamiast oddawać się nauce. A wiadomo było, że na każdym „polaku” jest solidna „pytanina”.

Andrzej Gierulski wspominał: „Profesorka Janda, chcąc wdrożyć nas do samodzielnej pracy, lekcje poświęcała na odpytywanie zadanego materiału, od czasu do czasu jedynie jakieś kwestie rozwijając czy wyjaśniając”.

Na lekcjach języka polskiego analizowaliśmy więc dogłębnie ważne dzieła klasyczne, „bebesząc” ich treści, wyłuskując problemy, doszukując się zawartych tam idei. Profesorka Janda nie pozwalała na pobieżność i bylejąkość. „Polska to jest wielka rzecz!” – czytaliśmy. A potem analizowaliśmy każde słowo.

Wręcz przysłowiowe były powtarzane wciąż przez nią uporczywe pytania: – A przez to autor chciał powiedzieć co? I jeszcze co? No i jeszcze co? I tak wiele razy.

Oburzało ją nasze dyletanctwo, miałość, powierzchowność i naiwność interpretacji, brak prawdziwych zainteresowań wielką literaturą, „tuwimizm”. Jej upór i dociekliwość nauczyły nas dokładnie i uważnie czytać lektury, próbować je rzetelnie interpretować i samodzielnie wyciągać wnioski. Więc to o niej może być ta fraszka pt. „O pewnej polonistce”:

„Musi zawsze wiedzieć,
Co pisarz chciał powiedzieć”.

A nie jest to nigdy zadanie łatwe, by właściwie odczytać intencje twórcy. Gdy Aleksander Gierymski wystawił w Krakowie swój głośny obraz „Trumna chłopska”, przedstawiający chłopą i babę siedzących nad trumienką dziecka, któryś z krytyków komplementował artystę, że tak prawdziwie i przejmująco oddał wyraz rodzicielskiego bólu. Malarz nastroszył się i odparł opryskliwie, że taka interpretacja to kompletna bzdura, a jedyną jego intencją było „uchwycić grę fioletowych cieni na parcianych portkach chłopą”.

Profesorka Janda na każdej lekcji musiała wiedzieć, „co pisarz chciał powiedzieć”, a właściwie, to sprawdzała, czy my to wiemy. Niestety, rzadko ktoś wiedział. Ale ona była kobietą niezwykle spokojną, opanowaną, cierpliwą, dawała uczniowi dużo czasu, by mógł odpowiedzieć na ocenę pozytywną, pomagała mu, naprowadzała na właściwy trop. I prawie się nie denerwowała.

Chociaż jedną z lekcji chyba wszyscy moi koledzy klasowi na długo zapamiętali.

Gdy, zawsze świetnie przygotowana Basia – ze znanej nauczycielskiej rodziny – opowiadała ze swadą treść jakiejś lektury, profesorka chyba kil-

kanaście razy, cierpliwie ją poprawiała, bo ta – uparcie – zamiast „tubylcy” mówiła – „tubulcy”. Wreszcie profesorka zagroziła:

– Baśka, jak jeszcze raz źle powiesz, to cię posadzę z dwóją.

A Basia – strasznie zdenerwowana – już w pierwszym zdaniu palnęła to nieszczęsne – „tubulcy”. Tego już profesorka nie zdzierżyła i obiecaną dwójkę wpisała. I chociaż nawet nie było tej dwójki widać, bo zagubiła się wśród całego rzędu piątek owej Basi, ta – ku naszemu zdziwieniu – łkała głośno do końca lekcji. Było to dość niezwykle, by tak rozpaczać nad jedyną pałą, gdy na naszym koncie było ich zazwyczaj po kilkanaście; wszak nauczyciele nam ich nigdy nie żalowali. Wiele było w tym naszej winy, ale też na nasz poziom nauki wpływało wiele czynników zewnętrznych, takich, jak status społeczny, miejsce zamieszkania, sytuacja domowa, przygotowanie wyniesione ze szkoły podstawowej, dostęp do kultury, wysokie wymagania nauczycieli itp. Nawet Jan Wiktor przyznawał się do słabych ocen:

„Uczyłem się pod zdechłym psem, co więcej, pod stu zdechłymi psami. Jeszcze dzisiaj, gdy w czasie snu przypominę sobie matematykę z jej cholernymi przyległościami, dreszczowym potem się oblewam i chcę uciec od tej zmory, prześladowającej mnie przez tyle lat z piekielną okrutnością. Zadanie maturalne z polskiego napisałem na niedostatecznie”. Rację miała autorka wiersza zaczynającego się od słów: „Nigdy, nigdy nie wiadomo, jak się wielkość w człowieku zaczyna” – Ewa Szelburg Zarębina. My też mieliśmy nadzieję, że – mimo wszystko – coś z nas wyrośnie!

Zenon Książek wspominał: „Profesorka Janda „upodobała” sobie dwóch moich kolegów oraz mnie i często [za często – naszym zdaniem] nas pytała [...]. Mieliśmy przekonanie, że pani nas prześladowuje, że nas nie lubi, że się na nas uwzięła – jak to często mawiają uczniowie. Dzisiaj wiem, że pani profesor była doskonałą nauczycielką języka polskiego i dzięki niej nie miałem w późniejszym życiu trudności w wyrażaniu swoich myśli w mowie i piśmie. Częstym odpytywaniem zmusiła nas do czytania lektur, co z czasem stało się moim nowym nawykiem, wypełniającym każdą wolną chwilę – stałem się nałogowym czytelnikiem”.

Dużo mniej uwagi niż literaturze, poświęcała profesorka gramatyce. Nie pamiętam jakiejś całej lekcji o języku, a Andrzej Gierulski pisał: „Dużym i miłym zaskoczeniem był dla nas jedyny bodajże wykład w czasie jej pracy z nami – wykład z gramatyki”.

Profesorka Irena Janda przygotowywała też wieczorki poświęcone poetom i akademie szkolne, w czasie których uczniowie recytowali wybrane przez nią wiersze.

Leszek Starkel wspominał: „Wspaniała polonistka, profesor Jandówna, podsunęła naszej klasie propozycję napisania i wystawienia jasełek wojennych. Przygotowaliśmy więc te jasełka”.

Wszyscy uczniowie profesorkę lubili i szanowali, tak, jak absolwent Stanisław Waltoś, którego „urzekła nie tylko metodyką prowadzonych zajęć, ale tolerancją i szacunkiem dla drugiego człowieka”.

Lubiliśmy też lekcje języka polskiego; choć trochę nudnawe, choć „ciągnęły się jak makaron” – bo jedna osoba „dukała” zawsze bardzo długo – ale zazwyczaj miłe i bezstresowe; można było spokojnie gapić się, jak strzępiaste obłoki za oknem wędrują po wysokim niebie, czytać liściki pełne plotek, przekazywane usłużnie przez kolegów, wymieniać zeszyty z ciekawymi cytatami, a niekiedy nawet ukradkiem przygotowywać się do następnej lekcji. Można też było odpisać od kogoś zadanie domowe, czy odbyć mini-korepetycję, bo wszyscy chętnie pomagali kolegom.

Byliśmy zgraną paczką, więc nie zgodziłam się przejść do równoległej klasy, choć proponowała mi to inna polonistka – profesorka Olga Sidorowicz, która prowadziła kółko recytatorskie i dostrzegła we mnie zadatek na recytatora. A wszystko zaczęło się od afery.

Szkoły i biblioteki publiczne przygotowywały młodzież do organizowanych corocznie ogólnopolskich konkursów recytatorskich i delegowały niektórych przedstawicieli na eliminacje powiatowe, odbywające się w Dębicy. Bobrowscy uczestnicy byli zawsze świetnie przygotowani. Zdobywaliśmy tam czołowe miejsca, z czego byliśmy bardzo dumni. Na taki konkurs uczyliśmy się na pamięć trzech utworów; w tym jednego satyrycznego [lub fragmentu prozy].

Jeden z takich recytowanych przeze mnie – i do dziś zapamiętanych – wierszy satyrycznych wart jest zacytowania, bo świetnie oddaje atmosferę tamtych lat. Nosił tytuł: „Egzamin”. Niestety, nie pamiętam jego autora:

„Stół. Za stołem trzej profesorzy.
Przed nimi dziewczę egzamin złoży.
Dziewczę jest blade; po minie znać,
Że chce koniecznie egzamin zdać.
Jeden profesor – chudy jak bramin –
Pierwszy z kolei zaczął egzamin.
– Dla orientacji, na wstępie, spytam,
Co kandydatka najchętniej czyta?
Czy poematy, czy coś z liryki,

Czy może z działu beletrystyki?
A może panią reportaż urzekł?
Może poezja? Albo podróże?
A na to dziewczę oparło tak:
– Mam wyrobiony wybornie smak.
Nim się zagłębię w książek wyborze,
Wiem co mam czytać; o! profesorze.
Ja dialektycznie oraz krytycznie
Łuskam z aspektów wszystkie wytyczne
I żując prawdę jak twardy kęs
Z niej polityczny wyciskam sens.
Odrzucam plewy, chwytam sam miąższ
I dzięki temu kształcę się wciąż.
Pierwszy profesor powiedział: – Ślicznie,
Drugi pochwalił: – Bardzo praktycznie.
A trzeci – tenże chudy jak bramin – rzekł:
– Kandydatka zdała egzamin.
A kandydatka, płocha dzierlatka,
Kiedy egzamin poszedł jak z płatka,
Do koleżanki szepnęła cicho:
– Już chciał mnie wkopać ten stary matoł,
Ale odcięłam mu się nielecho -
I poszła czytać. Co? „Trędowatą”!

Nawiasem mówiąc, owa „Trędowata” Heleny Mniszkówny była wówczas książką straszliwie wyśmiewaną przez krytyków i uważaną za okropną szmirę, której wstydziła się każda porządna biblioteka. Była więc prawie niedostępna, ale i tak czytałyśmy ją z wypiekami na twarzy, przepisaną przez jednego z rodziców na maszynie do pisania – na marnej, mało czytelnej „przebitce” – oczywiście w zakładzie pracy, bo w domach takiego „ustrojstwa” nikt nie posiadał.

Tak więc, po jednym z konkursów recytatorskich, które odbywały się w stomilowskim domu kultury, wezwana przez woźnego do dyrektora Wiktora Pietrzykowskiego, poczłapałam na miękkich nogach do kancelarii, nie mając pojęcia, za co zostanę obsztorcowana; wszak zazwyczaj w takim tylko celu wzywano uczniów na dyrektorski dywanik. Tam, w obecności zdenerwowanej profesorki Sidorowicz, zostałam pouczona, że – jako uczennica tutejszej szkoły – nie mam prawa reprezentować żadnej innej in-

stytucji, i że odtąd będę brać udział w konkursach recytatorskich z ramienia dębickiego liceum. Musiałam się na to zgodzić, choć nie skorzystałam z propozycji przejścia z klasy „a” do „c”, gdzie języka polskiego uczyła właśnie profesorka Olga Sidorowicz, prowadząca szkolne kółko recytatorskie. Myślę, że chyba trochę zmartwiłam tym mojego wychowawcę profesora Piotra Rybkę, który na pewno z ulgą pozbyłby się tak bardzo „opornego” na chemiczną wiedzę ucznia.

Jak możemy przeczytać w „Księdze zasłużonych dębickich nauczycieli”: „Profesorka Olga Sidorowicz szczególną uwagę poświęcała pracy kulturalnej z młodzieżą, prowadząc koło literackie i zespoły artystyczne oraz biorąc udział w jury konkursów recytatorskich”.

Czas zatoczył koło i sama przez wiele lat przygotowywałam uczniów do konkursów recytatorskich. Zachowało się nawet podziękowanie z Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Tarnowie z 1991 roku, takowej treści:

„Gratuluję wysokiego poziomu prezentacji w Eliminacjach Wojewódzkich XXXVI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, przygotowanych przez panią recytatorów. Życząc powodzenia w kolejnych etapach tej imprezy i satysfakcji w przyszłej pracy, dającej młodzieży niepowtarzalne przeżycia i wartości duchowe w obcowaniu z literaturą piękną i żywym słowem, przyznaję nagrodę w wysokości 150.000 złotych. Dyrektor mgr Stanisław Lis”.

Dziś uśmiecham się, spoglądając na wysokość nagrody. To były pieniądze!

A dębickie eliminacje konkursów recytatorskich obrosły tradycją i nagrodami. Uczestniczyło w nich m.in. wielu adeptów do zawodu aktora. Artur Barciś wspominał np.: „Mam statuetkę „Srebrnego Lemiesza”, którą mnie nagrodzono w Konkursie Poezji Współczesnej imienia Juliana Przybosa w Dębicy”.

Profesorka Olga Sidorowicz, która rozpoczęła pracę w naszej szkole w 1954 roku, to była dama w każdym calu. Zawsze elegancko ubrana i umalowana, w bluzeczkach ozdobionych broszką lub dużymi koralami, w bucikach na obcasie typu „kaczuszki”, wybiegała co rano ze swego domu usytuowanego naprzeciw szkoły, troszkę kolebiąc się na boki i odpowiadając wdzięcznym skinieniem głowy na ukłony uczniów. Starannie uczesana, w króciutkiej, twarzowej fryzurce, spoglądała wokół uprzejmie, mrużąc swe bystre oczy skryte za drogimi okularami w złoconej oprawie. W rękach – zadbanych, gładkich, z paznokciami pomalowanymi mocnym lakierem – zawsze nosiła elegancką torebkę i jakieś książki. Była trochę egzaltowana, ale to dodawało jej tylko uroku.

Jej niezwykle szarmancki małżonek należał do dębickiego establishmentu. Mieczysław Sidorowicz również był pedagogiem; pełnił kolejno funkcje nauczyciela, dyrektora szkoły, inspektora oświaty, sekretarza POP, sekretarza Zarządu Miejskiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, a od 1965 roku – kuratora Okręgu Szkolnego w Rzeszowie. Za swe zasługi został odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Państwo Sidorowiczowie często przechadzali się razem uliczkami naszego miasta. Chodzili zawsze „pod rękę”. Pan Mieczysław kłaniał się ciągle spotykanym znajomym, zdejmując z galanterii elegancki kapelusz i pochylając nisko głowę, a pani Olga uprzejmie się uśmiechała. Byli śliczną parą.

Krzysztof Cios [matura – 1868 rok] zapamiętał, że profesorka Sidorowicz „była bardzo barwną postacią. Jak się czasem zdenerwowała, choć na co dzień była bardzo dobrą, spokojną kobietą, wpisywała do dziennika wszystkim bez wyjątku „kochanym chłopaczkom” piątki, a wszystkim „wstrętnym dziewczuchom” dwóje. Potem to wymazywała”.

Miała charakter stanowczy, czasem apodyktyczny, ale – jak to z kobietami bywa – jej gniew łatwo mijał i znów na jej twarzy wykwitał uprzejmy uśmiech.

Sama będąc wzorem świetnych manier, uczyła też nas *savoir vivre* i ze zgorszeniem patrzyła na nasze nie zręczne zachowania. Mówiła np.

– Czy wiecie, jaka jest różnica między cywilizacją a kulturą?

I zaraz wyjaśniała: – Cywilizacja – to mieć wannę, a kultura – to z niej korzystać.

Oczywiście my, mieszkający na wsi, żadnych łazienek i wanien nie posiadaliśmy. Czuliśmy się więc trochę jak kopciuszki. Pokornie spuszczałyśmy głowy, zawstydzeni swą niewiedzą, swą prowincjonalnością, naiwnością i nieobyciem.

Profesorka Sidorowicz kochała poezję. Czytała nam fragmenty różnych lirycznych utworów, a owa poezja – mówiąc słowami Jana Wiktora – „ta nędzarka w łachmanach”, przemawiała do nas pięknem słowa i do głębi wzruszała. W obcowaniu ze sztuką przeistaczała się naga dusza, bogaciła tęsknota do rzeczy wielkich, do porywów szlachetnych”.

Profesorka podkreślała wagę recytowanego słowa, uczyła nas kultury języka, sposobu wypowiadania i akcentowania poszczególnych wyrazów. Mówiła: – Pamiętajcie: „Na początku było Słowo”! Wcześniej zanim powstał świat...

Uczyła, że każdy wiersz ma swój naturalny rytm, frazę, akcenty, melodię. Kpiła z naszego wyodrębniania każdej z podwójnych liter sąsiadujących z sobą w wyrazie. Uczyła, że nie wolno ich oddzielać. Np. nie wolno

mówić „ba-l-l-ada”, „a-l-l-eluja”; ma być słycać jedno długie „l”, z takim lirycznym zaśpiewem.

W ramach „ukulturalnienia nas” organizowała wycieczki do Krakowa, gdzie zwiedzaliśmy muzea i wystawy, a także oglądaliśmy spektakle teatralne. Takie wycieczki były wielkim przeżyciem i wspaniałą przygodą. Rodzice niechętnie wysupływali pieniądze na te imprezy, ale potem z uwagą słuchali naszych opowieści, domagając się szczegółów.

Na zachowanym zdjęciu – oczywiście czarno-białym – stoimy na tle Wawelu; Wawel prezentuje się okazale, my – trochę mniej, wyubierani według zasady „Każdy wdział, co tam miał”. Pani profesorka w środku licznej czeredki. A czeredka w obowiązkowych – twardych „pieczarkowatych” beretach, na rękawach płaszczy i kurtek tarcze szkolne, miny dziarskie, buńczuczne: „Albośmy to jacy tacy...”? Po obu stronach profesorki dziewczyny z kabaretu „Skra”: Danusia Borowiecka i Jasia Wielgus.

Dla profesorki Sidorowicz Wawel był miejscem ukochanym, czarującym, magicznym – jak z malarskich wizji Stanisława Wyspiańskiego i teatralnych wizji Gustawa Holoubka: „Na doniosłym wzgórzu, strzelisty, gotycki, otoczony mgłą albo burzowymi chmurami, napełniony dźwiękiem największego dzwonu świata unosi się w powietrze i wchłania wszystko, co zostało stworzone, od antyku, przez Szekspira po czas poety”.

W Krakowie zwiedzaliśmy więc wawelskie komnaty, opieraliśmy plecy o tajemniczy czakram, ponoć tkwiący tam od lat – czarodziejski kamień, których tylko kilka na świecie tkwi w niezwykłych miejscach; dający siłę, nieodgadnione i wieczny. Podziwialiśmy też cudowny ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim i niezwykle cenne zbiory w Muzeum Czartoryskich.

Pamiętam, że szczególnie utkwiły mi w pamięci obrazy Stanisława Wyspiańskiego; m.in. piękne, swojskie, tak bliskie memu sercu malwy, pod którymi widniał jego komentarz: „Malwy, dziewanny, co to za cudne rośliny. Najpiękniejsze tych kwiatów krzaki powyrywałem z łąk i skał pod Bielanami; snop na stole sięga warkoczem do pułapu. Jak ja lubię wśród tych kwiatów siedzieć”.

Profesorka Sidorowicz też bardzo lubiła kwiaty. Ceniła ich ulotne piękno, trwające tylko chwilę. Podarowane jej przez nas, oglądała długo, z czułością; chwaliła, wkładała do dzbanka i ciągle im się przyglądała. A nam zawsze wtedy upiekła się zapowiedziana „pytanina”. Kwiatami też przeproszaliśmy profesorkę za nasze psoty i niezręczności, które ją oburzały i znieśmaczały. Kiedy później sama dostawałam od uczniów kwiatki, przypominałam sobie zawsze profesorkę Olgę i jej zachwyty.

Pamiętam incydent, gdy któraś z klas doprowadziła mnie do białej gorączki, więc – obrażona – trzasnęłam niepedagogicznie drzwiami i poszłam zła do domu. Wieczorem: dzwonek do drzwi! Ktoś z domowników otworzył je na oścież. Zobaczyłam kilku uczniów z owej klasy, a wśród nich mojego „ulubionego” Michała, dzierżącego wielki bukiet. Wciąż zła, „poleciałam” tekstem znanej aktorki i profesora szkoły teatralnej w Krakowie – Haliny Wyrodek [mojej imienniczki i wykonawczyni piosenki „Ta nasza młodość, ten piękny czas”]: – „Kwiaty wziąć, Michała wyrzucić”!

Profesorka Sidorowicz podobno знаła na pamięć całego „Pana Tadeusza”. Pamiętam, że czasem deklamowała nam liczne urywki Mickiewiczowskiej epopei. Ja – będąc już nauczycielką – też traktowałam ten utwór z wielkim pietyzmem. Zdawałam sobie sprawę z tego, że pewnie już nigdy w życiu nie sięgną po te – już staroświeckie wiersze – a przecież to utwór „symbol”, wart naszej pamięci.

Na kółku polonistycznym próbowaliśmy nawet przygotować inscenizację fragmentów tej epopei; ale choć już był gotowy scenariusz, rozdzielone role i nawet odbyły się pierwsze próby czytane, do wystawienia owego „dzieła” – niestety – nie doszło. Młodzież miała tak wiele zajęć pozalekcyjnych i pozaszkolnych: lekcje w szkole muzycznej, zespoły taneczne, recytatorskie i teatralne w dębickich domach kultury, liczne „korki” i inne formy doksztalcania, że nie mogliśmy znaleźć odpowiedniej ilości czasu na realizację tego ciekawego pomysłu.

Przychodząc do pracy w liceum, zastąpiłam właśnie profesorkę Olę Sidorowicz, która odchodziła na emeryturę. Przejęłam jej pracownię i uczniów. Było to dla mnie duże wyzwanie. A ona wróciła jeszcze pod koniec wakacji, jako członek Komisji Egzaminacyjnej, na egzamin poprawkowy swej byłej uczennicy. Pomagałam jej wtedy przekonać dyrektora Galasa, by postawić dziewczynie ocenę pozytywną. Na drugi dzień przyniosła mi olbrzymi bukiet kwiatów. Była bardzo wzruszona, a za szklami okularów pojawiła się nawet jakaś łezka. Ten bukiet od profesorki pamiętam do dziś.

Za swe zasługi profesorka Olga Sidorowicz była wielokrotnie nagradzana; w tym Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Nie była typową polonistką, nie tkwiła ciągle z nosem w szkolnych zeszytach, które zawsze piętrzyły się np. na stole profesorki Jandy. Nigdy też nie żaliła się, że są one zmorą jej codziennych wieczorów, jak to ja miałam w zwyczaju czynić. Może uczenie języka polskiego to było jej hobby? Mój ulubiony satyryk Andrzej Waligórski w „Liście do polonistów” pisał wszak:

„Polonista to nie zawód lecz hobby,
Polonistą być nie radzę nikomu,
Polonista po godzinach nie dorobi,
Choćby zabrał robotę do domu [...].
Choćby szukał racji i pretekstów
I tak zawsze pozostanie na uboczu –
Mniej się ceni analizę tekstu
Od banalnej analizy moczu [...].
Poloniście sterczą chude zebra,
Jak sztachety mizernego płotu,
Gdy się jeden raz u Zuzi rozebrał,
To się składał z orzeczenia i podmiotu [...].
Polonista, niepoprawny romantyk,
Nie najwyższym cieszy się mirem,
Ale ja mu – laury i akanty,
Ale ja mu – kadzidło i mirrę [...].
Więc zamieszczam na końcu listu
Ja, satyryk, błazen i ładaco,
Zdanie proste: – Kocham polonistów!
Rozwinięcie zdania: Bo jest za co”.

Do dziś twierdzę, że polonista rzeczywiście zawsze był obciążony zbyt wieloma obowiązkami; czasami ponad siły, co nie pozwalało wypełniać ich wszystkich zadowalająco i czerpać radość z dobrze wykonanej pracy. Samo poprawianie klasówek, sprawdzianów, zeszytów przedmiotowych i wypracowań domowych [czasem niemiłosiernie długich] wypełniało nam każdą wolną chwilę dnia i nawet często część nocy.

Utyскиwał na to Jerzy Żuławski – wspominany już żołnierz-poeta, pochowany na wojskowym cmentarzu w Dębicy – gdy przez pewien czas uczył języka polskiego w gimnazjum jasielskim: „Co do pracy nauczycielskiej, to przyznać muszę, że męczy mnie ona bardzo – choć to dopiero początek. Gdy poprawię sześćdziesiąt zadań polskich, okropnym językiem i niemożliwym stylem napisanych, nie jestem w stanie wziąć się do żadnej pracy literackiej, bo sam zapominam dobrze po polsku mówić”.

Edward Milas w biografii absolwenta dębickiego gimnazjum Wilhelma Macha – pisząc o polonistycznych uzdolnieniach przyszłego pisarza – zaznaczał pełen podziwu: „Tekst z godzinnego wypracowania zajmował u niego zazwyczaj sześć stron. Po zwrocie wypracowań nie widać było

w jego tekście braków i uwag poza oceną regularnie przez okres trzech lat bardzo dobrą i pochwałą za styl i treść”.

A cóż to było sześć stron? Wypracowania z powtórki materiału, będące przygotowaniem do matury, miały ich bardzo często nawet kilkanaście! A ileż wymagało czasu „wysłiedzenie” wszystkich błędów, poprawienie se-tek uchybień interpunkcji, „wyprostowanie” meandrów stylistycznych, wyjaśnienie błędów rzeczowych, recenzja pisemna pod zadaniem uzasadniająca ocenę! Kto zliczy godziny ślęczenia nad zadaniami, nad klasówkami, sprawdzianami, zeszytami?

Tę uciążliwość dowcipnie przedstawił satyryk Jan Bester w „Monologu nauczyciela”:

„Jest taka rzeźba czy obrazek:
Młodzieniec stoi urodziwy,
Ale niecały,
Bo zarazem
Od pasa on już – konik siwy.
Więc przypuszczalnie się udziela
[Żadnych aluzji, Boże broń];
Nie pomnik to-ż nauczyciela?
Niby, że człowiek
I że koń!
Próżno opisać w jednym słowie
To dziwne podobieństwo u mnie.
Zaszczytny zawód – każdy powie.
Bo nauczyciel to jest człowiek
Z tej kategorii
Co brzmi dumie.
A tu tymczasem
Lekcji nawał.
Nerwy-postronki. Swędzi dłoń.
Ciagnąć to – któż-by się nadawał?
Ja się nadaję,
Bom ja koń!”

Równie dowcipnie opisał pomnik polonisty poeta, kabareciarz, satyryk – Jonasz Kofta:

„Na świecie pomników bez liku,
Lecz wśród nich najbielszy ty, o! nadpomniku.
Stoi, kaganiec oświaty trzyma
I żadna siła się go nie ima.
Stoi wyniosły, biały i śliczny
I dzierży słownik ortograficzny.
I choć ubogi, nie ma odzieży,
Wieniec laurowy mu się należy”.

Gdy rozpoczynałam w 1973 roku pracę w liceum, polonistką o najdłuższym stażu była profesorka Czesława Ryszawa [w naszej szkole od 1962 roku].

Ta kobieta niewielkiego wzrostu, o drobnych rysach, ciemnej karnacji i błyszczących – o migdałowym kształcie – oczach w kolorze czekolady, zarażała energią i optymizmem. Pewna siebie, dziarska, szybka, biegła korytarzem, przechylając charakterystycznie na bok głowę. Sympatyczna, wesoła, trochę zadziorna i przekorna, chętnie z nami rozmawiała; jej opowieści były barwne i ciekawe, a uwagi i riposty błyskotliwe, celne, często również kłujące.

„Kasia sprzątasia” ze ścierką w ręce, strażniczka domu, kuchni i spiżarni to nie był jej typ kobiety.

– Najważniejsze, żeby stół był czysty i łóżko pościelone. I ciekawi ludzie – mówiła.

Lubiłyśmy te rozmowy, choć profesorka Czesława rzadko zachodziła do pokoju nauczycielskiego. Najczęściej zostawała w pracowni i na przerwach poprawiała klasówki, dzięki czemu mniej pracy zanosila do domu. Zazdrościłyśmy jej tej umiejętności skupienia się w tak niekomfortowych warunkach i tej jej pracowitości.

Była piekielnie inteligentna. Pamiętam, jak podczas jednej z moich pierwszych wielogodzinnych „nasiadówek” Rady Pedagogicznej, w mig ułożyła z pamięci plan zagadnień do powtórki w klasie maturalnej, któremu miałam poświęcić cały wieczór. Gdy, tuląc swój nieodłączny kubek z kawą, wyrażałam swój podziw, odrzekła: „Młodzi biegają szybciej, ale starzy lepiej znają ścieżki” i pogładziła mnie po ręce swoją drobniutką, starannie wypielegnowaną dłonią.

Wobec młodych koleżanek i kolegów była wyrozumiała, a trochę też kpiarsko ironiczna. Pamiętam, jak jeden z początkujących kolegów, któ-

ry miał kłopoty z opanowaniem żywiołowej młodzieży bardzo się zdziwił, gdy – wszedłszy do klasy profesorki Ryszawy – zastał tam wzorową ciszę.

– Co pani robi, żeby utrzymać taką dyscyplinę? – zapytał.

– No, gdyby ktoś mi przeszkadzał – powiedziała z błyskiem w oku profesorka – to kazałabym mu klęczeć w kącie z rękami do góry.

Po kilku dniach dyrektor Galas, słysząc gwar w klasie owego profesora, otworzył drzwi i oniemiał: połowa klasy klęczała z rękami do góry, a druga „szalała” nie zważając na próby uciszenia.

Pamiętam. Dyrektor wezwał wszystkie polonistki, by porozmawiać o Jerzym Andrzejewskim, który w wywiadzie do niemieckiej gazety krytycznie wypowiadał się o Polsce. Rozgorzała wówczas w prasie i radiu wielka dyskusja na jego temat, a ponieważ był autorem ważnej szkolnej lektury „Popiół i diament”, należało ustalić strategię dotyczącą owego pisarza.

Pobiegliśmy z profesorką Teresą Czyżowską po profesorkę Czesławę, która nic o całej aferze jeszcze nie wiedziała. Opowiedziałyśmy jej pokrótce „co i jak”, a już po chwili, ze zdumieniem słuchałyśmy, jak od progu kancelarii żywo dyskutuje z dyrektorem, przekonując go, że jest w owej sprawie świetnie zorientowana; natomiast my – oniemiałe z wrażenia – stałyśmy jak ignorantki i głupie gęsi.

Pamiętam też sytuację, gdy niespodziewanie pojawili się w szkole wizytatorzy, budząc w nas żywy niepokój, który zawsze towarzyszył takim sytuacjom. I było prawie tak, jak u Gombrowicza:

„Nagle nauczycielka kaligrafii, ujrawszy w drzwiach dyrektora w towarzystwie obcego pana o bardzo doniosłym wyglądzie, zakrztusiła się herbatą i pisnęła przenikliwie:

– Wizytator!

– Na to hasło wszystkie ciała zadrżawszy powstały i zbiły się w kupę jak stado kuropatw.”

Wizytatorzy mieli zazwyczaj wyniosły wygląd; swym zachowaniem i robieniem groźnych min budzili respekt i strach. Oni nie pracowali jak my, ale zajmowali stanowiska, nie chodzili a kroczyli, nie przyjeżdżali a zaszczycali, nie siadali a zajmowali miejsce, nie przyglądali się a lustrowali, nie doradzali a udzielali pouczeń. Zawsze przecież do czegoś można się było przyczepić, zwłaszcza w takiej dziedzinie – niezmierzonej jak „bezbrzeżne morze” – jaką była historia literatury i sama literatura.

Pamiętam zwłaszcza jednego pana, który „uświecił” swoją osobą jedną z naszych nauczycielskich konferencji. Wszedł już po rozpoczęciu zebrania – groźny, ważny, nie tłumaczący ani jednym słowem swego spóź-

nienia. Powoli, majestatycznie rozplątywał się z dorodnej pelisy zdobnej w ogromny lisi kołnierz. I było jak w wierszyku Brzechwy:

„Nie było w świecie lisa ponad lisa Witalisa.
Miał Witalis taki ogon, że nie było wprost nikogo,
Kto nie stanąłby zdumiony: Taki ogon nad ogony
I falisty i puszysty i niezwykle zamaszysty,
I ruchliwy na kształt kity – niezrównany, znakomity.
Gdy Witalis kroczył drogą, wpierw widziano jego ogon,
Co jak ruda chmura zwisa, a dopiero potem lisa”.

Pan wizytator – z wysokości swego majestatu – w ciągu całego zebrania wygłaszał swe mądrości z miną absolutnego znawcy, natychmiast ucinając nasze próby dyskusji. Nawet dyrektor Kłok czuł się zażenowany. Choć zdarzali się też fajni i życzliwi wizytatorzy.

Pamiętam, jak trochę z sympatią, a trochę złośliwie częstowaliśmy miłego brodacza z tarnowskiego kuratorium pączkami, by z radością obserwować, jak radzi sobie z wkładaniem tych pączków do ust, jak manewruje, by jak najmniej pudrowej posypki osiadało mu na brodzie i jak fajnie wyglądała – jednak oprószony bielą.

Dyrektor Galas, zostawiwszy kuratorskich gości w kancelarii, wezwał polonistki do pokoju nauczycielskiego i oznajmił, że wizytator chce zobaczyć jakąś lekcję języka polskiego i że same mamy zdecydować, kto ją poprowadzi.

Oczywiście ochotników nie było, dlatego postanowiłyśmy, żeby zdecydowały o tym sporządzone naprędce losy. Miałam nadzieję, że – ponieważ nigdy, nic, na żadnej loterii nie wygrałam – i tym razem mój los będzie pusty. I tak się stało. Natomiast „padło” na profesorkę Ryszawę. Była zbulwersowana, uważając, że jako najstarsza stażem polonistka powinna być zwolniona z tego zadania. Ale nie miała wyjścia. A jej lekcja, którą wraz z wizytatorem obserwowałyśmy, okazała się udana; profesorka świetnie sobie poradziła, choć przez jakiś czas trochę się na nas boczyła.

Drugą polonistką, która wcześniej ode mnie [w 1966 roku] rozpoczęła pracę w liceum, była profesorka Władysława Prokop [Gazda].

Profesorka Władzia była kobietą trochę tajemniczą, małomówną, o orzechowych oczach, powściągliwym uśmiechu i płowych włosach upiętych w staranny kok, który później został zastąpiony krótką fryzurką. Elegancko ubrana, w delikatnym makijażu, nie chodziła, a biegła; zamyślona, skryta, trochę „bujająca w obłokach”.

Pamiętam. Pochwaliłam jej bluzeczkę, pięknie przez nią wyhaftowaną w kwiatowy, delikatny wzorek, a ona bez wahania zaproponowała, że wyhaftuje mi podobną. Nie zgodziłam się. Sama w ramach relaksu oddawałam się ręcznym robótkom, dlatego wiedziałam, jak żmudne, wyczerpujące, wymagające czasu i cierpliwości jest to zajęcie. Ale ten jej gest bardzo mnie wzruszył.

Profesorka Władzia rzadko plotkowała z nami w pokoju nauczycielskim; ciągle się spieszyła, nie mając nawet chwili wolnego czasu. Z poświęceniem dzieliła wciąż swą miłość pomiędzy pracę a rodzinę, we wszystkim starając się być perfekcjonistką.

Była indywidualistką obdarzoną wybujałą wyobraźnią poetycką – tym niezwykłym darem niebios – kreatywną, uduchowioną, pełną pomysłów, nie znośzącą rutyny.

Jednak nigdy nie chciała być w centrum uwagi; przemukała cichutko do swej pracowni, z biegiem lat coraz poważniejsza i bardziej zadumana. Czuliśmy, że jakiś ukryty smutek czaił się w jej duszy, niczym wróg za progiem. Stąd fraszka:

„Pani Prokop chodzi schylona do ziemi.
Czy natchnienia tam szuka?
Niech się szybko zmieni!
Niechaj spojrzy w obłoki,
Głośno się zaśmieje,
Wesoło zatańczy,
Choć raz zaszaleje!”

Profesorka Prokop nigdy jednak nie „zaszalała”. Za to – jako pasjonatka poezji – przygotowywała różne piękne, poetyckie uroczystości, wyróżniające się wysokim poziomem artystycznym, a recytacje jej uczniów były zawsze pełne wzniosłości, emfazy, aktorstwa. Jedną z najbardziej chyba utalentowanych recytatorek została potem żoną kolegi-historyka.

Ale profesorka Władzia była przede wszystkim mistrzynią w prowadzeniu lekcji języka polskiego, artystką słowa, purystką językową, nie zezwalającą na żadną bylejakosć, zwracającą uwagę na każdy detal językowy; zarówno w wypowiedziach, jak i w zadaniach uczniów. Jedną z mam żaliła się, że gdy jej córka w czasie odpowiedzi użyła sformułowania: „rzeka wylała”, profesorka natychmiast ją skarciła i poprawiła: „rzeka wystąpiła z brzegów”. Bo profesorka w głębi duszy była poetką o wysublimowanej

wyobraźni, choć sama nie pisała wierszy. Mogłaby pewnie powtórzyć za Rachelą z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego: „Nie piszę, bo lichą formą się brzydzę, ale kędy spojrzę, to widzę poezję żywą, zakłęta, tę świętą”.

Lekcje koleżeńskie, które prowadziła dla polonistów naszego liceum, zawsze były starannie przygotowane, wyreżyserowane, pełne poezji, liryzmu, wzniosłości i urody.

Profesorka była świetnym psychologiem. Umiała dostrzec, docenić i rozwijać talenty drzemiące w swoich uczniach. Z wdzięcznością wspominała ją redaktorka „Obserwatora Lokalnego” Agnieszka Majba: „Profesor Władysław Prokop-Gazda utwierdziła mnie w przekonaniu, że powinienam skończyć filologię polską. Choć stawiała też na aktorstwo, pewnie natchniona moim błaznowaniem na lekcjach”.

Dyrektor Galas bardzo profesorkę cenił. Tak, jak wzorem matematyka był dla niego profesor Gwóźdź, tak wzorem polonisty była nasza profesor-ka Władzia.

Pamiętam, gdy pewnego razu przez kilka dni była nieobecna, nie dostarczyła również zwolnienia lekarskiego. Każdy inny nauczyciel w takiej sytuacji poniósłby surowe konsekwencje, ale w tym przypadku dyrektor – szczerze zaniepokojony – poprosił tylko, byśmy się z nią pilnie skontaktowały i ucieszył się, gdy wróciła.

Przekonałam się też, że miała ogromne serce. Opiekowała się m.in. pewną niepełnosprawną uczennicą. Mając w pobliżu pracownię, wielokrotnie widziałam, z jaką serdecznością pochylała się nad nią na przerwach, douczając, doradzając i troszcząc się o nią. Podczas ustnej matury z „polaka” pomagała jej, a potem z ogromnym przejęciem przekonywała nas – członków Komisji Egzaminacyjnej – do wystawienia tej dziewczynie najwyższej oceny.

Profesorka Władzia Prokop bardzo dbała o estetykę swej pracowni. Starannie wykonane tablice związane z językiem polskim, portrety pisarzy, dużo żywych kwiatów, ładne zasłony, czyste firanki – wszystko to czyniło tę salę – wielką, zimną, ze starymi, zniszczonymi meblami – przytulną i miłą.

Wraz ze mną – w 1973 roku do pracy w liceum przyszła profesorka Teresa Czyżowska: wysoka, elegancka, o ciemnej oprawie oczu promieniujących ciepłem, kędzierzawej, młodzieńczej fryzurze i przyjaznym uśmiechu. Smukłą sylwetkę, gibkość, zwinne ruchy zawdzięczała pewnie w dużej mierze udziałowi w zespole tańców ludowych, w którym występowała podczas studiów. Niezwykle pogodna, otwarta, sympatyczna, życzliwa, chętna do pomocy, śmiała się często wybuchając głębokim, szczerym śmiechem. Jej

pozytywne nastawienie do świata i ludzi, dyskretna pewność siebie, uprzejmość, szlachetność, wrażliwość i szczodrość serca sprawiały, że wszyscy bardzo ją lubiliśmy i darzyliśmy zaufaniem.

W pracy świetnie zorganizowana, kompetentna, obowiązkowa, sumienna, zdecydowana i uporządkowana, umiała zainteresować uczniów literaturą, co owocowało ich sukcesami w liceum i na studiach. Stąd wierzyłem [oczywiście nawiązujący do literatury]:

„Profesorko Czyżowska!
Ty jesteś jak zdrowie!
Ile Cię trzeba cenić,
Ten tylko się dowie,
Kto będzie zdawał „polski”
Na UJ w Krakowie!”

Profesorka Teresa kochała swych uczniów, rozumiała ich, traktowała z szacunkiem, cierpliwością i kobiecą wrażliwością. Była spokojna, łagodna, dobrodusza i wyrozumiała, ale też konsekwentna, skrupulatna, rozsądna, godna zaufania. Uczniowie ją za to cenili i szanowali.

Była moją serdeczną koleżanką. Pracując wspólnie przez lata, dzieliłyśmy się swymi sukcesami i porażkami, radościami i smutkami. Ceniłam jej spokój, opanowanie, ale też witalność i optymizm, a wspólne pokonywanie szkolnych problemów sprawiało, że rozumiałyśmy się bez słów. Mogłyśmy na sobie polegać i liczyć na pomoc.

Czasem – ze względu na jej dobroć, życzliwość, tolerancyjność, łagodność i empatię – żartobliwie mówiłyśmy o niej „święta Tereska”, a ona się wówczas śmiała szeroko, mówiąc: – Nawet nie wiecie, jaka potrafię być groźna. Ale my wiedziałyśmy swoje.

Limeryk o profesorce Teresie nawiązuje do jej odwiedzin w miastach, gdzie przebywali jej bliscy i do kontuzji, której uległa:

„Pewna Tereska z Dębicy,
że – ze „Sportowej” ulicy,
Szalała: Wrocław, Łódź, Jasło,
Aż kiedyś w kolanie jej trzasło.
Teraz trzyma się męża spódnicy”.

Spotykałyśmy się w zaprzyjaźnionej grupie koleżanek także poza szkołą; zawsze w miłej atmosferze, zawsze mając tysiące wspólnych tematów i tysiące nowinek, dlatego ze smutkiem żegnałyśmy ją, gdy wyjeżdżała z Dębicy na zawsze. Wówczas powstał wiersz zlepiiony z literackich cytatów – bo jakżeby inaczej – i z nazw miejsc, związanych z życiem profesorki:

„Tereniu, czy Ci nie żal
Odjeżdżać z pięknej Dębicy?
„Jagiełły”, rynku, Wisłoki
I Twej „Sportowej” ulicy?
I tych pagórków leśnych [w Stobiernej] – zielonych,
I tych pól malowanych – [w Trzcianie] rozciągniętych,
Gdzie chrząszcz brzmi w trzcinie, ranne wstają zorze,
Stokrotka kwitnie biała,
Gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała?
Płynie Wisła, płynie po polskiej krainie.
Tyś Wrocław wybrała: Wisłoka za małą?
Dudni woda, dudni w cembrowanej studni:
Wyjechać jest łatwo, ale wrócić – trudniej.
Czerwone jabłuszko na krzyż przekrojone:
Żegnają Cię pięknie kumpelki zmartwione”.

W roku 1982 dołączyła do grona polonistek naszego liceum profesorka Małgorzata Pasek. Wniosła z sobą powiew młodości, optymizmu, niezwykłej siły witalnej, niespożytej energii, radości i zapału. A potem, w roku 2006, zmarła, mając zaledwie 48 lat. Ale przecież śmierć nie pyta o lata.

W notatce zamieszczonej wówczas w „Obserwatorze Lokalnym” czytaliśmy: „Wiedza, życzliwy stosunek do uczniów zjednały jej uznanie nie tylko dyrekcji i nauczycieli, ale, co dla pedagoga najważniejsze, rodziców i wychowanków”. Taka właśnie była, stąd wierszyk:

„Małgośka, mówią mi, on nie wart jednej łzy”...
Tamta Małgośka z piosenki
straszenie głupia była,
a profesorka Pasek
i dobra i miła”.

Mówiliśmy zawsze o niej „nasza Gosia”. Bo była nasza, zawsze życzliwa, ujmująca miłym uśmiechem, kochana, spontaniczna, kreatywna, pełna pasji życia. Oglądaliśmy czasem jej piękne pokazowe lekcje, z poetyckim zacięciem organizowane akademie, uczestniczyliśmy w maturach, konferencjach, różnych spotkaniach – zawodowych i prywatnych – czy w wycieczkach, które odbywaliśmy z młodzieżą „Jagielly”, przybliżając jej Europę.

Profesorka Gosia zawsze starannie przygotowywała się do podróży i zawsze budziła naszą zazdrość pięknymi, nowymi butami; szalenie miękkimi i wygodnymi – jak nas przekonywała – które załatwiała jej „po znajomości” profesorka Marysia Szmyd. A potem na ulicach pięknych miast: Florencji, Wenecji czy Werony oglądałyśmy profesorkę Gosię człapiącą w pożyczonych przez kogoś z wycieczkowiczów klapkach, z potwornie obdartymi, krwawiącymi piętami. To absolutnie nie psuło jej humoru, bo umiała cieszyć się życiem, była „niekłopotliwa”, nie marudząca, wesoła niczym skowronek o świcie i pogodna jak wiosenny poranek.

I choć obiecywała, że na pewno tę Marysię zabije, wiedziałyśmy, że na kolejnej wycieczce założy znów nowe – bardzo miękkie i bardzo wygodne buty, które rychło zakończą swój żywot w jakimś „zagranicznym koszu”.

Profesorka Gosia miała niesamowitą zdolność mobilizowania się i panowania nad chaosem, była też np. mistrzynią szybkości i pomysłowości w robieniu ogromnych ilości kanapek, na które zapraszała każdego, kto się napatoczył. Choć trochę z niepokojem patrzyliśmy na topniejące w oczach zapasy żywności zabrane na wycieczkę, to wspólne kolacje po całodniowym zwiedzaniu były czymś wspaniałym, co wciąż smakowicie pachnie w naszych wspomnieniach. Profesorka zawsze woziła na te wycieczki kwaśzone ogórki domowej roboty, bo bardzo je lubiliśmy, a potem – gdzieś w Grecji, czy na Lazurowym Wybrzeżu dźwigała puste słoiki, bo to były ulubione słoiki jej mamy.

Kochała życie, a nad życie kochała swoją rodzinę. Wieczne rozmowy zawsze dotyczyły bliskich: dzieci, męża, rodziców. Profesorka Gosia planowała, jaką komu kupi pamiątkę, opowiadała o swych synkach, a potem przytulała głowę do „jasieczka”, który wszędzie woziła, bo dał go jej ukochany mąż, by było jej wygodnie w czasie podróży. Z rozbawieniem patrzyliśmy, jak dźwigała olbrzymie butle oleju dla znajomych, bo ktoś je polecał, a w kraju wtedy wszystkiego brakowało. Goniła po sklepach, by zdobyć „piłkarskie” koszulki dla swych synów, wielkodusznie dożywiała „wycieczkowych” chłopców – zawsze wygłodniałych – i doradzała dziewczynom, co warto kupić na pamiątkę dla bliskich. Miała wrodzone skłonności opie-

kuńcze, łatwo się wzruszała i przejmowała problemami innych. Zawsze można jej było ufać. Jej komórka [wtedy chyba jedyna w autokarze] służyła wszystkim, którzy chcieli skontaktować się z domem.

Pełna temperamentu, w każdej sytuacji potrafiła się zachować z wdziękiem i taktem. Podczas wycieczki do Francji i Hiszpanii, przewodnik uczył nas w autokarze ludowej piosenki śpiewanej na słynnym moście w Awinio-nie. Ponieważ profesorka Gosia była kierowniczką tej wycieczki, poprosił ją do tańca, więc ona pięknie zatańczyła z nim pomiędzy fotelami, choć trudno tam było się nawet precyzyjnie. W ułożonej wówczas wycieczkowej piosence znalazła się taka zwrotka:

„Kierowniczka Gosia chyba spadła z nieba,
Kiedy chce zatańczyć miejsca jej nie trzeba.
Popatrzcie kochani. Czy nas oko mami?
Toż to przecież anioł zasiadł między nami”.

Ta wycieczka przedłużyła się o jeden dzień [ze względu na kolejki na granicy], więc bardzo się wszyscy niepokoiiliśmy, że bliscy będą się martwić i że spóźnimy się na egzaminy maturalne [a na wycieczce było aż sześciu członków Komisji Egzaminacyjnych!]. Wtedy Gosia ułożyła taką zwrotkę wycieczkowej piosenki:

„Każdy się do domu z zakupami spieszy,
Ryszard nas powita, mama się ucieszy”.

Zdążyliśmy, więc dyrektor Ryszard Pękala odetchnął z ulgą, a bliscy – oczywiście bardzo się ucieszyli.

„Nasza Gosia”. Tak bardzo pasują do niej słowa, które napisała o swoim koledze Zofia Kucówna: „Takich ludzi wymyśla Pan Bóg, gdy jest w dobrym humorze, po dobrym obiedzie, gdy nie uwierają go ludzkie grzechy i gdy słucha anielskich chórów”.

Łagodna jak dziecko i serdeczna jak ktoś naprawdę bliski, miała w sobie wielką wrażliwość i zawsze, a zwłaszcza w czasie matur, starała się pomagać przestraszonym uczniom, narażając się często na uwagi i protesty dyrekcji.

Jakże okrutny okazał się los odbierając jej możliwość doczekania matury swoich synów. Młodszy z nich – zdążając na egzamin, wstąpił do mnie po ostatnie wskazówki. Był świetnie przygotowany, ale bardzo niepewny, błady, zasmęcony. I elegancki jak z obrazka. Tak bardzo brakowało mi na

tym obrazku właśnie jego mamy, żeby podeszła, poprawiła mu krawat, strzepnęła niewidzialny pyłek z granatowego garnituru, wzięła go za rękę, poklepała po ramieniu: – No, dasz przecież radę. Śmiało!

Podobnych uczuć doznawałam, gdy przeglądałam przemówienie jej starszego syna, który jako wzorowy student miał je wygłosić na uroczystej gali podczas wręczania dyplomów na uczelni. Pomyślałam wtedy: – Gosia byłaby taka dumna!

Lojalna i szczerza, zawsze spontaniczna, o otwartym sercu, taka, co to z nią można konie kraść i z którą nigdy nie jest nudno, ubierała się elegancko, a jej kreacje – wykonywane często przez jej utalentowaną mamę – przyozdabiała małymi, kolorowymi apaszkami, zwijanymi w rulonik, co nadawało ubiorom charakterystycznego sznytu.

Do dziś pamiętam, gdy pewnego razu chciała nam zaprezentować śliczne, delikatne jak aksamit, zagraniczne buciki. Tuż przed drzwiami szkoły zaczęła o jakąś leżącą na ziemi gałązkę tak pechowo, że jeden bucik rozzerwał się, a ona – nie namyślając się ani chwili – wbiegła bosą stópką do pokoju nauczycielskiego z szerokim uśmiechem na twarzy.

A zawsze była zabiegana, zawsze się gdzieś spieszyła. Nikt jej chyba nie widział przechadzającej się wolniutko; no chyba w czasie pełnionego dyżuru, który trzeba było obowiązkowo „odspacerować” po korytarzu.

Ona zawsze się spieszyła. A to, by zrobić zakupy dla swoich „chłopaków”, a to po wiktuały dla mających przyjść gości, a to wybierając się na przyjęcie, na wesele, na spotkanie z rodziną czy znajomymi, których miała bez liku. Biegła, by wesprzeć, poradzić, coś załatwić, by pocieszyć, wspomóc, rozweselić.

Miała mnóstwo znajomych, których kochała i którzy ją kochali, i byli jej za coś wdzięczni. Wybiegając z pokoju nauczycielskiego, spoglądała w pośpiechu w lusterko, szybko, jednym ruchem wygładzała fryzurkę z króciutkich blond włosów, strzepywała niewidzialny pyłek z eleganckiej spódniczki i muskała różową kredką usta, śmiejąc się, że musi sobie poprawić urodę. I tu przytaczała swój ulubiony żart:

„Gdy Pan Bóg stworzył Adama, spojrzał na niego i rzekł:

– Możesz iść. Udałeś mi się na schwał.

A potem stworzył kobietę i spojrzawszy na nią skrzywił się nieco:

– No ty, to będziesz się musiała malować”.

Na pogrzebie profesorki Małgosi Pasek były tłumy. Jakie słowa mogłyby wyrazić to, co czuliśmy? Może tylko te Bolesława Prusa, które pewnie

– omawiając jego „Lalkę” na lekcjach – wielokrotnie cytowała: „Cóż warte jest życie, którego początku nie pamiętamy, a końca nie znamy”?

Dyrekcja i koledzy naszego liceum wyrazili swe uczucia w krótkim wspomnieniu:

„21 maja [2006] z grona osób związanych z naszą szkołą odeszła nieoczekiwanie nasza koleżanka, przyjaciółka, polonistka – mgr Małgorzata Pasek. Zmarła przeżywszy zaledwie 48 lat [...]. Z naszą szkołą była związana 22 lata. Wychowała wiele pokoleń młodzieży, którym potrafiła przekazać nie tylko wiedzę, ale i pasję dla nauczanego przedmiotu. Dla zaprzyjaźnionych była osobą wesołą, towarzyską, kochającą życie. W naszej pamięci pozostanie na zawsze jako życzliwa, serdeczna, gotowa pomóc w potrzebie koleżanka”.

Elegancki grobowiec profesorki Małgosi na cmentarzu przy parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Dębicy-Latoszynie, zawsze tonie w kwiatach i płonących zniczach.

Przez parę lat [od 1996 roku] uczyła języka polskiego w naszym liceum profesorka Bogusława Błażejowska-Kowal: drobna, elegancka, o śmiejących się oczach, ciemnocynamonowych włosach przyciętych na wysokości ramion, delikatnej cerze i ciepłym głosem. Wbiegała do pokoju nauczycielskiego z rozwianymi włosami, oddychając głośno, jakby przypędziła do szkoły na jakimś rumaku; wszak tak lubiła konie! Spontaniczna, ufna, serdeczna, kochająca życie i ludzi, wydawała się krucha i delikatna, ale tryskała energią, zapałem, chęcią działania. Była kobietą o stu twarzach i stu talentach: wrażliwa, ufna, o romantycznej, niespokojnej, marzycielskiej naturze i młodzieńczej duszy, zawsze ciekawa nowości, nie umiejąca jednej chwili usiedzieć na miejscu.

Mówiła: – „Przycupnę na chwilkę”, przysiadając na brzegu krzesła, ale zaraz zrywała się i odchodziła w pośpiechu. Coś ją wiecznie gnało, ciągle więc dokąś biegła, gdzieś się spieszyła, żyła w jakiejś gorączce, w wiecznym niedoczasy, jakby dręczyło ją przecucie gwałtownego upływu dni, które były jej dane. A miała ich tak niewiele...

W szkolnym kalendarzu napisano o profesorze Bogusi: „Była niespokojnym duchem o artystycznej duszy i szerokim sercu. Intensywnie i bezinteresownie pracowała z młodzieżą, prowadząc szkolną grupę teatralną „Muza”, występującą często i poza naszymi murami [...]. Odeszła od nas niespodziewanie 6 lutego 1999 roku”.

Staliśmy obok jej bliskich: dyrekcja, nauczyciele i młodzież naszego liceum – zszokowani, zasmuceni – na małym cmentarzyku zasypanym głębokim śniegiem, w jej rodzinnej wiosce Wysokiej Strzyżowskiej, nie wierząc

w to, co się stało. A jednak w głowach tliła się natrętna myśl: „Co jest zapisane, musi się zdarzyć. Nieszczęścia są dane światu tak jak trawa i deszcz”.

Jeszcze tak niedawno siedziała z nami na szkolnej studniówce, z której pozostało jej zdjęcie: śliczna, uśmiechnięta, radosna, obejmuje ramionami dwie swoje uczennice. Niedługo potem, wracając z ferii do szkoły, w bardzo trudnych zimowych warunkach, profesorka Bogusia zginęła w wypadku samochodowym w Ropczycach.

Dyrektor Ryszard Pękała powierzył mi wówczas jedną z jej klas czwartych, by ją przygotować do matury. Przyniosłam do domu stos prac maturalnych i usiadłam z ciężkim sercem do poprawy. Był późny wieczór. Wokół panowała całkowita cisza, za oknem księżyc – wielki i ciężki – wisiał nad dachami domów. Nad kuchennym stołem, przy którym najlepiej mi się poprawiało, paliła się jasna lampa. Otwarłam pierwszą z prac, wciąż myśląc o profesorce. I nagle włączył się mój elektryczny czajnik. Zupełnie sam! Do dziś nie wiem, jak to się stało. To był dla mnie szok!

Adam Mickiewicz – nawiązując do Szekspira – przekonywał, że „są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom”. Pomyślałam: – To może znak od Bogusi!

Wszyscy jej uczniowie bez trudu zdali maturę. Pewnie z jakiejś chmurki spoglądała na nich i cieszyła się ...

W 1985 roku do grona polonistek naszej szkoły dołączyła profesorka Dorota Stępień, absolwentka liceum z roku 1980. Była niezwykle barwną i niezwykle sympatyczną postacią, o bardzo żywym temperamencie. Miała czarne oczy o łagodnym blasku i ciemne, trochę niesforne włosy, które upinała w koczek, ozdobiony dyskretną spinką. Taktem, niewymuszonym uśmiechem, życzliwością, niezwykle darem do snucia ciekawych opowieści, zjednywała sobie wszystkich.

Zawsze w pośpiechu, zawsze spóźniona z materiałem, jeszcze na przerwach douczała literatury, która ją uskrzydlała, którą kochała i chciała tę miłość zaszcześcić uczniom. Dlatego tak dużo czasu poświęcała przekazywaniu im tej literackiej wiedzy. W jej głosie słysząc było zachwyt, czuć fascynację, wewnętrzny ogień, zapał, miłość i wiarę w ideały – o których nigdy dość opowieści – stąd fraszka na motywach z „Wesela” Wyspiańskiego, nawiązująca do postaci Pana Młodego, którego pierwowzorem był poeta Lucjan Rydel, reprezentujący – według Reymonta – literaturę „od strony pyskującej”:

„Profesor Dorotka gada,
A deszcz pada, pada, pada -

Deszczyk pada, pada pada,
profesor Dorotka gada...
I nagle z tego gadania,
wizja matury nam się wyłania.
Dziś dziękujemy za każde słówko.
I niechaj Bozia da Pani zdrówko!”

Profesorka Dorotka kochała młodzież, wysłuchiwała próśb i usprawiedliwień swych uczniów z uwagą i życzliwością, rozumiała ich, a nawet często ulegała różnym ich tłumaczeniom. Uczuciowa, liryczna, wrażliwa, szlachetnej duszy i łagodnego charakteru, nigdy nie ukrzywdziłaby nikogo.

Trochę impulsywna i uroczo spontaniczna, ale też rozsądna, niezwykle elokwentna, pięknie czytająca teksty literackie, dociekliwa, a przy tym koleżeńska i uczynna, z ogromną sumiennością i wrażliwością dokonała korekty mojej książki, nie darując nawet jednemu przecinkowi.

Romantyczna, łagodnego usposobienia, żywiołowa, ciepła, ufna wobec życia, łatwo poddawała się wzruszeniu, a z powodu złożonej natury, w jej wnętrzu cały czas kipiały emocje: entuzjazm sąsiadował ze zwątpieniem, niepewność z odwagą, wesołość z zatroskaniem.

Bardzo lubiliśmy rozmowy z profesorką Dorotką. Czasem nawet zapominałyśmy, że nam spieszo do domu; wystawałyśmy na rogu ulicy, ochocho gawędząc na wiele tematów i trudno nam było się rozstać. Do dziś, gdy się spotykamy, z radością prowadzimy te „rozmowy na cztery nogi”. Stąd taki limeryk:

„Pewna Dorotka z ulicy Strumskiego
Krzewi w Liceum wiedzę. I znana jest z tego,
Ze choć „gadulka” troszkę, ale mądra i życzliwa,
Kocha ludzi i uśmiech ma słodki.
Jak nie lubić więc takiej Dorotki?”

Kolejną polonistką, która w roku 1996 zawitała do naszego liceum, była profesorka Ewa Nowacka – smukła jak przecinaczek, zwiewna, filigranowa, eteryczna blondynka o subtelnych rysach i młodzieńczym wyglądzie, z długimi złotoblond włosami, rozwiewanymi przez wiatr. Wydawała się delikatna i krucha niczym figurka ze szkła, ale miała w sobie wiele energii, zapału, a w jasnych, łagodnych, roziskrzonych oczach – wielką ciekawość świata i ludzi, szlachetność oraz dużo pogody i życzliwości.

Pisząc tę książkę, wielokrotnie korzystałam z jej opracowania wydawnego pt. „I Liceum im. Władysława Jagiełły w Dębicy we wspomnieniach nauczycieli i uczniów”.

Rok wcześniej – w 1995 dołączyła również do grona polonistek profesorka Marta Socha [Bonarek], moja była uczennica, absolwentka liceum z roku 1987; młoda, zgrabna, o pełnych światła i niekłamanej radości niebieskich oczach, spoglądających śmiało i zawadiacko, i ciemnych włosach luźno spadających na ramiona, i przy każdym ruchu głową zabawnie muskających jej podbródek.

„Kibić miała wysmukłą, pierś powabną” – jak by to powiedział ślicznie wieszcz Mickiewicz. Profesorka Marta była kobietą ambitną, przebojową, spontaniczną, o lotnym umyśle i wyobraźni, odważną, nie bojącą się żadnych wyzwań, świadomą swych możliwości, ale też czasami wrażliwą jak dziecko, co się światu dziwuje i światem zachwyca.

Przez pewien czas pełniła rolę metodyka języka polskiego, prowadziła też kurs związany z wprowadzaniem do liceów tzw. „nowej matury”, w którym również ja uczestniczyłam.

Miała w sobie życzliwość do ludzi, pasję do literatury i zapał do działania. Stąd limeryk:

„Pewna Marta z Dębicy, miła szalenie,
Co – jak ja – ma bobrowskie korzenie,
A także urodę ma, wdzięk i świetne maniery.
Stwierdzić więc mogę tu – bez kozery,
Że „Pani Marta jest grzechu warta”.

Profesorka Marta lubiła swą pracę. Przyglądałam się, gdy zjawiła się w liceum już nie jako uczennica, a nauczycielka, gdyż przypominała mi moje pierwsze chwile, gdy dołączyłam w 1973 roku do grona pracujących tu pedagogów.

Ja również uczyłam języka polskiego z przyjemnością, choć początkowo chciałam być nauczycielką biologii – oczywiście – tak, jak moja ukończona profesorka Gałuszka. Ale w Wydziale Oświaty groźny inspektor powiedział, że biologami to już są wybrukowane wszystkie dębickie ulice i może mnie zatrudnić tylko w charakterze polonistki. Cóż było robić? Byłam zmuszona pokochać język polski, choć początki były bardzo trudne, a moją duszę ogarniało zwątpienie. Ale przecież – jak pisała Dorota Gaścio-

rowska – „zwątpienie wpisane jest w naturę człowieka, tak samo jak wiatr i deszcz w cykliczne pory roku”, więc nie poddałam się.

Wzięłam sobie również do serca radę, jaką na jednej z nauczycielskich konferencji dała nam profesorka z Liceum Ekonomicznego, a była absolwentka naszej szkoły – Basia [Wirdżinia] Lis:

„Co robi rolnik, gdy mu grad plon zbije i straci nadzieję?

– Znowu sieje”.

Dodałam sobie do tej mądrości kolejne: „Kto sieje, ten ma nadzieję” i „Jak se ne przewratisz, to se ne nauczisz”. I „siałam”, będąc przekonaną, że pewnie takie jest moje przeznaczenie, bo przecież podobno „przeznaczenie zawsze znajdzie swoją drogę”.

Jaką byłam nauczycielką? Czy typową, jak ta, sportretowana przez pisarza Brunona Schulza, a przedstawiająca portret narzeczonej Juny Szelińskiej – polonistki w gimnazjum drohobyczowskim? „Prawdziwa nauczycielka. Nieco szara. Z zaciśniętymi ustami, w dobrze skrojonym, ale nudnym kostiumie. Zastygła dla świata w swojej formie. W grymasie warg dalekim od uśmiechu. Wie kim jest, zna swoje miejsce, obowiązki, nie oczekuje radości, a może nawet wie, jak jej unikać”.

Gdy przyszedłam do pracy do naszej szkoły, czułam się straszliwie niedouczona i nieporadna. Cały czas się doksztalałam, tak zresztą, jak wszystkie koleżanki i koledzy-nauczyciele, bo tzw. kształcenie ustawiczne, zwane też permanentnym [określenie to władze szkolne przejęły od – żyjącej jeszcze w XIX wieku wybitnej kobiety-pedagoga – Włoszki Marii Montessori, która dokonała prawdziwej rewolucji w sposobie uczenia i wychowywania dzieci] było naszym obowiązkiem, a także naszą ambicją. Szybko polubiłam swą pracę, a lekcje języka polskiego – z młodzieżą uzdolnioną i chętną do nauki – stały się przyjemnością. Początkowa niepewność zmieniła się więc wkrótce w przekonanie, że to właśnie chcę robić.

I chyba mogłabym powtórzyć – za wyżej wymienioną narzeczoną Schulza: „Byłam urodzonym pedagogiem. Lubiłam wiedzieć, lubiłam uczyć, lubiłam mieć rację. Chciałam moim uczniom otwierać nowe światy, pokazywać książki, sprawiać, żeby ożywały. Wymagałam posłuchu i miała go. Czułam, że buduję tym dzieciom wzorce, do których będą się później w życiu odwoływać. To było dla mnie źródło siły”.

Tak samo i mną kierowała pasja dzielenia się z innymi wiedzą, poznawania frapujących ludzi, zdobywania ciekawych doświadczeń, odkrywania świata literatury, która przecież jest – trawestując słowa Stefana Żeromskiego: „jak niezmierne morze. Im więcej jej pijesz, tym bardziej jesteś spragniony”.

A chociaż program licealny z języka polskiego był ogromnie przeładowany; wprost niemożliwy do zrealizowania, mało precyzyjny i bardzo wymagający, to równocześnie dawał możliwość dużej swobody, wyboru różnorodnego materiału literackiego, stosowania ciekawych, niekonwencjonalnych sposobów analizy utworów, pomysłowości, eksperymentowania, prowadzenia lekcji i różnych pozalekcyjnych zajęć z młodzieżą według własnego scenariusza, co pozwalało przełamać nudę i rutynę codzienności. Wierzyłam, że jeżeli uczniowie coś polubią, to nauczą się tego i zapamiętają.

Wchodziłam np. do klasy i nic nie mówiąc, gapiłam się chwilę w okno, za którym wielkimi płatami opadał pierwszy śnieg. Była w tym jakąś cudowna magia, więc podchodziłam do tablicy i zamiast zapowiedzianego sprawdzianu pisałam ogromnymi literami temat lekcji: Śnieg! Śnieg...

Uczniowie byli zaskoczeni, ale bardzo szczęśliwi. A ja prosiłam, by napisali na kartce króciutką impresję na temat tego, co działo się za oknem; jak najpiękniej, najbardziej poetycko i oryginalnie. Zabronione były wyświechtane metafory o gwiazdkach, pierzynie i białym puchu, a piątkę otrzymywało się za każdą niebanalną przenośnię, porównanie czy epitet. Wielu uczniów podczas takiego ćwiczenia odkrywało w sobie wrażliwość poetycką; a pewien Romek nawet został prawdziwym poetą. Najbardziej oryginalne metafory, określenia, czy fragmenty zdań ich autorzy wypisywali na tablicy. A na zadanie domowe wszyscy mieli jeszcze raz opisać to cudowne zjawisko, wykorzystując nagrodzone określenia oraz wzbogacając je o własne, jak najbardziej oryginalne i piękne.

Takie ćwiczenia – lekkie, łatwe i przyjemne – rozwijały słownictwo uczniów, uczyły wrażliwości, umiejętności wykorzystywania bogactwa naszego języka, kształtowania własnego stylu. Były też świetnym przygotowaniem do pisemnej matury.

Wiele lekcji zawsze poświęcałam epoce starożytności, w której tkwią źródła naszej tradycji, wiedzy, wiary, filozofii i kultury. Ktoś powiedział, że „starożytność wymyślono, by była chlebem dla bibliotekarzy i nauczycieli”. Niech i tak będzie!

W czasie omawiania „Mitologii” Jana Parandowskiego, uczyliśmy się stosowania frazeologii zaczerpniętej z antycznych historii. Przykładem miał być wiersz Jana Sztaudyngera, którego utwory – jako twórcy tak blisko związanego z naszą szkołą – chciałam uczniom przybliżyć przy każdej nadarzającej się okazji. Świetnie nadawał się do tego wiersz „Podas okis”:

„Achilles jest podas okis
Podas okis – znaczy szybkonogi.
Niewiele słówek greckich zapamiętałem
Ale to tak -
Ona miała piękne oczy, była glaukopis
Sowiooka – jak Atena -
A siebie uważałem za szybkonogiego
Jak Achilles...
I na co mi przyszło?
Leżę sparaliżowany.
Nie potrafię nawet ruszyć palcem u nogi.
Ślimak wydaje mi się mistrzem pędu.
I tylko ona, jak była – tak pozostała – Sowiooka.
Nie wiem tylko dlaczego
W jej sowich oczach błyszczy srebrna łza”.

Po tej prezentacji uczniowie układali wiersze, w których występowały inne frazeologiczne określenia mitologiczne: gromowładny Zeus, białoręka Hera, Eos różanopalcu, złotobramna Troja, siedmiobramne Teby, bladolica Jutrzenka itp.

Ciekawym podsumowaniem „Mitologii” Jana Parandowskiego była wieczornica zatytułowana „Uczta na Olimpie”, która pozwalała bardziej przeżyć i polubić problematykę omawianą na lekcjach. Wszak, jak mówi łacińska mądrość – wpajana nam oczywiście przez profesorkę Oleńską – „verba docent, exempla trahunt” [„słowa uczą, przykłady pociągają”]. Najpierw uczniowie losowali karteczki z imionami bogów, których mieli kreować.

Podczas tej wieczornicy, w przygotowanych samodzielnie, stylowych przebraniach wychodzili na środek, nie zdradzając swej tożsamości, ale przedstawiając się w taki sposób, by była to zagadka do odgadnięcia dla pozostałych uczniów – uczestników owej uczty. Podziwiałam pomysłowość nowoczesnych nastolatków, nagle przedzierzgniętych w mitologiczne postacie.

Następnie wszyscy zasiadali za stołem biesiadnym, na którym był przygotowany „nektar i ambrozja”, czyli herbata i ciasteczka. Zeus – oczywiście – „najwyższe brał miejsce za stołem. Z wieku mu się i urzędu ten zaszczyt należał” – można by powiedzieć słowami Mickiewicza z „Pana Tadeusza”; też przecież trochę inspirowanego starożytnym eposem – „Iliadą”.

Obok Zeusa zasiadła Hera, dalej Atena, Apollo, Ares, Afrodyta i pozostali „Olimpijczycy”. Nawet przybył kulawy Hefajstos, choć przecież nie lubił

uczt i wolał w swej kuźni wykuwać pioruny dla Gromowładnego. Wszyscy rozmawiali na tematy mitologiczne. Było bardzo miło. Nie było żadnych sporów, bo nie zaproszono bogini niezgody – Eris. Za to trzy Gracje krzątały się, zabawiając gości. Gdy Helios swym słonecznym rydwanem odjechał za horyzont, musieliśmy zakończyć tę wspaniałą ucztę. Pozostały jednak miłe wspomnienia, piątki z języka polskiego i zdjęcia; jeszcze czarno-białe.

Innym razem, na lekcjach o liryce, podawałam uczniom rymujące się pary wyrazów, by ułożyli z ich wykorzystaniem jakieś wiersze na dowolny, lub na wskazany temat. Czytaliśmy potem te ich „dzieła”, co budziło powszechną wesołość i uświadamiało różnicę między zwykłą rymówką, czyli wierszykiem, a prawdziwą poezją, która nigdy nie rodzi się na zamówienie i nigdy z rymem wcześniej zaplanowanym, a zawsze z potrzeby serca, z kipienia wewnętrznych emocji, a – przede wszystkim – z owej „iskry Bożej”, którą są obdarowani jedynie wybrańcy.

Czasem znów wymyślaliśmy nowe wersje istniejących już wierszy. Tak było w przypadku „Deszczu jesiennego” Leopolda Staffa. Wszyscy to znamy:

„O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki miarowy bezdenny...
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno,
Jęk szklany, płacz szklany i szyby w mgle mokną ...”

Najpierw poznawaliśmy wersje stworzone przez innych poetów; akurat znalazłam też taką, nawiązującą do sytuacji szkolnej:

„Profesor wciąż nudzi i nudzi. Dzień senny.
On dulczy – jednaki, miarowy, niezmienny.
Czcze słowa padają i tłuką mnie mocno.
Jaskinie, dzielenie – a szyby w mgle mokną
I gasną uczucia na dnie serca skryte
Jedynki w dzienniku – a okna niemyte”.

Następnie uczniowie układali własne teksty. Znalazło się wśród nich kilka bardzo ciekawych; niestety, zaginęły. A uczniom to ćwiczenie językowe bardzo się podobało.

Innym lubianym ćwiczeniem językowym było rozszerzanie i skracanie tekstów. Po próbach wykonywanych na lekcji, zadawałam napisanie w domu jakiejś opowieści mającej 200 słów, a potem skrócenie jej np. do 50. Zadania

takie uczyły dyscypliny językowej, tak potrzebnej w wielu sytuacjach, o czym przekonałam się po latach. Mama mojej uczennicy Dorotki Ś. przekazała mi podziękowania od córki, której koleżdy z pracy zazdroszczą, że świetnie i w sposób skondensowany redaguje potrzebne teksty. Ona mówi im wtedy, że to dzięki ćwiczeniom na lekcjach „polaka” zdobyła tę umiejętność.

Pamiętam też, gdy pewnej uczennicy postawiłam dwójkę za takie ćwiczenie, gdyż napisała jakąś historyjkę, zupełnie nie stosując się do mojego polecenia. Nazajutrz przybiegła jej mama z pretensjami. – Dlaczego pani postawiła córce ocenę niedostateczną? Razem z mężem pomagaliśmy napisać to zadanie. Jesteśmy inżynierami i twierdzimy, że jest dobre.

Nie pomogło tłumaczenie, że nie chodziło o sam wymyślony tekst, ale sprawdzenie umiejętności jego skracania i rozszerzania. A tego w zadaniu uczennicy w ogóle nie było. Obrażona pani inżynier nie dała się przekonać. Ale to był wyjątek.

Bardzo podobała się uczniom lekcja o bohemie artystycznej Młodej Polski. Zamiast tradycyjnego analizowania utworów, urządziliśmy kawiarnię poetów. Tak jak niegdyś w „Paonie” u Ferdynanda Turlińskiego w Krakowie, zasiedli przy stolikach z herbatą i ciastkiem – nie zwykli uczniowie, a awangardowi twórcy w uczniowskiej skórze: Stanisław Przybyszewski, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Lucjan Rydel, Stanisław Korab-Brzozowski, Tadeusz Boy-Żeleński. Przedstawiali program artystyczny modernizmu, czytali wiersze i dyskutowali o sztuce tego okresu. Było miło, ciekawie, a przygotowane wcześniej w domu wypowiedzi uczniów, zostały nagrodzone najwyższymi ocenami.

Miło wspominaną przez uczniów była też lekcja „leśna”, na którą powędrowaliśmy do precudnego brzozowego lasu niedaleko Pustkowa. Na rozległej polanie rozłożyliśmy wśród traw przyniesione kocyki i rozsiedliśmy się wygodnie. Cicho trzaskały gniecione gałęzie, wiaterek muskał korony brzoź gęsto okalających polanę, wywołując drżenie drobnych listków, świeciło przyjazne, niezbyt gorące słońeczko. Było cudnie.

Zaplanowałam na to spotkanie luźne rozmowy o literaturze; z kanapkami i soczkiem, ale okazało się, że uczniowie przygotowali bardzo solidne referaty, których świetnie się słuchało w tak pięknych „okolicznościach przyrody”. Zwłaszcza jeden z chłopaków przydzwigał na tę polanę cały ciężki plecak książek z materiałami ilustrującymi jego wywody. Byłam „cała w skowronkach”.

Jak nie kochać takich uczniów?

Oczywiście wiele lekcji było tradycyjnych: z odpytywaniem, dyskusją, redagowaniem notatki i zapisywaniem zadania domowego, bo tego wymagał odgórny program, ale starałam się o jakieś urozmaicenia; przecież za zwyczaj pamięta się te lekcje najbardziej nietypowe.

A niektóre były nietypowe nie ze względu na atrakcje literackie, a różne, niespodziewane okoliczności.

Pamiętam. Uczyliśmy się sporządzać reportaż. W klasie panowała miła cisza. Uczniowie pracowali w skupieniu, zapisując pracowicie wnioski z wcześniejszej dyskusji. Nagle tuż za oknem – pisk opon, krzyki ludzi, wycie karetki pogotowia! Siedzący w ostatniej ławce Wojtek rzucił się do okna, spojrzął na ulicę i bez słowa – jak jakiś rączy jeleni – wybiegł z klasy, zostawiając otwarte drzwi.

Wszyscy byliśmy w szoku, bo takie zachowanie było całkiem nietypowe i niespotykane na lekcji, a Wojtek był grzecznym i zdyscyplinowanym młodym człowiekiem.

Za karę kazałam mu napisać w domu szczegółowy reportaż o tym, co się zdarzyło.

Okazało się, że ów reportaż był świetny, a Wojtek wyjaśnił w nim swoje zachowanie. Jako strażak-ochotnik czuł się w obowiązku natychmiast zjawić się na miejscu wypadku, a w sytuacji tzw. „wyższej konieczności” przestają obowiązywać panujące na co dzień zasady. Nie mogłam więc się na niego gniewać.

Innym razem znów, gdy weszłam do klasy z zamiarem omówienia ważnych zawłości literackich, zauważyłam jakiś niezwykle smutek panujący na twarzach dziewcząt [klasa była żeńska], a sympatyczna Beata nawet głośno łkała. Okazało się, że prowadzenie normalnej lekcji było niemożliwe, bo Beatce zginął właśnie ulubiony kotek i żadne problemy zawarte w lekturze nie mogły rozwiać panującej w klasie żałoby.

By zachęcić młodzież do wnikliwego czytania lektur, organizowałam różne konkursy nagradzane najwyższą oceną, a czasem i jakimś tanim drobiazgiem. Tak było w przypadku „Mitologii”, którą uważałam za bardzo ważną lekturę. Zwycięzcy kwalifikowali się do udziału w konkursie na zdobycie tytułu: „Mistrz mitologii”.

Pamiętam, że przygotowywałam niezwykle trudne, coraz bardziej szczegółowe pytania, by wreszcie – po kilku etapach – wyłonić tego, dla kogo „nic, co mitologiczne, nie było obce”. Byłam pełna podziwu dla startujących w tym konkursie uczniów, a szczególnie dla wspaniałych zwycięzców.

Podobnie było z lekturą „Ojciec Goriot” Honoriusza Balzaca, którą uczniowie czytali niechętnie, jako że jej problematyka była dla nich obca, daleka i zupełnie nieinteresująca; bohatera nazywali nawet złośliwie „ojcem wariotem”.

Dałam wówczas uczniom okazję do poprawienia słabych ocen, organizując konkurs na najlepszą znajomość tej powieści. Okazało się, że chętnych było bardzo wielu, a ich szczegółowa wiedza o lekturze – wprost zadziwiająca. I w tym wypadku zadawałam coraz bardziej wymyślne pytania, by wyłonić zwycięzcę, np. ile jedwabnych koszul ojciec Goriot zabrał z sobą, przenosząc się do pensjonatu. Nawet to wiedzieli! Byli wspaniali!

W pracy z uczniami kochałam posługiwać się cytatami i znałam ich bardzo dużo, co przypominała mi niedawno moja była uczennica Beata [ta od kotka]; obecnie też nauczycielka języka polskiego. Zdarzało się też niekiedy, że dzwoniły koleżanki z innych szkół, prosząc, by podać im źródło jakiegoś potrzebnego cytatu. Ale „przyszła kryśka i na Matyska”.

Pewnego razu sama wypytywałam koleżanek, kto był autorem słów: „Idźcie przez zboże, we wsi Moskał stoi”, które często powtarzały się w cyklicznym programie telewizyjnym Olgi Lipińskiej „Właśnie leci kabarecik”. Był to świetny program satyryczny, ukazujący w sposób dowcipny, a zarazem inteligentny i błyskotliwy, polską rzeczywistość. I tam właśnie pojawiały się ów cytaty. Żadna z koleżanek nie umiała mi pomóc w ustaleniu jego źródła. Poświęciłam więc kilka nocy, wertując od nowa dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Wyspiańskiego, jako najbardziej „podejrzanych” twórców. Na próżno.

Dopiero po latach, czytając biograficzną książkę o Oldze Lipińskiej, znalazłam informację, że ten cytat „dręczył” nie tylko mnie, ale też wielu widzów oglądających „kabarecik”. Jego twórczyni wyjaśniała, że to ona sama jest autorką tych słów, tak świetnie „podszywającą się” pod naszych narodowych wieszczów.

Lubiłam też zagadki wymagające wyszukiwania przez uczniów źródła różnych cytatów i bardzo się cieszyłam, gdy je rozwiązywali. Na przykład pytałam, skąd pochodzą słowa: „O ten kredens, o tę szafę, rozbiją się jak o rafę i najbardziej zakochani”, „Grajku poranny, komu ty tam grasz”, czy „Trzeba by mi być w rozpacz, byłam tylko czasu miała”?

Mniemam, że czytelnicy – absolwenci naszego liceum – doskonale znają ich pochodzenie.

Czasami dawałam też uczniom do rozwiązania jakąś szaradę czy krzyżówkę na tematy literackie, lub polecałam do analizowania ciekawe wier-

sze, będące nawiązaniem do omawianych lektur. Już na wakacjach miałam pełno nowych pomysłów.

Mam nadzieję, że uczniowie – przynajmniej niektórzy – lubili lekcje „polaka”. Zapewnia mnie o tym m.in. – często spotykana – moja była uczennica Ela [matura 1992], dziś nauczycielka w Państwowej Szkole Specjalnej w Dębicy.

Zachowała się też kartka z zadaniem domowym na temat: „Najciekawsza lekcja języka polskiego”, w której inna miła uczennica napisała: „Profesorka – to kobieta z humorem. Lekcja była dla mnie bardzo ciekawa. Pani opowiadała nam o Rolandzie, o jego losach i przeżyciach. Patrzyłam na nią jak na s ł u p a i słuchałam. Lubię, gdy mówi do nas, czuję się wtedy lekko, zapomina o wszystkich smutkach i troskach. Język polski – to ciekawe lekcje”. I jak nie cieszyć się z takiej wspaniałej roli – „słupa”?

Zachowało się też wiele widokówek przysyłanych mi przez uczniów z różnych wojaży, z bardzo miłymi słowami, a wśród nich list bardzo fajnej uczennicy Eweliny:

„Kochana Pani Profesor!

Rozpaczam ten mój krótki list od najserdeczniejszych pozdrowień. W moim sercu tak wiele jest nadal ciepłych uczuć dla lekcji języka polskiego, a już na pewno nie zabraknie ich nigdy dla Pani [...]. Kończę ten list przyrzeczeniem, że 14 października zapali się w moim sercu najjaśniejsze światełko wdzięczności i pamięci dla mojej ulubionej nauczycielki języka polskiego – „Anioł-kobiety”.

Owo określenie „anioł-kobieta” ukułam sobie sama, nazywając się tak żartobliwie w sytuacjach, gdy uczniowie podważali sprawiedliwość ocen, czy – gdy nie miałam już do nich siły i myślałam, że zaraz zwariuję, jak ta nauczycielka Jasia z dowcipu:

„Mamo, czy dziś jest piękny dzień?

– Tak, Jasiu. A czemu pytasz?

– Bo nasza pani powiedziała, że pewnego pięknego dnia przez nas zwariuje”. Czasami właśnie tak i ja się czułam.

– Dlaczego z klasowego zadania mam tylko piątkę a nie szóstkę – pytał mnie jeden z najsympatyczniejszych uczniów, trochę jednak przeceniający swoje zdolności.

– Bo, jako anioł-kobieta, tak cię lubię, że choć zasłużyłeś jedynie na czwórkę, dałam ci piątkę – tłumaczyłam.

A gdy uczniowie szukali różnych wymówek i mówili o niesprawiedliwych ocenach, przyznawałam im niby rację i zaraz dodawałam, że praw-

dziwa sprawiedliwość jest tam – i unosiłam rękę i oczy do nieba; a tu jest tylko szkoła.

Potem często powtarzali moje słowa i naśladowali ten gest, z uśmiechem zrozumienia.

A gdy nie trafiały do nich żadne argumenty i było jak w tym żarcie: „Klasa chodzi po klasie i nie zwraca uwagi na moje uwagi”, mówiłam na koniec, żeby zapamiętali, że ten, kto siedzi po tej stronie biurka, co ja, zawsze ma rację.

I potem wielokrotnie pytałam: – Widzicie po której stronie biurka siedzę? I co to znaczy? A uczniowie chórem odpowiadali:

– Że profesorka ma absolutną rację!

I śmialiśmy się wspólnie, świetnie się rozumiejąc. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że trzeba być solidnie przygotowanym do lekcji, że nie da się łatwo wymigać i usprawiedliwić wstrętnego lenistwa, że język polski to trudny przedmiot maturalny i nie ma „wyproś”. Często aż do znudzenia „gnębiłam” uczniów, zmuszałam do szczegółowego analizowania tekstów, dociekałam sedna problemów, prawie jak moja profesorka Janda. Stąd fraszka:

„Co za kobita!

Wie, a się pyta”.

Bardzo lubiłam też dyskusje o różnych utworach literackich, które toczyłam z uczniami poza lekcjami. Pamiętam szczególnie jedną klasę żeńską, w której nie było mowy o jakiejś nieprzeczytanej lekturze. Już na przerwie przed lekcją dziewczyny opowiadały wrażenia z czytanych książek, przytaczały dyskusje, które na ich temat odbywały ze swoimi mamami w domach, spierały się nawzajem o różne szczegóły, a potem na lekcji świetnie interpretowały poszczególne problemy. Praca w tej klasie to była sama przyjemność.

Z sympatią wspominam też inną żeńską klasę, w której uchował się jeden rodzynek – bardzo sympatyczny, cichutki i grzeczniutki chłopak, który bardzo lubił dyskutować, nie tylko na temat lektur. Szczególnie zabierał głos w sprawie różnych „dziewczyńskich” problemów, co mnie bardzo śmieszyło.

Chociaż do dziś pamiętam wiele lekcji, które prowadziłam przez trzydzieści licealnych lat, to jednak najbardziej zapamiętałam tzw. „lekcję koleżeńską”, przeprowadzoną dla polonistów dębickich szkół. Jej tematem była

specyfika poezji Czesława Miłosza, który właśnie dopiero co – 9 listopada 1980 roku – otrzymał Nagrodę Nobla.

Samo przyznanie temu twórcy tej zaszczytnej nagrody literackiej było dla wielu szokiem; wszak dotąd w literaturze powojennej w ogóle był pomijany za jego „ucieczkę” na emigrację i krytyczny stosunek wobec ideologii socjalistycznej, krzewionej w Polsce.

W pierwszych artykułach, które pojawiły się w prasie po przyznaniu owej nagrody, pisano: „Powrócił do nas po latach milczenia”. I rzeczywiście tak było. Nie znaliśmy jego poezji, nie było recenzji dokonanych przez krytyków ani żadnych wskazówek, jak traktować Miłosza w praktyce szkolnej. A on sam był niewątpliwie postacią kontrowersyjną. Niektórzy nie godzili się z decyzją szwedzkiej Akademii ironizując, że Miłosz szybciej pisze, niż jest się w stanie go czytać, że to była nagroda przyznana ze względów politycznych, że nie zasłużył i że jest postacią budzącą zbyt dużo zastrzeżeń.

Dlatego koleżanki pukały się w głowę, że chce mi się tak ryzykować, że się odważyłam na wybór poezji Miłosza akurat na lekcję pokazową, ocenianą przecież przez wielu obserwatorów. Nawet pani wizytator z Tarnowa była zaskoczona moim wyborem. Ale – jakoś tak – czasami lubiłam trudne wyzwania. Dyrektorzy, którzy zawsze w takich sytuacjach zaszczycają swą obecnością lekcje pokazowe, stwierdzili, że nagle muszą w niecierpiących zwłoki sprawach wyjechać. Zostałam więc sama.

Ale lekcja się udała, klasa spisała się na medal, a noblista Miłosz został „udomowiony”. Pani wizytatorce wszystko bardzo się podobało; podarowała nawet jednej z uczennic – najpiękniej odpowiadającej – ozdobną kartkę z gratulacjami. Pamiętam oczywiście, że tą uczennicą była Basia Ziemiowska [matura – 1981 rok] – niezwykle utalentowana literacko i plastycznie; dziś mieszkająca na stałe we Francji.

Ponieważ ze względu na specyfikę przedmiotu musiałam ciągle „gardłować”, chodziłam bez przerwy ze szklanką w ręce i popijałam kawę lub herbatę z dużą ilością cukru, który sypałam bez ograniczeń, nie uznając żadnych słodzików czy innych erzaców.

Pewnego pięknego dnia [jak ten z dowcipu o Jasiu!] dyrektor Galas zarządził, że odtąd nie wolno będzie zabierać do pracowni niczego do picia, bo uczniowie – by nie czuć się gorsi, pokrzywdzeni – też przynoszą na lekcje różne napoje. Był to okres którejś z kolejnych reform, dających młodzieży wiele nowych uprawnień, które oprócz pozytywów, przynosiły też różne paradoksy.

Oburzyłam się straszliwie i oświadczyłam, że „bez picia nie ma życia” to znaczy, że – by całą lekcję „gardłować” – na pewno muszę „popijać”. Miałam jeszcze dodać tę mądrość o mojej uprzywilejowanej stronie biurka, ale ponieważ dyrektor nie należał do „wtajemniczonych”, więc nic by nie zrozumiał. Powiedziałam tylko, że „na zagonie insza oraczowi, insza wronie ciągnąć się” – jak miał zwyczaj mawiać imć Mikołaj Rej, obeznany w gospodarstwie. Przecież uczniowie często nie mówili przez całą lekcję ani słowa, innym razem wypowiadali po kilka zdań, a i gardła mieli młode, nie to co my, nauczyciele.

Więc, mimo zarządzenia dyrektora, który – na szczęście – przez palce patrzył na moją niesubordynację, dalej chodziłam cały czas ze szklanką w ręce, co i tak nie uchroniło mnie przed „gardłową” operacją. No cóż, taka to choroba zawodowa, jak ołowica dla drukarzy czy pylica dla górników.

A obowiązkowe badania nauczycieli, które byliśmy zobowiązani czynić corocznie, by aktualizować „książeczkę zdrowia”, nie obejmowały kontroli stanu naszych zdartych gardeł, skołatanych serc czy zszarganych nerwów, a tylko prześwietlenie płuc i sprawdzanie, czy nie mamy żadnych chorób wenerycznych, co zawsze budziło nasze największe zdumienie.

Czas w szkole mijał szybko. Kolejna reforma, wprowadzająca gimnazja i trzyletnie licea spowodowała w oświacie ogromnie dużo zamieszania; m.in. brak etatów dla wielu nauczycieli. Stawiano na młodych, a tych z długim stażem zachęcano do przejścia na emeryturę, nie bacząc na ich doświadczenie i „zasługi”.

Przypominałam sobie wówczas słowa Matki Teresy z Kalkuty: „Jakakolwiek będzie nasza praca, nie przywiązujemy się do niej. Bądźmy gotowi zrezygnować z niej w każdej chwili, nie tracąc pogody ducha”. I tak sobie dumając, podjęłam postanowienie, by wraz z kilkoma kolegami przejść na wcześniejszy „zasłużony odpoczynek”.

Przekonywano nas wówczas, że najstarsze klasy będziemy jeszcze mogli doprowadzić do matury, ale na końcu września, wszyscy zostaliśmy ostatecznie zwolnieni. Tę sytuację opisała reporterka „Obserwatora Lokalnego” Urszula Naleźny w artykule: „Oddajcie nam profesorkę”. Możemy tam przeczytać m. in:

„Uczniowie klasy IV h LO w Dębicy nie mogą się pogodzić z odejściem w tym roku na emeryturę ich polonistki Haliny Niziołek, która przez trzy lata przygotowywała ich do matury. Odeszła ze szkoły na wcześniejszą emeryturę, wraz z dwoma innymi polonistkami, by nie blokować miejsc pracy młodszymi kolegom. Taka sytuacja miała miejsce we wszystkich szko-

łach średnich w powiecie. Niż demograficzny i reforma, w efekcie której nie ma w tym roku szkolnym klas pierwszych w liceach sprawiły, że potrzeba jest mniej nauczycieli. Jeszcze poprzedni Zarząd Powiatu zaproponował, żeby w pierwszej kolejności z pracy odeszli ci pedagodzy, którzy mają uprawnienia do wcześniejszej emerytury. W zamian dostali rekompensatę finansową. Tę politykę kontynuuje obecny Zarząd Powiatu.

– Chcemy dać szansę młodym, bezrobotnym nauczycielom – powiedział nam Czesław Kubek [...].

– Nie chcemy organizować strajku. Będziemy jednak robić wszystko, by nasza pani profesor wróciła do szkoły. Nie może nas zostawić tuż przed egzaminem dojrzałości – powiedziała nam Dorota z IV h. Uczniowie tej klasy kilka dni temu wystosowali pismo do Starostwa Powiatowego w Dębicy, prosząc w nim o przywrócenie pani Niziołek do pracy [...].

– Wobec tej sytuacji jestem bezradny – twierdzi dyrektor Pękala [...]. Halina Niziołek od 30 lat była związana z dębickim ogólniakiem.

– Odeszłam na zasłużony odpoczynek, ale jeśli dyrektor poprosiłby mnie, żebym wróciła do szkoły, zrobiłabym to, ponieważ dyrekcji się nie odmawia. Jednak głupio by mi było samej wracać tam bez moich dwóch koleżanek, które dzielą mój los. Godząc się przejść na emeryturę miałam nadzieję, że będę mogła jako emerytka dokończyć przygotowania czwartoklasistów do matury – powiedziała nam Halina Niziołek. Na to również liczyła młodzież szkolna.

– Spotkała nas wielka niesprawiedliwość, ponieważ zabrano nam nauczycielkę akurat wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebujemy.”

Władze decyzji nie zmieniły, ale zachowanie młodzieży bardzo mnie wzruszyło.

Zanim nas jednak ostatecznie pożegnano, życie szkolne biegło swoimi ustalonymi koleinami. Oprócz prowadzenia lekcji organizowałam wraz z koleżankami-polonistkami akademie i inne uroczystości szkolne, przygotowywałam młodzież do olimpiady przedmiotowej i różnych konkursów. Uczniowie naszej szkoły odnosili w nich wiele sukcesów.

Często organizowaliśmy wyjścia młodzieży do kina, wierząc, że taki rodzaj edukacji jest bardzo wartościowy, a przy tym atrakcyjny i bardzo przez uczniów lubiany. Naszych podopiecznych w korzystaniu z filmów ograniczał tylko wiek i brak pieniędzy. Ale na wyjścia zbiorowe otrzymywaliśmy zniżki. Zbiórka pieniędzy, zakup biletów, rozliczenia – to była nasza dodatkowa praca pozalekcyjna; oczywiście – bezpłatna. Dawała nam jednak dużo radości.

Pamiętam, gdy pewnego razu na rynku pod „Karolkiem” zaczęła mnie elegancka pani, przedstawiająca się jako absolwentka naszego liceum i moja była uczennica. Opowiedziała mi, że mieszka w Ropczycach, jest szczęśliwą żoną i matką i że bardzo miło wspomina czasy szkolne.

– Dopiero teraz doceniam, jak ważne były oglądane przez nas filmy i wyjazdy do teatru do Tarnowa, Rzeszowa i Krakowa – rzekła, a jej piwne oczy rozjaśniły się uśmiechem.

– To były skarby mojej młodości. Obecnie, gdy praca, dom, dzieci wypełniają mi cały czas, z nostalgią wspominam tamte szkolne lata. Myślę, że już nigdy nie zobaczę tylu cudnych filmów i spektakli teatralnych, jak podczas pobytu w liceum.

Bo oglądaliśmy naprawdę mnóstwo wartościowych filmów i spektakli: „Wesele”, „Noce i dnie”, „Eugeniusza Oniegina”, „Wojnę i pokój”, „Maskaradę”, „Wierną rzekę”, „Popioły”, „Przedwiośnie”, „Chłopów”, „Nad Niemnem” i wiele, wiele innych dzieł, przybliżających w atrakcyjny sposób świat najwspanialszej literatury i jej twórców, a także pomagających lepiej zrozumieć lektury i uzupełnić uczniowską wiedzę. Były też owe filmy i spektakle ważnym czynnikiem kształtującym poglądy młodych ludzi, ich wrażliwość i poczucie estetyki.

Zazwyczaj, tematyka filmów, na które zabieraliśmy uczniów, była nam znana. Ale czasami okazywały się nie lada zaskoczeniem. Tak było w przypadku szeroko reklamowanego filmu „Dagny”, ukazującego bohemę artystyczną Młodej Polski, co świetnie wpisywało się w program języka polskiego. Nie podejrzewaliśmy, że będzie tam wiele zbyt „odważnych” scen, przyprawiających nawet nas, dorosłych o wypieki.

Spoglądaliśmy na reakcje uczniów, ale – na szczęście – zachowywali się zupełnie naturalnie i dojrzałe. To chyba nam, nauczycielom, ta filmowa niespodzianka sprawiła więcej niż im kłopotów.

Największym wrogiem polonistów był zawsze brak czasu, spowodowany bardzo rozbuchanym programem, koniecznością poświęcania na dany problem więcej lekcji niż to było zaplanowane, przepadaniem lekcji z wielu powodów [wycieczki, imprezy szkolne, nieobecności nauczycieli itp.].

Naszą największą troską było przygotowanie do matury, którą wciąż strasziliśmy uczniów, a która również w nas samych budziła niepokój. Wysokie oceny z egzaminów maturalnych były naszym celem, pragnieniem i ambicją. Chociaż tylko w niewielkiej mierze zależały od nas, bo przecież najbardziej – od uczniów: ich zdolności, ambicji, wkładu pracy, systematyczności, sa-

mozaparcia, a czasem i szczęścia, to czuliśmy się odpowiedzialni za swych podopiecznych i każdą porażkę przeżywaliśmy długo i boleśnie.

Pierwszych maturzystów miałam w roku 1977. Prowadziłam wtedy cztery klasy czwarte, w tym – w jednej z nich – byłam wychowawczynią. Bardzo się denerwowałam wraz z uczniami i bardzo cieszyłam z ich egzaminacyjnych sukcesów. Bo zdali świetnie. Wśród absolwentów była też moja późniejsza koleżanka z pracy – profesorka Lidia Pogorzelska. Ale wszystkich wspominam z życzliwością i sentymentem.

A matury w naszej szkole mają bardzo długą historię. Pierwsza miała miejsce w roku 1908. I choć kolejne reformy modyfikowały jej kształt, ilość zdających wciąż rosła [w 1908 roku maturzystów było 35, w 2000 – 250], nowe pomysły władz niekiedy szokowały, to jednak wciąż ma się dobrze i nic nie wskazuje, by to kiedyś miało się zmienić.

Na pewno, począwszy od tej pierwszej z początku XX wieku, zawsze było to ogromnie ważne wydarzenie w życiu każdego ucznia. Zaprzętało umysły uczniowskie i profesorskie, było przedmiotem rozmów w szkole i w domu, w pokoju nauczycielskim i w ministerstwie oświaty, tematem książek, filmów i młodzieżowych, tajemnych pamiętników. O maturze śpiewano nawet piosenki. Najbardziej chyba znana jest ta, wykonywana przez Krzysztofa Klenczona z towarzyszeniem „Czerwonych Gitar”:

„Hej, za rok matura, za pół roku,
Już niedługo, coraz bliżej, za pół roku.
Minęła studniówka z wielkim hukiem,
Czas ucieka i matura coraz bliżej.

Za miesiąc matura, dwa tygodnie,
Już niedługo, coraz bliżej, dwa tygodnie.
Oj, za dzień matura, za godzinę
Już niedługo, coraz bliżej, już za chwilę”.

Przedmaturalną atmosferę, która ogarniała wszystkich na długo przed terminem egzaminów, świetnie oddała jedna z moich uczennic – Magda Serwatka [absolwentka 2000 roku] w wierszu „Koniec kwietnia 2000 roku, czyli Panie Tetmajer, my mamy gorzej” [na motywach wiersza „Koniec wieku XIX” Kazimierza Przerwy-Tetmajera]:

„Przekupstwo...? Tylko dziki dałby się przekupić,
Lecz nie pedagog, człowiek cywilizowany.
Myślenie...? Lecz od stresu nerwy poszarpane,
Zdolne są najmądrzejszego człowieka ogłupić.
Nauka...? Cóż pomoże zakuwanie wzorów,
wobec braku myślenia, na cóż kucie zda się?
Odpisać...? Lecz od kogo? Skąd wiesz, czy w swej klasie
Masz ludzi ci życzliwych, czyli też potworów?
Ukraść tematy...? Na nic, są pilnie strzeżone,
Poza tym jest ich tyle, że nie zdążysz przejrzeć.
Ściąganie...? Lecz Komisja pełna jest podejrzeń,
Serca u nich z kamienia, zmysły wyostrome.
Protest...? Ach, tyle mamy dzisiaj demonstracji,
Że nas, uczniów, pod Sejmem nikt nie zauważy.
Nie podejść...? Czy w ten sposób dziś uczniowie szarzy
Mogą wstrzymać reformę polskiej edukacji?
Cóż więc jest? Cóż zostało nam, co nic nie wiemy,
Dla których żaden dawny wybieg nie wystarcza?
Jaka jest przeciwko maturze twoja tarcza,
Człowiecze w moim wieku?
Głowę zwiesił niemy”.

Matura była w naszym liceum wydarzeniem starannie przygotowywanym, celebrowanym, obrosłym tradycją, anegdotą, była egzaminem oczekiwany ze strachem i nadzieją, odbywającym się w atmosferze powagi, dostojności, a nawet trochę tajemniczości i magii. Niektórzy mówili, że jest jak choroba. Trzeba ją przejść i zapomnieć. Ale nie było to łatwe. Obowiązywały corocznie powtarzane twarde zasady, rytuały, rygory.

Egzaminy zaczynały się w całej Polsce punktualnie o wyznaczonej godzinie i choćby troszkę spóźniony uczeń nie zostawał do nich dopuszczony. Szkoła była zamykana „na cztery spusty”, a on musiał na następną możliwość zdawania czekać cały kolejny rok: „Znów za rok matura” – mógł sobie zaśpiewać, jeśli do śpiewania miał wówczas jeszcze ochotę.

Delikwent złapany na odpisywaniu był wyrzucany z sali; wyjątkowo dyrektor mógł polecić mu zmienić temat pracy. Ale zazwyczaj było za późno; wybrany temat został zmarnowany, a pozostałe mogły stanowić duży problem. Dochodził do tego stres ...

Kilkakrotnie słyszeliśmy też o aferach, które miały miejsce w którymś z okręgów szkolnych, gdy – mimo wielu zabezpieczeń – pytania do matury pisemnej jakimś trafem wyciekły z kuratorium i pojawiły się np. w internecie jeszcze przed egzaminem maturalnym. Tam, w atmosferze wielkiego skandalu, maturę musiano organizować od nowa. U nas – na szczęście – nigdy to się nie wydarzyło. Niecodzienna atmosfera matur udzielała się wszystkim.

Pamiętam. Stałam w drzwiach do jednej z sal, odczytywałam kolejne nazwiska uczniów [będących już tzw. abiturientami] z powierzonej mi listy i wpuszczałam ich pojedynczo do środka. Miałam też sprawdzać, czy siadają na wyznaczonych miejscach i czy nie wnoszą niczego do sali: nie wolno było mieć własnych książek, swojego papieru kancelaryjnego, maskotek, kanapek – tylko długopis i „głowę”.

Początkowo dyrekcja przymykała oko na kanapki i maskotki, ale okazywało się, że bułki bywały nafaszerowane brykami, a maskotki rosły do monstrualnych rozmiarów. Zza niektórych miśków, słoni z uniesionymi trąbami i innych różnorodnych, dziwacznych stworów, prawie nie było widać piszących. A wewnątrz tych „maskot” były pełne niespodzianek. Dlatego pewnego roku dyrektor Edmund Galas zarządził, by wszystkie przyniesione maskotki ustawić na parapetach. Wyglądały tam ogromnie śmiesznie, gdy tak siedziały oklapłe, z dala od właścicieli, dekorując salę maturalną. Żał też było patrzeć na piszących, bezradnie spoglądających na niedostępne, sprytnie ukryte w owych maskotkach „źródółka” wiedzy.

W kolejnym roku, by zachować powagę egzaminu – sprawdzianu dojrzałości jakby nie było! – dyrektor wydał całkowity zakaz wnoszenia do sal czegokolwiek. Dla zapewnienia sobie szczęścia niektórzy zakładali jakiś drobny element ubioru – wypożyczony, a dziewczyny skrywały pod spódniczkami na udach czerwoną podwiązkę.

Każdemu wchodzącemu maturzyście dawałam „szczypa z zakrętasem” [określenie Melchiora Wańkowicza] – na szczęście! To bolało, ale otrzeźwiało na chwilę nieprzytomnych ze strachu abiturientów, zmuszało do odwrócenia uwagi – choć na moment – od sytuacji, która ich paraliżowała. Pewnie wielu uczniów do dziś pamięta tamtego bolesnego „szczypa z zakrętasem”. Mam nadzieję, że nie żywią do mnie urazy.

Młodzież musiała przychodzić na egzamin ubrana w przepisowe stroje szkolne, tak, że wszędzie królowała biel, czern i granat. Jedyne za stołem Komisji Egzaminacyjnej można było zobaczyć inne kolory. Panie profesorki przychodziły w nowych, odświeżonych kreacjach; eleganckich, zawsze

stonowanych, pasujących do rangi wydarzenia. Również panowie profesorzy – w białych koszulach i nowych krawatach – prezentowali się dostojnie i uroczysto. Kontrastowała z tą poważną kolorystyką barwna plama różnorodnych kwiatów w bukietach przyniesionych przez uczniów; pięknym i tak wielkim, by choć trochę mógł zasłonić „szanownej” Komisji widok na salę.

Patrzyliśmy z przyjemnością na piękne bielutkie bluzeczki dziewcząt, na drobno plisowane lub kloszowe, granatowe czy czarne spódnice, na czarne sukienki z białymi koronkowymi kołnierzymi, a także na chłopców w „dorosłych” już garniturach, zdobnych w modne krawaty, które rodzice kupowali swym synom na studniówkę, ale by też mogły służyć podczas matury i egzaminów wstępnych na uczelnię.

Podziwialiśmy piękne kwiecie pachnące majem i śmialiśmy się ze sprytu uczniów przygotowujących salę.

Odsświętne ubiory obowiązywały również podczas matur ustnych i w czasie odczytywania wyników, jakie uzyskali zdający w danym dniu.

Pamiętam, gdy pewnego dnia po przerwie, w czasie której ustalaliśmy ostateczne oceny z tych egzaminów, weszła grupa uczniów, w której jeden z chłopaków był już przebrany w luźny strój sportowy. Wówczas wynik jego egzaminu nie został mu odczytany, a dyrektor Galas nakazał mu zmienić ubranie na obowiązujący garnitur i dopiero wtedy wrócić po informację o ocenie z matury.

Z biegiem lat te rygory zelżały, ale wciąż walczyliśmy, by uczniowie, zdając ten ważny egzamin, wyglądali odświętnie i elegancko. Pamiętam, gdy pewnego razu, w klasie, gdzie byłam wychowawczynią, zapowiedziałam, że organizuję konkurs na najładniejszy krawat na maturze. Zwycięzca miał otrzymać za to dodatkowe punkty z „polaka”. Miał to być rodzaj żartu, więc byłam trochę przerażona, gdy oglądałam w czasie egzaminu te wymyślne, drogie krawaty; zwłaszcza, gdy jeden z uczniów pochwalił się, że rodzice kupili mu go w peweksie za dolary.

Matury bywały różne. Kolejne reformy zmieniały zasady i sposoby zdawania tego egzaminu, a my wciąż doksztalcaliśmy się na organizowanych w tym celu kursach i konferencjach. Zawsze jednak – tak samo przez kolejne lata – na delikwentów czekały specjalnie przygotowane sale, w których porozstawiano szeroko ławki, opieczętowany papier kancelaryjny, który rozdzielano piszącym i tablica szkolna, na której pisaliśmy tematy maturalne.

Ponieważ uczniów było bardzo dużo, egzaminy odbywały się w kilku salach; w tym – w gimnastycznej. Ale oficjalne rozpoczęcie matury zawsze miało miejsce w auli, gdzie gromadzili się przewodniczący Komisji Egza-

minacyjnych z poszczególnych sal. Po powitaniu abiturientów przez dyrekcję szkoły i przypomnieniu najważniejszych zasad, wybrani uczniowie sprawdzali pieczęcie na kopertach z pytaniami, które raniutko „osobiście” przywozili z kuratorium do szkół ich dyrektorzy.

Kopert było tyle, w ilu klasach pisało się maturę. Jedną z nich komisynie otwierano i przekazywano profesorowi przedmiotu, z którego miał się odbyć egzamin. Ten odczytywał głośno pytania.

Pamiętam, że zawsze wtedy sala na chwilę zamierała. Bo w pierwszym momencie uczniowie – słysząc tematy – z przerażeniem stwierdzali w duchu, że na pewno nic nie napiszą. Po chwili próbowali wydobyć z ukrycia jakieś pomocne bryki. Ale profesorzy dostrzegali każdy podejrzany ruch i natychmiast ich dyscyplinowali.

Gdy dyżurujący w auli nauczyciel pisał tematy na tablicy, pozostali zabierali po jednej kopercie i udawali się do „swoich” sal, gdzie w podobny sposób zapoznawali uczniów z zadaniami. Od tej chwili każdy abiturient miał do dyspozycji 5 godzin, by wykazać się znajomością wybranego zagadnienia. Tak było na języku polskim.

Po kilku minutach rozterek, deliberowań, „przymiarek” robionych w brudnopisie, każdy wybierał ostatecznie „swój” temat i zabierał się do pracy. Obowiązywała bezwzględna cisza. Zadania należało pisać samodzielnie, a po zakończeniu osobiście oddać jednemu z członków Komisji. Nie wolno było rozmawiać, chodzić po klasie, wychodzić na korytarz, no i oczywiście – korzystać z bryków.

A owe bryki to osobny, jakże wdzięczny temat, obrosły legendą!

Pamiętam. Pewien uczeń, który postanowił wstąpić do wojska jeszcze przed maturą, przyjechał na egzamin maturalny z jednostki, z towarzyszącym mu żołnierzem w mundurze. Tuż przed szkołą zaczął coś poprawiać przy bluzie, a wtedy zaczęły spod niej wypadać harmonijki bryków; widocznie źle przymocowane. Biegłam właśnie tuż za nim do szkoły i podniosłam jeden z nich. Chyba był to ten z „przechodnich”, jakie przekazywali młodszym kolegom absolwenci szkoły, bo wymięty, poplamiony, porozrywany, utytlany i prawie nieczytelny. To, co udało mi się odcyfrować, wołało o pomstę do nieba. Jakiś straszliwy gniot! Pomyślałam: jakie to szczęście, że się tak zgubił i nie był wykorzystany!

A inne? Ile ich mieli uczniowie? Jak wielką wykazywali pomysłowość, by je ukryć, a potem móc z nich czerpać wiedzę?

Niektórzy wypisywali różne wiadomości [np. wzory matematyczne] wewnątrz dłoni, inni mieli bryki w skarpetkach, w rękawach, nawet w ka-

napkach. Dziewczyny umieszczały niekiedy kartkę z brykiem na udach pod pończochami. Wtedy dyskretnie podciągały spódnice, co bardzo śmieszyło – zwłaszcza kolegów profesorów zasiadających w Komisji Egzaminacyjnej. Nauczyciele przez wiele lat pracy wyrabiali sobie podzielnosć uwagi i spostrzegawczość [nawet bez operowania oczu!], więc zazwyczaj wszystko dostrzegali, choć często udawali „ślepych”.

Bryki dawały poczucie bezpieczeństwa, choć rzadko udawało się z nich skorzystać, a jeśli nawet, to najczęściej nie przystawały do danego tematu, były łatwo rozpoznawalnym wtrętem, nie pasującym do reszty pracy maturalnej, lub roily się od błędów. Tylko raz zdarzyło się, że jeden z uczniów, który – jedyny w całej szkole – [a zawsze zdawało maturę kilka klas czwartych po około 30 uczniów] wybrał temat o mało popularnym autorze i oddał pracę bardzo dobrą, bez żadnego błędu. Nie było powodu, żeby ją zakwestionować, choć wiedziałam swoje...

Nastrój maturalnej „gorączki” udzielał się wszystkim: nauczycielom, uczniom, a także rodzicom. Zwłaszcza niektóre mamy nie wytrzymały „nerwówki” przedmaturalnej, więc przychodziły przed szkołę i tu – zbite w gromadkę – czekały jakiegoś znaku. Wzajemnie starały się uspokajać, ale najczęściej nakręcały jeszcze piramidę strachu, opowiadając najokropniejsze historie, które się podobno komuś na maturze przydarzyły, przewidywały najgorsze, popalały po kryjomu papierosy. Inne czekały w domu, zamartwiając się i modląc. Dlatego zawsze prosiłam zdających uczniów, żeby po wyjściu z sali egzaminacyjnej nie szli na lody, tylko pędzili do domu, by uspokoić mamy. Bo, gdy oni po początkowych chwilach zdenerwowania, powoli się uspokajali i grzecznie pisali maturę, to przerażone mamy do końca nie wiedziały, co się z ich pociechami dzieje. Nie było, niestety, aż do lat dziewięćdziesiątych, telefonów komórkowych, by szybko, tuż po wyjściu z egzaminu, uspokoić rodziców i opowiedzieć im swe przygody.

Matura w naszym liceum przez lata obrastała legendą. Opowiadano na przykład, że pewnego razu ktoś wyrzucił przez okno z auli pytania z matematyki, a umówiona osoba natychmiast je zawiozła do czekającego już specjalisty od tego przedmiotu. Rozwiązania w jakiś dziwny sposób dotarły do zdających uczniów, ale drobna, choć rozpoznawalna pomyłka – powtórzona w wielu pracach – nie uszła uwadze poprawiających. A zadania nie były ponoć trudne i ci, którzy rozwiązyali je samodzielnie, otrzymali dużo lepsze oceny.

Czasem zdarzało się, że uczniowie, żeby dodać sobie splendoru, opowiadali zmyślone lub bardzo podkolorowane historyjki o swoim sprycie, dzięki któremu przechytrzyli nauczycieli, o tym, jak udało im się całą ma-

ture odpisać, czy na egzaminie ustnym wyprowadzić w pole Komisję Egzaminacyjną, unikając odpowiedzi na konkretny temat. Cóż, takie wydarzenie jak egzamin maturalny, wprost domagało się legendy...

A obserwowanie uczniów podczas pisania zadania maturalnego było bardzo ciekawym zajęciem. Niektórzy, widząc pytania napisane na tablicy, długo mieli w oczach tylko przerażenie, inni z ulgą znajdowali „swój” temat i natychmiast brali się do pisania, jeszcze inni kręcili się i wiercili, starając się znaleźć jakąś pomoc w przyniesionych „gotowcach”. Ale powoli zamęt i gwar zacichały, emocje opadały i zapadała cisza. Chciałoby się tu napisać, że słychać było tylko skrzypienie piór, ale „za moich czasów” używano już nieskrzypiących długopisów.

Początkowo dyżurujący nauczyciele nie mieli zakazu chodzenia po pracowni, więc mogliśmy przyglądać się wysiłkom uczniów, mrugnąć uspokajająco do wystraszonego delikwenta, pokazać palcem jakiś niewłaściwie użyty wyraz, nawet zamienić dwa słowa.

Po kolejnych reformach zabroniono członkom Komisji ruszać się zza katedry, udzielać jakichkolwiek wskazówek; dodatkowo rozstawiono szeroko ławki, w których mógł siedzieć tylko jeden uczeń, a do ubikacji maszerował w towarzystwie dyżurującego na korytarzu nauczyciela. Było to aż śmieszne, więc kpiliśmy, że jeszcze trochę, a zamkną nas w klatkach.

Maturę z języka polskiego w naszej szkole zdawali zazwyczaj wszyscy. Ale zdarzały się wyjątki.

Pamiętam. Uczeń zdołał przepisać cały bryk pełen mądrości, ale z nerwów – zamiast twórczość Ignacego Krasickiego, zinterpretował utwory Zygmunta Krasińskiego, więc nawet jednego zdania nie było na temat. Inny tak się zdenerwował, że oddał tylko pół strony tekstu, co było zdecydowanie za mało, by uzyskać ocenę pozytywną, jeszcze inny zrobił tak dużo błędów, że zadanie po poprawie było całe czerwone.

Pamiętam też pewną Martę, która – wydawało się – spokojnie pisała maturę, ale w pewnym momencie wstała i zapłakana powiedziała, że wychodzi, bo nie potrafi dalej sklecić nawet jednego zdania. Wszystko nagle wyleciało jej z głowy. Podeszłam zdziwiona, spojrzałam na rozpoczętą sensownie pracę, uspokoila roztrzęsioną dziewczynę i podpowiedziałam, jak mogłoby brzmieć kolejne zdanie. To wystarczyło. Marta znów pochyliła się nad zadaniem, które okazało się całkiem niezłe. Po pewnym czasie przyniosła mi olbrzymi bukiet z podziękowaniem i leżką. Oznajmiła też, że w mojej intencji odbyła pielgrzymkę do Częstochowy, co bardzo mnie wzruszyło.

Zdarzało się też tak, że uczeń pod koniec wyznaczonego czasu nagłe postanawiał zmienić temat, a potem nie zdążył napisać więcej niż sam wstęp. A to, niestety, nie wystarczało. Ale były to tylko pojedyncze incydenty, chociaż wiedzieliśmy, że za nimi zawsze kryły się uczniowskie dramaty. I bardzo to przeżywaliśmy, bo każdy z nauczycieli przez cztery lata przygotowywał swych uczniów do matury, więc bardzo pragnął, by wszyscy napisali ją poprawnie, a sukcesy uczniów i jego napawały dumą.

Chociaż podczas poprawiania prac „stawaliśmy na rzęsach”, tropiąc i wydobywając wszystkie plusy każdego zadania, to nie byliśmy cudotwórcami. Obowiązywały nas zdecydowane, jednoznaczne przepisy i niektórych prac maturalnych nie dało się obronić.

A historii o tym, że ktoś specjalnie „oblał” nie lubianego ucznia, można włożyć między bajki.

Od oceny, która – według piszącego – była niesprawiedliwa, można było się odwołać. Pamiętam taką sytuację. Ale wówczas, recenzja pracy przysłana z kuratorium okazała się surowsza od tej, sporządzonej przez nauczyciela.

Poprawianie prac maturalnych było zajęciem niezwykle trudnym, żmudnym – powiem nawet – „katorżniczym”; oczywiście niepłatnym, chociaż terminowym, ogromnie odpowiedzialnym, wykonywanym pod presją i w stresie.

Po którejś z reform wprowadzono zasadę, że nauczyciel tylko poprawia błędy i – po konsultacji z innymi nauczycielami – proponuje ocenę, ale ostatecznie ustala ją i ocenia zadanie maturalne dyrektor. Było to zarządzenie absurdałne, niesprawiedliwe i podważające kompetencje nauczyciela – specjalisty danego przedmiotu. A wprowadzony nowy przepis o obowiązku sporządzania przez poprawiającego nauczyciela drobniejszych, obszernych recenzji pod każdą pracą maturalną, był dodatkowym – żmudnym, uciążliwym zadaniem. Mając do poprawy wiele zadań swoich uczniów [czasem nawet z trzech klas], musiałyśmy czytać podwójną ich ilość jako konsultanci. Często te zadania były bardzo długie; dużą trudność sprawiały też różnego rodzaju błędy: rzeczowe, interpretacyjne, interpunkcyjne, stylistyczne, a także – najczęściej niestaranne, nerwowe, nieczytelne pismo; różne skreślenia, poprawki, znaczki, strzałki, odnośniki itp. kurioza.

Przez wiele lat, co najmniej dwa tygodnie maja, my – polonistki, miałyśmy wyjęte z życiorysu; całe dni, wieczory, a czasem też noce „ślipiłyśmy” nad tymi pracami, by ocenić je jak najrzetelniej, najsprawiedliwiej, najbardziej życzliwie i – terminowo. Najgorzej było, gdy praca zasługiwała na ocenę niedostateczną; czytałyśmy ją wszystkie po kolei [najczęściej wie-

lokrotnie] i każda z nas szukała jakiegoś choćby małego „plusa”, podpowiadała, co można wydobyć z rozważań delikwenta i jak „wyciągnąć” tę ocenę pozytywną. Niekiedy – niestety – nic nie można było zrobić. Wówczas z ciężkim sercem trzeba było postawić dwójkę, która długo bolała.

Dyrektorzy, po wyżej wymienionej reformie dotyczącej oceniania matur, też znajdowali się w niekomfortowej sytuacji. Nie znając często tajników danego przedmiotu, a nawet języka, w którym była napisana praca [z języka angielskiego, niemieckiego, francuskiego] – musieli decydować o ocenie. Zazwyczaj więc opierali się na recenzji poprawiającego nauczyciela, która musiała być obszerna, precyzyjna, uwzględniająca kilka kategorii, obowiązkowych zasad, skonsultowana z innymi nauczycielami danego przedmiotu. Sporządzanie tych recenzji było prawdziwą zmurą i zajmowało wiele czasu.

Pamiętam, że pewnego roku dyrektor Galas zakwestionował zbyt wielką ilość ocen bardzo dobrych z języka polskiego w jednej z klas, w której uczył historii i – ze względu na mizerne osiągnięcia niektórych uczniów z jego przedmiotu – niezbyt tę „babską” klasę lubił. Było to dla mnie traumatycznym przeżyciem; do dziś jestem przekonana, że absolutnie nie miał racji. No, ale to on – jako dyrektor – miał ostatnie słowo. Takie to były czasy. „O tempora, o mores”! – powiedziałyby profesorka Oleńska.

Prace z języka polskiego ocenić było niezmiernie trudno. Przekonaaliśmy się o tym pewnego razu z profesorką Teresą Czyżowską, gdy na konferencji polonistów w Tarnowie, pani wizytatorka dała wszystkim do zrecenzowania to samo – anonimowe wypracowanie maturalne jakiegoś ucznia. Gdy zestawiała potem oceny, jakie wystawili pod owym zadaniem poloniści z całego okręgu tarnowskiego, byliśmy w szoku; pojawiły się zarówno piątki, jak i czwórki, trójki, a nawet oceny niedostateczne.

Uczniowie niekiedy prosili, by – poprawiając prace – przymknąć oko na niektóre pomyłki, dopisać jakieś brakujące znaki interpunkcyjne, czy dokonać innych „sztuczek”, pomocnych w wystawieniu wyższej oceny. Oczywiście, nie było to w ogóle do pomyślenia. To był ważny dokument, na którym nie mogłyśmy niczego zmieniać i za który odpowiadałyśmy głową, „lub czymś innym takim”.

Czasami delikatnie sugerowałam uczniom, żeby za klasowe składki kupić na maturę jednakowe długopisy. Zdarzało się bowiem, że w pięknie, bezbłędnie napisanym zadaniu uczeń zapomniał postawić np. na końcu kropkę lub na którejś stronie dał o jeden przecinek za dużo. Żal było to świetne, czyściutkie, bezbłędne zadanie czerwienić, więc w trosce o este-

tyczny wygląd [oczywiście nie wpływało to w jakikolwiek sposób na ocenę pracy], chciało się tę kropkę uzupełnić czy zbędny przecinek przekreślić. Niestety, uczniowie przynosili na maturę jakieś oryginalne, drogie pióra czy długopisy piszące w dziwacznych odcieniach granatu czy fioletu, uniemożliwiające najmniejszą poprawkę.

Po jednej z reform, nawet takie „mini-korekty” stały się niemożliwe. Przy oddawaniu przez piszącego pracy, zakreślaliśmy na zielono od razu – w obecności ucznia – każdą jego poprawkę, skreślenie, odstęp, a potem liczyliśmy wszystkie te zakreślenia i wpisywaliśmy na końcu zadania ich ilość. Poprawione później przez nas prace mieniły się kolorami: granatowy tekst wypełniały zielone zakreślenia i czerwone „znaczk” nauczyciela.

Po zakończeniu egzaminu, przeliczeniu i posegregowaniu prac, dyrektor przekazywał je nauczycielom uczącym danego przedmiotu. Zabierałyśmy do domu całe ich stosy, by je czytać, poprawiać, recenzować i oceniać.

Pamiętam, gdy pewnego roku, z ciężką torbą pełną tych matur wstąpiłam po drodze do „Syrenki”, bo aż na ulicę wionął cudny zapach mielonej kawy, a w środku sklepu wił się – „obiecujący” jej zdobycie – ogonek klientów [wtedy mówiło się „ogonek”, a nie kolejka]. Było gorąco, duszno, tłoczno, ale postanowiłam wytrwać, bo przy poprawianiu mocna kawa to był niezbędny „dopalacz”, a w domu od paru dni pojemnik na ten rarytas świecił pustkami. Po zakupie, szczęśliwa, z pachnącym „łupem” wróciłam do domu i wyciągnęłam z torby przydzwigane prace. Nagle zimny pot uperlił mi czoło. Wszystkie zadania maturalne w miejscu ich złożenia miały tłusty pas, śmierdzący smalcem. Domyśliłam się, że stojąc w kolejce, moją torbę z kolorowego materiału [ówczesny hit i jedyny dostępny na rynku rodzaj lekkiej torby; niestety, przemakającej] przytknęłam niechcący do czyjejś, w której topił się na gorąco – również szczęśliwie zdobyty – smalec.

Strasznie się bałam reakcji dyrektora Galasa, już wówczas wyobrażając sobie jego wściekłość, ale on – obejrzawszy te żałośnie wyglądające prace maturalne – tylko się śmiał, jakby to był nieznaczący drobiazg.

Uczniowie, pisząc pracę maturalną z języka polskiego, wybierali jeden z czterech proponowanych tematów [dawniej z trzech, gdyż nie było interpretacji wiersza], jak np. te z roku 1999:

1. Na podstawie wybranych utworów literackich wyjaśnij, czym może być dom rodzinny – oazą spokoju, miejscem konfliktów, wspomnieniem...?

2. Bunt jako wyraz niezgody na rzeczywistość. Odwołując się do wybranych tekstów literackich, zaprezentuj bohaterów, którzy bunt uznali za konieczność.

3. „Pisarz stwarza wizję życia, czytelnik może ją przyjąć lub odrzucić” [Jerzy Andrzejewski]. Omów te utwory literackie, wobec których nie pozostałeś obojętny.

4. Zinterpretuj wiersz Jana Lechonia „Rejtan”, zwracając uwagę na obecne w tekście odwołania do wydarzeń historycznych i tradycji narodowej.

Każdego roku były w zestawie jakieś łatwiejsze tematy, takie, które akurat powtarzaliśmy tuż przed maturą, czy takie, których młodzież się spodziewała. Już bowiem od studniówki rozpowszechniano wieści o tzw. „pewniakach”, obliczano, co ile lat powtarzały się nazwiska wielkich twórców, uwzględnianych w maturalnych pytaniach i sprawdzano, jakie były w danym roku literackie rocznice. Czasem się coś sprawdzało, ale najczęściej tematy były zaskakujące i dalekie od tych „pewnych”, szeptanych na młodzieżowej giełdzie. Duże niebezpieczeństwo stwarzały tzw. tematy wolne – pozornie łatwe, ale często przez piszących zbyt spłycone, lub oparte na źle dobranym materiale literackim, naiwne, chaotyczne.

Zdarzało się, że niektóre sprawy były trudności nawet nam – nauczycielom, np. dotyczące analizy poezji; zwłaszcza nowoczesnej, awangardowej. Niełatwo było bowiem na poczekaniu domyślić się, co tak naprawdę autor chciał powiedzieć; szczególnie gdy proponowano utwory naprawdę trudne, mało znanych autorów, „nieprzetrawione” przez krytykę literacką i profesjonalnych znawców poezji [np. w 1992 roku wiersz Janusza Pasierba „poeta jest twoim bratem”].

Niewielu uczniów wybierało analizę wiersza; było to bowiem dość ryzykowne, chociaż przez nas – nauczycieli wysoko cenione.

Zdarzało się też niekiedy, że prawie cała młodzież wybierała ten sam – „najlepszy” temat i wtedy poprawianie prac było nie tylko trudne, ale i nudne. Trzeba było np. po raz siedemdziesiąty piąty czytać o cierpieniach Wokulskiego, spisku Kordiana, czy przestroгах Chochola. W filizance czerniła się kolejna kawa, a za oknami królował najpiękniejszy miesiąc roku. Kwitnące różową pianą wiśniowe gałęzie prawie wdzierały się do pokoju, szalały fioletowe bzy i bieluchne jaśminy pachnące słodkawo i mdląco, a ja znów czytałam: „Zabił się młody...”

Bardzo rzadko zdarzał się w tych uczniowskich pracach jakiś humorystyczny lapsus, przynoszący chwilkę wytchnienia. A już pełnym wyjątkiem był zamierzony humor, jaki np. wprowadził do swej pracy mój ulubiony „kabareciarz” Boguś [matura – 1989 rok]. Na to, by dokonać takiego zabiegu w pracy maturalnej, trzeba było dojrzałości, odwagi i – krytycznego dystansu. Wszyscy traktowali przecież maturę śmiertelnie „sieriozno”,

dlatego owa gombrowiczowska „gęba”, którą Boguś przyprawił któremuś z pisarzy, była czymś ożywczym, wyjątkowym, cudnym.

Po tygodniu ślęczenia nad zadaniami, każdy poprawiający nauczyciel chodził półprzytomny. Uciekałam do lasu, na mój ulubiony pagór w chotowskim lesie, pełen oszałamiająco pachnących konwalii. To był coroczny rytuał i relaks przed maturami ustnymi, oznaczającymi znów ślęczenie w szkole – przez kilka dni po kilkanaście godzin.

Urzeczona niezwykle pięknem owego zakątka lasu, błąkałam się wśród zieleni i bieli, wdychając niezwykle intensywny zapach tych precudnych, choć ponoć trujących kwiatów, będących pod ochroną. Przyglądałam się urzekającym bogactwem zieleni koronom wyniosłych drzew i jeszcze zielonym koralikom borówek, dojrzewających na początku wakacji, słuchałam uspokajających poszumów starych, pięknych sosen i śpiewu leśnego ptactwa. „Nic to”, że komary niemiłosiernie żądliły. Tam odzyskiwałam siłę i ochotę do dalszego działania. Zbliżały się przecież niemniej absorbujące i ważne egzaminy ustne.

Przeprowadzając te egzaminy przez wiele lat, wiedzieliśmy chyba wszystko o nastrojach, lękach i nadziejach zdających, rozumieliśmy ich i staraliśmy się wczuć w ich sytuację. Swoich egzaminów dojrzałości mogliśmy już nie pamiętać, ale zaczęły zdawać maturę również nasze własne dzieci. Przeżywaliliśmy z nimi cały okres przedmaturalny, gorączkę tuż przed egzaminem, niemożność zajrzenia do pracowni, w której pisały, bo „pilnowaliśmy” w innych salach, dłużące się dni oczekiwania na wyniki. Mogliśmy je obserwować w domu, słuchaliśmy owych: „nic nie umiem” i „na pewno nie zdam”, uczyliśmy się rozumieć ich obawy, rozczarowania, próby zdobycia pytań do egzaminów ustnych i stwierdzenia, że i tak trzeba znać cały materiał, bo nie wiadomo co przyniesie los. Jak w jakimś teleturnieju!

Oczywiście nauczyciel nie mógł ujawnić pytań do matury ustnej, gdyż były straszną tajemnicą, o czym informowały odpowiednie rozporządzenia i o których kilkakrotnie nam przypominali kolejni dyrektorzy. Zdarzyło się jednak pewnego roku, iż z powodu podejrzenia, że zdający w jakiś sposób poznali pytania, egzamin ustny z języka rosyjskiego został przerwany, co było ogromnym stresem dla nauczycieli i uczniów. Wyznaczono wówczas nowy termin i przygotowano nowe pytania.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Do dziś uważam, że tajność tematów maturalnych to był głupi przepis, bo jak można kazać uczyć się młodzieży odpowiedzi na nieznane pytania? Przecież były tak konstruowane, by obejmowały cały program, więc nale-

zało je podyktować na początku czwartej klasy. Niechby się wszyscy uczyli udzielać na nie odpowiedzi, a wtedy ogarnęliby cały materiał. No, ale pytania były ustawowo utajnione, a prawie nieosiągalne przecieki, szeptane tylko na ucho i nie zawsze zawierające prawdę, nie były właściwym ratunkiem. W takiej sytuacji atmosfera przed maturą była zawsze pełna zagadek, podejrzeń, niepokoju, niewiedzy.

Uczeń po wejściu do sali egzaminacyjnej losował zestaw składający się z 3 pytań, na które musiał udzielić odpowiedzi. Tu już nie miał żadnego wyboru. Dwa pytania dotyczyły tematyki literackiej, a trzeci – wiedzy z gramatyki lub z teorii literatury, np:

1. Wzór rycerza niezłomnego i władcy doskonałego w literaturze średniowiecza.

2. Która z wybitnych powieści XIX wieku [„Nad Niemnem”, „Lalka”, „Potop”] zainteresowała cię najbardziej? Dlaczego?

3. Wymień i omów sposoby bogacenia słownictwa.

Podczas odpowiedzi ucznia, dwóch kolejnych kandydatów do zdawania matury przygotowywało się, siedząc w osobnych ławkach. Obserwowaliśmy ich i nie pozwalaliśmy ściągać. Matura w naszym liceum musiała być egzaminem poważnym, prowadzonym według ścisłych zasad, na serio, uczciwie.

Przeważająca liczba uczniów odpowiadała na pytania pięknie, wyczerpująco, z połotem, prezentując dużą wiedzę i świetne przygotowanie, a czasem i literacki talent. Ale zdarzali się uczniowie, o których jest ta fraszka:

„Powiem w sekrecie -
Plecie”.

Jak tylko mogliśmy, pomagaliśmy zdającym podczas ich prezentacji [choć było to nie do końca zgodne z przepisami, które nakazywały wysłuchać w milczeniu całej wypowiedzi, a potem tylko ją ocenić]. Ale dobrze rozumieliśmy tę wyjątkową, stresującą sytuację, nieśmiałość zdającego, będącego sam na sam z Komisją Egzaminacyjną, kłopoty ze znalezieniem odpowiednich słów, nerwowe próby uniknięcia chaotyczności i ułożenia wypowiedzi w jakąś logiczną całość. Ośmielaliśmy zestresowanego delikwenta, czasem próbowaliśmy żartować, ale nie było to dobrym pomysłem, bo uczeń zazwyczaj nie rozumiał o co nam chodzi, jeszcze bardziej się peszył, nawet milknął na dobre. Dlatego, raczej zachowywaliśmy powagę, ale zadawaliśmy pomocnicze pytania i dawaliśmy dodatkowe wskazówki. Okazywało się bo-

wiem, że czasem jedno wypowiedziane słowo, jedno zdanie, nazwisko autora, tytuł utworu, imię bohatera, pozwalały przełamać stres, otworzyć jakąś „klapkę” w głowie, co w rezultacie doprowadzało do uzyskania całkiem fajnej wypowiedzi. Ale niekiedy skutki naszych wypowiedzi były zaskakujące.

Pamiętam. Zdawał mój przesympatyczny uczeń Marcin – samorodny poeta, o którego talencie powiem słowami również poetki – Ewy Lipskiej:

„Ledwo oczy otworzy ze snu
woła go powołanie:
hop hop
hop hop [...]
Tylko Bóg
do którego porównał swój talent
rzekł spokojnie:
o – co to – to nie”.

Marcinek był drobny, cichy, trochę dziecinny. Przynosił mi ciągle te swoje wiersze, by ratować się od dwójek. Był bowiem twórcą bardzo płodnym. Prosił często:

– Proszę mnie nie pytać, to napiszę dla profesorki wiersz. I pisał.

Wówczas, w czasie matury ustnej, zapytany o Achillesa, spuścił głowę i milczał. Zawsze zatroskana o uczniów profesorka Małgosia Pasek – zasiadająca ze mną i z dyrektorką Jadwigą Pajkowską w Komisji Egzaminacyjnej – próbowała mu pomóc, zadając dodatkowe pytania:

– No czym on się tak wyróżniał, ten Achilles? Co miał takiego wyjątkowego, najbardziej wrażliwego? No coś nie zamoczonego przez mamę w Styksie? No... no...? Marcinek wciąż milczał, aż nagle, z pewną nieśmiałością w głosie, ale i desperacją, stawiając na końcu pytajnik, walnął jak kulą w płot:

– Napletek?

Profesorka Małgosia zakrztusiła się i musiała natychmiast wybiec na korytarz, ja z dyrektorką pokładałyśmy się ze śmiechu, chowając twarze w dłoniach i próbując zachować choćby odrobinę profesorskiej powagi. Na próżno. Musiałyśmy ogłosić chwilę przerwy.

Marcinek oczywiście zdał maturę i – mam nadzieję – miło ją wspomina. A w moich papierzyskach znalazłam jego wiersz, który przedstawia jego nastroje i uczucia tego pamiętnego dnia. Wiersz ma tytuł „Matura ustna”:

„Stan napięć nerwowych –
Głową w mur
Jeszcze parę osób –
To już ja?
Komisja życzliwie prosi
Dusza na ramieniu...
Tematy w zestawie...
Jezu, kocham Cię!
Notatki – ręka boli –
Odpowiedź – wiersz?
Rozdział księgi kończy się
I już.
To ja – maturzysta 99
Z radości – bęc...
W sufit...”

Czy to jednak na pewno poezja? „Zamilczę w tej mierze”. Pisemny egzamin maturalny niósł dla niektórych uczniów dodatkowe wyzwania. Śliczna blondyneczka Ania miała lekką wadę wymowy, która jednak ją tak paraliżowała, że – wezwana do tablicy – nie mogła skleić jednego zdania, tylko spuściwszy głowę, milczała. Natomiast jej prace pisemne – nie tylko opracowywane w domu, ale i te wykonywane na lekcji – zawsze były ciekawe, logiczne i dojrzałe. Pozwalałam jej więc zamiast odpowiedzi ustnych, pisać je i dawać mi do oceny. Taką też formę jej egzaminu ustnego proponowałam dyrektorowi Galasowi. Ale nie zgodził się, więc Ania zasiadła przed nami, tak jak inni uczniowie. Chyba się bardziej bałam niż ona. Okazało się jednak, że zdarzył się chyba cud! Powoli, początkowo trochę koślawo, ale potem coraz płynniej i sprawniej, Ania odpowiedziała na całkiem dobrą ocenę. Cały czas milczeliśmy, uśmiechając się tylko zachęcająco, a ona naprawdę zdała wielki, prawdziwy egzamin „z dojrzałości” – bo ten jedyny raz – odważyła się przemówić publicznie; choć ze spuszczoną głową i drżącymi jak osika rękami. Byłam pełna podziwu dla tej dziewczyny.

W sali egzaminacyjnej zazwyczaj panowała poważna cisza, przerywana tylko odpowiedziami zdającego; czasem też drobną uwagą kogoś z Komisji. Za to słyszać było jakby rój pszczoł kłębiący się za drzwiami, czyli zdenerwowany tłumek oczekujących na egzamin. Trwała tam charakterystyczna egzaminacyjna giełda, a uczeń wychodzący z sali był nagabywany dziesiątkami pytań; o to, jak było, czy można ściągać podczas przygotowywania odpowie-

dzi w ławce, czy nauczyciele podpowiadają, a nawet o to, jakie mają humory. Uczniowie zapisywali też pytania zdającego, na które już nie będą musieli odpowiadać. Niekiedy dobiegały nas też różne okrzyki, których nie powinny słyszeć nasze nauczycielskie uszy. Cóż, emocje sięgały zenitu!

Matury zazwyczaj przebiegały spokojnie, a ocen bardzo dobrych i dobrych było bez liku. Choć zdarzały się porażki.

Niestety, „biedni” poloniści, nie mogliśmy – tak, jak nauczyciele innych przedmiotów maturalnych – egzaminować tylko uczniów chętnych, kochających przedmiot i z nim wiążących swą przyszłość. Często chodzili oni z owych przedmiotów na pozalekcyjne kółka, na dodatkowo organizowane zajęcia, czy korepetycje. Nauczyciele mogli także w czasie lekcji tych właśnie uczniów otaczać specjalną troską, częściej ich pytać, więcej od nich wymagać. Mieli ich najczęściej zaledwie kilku. Zazdrościliśmy im, bo średnia z egzaminów z ich przedmiotów była bardzo wysoka. Sypały się nagrody... My nie mieliśmy takiego komfortu.

Marzyliśmy czasem: – Gdyby tak można było zwolnić z matury choć kilku uczniów; tych najbardziej niechętnych, słabych, tłumaczących, że język polski nigdy im się nie przyda.

Gdzież tam! Zdawać musieli wszyscy [i to dwa egzaminy: pisemny i ustny!]. Na lekcjach – zamiast poświęcać uwagę tym najlepszym – zostawialiśmy ich prawie samym sobie, „gnębiąc” właśnie tych najsłabszych, by i oni mieli szansę zdać, co zabierało nam mnóstwo cennych minut. Najczęściej bowiem ich odpowiedzi były nieskładne, z błędami, a ich „dukanie” zabierało dużo więcej czasu niż poprawna, płynna wypowiedź.

Średnia z matur z języka polskiego [a więc i ocen tych uczniów, którzy nie znosili „polaka” i mówili, że nigdy im się nie przyda”, czy takich, którzy uważali, że poświęcą się przedmiotom ścisłym, a z „polaka” – dzięki swej elokwencji i „laniu wody” jakoś wybrną] była zawsze niższa niż z innych, wybranych przedmiotów. Porównywanie ich i według nich ocenianie nauczycieli, często było niesprawiedliwe i krzywdzące.

Werdykt Komisji Egzaminacyjnej był ostateczny i nieodwołalny, dlatego często wiedliśmy długie dyskusje, by nikogo nie skrzywdzić i żeby każda ocena była – w naszym wspólnym przekonaniu – jak najbardziej sprawiedliwa. Cieszyły nas sukcesy uczniów i zespołów klasowych zdających pięknie, o czym świadczyła wysoka średnia i duża ilość ocen piątkowych. Takich przypadków było najwięcej. Smuciły nas słabe wypowiedzi i złe wyniki, czasem nawet – niestety – niedostateczne. Ale te były – na szczęście – nieliczne, bo młodzież naszej szkoły była ambitna, zdolna, pracowita;

przecież „sama wybierana”. Zamierzała nie tylko dostać się na wymarzone studia, zdobyć intratny zawód, ale też pragnęła rozwijać swą osobowość, swoje gusty literackie i artystyczną wrażliwość, poszerzać horyzonty, wiedzieć jak najwięcej. Tylko nieliczni stosowali fatalną zasadę „Trzech „Z”: „Zakuć, Zdać, Zapomnieć”.

A porażki uczniów naprawdę bardzo nas bolały. Pamiętaliśmy o nich nawet po latach. Pewnego razu rozmawiałam o tym z profesorką Heleną Gałuszką. I ona wtedy wyznała: – Najbardziej żałuję, że pewnego roku „oblałam” z biologii dziecko, które wprawdzie nic nie umiało, ale jak sobie pomyślę o jego powrotnej drodze, gdzieś do Gębiczyny czy Głobikowej, gdy tak – już o zmroku – szło wiele kilometrów, takie przegrane, z tym zawodem w sercu, to do dziś cierpię z tego powodu. Wyobrażam sobie, co ta „dziewczyninka” czuła, gdy weszła do domu, gdzie z nadzieją czekała cała rodzina. Co powiedziała? I co było potem? Co się z nią działo? Jakie były jej dalsze losy? Te myśli podważają moje przekonanie o bezwzględnej uczciwości w ocenianiu uczniów. Dziś postąpiłabym inaczej. „Wiedza uczniom jest potrzebna, żeby przetrwać, ale żeby dobrze i pięknie żyć, niezbędną jest mądrość”. Bardzo mnie wzruszyły te słowa.

W czasie matur zdarzały się różne śmieszne incydenty. Pamiętam. Mieliśmy przeprowadzać egzamin pisemny z języka polskiego w pracowni biologicznej profesorki Heleny Gałuski. Przyszłam jakoś wcześniej do szkoły i zabrawszy klucz do tej pracowni, pospacerowałam schodami na drugie piętro. Przed zamkniętą salą nie było jeszcze zdających, natomiast dreptał tam niecierpliwie jakiś elegancki, ale bardzo zdenerwowany pan. Już z daleka zaczął mnie pospieszać, narzekając, że tak późno przychodzimy, że nie ma klucza, a pracownia nieprzygotowana, woda mineralna nie rozłożona, ciasteczka nie rozpakowane, kwiaty na stół nie przyniesione; w ogóle na nikim nie można polegać. I że dobrze, że wreszcie przyszłam mu pomóc.

Najpierw mnie „zatkało”, ale podczas słuchania tych pretensji zorientowałam się, że to jeden z członków Komitetu Rodzicielskiego, biorący mnie za rodzica, który miał pomóc w przygotowaniu sali do matury.

– Zaraz przyjdą profesorzy, a my co? – dalej się srożył. Strasznie mnie ta sytuacja rozśmieszyła.

– Ale to ja właśnie będę pytać. Niech się pan nie martwi. Mam klucz i pomogę rozłożyć tę wodę i ciasteczka – odrzekłam ze śmiechem. Mina tego pana była warta wszystkich pieniędzy!

Po zakończeniu maturalnych egzaminów i pożegnaniu absolwentów, czekało nas jeszcze wiele pracy. Musieliśmy zająć się solidnie pozostałymi

klasami, gdyż w czasie matur przepadało trochę lekcji, a przecież koniec roku szkolnego był tuż, tuż, więc należało wystawić wszystkim uczniom oceny. Wiązała się z tym konieczność dodatkowego odpytywania, organizowania „poprawek”, uzupełniania materiału.

A tu już czerwiec roztaczał swe czary, niosąc z sobą nadzieję letniej kanikuły, leniwych dni, wakacyjnego luzu. Co rano budziła nas ptasia orkiestra, a dni były bardzo długie i piękne. Wyciągałyśmy z szaf letnie, zwiewne sukienki, mężczyźni zrzucali swetry i marynarki. Wystawialiśmy blade twarze do słońca, podziwialiśmy kwitnące na skwerach lipy, a w przydomowych ogródkach – lilie, róże i inne barwne kwiecie.

Na razie jednak mobilizowały wszystkich nauczycieli szkolne obowiązki. Nie mogliśmy zmarnować ani godziny. Wszak w pracy „jak w gospodarstwie: jak godzinkę upuścisz, dużo upuścisz” – jak zwykł mawiać, znający się na rzeczy Mikołaj Rej z Nagłowic.

Zawsze wiele ceregieli było ze świadectwami. Najpierw pobieraliśmy z sekretariatu odpowiednią ilość blankietów, które były drukami ścisłego zachowania. Ostrzegano nas więc, że każde zepsute świadectwo należy oddać do anulowania, by móc pobrać nowe i żeby uważać, bo ilość blankietów jest ograniczona. Staralam się bardzo sprostać tym wymogom, ale w stresie ciągle robiłam jakieś pomyłki. Panie w sekretariacie miały do mnie anielską cierpliwość nawet wtedy, gdy zepsułam świadectwa wszystkich uczniów pewnej mojej klasy, podpisując się w miejscu przeznaczonym dla dyrektora. Oczywiście, wszystkie trzeba było przepisać. Pamiętam: było wtedy dużo nerwów, dodatkowej pracy i kpin dyrektora Galasa, że czyham na jego stanowisko i już sprawdzam, jak będzie wyglądał mój dyrektorski podpis.

No cóż, zachowałam się, jak typowy, roztrzepany humanista, o którym pisał Stefan Moller: „Humanista to człowiek, który w pociągu otwiera okno, żeby telefon miał lepszy zasięg. Jeśli w ogóle telefon ma, bo techniką gardzi. Taki typ przy bramie giełdy komputerowej, stojące tam dziewczyny kojarzy z aniołami stróżami z „Boskiej komedii” Dantego i natychmiast mu przychodzą do głowy słowa: „Porzućcie wszelką nadzieję”.

Ponieważ, jako osoba leworęczna, nigdy nie nauczyłam się pisać wyraźnie, pięknie i kształtnie, przy sporządzaniu świadectw zazwyczaj korzystałam z pomocy cudownych, miłych, zawsze chętnych do pomocy uczniów. Te świadectwa – dzięki nim – wyglądały naprawdę elegancko. Ale błędów nie udało się całkowicie wyeliminować, więc znów trzeba było te „zepsute” przepisać. Najgorzej było, gdy były już „skollacsonowane” przez

kilku nauczycieli, opieczętowane i podpisane przez dyrektora, bo wtedy nie dało się uniknąć przykrej reprimendy szefa.

Pamiętam, gdy już po rozdaniu świadectw zjawiała się mama jednej z uczennic, prosząc, by zmienić na świadectwie jej imię, bo nie zgadza się z dowodem osobistym, co zostało zakwestionowane na uczelni, gdzie złożyła podanie. Byłam w szoku. Przez cały okres nauki w liceum owa uczennica była Alicją, a jej dane osobowe wpisałam w pierwszej klasie do arkusza ocen i do dziennika zgodnie z jej pisemnym oświadczeniem.

Okazało się, że – wstydząc się swojego prawdziwego imienia – wymyśliła sobie inne i pod takim ją znałam. Oczywiście, świadectwo trzeba było przepisać, a ja od tej pory już zawsze wszystkie personalia uczniów odpisywałam bezpośrednio z dowodów osobistych rodziców [na których jeszcze widniały imiona posiadanych dzieci].

Innym razem, ogromnie zdenerwowana, wpadła do mojej pracowni mama jednego z absolwentów, żądając przepisania świadectwa maturalnego, na którym – według niej – był karygodny błąd. W tamtym okresie wprowadzono zasadę, by na blankiecie świadectwa wpisywać specjalne osiągnięcia ucznia. Poprosiłam moich wychowanków, by sami spisali te osiągnięcia, a ja je sprawdzałam, akceptowałam, a potem umieszczałam na świadectwach. Okazało się, że w przypadku Marcina, zamiast: „udział w zawodach piłki siatkowej”, przez jakąś nieuwagę wpisałam – „udział w zawodach piłki nożnej”. Mama była przekonana, że chwalenie się na świadectwie kopaniem w piłę na pewno zaszkodzi synowi w dostaniu się na wymarzoną uczelnię, więc znów świadectwo trzeba było przepisać.

Takie historie zdarzały się nie tylko mnie. Czasami – mimo kilkakrotnego sprawdzania – uczeń spostrzegał na swoim świadectwie niższą ocenę z jakiegoś przedmiotu niż ta zatwierdzona i wpisana do arkusza ocen. Wtedy przychodził z słusznym żądaniem przepisania tego ważnego dokumentu. Ciekawe, czy zdarzyło się i tak, że ktoś cieszył się z oceny wyższej niż ta, jaką naprawdę otrzymał. Nikt nigdy nie zgłosił takiej omyłki.

Nasza praca nauczycielska nie należała do łatwych. Efekty prowadzonych zajęć zawsze były uzależnione od dobrych relacji z młodymi ludźmi. Papież Jan Paweł II w homilii dla nauczycieli mówił, że trzeba „znaleźć klucz do uczniowskich serc”. Niestety, nie było to łatwe.

Pamiętam, gdy wchodząc pierwszy raz do klasy, w której miałam uczyć po odejściu młodego polonisty Ryszarda Bieszczada [absolwent z 1966 roku], zauważyłam na tablicy wielki napis: „Rysiu, wróć!” Udałam, że nie rozumiem aluzji. Zapytałam tylko, dlaczego tablica nie jest czysta i poleci-

łam, by dyżurni odtąd zawsze ją przed lekcją ścierali. Przyznaję jednak, że choć nie mówiłam nic, to było mi przykro.

Czułam się jak ów nauczyciel – bohater książki „Wróć do Triory”, który wspominał: „Pamiętam, jak pierwszy raz wszedłem do klasy. Panowała kamienna cisza. Wzrok wszystkich skoncentrował się na mnie. Patrzyli na mnie z nieukrywaną wrogością. Mierzyli mnie wzrokiem od stóp do głów. Zapewne w myślach próbowali szacować, na ile swobody i luzu mogą liczyć”.

Pamiętam też, że na pierwszej lekcji w pewnej klasie maturalnej, którą otrzymałam „w spadku” po którejś z koleżanek, podszedł do mnie wysoki, czupurny blondyn: – Nazywam się Jerzy R. Chciałbym zapytać, co grozi za „niemanie” zeszytu, bo nigdy nie prowadziłem i nie potrafię się zmusić. Uspokoiłam go, że w klasie czwartej moi uczniowie prowadzą zeszyty dobrowolnie, bo rozumieją, że to praktyczny „podręcznik” i już ich nie muszę kontrolować. Trochę był rozczarowany, że jego czupurność na nic się zdała.

Owa „niechętna” klasa okazała się sympatyczną, zdolną i pracowitą, Jurek zaś poszedł do seminarium i został księdzem. Ciekawa jestem, czy uczy w szkole religii i co grozi jego uczniom za „niemanie” zeszytu.

A zeszyty z języka polskiego [zgodnie z zarządzeniem władz szkolnych] w klasach I-III podlegały ocenie. Musiały być prowadzone według kilku zasad, pomagających z traktowaniu ich jako pomocy naukowej na lekcjach i w czasie przygotowywania się do matury. Gdy pewnego razu spotkałam moją byłą uczennicę, która została nauczycielką języka polskiego, usłyszałam, że wiele moich pomysłów wykorzystuje na lekcjach i że zeszyty jej uczniów wyglądają tak samo jak te z liceum: margines z lewej strony, na nim data, temat lekcji podkreślony na zielono, pod każdym notatka; albo ułożona wspólnie, albo samodzielna. Miło mi było to słyszeć.

Poprawiając uczniowskie zeszyty zawsze ceniłam piękne, czytelne, staranne pismo. Jednak mimo wszelakich wysiłków, niektórzy uczniowie i w zeszytach, i na klasówkach pisali okropnie, co było zmorą nie do wypełnienia. Charaktery pisma były już ukształtowane, a pośpiech, pewna nonszalancja i różne indywidualne dysfunkcje [leworęczność, dysortografia, dysgrafia itp.] sprawiały, że wiodłam „walkę z wiatrakami”.

Pamiętam. Pewnego razu przyniosłam do apteki receptę zapisaną strasznie nieczytelnym pismem mojego rodzinnego lekarza. Pani magister, nie mogąc odcyfrować nazwy leku, fuknęła: – Kto go uczył języka polskiego, że bazgrze jak kura pazurem? Zawstydzona, szepnęłam cichutko: – Ja.

W jednej znów z klas, którą przejęłam po profesorze Helenie Golus, nie mogłam nijak przekonać uczniów, że stare druki nazywamy inkunabu-

łami, a nie inkunabutami. Dziewczyny [bo to była klasa żeńska] patrzyły na mnie z pobłażliwością, bo uważały, że profesorka Golus – ciesząca się wśród uczniów wielkim autorytetem – na pewno wiedziała lepiej.

– Tak mamy przepisane do zeszytów z tablicy – przekonywały. Nie mogły się pogodzić z myślą, że wyraz mógł być napisany trochę nieczytelnie i że to ja mam rację.

Powoli i tę klasę chyba zdobyłam. Zdobyłam zresztą chyba sympatię i serca wielu uczniów, tak, jak prawie wszyscy nauczyciele naszej szkoły, o czym świadczyły rozmowy prowadzone po latach przy wielu okazjach, zaproszenia na spotkania klasowe w „okrągłe” rocznice matury, zapisane wspomnienia czy widokówki przysyłane z różnych miejsc pobytu.

Profesor Tomasz Koziół pisał: „Wielu wychowanków pamięta – odwiedzają w domu, przyjdą do szkoły, przysła kartkę z wakacji, lub SMS z życzeniami świątecznymi”.

Różne dowcipne karteczki przysyłał mi np. z wyjazdów na „olimpijskie” zmagania Andrzejek J. Oto ostatnia z nich:

„Pozdrowienia pożegnalne z łezką w oku przesyła krnąbrny uczeń A.

Najlepsza na świecie Pani Profesor, która nawet we mnie umiała wzbudzić pasję do literatury i zdopingować mnie do nauki, a przede wszystkim podnieść na duchu, dziękuję za wszystko – A.

Niestety, to ostatnie moje ślenia ku Pani Profesor”.

Wiele takich karteczek przysyłanych przez uczniów zawierało życzenia z okazji świąt, czy Dnia Nauczyciela; były często konwencjonalne, ale też zdarzały się oryginalne, bardzo osobiste i wzruszające, jak te od pewnej IV „d”: „Jeśli kiedykolwiek i czymkolwiek obraziłyśmy Panią Profesor, lub stałyśmy się przyczyną zmartwień – prosimy o wybaczenie”.

Zachował się też np. strzęp papieru, na którym pewien Krzyś [absolwent z 1997 roku] napisał rozczulająco: „Dla wyrozumiałej, najwspanialszej nauczycielki i najumilejszej profesorki z dębickiego LO – Haliny Niziołek, od najgorszego ucznia”.

Ów Krzyś tak naprawdę był dobrym uczniem, sympatycznym chłopakiem, a ten jego neologizm „najumilejszej” – po prostu zwała z nóg.

Pojawiały się też sympatyczne wpisy w internecie jak ten [z grudnia 2016 roku] absolwentki Edyty K. „Pani Halina Niziołek to prawdziwy nauczyciel z powołania. Dziękuję za wszystkie przygotowania do konkursów. Jest pani wielka!”

Takich miłych dowodów pamięci doświadczali wszyscy moi koledzy i koleżanki z liceum.

Józek, który na gospodarstwie rodziców pracował już jak dorosły i tak był przez rodzinę traktowany, czasami przychodził do szkoły jakby trochę „wczorajszy”. Pewnego razu pani higienistka Mila Rybkowa weszła do mojej pracowni, by wykonać proste badanie dotyczące daltonizmu, którego wyniki były potrzebne do wypełnienia uczniowskich kart zdrowia. Chłopcy nie mieli problemu z rozróżnianiem barw, oprócz Józia, który westchnął: – Proszę, tylko nie dzisiaj. Ja dzisiaj nie rozpoznam ani jednego koloru...

Spotykałam go czasem na ulicy, już po maturze. Przemykał skromniutko, mrużąc powitanie pod nosem. Ale gdy był „pod dobrą chmurką”, wtedy z daleka głośno wykrzykiwał: „dzień dobry”, przyciągając uwagę przechodniów.

Miłe słowa napisała moja była uczennica Lidka Górską, późniejsza koleżanka z pracy: „Z lat szkolnych pozostało mi wspomnienie wspaniałych lekcji języka polskiego i specjalnych zeszytów [oprócz przedmiotowego], które wtedy obowiązały byłyśmy prowadzić. Pamiętam, że były to szczególne zeszyty, które przetrwały jeszcze długo po maturze. Jeden z nich dotyczył streszczeń lektur języka polskiego czytanych obowiązkowo. Po przeczytaniu każdej lektury pisaliśmy tam własne recenzje. Drugim zeszytem był zeszyt z notatkami na temat przeczytanych artykułów z prasy literackiej”.

Uśmiecham się na to wspomnienie, bo takie obowiązkowe zeszyty z „prasówką” pamięta pewnie wielu byłych uczniów. Bywały prowadzone również na innych przedmiotach. Mój ulubiony satyryk Artur Andrus pisał o tych, z wiedzy o społeczeństwie [w Liceum Ogólnokształcącym w Sanoku]. „Trzeba było przynieść zeszyt, w którym należało wkleić jakąś wiadomość wyciętą z gazety na dowód, że bardzo interesuję się życiem świata, a zwłaszcza kraju [...]. Najprościej [a każdy zdrowy licealista chce najprościej] było wyciąć coś z „Trybuny Ludu” [...]. „Trybuna Ludu” kosztowała dużo mniej niż na przykład gazety z plakatami gwiazdy italo disco – Sabriny. Może na cenę miał wpływ koszt papieru, na których drukowano kolorowe fotografie gwiazd piosenki? A może kwestia modelek? „Trybuna Ludu” zamieszczała raczej zdjęcia Zofii Grzyb z Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a porównując zdjęcia obu pań, od razu można było wskazać 10 różnic”.

Zanim zabrzmiał ostatni dzwonek, mieliśmy tysiąc spraw do załatwienia. A już tak bardzo chcieliśmy rozpocząć wakacje, wyjechać gdzieś, i sprawdzić to, o czym tak pięknie pisała Agnieszka Osiecka:

„Na Piotra i Pawła kwitnie to wszystko
w co ziemia – jedwabna...
Chwieją się łany zbożowe, jak wojsko,
niczym ułany... [od tego nam swojsko]”.

Na razie musiały nam wystarczyć myśli, że tuż za progiem „lato, lato, lato czeka...” i opowiadane w pokoju nauczycielskim dowcipy o Jasiu – wiecznym uczniu:

„Jaś z ponurą miną podaje ojcu świadectwo:

– Co to ma znaczyć? Dwie dwójce?

– Tato, co tam dwójce. Obyśmy tylko zdrowi byli!”

Opowiadaliśmy też – jak zawsze o swych pociechach. – Mamo, może na koniec roku kupimy naszej pani zamiast kwiatków czereśnie.

– Dlaczego czereśnie?

– Bo może nas pani poczęstuje?

Zwierzaliśmy się też przy naszym stole „do mielenia spraw” z różnych nauczycielskich zmartwień. Najwięcej kłopotów przysparzały klasy, w których pełniło się funkcje wychowawcy. Obowiązkiem wychowawcy było interesowanie się postęпами uczniów w nauce, ich zachowaniem, zdrowiem, problemami domowymi, psychicznymi, nawet finansowymi, prowadzenie całej buchalterii dotyczącej dziennika klasowego i arkuszy ocen, pisanie świadectw, pilnowania i obliczania frekwencji, mobilizowania do noszenia właściwego ubioru i fryzur, ustalania ocen z zachowania, a także organizowanie różnych akcji, imprez, wycieczek itp. Wszystko to absorbowało nasz umysł, nasze nerwy, wymagało czasu, serca i siły, a wynagrodzenie za prowadzenie wychowawstwa było symboliczne.

Historii związanych z pełnieniem obowiązków wychowawcy, starczyłoby na osobną opowieść. Kilka zapamiętałam szczególnie.

Trwa pierwsza wywiadówka, jak zawsze zorganizowana w połowie września. Przedstawiam rodzicom plan wychowawczy, omawiam wszystkie sprawy klasowe, zarządzam wybór członków Komitetu Rodzicielskiego, zachęcam do współpracy i proszę o indywidualne rozmowy na nurtujące rodziców problemy. Wówczas podchodzi jedna z mam:

– Moja córka bardzo przeżywa zmianę szkoły. Czy pani zauważyła, że już ma katarek?

– Boże! – pomyślałam. Nie tylko nie zauważyłam katarku, ale w ogóle nie kojarzę jeszcze uczniów. Jak ja wytrzymam cztery lata z taką mamą córeczką?

Ale owa córeczka z katarkiem okazała się bardzo fajną dziewczyną; mądrą, pomysłową, chętną do podejmowania różnych zadań, lubianą przez wszystkich; taką, co to można jej powierzyć każde zadanie. Później sama też została nauczycielką.

Inną z mam poprosiłam kiedyś na rozmowę, bo córka – zdolna i nie sprawiająca kłopotów – nagle otrzymała kilka dwójek z matematyki. Wtedy ona – przybierając poufny ton – szepnęła z przekonaniem: – A bo profesor to ma jakieś „haluny” i się na córkę wziął.

Zatkało mnie. Nie wiedziałam co powiedzieć; do dziś tak na pewno nie wiem, co znaczą te „haluny”.

Innym razem, w czasie indywidualnego spotkania, rozmawiałam z pewnymi rodzicami na temat niepokojących symptomów, jakie zauważyłam u ich pociechy. Córa w wypracowaniu domowym tak przekonująco pisała o tragizmie życia, o samobójstwie jako wyzwoleniu od bezsensu istnienia, że się przestraszyłam.

– Ona pisze powieść i wymyśla różne dramatyczne sytuacje. To zadanie to pewnie fragment tej powieści – usłyszałam.

Innym znów razem, obserwując niepokojące zachowanie pewnej uczennicy: smutek, bladeść, zamknięcie się w sobie, opuszczanie lekcji, narzekanie na różne niedyspozycje, przestraszyłam się, że może jest w ciąży i też postanowiłam wezwać mamę.

– To ja jestem w ciąży – powiedziała owa mama – a ona to strasznie przeżywa, bo jest prawie dorosła i się wstydzi tej sytuacji. Tak to bywało.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie!”

Najczęściej, rodzice w rozmowie z wychowawcami byli mili, sympatyczni, ufający w jego dobre intencje, zatroskani o swe pociechy i chcący współpracować. Ale zdarzali się i tacy, którzy tylko przychodzili z pretensjami, nie chcieli słuchać argumentów, wiedzieli lepiej, zawsze uważali, że to ich pociecha ma rację. I było trochę jak w tym dowcipie:

„Nauczyciel wzywa mamę Jasia:

– Proszę pani, Jaś śmierdzi. Proszę go pilnować, żeby się mył.

– Jaś nie fiołek. Niech go pani uczy, a nie wacha”.

Pamiętam sytuację, gdy pewnego dnia wparowała nagle do pokoju nauczycielskiego ciocia pewnego ucznia. Zażądała m.in. rozmowy ze mną, więc przybiegł po mnie do pracowni zdenerwowany kolega-wychowawca, by mnie uprzedzić, że to straszna „baba”, że przychodzenie z pretensjami do nauczycieli to jej „hobby”, że bardzo się awanturuje, a w jednej z podsta-

wówek nawet pobiła nauczycielkę parasolem. Na koniec ów kolega-dowcipniś, zakpił z jej obfitych kształtów, wołając za mną:

– Tam, gdzie broszka, tam przód”.

Wkrótce ją zobaczyłam. Okazało się, że tamtego dnia pani była bez parasola i nawet zachowywała się dość ugodowo. Natomiast inna z mam, już od progu krzyczała, że też jak ja jest nauczycielką i doskonale zna prawa i obowiązki uczniów i nauczycieli, że jest oburzona, jak traktuje się jej synka i że ona tak tego nie zostawi. Ponieważ syn strasznie wagarował, a nikt z nas nie przestraszył się jej pogroźek, postanowiła przenieść go do „Kwiatka”. Ale stamtąd też wkrótce wyleciał. Ponoć „zaliczył” kilka szkół zawsze z ulgą żegnany przez grono profesorskie.

Wychowawstwo dostarczało też wiele radości i satysfakcji. Pamiętam różne wycieczki z uczniami, popołudniowe spotkania organizowane z różnych okazji, klasowe święta i uroczystości, klasowy kabaret i Mikołajki.

Muszę przyznać, że pracując wiele lat z młodzieżą, wielokrotnie popełniałam błędy, których się potem wstydziłam. Ale kto jest bez winy?

Pamiętam, gdy zaraz na początku mojej pracy w liceum, chłopcy z klasy przedmaturalnej testowali moją wiedzę, pytając, co sądzę na temat jakiejś – wówczas modnej – książki. Nie chciałam się przyznać, że jej nie znam, więc mgliście coś tam opowiadałam. Mniemam, że się domyślili, a mnie do dziś wstyd. Później nigdy nie bałam się powiedzieć, że czegoś nie wiem. Wszak „wiem, że nic nie wiem” mawiał nawet pewien znany filozof. A zdarzało mi się „nie wiedzieć”!

Gdy na liście lektur znalazła się nowa książka Tadeusza Konwickiego „Bohiń”, gorączkowo szukałyśmy jakichś wskazówek do omówienia jej na lekcjach. Wiedziałam, że Bohiń to było rodzinne gniazdo Konwických na Wileńszczyźnie, że pierwowzorem głównej bohaterki była babka pisarza Helena Konwicka, ale nie przyszło mi do głowy że nazwa miejscowości jest rodzaju żeńskiego [jak „Świtez”] i cały czas uczyłam o tym Bohiniu, a nie o tej Bohini.

Nazwisko hiszpańskiego dramaturga – autora „Owczego źródła” odmieniałam skandalicznie, mówiąc o utworach Lope de Vega, gdy poprawnie należało użyć formy Lopego de Vega. Mea culpa!

Również zupełnie „od czapy” interpretowałam wiersz Stanisława Wyspiańskiego „Jakżeż ja się uspokoję...” Gdy go znalazłam w zbiorze poezji młodopolskiej, byłam uszczęśliwiona, bo świetnie prezentował problematykę dekadentyzmu Młodej Polski, wyrażał niezwykle sugestywnie nastroje fin de siecle`u: niepokoje duszy, bezideowość, ból istnienia, bezsens życia

– spowodowane nie jakimiś nieszczęściami, a modnymi nastrojami epoki. Był też świetny artystycznie: lapidarny, objęty kłamrą kompozycyjną, składający się z powtórzeń, pytań retorycznych i metafor, nawiązujący do Mickiewiczowskiego liryku „Polały się łzy...”

„Jakżeż ja się uspokoję?
Pełne strachu oczy moje,
Pełne grozy myśli moje,
Pełne trwogi serce moje,
Pełne drżenia piersi moje.
Jakżeż ja się uspokoję...”

To było to! Tak mi się przynajmniej zdawało, dopóki nie przeczytałam nowej biografii Wyspiańskiego, w której stało czarno na białym, że poeta napisał ten wiersz, gdy dowiedział się, że jest chory na nieuleczalny wówczas syfilis – wyniszczający organizm i prowadzący do przedwczesnej śmierci. Gdybym była tego świadoma, nigdy nie prezentowałabym go na lekcjach. No cóż, „ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Pamiętam też taką sytuację. Zachęcałam uczniów do udziału w olimpiadzie przedmiotowej, której pierwszy etap polegał na przedłożeniu pracy pisemnej na określony temat. Komisja polonistek oceniała te prace i kwalifikowała najlepsze do następnego, wojewódzkiego etapu. Jedna z moich uczennic – bardziej ambitna niż zdolna – marzyła o sukcesach w tej olimpiadzie. Szkoda mi jej było, więc – choć nie otrzymała kwalifikacji, bo jej praca była słabiutka – skłamałam, że jej „dzieło” zostało przesłane do kuratorium wraz z innymi. Widziałam, jak bardzo się cieszyła.

Wyniki, które przychodziły z Rzeszowa, zawierały tylko nazwiska tych osób, które zakwalifikowano do dalszego etapu konkursu, dlatego nie bałam się odkrycia prawdy. A jej pracę wrzuciłam do mojej szafki i o niej zapomniałam. Pewnego razu koleżanki z jej klasy szukały w tej szafce jakiejś potrzebnej mi książki i znalazły to zadanie. To była moja wielka wtopa, choć skłamałam w dobrej intencji!

Pamiętam też kartkówkę w pewnej klasie, która wypadła tak wspaniale, że chodziłam dumna jak paw. Posypały się piątki i pochwały. Niestety, okazało się, że sprytna Ala włamała się do szafki, rozdała koleżankom prace, a one napisały odpowiedzi na nowo. Jak to jednak zwykle bywa, któraś z dziewczyn pochwaliła się koleżance z innej klasy, a jej mama opowiedziała to mojej sąsiadce, z którą się przyjaźniła. Byłam zszokowana. Tak

lubiłam tę klasę, ufałam uczniom i w swej naiwności zupełnie nie pilnowałam uczniowskich prac. Na usprawiedliwienie powiem, że zdarzało się to też innym nauczycielom.

Czasami w roztargnieniu nie pamiętałam, w której klasie miałam kolejną lekcję i wahałam się nad wyborem dziennika, lub przynosiłam do klasy niewłaściwy, narażając się na ironiczne uśmiechy uczniów i – zdarzało się – niezadowoloną minę któregoś z dyrektorów, obserwujących wymianę dziennika w pokoju nauczycielskim. Te sytuacje przeradzały się w powracający wielokrotnie sen: wchodzę na lekcję, a tu pusta sala. Nie wiem, gdzie, z kim i na jaki temat mam mieć zajęcia. Wybiegam bezradna i przestraszona, a stukot moich butów niesie się daleko po pustych korytarzach... Dziś te wspomnienia budzą nostalgiczny uśmiech.

Za „moich czasów” języka polskiego uczyły też [po kilka lat] profesor-ki: Helena Golus, Jadwiga Cisło, Renata Rydzy, Joanna Kędzior i Katarzyna Zasadna.

Profesorka Helena Golus pochodziła z Niedźwiady. Ukończyła studia polonistyczne w Rzeszowie. Była kobietą sukcesu; wieloletnią nauczycielką języka polskiego w wiejskich i dębickich szkołach podstawowych, a później znaną i szanowaną dyrektorką „czwórki”; ambitną, przedsiębiorczą, zaradną. Będąc już na emeryturze [w latach 1982-1989] uczyła w naszym liceum języka polskiego i psychologii z pedagogiką, a w klasach maturalnych prowadziła fakultet pedagogiczny. Elegancka, dystygnowana, zawsze ze starannie ułożoną fryzurą w kolorze pszenicznego blondu, o życzliwych oczach i młodzieńczym uśmiechu, z największą uwagą i zaangażowaniem poświęcała się pracy dla dobra powierzonych jej uczniów. Energiczna ale opanowana, serdeczna ale wymagająca, konsekwentna, pracowita, odpowiedzialna, zawsze życzliwa, chętnie służąca radami, była osobą lubianą i szanowaną. Za swą pracę pedagogiczną i społeczną była wielokrotnie nagradzana; otrzymała m.in. Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski.

Pamiętam, z jaką miłością opowiadała o swych wnukach. Jeden z nich – „pierwszoklasista” – był klasowym gadułą, niezwykle pogodnym i zawsze zadowolonym. Chwalił się, gdy za rozmowy z kolegą nauczycielka przeniosła go do pierwszej ławki: – Mam najbliżej tablicy; a także, gdy do ostatniej: – Jestem pierwszy na korytarzu, gdy zadzwoni dzwonek na przerwę!

Profesorka Helena Golus zmarła w roku 2009 i została pochowana na dębickim Starym Cmentarzu. Podziwiałam jej pracowitość, wytrwałość, entuzjazm i optymizm, które mogłam obserwować podczas naszych wspólnych studiów polonistycznych. Jej „zawsze się chciało chcieć”. Wielokrot-

nie korzystałam z jej opracowań, streszczeń lektur, z wypożyczanych mi książek, czy z pysznej kuchni, podczas wspólnego uczenia się do egzaminów. Jej autobiograficzna książka „By z człowiekiem nie umarła pamięć...”, podarowana mi przez jej córkę, to serdeczna pamiątka.

Psychologii w naszej szkole uczyła również przez jakiś czas „dochodząca” profesorka Rozalia Dąbrowska [Stec] absolwentka z 1961 roku – kobieta o śniadej cerze, drobnych rysach twarzy, czarnych, równo przyciętych włosach i oczach o łagodnym spojrzeniu, czarnych jak węgielki, błyszczących optymizmem. Miękki, delikatny głos, a także spokój i tolerancyjność profesorki Reni zjednywały jej sympatię uczniów. Również – jak na łamach „Obserwatora Lokalnego” pisał Andrzej Janiec – „małżeństwo Rozalia i Daniel Dąbrowscy prowadzili rodzinny dom dziecka: wychowali, wykształcili, usamodzielnili 14 dzieci”.

Bardzo profesorkę podziwiałam. Pamiętam, że jej utalentowany, szczupłutki synek Jaś przychodził po mamę w drodze do szkoły muzycznej, dźwigając w wielkim futerale skrzypce.

Również ja przez jakiś czas uczyłam psychologii. Nie było wtedy jeszcze w liceum szkolnego specjalisty w tej dziedzinie. Dopiero później została na tym stanowisku zatrudniona pani pedagog Dorota Bieszczad – szczupła, energiczna brunetka o śmiejących się oczach i czarnych, rozpuszczonych włosach, opadających na ramiona.

Przez kilka lat „polaka” uczyła w naszym liceum profesorka Jadwiga Cisło; wcześniej nauczycielka języka polskiego i zastępca dyrektora w Szkole Podstawowej nr 2 w Dębicy – niewysoka szatynka o szczerych oczach, dobrotliwej twarzy i ciepłym, łagodnym, śpiewnym głosie.

Na początku wydawała się trochę niepewna, nadmiernie delikatna, liryczna, pełna melancholii, ale tak naprawdę była silna, odważna, odpowiedzialna i zorganizowana. Bardzo przejęta swą rolą, zawsze w emocjach, żarliwa, ambitna i solidna, bojąca się bylejakości i banału, kreatywna, zapraszała mnie do domu, by przy pysznej kawie prosić o radę w sprawie formułowania tematów lekcji, analizowania lektur czy poprawiania zadań maturalnych.

W kontaktach z nami była serdeczna, ufna, spokojna, a nawet trochę sentymentalna. Odeszła nagle na zawsze, zostawiając pustkę i żal. Grób profesorki Jadwigi Cisło znajduje się na cmentarzu w Straszęcinie.

Od 1990 roku, przez kilka lat języka polskiego uczyła w naszej szkole profesorka Renata Rydzy. Była młodziutką, szczupłą, niezbyt wysoką kobietą, o ciemnych, luźno opadających na ramiona włosach i oczach rozjaśnionych blaskiem łagodności, życzliwie spoglądających, uważnych i bu-

dzących zaufanie. Wydawałoby się – poważna, spokojna, ale w jej ślicznym uśmiechu skrzyła się pogoda ducha, a nawet isierka szaleństwa i romantyzmu. Profesorka Renia była sumienna i zawsze świetnie zorganizowana. Gdy pewnego razu miałam ją zastąpić w jakiejś klasie, wypięła z elegancznego notatnika i wręczyła mi kilka kartek ze starannie napisanym konspektem owej lekcji. Byłam pełna podziwu, a także zawstydzenia, zwłaszcza myśląc o moich notatkach, które prezentowały się jak istny groch z kapustą. Zawsze zresztą gubiłam się w papierach.

Jak meteor przemknęła też przez liceum profesorka Joanna Kędzior [absolwentka z 1989 roku]. Nie zdążyłam jej nawet poznać, gdy opuściła szkołę, a nawet chyba Dębicę.

W 1999 roku nową polonistką w naszej szkole została młodziutka profesorka Katarzyna Zalewska [wówczas jeszcze Zasadna].

Młodzi adepci zawodu, zanim zdobyli status nauczyciela mianowanego, odbywali trzyletni staż nauczycielski. Byłam wówczas opiekunką profesorki Kasi, co pozwoliło nam się lepiej poznać i polubić.

Wysoka brunetka, smukła jak gazela, miała bardzo młodzieńczy wygląd; zwłaszcza w mini-spódniczkach, które kolegów o tradycyjnych poglądach nawet trochę oburzały.

Profesorka Kasia miała też piękne jak heban, bujne, kędzierzawe, bardzo długie włosy i oczy jak czarny jedwab – roześmiane, błyszczące jak perełki i – jak by to powiedział autor książek dla kobiet: „oprawnych w gęstą firankę smolistych rzęs”. Zawsze miła, zawsze w dobrym nastroju, swobodna i chętna do rozmów, była lubiana i przez kolegów, i przez uczniów. Byłam jej wdzięczna, gdy przygotowała z młodzieżą inscenizację opartą na fragmentach mojej książki „Pola zielone...”

Jednym z przedmiotów wykładanych od początku istnienia gimnazjum była propedeutyka filozofii. Adam Przewłocki wspominał profesora tego przedmiotu, a zarazem pierwszego dyrektora gimnazjum – Józefa Szydłowskiego: „wyjątkowo sprawiedliwego, a przez to przez wszystkich wysoko cenionego”.

Od 1919 roku propedeutyki uczył profesor Stanisław Nagawiecki – wychowanek naszej szkoły [matura – 1914 rok], działacz polityczny i społeczny, burmistrz Dębicy i założyciel Klubu Sportowego „Wisłoka”. W tym samym okresie tego przedmiotu uczył również ówczesny dyrektor szkoły – Piotr Passowicz.

W 1926 roku nauczycielem propedeutyki filozofii został profesor Stanisław Skrzeszewski [po wojnie Minister Rządu PRL].

Wojciech Wójcik wspominał: „Profesor Skrzeszewski, absolwent Sorbony, prócz propedeutyki uczył nas wielu innych rzeczy. Stwierdzając u nas niski poziom matematyki, przerabiał z nami cały materiał, przerabiał również ćwiczenia z języka łacińskiego. Przez dwa lata przedmaturalne, wpał nam z całą energią młodego zapaleńca wiele pojęć i poglądów. Zdobył ogromny wpływ na młodzież, aż w końcu okazał się wielkim propagatorem idei komunistycznych”.

W okresie dwudziestolecia nauczycielem propedeutyki w gimnazjum był też ksiądz Teofil Dec, a po II wojnie światowej – profesor Zbigniew Fladerer: filozof i łacinnik; „bardzo rygorystyczny i wymagający” [Alfreda Ździebło]. Był z wykształcenia prawnikiem, ale znał się na różnych dziedzinach wiedzy. Pamiętam, gdy pewnego razu przyszedł do mojej klasy na zastępstwo i dał bardzo ciekawy wykład z fizyki. Był też opiekunem harcerzy.

Natomiast moim nauczycielem propedeutyki był wspominany już dyrektor Wiktor Pietrzykowski.

Adam Gierulski pisał o nim: „Z uznaniem i szacunkiem wspominam dyrektora Pietrzykowskiego. Sposób, w jaki uczył propedeutyki filozofii, bez tendencyjnych przerysowań, naświetlając problemy z różnych stron, umiejętnie wywołując dyskusje w klasie, świadczył w naszych oczach o jego dużej wiedzy o przedmiocie, o takcie i talencie pedagogicznym. Jako dyrektor wzbudzał respekt, ale i sympatię.”

Potwierdzam, że lekcje z dyrektorem Wiktorem Pietrzykowskim były niezwykle interesujące. Przychodził i opowiadał różne ciekawe historie, będące wstępem do dyskusji. A potem kłóciliśmy się zawzięcie. Dyrektor wszystkiego słuchał z uwagą i powagą, czasem tylko wtrącając jakieś słowo. Nigdy nie usłyszeliśmy ostatecznej, jednoznacznej odpowiedzi. Szliśmy do domu z głową pełną zamętu, wątpliwości i niewiedzy. Bo dyrektor uczył nas myśleć, wątpić i dociekać. Szkoda, że ten przedmiot zniknął z programu szkół ogólnokształcących.

Bardzo ważnymi przedmiotami w naszym gimnazjum były: greka i łacina, bo – jak pisał Julian Rostoczyński – „języki antyczne odgrywały w gimnazjach klasycznych rolę przodującą”. Ponieważ godzin tych przedmiotów było bardzo dużo, dlatego lista uczących łaciny i greki też jest imponująca. Wielu z nich zapisało się w pamięci uczniów.

Na początek oddajmy głos Janowi Wiktorowi, w piękny, poetycki sposób przedstawiającemu swego filologa klasycznego [we wspomnieniach pisarza nie pojawia się jego nazwisko]:

„Mówiono, że świetnie się zapowiadał. Znakomitość, mógł być chlubą nauki, ale jakieś powikłania życiowe, no, i zmarnotrawił zdolności w żarnach szkolnej harówki. Znawca filologii klasycznej, znakomity wykładowca.

Opowiadał o podróżach po słonecznej Italii i Grecji, ukazywał ołtarze, świątynie, posągi, budowle bogom poświęcone, opisywał pracownie rzeźbiarzy, prowadził na rynek, na stadiony, do świętych gajów, do pałaców, wskrzeszał obrazy życia codziennego, postaci starożytnego świata, które odegrały ważną rolę w dziejach świata, rozsławiły imię swoje i kraju, ożywiał każdy skrawek ziemi, tchnął w kamienie ducha swojej miłości, którą był przepełniony. Przemierzał wieki, przestrzenie czasów. Nazwy miast, bogów, imiona bohaterów dźwięczały jak spiż, to znów jak szelest liści oliwki. Szliśmy za nim wszędzie i młodzieńczymi oczami patrzyliśmy na to, co on widział w zachwycie i uwielbieniu. Słowa jego były podobne do muszli, która zapamiętała szum morza, tęsknotę do słońca i do błękitu.

Nigdy nie czytał, nie używał podręcznika, ale mówił z pamięci całe rozdziały po grecku i po łacinie, a wtedy zdawało się nam, że śpiewa przy wtórze liry wspaniałe strofy nieśmiertelnych eposei. Często zabrzmiały wiersze, jakby wojownik mieczem podjętym z pobjowiska uderzał w tarczę.

Znów różanopalcą Jutrzenka oświeciła strop nieba i obdarzyła jego słowa wszystkimi barwami, jakie może wyśnić o świetle. Bo te strofy wykradały słońcu światłość, gwiazdom promienie, drzewom szelesty i szumy, fałom plusk, białym grzywom zbałwanionego morza ich szaleństwo, burzom gromy, szczebiot ptakom i zapamiętały wszystkie uroki, wszystkie głosy. Te pieśni żyją pięknem nieba, ziemi, morza, bo poeta dał im wiekuisty żywot.

Zawsze czekaliśmy na wejście tego znawcy [...].

Czuliśmy, że gwałtem powstrzymuje szloch, żeby nie ujawnić swego kalectwa, choć bogowie, z zemsty, że wykradł im zbyt wiele tajemnic, rzucili czarną chustę na jego pełne uwielbienia oczy i pogrążyli życie w ciemnościach. Ktoś spotkał go na ulicy poruszającego się wzdłuż płotów i murów. Widmo, które patrzyło w ciemności palcami. Nie śmiał jednak zbliżyć się do niego, chociaż pragnął mu szepnąć z wdzięcznością: Pokochałem piękno starożytne przez ciebie, ociemniały nauczycielu”.

Od początku istnienia szkoły filologii klasycznej uczył dyrektor Józef Szydłowski – „przyjaciół młodzieży, świetny pedagog”, o którym pisał jeden z jego uczniów: „Z miejsca zyskał sobie naszą sympatię i zaufanie. Umiał

zainteresować przedmiotem. Przy uczeniu słówek i gramatyki nawiązywał stale do jakiegoś szczegółu ze starożytności. Równocześnie więc z nauką o języku zdobywaliśmy wiedzę o kulturze i historii rzymskiej”.

Michał Urbanek wspominał profesora Zygmunta Skórskiego [pseudonim „Arystydes”], uczącego łaciny i greki od 1902 roku: „Młody, przystojny, postawny, z rudawym wąsikiem, zawsze gustownie i elegancko ubrany. Chodząca powaga. Nie umiał się śmiać. Śmiały się tylko jego oczy, a na ustach pojawiał się wtedy nieokreślony grymas. Mimo młodego wieku budził wśród nas powszechny szacunek. Chodził po klasie wolno, mówił wyraźnie, z rozważą, jakby się zastanawiał nad każdym słowem. Czy w klasie, czy poza klasą zachowywał dystans wobec uczniów. W każdym calu pedagog. Lubiliśmy go i szanowali. Chętnie uczyliśmy się łaciny, bo umiał zainteresować przedmiotem”.

Od 1903 roku łaciny uczył profesor Emilian Kołodnicki. Ponoć – według relacji Michała Urbanka – „często sam o sobie mówił z ironią: „Rusin z czarnym podniebieniem”. Był to człowiek w średnim wieku, przystojny, tryskający zdrowiem, wybitnie inteligentny, kulturalny, dobry pedagog. Przejmował się przedmiotem i umiał nim zainteresować. Patriota ruski, ale chyba bez nienawiści do narodu polskiego”.

W tym samym roku rozpoczął w gimnazjum naukę łaciny profesor Grzegorz Bobiak, który po I wojnie światowej [w 1932 roku] powrócił do pracy w gimnazjum. Antoni Przewłocki wspominał, że profesor „był bardzo wymagającym pedagogiem”, a Jan Szymaszek, że – „nadzwyczaj wymagającym”.

Od 1905 roku pracował też w naszym gimnazjum filolog klasyczny Michał Kalitowski. Ponoć nieprzygotowanych uczniów straszył, że na „słodzie”, czyli na zajęciach praktycznych, których też uczył, wymierzy im karę drewnianą łatą „po tyłku”. Ale zapewne były to tylko czcze pogroźki, bo nikt nie pamiętał takiego przypadku.

Antoni Stańko wspominał „wyrozumiałego i zrównoważonego” profesora łaciny – Stanisława Wiśniewskiego, pochodzącego z Bochni, który po ukończeniu studiów filozoficznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, podjął pracę w naszym gimnazjum również w 1905 roku.

Stanisław Ożóg tak scharakteryzował tego profesora: „Ukochał starożytność i Owidiusza, i wpoił nam poczucie piękna rzeźb Praksytelesa. Rubaszny, z sumiastymi wąsami, wspaniale prezentował się na defiladach w mundurze „Sokoła”. Istny Zagłoba”.

Potwierdzał to Leopold Regner: „Drużyna „Sokoła” w Dębicy występowała w swoich mundurach na różnych uroczystościach narodowych.

Wspaniały był widok, gdy profesor Wiśniewski szedł w pochodzie na czele odzianej w jednakowe mundury drużyny „Sokoła”; biła z niego powaga i jakby potęgą imperatora rzymskiego”.

Profesor Wiśniewski „miał piękny dom z ogrodem. Lubił się zabawić. Dla niego najlepszą zabawą było sąsiedztwo beczki z piwem i dobrane towarzystwo” – trochę złośliwie pisał Wojciech Wójcik. No, ale czy kto widział Zagłobę bez beczki pełnej trunku?

„Gdy wybuchła I wojna światowa, ćwiczył Sokolą Drużynę Polową i drużynę skautów, zanim wyruszyły do wyznaczonych rozkazem miejsc koncentracji. Został następnie powołany do swego pułku jako oficer rezerwy. W odrodzonej Polsce powrócił do pracy w szkole. Był członkiem zarządu Związku Oficerów Rezerwy w Dębicy i naczelnym redaktorem „Echa znad Wisłoki” [Edward Wodzień].

Profesor Wiśniewski był też czołowym politykiem Stronnictwa Narodowego, mecenasem dębickiego klubu sportowego, działaczem Związku Emerytów, a w czasie okupacji pełnił funkcję zastępcy burmistrza. Zmarł w 1943 roku. Jego grób znajduje się na Starym Cmentarzu w Dębicy.

Od 1906 roku greki [a także logiki] uczył profesor Antoni Migdał.

Michał Urbanek wspominał: „Młody, przystojny brunet, trochę dziwak. Wymagał niezwyklej ścisłości, pamięciowego opanowania lekcji, zrozumienia tekstu. Dyktował z pamięci i wymagał dokładnego recytowania. Gdyśmy prosili o wyjaśnienia i dyskusję, zamykał nam usta twierdzeniem, że skoro skończył uniwersytet, to nie po to, by go uczniowie uczyli, jak ma uczyć”. A Wincenty Dołżycki zapamiętał, że profesor Migdał „znał na pamięć stronicę „Wielkiego Słownika Języka Greckiego” i wiedział gdzie, na której stronie znaleźć potrzebne informacje”.

Wszyscy go podziwiali, gdy prowadził przez miasto w wojskowym szyku starszych uczniów z karabinami na ramieniu na strzelnicę, która znajdowała się w pobliskim lesie zwanym Borkiem. Trzymał się prosto i taką sylwetkę zachował do końca życia.

Już w pierwszym dniu po wybuchu I wojny światowej – jako porucznik armii austriackiej – został zmobilizowany i mianowany komendantem dworca kolejowego w Dębicy. Po zakończeniu wojny w 1918 roku powrócił do pracy w gimnazjum.

Od 1913 roku łaciny i greki uczył w gimnazjum profesor Arseni Dożyński, pełniący także funkcję sekretarza szkoły, pomocnika kancelaryjnego, opiekuna biblioteki maturalnej i podręcznej dla dyrektora. Jak pisał

Arkadiusz Więch – przybył tu jako do swoistej „kolonii karnej dla niesfor-nych pedagogów”.

Profesor Dorożyński urodził się w 1868 roku w Stańkowej koło Birczy jako syn greckokatolickiego księdza. Po ukończeniu gimnazjum we Lwowie studiował filologię polską i klasyczną na Uniwersytecie Lwowskim i na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Uczył różnych przedmiotów: łaciny, greki, języka polskiego, ruskiego [ukraińskiego], historii, geografii, pracując w wielu gimnazjach: w Rzeszowie, Tarnowie, Krakowie, Jarosławiu, Podgórzu, Samborze, Stanisławowie, Przemyśle, a w końcu – w Dębicy.

Brał udział w I wojnie światowej jako oficer, a po jej zakończeniu – tak jak profesor Antoni Migdał – powrócił do pracy w naszej szkole.

Profesor Dorożyński – jak pisał Arkadiusz Więch – „w swoim światopoglądzie był postacią niezwykle złożoną [...]. Lwowski okres życia oraz przynależność do Kościoła Greckokatolickiego wywarła niewątpliwie duży wpływ na jego świat wartości i życiowe wybory”. Jego trudny charakter, konfliktowa natura, nietypowe metody wychowawcze budziły kontrowersje i powodowały przeniesienia służbowe do kolejnych szkół.

W naszym gimnazjum „dał się poznać – pisał dalej Więch – jako osoba mocno zaangażowana w życie szkoły oraz lokalnej społeczności. W pamięci dębiczan pozostał jako znakomity, nieustrudzony pedagog, gorący patriota i krzewiciel polskości. Stąd często mówiono o nim, iż „zdawał się być twardszy od niespożytego dębu” [...]. Powierzone mu obowiązki pełnił z niezwykłą pracowitością i sumiennością” [...]. Wiele czasu poświęcał też pracy naukowej, „nad przekładami i analizą antycznych dzieł literackich. Zmarł niespodziewanie dla ogółu dębickiej społeczności, na serce 7 listopada 1924 roku”. Jego nagrobek na Starym Cmentarzu w Dębicy wyróżnia podwójny krzyż greckokatolicki.

W 1915 roku filologiem klasycznym został w gimnazjum profesor Henryk Lilien. Adam Przewłocki wspominał: „Mniej nauczył nas języka, natomiast więcej znajomości kultury antycznej, za co wdzięczny mu pozostałem na całe życie”.

Od 1918 roku filologię klasyczną przez wiele lat wykładał też profesor Piotr Passowicz [w latach 1919-1925 – dyrektor gimnazjum]. Eugeniusz Jasiński, który uczęszczał do naszej szkoły w latach 1951-1955, a więc maturę zdał 3 lata przed śmiercią profesora w roku 1958, tak go zapamiętał: „Nazywaliśmy go „dziadziunio”, ze względu na podeszły wiek. Był to nadzwyczaj miły i sympatyczny człowiek, który każdego ucznia traktował jak własne

dziecko. To za jego przyczyną chłopak do dziewczyny zwracał się grzecznie „Puella” i odwrotnie, dziewczyna do chłopaka mówiła „Puer”.

Łacinnik Bronisław Nagawiecki [absolwent z 1910 roku], uczący w gimnazjum od 1919 roku, wchodząc do klasy pozdrowiał uczniów słowami: „Salvete pueri! A my – wspominał Marian Grundboeck – odpowiadaliśmy chórem: „Salve magister noster”.

Od 1920 roku łaciny zaczął uczyć w gimnazjum profesor Juliusz Komperda, a od 1921 roku – Franciszek Rusinek, którego Stanisław Ożóg zapamiętał jako „entuzjastę sztuk pięknych. Miał drwiący sposób komentowania różnych rzeczy. Bardzo lubił dziewczęta”. Ponoć miał przydomek „Podskakiewicz”.

W 1924 roku przyszedł do gimnazjum nowi łacinnicy: profesor Alojzy Cygan i profesor Jan Jaszan, a w 1931 – profesor Stanisław Spytkowski.

W latach trzydziestych filologiem klasycznym był w gimnazjum profesor Stanisław Marcisz [„Socjalista”] – „pedagog nowoczesny, po koleżeńsku odnoszący się do uczniów” [Marian Gundboeck], a także profesor Henryk Żurawski.

Tadeusz Ozga wspominał: „Profesor Żurawski był niskiego wzrostu, nosił spiczastą bródkę i z powodu sympatycznego wyglądu nazywany był „Cwerg” lub „Mefisto”. Zwracając się do ucznia mówił „siaaa”.

Miał specyficzną metodę nauczania łaciny, a mianowicie oprócz przerabianych tekstów podał do zapisania ponad trzydzieści przysłów. Przed każdą lekcją po jego wejściu do sali lekcyjnej uczniowie mieli obowiązek wypowiadać po kolei te przysłowia, z tym, że raz zaczynało od pierwszej ławki z lewej strony, raz z prawej, a w następnych dniach z prawej lub lewej od tyłu”. Potwierdzał to Edmund Król: „Pamiętam do dziś łacińskie przysłowia i sentencje, których uczył nas profesor Żurawski”. A Jan Szymaszek dodawał: „Był człowiekiem o wielkiej dobroci i gołęmbim sercu. Czasem tej dobroci nadużywaliśmy, ale taka jest młodość”.

Po zakończeniu II wojny światowej, do grona przedwojennych filologów klasycznych dołączyli nowi: w 1944 roku – profesor Jan Dobrowolski, w 1949 – profesorka Irena Klich, a w 1952 roku – profesorka Helena Oleńska, która również mnie uczyła łaciny [a w VIII klasie także historii].

Profesorka Helena Oleńska była niezwykle barwną postacią, pełną szlachetnego dostojęstwa. Ta starsza już, dość korpulentna pani, o delikatnej, różowej cerze, rumieńcach, które oblewały jej twarz aż po cebulki włosów, bardzo jasnych oczach i mocno skręconych złocistych włosach, zawsze upiętych wysoko do góry, miała niezwykle małe, bardzo zgrabne –

kontrastujące z tęgą, dość ciężką sylwetką – stópki i także dłonie, zdobne w piękne pierścionki.

Jak już wspominałam, gdy po raz pierwszy weszła do klasy – z surową miną, bez śladu uśmiechu – i zaczęła czytać listę obecności, martwą ciszę przerwał tłumiony chichot dwu dziewczyn siedzących w pierwszej ławce pod oknem. Wtedy profesorka spojrzała surowo w tamtą stronę, a w jej oczach zapłonął gniew. I nagle krzyknęła tak, że zamarliśmy ze strachu: – Wielgus, Tarnopolski, cisza!

Profesorzy zawsze zwracali się do nas po nazwisku, ale zdziwiła mnie ich znajomość już na pierwszej lekcji. Okazało się, że kilku uczniów z naszej klasy profesorka Oleńska знаła doskonale, bowiem w tej szkole kończyli podstawówkę w klasach TPD, a męskie formy ich nazwisk miały podkreślać oficjalny ton i kategoryczność uwagi. Upomniane dziewczyny zamilkły, ale już na przerwie głośno się śmiały i tłumaczyły, że profesorka tylko udaje groźną, a tak naprawdę jest miła i łagodna.

Jednak na jej lekcjach zawsze siedzieliśmy grzeczniutko, a ona – spoglądając na nas surowo – odpytywała znajomości słówek, czy łacińskich tekstów. Czasem nawet krzyczała, była niezwykle wymagająca i restrykcyjna, ale serce miała złote i niewątpliwy talent do wtłaczania nam różnych regulek i innych zawiłości łacińskiej gramatyki. Eugeniusz Jasiński pisał: „Dzięki niej łacina okazała się językiem łatwiejszym do nauczenia, a nawet przez wielu uczniów bardzo lubianym. Dotyczyło to szczególnie tych, którzy w przyszłości chcieli zająć się medycyną”.

Atmosfera panująca na lekcji łaciny przypominała trochę tę, z „Ferdurke”, choć profesorka nie miała nic z gombrowiczowskiego „człowieczka z bródką”:

Gombrowicz pisał: „Rozległ się dzwonek i do klasy wkroczył mały człowieczek z bródką i siadł na katedrze [...]. Śmiertelna cisza zaległa w klasie, gdy otworzył dziennik”.

Pisarz był świetnym obserwatorem. A „Śmiertelna cisza”, że było słychać brzęczenie komara, to była typowa – w moich szkolnych czasach – sytuacja na lekcjach każdego prawie przedmiotu. Wszyscy uczniowie „kurczyli się w sobie”, zapadali w głąb, chowali oczy, sznurowali usta i oczekiwali z nadzieją, że to nie ich nazwisko będzie wycytane do odpowiedzi. Jeśli nauczyciel nie miał łatwego do rozszyfrowania systemu odpytywania, wszyscy trwali w strasznej niewiedzy. A potem na jednym obliczu wykwitał strach i zdesperowanie, a na pozostałych – wyraźna ulga, ożywienie, szczęście. Oddajmy jednak głos Gombrowiczowi:

„Profesor otworzył dziennik – rzucił rozjaśnionym okiem ku górze listy i wszyscy, co na „A”, zadrżeli – rzucił okiem w dół i wszyscy na „Z” zamarli ze strachu. Gdyż nikt nic nie umiał, zapomniano odpisać łacińskiego tłumaczenia. Starano się nie istnieć, starano się nie egzystować, uczniowie kurczyli się, szarzelili i nikli, wciągali w siebie brzuch, ręce i nogi, lecz nikt się nie nudził, o nudzie nawet mowy być nie mogło, gdyż wszyscy bali się ponuro, i każdy z bólem strachu oczekiwał; i nie wiadomo, co było wreszcie bardziej szalone, nieistotne, chimeryczne – twarze czy niepojęte „accusativy cum infinitivo”.

Profesorka Oleńska cytowała nam słowa Pliniusza, że „umysł żywi się ciszą nocy”, więc często po nocach wkuwaliśmy na pamięć różne łacińskie mądrości. I już wkrótce wszyscy wiedzieliśmy, co to singularis i pluralis, maskulinum i femininum, plusquamperfectum i futurum, o „praesensie” nawet nie wspomnę.

Pamiętam, że gdy pewnego razu przyszedł na hospitację lekcji dyrektor Pietrzykowski, płynnie recytowaliśmy: „Arma virumque cano, Troiae qui primus ab oris Italiam...” i wszyscy wiedzieliśmy, jak utworzyć owo „accusativus cum infinitivo”. Na tej jedynej lekcji profesorka Oleńska była dla nas słodziutka jak miód, a dyrektor kiwał z zadowoleniem głową.

A dyrektor Wiktor Pietrzykowski – jak wspominał profesor Czesław Surowiec – hospituując lekcję „potrafił wyłować każdy błąd metodyczny i merytoryczny, nie tylko w przedmiotach humanistycznych, ale również ścisłych”.

Dużą sympatią darzyła profesorka uczniów pochodzących ze wsi. Pytała o nasze problemy, czasem pobłażała błędom. W pierwszej klasie wykladała też historię, a przede wszystkim uczyła nas, jak czytać zadane teksty ze zrozumieniem, wychwytywać to, co ważne, wyciągać wnioski oraz umiejętnie przygotowywać się do lekcji. To dzięki niej polubiłam starożytność.

Krzysztof Cios podziwiał odwagę i uczciwość profesorki: „Historyczka Oleńska, na ile mogła, próbowała nas uczyć prawdziwej historii Polski”.

Bardzo ją szanowaliśmy. Nie chcieliśmy jej zawieść, baliśmy się jej surowego wzroku, ostrego komentarza i kolejnej dwójki. Liczyliśmy się bardzo z jej zdaniem, braliśmy do serca każdą jej krytyczną uwagę i przeżywaliliśmy każde dobre słowo.

A zwracała uwagę nie tylko na nasze postępy w nauce, ale interesowała się naszymi warunkami życia, piętnowała niewłaściwe zachowania, prychała, widząc niewłaściwy ubiór czy jakieś ozdoby. Barbara Lis [Kołodziej], absolwentka z roku 1956 roku wspominała, że tak bała się krytycznej opinii profesorki, że nawet po zdaniu matury, zakładając jakiś odważniejszy

ciuszek czy duże klipsy, zawsze zastanawiała się, co powiedziałyby na ich temat profesorka Oleńska.

Pamiętam pewną piękną, wiosenną niedzielę; promienie słońca wpadające do izby przez uchylone drzwi, pękające czerwone pąki na czereśni rosnącej za oknem, na stole pączki obsypane cukrem-pudrem, jeszcze skwierczące po wyjęciu z gorącego smalcu i – całe kolumny łacińskich słówek do wkucia...

Wówczas nienawidziłam tych słówek, ale łacina, której się nauczyłam dzięki zacnej, mądrej profesorce Helenie Oleńskiej, wielokrotnie mi potem służyła.

Profesorka zmarła w 1979 roku i została pochowana na Starym Cmentarzu w Dębicy, a języki klasyczne odeszły do lamusa historii.

Oprócz łaciny i greki, ważną rolę w edukacji uczniów naszej szkoły pełniły również tzw. języki zachodnie. Jednym z nich był język niemiecki.

Michał Urbanek wspomina „młodego, przystojnego” germanistę Adama Daneckiego, pracującego w naszym gimnazjum od 1903 roku, a Jan Wiktor – nauczyciela języka niemieckiego, którego nie wymienia z nazwiska. Prawdopodobnie był to Zenon Keffermuller, który rozpoczął pracę w naszym gimnazjum w roku 1908.

„Trudno mi pominąć nauczyciela od niemieckiego. Oczy niebieskie. Włosy płowe, gładko uczesane. Twarz podłużna, surowa, z żył i kości. Nazwisko zaś jakby wykute z niemieckiego pancerza, czy miecza znalezione go na pobojuwisku, toteż nappełniało grozą. I on uczył miłości do ziemi ojczystej; dawał przykłady bohaterstwa i wśród twardych słów niemieckich, dźwięczących żelazem, wystrzelił okrzyk: – Serce budź! Więzy rwij! Kiedy indziej rzucił jak żagiew z mroków: – „Polska to jest wielka rzecz!”

Niechaj to będzie waszą wiarą, wyzwaniem i przysięgą. Jeśli cię przybiją do krzyża, to oderwij ręce i walcz, jeśli cię przykują do skały jak Prometeusza, to skrusz więzy. Nie po to jesteś stworzony, aby serce twoje rozszarpały kruki [...].

Kiedyśmy go żegnali, wypowiedział słowa podobne do krzyku śmiertelnie zranionego i zbrogzonego krwią:

– A wiecie dlaczego miłuję Polskę? Bo skrzywdzona, bo w niewoli, bo nędzna... to moja ojczyzna. Słyszeliśmy pod krzyżackim pancerzem z żelaza serce bijące Polską”.

Od 1905 roku języka niemieckiego zaczął uczyć profesor Fryderyk Müller, a od 1915 – profesor Marek Goldschlag, szczącący się tytułem doktora.

Adam Przewłocki wspominał: „Profesor Goldschlag ukazywał wartość dzieł niemieckiej literatury, uczył na wysokim poziomie, co zmuszało do wysiłków. Pracowicie przerabiał z nami „Marię Stuart” Schillera i „Fausta” Goethego. To studium prowadzone przez profesora, może na zbyt wysokim poziomie, jak na naszą znajomość języka niemieckiego, zmuszało jednak do uzupełnienia naszych w tym zakresie braków i wpoilo nam zrozumienie wartości arcydzieł niemieckiej poezji”.

Od 1918 roku języka niemieckiego uczył profesor Stanisław Wiśniewski, a od 1923 – profesor Aleksander Stisany. Stanisław Ozóg zapamiętał, że profesor Stisany „nie znosił przeciągów. Stąd uczniowie umyślnie otwierali okna przed jego wejściem do klasy, ażeby mieć uciechę z jego sakramentalnego: – Zamknij ten przeciąg”.

Pod koniec lat dwudziestych dołączyli do grona germanistów: profesor Leon Bard i profesor Józef Cięciela, który uczył języka niemieckiego w naszej szkole również po II wojnie światowej. Jan Szymaszek wspominał, że „nastroszony wąs profesora Cięciela sprawiał pozory srogości; w rzeczywistości był on nauczycielem wymagającym, ale bardzo życzliwym”. Barwną postać tego nauczyciela wspominają również inni jego uczniowie.

Marian Gundboeck: „Nauczyciel starego formatu, który prowadził lekcje w języku polskim, ale zadawał nam dużo ćwiczeń gramatycznych i wiele wierszy musieliśmy nauczyć się na pamięć. Wieczorem można go było ujrzeć, jak w roboczym ubraniu, w dużym kapeluszu i na bosaka pędził do domu z pastwiska dwie krowy”.

Edmund Król: „Szczególnie serdecznie wspominam profesora Józefa Cięciela. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, z sarmackim wąsem. Poruszał się powoli, dlatego, że dużo fizycznie pracował. Był bardzo dobrym wychowawcą, który wtajemniczał nas nie tylko w sekrety obcego języka, lecz także swoim postępowaniem kształcił nasze charaktery”.

Jan Szymaszek: „Profesor interesował się losami wychowanków po maturze”. Niezdecydowanego maturzystę Szymaszka profesor zachęcił do zdawania na medycynę i dał mu list polecający. Po ukończeniu studiów – w latach 1946/1947, a potem w 1949 roku – Jan Szymaszek pełnił w liceum funkcję szkolnego lekarza.

W 1945 roku rozpoczął naukę niemieckiego w naszej szkole profesor Marian Safir.

Przez parę lat germanistką w liceum była też profesorka Danuta Smetana – wspomniały pedagog, późniejszy prezes dębickiego oddziału ZNP, członek Komisji Kultury, organizatorka wymiany młodzieżowej z zagra-

nicą, autorka odczytów pedagogicznych, która ostatecznie wybrała pracę w Technikum Ekonomicznym. Ta, niezwykle lubiana i ceniona przez uczniów nauczycielka twierdziła: „Miłość do zawodu – z tego płynie wszystko. Do tego należy dodać chęć do pracy, aktywność i pomysły”.

W 1972 roku germanistką w naszej szkole została profesorka Urszula Piękoś.

Była wysoką, postawną, pełną uroku blondynką, o jasnej cerze i włosach ułożonych w kunsztowną fryzurę. Jej twarz – zawsze w starannym makijażu – rozjaśniał rozbrajający, płomienny uśmiech. Jak powiedział jeden z kolegów, była kobietą luksusową, że „klękajcie narody”, która idąc, „rzucała elegancki cień”. Rzeczywiście, profesorka Urszula poruszała się z gracją, wdziękiem i z klasą.

Zawsze elegancko ubrana, w zagranicznych butach, szykownych żakietach i ozdobnych bluzeczkach, prezentowała wielkomiejski szyk i nienaganne maniery. Jej barwne sukienki i bluzeczki wyróżniały się wesoło na tle smutnej szarości panującej wokół nas. Była jak piękny, „malowany ptak”.

Profesorka Urszula miała bardzo duży talent wokalny i w dzieciństwie marzyła, by zostać śpiewaczką operową. Ale młodzieńcza miłość przywiodła ją z rodzinnego Grudziądza aż do Dębicy, co odmieniło jej losy. Jednak zawsze występowała w jakichś zespołach artystycznych, czy chórach, gdzie mogła śpiewać, realizując swą pasję. Pamiętam, gdy w kościele klasztornym występowała z chórem śpiewającym kolędy. Jej świetne partie solowe były oklaskiwane najbardziej rzęsiście. Brała też udział w przygotowywanych przez profesora Pawła Adamka operach.

W pracy obowiązkowa, uporządkowana, kompetentna; wręcz pasjonatka w uczeniu języka niemieckiego, traktowała swą „misję” bardzo poważnie i odpowiedzialnie. Z entuzjazmem i skrupulatnością realizowała program nauczania punkt po punkcie, wymagając również od uczniów pracowitości, solidności i systematyczności.

Trochę się jej nawet obawialiśmy, bo gdy któreś z naszych, nauczycielskich pociech czegoś nie umiało, zaraz na przerwie biegła na skargę, strofując nas nawet trochę i żądając zmobilizowania dziecka.

Z łatwością umiała podporządkować sobie młodych ludzi, ale robiła to z takim wdziękiem, że uczniowie szanowali ją i lubili, chociaż czuli przed profesorką respekt. To o niej ta fraszka na motywach Mickiewiczowskiej ballady:

„Zbrodnia to niesłychana
Pytać od rana”.

Profesorka Urszula była kobietą energiczną, pełną zapału, towarzyską, spontaniczną, lubianą przez wszystkich. Zawsze miła, zawsze dla każdego miała wesoły, szeroki uśmiech i dobre słowo, bo – jak mówiła – „dobre słowo leczy smutki”.

Pamiętam, jak pewnego razu ktoś w pokoju nauczycielskim mówił, że ponoć w parku grasuje gwałcieciel, więc lepiej unikać chodzenia tam po zmroku. Wtedy profesorka Ula rozbijając zapytała: – Tak? A ja tam wciąż chodzę i nikt się nawet nie zapyta. I roześmiała się figlarnie, budząc powszechną wesołość.

Profesorka Urszula miała naturę ognistą, była żłakniona życia, pełna planów; wydawała się wprost niezniszczalna. Ale i ona odeszła na zawsze – nieodwołalnie, stanowczo za wcześnie. Jej grób znajduje się na cmentarzu przy ulicy Wielopolskiej.

W 1975 roku rozpoczęła pracę w naszej szkole germanistka Maria Grek, absolwentka liceum z 1969 roku.

Jak wspominała absolwentka Anna Szczepanik [Nauka] kilka lat ucząca w liceum przysposobienia wojskowego: „profesorka była osobą niezwykłą, profesjonalną i empatyczną, zawsze odpowiedzialną i ciepłą, wrażliwą i wspańiałomyślną”.

Niezbyt wysoka, czarnooka i ciemnowłosa, bardzo kobieca, o pięknym uśmiechu zdobiącym jej twarz, zawsze ze starannym makijażem, przyciągała uwagę eleganckim ubiorem z gustownie dobranymi dodatkami: kolorową apaszką, koralikami czy oryginalną broszką. Jej pogodny charakter udzielał się i nam, gdy wbiegała do pokoju nauczycielskiego, zawsze z jakąś interesującą sprawą, dobrym słowem, czy optymistyczną wiadomością. Stąd taki limeryk:

„Pewna Marysia, choć „grecka”,
A nawet trochę „niemiecka”,
To polska, swojska i nasza -
Styl, elegancja i klasa.
Gdzie stąpnie, tam smutki rozprasza”.

Profesorka Marysia biegła po szkole z wielkim zapałem, ciągle załatwiając sto różnych spraw, jako że oprócz nauczania języka niemieckiego, pełniła różne funkcje społeczne: nauczycielskiego doradcy języka niemieckiego, eksperta MENiS, członka komisji kwalifikacyjnej dla nauczycieli ubiegających się o awans zawodowy, prezesa Oddziału ZNP w Dębicy czy wiceprezesa Zarządu Okręgowego ZNP w Rzeszowie.

Energia wprost ją roznosiła; była takim „niespokojnym duchem”, mającym wiele pomysłów i planów, a przy tym pewnym siebie, konsekwentnie i uparcie dążącym do celu.

Współpracowała z ambasadą niemiecką, z Inter Nationes w Bonn, z Instytutem im. Goethego w Krakowie, a także z niemieckim gimnazjum w Booppard, dzięki czemu organizowała wymianę młodzieży obu szkół, trwającą po kilka tygodni.

Dla uczniów profesorka Marysia była łagodna, wyrozumiała i serdeczna, a w jej oczach zawsze lśnił szlachetny blask. Stąd fraszka, nawiązująca do jej nazwiska i profesji:

„Nie wiem, czy „grecka”,
Czy „niemiecka”.
Wiem, że nie skrzywdzi
Żadnego dziecka”.

Język niemiecki zawsze wydawał mi się szorstki, chropowaty, kanciasty jak siekierą cięte kawałki drewna. Brzmiał nieprzyjemnie, wręcz groźnie – zapamiętany z wojennych filmów i z zajęć lektoratu na uczelni, gdzie surowy wykładowca podkreślał jeszcze swą twardą wymową jego obcość i wrogość. Gdy uczył niemieckich przysłów: „Lenistwo rodzi choroby”, „Każdy swój towar chwali”, „Nie prosz o to, co możesz wziąć”, „Zbytńia dobroć jest szkodliwa” itp. podkreślających charakter Niemców, buntowaliśmy się, przeciwstawiając im nasze, polskie: „Co masz zrobić dziś zrób jutro, będziesz miał dzień wolnego”, „Każda pliszka swój ogonek chwali” czy „Łatwiej radzić niż dopomóc” – o ileż milej brzmiące, stworzone z przymrużeniem oka i z wyrozumiałością dla ludzkich słabości.

Niemieckie wyrazy, wypowiedane przez profesorkę Marysię głosem łagodnym jak jedwab, miały zaskakującą miękkość, szlachetność i gładkość jak oheblowane drewno. Udomowiała, uładzała, oswajała, zaokrągliała szorstkość i obcość niemieckiego języka, nadając wypowiedanym słowom przyjemne dla ucha brzmienie. Można było jej słuchać z przyjemnością – nawet nie rozumiejąc. Opromieniała wypowiedane wyrazy tym swoim uśmiechem: żywym, autentycznie szczerym, zawsze goszczącym na jej twarzy. Potwierdzała tym słowa Wojciecha Młynarskiego, że „nie zawsze bas dociera do mas; czasami trzeba piano”.

To zdarzyć się nie mogło, a przynajmniej absolutnie nie powinno. A jednak się zdarzyło. Staliśmy nad trumną profesorki Marysi oniemiałi

i sparaliżowani bólem. Po ciężkiej chorobie odeszła 18 listopada 2017 roku; tak nieodwołalnie, tak ostatecznie.

Nieśliśmy na ogołocony z liści, jesienny cmentarz – który na czas pogrzebu wyłocił się zimnym, późnojesiennym słońcem – nasze zaskoczenie, nasz żal, smutną refleksję o tragizmie ludzkiego losu i o tajemnicy śmierci, która – jak pisał filozof Leszek Kołakowski – „jest końcem tej czasowości, w której byliśmy zanurzeni w życiu naszym i wejściem w inną czasowość, o której nic nie wiemy”.

Starożytny poeta rzymski Horacy pisał: „non omnis moriar” – nie umrę cały. Te słowa niosą z sobą iskrę nadziei. Profesorka Marysia zostanie na zawsze w naszej pamięci, bo była człowiekiem niezwykle szlachetnym, życzliwym, łagodnym, pełnym optymizmu, pasji działania, gotowości do spieszenia z pomocą, ambitnym, poświęcającym się pracy dla innych.

Pamiętam, jak przejmowała się losami uczniów, interesowała się ich postępami, broniła ich i pomagała. Chętnie przysiadła w pokoju nauczycielskim i rozmawiała z nami o naszych troskach, a jeśli mogła wspierała nas; nie tylko dobrym słowem i życzliwym uśmiechem. Jak wspominałam, po czarnobylskiej katastrofie zdobyła gdzieś – podawany tylko dzieciom – płyn Lugola i przyniosła do pokoju nauczycielskiego, byśmy też skorzystali z tego „antidotum”. W czasach największego kryzysu, gdy na sklepowych półkach był tylko ocet, wyprosiła gdzieś spod lady wielką bryłę masła, które – podzielone na kawałki nieśliśmy do domu jak skarb.

Inicjowała i organizowała wycieczki: do Nałęczowa, Lublina, Warszawy, Krakowa, w czasie których bywała przewodniczką, a dzięki fantazji i bezpośredniości, którymi się wyróżniała, także „duszą towarzystwa”. Wraz z profesorką Lidką Górską przygotowywała cudowne spotkania nauczycieli pod nazwą „Herbatka u Władka”.

Pamiętam, jak się cieszyła, gdy napisałam dla niej wiersz na jakąś miejską akademię z okazji Dnia Nauczyciela. Zaczynał się cytatem z Tuwima: „Mimozami jesień się zaczyna”:

„Mimozami jesień się zaczęła
I październik smętny jest i senny,
I o uśmiech niełatwo i radość
W ten zamglony poranek jesienny.
Lecz uśmiechy, życzenia i kwiaty -
Wbrew jesieni i mgłom tym, i słotom
Pedagogom – uczeń i poeta

Pragną dziś podarować z ochotą.
Niech ten uśmiech i kwiaty, i wiersze,
Co wyrazem są uczuć uczniowskich
Dzień Wam każdy w wesele przemienia,
A łzy z domów wypędzą, i troski.
Nieraz pewnie Wam ciężko jest z nami,
Gdy nas radość najdziksza rozpiera
I już znieść nie możecie czasami,
Że uparcie dzielimy przez zera.
Ale przecież to prawda niezbita:
Pedagodzy siewcami są złota
I po latach w plon obfity się zmienia
Wasza żmudna, niewdzięczna robota.
Wtedy, chociaż stroskani, zmęczeni,
Spoglądając na życie swe całe
Zobaczycie, jak było bogate,
Jak potrzebne, piękne i wspaniałe”.

Profesorka Marysia była kobietą wrażliwą, subtelną, kochała ludzi, zachwycała się pięknem świata i łatwo ulegała emocjom. Podczas spotkania nauczycieli-emerytów dębickiego oddziału ZNP, na którym czytano fragmenty mojej książki „Pola zielone, wciąż widzę je...” wręczyła mi kwiaty ze łzami wzruszenia i serdecznymi życzeniami. Tamten jej uśmiech i wzruszenie wciąż żyją we mnie.

Miała niezwykłą umiejętność kontaktowania się z innymi; wszyscy czuliśmy się przy niej dobrze i komfortowo.

Wielu z nas wiadomość o ciężkiej chorobie profesorki Marysi przyjęło z niedowierzaniem i niepokojem. Mając poczucie zupełnej bezradności, przesłaliśmy jej tylko „papierowe” życzenia i lukrowane odpustowe serduszek – naiwne i słodkie. I czekaliśmy – z nadzieją i niepewnością.

Śmierć zawsze przychodzi nie w porę. Zawsze za wcześnie, zawsze nieodwołalnie i ostatecznie. Ale przecież jest zdecydowanie wpisana w nasz los. Wszyscy umrzemy, a jak powiedział w homilii ksiądz proboszcz parafii Krzyża Świętego Jacek Wątroba, wśród zgromadzonych tak licznie żałobników jest też ten, kto będzie następny.

Spoglądając na zimne niebo nad cmentarzem, zastanawialiśmy się, czy uwolniona od cierpień profesorka Marysia spogląda na nas – tak bezrad-

nych, tak mizernych, drepcących wokół codziennych spraw, strwożonych nieprzewidywalną przyszłością.

Wracając do domów, zerkaliśmy ostatni raz na pokryty mnóstwem kwiatów i wieńców grób, a na usta cisnęły się nam słowa osiemnastowiecznego poety: „Ona już doszła, my jeszcze biegniemy”...

Profesorka Maria Grek została za swe zasługi odznaczona Brązowym, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Od roku 1983 roku germanistką w naszej szkole była profesorka Lidia Pogorzelska – absolwentka liceum z 1977 roku, moja wychowanka.

Profesorka Lidka była szczupłą, elegancką brunetką, kruchą i delikatną, o niebieskich, mądrych oczach, w których czał się jakiś smutek, zamyślenie i melancholia.

Miała introwertyczną naturę: spokojna i poważna, małomówna i skromna, wrażliwa i szlachetna, jakby trochę wycofana, ostrożna i powściągliwa w wyrażaniu opinii, zamknięta w sobie, posiadała jednak wielką siłę wewnętrzną i odporność na przeciwności losu. Skrzętna jak pszczołka, zaabsorbowana pracą, rzetelna, odpowiedzialna, zdyscyplinowana, zatroskana o wychowanków, prostolinijna i szczerą, cieszyła się ogólną sympatią i autorytetem. Stąd fraszka:

„Tę pszczołkę, którą tu widzicie zowią Lidką,
Choć pracowita, ma tę cechę brzydką -
Lubi pytać w każdy czas,
Chociaż główki bolą nas.
Ale wszyscy kochamy profesor Pogorzelską,
Bo zawsze ma dla nas cierpliwość anielską”.

Kolejnymi germanistkami, które w naszej szkole uczyły języka niemieckiego były profesorki: Joanna Krok [od 1990 roku] i Magdalena Piotrowska [od 1994 roku]. W zatrudnieniu profesorki Asi Krok miałam swój udział.

Przez pewien czas należałam do jakiegoś kierowniczego gremium, które m.in. decydowało o zatrudnianiu nauczycieli. Nigdy nie chciałam pełnić żadnej takiej funkcji i szybko z niej ustąpiłam. Absolutnie nie mam duszy przywódcy; na samą myśl, że musiałabym komuś coś nakazywać, oblewa mnie zimny pot. Gdy parokrotnie dyrektor Galas – wyjeżdżając gdzieś – polecał mi, by go zastąpić w pilnowaniu porządku w szkole, cierpiałam ze

strachu, wyobrażając sobie, że nagle w szkole wybucha pożar. – Boże, co ja wtedy zrobię?

Pamiętam, że w głosowaniu nad kandydatami na germanistę mój głos przeważał na korzyść profesorki Asi.

Nie znałam jej wcześniej. Ale nie pochodziła z Dębicy jak inni kandydaci i to przypomniało mi moje pierwsze starania o pracę. Gdy podczas rozmowy z ówczesnym inspektorem oświaty nieśmiało protestowałam przeciwko wskazanej mi przez niego placówce – oddalonej od miasta, bez dojazdu i prądu elektrycznego – powiedział z przekąsem: – A co, pewnie by pani chciała od razu pracować w Dębicy!

Niestety, nas, nauczycieli pochodzących z wiosek, bez żadnych znajomości, „zsyłano” na najbardziej nieatrakcyjne placówki. I choć Stasiówkę – gdzie wówczas „diabeł mówił dobranoc, ale anioł malował precudne pejzaże” – wspominam jak najmilej, to tamte słowa inspektora długo mnie bolały. Dlatego – między innymi – poparłam profesorkę Asię.

W 1994 roku dołączyła do nas kolejna germanistka – profesorka Magda Piotrowska; bardzo miła, ciepła, spokojna, sympatyczna, otwarta i bezkonfliktowa, zawsze z uśmiechem na twarzy, chętna do rozmowy, pogodna, delikatna, taktowna, rzeczowa i opanowana.

Kolejnym językiem obcym wykładanym w naszej szkole był język rosyjski, wprowadzony jako obowiązkowy po II wojnie światowej. Ponieważ wówczas brakowało odpowiednio przygotowanych nauczycieli, zatrudniano jako rusycystów również Rosjan, jeśli posiadali jakiegokolwiek wyższe wykształcenie.

W naszej szkole od 1944 roku uczył języka rosyjskiego profesor Jan Cichocki, od 1945 roku – Klementyna Strzechowska [Katówna], zwana „Katią” [absolwentka z 1924 roku], od 1948 roku – Małgorzata Michalczenko, a od 1949 roku również ówczesny dyrektor szkoły – Jan Czyhin.

Profesorka Małgorzata Michalczenko – Rosjanka, ponoć absolwentka paryskiej Sorbony, starsza już wówczas kobieta, nazywana była przez uczniów „Babuszką”.

Alferda Ździebło wspominała, że była niezwykle skromna i dobra. Ponieważ mówiła po polsku niezbyt gramatycznie, uczniowie jej ciągle dokuwali i wyśmiewali się z niej. Znosiła to z wyrozumiałym uśmiechem.

Potwierdzał to Eugeniusz Jasiński, pisząc: „Była niezwykle skromną osobą pochodzącą z Rosji, znacznie starszą od innych nauczycieli; w swoim życiu, o czym nam sama mówiła, przeszła gehennę związaną z działaniami wojennymi, w których straciła całą rodzinę. Swoje miejsce odnalazła w Dę-

bicy i otrzymała pracę w naszej szkole. Języka rosyjskiego uczyła z wielką starannością. Po polsku mówiła niezbyt gramatycznie, co było często powodem śmiechu ze strony uczniów. Znosiła to jednak zawsze z uśmiechem. Była dla nas „kochaną Babuszką”.

O takim niepoważnym zachowaniu wobec mojego nauczyciela języka rosyjskiego nie mogło być mowy. A był nim profesor Józef Nowak, który rozpoczął pracę w liceum w roku 1952.

Młody, energiczny, poważny, powściągliwy, skrywający emocje głęboko w sobie – już swym surowym wyglądem wzbudzał respekt, stąd jego przydomek „Car Józef I”. Uczniowie czasem też mówili o profesorze Nowaku – „Rusek”.

Wysoki, bardzo szczupły, prosty jak świeca, zdecydowany w ruchach, był obsesyjnie wręcz pedantyczny. Zawsze w świeżych koszulach zdobnych w dyskretny krawat, w spodniach zaprasowanych w ostry kant, że mógłby nim papier ciąć, w lśniących nienaganną czernią butach wchodził do klasy, gdy jeszcze brzmiały ostatnie dźwięki dzwonka.

Nosił drogą skórzaną teczkę, w której skrywał starannie ułożone podręczniki, kartki papieru zapisane zielonym atramentem i sekretny notesik – źródło naszych udręek i domysłów. „Elegancki to on zawsze był, trzy koszule w jeden dzień”...

Profesor Nowak miał naturę estety. Lubiał firmowe piękne pióra ze złotą skuwką, którymi pisał niezwykle starannie, kaligraficznie, pięknie. Myślę, że mógłby być chyba wirtuozem fortepianu, bo miał smukłe, długopalczaste dłonie pianisty.

Swoje obowiązki traktował bardzo serio i z wyjątkową gorliwością. Bezszereśtnie poruszał się po szkole, zjawiając się niespodziewanie w różnych miejscach, wyrzucając nas w czasie przerwy na korytarz, piętnując zbyt głośne zachowanie, brak tarczy, czy inne przewinienia.

Ogromnie baliśmy się, żeby nas nie zobaczył po lekcjach „na mieście”. Wtedy należało czym prędzej wracać do domu i wkuwać, bo nazajutrz ostre pytanie było pewne jak dwa razy dwa. Aż chciało się zaśpiewać:

„My młodzi, my młodzi,
Czy pana to obchodzi”?
Ale któż by śmiał...

Profesor Nowak wymagał od nas solidnej nauki, wzorowej dyscypliny, pilności i systematyczności. Wydawał się trochę wyniosły i chłodnego

usposobienia; zachowywał też wobec uczniów duży dystans. Zawsze wypowiadał się *ex cathedra*, a gdy rzucił czasami jakiś żart, wiedzieliśmy, że należy się grzecznościowo śmiać, choć zazwyczaj nie było nam do śmiechu. Na przykład żartował, że gadającym uczniom zaklei usta przyklepcem, który wraz z nożyczkami kładł przed sobą na stole; wpisywał też uwagi o niewłaściwym zachowaniu do swego tajemnego kajecika. Od pierwszej do ostatniej minuty lekcji trzeba było być czujnym i gotowym do odpowiedzi.

Pytał słówek, czytania i opowiadania podręcznikowych tekstów, znajomości życiorysów rosyjskich pisarzy, robił słabym uczniom indywidualne, niespodziewane sprawdziany. Nie cierpiał lenistwa, narzekania, usprawiedliwiania się; a jeśli już, to tylko po rosyjsku. Choć z naszą znajomością języka rosyjskiego bywało kruch, to pewnie – obudzeni nawet w środku nocy – umielibyśmy jeszcze dziś wyrecytować usprawiedliwienie:

– Gaspadin prafiesor, pażałujsta, ja zabyła tietrać, knigu, czy czegoś tam jeszcze... Bo tłumaczenia w języku polskim na nic się zdawały.

Baliśmy się jednak usprawiedliwiać, baliśmy się spóźniać, baliśmy się odpowiadać, bo profesor wydawał nam się oschły, nieprzystępny i twardy. Sypały się dwójki, uwagi i krytyczne komentarze.

Pamiętam, gdy tuż po rozpoczęciu mojej „kariery uczniowskiej” w liceum, polecił mi przeczytać jakiś tekst z podręcznika i co chwilę, surowo wykrzykiwał: – „Z udarzeniem”!

Nie wiedziałam, o co profesorowi chodzi. W mojej wiosce – pewnie jak w wielu innych – nauczyciele uczyli czytania i pisanie w języku rosyjskim, kilku tekstów na pamięć, np. że „pasadil died riepku, urosła riepka bolszaja, priebolszaja...”, ale nie przywiązywali uwagi do właściwego akcentowania rosyjskich wyrazów. Więc z tym „udarzeniem” ja i wielu kolegów nie mogło sobie dać rady. I było jak w tej fraszce:

„Fiku miku, fiku miku –
Pełno dwójek już w dzienniku”.

Chociaż zazwyczaj „na ruskim” siedzieliśmy jak trusie, chociaż nie było mowy o jakimś kręceniu się, szeptach czy uśmieszkach, to czasami zdarzały się lekcje-niespodzianki; bardzo fajne i „na luzie”. Profesor przynosił swój gramofon i uczył nas jakiejś ślicznej rosyjskiej piosenki, jak ta o rwanym czeremchu dla ukochanej dziewczyny, zaczynająca się od słów: „Szto druzja słucziłosja sa mnoju, abłamał ja wsju czieriemuchu wiesnoju...”, którą szybko zapamiętaliśmy i lubiliśmy nucić, nie tylko na lekcjach języka

rosyjskiego. „Zapiewalismy” więc wesoło, a na twarzy profesora błąkał się nieśmiały uśmiech.

Profesor Józef Nowak kierował też grupą recytatorów literatury rosyjskiej. Organizował szkolne wieczory poezji, a także wyjeżdżał z nami do zakładów pracy, by dostarczać „duchowej rozrywki” masom pracującym.

Zwyczaj propagandowych wyjazdów młodzieży w teren nie był czymś nowym. Potwierdzenie możemy znaleźć np. w sprawozdaniu dyrekcji liceum z roku szkolnego 1951/1952: „Młodzież nasza, a szczególnie ekipy artystyczne, wyjeżdżając w teren do gromad i zakładów pracy zacieśniają więzi z młodzieżą robotniczą i chłopską”.

O podobnych akcjach wspominała też Alfreda Żdziebło: „Grupy agitacyjne, czyli coś w rodzaju zespołów artystycznych, wyjeżdżały na wieś, gdzie miały uatrakcyjnić zebrania wiejskie. Wyjeżdżaliśmy po lekcjach, ciężarowym samochodem, często tonęliśmy w błotach, bo drogi bite były wówczas na wsi nieznane”.

Pamiętam, gdy również do szkoły w mojej wiosce przyjechała młodzież z liceum, należąca do ZMP, z występami artystycznymi i ideologiczną pogadanką. My też „zacieśnialiśmy” więzi z klasą robotniczą.

Owi robotnicy, „zgonieni” po pracy do wielkiej, fabrycznej hali – zmęczeni, głodni, marzący o powrocie do domu, gdzie czekały ich przecież obowiązki rodzinne – zmuszani byli słuchać naszych uczniowskich popisów. Pamiętam, jak recytowałam:

– „O Wołgo-matko!
Teraz mi wypadło
Po tylu latach powitać twe fale...”

Przymusowych widzów na pewno mało interesowała rosyjska poezja, w tym „Wołga-matka”, ale profesorowi Nowakowi bardzo się te popisy podobały, więc potem na lekcjach traktował recytatorów ulgowo. I zazwyczaj okazywało się, że uwolnieni od presji i strachu, łatwiej przyswajaliśmy sobie i język, i wiadomości z – pięknej przecież – rosyjskiej literatury.

Profesor Nowak organizował też wyjścia do kina na filmy radzieckie, szczególnie w październiku, w ramach „Miesiąca Filmów Radzieckich”. Niektóre z nich były naprawdę ciekawe i piękne. Pamiętam, jak przeżywaliśmy film „Czterdziesty pierwszy” w reżyserii sławnego Grigorija Czuchraja, reprezentujący tzw. „nową falę” w radzieckiej kinematografii, a opowiada-

jący o miłości czerwonogwardzistki do „białego” oficera, z tragiczną sceną finałową, w której dziewczyna strzela ukochanemu w plecy.

Po dziesięciu latach profesor Józef Nowak został moim kolegą z pracy. Był już wtedy zastępcą dyrektora, ale od początku wydał mi się dużo bardziej przyjazny, łagodny i tolerancyjny niż dawniej, choć wciąż czułam przed nim respekt.

Pewnego razu przyszedł do mnie na hospitację lekcji i bardzo się wzruszył, gdy zacytowałam – oczywiście z pamięci – fragment wiersza, którego uczył mnie przed laty. Omawialiśmy powtarzający się w utworach literackich horacjański motyw „Non omnis moriar” i utwór Aleksandra Puszkina, zaczynający się od słów „Ja pamiatnik siebia wazdwig nierukatwornyj” był tu świetnym przykładem. W połowie lekcji przerwałam dyskusję, by przeprowadzić obowiązkowe wtedy ćwiczenia śródlekcyjne.

Nie były one całkowitą nowością. Marian Grundboeck wspominał podobną sytuację z lat trzydziestych XX wieku: „W połowie każdej lekcji słychać było dźwięk dzwonka. Nauczyciel wówczas przerywał lekcję na dwie minuty, a uczniowie wstawali, wykonywali rękami oraz górną połową ciała kilka ćwiczeń gimnastycznych”.

Choć uważałam, że te ćwiczenia „górną połową ciała” nie dają nic dobrego; tylko wzbijają kurz i rozpraszają uwagę, to – pamiętając, że były ważne w ocenie hospitacji [choć nie obwieszczał ich już żaden dzwonek] – poleciłam uczniom wstawać i otwierać okno. Wtedy dyrektor Nowak zaczął gwałtownie machać rękami, prosząc, by nie przerywać, a kontynuować dyskusję, która bardzo mu się podobała.

Pamiętam też pewną rozmowę, którą prowadziliśmy, spacerując razem po korytarzu w czasie mojego dyżuru. Był już wówczas doświadczonym nauczycielem; o wiele bardziej łagodnym, życzliwym i śmiejącym się ze swoich dawnych groźnych min, belferskiej powagi i trzymania się „toczka w toczkę” regulaminu. Trochę nawet wstydził się tej swej młodzieńczej surowości i pytał, czy bardzo go nie lubiliśmy. Zaprzeczałam, chyba jednak trochę mało przekonująco.

Jako zastępca dyrektora początkowo był wobec nas zdystansowany, surowy, dyscyplinujący, ale z biegiem lat coraz częściej się uśmiechał, polubił przebywanie w pokoju nauczycielskim, chętnie z nami rozmawiał, pytał o nasze problemy, o zdrowie, o dzieci, choć o swoich sprawach rodzinnych milczał.

Z sympatią wspominała go Lidia Górską, którą dyrektorzy zmobilizowali do uzupełnienia studiów: „Wicedyrektor Józef Nowak bardzo przeżywał moje egzaminy wstępne na studia [...]. Przyszedł do biblioteki

i przepytywał mnie z języka rosyjskiego. Pouczał, jak odpowiadać, symulował egzamin z języka, poprawiał akcent, wymowę. Czułam się zestresowana. Nie chciałam zawieść pokładanych we mnie nadziei”.

Dyrektor Józef Nowak prowadził w liceum kółko filatelistyczne – popularne i lubiane przez młodzież, a także obowiązkowe dla wszystkich Koło Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Wciąż przychodził do pracy nienagannie ubrany, jego teczka, książki i notatniki były nieskazitelnie czyste i równiutko ułożone, a w eleganckim etui spoczywało równie eleganckie pióro, którym wciąż pisał – często używając zielonego atramentu – niezwykle kształtnie i pięknie. Zawsze szczupły, wyprostowany, zachował elegancki chód i energiczne ruchy, pracując jeszcze na emeryturze.

Ostatni dzień dyrektora Nowaka w szkole wspominał profesor Tomasz Kozioł: „Był rok 1989. Przyszedłem w jeden z zimowych poniedziałków do szkoły, a tu wieść, że nie żyje dyrektor Józef Nowak. Szok był tym większy, że jeszcze w piątek na trzeciej lekcji uczył ówczesną klasę III w pokoju nauczycielskim. Przed lekcją upominał nauczycieli, żeby zrobili porządek na stołach. Swoją ostatnią lekcję znacznie przedłużył. Nauczyciele czekali na korytarzu aż skończy; nikt nie przypuszczał, że to była jego ostatnia lekcja”. Dyrektor zmarł nagle. Spoczął na dębickim Starym Cmentarzu.

Od 1963 roku języka rosyjskiego i geografii uczyła w naszym liceum profesorka Anna Gwóźdź – pełna życia, drobna, niewysoka, ale emanująca siłą i energią kobieta, o niezwykle wyrazistym, zadziornym charakterze. Miała szczupłą, żywą twarz, przenikliwe oczy i krótkie, lekko skręcone włosy. Gdy pochylała się nad dziennikiem, kilka nieposłusznych kosmyków wymykało się i spadało jej na czoło.

Zawsze trzymająca się zasad regulaminu, przynosiła na lekcje wielki budzik, by oznajmiał koniec lekcji. Niezwykle pracowita, sumienna, obowiązkowa, wręcz pedantyczna, budziła wśród uczniów szacunek i respekt. Dyrektor Edmund Galas, który bardzo niechętnie zatrudniał małżeństwa, nigdy się na niej nie zawiódł.

Profesorka Hania była konsekwentna, wymagająca, nieugięta, pewna swego, rygorystyczna, ale miała też poczucie humoru. Prawie na każdej lekcji geografii jako przykład odstępstwa od klimatycznej normy wymieniała „upośledzone” Suwałki [to było jej charakterystyczne powiedzenie!], budząc tym wesołość uczniów.

Potrafiła wyegzekwować wiedzę, pilność i dyscyplinę. Jej wychowankowie wyróżniali się zawsze noszeniem przepisowych strojów; białe koł-

nierzyki aż lśniły, chałaciki były czyste i wyprasowane, a tarcze solidnie przyszyte. Bo wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik. Również pracownia profesorki Hani Gwóźdź usytuowana na parterze zawsze była wypucowana „na glans” – musiało być idealnie czysto; nigdzie najmniejszego pyłku, lśniąca tablica, na oknach kwiaty. Stąd fraszka:

„Czyśćcie, czyśćcie moje dziadki.
Parkieciak musi być gładki.
A jak go nie wyczyśćcie,
„skora dwojku połuczicie”.

Profesorka Hania prowadziła wraz z mężem wakacyjne wyjazdy dla uczniów liceum. Uczestnicy wspominają, że zmieniała się wówczas nie do poznania. Matkowała im i dopieszczała, ale też uczyła samodzielności, zaradności, przygotowywała różne niespodzianki, robiła psikusy, żartowała. Pełna życiowej mądrości, serdecznej dobroci i entuzjazmu, zadziwiała żywiołową naturą i niespożytą energią, której wreszcie mogła dać ujście. Nigdy też nie traciła wiary, ani animuszu. Temperamentna, sprytna, pomysłowa, przedsiębiorcza i praktyczna – robiła sekretne znaczki na chlebie „obozowiczów” przechowywanym we wspólnej lodówce, by sprawdzić, czy młodzież z sąsiedniego obozu nie dobiera się do tego specjału. Dużo rozmawiała ze wszystkimi uczestnikami obozu, szczerze troszczyła się o każdego, wspierała, była tolerancyjna wobec niesubordynacji niektórych podopiecznych; po prostu – „przekochana”.

Profesorkę Hanię spotykałam często na bazarku, gdzie raniutko przyjeżdżała rowerem, by dla swych bliskich kupić najświeższe, najlepsze warzywa. Pewnego razu podarowała mi przepis na domowy keczup, dołączając słoiczek tego rajsko smakującego specjału.

W 1972 roku rusycystką w naszej szkole została profesorka Lucyna Wodzińska [Dymińska], absolwentka liceum z 1967 roku.

W 2000 roku wspominała: „Po pięciu latach studiowania wróciłam do „swojej szkoły” w charakterze nauczyciela języka rosyjskiego i „trwam na posterunku” do dzisiaj”. Profesorka Lucyna była szczupłą, subtelną kobietą o króciutkich, starannie przygładzonych, płowych włosach i bystrych oczach z pięknie umalowanymi, długimi rzęsami. Trochę tajemnicza, często milcząca, stonowana, z zagadkowym, delikatnym uśmiechem na twarzy, w którym niekiedy czał się cień jakiegoś smuteczku, poruszała się lekko, z gracją i wdziękiem. Spokojna, o refleksyjnej duszy, przyglądająca się światu jakby

z odrobiną nieśmiałości i melancholii, wrażliwa, niezwykle taktowna, z rozsądkiem dobierająca słowa, była lubiana i przez nas, i przez uczniów.

Chętnie brała udział w szkolnych wycieczkach na południe Europy. Mimo swej kruchości i delikatności, nigdy nie narzekała i znosiła dzielnie trudy podróży.

Pamiętam, gdy wraz z kilkoma innymi uczestniczkami kupiła sobie śliczny, pamiątkowy parasol z długą łaską i nosiła go dzielnie po uliczkach San Marino, choć wyglądało to dość dziwnie, bo żar lał się z nieba i nawet o najmniejszym kapuśniaczku nie mogło być mowy.

Dyrektorzy doceniali solidność i zapal profesorki Lucyny i powierzali jej różne odpowiedzialne zadania. Przez pewien okres była nawet nauczycielką wuefu, wyjeżdżała też na doksztalujące kursy, a potem na konferencjach edukowała nas z wielką pasją i zaangażowaniem. Stąd fraszka:

„Profesor Lucyna bywa rusycystką,
Bywa wuefistką,
Bywa metodyczką.
Czasem zwalcza nałogi – bo umie wszystko.
Oj, panie ministrze, gdybyś znał tę panią,
To robiąc reformy postawiłbyś na nią”.

Od 1984 roku rusycystką w naszej szkole była też profesorka Maria Sroka-Szmyd.

Młoda, energiczna, o pełnej twarzy okolonej złotymi pierścionkami loczków, śmiejących się oczach i melodyjnym, miłym głosem, emanowała pogodą ducha, wewnętrznym ciepłem i łagodnością. Zawsze elegancka, ze starannym makijażem, wypielegnowanymi dłońmi oraz oryginalną, piękną, ciężką biżuterią wykonywaną na zamówienie, zwracała uwagę otoczenia i budziła sympatię nauczycieli, rodziców i uczniów.

Optymistycznie nastawiona do świata, unikająca konfliktów, życzliwa i empatyczna, że „do rany przyłóż”, chętnie częstowała herbatką na zapleczu swej pracowni położonej na parterze, w narożnej sali obok szatni, dokąd spieszyło wielu z nas, by w czasie dużej przerwy, czy wolnej lekcji, odsapnąć chwilę w miłym towarzystwie.

Profesorka Marysia miała świetny kontakt z młodymi ludźmi; była wyczulona na ich problemy, budziła w nich poczucie bezpieczeństwa, życzliwości, opieki, więc zawsze otaczał ją wianuszek uczniów i uczennic, gotowych iść za nią w ogień.

Dla swych podopiecznych była prawdziwą opiekunką; troszczyła się o nich, „niańczyła”, tłumaczyła ich przewiny, wypraszała oceny.

Czasami zbyt dobrodusza, zbyt tolerancyjna i łaskawa, przechowywała w swej pracowni zdesperowanych uczniów, którzy uciekali z jakiejś lekcji, bo nie byli przygotowani i bali się kolejnej dwójki. Jednak wówczas uczniowie ci podpisywali zobowiązanie, mniej więcej takiej treści: „Ja, zdrowy na ciele i umyśle, świadomy zobowiązania, ślubuję, że nadrobię braki w mojej wiedzy i zaliczę semestr”. I chociaż profesorka Marysia traktowała te zobowiązania z przymrużeniem oka, to – okazywało się – że mało kto zawodził.

A języka rosyjskiego uczniowie profesorki chętnie się uczyli, nie mieli też problemu z koszmarem moich lat licealnych – „udarieniem”. Stąd fraszka:

„Tam gdzie Dniestru sine wody,
Śmiało ruszaj uczniu młody.
Dzięki pani Szmyd uczeniu,
Nie dasz plamy w „udarieniu”.

Języka rosyjskiego w latach 1971-1976 i 1995-1997 uczył również w naszej szkole profesor Ferdynand Bachurski – niezbyt wysoki szatyn, o żywej, sympatycznej twarzy, szybkich ruchach i wyrazistej gestykulacji. Spontaniczny, ruchliwy, pełen niespożytej energii, niekiedy dowcipnie zadziorny i żywiołowy, był chodzącą łagodnością i szybko potrafił zjednać sobie młodzież.

Profesor „Fred” – bo taką miał „ksywkę” – był uosobieniem bezpośredniości, spontaniczności i niekonwencjonalności. Pogodny, energiczny, życzliwy, o elektryzującym uśmiechu, był lubiany przez wszystkich. Zawsze chętny do rozmów, odczocho do działania, skłonny do żartów [promyki ciepła w oczach i „usta w półksiężycu”] umiał śmiać się z siebie i nie obrażał się, gdy żartowaliśmy z niego. Nikt nie widział go nigdy markotnego, czy narzekającego.

Ciągle robił nam jakieś psikusy. Pamiętam, jak pozszywał rękawy naszych płaszczy wiszących w pokoju nauczycielskim, czy jednej z koleżanek – ciągle dźwigającej do domu ciężkie torby – dyskretnie „dołożył” kawałek chodnikowej trylinki.

Gdy przychodził do pokoju nauczycielskiego, otaczaliśmy go kołem, bo zawsze miał coś ciekawego do przekazania i z nim nigdy nie groziła nam monotonia i nuda. Prostolinijny, bezceremonialny, mający niesamo-

wity dar opowiadania, był „kopalnią” dowcipów, które rozpraszały nasze smutki i złe humory, więc zawsze słuchaliśmy ich ucieszeni i rozbawieni.

Wbiegał do pokoju nauczycielskiego i od progu zaczynał sypać dowcipami jak z rękawa, a jego śmiejące oczy zwiężały się w wąziutkie szpareczki:

„Mąż wraca do domu pijany. Żona utyskuje:

– Już mi brak do ciebie słów.

A on na to:

– Mało czytasz, to i język masz ubogi”.

Albo:

„Żona narzeka, że ma tyle pracy w domu, że nie nadąży wszystkiego zrobić.

A mąż:

– Całe noce przesypiasz, to nie dziwne, że ci się naskłada”.

Profesor Fred był działaczem ZNP, przez pewien czas pełnił funkcję dyrektora Miejskiego Ośrodka Kultury, a także zastępcy inspektora Wydziału Oświaty i Wychowania. Był też wspaniałym organizatorem wycieczek. Przekonałam się o tym podczas jednej z nich – do czeskiej Pragi, gdzie zwiedzaliśmy najpiękniejsze zabytki, spacerowaliśmy urokliwymi uliczkami miasta, kupowaliśmy pamiątki na słynnym moście Karola, a także zaliczyliśmy obowiązkowy „wycap piwa” w piwiarni „U Szwejka”.

Z sympatią wspominali go jego uczniowie. Lidia Górską, która do egzaminu maturalnego wybrała język rosyjski, pisała: „Egzamin wstępny na studia z języka rosyjskiego zdałam na czwórkę, co może tylko świadczyć o doskonałym przygotowaniu mnie w ciągu czterech lat nauki przez profesora Ferdynanda Bachurskiego i profesorkę Lucynę Wodzińską”.

W 1994 roku profesor Bachurski odszedł z liceum, by pełnić funkcję dyrektora Szkoły Podstawowej nr 9. Działał też jako radny powiatowy i członek Zarządu Powiatu.

Kolejny język obcy – angielski [tak dziś modny, popularny i powszechny] był w czasach mojej nauki w liceum językiem elitarnym. Uczyla go – od 1952 roku – profesorka Eugenia Skiba, zwana przez uczniów „Angielką” lub „Eużenią”. Ta młoda, elegancka, pełna gracji dama, przemierzała korytarz z lekkością motyla, dumnie prezentując swą szczupłą, prawdziwie „angielską” sylwetkę, niosąc wysoko głowę zdobną w „tycjanowe”, kręjące się włosy i w delikatny, ale widoczny makijaż. W nas – dziewczynach, zawsze budziła ciekawość, zachwyt i zazdrość.

Pamiętam, jak podziwialiśmy jej zgrabne nogi, otulone cienkimi jak pajęczyna, stylonowymi pończochami z modnym wówczas czarnym szwem. My najczęściej nosiłyśmy przecież bawełniane „fildekosy” – grube i bez krzty wdzięku.

Jej „szanelowskie” kostiumiki, nietuzinkowa biżuteria, lekkie buciki na obcasie dodające szyku, tak bardzo kontrastowały z tym miejscem, z tymi szeregami przymusowych „spacerowiczów” w jednakowym granatowym umundurowaniu, z białą plamką kołnierzyka zapiętego pod samą szyję, tak odstawały od tych brudnoszarych swetrów, okrywających wątłe torsy młodych chłopaków, od naszych pryszczatych twarzy, byle jak przczesanych włosów, okropnych papuci, sunących wzdłuż długiego, ponurego korytarza; z zawsze zalegającym na nim cieniem, nawet w piękne, słoneczne dni.

Profesorka Eugenia miała dużą łatwość w uczeniu się języków obcych. Jednym z nich było esperanto. Pozwoliło jej to wyjeżdżać na spotkania esperantystów z różnych krajów.

Pamiętam, gdy pewnego razu przysiadła się do mnie w pokoju nauczycielskim i z wielką pasją opowiedziała mi o jednym z takich spotkań, gdzie poznała wielu interesujących ludzi. Dzięki tej rozmowie poznałam różne ciekawostki o twórcy esperanto – polskim Żydzie Ludwiku Zamenhofie, którym profesorka była zafascynowana.

Opowiadała, że był on synem prowincjonalnego nauczyciela języków obcych w Białymstoku. Został lekarzem okulistą, ale – wychowany w środowisku wielojęzycznym, gdzie rosyjski, mieszał się z polskim i jidisz – pragnął stworzyć język międzynarodowy, który łączyłby ludzi jak most; „język nadziei”, który „do nikogo nie należy, dlatego może należeć do wszystkich”. Temu celowi poświęcił swe życie. Osiem razy był nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla, chociaż – niestety – nigdy jej nie otrzymał.

Ludwik Zamenhof miał dwie córki. Zofia była lekarką i w czasie II wojny światowej pracowała w warszawskim getcie, a Lidia podróżowała po różnych krajach, ucząc esperanto. W 1938 roku wróciła ze Stanów Zjednoczonych do kraju. Tu zastała ją wojna. Obydwie córki profesora zginęły w Treblince. Ale dzieło Zamenhofa pozostało żywe; przekłada się nawet na ten język różne utwory literackie. Takim polskim tłumaczem jest Antoni Grabowski, który przełożył na esperanto wiele polskich dzieł, w tym „Pana Tadeusza”.

Profesorka Eugenia miała niezwykle delikatną, melancholijną naturę. Często śmiała się z nami, „a słońce jej włosy złościło ogniem”, prezentowała nowe pantofelki czy zakupioną właśnie modną bluzeczkę. Niekiedy jednak opano-

wywał ją jakiś smutek i wtedy siadała gdzieś w kącie z głową opartą na rękach, zamyślała się i uciekała od codziennych spraw w świat zadumy i nostalgii.

Języka angielskiego przez wiele lat uczyła w naszej szkole profesorka Teresa Berka [Dudzińska], absolwentka liceum z 1960 roku. Ta pełna gracji „złota” blondynka, ze starannie ułożoną fryzurą i łagodnym makijażem, ubierająca się z dyskretną elegancją, miała w sobie ujmującą delikatność i subtelność. Zawsze spokojna, dystygnowana, taktowna, cicha i miła, cieszyła się wielką sympatią i poważaniem.

W pracy kompetentna, pilna, odpowiedzialna, traktowała młodzież z cierpliwością, troską, wyrozumiałością i wielkodusznością, ale w egzekwowaniu wiedzy była zdecydowana i konsekwentna. Stąd fraszka:

„Profesorka Berka
Słodsza od cukierka.
Lecz gdy słówek pyta,
to Herod-kobita”.

Miło wspominała ją Lidia Górka – jej była uczennica: „Przygotowała nas pod względem języka wyśmienicie. Nigdy nie przestanę jej być wdzięczna [...]. Kiedy po latach, w czasie remontu pracowni języka angielskiego odnalazłam plansze i pomoce dydaktyczne, na których nas wtedy uczyła, ze wzruszeniem wzięłam je na przechowanie i korzystam z nich do dziś, sama ucząc swoich uczniów. Pomysł, bym uczyła angielskiego podsunęła dyrektorowi właśnie profesorka Berka”.

A redaktorka „Obserwatora Lokalnego” Agnieszka Majba pisała: „Moja wychowawczyni Teresa Berka wprawdzie miała ze mną siedem wychowawczych światów, ale angielskiego nauczyła mnie na wiele lat, jak nikt”.

Pamiętam, że dyżurując na korytarzu z profesorką Teresą, zawsze miło gawędziłyśmy na różne tematy: wspominałyśmy nasze licealne przygody, śmiałyśmy się z różnych uczniowskich psikusów, martwiłyśmy się o naszych synów, którzy właśnie otrzymali wezwanie na komisję poborową. Pamiętam też, jak sympatycznie spędziłyśmy czas, gdy pewnego razu całą grupą odwiedziłyśmy ją – niedomagającą – w jej gościnnym domu, gdzie częstowała nas miodowymi ciasteczkami o cudownym smaku.

W 1978 roku rozpoczęła pracę anglistki w naszej szkole profesorka Grażyna Magnowska [Brudny], absolwentka z 1974 roku.

Była wysoką, subtelną blondynką o świetlistej cerze, delikatnej „nietym jesienna skórka winogrona”, miłym uśmiechu i głose spokojnym,

delikatnym jak obłoczek. Jej ujmujące zachowanie z pewną domieszką nieśmiałości, szlachetność w spojrzeniu, takt, urok osobisty i życzliwość zjednywały jej przychylność i sympatię wszystkich.

Pamiętam, że pewnego razu zastępowałam ją w czasie jej ważnego wyjazdu do Warszawy. Podarowała mi wtedy – mimo moich protestów – zakupione tam, a nieosiągalne u nas – fajne dziecięce ciuszki.

Profesorka Grażynka – kompetentna, sumienna i dobra, nigdy nie podnosiła głosu, ale taktem, cierpliwością i mrówczą pracowitością umiała mobilizować młodych ludzi do dużego wysiłku w poznawaniu tajników języka angielskiego. Dlatego jej uczniowie osiągalni świetne wyniki i lubili jej lekcje. Stąd fraszka:

„Profesorka Grażynka
Ma cierpliwość anielską,
Więc lekcje angielskiego
Upływają nam sielsko”.

Od 1990 roku rozpoczęła pracę anglistki w naszej szkole profesorka Anna Komorowska – wysoka, szczupła, eteryczna, o smukłej szyi, naturalnie wijących się włosach w odcieniu dojrzałego miodu, prawie dziewczęcej, delikatnej twarzy i poważnych oczach.

Sumienna, pracowita, zawsze miła, uprzejma, zrównoważona, wydawała się jednak trochę nieprzystępna, bardzo powściągliwa i zdystansowana; „dawkowała swoją obecność” w pokoju nauczycielskim, większość czasu spędzając w swojej pracowni.

Języka angielskiego uczył również w naszej szkole wysoki, przystojny, elegancki, solidny, lubiany przez wszystkich blondyn – profesor Tomasz Pyka i profesorki, które były moimi uczennicami: Lidia Górka, Anna Lach [Jeleń] i Anna Lis [Wilk], a także – epizodycznie – bliżej mi nieznane: Ewa Kessler i Beata Maaga.

Od początku lat dziewięćdziesiątych zatrudniane były też w naszym liceum Amerykanki, będące „lektorkami pracującymi w międzynarodowej organizacji języka angielskiego”, a także bardzo sympatyczna pani Irena Kuchar pochodząca z Ukrainy.

Bezpośrednia, życzliwa, skromna, wywoziła do swego kraju kolorowe czasopisma, które po przeczytaniu, dostarczałyśmy jej w dużych ilościach. Jej bliscy czytali je chętnie, bo – nawet, gdy były nieaktualne – niosły z sobą powiew zachodniego świata. Ona zaś przywoziła m.in. bardzo skuteczną

maść na odciski, którą leczyła nasze stopy, więzione w niewygodnych, ordynarnych butach, upolowanych czasem w sklepach.

Zawsze pogodna, chętna do rozmowy, obowiązkowa, nigdy na nic nie narzekała. W czasie wolnym jeździła do różnych polskich miast: do Krakowa, Warszawy, Lublina – ogromnie ciekawa naszego kraju, zachwycona jego pięknem i różnorodnością.

Czasem pytała nas o rzeczy i zjawiska dla niej zaskakujące i niezrozumiałe. Pewnego razu, chcąc się upewnić, że dobrze poprawiła pracę domową ucznia, zwróciła się do koleżanki anglistki:

– Tu jest chyba błąd – pokazała fragment zadania. Uczeń napisał, że w Bieszczadach znajduje się wielka zaporą Solina. – Powinno być – „Stalina”, prawda?

Ważnym przedmiotem nauczania [choć początkowo nieobowiązkowym] była w naszej szkole historia.

Od 1901 roku uczył jej profesor Ludwik Petryński; również wykładowca geografii.

Michał Urbanek wspominał, że był to „Rusin przeniesiony z Galicji Wschodniej; czy za karę, czy ze względów politycznych. Przeniesienie to wytrąciło go z równowagi. Stał się dziwakiem, a nawet pośmiewiskiem. Zachowywał się jakby był w półśnie [...]. Nieraz długo milczał wpatrzony w jakiś punkt nieokreślony, nie bacząc, co się dzieje w klasie [...], czasem podchodził do okna i obrócony tyłem do klasy, z rękami w kieszeniach spodni stał nieruchomo, zapominając o pytaniu i pytanym [...]. Z tego zamyślenia profesora korzystali nieraz „wybij-okna” klasowe i robili mu ubliżające jego autorytetowi psikusy. Wtedy profesor wpadał w pasję, z wściekłością rzucał się na winowajcę, chwycił go za kark i wyrzucał za drzwi. Sypały się kary karceru, obniżano noty z zachowania, co równało się utratą zwolnienia z czesnego, a jeden z uczniów został nawet wydalony na pół roku ze szkoły”.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” Po roku czy dwóch profesor Petryński wrócił w ojczyste strony i może tam odzyskał równowagę ducha.

Prawie od początku istnienia szkoły, bo od 1903 roku – jako m.in. historyk – pracował w naszym gimnazjum profesor Józef Wyrobek, zwany przez uczniów „Cyburkiem”.

Jan Szymaszek zapamiętał go jako człowieka „o wielkiej dobroci i gołęmbim sercu”, a Julian Roztoczyński – jako mężczyznę „słusznego wzrostu, o twarzy pełnej szlachetności, owianego jak najlepszymi intencjami wobec młodzieży”.

Profesor, urodzony w 1850 w Bestwinie, uczęszczał do niemieckiego gimnazjum w Cieszynie, następnie w Krakowie. Ukończył studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odbił wówczas wiele podróży do Włoch. Później pracował jako prywatny nauczyciel w rodzinach ziemiańskich: w Warszawie, Wilnie i na Podkarpaciu. Uczył w gimnazjach w Nowym Sączu, Sanoku, Krakowie, Wadowicach, Brzeżanach, Stanisławowie, a od 1903 roku – w gimnazjum w Dębicy.

Wyróżniał się wielką wiedzą i szerokimi zainteresowaniami. Uczył nie tylko historii, ale też języka polskiego, łaciny, greki, języka niemieckiego, kaligrafii i gimnastyki. Równocześnie pełnił szereg funkcji społecznych, m.in. był prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, Sodalicii Męskiej czy Koła Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych.

Ale prawdziwą jego pasją była historia, której poświęcił wiele studiów i na temat której napisał wiele opracowań. Najcenniejsze z nich to publikacja dotycząca naszego miasta pt. „Ważniejsze dokumenty do historii Dębicy”, zawierająca ogromny zbiór cennych dokumentów. Profesor Wyrobek pisał też opracowania do corocznych sprawozdań szkolnych oraz wygłaszał przemówienia na różnych uroczystościach. Pięknie opowiadał.

Adam Przewłocki zapamiętał, że „nigdy nie rozstawał się z książką. Ciągłe robił jakieś notatki. Był naukowcem”.

Antoni Stańko wspominał, że profesor mieszkał w jego rodzinnym domu na skrzyżowaniu ulicy Mickiewicza [dziś Rzeszowska] i Wilusza [dziś Bojanowskiego], „gdzie zajmował wraz z żoną i synkiem 3 pokoje z kuchnią”. Po opuszczeniu go przez żonę, zamieszkał w jednej z salek w gimnazjum.

Michał Urbanek nazwał profesora znawcą przedmiotu, wytrawnym pedagogiem i wielkim patriotą, a Wojciech Wójcik „wielkim przyjacielem młodzieży, który był dziwakiem, samotnikiem, na pewno wielką indywidualnością”.

Niezwykłe skromny, zamknięty w sobie, opiekował się nędzarzami, w tym ponoć – jak pisał Adam Przewłocki – „jedynym żyjącym w Dębicy w opłakanych warunkach powstańcem z 1863 roku”. Jednak – twierdził Przewłocki – profesor jakoś nie umiał sobie wyrobić autorytetu.

Wykorzystywaliśmy złośliwie jego niezwykłą dobroć i pobłażliwość. Przy każdej okazji staraliśmy się dokuczać temu mądrymu, wartościowemu i bardzo nieszczęśliwemu człowiekowi”. To pewnie jego wspominał Jan Wiktor w „Prześwietlonych wspomnieniach”:

„Wyszydzał mi dziwactwa historyka. Jakże się nie śmiać. Nabył kłose, które należały jeszcze do rzadkości, i w czasie ulewnego deszczu niósł

je w palcach, aby się nie zabłoczyły, a brnął przez kałuże, zachlastany po kolana. Nie znaliśmy jego życia, jego tragizmu, wielkości umysłu tego bojownika, który wszystko poświęcił walce o prawdę, walce o duszę młodzieży.

Późno, och, późno poznaliśmy dzieje tego belfra, tak bardzo ośmieszonego, który w tajemnicy mówił: – „Jesteś jeno pulsem serca bijącego jeden nakaz: żyj dla ojczyzny, wiernym jej synem i służebnikiem”.

Te słowa dowodzą, że – jak pisał Przewłocki – „najpiękniejszą cechą tego niezwykłego człowieka był jego głęboki patriotyzm. Umiłowanie ojczyzny i wiarę w odzyskanie niepodległości starał się wszczepić w nasze serca, co nie było bez wpływu na kształtowanie się naszych charakterów i przekonań.”

Potwierdzał to Michał Urbanek: „Historii Polski [nieobowiązkowej] uczyliśmy się sumiennie niż innych przedmiotów i staraliśmy się zdobyć jak najlepsze stopnie. Zachęcały nas do tego wykłady profesora, w które wkładał nie tylko wiedzę, ale i uczucie, nie tylko myśli, ale i serce, serce odczuwające nie tylko tragedie narodu, ale i przeczuwające jego odrodzenie”.

Stanisław Ożóg zapamiętał, że ten „znakomity pedagog, wspaniały wychowawca, człowiek skromny, asceta prawie, samotny i smutny prawie zawsze, uczył nie tylko historii, ale także oszczędności i porządku osobistego. „Kropka znaczy wiele – mawiał – bo zebrać a żebrać to różnica. Zalecał za karę – pół porcji obiadu”.

A Lidia Górską pisała: „Profesor Józef Wyrobek – uroczy, śmieszny starsuszek potrafił tak urzekająco mówić o historii kraju ojczystego, że słucha się go z przyjemnością. Wnet odegra ważną rolę w dziejach miasta; gdy ze względu na wiek nie dane mu będzie wziąć udziału w bezpośrednich walkach – zostanie w mieście jako jego „dobry duch” – w 1914 roku stanie na czele miejskiego zarządu tymczasowego, a gdy wycofujące się wojska armii rosyjskiej podpalą szkołę, będzie ratował sam jeden przed zniszczeniem tę ostoję polskości na ziemi dębickiej.

Teraz robią mu psikusy – ot – takie niewinne, szkolne żarciki. Przyjmuje je z pokorą i miłością do uczniów, których przecież kocha i nie obraża sobie innego życia jak wśród tych pełnych energii chłopców.”

Profesor Wyrobek w latach wojny „działał także w Miejskim Komitecie Ratunkowym, niosącym pomoc najbiedniejszym obywatelom miasta, opiekował się zbiorami szkolnymi w okresie, gdy w gimnazjum stacjonowały wojska. Sam w tym czasie mieszkał w jednej z klas, nie wiadomo czym się żywił” [Aneta Kwolek].

Nie dbał również o swój wygląd, a – mówiąc słowami Agaty Tuszyńskiej – „garnitur wisiał na nim jakby w przeprasającym geście”.

Julian Roztoczyński zapamiętał, że profesor Józef Wyrobek, jako człowiek w starszym wieku, „nosił się niezwykle biednie [pensję całą wysyłał żonie, która opuściła go, zabierając z sobą syna], w szynelu wojskowym, noszonym przez żołnierzy rosyjskich, w butach komysnych – już samym tym ubraniem nie mógł budzić w studentach szacunku”.

Potwierdzał to Antoni Stańko: „Zupełnie nie dbał o siebie. Chodził w jednym ubraniu stale okryty letnim płaszczem koloru brązowego. Kiedy mu odpadły guziki od płaszcza, to zamiast je przyszyć, przytrzymywał palto ręką i otulał się nim. Chodził zawsze z parasolem”.

I jeszcze – Adam Przewłocki: „Widywałem go w owym czasie w kolejowej restauracji, gdzie zamawiał szklankę herbaty i szklankę wrzątku i pił to powoli, zagryzając suchym chlebem wyjmowanym z kieszeni szynela”.

Profesor Józef Wyrobek całe swe życie poświęcił pracy z młodzieżą. Zmarł w 1923 roku i został pochowany na Starym Cmentarzu, a jego pogrzeb był wielką manifestacją, w której wzięło udział grono profesorów gimnazjum, rzesze uczniów i tłumy dębiczan.

Antoni Stańko wspominał, że „zwłoki ukochanego wychowawcy zanieśli uczniowie na swych barkach wśród oznak najgłębszego żalu na miejsce wiecznego spoczynku”.

Nagrobek ufundowało mu Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, którego był prezesem, a za swe zasługi, profesor Wyrobek został pośmiertnie odznaczony tytułem Honorowego Obywatela Dębicy”.

Od 1905 roku historii uczył w naszym gimnazjum profesor Michał Staroń – wówczas młody mężczyzna, przygotowujący się dopiero do egzaminu nauczycielskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Niezbyt miło wspominał go Adam Przewłocki: „Od początku robił na nas niesympatyczne wrażenie swoją zarozumiałością, popisywaniem się swoją wszechwiedzą i „nie byle jakimi” znajomościami [...]. Wyróżniał uczniów z „lepszych domów”, sucho traktował „wsioków”.

W czasie I wojny światowej, wraz z profesorami gimnazjum: Józefem Szydłowskim, Henrykiem Lilienem i księdzem Andrzejem Rejowskim, został członkiem Powiatowego Komitetu Narodowego w Dębicy, prowadzącego działalność patriotyczną, propagandową i charytatywną, a po jej zakończeniu, od 1918 roku kontynuował pracę w naszej szkole.

Był to człowiek – jak twierdził Julian Roztoczyński – „obdarzony przez naturę wszechstronnymi zdolnościami, wybijający się dużą mocą krasomówczą. Będąc historykiem, przemawiał często na uroczystościach obchodzonych w gimnazjum, plodził ze znakomitą swadą i dykcją przemówienia

okolicznościowe, imieninowe, pogrzebowe i inne, nigdy nie posługując się kartką czy zapiskami [...]. O jego możliwościach i umiejętnościach pedagogicznych można było mieć wyobrażenie na lekcjach pokazowych w przypadku nalotu wizytatora”.

Niestety, ponoć rzadko wykorzystywał te swoje talenty w pracy z młodzieżą.

Stanisław Ożóg pisał: „Jeśli wykladał, co zdarzało się bardzo rzadko, to pamiętało się długo”, a Julian Roztoczyński dodawał: „W ciągu sześciu lat tylko jeden raz urządził nam wykład o wojnach krzyżowych i to przez pełną godzinę. Do chwili obecnej wykład ten oddziałuje na mnie, a słuchało się go z zapartym tchem. Tym bardziej żal duszę ściska, że takiej uczty dla intelektu nie było nam dane już więcej przeżyć”.

Profesor Michał Staroń to był typowy arystokrata „herbowy”, pan na Gołęczynie. Miał piękną posiadłość, kilka morgów bukowego lasu i „parę wyjazdowych koni, którymi sam powoził na urządzanych wycieczkach, majówkach i kuligach. Był człowiekiem towarzyskim, znakomitym wodzi-rejem, tylko lekcje historii śmiertelnie go nudziły”.

Potwierdzali to inni uczniowie profesora. Stanisław Ożóg, Michał Urbanek i Jan Szymaszek wspominali, że najczęściej było tak: „Otworzyć książki. Mozer, a później Ożóg czytają od strony X do strony Y – a ja po śniadaniu wracam”. Gdy nie wychodził, to „jak błędny rycerz krążył po klasie wokół ławek i tylko od czasu do czasu uderzeniem sygnetu o ławkę zaznaczał swoją obecność [...]. Dodawał sobie fantazji wkładaniem kciuków palców pod kamizelkę i lawirując resztą palców jakby grał na fortepianie”. Miał też stały zwyczaj odpytywania, które odbywało się „na jednej godzinie „a la minute”. Pierwszy uczeń wywołany poczynął odpowiedź na zadany temat [...], reszta odpowiadała na wywołanie „dalej”, powtarzające się kolejno i alfabetycznie jak echo. Każdy z uczniów przygotowywał sobie odpowiedź na gorąco z podręcznika pod ławką”.

Profesor, który zwykł mówić uczniowi „ty koniu”, w stosunku do swych podopiecznych był „wyniosły, ale i wyrozumiały, w ocenach był surowy, chociaż rzadko komu robił krzywdę”. Profesor Michał Staroń pełnił też ważne funkcje poza szkołą. Był m.in. wieloletnim dyrektorem Składnicy Kółek Rolniczych, a nawet burmistrzem Dębicy.

Sławnym nauczycielem historii w naszym gimnazjum był profesor Tadeusz Gawryś, który rozpoczął tu pracę w 1912 roku.

Urodził się w 1881 roku w Woli Zgłobieńskiej koło Rzeszowa, studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie pracował w Sokalu, w Przemyśle, a wreszcie – w Dębicy.

Na zachowanych zdjęciach spogląda na nas elegancki, młody mężczyzna o twarzy budzącej zaufanie, ozdobionej figlarnym wąsikiem, starannie przystrzyżonej fryzurze i śmiałym spojrzeniu. Możemy go też oglądać jako studenta z wielką, fantazyjną kokardą zawiązaną pod szyją, jako „Sokoła” w mundurze tej organizacji, czy jako legionistę w mundurze wojskowym. Przystojny, dumny, szczęśliwy – wprost „wybraniec bogów”! Niestety, „wybrańcy bogów umierają młodo”.

Profesor Tadeusz Gawryś uczył historii i geografii, języka polskiego i niemieckiego; prowadził też chór i orkiestrę szkolną, był opiekunem skautów, a także działaczem społecznym.

Lidia Górską pisała o nim: „Rozwinął niezwykle szeroką i owocną działalność pedagogiczną, będąc dla swoich wychowanków wzorem patriotycznej postawy i znawcy swego przedmiotu. Bardzo szybko potrafił zaszczerpić młodzieży zapał do historii i rozwinąć w niej gorący patriotyzm. Cieszył się dużym autorytetem, zdecydowanie zasłużonym, co niewątpliwie okazało się pomocne w ożywieniu życia miejscowych towarzystw. Pełniąc obowiązki sekretarza wydziału Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, służył swym talentem i pomocą w rozwoju jego wychowanków. Swe zdolności muzyczne wykorzystał i rozwinął kierując chórem i orkiestrą gimnazjalną oraz ucząc śpiewu.

Otoczył szczególną opieką młodzież gimnazjalną zrzeszoną w nowo powstałej organizacji skautingu. Dla swoich młodych podopiecznych był autorytatywnym wzorem umiłowania ojczyzny i poświęcenia się dla prawdziwych wartości”.

Wybuch I wojny światowej zastał profesora w trakcie pełnienia obowiązków nauczycielskich. Gdy owa wojna stanęła u wrót naszego miasta, czyli – jak powiedziałyby nasza profesorka Oleńska – „ante portas”, profesor „zostawił żonę i pięcioro nieletnich dzieci, i stając na czele 30 skautów dębickich, będących jego uczniami, wyruszył 26 sierpnia 1914 roku do Krakowa, gdzie mieścił się punkt mobilizacyjny. Stamtąd było już blisko do Legionów Piłsudskiego”.

Z Krakowa wraz ze swoimi legionistami ruszył na front. „Ale – jak pisał Antoni Stańko – „nie miał szczęścia w tej wojnie”. W Karpatach walczył od 5 do 29 października 1914 roku. Bitwa pod Mołotkowem zaczęła się

z samego rana i trwała do popołudnia. Tam właśnie poległ, jako oficer 2 pułku Legionów Polskich; jeden z najdzielniejszych.

Miejsce walki znaczy dziś mogiła, w której pochowano 161 bezimiennych bohaterów [w tym byłych uczniów naszego profesora], a także rozsiane po okolicy krzyże. „Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie...”

O patriotyzmie profesora Gawrysia świadczy pozostawiony przez niego znamienity testament: „Dzieciom moim polecam i nakazuję, by pamiętały o tem, gdy dorosną, a Ojczyzna ich będzie wołać, mają bez wahania iść w ślady ojca i oddać życie za naszą ukochaną Ojczyznę”.

I tak się stało. Dzieci profesora: Czesław, Eugeniusz, Zbigniew, Kazimierz i Danuta – wierni ideałom ojca – walczyli w II wojnie światowej. Czesław zginął w Starobielsku, Zbigniew był w oddziałach Andersa, Kazimierz i Danuta działali w AK.

W uznaniu zasług, Tadeusz Gawryś został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Niepodległości, ulicę obok liceum [w czasach PRL-u „22 Lipca”] nazwano jego imieniem, a na korytarzu naszej szkoły została wmurowana tablica pamiątkowa. Obok nazwiska profesora wykute są też na niej nazwiska uczniów poległych w obronie ojczyzny w latach 1914-1920. Miejsce ich bohaterskiej walki zostało też wyryte na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Na uroczystości 100-lecia liceum przybył wnuk profesora Gawrysia, który przekazał szkole rodzinne pamiątki i dokumenty.

W 1915 roku rozpoczął pracę w naszej szkole profesor Ludwik Kita, który – do wybuchu II wojny światowej – oprócz historii, uczył też geografii, matematyki i fizyki.

Stanisław Ożóg tak go zapamiętał: „Surowy, wielki autorytet, z długą czarną brodą, często biadający nad słabymi wynikami uczniów.

– Matka daje, ojciec pcha, a ty nic – mawiał”.

We wdzięcznej pamięci zachował profesora Kitę Julian Roztoczyński, który określił go jako obowiązkowego, dobrego wykładowcę, który „zewnątrznie przywdziewał minę srogą i poważną, lecz w sercu był przedobrym przyjacielem młodzieży; jakkolwiek był wymagający”.

Profesor Ludwik Kita urodził się w 1882 roku w Woli Rogowskiej koło Jadownik. Po ukończeniu gimnazjum w Tarnowie studiował nauki filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim, następnie rozpoczął pracę w gimnazjum dębickim. W latach 1926-1936 był też zastępcą dyrektora Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego w Dębicy, a od roku 1937 – dyrektorem

Kursu Przystosowania Handlowego. Działal również w ruchu spółdzielczym i był założycielem Spółdzielni „Żniwo”, a także jej prezesem.

Ciężko ranny podczas pierwszych nalotów na Dębicę we wrześniu 1939 roku, zmarł w Tarnowie i tam znajduje się jego grób.

W 1918 roku przyszedł do gimnazjum „młodziutki”, „lubiany przez uczniów” profesor historii i geografii – Marian Paluch.

Adam Przewłocki wspomina go jako tego, który „prowadził systematyczny, piękny wykład. Słuchaliśmy go zawsze z prawdziwą przyjemnością, nie wyczekując na dzwonek oznajmiający koniec lekcji. Traktował nas poważnie. Zawsze mówił do nas per pan. On jedyny z grona nauczycielskiego wziął udział w naszym komersie pomaturalnym. Uważaliśmy go niemal za starszego kolegę”.

Od 1919 roku historii zaczął uczyć profesor Stanisław Nagawiecki, absolwent gimnazjum z 1914 roku [pracując uzupełniał studia prawnicze i zdobył tytuł doktora praw]. W 1933 roku wydawał własne pismo „Wiadomości Dębickie”, dwukrotnie też był powołany na stanowisko burmistrza Dębicy.

Od 1921 roku historii i języka niemieckiego „z nadzwyczajną pedanterią” – jak pisze Stanisław Ożóg – uczył w gimnazjum kolega szkolny profesora Nagawieckiego – profesor Alojzy Buszko [absolwent z 1914 roku, doktor praw od 1923], który pełnił też funkcję sekretarza dykcji, a także powiatowego komendanta Związku Strzeleckiego. W czasie I wojny światowej, walcząc w armii austriackiej, dostał się do niewoli rosyjskiej. Zwolniony po zakończeniu wojny, służył w Wojsku Polskim. Brał udział w walkach w 1939 roku i znów znalazł się w niewoli rosyjskiej; zesłano go do pracy w kopalni węgla w Workucie. Zwolniony, walczył w II Korpusie Wojska Polskiego. Zmarł na obczyźnie.

Tuż po II wojnie światowej, od 1944 roku, historii uczył profesor Józef Szlamka, a od 1947 – również profesorka Waleria Szaley-Gröele.

Absolwent Stanisław Waltoś wspominał profesorkę Czachorównę, uczącą w najstraszniejszych czasach stalinowskiego terroru: „Nie zapomnę nigdy, jak w pewnym momencie profesorka Czachorówna, wkrótce żona profesora Gawlika, ucząca nas historii w klasie przedmaturalnej, poprosiła mnie na bok na korytarzu i ostrzegła, że jesteśmy pod baczynym nadzorem, że nie czas na swobodę w formułowaniu wypowiedzi politycznych [...]. W latach narastającej zmyry stalinizmu tacy nauczyciele z pewnością byli zagrożeni w większej mierze niż my. Nam nie groziło wyrzucenie z pracy”.

Od 1945 roku pracowała w naszej szkole profesorka Stanisława Gawrysiowa, która była również moją nauczycielką historii.

Pamiętam jej drobną, poważną twarz bez makijażu, krótkie, lekko kręjące się, ciemnopłowe włosy, chłodny, karcący wzrok i małe, szczupłe, delikatne dłonie z pergaminową, jakby przeźroczystą skórą. Bardzo elegancka, w kostiumikach zawsze czarnych, ze świetnego materiału i w pięknych bluzeczkach ozdobionych dyskretną biżuterią, budziła w nas respekt, a nawet strach, choć – jak wspominała profesorka Lucyna Wodzińska – „była kobietą pełną dobroci i mądrości”.

Na każdej lekcji historii profesorka omiałała nas wszystkim surowym spojrzeniem, po czym zastygała na chwilę nad dziennikiem jak bogini wykuta w marmurze, a nasze serca mdlały. Następnie wzywała jakąś „ofiara” do tablicy, by zreferowała zadany materiał historyczny. Gdy przekonała się, że dany uczeń na serio traktuje przedmiot i zawsze jest przygotowany, to potem rzadko go pytała, ufając jego solidności i pilności. Niestety, takich szczęśliwców było niewielu. Pozostali – ciągle wzywani do odpowiedzi – najczęściej stawali się właścicielami wielu trój „na szynach” poprzepłatanych dwójkami. Było też kilku uczniów, którzy „podpadli” profesorze brakiem określonej wiedzy historycznej. Ci stawali się stałymi „ofiarami”, pytanymi na środku na każdej prawie lekcji. Najczęściej wracali do ławki z „pałą” i z niezbyt wyszukanyim epitetem, którym zdenerwowania profesorka określała nieszczęsnego delikwenta; wywołującym jego rumieńce zawstydy, bezbrzeżny smutek i bolesne szklenie się oczu.

Baliśmy się nagłego wyrwania do tablicy, dlatego na lekcjach historii panowała cisza tak przejmująca, że aż bolała i chyba słyszać było bicie naszych spłoszonych serc.

Często profesorka Gawrysiowa uważała się na jałowy trud podejmowanych przez nią wysiłków, nie miała cierpliwości do tych, którzy – według jej określenia – pletli jakieś dyrdymały, groziła pozostawieniem na drugi rok w tej samej klasie. To o niej mogło być to „Błaganie zdesperowanych uczniów”:

„Niechaj nas pani nie gubi.
Niech nas pani troszkę lubi”.

Profesorka Gawrysiowa przekonywała nas, że „historia stanowi pamięć ludzkości” i naszym obowiązkiem jest jak najdokładniejsze jej poznanie, więc gdy ktoś pięknie odpowiadał, na jej twarzy pojawiał się delikatny uśmiech. Mimo różnych trudnych sytuacji na lekcjach, skutecznie przygotowała nas do matury i okazało się, że nas jednak lubiła i chciała naszego dobra.

Od 1969 roku historii zaczęła uczyć w naszej szkole profesorka Maria Marek.

Miała krótkie, jasne włosy, śmiejące się oczy i pewny, spokojny głos. Zawsze elegancko ubrana, nosiła drogie buty, piękne skórzane torebki i szyte na miarę sukienki.

Pamiętam. Po przyjeździe do Miskolc-Tapolcy na Węgrzech, gdzie prowadziłyśmy kolonię dla dzieci pracowników „Igloopolu”, cały wieczór uczyłyśmy się węgierskich słówek, by móc się porozumieć z obsługą hotelu, w którym mieszkaliśmy. Jakież było nasze zdziwienie, gdy rano weszła do pokoju pani sprzątająca i przywitała nas najczystsza polszczyzną. Przy otwartej szafie stała profesorka Marysia. Gdy Węgierka zobaczyła – wiszące tam – jej barwne, piękne sukienki, długo upierała się, by koniecznie je kupić. A przecież to my jeździliśmy za granicę, by zdobyć jakiś ładny ciuszek.

Profesorka Marysia Marek była osobą dobrotliwą, łagodną, wrażliwą, ale też stanowczą, praktyczną, twardo stąpającą po ziemi, pewną siebie, ufną we własne siły, nigdy nie tracącą zimnej krwi; prawdziwą ostoją rozsądku i opanowania. Ciekawa świata i głodna życia, wszędzie musiała zajrzeć, wszystkiego dotknąć i spróbować.

W pracy solidna, zdyscyplinowana, przewidywalna; nie robiła niezapowiedzianych sprawdzianów czy niespodzianych powtórek. Jej przyjemnością była „mania pytania”, więc na każdej lekcji ją „uskuteczniała”, ale wszyscy byli do tego przyzwyczajeni, wiedzieli, z jakiego materiału będą odpowiadać i jakie profesorka stawia wymagania.

Wychowała całe grono olimpijczyków, za co była wielokrotnie nagradzana; m.in. otrzymała Medal Komisji Edukacji Narodowej.

W spisanych wspomnieniach wyznawała: „Poznanie historii zawsze było moją pasją”. Stąd fraszka:

„Kim dla Julii jest Romeo,
Kim jest dla klasztoru przeor,
Kim dla mamy syn jedyny,
Dla Aliny czym maliny,
Dla kustosa czym muzeum,
Czym dla Jagiełły liceum,
Czym są dla anioła skrzydła,
Dla łasucha czym powidła,
Czym dla diabła jest ogarek –
Tym jest historia dla profesor Marek”.

Miała rewelacyjną pamięć. Była „chodzącą encyklopedią” dat, dawno minionych wydarzeń i życiorysów różnych osób. A znała chyba wszystkich dębiczan. Gdy ja – zapytana o jakąś datę czy wydarzenie – przyznawałam się: – „Nie pamiętam”, ona natychmiast mówiła: – „To ja ci przypomnę” i recytowała potrzebną informację ze szczegółami, które mnie zadziwiały. Błyskotliwa, ambitna, zawsze sypała jak z rękawa datami, nazwiskami, wydarzeniami, czego jej zazdrościliśmy. Stąd limeryk:

„Pewna Marysia z Dębicy,
to istny komputer w spódnicy,
Co wszystkie daty ma w głowie
I jeśli chcesz to ci powie,
Kiedy jej syn – Patryk Marek
Miał katarek”.

Dyrektor Galas doceniał profesorkę i powołał ją na swego zastępcę. Lubiła tę funkcję i znakomicie sprawdzała się w roli wicedyrektorki. Miała świetny zmysł organizatorski, była pewna siebie, bezkompromisowa, skrupulatna, rzeczowa, rozsądna, podejmująca szybkie decyzje. Miała duszę lidera; ja wołałam – w peletonie.

Profesorka Marysia była kobietą zawsze dotrzymującą słowa, zdecydowaną i odważną. Zarażała energią i optymizmem. Gdy ja tchórzyłam, ona wraz z kilkoma koleżankami i kolegami ukończyła kurs na prawo jazdy. Ale, choć w garażu błyszczał nowiutki polonez „metalik”, nigdy nie prowadziła, zostawiając tę przyjemność swym najbliższemu. Pewnie znała tę fraszkę o niedoświadczonych kierowcach: „Łup w słup”, więc „drałowała” codziennie do pracy „pieszkom”, nigdy nie narzekając na zmęczenie. A przecież uczyła również w „wieczorówce” i długą drogę do szkoły i z powrotem przebywać musiała często dwa razy dziennie. Ja do dziś „nie mam prawa jazdy i dla dobra ludzkości mieć go nie powinnam” – powiem słowami Beaty Szady.

Profesorka Marysia kochała swoją pracę i swoich wychowanków, którym „matkowała” i się o nich bezustannie troszczyła. Opiekuńcza, czuła i dobra, nie znosiła jedynie oszukiwania. Ale gdy delikwent przyznawał się, że się np. nie nauczył lekcji, że wie, iż zasłużył na dwóję, ale chce się poprawić, to pytała go kilkakrotnie, zmieniała już wpisaną ocenę, dawała się przekonać jego zapewnieniom.

Ciekawa wydarzeń i ludzi, nie lubiła samotności. Zasiadała z nami w pokoju nauczycielskim, zawsze chętna do rozmów, lubiła też wpadać do

naszych domów na pogaduszki i kawę. Miała serce szczerozłote i była niezwykle szczodra; cieszyła się, gdy mogła coś komuś ofiarować, coś załatwić, coś dla kogoś zrobić. Interesowała się losem emerytowanych profesorów naszej szkoły. Pamiętam, jak profesorce Gałuszce „podrzucała” owoce i warzywa ze swojej działki.

Pewnego razu, w czasach kryzysu, gdy na półkach były tylko musztarda i ocet, odwiedziłam ją, by obszyć jej – z trudem zdobytą – firankę. A firanka była piękna, z ozdobnym ażurowym lampasem, bieluśka i cieniuchna jak muślin. Gdy profesorka pobiegła do kuchni zaparzyć kawę, zabrałam się do działania i – zamiast rozciąć to cudo wzdłuż, odciąłam ów ozdobny lampas od reszty, niszcząc firankę beznadziejnie, nie do uratowania.

Ale profesorka Marysia w swej wielkoduszności natychmiast odpuściła mi winę.

Uczestniczyła we wszystkich naszych szkolnych wycieczkach zagranicznych, zachwycając się pięknem zwiedzanych miast, ich historycznymi zabytkami i dziarsko pokonując różne trudności, bez kapryśnienia i narzekania.

Od 1972 roku rozpoczęła pracę historyczki w naszej szkole profesorka Wanda Zakrzewska. Wysoka, zgrabna blondynka o złotych włosach, starannie uczesanych w imponujący kok, bystrych oczach i wyrazistym, profesjonalnym makijażu, była prawdziwą damą o posagowej urodzie – dystygowaną, przyciągającą uwagę. Zawsze w eleganckich kreacjach, poruszała się z wdziękiem jakby jakaś baletnica. Chodziła dostojnie, powoli, z podniesioną głową. Cechowały ją wytworne maniery, wystudiowane ruchy, zdystansowanie, wrodzone poczucie harmonii, powaga i pewnego rodzaju wyniosłość, topniejąca przy bliższym poznaniu, a także asertywność i pewność siebie. Jak w przedwojennej piosence: „wdziek, szyk, szarm i styl”.

Profesorka nie znosiła chamstwa, niewłaściwych zachowań, nierepektowania przez uczniów prestiżu nauczyciela, czy zbytnej poufałości. Pamiętam, jak pewnego razu oburzała się, gdy podczas rozmowy, któryś z uczniów ośmielił się ją dotknąć.

Swoim wychowankom poświęcała całe swe serce; była troskliwa, opiekuńcza, przejmowała się ich problemami, pomagała i walczyła o nich jak lwica. A oni ją lubili i lubili historię, której uczyła.

Była też dla nich bardzo pobłażliwa. Pamiętam, jak w czasach, gdy uczniowie musieli w każdym semestrze „zaliczać” określoną liczbę godzin pracy społecznej, żartowaliśmy, że już nie za posprzątanie klasy, ale nawet za przyniesienie łopatki na śmieci profesorka wpisuje kilka godzin. Bo pro-

fesorka Wanda: niezależna, niepokorna, kontestująca, była mądrą kobietą i – tak jak pewnie wszyscy – dostrzegała absurdalność owego przepisu; dlatego traktowała go z przymrużeniem oka. Bo całe to „zbieranie” godzin pracy społecznej to była fikcja, skłaniająca tylko uczniów do kombinowania. Zaświadczenia o wykonaniu odpowiedniej ilości godzin przynosiły z różnych zaprzyjaźnionych instytucji, które życzliwie przystawiały na owych „dokumentach” pieczętkę.

Profesorka troszkę bujała w obłokach i miała wyidealizowany pogląd na wychowanie dzieci. Pamiętam, gdy pewnego razu w pokoju nauczycielskim utyskiwała na niewłaściwe zachowanie i słabe oceny któregoś z uczniów:

– Gdybym ja miała dziecko, poświęcałabym mu każdą wolną chwilę i pracowałabym z nim tak, że na pewno byłoby mądre i dobre. Wysłuchaliśmy tej deklaracji w milczeniu. Mieliśmy dzieci...

Pracownia profesorki Wandy, znajdująca się na drugim piętrze, była jej azylem i oczkiem w głowie. Lśniąco czysta, wyróżniała się bujnością kwiecica, które aż kipiało pięknym fioletem w licznych doniczkach ustawionych na parapetach okien.

– Co trzeba robić, by mieć tak pięknie i tak obficie kwitnące fiołki? – zapytałam pewnego razu.

– Trzeba z nimi codziennie rozmawiać i traktować je jak żywe istoty – odpowiedziała ze śmiechem. Próbowалам w domu. Niestety, „jak dziad do obrazu...”

Profesorka Wanda była kobietą zdecydowaną i niepokorną; niczego się nie bała, nie akceptowała narzucanych ograniczeń, odważnie demonstrowała swą wolność i niezależność. To ona wraz z profesorką Zosią Wawrzaszek zakładała w naszej szkole „Solidarność”.

Pamiętam, gdy pewnego razu wypowiedziała posłuszeństwo samemu dyrektorowi Galasowi. A było tak.

Dyrektor wezwał młodzież kilku klas, by w czasie jednej z lekcji przynieść cegłę złożoną na podwórzu szkoły, a potrzebną do remontu – chyba szkolnego strychu. Wówczas profesorka Wanda w gniewnym uniesieniu podeszła do swoich uczniów i zażądała, by natychmiast szli na lekcję historii. I oni zaraz porzucili te cegły i „sznureczkiem” pospieszyli za nią do pracowni. Byliśmy w szoku; dyrektor Galas chyba też! Stał i milczał.

Profesorka Wanda najbardziej chyba przyjaźniła się z profesorką Lucyną Wodzińską, ale i do mnie przysiadła się czasem podczas nauczycielskich „nasiadówek”. Wtedy trochę rozmawiałyśmy o różnych sprawach, żyrowały-

śmy sobie nawzajem pożyczki, żartowałyśmy. Do dziś w moim domu odpowiedniego ciśnienia pilnuje stylowy barometr, który mi kiedyś podarowała.

Wielokrotnie obiecywała napisać historię szkoły. Nie zdążyła. Okrutny los zdecydował inaczej. Odeszła na zawsze, po długiej i ciężkiej chorobie.

Od 1986 roku historii uczył w naszym liceum profesor Lech Kruczała. Jego historyczne imię stało się inspiracją takiej fraszki:

„Znamy słynnych Lechów trzech:
Wałęsa, Klabacha Lech,
Pan Kruczała to Lech trzeci.
Dwaj ostatni uczą dzieci.
Wciąż się trudzą dniem i nocą
Nie pytając: za co, po co?
Uczniów twardych jak orzechy
Rozgryzają nasze Lechy”.

Profesor Kruczała był wysokim, krzepkim szatynem, z krótką, płową fryzurą i gładko ogolonymi policzkami. Lubił charakterystyczne, wzorzyste swetry, emanował pewnością siebie, rozsądkiem i stoickim spokojem. Powściągliwy, ale zdecydowany, tak, że akuratnie pasowało do niego staropolskie przysłowie: „Nie idź na Lecha [na Lacha] bez armaty”. Codziennie ochoczy do podejmowania nauczycielskich obowiązków, zdyscyplinowany, dziarski, zawsze był w dobrym nastroju.

Pamiętam, gdy podczas wspólnego dyżuru na korytarzu, pytał z troską o postępy syna, którego uczyłam języka polskiego. Mogłam tylko gorąco chwalić pracowitość, wzorowe zachowanie i maniery Daniela, którego bardzo lubiłam.

Profesor Lech – zawsze obowiązkowy, pracowity, sumienny, małomówny, zrównoważony, bez kaprysów – po prostu „robił swoje”.

Nauczanie historii nigdy nie było łatwe. W czasie „Karnawału Solidarności” wymagało zrewidowania niektórych wcześniejszych poglądów. W telewizji, w prasie, w życiu publicznym głośno dyskutowało się o potrzebie tzw. „wywabiania białych plam”. Wywoływało to wiele kontrowersji, dyskusji, problemów; podręczniki nie nadążały za wymogami czasów, programy rozdziły dylematy wśród nauczycieli i uczniów. Wówczas na zazwyczaj pogodnym czołe profesora pojawiała się bruzda zadumania. Stąd fraszka:

„Gdy wywabia plamy Lech,
To aż nam zapiera dech”.

Od 1979 roku historii uczyła również w naszej szkole profesorka Aneta Kwolek [Piątek], absolwentka liceum z roku 1984, autorka bardzo cennej, ciekawej, solidnej monografii naszej „Alma Mater” pt. „Liceum Ogólnokształcące w Dębicy”, napisanej z okazji 100-lecia liceum.

Profesorka Anetka – o bardzo kobiecej sylwetce, pogodnej twarzy, ciepłych, śmiejących się oczach i płowych, naturalnie podwijających się włosach do ramion – była osobą niezwykle delikatną, wrażliwą, cichą, dobroduszną, ufną wobec życia. Często się uśmiechała, a wtedy w jej oczach zapalały się figlarne iskierki. Ale też łatwo się wzruszała i wtedy natychmiast oczy jej wilgotniały, a w miejscu iskierek pojawiały się nieśmiałe łezki, które dyskretnie ścierała dłonią. Swym wdziękiem, urokiem osobistym i naturalnością od początku zaskarbiła sobie nasze serca.

W pracy pilna, konsekwentna, solidna, była dla swych uczniów tolerancyjna, życzliwa, przyjazna, budząca zaufanie i cierpliwie, ze spokojem znosiła uczniowskie psoty i wymówki. Gdy została mamą, ogromnie dużo swego serca oddała swojej córeczce, o której często z miłością opowiadała. Zazdrościłam jej tego jej spokoju, uśmiechu, wrażliwości. Stąd fraszka:

„Profesor Kwolek – na nerwy to lek,
Ideał Polek – Kwolek.
Pani Aneta – już dzisiaj nie ta;
Anioł-kobieta – lecz nie ta.
Niedawno sama – a dzisiaj mama,
Już nie ta sama – dama”.

Kolejnym historykiem [od roku 1985] był w naszej szkole profesor Artur Bieszczad, absolwent liceum z 1980 roku; niezbyt wysoki, o delikatnej budowie ciała, żywej twarzy i krótkich włosach zaczesywanych do tyłu. Szybki w ruchach, energiczny, chodził stanowczym, zamaszystym krokiem i nerwowo odrzucał głowę, dyscyplinując tym gestem niesforne kosmyki, ciągle opadające mu na czoło.

Profesor Artur miał osobowość pełną sprzeczności i jakąś wewnętrzną nieoczywistość. Z pozoru trudny i uparty, był zarazem delikatny, wrażliwy, nieodporny na ciosy.

Ekspresywny w zachowaniu, miał w sobie coś tajemniczego, coś żarliwego, coś buntowniczego, a zarazem jakąś niepewność w oczach, jakby na jego barki złożono zbyt wielką odpowiedzialność. Niekiedy wydawał się – mówiąc słowami Agaty Tuszyńskiej – „bezbronny jak skrzypce bez futerału”.

W jego przypadku „wywabianie białych plam” dotyczyło nie tylko bliskiej przeszłości, ale nawet czasów zamierzchłych. Na lekcjach historii dokonywał rewizji faktów i dat historycznych, podając ich alternatywne odpowiedniki, w czym przypominał trochę zabiegi pisarza Teodora Parnickiego, prezentującego różne projekcje danego wydarzenia historycznego. Stąd żartobliwe słowa włożone w jego usta:

„Ważną plamę z historii
Wywabić mi pilno:
Mickiewicz kłamał,
Że w Polsce jest Wilno!”

Profesor Artur organizował uroczystości szkolne, poświęcone pomijanym dotychczas, trudnym faktom historycznym [np. zbrodni katyńskiej], niekiedy nawet trochę kontrowersyjne, jak wtedy, gdy hoże pannice tuż przed maturą, ubrane w białe sukienki, z wiankami na głowie, sypały z koszyczków płatki białych róż.

Był typem naukowca, który najlepiej czuł się pewnie w zaciszu bibliotek i archiwów, dlatego, będąc w pokoju nauczycielskim, prawie nigdy nie pił razem z nami herbaty, nie żartował, tylko uśmiechał się blado, coś czytał, wertował jakieś papiery, lub prowadził gdzieś w kącie zażarte dyskusje, w których okazywał się fascynującym rozmówcą.

Był miłym kolegą i odznaczał się wielką galanterią wobec kobiet; jakby trochę nie z tej epoki – ujmującą i w pewnej mierze nawet krępującą.

Jak pisała profesorka Aneta Kwolek: „w roku szkolnym 1988/1989 wystąpił z oryginalną, ale i kontrowersyjną propozycją utworzenia Ligi Morskiej.

Organizacja ta, oprócz propagowania wiedzy marynistycznej, stawiać miała swym członkom inne jeszcze zadania – na przykład plakatowanie miejsc libacji alkoholowych w mieście, założenie „Księgi kultury osobistej” dla znanych z życia publicznego osób, czy przygotowywanie obchodów uroczystości patriotycznych, pomijanych w oficjalnym kalendarzu imprez szkolnych. Żywot tej inicjatywy okazał się jednak bardzo krótki”. Skąd taki pomysł profesora?

Okazuje się, że owa organizacja społeczna ma długą i burzliwą historię. Powstała tuż po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Początkowo jako „Liga Morska i Rzeczna” propagowała właśnie rozbudowę floty morskiej i rzecznej. Dążyła też do pozyskania dla Polski zamorskich kolonii, m.in. w Brazylii, Peru i na Madagaskarze – pod nową nazwą: „Liga Morska i Kolonialna”. Jak pisał Piotr Bojarski, zwolennicy programu „Ligi...”, propagując hasło: „Siła Polski leży w koloniach”, „śnili rojenia”, których spełnienie „potwierdziłoby mocarstwowy status Rzeczypospolitej, a z drugiej – uwolniłoby kraj macierzysty od przeludnienia wsi”.

W misji zorganizowanej dla poznania warunków życia na Madagaskarze wziął udział znany podróżnik i pisarz Arkady Fiedler, którego wyspa „nęciła swą tajemniczością, a także urokiem swych mieszkańców”. Nazwie potem tę misję – zakończoną fiaskiem – „niepoczytalną fantazją i naiwną, nierealną mrzonką”. Może coś z tych fantastycznych, ale nierealnych marzeń legło u podstaw śmiałych zamierzeń profesora Artura?

Po wojnie, wyżej przedstawiona organizacja odnowiła swą działalność jako „Liga Morska”, która działała do 1953 roku. W grudniu 1980 roku – na fali przemian ustrojowych – została reaktywowana, a jednym z jej prezesów został Bronisław Komorowski, późniejszy prezydent Polski.

Profesor Artur Bieszczad, po kilku latach pracy porzucił profesję nauczycielską i wyjechał z Dębicy.

Przez pewien okres czasu uczyli też historii w naszej szkole profesowie: Kazimierz Moskal – dyrektor Miejskiego Zarządu Oświaty w Dębicy i poseł na sejm – pełen klasy i kultury, niezwykle skromny, pogodny, szarmancki brunet, z miłym uśmiechem przychodzący do mojej pracowni, w której prowadził lekcje [zawsze dbał, by klasa była po zajęciach wysprzątana, tablica czysta, a klucz odniesiony na swoje miejsce] i profesor Tomasz Myśków – wysoki szczupły szatyn, który jednak wkrótce zrezygnował z zawodu nauczyciela i znalazł inne zajęcie.

Ogromnie ważnym przedmiotem w naszej szkole – od samego początku jej istnienia – była matematyka. Był taki okres, gdy nie wszyscy musieli ją zdawać na maturze, ale zagorzali zwolennicy „królowej nauk” – jak ją ochrzczono – sprawili, że znów wróciła jako obowiązkowy przedmiot.

Wysoki poziom nauczania matematyki w naszej szkole zapewniaли świetni wykładowcy. Prawie wszyscy uczniowie czuli przed nią respekt i bali się groźnych profesorów-matematyków, tak jak niezastąpiony Jaś z dowcipów, które opowiadaliśmy na przerwach.

„Mama pyta Jasia:

- Jasiu, czego ty się najbardziej boisz?
- Ja się najbardziej boję profesora od matematyki i ciemności.
- A dlaczego ciemności?
- Bo w nich może się skrywać profesor matematyki”.

I druga: „Profesor sprawdza zadania domowe. Ze zdumieniem stwierdza, że Jaś rozwiązał je najlepiej.

- Jasiu, kto ci pomagał?
- Mama.
- O, to twoja mama jest świetnym matematykiem.
- Tak, proszę pana. Dodaje sobie urody, odejmuje lat, mnoży dzieci i dzieli łożę”.

A o strachu przed matematyką mówi też fraszka „Stan przedmatematyczny”:

„Serce jak szalone pika -
Matematyka!!!”

W naszym gimnazjum, prawie od początku jego istnienia, bo od 1903 roku, matematyki uczył profesor Józef Stachnik. Serdecznie wspominał go Julian Róztoczyński:

„Profesor Stachnik był „doskonałym wykładowcą, obdarzonym niezwykłym darem umiejętności przekazywania uczniom w sposób dostępny i zrozumiały zagadek i rozwiązań matematycznych. Niestety, zmarł „powalony nieuleczalną chorobą płuc, zbierającą podówcześnie liczne śmiertelne żniwo”.

Od 1905 roku matematyki i fizyki uczył profesor Michał Radomski.

Jego uczeń Michał Urbanek wspominał: „Szatyn, twarz smągła, inteligentna, wąs podkreślony, oczy śmiejące się nawet wtedy, gdy udawał gniew. Był bardzo przystępny i bardzo pobłażliwy. Wymagał szczerości, pilności, systematyczności i punktualności, bo sam był punktualny, jak dobrze chodzący zegarek [...]. Pokochałem go, bo mi zawsze okazywał dużo serca i bolał nad tym, że mam w domu tak ciężkie warunki. Dzięki niemu matematyka i fizyka stały się moimi ulubionymi przedmiotami”.

W 1915 roku nauczycielem matematyki i fizyki w gimnazjum został – wspomniany już – profesor Ludwik Kita, a w 1926 roku – Stanisław Skrzyszewski: „przyjaciół młodzieży”, późniejszy Minister Oświaty i Minister Spraw Zagranicznych PRL. Marian Grundboeck wspominał, że matema-

tyki i fizyki uczył również dyrektor szkoły Franciszek Sadowski [w gimnazjum od 1933 roku].

Grundboeck pisał: „W ostatnich dniach września 1939 roku Państwowe Gimnazjum i Liceum w Dębicy wznowiło naukę według programów przedwojennych, więc zapisałem się do pierwszej klasy, by nie tracić cennego czasu. Ponieważ budynek gimnazjum zajęty był przez niemieckie wojsko, nasze lekcje odbywały się po południu w budynku szkoły powszechnej [...]. Funkcję dyrektora nadal pełnił Franciszek Sadowski, prefektem był wciąż ksiądz Teofil Dec, ale wśród profesorów brakło matematyka, Ludwika Kity, którego zabiła jedna z niemieckich bomb, jakie spadły na Dębicę podczas pierwszego nalotu. Pod koniec października, na mocy zarządzenia władz niemieckich, nastąpiło zamknięcie szkoły”.

Od 1944 roku funkcję matematyka i fizyka w naszej szkole objął „legendarny” profesor Józef Wiercioch, który w czasie wojny [od 1943 roku] działał w Komisji Oświaty i Kultury, był organizatorem i wykładowcą tajnego nauczania, a po wyzwoleniu, w prymitywnych warunkach, krzewił miłość do matematyki, zawsze świetnie rozumiejąc młodzież, kochając ją i towarzysząc w codziennym „zmaganiu się” z wiedzą. Był również moim nauczycielem.

Tuż po wojnie profesor Wiercioch wszedł w skład zarządu spółdzielni nauczycielskiej, powstałej z inicjatywy dyrektora szkoły – Franciszka Sadowskiego, której szefował Mieczysław Dymitrowski, a która miała na celu utworzenie funduszu pomocy dla potrzebujących nauczycieli. W latach 1947-1950 uczył matematyki przyszłych pedagogów w zorganizowanym w naszej szkole dwuletnim liceum pedagogicznym dla dorosłych.

Na zachowanym zdjęciu widzimy przystojnego mężczyznę w ciemnym garniturze i białej koszuli z krawatem, o pogodnej twarzy, wydatnych ustach pod małym wąsikiem, wysokim czole i ciemnych włosach – lekko falistych, gładko zaczesanych do tyłu. Z oczu – bystrych, mądrych, pogodnych – bije pewność siebie, ale też łagodność i spokój.

Wszyscy uczniowie profesora Józefa Wierciocha tak właśnie go zapamiętali; jako człowieka ciepłego, o wielkim sercu, cieszącego się ogólną sympatią, zacnego, szlachetnego, a także jako rasowego nauczyciela, który – jak wspominała Alfreda Ździebło: „tłumaczył matematykę cudoownie i był bardzo taktowny”. Takich wspomnień zachowało się wiele. Oto kilka z nich:

Ewa Cięciel: „Był to wspaniały wychowawca. Miał dar zjednywania sobie młodzieży. Wszyscy go szanowaliśmy i podziwialiśmy jako nauczyciela

i człowieka. Po zakończeniu omawiania danego tematu profesor pytał, czy wszystko zrozumieliśmy i wtedy dopiero zadawał zadanie domowe”.

Eugeniusz Jasiński: „Swoją wiedzę potrafił przekazać każdemu uczniowi bez względu na jego predyspozycje do tego przedmiotu. Zadania i zasady matematyki tłumaczył dokładnie tak długo, aż dotarły do świadomości każdego ucznia [...]. Był nauczycielem ogromnie dobrotliwym, cierpliwym i miłosiernym dla wszelkich stworzeń, w tym dla powierzonych mu, niesfornych młodych ludzi, dobrotliwym i wyrozumiałym. Jego kultura osobista, odnoszenie się do uczniów i ludzi w ogóle winny być wzorem dla wszystkich”.

Alfreda Ździebło: „Tłumaczył matematykę cudownie i był niezwykle tolerancyjny. Nigdy nikomu nie ubliżył, przymykał oczy, gdy słabeusze „ściągali” na klasówkach [...]. Miał szerokie zainteresowania humanistyczne – znał łacinę, grekę, kochał literaturę. Często reżyserował przedstawienia szkolne, gdzie wystawiano np. komedie Fredry lub widowiska satyryczne, których scenariusze profesor pisał własnoręcznie [...]. Kochaliśmy profesora Wierciocha wszyscy i był naszym niekwestionowanym autorytetem”.

Potwierdzam: to był pedagog czystej wody i wielka osobowość! Cieszył się ogromną sympatią nie tylko wśród uczniów, ale też wśród mieszkańców Dębicy. Nie było w nim żadnej pozy i nawet cienia zarozumiałości, była szlachetność, zacność, dobroć, ale też góralska twardość, wierność zasadom, dzielność. Marian Grundboeck powiedział trafnie o profesorze: „równy chłop”.

Profesor Wiercioch zawsze ze stoickim spokojem, swoim głosem niskim, łagodnym i przyjemnym, na „chłopski rozum” tłumaczył nam różne zawiłości matematyczne, a miał taką cudowną zdolność upraszczania owych skomplikowanych zawiłości, że wszystko wydawało się łatwe, więc słuchaliśmy z uwagą tego – trochę schrypniętego, mocnego, ale ciepłego głosu.

Zawsze można mu było ufać, zawsze powiedzieć o swoich zmartwieniach, wytłumaczyć swoje zaniedbanie czy brak przygotowania. Zazwyczaj spoglądał na nas życzliwie, ale czasem chował w dłoniach głowę, opierając ręce na łokciach i zamyślał się na chwilę, a my siedzieliśmy cichutko, by nie spłoszyć jego myśli i patrzyliśmy, jak słońce opromieniało jego zmęczoną twarz i kładło na jego włosach kasztanowe błyski.

Ciągle prosiliśmy, by przełożył klasówkę, bo nie zdążyliśmy „wykuć” potrzebnych wzorów, by nie sprawdzał zadania domowego, bo musieliśmy czytać lekturę, albo żeby nie pytał, bo uczyliśmy się na sprawdzian z chemii. Było jak w tej fraszce:

„Na lekcjach:

– Profesorku, niech pan przełoży do wtorku!

Przed maturą:

– Profesorze, gorze!!!”

Profesor – cierpliwy do bólu, wielkoduszny, znający życie i rozumiejący uczniowską dolę – najczęściej ulegał, bo serce miał ze złota czystego. Ale też tłumaczył, co musimy koniecznie umieć z matematyki, by zdać maturę i – w ogóle – mieć jakieś pojęcie o tej dziedzinie wiedzy, by umieć ją w przyszłości wykorzystać w praktyce.

Gdy spóźnialiśmy się na lekcję, zawile tłumacząc powody tego spóźnienia, patrzył wyrozumiale spod przymkniętych powiek, kiwał głową niby doskonale nas rozumiejąc, ale zaraz znenacka pytał: – A ciepła była woda w Wisłoce?

Bo był człowiekiem niezwykle pogodnym i wciąż miał w sobie coś z dziecka; pewną skłonność do żartów, figlarność nawet i delikatny uśmiech, błędzący zawsze po jego twarzy.

W tym był trochę podobny do profesora z filmu Zbigniewa Chmielewskiego „Profesor na drodze”, z Józefem Nalberczakiem w roli głównej, który uczy „na wieczorówce”. On też lubi i rozumie swoich uczniów. Jest mądry, sumienny, ale też wyrozumiały i dowcipny. Jak nasz profesor Wiercioch!

W filmie mamy scenę, gdy profesor rysuje kwadrat, dzieli na 4 części i wskazując liniijką, pyta dorosłego ucznia:

– Popatrz: tu ćwiartka i tu ćwiartka. To ile razem?

A uczeń: – Pół litra”.

Pamiętam. Pewnego cudnego lata, będąc na wakacjach zatrzymałam się na kwaterze w domu usytuowanym na granicy Szczawnicy i Jaworek. Gospodarz podczas rozmowy wspomniał, że Wierciochowie – bardzo mili rodzice naszego profesora – mieszkali po sąsiedzku i nieopodal mieli kawałek pola na dość stromym stoku. Choć ich syn Józef cieszył się już sławą profesora dębickiego liceum – co w tużpowojennych czasach miało swoją wartość – po przyjeździe na wakacje do rodzinnego domu wdziewał robocze portki i z kosą, albo z grabiami na ramieniu ruszał na ów pagór, by kosić owies lub grabić siano. Miał twardy, prawdziwie góralski charakter.

Profesora Wierciocha kochaliśmy nawet wtedy, gdy stawiał nam dwójki. Więc z przerażeniem – będąc na wakacjach – usłyszeliśmy wiadomość, że niespodziewanie nasz charyzmatyczny matematyk, "niekwestionowany autorytet młodzieży" – zmarł. Byliśmy zrozpaczeni.

Władze Dębicy uczciły pamięć profesora Wierciocha, nazywając jego nazwiskiem jedno z rond. Myślę, że gdyby tak mógł to zobaczyć, chyba ucieszyłby się w duchu, ale – jako że był niezwykle skromnym człowiekiem – pewnie z zażenowaniem skwitowałby ten fakt ulubionym zawołaniem: „Francuz, Madziar, inny Tatar”!

Po śmierci profesora Wierciocha moim matematykiem został profesor Władysław Kulig, który rozpoczął pracę w naszej szkole w 1952 roku.

Był mężczyzną słusznej postury, krępy, szerokoramiennym, pachnącym elegancką wodą kolońską, o twarzy okrągłej, budzącej zaufanie, z częstowaną złością cerą i starannie zaczesanymi do tyłu włosami.

Stateczny, zrównoważony, powściągliwy, zdystansowany był mistrzem powagi, opanowania i niewzruszonego spokoju; nigdy nie podnosił głosu, nie krzyczał, nie groził. W eleganckim, stonowanym swetrze, w ciemnych spodniach i wyglansowanych butach, wchodził do klasy powoli, z namaszczeniem, zawsze wraz z dzwonkiem. Kładł na stole dziennik i skórzaną teczkę, z której wyciągał elegancki notes i czarne etui na wieczne pióro ze złotą skuwką. Siadał na krześle, otwierał dziennik równiutko ułożony obok notesu i pióra, i po wysłuchaniu relacji dyżurnego, dotyczącej uczniów nieobecnych, przez chwilę śledził w dzienniku nasze „osiągnięcia” z matematyki, a my z zapartym tchem czekaliśmy, kto zostanie wezwany do tablicy, by rozwiązać domowe zadanie.

Profesor – sam sumienny i obowiązkowy – był niezwykle arbitralny w egzekwowaniu wiedzy. Odpisanie od kolegi pracy domowej zupełnie się nie sprawdzało. Musieliśmy umieć drobiazgowo wyjaśnić cały tok naszego rozwiązywania, inaczej sypały się dwójki. Ale nawet wtedy profesor nie robił groźnych min, nie straszył, nie obrażał, nie ironizował. Zachowywał niezmaconą pogodę ducha, co nas bardzo w nim ujmowało.

Po omówieniu zadania, profesor Kulig – trochę monotonnym, jednostajnym, zawsze łagodnym głosem, wyjaśniał nam różne zawiłości matematyczne, równocześnie zapisując coraz to nowymi działaniami wycieraną co chwilę tablicę. Biały pył osiadał grubą warstwą na półeczce umocowanej na dole tablicy, na twarzy profesora wykwiwały rumieńce, czasem dyżurny biegł do woźnego, by przynieść nowy kawałek kredy, a w naszych głowach rodził się coraz większy zamęt, chociaż tak bardzo chcieliśmy tę abrakadabre zrozumieć, pokochać matematykę, docenić elegancję algebraicznych równań, uszczęśliwić profesora. Na próżno.

„Z matematyką jest jak z kobietą – pisał Julian Tuwim. Można ją bardzo kochać, bardzo jej pragnąć – a nie rozumieć”. Nie udawało się nam najczęściej ani jedno ani drugie.

Na lekcjach matematyki panowała niezmacona cisza; również wtedy, gdy samodzielnie wykonywaliśmy jakieś polecenie z podręcznika. Profesor przechadzał się powolutku między ławkami i cichutko powtarzał jakieś prościutkie działania matematyczne, np. dwa razy dwa, dwa razy dwa – i nagle wskazywał ucznia, który nie zawsze dosłyszał, o co chodzi. Wtedy profesor uśmiechał się leciutko: – Nie wiesz takiej prostej rzeczy? Dwójka!

Siedzieliśmy więc jak trusie, że można było usłyszeć szpilkę spadającą na podłogę, prawie spijając z ust profesora każde słowo. I powtarzaliśmy znany wierszyk:

„Pitagoras twierdzi, że nauka śmierdzi.
Pan Kulig dowodzi, że to nic nie szkodzi”.

Bo profesor Kulig rzeczywiście nie zniechęcał się naszym nieuctwem. I robił swoje.

Oplaciło się, bo solidnie nas przygotował do matury, a nawet na zakończenie szkoły chętnie ustawiał się z nami do zdjęć, które do dziś są naszą cenną pamiątką.

Na jednym z nich – oczywiście czarno-białym – stoi pośrodku w białej koszuli i marynarce, otoczony absolwentami. My, też odświętnie ubrani, pogodni, już dorośli. Przed profesorem przykucnęły trzy najodważniejsze dziewczyny: Marysia Kalita zwana „Pchełką”, moja koleżanka z ławki Janka Lipińska i Marysia Mucha – „Lalka”. Po prawej stronie profesora prymuska Zosia Sak, po lewej – „najpiękniejsza w klasie bez dwóch zdań” – Marysia Panek. Chłopcy po bokach i z tyłu grupy. Ja pierwsza z lewej – skromniutko, chowam się trochę za Krysię Kocoł – moją wspaniałą koleżankę z Pustyni. Obok niej – druga z najbliższych mi dziewcząt – Irenka Dziurgot z Woli Żyrakowskiej. W tle budynek naszego liceum od strony podwórza. Jest ciepły, słoneczny, majowy dzień 1963 roku. Ach, cóż to był za piękny czas!

Do dziś pamiętam moją maturę z matematyki. Zbliżał się już wieczór, a na korytarzu czekało jeszcze sporo delikwentów, więc profesor Kulig подарował mi tłumaczenie twierdzenia Pitagorasa, przekonując z mglistym uśmiechem Komisję Egzaminacyjną, że to na pewno umiem.

Kochany, przezacny, wspaniały! Nie wiem, czy poradziłabym sobie nawet z tym – ponoć łatwym Pitagorasem, bo matematyka nie jest moją najmocniejszą stroną i – powtórzę za klasykiem – „do dziś mi całki nie robią różniczek”.

Do dziś pamiętam też tamte życzliwe oczy profesora, uścisk jego ciepłej, miękkiej dłoni i „znaczący”, figlarny uśmiech.

Pamiętam również incydent z końca lat siedemdziesiątych, gdy byłam już dla profesora koleżanką z pracy. Jego syn, studiujący w Krakowie udał się z kolegami na wycieczkę w wysokie góry i przez kilka dni nie dawał znaku życia. Profesor straszliwie się niepokoił, cierpiał, rozpaczał. Współczuliśmy mu wszyscy, ale nie mogliśmy mu pomóc.

Dopiero po kilku dniach wszystko się wyjaśniło. Wycieczka była udana, nic złego się nie działo, ale w tamtym czasie – gdy o „komórkach” nikomu się nie śniło – kontakty telefoniczne były utrudnione, a wiadomości docierały z opóźnieniem. Zobaczyłam wtedy profesora w roli stroskanego rodzica i bardzo mu współczułam.

A rodziną profesję kontynuował właśnie ów syn profesora Kuliga – Ryszard, który rozpoczął pracę w naszej szkole w roku 1979. Uczył matematyki i informatyki.

Profesor Ryszard Kulig [absolwent liceum z 1974 roku] był szczupłym, młodym mężczyzną o drobnej twarzy, ciemnych włosach przyciętych króciutko i brązowych oczach, skrytych za okularami, spoglądających najczęściej ostrożnie i jakby ciut niepewnie, ale czasami też trochę mrocznie i surowo. Spokojny, oszczędny w gestach, poważny, skupiony, powściągliwy, nawet odrobinę tajemniczy, wydawał się chłodny w obyciu i zamknięty w sobie. Ale – jak to mówią: „swoją małomównością wręcz sugerował, że ma bardzo wiele do powiedzenia”.

Przy bliższym poznaniu okazywał się człowiekiem ciekawym świata i ludzi, żartobliwym, chętnym do rozmów w pokoju nauczycielskim, podczas których nieśmiało się uśmiechał, a w tej nieśmiałości był niezwykle ujmujący, chociaż potrafił także być impulsywny i zdecydowany. Jak na matematyka przystało miał ścisły, precyzyjny, analityczny, logiczny umysł, więc z radością poruszał się w świecie liczb – „między tym co niewyobrażalnie wielkie i tym, co niezwykle małe”.

Był świetnym kolegą podczas wycieczek; z wielkim zainteresowaniem poznawał miasta i pejzaże Europy, dzielnie też znosił wszelkie trudy podróży, jak przystało na wytrawnego turystę.

W pracy, solidny, zdyscyplinowany, wymagający, taki, co zawsze rację ma, „jak dwa razy dwa”, budził respekt, ale był przez młodzież ceniony i lubiany. Stąd fraszka:

„Profesor Kulig Ryś
Jest bardzo groźny dziś,
Więc każdy drży jak liść.
Oj, groźny Ryś!
Lecz wkrótce mija złość
I gdy umiemy coś,
To miły jest jak miś –
Profesor Ryś”.

Od 1963 roku nauczanie matematyki w naszej szkole rozpoczął profesor Kazimierz Gwóźdź. Był wysokim, szczupłym szatynem o jasnych oczach, w których czaiły się zaduma i rozwaga. Dla uczniów – zawsze z uwagą spoglądających na wchodzącego profesora, by wyczytać, w jakim jest humorze – jego twarz była nierozszyfrowalną zagadką.

Poważny, zamyślony, milkliwy, skupiony na pracy, powściągliwy i ostrożny, opanowany, trochę jakby nieobecny, cały oddawał się matematyce, którą kochał wprost niemożliwie, gardząc drobiazgami codzienności. Chyba uważał jak Novalis, że „czysta matematyka jest rodzajem religii. Nie ma tam fantazji, onego błakania się w kole bez wyjścia. Dowód, kontrola, trwałość, wieczność. Żadnych izmów, tylko posuwanie się po linii prostej. Żadnych bredni, żadnych pięknych baśni opowydanych przy kominku. Gdzie wszystko da się opisać, wyjaśnić, udowodnić, wykazać na przykładzie”. Czyż można tego nie kochać?

Dlatego kochał matematykę i skrupulatnie, systematycznie, dokładnie, z pasją przekazywał swą wiedzę, choć rzadko bywał ukontentowany. Lubił wysoko stawiać poprzeczkę sobie i uczniom. Nie darował nikomu lenistwa, zanedbywania obowiązków szkolnych, lekceważenia, nieuctwa i wyciskał z uczniów wiedzę jak z cytryny. A żadna spontaniczność nie zakłócała jego racjonalnego myślenia. Stąd fraszka:

„Patrzcie, patrzcie miłe dziadki,
Jaki groźny, chociaż gładki”.

W swej pracy profesor osiągał bardzo dobre wyniki i miał opinię świetnego matematyka. Dlatego dyrektor Galas zwykł mawiać: „Gwóździa mam tylko jednego”! Stąd druga fraszka:

„Kiedy po nocach wciąż matkę kułam,
gorzko śpiewałam o tym, co czułam:
„Kazek, nie daruję ci tej nocy!”
Dziś, profesorze, kłaniam się nisko,
Bo dzięki panu rozumiem wszystko”.

Profesor Kazimierz Gwóźdź krzewił również w liceum ruch spółdzielczy. Ów ruch miał w naszej szkole długą tradycję i rozwijał się już w okresie międzywojennym. Edward Wodzień pisał, że „w 1926 roku zorganizowano „Dzień Spółdzielczości” i wprowadzono „Kasy Oszczędności”. W ramach tego ruchu utworzono w naszej szkole Spółdzielnię Uczniowską, która prowadziła sklepik szkolny [od 1956 roku], organizowała wycieczki, biwaki, wyjazdy do teatru, opery, zabawy karnawałowe i dyskoteki. Profesor Kazimierz Gwóźdź został opiekunem tej spółdzielni i prowadził ją aż do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

A szkolny sklepik cieszył się zawsze wielką popularnością wśród uczniów, a także wśród grona nauczycielskiego. Usytuowany na parterze, miał zasuwane okienko, przez które zamawiało się potrzebny artykuł, małą ładę oraz kratę zabezpieczającą przed amatorami dobrania się do poukładanych starannie we wnętrzu owego sklepiku skarbów. A było ich wiele. Oprócz zeszytów, długopisów, przyborów szkolnych można było tam kupić bułeczkę, kanapkę, wodę mineralną, czy jakiś soczek. Pamiętam, jak bardzo polubiłam sklepikowe marchewkowe „Kubusie” w małych buteleczkach; ot, akurat na jeden łyček przed lekcją.

Pewnego razu jedna z uczennic biegła na przerwie do sklepiku i zaproponowała, że mi kupi ową pożywną buteleczkę. Zgodziłam się chętnie, bo akurat miałam jakąś sprawę do załatwienia. Schodząc na parter, zobaczyłam wijącą się przed sklepikiem niesforną kolejkę i usłyszałam donośny krzyk:

– Przepuście mnie, muszę kupić „Kubusia” dla „Nizioła”.

Tak poznałam swoją licealną ksywkę. Rozwiała się też moje przekonania dotyczące samarytańskiej duszy owej uczennicy; po prostu szukała pretekstu, by uniknąć stania w kolejce. A marchewkowy „Kubuś” stał się nawet tematem miłego wierszyka, który otrzymałam w podarunku od jednej z klas:

„Jest w naszej szkole taka kobita -
Jak się poprosi, to nie zapyta.
Jest uśmiechnięta i zawsze miła,
Złośliwa także nigdy nie bywa.
Jaki to sposób ma znakomity,
Który jej daje takie profity?
Nie trzeba długo łamać tu głowy:
Po prostu, pije sok marchewkowy”.

W ramach ruchu spółdzielczego profesor Gwóźdź był organizatorem i opiekunem obozów wędrownych. Pierwszy taki obóz miał miejsce w lipcu 1972 roku. Obozowicze przebyli trasę z Lęborka przez Puck do Gdańska. „I tak już w tradycji pozostało, że wędrowki kolejnych obozów przebiegały podobnymi trasami Wybrzeża”.

To te obozy uczniowie wspominali jako coś cudownego, a profesora Gwoździa poznawali jako zupełnie innego człowieka – wspaniałego towarzysza podróży, wesołego obozowicza, o spojrzeniu zawsze trochę roztargnionym, jakby wyrwano go z głębokiego zamyślenia i ciągle trochę gubiącego się w codziennych drobiazgach. Ale obok zawsze była świetnie zorganizowana, zaradna, pomysłowa, troszcząca się o męża i wszystkich uczestników obozu żona profesora – cudowna profesorka Hania.

Byli bardzo dobraną parą. Podobno w czasach studenckich oboje należeli do zespołu tanecznego. Profesorka Małgosia Kurcz wspominała jedną ze studniówek, na której profesor Gwóźdź tańczył z nią „wprost bosko”.

Od 1964 roku matematyki uczyła przez kilka lat profesorka Lucyna Marciniak, a na początku lat siedemdziesiątych – też krótko – profesorka Zofia Kruczek i profesor Jan Kaczmarek.

W 1969 roku rozpoczął nauczanie matematyki profesor Marian Cierpik.

Był mężczyzną wysokim, szczupłym, energicznym, szybkim. Zawsze z przyszywaną starannie płową fryzurą i takim-ż wąsikiem, ubrany ze swobodną elegancją, odznaczał się niezmąconą pogodą ducha, fantazją, ciekawością świata i ludzi. W jego lekkim półuśmiechu, w głębokim, łagodnym spojrzeniu, w spokojnych gestach i refleksyjnej naturze można było dostrzec czającą się dobroć, serdeczność, szczerść i życiową mądrość. Umiał słuchać, ale też ciekawie opowiadać, co sprawiało, że w jego obecności nigdy nie było nudno.

Sumienny, pracowity, mądry i uczciwy, miał też w sobie wiele ujmującej nieprzewidywalności i fantazji. Potrafił wymagać, ale był też toleran-

cyjny i wyrozumiały, lubił rozmawiać z uczniami, żartować, liczyć się z ich racjami. Stąd przekorna – jak on sam – fraszka:

„Już od lat czterech
Panu daremnie mówimy,
Że prócz matematyki,
Są także dziewczyny”.

Wszystkim były znane jego „ochoty na psoty”, a także to, że lubił sobie podśpiewywać. Bywało, że wzywając np. jakąś dziewczynę do tablicy, czytał to słowami znanej piosenki: „Przybądź do mnie dam ci kwiat paproci...”, a gdy delikwentka ni w ząb nie umiała zrobić zadania, to odsyłał ją do ławki, podśpiewując np. „Siadaj siadaj, moje kochanie, nic nie pomoże twoje płkanie...” Ale tak naprawdę, to nikt nigdy z powodu profesora nie lał łez.

Profesorka Lidia Górka wspominała, że wszystkie dziewczyny z jej humanistycznej klasy niewiele rozumiały z zawłości matematycznych, ale bardzo lubiły profesora: „Podejrzewam, że miłość całej naszej klasy do profesora była wzajemna, lecz z pewnością nie wprost proporcjonalna do miłości do matematyki [...]. Pozostanę mu zawsze wdzięczna za życzliwe i cierpliwe do nas podejście oraz za wspaniałe poczucie humoru, którym nas obdarowywał, obracając w żart nasze tortury pod tablicą”.

W liceum [od 1974 roku] pracowała również żona profesora Cierpika – Maria, która uczyła historii i przysposobienia do życia w rodzinie. Państwo Cierpikowie byli drugą parą małżeńską – obok państwa Gwoździów – zatrudnioną przez dyrektora Galasa.

Zawsze wzruszała nas wzajemna miłość małżonków; profesorzy Maria i Marian wyglądali słodko, gdy tak chodzili razem, trzymając się za ręce i spoglądając na siebie ciepło i czule.

Profesorka Maria Cierpik była niską, korpulentną blondynką o pełnej twarzy, na której wypisana była wrodzona dobroć, łagodność i pogoda ducha. Była bowiem kwintesencją serdeczności.

„Historia prowadzona przez profesorkę – wspominała Lidia Górka – była bardzo interesującym przedmiotem. Potrafiła w zajmujący sposób przekazywać nam wiedzę; odnoszę wrażenie, że nigdy nie pamiętałam momentu dzwonka na przerwę, kończącego lekcje historii. Po prostu „wsiakało się” w historyczne opowieści profesorki bez reszty”.

Stateczna, powolna w ruchach, o usposobieniu wprost anielskim, zawsze miała czas dla każdego, kto jej potrzebował, zawsze była chętna do rozmowy,

uśmiechnięta, budząca zaufanie; umiała słuchać, współczuć, a także doradzać – dyskretnie i życzliwie, rozsiewając wokół okruszki dobra.

Kochała i rozumiała młodych ludzi, miała do nich niewyczerpaną cierpliwość, starała się łagodzić wszelkie nieporozumienia, brała ich w obronę, wstawiała się za wieloma u kolegów-nauczycieli, pocieszała.

Miękka jak wosk, interweniowała również u swego męża, o czym też wspominała Lidia Górską: „Była dla nas bardzo wyrozumiała i cierpliwa. Szczególnie brała nas w obronę przed własnym mężem – profesorem Cierpikiem. Cierpliwie tłumaczyła, że klasa nie składała się z samych orłów matematycznych, że przejawiałyśmy zdolności humanistyczne i zainteresowania historią, co w jakiś sposób powinno być przez niego brane pod uwagę.

Profesor śmiał się, podkręcał wąsa i wzywał kolejno do tablicy nieubłagane twierdząc, że trzeba wziąć się do nauki”.

Od 1974 roku matematyki w naszej szkole uczyła profesorka Krystyna Kumiega [Jargas], absolwentka liceum z 1969 roku. Była niewysoką brunetką o ciemnobrązowych, wyrazistych oczach i pięknych, bardzo długich, lśniących włosach rozpuszczonych na plecach, które później „zdradziła” na rzecz króciutkiej fryzury.

Jonasz Kofta śpiewał: „Kto ma dzisiaj czas uśmiechać się jak Mona Liza?” Profesorka Krysia miała taki właśnie – trochę nieśmiały, tajemniczy, intrygujący uśmiech. Zdystansowana, powściągliwa, zawsze zachowująca zadziwiający spokój, rozważna, oszczędna w gestach, mówiła lekko przyciszonym głosem – delikatnym jak aksamit. Chodziła cicho, lekko, bezszelnie, gdyż cechowała ją ujmująca łagodność i miękkość ruchów.

Pracowita, sumienna, odpowiedzialna, świetnie zorganizowana, skrupiona, dokładna, zasadnicza, wymagała również od uczniów pilności, pracowitości i solidności. Budziła respekt i posłuch. Na jej lekcjach zawsze panowała cisza jak makiem zasiał. Stąd fraszka:

„Cyt, cyt. Cicho sza!
Będzie matematyka.
Profesorka Krysia przyjdzie
I wzory nam szeptać będzie.
A kto słucha – drodzy moi –
Ten matury się nie boi”.

Kolejną matematyczką, uczącą w naszej szkole [od roku 1977] była profesorka Celina Ukowska.

Wysoka, bardzo kobieca, o oliwkowej karnacji, delikatnych rysach, ciemnych oczach i starannie ułożonej, króciutkiej fryzurze była osobą emanującą energią, optymistycznym nastawieniem do świata, opanowaniem. Zawsze szykownie ubrana, z uśmiechem na ustach i z błyskiem w oku, chodziła szybko, z wdziękiem i gracją.

Uprzejma, życzliwa i miła, o ciepłym, delikatnym głosie, towarzyska, dowcipna, lubiła nasze rozmówki przy herbacie, nasze wycieczki i koleżeńskie spotkania, na których zarażała pogodą ducha.

Pamiętam, gdy po spektaklu w teatrze w Krakowie, poszliśmy całą grupką do małej knajpki w podziemiach Sukiennic na filiżankę gorącej kawy. Profesorka Celina wyróżniała się wśród nas piękną koktajlową suknią, ozdobioną szalenie wówczas modną broszką z kolorowych piórek. Można by powiedzieć – nawiązując do specjalności profesorki – „zadbana do trzeciego miejsca po przecinku”! Wyglądaliśmy przy niej pospolicie i prowincjonalnie. Pamiętam też, gdy podczas największego kryzysu żywieniowego „załatwiła” ogromny kloc żółtego sera i dzieliła go w pokoju nauczycielskim z radością, dostarczając nam wiele frajdy.

W pracy skrupulatna i wnikliwa, systematyczna i konsekwentna, z zawsze przygotowanymi i rozwiązanymi w domu zadaniami matematycznymi, prowadziła lekcje sprawnie, planowo i niby na luzie, ale bacznie obserwując spod okularów, czy ktoś nie rozmawia, nie zajmuje się innymi sprawami niż matematyka albo nie lekceważy jej poleceń. Wówczas wkraczała zdecydowanie i dyscyplinowała skutecznie każdą niesubordynację.

Uczniowska poczta pantoflowa informowała, żeby bardzo uważać, gdy profesorka ma na sobie żółty sweterek „z bąbelkami”, bo wtedy szczególnie solidnie pyta i surowo ocenia. Wielu obawiało się takich lekcji, stąd fraszka pt: „Modlitwa uczniów”:

„Spraw, o Boże wielki,
Żeby nie było Celki!”

Uczniowie od zawsze cieszyli się, gdy przepadała jakaś lekcja – nie tylko matematyki; zwłaszcza, gdy miała być powtórka materiału czy klasówka. Dlatego owa modlitwa mogła dotyczyć wielu nauczycieli i mogła brzmieć np. „Spraw, Boże łaskawy, żeby nie było Czesławy”, albo „Spraw, o Boże jedyny, żeby nie było Haliny”, „Spraw, o Matko nasza, żeby nie było Tomasza”, „Spraw, Matko łaskawa, żeby nie było Wiesława” itd. itd.

A profesorka Celina – mimo tych modłów – jednak przychodziła na lekcję, bo była nauczycielką zdyscyplinowaną, pracowitą i sumienną. I potrafiła nauczyć tak, że nawet najsłabsi uczniowie zdawali maturę.

Kolejną matematyczką w naszej szkole, pracującą od 1985 roku, była profesorka Lucyna Bączek [Stanok], absolwentka liceum z roku 1980, moja uczennica.

Dosyć wysoka brunetka, szczupła i gibka, z włosami do ramion, o ciepłym spojrzeniu niebieskich oczu i łagodnym głosie, któremu chciało się wierzyć, była lubiana i ceniona przez wszystkich. Pogodna i serdeczna, prostolinijna i szczerą, dla każdego miała dobre słowo i uśmiech, a gdy się śmiała, w jej oczach pojawiały się wesołe ogniki.

Uważna i cierpliwa, roztropna i refleksyjna, głosem spokojnym i rzeczowym wyjaśniała w przystępny sposób najtrudniejsze matematyczne zadania – zawsze życzliwie nastawiona do uczniów, a przy tym zrównoważona, rzetelna, pracowita i zdyscyplinowana. Stąd fraszka, na motywach znanej piosenki:

„Gdybym ja na twojej matmie oplatał dyrdymały,
To co byś powiedziała – czy coś byś przeciw miała?
Szalałabyś, szalała?
Wiem, że byś darowała”.

Od 1989 roku rozpoczęła naukę matematyki w naszej szkole profesorka Jolanta Pietrzyk [Stachowicz], absolwentka z 1984 roku, kobieta szczupłutka, kruchutka, o ciemnych włosach ładnie okalających twarz, błyszczących oczach i miłym głosie, którą można by określić słowami Antoniego Słonimskiego skierowanymi do poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej: „śliczna dróbka”.

Mimo owej kruchości profesorka Jola była zdecydowana, energiczna, ruchliwa, pełna pomysłów, żywiołowa, spontaniczna, śmiała; wprost „wulkan energii”. Zawsze wesoła niczym powiew lata, biegała po korytarzach z lekkością konika polnego, rozsiewając wokół swoje ujmujące uśmiechy. Czarowała wrodzonym wdziękiem, zadziwiała niewyczerpaną werwą, zarażała pogodą ducha.

Z pasją przekazywała uczniom matematyczną wiedzę, a ponieważ była dla nich niezwykle serdeczna, cierpliwa i dobra, szybko zdobywała ich zaufanie i szacunek. Bo profesorka Jola nosiła w swej drobnej piersi niezwykle szlachetne serce. Dlatego powstała taka fraszka:

„Choć wszyscy sławią Kwaśniewską Jolę,
Ja tę Jolę wolę”.

Od 2000 roku matematyki uczyła moja uczennica – Agnieszka Mytnik [absolwentka z 1994 roku roku]; łagodna blondynka o sympatycznym, pogodnym usposobieniu, miła, pracowita, lubiana przez młodzież.

Czasem zastanawiałam się, skąd ten „wysyp” matematyczek z moich klas, gdzie przecież krzewiłam miłość do literatury i do języka polskiego.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Niezwykle ważnym przedmiotem nauczany w naszej szkole były nauki przyrodnicze; w tym geografia.

Od samego początku jej istnienia nauczycielem geografii był Feliks Tobiczek.

Profesor Tobiczek – według relacji Michała Urbanka – „nie grzeszył przystojnością. Wargi grube, górna zajęcza, rysy ostre, oczy żywe, bystre, pałające, bujna, ciemna czupryna. Gdy się rozgniewał, wyglądał wprost groźnie. Mimo to lubiliśmy go – wspominał Urbanek – i przywiązaliśmy się do niego. Był wymagający. Na każde pytanie trzeba było wyśpiewać odpowiedź z pamięci i następnie pokazać wszystko na „ślepej mapie”. A jednak nie narzekaliśmy. Lekcje geografii były dla nas zabawą, rodzajem dzisiejszej „zgaduj-zgaduli”. Wszyscy wpatrzeni byliśmy w nauczyciela i staraliśmy się odgadnąć jego myśli, zanim padło pytanie. Do dziś wiele z tych wiadomości pozostało w mojej pamięci”.

Od 1901 roku geografii [i historii] uczył wspomniany wyżej profesor Ludwik Petryński – ów „Rusin przeniesiony z Galicji Wschodniej; czy za karę, czy ze względów politycznych”.

W klasie piątej Michała Urbanka uczył geograf Leopold Schrinboeck, który – choć miał „nazwisko niemieckie, ale był dobry, szczery Polak, również dobry pedagog, ludzki, wyrozumiały, cieszący się sympatią wszystkich. Chromał na nogę i chodził skrzywiony”.

Od 1915 roku geografii [a także fizyki] uczył profesor Ludwik Kita, który głównie był jednak historykiem, a od 1918 roku rozpoczął pracę w naszym gimnazjum profesor Marian Paluch – geograf i biolog – o którym Antoni Stańko napisał: „Przyjaciół i ulubieniec młodzieży, stale pogodny i uśmiechnięty, również wówczas, gdy stawiał dwóję w swym notesie”.

Jak wspominał inny z jego uczniów Wojciech Wójcik: „na lekcjach geografii profesora Ludwika Kity „półwyspy, rzeki, góry i inne elementy geograficzne musiało się znać, jak codzienny pacierz”.

Potwierdzał to Stanisław Ożóg: „Wymagał wymienienia ciurkiem na pamięć półwyspów, wysp, rzek, szczytów [...]. W zasadzie łagodny, gdy jednak wpadał w gniew – biada było wszystkim. Góral ze Szczawnicy [tak jak profesor Józef Wiercioch]; umiłował Podhale i Tatry, wszczepił nam umiłowanie turystyki, organizując często wycieczki do „swoich” gór”.

Również ciepło wspominał profesora inny jego uczeń – Jan Szymaszek: „Ucząc geografii, wszczepił nam umiłowanie kraju, zapoznał nas z pięknem przyrody, a owocem jednej wycieczki w Pieniny, połączonej ze spływem Dunajcem, było zaszczepienie mi bakcyła turystyki, której niewolnikiem stałem się na długie lata”. Profesor Marian Paluch kontynuował pracę w naszej szkole również po II wojnie światowej.

W 1952 roku rozpoczął nauczanie geografii w naszej szkole profesor Zdzisław Czerny [mający ksywkę „Żdzisiu”], absolwent gimnazjum z 1947 roku – człowiek wielkiego serca i szlachetnej natury; pogodny, jowialny, dobroduszy, kochający ludzi, przyrodę, muzykę i śpiew. Był postacią niezwykle malowniczą, oryginalną, znaną chyba wszystkim mieszkańcom Dębicy.

Zazwyczaj roześmiany, tryskający energią, zarażający pogodą ducha, przemierzał swoim ulubionym rowerem ścieżki i bezdroża okolic Dębicy; zawsze głodny poznania czegoś nowego, nigdy niezmęczony czy zniechęcony.

Jego szkolny kolega Leszek Starkel zapamiętał go jako uczestnika przedstawień teatru szkolnego, m.in. spektakli „Damy i huzary” Aleksandra Fredry” i „Jasełek”: „Chór śpiewał. Zdzisek wygrywał na harmonii kołędzy i obok obrotnego diabła był duszą zespołu”.

Po ukończeniu gimnazjum profesor Czerny studiował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, a po powrocie do Dębicy podjął pracę w naszym liceum.

Profesor Zdzisław Czerny był moim ulubionym nauczycielem. Wysoki, postawny, mocny mężczyzna o rozpoznawalnej sylwetce, miał pogodną, szczerą twarz osmağaną wiatrem – o wyrazistych rysach i śmiejących się oczach pod mocno zaznaczonymi brwiami – i lekko kręjące się włosy, zaczesywane do tyłu i odsłaniające wysokie czoło. W jego donośnym, tubalnym, głębokim głosie z charakterystyczną chrypką zawsze słychać było wesołe nutki. Tylko niekiedy miał chwile dziwnego zamyślenia; trwające jednak krótko „jak łzy młodej wdowy” [jego ulubione powiedzonko!]. Za-

zwyczaj bywał roześmiany, rozluźniony, ze zrozumieniem słuchający naszych narzekania i tłumaczeń.

Profesor miał wiele talentów [m.in. pisał relacje z różnych uroczystości w „Kurierze Dębickim”] i potrafił nimi zarażać, miał też szerokie zainteresowania; poświęcał się nie tylko pracy pedagogicznej, ale też działalności kulturalnej i promowaniu zainteresowań krajoznawczych. Sam był zagozonym turystą. Organizował wycieczki po kraju i obozy wędrownie dla młodzieży, które dostarczały wszystkim niezapomnianych przeżyć.

A wycieczki szkolne miały w naszej szkole długą tradycję. Jak wynika ze wspomnień absolwentów, zapadały w pamięć już na zawsze i miały wielkie walory poznawcze, wychowawcze, a także patriotyczne. Jedną z pierwszych gimnazjalnych wycieczek wspominał Michał Urbanek:

„W klasie IV była wycieczka do Krakowa. Pamiętam, jak wstrząsające wrażenie wywarło na mnie zbezczeszczenie Zamku Królewskiego na Wawelu przez kwaterujące w nim wojsko. Widok ten utrwalił w nas nienawiść do rozbiorcy – Austrii”.

Profesorka Aneta Kwolek pisała, że niedługo po I wojnie światowej „w ramach rozwoju fizycznego i zainteresowań geograficzno-krajoznawczych młodzieży, odbywano wycieczki turystyczne [głównie piesze], w najbliższe okolice Dębicy”. Ale były też dłuższe, organizowane przez wychowawców klas.

Jedną z takich wycieczek, która miała miejsce na wakacjach 1918 roku, wspomina Adam Przewłocki. Prowadził ją profesor Jan Leśniak, uczący języka polskiego:

„Dojechaliśmy pociągiem do jakiejś małej stacyjki pomiędzy Rzeszowem a Krosnem. Stamtąd poprowadził nas profesor przez pola jakimiś tylko jemu znanymi ścieżkami na przełaj do wioski Odrzykoń. Tam w małej chatce na podzamczu odpoczywaliśmy, a kiedy zapadła noc i wyjrzał księżyc, poprowadził nas do ruin zamkowych, wśród których wygłosił nam krótki, ale świetny wykład o „królu zamczyska” Goszczyńskiego. Warto dodać, że odrzykoński zamek stał się dla Aleksandra Fredry inspiracją do napisania „Zemsty”.

Leszek Starkel wspominał wycieczkę zorganizowaną pod koniec lat czterdziestych ubiegłego wieku, na którą fundusze młodzież zdobyła wystawiając sztuki teatralne, reżyserowane przez profesorkę Irenę Jandę: „Kto nie pamięta zwiedzania Ziemi Zachodnich za własne pieniądze, uczciwie zarobione! Od Świnoujścia po Karkonosze. I opera „Faust” w Katowicach.

I „Noc Walpurgii” w schronisku szkolnym”! Wycieczki szkolne wspominał też profesor Tomasz Koziół:

„Właściwie w każdym roku pracy organizowałem wycieczkę [...]. Na pierwszą pojechałem po dwu tygodniach pracy w szkole. W piątek po lekcjach członkowie koła turystycznego pojechali w Pieniny [...]; nocleg mieliśmy w Krośnicy, ale kierowca się nam tu nie zatrzymał i wywiózł nas do Czorsztyna. Nocą szliśmy na przełaj przez góry – w górę i w dół, w górę i w dół. Nie miałem pojęcia, czy w dobrym kierunku prowadzę uczestników wycieczki, ale wyszliśmy w Krośnicy i to przed budynkiem, gdzie mieliśmy nocleg. I tu sprawdziło się przysłowie: „Głupi ma więcej szczęścia niż rozumu”. Młodzież uznała, że mam świetną orientację w terenie”.

Profesor Czerny również w każdym roku organizował jakieś wycieczki lub obozy turystyczne. Przecież – jak pisał Eugeniusz Jasiński – „był pasjonatem turystyki, pasjonatem Polski od żyta złotej, od lasów szumiącej”.

Profesorka Teresa Berka wspominała: „To on, w pięknych wykładach, malował piękno polskiej ziemi i zachęcał do jej zwiedzania. Sam był zapalonym turystą i posiadał kwalifikacje przewodnika górskiego. Nie szczędząc swoich sił i wolnego czasu, przeznaczonego na własny wypoczynek, organizował wiele autobusowych i rowerowych wycieczek szkolnych. Jego obecność na wycieczce gwarantowała rzetelny przekaz wiedzy o zwiedzanym regionie geograficznym, pełne bezpieczeństwo oraz to, co wtedy dla nas, uczniów było najważniejsze – masę śmiechu, humoru i autentycznego relaksu”.

Zapamiętała też, że profesor Czerny był organizatorem pierwszego w dziejach naszego liceum 14-dniowego obozu wędrownego dla dziewcząt po Dolnym Śląsku: „W czasie jego trwania przekazywał nam wiedzę o Polsce, wymagał dyscypliny i porządku, ale również otaczał ojcowską opieką”.

A Lidia Górską pisała: „Brał nas często na lekcje w plenerze, wycieczki w okolicy Dębicy. Schodziliśmy okoliczne pagórki, a profesor opowiadał nam fakty z historii i geografii terenu. Po latach, kiedy zaczęłam spisywać historię regionu, często sięgałam po jego notatki”.

Jestem pewna, że wszyscy uczniowie profesora równie miło wspominali wycieczki, w których uczestniczyli. A było ich naprawdę wiele.

Ja wspominałam również tę nauczycielską do Budapesztu, gdy zgubił się wraz z żoną w płataninie uliczek, choć wydawało się, że komu jak komu, ale jemu żaden Budapeszt niestraszny.

Cały czas – jak zawsze zresztą – profesora nie opuszczał wigor i świetny humor; wszędzie słyhać było jego radosny głos i śmiech – niski i dudniący. Interesował się wszystkim i chodził jak najbliższej przewodnika, by nie

uronić ani jednego jego słowa. I chociaż – niestety – ów przewodnik mówił tylko po rosyjsku, to profesor – choć nie znał tego języka – zdawał się wszystko rozumieć. Co więcej, próbował rozmawiać w języku rosyjskim, dodając „niby” rosyjskie końcówki do polskich wyrazów. Pokładaliśmy się ze śmiechu.

Pamiętam też, jak podczas wieczoru w jednej z knajpek był zauroczony budapesztańską kapelą, która grała jak szalona węgierskie czardasze, a w czasie nocnego spaceru po naddunajskim bulwarze, gdzie właśnie czczono jakieś narodowe święto, śpiewał z nami i cieszył się jak dziecko.

Mieszkaliśmy w małym hoteliku na Wzgórzu Gellerta. W ostatnim dniu przed wyjazdem państwo Czerni długo nie wracali na nocleg. Wszyscy uczestnicy wycieczki zebrali się w holu, zaniepokojeni tą sytuacją. Uspokajaliśmy się jednak nawzajem, że kto, jak kto, ale mistrz „gieografii” [tak profesor wymawiał nazwę tego przedmiotu nauczania] na pewno się odnajdzie. Czas włókł się nieznosnie powoli.

Wreszcie „zguby” ukazały się w drzwiach. Państwo Czerni weszli zadowoleni wraz z młodym, eleganckim panem, z którym porozumiewali się w jakimś tajemniczym języku „słowno-migowym”, a na koniec wymienili siarczyste całusy. Okazało się, że naprawdę się zgubili, ale na szczęście dopomógł im jakiś miły „Madziar”. Toż przecież „Polak, Węgier dwa bratanki”!

Toczyliśmy jeszcze przez chwilę żywe rozmowy, gdy profesor przeprosił, że jest trochę zmęczony i pójdzie się położyć. Za parę minut jednak wrócił, przyznając się z zażenowaniem, że w hoteliku też zabłądził. Znów śmialiśmy się do łez i długo mu ten incydent przypominaliśmy.

Największą pasją profesora było uczenie geografii. Potrafił to robić wspaniale, a uczniowie uwielbiali jego lekcje.

Andrzej Gierulski wspominał, że „ogólną sympatią uczniów cieszyli się profesorowie Czerny i Rybka za ich dobroduszość i miły sposób prowadzenia lekcji”, Lucyna Wodzińska pisała, że lekcje geografii „były wspaniałym przeżyciem”, a Teresa Berka – że profesor Czerny „był nauczycielem z powołania, o pogodnym usposobieniu i dobrym sercu, że pozostawił po sobie wiele pięknych i ciepłych wspomnień, których czas nigdy nie zatrze”.

Ja również pamiętam, że na lekcje z profesorem Czernym czekaliśmy zawsze z radością, były bowiem nie tylko czasem zdobywania ciekawych wiadomości, ale też chwilą odpoczynku, przyjemności, wytchnienia. Profesor był bowiem wielkim przyjacielem młodzieży, zatroskanym o wychowanków, serdecznym, lubianym przez wszystkich za ogromną wiedzę

i poczucie humoru. Często wykorzystywaliśmy – niestety – tę jego dobroduszość.

„Zagadywaliśmy” go i prosiliśmy, by nas nie pytał, bo klasówka z „polaka”, kartkówka z chemii, sprawdzian z biologii. Ulegał tym prośbom, bo serce miał złote i miękkie jak воск, a także wielkie zrozumienie dla uczniowskich zmartwień.

Gdy miał dobry humor, recytował nam bajkę Aleksandra Fredry – ponoć po żydowsku – co nas zawsze bawiło. A zaczynało się to tak: „Icek i Picek w jednej stali kamienice...” Była też wersja tego wierszyka po śląsku: „Uwe i Wili w jednej stali willi...”

A gdy zbliżał się koniec okresu, a w dzienniku było ocen jak na lekarstwo, przychodził nieuchronny czas na masowe pytanie. Staliśmy w kilkoro przed mapą i odpowiadaliśmy kolejno na zadawane przez profesora pytania. Zawsze wydawało się nam, że – znając zakres materiału – łatwo sobie poradzimy; wszak przez pół ostatniej nocy wkuwaliśmy różne mądrości z podręcznika do geografii.

Ale zdarzały się przykre wpadki. Zadowolony z siebie delikwent np. wymieniał i pokazywał na mapie najważniejsze rzeki Europy, a profesor kiwał potwierdzająco głową, łagodnie się uśmiechał, po czym niespodziewanie pytał: – A przez Ropczyce to jaka rzeka płynie? No i klops.

W takim wypadku zazwyczaj padaliśmy ofiarą własnej niewiedzy, a profesor uświadamiał nam, że – w pierwszej kolejności – obowiązuje nas znajomość najbliższej okolicy. Sam znał ją jak własną kieszeń. Tak powstała fraszka na motywach wiersza Wincentego Pola:

„A czy znasz ty bracie młody
Twoje ziemie, twoje wody?
Oto naszych dwój powody”.

Bakcyl poznawania bliskich nam miejsc – zaszczipiony przez profesora Czerneho – pozostał w nas już na zawsze. Wokół jest przecież tyle pięknych i ciekawych miejsc, które można odwiedzać bez końca: dwór w Strzegonicach, kościół w Przeczyicy, Stary Cmentarz w Zasowie, ruiny dworku w Przyborowiu, klasztor w Lipinach, grób Dragona w Korzeniowie itd, itd.

Profesor często wysyłał jakiegoś ucznia, by ten chodził po klasach i zawiadamiał, kiedy odbędą się w danym tygodniu zajęcia kółka „geograficznego” i próba szkolnego chóru.

Jakże cieszyły nas te zapowiedzi, zwłaszcza, gdy uczeń wchodził do klasy właśnie wtedy, gdy trwało dramatyczne pytanie z chemii, matematyki czy biologii, a przychodzący z informacją „posłaniec” był dobroczyńcą, obdarowującym nas chwilą przerwy i oddechu!

Na stulecie szkoły przygotowaliśmy scenkę ukazującą z przymrużeniem oka lekcję geografii prowadzoną przez profesora Czernego:

„[Profesor wchodzi z dziennikiem i beretem w rękę, uśmiechając się szeroko]

Chór uczniów: – Dzień dobry panie profesorze!

Profesor [wesoło]: – Dzień dobry [pociąga głośno nosem, chrząka, siada, zagląda do dziennika; w klasie gwar]. No, musimy dziś popytać, bo zbliża się koniec okresu, a w dzienniku z „geografii” maleńko ocen.

[Pojedyncze głosy, prośby, protesty, branie na litość].

Uczeń 1. – Ale, panie profesorze, dzisiaj jest święto! [tu wymienia jakieś święto: marynarzy, górników, drukarzy, czy tym podobne], więc może pan profesor by nie pytał, tylko powiedział nam jakiś wierszyk [tu znów prośby i skomlenia].

Uczeń 2. – Może o Pawle i Gawle! Po żydowsku!

Chór uczniów: – „Icek i Picek w jednej stali kamienice ...”

Profesor [stuka długopisem w biurko]”: – Cicho! To już przecież wszyscy znacie. Muszę was popytać, bo niedługo koniec okresu, a z „geografii” bardzo mało ocen [charakterystyczne pociągnięcie nosem, szukanie w dzienniku].

Uczeń 3. – Ale, panie profesorze, my nie rozumiemy ruchu Ziemi wokół Słońca i wokół własnej osi.

Uczeń 1. – Błagamy, niech nam pan profesor jeszcze raz wytłumaczy! [głośne prośby]

Profesor: – No dobrze, poszlibyśmy na podwórko, ale pada deszcz.

Uczeń 2. – No, szkoda. Pada i pada.

Profesor [z uśmiechem]: – To nic, niech pada. Deszcz majowy jak płacz młodej wdowy! [pociągnięcie nosem]. Chodź na środek ty i ty [wskazuje dwóch uczniów]. Ty będziesz Słońcem. Stój tu i nie ruszaj się. A ty kręć się wokoło i obracaj wokół kolegi [profesor pokazuje, jak to należy robić; uczniowie z ochotą kręcą się, a profesor siada, zagłębia się w dziennik, powoli zaczyna drzemać. Robi się cicho, uczniowie uciszają się wzajemnie. Nagle pukanie do drzwi. Profesor zrywa się, chłopcy znów się kręcą. Wchodzi woźny. Profesor odsyła uczniów do ławek].

Woźny: – Przepraszam panie profesorze. Czy mogę odczytać komunikat?

Profesor: Proszę, proszę.

Woźny [czyta]: – Pani profesor Helena Gałuszka informuje, że zajęcia z kółka biologicznego, na których będzie wiwisekcja żaby, odbędą się jutro o godzinie 15 w pracowni biologicznej. Obecność obowiązkowa.

Profesor: [chrząka i śmieje się szeroko]: – No to i ja przypominam, że zajęcia kółka „geograficznego” odbędą się w piątek o godzinie 16 w pracowni „geograficznej”. Zaplanujemy nocny rajd rowerowy do Braciejowej.

Uczeń 1. – Ale my nie mamy rowerów.

Profesor: – No to pójdziemy pieszo, a kto będzie miał, to będzie prowadził. Ale już nie zagadujcie; szybko – do odpowiedzi, bo zbliża się koniec okresu, a w dzienniku bardzo mało ocen. Na środek [tu profesor czyta z dziennika nazwiska] Borska, Dudzińska, Dymińska i Grek.

Głosy: Ale, panie profesorze...

Profesor: – Cicho, chodźcie szybko do mapy. Dostaniecie po jednym pytaniu [uczennice wychodzą z ociąganiem]. A gdzie mapa? Dyżurny, dlaczego nie ma mapy?

Dyżurny: – Bo, bo... [dzwonek, ogólny gwar]

Profesor: [próbuje go przekrzyczeć, ale wreszcie macha ręką, uczennice wracają do ławek, profesor stuka ołówkiem w biurko] – Na następną lekcję przeczytajcie z podręcznika [ale uczniowie już wychodzą, profesor zakłada berecik, chrząka i nucąc coś pod nosem, wychodzi].

Profesor Czerny często coś nucił „pod nosem”, a jeszcze częściej śpiewał – głośno i radośnie. A głos miał czysty i donośny jak dzwon. Od dziecka kochał muzykę; chętnie śpiewał i grał na akordeonie. Znał mnóstwo różnych piosenek i chętnie je wykonywał przy każdej okazji, przygrywając sobie do wtóru. Jego zwinne palce wprost pieściły klawiaturę, tańczyły po klawiszach, a melodia to zwalniała lirycznie i nastrojowo, to znów przyspieszała tak, że palce ledwie nadążały za kaskadą skocznych dźwięków. Kochał ten swój akordeon, kochał też organizować różne spotkania i wycieczki, i w nich uczestniczyć. Chętnie też opowiadał różne anegdoty:

Nauczyciel pyta Jasia:

– Która rzeka jest dłuższa, Ren czy Missisipi?

– Missisipi.

– Dobrze Jasiu. A o ile jest dłuższa?

– O sześć liter”.

Profesor Zdzisław Czerny był też świetnym wychowawcą. I chociaż, jak wszyscy koledzy-nauczyciele miał w związku z tym wiele zmartwień, to nic nie mąciło jego pogody ducha i zapału do działania.

Profesorka Lidia Górską wspominała: „Jako wychowawca miał z nami troszkę chaosu, podczas gdy on usiłował to wszystko ogarnąć i wyprowadzić na prostą. Miał nas w klasie 41 dziewcząt i jednego chłopca. Ten swoisty babiniec niejednokrotnie przysparzał profesorowi kłopotów, ale kochałyśmy go bezgranicznie jak troskliwego ojca tego licznego stadka”. Profesor Czerny z wielką radością prowadził też chór szkolny.

Pamiętam. Początkowo unikaliliśmy tych zajęć, bo potem wielu z nas musiało długo czekać na kolejny autobus do domu; zresztą bilety miesięczne były wystawiane na dany kurs i potem kierowcy mogli odmówić zabrania spóźnionego ucznia i pozostawić go – bezradnego na przystanku. A wielu mieszkało w bardzo oddalonych miejscowościach.

Ale kiedy wprowadzono w szkołach średnich zasadę, że każdy uczeń musi obowiązkowo uczestniczyć w zajęciach pozalekcyjnych, wielu z nas odkrywało w sobie talent muzyczny i nieprzepartą ochotę śpiewania w chorze szkolnym, prowadzonym przez profesora. Zgłaszaliśmy się gromadnie na tzw. próby głosu i przestawaliśmy specjalnie fałszować; przeciwnie – wyciągaliśmy trele jak najpiękniej i najczyściej. Ja również – choć mogłabym powiedzieć za Janem Kobuszewskim: „ja nie śpiewam, ja wydaję głos” – zasiłałam szeregi szkolnego chóru.

Bo jeśli się nie należało do żadnych kółek dla specjalnie uzdolnionych [a wielu było takowych], lub do organizacji młodzieżowych, to trzeba było wykonywać w każdym tygodniu określoną ilość godzin fizycznych prac na terenie szkoły lub miasta. Zdecydowanie woleliśmy chór!

Profesor zasiadał przed sceną, rozkładał nuty przypominające ptasie ślady na śniegu, sprawdzał nasze ustawienie i podnosząc ręce dawał znak, a my „zapiewaliśmy”, jak kto potrafił, myślami będąc najczęściej daleko poza szkołą. Oczywiście było wielu miłośników śpiewu, uzdolnionych entuzjastów, którzy byli ostoją naszego chóru, ale pozostali – pożał się Boże! Ale profesor nikogo nie wyrzucał i każdego chętnie „przytulił”, nie tak jak wspomniany przez Wojciecha Wójcika przedwojenny profesor muzyki Kazimierz Klamut, który „tych, co nie mieli słuchu, odsyłał do kowala, żeby przekuli sobie uszy”.

Profesor Czerny organizował też audycje muzyczne, odbywające się przez wiele lat w szkolnej auli. Najczęściej z Krakowa przyjeżdżali artyści grający na różnych instrumentach, śpiewający piękne pieśni, tańczący, lub opowiadający o muzyce. Zawsze robili na nas duże wrażenie, zadziwiając profesjonalizmem, artyzmem wykonania, pięknymi kreacjami, oryginalnością i klasą. Byli jak powiew wielkiego świata i artystycznej przygody.

Profesor działał też w Związku Nauczycielstwa Polskiego, grał w orkiestrze nauczycielskiej, prowadził korowód uczniów w czasie pochodów pierwszomajowych, przygrywając na akordeonie, a będąc już na emeryturze, występował jako czołowy chórzysta Zespołu Pieśni i Tańca „Igloopolanie”.

A owa orkiestra nauczycielska – działająca przy dębickim oddziale ZNP – została założona w 1961 roku przez Edwarda Wodzienia i przez wiele lat [od 1961 do 1977] uświetniała różne ważne uroczystości, a także brała udział w konkursach i festiwalach. Wystąpiła m. in. w przeglądzie zespołów artystycznych zorganizowanych przez Ośrodek Usług Pedagogicznych i Socjalnych w Rzeszowie czy na uroczystości jubileuszu 50-lecia pracy zawodowej profesora Władysława Zielińskiego.

Była wówczas – jak pisał Edward Wodzień – „jedynym zespołem na terenie miasta i powiatu, który – nawiązując do inicjatyw realizowanych w pierwszej połowie XX stulecia przez księdza Błażeja Kotfisa i Stanisława Darłaka – popularyzowała muzykę, określaną potocznie mianem muzyki poważnej”. Występowali w niej m.in. profesorzy liceum: Władysław Prokop [Gazda], Ludwik Tyrpin, Zdzisław Czerny [i jego żona – Irena].

W wywiadzie dla „Polskiego Radia” w 1971 roku profesor Czerny mówił: „Poniedziałek po południu rezerwujemy dla orkiestry. Rezygnujemy ze wszystkich innych zajęć i ze wszystkich przyjemności po to, żeby być na próbie i pogłębiać swoje zamiłowania muzyczne i zdolności muzyczne [...]; to mi się również przydaje o tyle, że w liceum, w którym pracuję, również prowadzę skromniutki zespół muzyczny i chóralny”.

Chociaż życie nie rozpieszczało profesora i przez lata naznaczało go różnymi dolegliwościami, choć namalowało na jego twarzy mapę szlacheckich bruzd, to do końca zachował wigor, humor, życzliwość i pasję. Gdy spotykał nas na ulicy, zawsze zatrzymywał swój rower i z szerokim uśmiechem zagajał rozmowę. Zawsze miał w zanadrzu jakąś ciekawostkę, jakiś żart czy wesołe wspomnienie.

Zmarł 4 lipca 1996 roku i został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Dębicy. Gdy odprowadzaliśmy profesora na wieczny odpoczynek, płakało niebo...

Tak bardzo nam brakowało jego codziennej obecności, jowialnego humoru, pogodnej twarzy, jego serdecznych rozmów i – widoku jego roweru pod szkołą, którym się wszędzie poruszał. Bo – jak pisał onegdaj „Obserwator Lokalny”: „rower był właściwie jego nieodłącznym atrybutem. Do klasyki anegdot zaliczyć należy ogłoszenie na drzwiach pracowni: „Poszukuję pedała – profesor Czerny”. Mimo powszechnego wtedy braku części

zamiennych, ogłoszenie musiało być zdjęte ze względu na niezamierzoną, ale niejednoznaczną treść”.

W 1986 roku rozpoczął pracę w naszej szkole kolejny geograf – profesor Tomasz Kozioł [miał ksywkę „Tomuś”] – młody, przystojny szatyn; pełen zapału, dynamiczny, ale trochę początkowo jakby onieśmielony i zawiedziony po zobaczeniu ubogiej pracowni geograficznej, po której – jak wspominał – „harcowały myszy”. „Ławki z otworami na kałamarz pamiętające pewnie króla Ćwieczka, „tryptyk” tablic na głównej ścianie, kilka szafek na pomoce naukowe, kilka map; to było wszystko”.

Profesor Tomek w wyrazie twarzy miał coś z chłopca – spontanicznego, energicznego, ciekawego świata i ludzi. Wkrótce został powołany do odbycia służby wojskowej. Wrócił pełen planów, emanując nową energią widoczną w każdym geście, pasją, stanowczością, a także entuzjazmem i dumą, a nawet zadziornością. Zawsze elegancki, uporządkowany, wręcz pedantyczny, szarmancki wobec kobiet, tylko z pozoru był poważny i surowy.

Bardzo szybko zorganizował piękną pracownię geograficzną – wspornikale wyposażoną; chętnie też organizował lekcje w plenerze, stąd fraszka:

„Szła wycieczka do laseczka,
Do zielonego,
Prowadzona przez Tomeczka,
Bardzo szwarneho”.

Profesor Tomek – ekspresywny w ruchach i działaniu, trochę mean-drycznej natury, ekscytujący się nowościami technicznymi, uparty, niezależny, buńczuczny, żywiołowy, gorliwy i skrupulatny, nie uznawał łatwych kompromisów, a jego oczy wciąż lśniły: ciekawością, zapałem, radością, a czasem gniewem. To o tym mówi fraszka, nawiązująca też do błękitnych koszul profesora, które lubił nosić:

„Błękitnieje pejzaż w całej okolicy,
Gdy profesor Tomek pędzi do Dębicy.
Czasem przyłóż go do rany,
Taki miły i kochany,
Lecz gdy „wpieni się”, potrafi
Zrobić horror z geografii”.

Jean Sasson twierdził, że „prawdziwą wolnością cieszą się tylko mężczyźni i pustyнный wiatr”. Profesor Tomek przejawiał właśnie taką niezależność, a także odwagę w głoszeniu własnych przekonań i poczucie wolności.

Jego determinacja, wewnętrzny ogień rozpalający duszę i pasja w rozwijaniu uczniowskich zainteresowań zaowocowały wyszkoleniem całej armii olimpijczyków i uczestników różnych konkursów geograficznych [opracował również internetowy zbiór informacji o olimpijczykach z naszego liceum], a samemu profesorowi przysporzyły wielu tytułów i nagród. Był bowiem człowiekiem o szerokich horyzontach myślowych i kopalnią wiedzy z zakresu geografii, którą umiejętnie przekazywał uczniom, budząc ich szacunek i respekt.

Podczas wycieczek po Europie wykorzystywał każdą chwilę, by dostarczać młodzieży jak najwięcej ciekawostek o mijanych przeczudnych krajozrazach, miastach, roślinach i zwierzętach. Był w swoim żywiole. Nawet w niedzielę prowadził „autokarowe” lekcje. Milkliśmy, by słuchać pasjonujących wykładów profesora.

Był też świetnym kolegą: barwnym, spontanicznym, żywo reagującym i gestykulującym w chwilach ekscytacji jakąś sprawą; a choć czasem lubił trochę pomarudzić, to zazwyczaj był pogodny i zarażał tą pogodą ducha wszystkich dokoła, a – przede wszystkim – na wycieczkach chętnie zastępował nas w opiece nad młodzieżą; zwłaszcza podczas nocnych dyżurów. Stąd taka zwrotka wycieczkowej piosenki:

„A profesor Tomek, to ma przechlapane;
Przez ten ciągły dyżur noce nieprzespane.
W swej szkółce niedzielnej uczyć wciąż gotowy,
Co to gleby, żleby i alpejskie krowy”.

Z zagranicznych wycieczek zawsze przywoziliśmy jakieś drobiazgi, które były miłą pamiątką z pobytu w danym kraju. W Grecji profesor Tomek kupił sobie oryginalny kapelusz, który nosił z fantazją i szczyptą ekscentryczności, cechującą zawsze ludzi nietuzinkowych. Stało się to pretekstem do powstania kolejnej zwrotki wycieczkowej piosenki:

„Ładnie ci Tomeczku w tym kapeluszczku.
Panny oszaleją w tym twoim miasteczku”.

Profesor Tomek był autorem niezwykle interesującego internetowego przewodnika po okolicach Dębicy, a także pięknych fotografii różnych ciekawych miejsc i obiektów w naszym regionie. Kilka z tych fotografii wykorzystałam w mojej książce „Pola zielone...” Wpisał mi też sympatyczną dedykację do opracowania „Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy we wspomnieniach nauczycieli i uczniów”. Chętnie podwoził nas swoim samochodem, a w moim ogródku wciąż rozkwitają różne kwiaty, których sadzonki przywoził do szkoły, by obdarować nimi wszystkich chętnych. Stąd jeszcze taki limeryk:

„Pewien Tomasz, codziennie z Ropczyc do Dębicy gna,
Więc tajniki okolicy całej świetnie zna.
Super-kolega, super-kumpel wycieczkowy,
Zawsze pomoc czy podwieźć gotowy.
Na dodatek super-autor „Przewodnika”.

Od 1987 roku geografii uczył też dyrektor Stanisław Kłok. Był fachowcem w swej dziedzinie, nauczycielem solidnym, rzetelnym, wymagającym i nieustępliwym. Żądał dyscypliny, systematycznej nauki, wielu szczegółowych wiadomości, ale przez to świetnie przygotowywał do matury. Stąd fraszka:

„Z dyrektora Kłoka nie spuszczaamy oka,
Bowiem jego wiedza, „jak Wisła szeroka.
Jak Wisła szeroka, jak Wisła głęboka”,
Ciągłe się boimy, że się potopimy”.

Przez kilka lat geografii w naszym liceum uczyła również – wspomiana wyżej – profesorka Anna Gwóźdź, a także dochodzący profesor Stefan Jałowiec.

Ważnym przedmiotem nauczany w naszej szkole była biologia. Prawie od początku istnienia gimnazjum wykładowcą tego przedmiotu był profesor Antoni Ogonek, którego Michał Urbanek wspominał niezbyt miło: „Zadawała się jedyną do botaniki pomocą naukową, jaką był jaskier ostry z plastiku, z możliwością rozkładania, by poznać budowę kwiatu. Poza tym niczego nie wykładał, niczego nie wyjaśniał, niczym się nie interesował. Zadawał z podręcznika odtąd-dotąd i odpytywał na następnej lekcji. Nie zyskał sobie u nas ani szacunku, ani, autorytetu, ani uznania”.

Być może, przyczyną takiego zachowania profesora, było jego niezrealizowane marzenie o zostaniu medykiem, a nie nauczycielem...

Od 1902 roku przyrody uczył również profesor Grzegorz Bobiak, który wraz z uczniami obsadził żywopłotem granice gimnazjalnej działki i – wspomniany wyżej – Leopold Schrinboeck.

Od 1910 roku przyrody uczył profesor Stanisław Mydlarczyk, który w czasie I wojny światowej walczył jako legionista. Ciężko ranny, wrócił z wojny kaleką. W tej wojnie rany odniósł także przyrodznawca Stanisław Zaworski – profesor gimnazjum od 1920 roku.

Stanisław Zaworski urodził się w 1894 roku w Latoszynie. Po ukończeniu dębickiego gimnazjum w 1912 roku studiował rolnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a po wybuchu wojny walczył jako ochotnik w Legionach.

Jak możemy wyczytać w archiwach naszej szkoły, „ten dawniej przystojny i energiczny student, jako kaleka, ofiara walki o niepodległość, po zakończeniu wojny powrócił na studia, uzyskując dyplom inżyniera rolnictwa”. W gimnazjum dębickim pracował jako nauczyciel-przyrodznawca, ale uczył też matematyki.

„Był nauczycielem nadzwyczaj sumiennym, pracowitym i gorliwym, zamiłowanym w swym zawodzie, osiagającym w nauczaniu wybitne rezultaty. Jemu to zakład nasz zawdzięcza zorganizowanie pracowni biologicznej”.

Wojciech Wójcik wspominał: „Uporczywie uczył nas wszystkiego, co dotyczyło piękna przyrody naszej ziemi ojczystej. Dostawał często napady prawie szaleństwa, zwłaszcza gdy wspominał przeżycia wojenne. Miał piękną żonę i malutkie dzieci, więc ze swoją bezwładnością prawej połowy ciała i chyba reumatyzmem, czuł się nieszczęśliwym [...]. Na częstych wycieczkach nauczył nas wielu patriotycznych pieśni”.

Stanisław Ożóg zapamiętał jego „wspaniałe lekcje w pobliskim terenie. Profesor był bardzo wymagający [...]. Stawał się nieraz straszny. Niezadowolony z odpowiedzi, bił ucznia w głowę własną głową lub walił kikutem ręki bardzo boleśnie. Srogi, ale sprawiedliwy”.

Tadeusz Ozga zachowanie profesora tłumaczył kalectwem i urazami z okresu wojny: „Był to człowiek chory, ze sparaliżowaną prawą połową ciała. Lekcje prowadził okresowo, kiedy się lepiej czuł. Prowadził z nami zajęcia biologii z ćwiczeniami w zakresie oglądania pod mikroskopem preparatów roślin [...]. Siedziałem w pierwszej ławce. Każda lekcja była dla nas makabrą. Cała grupa była przestraszona, a bici – przestraszeni i bezradni. Po każdej lekcji mieliśmy czoła posiniaczone i zapuchnięte”.

Profesor Stanisław Zaworski zmarł w 1931 roku w Krakowie i spoczął na cmentarzu w Wieliczce.

W 1929 roku rozpoczął naukę przyrody w naszym gimnazjum profesor Kazimierz Mazurkiewicz. Tadeusz Ozga zapamiętał, że „nauka toczyła się w bardzo miłej atmosferze, a oceny z tego przedmiotu nie było niższej niż dobry”.

W latach trzydziestych przyrody uczył również profesor Ryszard Christoff, który – według relacji Mariana Grundboeck – dzielił klasę na kilkusobowe mieszane grupy, mające np. obserwować życie pszczoł, co było nowością i pozwalało chłopcom zbliżyć się do dziewczyn. Profesor Christoff prowadził również chór szkolny i szkolną orkiestrę, był także opiekunem harcerzy.

Od 1944 roku biologii uczyli: profesorka Cecylia Dwornik oraz profesor Jan Szczerba, noszący pseudonim „Miczurin”, którego miło wspominał Eugeniusz Jasiński:

„Olbrzymia wiedza z nauczanego przedmiotu oraz stosowanie jej w praktyce, przyciągały do niego liczne grono młodzieży, która wykonywała wszelkie prace w ogródku szkolnym, znajdującym się obok budynku szkoły. Ogródek ten stanowił zaplecze dla stołówki uczniowskiej, kierowanej przez profesora Szczerbę. Dzisiaj po tym ogródku pozostały tylko wspomnienia. Na tym terenie wybudowano bloki mieszkalne i garaże”.

W 1956 roku przysła do pracy w naszej szkole charyzmatyczna profesorka Helena Gałuszka; również moja nauczycielka biologii.

Wysoka, szczupła, prawie bez śladu makijażu, ze starannie ułożonymi i podpiętymi włosami, o delikatnych rysach twarzy, spojrzeniu pełnym ufności i wiary w dobro, prosta jak struna, chodziła szybko, energicznie, dumnie; wydawało się, że samą swą obecnością wprowadza wokół siebie ład i harmonię.

To była niezwykła osobowość; kobieta pełna skwapliwej gorliwości i perfekcyjności. Ubierała się elegancko i zawsze wraz z koleżankami z klasy czekałyśmy na jej wejście, by podziwiać jej szykowne suknie, modne torebki, czy skórzane, kolorowe paski. Po wielu przejściach, jakich nie szczędził jej los, zaczęła nosić coraz bardziej skromne ubiory – zawsze w szarościach i czerniach. Taką ją właśnie zapamiętałam podczas ostatniego naszego spotkania, po mszy świętej w kościele Ducha Świętego, który tak lubiła – chudziutka, wiotka jak gałązka; takie „chucherko”, cała w czerni, ale wciąż prosta jak struna, wciąż energiczna i wciąż chętna do rozmowy, ciekawa wiadomości o szkole, zachowująca świetną pamięć, delikatny

uśmiech i subtelność ruchów. Pamiętała imiona swych uczniów i naszych dzieci, interesowała się ich losami, pytała o nasze problemy, szczerze cieszyła się ze spotkania.

Grażyna Kawecka wspominała: „Biologii uczyła nas profesorka Helena Gałuszka, „prawdziwa legenda” naszej szkoły. Patrzę i widzę: szczupłą, delikatną, pełną godności kobieta o przenikliwym spojrzeniu, życzliwym uśmiechu, ale twarda i zdecydowana. A w jesieni życia nadal pogodna i ciekawa świata”.

Taką też zapamiętało ją wielu jej uczniów. Oto niektóre z ich wspomnień:

Zenon Dul: „Profesorkę Gałuszkę cechowała fascynacja pracą, prawdziwe powołanie, skrupulatność badacza, bezwarunkowa uczciwość jako człowieka i nauczyciela”.

Barbara Lewartowska: „Bez reszty poświęcała się szkole. Rozwijała zainteresowania uczniów, ale często pomagała też słabszym”.

Zofia Rybka: „Sumienna, obowiązkowa, a przy tym wymagająca – przede wszystkim od siebie, skromna, wręcz ascetyczna. Wiele jej uczniów bez problemów dostawało się na uczelnie medyczne i rolnicze”.

Zenon Dul: „Lekcje z profesorką Gałuszką były bardzo ciekawe i perfekcyjnie przygotowane z wykorzystaniem filmów, przyrodniczych eksperymentów, mikroskopu”.

Ja również pamiętam, że profesorka prowadziła zajęcia niezwykle profesjonalnie, sprawnie, planowo, przewidywalnie. Wiedzieliśmy, że na każdą lekcję trzeba być przygotowanym, że nie można się wymigiwać, że zawsze dostrzeże naszą niepewność, kulenie się, spuszczenie głowy, nasze zażenowanie i lęk. Była przecież świetnym psychologiem. Potrafiła łatwo rozszyfrować uczniowskie myśli i zamiary. Gdy spoglądaliśmy na nią niepewnie, niedyskretne oczy zdradzały nasze grzeszki. Wszak to ponoć w spojrzeniu skrywamy największe tajemnice.

Potwierdzała to profesorka Lucyna Wodzińska, wspominając: „Zawsze wszystko dostrzegała i od każdego z nas egzekwowała z całą stanowczością wiedzę biologiczną, którą nam przekazywała”.

Profesorka umiała też docenić nasze starania, solidną naukę, nasze ambicje poparte pracowitością.

Grażyna Kawecka pisała: „Profesorka Gałuszka była niezwykle wymagająca, ale w ocenianiu bardzo sprawiedliwa. Wstyd było czegoś nie umieć. Nauczyła nas szacunku dla człowieka – to jest najważniejsze – i szacunku dla nauki”.

A Maria Michałek dodawała: „Była dla mnie wielkim autorytetem. Swoim życiem pokazała mi drogę, cel i sens życia. Zawsze miała dla mnie czas, umiała wysłuchać, zrozumieć, pocieszyć, służyła radą i pomocą. Po zostaniu w moim sercu jako najlepszy przyjaciel”. Na obchody 100-lecia naszej szkoły przygotowaliśmy satyryczną scenkę pt. „Lekcja biologii”:

„[Pani profesor wchodzi sprężystym krokiem, wyprostowana, poważna; wszyscy uczniowie stoją przestraszeni, milcząc]

P. [profesorka]: – Proszę siadać, zamknąć książki i zeszyty...

O etapach cyklu życiowego komórki powie...[profesorka zawiesza głos, chodzi po klasie „upatrując ofiarę” i wśród przerażającej ciszy wreszcie wymienia nazwisko: Stasiowska. Uczennica wychodzi na środek i zaczyna recytować jak pacierz, bez zająknięcia]:

U. [uczennica]: – Poszczególne etapy cyklu życiowego komórki różnią się czasem trwania. Najdłuższy jest okres międzypodziałowy trwający od kilku do kilkunastu godzin, w którym komórka charakteryzuje się ustaloną strukturą. Nie jest to jednak okres spoczynku. W interfazie zachodzą procesy, których końcowym efektem będzie kolejny podział komórki. W zależności od stanu funkcjonalnego komórki wyróżnia się w okresie międzypodziałowym trzy fazy: od zakończenia mitozy do rozpoczęcia syntezy DNA, fazę S – syntezy DNA i fazę G₂ – od zakończenia syntezy DNA do pierwszych oznak podziału.

Najważniejszym wydarzeniem interfazy jest oczywiście replikacja DNA, czyli podwojenie nośnika informacji dziedzicznej. Poza tym w interkinzie ma miejsce reprodukcja centrioli czyli diplosomu, substancji wchodzących w skład wrzeciona, nagromadzenie energii oraz nagromadzenie a także wymiana zużytych struktur np. mitochondriów. Ważnymi procesami zachodzącymi w okresie międzypodziałowym jest transkrypcja, czyli synteza różnych rodzajów RNA oraz translacja, czyli produkcja indywidualnych dla danego organizmu białek.

P. – Mało.

U. [na jednym wdechu]: – W okresie międzypodziałowym ma miejsce nagromadzenie materiałów i zbudowanie z nich odpowiednich struktur. Podział tych struktur między dwie komórki siostrzane jest jedynie spektakularnym zakończeniem długotrwałego procesu wzrostu i budowy, który rozpoczął się bezpośrednio po poprzednim podziale.

P. – Mało.

U. [na jednym wdechu]: – Trzeba dodać, że powierzchnia błony komórkowej komórek, które rosną z kwadratem, jest już niewystarczająca

w stosunku do masy jądra i całej komórki, która rośnie z sześcianiem. Wiadomo także, że komórki nie mające przyrostu chromatyny po poprzednim podziale, nie dzielą się. Również brak kwasu p-aminobenzoowego uniemożliwia podział.

P. – Czy to wszystko? Mało. Siadaj. Bardzo słabo. Trója.

[Tłumaczy]: – Niektórzy mówią, że kręgowce są to bezkręgowce, które zaczęły chodzić do góry brzuchem [profesorka uśmiecha się czekając na reakcję uczniów. Klasa zaskoczona, jednak żywo reaguje, śmiejąc się głośno]. Zaraz to udowodnimy.

P. – Proszę, kto odpowie, gdzie bolało raka serce?

[Milczenie i zdziwienie; profesorka troszkę podenerwowana, wymachuje rękami i pokazuje na plecy]. Powinniście to wiedzieć, że serce jako część centralna układu krwionośnego znajduje się u kręgowców po stronie grzbietowej. A gdzie was boli serce? [Uczniowie ochoczo pokazują na klatkę piersiową po lewej stronie; wchodzi woźny]

Woźny: – Przepraszam pani profesorko, czy mogę nadać komunikat?

P. – Proszę.

W. – Profesor Zdzisław Czerny informuje, że zajęcia kółka geograficznego odbędą się w piątek o godzinie szesnastej trzydzieści w pracowni geograficznej. A zajęcia chóru i orkiestry szkolnej dziś o godzinie szesnastej w auli. Obecność obowiązkowa. Dziękuję. Do widzenia [Wychodzi].

P. – Wracamy do lekcji. A po której stronie ty masz układ nerwowy? [wskazuje na ucznia]

U. – Po stronie grzbietowej.

P. – A u bezkręgowców gdzie? [wskazuje innego ucznia]

U. – Po stronie brzusznej.

P. – Z tego, co tu powiedzieliście jasno wynika, że kręgowce są to bezkręgowce, które chodziły do góry brzuchem [podchodzi do eksponatu zawieszonego na wieszaku, pokazuje i objaśnia rysunek]. W domu nauczcie się i przygotujcie się do wiwisekcji żab. Kto miał dyżur w tamtym tygodniu? [Wstają 2 uczennice].

Borska i Jarosz. Jestem z was bardzo niezadowolona. Patyczaki schudły. Wazonkowce były za grubo pokrojone, a dwie żaby do wiwisekcji uciekły z terrarium. To wpłynie na wasze zachowanie [słychać dzwonek]. Proszę, żeby wszyscy wyszli z klasy na przerwę i spacerowali parami po korytarzu [uczniowie sznurkiem wychodzą, grzecznie mówiąc „Do widzenia, pani profesor”].

Bardzo ceniłam sobie współpracę z profesorką Gałuszką, gdy byłam wychowawczynią. Szczególnie pamiętam pierwsze moje wychowawstwo. Jednym z uczniów w tej klasie był Maksymilian Stęga, który tak ją wspominał: „Od początku profesorka zafascynowała całą klasę IV „d” naukami przyrodniczymi. Wśród nas jest czterech lekarzy o różnych specjalnościach, dwóch lekarzy weterynarii i cztery pielęgniarki. Ja zaciągnąłem szczególny dług wdzięczności. Dzięki opiece pani profesor zostałem laureatem V edycji Olimpiady Biologicznej, a moje plany zawodowe związałem z medycyną”.

Pamiętam, że wielokrotnie, podczas wspólnych dyżurów czy innych spotkań, profesorka chwaliła tych „moich” uczniów, z czego byłam bardzo dumna. Jeden z nich, już jako lekarz rodzinny, przez wiele lat troszczył się o moje zdrowie.

I jeszcze wspomnienie Lidii Górskiej – jak ja – uczennicy i koleżanki profesorki Gałuszki: „Pozostaje dla mnie wzorem. Znała każdą z nas. Bardzo sympatycznie zdrabniała nasze imiona. Uśmiechała się w taki szczególny, zamyślony sposób. Zawsze była sobą. Wciąż jesteśmy umówione na wspomnienia o czasach szkolnych”. Niestety, śmierć obydwu profeserek zniweczyła te plany.

Profesorka Helena Gałuszka była prawdziwą królową pracowni biologicznej, znajdującej się na drugim piętrze, na samym końcu bocznego, prawego skrzydła korytarza. Pracownia ta została założona w latach dwudziestych ubiegłego wieku przez wspomnianego już profesora Stanisława Zaworskiego. Jak mówią archiwa szkoły, „była dla niego marzeniem, tam czuł się najlepiej”.

My również lubiliśmy tę pracownię. Była jasna, słoneczna i piękna. Zieloność aż buchała z każdego jej kąta, a najwspanialszym okazem przyrody była olbrzymia, egzotyczna palma, rozkładająca swe palczaste liście niemal do sufitu, podobna do tych, jakie zdobiły dębicki kościół klasztorny, a która później „wylądowała” na półpiętrze klatki schodowej, zdobiąc go, „ocieplając” i stając się tłem wielu fotografii klasowych, aby w końcu zakończyć tam swój długoletni, dumny żywot.

Inne rośliny doniczkowe: małe i duże, znane i o nieznanych nazwach, zajmowały każde wolne miejsce w pracowni; kokosiły się wokół ścian na ustawionych ławkach, stały na parapetach i na podłodze – krzewiąc się, bujając, czasem kwitnąc i stwarzając cudowny mikroklimat. W akwariach pływały kolorowe rybki, a w terrarium skrywały się na ułożonych tam gałązkach dziwaczne, niezgrabne patyczaki. Na zewnętrznych parapetach

okien – zwabione wykładanym tam ziarnem – przysiadają ptaki: wróble, gołębie, kosi, a zimą – sikorki: lekkie, kruche i niepłochliwe.

Dyżurni, skwapliwie pilnowani przez profesorkę, dbali o właściwe funkcjonowanie pracowni: podlewali kwiaty, karmili rybki, wymieniali patyczakom gałązki z zielonymi listkami, utrzymywali w należytym stanie pomoce naukowe.

Pamiętam, z jakim obrzydzeniem kroiliśmy na drobniutko hodowane w pracowni rozwiłtki, czyli cieniutkie białe gąsieniczki, wijące się pod palcami, które były pokarmem dla rybek.

Dyżurni troszczyli się też, by mikroskopy, odpowiednie tablice pogładowe, czy eksponaty przygotować na lekcję, a potem schować na swoje miejsce. Tych eksponatów było bardzo dużo. Mieściły się one w „schowku” za pracownią; małym pomieszczeniu, w którym na półkach stały tajemnicze słiki, z zanurzonymi w formalinie dziwadłami, tam znajdowało się mnóstwo różnych tablic, książek, zielników z zasuszonymi roślinami, tam też stało puste terrarium, w którym przez chwilę pomieszkowały żaby, schwytane przez chętnych uczniów, by służyć nam do tajemniczej „wiwisekcji”.

Ta wiwisekcja była dla wielu z nas takim szokiem, że sama myśl o niej jeszcze dziś wywołuje mdłości. A profesorka ze stoickim spokojem instruowała nas, jak mamy postępować w danym momencie krojenia żaby i komentowała kolejne czynności:

– Patrzcie i zapamiętajcie: serce żaby położone na desce bije jeszcze bardzo, bardzo długo... Inne lekcje również opierały się na obserwacjach, doświadczeniach, filmach.

A owe zielniki, leżące na półkach w „składziku” były dziełem uczniów; całorocznym zadaniem, z którego ocena – wystawiana tuż przed maturą – miała wielką wagę.

Zielniki miały długą historię. Wspominał je już Wojciech Wójcik – uczeń profesora Stanisława Zaworskiego w końcowych latach dwudziestych ubiegłego wieku: „Zakładaliśmy zielniki roślin i kwiatów. Mnie bardzo się podobały zasuszone zbiory jesiennych liści – dębów, jaworów, klonów”.

Nasze zielniki były zbiorem roślin zielnych i leczniczych. Najpierw uczyliśmy się korzystać z „Klucza do roślin” – podręcznika opisującego dokładnie wygląd każdej rośliny uzupełniony ilustracją, a także zawierającego systematykę roślin. Musieliśmy zasuszyć wybrany okaz z korzeniem, łodygą, liśćmi i – ewentualnie kwiatami, następnie wkleić do sporządzonego własnoręcznie zielnika i opisać, czyli określić nazwę polską i łacińską, wygląd, charakterystyczne cechy, miejsce występowania oraz miejsce w syste-

matyce [gatunek, rodzaj, rodzinę, rząd itd.]. Była to praca trudna, żmudna, dlatego włączały się do powstawania tych zielników całe rodziny. Nikt nie mógł się wymigać.

Profesorka Helena z wielką pasją prowadziła kółko biologiczne. Zawsze dbała o atrakcyjność, ale też merytoryczność tych zajęć. Była dla nas wyrocznią. Najbardziej lubiliśmy wycieczki w plener.

Beata Gola wspominała: „Profesorka uczyła biologii z pasją, zachwycona przyrodą, każdym kwiatem, trawą. Była nauczycielem, którego się nie zapomina”.

Na zajęciach kółka – zawsze starannie przygotowanych – poznawaliśmy wiele roślin, braliśmy udział w różnych grach terenowych, szukaliśmy ciekawych okazów przyrodniczych, uczyliśmy się dostrzegać piękno i bogactwo przyrody. I było tak, jak w analizowanym później z moimi uczniami wierszu Wisławy Szymborskiej:

„Jesteś piękne – mówię życiu -
Bujniej już nie można było,
Bardziej żabio i słowiczo,
Bardziej mrówczo i nasiennie.
Chwałę hojność, pomysłowość,
Zamaszystość i dokładność,
I co jeszcze – i co dalej -
Czarodziejstwo, czarnoksiężstwo”.

Pamiętam, jak w kilkusobowych grupach szukaliśmy gdzieś pod Łysą Górą narysowanych wcześniej znaków prowadzących do skrytek z zagadkami. Należało odszukać skrytkę, znaleźć kartkę z zadaniem i go wykonać. Rywalizowaliśmy, by zrobić to najszybciej i najlepiej. Profesorka cieszyła się wraz z nami. Była jak mała dziewczynka zachwycona światem; uczyła nas różnych nazw kwiatów i roślin. Najbardziej spodobała mi się nazwa „firletka”, której nie znałam, określająca łąkową roślinę o drobnym, pierzastym fioletowym kwiatostanie; delikatnym i misternym. Idealnie pasowała do mojego zielnika! To było naprawdę „czarodziejstwo i czarnoksiężstwo”.

Byłam wówczas przekonana, że zostanę nauczycielką biologii. Los chciał inaczej, ale miłość do przyrody przetrwała!

Profesorka Gałuszka prowadziła też obozy wędrowne; najpierw z profesorem Czernym, a później z profesorką Marią Nowak. Właśnie na taki dziewczęcy obóz, obejmujący trasę od Zakopanego do Nowego Targu,

wyjechałam na wakacjach po ukończeniu dziesiątej [trzeciej] klasy, czyli w roku 1962.

Była to niezwykła przygoda. W Zakopanem mieszkaliśmy w schronisku, pod którym toczył wody cudowny, bełkotliwy potok, nie dający zasnąć. Pokoje dzieliłyśmy z Czeszkami, którym bacznie się przyglądałyśmy. Były wszak pierwszymi cudzoziemkami, z którymi mogłyśmy rozmawiać; choć językiem kalekim, wspomagany machaniem rękami.

Raniutko wyruszałyśmy na górskie szlaki. Świetny przewodnik pokazał nam wiele uroków Tatr i Zakopanego; od słynnego kościółka na Jaszczurówce po Morskie Oko, Kasprowy Wierch, czy Dolinę Pięciu Stawów. Obok skoczni narciarskiej, przy trasach narciarskich widoczne były z daleka wielkie tablice z napisem FIS – ZAKOPANE; pozostałość po odbytych w zimie 1962 roku Mistrzostwach Świata w Narciarstwie Klasycznym. Było to wielkie, niezwykle wydarzenie, o którym pisały wszystkie gazety. Zdobyliśmy jeden medal – srebrny. Triumfátorem był skoczek narciarski Antoni Łasiak.

Wędrując z plecakiem, z zachwytem oglądałyśmy widoki gór zapierające dech w piersiach, przy Wodogrzmotach Mickiewicza śpiewałyśmy: „Jak dobrze nam zdobywać góry, a nad „Morskim Okiem” podziwialiśmy srebrzystą taflę jeziora, w której odbijały się otaczające szczyty z dominującym, monumentalnym Mnichem.

Leon Wyczółkowski – utalentowany rysownik, grafik i malarz, ulegając modzie na tematykę tatrzańską, która zapanowała w sztuce przełomu wieków XIX i XX, wędrował góorskimi ścieżkami – jak my – dziwując się pięknym krajobrazom i przenosząc je na płótno. Jak Claude Monet i inni impresjoniści przedstawiał te same pejzaże w kilku wersjach: w różnym oświetleniu i w różnych porach dnia. Piękny obraz „Mnich nad Morskim Okiem” wyróżnia się ciemną, niepokojącą kolorystyką, rozproszeniem barw, podkreślających potęgę, niedostępność i majestat tej góry, budzącej podziw, respekt i lęk. Jeden z krytyków, Tadeusz Jaroszyński, zachwycał się tym wyrafinowanym kolorystycznie pejzażem: „Zdumiewająca prostota środków, a zarazem potęga wyrazu [...]. Kilkanaście maźnięć kredą szarą, kilkanaście czarną i zieloną i już...”

Ten obraz – tak, jak pamiątkowe zdjęcia z Doliny Pięciu Stawów, przypominają mi tamten cudowny czas.

Na jednym z owych zdjęć – oczywiście czarno-białym – widać całą naszą grupę; uśmiechniętą, szczęśliwą. Profesorki: Helena Gałuszka i Maria Nowak – jak zwykle skromne – ustawiły się w ostatnim rzędzie.

Jak tam było pięknie! Siedziałyśmy zmęczone wspinaczką, podziwiając cudowny krajobraz, zdominowany przez budzące respekt skalne wierchy, wspinające się w niebo nad zielenią sosen; szare i groźne, w załomach których na tle szarości bieleły się łąty utrzymującego się tam wciąż śniegu. Woda wysokogórskich stawów lśniła w słońcu. I było prawie tak, jak w wierszu Jana Kasprowicza, który analizowaliśmy na lekcjach „polaka” z profesorką Jandą:

„W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy [...]
Szumna sikława mknie po skale
Pas rozwijając srebrnolity,
A przez nią idą, przez błękity
Jakby wzdychania, jakby żale”.

Wiersz Kasprowicza opiewa wprawdzie Czarny Staw Gąsienicowy, położony w Dolinie Gąsienicowej, ale ten tak samo urzekł nas swoim pięknem. Sławił go też Jan Sztaudynger, pisząc:

„O, Czarny Stawie, najpiękniejsza z głębin.
Odbite w tobie góry – jak sznury jarzębin”.

Szkoda było wracać. Ale było późne popołudnie, więc dzielnie zeszyliśmy stromą, niebezpieczną ścieżką do schroniska, podziwiając na litej skale kępki niedostępnych szarotek, będących wprawdzie pod ochroną, ale jednak przywiezionych do domów w formie zasuszonych ozdób umieszczonych w pamiątkowych zakładkach do książek, kupionych na Krupówkach.

Przewodnik – jak zwykle dowcipny – nakazał nam schylić się nad samą powierzchnię przepływającego strumienia, by dojrzeć coś niezwykłego na dnie, po czym chlusnął nam mroźną wodą w twarz, zaśmiewając się z udanego żartu.

W kolejnych dniach wędrowaliśmy przez różne podhalańskie miejscowości. W „obowiązkowym” Poroninie odwiedziłyśmy „obowiązkowe” muzeum Lenina, a w drodze na Turbacz przeżyłyśmy straszliwą nawałnicę.

Początkowo pogoda była przecudna, ale gdy już, już docierałyśmy na szczyt, niespodzianie – nie wiadomo skąd – pojawiły się i zawładnęły niebem groźne chmurzyska, zerwał się wicher i rozszalała się ulewa. Kucaliśmy w jakiejś bujnej kosodrzewinie; zmoknięte do ostatniej suchej nitki. Huk

piorunów, zwielokrotniony echem gór i wplatający się w szum ulewy, nagle ciemność i wycie wiatru były czymś strasznym, a zarazem cudownym.

Ulewa urwała się nagle i słońce znów objęło panowanie nad górami. Wracaliśmy mokre, ale z poczuciem przeżycia czegoś niezwykłego; jakiegoś misterium, które zdarza się tylko raz – trochę stąpając niepewnie, a trochę zjeżdżając „na siedzeniach” po niemożliwie śliskich ścieżkach. Zamówione na obiad pierogi z borówkami działały jak magnes. Nikt nie marudził, a gorące słońce suszyło nasze ubrania i włosy.

Do Nowego Targu dotarliśmy w niedzielne przedpołudnie i zatrzymaliśmy się na rynku, gdzie stały ławeczki wśród zieleni olbrzymich drzew, ścielących wokół chłodny cień. Profesorki dały nam dwie godziny wolnego czasu, a same poszły gdzieś w ważnej sprawie. Domyślałyśmy się, że udały się na mszę świętą do pobliskiego kościoła, choć nie mogły nam o tym powiedzieć. Takie to były czasy.

My też zostawiłyśmy bagaże przy kilku „dyżurujących” dziewczynach i poszłyśmy się pomodlić. Oczywiście, tuż przy ołtarzu spotkałyśmy kłęzące profesorki, które – widząc naszą grupę – dyskretnie się uśmiechnęły. Były zadowolone, że zrozumiałyśmy bez słów, jak należało wykorzystać ów „czas wolny”.

Wracaliśmy do Dębicy wlokącą się „z mozołem” ciuchcią w skwarny dzień sierpniowy, mijając miasteczka śpiące w zieleni drzew i wioski nad brzegami rzek, rozłożone wśród pól ze żłtym już zbożem, pełnych małych kopek, złocących się w słońcu.

Drogami wśród ściernisk szedł barwny korowód. To kobiety z dziećmi zdążyły do widocznego na horyzoncie kościółka, niosąc w rękach bukiety ziela. Było właśnie święto Matki Boskiej Zielnej.

Z tamtego wyjazdu pozostały niezapomniane wspomnienia i owe czarno-białe fotografie, zrobione przez którąś z koleżanek – szczęśliwą posiadaczkę aparatu fotograficznego, z kliszą w środku, na której mieściło się 24 lub 36 zdjęć. Każde „pstryknięcie” musiało być przemyślane, by nie marnować kliszy. I każde zdjęcie miało swoją wagę i sens.

Jak wspominała Natasza Socha: „Gnało się do zakładu fotograficznego i przestępowało z nogi na nogę, by jak najszybciej zobaczyć zdjęcie z obozu, wakacji, balu, czy zwykłej szkolnej wycieczki. Współczesnym telefonom komórkowym zainstalowano milion funkcji, ale odebrano duszę”.

Profesorka Gałuszka bardzo lubiła rozwiązywać krzyżówki. Nigdy „nie odpuściła”; musiała wypełnić diagram do końca. Nieznanych słów szukała w różnych słownikach, szła na poszukiwanie do biblioteki, czasem nawet

przybiegała na dużej przerwie do mojej pracowni, pytając o jakieś hasło z dziedziny literatury. Było to dla mnie z jednej strony miłe, ale z drugiej stresujące; ogromnie się wstydziłam, gdy nie znałam odpowiedzi.

Bardzo serdecznie mówili o profesorze jej najbliżsi, a także ci, którzy opiekowali się nią w ostatnich chwilach jej życia.

Jej bratanica, wychowanka i uczennica Halina Gałuszka wspominała: „Kochała nas – Marylkę i mnie – bezgraniczną miłością na zawsze i na każdy czas. Nam i pracy poświęciła swoje życie. Wychowała nas i ukształtowała. Pragmatyczna, zahartowana przez trudy, zaszczerpiła w nas te wartości, które uważała za szczególnie cenne i potrzebne – umiłowanie pracy, obowiązku, uczciwości, i chociaż z upływem czasu coraz bardziej krucha, imponowała jasnym umysłem i wzruszała gorącym sercem”. A oto jeszcze kilka wspomnień:

„Mówiła o sobie: – Życie mnie nie rozpieszczało, choć otrzymałam dużo [...]. Wspaniały człowiek; zadziwiała niezwykłym hartem ducha. Siła charakteru oraz życiowa mądrość pozwoliły jej z godnością i bez skargi przyjąć najcięższy krzyż swego cierpienia po śmierci ukochanej bratanicy Marylki” [Urszula Świstak].

„Często obserwowałam ją na Eucharystii. Dlatego rozumiem optymizm i spokój w dźwiganiu krzyża choroby, cierpienia, samotności” [siostra Gizela].

„Była bardzo religijna i głęboko wierząca. Jej wiara nie była na pokaz” [siostra Izabela].

„Czas jej walki z ciężką chorobą był dla mnie kolejną lekcją; najtrudniejszą. Podczas tej lekcji odwagi i pokory podziwiałam hart ducha. Z radością witałam każdy błysk uśmiechu na umęczonej twarzy. Nie absorbowałam cierpieniem. Czasem tylko lekko zniecierpliwiona odsyłała mnie do obowiązków” [Maria Świętoń].

„W ostatnich tygodniach i dniach dzielnie znosiła cierpienie, była gotowa na śmierć; niesamowity charakter. Zawsze będę ją ciepło wspominać i pamiętać w modlitwie” [Ryszard Pazdan].

Profesorka Gałuszka zmarła w październiku 2011 roku. Na jej pogrzeb przybyło mnóstwo ludzi. Każdy niósł w swym sercu serdeczne wspomnienie, żal i zadumę. Żałobna msza święta odbyła się w kaplicy na Cmentarzu Komunalnym w Dębicy, ale grób profesorki znajduje się w jej rodzinnych stronach, niedaleko Krosna. Po jej śmierci Danuta Kalita napisała:

„Zgasło życie, które zawsze nas intrygowało, jako że odbiegało od przeciętnych stereotypów i utartych schematów. Żegnając raz jeszcze wspomnie-

niem Panią Profesor, raz jeszcze dziękujemy za miłość, za pokładane w nas nadzieje, za stawiane kiedyś wysokie wymagania, za mozolne rzeźbienie naszych charakterów – za wzór życia dobrego, prawego i szlachetnego”.

W 1969 roku rozpoczęła pracę biologa w naszej szkole profesorka Małgorzata Kurcz [Borska], absolwentka liceum z roku 1960 – ciemnooka i ciemnowłosa, o delikatnych kobiecych rysach, ujmującym uśmiechu i ciepłym spojrzeniu, pełnym zrozumienia i dobroci. Naturalnie miękkie, układające się w lekkie fale włosy okalały jej twarz, emanującą miłością świata, otwartością i iście królewską pobłażliwością.

Pogodna, ogarniająca wszystkich przyjaznym spojrzeniem, miała w sobie coś fajnego, choć trudnego do zdefiniowania; jakąś nieokiełznaną swobodę bycia, spontaniczność, luz, cechujący ludzi spełnionych, pewnych siebie, zadowolonych z życia.

Jako biolog potrafiła zaciekawić przedmiotem, wyegzekwować obowiązującą wiedzę bez atmosfery strachu czy przymusu. Z wielką łagodnością i mądrą wyrozumiałością podchodziła do uczniowskich słabostek, wykazując przy tym anielską cierpliwość, rozczulającą wprost dobroć, ugodowość, pragmatyzm i liberalizm.

Nigdy nie okazywała zmęczenia czy zniechęcenia; niesłuchanie bezpośrednia, lubiła młodzież, umiała pocieszyć i doradzić, swym wychowaniem dawała przepisy na pyszne ciasteczka i różne zdrowe potrawy.

Opiekowała się kołem PCK; jej członkowie chętnie brali udział w organizowanych przez nią akcjach, m.in. w zbiórkach datków do puszek na cele charytatywne.

Pewnego razu, przez roztargnienie zostawiła na parapecie na korytarzu dopiero co napisane sprawdziany. Uczennice [była to klasa żeńska] zobaczyły te sprawdziany i zdecydowały, że je spalą, bo były pewne otrzymania słabych ocen. Profesorka domyśliła się, co się stało i urządziła tak solidną „pytaninę”, że dwójce posypały się jak mak na placku z jej przepisu. Ale gniew profesorki był jak te łzy młodej wdowy z powiedzonka profesora Czernego – minął szybko, a ona wspaniałomyślnie i wielkodusznie wybaczyła winowajczyniom; wszak była wspaniałą kobietą o sercu miękkim jak воск.

Miała też żartobliwy dystans do siebie i szczere poczucie humoru, a na podorędziu zawsze jakąś anegdotkę, żarcik czy niewinną ploteczkę. Nigdy nie było z nią nudno.

Pamiętam, gdy znana z psot klasa „c” z okazji Dnia Wagarowicza wyprzebiarała się za pracowników ZOM-u, a profesorka Małgosia stała na zakręcie schodów i umierała ze śmiechu.

Owa „osławiona klasa „c” była ewenementem w historii szkoły, jeśli chodzi o ilość zmieniających się tam nauczycieli. Rekord chyba należał do geografii. Nauczycielami tego przedmiotu byli kolejno: profesor Zdzisław Czerny, Tomasz Kozioł, Anna Gwóźdź, Stanisław Kłok, Stefan Jałowiec. Podobnie było z kilkoma innymi przedmiotami. Nawet na stanowisku dyrektora szkoły nastąpiła zmiana: Edmunda Galasa zastąpił Stanisław Kłok.

A owa klasa to był też niezwykle, bardzo zgrany kolektyw. Szybko związały się tam przyjaźnie, wszyscy się lubili, spotykali po lekcjach, czuli się za siebie odpowiedzialni, pomagali sobie nawzajem i wspierali w trudnych chwilach.

Nie w każdym zespole tak było. Początkowo klasy były zawsze pewnego rodzaju zbieraniną młodych ludzi, z której powoli rodził się dopiero prawdziwy „kolektyw” – składający się z kilkudziesięciu indywidualności. Każdy taki kolektyw był inny. Niektóre – zgodne, ciche, zdyscyplinowane, pracowite – były trochę bezbarwne, ale nie sprawiające problemów, inne zaś – głośnie, niepokorne, absorbujące uwagę, dające się nauczycielom we znaki – zapamiętywane na zawsze. O owej „c” zawsze było głośno; klasa była bardzo sympatyczna, ale znana z różnych incydentów, nietypowych zachowań, oryginalnych inicjatyw; kłopotliwa i niesforna, Dlatego nauczyciele utyskiwali na zadziorne charaktery uczniów, na hałaśliwość, niechętnie uleganie rygorom szkolnym, nieprzewidywalność, wybujałą fantazję. Owo przebranie za pracowników ZOM-u było przejawem takiej właśnie fantazji.

Chociaż wychowawczyni tej klasy – profesorka Celina Ukowska miała ze swoimi podopiecznymi „sto światów”, to wszyscy bez problemów zdali maturę, zrealizowali swe plany zawodowe, a ich przyjaźnie przetrwały próbę czasu. Dziś może z nich być dumna.

Profesorka Małgosia – jako osoba o ogromnym poczuciu humoru, życzliwa, otwarta, tolerancyjna, pobłażliwa – patrzyła na oryginalną grupę „sprzątających” – dziwacznie pomalowanych, szczerbatych, rozczochnianych, w „pseudoroboczych” ubraniach i pokracznych gumiakach – z wielką życzliwością i zrozumieniem.

Pewnego razu doznała poważnej kontuzji nogi i przez jakiś czas chodziła bardzo powoli, trochę utykając. Wtedy powstała fraszka:

„Gdyby profesorka Małgosia nie podskakiwała,
To by dzisiaj tak nie utykała.
Ale ją to tylko zdobi,
Wszak z takim wdziękiem to robi!”

Odwiedzaliśmy ją tłumnie z okazji różnych uroczystości, gdyż chętnie nas zapraszała, gościła, dogadzała. Miała ogromny ogród, który – jak na „panią od przyrody” przystało – uprawiała, wkładając w to zajęcie swe serce i talent. Z dorodnych warzyw zerwanych w ogrodzie sporządzała różnorodne, pyszne sałatki, którymi zjadaliśmy się, oprócz jednego kolegi, który mówił, że żadnej trawy nie tyka z powodu „niebycia” królikiem. Pamiętam też wspaniałe ognisko urządzone w ogrodzie profesorki z okazji Dnia Nauczyciela i różne inne koleżeńskie spotkania. I profesorkę Małgoś – zawsze wesołą i życzliwą.

Od 1963 roku biologii zaczęła w naszej szkole uczyć profesorka Zofia Wawraszek – wysoka, postawna blondynka nosząca dumnie głowę, poruszająca się z wdziękiem, otoczona zapachem subtelnych perfum. Zawsze w nienagannej fryzurze, z misternie upiętym koczkiem, pospinytym oryginalnymi spinkami [Janusz Mrocza zapamiętał, że nosiła też piękny, gruby warkocz omotany wokół głowy], w eleganckich sweterkach czy bluzeczkach i wąskich spódniczkach, trochę onieśmielała uczniów zdystansowaniem, powściągliwym uśmiechem, nieodgadnionym spojrzeniem.

Była kobietą „światową”, która opowiadała nam o podróżach do różnych egzotycznych krajów. Pamiętam, jak oburzała się, że w Chinach widziała hodowlę drobiu, gdzie stłoczono ptaki w niemiłosiernie ciasnych klatkach, co urągało wszelkim zasadom przyzwoitości i o pewnym Chińczyku, który – natknąwszy się podczas spaceru na jakiegoś owada, przypominającego polnego konika – złapał go i zadowoleniem na miejscu skonsurował. Słuchaliśmy opowiadań profesorki Zosi z zapartym tchem.

Zapewne z owych podróży przywoziła swoje piękne ciuszki, oryginalne ozdoby i perfumy. Pewnego razu zastukałam do jej drzwi wczesnym rankiem w sobotę. Były to czasy, gdy niewielu z nas miało telefony, a sprawa była służbowa i nie cierpiąca zwłoki. Profesorka Zosia otworzyła drzwi w pięknym, wzorzystym szlafroku, przy którym moja „wyjściowa” sukienka wyglądała jak pospolity łach.

W pracy niezwykle skrupulatna, zasadnicza, stanowcza, konsekwentna, czasem nawet surowa, traktowała swoje obowiązki nauczyciela – a przede wszystkim wychowawcy – bardzo poważnie i odpowiedzialnie, dzięki czemu budziła respekt i szacunek. Żywo, z żarem w oczach reagowała na każde niewłaściwe zachowanie, na wagarowanie czy brak kultury. Nie tylko chciała przekazywać biologiczną wiedzę, ale wielką wagę przykładła do wychowywania i kształtowania postaw młodzieży. Stąd fraszka:

„Profesorka Zosia Wawraszewska
Zawsze ze złem walczyć gotowa.
I jak Atena w pełnej zbroi
Na straży moralności stoi”.

Profesorka Zosia udowodniła swą odwagę i waleczność, tworząc z profesorką Wandą Zakrzewską szkolny związek „Solidarność”. Była bardzo przekonująca, a nawet zadziorna, co sprawiało, że wielu z nas uległo jej perswazji.

Uważna, wrażliwa na wszelkie zło, niepokorna, broniła swych niezależnych poglądów „do ostatniej kropli krwi”.

Troszczyła się o swoich wychowanków i cieszyła się wśród nich wielkim autorytetem. Wiele z nich poszłoby za nią w ogień. To w jej pracowni uczniowie powiesili gazetkę z krzyczącym tytułem: „Pierwsza w świecie pomyłka TASS”, gdy ZSRR – we wrześniu 1983 roku – przyznał się do strącenia samolotu koreańskich linii lotniczych, zdążającego z Nowego Jorku do Seulu. Prawdopodobnie na skutek błędu w ustawieniu automatycznego pilota, samolot ów naruszył przestrzeń powietrzną Związku Radzieckiego. Rosjaninie, uznając, że był to amerykański samolot rozpoznawczo-szpiegowski, wystrzelili rakietę ziemia-ziemia i maszyna runęła do morza. Boeingiem podróżowało 269 pasażerów. Zginęli wszyscy.

Takie informacje i forma ich przekazania na gazetce szkolnej były czymś niezwykłym i ryzykownym. Profesorka bardzo naraziła się wtedy dyrektorowi Galasowi, ale ona niczego się nie bała. Podziwialiśmy tę jej odwagę, poczucie niezależności i pewność siebie.

Opiekowała się szkolną zielenią i wraz z uczniami pielęła grządki przed szkołą, sadziła kwiatki i dbała o rosnące tam krzewy.

Bardzo ją lubiliśmy. Interesowała się problemami kolegów, była chętna do pomocy, pogodna i miła. Pewnego razu na jakieś nauczycielskie spotkanie przyniosła kilka słoiczków własnoręcznie sporządzonych, pysznych sałatek w różnych warzyw. Z przepisów na te sałatki korzystam do dziś.

Od 1987 roku biologii uczyła w naszej szkole profesorka Jadwiga Pajkowska, pełniąca również funkcję wicedyrektora. Była elegancką kobietą o ujmującym obyciu, zawsze w brązach, rudociach i beżach, z włosami do ramion w pięknym kolorze jesiennych, rdzawych liści. Miała trochę roztargniony uśmiech i charakterystyczną wymowę niektórych wyrazów, zdradzającą jej poza-podkarpackie pochodzenie. Profesorka niektóre miękkie

spółgłoski wymawiała twardo: lypa [lipa], lyst [list], co tylko dodawało jej uroku i oryginalności.

Jej życzliwość, tolerancyjność, wyrozumiałość, zachowanie pełne ciepłych gestów, łatwość w nawiązywaniu kontaktów, umiejętność dyplomacji, zjednywały jej sympatię koleżanek, kolegów i uczniów, którzy lubili ją i jej lekcje biologii. Pani dyrektor Pajkowska rozumiała młodych ludzi, umiała przymknąć oczy na ich psoty, wybaczała niesubordynację i drobne grzeszki.

Pełna wigoru, pogody ducha, optymizmu, chętnie przychodziła do pokoju nauczycielskiego, by się z nami „pospolitować”; lubiała pogadać na różne tematy, podyskutować, pospierać się nawet. Zawsze pewna swych racji, arbitralna, nigdy nie odpuszczała i buńczucznie broniła swego zdania do końca.

Trochę utyskiwała na zbyt wiele różnorodnych zajęć, które miała uczyć i „dyrektorując”, a ponieważ była nieco roztargniona, często biegała po szkole szukając kluczy lub jakichś dokumentów. Stąd fraszka [na motywach przedwojennego szlagieru]:

„Ach, jak przyjemnie po szkole biegać tak,
gdy szumi, szumi władza, choć kluczy ciągle brak.
I tak uroczo, tak ochoczo serce bije w takt,
Bo na nim leży los młodzieży,
choć kluczy ciągle brak do szczęścia.
Ach, jak przyjemnie...”

Od 1987 roku przez kilka lat uczyła biologii również profesorka Barbara Żołądek [Stasicka], absolwentka z 1979 roku, moja uczennica [później jeszcze na jakiś czas wróciła do szkoły po 2000 roku]. Była piękną, czarnooką i czarnowłosą kobietą, zgrabną, elegancką, zawsze uśmiechniętą, przyjazną uczniom, życzliwą dla każdego, wrażliwą, serdeczną, kochającą przyrodę.

Kolejnym przedmiotem nauczonym w naszej szkole od początku jej działalności była fizyka.

Od 1903 roku uczył tego przedmiotu profesor Józef Stachnik. Jeden z uczniów wspominał, że potrafił zainteresować przedmiotem, a zwłaszcza wykonywanymi doświadczeniami z zakresu wiedzy o elektryczności i magnetyzmie. Ów uczeń zazdrościł kolegom, którzy byli wyznaczani do wykonywania tych doświadczeń i bardzo bolał, że – gdy on chciał wziąć udział w takim ćwiczeniu – profesor oburzył się: – „Wykluczone! Ojciec

dziad, to kto zapłaci, gdy coś się uszkodzi. Dziwiło to trochę, gdyż profesor sam pochodził z biednej, chłopskiej rodziny”.

Od 1917 roku fizyki zaczął uczyć profesor Wojciech Turosz, późniejszy dyrektor gimnazjum w Krakowie – ceniony i lubiany przez młodzież – co podkreślał Adam Przewłocki: „Był to przeznacny człowiek i dobry pedagog, który nam, nastawionym na wykształcenie humanistyczne, potrafił w sposób przystępny i popularny dać podstawy fizyki i nadrobić zaległości z poprzednich lat”.

Od 1923 roku naukę fizyki i chemii rozpoczął w gimnazjum profesor Władysław Zieliński, a od 1933 – do drugiej wojny światowej tego przedmiotu uczył również dyrektor Sadowski.

Profesor Władysław Zieliński to kolejna legenda naszej szkoły. W czasie swej długoletniej kariery „dorobił się” kilku pseudonimów m.in. związanych z przedmiotami, których uczył i które kochał [„Gram”, „Cząsteczka”, „Erg”, „Amper”] oraz z działalnością konspiracyjną w czasie wojny [„Jarosław”].

Jego uczeń Stanisław Ożóg, życzliwie wspominając profesora, który „umiał zdobyć sobie przychyłność i szacunek uczniów”, wymienił jeszcze jedno przezwisko – „Sztuc”.

„Wymagał doskonałej znajomości przedmiotu nauk fizycznych i chemii w granicach ówczesnej wiedzy, gdy atom był najmniejszą, niepodzielną cząstką materii” – pisał Wojciech Wójcik. Również Jan Szymaszek twierdził, że profesor Zieliński „był wspaniałym pedagogiem, Umiejętnie wprowadzał w tajniki fizyki i chemii”, a Stanisław Malecki nazwał go przyjacielem młodzieży, który wraz z profesorem Stanisławem Skrzyszewskim uczył też gry w tenisa.

Jeszcze inny z jego uczniów – Bolesław Tabas napisał: „Z profesorów najserdeczniej wspominam inżyniera Władysława Zielińskiego, a więc, która narodziła się między nami w latach gimnazjalnych, przetrwała do ostatnich lat życia profesora”.

Profesor Zieliński urodził się w 1897 roku w Dębicy. Od 1907 roku był uczniem naszego gimnazjum, które ukończył w 1915 roku. Współorganizował szkolne harcerstwo, które zapisało chlubną kartę w dziejach szkoły.

W pracy Anety Kwolek czytamy, że po wybuchu I wojny światowej „uczestniczył w kampanii wojennej 1915-1918 w armii austriackiej, a w latach 1920-1924 studiował chemię na Politechnice Lwowskiej, uzyskując tytuł inżyniera”.

Po studiach, od 1924 roku rozpoczął pracę w naszej szkole, równocześnie tworząc pracownię fizyczną. W 1930 roku uzyskał tytuł profesora, a od

1936 roku pełnił funkcję zastępcy dyrektora. Uczył też w prywatnym Seminarium Żeńskim i w Szkole Doksztalczącej Rzemieślniczej, a w czasie wojny – w Szkole Mechanicznej. Działal w ZNP, ZHP i PCK.

Jak pisał Zbigniew Szurek: „W latach 20-30 XX wieku odgrywał znaczącą rolę w życiu miasta. Był radnym miejskim, a w 1935 roku znalazł się na liście kandydatów do sejmiku, był też jednym z inicjatorów zbudowania w Dębicy lotniska turystycznego, które otwarto w roku 1932.

Ten – jak napisał Ryszard Pajura – „jeden z najbardziej znanych i szanowanych” profesorów gimnazjum opiekował się kilkoma kółkami zainteresowań: lotniczym, modelarskim, a także dramatycznym. Należał do Ligi Morskiej i Kolonialnej, Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej i do Związku Strzeleckiego. Podczas okupacji organizował tajne nauczanie i uczył na tajnych kompletach „Kuźnicy” jako wykładowca i egzaminator chemii i fizyki. Dwukrotnie aresztowany, uratował się ucieczką w okolice Małej Górnej, gdzie przebywał do wyzwolenia Dębicy.

Tuż po wojnie profesor Zieliński pomagał w przywróceniu działalności naszej szkoły, wyposażył pracownię w pomoce naukowe, które udało mu się uchronić w czasie okupacji, uczył też w kilku innych szkołach; nie tylko dębickich. Zorganizował też Spółdzielnię Uczniowską i Spółdzielnię Nauczycielską „Rozwój”. Od 1947 roku pracował w Ośrodku Metodycznym w Rzeszowie, a w latach sześćdziesiątych był wykładowcą w Zaocznym Studium Nauczycielskim w tym mieście. Od 1964 roku organizował i przeprowadzał zawody olimpiady chemicznej, organizował też wakacyjne kursy chemii dla nauczycieli.

Jak wyliczył Edward Wodzień: „Był autorem około 50 opracowań dla Ministerstwa Oświaty i Wychowania”.

W kwietniu 1974 roku odbył się w naszym liceum jubileusz pracy nauczycielskiej profesora Władysława Zielińskiego, na którym była obecna m.in. absolwentka naszej szkoły Eugenia Łoch – wówczas dziekan Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie, posłanka na sejm, moja promotorka podczas studiów polonistycznych.

Na owej uroczystości profesor – choć drobny, trochę pochylony, z wygoloną gładko głową – wyglądał pogodnie i dziarsko. Wprawdzie bezlistosny czas wyżyłbił w okolicy ust i na czole profesora bruzdy, ale twarz opromieniał radosny uśmiech i życzliwe spojrzenie, zadziwiała też pogoda ducha i werwa – prawie młodzieńcza. Były miłe wspomnienia, życzliwe uśmiechy i ciekawe rozmowy.

Profesor Władysław Zieliński za swe zasługi został odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł w 1979 roku i został pochowany na Cmentarzu Parafialnym w Dębicy.

Tradycję rodzinną kontynuowała jego córka Zenobia, absolwentka naszej szkoły z 1946 roku, zasłużona nauczycielka chemii w dębickich szkołach średnich, a także wykładowca na wakacyjnych kursach dla nauczycieli. Tak jak jej sławny ojciec, prowadziła Spółdzielnię Uczniowską, była opiekunem drużyn harcerskich i działaczką ZNP. Za swe zasługi również została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Od 1954 roku fizyki w naszym liceum uczyła też żona dyrektora Wiktora Pietrzykowskiego – Jadwiga; moja ulubiona profesorka.

Była drobną, cichą, spokojną kobietą, o delikatnych rysach i płowych włosach do ramion, nigdy nie wykorzystującą swej pozycji żony dyrektora szkoły. Elegancko ubrana, prawie zawsze trochę spóźniona, nie wchodziła, a wbiegała do klasy drobnymi kroczkami, po czym wyciągała ze swej pękatej torby wielką, bielusięnką chusteczkę i głośno wydmuchiwała nos. Zaraz potem energicznie zaczynała lekcję, a fizyka wydawała nam się przedmiotem lekkim, łatwym i przyjemnym.

Na twarzy profesorki zawsze malowało się ogromne skupienie, a jej mądre oczy dostrzegały nasze słabości, ale też nasze starania. Jej wykłady były nie tylko ciekawe, ale zrozumiałe dla każdego. Zapewne potwierdziłaby słowa lekarza Andrzeja Szczeklika – naukowca pochodzącego z Pilzna – który pisał, że „nowoczesna fizyka powstała, gdy Galileusz i inni powiedzieli: „Zrozumienie, jak działa świat, jest niesłychanie trudne, spróbujemy więc tymczasem poznać dane zjawisko w izolacji od wszystkiego poza nim. Spróbujemy pojąć, jak spada kamień z krzywej wieży [...]. Metoda ta przyniosła spektakularne rezultaty”.

Gdy profesorka Pietrzykowska z zapalem prowadziła wykłady, w jej oczach zapalały się śliczne, złociste cętki. Imponowała nam swą żywotnością, sumiennością, entuzjazmem. Żalowaliśmy, że nie uczyła nas do samej matury. Po jej odejściu, baliśmy się, żeby nie przejął naszej klasy profesor Zbigniew Fladerer, który wprawdzie był łacinnikiem i filozofem, ale gdy pewnego razu przyszedł na zastępstwo, okazał się też świetny z fizyki. Profesor Fladerer – surowy i wymagający – nosił niezbyt elegancką ksywkę „Flak”, która nie wiązała się zupełnie z jego cechami charakteru, ale była skrótem nazwiska. Chyba nie lubił dziewczyn, bo nazywał je kalafutrykami.

Bardzo się ucieszyliśmy, gdy nauczanie fizyki w naszej klasie powierzono młodzieńkiemu profesorowi Czesławowi Surowcowi, który od 1962 roku

zaczął pracę w naszym liceum i nawet przez jakiś czas pomieszkiwał w jednej z małych szkolnych salek; zresztą w bardzo spartańskich warunkach.

Profesor Surowiec przyszedł do naszego liceum zaproszony przez dyrektora Pietrzykowskiego, który uczył go w liceum w Sokołowie Małopolskim.

Wysoki, bladolicy, szczupły; wręcz chudy, o pociągłej twarzy i wyrazistych rysach, jasnowłosa, niebieskooki, prosty jak świeca, postawny i przystojny, stawiał kroki zamaszyste i tak długie, że chcąc z nim wówczas porozmawiać, musieliśmy prawie biec, zadzierając w górę głowy. On nie chodził, a „sadził długimi susami” po dwa schodki!

Początkowo wydawał się nieśmiały, trochę wycofany, ale ujmował sympatyczną twarzą i łagodnym, przyjaznym spojrzeniem, a także powagą i powściągliwością.

Szczególnie my, dziewczyny, przyglądałyśmy się uważnie, gdy na lekcji objaśniał przy tablicy różne zawiłości fizyczne.

Na pierwszych lekcjach bardzo kontrolował swoje ruchy, więc gdy czasem przypadkowo włożył rękę do kieszeni, to zaraz ją wyciągał, to znów gdy zrobił jakiś wyrazistszy gest, to natychmiast się mitygował i obserwował naszą reakcję. A my – głupiutkie gęsi – chichotałyśmy; chyba bardzo niedyskretnie, co go bardzo deprymowało. Ale szybko poczuł się pewnie, a nawet nas chyba polubił, chociaż – tak jak Jerzy Krzywicki – z wywodów Einsteina rozumialiśmy tylko tyle, że „zgodnie z teorią względności, każdy zegarek inaczej chodzi”. Ale przecież sam Einstein uważał, że „rzeczą ważniejszą od wiedzy jest wyobraźnia”. A tej nam nie brakowało.

Lucyna Wodzińska pisała: „Ze wzruszeniem wspominam profesora Czesława Surowca, przystojnego fizyka, w którym prawie wszystkie podkochiwałyśmy się. Bardzo przystępnie przekazywał nam tajniki przedmiotu”. To o nim może być ta fraszka:

„Wszystkie w panu się kochamy.
Żadnych szans nie mamy?”

Profesor odnosił wiele sukcesów zawodowych. W latach dziewięćdziesiątych prowadził autorską klasę fizyczno-matematyczną, był też metodykiem fizyki.

Edward Wodzień pisał: „Jego nowatorska myśl zaowocowała utworzeniem w Szkole Podstawowej nr 9 [gdzie też uczył fizyki], klasy młodych „ściślych tęgich głów”. Po przeprowadzeniu egzaminów kwalifikacyjnych dla uczniów jedenastu dębickich „podstawówek”, utworzono w naszej szkole 18-osobową klasę o kierunku matematyczno-fizycznym [z progra-

mem autorskim]”. Jego uczniowie odnosili sukcesy w olimpiadach przedmiotowych. Jednym z tych uczniów był jego syn Andrzej – również mój wychowanek.

Podczas stanu wojennego profesor Czesław Surowiec został moim dowódcą wojskowym.

Jako kolega był przez wszystkich lubiany. Chętnie wspierał mnie w czasie pełnienia dyżurów na korytarzu. Wiedliśmy wtedy ciekawe rozmówki, wspominając czasem tamto liceum – z czasów dyrektora Wiktora Pietrzykowskiego.

Od 1972 roku fizyki uczył w naszej szkole profesor Stanisław Jantón. Był dosyć wysokim, ciemnowłosym mężczyzną o szczupłej sylwetce, ciepłych oczach spoglądających ciekawie – a często figlarnie – zza okrągłych okularków, o życzliwym, aczkolwiek powściągliwym uśmiechu i dyskretnej elegancji.

Spokojny, wyciszony, trochę jakby zagubiony, melancholijny, pełen dobroci i empatii, był przez wszystkich lubiany i ceniony. Jego prostota i naturalność w zachowaniu, dystans, rozsądek, ale też pogoda ducha, przychylne usposobienie i wyrozumiałość były niekiedy okraszane życzliwą kpina, a nawet lekkim sarkazmem.

Profesor Staszek był pracowity, odpowiedzialny, solidny, tolerancyjny i sprawiedliwy, ale nie było w nim żadnej pozy, żadnego poczucia jakiejś misji czy wyjątkowości. Na pewno nie podzielał teorii jednego z noblistów, że „jedynie fizyka to nauka, a reszta to zbieranie znaczków”, czy że „zajmować się fizyką to podglądać samego Boga w akcie tworzenia”.

Myślę, że nie miał żadnych wad ani nałogów. Pamiętam, gdy razem prowadziliśmy zajęcia w Rozdzielu na tzw. „Zielonej szkole”, zawiadywanej twardą ręką przez profesorkę Anię Dominiak. Dyscyplina była wzorowa, młodzież cudowna, zajęcia ciekawe i urozmaicone. Gdy uczniowie spali już słodkim snem, odbywaliśmy „nocne Polaków rozmowy”, ale daremnie próbowałyśmy z profesorką Anią namówić kolegę Staszka na choćby jedną partyjkę gry w karty, a na koniec pobytu, na choćby skosztowanie łyżeczki nalewki, którą ktoś przywiózł z Dębicy.

Na początku lat siedemdziesiątych fizyki uczyły profesorki: Antonina Skrzypek i Maria Włodarska.

W 1975 roku przyszedł do naszego liceum nowy nauczyciel fizyki i astronomii – profesor Antoni Wozowicz [pseudonim: „Wózek”].

Był mężczyzną drobnej postury, zawsze starannie, choć swobodnie ubranym w stonowane swetry, odpowiednie koszule i spodnie.

Szczupły, niewysoki, z włosami o piaskowym kolorze, które miękko układały się na głowie, z wyjątkiem niesforne go loczka zawsze zdobiącego jego czoło, budził sympatię naturalnym sposobem bycia, spokojnym, bacz-
nym spojrzeniem szarych oczu i godnym podziwu opanowaniem.

Podczas spotkania absolwentów z okazji 100-lecia szkoły, jedna z jego byłych uczennic wspominała, jak pewnego razu – podczas nieobecności profesora na lekcji – przeglądała dziennik, niby sprawdzając, czy nie ukrył się gdzieś między kartkami, gdyż na początku wydawał się trochę nieśmia-
ły, wyciszony, jakby niepewny. Ale szybko uczniowie docenili rzetelność, solidność, konsekwencję wymagań profesora, jego siłę spokoju, zdystanso-
wanie, rozważę, stanowczość i pragmatyzm.

Jego wielką bolączką, z którą się zmagał, były papierosy. Kilkakrot-
nie rzucał palenie, co nie najlepiej wpływało na jego nerwy. Stąd 2 fraszki
w formie uczniowskich prośb:

1. „Niech pan, profesorze, nie rzuca palenia,
Bo wtedy pan jest nie do zniesienia”.

2. „Profesorze, niech pan pali,
Byśmy z panem wytrzymali!”

Gdy profesor zwalczył nałóg, powstała jeszcze jedna fraszka:

„Profesor Wozowicz nie pali, nie pije,
Nie zatańczy, nie zaśpiewa,
Jak ta myszka żyje.
Fizyko, Fizyko! Jakaż w tobie siła,
Żeś nam profesora całkiem odmieniła.
Życzymy dziś panu odkrycia w fizyce,
By stał się pan sławny nawet w Ameryce!”

Profesor Tosiek – przyjazny, uprzejmy, serdeczny, wrażliwy i empa-
tyczny budził zaufanie i był przez wszystkich lubiany. A to załatwił cenną
książkę „spod lady”, a to rozdawał nam kłaczka pięknych lilii, które hodował
na swej działce, a to przywoził cudownie pachnący i także smakujący miód
z rodzinnej pasieki.

Pewnego dnia odkryłam, że jesteśmy spokrewnieni przez wspólnych
przodków.

A było tak. Siedzieliśmy w auli obok siebie w czasie jakiejś uroczystości. Podczas występu uczennicy śpiewającej piosenkę Stanisława Soyki, obydwójce pochwaliliśmy się pokrewieństwem z piosenkarzem. Dyskusja trwała długo, zanim ustaliliśmy, że i on i ja mieliśmy rację. Okazało się, że mamy wspólnych antenatów, co profesor udowodnił sporządzając drzewo genealogiczne rodziny.

Od 1984 roku rozpoczęła pracę w naszej szkole „fizyczka” Barbara Olechniewicz [Cierpik], córka profesorstwa Marii i Mariana Cierpików, absolwentka liceum z roku 1978.

Profesorka Basia była delikatną blondynką o subtelnej urodzie, drobnych rysach twarzy, jasnych, krótkich włosach i ujmującym uśmiechu – z nutką melancholii. Jej zainteresowanie fizyką trochę dziwiło, bo miała romantyczną naturę, wydawała się krucha, łatwa do zranienia, wrażliwa jak mimoza. Ale przekonywaliśmy się, że potrafiła też być silna, zdecydowana i energiczna. Lubiliśmy ją za tę jej łagodność, za powściągliwość, za to, że była nieskora do kłótni, że cechował ją spokój, niewzruszony optymizm, wewnętrzne ciepło i dobroć serca.

Zawsze gustownie ubrana, ujmowała dyskretną elegancją, ale też profesjonalizmem, serdecznością i umiejętnością rozwiązywania problemów młodzieży. A oto fraszka o profesorze Basi ułożona przez jej uczniów:

„Pani fizyk jak laleczka,
Co dzień inna sukieneczka.
Sama puszy się jak łania,
Nas do fizyki zagania”.

Dzięki swym osiągnięciom dydaktyczno-wychowawczym została powołana na stanowisko zastępcy dyrektora naszego liceum, a w roku 2015 zorganizowała Gimnazjum Dwujęzyczne i stanęła na jego czele. Absolwentką tego gimnazjum jest moja wnuczka Zuzia. A oto limeryk o profesorze:

„Pewna z Dębicy Barbara,
Co wciąż tkwi w władzy oparach,
Dziewczęcy wdzięk wciąż roztacza,
A dla nas to przecież oznacza,
Że Basią jest, nie Barbarą”.

I jeszcze fraszka pochodząca z okresu, gdy na fali przemian, dyrektorzy i nauczyciele ciągle wyjeżdżali na jakieś kursy, a potem organizowali nam „nasiadówki”, by przekazywać zdobytą tam wiedzę:

„Ja nowoczesna jestem szefowa,
Ciągłe dokształcać się gotowa.
Bo ja szalenie lubię szkolenie.
Pojadę tu, pojadę tam,
A potem się znam.
Więc każdy o mnie dobre zdanie ma.
Dyrektor Barbara – to ja”.

W 1989 roku rozpoczął nauczanie fizyki w naszej szkole profesor Wiesław Ostafin – barczysty brunet o bujnej, gęstej czuprynie zaczesywanej do tyłu, bystrych ciemnych, śmiejących się oczach, skrywanych czasem za ciemnymi okularami i solennym wąsie, pyszniącym się na jego twarzy. Stąd fraszka w formie zagadki:

„Kto to? Chyba wiecie -
Najpiękniejsze wąsy w świecie”!

Profesor Wiesiek był wielkim optymistą, człowiekiem zawsze pogodnym, nawet trochę zawiadłym szalawilą o nieokiełznanej naturze, mającym wielki apetyt na życie. Miał dużą łatwość w nawiązywaniu kontaktów, był więc przez wszystkich bardzo lubiany.

Pamiętam. Podczas wycieczki do Warszawy szpanował w skórzanej, czarnej kurteczce i ciemnych okularach, podśpiewując wesoło, czym zyskał ksywkę – „Elwis”.

Profesor Wiesiek w każdej sytuacji zachowywał spokój, nie narzekał na złe warunki, czy inne niedogodności, nie irytował się, nie miewał humorów, rozumiał młodzież i był dla niej życzliwy.

Zafascynowany prozą Waldemara Łysiaka, zbierał jego książki i mógł godzinami – niezwykle interesująco o nich mówić. Ale prawdziwą pasją profesora Wieśka były komputery, nowoczesne programy, nowe techniki i różne informatyczne wynalazki. A oto fraszka o profesorze:

„Mogłeś za szkołą robić karierę,
Bo masz talenty i serce szczere.

Szkołę wybrałeś i co dostałeś?
Spisane ławy, uczniowskie chichy,
Lichą pensyjkę, samochód lichy.
Ale my z tego korzyści mamy,
Dlatego pana Wiesia kochamy”.

Fraszka szybko straciła jednak aktualność; profesor jeździł pięknymi samochodami, a w 2018 roku został dyrektorem naszego liceum.

Od 1990 roku fizyki uczyła również profesorka Ewa Kantor [absolwentka liceum z 1975 roku].

Była wysoką szatynką o uważnym spojrzeniu pogodnych oczu, w których czaiła się ciekawość i dociekliwość, o prostych włosach opadających na ramiona, mieniących się odcieniami szlachetnego jasnego brązu, prostej sylwetce i wyrazistej osobowości.

Niezwykłe aktywna, zapalona działaczka, pewna swoich racji, z emfazą, pasją i determinacją prowadziła wraz z profesorką Zosią Wawrzaszek i profesorką Wandą Zakrzewską agitację promującą założenie związku „Solidarność” w naszej szkole. Była też długoletnią przewodniczącą nauczycielskiej „Solidarności” w Dębicy, a w latach 1998-1999 – kuratorem oświaty w Tarnowie. Została też posłanką na Sejm IV kadencji, wybraną z listy Ligi Polskich Rodzin okręgu rzeszowskiego. Uczestniczyła w pracach kilku sejmowych komisji, w tym w Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży, a także w sejmowej komisji śledczej do spraw prywatyzacji PZU.

W pracy sumienna, kompetentna, rzeczowa, miała dobry kontakt z młodzieżą, była też lubiana przez kolegów i koleżanki. Bo choć z pozoru chłodna i zdystansowana, to tak naprawdę była przyjazna i życzliwa. Godna podziwu była jej odwaga, stanowczość, gotowość do zmagania się z przeciwnościami, zaradność, zdroworozsądkowość i ambicja.

Kolejny licealny fizyk – doktor habilitowany Józef Cebulski – który, jak meteor przemknął przez naszą szkołę – był bardzo wysokim blondynem o pociągłej, męskiej twarzy, mocno sklepionym czole i jasnych, bystro spoglądających oczach.

Profesor Cebulski pracował w Centrum Mikroelektroniki Nanotechnologii na Uniwersytecie Rzeszowskim. Był zapaleńcem, pazernym wprost na wiedzę, który w kółko mówił o zagadnieniach związanych z fizyką, co nas niekiedy aż męczyło. Choć był bardzo sympatyczny, to również stanowczy, nieustępliwy i surowy, a czasem nawet kontrowersyjny. Z grymasem niezadowolenia odmawiał naszym prośbom i nie dawał się przekonać,

że może być coś ważniejszego niż fizyka i że są tacy uczniowie, którzy nigdy do końca jej nie rozumieją, i – niestety – nie pokochają.

Ważną rolę w historii naszej szkoły odegrała chemia. Przed wojną, w czasie jej trwania i po wyzwoleniu, uczył jej profesor Władysław Zieliński, o którym już pisałam.

Od 1945 roku nauczycielem chemii został też profesor Stanisław Gierulski, a od 1951 – profesor Piotr Rybka – mój wykładowca i wychowawca. Profesor Rybka to kolejny człowiek-legenda naszej szkoły.

Był entuzjastą, z pasją oddającym się nauczaniu, z radością wykonującym różne eksperymenty chemiczne, gromadzącym wokół siebie zainteresowanych przedmiotem uczniów. Stąd fraszka na motywach ballady Adama Mickiewicza pt. „Zaproszenie na lekcję chemii”:

„Pójdźcie o dziatki,
pójdźcie wszyscy razem –
robić doświadczenia z gazem”.

W kalendarzu szkolnym znajdujemy taką wzmiankę o profesorze: „Był wychowawcą wielu pokoleń chemików, wśród nich zwycięzców międzynarodowych olimpiad. Dzięki niezwyklej osobowości żyje do dziś w pamięci swoich uczniów; niektórzy z nich kontynuują jego dzieło. Profesor – dzięki wielu osiągnięciom jego uczniów w olimpiadach chemicznych – cieszył się sławą znakomitego nauczyciela. Poświęcał tym swoim olimpijczykom bardzo wiele czasu. Prowadził też kółko chemiczne dla najbardziej uzdolnionych uczniów. Jednym z nich był Krzysztof Cios, który wspominał: „Byłem członkiem kółka chemicznego prowadzonego przez cudownego profesora Rybkę”.

A Aneta Kwolek pisała: „Prawdziwą „olimpijską” potęgą w dziedzinie chemii stała się dębicka szkoła w okresie pracy w niej Piotra Rybki. Ten wybitny pedagog był nauczycielem i opiekunem kilkudziesięciu olimpijczyków – uczestników olimpiad ogólnopolskich i międzynarodowych [np. Janusz Zachara zdobył II miejsce na V Międzynarodowej Olimpiadzie Chemicznej w Sofii].

W ciekawie prowadzonej „Kronice kółka chemicznego” znalazły się informacje o jego wybitnych uczestnikach, m.in. o Krzysztofie Dydaku – laureacie X Olimpiady Chemicznej, Januszu Golusie – wyróżnionym w fi-

nale XVII Olimpiady Chemicznej, Czesławie Skupniku – laureacie XVII Olimpiady Chemicznej. Oni wszyscy na pewno mogli zawołać:

„Nam trucizna
Nie pierwszyna”.

We wspomnianej kronice profesor Rybka napisał: „Gdy w 1962 roku organizowałem kółko chemiczne, nie sądziłem, że odegra aż tak dużą rolę w życiu naszej młodzieży i szkoły”.

Profesor Piotr Rybka był niewysokim, szczupłym mężczyzną o jasnych włosach zaczesywanych do tyłu, ale wciąż niesforne opadających na czoło, które marszczył odruchowo w sytuacjach zarówno wesołych, jak i smutnych, o zatroskanym spojrzeniu oraz figlarnych, płowych wąsikach, którymi poruszał na podobieństwo Michała Wołodyjowskiego z Sienkiewiczowskiej powieści.

Profesor uważał, że chemia to cudowny i łatwy przedmiot, a nie umię ją go tylko lenie. Wyznawał też zasadę, którą trafnie sformułował profesor Able z powieści Ann Patchett „Dom Holendrów”: „Chemia to piękny system. Każdy dział wznosi się na poprzednim dziale. Jeśli nie rozumiesz pierwszego działu, nie ma sensu przechodzić do drugiego. Pierwszy daje klucz do drugiego, a pierwszy i drugi razem to klucze do trzeciego itd.”

Dlatego i nasz profesor wciąż pytał z całości materiału od pierwszej lekcji. Dla wielu z nas, przybywających z różnych odległych wsi, nie znających podstawowych terminów i zasad chemicznych, miał pewnie mało cierpliwości, bo – mimo naprawdę szczerych chęci – wciąż mieliśmy w głowie „chemiczny mętlik”, wciąż łapaliśmy dwóje i dopiero pod koniec okresu – umierając ze strachu – zdawaliśmy poprawkowe egzaminy, by otrzymać przynajmniej „trzy na szynach”, co oznaczało – szczęście! Oczywiście wielu chłopców i kilka dziewcząt z naszej klasy lubiło i rozumiało chemię, ale dla większości to była prawdziwa czarna magia, czy – jak powiedziałyby profesorka Oleńska – „terra incognita”.

Profesor Rybka był równocześnie naszym wychowawcą, co – niestety – było dla nas pechowe, bo często lekcje wychowawcze zmieniały się w lekcje chemii, których tak się baliśmy. W swej bezbrzeżnej głupocie nie rozumieliśmy, że miały nam pomóc. Do dziś moje serce przechowuje lęk na wspomnienie tamtych chwil.

Cieszyliśmy się tylko wtedy, gdy profesor polecał nam coś do przeczytania i wychodził na zaplecze z olimpijczykami.

Pamiętam. Po sprawdzeniu obecności czekamy nerwowo na tradycyjne wywołanie do odpowiedzi jakiegoś słabeusza, by z żelazną konsekwencją, uporem i determinacją domagać się wiadomości z całego dotychczas zrealizowanego materiału, ale profesor zadaje nam do nauczenia się dwie strony informacji z podręcznika i wychodzi z olimpijczykami do kantorka. Wkuwam na pamięć kolejne zdania i liczę upływające minuty.

Czas, jakby ugrzązł w miejscu. Wreszcie przez okno wpadają dźwięki znanej melodii płynącej z czyjegoś radia. To „Polonez A-dur” Chopina – obwieszczający południe. Zaraz dołączą do tej melodii dostojne dźwięki dębickich kościołów; te od świętej Jadwigi i te z klasztoru, potem dwanaście uderzeń zegara i „Mariacki” hejnał. Jeszcze tylko piętnaście minut!...

Profesor wychodzi z kantorka, ruszając wesoło wąsikiem i prosi do odpowiedzi ochotników, co jest naprawdę wyjątkiem. Wiem, że to moja jedyna szansa na poprawę ocen. Więc, choć czuję wobec profesora wielki respekt i onieśmienie, choć ciemny rumieniec oblewa mi twarz, zgłaszam się, a galopujące serce tłucze się ze strachu w mojej piersi, trzepoce i prawie zamiera. Nerwowo splatam i rozplatom dłonie. Głos mam schrypnięty z emocji, drżący, ale recytuję wyuczony „na blachę” materiał.

Profesor milczy, ale pogodnie marszczy czoło i stawia mi czworę. Jedy-ną z chemii w mojej licealnej, szkolnej karierze! Siadam w ławce z błyskiem satysfakcji i dumy, niewymownie szczęśliwa. Wiem, że na pewno drugiej takiej okazji już nie będzie.

Jednak moją najbardziej zapamiętaną historią związaną z chemią były wagary, na które uciekliśmy całą klasą pewnego pięknego, jesiennego dnia. Nie pamiętam, kto był „spiritus movens” tego ryzykownego przedsięwzięcia, ale doskonale pamiętam, że tchórzliwie opierałam się, gotowa ze strachu zbojkotować tę przyjemność, gdy ktoś nacisnął mi beret na głowę, ktoś inny zabrał teczkę i pociągnął do drzwi...

Teraz wiem, że nie powinniśmy przekraczać granicy między odwagą a głupotą,

Profesor Rybka był oburzony i urządził nam prawdziwe śledztwo, by wykryć prowodyrów. Czekaliśmy zestresowani przed „kantorkiem” chemicznym, gdzie odbywał się ten osobliwy, ponury „spektakl”. Przysiękliśmy sobie, że nikt nic nie powie i nikogo nie wyda. Więc milczałam.

Nie wiem, czy ktoś jednak „sypnął”, czy profesor – nie poznawszy winowajców – uznał, że najpewniej ucieczkę wymyślili ci, którzy mieli najgorsze oceny, więc za nasze sztubackie zachowanie wyrok był surowy: kilku najsłabszym uczniom zostało obniżone zachowanie. Ja, niestety, znalazłam się

wśród tych ofiar. Byłam zdruzgotana. To było dla mnie jak grom z jasnego nieba. Zawsze miałam najwyższy stopień z zachowania, a tu musiałam cierpieć „za niewinność”. Przesiąknięta goryczą i żalem, „złożona ze szlochów i spazmów”, wypłakiwałam na kolejnych lekcjach całe moje nieszczęście i bezradność. Wprost tonęłam we łzach, w poczuciu straszliwej niesprawiedliwości losu. Gdybym pochodziła z rodu Etrusków, którzy uważali, że nie wolno marnować łez, bo są krwią duszy i dlatego zawieszali sobie na szyi buteleczki na łzy, musiałabym przygotować naprawdę wielką butlę.

Konsekwencje tej naszej ucieczki z chemii wydają się jednak błahie w porównaniu z tymi, wspomnianymi przez Juliana Róztoczyńskiego:

„Zwialiśmy pewnej soboty z dwóch ostatnich lekcji, w tym z godziny języka greckiego profesora Dorożyńskiego [równocześnie pełniącego funkcję wicedyrektora]. Zapadła w trybie doraźnym nieoczekiwana, sroga kondemnata: rozwiązanie klasy [...]. W poniedziałek, gdyśmy pojawili się w normalnym nastroju, by wziąć udział w lekcjach, na drzwiach zamkniętej klasy odczytaliśmy fatalne zarządzenie. Drzwi szkoły zatrzasnęły się za nami”.

I choć po dokonaniu nowych zapisów uczniów przywrócono klasę, to „trzech kolegów wydano z surową klauzulą „wilczego biletu”. Ciekawe, kto ich wydał?

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Nigdy później, gdy profesor Rybka został moim kolegą z pracy, nie wracaliśmy do moich doświadczeń z lekcji chemii, nie wspominaliśmy też tej ucieczki. Pielęgnowanie goryczy nie mogło przecież przynieść niczego dobrego. A profesor – choć miał trochę zdziwioną minę, gdy dyrektor Galas przedstawił mnie w pokoju nauczycielskim jako nową polonistkę – okazał się delikatny, miły, życzliwie się do mnie uśmiechał, strzygąc – jak dawniej – zabawnym wąsikiem. Co pamiętał? Nie wiem.

Profesor Piotr Rybka interesował się warunkami życia swoich wychowanków.

Stefan Ch. – absolwent z 1961 roku opowiadał, że do liceum dojeżdżał ze swej rodzinnej Stasiówki rowerem. Gdy pewnego słotnego, jesiennego dnia wszedł spóźniony na lekcję chemii – przemarznięty, ubłocony, wyglądający jak „siedem nieszczęść”, profesor Rybka zainteresował się jego sytuacją domową, wezwał rodziców i „załatwił” mu miejsce w internacie ze zniżką za opłaty.

Ja widziałam, z jaką troską wypytywał jednego z chłopaków, pochodzącego z maleńkiej, oddalonej od Dębicy wioseczki, jak traktują go koledzy na stacji, jaką zrobił im awanturę, gdy pewnego dnia ów kolega przyszedł

na lekcję z kompromitującym napisem na czole, namazanym jakąś – nie chcącą się zmyć farbą i jak się martwił, gdy inny z chłopców zgubił gdzieś klasowe pieniądze, pochodzące z naszych składek.

Nie pamiętam, na jakie tematy [oprócz tych związanych z naszymi nieobecnościami i z chemią!] rozmawialiśmy na lekcjach wychowawczych. Edward Wodzień – którego profesor Rybka też był wychowawcą – pisał: „Podejmowaliśmy na godzinach wychowawczych tematy związane z kulturą zachodnią, w tym z najnowszymi prądami w muzyce rozrywkowej, którą i on się interesował”.

Profesor zmarł – będąc już na emeryturze – 23 listopada 1998 roku i został pochowany w rodzinnej Futomie.

Od 1975 roku chemii uczyła profesorka Anna Dominiak [Kubica], absolwentka liceum z roku 1968. Była niewysoką blondynką z burzą kręconych, złotoblond włosów [które przez pewien czas podpiniała trochę na wzór Marii Skłodowskiej-Curie], o twarzy promiennej, delikatnej jak jedwab, jasnych oczach, w których mieszało skupienie, powaga godność i szlachetna duma, o miłym głosie, energicznych ruchach i świetnych manierach.

Uczniowie nazywali ją niekiedy „Dominiaczką”. Pamiętam, też, że jeden z chłopców użył określenia z „Chłopów” Reymonta – „Dominikowa”. Poprawiłam go, ale nie mogłam się gniewać; wszak dał dowód, że przeczytał obszerną lekturę, co nie wszystkim się zdarzało.

Profesorka Ania była zawsze świetnie zorganizowana, pewna siebie, energiczna, niesamowicie pracowita, dzięki czemu cieszyła się wielkim szacunkiem i uznaniem. Reprezentowała typ szlachetnej wojowniczkki, którą cechował profesjonalizm, perfekcjonizm, wyjątkowa gorliwość i solidność.

Niezwykle kompetentna, poważna i zasadnicza, żarliwa i czujna, umiała przekazywać w sposób jasny i logiczny trudną wiedzę chemiczną, zawsze popartą doświadczeniami, utrwalaną powtórkami i sprawdzianami. Była mistrzynią perfekcji i organizacji. Umiała też przykuć uwagę uczniów, utrzymać na lekcjach wzorową dyscyplinę, a równocześnie budzić ich entuzjazm i pasję do przedmiotu. Konsekwentna i stanowcza, nawet uparta i nieprzejednana w kwestiach zasadniczych, potrafiła każdego ucznia „wycisnąć do bólu”.

Wychowała wielu olimpijczyków, hołubiła ich ambicje, prowadziła cenniejsze koło chemiczne, przyczyniła się do remontu i unowocześnienia swojej pracowni, organizowała też matury połączone z egzaminami na wyższe uczelnie. Za osiągnięcia w pracy była wielokrotnie nagradzana. Stąd fraszka:

„Jest w naszej szkole profesorka Anna D.
Co nową Marią Curią zostać chce.
Ten sam wzrok, ten sam kok [od niedawna],
Dwa laboratoria.
Wkrótce nam znowu ten rad odkryje.
A potem – Gloria!”

Bano się jej nawet trochę, ale szanowano, bo choć wymagająca, to – jak powiedział jeden z uczniów – „była na wskroś stanowcza i na wskroś sprawiedliwa” i zawsze można było jej ufać. Umiała dostrzec dobrą wolę ucznia, jego pracowitość, umiała wesprzeć i pochwalić; dla każdego miała czas, oceniała bardzo sprawiedliwie, nie faworyzowała nikogo.

Zadziwiała jej skrupulatność i drobiazgowość w ewidencji obecności uczniów na lekcji podczas czterech lat pobytu w szkole i ich postępów w nauce: ocen zdobywanych podczas odpowiedzi na lekcjach chemii, na sprawdzianach i w ich poprawianiu. Kajeciki zawierające te dane prowadziła systematycznie przez cały okres pracy w liceum.

Odpowiedzialna, troskliwa, była wspaniałą wychowawczynią, szybko nawiązującą świetny kontakt z młodzieżą. Z pozoru dostojna i chłodna, była niezwykle uczuciowa i serdeczna, delikatna i wrażliwa. Miała w sobie dużo młodzieńczości, nigdy nie czuła się zmęczona, chętnie organizowała swym wychowankom różne spotkania, imprezy, wycieczki, w czasie których zadziwiała ciekawością świata, kipiała energią, imponowała wytrwałością i pomysłowością.

Tak było w czasie naszego wspólnego pobytu w Rozdzielu, gdzie prowadziła „Zieloną szkołę”, tak podczas naszych podróży po Europie, kiedy podziwialiśmy gotowość profesorki Ani do ciągłego pełnienia dyżurów, co zaowocowało taką zwrotką wycieczkowej piosenki:

„Pani Ania zawsze chętna do pomocy,
Czuwa nad młodzieżą i we dnie i w nocy”.

Była też świetną koleżanką; towarzyską, pogodną, taktowną, empatyczną, godną zaufania, taką, na której można było polegać „jak na Zawiszy”. Dla każdego miała przyjazny uśmiech, troskliwe spojrzenie i dobre słowo. I tak jest do dziś.

Jej pasją było fotografowanie. W czasie naszych spotkań i wycieczek robiła wiele zdjęć, profesjonalnymi, coraz nowocześniejszymi aparatami,

ciągle nas zadziwiając i zaskakując, gdyż te fotografie wyróżniały się urodą i oryginalnością. Stąd taki limeryk [w 2 wersjach]:

1. „Pewna miła z Dębicy Haneczka
Fotografią się para od dziecka.
Więc gdy nas fotografuje,
To każdą zmarszczkę prostuje
I inne urody ubytki”.

2. „Fotografka Ania ma ten zwyczaj brzydki,
Że na zdjęciach podkreśla urody ubytki
I tak sprytnie aparatem rusza,
Że płaściutkie brzuszki nam wybrzusza.
Nie zgadzamy się na takie praktyki!”

Fotografie profesorki Ani stały się ciekawą kroniką szkolnych wydarzeń i naszych przeżyć.

W 1976 roku na kilka godzin tygodniowo przychodziła do naszej szkoły krucha, filigranowa profesorka chemii Anna Borek.

Od 1981 roku chemii uczyła w liceum profesorka Krystyna Barszcz, mająca ksywkę „Krysia” i „Zupa” [ta druga – została ukuta jako dowcipna odmiana nazwiska; ale nie miała absolutnie pejoratywnego znaczenia!].

Profesorka Krysia była dość wysoką, postawną szatynką o życzliwej twarzy, lekko falujących włosach sięgających karku i żywych oczach, zdradzających miłe usposobienie, ale też zadziorność i siłę charakteru.

Pełna energii, pracowita, rzetelna, konsekwentna, reagowała emocjonalnie na zachowania uczniów, choć nie było w niej ani krzty szaleństwa. Cieszyła się z ich osiągnięć, ale też czasami – gdy jej tłumaczenia były „jak grochem o ścianę” – mówiła śmiesznie, że ją „nerwa chwytą” i – przemierzając pracownię zdecydowanym krokiem, udając groźną i śląc wokół chmurne spojrzenia, nadające jej twarzy wyraz stanowczości – nazywała największych leniuchów „ciucmami”. Wszyscy jednak wiedzieli, że jest życzliwa i dobra, wyrozumiała i łagodna. I cenili jej lekcje chemii. Stąd fraszka [nawiązująca do znanej piosenki „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...”]:

„Jeszcze jeden wzór na dzisiaj,
Chociaż dzwonek dzwoni.
Pyta, pyta panna Krysia,

Aż liczko się płoni!
Cyt, serduszko,
Bo choć czasem Krysię „nerwa chwyta”,
wszyscy wiedzą, że chemiczka
Jest z niej znakomita”.

Dzięki owej pracowitości, uporowi, sile charakteru profesorka Krysia wychowała licznych olimpijczyków, była wielokrotnie nagradzana oraz zaszczyliła sobie życzliwość wielu uczniowskich serc.

Nas również ujmował jej naturalny sposób bycia, uśmiech rozjaśniający jej twarz, prostoduszność, bezpośredniość i bezpretensjonalność, więc – choć nie była zbyt wylewna – to cieszyła się naszą wielką sympatią i życzliwością. Miałyśmy chyba podobny gust, bo zdarzyło się kilkakrotnie, że pojawiałyśmy się w szkole w takich samych bluzeczkach, żakietach czy swetrach.

Od 1991 roku rozpoczęła pracę w liceum chemiczka Lidia Myszka. Profesorka Lidka była blondynką o złotych włosach, kobiecych kształtach, miękkich ruchach, miłym głósie, żywych, uprzejmych oczach i łagodnej naturze.

Naturalnie elegancka, spokojna, powolna, powściągliwa, układna i dostojna, niekiedy trochę melancholijna, szybko zyskała sympatię, ujmując każdego swym uroczym, rozbajającym uśmiechem i delikatnością w sposobie bycia. Pracowita, życzliwa dla uczniów, osiągała sukcesy zawodowe i uznanie wychowanków.

Przedmiotem nauczaniem w gimnazjum od samego początku były rysunki, nazwane później wychowaniem plastycznym.

Antoni Darlak pisał, że „jednym z pierwszych pedagogów tutejszego gimnazjum uczącym tego przedmiotu był dziadek Krzysztofa Pendereckiego – Robert Berger”.

W roku 1912 przyszedł do naszej szkoły młody nauczyciel rysunków i malarstwa – Tytus Czyżewski – późniejszy słynny futurysta, o którym do dziś uczą się licealiści w całej Polsce.

Tytus Czyżewski urodził się w 1880 roku Berdychowie na Podhalu. Po ukończeniu gimnazjum w Nowym Sączu studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Tu związał się z grupą poetycką formistów, która wywarła duży wpływ na jego późniejszą twórczość, tak jak i kilkakrotny pobyt w Paryżu – słynnym ośrodku działalności awangardy artystycznej.

Dzięki tym pobytom – jak twierdziła Irena Maciejewska – „posiadał europejską perspektywę wobec własnych wyborów artystycznych”.

Czyżewski po studiach podjął pracę nauczycielską; uczył rysunków i malarstwa, m.in. w Krakowie, w Łąncucie, czy właśnie w gimnazjum w Dębicy. Został w pamięci uczniów jako „postać tajemnicza i po trosze nawiedzona, dziwaczna i przykuwająca”.

Stanisław Młodożeniec – kolega po piórze i również poeta awangardowy – tak go przedstawił w jednym ze swych wierszy:

„Tumanią mnie, tumanią
Rude oczy nad otchłanią
Przykucnięta postać kusa
Z buzią
Papuzią mistrza Tytusa”.

Czyżewski od młodości pozował na człowieka oryginalnego i niekonwencjonalnego artystę. Prowokował zachowaniem i ubiorem. Sam jest np. autorem dowcipnego rysunku zatytułowanego „Autoportret”, na którym przedstawił siebie jako zadumanego mężczyznę w dżokejce na głowie, w jakimś dziwnym wdżianku w kratę, z wielką fajką w zębach, stojącego na tle kwitnących kwiatków, na których przysiadły motylki.

Oprócz tworzenia oryginalnych rysunków i pisania awangardowych wierszy Czyżewski był redaktorem miesięcznika „Formiści”, współpracował też z kilkoma innymi przedwojennymi czasopismami. Okupację przeżył w Warszawie. Po wyzwoleniu przeniósł się do Krakowa, gdzie jednak, 6. maja 1945 roku, zmarł.

Znany krytyk literacki Kazimierz Wyka zapamiętał Tytusa Czyżewskiego z okresu, gdy sam był uczniem gimnazjum w Krakowie:

„Pewnego razu na lekcji rysunków nastał nowy „ogon” [...]. Był strasznie śmieszny. Mimo widocznego kalektwa, garbu, bardzo śmieszny. Spodnie nosił lniane do połowy łydek, kolorową marynarkę, bardzo bujny krawat. Najśmieszniejszy był przez to, ponieważ ustawiczna prowokacja ze strony rozwydrzonej bandy szczeniaków zdawała się dla nim nie robić żadnego wrażenia. Chodził między ławkami, coś tam poprawiał, uśmiechał się milcząc, dawał nieśmiałego szcutki w tył głowy [...]. Nazwisko naszego „ogona”, po jego nastaniu usłyszane, nic nie oznaczało”.

Dopiero później okazało się, że Tytus Czyżewski to utalentowany, awangardowy malarz, poeta, prowokator, indywidualista, który – zafascy-

nowany nowoczesnością – głosił postulat burzenia dotychczasowych reguł sztuki, a oparcia jej na instynkcie. Preferował alogiczność, spontaniczność, oryginalność, autonomię słowa [słynne hasło futurystów: „Słowa na wolności!"], tworzenie tekstów opartych na antynomiach, na poetyce absurdu, na odrzuceniu tradycyjnych „ozdób”.

Do swych wierszy często dołączał geometryczne, rysunkowe komentarze, które nazywał „dynamopsycho”. O sobie pisał:

„Ja
jako twórca
elektro światów mego mózgu
ja medium samego siebie
pierwszy elektromagnetyczny
poeta i malarz
tytus czyżewski
zahipnotyzowałem swoje myśli
przebrnąłem przeszedłem
sentencję sentymentalizmu”.

Swoje utwory Czyżewski drukował najczęściej w prasie literackiej. Najciekawsze to: „Noc-dzień, mechaniczny instynkt elektryczny”, „Elektryczne wizje”, „Zielone oko”. „Wodospad magnetycznych łez”, „Lajkonik w chmurach”, „Pastorałki”.

Pisał też małe dramaty: „Osioł i słońce w metamorfozie”, „Włamywacz z lepszego towarzystwa”, Orfeusz i Euridika”. Oryginalność tego pisarza i jego twórczości podkreślali krytycy literaccy:

„W poetyce Tytusa Czyżewskiego dokonują się przedziwne połączenia: optymizmu z katastrofizmem, pasterskiej sielanki z apokaliptyczną wizją przyszłości, zakończonej totalną, a nieokreśloną katastrofą” [Helena Zaworska].

„Dla autora „Elektrycznych wizji” wiek XX był zarazem fascynujący i upiorny, zmechanizowany i żywiołowy, racjonalny i irracjonalny. A sztuka była dla niego prawdziwą potrzebą psychiczną, choć znał doskonale jej mizerny i niebezpieczeństwa, jej uroki i jej bezradność” [Irena Maciejewska].

Tytus Czyżewski podzielił los klasycznych outsiderów naszego pisarstwa i dziś jest prawie zapomniany. Jednak pozostał w podręcznikach historii literatury okresu XX-lecia międzywojennego i na lekcjach języka polskiego jest przedstawiany jako czołowy reprezentant formizmu: kierunku

artystycznego uznającego prymat formy nad treścią i preferowania eksperymentów formalnych.

W twórczości Tytusa Czyżewskiego znajdujemy m.in. wiersz „Miasto w jesienny wieczór. Niesielanka”, ukazujący atmosferę małego, prowincjonalnego miasteczka. Może Dębicy?

„wdziej ciepłe astrachany
termometr wciąż opada
od knajpy śpiew pijany
dysonans serenada [...]
nad miastem płyną dymy
kogut na zmianę pieje
z cmentarza kapią rymy
mknie autem nierządnicą”.

Od 1919 roku rysunków uczył w naszym gimnazjum profesor Michał Skiba.

Jan Szymaszek [absolwent 1932 roku] zapamiętał: „Profesor wytrwale wpajał nam zasady perspektywy, a modelami stosowanymi w czasie rysunków były zbiory przyrodnicze, wnętrze kościoła, względnie domy”.

Wojciech Wójcik wspominał profesora Juliusza Komperdę, który też uczył tego przedmiotu w latach międzywojennych, zaczynając od roku 1920:

„Rysunków uczył nas przez kilka lat profesor Komperda. Był niski, miał zawsze starannie przyczesane włosy. Był specjalistą od malowania wnętrz kościołów. Wyglądał na artystę. Chodził między ławkami, poprawiając rysunki. Przymrużając jedno oko, ołówkiem trzymanym jak przymiarękę uczył nas stosowania perspektywy na rysunku. Uczył nas też operowania cieniami, a nie wyraźnymi liniami. Ja najchętniej rysowałem profile siedzących w pierwszych ławkach koleżanek”.

Od 1964 roku „plastyki” uczył w naszej szkole profesor Mieczysław Kogut. Był bardzo przystojnym, młodym mężczyzną o ciemnej karnacji, gęstej, kręconej czuprynie, żywych oczach i męskiej posturze. Niezwykle utalentowany, wykonywał portrety i inne prace malarskie, którymi obdarowywał bliskich, a które jeszcze do dziś zdobią ściany mieszkań znajomych profesora. Brał też udział w różnych konkursach malarskich. Jego obrazy olejne: „Lato”, „Wetlina”, „Moja uliczka”, „Oczekiwanie” były prezentowane na wystawach w Dębicy i w Rzeszowie, a „Portret ucznia” i „Stara Dębica” – w Mielcu. Pro-

fesor Kogut z wielkim zaangażowaniem prowadził też kółko elektro-fotograficzne, ciesząc się dużym zainteresowaniem młodzieży.

Mój profesor rysunków – Stefan Dziepak, który rozpoczął pracę w naszej szkole w 1951 roku, był przede wszystkim specjalistą od przysposobienia obronnego.

Miał ciemne włosy, gładko zaczesane do tyłu, głęboko osadzone oczy o ciężkich powiekach, ukryte za przyciemnionymi okularami, co nadawało jego twarzy powagi, a nawet pośępnosci, dość mocny głos, zdecydowane ruchy i sylwetkę żołnierza, dlatego obdarzono go ksywą „Jenerał”. Trzymał się prosto, chodził marszowym krokiem, nigdy nie śmiał się szeroko, ale też nie miewał złych humorów.

Jak już wspomniałam, uwielbiał tematykę batalistyczną, więc rysowaliśmy ciągle jakieś militaria. Lekcja upływała miło. Profesor coś sobie czytał, my bazgraliśmy jakieś szkice i zabieraliśmy się do wkuwania na kolejne zajęcia.

Pamiętam. Trwa lekcja plastyki. Czerwcowy upał wciska się nawet do zimnej zazwyczaj klasy. Znużone twarze, ręce oparte na łokciach, przez otwarte okna wdzierają się odgłosy miejskiego gwaru. Bazgrzemy coś bezmyślnie, marząc o smakowitych lodach u Kiciowej, na które wybieramy się po lekcji. Zerkamy też dyskretnie na zegarki. Jeszcze 20 minut. Czas wlecze się niemiłosiernie. Profesor przechadza się między ławkami spoglądając na nasze „dzieła”. Nie widzimy jego oczu skrytych za ciemnymi okularami, ale jego delikatny uśmiech znamionuje dobry humor i tolerancyjny stosunek do nas.

– No, pakujcie się. Wasze prace ocenię na następnej lekcji. Hurra! Wybiegamy jak na skrzydłach, ciesząc się z miłej niespodzianki.

Prawie zawsze na lekcjach plastyki brakowało czasu na wykończenie naszych „artystycznych dzieł”, dlatego zabieraliśmy rysunki do domu. A tam szukaliśmy kalki lub pergaminu i odrysowywaliśmy bezczelnie z jakiejś książki kontury pożądanego „obiektu militarnego”.

Ale pamiętam też, że pewnego razu wyszliśmy z blokami rysunkowymi przed szkołę i – stojąc po drugiej stronie ulicy – uczyliśmy się określać gabaryty budynku gimnazjum w odpowiedniej perspektywie. Profesor Dziepak – jak niegdyś profesor Juliusz Komperda – pokazywał nam, jak mierzyć tę perspektywę wyciągniętą przed siebie ręką, zaopatrzoną w ołówek, na którym – przymrużając oko – zaznaczaliśmy kciukiem odpowiednią długość i szerokość ścian i dachu. Profesor nazywał to „wizowaniem”, a my świetną zabawą i okazją do rozrabiania, do śmiechów i flirtów. Potem rysowaliśmy tę naszą szkołę, jak nam nakazała – nie owa perspektywa, a raczej: „pożał się Boże” – wewnętrzna intuicja i fantazja. Szkoda, że te

szkice nie zachowały się do dziś, bo wśród autorów – być może – byli oryginalni twórcy w stylu nowego Antoniego Gaudiego czy Salvadora Dali.

Profesor Dziepak był przede wszystkim – z powołania i umiłowania – nauczycielem przysposobienia obronnego. Opiekował się składzikiem broni, który zabezpieczony był kilkoma zamkami, z obawy przed włamaniem. Z tegoż składziku przynosił na lekcje karabiny i inne „ustrojstwo militarne” i z lubością nam je prezentował. Uczyliśmy się różnych specjalistycznych terminów, jak muszka, szczerbinka, zawlecza, wycior, szrapnel, transzeja itp. Chłopcy z wypiekami na twarzy rozbierali na części, a potem składali różne elementy prezentowanej broni, ale my – dziewczyny, nudziłyśmy się strasznie. Ciekawiej było, gdy szliśmy do koszar na strzelanie, choć i tu oczywiście chłopcy wiedli prym.

Pamiętam, że pewnego razu profesor w ostatniej chwili został wezwany do jakichś pilnych spraw, więc zdecydował, że pójdziemy do koszar sami. Wszystko bowiem było już przygotowane i trudno było to strzelanie odwołać. Przed wyjściem wyznaczył kilku prymusów, którzy mieli zapisywać wyniki strzelania, decydujące o końcowych ocenach z przysposobienia obronnego. Byliśmy dość zgraną paczką, lubiliśmy się, przyjaźniliśmy, było w klasie kilka zakochanych par, więc chłopcy powpisywali nam wspinałe wyniki, choć wiele z dziewczyn w ogóle nie trafiało do tarczy.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”

Wróciliśmy w świetnych humorach. Profesor zerknął na przedłożoną listę, chwilę podumał, a potem – jako doświadczony praktyk, trzeźwo myślący realista i człowiek mądry – podarł kartkę, gdyż łatwo odkrył nasze sztubackie, grubymi nićmi szyte oszustwo, a po paru dniach sam zabrał nas na strzelnicę. Oj, sypały się pały, sypały...

Zawsze wydawał mi się zdystansowany, zasadniczy i surowy. Ale to właśnie on pocieszał mnie słowami pełnymi troski, gdy rozpaczałam po obniżeniu zachowania za klasowe wagary z chemii. Byłam też mile zaskoczona informacją, że pięknie śpiewał i grał na gitarze.

Profesorka Małgosia Kurcz wspominała, że – jako licealistka – była uczestniczką obozu wojskowego, który prowadził, a nawet – jego „adiutantką” od noszenia gitary.

Profesor Stefan Dziepak pełnił w naszej szkole funkcję zastępcy dyrektora, a w 1978 roku został dyrektorem dębickiego „mechanika”, skąd w 1990 roku przeszedł na emeryturę.

Zmarł w 1992 roku i został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Dębicy.

Przysposobienia wojskowego uczył też w naszej szkole [od 1979 roku] profesor Antoni Pluta – prawdziwy dowódca wojskowy, przychodzący na lekcje z dębickich koszar w wojskowym mundurze, żołnierz w każdym calu; prosty jak lanca, zdecydowany i zazwyczaj milczący, choć czasem uśmiechający się ślicznie i włączający się do naszych rozmów, a od 1984 – profesor Piotr Podhalański [absolwent z 1975 roku] – wysoki, postawny, dumny, o którym powstała fraszka:

„Jam nie pański, ni hetmański,
Ale Podhalański”.

W latach dziewięćdziesiątych na kilka godzin przysposobienia obronnego przychodziła też profesorka Anna Szczepanik [Nauka], absolwentka liceum z 1980 roku. Była niewysoką blondynką o bardzo kobiecych kształtach, roześmianej twarzy zdobnej w makijaż, z burzą blond włosów. Miała niezwykle radosne usposobienie i bardzo wysoki, cienki głos, co zupełnie kontrastowało z naszymi wyobrażeniami o wojskowości. Była moją wychowanką jeszcze ze szkoły podstawowej – zawsze miłą, uśmiechniętą i serdeczną, żywiołową wojowniczką o duszy marzyciela.

Od 1995 roku przysposobienia obronnego uczył również profesor Stanisław Borek – późniejszy wykładowca podstaw przedsiębiorczości i geografii. Był bardzo skromnym, spokojnym, niskim szatynem o sympatycznych, szarych oczach i pogodnym usposobieniu.

W historii naszej szkoły zapisali się też pozytywnie nauczyciele zajęć praktycznych.

Na początku działalności naszego gimnazjum nie było specjalnych lekcji poświęconych pracy fizycznej, ale istniały pewne formy zajęć praktycznych zwane warsztatami. W pracy Jana Swóła "Sokolim szlakiem" można przeczytać, że np. w czerwcu 1908 roku zorganizowano wycieczkę pieszą uczniów do brzeźnickiego Borku, gdzie „zorganizowano festyn na rzecz uczniów warsztatów studenckich prowadzonych w gimnazjum. Nauką w tokarni w ramach tych warsztatów kierował profesor Stanisław Wiśniewski”. Ów profesor – jak dalej pisał Swół – „miał doświadczenie budowlane i zamiłowania ogrodnicze, a także posiadał umiejętności tokarskie w zakresie obróbki drewna i umiejętności takich uczył młodzież gimnazjalną”.

W ramach tych warsztatów uczniowie klas starszych pracowali też przy powstawaniu ogrodu przy nowo powstałym budynku „Sokoła”. „Przekopano tam chodniki, urządzono klomby, sadzono drzewka parkowe i usypano „kopiec grunwaldzki”. Dziennie pracowało około 10 uczniów w godzinach popołudniowych”.

Ów „kopiec grunwaldzki” uświetnił uroczystość 500. rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem. Zniszczony w czasie wojny, został odtworzony w 1950 roku.

Od 1918 roku zajęcia praktyczne prowadził profesor Michał Kalitowski – zapalony majsterkowicz. Wojciech Wójcik wspominał, że profesor Kalitowski był filozofem klasycznym, ale „prowadził też warsztaty szkolne, zwane wtedy szumnie ze szwedzka „slojdem”.

Od 1919 roku ów slojd prowadził profesor Michał Skiba, a od 1924 – profesor Władysław Zieliński-senior, mający ksywkę „Strug” i „Śpiący rycerz”.

Stanisław Ożóg tak go zapamiętał: „Władysław Zieliński – śpiący rycerz. Uczył nowego wówczas przedmiotu tzw. slojdu, czyli robót ręcznych i rysunków. Bardzo elegancki człowiek, dżentelmen”.

A Wojciech Wójcik pisał: „Strug” oferował nam praktyczne zajęcia z heblem”.

To z jego inicjatywy – za poparciem dyrektora Kotfisa – powstało w 1930 roku Szkolne Koło Ligi Ochrony Powietrznej i Przeciwigazowej, które wyłoniło sekcję szybowcową. Dwóch uczestników, pod opieką profesora Zielińskiego odbyło siedmiodniowe szkolenie w zakresie budowy szybowców w aeroklubie we Lwowie, a studenci Politechniki Lwowskiej podarowali im projekt dwupłatowca, według którego, w warsztatach szkolnych naszego gimnazjum zbudowano w ciągu niespełna dwóch lat prototyp płatowca, który był gotowy do lotu w sierpniu 1932 roku.

Edward Wodzień nazwał tę działalność „spektakularnym przedsięwzięciem”.

To dzięki zapałowi i pomysłowości profesora Zielińskiego można było dokonać tego wyczynu.

Moją nauczycielką zajęć praktycznych była profesorka Maria Nowak, pracująca w liceum od 1948 roku. Była wysoką, szczupłą szatynką o łagodnych, trochę zamyślonych oczach, ujmującym uśmiechu i charakterystycznym, dość niskim głosem; bardzo miłą, dobroduszną, taką zwyczajną, praktyczną, przystępną, wiarygodną, budzącą zaufanie.

Profesorka chciała w nas wpoić umiejętności, które każdej z nas wielokrotnie w życiu się przydadzą, np. szycia na maszynie. Pamiętam, że w pracowni były chyba dwie maszyny, które służyły do tej nauki, ale najczęściej były popsute, a nawet gdy działały, to możliwość korzystania z nich miało tylko parę osób, a lwia część klasy była wówczas bezczynna. Wykonywałyśmy więc jakieś serwetki, chusteczki do nosa [o papierowych jeszcze nawet nie ćwierkały wróbelki] czy fartuszki, ręcznie obszywając ich brzegi. Ponieważ umiałam szyć dzięki domowej, bardzo sprawnej „singerówce”, dlatego na każdej lekcji byłam skazana na „dziubdzianie” ręcznych ściągów, co zresztą też lubiłam.

Ale najciekawszym dziełem, wykonanym przez nas na zajęciach praktycznych prowadzonych przez profesorkę Marię, był sznur do żelazka. Dziś takie sznury są integralną częścią wszystkich urządzeń elektrycznych, ale wówczas był to przedmiot osobny i takież wykonywałyśmy – wcześniej zakupiwszy w sklepie elektrycznym, mieszczącym się w kamienicy przy północnej pierzei rynku – składowe jego elementy: kabel i dwa gniazdko – do żelazka i do kontaktu.

Należało najpierw przy pomocy noża odsłonić po obu stronach kabla znajdujące się wewnątrz druciki, które potem przykręcało się do rozmontowanych wcześniej gniazdek, a potem skrócić je na nowo tak, by prąd swobodnie płynął, dostarczając żelazkom potrzebnej energii. Było to dla nas, dziewczyn, bardzo nietypowe zajęcie. Ów sznur jednak – jak przekonywała profesorka – miał być w naszych domach niezwykle przydatnym przedmiotem.

Niestety, stał się tylko niepotrzebnym balastem [choć miłą pamiątką], a zdobyta umiejętność, która miała być czymś praktycznym na zawsze, okazała się potrzebna tylko ten jeden raz w życiu. Wkrótce bowiem unowocześniono elektryczne urządzenia i kupowaliśmy je już razem ze sznurem.

Chociaż profesorka miała do nas anielską cierpliwość, to niekiedy gderliwie narzekała na naszą opieszałość, niestaranność, lenistwo, zapominanie o materiałach, które miałyśmy przynieść na lekcję. Ale tak naprawdę, lubiła nas, wiele wybaczała, rozumiała i wspierała. Mogłam się o tym przekonać przede wszystkim podczas wspomnianego już obozu wędrownego, gdzie nam z wielką serdecznością „matkowała”. Ceniliśmy jej rozsądek i doświadczenie, przekonywaliśmy się, że można było jej ufać, pożalić się, porozmawiać o wszystkim. Umiała słuchać, wesprzeć i pomóc.

Zajęć praktycznych uczyli również w naszej szkole po kilka lat: od 1964 roku profesor Jan Marć, który jednak wyjechał do Stanów Zjedno-

czonych, w latach siedemdziesiątych profesor Stanisław Kocoń, który po szokującym wypadku motocyklowym przeszedł na rentę, profesor Kazimierz Ćwik [od 1982 roku] – energiczny, niezbyt wysoki brunet o ciemnej karnacji skóry, drobnych rysach, żywym spojrzeniu i zabawnym uśmiechu, który odszedł ze szkoły, by pełnić funkcję dyrektora Państwowego Domu Dziecka w Dębicy [w 1993 roku zdobył tytuł „Dębiczana Roku”], a także profesor Ludwik Golus. W zachowanym zeszycie jednego z uczniów znalazła się instrukcja obsługi młotka, według tego profesora, w której czytamy: „Uderzaj śmiało, pod kątem prostym, nie obawiając się skałczenia”.

Profesor Stanisław Kocoń był dość wysokim, postawnym szatynem o miłej twarzy, zręcznych rękach, szczerym spojrzeniu i delikatnym uśmiechu, wspaniałym kolegą: pogodnym, prostolinijnym, bezpośrednim, zrównoważonym i opanowanym, a – przede wszystkim – utalentowanym artystą, malującym obrazy i wykonującym rzeźby. Po strasznym wypadku motocyklowym musiał zrezygnować z pracy w szkole. Gdy odwiedziliśmy go w jego gościnnym domu na Kępie, bardzo się ucieszył. Podziwialiśmy tam jego prace, którym poświęcał swój czas i serce. Do dziś w moim pokoju wisi drewniana figurka ukrzyżowanego Chrystusa, подарowana mi wtedy przez kolegę Stasia.

Gdy w latach dziewięćdziesiątych do szkół zaczęła wkraczać informatyka, profesorzy naszego liceum chętnie zdobywali kwalifikacje do nauczania tego nowego przedmiotu. W szkole powstała pracownia komputerowa, którą początkowo prowadzili nauczyciele – wykładowcy innych przedmiotów, odpowiednio przeszkoleni: profesor Ryszard Kulig i profesorka Barbara Olechniewicz. Różne uczelnie otwierały bowiem wówczas nowy kierunek: informatykę i przygotowały specjalistów do nauczania tego przedmiotu.

Od 1987 roku pracował w liceum – początkowo jako nauczyciel wychowania technicznego, a następnie informatyki – profesor Leszek Klabacha – niewysoki szatyn o gładko zaczesanych, krótkich włosach, uważnym spojrzeniu i nieśmiałym uśmiechu; spokojny, zazwyczaj milczący, powściągliwy, chociaż lubiący nasze nauczycielskie „posiady” i rozmowy. Zdarzało się, że bywał trochę impulsywny, ironiczny, ale tak naprawdę był serdeczny, chętny do pomocy i miły; częstował nas miodem – gęstym, złocistym, pachnącym kwiatami słonecznych, poddębickich łąk i dojrzałych zbóż.

Był też ambitny i nie bał się nowych wyzwań; w 2016 roku został dyrektorem naszego liceum. Wtedy powstał ten limeryk:

„Pewien szacowny z Gębiczyny Leszek,
Gdy z belferskiego się na dyrektorski stołek przeszedł,
Poważny jest i ważny jest, i jak się uprze,
Zrobi natychmiast to, co zrobić miał pojutrze.
Lecz wróg czyha tylko, by popełnił jakiś grzeszek”.

Wzmianka o czyhającym wrogu – mająca być żartem – wkrótce się, niestety, sprawdziła i dyrektor odszedł z liceum.

A ja mu wiele zawdzięczam. Zachęcił mnie do wydania moich „Pól zielonych...”, a potem okazał się prawdziwym wojownikiem; z pasją zajmował się wszystkimi sprawami dotyczącymi znalezienia sponsorów i wydrukowania książki, zorganizował jej promocję i dystrybucję. Zachęcił mnie też do napisania wspomnień o naszym liceum.

Wyróżniał się wśród dyrektorów wielkim szacunkiem dla nauczycieli-emerytów; zapraszał nas na różne spotkania i uroczystości szkolne, sadził w pierwszych rzędach krzeseł, serdecznie gościł, dla każdego miał życzliwe słowo.

Nie znaliśmy historii jego rodziny. Ale w książce Antoniego Stańki „Gdzie Karpat progi...” mogliśmy przeczytać, że Klabachowie zapisali piękną, choć tragiczną kartę w historii II wojny światowej. To w leśniczówce dziadka Wojciecha znajdowała się kwatera II zgrupowania partyzantów i ich magazyn broni, to tu – po ogłoszeniu akcji „Burza” gromadziły się oddziały dowodzone przez komendanta Obwodu AK Dębica majora Adama Lazarowicza [„Klamrę”], by 11 sierpnia 1944 roku wyruszyć na Kałżówkę – miejsce bitwy z Niemcami.

W rejonie Berdech-Południk walczyli dwaj wujkowie profesora Leszka: Edward Klabacha [ps. „Gil”] – strzelec plutonu AK „Gumniska”, który poległ w sierpniu 1944 roku w lasach Braciejowej i spoczywa w zbiorowej mogile na cmentarzu w Gumniskach” oraz Władysław Klabacha [ps. „Jastrząb”] – plutonowy plutonu AK „Gumniska”, który poległ we wrześniu 1944 roku w lasach Południka i spoczywa w nieznannej mogile.

Od 1988 pracę w naszej szkole rozpoczął profesor Jarosław Urbański uczący początkowo techniki, a później informatyki [nazwa tego przedmiotu ewaluowała; było wychowanie techniczne, praca i technika, elementy informatyki, a na koniec informatyka].

Profesor Urbański był wysokim, postawnym szatynem o chmurnym spojrzeniu jasnych oczu, pewnej nonszalancji w zachowaniu, ale też dużej życzliwości. Czasem bywał trochę „ponurzysty”, ale najczęściej – pogodny i chętny

do rozmów. Pamiętam, gdy nas mile zaskoczył, gdy na jakieś nauczycielskie spotkanie przywiózł – upieczone w domu – precudnej urody sękacze.

Przedsiębiorczy, zaradny, twardo stąpający po ziemi, ratował nas – często nie mających pomysłu na przygotowanie obiadu – dorodnymi pieczarkami, które przywoził co jakiś czas do szkoły; stąd żartobliwie mówiliśmy o nim: „Jarek od pieczarek”. Był też szkolnym dokumentalistą; uwieczniał różne szkolne wydarzenia, a potem – czasem nawet po latach – odtwarzał je, budząc naszą wesołość, a także wzruszenie. Jest również autorem internetowej listy zasłużonych absolwentów szkoły.

Od 1989 roku rozpoczął nauczanie informatyki w naszym liceum profesor Andrzej Pietrasik: blondyn „wysoki na twarzy i pociąglego wzrostu” [określenie ukute dla Jana Kobuszewskiego; tu też pasujące], szczupły, śmigały jak sosna, o jasnych tęczówkach oczu, śmiesznym, zawadiackim wąsik i krótkich włosach, zawsze starannie przystrzyżonych. Cechowało go łagodne, pogodne usposobienie, sympatyczna zadziorność, zuchowatość i lekko prześmiewczy, trochę luzacki stosunek do rzeczywistości. Empatyczny, dowcipny, szczery, wrażliwy i miły, był przez wszystkich lubiany. Dobrze się z nim rozmawiało.

Gdy jeszcze czasami spotykamy się przypadkowo na schodach kościoła Ducha Świętego, zawsze mamy dla siebie ciepły uśmiech, serdeczny uścisk i wiele wspólnych tematów.

Od początku istnienia naszej szkoły ważną rolę odgrywało wychowanie muzyczne młodzieży, rozwijanie jej pasji i talentów.

Jak pisał Julian Roztoczyński: „Muzy Euterpe i Polihymnia upodobały sobie młodzież dębickiego gimnazjum”. A stało się tak dlatego, że – jak już wspominałam – w ciągu 120 lat istnienia tej szkoły przewinęło się przez jej mury mnóstwo wspaniałych nauczycieli – pasjonatów i artystów. Oni organizowali szkolną orkiestrę i chór, oni wychowywali kolejne pokolenia utalentowanej młodzieży, wśród której znalazł się też genialny Krzysztof Penderecki, oni tworzyli klimat muzyczny naszego miasta.

„Życie muzyczno-wokalne Dębicy – pisał Julian Roztoczyński – koncentrowało się wokół dwu ośrodków: orkiestry i chóru. Gimnazjum nasze promieniowało w tych dziedzinach sztuki na zewnątrz, nie tylko na Dębicę, ale i na sąsiednie miasteczka, jak Ropczyce, Pilzno, Sędziszów, Radomyśl Wielki i inne”.

Założona już w pierwszych latach istnienia gimnazjum orkiestra, szybko stała się dumą szkoły.

Jednym z pierwszych pasjonatów muzyki, pod którego protekcją – jak pisał Wojciech Wójcik – „rozwinęła się w naszym mieście kultura muzyczna”, był ksiądz kanonik Błażej Kotfis – „fanatyczny meloman” i zapalony organizator różnych przedsięwzięć muzycznych.

W notce biograficznej o księdzu Kotfisie czytamy, że już w seminarium „wyróżniał się muzycznie grą na skrzypcach i w śpiewie gregoriańskim”. W naszym gimnazjum uczył śpiewu i muzyki, utworzył orkiestrę i chór szkolny, i dbał o środki finansowe dla ich działania. Sam również występował w orkiestrze symfonicznej i w krakowskich zespołach muzycznych.

Jak wspominał Julian Roztoczyński: „Orkiestra gimnazjalna była jego oczkiem w głowie. Pokierował tak Komitetem Rodzicielskim, że kupiono wszystkie potrzebne instrumenty [...]. Grywał na skrzypcach z lubością. Zakupione w Wiedniu, nazywał „gęślikami”. Na jednej z akademii poświęconej występom muzyczno-wokalnym, porwany nastrojem chwili, wystąpił z nieprzewidzianym w programie recitalem. Występ jego przyjęto nie-milkącymi oklaskami, a jego entuzjaści wtargnęli na scenę i unosili go w górę „pod niebiosy”.

Inny z uczniów, Tadeusz Ozga zapamiętał, że „w każdą niedzielę pod takt szkolnej orkiestry, czwórkami maszerowali uczniowie do kościoła i z kościoła, by pochód zakończyć defiladą na ulicy Słowackiego przed gronem nauczycielskim i obywatelami reprezentującymi władze powiatowe i miejskie. Po zakończeniu defilady orkiestra ustawiała się wkoło przed budynkiem gimnazjalnym i odgrywała kilka utworów, a dyrektor z okna swego biura wysłuchiwał melodii z uśmiechem na twarzy”.

W sprawozdaniu dyrekcji z roku 1907/1908 czytamy, że orkiestra towarzyszyła wycieczkom, dawała koncerty publiczne, uświetniała różne imprezy; słowem: „rozwijala się wcale dobrze. Grano w czasie pochodów, w kościele w czasie nabożeństwa, w czasie obchodów narodowych i uroczystości szkolnych, a grano coraz lepiej, od marszów, kolęd, krótkich pieśni ludowych, posuwając się do produkcji istic koncertowych”.

Przed świętami narodowymi i innymi ważnymi uroczystościami organizowano wieczorne „capstryki”, czyli barwne przemarsze z pochodniami z udziałem orkiestry gimnazjalnej. To dało początek pięknej licealnej tradycji.

„Od tamtego czasu – możemy przeczytać w okolicznościowym kalendarzu – zmieniali się muzycy i chórzysci, a także dyrygenci, ale orkiestra grała i gra do dziś”.

W Dębicy działała też orkiestra symfoniczna, ale raczej złożona z byłych wychowanków gimnazjum. Ksiądz Kotfis był jednym z najlepszych jej członków, grając „z zamiłowaniem i wielkim znawstwem”.

Ponieważ podczas I wojny światowej instrumenty uległy zniszczeniu i zdekompletowaniu, dyrektor Kotfis prowadził zbiórkę pieniężną na zakup nowych.

Julian Roztoczyński podkreślał, że pasja muzyczna, upór księdza dyrektora, piękna przedwojenna tradycja, część zachowanych instrumentów i bogaty repertuar nutowy grywanych wcześniej utworów „to był kamień węgielny pod odbudowę orkiestry. Wskrzeszenie orkiestry nastąpiło w początkach roku 1920”.

Oprócz orkiestry działał w naszym gimnazjum chór szkolny, który pełnił dużą rolę w rozbudzaniu zainteresowań i talentów muzyczno-wokalnych młodzieży oraz uświetniał uroczystości szkolne; występował też na różnych imprezach pozaszkolnych.

Wojciech Wójcik wspominał, że „wszędzie gościła pieśń intonowana przez studentów, gdziekolwiek zebrała się grupka czterogłosowa. Czy wracaliśmy z prób czy wyruszali w przestrzeń na godzinie gimnastyki, czy w wędrówkach, czy na wycieczkach, wszędzie niosła się z nami i za nami pieśń”.

Julian Roztoczyński dodawał, że „występy chóru uświetniały nabożeństwa szkolne [...]. Na mszy gromadziła się inteligencja i cały światek ówczesnej Dębicy, rozmiłowany w śpiewie [...]. Chór występował również z pieśniami żałobnymi w razie śmierci któregoś z pedagogów lub uczniów, a nawet weselnymi przy ślubach [...]. Występy chóru były też częścią składową programu akademii, urządzanych z okazji świąt państwowych i innych uroczystości”.

Edward Wodzień pisał, że „dyrektor organizował również wyjazdy młodzieży do Krakowa na koncerty [...], a często też, będąc dobrym skrzypkiem, występował w koncertach dla młodzieży i mieszkańców Dębicy”.

Od 1912 roku do wybuchu I wojny światowej orkiestrę prowadził profesor Tadeusz Gawryś, przez krótki czas profesor Sierosławski, a od 1919 – profesor Kazimierz Klamut – kompozytor i muzyk, który został również dyrektorem chóru męskiego, mieszanego oraz chórów połączonych – gimnazjalnego i istniejącego w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim.

Wincenty Dołżycki [absolwent z 1916 roku] nazwał go „dębickim Kiepurą”, a Julian Roztoczyński pisał: „Klamut był wszechstronnie utalentowanym muzykiem i wokalistą. Grał w orkiestrze na kontrabasie lub altówce [...]. Dysponował głosem tenorowym o niezwyklej rozpiętości skali. Był

też wybitnym dyrygentem. Pewność jego batuty polegała również na absolutnym słuchu”. Potwierdzali to też inni jego uczniowie:

„Profesor Klamut postawił zespoły na wysokim poziomie i zaszczepił w uczniach zamiłowanie do śpiewu i muzyki: – Co to była za radość i satysfakcja móc występować w tych zespołach!” [Stanisław Ożóg].

„Profesor Kazimierz Klamut był nie tylko nauczycielem śpiewu, ale krzewicielem kultury muzycznej we wszystkich dębickich szkołach, czynnym organizatorem towarzystw śpiewaczych niemal do ostatnich dni swego długiego życia. Uczył nas czytania pisaną nut, aż do odtwarzania trudnej muzyki Gounoda” [Adam Przewłocki].

„Jemu zawdzięczam, że później wiedziałem, co oznaczają różne znaki zapisane na papierze nutowym i nawet umiałem odczytywać zapisy łatwych melodii czy wygrywać je na pianinie. Nauka śpiewu trwała wtedy przez trzy lata. Później można było należeć do chóru” [ks. Leopold Regner].

Wojciech Wójcik zwrócił uwagę na patriotyczny i wychowawczy charakter działalności profesora: „Myślę, że nie było chyba polskich pieśni, których byśmy nie śpiewali. A przecież w tej poezji śpiewu był wielki patriotyzm [...]. Byliśmy wychowani w wysokiej kulturze muzycznej”.

Za czasów Kazimierza Klamuta szkolna orkiestra święciła największe tryumfy.

Jak pisał Arkadiusz Więch: „występowała nawet podczas oficjalnych uroczystości państwowych. Na Jasnej Górze w 1924 roku, a jeszcze wcześniej w Krakowie w 1910 roku, podczas odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego”.

Miał ją wtedy okazję podziwiać szesnastoletni Arkady Fiedler – późniejszy podróżnik i pisarz – który na tę uroczystość przyjechał do Krakowa wraz z rodzicami aż z Poznania. Owe uroczystości bardzo mu się podobały, tak jak i „noszące ślady dawnej świetności stolicy Królestwa Polskiego miasto, które olśniło szesnastolatka”. To tak jak nas olśniewał Kraków podczas wyjazdów z profesorką Sidorowicz!

Wychowankowie profesora Klamuta opowiadali o jego dowcipnym usposobieniu. Stanisław Ożóg zapamiętał np. że profesor – zazwyczaj „pogodny i jowialny, drwił z „głuchmanów: – Śpiwos, nie śpiwos?”, wysyłał do kowala, by fałszującemu delikwentowi przekuł uszy, albo pytał: – „Krowy mocie, gęsi mocie? Kup se bat, bedziesz pasł gęsi i tam se pośpiwos”.

Tadeusz Ozga zapamiętał ów dowcipny sposób bycia profesora, gdy jeszcze w szkole powszechnej zdawał egzamin z muzyki: „Nie potrafiłem zdefiniować pojęcia gamy. Powiedział mi: – Nie umiesz bejdocku; gęsi paść, nie chodzić do szkoły, bejdocku”.

Od 1921 roku orkiestrę prowadził profesor Stanisław Darlak, który grał świetnie na skrzypcach, a w orkiestrze wojskowej na trąbce, prowadził też orkiestrę kolejową i w Seminarium Nauczycielskim uczył obowiązkowej tam gry na skrzypcach.

Był absolwentem Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, działaczem Związku Strzeleckiego, legionistą, wielbicielem Piłsudskiego.

Profesor Stanisław Darlak urodził się w 1896 roku w Zasowie. Tam chodził do szkoły i tam pobierał lekcje muzyki wraz z dziećmi hrabiego Tadeusza Łubieńskiego. Od dziecka był bowiem – jak ów Janko Muzykant – chłopcem opętanym muzyką.

Po wybuchu I wojny światowej pragnął wstąpić do Legionów, choć nie miał jeszcze osiemnastu lat. Dlatego pojechał do Wiednia, gdzie kryteria naboru żołnierzy były łagodniejsze i został skierowany na front wschodni. Dzięki umiejętności gry na trąbce został kompanijnym trębaczem. Po wielu perypetiach, więzieniu, chorobach powrócił do domu jako inwalida wojenny, odznaczony Krzyżem Legionów.

W swoją pracę w gimnazjum wkładał całe serce, ale też osiągał znakomite rezultaty.

Syn profesora – Antoni pisał: „Absolwent gimnazjum był przynajmniej dobrze przygotowanym melomanem, a nierzadko niezłym muzykiem, czynnie praktykującym to szlachetne hobby wiele lat po maturze. Ośmioletni program szkolny stwarzał znakomite warunki do nauki gry. W takim czasie można nieźle opanować instrument i co zdolniejsi uczniowie stawali się członkami orkiestry symfonicznej i dętej, w których byli eksploatowani co najmniej przez cztery lata. Najzdolniejsi robili nawet kariery muzyczne”.

Profesor Darlak – pasjonat muzyki, „odkrywca” talentu Krzysztofa Pendereckiego, dyrygent orkiestry, która, siedząc za zasłoną, grała różne melodie podczas wyświetlania filmów – jeszcze niemych – w dębickim kinie, „wzór prawego charakteru, do dziś wspominany z szacunkiem”, pracował jako pedagog do ostatnich chwil życia. Zmarł w marcu 1955 roku, mając zaledwie 59 lat.

Antoni Darlak tak zapamiętał niezwykle okazały pogrzeb ojca:

„Na pogrzeb lubianego i szanowanego nauczyciela, obywatela, znajomego, przyjaciela i kolegi przybył tłum porównywalny z procesją religijną. Grała orkiestra oraz śpiewał chór [...]. Chór prowadził już wówczas sędziwy dyrygent Kazimierz Klamut”.

Dyrektor Franciszek Sadowski, który rozpoczął pracę w gimnazjum w 1932 roku – jak wspominał Józef Buszko – „rolę orkiestry szkolnej

znacznie ograniczył [m.in. ograniczył dział orkiestry dętej], natomiast zawarł umowę z Krakowską Filharmonią, która jeden raz w ciągu miesiąca dawała w gimnazjum – w auli – koncerty muzyki poważnej typu kameralnego, a więc w niewielkich zespołach, na które to koncerty uczęszczali obowiązkowo wszyscy uczniowie”.

Takie audycje muzyczne – choć w trochę innej formie – dotrwały do moich licealnych czasów. Zasiadaliśmy również obowiązkowo w szkolnej auli, by słuchać pięknej gry, śpiewu, podziwiać prezentowane tańce i zdobywać informacje o muzyce. Tak jak za czasów dyrektora Sadowskiego, przyjeżdżali do szkoły z Krakowa artyści teatru i opery.

Po II wojnie światowej – jak zapamiętał Julian Roztoczyński – „próbowano odnowić działalność orkiestry i chóru w założonym Towarzystwie Muzycznym, ale w oderwaniu od gimnazjum, czy późniejszego liceum, kiedy już powiały inne prądy, bo sportowe, a amatorskie tradycje muzyczno-wokalne zamarły snem wiecznym, już nie odżyły”.

Antoni Darłak pisał, że działalność jego ojca – profesora Stanisława Darłaka „próbował podtrzymać Ryszard Christoff – od 1944 roku nauczyciel przedmiotów przyrodniczych, a także działacz i wychowawca harcerski:

„Był muzykiem-amatorem, grającym na skrzypcach w orkiestrze gimnazjalnej, uczniem mojego ojca. Traktując funkcję szefa orkiestry jako zajęcie uboczne, marginalne, nie był w stanie sprostać tak absorbującemu czas zadaniu, które polegało na szkoleniu młodych zastępów muzyków, aranżacji utworów, licznych próbach orkiestr itd. Nie był on ponadto do tych zadań wystarczająco fachowo przygotowany. Orkiestry zaczęły podupadać i w ciągu zaledwie dwu lat przestały istnieć. Trudno o to winić profesora Christoffa. Podtrzymywanie dobrego poziomu dwu orkiestr, symfonicznej i dętej, nie mogło się udać na zasadach pracy dorywczej ich kapelmistrza. Brak napływu nowych muzyków przy odchodzeniu roczników maturalnych musiało doprowadzić do likwidacji orkiestr”.

Od 1946 roku muzyki w naszej szkole uczyła profesorka Stanisława Wójtowicz. Jej chór – jak napisano w sprawozdaniu szkoły – „zajął w roku szkolnym 1951/1952 pierwsze miejsce z eliminacjach na szczeblu powiatowym w ramach przygotowań do Zlotu Młodych Budowniczych”.

Z sympatią wspominała profesorkę Alfreda Ździebło: „Bardzo mile wspominam panią profesor Wójtowicz, która prowadziła chór szkolny i bibliotekę. W repertuarze chóru były tzw. pieśni masowe, w tym wiele radzieckich [także o Stalinie] i pieśni ludowe. Lubiliśmy próby chóru,

w czasie których pani profesor z pobłażliwością traktowała objawy młodościennych uczuć „par”, a tych w chórze było kilka”.

Przez wiele lat chórem i orkiestrą szkolną zawiadywał profesor Zdzisław Czerny, a po nim – od 1972 roku – profesor Ludwik Tyrpin.

Profesor Tyrpin był mężczyzną niezbyt wysokim, ale postawnym, eleganckim, dystyngowanym. Nosił głowę wysoko, spoglądając wokół spokojnie i pogodnie, i uśmiechając się leciutko. Jego dość długie włosy, zaczesane do tyłu, skręcały się w sympatyczne loczki, opadające aż na kark, jak to często bywa u artystów. Lekko przyprószone siwizną, dodawały mu powagi i dostojeństwa.

Profesor Tyrpin był jednym z inicjatorów stworzenia hymnu liceum, współorganizatorem konkursu na napisanie słów do tego hymnu, przewodniczącym komisji oceniającej nadesłane wiersze i autorem muzyki do zwycięskiego tekstu utalentowanego ucznia Adama Prażaka.

W roku 1974 objął stanowisko dyrektora Państwowej Szkoły Muzycznej I Stopnia w Dębicy, która właśnie w 1974 roku rozpoczęła swą działalność [przez pierwsze trzy miesiące jej siedzibą było nasze liceum], a którą kierował do czasu przejścia na emeryturę w roku 1989. Utalentowany muzyk, w latach 1962-1975 był członkiem orkiestry nauczycielskiej przy dębickim oddziale Związku Nauczycielstwa Polskiego, a także działaczem ZNP, odznaczonym Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W 1986 roku nauczycielką wychowania muzycznego w naszej szkole została profesorka Urszula Grych-Bochyńska – niewysoka blondynka o słowiańskiej urodzie, błysku w oku, twarzy okolonej jasnymi włosami, gładkiej jak z porcelany – okrągłej, sympatycznej, przyjaznej. Zawsze ubrana ze smakiem, subtelnie modna [ponieważ uczyła też języka francuskiego, powiem, że zawsze była „au courant” z modą], zachowywała się swobodnie, przejawiając żywy temperament, odwagę [czyli - „courage!”], ale też potrafiła zachować dystans i rozważność. Wrażliwa na piękno, natychmiast dostrzegała i chwaliła twarzową apaszkę, ładną bluzeczkę, wartościową ozdobę.

Energiczna, waleczna, mająca swoje zdanie, czasem bywała uparta, a nawet zadziorna. Udało się jej zaznaczyć swą niezależność i odrębność w sposobie ubierania, wypowiedzianych poglądach czy niekonwencjonalnych zachowaniach.

Pamiętam, gdy pewnego razu weszłam na przerwie do jej pracowni, a tam jedna z drobniutkich uczennic stała na środku i dyrygowała grupą drągali, skupionych wokół niej i powtarzających bez końca: „do re mi fa sol la, la, la la ...”

Był to bardzo śmieszny widok. Na moje zdziwienie uczniowie odpowiedzieli, że ćwiczą jakieś wokalizy, bo podobno dziś profesorka „szasta dwójkami”.

Profesorka Ulka również tańczyła i śpiewała w zespole „Igloopolanie” i działała w samorządzie naszego miasta.

Od 1992 roku wychowania muzycznego uczył profesor Paweł Adamek – wysoki szatyn o zgrabnej sylwetce; delikatny i łagodny, szczupłutki i wiotki, świetnie prezentujący się w idealnie skrojonym fraku, gdy stał przed orkiestrą z batutą w ręku i ogniem w oczach.

Z rozwichrzoną artystycznie czupryną zaczesywaną do tyłu i ze stale opadającymi na twarz niesfornymi kosmykami wyglądał młodzieńczo, więc pewnie dla dodania sobie powagi zapuścił wąsy, które śmiały się razem z nim.

Był mężczyzną wypełnionym pasją, entuzjastą muzyki, prawdziwie „artystyczną duszą”, w której wciąż coś grało. Jego talent muzyczny, samorodny jak kryształ, wyszlifowany podczas studiów, łączył impulsywność, entuzjazm z profesjonalizmem i muzyczną kulturą.

Profesor Paweł kochał muzykę sercem i duszą, miał łatwo rozpoznawalną, ciekawą barwę głosu, chętnie śpiewał oraz grał na wielu instrumentach podczas różnych uroczystości, spotkań, nabożeństw, a także prowadził chóry [m.in. licealny] i był twórcą widowisk operowych wystawianych corocznie, które rozślawiły Dębicę.

Był też dyrektorem Szkoły Podstawowej nr 3 [od 1992 roku], radnym powiatowym, prezesem Dębickiego Towarzystwa Muzyczno-Śpiewaczego, organizatorem i prowadzącym imprezy miejskie; przygotował też oprawę muzyczną z okazji 100-lecia naszej szkoły.

Pamiętam te przygotowania; wspaniale potrafił współpracować, zadziwiał pomysłami, był niezwykle bezpośredni i – jakby to dzisiaj powiedziano – „elastyczny”. Miał w sobie coś takiego, że świetnie potrafił się znaleźć w każdej sytuacji; w jego towarzystwie zawsze czuliśmy się komfortowo.

W pracy Edwarda Wodzienia „Dębica. Nasze szkolnictwo do końca XX wieku” znajdujemy informację, że w roku 1992 został Dębiczaninem Roku i cytował z „Gazety Dębickiej”: „Prowadzi chór i orkiestrę w Szkole Muzycznej oraz chóry parafialne przy kościele Matki Bożej Anielskiej i Miłosierdzia Bożego. Muzyka jest motorem jego energii, praca z chórami i orkiestrą bawi go i pochłania, ma świetne pomysły, chce i potrafi je realizować. Rozśpiewał miasto. Wszystko to robi z sercem, wielką pasją i ogromnym

zaangażowaniem. Tak mówią o nim dębiczanie”. A ja dodam [wykorzystując wiersz Jonasza Kofty]:

„Profesorze,
Pan to wszystko zagrać może!

„Skrzypce z czerwonego drzewa,
Jakże ich uroda śpiewa,
jak się iskrzą i jak płoną,
Chce się deki dotknąć dłonią.
Błyska śpiewem drewna słój.
Tylko weź i pieść i strój [...]”

Profesorze, niech pan gra,
Talent Boży wszak pan ma”.

Przez kilka lat – „dochodzącą” ze Szkoły Muzycznej nauczycielką wychowania muzycznego była profesorka Monika Szarek – niezwykle sympatyczna szatynka o jasnych, przejrzystych oczach, przyjaznym spojrzeniu i łagodnym charakterze. Spokojna i zrównoważona, miała ciekawy głos o ciepłym brzmieniu; jakby z delikatną chrypką, zmieniający się w wesoły „turkot” podczas głośniego śmiechu, który ciągle się pojawiał i rozkwitał na jej twarzy. Jej talent muzyczny, łagodność, pogoda ducha, poczucie humoru, spontaniczność, wrażliwość, bezinteresowność, uczuciowość i urok osobisty zjednywały jej wszystkich i budziły sympatię. Gdy została dyrektorką nowo powstałej szkoły podstawowej w Sędziszowie, opuściła Dębicę. Niepodziewanie odeszła na zawsze – zbyt szybko.

W procesie wychowania młodzieży od początku istnienia gimnazjum szczególne miejsce zajmowało wychowanie religijne, a ocena z religii była jedną z najważniejszych na uczniowskim świadectwie. Pierwszy statut szkoły już w 2 punkcie informował, że „Uczeń spełnia jak najlepiej obowiązki swej religii”. Były one szczegółowo wyliczone; np. 4 razy w roku obowiązkowa spowiedź, modlitwy rozpoczynające i kończące zajęcia w szkole, obowiązkowy udział w uroczystościach religijnych i niedzielnych mszach świętych.

Na owe msze – jak zapamiętał Antoni Stańko – „uczniowie ustawieni czwórkami i klasami maszerowali krokiem wojskowym pod nadzorem

i komendą swoich najstarszych kolegów z ósmej klasy. Całe gimnazjum, na czele z własną orkiestrą, prowadził również student ósmej klasy, ustrojony w szarfę białą-czerwoną, spływającą z prawego ramienia do lewego boku”.

Również Jan Wiktor wspominał te szkolne obowiązkowe msze święte: „Główna nawa przepełniona tłumem mieszkańców i uczniów z wszystkich szkół pod nadzorem nauczycieli i nauczycielek, no, wreszcie czwórki, w mundurach, na których kołnierzach błyskały paski srebrne i złote. Niższe i wyższe klasy”.

A w sprawozdaniu dyrekcji z 1919/1920 roku czytamy: „Każdy obchód, każdą uroczystość tak narodową, jak i szkolną, rozpoczynał Zakład nabożeństwem. Udział w nim był obowiązkowy dla uczniów i nauczycieli”, a każdy dzień szkolnych zajęć rozpoczynał apel na gimnazjalnym dziedzińcu, po którym młodzież śpiewała „Pod Twoją obronę...”

Od początku istnienia gimnazjum, czyli od 1900 roku, religii uczył ksiądz Stanisław Szablowski, o którym Michał Urbanek pisał: „prawdziwy wychowawca, wyrozumiały i sprawiedliwy, zasługujący na uznanie i szacunek”.

W 1902 roku do nauki religii przyszedł ksiądz Błażej Kotfis. Urbanek zapamiętał, że był wówczas „młody, przystojny [z lekkim zezem], układny, towarzyski” i że „stał się wkrótce ulubieńcem kobiet i elity dębickiej”.

To postać niezwykle barwna, już wspominana: dyrektor szkoły, założyciel orkiestry, „budowniczy” bursy uczniowskiej, wychowawca i „strażnik dobrych obyczajów”.

Jan Wiktor, swoim charakterystycznym stylem, zawierającym często kropelkę ironii, pisał, o księdzu Kotfisie, że „należał on do najpracowitszych i najofiarniejszych oraczy i siewców na łonie bożym” i nazywał go „Jastrzębiem bożym”. Poświęcił mu też wiele stron w swoich „Prześwietłych wspomnieniach”. Oto kilka z nich:

„Katecheta rzucił groźnie okiem, a nuż coś niewłaściwego zobaczy? Może któryś zuchwalec ćmi papierosa gdzieś w kącie, w zaułku, w sieni, albo inny pomyka poza miasto, w pole, nad rzekę, albo któryś zamiast do kościoła wstąpić, pomodlić się, przewraca oczami pod oknami zepsutych dziewczeczek, kuszących urodą z wiele obiecującym uśmiechem”.

„Ksiądz Kotfis kochał młodzież, dbał o nią, zaspokajał jej potrzeby duchowe i wychowywał wedle zasad zaszczerpiionych w seminarium, zatlających zatęchłym średniowieczem. Tępił bezbożnictwo. W niedziele wygłaszał budujące nauki z ambony, a równocześnie rzucał spojrzenia po gromadach uczniów. Wszystko dostrzegł i zapamiętał. Nazajutrz skazańca wzywał na rozprawę [...]. Zaganiał do spowiedzi. Zwłaszcza tych, których

podejrzewał, że czytają zakazane książki. Każdy musiał składać kartki z nazwiskiem i zaznaczyć, z której klasy [...]. Wojował żarliwie, ale nie mógł ustrzec młodzieży jego opiece powierzonej przed zepsuciem, rozpustą, bezbożnością, buntem i innymi przestępstwami. W chwilach rozpaczyny padał na kolana i błagał o moc wytrwania”.

Ksiądz Błażej Kotfis uczył w gimnazjum przez wiele lat. Równocześnie przez tę szkołę przewinęło się wielu innych księży. Oto niektórzy z nich:

W 1907 rozpoczął pracę w gimnazjum ksiądz Karol Szuwada, w 1908 – ksiądz Stanisław Krzemieniecki, w 1915 – ksiądz Włodzimierz Ardan, w 1918 – ksiądz Andrzej Rejowski i ksiądz Ferdynand Dobija, w 1921 – ksiądz Wawrzyniec Dudziak, w 1924 – ksiądz Wojciech Trytek, w 1926 – ksiądz Jan Pudło, w 1931 – ksiądz Wilhelm Boczek.

Wojciech Wójcik tak zapamiętał księdza Wojciecha Trytka: „Miał on zawsze taką dużą chusteczkę, którą trzymał na piersiach pod sutanną, dlatego, że męczył go ciągły kaszel”. Ksiądz Trytek żądał, by uczniowie chodzili na wskazane przez niego msze, pilnował też obowiązkowej spowiedzi wielkanocnej. „Biedny był ten student, którego ksiądz katecheta złapał wieczorem w towarzystwie jakiej dziewczyny”.

Od lat trzydziestych przez wiele lat religii uczył w naszej szkole ksiądz Teofil Dec [1907-1992] – „filozof i esteta”, pełniący funkcje katechety, prefekta, opiekuna bursy, kapelana ZHP. Ten – jeden z najbardziej znanych, zasłużonych dębickich księży – był wikarym w parafii świętej Jadwigi w latach 1934-1992, organizatorem Sodalicii Mariańskiej, a od 1947 roku również kapelanem Sióstr Służebniczek.

Wysoki, szczupły, trzymający się prosto, zawsze z podniesioną głową i poważną miną, prezentował się dumnie, godnie, posągowo, nieprzystępnie. Okazywało się jednak, że jego surowe, niemal ascetyczne rysy łagodniały podczas szczerych rozmów, a mocny, ale spokojny i miły głos budził ufność i spokój.

Józef Buszko wspominał: „W zasadzie nigdy nie nosił sutanny [...]. Był to człowiek wysoce wykształcony [obok studiów teologicznych miał ukończone magisterium z filozofii ścisłej], wytworny, elegancki, nienagannie ubrany w czarnym garniturze i bardzo przystojny”.

Po wybuchu II wojny światowej, w czasie kampanii wrześniowej, ksiądz Dec pełnił funkcję kapelana wojskowego dębickiego 5. Pułku Strzelców Konnych, a następnie powrócił do nauczania religii, którą wykładał na tajnych kompletach, przemycając również treści patriotyczne. Potwierdzał to uczestnik owych kompletów Antoni Darłak: „Ksiądz Teofil Dec w ramach

nauczania religii wykładał historię Kościoła, omawiając również wydarzenia, które się wiązały z historią Polski”.

Aleksandra Grek wspominała swą małą maturę, którą zdawała w maju 1942 roku: „Egzamin z historii Kościoła u księdza profesora Teofila Deca zdawałam, spacerując wraz z nim po ulicy Ogrodowej”.

Tuż po wojnie, już w lutym 1945 roku, ksiądz włączył się aktywnie do odbudowy zniszczonego budynku naszego gimnazjum, poranionego przez bomby. Pełnił wówczas funkcję wicedyrektora szkoły, ciesząc się wielkim autorytetem młodzieży. Jak zapamiętał Leszek Starkel: „Pracował ramię w ramię z dyrektorem gimnazjum Franciszkiem Sadowskim. Obydwaj się uzupełniali”.

Z jego inicjatywy w każdą niedzielę, cała młodzież w pełnym umundowaniu, pod sztandarami, wyruszała z boiska szkolnego do kościoła klasztornego, gdzie sprawował mszę świętą, budząc żywe zainteresowanie dębiczan.

Po strajku szkolnym w maju 1946 roku, odważnie – wraz z dyrektorem Sadowskim – bronił uczniów zagrożonych poważnymi karami. Był bowiem zwolennikiem wzmocnienia pracy wychowawczej, a nie represji administracyjnych, a także – po prostu – żał mu było chłopców. A gdy dyrektor został zmuszony do odejścia ze szkoły, ksiądz Dec zrezygnował ze stanowiska wicedyrektora; wciąż jednak uczył religii i wciąż cieszył się powszechnym szacunkiem.

Leszek Starkel przypominał też, że ksiądz Teofil Dec organizował wyjazdy kolonijne w ramach „Caritasu”. „Dzięki takiej kolonii – pisał – mogłem zwiedzić piękne Pieniny i część Beskidu Wyspowego”. I jeszcze kilka wspomnień jego wychowanków:

„To był bardzo wymagający i świątły nauczyciel. Nie znosił „klepania lekcji na pamięć” [Alfreda Żdziebło].

„Miał jasne spojrzenie na życie i moralność. Uczył zasad postępowania, jak należy być dobrym Polakiem, co to znaczy prawda i honor, jak odróżnić dobro od zła. Tępił alkoholizm i palenie papierosów. Natomiast był wyrozumiały dla młodych, którzy czuli coś do siebie” [Leszek Starkel].

„Obok tego, że uczył religii i propedeutyki filozofii, był wychowawcą mojej klasy. Miał więc z nami także godzinę wychowawczą, przy czym na tej ostatniej uczył dobrych manier towarzyskich. Zdarzyło się pewnego razu, że jakimś trafem dla jednej z dziewcząt brakło miejsca siedzącego [ktoś zabrał krzesło do innej klasy], tak, że musiała stać. Jak na to zareagował? Podeszedł do owej dziewczyny z własnym krzesłem, polecając jej usiąść. Oczywiście natychmiast się rzuciło kilkunastu kolegów z krzesłami dla niego, na co on im odparł, że krzesło mu niepotrzebne, bo stale będzie chodził po klasie i pytał tylko chłopców” [Józef Buszko].

Ta sprawa podkradania krzeseł to była długa tradycja w naszej szkole. Wspominałam już, że gdy dawne szkolne ławki – wygodne i stabilne – zastąpiono nowoczesnymi stolikami i krzesłami, sale lekcyjne zawsze wyglądały niechlujnie. Nie było możliwości, by owe stoliki i krzesła stały równiutko; na dodatek były zbiorem różnorodnych form – „od Sasa do lasa”. A z powodu braku półeczek, które dawniej były pod blatami ławek, na podłodze walały się różne uczniowskie rzeczy: plecaki, książki, stroje gimnastyczne, buty, a nawet czasem chleb kupiony do domu. Na dodatek krzesła były ciągle za mało.

Przed lekcją odbywało się „polowanie”. Oczywiście, najsprytniejsi uczniowie zawsze zdobyli krzesło dla siebie; mniej „bojowi” dzielili los owej uczennicy ze wspomnień Józefa Buszki.

Buszko zapamiętał też, że ksiądz Dec „na lekcjach religii obok znajomości ministrantury gros czasu poświęcał nie obrzędowości religijnej, ale sprawom natury etyczno-moralnej. Na przykład sprawa modlitwy: „Oczywiście – jak mówił – jest to rodzaj rozmowy z Panem Bogiem, uwarunkowana przeżyciami wewnętrznymi. Jeśli ktoś lepiej ją przeżywa – powiedzmy – na leżąc niż na klęcząc, to taka postawa jest dopuszczalna”. Gdy odszedł z liceum, jego dawni uczniowie często go odwiedzali.

Pamiętam, gdy w 1990 roku przybył od szkoły na uroczystości 90-lecia. Choć czas na jego twarzy wyżył już swoje ślady, a gorycz życia wyostriżyła rysy, to wciąż zachował prostą sylwetkę, dumne spojrzenie, delikatny uśmiech na poważnej, uduchowionej twarzy, ujmującą uprzejmość i takt w obyciu. Wciąż był takim samym eleganckim, skupionym, dystygowanym kapłanem i wspaniałym, niezwykle życzliwym człowiekiem jak wtedy, gdy w kościele klasztornym po udzieleniu mi ślubu, składał mi serdeczne życzenia.

Józef Buszko tak zapamiętał księdza Deca na uroczystości 90-lecia szkoły: „Był przez wszystkich przyjmowany z honorami i otaczany szacunkiem. Był dumny ze swych uczniów, którzy poszli w świat i wykazali hart ducha, służąc krajowi i ludziom. Wyraźnie był dumny, że nie zapomnieliśmy o wartościach, które w nas wpałał w latach szkolnych”.

Na grobowcu ks. Deca na dębickim Starym Cmentarzu napisano: „Kanonik, magister, prefekt gimnazjalny, dyrektor bursy, rektor kościoła Najświętszej Marii Panny, długoletni kapelan Domu Generalnego Sióstr Służebniczek [1907-1992]”.

Od 1957 roku religii w naszym liceum uczył ksiądz Józef Podolański; również mój nauczyciel – spokojny, łagodny, zdystansowany.

Niestety, za moich czasów licealnych, w szkołach nie było miejsca na religię, dlatego chodziliśmy do salki katechetycznej na plebanii przy ko-

ściele świętej Jadwigi. Wiele lekcji odbywało się też w samym kościele. Pamiętam, że lubił nas tam uczyć wspaniały katecheta ks. Zbigniew Skubiel – tolerancyjny, rozumiejący młodzież, zawsze pogodny i życzliwy. Wracając z katechezy, wstępowaliśmy do maleńkiej piekarni Roztoczyńskich, po zawsze ciepłe bułeczki lub chrupiące mace, słynne na całą okolicę. Ksiądz Józef Podolański wykładał m.in. historię Kościoła.

Pamiętam do dziś jego lekcję o Jezusie Chrystusie jako postaci historycznej. Na twarzy wykładowcy widzieliśmy skupienie i surowość, w oczach mądrość i doświadczenie. W ciszy panującej w pustym kościele jakże uroczyście i przekonująco dźwięczał jego głos! Słuchaliśmy jego opowieści – wzbogaconych różnymi materiałami źródłowymi – z zapartym tchem.

Zorganizował nam też m.in. pielgrzymko-wycieczkę do kościoła w Zawadzie, gdzie później był kustoszem tego sanktuarium.

Cieszyła mnie ta wyprawa, gdyż Zawada była dla mnie od dzieciństwa miejscem magicznym. Corocznie mieszkańcy mojej wioski odbywali pielgrzymki do cudownego obrazu Matki Boskiej Zawadzkiej. Ciekawa była też sama wieś – Zawada, mająca długą i wspaniałą historię. Jej nazwa została zacytowana po raz pierwszy już przez Jana Długosza w dokumencie „Liber beneficiorum”. Tam też wymieniony został właściciel wsi – znany nam np. z „Krzyżaków” Sienkiewicza – rycerz Spytko z Melsztyna. Pod koniec XVI wieku Zawada stała się własnością Stanisława Ligęzy, od 1703 roku weszła w posiadanie rodziny Walewskich, następnie Przebędowskich, Radziwiłłów i wreszcie – Raczyńskich.

W całej okolicy wielką sławą cieszył się obraz Maryi z zawadzkiego kościoła, sprowadzony tu przez jednego z Ligezów i początkowo umieszczony w dworskiej kaplicy, a później przeniesiony do wybudowanego nowego kościoła, gdzie po dziś jest otaczany wielką czcią.

Ksiądz Paweł Nowak pisał: „Ma on w sobie ogrom subtelnej piękności: przyciąga subtelnym spojrzeniem Bogarodzicy, że można się weń wpatrywać bez końca. Obraz nosi na sobie cechy i charakter obrazu Najświętszej Maryi Panny Śnieżnej, jaki znajduje się w Bazylice Matki Bożej Większej w Rzymie”. Mieliśmy okazję oglądać go na jednej ze szkolnych wycieczek.

A Maryja Zawadzka, słynąca łaskami, do której modliliśmy się gorliwie w intencjach naszych rodzin i nas samych, stała się inspiracją wielu wierszy, w tym i tego:

„Maryjo Zawadzka – słynąca łaskami,
Najlepsza Matuchno, wstawiaj się za nami!

Na zawadzkim wzgórzu, wśród pięknej zieleni,
Światłem i barwami Twój kościół się mieni.
Maryjo, Maryjo, Tyś naszą obroną,
Jaśniejiesz w ołtarzu złocistą koroną.

Maryjo Zawadzka – słynąca łaskami,
Najlepsza Matuchno, wstawiaj się za nami!

Ale choć Królową jesteś nam, o Pani,
Chętnie łask udzielasz, łagodzisz, co rani.
Bądźże nam tu Matko, ratuj nas w potrzebie,
Kiedy przychodzimy strudzeni do Ciebie.

Maryjo Zawadzka – słynąca łaskami,
Najlepsza Matuchno, wstawiaj się za nami!

W swej czarnej sukience – choć Śnieżną Cię zowią -
Z Jezusem na ręce czuwasz tu – Królowo.
Spoglądasz łaskawie na lud twój zebrany,
Otwierasz Swe serce, słuchasz, jak wołamy.

Maryjo Zawadzka – słynąca łaskami,
Najlepsza Matuchno, wstawiaj się za nami!

Więc wracać tu chcemy, Matuchno do Ciebie,
Wielbić Twoje Imię i błagać w potrzebie.
Bądź nam pozdrowiona, tu, na naszej ziemi,
Chroń nas i ukrywaj pod skrzydłami Twymi.

Maryjo Zawadzka – słynąca łaskami,
Najlepsza Matuchno, wstawiaj się za nami!”

Podczas mojej pracy w liceum uczyło religii wielu księży. Był wśród nich łagodny, zawsze nieśmiało uśmiechnięty ksiądz Bogusław Czech – późniejszy proboszcz parafii w Straszęcinie, energiczny, nawet trochę porwoczy, zdecydowany ksiądz Krzysztof Pasyk, rozważny ksiądz Ryszard Podstołowicz – późniejszy dyrektor „Caritasu” Diecezji Tarnowskiej czy ksiądz Wiesław Lechowicz – późniejszy biskup tarnowski.

Profesor Tomasz Koziół wspominał księdza Lechowicza: „Był bardzo lubianym kolegą, jak i nauczycielem. Później dwukrotnie odwiedził szkołę. W 2010 roku na spotkanie opłatkowe, na które przyszli licznie nauczyciele emeryci – nawet ci, których zmuszono do przejścia na wcześniejszą emeryturę – przyjechał z atlasem podarowanym mu przez kolegów z liceum.

Pamiętam to spotkanie. Biskup Lechowicz [także rektor Wyższego Seminarium w Tarnowie, a potem kapelan Wojska Polskiego], naszą szkołę wspominał bardzo ciepło, z nostalgią.

Nasi koledzy-księża zawsze chętnie włączali się do wspólnych rozmów w pokoju nauczycielskim, słuchali o naszych problemach, martwili się i cieszyli wraz z nami, czasem żartowali. Pamiętam, że któryś z nich opowiadał dowcip – oczywiście o Jasiu:

„Na lekcji religii katecheta pyta:

– Co trzeba zrobić, by iść do nieba?

– Trzeba być grzecznym, nie wolno bić siostry, trzeba się modlić i chodzić do kościoła – zgłaszały się dzieci. Jeden tylko Jaś siedział cicho, ze spuszczoną głową.

– A ty, Jasiu, co nam powiesz? Co trzeba zrobić, żeby iść do nieba?

– Trzeba umrzeć...”

Zdarzało się, że księża czasami zastępowały zakonniczki; zawsze skromniutkie, uśmiechnięte, serdeczne. Pamiętam, gdy pewnego razu zachwyciłam się bożonarodzeniowym stroikiem, który jedna z nich otrzymała od młodzieży.

– Podoba się pani? – zapytała. I bez wahania dodała z uśmiechem:

– Proszę, z radością go pani dam.

Podziękowałam pięknie, bo ja również otrzymałam od uczniów śliczny stroik, ale byłam wzruszona jej dobrocią.

Niezmiernie ważną rolę w dziejach naszej szkoły odegrało wychowanie fizyczne.

Chociaż na początku istnienia szkoły nie było lekcji wychowania fizycznego, ale starano się wpływać na kondycję młodych ludzi i ich rozwój fizyczny. Np. w czerwcu roku 1903 – jak można przeczytać w pracy Jana Swóła – „uczniowie wzięli udział w wycieczce do brzeźnickiego Borku, gdzie przygotowano dla nich różne atrakcje. Zarząd Skarbu Wielmożnego hr. Edwarda Raczyńskiego przeznaczył 100 koron na muzykę wojskową i nagrody dla uczniów, którzy w biegu, skakaniu itp. ćwiczeniach się odznaczają”.

Początkowo warunki do rozwoju fizycznego młodzieży gimnazjum były bardzo trudne, ale – jak pisał Arkadiusz Więch – „już w roku szkolnym 1906/1907 zaczęły powstawać tzw. „korpusy studenckie”. Ich opiekunem był profesor Michał Radomski. Chociaż wielu nauczycieli było niezadowolonych, to w ramach tych korpusów uczniowie brali udział w różnych zajęciach sportowych: pływali, udzielali się w lekkoatletyce, zawiązali związek cyklistów, grali w tenisa ziemnego, a zwłaszcza w piłkę nożną”.

Nie było wówczas żadnego boiska sportowego, więc w piłkę nożną grano głównie na okolicznych łąkach oraz na dębickich błoniach, później na terenie koszar, a od 1925 roku – na nowo zbudowanym stadionie gimnazjalnym, niedaleko budynku „Sokoła”. Pierwsze mecze uczniowie rozgrywali pomiędzy sobą, czyli pomiędzy siedmioma istniejącymi wówczas w gimnazjum drużynami piłkarskimi. „Pierwszy prawdziwy poważny mecz rozegrano w 1912 roku z uczniami tarnowskiego gimnazjum. Nagrodą dla zwycięzców – jak pisał Arkadiusz Więch – był worek jabłek lub zsiadłe mleko”.

W dwudziestoleciu międzywojennym – jak wspominał Julian Roztoczyński – „niektórzy pedagodzy wciąż nieprzychylnym okiem darzyli ciągotki młodzieży do tak niewinnych rozrywek, jak łyżwy, saneczki, czy kąpiel w Wisłoce, wówczas jeszcze u chłopców praktykowana „na naga”. Trzeba było kryć się z marnotrawstwem czasu na takie głupstwa, bo w przypadku przyłapania na gorącym uczynku, oczekiwała nazajutrz dwója. Jednak chłopcy wyłamywali się, mimo tej bojaźni bożej, zwłaszcza w wyższych klasach, szczególnie co do najatrakcyjniejszej zabawy sportowej, jaką była piłka nożna”.

Początkowo nauczycielem wychowania fizycznego był profesor Antoni Migdał, który został później opiekunem założonego w Dębicy klubu sportowego „Wisłoka”. To tam rozwijało swą karierę wielu gimnazjalistów.

Od 1908 roku wuefistą w gimnazjum był też nauczyciel szkoły powszechnej Jan Rąb, a od 1922 roku – profesor Jan Szczerba, którego z uznaniem wspominało wielu absolwentów naszej szkoły. Oto niektóre z tych wspomnień:

„Profesor Szczerba dokładał wszelkich starań, by młodzież była wygimnastykowana. Nawet na pauzach i wolnych zajęciach lansował grę w palanta. Zawdzięczamy mu liczne osiągnięcia w sporcie, a także udział w Klubie Gry w Piłkę Nożną „Gryf” [Wojciech Wójcik].

„Był propagatorem nowego, szwedzkiego stylu gimnastyki i koszykówki, a choć początkowo był zaciekłym wrogiem piłki nożnej, to przekonany

przez profesora Gawrysia ustąpił i nie przeszkadzał nawet grze w klubie „Wisłoka”[Stanisław Ożóg].

„Był opiekunem hufca szkolnego. Chociaż nieraz dawał nam „w kość”, zachowaliśmy go we wdzięcznej pamięci” [Jan Szymaszek].

„Brałem udział w zawodach lekkoatletycznych, w sprincie, w skokach i rzutach [...]. Byłem członkiem szkolnej drużyny biorącej udział w grze zwanej palantem. Uczestniczyliśmy w rozgrywkach w Tarnowie i zakwalifikowaliśmy się do dalszych rozgrywek, które odbyły się w Krakowie” [Edmund Król].

Zasługi profesora Jana Szczerby – działającego także w ramach towarzystwa „Sokół” – podkreśla Jan Swół pisząc, że zachęcał wychowanków do udziału w zajęciach tego towarzystwa, którego celem było „pielęgnowanie gimnastyki w ogóle, a w szczególności gimnastyki higieniczno-racjonalnej i wychowawczej, wyrabianie przy jej pomocy ducha męskiej dzielności, karności i łączności; także udział w pracy narodowej”. Stanisław Jodłowski i Piotr Krysiak dodawali, że „oprócz gimnastyki uprawiano lekkoatletykę i tenis ziemny. Najbardziej znaną gimnastyczką „Sokoła” była Julia Wojciechowska [urodzona w 1915 roku w Mielcu], olimpijka z 1936 roku, która m.in. zajęła 5 miejsce w wieloboju drużynowym.

Różnorodne rozgrywki sportowe organizowano w ciągu całego okresu istnienia szkoły. Profesor Andrzej Mol wspominał: „Byliśmy potęgą w sporcie w województwie. Osiągaliśmy sukcesy, przywoziliśmy dyplomy. Zdobywaliśmy puchary, które do dzisiaj znajdują się w szkole”. Rzeczywiście, wiele trofeów sportowych zdobi wciąż dyrektorski gabinet.

A nauczycielem wychowania fizycznego Andrzeja Mola był profesor Sylwester Książek, pracujący w liceum wraz z żoną od 1950 roku.

Alfreda Ździebło wspominała tych „wuefistów” z sentymentem: „Małżeństwo Książków; „oboje uczyli „wuefu” i byli bardzo sympatycznymi ludźmi. Zajęcia sportowe odbywały się nie tylko w sali gimnastycznej i na boisku, lecz także na stadionie, który dziś już nie istnieje, a znajdował się w rejonie Szkoły Podstawowej nr 4”.

W 1956 roku przyszedł do pracy w naszej szkole profesor Andrzej Mol, absolwent liceum z 1952 roku.

Tak o tym pisał: „Po zdaniu matury w naszym liceum w 1952 roku poszedłem na studia. Po ich ukończeniu wróciłem do liceum w Dębicy jako nauczyciel wychowania fizycznego”.

Profesor Andrzej Mol – mój „wuefista” w klasie ósmej [pierwszej] – był mężczyzną niezbyt wysokim, ale postawnym, barczystym, mocnym, wy-

sportowanym; okazem zdrowia i niespożytej siły, o żywych, jasnych oczach pełnych blasku, ogorzałej od słońca i wiatru twarzy, życzliwym spojrzeniu i łagodnym usposobieniu. Wydawał się nam sybarytą kochającym życie; pogodnym, wyrozumiałym, czasem z życzliwą ironią komentującym nasze nieudolne wyczyny sportowe. Czuliśmy, że kocha młodzież i z pasją wykonuje swój zawód. Mobilizował nas, pokazywał różne ćwiczenia, obserwował nasze osiągnięcia podczas zawodów sportowych, a złote iskierki radości tańczyły w jego oczach. Miał ksywkę „Bemol”, ale my wiedzieliśmy, że absolutnie nie jest „be”, a bardzo „cacy”.

Gdy tylko była pogoda, szliśmy na podwórze szkolne, by rzucić kulą, skakać wzwyż i w dal, biegać i grać w piłkę. Natomiast gimnastykę prowadzoną na sali gimnastycznej stanowiły różne „wygibas”, wśród których był też przewrót w tył i skok przez konia z łękami.

Ten skok był dla mnie zawsze powodem niemałego stresu, dlatego dobrze rozumiałam i współczułam koleżance Zosi, która na próżno męczyła się ze skomplikowanym fikołkiem do tyłu. Profesor ambitnie jej pomagał, klęcząc przed nią na materacu, ale że nie była zbyt filigranowa, kolejne próby kończyły się porażką, aż profesor ocierał pot z czoła. Śledziliśmy te zabiegi, dopingując koleżance. Wreszcie wydawało się, że kolejna próba będzie udana.

Zosia zrobiła zamach, osiągnęła pozycję „stójkową”, ale nagle straciła równowagę i jej nogi opadły z hukiem na ramiona profesora, przyciskając go do ziemi. Zamilkliśmy na moment, bo sytuacja była arcydziwna i arcyśmieszna. Ale patrząc na roześmianą od ucha do ucha twarz profesora, też zaczęliśmy się głośno śmiać. „Delikwentka” miała minę trochę niepewną, ale wnet ucieszyła się, bo już nigdy profesor nie zmuszał jej do takich „wygibasów”.

Owa Zosia – milutka, spokojniutka, koleżeńska – otrzymała po latach [wraz z siostrą] wspaniałe odznaczenie: „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”. Nikt z nas o tym nie wiedział, że w jej rodzinnym gospodarstwie w Zawadzie ukrywali się w czasie wojny Żydzi, że ów dom – który odwiedziłam pewnego razu – i duży, pełen drzew i krzewów ogród, były azylem dla wojennych uciekinierów, a rodzice Zosi narażali swe życie, by ratować bliźnich.

Profesor Andrzej Mol traktował nas z wyrozumiałością. Tylko jeden raz, gdy naprawdę bezgranicznie głupio nadużyliśmy jego dobroci, bardzo się zdenerwował.

Otóż, na każdej lekcji dyżurna zgłaszała nazwiska uczennic, które były „niedysponowane”, zapomniały stroju, czy zwolniły się u wychowawcy i poszły wcześniej do domu. Niećwiczące siadały gdzieś w kącie i – choć

powinny obserwować zajęcia – najczęściej przygotowywały się do następnych lekcji lub odrabiały pracę domową

Pewnego razu okazało się, że niedysponowanych dziewcząt było więcej niż ćwiczących. Miał być bowiem sprawdzian z matematyki i wszyscy chcieli jeszcze powtórzyć zadany materiał. I tu profesor już nie wytrzymał. Zażądał, by wszystkie zwalniające się dziewczyny natychmiast udały się do gabinetu lekarskiego po stosowne zaświadczenia. Było groźnie! Ale nasza higienistka, cudowna pani Rybkowa, jakoś udobruchała profesora.

Profesora Andrzeja Mola mile wspominają uczniowie różnych roczników, zawsze mając w zanadrzu jakąś sympatyczną anegdotę dotyczącą lekcji wuefu; na przykład, jak profesor uczył przechodzenia przez ulicę pod kątem prostym, jak kazał ćwiczyć rzuty kulą z papieru, jak organizował biegi wokół podwórza szkolnego, biegi po kamieniach, przez kałuże i jak nazywał „dziabongami” najbardziej niezdarnych i leniwych.

Profesor Mol angażował się w różne sprawy ważne dla szkoły i Dębicy. Walczył o przywrócenie naszemu liceum imienia Króla Władysława Jagiełły, był jednym z inicjatorów ufundowania przez absolwentów liceum sztandaru szkoły i zajmował się poszukiwaniem osób mogących wykonać ów sztandar. Tak to wspominał: „Poszedłem do Zakonu Sióstr Służebniczek na ulicę Bojanowskiego, bo to były moje sąsiadki i poprosiłem o pomoc. Skierowały mnie do klasztoru do Żabna. Poprosiłem tamtejsze siostry o zaprojektowanie sztandaru. W ciągu godziny siostra Świętosława – niestety, już nie żyje – narysowała projekt, a potem inne siostry wyhaftowały sztandar.

Pamiętam uroczystość poświęcenia tego sztandaru w kościele świętej Jadwigi: proboszcza księdza Stanisława Fiołka w pięknych szatach liturgicznych, dyrektora Ryszarda Pękałę przyklękającego na tę pamiętną chwilę i towarzyszącego mu profesora Mola. Było tak uroczyście i wzruszająco, że chciało się zakrzyknąć za Goethem: „Trwaj chwilo, jesteś piękna!”

Profesor Andrzej Mol był także inicjatorem przywrócenia pierwotnej nazwy „Sokół” budynkowi Domu Kultury „Śnieżka”, gdyż było to miejsce symboliczne, ogromnie ważne w kształceniu postaw ideowych wielu naszych uczniów. W tym celu spotykał się z absolwentami szkoły i z młodzieżą uczęszczającą do liceum, przybliżał jej historię związaną z Towarzystwem Gimnastycznym „Sokół”, prosząc o wypełnienie ankiet i wzięcie udziału w konsultacjach społecznych, wysyłał – w imieniu absolwentów i uczniów – pisma do władz lokalnych, a także do Prezydenta państwa, Ministerstwa Kultury i do Instytutu Pamięci Narodowej, brał udział w spotkaniach z wicemarszałkiem sejmiku wojewódzkiego i z władzami miasta, uczestniczył

w obradach Komisji Kultury Rady Miejskiej. Gdy po długiej batalii zdecydowano o ufundowaniu tablicy pamiątkowej, czuwał, by znalazły się na niej ważne i konieczne słowa, że to stąd „pod wodzą profesora Tadeusza Gawrysia, w 1914 roku wyruszyli do walki w Legionach Polskich członkowie dębickiego „Sokoła” – uczniowie i nauczyciele dębickiego gimnazjum, którzy swoją postawą i ofiarą życia znaczyli szlak do niepodległej Polski”.

Profesor Mol był bardzo miłym kolegą – zawsze chętnym do rozmów, wspomnień, żartów. Wyróżniał się życzliwością, kurtuazją, taktem.

Pewnego razu wraz z kolegami przyszliśmy do gościnnego domu profesora na jakieś nauczycielskie spotkanie. Przywitała nas elegancka, niezwykle sympatyczna żona profesora – pani Krystyna [również absolwentka z 1952 roku, koleżanka z klasy profesora Mola] – profesorka wychowania fizycznego, pracująca w „ekonomiku”, zdystansowany wobec świata jamnik, kochający wylegiwanie się na dywanie oraz egzotyczny żółwik, niezwykle sprytnie – jak na przysłowiowo powolnego gada – zajądający listki sałaty. Było bardzo sympatycznie, a Pani domu opowiedziała nam śmieszną historię związaną z jamnikiem.

Na stole w kuchni państwa Molów stał zawsze cukier w cukiernicze. W pewnym okresie tak szybko znikał, że wzbudzało to podejrzenia, że to pan Andrzej – choć zawsze się wypierał – wyjada po kryjomu niezdrowe słodkości. Wkrótce jednak okazało się, że sprawcą był jamnik, który pod nieobecność gospodarzy częstował się owym cukrem. Uwielbiał bowiem słodocze, co sprawiło, że dochował się niezłego sadelka i zadyszki, stąd zamiast spacerów wołał beztrudnie wylegiwanie się na miękkim dywanie.

Profesor Mol zachował radość i pogodę ducha do dziś. Drobne zmarszczki mimiczne wokół oczu w kolorze spłowiałego błękitu, nadają im tylko głębszy wyraz.

Wiele mu zawdzięczam. To on w dużej mierze przyczynił się do wydania moich książek. Bardzo leżało mu na sercu pielęgnowanie chlubnej tradycji naszej szkoły i pamięci o ludziach z nią związanych.

Podczas uroczystości promującej „Pola zielone...” wspominał swoje przygody okupacyjne, tułaczkę po obcych ludziach, dni spędzane na wysiedleniu w starej szkole w Chotowej, nocleg u jakiegoś gospodarza, chorobę mamy, naloty niemieckie i bomby spadające wzdłuż rzeki.

Jak zawsze – miły, uśmiechnięty, budzący sympatię od pierwszego wejrzenia, pięknie się starzał, zachowując energię, radość życia, ciekawość świata i ludzi. Więc na koniec chcę zadedykować mu piosenkę z „Kabaretu Starszych Panów”, tak pasującą do profesora:

... „Jak pan się trzyma
Jak pan się trzyma,
To nie do wiary, jak na ten wiek,
Pana nie ima się prawie zima,
Pan jakby w jesień dopiero wbiegł...”

Od 1945 roku wychowania fizycznego uczyła też w naszej szkole profesorka Zdzisława Grundboeck [1919-2011], siostra Mariana Grundboeck – kolejna „legenda” naszego liceum.

Profesorka Lucyna Wodzińska – w przeszłości jej uczennica – pisała: „Miałam szczęście spotkać w szkole profesorkę Zdzisławę Grundboeck, ówczesną mistrzynię wychowania fizycznego, która w wielu z nas zaszczerpiła miłość do czynnego wypoczynku”.

Ja też miałam to szczęście, bo profesorka – przez trzy lata – uczyła i mnie wuefu.

Lekcje prowadziła wręcz pokazowo. Nie marnowała nawet chwilki, była skrupulatna, zdyscyplinowana, punktualna, niezmordowana.

Nauczyła nas grać w siatkówkę. Pchałyśmy też kulą, rzucaliśmy dyskiem, skakałyśmy wzwyż i w dal, wykonywałyśmy różne ćwiczenia ogólnorozwojowe, biegałyśmy na różnych dystansach, miałyśmy lekcje ruchu przy muzyce, poznawałyśmy podstawowe kroki i figury taneczne i układy tańców polskich.

Profesorka Grundboeck – zawsze przygotowana, zawsze energiczna – poruszała się z godną podziwu lekkością, jak jakaś egzotyczna gazela. My, młode dziewczyny – mówiąc słowami Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – zazwyczaj „pełne kurzej tężyzny i jaglanej siły” – mogłyśmy tylko zazdrościć profesorce optymizmu, pewności siebie, energii, elastyczności ruchów, sprężystości kroków, wytrzymałości i zapachu.

Choć była drobna i wydawała się krucha, taka niepozorna i słaba, to były to tylko złudzenia. Profesorka była silna fizycznie, wysportowana, zaprawiona w trudach życia, wytrwała i uparta, a w sprawach higieny wręcz rygorystyczna. Miała miłą twarz o delikatnych rysach, krótkie, kręcone, płowe włosy, czasem „dyscyplinowane” za pomocą metalowych wsuwek, drobne, zbrązowiałe od słońca dłonie i maleńkie stópki obute w sportowe tenisówki. Zazwyczaj nosiła jakieś niepozorne, ale zawsze starannie uprząsowane bluzeczki z maleńkimi, rozczulającymi kołnierzykami i dresowe spodnie, z kieszeni których zawsze zwisała tasiemka od pęku kluczy, a na szyi „dyndał” nieodłączny gwizdek.

Jej nazwisko zawsze skracaliśmy, mówiąc „Grunberka”, bo oficjalne brzmiało obco i było trudne do wymówienia. Prawdopodobnie – jak twierdził Zbigniew Szurek – było pochodzenia szwedzkiego i znaczyło „płytki strumień”.

Profesorka urodziła się tuż po pierwszej wojnie światowej, w 1919 roku w Dębicy, w domu graniczącym z gimnazjum, w którym uczyła się na profilu humanistycznym; tu zdała maturę w 1939 roku, tuż przed II wojną światową. Jest jedną z pierwszych abiturientek już nie gimnazjum, a liceum. Osierocona przez ojca, wcześniej musiała się usamodzielniać. Ale lubiła działać i podejmować odważne decyzje.

Zbigniew Szurek tak wspominał jej lata licealne: „Jest bardzo zaangażowana w Związku Harcerstwa Polskiego, gdzie pełni funkcję kronikarki drużyny i drużynowej zuchów. Píše do gazetki szkolnej. Śpiewa w chórze pod batutą profesora Kazimierza Klamuta, gra na skrzypcach w orkiestrze prowadzonej przez profesora Krzysztofa Christoffa. Pasją jej jednak była organizacja pod nazwą: Przysposobienie Wojskowe Kobiet. Na obozach zdobywa szlify instruktorskie”.

Dalsze losy i działalność profesorki Grundboeck możemy prześledzić dzięki kolejnym wspomnieniom Zbigniewa Szurka. Oto one:

„We wrześniu 1939 roku przystępuje do Polskiego Czerwonego Krzyża. Działa w punkcie sanitarnym i żywnościowym na stacji PKP w Dębicy [...]. Pani Zdzisława pomagała także jeńcom w koszarach V Pułku Strzelców Konnych, gdzie zorganizowano obóz przejściowy dla polskich żołnierzy. Dowoziła im chleb, przekazywała wiadomości.

Od maja 1940 roku pracuje jako sanitariuszka w ambulatorium PCK w Miejskiej Szkole Handlowej, którego początkowo kierownikiem jest Kazimierz Gradziński, a następnie, po powrocie z niewoli, doktor Stefan Zdąnowski [absolwent gimnazjum z 1919 roku].

W marcu 1941 roku pani Zdzisława przeniesiona zostaje do biura PCK, którego kierownikiem była Maria Śnieżek. Dokumentuje korespondencję otrzymaną od Polaków przebywających w Kazachstanie i na Syberii. Rejestruje wysiedlonych z Poznańskiego i ze Śląska oraz z terenów wschodnich. Ponadto pomaga przygotowywać paczki dla uchodźców. Z pracownikami oddziału PCK kwestuje po domach i zbiera datki do puszek z symbolem Czerwonego Krzyża.

Po likwidacji przez Niemców terenowych oddziałów PCK Zdzisława Grudboeck od czerwca 1941 roku pracuje w Polskim Komitecie Opiekuńczym.

Po przeszkoleniu na kursie zielarstwa w Krakowie, przy pomocy parafii, dworów i szkół, organizuje zbieranie ziół leczniczych. Na podstawie

kwitów z punktu skupu można było w Arbeitsamcie uzyskać kartę zatrudnienia, co chroniło od wywózki na przymusowe roboty do Rzeszy.

Zdzisława Grundboeck zaangażowana była także w konspirację. Działała jako łączniczka w Armii Krajowej w placówce Tarnów. W maju 1942 roku wraz z rodzicami zostaje wyrzucona ze swojego domu przy ulicy Wer-machtstrasse, gdyż okupant na tym obszarze tworzył dzielnicę niemiecką. Zamieszkuje w ciężkich warunkach nieopodal ulicy Wielopolskiej.

Od września 1943 roku pracuje jako księgowa w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej.

Po wejściu wojsk sowieckich do Dębicy – 23 sierpnia 1944 roku, rodzina Grudboecków zostaje wysiedlona z miasta. Okres zatrzymania się frontu przeżywają w Jarosławiu. Po powrocie w marcu 1945 roku do Dębicy, Pani Zdzisława nie może zamieszkać we własnym domu, gdyż zajmuje go NKWD.

Udaje jej się zatrudnić w Liceum Ogólnokształcącym, gdzie również pokątnie zamieszkuje. Uczy wychowania fizycznego oraz przysposobienia wojskowego, a także opiekuje się drużyną harcerską.

W 1946 roku rozpoczyna studia w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Poznaniu, po ukończeniu których, w latach 1950-1955, naucza kolejno w liceach w Sanoku, Rzeszowie i Pilźnie. W roku 1955 wraca do dębickiego liceum i prowadzi lekcje z wychowania fizycznego, a w Szkolnym Klubie Sportowym – sekcję piłki siatkowej, ręcznej i lekkiej atletyki. Przez parę lat opiekuje się również Kołem PCK. Rok 1987 jest ostatnim w jej pracy. W czasie blisko 40 lat nauczania, w tym 33 lat w dębickim liceum, uzyskuje m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, wpis do Księgi Zasłużonych dla Dębicy [...].

Jako pracownik I LO w Dębicy, z panią Zdzisławą Grundboeck pozdrowiałem często chodzącą po swoim skromnym ogródku, lub wyglądającą przez okno. Pomogła mi ogromnie w uzupełnieniu historii PCK na Ziemi Dębickiej, szczególnie w okresie okupacji hitlerowskiej. Często do mnie dzwoniła, gdy sobie coś nowego przypomniwała ze swojego życiorysu. Miała znakomitą i szczegółową pamięć. Była bardzo życzliwa i pogodnego ducha.

Gdy ją odwiedzałem, nuciła sobie czasem: „Świat nie jest taki zły, niech no tylko zakwitną jabłonie...” W tym roku [2011] nie doczekała zakwitnięcia pierwszych kwiatów; zmarła 13 marca, w niedzielę”.

Profesorka rzadko przychodziła do pokoju nauczycielskiego. Ale zawsze znajdowała czas, by z nami porozmawiać, знаła nasze rodziny, pamiętała imiona dzieci, interesowały ją nasze smutki i radości.

Wzruszająco wspominała ją profesorka Lidka Górską – jej uczennica w latach 1974-1979, a później – przyjaciółka:

„Wtedy, gdy jako młoda bibliotekarka rozpoczynałam pracę w liceum, często rozmawiałyśmy obie już na zasadach koleżeńskich, wspominając naszą klasę i dziewczyny, które pani profesor szczególnie utkwily w pamięci. Była to osoba, która potrafiła zatrzeć dystans, jaki nas dzielił, tak z powodu wieku, jak też niedawnej relacji: nauczyciel – uczennica [...]. Zawsze w naszych koleżeńskich relacjach dawało się wyczuć szczerość i mądrość życiową w stosunku do młodszej koleżanki z pracy [...].

Nawet potem, gdy profesorka przeszła już na emeryturę, wspominałyśmy wspólne szkolne chwile i utrzymywałyśmy kontakt aż do jej śmierci”.

To właśnie po śmierci profesorki Zdzisławy Grundboeck w 2011 roku Lidia Górską napisała wzruszające wspomnienie, które wydrukował „Obserwator Lokalny”:

„W tę podróż wybierała się już dawno. I można rzec, że była dobrze przygotowana. Jakby na nią czekała, tak jak czeka każdy podróżny na opóźniający się pociąg. Parę lat temu powiedziała: – Pan Bóg chyba o mnie zapomniał, bo co ja tu jeszcze robię.

Nie zapomniał Bóg, może jedynie przedłużał jej obecność wśród nas, abyśmy zrozumieli coś, co do nas dociera teraz ze zdwojoną mocą. Być może chodziło o to, aby każdy uświadomił sobie, że ci, których spotykamy na co dzień, są częścią naszego życia, coś w nie wnoszą i czegoś nas uczą.

Pozostało parę winylowych płyt z walcami i tangami, cisza sali gimnastycznej i wdzięczne wspomnienie jej uśmiechu, jej życzliwości, wyważonego i taktownego żartu oraz świadomość, jak bardzo jej na nas zależało, jak dbała o to, byśmy się nie garbiły i umiały uwierzyć, że każde ćwiczenie jest do wykonania, nawet jeśli na początku trudno i ciężko.

Zawsze zwracała się do nas po imieniu, tak serdecznie, umiając dostrzec całą grupę i każdą uczennicę z osobna. Dla każdej z nas miała życzyliwe słowo.

Do dziś niektóre koleżanki mają schowane na pamiątkę bluzeczki, które obowiązywały na zajęciach. Szyłyśmy je według jednego wzoru z płócienka; miały z boku wyhaftowane nićmi nasze nazwiska i pierwszą literkę imienia. Zajęcia zaczynały się od zbiórki, w czasie której miałyśmy przegląd bluzek. Musiały być wyprane i wykrochmalone na każde zajęcie. Uśmiecham się, gdy na zachowanych zdjęciach widzę, jak stoimy jednakowo. Dziś wiem, że nasz strój dawał poczucie świeżości, a poza tym podkreślał rangę przedmiotu.

Sala gimnastyczna była zawsze przygotowana do zajęć. Do obowiązków dyżurnych należało przed każdą lekcją zetrzeć podłogę na mokro. W ten sposób nie unosił się kurz i zapach pozostawiony przez poprzednich ćwiczących”.

Ja również do dziś pamiętam te dyżury, te okropne ściery, które zanurzałyśmy w wiadrze z zimną wodą mrozącą ręce i myłyśmy dokładnie tę wielką salę, wiedząc, że najmniejsze zaniedbanie nie ujdzie uwadze profesorki.

„Po latach – wspominała dalej profesorka Lidka – gdy wchodziło się do starej sali gimnastycznej, ożywały w pamięci słowa pani profesor: – Jesteście dziewczętami, pamiętajcie o tym, że elegancja i godność kobiety obowiązuje nawet na wuefie.

Ktoś wspominał, że raz w czasie zajęć profesorka odczuła silny ból w piersiach i wtedy pomyślała: – Żebym tylko zakończyła lekcje, a potem to mogę umrzeć.

Nigdy nie zapomnę lekcji tańca, które prowadziła. Dzięki niej nauczyłam się tańczyć. Zachowały się do dziś płyty winylowe z utworami, które towarzyszyły nam w czasie tych zajęć.

Kiedyś, gdy po latach chodziłam do niej na pogaduszki, planowałyśmy, że urządzimy sobie wieczór wspomnień przy tych płytach. Uśmiechała się wtedy lekko i mówiła: – Stare, dobre czasy, a potem spoglądała przez okno na podwórko i milczała.

O czym wtedy myślała? O zmianach, jakie niosą kolejne lata w szkole, te bez niej?

W ostatnich dniach choroby była myślami przy swoich uczennicach i wyrażała troskę o te, które się lekko ubierają i nie dbają o zdrowie. Zachowała pamięć i przytomność do samego końca.

Nie pamiętam jej nigdy złej, rozgniewanej, czy krzyczącej na młodzież. Pamiętam uśmiech – delikatny i jakby w zamyśleniu. Gdy kierowała go w stronę swego rozmówcy, zawsze patrzyła mu w oczy. Pełna pokory, pogodzona z losem, z tym co nieuchronne, przebywała od czasu do czasu w domu opieki w Parkoszu. Z uśmiechem pokazywała przez okno psa, który pojawiał się w ogrodzie. – Popatrz – mówiła – nawet pies z kulawą nogą tu do mnie zagląda. Nie jest tak źle.

Martwiła się o ogród, który przecież trzeba przygotować na wiosnę i tęskniła za nim, gdy przebywała poza domem. Jedna z pielęgniarek zapytała potem: – Kim jest ta starsza pani, która tak ładnie buduje zdania i potrafi tak kulturalnie rozmawiać ze wszystkimi?

Mówiła bowiem piękną polszczyzną. Było w rozmowie z nią coś ze świadomości, że rozmawia się ze swoją dawną profesorką, ale jednocześnie

jakby ze starszą przyjaciółką, która rozumiała, umiała doradzić. Była szczera i serdeczna, a jednocześnie bardzo skrepowana tym, że czasem musi poprosić o pomoc. Prosiła niechętnie i tylko wtedy, gdy już naprawdę musiała, a potem szybko dodawała: – Idź już, idź dziecko, masz swoje sprawy.

Była bardzo wrażliwa na krzywdę innych, na choroby, choć przecież jej samej życie nie rozpieszczało, odważna w obronie swojego stanowiska, a przy tym bardzo taktowna.

Dla zaglądających czasem do niej po sąsiedzku dziewcząt i chłopców zawsze miała jakiś smakołyk, a kiedy mówili, że nie trzeba, mawiała: – Wam teraz, moi drodzy, nie jest lekko.

Na pamiątkowym filmie, nakręconym kilkanaście lat temu z okazji spotkania rocznika 1979 na dwudziestolecie matury, jest pogodna i szczerze życzliwa. Pamiętała nas wszystkich po latach, choć uczyła przede wszystkim dziewczęta. Patrzyła z niedowierzaniem, że to już tyle lat minęło, a przecież jakby wczoraj prowadziła z nami zajęcia.

– Nie do wiary, to ty? – pytała. No popatrz, a takie z ciebie było chuchro. Ale kulą dobrze rzuciłaś.

Patrzę na uśmiechniętą twarz profesorki na tamtym zdjęciu i myślę, że świeci gdzieś tam na jakiejś gwiazdzie, może nawet czeka na nas z herbatą, a kiedy do niej dołączymy, włączy adapter z walcami Straussa”.

Okrutny los sprawił, że profesorka Lidka Górską, niedługo po śmierci profesorki Grundboeck, zginęła w wypadku samochodowym. I pewnie też czeka z herbatą, wszak na przerwach zaplecze biblioteki, gdzie „królowała”, zmieniał się w herbaciarnię dla nauczycieli.

A wspomnienia koleżanki Lidki są bardzo podobne do moich. To sprawdzanie, czy podłoga w sali gimnastycznej jest świeżo umyta, te bluzeczki szyte na miarę z dekoltem karo i wyhaftowanym podpisem, te nasze tańce i zawody sportowe, ten uśmiech i ta siła zamknięta w drobnym ciele!

Pewnego roku – nie pamiętam już z jakiej okazji – władze organizowały gigantyczną masówkę na stadionie w Rzeszowie. Młodzież szkół średnich z całego województwa miała ją uświetnić programem artystycznym. Przygotowano układ tańców ludowych, które mieliśmy wykonać przed wysokim partyjnym audytorium.

Nauczyciele wuefu, po odbyciu odpowiedniego kursu, otrzymali zestaw melodii na winylowych płytach i „prikaz” przygotowania tych tańców na lekcjach wychowania fizycznego. Podziwialiśmy profesorkę, jak wdzięcznie i pięknie prezentowała nam kolejne układy taneczne, jak sprytnie „wycinała” hołubce, z jaką łatwością wirowała jak fryga wokół sali.

Pamiętam też próby na stadionie w Dębicy, gdzie zestrzajaliśmy nasze płasy z płasami uczniów innych dębickich szkół średnich, a później takie same próby w Mielcu, na które zwieziono młodzież z kilku sąsiednich miast.

My, dziewczyny, byłyśmy ubrane w niewinne, króciutkie, białe tuniczki, uszyte według jednakowego wzoru. Najpierw zakupiono odpowiedni, delikatny materiał, pobrano od nas miarę, by opłacone krawcowe mogły odpowiednio poprzycinać materiał. Uszyciem tuniczek martwiłyśmy się już same. Moja domowa „singerówka” spisała się znów znakomicie. Wyglądałyśmy w tych tunikach jak wyrośnięte gąski, – jedne zbyt obfite, inne znów chudziutkie, duże i małe, zgrabne i takie sobie. Ale w ogromnej grupie prezentowałyśmy się okazale, choć w tańcach daleko nam było do jakichkolwiek balerin. Wiele z nas miało „głos do baletu, a nogi do opery”, ale nic to!. Tańczyłyśmy, bo nam zagrano!

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie”!

Gdy nastał ów ważny dzień, zawieziono nas do Rzeszowa, ale ze względu na przeładowany program artystyczny, a raczej na zbyt długasne przemowy oficjeli, przemaszerowaliśmy tylko przed trybunami w barwnym korowodzie. Ale pamięć tamtych fajnych lekcji i niektórych układów tanecznych żyje we mnie do dziś. A w białych, króciutkich tuniczkach musiałyśmy później maszerować w pierwszomajowym pochodzie, marznąć niemiłosiernie „ku chwale” święta pracy!

Pamiętam też, że to profesorka Grundboeck zaszczerpiła w moim sercu miłość do siatkówki. Zachęcała mnie do gry, wyznaczała do udziału w meczach szkolnej drużyny, choć nie byłam w tej dziedzinie żadnym orłem. Nieodściągłym mistrzem była natomiast koleżanka Marysia, zwana „Pchełką” – nieduża, zwinna i rzeczywiście skoczna jak pchełka.

Ja ciągle miałam wielkie kłopoty z serwowaniem, choć profesorka cierpliwie ustawiała mi rękę. Dopiero później uświadomiłam sobie, że przyczyną była pewnie moja leworęczność, o której profesorka nie wiedziała, bo skrętnie to ukrywałam i serwowałam prawą ręką – mniej przecież sprawną. Ale miłość do siatkówki pozostała. Do dziś pasjonuję się osiągnięciami polskich siatkarzy. Z wypiekami na twarzy śledziłam zwycięskie Mistrzostwa Świata drużyny Wagnera, „złotą” olimpiadę 1976 roku, czy późniejsze sukcesy, zwłaszcza naszych siatkarskich „złotek”.

Gdy profesorka Grundboeck przeszła na emeryturę, dyrektor Galas wciąż interesował się jej sytuacją domową, organizował pomoc, a my odwiedzaliśmy ją, wspominając dawne czasy. Po odejściu dyrektora Galasa nie zachodziła już – jak dawniej – do szkoły, ale np. skradała się pod okno

pracowni zajęć technicznych na parterze i przez okno wrzucała stępione noże, prosząc profesora Leszka Klabachę o naostrzenie. Bo on i inni dawni koledzy z pracy wciąż udzielali jej pomocy, a my zaglądałyśmy do niej na chwilkę rozmowy. Pewnego razu zachwycałam się drobnymi, urzekającymi fiołkami, które zakwitały w trawie na jej podwórku. Natychmiast wykopała mi całą garść tych kwiatuszków. Do dziś przypominają mi profesorkę, zakwitającą każdej wiosny ciemnym, aksamitnym fioletem.

Od 1982 roku wychowania fizycznego uczyła w naszej szkole profesorka Anna Łucarz – zgrabna, szczupła, jasnooka blondynka o silnym charakterze i walecznym sercu. Energiczna i promienna, pełna zapału i optymizmu, z dumą i nieodłącznym uśmiechem pokazywała nam – już emerytom – różne „atlas” i inne nowoczesne urządzenia, które zostały zainstalowane w naszej szkole w ramach unowocześnienia sprzętu sportowego.

Niestety, śmiertelna choroba zabrała ją z naszego grona. Mogliśmy tylko pożegnać ją z wielkim żalem na dębickim cmentarzu przy ulicy Wielopolskiej i zachować w życzliwej pamięci.

Od 1985 roku wychowania fizycznego uczył w naszej szkole profesor Zdzisław Żuber [pseudonim „Cygan”] – silny, ale „łagodny jak baranek” ciemny brunet, wzbudzający sympatię zuchowatą miną, bezpośredniością, bezceremonialnością, pogodą ducha i lekko drwiącym, zadziornym uśmiechem. Wyróżniał go głęboki, męski głos, w którym można było wyczuć na wpół żartobliwy, na wpół nonszalancki ton, no i „ten wąsik, ach ten wąsik”, który dodawał mu męskiego uroku!

Czasami trochę cyniczny, pozornie szorstki i sceptyczny, był tak naprawdę dobry „do bólu”. Podczas nauczycielskiej wycieczki do Warszawy zaprowadził nas do urokliwego sklepiku swej siostry przy rynku Starego Miasta, skąd przywiozłyśmy dla bliskich śliczne srebrne suweniry. Uczniów traktował po przyjacielsku, imponował im tężyzną fizyczną i siłą. Stąd fraszka:

„Jak pan to robi, profesorze,
My już padamy, a pan wciąż może?”

Przez krótki czas, od 1991 roku, pracował w naszej szkole jako „wufista” sympatyczny, pogodny, spokojny profesor Mirosław Zima [matura – 1986 rok], a od 1992 roku – profesorka Jadwiga Biernacka [Mytych] – absolwentka 1985 roku, moja uczennica.

Profesorka Jadzia była wysoką, smukłą, zgrabną, gibką blondynką o falujących, złotych włosach spadających lekko na ramiona i o ufnym spojrzeniu niebiesko-szarych, łagodnych oczu, w których czałł się czasem jakiś smutek, a czasem łobuzerski uśmiech. Zawsze sympatyczna, serdeczna, przyjacielska, o żywiołowej naturze, miło mnie zadziwiła, gdy z literackim zacięciem przygotowała część artystyczną na spotkanie nauczycieli, zwane „Herbatką u Władka”.

Od 1996 roku wychowania fizycznego uczył profesor Leszek Żyłka – wysoki, silny, krzepki szatyn, z delikatnym szronem na skroniach. Zawsze w dobrym nastroju, zawsze szarmancki wobec kobiet, energiczny, pewny siebie, uśmiechnięty, był doświadczonym obieżyświatem, animatorem sportu, trenerem piłkarskim i radnym miejskim.

Przywołani we wspomnieniach profesorowie reprezentują wszystkich tych, którzy uczyli i wychowali wiele pokoleń młodzieży, byli owymi „siewcami złota”, z nadzieją na obfite plony, przez cały okres działalności szkoły stanowili też dębicki establishment – najczęściej otaczani szacunkiem i życzliwością. Wszyscy zasługują na pamięć, wspomnienie, westchnienie, życziwe słowo. I ten, który:

„Dobry miły, pobłażliwy;
wprost ideał, chociaż żywy”.

I ten, który:

„Czasem głodzi, czasem dusi.
– Musi?”

Pamięć o profesorach – krucha i delikatna, nie ma mocy całkowicie oprzeć się czasowi. Nasze wspomnienia z dawnych lat coraz bardziej bledną, jak obrazy namalowane na źle zagruntowanym płótnie, kurczą się, szarzeją, odchodzą w niebyt. A słowa wielokrotnie zawodzą, nie potrafiąc oddać całej prawdy. Ale warto je utrzymywać; wszak nasi profesorzy byli postaciami niezwykle ciekawymi, wartościowymi, szlachetnymi, oddanymi swej pracy. A – jak pisał Krzysztof Górecki: „tylko ludzie z pasją, rozumiejący właściwie misję szkoły, mogli doprowadzić do tak wielu wspaniałych osiągnięć i dokonań”.

Za oknem już prawie mrok. Krzykliwy dzień ustąpił miejsca ciszy wieczoru, która pachnie zbliżającą się kolejną wiosną. Spoglądam w okno. „Każdy wieczór ma tu znajomą twarz”, a leniwa, szara godzina, którą tak lubię, ustępuje miejsca nocy.

Miękkie światło młodego księżyca otoczonego srebrzystą poświatą wplątuje się w gałęzie uspionych jeszcze wiśniowych drzew, rzucających na ścieżkę dziwaczne cienie.

„Księżyc swoją złotą twarz pochylił nisko, niech nie słucha, nie zrozumie naszych słów”.

Pamiętam. Powoli z mroku wypełził rój gwiazd, jakby ktoś niebo pochłapał złotą farbą. Wielki Wóz zawisał nisko nad horyzontem... Kuszący zapach kawy przywoływał do biurka.

Stos czekających na poprawę klasówek wydawał się nie do pokonania. Nic, to!

„Niemcy wstrzykiwali więźniom strzykawki.

Śmierć sprawiała mu przyjemność.

Rozbiory p o l s k i e nie złamały ducha p o l s k i e g o P o l a k o m.

Krasicki piętnował wady używając do tego kleru.

Polacy walczyli o wolność poprzez rozlewanie krwi b r a c i.

Górą nad zwierzchnikami, tj. chłopem był pan.

Zrozpaczony giaur wstąpił do kleru [klasztoru].

W scenie „Priam u Achillesa” Homer ukazuje, jak twardy i bezlitosny heros przeistacza się w litościwe p a c h o l ę c i e.

Ideał rycerza ukazany jest w „Pieśni o R o l a d z i e”.

Wzrok Potockiej, który zawsze kierował się ku ojczyźnie powypalał w niebie dziury.

Pod mnisim kapturem cechowała go duma.

Pozytywiści swe poglądy wyrażają wszędzie.

Romantyczny bohater kochał się przeważnie w dziedzicach lub dziedziczkach, co powodowało nieszczęścia.

„Szczawiowe, barchanowe” żony z wiersza Jasnorzewskiej chowane są na tłustej kaszy j a g i e l n e j.

W „Konradzie Wallenrodzie” osoba bohatera składa się z dwóch połów.

Aldona zostaje córką Wallenroda i Kiejstuta.

Starościna udaje c h o r o b l i w ą.

Czytając p o w o l i widzę obraz małego miasteczka ranną porą.

„Postój” Ważyka z powodu płynności znaczeń interpretować należałoby indywidualnie.

Każdemu czytelnikowi ukazać się musi odrębna wizja podczas analizowania osobiście utworu.

W otwartym oknie siedzi podmiot liryczny niewykluczone że pod wpływem a l k o c h o l u”.

CI NASI UCZNIOWIE...

Pamiętasz tutaj spędzone dni?
To był cudowny wiosny życia czas!
Do wiedzy tu się otwierał drzwi,
Tu się kochało pierwszy raz..."

Wakacje – okres gorącego lata – to dla nauczycieli i dla uczniów rajski czas kanikuły, gdy można oddawać się zasłużonemu lenistwu, można wyjechać gdzieś daleko lub wypoczywać w domu, na działce, nad rzeką, w lesie, na łące i można dziwić się światu w jego przepychu i pięknie.

Jonasz Kofta pisał:

„Kiedy się dziwić przestanę,
będzie po mnie!”

Wakacyjne dni dawały tyle możliwości! Można było na przykład, gdy tylko jaskrawy rąbek wschodzącego słońka ukazał się nad horyzontem i rodził się kolejny niewinny poranek, wyjść przed dom, a stamtąd iść przed siebie, hen, strącając z trawy paciorki chodnej rosy i jak Wisława Szymborska „unosić się w zachwycie i upadać od podziwu”. Bo letnia pora miała tak wiele barw!

Pamiętam. Biegnę ścieżką wśród łąk „utkanych ze złota, upału i kurzu” [Stachura], z rozkoszą chłonąc rześkie powietrze, przesiąknięte wonią ziół i kwiatów. Wzdłuż ścieżki błękitnieją bladoniebieskie cykorie, głębiej, w wysokiej trawie – cała feeria kwiatnych kolorów. Nad łąką już płasają różnoko-

lorowe motyle – piękne, lekkie, zwinne, ulotne, już brzęczą powolne, opasłe, mechate trzmiele buszujące wśród zieleni, już uwijają się wśród kwiecica „pracowite pszczoły, robiąc miód, który potem szlachci pańskie stoły”.

A „droga kończy się tam, gdzie zaczyna się niebo”. Janusz Pyziński w wierszu „Żeby szczęśliwym być” pisał:

„żeby szczęśliwym być wystarczy
kilka słońca promieni, kilka cieni
skradzionych spod drzew [...]
zaśpiewać skowronkiem
i z aniołem roztańczyć ciszę
wystarczy na stole położyć wodę i chleb
a rano bosą nogą przywitać”.

Można usiąść na chwilę, by zachwycić się przyrodą; tak bujną, tak piękną i tak swojską, można z policzkiem przytulonym do rozgrzanej ziemi chłonąć zapachy ziół i przyglądać się niebu, które powoli przemienia swój poranny błękit w rozgrzaną stal, a potem z książką w ręce przenieść się na chwilę w inne, nieznane światy.

Można bez końca gapić się na chmury, bo przecież, jak pisał sam wieszcz Adam: „każda chmura inna” i – jak znów pisała noblistka Wisława:

„ich właściwością jest
nie powtarzać się nigdy
w kształtach, odcieniach, pozach i układach”.

Dopiero gęstniejący upał zmusza do powrotu... Trwa skąpana w gorącym, nagim słońcu cisza południa. Powietrze aż drży i faluje, skąpe cienie pojedynczych drzew nie dają ochłody, więc uciekać trzeba w cienisty półmrok izby, gdzie przy zasłoniętych oknach można – sączać zimny kompot z wiśni, tak dojrzałych, że aż tryskających sokiem – podrzemywać w bujanym, plecionym fotelu i czekać na przedwieczorną ochłodę.

„Lato, lato, lato wszędzie...” Tak zawsze było w mojej krainie falujących zbóż, barwnych kwiatów i rosochatych wierzb, wyprażonych słońcem ściernisk i bocianów zbierających się na sejmiki – ostatnie przed odlotem.

Troszkę z żalem obserwowaliśmy powolne umieranie lata, zwiastujące powrót do szkoły.

Upały stawały się mniej natrętne, błyskawice coraz rzadziej cięły niebo, ale zbliżała się gorączkowa atmosfera ostatnich dni wakacji; kupowanie książek, zeszytów, przyborów szkolnych, przymierzanie mundurka: czy aby nie za mały?

Takie wspomnienia ostatnich dni wakacji, „gdy lato z ptakami odchodzi” ma pewnie każdy z nas. Tak je w „Prześwielonych wspomnieniach” opisał Jan Wiktor:

„Przeleciały dni wakacji pod skwarem, na ścierniskach, na zagonach, w lesie, nad rzeką, a nawet na weselach, w śpiewach chłopskich, w tupotach, że aż cegły domu drżały, a strzecha sędziwa o mało nie sfrunęła z krokwi, jak kapelusze ze łba. Trzeba było jechać”.

W pracach Anety Kwolek, Ewy Nowackiej, Antoniego Stańki, Arkadiusza Więcha i Edwarda Wodzienia, znajdziemy wiele takich wspomnień. Ja również do nich zaglądam. Poznaję też historie absolwentów naszej szkoły z innych dostępnych źródeł. I powiem, jak w tej bajce:

– Znacie?

– Znamy!

– No to posłuchajcie...

Ale jak to wszystko opowiedzieć? Nie za siedmioma górami, siedmioma lasami i siedmioma morzami, a w naszym mieście jest takie magiczne miejsce – duma pokoleń, „mekka utalentowanej młodzieży”: dębicka „Jagiellonka”, której mury – w ciągu ponad stu lat jej istnienia – opuściło wiele tysięcy absolwentów. „Prześledzenie ich losów, sukcesów naukowych i zawodowych jest rzeczą niemożliwą” – pisała Aneta Kwolek. Ale przecież warto przypomnieć choćby niektórych, zanim czas – ów „chytry lis” – nie wymaże ich z naszej kalekiej pamięci.

Jacy byli? Ładni i brzydki, bystrzy i ślamazarni, przeciętni i genialni, poważni i lekkoduchy, spokojni i rozbrykani, zdyscyplinowani i nie dający się okiełznać, czasami buńczuczni, a nawet krnąbrni, grymaśni, zbuntowani.

Większość stanowili bardzo zwyczajni uczniowie – bez ocen niedostatecznych, ale też bez piątek czy szóstek, nie sprawiający trudności wychowawczych, ale też nie wyróżniający się w jakiejś dziedzinie; tacy, co to nie bywają wzywani na dyrektorski dywanik, ale też nie stoją w kolejce po nagrody – w ogromnej większości sumienni, ambitni, uczciwi i poczciwi, pracowici i wytrwali, wyrastający na porządnych ludzi; wartościowych, szanowanych i odnoszących sukcesy.

Absolwent naszej szkoły Janusz Mrocčka pisał: „Społeczność uczniowska to z jednej strony zbiór utalentowanych, nieprzeciętnych indywidu-

alności, ambitnych i pełnych temperamentu, z drugiej strony to również młodzież tryskająca różnorodnością i nie zawsze poddająca się kierownictwu. Jak to ujął Gałczyński: „Bo żywy uczeń to kłopot dziki”...

Co z tym robić? Myślę, że nic. Bo gdyby uczniowie stali się wzorowymi, grzecznymi, pokornymi, to chyba w murach szkoły zapanowałaby nuda nie do wytrzymania”.

Mając trzydziestoletnie doświadczenie z pracy w liceum, mogę przyjąć, że nigdy nie było tam nudno.

Czas zaciera ślady pamięci. Zazwyczaj nie pamiętamy nawet wszystkich kolegów ze swojej klasy; ich imion i twarzy, wypowiedzianych słów, zachowań, sukcesów i porażek. Spotkanych po latach – często nie rozpoznajemy, ponieważ zupełnie się zmienili. I nagle podchodzą do nas i witają się pewni siebie, wymieniają nasze imię, a my wciąż nie kojarzymy, kim są. W czasie rozmowy przypominają nam różne sytuacje związane z naszym pobytem w szkole, ale obrazy wspomnień są zamazane i trudno uchwytne. Tak jest i z naszymi uczniami.

W każdej chyba dębickiej rodzinie, a także w rodzinach mieszkających w okolicznych miejscowościach żyją absolwenci naszej „Jagiellonki”; tam drzemią też – zaplątane w przeszłość – ich szkolne wspomnienia. Wielu wyfrunęło w świat, ale też wielu zostało tu – w Dębicy. Spotykam ich w urzędach, w sklepach, na ulicy, w szpitalu. Zazwyczaj miło pamiętają szkołę i lekcje języka polskiego; obdarzają uśmiechem, przywołują jakieś zapomniane uczniowskie historie, nie pamiętają przykrych uwag czy dwójek, które przecież niekiedy się zdarzały. Wśród nich są moi krewni, z którymi bywam na różnych uroczystościach, nauczyciele liceum, z którymi się przyjaźnię, pewna Anka [matura – 1989], której mamę uczyłam w szkole podstawowej, czy mój lekarz pierwszego kontaktu. Ale najważniejszymi absolwentami są, oczywiście, moje dzieci i synowa.

Niestety, wielu byłych uczniów naszej szkoły nie znajdzie tu żadnej wzmianki o sobie; choć ciepło myślimy o wszystkich.

Tu próbuję przypomnieć choćby niektórych – tych najsławniejszych i tych, zapamiętanych najmilej.

Od początku istnienia szkoły corocznie zasiadali w ławkach nowi uczniowie: dziewczęta i chłopcy – jeszcze nieopierzeni, jeszcze dziecienni, ale pragnący zdobywać wiedzę, snujący marzenia o przyszłych karierach, mający otwarte głowy, chłonący wszystko jak gąbkę, twórcze umysły o niewyobrażalnym potencjale, gorące serca, przeżywające wszystko najmocniej, jak się tylko dało, nieoszlifowane diamenty, oddane nam do obróbki.

Młodość dodawała im skrzydeł. A my, nauczyciele, mieliśmy świadomość, że wychowujemy twórców przyszłości.

Jeden z pierwszych absolwentów gimnazjum – Wojciech Wójcik pisał: „Wielu byłych maturzystów dębickich zajmowało poważne stanowiska na terenie kraju”. I wymieniał znanych dębiczan. A profesor Antoni Wozowicz tak wspominał swoich byłych uczniów: „Byli to mądrzy, wspaniali ludzie, których praca zawodowa i kariery są dla mnie, poniekąd, osobistą dumą, satysfakcją oraz nagrodą za trud i wysiłek włożony w ich edukację. Cieszę się, gdy dowiaduję się jak ułożyli sobie życie, jakie mają kłopoty i osiągnięcia. Bo nadal traktuję ich jak swoich uczniów”.

Iluż ich było! Ile różnych sylwetek, twarzy, par oczu, zamyśleń i uśmiechów, charakterów, historii, imion!

Patrzac na przykład na rejestr absolwentów zamieszczony w opracowaniu Anety Kwolek, możemy sobie wyobrazić te tłumy o różnych nazwiskach, wyglądzie, charakterach i życiorysach, możemy też prześledzić, jak zmieniały się np. mody na imiona, które posiadali. Najwięcej było zwyczajnych, typowych, po kilka takich samych w klasie, co wymagało używania dodatkowych rozróżnień, ale też wiele było niezwykłych, wymyślnych, oryginalnych.

Początkowo powtarzające się imiona to Jan, Ludwik, Władysław, Stanisław, Franciszek, Kazimierz, Helena, Zofia, ale też Bazyli, Alojzy, Maurycy, Filip, Klementyna, Ernestyna, Adolfina, Felicja, Elwira, Antonina, Waleria, Gabriela, Genowefa, Aldona, Konstancja. Później – Sylwester, Marcin, Piotr, Andrzej, Rafał, Szymon, Janusz, Bogusław, Paweł, Adam, Zyta, Krystyna, Irena, Urszula, Danuta, Maria, Beata, Monika, Iwona, Joanna, Katarzyna, Marta, Daria, Ewelina, Agnieszka, Agata, Dorota, Anna, Ewa. Wreszcie: Lucyna, Jolanta, Renata, Barbara, Lidia, Zuzanna, Julia, Marcin, Maciej, Jacek, Jerzy, Konrad, Robert, Patryk, Tomasz, Łukasz, Krzysztof, ale też Odyseusz, Dominika, Aniceta, Honorata, Gertruda i wiele, wiele innych.

Spoglądając na spis absolwentów z lat mojej pracy w liceum, znajduję nazwiska moich uczniów, przypominam sobie ich twarze, różne szkolne epizody z ich udziałem, czasem miejsce w ławce, które zajmowali, jakiś uśmiech, rozmowę, wydarzenie... I chociaż najwięcej było pośród nich tych „typowych” – grzecznych, pilnych, zdyscyplinowanych, skromnie, po uczniowsku ubranych, to przecież najbardziej zapamiętywało się tych, co to – jak rajskie ptaki [„orły, sokoły, herosy...”]: odmieńców, urwipołciów, buntowników, wyjątkowych pracusiów lub nagminnych leniuszków, artystów, zapaleńców, szczęśliwców lub nieszczęśników, smutasów i marzycieli, i tym podobnych indywidualistów.

Niektórzy z nich jawią się po latach jak zatrzymani w kadrze: piękna dziewczyna z łysą głową, walcząca z rakiem i wygrywająca tę walkę, chłopak idący schodami na drugie piętro, gdzie odbywała się szkolna dyskoteka, ubrany awangardowo – w ciężkich glanach, z agrałką w uchu, gotowy na ostrą reprimendę ze strony dyżurującego nauczyciela, a nawet na odesłanie go do domu, ale uparty i buntujący się przeciw surowemu regulaminowi, flegmatyczny, młodociany poeta, ciągle błakający się po korytarzach, para zakochanych uczniów, całująca się pod „Wiktorciem” itd. itd.

Pamiętam cichutką, grzeczną Anię z wioski mojego dzieciństwa, która miała przepiękny głos i kochała śpiewać, a chociaż nie została zawodową solistką, do dziś jest ozdobą wesel i różnych imprez, a także kościelnego chóru. I sąsiadkę Agnieszkę, proszącą mnie o fraszkę. Napisałam więc:

„O Adze powiem tylko dwa słowa:
To uczennica była wzorowa.
A kiedy ma się same zalety,
Nie ma się czego czepiać, niestety!”

Pamiętam przesympatycznego Arturka [absolwenta z roku 1999] – piekielnie przystojnego i piekielnie inteligentnego, ale z trudem poddającego się szkolnym rygorom, Krysię [absolwentkę z 1987 roku], siedzącą zawsze cichutko w pierwszej ławce koło drzwi; drobną, skromniutką, ale o genialnej zdolności zapamiętywania – raz przeczytany długi tekst powtarzała z pamięci prawie bezbłędnie, a bardzo chętnie zgłaszała się do różnych referatów i prezentowała je wprost wzorowo czy „omnibusa” Szymona [matura 1999 rok] – „multiolimpijczyka”, świetnego z każdego przedmiotu.

Pamiętam „okularnika” Jarka [absolwenta z 1999 roku] – dziś doktora nauk informatycznych, pracującego na Uniwersytecie Jagiellońskim, który był świetny w przedmiotach ścisłych, więc na moich lekcjach też posługiwał się „językiem komputerowym”; jego wypowiedzi ograniczały się do naprawdę niezbędnej ilości słów, a zadania przekraczały wszelkie normy lapidarności, co budziło mój wielki niepokój o jego pracę maturalną, która musiała być przecież dość obszerna. Jarek jednak stanął na wysokości zadania; choć wiem, z jak wielkim trudem przychodziło mu „ubarwianie” swojego maturalnego „dzieła”, by miało wartości nie tylko merytoryczne, ale też literackie.

Ogromnie ciekawą postacią był absolwent z 1989 roku – Andrzejek [tylko taka zdrobniła forma imienia była możliwa do użycia w jego przy-

padku]; drobniutki, o dziecięcym wyglądzie, z przesympatyczną twarzą i niesfornymi loczkami, permanentnie spóźniający się na lekcje. Przychodził niewyspany, trochę nieprzytomny; widać było, że zarywa noce nad książką. Był bowiem typem naukowca i jak typowy naukowiec czuł się zagubiony w realnym świecie; chodził wciąż roztargniony, gubił zeszyty, nie trafiał do właściwej pracowni, a jego myśli bujały gdzieś w innym wymiarze. Byłam jego wychowawczynią. Gdy wyjeżdżał do Warszawy na różne konkursy, czy olimpiady, przysyłał mi dowcipne karteczki; niektóre z nich przetrwały do dziś. Na jednej z nich, z marca 1989 roku czytam:

„Najserdeczniejsze pozdrowienia z ostatnich 10 minut w Warszawie przesyła Andrzej.

Ps.1. Mina grobowa.

Ps.2. Fajnie jest w nocnych lokalach [żart]”.

Na innej, z kwietnia 1989 roku: „Pozdrowienia pożegnalne z łezką w oku przesyła krnąbrny uczeń Andrzej.

Ps. Niestety, to ostatnie moje olimpijskie ślenia ku Pani Profesor”. I jak tu mogłam nie kochać takiego „Jodły” [to jego pseudonim, którym czasem się podpisywał]!

Nie mogę zapomnieć – i absolutnie nie chcę – wielu innych, o których zawsze myślę serdecznie i ciepło:

Zdzisek – absolwent z roku 1980, dojeżdżający z jakiejś wioseczki, niezbyt wierzący w siebie, ale pracowity i inteligentny. Utwierdzany przeze mnie w przekonaniu, że ma wielkie zdolności i zachęcany do udziału w olimpiadach, nie tylko okazał się bardzo dobrym uczniem, ale zrobił karierę naukową. To od niego usłyszałam najcieplejsze chyba słowa: – „Profesorka zrobiła ze mnie człowieka”;

Janusz [absolwent z roku 1980 roku] – dziś samorządowiec; mając skierowanie do szpitala na jakąś operację, przesunął jej termin, by wziąć udział w akademii, którą długo w szkole przygotowywaliśmy. Nie chciał mnie zawieść. I nie zawiódł.

I inny Janusz [absolwent z 1983 roku] – elokwentny, czytany, zawsze witający mnie – wchodzącą do klasy – z szelmowskim uśmiechem; tak szelmskim i pięknym, że natychmiast wyparowywało ze mnie wszelkie zafasowanie. Bardzo go lubiłam, choć wielu nauczycieli wołało uczniowską powagę niż ten jego uśmiech. Natomiast ja zawsze od ślepego posłuszeństwa wołałam kreatywność, nietuzinkowość, fantazję.

Janusz był szczuplutki, ale ruchliwy, ciągle dogadujący, ciągle wtrącający swoje trzy grosze, zawsze skłonny do żartów i psot. Kojarzył mi się z anegdotą o czyżyku:

Pani prosi, by uczniowie wymieniali znane ptaki w kolejności alfabetycznej.

– Jaki ptak zaczyna się na „a”?

Jasio się zgłasza: – Czyżyk?

– Źle. Albatros. A na „b”?

Jaś znów swoje: – Czyżyk?

– Źle. Bocian.

Jasiu, nie strój sobie żartów. Wyjdź za drzwi.

Dzieci, a teraz ptak na literę „c”.

A Jasio, uchylając drzwi: – Czyżby czyżyk?”

Janusz był dowcipny, trochę ironiczny, ale nigdy złośliwy, ordynarny czy niemiły. Za to piekielnie inteligentny, a przy tym przystojny i elegancki. Wciąż z radością go wspominam.

Ze wzruszeniem wspominam przemiłego Mariusza z Pilzna [matura – 1990 rok]; po strasliwym wypadku samochodowym, który zdarzył się podczas jego powrotu ze studniówki, leżał unieruchomiony w łóżku, w wielkim kokonie białych bandaży i obdarowywał nas zawsze najpiękniejszym uśmiechem, gdy odwiedzaliśmy go, by pomóc mu w przygotowaniu do matury. Długotrwałe pobyty w szpitalu zdecydowały o podjęciu przez niego studiów medycznych. Po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych prowadzi praktykę lekarską.

Ciepło wspominam też mojego wychowanka Jacka [matura – 1993 rok], zakochanego bez pamięci w koleżance z klasy. Zdesperowany z powodu jakiegoś nieporozumienia, „w miłosnym szale” wybiegł na szkolne podwórko, złapał stojący tam dziecięcy rowerek i z impetem wjechał nim w hałdę węgla. Wyglądał potem jak „siedem nieszczęść”: zakrwawiony, pobijany i umorusany na czarno.

Do dziś podziwiam niezwykle szlachetnego Jurka [matura – 1982 rok]. Siedząc w pierwszej ławce z niedosłyszającym Wieśkiem na każdej lekcji pomagał koledze, by ten wszystko zrozumiał, zdążył zapisać i przygotować w domu. A ów Wiesiek był niesamowicie zdolnym i pracowitym uczniem. Został księdzem i poświęcił się karierze naukowej.

Ania [absolwentka z 1992 roku] utalentowana humanistycznie – tak jak jej mama, profesorka języka polskiego w Liceum Ekonomicznym – zawsze chętna do udziału w konkursach, akademiach, dodatkowych zaję-

ciach polonistycznych; przewodziła dziewczynom z klasy [bo była to klasa żeńska], gdy niespodziewanie musiałam iść na operację wyrostka.

Pamiętam. Daremnie przekonywałam lekarza, że nie mogę się zgodzić na tę operację, bo za parę miesięcy mam maturę, a on tylko się uśmiechał. Ale okazało się, że nikt z nauczycieli nie musiał mnie zastępować. Przekazywałam ze szpitala tematy lekcji i pisemne wskazówki Ance, a potem dziewczyny uczyły się samodzielnie i także powtarzały materiał maturalny. Byłam dla nich pełna podziwu. A maturę zdały pięknie.

Pamiętam też uczennicę [niestety, zapomniałam jej imienia], która dowiedziawszy się że zakładam przydomowy ogródek, przyniosła mi sadzonki różnokolorowych pierwiosnków i tę, która cudownie [jako prezent od klasy na Dzień Nauczyciela] – zaśpiewała dla mnie piosenkę Edyty Gepert „Modlitwa”. Był to chyba najcenniejszy podarunek, jaki dostałam od uczniów. Oczywiście, oprócz kwiatów, które zawsze kochałam. Moi wychowankowie szybko się zorientowali, że najbardziej lubię żółte róże, więc przy różnych okazjach na moim biurku było aż żółto od tych cudnych kwiatów. Takich chwil i takich uczniów się nie zapomina.

Zdarzali się oczywiście i tacy, którzy nad wszystko cenili luz, beztroskę, nawet cwaniactwo, uważający – jak ów bohater kabaretowej piosenki Piotra Bukartyka „Luz i zapal” – że „lepiej się wstydzić przez pięć minut [podczas odpowiedzi] niż dwa tygodnie ćwiczyć”. Ale na tych spuścimy zasłonę milczenia.

Tak jak ja, każdy z nauczycieli naszego liceum mógłby bez końca wspominać swych wychowanków.

Najbardziej byliśmy dumni z olimpijczyków, których sylwetki i osiągnięcia możemy poznać dzięki informacjom na stronach internetowych liceum. Dowiadujemy się z nich, że olimpiady szkolne w Polsce pojawiły się pod koniec lat czterdziestych dwudziestego wieku i że „pierwsze wzmianki o sukcesach w tych olimpiadach w I Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy pochodzą z 1956 roku; odnieśli je uczniowie profesora Władysława Zielińskiego. Do sukcesów z chemii wkrótce dołączyły osiągnięcia z matematyki uczniów profesora Władysława Kuliga”. Od tego czasu corocznie przybywało olimpiad z różnych przedmiotów i corocznie nasi reprezentanci zdobywali w nich czołowe miejsca. W sumie w ciągu około siedemdziesięciu lat „ponad 170 uczniów brało udział w zawodach finałowych 24 olimpiad – zdobyli co najmniej 269 tytułów. Do olimpiad przygotowywało ich ponad 50 nauczycieli [...]. 12 razy uczniowie „Jagielly” reprezentowali Polskę na zawodach

międzynarodowych”. Niektórzy z olimpijczyków [Joanna Kędzior, Ryszard Kulig, Aneta Piątek] zostali później profesorami naszej szkoły.

W jednym z numerów miesięcznika „Perspektywy” z 1999 roku mogliśmy np. przeczytać taką informację: „Dzięki sukcesom naszych uczniów w olimpiadach przedmiotowych jesteśmy najlepszą szkołą w województwie podkarpackim [według rankingu 99 liceów 1999 roku]”.

Leonardo da Vinci twierdził, że „zły to uczeń, który nie przerósł mistrza”. Wielu byłych dębickich licealistów „przerosło swych mistrzów”, „zdobyło sławę i uznanie w świecie nauki, zrobiło karierę w polityce, biznesie, kulturze” [Aneta Kwolek].

Ksiądz Grzegorz Baran nazwał gimnazjum „Alma Mater” dla wielu wybitnych obywateli, którzy później odegrali ważną rolę w życiu kulturalnym i politycznym Polski. Warto wciąż ich przypominać, bo są chlubą naszej szkoły.

Wilhelm Mach, po jednym ze spotkań z kolegami-absolwentami gimnazjum pisał:

„Myślę o rozmowach z kolegami z Dębicy [...]. Rysują one trudny do utrwalenia deseń myśli, przekonań, poglądów – miesza się w nich i kłóci wiara ze zwątpieniem, zgoda na nowe życie i nieufność, „tak” i „nie” [...]. Ślad ich stóp jest kapryśny i zagmatwany, jawi się, to znów niknie”.

Rzeczywiście, ów ślad stóp uczniowskich, „kapryśny i zagmatwany”, tworzy niezwykłą mozaikę utkaną z różnorodnej materii, skrzącą się wieloma barwami.

Przybywali tu, by spełniać marzenia swoje i swoich rodziców. I wracają. Bo są miejsca stworzone do tego, by za nimi tęsknić. Nasza szkoła jest dla wielu jednym z takich miejsc. Teraz ja stąпам po tych, dobrze mi znanych, wydeptywanych przez pokolenia uczniów, schodach. Jestem ciekawa, w którym miejscu moje kroki krzyżują się i przenikają z krokami tych, którzy nimi chodzili przed laty: Jan Wiktor, Wilhelm Mach, Jan Łomnicki, Krzysztof Penderecki, Janusz Mrocza ...

Wysoki poziom nauki, świetni wykładowcy, ambicje uczniów, krzewione w szkole idee, jak ta wymieniona przez Wiktora: „Rozpalaj serce miłością, wzbogacaj umysł, hartuj duszę. Bo z czym chcesz iść do wolnej Polski?”, atmosfera sprzyjająca rozwijaniu różnych zdolności i umiejętności – wszystko to sprawiało, że gimnazjum rychło mogło być dumne ze swych absolwentów, choć zdobycie matury często bywało okupione wielkim trudem.

Jan Wiktor pisał: „Uczniak do późna w noc ślęczał przy naftowej lampce nad książką, gryzmolił zdania, wyluskiwał słowa, zaciskał pióro w zgrabiałych palcach, a w oczach miał chyba ognisty piasek; wkuwał często niezrozumiałe ustępy, bo nie mógł objąć umysłem napotkanych tajemnic. Przecież znalazł się w nowym, niespotykanym świecie. Był podobny do kaleki, który wlecze się po drodze, patrzy, widzi, a mrok go otacza. Musiał odmienić swoje zachowanie, a nawet ruchy, żeby upodobnić się do otoczenia [...]. Nie mógł się niczym różnić od miastowych. Ale cham zawsze cuchnie oborą na sto mil, choćbyś go miodem smarował”.

Dużym problemem był język, którym się posługiwał – gwara, z której dworowali i koledzy, którzy „śmiali się naśladując mowę chłopską” i nauczyciele, obniżający oceny za stosowanie nieliterackiego języka. „Ileż to było śmiechu, gdy użył gwarowego wyrażenia. Nikt nie pomyślał, że to klejnot wyłupany z korony mowy polskiej sprzed wieków zachowany w kurnej izbie. Trzeba było się ich wstydzić, wyrąbywać z siebie jak kliny wbite w dębowy pień”.

Pamiętam, że jeszcze za moich czasów szkolnych niektórzy koledzy pokpiwali z gwarowych powiedzeń, a i nauczyciele wytykali niebacznie wypowiedziany dialektyzm, jako coś gorszego. Jakże proroczo Wiktor nazwał tę pogardzaną gwarę „koroną polskiej mowy”! Dziś dialekty to przedmiot dumy; są pielęgnowane, odtwarzane, utrwalane. Zajmuje się nimi nawet osobna nauka – dialektologia.

Aneta Kwolek pisała: „Struktura narodowościowa i religijna uczniów gimnazjum w okresie 1900-1918 była niemal jednolita”; prawie wszyscy deklarowali narodowość polską, w przeważającej mierze byli katolikami, ale byli też uczniowie wyznania Mojżeszowego”. O owym żydowskim pochodzeniu świadczą imiona absolwentów: Sydon, Chaim, Boruch, Mojżesz, Izrael, Rachela, Chaja.

Edmund Galas wyliczał, że „przeważali synowie mieszczan z Dębicy, Pilzna, Ropczyc, Sędziszowa, ale również sporą grupę stanowili synowie chłopów z tego terenu oraz z rejonu mieleckiego, tarnobrzeskiego i jasielskiego”.

Uczniowie szybko się zaprzyjaźniali i zupełnie się nie liczyło to, kto pochodzi z jakiej rodziny.

Potwierdzał to absolwent gimnazjum Adam Przewłocki: „Wszyscy byliśmy równi, normalni. Nie było wśród nas różnic klasowych czy wyznaniowych [...]. Stanowiliśmy zwarty, prawdziwie demokratyczny koleżeński kolektyw. Lepsi pomagali słabszym. I to wszystko.”

Jednak ta opinia Przewłockiego o „normalności” – co podkreślała profesorka Aneta Kwolek – była chyba zbyt wyidealizowana. Jako dowód przytoczyła wspomnienia innego absolwenta – Michała Urbanka: „Gimnazjum dębickie stawiało się jakby azylem dla rozmaitych niebieskich ptaków, spryciarzy, kombinatorów rozumujących, że w gimnazjum rozwojowym, nie mającym tradycji, łatwiej jest „bujac” profesorów, za nos wodzić kolegów, naciągając naiwne gospodynie na stancjach i prowadzić swobodne życie poza szkołą”.

Próbowano z tym walczyć. „Ustanowiono godzinę policyjną [...], zabroniono pokazywania się na ulicy z jakąkolwiek kobietą, nawet z rodziny, wymagano zezwolenia na chodzenie na ślizgawkę, saneczki, tenis, na zabawy koleżeńskie”.

Wiele z tych zakazów przetrwało do moich szkolnych czasów. Również wówczas nie można było pokazywać się na ulicy czy w kinie wieczorem, nie wolno było też chodzić np. do kawiarni. Uczeń zawsze i wszędzie musiał mieć przyszytą na rękawie tarczę szkolną i zawsze powinni mu towarzyszyć dorośli. Dostrzeżony wieczorem „na mieście” przez któregoś z profesorów, na pewno mógł się spodziewać solidnego pytania na drugi dzień, poprzedzonego drobiazgowym wypytywaniem i reprimendą. Nie daj Boże, gdy zobaczono go z młodą osobą płci przeciwnej. Nie tylko odpytywanie, ale opinia źle prowadzącego się często powodowała obniżenie zachowania.

Grono Pedagogiczne przez wiele lat było niezbyt liczne i wszelkie wiadomości o uczniach natychmiast docierały do wszystkich. Zdarzało się, że nawet kilku nauczycieli, przychodząc do klasy na lekcję, czyniło zaraz ironiczne uwagi, lub w karcących słowach wyrażało swą dezaprobatę czy oburzenie. Szybko przekonywaliśmy się, których profesorów należało poza szkołą unikać „jak ognia”, a w razie niefortunnego, przypadkowego spotkania – gdy nie udało się bezpiecznie wycofać – nisko się kłaniać i dobrze „wykuć” lekcje zadane do domu.

Społeczne pochodzenie uczniów po I wojnie światowej niewiele się zmieniło, o czym pisał dyrektor Edmund Galas:

„Przeważała tu jeszcze w 1928 roku młodzież chłopska, stanowiąca prawie 50 procent uczniów, oprócz tego sporą grupę stanowili synowie drobnych urzędników, pracowników państwowych poczty, kolei, rzemieślników i to chyba decydowało o atmosferze, w której lepiej aniżeli gdziekolwiek indziej czuł się Jan Wiktor – syn murarza z Radomyśla, Tomasz Dąbał – syn chłopa spod Tarnobrzega i wielu synów małych i średniorolnych chłopów z Bobrowej, Róży, Zassowa, Żyrakowa”.

Wśród tej wyliczanki pojawiła się też nazwa mojej rodzinnej wioski, z której rzeczywiście wiele dziewcząt i chłopców było absolwentami naszej szkoły. Wielu też później zasłużyło się działając „dla dobra wspólnego”. Pragnę tu wymienić choćby kilku: Roman Bonar [ps. „Zbryk”, urodzony w 1917 roku – działacz Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, żołnierz Gwardii Ludowej, który zginął w lipcu 1943 roku podczas pacyfikacji Bobrowej [jego imieniem nazwano jedną z ulic Dębicy], Leopold Harla [absolwent z roku 1947], Eugeniusz Kucharski [absolwent z roku 1954], Stanisław Kucharski [absolwent z roku 1966], Władysław Bielawa [absolwent z roku 1975], Agnieszka Skrzypek [absolwentka z roku 1995]. Wszyscy ci absolwenci – chłopskiego pochodzenia – dzięki swej pracy i talentom odnieśli w życiu wiele sukcesów, o czym pisałam w książce „Pola zielone...”.

Bobrowskie pochodzenie miały też: prawniczka, spikerka dębickiej rozgłośni radiowej – Maria Piękoś [absolwentka z 1948 roku] i Teresa Sehn [absolwentka z 1977 roku] – pochodząca ze znanej rodziny [jej stryj Jan Sehn był głównym oskarżycielem zbrodniarzy hitlerowskich; w tym Rudolfa Hessa]. W domu jej dziadków zorganizowano po wojnie filię szkoły podstawowej, w której uczyłam się od klasy piątej do siódmej.

Nauczycielkami zostały – pochodzące z Bobrowej: Marta Biduś [absolwentka z 1978 roku], Marta Pyrchła [absolwentka z 1994 roku], Aleksandra Osuch [absolwentka z 2001 roku], Urszula Zaborowska [absolwentka z 2001 roku].

Niewątpliwie, spośród najbardziej znanych absolwentów naszej „Alma Mater” wyróżnia się pisarz Jan Wiktor [matura -1910 rok].

Urodził się w 1890 roku w Radomyślu nad Sanem. Po ukończeniu szkółki ludowej w swojej wiosce, pragnął dalej się uczyć. Wybór padł na gimnazjum w Dębicy. Dlaczego tu? Marian Morawczyński pisał: „Tutaj istniało gimnazjum, w małej mieścinie, jedyne między Rzeszowem a Tarnowem, przeznaczone dla mniej zamożnych mieszczan, miejskiej i wiejskiej biedoty – dla nauczycieli, którzy nie zdołali uzyskać pracy w większych miastach lub będą tu karnie zsyłani za brak subordynacji władzom austriackim”.

Decyzja o podjęciu edukacji w obcym mieście, oddalonym od domu była dla wiejskiego chłopca wielkim wydarzeniem, prawdziwym wyzwaniem i ważnym doświadczeniem życiowym. Tu przeżywał trudy samodzielnego życia i poznawał kolegów, o których później tak pisał:

„Uczniowie ówcześni to istna zbieranina wymięciona z izb chłopskich, biedoty i zamożniejszych kmieci, z izb robotniczych, warsztatów rzemieśl-

niczych [...]. Mieszają się nazwiska szare jak zgrzebne płótno, twarde jak dębowe trzaski, gorejące jak żar wywiany z ogniska, a często obelżywe jakby to pluniecie pana dziedzica na ród poddanego – niech cham pamięta, przylepiłem mu miano, że przed wieki go nie odczepi”.

Te słowa Jana Wiktora o pochodzeniu uczniów „są ilustracją tezy o prowincjonalnym, i raczej plebejskim charakterze gimnazjum, z drugiej zaś strony świadczą o wzroście aspiracji związanych z wykształceniem wśród najliczniejszej grupy społeczeństwa galicyjskiego – włościan” – podkreślała Aneta Kwolek.

W latach mojej nauki gimnazjalnej dane o pochodzeniu społecznym w dalszym ciągu były ważną informacją, wpisywaną do dziennika obok personaliów uczniowskich i corocznie weryfikowaną. Wicedyrektor Galas – zgodnie z przepisami – prowadził dokładne statystyki dotyczące pochodzenia każdego z nas. Jak przed laty, również na przełomie lat 1950/1960 w naszym liceum przeważała młodzież chłopska z okolicznych wsi i ta, pochodzenia robotniczego.

Pamiętam, jak wicedyrektor na początku każdego roku szkolnego wchodził do klasy i zliczał nazwiska uczniów według owego pochodzenia. Podnosiliśmy ręce, a on skrupulatnie spisywał te dane. Byłam jedną z nielicznych, którzy deklarowali pochodzenie robotnicze, bo ojciec pracował w fabryce, a ziemi mieliśmy tyle, „co kot napłakał”, wielu zgłaszało – chłopskie i robotniczo-chłopskie, kilku – rzemieślnicze, nieliczni – inteligentkie. To robotnicze i chłopskie było najwyżej cenione w państwie, które też nosiło miano robotniczo-chłopskiego. Był nawet taki okres [od 1968 roku], że premiowano je dodatkowymi punktami przy staraniu się na studia.

Przeważali uczniowie z rodzin ubogich. Możliwość otrzymania stypendium mieli jednak nieliczni, a nawet niewielkie opłaty były wielkim obciążeniem; tym bardziej, że wielu uczniów [jeśli nie mogło mieszkać u krewnych] musiało korzystać ze stancji.

Marian Morawczyński pisał: „Mieścina bo mieścina, ale i tu utrzymanie dziecka kosztowało”. Zamożność młodych ludzi – szczególnie we wcześniejszym okresie działalności szkoły – można było poznać po języku, jakim się posługiwali, po ich ubiorach i po zachowaniu. „Chłopaki szły czwórkami do kościoła, byle jak odziani, ten i ów w ojcowskich chodakach, w portkach przerobionych ze starszego brata. Tylko na głowie czapka musiała być nowa i ta chełpiła się srebrnym G, to jakby herb kupiony za grosz wysupłany z węzełków za mleko, za jajka. Wśród tej czeredy wyróżniał się

elegancik w mundurku świetnie uszytym – to synalek adwokata, albo lekarza, albo dziedzica” – wspominał Michał Urbanek.

Jan Wiktor przyjechał do Dębicy w roku 1902. Po latach pisał: „Matka wyszykowała mundur, pierzynę, trochę smolnych drewek na podpałkę, w koszyku jaja, poleć słoniny, trochę ziemniaków. Pochlipując cicho, udzielała ostatnich rad, zanim wóz konny nie zaczął się toczyć po zapylonej drodze: „Słuchaj dobrze co ci mówię: nie wierz nikomu, myśl swoje, a kufereczek na kłódkę se zamykaj”.

Trudno było temu wiejskiemu chłopakowi zaaklimatyzować się w nowej szkole, trudno było zdobywać pozytywne oceny. „Uczyłem się pod zdechłym psem – wspominał po latach – co więcej, pod stu zdechłymi psami”.

W naszym gimnazjum Jan Wiktor przeżywał swoje pierwsze miłości i rozczarowania, tu odkrywał nowe idee, tu dojrzewał. Czytane lektury, wykłady nauczycieli, rozmowy z kolegami, własne przemyślenia, doświadczenia i marzenia – to wszystko kształtowało jego charakter, jego postawę wobec rzeczywistości, przekonywało o konieczności działania dla dobra wspólnego. Chłonał „nowe hasła: Odmienić świat, zapomnieć o sobie, poświęcić swoje szczęście pracy dla dobra skrzywdzonego człowieka. Judym zadał wiele bolesnych ran i ograbił młodość z piękna miłości, która w marzeniach gwiazdy znosi z nieba, która zrywa kwiaty z rajskich ogrodów [...]. Judym pogasił te gwiazdy, brutalnie zagarnął te róże i rzucił ofiarniczą ręką na śmietnik. Nie zwracaj sobie głowy mrzonkami, nie marnuj życia, bo służba dla społeczeństwa jest twoim nakazem i obowiązkiem”.

Jan Wiktor – zafascynowany nowymi ideami, podjął działalność w ówczesnej nielegalnej organizacji młodzieżowej „Promieniści”. W 1906 roku został nawet delegatem na zjazd tajnych kół „Promienistych” we Lwowie. „Ale – jak pisał Marian Morawczyński – kółko zostało zdekonspirowane, a Wiktorowi groziło wyrzucenie ze szkoły. Na szczęście na strachu się skończyło. Ale była sroga pokuta wyznaczona przez księdza Kotfisa, którą przyjął i na długo zapamiętał”.

Po latach – w charakterystycznym dla niego – ironicznym stylu, wspominał tamte chwile: „Skierowałem kroki ku kościołowi. Wrony zerwały się z wierzchołków drzew i zakrakały urągliwie, pewnie na widok nawróconego buntownika. Wróble pękały ze śmiechu i po swojemu wyćwierkiwały bluźnierstwa, żem sobie w końcu przypomniał Boga, kiedy nawiedził strach małą duszyczkę.

Sroka jak dostojnik w modnym fraku załśniła w świetle, zafalowała skrzydłami i pomknęła na przedmieście, skrzeczając, wygadując na kogoś,

czego nie można wyrazić w żadnym słowie ludzkim. Rozumiałem czeredę szyderców, ich kpiny i wcale się nie dziwiłem ich urągającej mowie.

Jednym spojrzeniem objąłem mroczne wnętrze nawy rozbłyskujące samotnym płomykiem wieczystej lampy. Bez namysłu podążyłem w znaną stronę. Zrazu biłem obcasem, aż w każdym, najbardziej zapajęczonym zakamarku rozlegał się trzask i echo. Później ściszyłem butne kroki i na paluszkach pokornego służebnika – jakby na skrzydłach gołębiczy wziętej z ołtarza pomknąłem w kierunku konfesjonału wtulonego w zaciszny kąt, gdzie codziennie katecheta czatował na grzeszników, przysięgających poprawę zapewniającą żywot wieczny.

„Jastrząb boży” odmawiał brewiarz [...]. Przy bocznym ołtarzu miejscowy proboszcz odprowadzał mszę. W mroku nawy znać było klęczące postaci pobożnych. Szepty modlitw ulatujące z posadzki spłynęły pod moje kolana, gdy przyklęknąłem na drewnianym stopniu słuchalnicy. Bez jednego słowa przechyliła się głowa katechety. Stuka uniosła się ku wargom i załśniła wyszytym krzyżem”.

Po maturze, którą zdał w roku 1910, przyszły pisarz planował początkowo studiować teologię, ale w końcu wybrał medycynę na Uniwersytecie Lwowskim.

Jak pisał jego biograf Józef Korpała: „Ciężka walka o byt i prawo do nauki skończyły się nieuchronną klęską; gruźlica z wyczerpania, tak, że na drugim roku studiów musiał zrezygnować z marzeń o podjęciu trudu nowego Judyma”. Po pobycie w kilku sanatoriach, „zagrożony śmiertelną chorobą, nie mając szans powrotu na studia, jął się Wiktor publicystyki, widząc w niej drogę do pisarstwa i literatury”.

Jako publicysta zadebiutował w roku 1914 na łamach „Przyjaciela Ludu” recenzją powieści Marii Jehame-Wisniowieckiej pt. „Kryjaki”. W czasie I wojny światowej pracował w Biurze Statystycznym Namiestnictwa, następnie podjął pracę w redakcjach kilku gazet, gdzie zamieszczał swoje liczne artykuły i reportaże. Pierwsza książka Wiktora pt. „Oporni” została opublikowana we Lwowie w 1919 roku. Tak zaczęła się jego nowa droga życia.

Jan Wiktor został autorem opowiadań [„Znajda”, „Zapomniany lotnik”, „Zbuntowany”, „Miłość wśród płonących wzgórz”, „Opowieści z Podhala”, „Wyznanie heretyka”, „Rozmowy pod kolorowym parasolem”] oraz powieści [„Papież i buntownik”, „Burek”, „Wierzyby nad Sekwaną”, „Orka na ugorze”, „Skrzydlaty Mnich”].

Dzięki talentowi i podejmowanej tematyce społecznej i patriotycznej szybko zdobył wielką popularność. Był wielkim miłośnikiem gór, piewą pienińskiej przyrody i autorem opracowań: „Od Dunajca do Jordanu”, „Pieniny i Ziemia Sądecka”, „Strzecha w cieniu drapaczy chmur”. Jego imieniem nazwano słynny, przepiękny pieniński wąwóz Homole.

W czasie II wojny światowej przebywał w Krakowie i w Szczawnicy, gdzie ukrywał się przed Niemcami. Jak pisał Olgierd Jędrzejczyk: „Pod koniec wojny, ten pisarz, pracownik „Społem”, pomagał usilnie kolegom pisarzom, przybyłym do Krakowa po Powstaniu Warszawskim”. W roku 1945 przewodniczył zebraniu krakowskich literatów i otwierał pierwszy po wyzwoleniu poranek literacki w Teatrze Starym w Krakowie.

Jan Wiktor cieszył się wielkim uznaniem; był wybrany posłem na sejm i wielokrotnie odznaczany, m.in. Złotym Wawrzynem PAN, czy Nagrodą Państwową I stopnia. W 1959 roku, z okazji 40-lecia debiutu literackiego pisarza, zorganizowano w Krakowie wielką uroczystość jubileuszową, w czasie której otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Tadeusz Bednarski pisał, że „zawód pisarski traktował Jan Wiktor jako posłannictwo szczególnej rangi. W jego autorskim credo, odczytywanym z fabuły, zawarte zostało franciszkańskie umiłowanie zarówno człowieka, jak i natury. Był budzicielem sumień, jak Prus, Strug, Orkan, Żeromski”.

A Roman Brandstaetter na swej książce „Wojna żaków z panami” napisał Wiktorowi taką dedykację: „Imć pan Jan Wiktor, pisarz dostojny i znamenity, co piórem w sercu maczanym pisze, podkrakowskiej ziemicy poseł, korona Krakowa, a potomek onego zacnego gminu, co o wolność nauki walnie się potykał”.

Fotografia autora „Pienin i Ziemi Sądeckiej” zrobiona w ulubionej Szczawnicy, ukazuje mężczyznę w średnim wieku, wyglądającego bardzo zwyczajnie; ot, jakiś przechodzień, w codziennej marynarce, w okularach, spoglądający pogodnie, sfotografowany na tle zielonego smreka. Żadnej wyniosłości, żadnej pozy. Takim naprawdę był, tak go zapamiętali jego współcześni.

Marian Morawczyński przedstawił jego wygląd, gdy przybył do naszego liceum na zjazd wychowanków w 1950 roku: „Z dużymi błyszczącymi oczami, białymi rozwichrzonymi włosami, postać jakby żywcem przeniesiona ze „Starej baśni”. A we wspomnieniach Jalu Kurka jawił się jako „siwy pan o długich jak Wernyhora włosach, czarnych brwiach i oczach jak czarne jagody”.

Patron naszej szkoły w latach 1973-1989 spogląda też na nas, wchodzących schodami na piętro liceum. Tam, na półpiętrze znajduje się jego popiersie.

Jan Wiktor pozostawił cenne wspomnienia z czasu pobytu w naszej szkole; te „prześwietlone” przez czas i pamięć. Zmarł w Krakowie w 1967 roku i został pochowany w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Rakowickim. W Dębicy, którą zawsze mile wspominał, ma swą ulicę.

„Gdy w roku 1950 odbył się jubileuszowy zjazd wychowanków gimnazjum, Jan Wiktor, zabierając głos – pierwszy po referacie ówczesnego dyrektora Jana Czyhina – w hołdzie złożonym swojej szkole mówił: „Z gimnazjum wynieśliśmy tchnienie zaczerpnięte z wielkiej poezji romantycznej, które żywiło nasze czyny i było drogowskazem. Z tego gimnazjum wynieśliśmy nakaz, który brzmiał nam w ciągu późniejszego życia na wszystkich ścieżkach, w każdej godzinie: Polska i Polak. I drugi nakaz: prawda, miłość i sprawiedliwość są podwalinami szczęścia na ziemi i to jest tylko wieczne, co z dobra wyrasta”.

Takimi ideami zapewne kierował się też absolwent naszego gimnazjum, urodzony w Paszczynie – Henryk Jedynak.

Henryk Jedynak po maturze – zdanej w 1912 roku – studiował w Akademii Rolniczej w Dublanach, ale po wybuchu I wojny światowej, jako członek brygad „Strzelca”, ruszył do walki w Legionach. Ciężko ranny w 1915 roku na Bukowinie, po podleczeniu powrócił do oddziałów walczących na Wołyniu i pod Wilnem. Za swe wojenne zasługi został odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari” i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Po wojnie kontynuował studia w Danii, Francji, Szwajcarii i w Niemczech. Od 1922 roku był posłem na sejm z ramienia ludowców, pracując w wielu komisjach sejmowych i piastując wysokie stanowiska państwowe; w tym godność wicemarszałka sejmiku.

Henryk Jedynak to znany w naszym regionie działacz społeczny, cieszący się wielką popularnością [ale też mający wielu przeciwników], to inicjator powstania w Dębicy rzeźni eksportowej i fabryki „Lignoza” w Pustkowie. Angażował się w akcję parcelacji majątków szlacheckich; m.in. w mojej wiosce – Bobrowej.

We wrześniu 1939 roku – jak pisał Edward Wodzień – „będąc dowódcą batalionu Wojska Polskiego najprawdopodobniej ochraniał ewakuujący się rząd. Następnie przedostał się do Palestyny i do zakończenia wojny pracował tam w misji cywilno-wojskowej. Ostatnie lata swego życia spędził w Anglii. Zmarł w 1966 roku w Londynie. Nasze miasto uhonorowało

Henryka Jedynaka, przyznając mu tytuł Honorowego Obywatela Dębicy oraz nazywając jego imieniem jedno z rond”.

Sławnym absolwentem „młodego” gimnazjum był też Tadeusz Münnich [1893-1959] – wnuk powstańca z 1863 roku, o którego losach dowiadujemy się dzięki jego synowi Krzysztofowi, pełniącemu funkcję Sekretarza Generalnego Instytutu Piłsudskiego w Londynie, a który w 2000 roku przysłał do naszej szkoły wspomnienia ojca pt. „Pierwsze kroki”. Dotyczą one lat 1911-1913, kiedy Tadeusz Münnich był uczniem gimnazjum w Dębicy.

Organizował wówczas i dowodził oddziałem „Strzelca”, złożonym głównie z uczniów naszej szkoły. Oddział liczył około 40 członków, a organizacja odegrała ważną rolę w wychowaniu fizycznym i patriotycznym młodzieży. Potwierdza to sprawozdanie dyrekcji gimnazjum, gdzie znajdziemy informację, że „na czele Korpusów Studenckich stanął w latach od maja 1912 do maja 1913 roku Tadeusz Münnich”. Rada Szkolna Krajowa zabroniła młodzieży gimnazjalnej uczestniczyć w organizacjach pozaszkolnych, ale dębicki gimnazjaliści działali w ruchu narodowowyzwoleńskim nielegalnie.

Tadeusz Münnich wspominał, że wraz z kolegami: Kazimierzem Jurczyńskim, Leopoldem Schonem, Wojciechem Pielczarskim, Stanisławem Szelowskim, Władysławem Rogiem, Tomaszem Saganem i Władysławem Morbitzerem postanowili utworzyć oddział tajnego „Związku Jastrzębskiego”. Od ucznia gimnazjum w Mielcu Münnich zdobył statut oraz instrukcje dotyczące działalności tej organizacji.

Pisał: „Statut wymagał ślubowania żołnierskiego, tajności oraz związanych z nią pseudonimów dla członków – wprowadzał dyscyplinę i hierarchię wojskową oraz organizację. Za cel stawiał walkę zbrojną o niepodległość i przygotowanie do niej [...]. Żywo poczęliśmy organizować nasz oddział [...]. Zostałem przez kolegów powołany na jego dowódcę [...]. Powstał rychło dość liczny oddziałek, około 40 członków [...]. Od razu rozpoczęły się zajęcia i ćwiczenia. Rozpoczęły się wykłady z taktyki i broni. Była wielka ochota do pracy, której poświęcaliśmy niemal wszystkie wolne od nauki godziny [...]. Były więc ćwiczenia formalne, wszystko bardzo „tajne”, wykłady na „stancjach” kolegów [Sagan, Róg] i u mnie”.

Ważnym wydarzeniem było nawiązanie kontaktów ze Związkiem Strzeleckim w Krakowie: „Wiosną 1912 roku przyjechał zapowiadany delegat komendy okręgu Kraków, oficer „Strzelca” [...]. Zebrany nasz oddział w tzw. Borku [gdzie była strzelnica austriacka] w szyku czekał na niego. Po złożeniu mu raportu i jego przemówieniu, odebrałem ślubowanie i od-

tąd staliśmy się częścią organizacji Związku Strzeleckiego” jako oddział „Związku Walki Czynnej”. Komenda oddziału pozostała przy mnie [...]. Utworzyliśmy szkołę podoficerską według programu związku. Tak rozpoczęła się regularna praca wojskowa. Jedynie na nocnych ćwiczeniach wojskowych, ale był zapał i wiara.

Nie było mundurów; uczniów stać było jedynie na czapki wojskowe, które nosili tajnie”.

W okresie dwudziestolecia Tadeusz Münnich kontynuował karierę wojskową. W 1938 roku otrzymał stopień pułkownika, a w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku pełnił funkcję adiutanta marszałka Rydza-Śmigłego. Po wojnie pozostał na emigracji w Anglii. Wtedy napisał swe wspomnienia z czasów młodości. Jego pamięć została uczczona tablicą umieszczoną na budynku naszego liceum.

W tym samym roku co Münnich, zdawał maturę w naszym gimnazjum Józef Rymut z Zawady. Wspominał, że chodził do szkoły na piechotę, a na wakacjach pracował przy torach kolejowych przebiegających niedaleko Zawady, żeby sobie zarobić na szkolne potrzeby. On również wstąpił do „Strzelca”, a po wybuchu wojny, do Legionów. Nie są jednak znane jego wszystkie wojenne ścieżki. Wiadomo, jedynie, że znalazł się we Francji i tam wstąpił do Błękitnej Armii generała Józefa Hallera. Później walczył w wojnie bolszewickiej i za zasługi bojowe awansował do stopnia kapitana, a w 1924 roku – do stopnia majora. Pracował na stanowisku wykładowcy w Centrum Wyszukolenia Artylerii w Toruniu, odbywał szkolenia we Francji, a od 1936 roku był dowódcą I Pułku Artylerii w Górze Kalwarii. W 1938 roku generał Juliusz Rommel, występując o awans dla Józefa Rymuta, napisał: „Solidny, skromny oficer, o dużej wiedzy fachowej – stale pracuje nad sobą [...]. Jest bardzo dobrym artylerzystą, korpus oficerski wychowuje wzorowo. Administrator i organizator wzorowy. Ponadprzeciętny. Zasługuje na awans”.

Po wybuchu II wojny światowej Józef Rymut jako dowódca oddziału Armii Lublin bronił linii Wisły na odcinku od Góry Kalwarii do Dębina, a po klęsce wycofywał się na wschód, by – po zaatakowaniu Polaki przez Rosjan – przedostać się wraz ze swym oddziałem do Rumunii, a potem na Węgry. Tam organizował przerzuty oficerów i żołnierzy. Został internowany w Egerze, gdzie prowadził działalność szkoleniową. Po nadejściu Rosjan obóz został ewakuowany, a Rymut znalazł się w oflagu pod Berlinem, skąd w 1945 roku wrócił do Polski. Mimo że był po zawale, zgłosił się do służby wojskowej. Od 1946 roku był dowódcą pułku artylerii Sudeckiej Dywizji

Piechoty w Jeleniej Górze w stopniu pułkownika. Zginął siódmego września 1947 roku śmiertelnie ranny podczas ćwiczeń artylerii. Został odznaczony Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi.

Wymienieni absolwenci dębickiego gimnazjum odebrali staranne wychowanie ideowe i kontynuowali szlachetne tradycje patriotyczne, które były pielęgnowane w naszej szkole przez cały okres jej działalności. One to wyznaczały drogi życiowe młodych ludzi, one prowadziły do udziału w skautingu, one sprawiały, że wielu z nich „składało głowę na ołtarzu ojczyzny”; zarówno w pierwszej, jak i w drugiej wojnie światowej.

Absolwent naszego liceum, wicepremier i minister gospodarki Janusz Steinhoff na akademii z okazji 100-lecia szkoły mówił: „Mój ojciec, pragnę to z dumą podkreślić, był wychowankiem tego właśnie gimnazjum. Podobnie jak on, szereg innych wychowanków, także niedoszłych absolwentów, z poczucia obowiązku i najwyższych wartości patriotycznych, zapisało piękną kartę w walce o niepodległość ojczyzny”.

Potwierdzała to Lidia Górską: „W szkolnym archiwum zachowało się wiele zdjęć i dokumentów świadczących o udziale nauczycieli i uczniów w odzyskaniu niepodległości na tych terenach – dziś patrząc na fotografie tamtych uczniów nie sposób oprzeć się wrażeniu, że byli zbyt młodzi by umierać i jednocześnie zbyt dorośli, by pozostać z boku wydarzeń dziejowych, które ogarnęły świat. Na to byli zbyt dobrze przygotowani przez wychowanie i naukę przekazywane im w dębickim gimnazjum. Nie mogli i nie chcieli postąpić inaczej”.

Spróbujmy wraz z autorką wrócić wyobraźnią do tamtego gimnazjum sprzed I wojny światowej:

„Zagłównijmy do sal. Młodzi ludzie w mundurkach szkolnych, roześmiane twarze, figlarne błyski w oku. Dla wielu z nich przebywanie w szkolnych murach jest niejako awansem społecznym. Niewielu jest stać na mundur szkolny, który z taką dumą noszą. Wykładów swych profesorów słuchają z zapartym tchem [...]. Jeszcze tego nie przeczuwają, że ci starsi pójdą na wojnę, młodszy będą pełnili służbę na dębickim dworcu, gdzie jako ochotnicy Czerwonego Krzyża będą opiekowali się rannymi żołnierzami. Nie wiedzą, że wielu z nich zginie, inni nie wrócą już tacy sami; wojna wycisnie na nich swe piętno, a wśród tych, którzy powrócą z wojny, będzie wiele kalek. Dziś jeszcze o tym nie wiedzą, więc cieszą się młodością i dokazują na lekcjach”.

I tak było. Gdy nadszedł czas I wojny światowej – z dumą wyruszyli do walki, gotowi oddać życie za ojczyznę.

Antoni Stańko pisał: „Ruszają; obok synów mieszczańskich są również synowie chłopów z okolicznych wsi oraz synowie szlachty. Wspólny cel połączył tę młodzież skautową, która urodzona i wychowana w niewoli, szła walczyć o wspólną sprawę [...]. Rozkaz wyjazdu nadszedł niebawem, wzywając ochotników na mobilizację do Krakowa. Zgłasza się również profesor gimnazjum Tadeusz Gawryś, a wraz z nim 30 skautów – jego uczniów”.

W dniu 26 sierpnia 1914 roku około 30 młodych legionistów żegnała niemal cała Dębica. Nastrój niezwyklego podniecenia ogarniał wszystkich.

A oto wspomnienie jednego z młodych ochotników – Stefana Hermantsa:

„Tamtego dnia, gdy wezwano nas pod broń, w szeregu przeszliśmy ulicą [...]; panowało pewnego rodzaju zdziwienie [...], ogarnęła nas ekscytacja. Powstało zamieszanie, wołano i dyskutowano jeden przez drugiego, jakby dopiero teraz zaczęto sobie uświadamiać, co ma nastąpić. Składy pociągów, które wtaczały się na peron, syczące lokomotywy, zapach węgla i sadzy, tłumy chłopaków [...]. Te ostatnie chwile przed wyjazdem przeżywałem zbyt nieświadomie, wszystko działo się za szybko”.

W Krakowie dębickcy legioniści przemaszerowali do budynku „Sokoła”, a „ludność miasta – jak pisał Antoni Stańko – witała owacyjnie okłaskami i kwiatami dobrze prezentujący się oddział, jednolicie umundurowany i częściowo uzbrojony”.

Pluton dębicki został wcielony do IV batalionu i „każdego dnia oczekiwał wymarszu”. Rozkaz wyruszenia na front przyszedł 1 października. IV Batalion z Dębick pod Krakowem wyruszył na stację kolejową Bonarka, by dotrzeć do Karpat Wschodnich. 5 października młodzi legioniści dojechali do stacji Huszt i pomaszerowali na południe aż pod Angelów przy granicy polsko-węgierskiej. Tu, po zajęciu pozycji bojowych, wzięli udział w pierwszych, zwycięskich starciach z rosyjskimi Kozakami. Były kwiaty, wiwaty i śpiewy.

„Każdy żołnierz udekorowany został kwiatami jak na weselu. Gęby mieli uśmiechnięte, zadowoleni, jakby rzeczywiście jechali na wesele. Przewodzi im profesor Gawryś, mający stopień podporucznika” – wspominał dalej Stańko.

Janina Konarska, która ze współczuciem patrzyła na tych młodzieńskich chłopców, zapisała w swym pamiętniku: „Żał mi szczerze tych zapaleńców, bo to są dzieci, które nie potrafią daleko w przyszłość patrzeć, a jedynie idą za głosem tej wielkiej idei, jaką jest odrodzenie Ojczyzny i z bohaterstwem iście spartańskimi lecą w ogień – jak ongi ich praojcowie”. Potwierdzeniem

tamtych nastrojów może być wiersz jednego z młodziutkich legionistów, który z egzaltacją pisał:

„Spytałem wiatru, który w polu spał.
On odpowiedział:
– Niedługo siły zbiorę i wywieję kwiaty z włosów dziewcząt.
Zdmuchnę z ich szyj paciorki szklane.
Z oczu matek krwawe łzy popłyną i rzeki czerwienią zabarwią.
Ziemia purpurą się pokryje i ogniem spłonie.
Z popiołów świat nowy odrodzę [...].
Matki nowe dzieci powiją,
Chlebami piece zapełnią,
Sercem ogrzeją dusze nienawiścią skażone”.

W kolejnych potyczkach uczniowie naszego gimnazjum dawali liczne dowody męstwa, ale też odnosili rany i ginęli. Największą bitwę stoczono pod Mołotkowem – małą wioską nad rzeką Łukawiec, otoczoną zalesionymi górami, położoną w Karpatach Wschodnich.

Antoni Stańko wspominał: „W zagubionej, maleńkiej wsi rozegrała się krwawa bitwa II Brygady Legionów, w której poległ kwiat młodzieży polskiej, również i młodzieży dębickiej, razem z ich profesorem Tadeuszem Gawrysiem”.

Dramatyczną atmosferę tej bitwy opisała Monika Sznajderman w utworze „Pusty las”: „Pociski przerzynają powietrze z sykiem i szumem, a wbiwszy się w pozycje przeciwnika z piekielnym hukiem cisną w górę na kilka metrów wysoko ziemię, kamienie, belki, deski, karabiny i ciała ludzkie. Chmury duszącego dymu zalegają coraz to większą przestrzeń”.

Równie dramatycznie zapamiętał tę walkę jeden z jej młodziutkich uczestników – Janusz Stefan: „Z okopów widzimy pas błękitnego nieba, po którym wysokie białe chmury płyną jak marzenie, w mżawce zmieniamy się na warcie, o zmroku czołgamy się, biegniemy w butach, które są ciężkie jak ołów od kleistych grud gliny, co chwilę się wywracamy, albo widzimy, jak nasza menażka z jedzeniem zostaje zdeptana przez nieuważną stopę [...]; o zmroku, kiedy ogarnia nas żałość, śpiewamy piosenki”.

Jakie to były piosenki? – nie wiemy. Nie znali na pewno jeszcze „My, Pierwsza Brygada”, która powstała w 1914 roku, a później stała się hymnem Legionistów; w której znajdujemy znamienne słowa:

„O, ileż mąk, ileż cierpienia,
O, ileż krwi, wylanych łez.
Pomimo to nie ma zwątpienia,
dodawał sił wędrówki kres”.

„Chwilę później – wspominał dalej Janusz Stefan – słyszymy huk, rozpętuje się piekielna strzelanina, wrzaski i krzyki zarówno po drugiej stronie, jak i u nas, granaty latają tam i z powrotem [...]. Część legionistów wraz z porucznikiem Gawrysiem padła na jakie 50 kroków przed stanowiskiem karabinu maszynowego”.

„Na co się zdali ich chwalebne obyczaje, świetne wyniki w nauce, na co im się zdała ich młodość wypełniona marzeniami, wzniosłymi ideami, miłością? Rozpłynęli się, jak poranna mgła” – pisał z żalem Stańko.

„Byli wśród nich nasi gimnazjaliści: Jakub Mielecki – uczeń klasy VI, Antoni Pietruszka – uczeń klasy VII, Józef Popławski – uczeń klasy VII, Stefan Schohn – uczeń klasy VII, Władysław Walawski – uczeń klasy VII. Reszta zaległa, a potem wycofała się [...].

Nasi dębiczanie, pomimo że stracili swojego dowódcę, pozostali nadal wierni ojczyźnie i nie zaniechali dalszej walki o jej wyzwolenie. Przecież to byli skauci, wychowankowie profesora Gawrysia i nie mogli inaczej postąpić”.

Jak sam generał Roja twierdził w swej książce „Legioniści w Karpatach 1914-1915”, „te harcerzyki to był doskonały materiał na żołnierza. Pod Mołotkowem szli do ataku na cmentarz jak anioły”.

Wiemy, co nimi kierowało, wszak „w etosie staroświeckiego żołnierza, który zaniknął, jest coś takiego, co dla nas żyjących w czasach zamachów terrorystycznych i pełnych przemocy gier wydaje się nie do pomyślenia – pisał Janusz Stefan. Pokolenie tamtych żołnierzy dorastało jeszcze w duchu dziewiętnastowiecznej, stawiającej wysokie wymagania moralności, wraz z jej dumą, honorem i naiwnymi ideałami [...].

Niestety – dodawał – te wszystkie staroświeckie cnoty poległy w piekle okopów pierwszej wojny światowej, a okrucieństwa i masowe rzezie definitywnie zmieniły morale, wizję życia, mentalność oraz obyczaje tego pokolenia”.

Młodzi legioniści ginęli od początku wojny; nie tylko pod Mołotkowem, ale też na innych polach bitew: „Na stos rzucili swój życia los, na stos, na stos!”

Byli wśród nich m.in. nasi gimnazjaliści: Józef Szybist, Władysław Morbitzer, Jan Popławski, Henryk Guzy, Edward Leja, Wilhelm Węglowski.

Wielu uczniów gimnazjum pozostało w Dębicy, ale oni też nie byli bezczynni.

„Młodzi – pisała Lidia Górską – pomagają rannym w szpitalu, roznoszą herbatę i chleb. Aktywnie pracują w organizacji Czerwonego Krzyża. A potem, kiedy już wraz z rokiem 1918 wolność będzie zbliżała się do Dębicy, będą pełnić służbę wartowniczą przy moście kolejowym na Wisłocę, w szpitalach wojskowych i magazynach państwowych”.

Duża grupa uczniów klas starszych, tak jak i grupa studentów – absolwentów gimnazjum – została wcielona do wojska austriackiego. Edward Boehm, Władysław Skorus, Jan Styczeń, Władysław Geneja, Józef Deszcz polegli nie wiadomo gdzie, i nie wiadomo, gdzie są ich mogiły. Ranni pod Mołotkowem: Stanisław Szelowski i Mieczysław Zaworski, jak wielu innych – walczących na polach bitewnych I wojny – zostali inwalidami, ale byli dumni ze swej ofiary.

A społeczność uczniowska zawsze pamiętała o swych bohaterach. Już 18 czerwca 1916 roku odsłonięto w gimnazjum Tarczę Legionów. Kilkakrotnie też odbywały się nabożeństwa patriotyczne oraz żałobne za poległych, a także organizowano różne uroczystości wspomnieniowe dla uczczenia ich pamięci. Odzyskanie niepodległości uczczono w liceum szczególnie uroczystością po 100 latach od tego wydarzenia. Wtedy to – w 2018 roku wmurowano na gmachu liceum pamiątkową Kapsułę Pamięci.

Gdy Dębica „odzyskała niepodległość – pisała Lidia Górską – ci, którzy ocaleli, wracają do szkoły, by ponownie zasiąść w szkolnych ławkach, przygotowywać szkolne referaty, znów pewnie, jak dawniej, wymyślać psikusy, bez których szkoła byłaby nieciekawa może?

Tylko teraz oni są bardziej dojrzały, bardziej doświadczeni; i tylko szkoda i żal po tych, którzy nigdy nie wrócą. Nauczyciele spoglądają na ławki tych uczniów, którzy już nigdy w nich nie zasiądą [...].

Gdy rok 1918 przyniósł ojczyźnie wolność, powszechny entuzjazm, jaki zapanował – pisała dalej Górską – ogarnął wszystkich”. Młode pokolenie wstępowało w szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej, której komendantem na miasto Dębica był Franciszek Kolbusz, a zastępcą Bolesław Dynowski [absolwenci naszego gimnazjum].

Ziemia Dębicka powoli dźwigała się ze zniszczeń. Stawiano krzyże pamiątkowe w miejscach największych bitew, czczono bohaterów. W pierwszą rocznicę wyzwolenia odbyły się uroczystości kościelne z udziałem gimnazjalnej młodzieży, w czasie których szkolny katecheta – ksiądz Antoni Rejowski wygłosił płomienne przemówienie: „Polska zmartwychwstała!

I tę, tą chwilę wyśnioną, wycierpianą i wypłakaną, oglądamy teraz własnymi oczyma. W słońcu całkowitej wolności danem nam pierwszym stąpać po naszej ziemi. Wolni w mowie, wolni w czynie, wolni w każdym poruszeniu indywidualnego czy zbiorowego życia...

Dreszcz szczęścia wstrząsa duszą, a usta z niemym podziwem powtarzają za psalmistą:

„Od Pana się to stało, a jest dziwno w oczach naszych”.

W 1919 roku ustawiono na placu obok kościoła świętej Jadwigi piękną figurę Matki Boskiej – symbol wdzięczności za ową wolność, a w sali „Sokoła” odbyła się wielka uroczystość, w czasie której wystawiono patriotyczne widowisko wyreżyserowane przez profesora gimnazjum Jana Piotrowskiego; orkiestrą i chórem szkolnym dyrygował ksiądz Błażej Kotfis, a okolicznościowe przemówienie wygłosił profesor Józef Wyrobek. Oprócz tego, z tej niezwyklej okazji, 6 grudnia w auli szkolnej odbył się uroczysty „Poranek patriotyczny” dla wszystkich uczniów, a nazajutrz – w niedzielę – „Wieczorek” dla uczniów i rodziców.

Wcześniej jeszcze, bo 10 sierpnia 1915 roku zorganizowano – w ogarniętej wojną Dębicy – bardzo uroczysty pogrzeb bohaterowi walk o wyzwolenie – pisarzowi Jerzemu Żuławskiemu.

Było to naprawdę wielkie wydarzenie, w którym uczestniczyli wszyscy uczniowie naszego gimnazjum. O jego randze świadczy fakt, że – jak pisał Marian Morawczyński – „w uroczystościach wziął udział cały garnizon wojskowy, kolejarze krakowscy stacjonujący tu przy obsłudze dworca, a za staraniem koła TSL i lekarza garnizonowego doktora Kottasa oraz za zezwoleniem komendanta szpitala zakaźnego doktora Hamerschlaga – niemalże wszyscy mieszkańcy miasta, poddębickich wsi i młodzież szkolna z władzami miejskimi na czele”.

Jerzy Żuławski był pisarzem ogromnie popularnym, pionierem fantastyki w polskiej literaturze, którego Marcin Schirnar nazwał „polskim Orsonem Wellesem”.

W jego pracy o Żuławskim czytamy: „Codziennie pisał coś przy biurku, wysoki, kościsty, brodaty mężczyzna o czole myśliciela, długich ciemnych włosach, w skórzanym serdaku na ramionach, otoczony zapachem kawy i spiralą błękitnego dymku”.

Urodzony w Lipowcu w 1974 roku, Jerzy Żuławski uczęszczał do szkoły w Bochni, a następnie wyjechał na studia do Szwajcarii, gdzie uzyskał stopień doktora. Po powrocie do kraju został nauczycielem w gimnazjum w Jasle, gdzie uczył języka polskiego, niemieckiego, historii, logiki i psy-

chologii. Następnie przeniósł się do Krakowa, a wreszcie do Zakopanego. Tu współtworzył Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, działał też w szeregach „Strzelców”, a jako utalentowany poeta stworzył nowy typ wiersza tzw. kaskadowego [coraz więcej sylab w każdym wersie], który miał naśladować górskie kaskady w jego ulubionych Tatrach [zbiór wierszy „Intermezzo” z 1897 roku].

Gdy wybuchła „wielka wojna białych ludzi” wyruszył jako ochotnik do Legionów, kontynuując tradycję niepodległościową, głęboko zakorzenioną w jego rodzinie, a wpojoną mu przez ojca – powstańca styczniowego.

Marcin Schirnar tak ocenił jego decyzję: „On był w ogóle przedwczesny we wszystkim, co robił”. A motywy owej decyzji wyraził pięknie w wierszu „Do moich synów” [miał ich trzech], który analizowaliśmy na lekcjach języka polskiego, jako przykład poezji patriotycznej:

„Synkowie moi poszedłem w bój,
Jako wasz dziadek, a ojciec mój;
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legionami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i blizny
Do naszej wolnej ojczyzny”.

W liście do żony Jerzy Żuławski z ogromnym smutkiem opisywał zniszczenia, jakie poczyniła wojna m.in. w naszej okolicy: „Przejechałem konno pół królestwa wszerek [...]; Tarnobrzeg, a zwłaszcza Dębica, wyglądają strasznie! Bezludne ruiny jak jakieś Pompei – zaledwie kilka wynędzniałych cieniów włóczy się po pustych ulicach. Domy spalone, kościoły podziurawione armatami”.

Nie przewidywał jeszcze wtedy, że właśnie w Dębicy spocznie już na wieki.

W ostatnim liście do żony [z 14 lipca 1915 roku] w dniu swych 41 urodzin pisał o zbliżającej się bitwie i kiepskim samopoczuciu, które jednak lekceważył:

„Idziemy na najgorętszy w tej chwili front, ale z tą głęboką pociechą, że będziemy wszyscy razem, i z tą wiarą, że do Warszawy nas droga prowadzi [...]. Nie bardzo zdrów się czuję, od dwóch dni zażywam ciągle chininę, ale to przejdzie, gdy siądę na konia”.

Nie przeszło. Lekarz rozpoznał tyfus i odesłał go do szpitala w Krakowie. Niestety, w drodze czuł się tak źle, że odwieziono go do najbliższego

szpitala zakaźnego, właśnie w Dębicy. Jeszcze zdążyła przyjechać żona, ale pisarza nie dało się uratować. Zmarł 9 sierpnia 1915 roku.

Popularny wówczas poeta Lucjan Rydel, który był pierwowzorem postaci Pana Młodego w „Weselu” Wyspiańskiego, tak pisał o ostatnich chwilach życia Żuławskiego:

„W biednej mieścinie wojną wpół zburzonej, pełnej jeszcze gruzów i pogorzeliisk, na uboczu gdzieś odludny, straszny dom, z daleka trwożnie omijany: szpital zakaźny; tam wśród ścian zięjących grozą i śmiercią, przez dwa tygodnie dogorywał samotny, od swoich ukochanych odcięty człowiek, który był jednym z najczystszych poetów naszego pokolenia. W pełni lat, sił, twórczości, zasługi narodowej tak przedwcześnie umierać – i tak marnie!”

Rydel – zawsze egzaltowany, kierujący się młodopolskimi uniesieniami, zrozpaczony po śmierci przyjaciela, chyba trochę krzywdząco ukazał naszą Dębicę i szpitalik zakaźny, zorganizowany naprędce w wojskowych koszarach.

O wielkim szacunku dla pisarza świadczy zorganizowanie mu przez władze Dębicy bardzo pięknego, uroczystego pogrzebu na Cmentarzu Wojskowym, który został założony niedawno; w 1914 roku „jako naturalne zaplecze” dwu szpitali – dla rannych żołnierzy i dla chorych na czerwonkę i tyfus.

Na czele długiego konduktu maszerowała orkiestra garnizonowa, za nią kompania honorowa żołnierzy austriackich, żona zmarłego, jego brat, przyjaciele, duchowni, młodzież szkolna; w tym oczywiście nasi gimnazjaliści oraz mieszkańcy Dębicy i okolic. Nad otwartą trumną przemawiał m.in. ksiądz Stanisław Solak i profesor naszego gimnazjum – Karol Wróblewski. Podkreślano wielkość autora trylogii „Na srebrnym globie”, sławiono jego talent i patriotyzm. Nazwano go „pieśniarzem duszy narodu”, który stanął w strzeleckich szeregach, by walczyć o wolność ojczyzny. Daleko niosły się patetyczne, wzruszające słowa mówców:

„W połowie chwalebnej swej drogi odejść musiałeś. I w obcym ci mieście, na smutną mu chwałę, w sen nieprzespany złożyłeś swą głowę [...]. Żegnamy Cię w sen wiekuisty wielką i rzewną nadzieją, że nadejdzie dzień, w którym złocisty promień słońca polskiego w wesołą Ci wieczność Twą poniesie nowinę, że Polska, którą pięknem opiewałeś, a potem jej trudem, męką i śmiercią służyłeś, jest wolną, potężną i wielką”.

Młodzież gimnazjalna zgromadzona „jak jeden mąż” wokół trumny wielkiego Polaka, wraz z tłumem przybyłych na cmentarz, odśpiewała gromkie „Boże coś Polskę...”, zaraz potem rozległa się honorowa salwa, którą echo

poniosło między gałęzie starych drzew, a grób całkiem utonął w kwiatach. Później na mogile postawiono dębowy krzyż z poetyckim napisem:

„Dla Ciebie szumią dziś dęby i sosny,
Dzwoni Ci zboże na złocistym łanie,
Poją Cię leśni śpiewakowie wiosny,
Kwiaty się Tobie śmieją, pieśni Panie!
Ojczyzna Twoja szeroka i rolna,
Wielbi Cię dzisiaj
Już wolna!”

Dziś na pomniku Jerzego Żuławskiego możemy odczytać napis: „Oficer legionista, poeta, dramaturg, powieściopisarz, człowiek wielkiego serca i umysłu. Zmarł w 1915 roku”

W maju 1932 roku odbyła się kolejna ważna uroczystość z udziałem młodzieży i nauczycieli naszej szkoły. Dyrektor gimnazjum ksiądz Błażej Kotfis dokonał odsłonięcia okazałego pomnika nagrobnego Jerzego Żuławskiego. Na Cmentarz Wojskowy przybyli przedstawiciele władz z Krakowa i Dębicy, a także żona pisarza, jego siostra, dwaj bracia i syn. Wspaniała uroczystość znów zgromadziła tłumy dębiczian, w tym młodzież gimnazjalną; była ona nawet transmitowana przez Polskie Radio.

Takie uroczystości na zawsze zapadały w pamięć, były lekcją patriotyzmu, pozwalały przezwyciężyć smutną rzeczywistość małego, prowincjonalnego miasteczka.

Bo nasze gimnazjum zawsze pamiętało o bohaterach. 4 lipca 1920 roku w szkole zorganizowano uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej, poświęconej profesorowi Tadeuszowi Gawrysiowi i uczniom – legionistom, którzy swoją miłość do ojczyzny opłacili daniną krwi.

Patriotyzmu dowiedli też wychowankowie gimnazjum podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Jan Swół wyliczał, że dębicki „Sokół” zorganizował oddział ochotników składający się z dwustu osób, z których sześćdziesiąt brało udział w formacji frontowej Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej”. Zgłosiło się wówczas 74 uczniów gimnazjum, którzy znów poszli walczyć i ginąć za ojczyznę. I znów w gimnazjum odbywały się uroczystości poświęcone patriotycznym wydarzeniom.

Szczególnie atrakcyjne były te z 1938 roku – z okazji 20 rocznicy odzyskania niepodległości. Jak można przeczytać na ocalonym zaproszeniu, przechowywanym w szkolnym muzeum, z tej okazji zorganizowano nie

tylko uroczystą akademię, ale też oryginalny „Bieg maratoński” w sześciu konkurencjach, takich jak: Przemówienia, Deklamacje, Rysunek, Śpiew, Muzyka, Taniec rytmiczny”.

Jednym z uczniów, biorącym udział w owym Biegu Maratońskim – jak pisała Lidia Górską – był August Kowalczyk [urodzony w 1921 roku] – absolwent naszej szkoły z roku 1945, późniejszy znany aktor [wójt w „Chłopach”, hitlerowiec w „Stawce większej niż życie”, więzień w „Ucieczce z Sobiboru”], reżyser, który dwa lata po wydrukowaniu ocalałego zaproszenia – po nieudanej próbie przedostania się do wojska polskiego we Francji [w roku 1940] – został więźniem obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, skąd uciekł w 1942 roku. Swe dramatyczne przeżycia zawarł we wspomnieniach pt. „Refren kolczastego drutu”. Prezentował je goszcząc w naszej szkole, podczas jednego ze spotkań po latach. Pamiętam to wzruszające spotkanie, na którym serdecznie opowiadał też o swoich nauczycielach i kolegach szkolnych. Tym, obecnym na uroczystości, ofiarował swoją książkę. Jedną z nich przekazał naszej szkole Profesor Janusz Mroczka. Znajduje się w niej dedykacja, w której dębickie liceum zostało określone ślicznie jako „nasza Jagiellonka”.

August Kowalczyk w latach 60. był dyrektorem Teatru imienia Mickiewicza w Częstochowie, a w latach 1970-1975 – dyrektorem Teatru Polskiego w Warszawie.

Chętnie przybył na obchody stulecia naszej szkoły. Jan Grundboeck mówił wtedy z radością: „Niespodziewanie spośród przybyłych dostrzegłem Augusta Kowalczyka”! Byli kolegami, zdającymi razem maturę.

Absolwentów, uczęszczających do naszego gimnazjum w okresie dwudziestolecia międzywojennego, którzy – jak August Kowalczyk – wpisali się chlubnie w dzieje naszej szkoły, było wielu. Oto kilku z nich:

Alojzy Pajak [matura – 1921 rok] to człowiek wielce zasłużony dla dębickiej oświaty. Urodzony w Dębicy w 1904 roku, po ukończeniu gimnazjum i kursu dla nauczycieli, pracował w kilku szkołach podstawowych [m.in. od roku 1933 był kierownikiem Szkoły Podstawowej w Zasowie], po II wojnie światowej został mianowany podinspektorem, a później inspektorem szkolnym.

Edward Wodzień pisał, że Alojzy Pajak „na wiosnę 1946 roku udał się do Łambinowic koło Nysy i tam uzyskał baraki z byłego obozu hitlerowskiego [...]. W barakach tych uczyły się dzieci w wielu miejscowościach naszego powiatu do czasu pobudowania budynków szkolnych. Uzyskał także w Wydziale Opieki Społecznej województwa krakowskiego 500 beli

odzieży i 500 worków obuwia z UNRA. Ładunek ten [5 wagonów PKP] został przekazany młodzieży szkolnej”.

Za swe zasługi Alojzy Pajak został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Absolwent gimnazjum Antoni Stańko [matura z 1926 roku] – urodził się w 1906 roku Dębicy, w rodzinie o tradycjach powstańczych i patriotycznych. Sam również działał w Związku Strzeleckim, był też działaczem sportowym. Po ukończeniu dębickiego gimnazjum, a następnie studiów na wydziale prawa i administracji na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, pracował w urzędach skarbowych w Kielcach i Miechowie. Gdy wybuchła II wojna światowa, powrócił do Dębicy, gdzie działał w Armii Krajowej [ps. „Pożoga”] jako oficer szkoleniowy, dowódca placówki Dębica, a od 1943 roku referent do spraw cywilnych, zajmujący się dokumentowaniem zbrodni hitlerowskich; w tym zbrodni osławionego żandarma Roberta Urbana, na którego sąd podziemny AK wydał wyrok śmierci. Od 1944 roku pełnił funkcję zastępcy delegata rządu RP na powiat dębicki. Brał udział w akcji „Burza”. Po jednej z potyczek został ranny i do końca życia był inwalidą. Jego żona Maria była łączniczką [„Kalina”]. Po wojnie Stańko przebywał w Zabrze, a w roku 1952 powrócił do rodzinnej Dębicy, gdzie pracował jako radca prawny w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego.

Jako honorowy prezes dębickiego oddziału Światowego Związku Żołnierzy AK był organizatorem corocznych zjazdów byłych akowców z obwodu dębickiego, inicjatorem pomników i różnych miejsc pamięci narodowej oraz autorem książek przedstawiających historię II wojny światowej na naszych terenach: „Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów” [wraz z Eugeniuszem Skowronem], czy „Gdzie Karpat progi...” Za swą działalność patriotyczną został odznaczony m.in. Krzyżem Armii Krajowej, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Kawalerskim „Polonia Restituta.” Zmarł w 2003 roku i został pochowany na dębickim Starym Cmentarzu.

Absolwentem z 1920 roku był późniejszy ksiądz Andrzej Niwa, urodzony w Chechłach koło Ropczyc. Po studiach teologicznych w Tarnowie pracował jako kapłan w różnych miastach diecezji tarnowskiej. W 1936 roku został kapelanem wojskowym. W 1939 roku jako major podzielił los polskich oficerów wziętych do niewoli przez Rosjan, wywiezionych do obozu w Starobielsku. Został zamordowany w Charkowie i pochowany w zbiorowej mogile. Pośmiertnie awansowany do stopnia podpułkownika; jest kandydatem na błogosławionego.

Tragiczny los księdza Niwy podzieliło wielu absolwentów naszej szkoły, m.in.

kapitan Franciszek Kolbusz – w 1918 roku współtwórca Polskiej Organizacji Wojskowej w Dębicy, uczestnik II wojny światowej zamordowany w Twerze, podpułkownik Marian Surman, porucznik Adam Zawiliński, kapitan Edward Mazurkiewicz, rotmistrz Zygmunt Dobrowolski – zamordowani w Charkowie, podporucznik Erwin Tymczyszyn, porucznik Marian Rozwadowski, porucznik Mieczysław Radoniewicz, podporucznik Tadeusz Dubas, podporucznik Stefan Gielarowski, porucznik Henryk Jurczyński, porucznik Bolesław Marszałek – zamordowani w Katyniu. Sławnym absolwentem z 1928 roku był późniejszy ksiądz Antoni Nosal [1910 -1995].

Antoni Nosal po maturze ukończył seminarium duchowne w Sandomierzu, a następnie studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i w Louvain w Belgii. W czasie II wojny światowej pracował w Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Za udział we Francuskim Ruchu Oporu został zesłany do obozu koncentracyjnego w Troyes. Po uwolnieniu, kontynuował studia w Lille [gdzie uzyskał tytuł doktora nauk społecznych], a później w Luksemburgu na wydziale ekonomii porównawczej. Był współzałożycielem Kongresu Polonii Francuskiej, pomagał polskim emigrantom i uchodźcom. Od 1962 roku był wykładowcą socjologii na kilku uniwersytetach w USA, równocześnie studiując metody badawcze w naukach społecznych i zagadnienia demograficzne. W 1973 roku uzyskał stopień profesora zwyczajnego.

Był autorem wielu prac naukowych, zdobył też wiele odznaczeń: za działalność w ruchu oporu, za zasługi dla pracy społecznej i osiągnięcia naukowe [m.in. tytuł doktora honoris causa w dziedzinie nauk humanistycznych]. Po przejściu na emeryturę mieszkał w Szwajcarii i we Francji.

Zbigniew Drzymała w pracy poświęconej biografii księdza Nosala pisał: „Przyznana emeryturę profesorską przeznaczał m.in. na wspieranie szkół, w których zdobywał wiedzę [Szkoła Podstawowa nr I w Dębicy i dębickie liceum], na budowę szkoły na Wolicy i na pomoc organizacjom charytatywnym. W 1989 odwiedził Dębicę, w tym szkoły, do których uczęszczał. Zgromadzoną przez siebie kolekcję obrazów Zofii Stryjeńskiej ofiarował muzeum w Tarnowie”.

Naszemu liceum ufundował pierwsze komputery, był też współfundatorem szkolnego sztandaru. W jednym z listów pisał: „Mimo że od 1937 roku jestem stale za granicą, to Polskę zawsze całym sercem kocham i szkół, które we mnie wszczepiły podstawy życiowe, nie zapominam i o nich pa-

miętam. Moją pamięć wyrażam nie w słowach, ale w czynach wyrażonych w moich darach dla Was, a wiedźcie, że to nie pochodzi z wielkiego bogactwa, a z mojej pracy, moich oszczędności, z zasad religijnych, które szkoła i rodzice we mnie wszczepili”.

Pamiętam, gdy pewnego razu wezwał mnie dyrektor Galas do swojej kancelarii i – krygując się straszliwie – poprosił, bym zredagowała list do księdza profesora, który zdecydował o przekazaniu okazałej sumy pieniężnej dla naszego liceum i planował przyjazd do Dębicy. Jak zwykle w takich wypadkach, szef zwrócił się do mnie po imieniu, pocierając przy tym nerwowo czoło i wiercąc się na krześle.

– Halina, mam prośbę. Napiszesz mi list do profesora Nosala, bo ja nie potrafię się zmusić, nie znam się na tytułowaniu księży i nie wiem, jak taki list należy sformułować.

Dziwiło mnie to, bo – jak wspominała Lidia Górską – w materiałach do muzeum odnalazła „wiele teczek z korespondencją dyrektora z całym światem. Pisał z każdym, kto się do niego zwrócił, pisał ręcznie, odpisywał na listy absolwentów”.

Dyrektor dał mi wtedy jakieś materiały, a ja postarałam się, jak mogłam najlepiej. Gdy przeczytał ów list, odetchnął z ulgą i szeroko się uśmiechnął. Ten uśmiech był dla mnie miłą nagrodą. Cieszyłam się, że go wspomogłam.

Przed przyjazdem księdza profesora Nosala trwała w liceum trochę nerwowa atmosfera; staraliśmy się zgromadzić jak najwięcej informacji o jego życiu i działalności, zapoznawaliśmy z jego osiągnięciami uczniów, a na ścianie na korytarzu zawisa gazetka poświęcona temu szlachetnemu absolwentowi naszej szkoły, który okazał się wspaniałym, skromnym człowiekiem, szczęśliwym z powodu powrotu „na ojczyzny łono” i do swoich ukochanych miejsc, zapamiętanych z dzieciństwa. I choć wkrótce zmarł w Paryżu, to – „zgodnie ze swoją wolą” – został pochowany na Starym Cmentarzu w Dębicy.

Władze naszego miasta nazwały jego imieniem jedną z ulic, a na budynku dawnej szkoły męskiej, do której uczęszczał, odsłonięto pamiątkową tablicę.

Kolejnym znanym księdzem, będącym absolwentem naszego gimnazjum, był Leopold Regner [matura – 1930 rok]

Regner urodził się w 1912 roku w Paszczynie. Uczęszczając do naszej szkoły – jak pisał Edward Wodzień – „przejawiał zdolności do przedmiotów ścisłych i języków obcych”.

Po zdaniu matury w 1930 roku studiował w Wyższym Instytucie Teologicznym w Tarnowie. Od 1936 roku pracował jako kapłan w różnych parafiach diecezji tarnowskiej. Wojnę przeżył w Nawojowej. Następnie został skierowany do Biecza, gdzie „pełnił obowiązki proboszcza i katechety w liceum ogólnokształcącym. W 1949 roku uzyskał tytuł magistra, a w 1950 – doktora na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pełnił różne funkcje: był wykładowcą, kapłanem sióstr Urszulanek, tłumaczem z języka greckiego pism filozoficznych. Pisał wiersze, artykuły, biogramy księży”. Jest też autorem wspomnieniowej książki pt. „Ścieżki i drożyny Paszczyzny”, w której serdecznie wspomina naszą szkołę.

Ksiądz Leopold Regner zmarł w 1997 roku w Tarnowie. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w jego rodzinnej Paszczyźnie, a pochowany został na cmentarzu w Pustkowie-Osiedlu. Absolwentami gimnazjum byli też księża:

Henryk Dorembowicz – więzień obozu w Archangielsku, późniejszy kapłan wojskowy,

Zbigniew Szostak [matura – 1980 rok] – kustosz Sanktuarium błogosławionej Karoliny w Zabawie,

Janusz Sok [matura – 1985 rok] – doktor muzykologii, prowincjał redemptorystów, świetny kaznodzieja obdarzony wielkim talentem krasomówczym i niezwykle szlachetny człowiek,

Marcin Baran [matura – 1998 rok] – biskup pomocniczy w diecezji tarnowskiej, koordynator Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, dyrektor Wydziału Duszpasterstwa Młodych Kurii Biskupiej w Tarnowie.

Księżmi lub zakonnikami zostali też m.in. moi uczniowie: Eugeniusz Chmura, Paweł Drobot, Marek Dzień, Sylwester Dziedzic, Bogdan Maciaszek, Krzysztof Pękala, Wiesław Polek, Jerzy Rusin, Piotr Szweda. Wiele dziewcząt wybrało drogę służby zakonnej. Wśród nich były Anna Kądziewa i Agnieszka Skrzypek.

W okresie PRL-u uczniowie często ukrywali swe zamiary pójścia do seminarium. Spotykało się to bowiem z niezadowolaniem władz szkolnych i było traktowane przez dyrekcję jako klęska wychowawcy oraz surowo piętnowane. Jednak my, nauczyciele zawsze wspieraliśmy tych młodych ludzi i byliśmy z nich dumni.

Sławnym absolwentem z 1929 roku był Stanisław Ożóg.

Ożóg urodził się w 1909 roku w Dębicy i tu uczęszczał do gimnazjum, gdzie rozwijał swe zainteresowania muzyczne, będąc uczniem profesora Kazimierza Klamuta. Po maturze podjął studia w Wyższym Studium Handlowym i w Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego w Krakowie. Na-

stępnie pracował w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowej w Warszawie, prowadząc równocześnie działalność muzyczną. W 1939 roku powrócił do Dębicy. Tutaj, w 1940 roku został zatrudniony jako wykładowca w Miejskiej Szkole Handlowej, gdzie wkrótce awansował, zostając dyrektorem placówki. W szkole prowadził chór męski i mieszany, był też współzałożycielem dębickiego Towarzystwa Muzycznego, a także zagorzałym kibicem „Wisłoki”.

Jego były uczeń Andrzej Stasiński – zawodnik tego klubu – wspominał, że w dniu egzaminu dojrzałości, po jakimś męczącym meczu, zasnął i spóźnił się na maturę. Dyrektor jednak nie robił mu wymówek, a zapytał tylko o wynik owego meczu.

Profesor Andrzej Mol, który pracował przez jakiś czas w „handlówce” pisał o dyrektorzce Ożogu z wielką sympatią: „Był człowiekiem niekonfliktowym. Zawsze umiał sprawę załagodzić, zawsze znajdował złoty środek na rozwiązanie jakiegoś problemu. Nie słyszałem, aby w rozmowie z nauczycielem lub uczniem dyrektor był jakiś podenerwowany czy szorstki. Zawsze był miły, zawsze znajdował uśmiech i dobre słowo dla interesanta, rodzica czy ucznia”.

Stanisław Ożóg zmarł w 1985 roku i został pochowany na dębickim Starym Cmentarzu. Za swe zasługi był wielokrotnie odznaczany, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Rówieśnikiem Ożoga był Wojciech Wójcik [matura – 1928] – autor książki „Zapach dymu”, w której zawarł wiele cennych wspomnień o naszym gimnazjum.

Po ukończeniu szkoły wojskowej w Zambrowie Wójcik zdobywał kolejne stopnie żołnierskie. W latach trzydziestych pracował w PKP, równocześnie studiując prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W okresie okupacji – jak pisał Edward Wodzień – działał w konspiracji; jako dowódca plutonu uczestniczył w różnych akcjach partyzanckich w okolicach Małej, w także w walkach w czasie akcji „Burza”. „Za wyprowadzenie oddziałów z okrążenia na Kałżówce został awansowany do stopnia kapitana. Nosił pseudonim „Dworzan”.

Tę dramatyczną wojenną historię opisał Antoni Stańko w książce „Gdzie Karpat progi...” Czytamy tam, że po krwawym starciu z Niemcami 24 sierpnia 1944 roku „na polanie Kałżówka walka całkowicie ucichła [...]. Dowódca pułku, widząc beznadziejną sytuację i spodziewając się nowego natarcia w dniu następnym, postanowił opuścić polanę i zgodnie

z poprzednim planem rozwiązać II zgrupowanie. Postanowiono iść nocą w kierunku wschodnim, skąd przyszło natarcie niemieckie [...].

Grupa pierwsza wyruszyła natychmiast drogą w kierunku Gumnisk, a potem przyjęła kierunek na wschód do drogi Braciejowa–Południk. Przewodnikiem tej grupy był ppor. „Dworzan”. Znał świetnie tamte tereny, gdyż dopiero co był przewodnikiem kompanii, udającej się na koncentrację do leśnictwa Berdech, po tym, jak Placówka AK Dębica otrzymała w dniu 28 lipca 1944 roku rozkaz rozpoczęcia akcji „Burza”.

Ale „w lesie było tak ciemno, że nawet drzewa były niewidoczne. Kierowano się raczej intuicją. Stale gubiono kierunek, jakim była droga leśna, a ponieważ ta miała liczne rozwidlenia, nietrudno było zabłądzić i wyjść od strony Gumnisk na linię frontu niemieckiego, odległego stąd zaledwie o niecały kilometr”. Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni, głodni, niesiono rannych, potykano się, więc trudno było zachować idealną ciszę.

Od niespodziewanego ostrzału z karabinu maszynowego, zginęło kilku członków oddziału. Ale pozostali przedarli się do głębokiego jaru w lasach Gębiczyny i Jaworza, gdzie oddział rozwiązano.

Wojciech Wójcik – „Dworzan” za swe zasługi otrzymał m.in. Krzyż Walecznych i Krzyż Armii Krajowej. Zmarł w 1997 roku w Bielsku-Białej i tam został pochowany.

Podobną, udaną akcją kierował Marian Grundboeck [„Szczytnik”] – uczestnik tajnego nauczania, maturzysta z 1945 roku.

Sławną postacią, będącą absolwentem naszej szkoły [matura z 1936 roku] jest popularny pisarz i krytyk literacki – Wilhelm Mach.

Marian Grundboeck [matura 1946] tak o nim pisał: „Był niewysokiego wzrostu, ale miał dużą głowę i badawczo patrzące oczy. Na przerwach nie dokazywał, lecz spokojnie stał gdzieś na boku i obserwował otoczenie. Pełnił funkcję redaktora czasopisma gimnazjalnego „U nas”, sam publikując w nim wiele wierszy i artykułów pisanych prozą”.

Wilhelm Mach urodził się w 1917 roku w Kamionce koło Ropczyc. Naukę gimnazjalną rozpoczął w prywatnej szkole w Ropczycach, ale ze względu na wysokie opłaty postanowił przenieść się do Dębicy, gdzie – jak pisał Marian Morawczyński – „uczęszczała liczna biedota z okolicznych terenów”. Już wtedy ujawniły się jego zainteresowania literackie.

Po maturze Wilhelm Mach ukończył studia pedagogiczne w Krakowie i polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie II wojny światowej brał udział w walkach z Niemcami, a po jej zakończeniu był przez pewien czas nauczycielem. Jednak ostatecznie poświęcił się całkowicie pracy lite-

rackiej. Drukował artykuły w czasopismach „Twórczość” i „Nowa Kultura”, pisał powieści psychologiczne i społeczno-obyczajowe [„Rdza”, „Jaworowy dom”, „Życie duże i małe”], wydał też powieść esejistyczną „Góry nad Czarnym Morzem”, tworzył scenariusze filmowe, reportaże, szkice i opowiadania [„Doświadczenia i przypadki”]. Ze względu na tematykę utworów nazywano go „nieustrudzonym piewcą ziemi rodzinnej”.

„Jako dojrzały pisarz – wspominał Marian Morawczyński – utrzymuje kontakty z rodziną i stronami rodzinnymi, biorąc udział w spotkaniach autorskich, także w Dębicy. Na jednym z nich mówił: „W każdym miejscu naszego kraju bije dla kogoś serce Polski – niech mi więc wolno będzie mówić o miejscu, które jest dla mnie [...] ojczyzną ojczyzny”.

Reprezentując w literaturze tzw. „nurt chłopski”, Mach powracał w swoich utworach do lat dzieciństwa i młodości. W jednym ze swych listów wyznawał: „Kraj moich lat dziecinnych i chłopięcych żyje we mnie jak coś najgłębszego i aż w pewnym sensie ostatecznego. Jak piękna, smutna, ale nieskończenie tkliwa muzyka, którą w sobie noszę, choć nikt jej nie słyszy, nikt o niej nie wie – jak światło i łany pełne łagodnego światła i pociechy.

Wszystkie spotkane po świecie krajobrazy przymierzam do tamtych rodzinnych, wszystkie drogi mierzę dobrowolnie więzami odliczonymi od domowego progu, a w snach [...] wracają z najpełniejszą wyrazistością sceny, pejzaże, zakątki leśne i śródwiejskie, dróżki i płoty, ludzie na jawie niepamiętani – z tamtych czasów, z tamtych stron [...]; moja najbliższa ojczyzna jest zawarta we wszystkim, co napisałem”.

Wilhelm Mach za swe osiągnięcia literackie dwukrotnie otrzymał Nagrodę Państwową. Zmarł w 1965 roku. W rok po jego śmierci – na budynku naszego liceum odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą temu sławnemu absolwentowi, a w 1970 roku nazwano jego imieniem jedną z ulic Dębicy.

Wielu innych, utalentowanych przedwojennych absolwentów – choć nie zostało tak sławnymi ludźmi jak Jan Wiktor, Alojzy Nosal, czy Wilhelm Mach – też zapisało się złotymi zgłoskami w dziejach szkoły, działając w różnych kołach literackich i artystycznych, grając w słynnej szkolnej orkiestrze, czy śpiewając w szkolnym chórze.

Warto tu wymienić nazwisko choćby jednego z nich, o którym z sympatią wspominał profesor Darlak – dyrygent szkolnej orkiestry.

Oto relacja Antoniego Darlaka, syna profesora: „Lubił też ojciec wspominać najlepszych instrumentalistów. Jednym z nich był znakomity flecista, Władysław Przyślak, znany również jako niepoprawny figlarz, lubiący na próbach wzbogacać swoje partie fletowe improwizowanymi wstawkami.

A że miał w tym niemały talent i pomysłowość, wprowadzał tyleż zamieszania i niepokoju u dyrygenta, co zabawy. Ojciec miał do niego słabość, co świadczy o jego poczuciu humoru, ale prosił i napominał, żeby na koncertach był „grzeczny”. I na ogół był, choć mu się czasami, niby niechcący, coś dodatkowego wypsnęło. Po wojnie Przyślak grał w słynnej orkiestrze Polskiego Radia Jana Cajmera w Warszawie”.

Pewnie ów Przyślak, tak jak wielu innych absolwentów, wspominał naszą szkołę jako miejsce, gdzie rodziły się pasje artystyczne czy literackie młodych ludzi i gdzie mogli realizować swe marzenia np. występując na gimnazjalnej scenie.

Edward Wodzień przypominał relację profesora Józefa Wyrobka z uroczystości zorganizowanej w roku 1910 z okazji setnej rocznicy urodzin Fryderyka Szopena, w czasie której „chór męski i mieszany dzielnie śpiewał, a orkiestra grała piękne utwory”. Również w moich czasach szkolnych „chór mieszany” wielokrotnie pięknie śpiewał, zwłaszcza licząc na punkty potrzebne do ustalenia oceny z zachowania.

Aneta Kwolek pisała, że „już od roku 1919/1920 istniało także kółko dramatyczne, kierowane przez profesorów Jana Leśniaka i Jana Piotrowskiego. Uczniowie przygotowywali inscenizacje wystawianych później z okazji rocznicowych obchodów sztuk; m.in. „Warszawianki”, fragmentów „Dziadów” czy „Powrotu posła”. Na szkolną scenę trafiały także mniej znane sztuki: na przykład utwory autorstwa wyżej wspomnianego pisarza Jerzego Żuławskiego, a nawet pisarskie próby uczniów.

Tradycje teatralne kontynuowały kolejne profesorki, m.in. Irena Janda, Czesława Ryszawa, czy – przedwcześnie zmarła tragicznie – Bogusława Kowal. Zresztą wszystkie polonistki były zobowiązane do przygotowywania uroczystości uświetniających różne święta państwowe, rocznice patriotyczne i literackie, i inne imprezy szkolne.

Wyszukiwałyśmy uzdolnioną i chętną do występowania młodzież, przygotowując corocznie różnego rodzaju akademie, m.in. Dzień Nauczyciela – początkowo obchodzony w listopadzie, a obecnie 14 października pod nazwą: Dzień Edukacji Narodowej, uroczystości rozpoczęcia i zakończenia roku szkolnego, rocznicę rewolucji październikowej, święto 1 Maja [później też 3 Maja], Dzień Zwycięstwa czy wieczornice poświęcone różnym pisarzom. Nigdy nie brakowało chętnych, a wielu z tych uzdolnionych młodych ludzi: recytatorów, chórzystów, instrumentalistów, solistów kontynuowało swą działalność artystyczną także po opuszczeniu szkoły. Byli i tacy, którzy robili później kariery w zupełnie innych dziedzinach, ale

artystyczne „popisy” z czasów licealnych zawsze były dla nich miłym wspomnieniem. Tak np. Mariusz Trojan [absolwent z roku 1980], który w czasie akademii przygrywał recytatorom na akordeonie został samorządowcem, a Bogusław Maciaszek [absolwent roku 1980] recytujący wspaniale rewolucyjne wiersze – księdzem.

Pamiętam jedną z takich wzruszających akademii, zorganizowaną z okazji Miesiąca Pamięci Narodowej, a poświęconą uczczeniu dębickiej młodzieży, która walczyła i ginęła w latach II wojny światowej, jak wspomniany już Münnich ps. „Żegota” [matura – 1920], czy Jan Kita [matura 1934] – komendant Szarych Szeregów.

Wielu z ówczesnych uczniów – uczęszczających do naszego gimnazjum, do mechanicznej szkoły zawodowej, lub na komplety tajnego nauczania „Kuźnica” – należało do organizacji harcerskiej, współpracującej z AK. I wielu z nich przypłaciło tę działalność życiem. Wspominaliśmy tych, których nazwiska zostały zapisane w książce Antoniego Stańki „Gdzie Karpat progi...”

Byli to:

Jerzy Bogucki, [pseudonim „Góra”] – wysiedleniec z Poznańskiego zamieszkały w Dębicy, uczeń tajnego nauczania „Kuźnica”, kaprał podchorąży Placówki AK Dębica. Zginął walcząc podczas akcji „Burza” w II zgrupowaniu w rejonie Berdech-Południk i został pochowany w bezimiennej mogile w okolicach Braciejowej. Miał tylko 20 lat;

Marian Chmielewski [pseudonim „Maria”] – zamieszkały w Dębicy, uczeń tajnego nauczania, podchorąży Placówki AK Dębica, który poległ w czasie akcji na tartak w Czarnej 19 sierpnia 1943 roku. Miał tylko 20 lat;

Tadeusz Kremmer [pseudonim „Zodiak”] – pochodzący z Dębicy, harcerz, uczeń tajnego nauczania „Kuźnica”, w czasie akcji „Burza” walczący w II zgrupowaniu w rejonie Berdech-Południk. Ciężko ranny na polanie Kałużówka, został wyniesiony z okrążenia, ale 1 września 1944 roku zmarł i został pochowany w leśnej mogile. Miał tylko 22 lata;

Przemysław Kowalczewski [pseudonim „Śpiczak”] – uczeń tajnego nauczania „Kuźnica”, kaprał podchorąży Placówki AK Zasów. Poległ w Róży w walce z przejeżdżającą kolumną niemiecką 27 lipca 1944 roku. Miał tylko 19 lat;

Czesław Mielczarek [pseudonim „Portos”] – zamieszkały w Dębicy uczeń „Kuźnicy”, kaprał podchorąży Placówki AK Dębica, który walczył w II zgrupowaniu w rejonie Berdech-Południk. Poległ na polanie Kału-

żówka 23 sierpnia 1944 roku i został pochowany najpierw w lesie, a po wojnie w zbiorowej mogile w Gumniskach. Miał tylko 21 lat;

Stanisław Paluch [pseudonim „Drab”, „Moskit”] – zamieszkały w Dębicy, uczeń „Kuźnicy”, kapral podchorąży Placówki AK Dębica i łącznik Inspektoratu AK w Rzeszowie, ujęty przez Niemców w czasie akcji zdobywania broni i rozstrzelany 6 maja 1944 roku. Miał tylko 21 lat;

Edmund Pasiecznik zamieszkały w Brzeźnicy, uczeń „Kuźnicy”, kapral podchorąży Placówki AK Dębica. Walczył w II zgrupowaniu w rejonie Berdech-Południk. Wielokrotnie ranny poległ w lasach Braciejowej i został pochowany w leśnej mogile. Miał tylko 20 lat;

Tadeusz Sieklucki [pseudonim „Bystry”] – zamieszkały w Dębicy, uczeń „Kuźnicy”, kapral podchorąży Placówki AK Dębica. Poległ w walce pod Szklarami 22 sierpnia 1944 roku i spoczywa w nieznanej mogile. Miał tylko 19 lat. Na polanie Kałżówka walczyli też:

podporucznik Stanisław Kita [ps. „Jędrus”] – absolwent z 1938 roku, syn profesora gimnazjum [przeżył wojnę],

Stanisław Dydo [„Sztaner”] – przeżył wojnę, ale za powojenną działalność w organizacji Wolność i Niezawisłość został skazany na karę śmierci, którą wykonano w 1948 roku,

Andrzej Jabłonowski [„Śmigło”] – zginął transportując z Kałżówki rannego kolegę,

Aleksander Topij – uczeń tajnych kompletów.

Bohaterskich uczniów i absolwentów naszej szkoły poległych w boju o wolność ojczyzny uczciliśmy wierszem, którego autorem był Franciszek Szara ps. „Pęk” z Małej, a którego fragment brzmi:

„Samotna stoisz mogiło w lesie,
brak ci jest warty i żołnierskiej modły,
Brzezina tylko listkami trzęsie,
A cień rzucają buki i jodły.

Ptaszek ci czasem piosenką zanuci
I wiatr zanuci ci borem,
Czasem przechodzień oczami rzuci,
Zdejmując czapkę z honorem.

Wśród ciężkiej zimy wiatr cię uściśnie
I biały śnieżek otuli puchem,

Złote słońeczko na chwilę błysnie
I noc zapadnie snem głuchym”.

Najtragiczniejszym miesiącem wojennym dla dębickiej młodzieży okazał się kwiecień 1943 roku. Wskutek denuncjacji folksdojczy Bochniewicza około 50 osób – w tym najwięcej uczniów szkoły mechanicznej i naszego gimnazjum – zostało aresztowanych, a w dniu 11 kwietnia rozstrzelanych na Cmentarzu Żydowskim. W 1946 roku ich zwłoki przeniesiono do wspólnej mogiły na Starym Cmentarzu. Byli wśród nich:

Karol Broński – strzelec Placówki AK Dębica. Ujęty wraz z kolegami i rodziną Wójcików z Małej. Miał tylko 19 lat;

Mieczysław Rudziński – zamieszkały w Dębicy, strzelec Placówki AK Dębica. Miał tylko 17 lat;

Tadeusz Tarnowski – strzelec Placówki AK Dębica. Miał tylko 17 lat. Pamięć tych młodych bohaterów uczciliśmy wierszem:

„Był w miasteczku cmentarzyk maleńki,
Który w zielen się stroił co wiosny.
Pośród grobów uroczysta cisza,
W liściach starych drzew świergot radosny.

Lecz w dniu owym – wojenno-wiosennym,
Krzyk skazanych zmącił ciszę błogą.
Strzały niosły się echem daleko,
A z drzew ptaki zerwały się z trwogą.

Tacy młodzi! Kłaniali się ziemi
Zadziwieni, że boli – tak bliska.
Umierali przybrani w tę czerwień,
W której wolność – skrwawiona – tu przysła”.

Młodzi chłopcy – uczniowie i absolwenci gimnazjum – walczyli i ginęli również na różnych frontach II wojny światowej. Wielu przeżywało gehennę obozów, niemieckich katowni, dramat tułaczki, bezdomność, sieroctwo, wielu wróciło okaleczonych lub musiało na zawsze pozostać na emigracji z dala od bliskich.

Należy hołd złożył im dyrektor liceum Edmund Galas we wstępie do książki Władysława Strumskiego „Wojenne losy uczniów”. Pisał tam:

absolwent z 1930 roku porucznik Stanisław Lochman – po klęsce walczący we Francji, gdzie poległ w ataku na niemieckie czołgi,

absolwent z 1931 roku Aleksander Stańko [poległ w walce pod Lwowem],

Jan Leja – kapitan Wojska Polskiego, szef radiowego wywiadu wojakowego Komendy Głównej ZWZ,

podporucznik Władysław Mysona [ps. „Twardy”] – działający w ruchu oporu; zginął pod koniec wojny, prawdopodobnie w obozie koncentracyjnym,

Stanisław Szewczyk – uczestnik Szarych Szeregów; aresztowany w 1941 roku, zginął w obozie hitlerowskim,

podchorąży Zygmunt Szczęśny – internowany przez Rosjan w Kownie; po ucieczce działał w Szarych Szeregach i AK, zastrzelony w 1944 roku w Złotnikach k. Mielca,

podchorąży Jan Klamut – wzięty przez Niemców do niewoli; po zwolnieniu [ze względu na stan zdrowia] dowódca oddziału dywersyjnego w rejonie Góry Ropczyckiej;

podporucznik Marian Zieliński – w czasie walki na Lubelszczyźnie dostał się do sowieckiej niewoli; zmarł w łagrze na Półwyspie Kolskim,

plutonowy Eugeniusz Ciurkot – pilot wojskowy; zginął nad Atlantykiem podczas nalotu na niemieckie łodzie podwodne,

absolwent z 1933 roku porucznik Stanisław Urbanek – walczył w wielu krajach [zginął od odniesionych ran],

pochodzący z Brzezin Ludwik Marszałek [ps. „Wilk”, „Zbroja”] – po ucieczce z niemieckiej niewoli współtwórca struktur ZWZ w naszym regionie, późniejszy komendant obwodu AK „Deser”, skazany na karę śmierci w 1948 roku za udział w organizacji „Wolność i Niezawisłość”,

kapitan Adam Leja – po klęsce wrześniowej za udział w ruchu oporu wywieziony do obozu w Oświęcimiu, później do Neuengamme; zginął w czasie nalotów alianckich na okęcie, którym ewakuowano obóz,

absolwent z 1929 roku porucznik Stanisław Kłęczek – piłkarz „Wisłoki”, uczestnik ruchu oporu, późniejszy żołnierz Ludowego Wojska Polskiego; zginął podczas forsowania Nysy Łużyckiej,

absolwent z 1938 roku podporucznik Aleksander Skóra – walczący m.in. we Francji; zginął jako strzelec pokładowy w Liberatorze, zestrzelony przez niemieckie myśliwce po bombardowaniu Hamburga.

Wśród uczniów i absolwentów naszego gimnazjum i liceum, którzy działali w konspiracji jako członkowie Szarych Szeregów, AK, czy AL, uczestnicząc w akcjach bojowych przeciwko hitlerowcom, byli m.in.

uczeń gimnazjum przed I wojną światową Adam Pawlus – legionista, działacz podziemia w Pilźnie,

absolwent z 1925 roku Stanisław Lachman pochodzący z Brzezina – animator kultury, założyciel chóru męskiego „Melodia” działającego w Mielcu do dziś, uczestnik kampanii wrześniowej, działacz ZWZ, zaangażowany w organizację tajnego nauczania; po wojnie nauczyciel w Państwowym Liceum Pedagogicznym i w Studium Nauczycielskim Radomiu,

major Tadeusz Górka z Sędziszowa [ps. „Zagłoba”] – szef weterynarii okręgu krakowskiego AK; rozstrzelany podczas publicznej egzekucji,

absolwent z 1931 roku podchorąży Stefan Berger – działacz Szarych Szeregów i AK, aresztowany przez Niemców w 1944 roku i po brutalnym przesłuchiowaniu rozstrzelany,

absolwent tajnego nauczania podporucznik Kazimierz Kemmer [ps. „Halny”] – z ramienia AK przeprowadzający wywiad na temat niemieckiej wyrzutni rakiet w Bliźnie [przeżył wojnę],

absolwent z 1936 roku podporucznik Kazimierz Jarecki [„Hajduk”] – oficer szkoleniowy komendy obwodu ZWZ, uczestnik wielu akcji dywersyjnych,

absolwent z 1938 roku podporucznik Tadeusz Szczurowski [ps. „Śmiały”] pochodzący z Kamionki – żołnierz września, dowódca grupy dywersyjnej AK; brał udział w zamachu na żandarma Roberta Urbana, na którego władze podziemia wydały wyrok śmierci [przeżył wojnę],

uczeń tajnych kompletów Kazimierz Głuszczka [ps. „Ryś”] – akowiec; zginął podczas zamachu na Urbana w lasu stomilowskim,

uczeń tajnych kompletów Roman Banek [„Lord”] – działacz AK, zabity przez Niemców na rynku w Dębicy podczas próby zastrzelenia Urbana,

absolwent z 1938 roku Stefan Goetz – pracujący na kolei działacz podziemia, aresztowany i poddany torturom za fałszowanie ausweisów i przekazywanie ich Żydom, więzień obozu w Pustkowie i Oranienburgu, po wojnie działacz WiN-u,

absolwent z 1938 roku podchorąży Andrzej Sadowski [ps. „kmita”] – syn dyrektora gimnazjum, kierownik warsztatów w szkole mechanicznej, nauczyciel matematyki i fizyki na tajnych kometach, uczestnik akcji dywersyjnych, m.in. spalenia magazynu fabryki konserw w Dębicy, produkujących wyroby dla niemieckiej armii czy w akcji na tartak w Czarnej, absolwent tajnego nauczania podchorąży Stanisław Paluch – syn profesora geografii w gimnazjum, żołnierz Szarych Szeregów i AK; również uczestnik akcji na tartak w Czarnej, łącznik rzeszowskiego Inspektoratu AK, aresz-

towany i poddany torturom; został odbity z pociągu pod Lubziną i prze-
rzucony w rejon Tarnowa, gdzie kontynuował akcje dywersyjne, uczest-
nik bitwy na Kałżówce – po klęsce bezpiecznie wyprowadził 15-osobową
grupę kolegów przez linie nieprzyjaciela; po wojnie odznaczony Krzyżem
Walecznych i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,

absolwent z 1938 roku podporucznik Kazimierz Zieliński [„Olcho-
wa”] – działacz ZWZ i AK. Dowodził oddziałem dywersyjnym w okolicach
Niedźwiady; więzień rzeszowskiego zamku, uczestnik bitwy na Kałżówce,

fotograf Józef Stec [ps. „Jod”] – szef szkolenia sanitarnego obwodu dę-
bickiego AK; dzięki swej pasji fotografowania stał się autorem wielu uni-
kalnych zdjęć, rejestrujących m.in. przebieg akcji „Burza” czy egzekucję
partyzantów na dębickim rynku.

Wśród absolwentów, więzionych, torturowanych, mordowanych za
swą działalność w podziemiu byli też:

harcerz Szarych Szeregów, strzelec placówki Dębica Stanisław Szew-
czyk [„Smyk”],

absolwent 1938 roku, harcerz Szarych Szeregów Jan Kita,

oficer szkoleniowy placówki Działo Adolf Dąbrowski [„Myszka”],

absolwent z 1926 roku podporucznik Władysław Węglowski [„Jacheć”]

– nauczyciel w szkole mechanicznej, działający w ZWZ,

absolwent z 1934 roku sierżant Wojska Polskiego Władysław Mysona
[„Czarny”] z Borowej,

kapral Marian Zbigniew Gawryś – uczestnik kampanii wrześniowej,
harcerz Szarych Szeregów, zamordowany w Auschwitz,

absolwent z 1938 roku Eugeniusz Dębicki – działacz podziemia, za-
mordowany w Oświęcimiu,

Kazimierz Zieliński – zamordowany na zamku w Rzeszowie.

Wśród walczącej młodzieży nie mogło zabraknąć dziewcząt. Edmund
Galas wyliczał nazwiska dębickich łączniczek: „Zofia Dwornik, Irena
Szmid, Henryka Sadowska, Zofia Pytel, Barbara Kowalczewska, Wanda
Ożóg i inne” I dodał: „Większość spośród nich to uczennice dębickiego
liceum”. Władysław Strumski wymieniał sanitariuszki: Teresę Langner [ps.
„Lewkonია”] i Władysławę Gubernat [ps. „Powój”], – późniejsze więźniarki
Ravensbrück [przeżyły wojnę], a Ryszard Pajura – Wandę Dąbrowską [ps.
„Kalina”] pochodzącą z Kolbuszowej – łączniczkę AK, więzioną i zamor-
dowaną w obozie w Pustkowie; jej zwłoki zostały spalone na Górze Śmierci.
Wojenne losy wielu absolwentów naszej szkoły są nieznane.

Stanisław Żelechowski podkreślał, że w czasie okupacji Dębica „wy różniała się rozbudowaną siecią tajnego nauczania. Jednym z absolwentów takiego tajnego nauczania był – wyżej wspomniany dębicki pisarz – Władysław Strumski.

Pamiętam, gdy ten starszy już, skromnie ubrany pan, wielokrotnie przychodził do naszej biblioteki szkolnej, by korzystać z uprzejmości bibliotekarki – profesorki Lidki Górskiej, która pożyczala mu potrzebne książki. Niepokażny, z wysokim czołem, łysiejący i siwiejący, przechodząc korytarzem witał się cichutko, nieśmiało się uśmiechał i przemyskał szybko do biblioteki. Był raczej milczkiem, a zachęcony do rozmowy, niechętnie opowiadał o swojej sytuacji życiowej, chociaż z czułością napomyskał o żonie i trójce dzieci. Chyba zawstydzalo go to, że mając za sobą więzienną przeszłość, nie mógł realizować swych ambicji zawodowych, ale musiał godzić się na pospolitą pracę w zakładach jajczarsko-drobiarskich, choć jego wyobrażenia ulatywała gdzieś do bohaterskiej przeszłości, którą malował w pisanych przez siebie powieściach historycznych [wydał ich 18]. Są wśród nich „Wilczaki”, „Kosy przeciw kiścieniom”, „Antyczni bracia”, czy „Śladami Grunwaldu”.

Urodzony w Przybyszówce pod Rzeszowem, edukację gimnazjalną rozpoczął w Jarosławiu. Po wybuchu wojny działał w organizacjach podziemnych, m.in. w Armii Krajowej. Zdekonspirowany, przeniósł się wraz z bratem Kazimierzem [ps. „Tyran”] do obwodu Dębica, gdzie pod pseudonimem „Brutus” dowodził grupą bojową składającą się z 17 osób, przeprowadzając wiele akcji zbrojnych przeciw Niemcom. Brał też udział w przygotowaniach do akcji „Burza” i w walkach na Kałużówce, skąd udało mu się wycofać z garstką kolegów.

Po wojnie działał w organizacji „Wolność i Niezawisłość”, za co został skazany na 15 lat więzienia. Zwolniony po 1956 roku, powrócił do Dębicy, gdzie „podjął intensywne samokształcenie i zbieranie materiałów dokumentujących działalność AK w obwodzie dębickim” [Marian Morawczyński]; ich plonem są właśnie książki „Dziesiątka w akcji” i „Wojenne losy uczniów”. Działał jako radny miejski oraz twórca i pierwszy prezes dębickiego oddziału Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Władysław Strumski zmarł w 1990 roku i został pochowany na Cmentarzu Wojskowym obok Jerzego Żuławskiego. Na tablicy grobowca napisał: „Władysław Strumski [„Brutus”] – pisarz, oficer AK, członek WiN-u, więzień polityczny okresu stalinowskiego, przyjaciel młodzieży i Ziemi

Dębickiej [1922-1990]. Jego imię nosi jedna z ulic miasta i przylegające do niej osiedle.

Przeszłość akowską miał też Tadeusz Łomnicki – wybitny aktor oraz reżyser filmowy i teatralny, który w czasie wojny uczęszczał do Gimnazjum Handlowego w Dębicy; pod jego szyldem profesorzy [niektórzy uczący wcześniej w naszej szkole] realizowali program gimnazjalny. Do naszego gimnazjum uczęszczał jego brat Jan – reżyser i scenarzysta filmów fabularnych i dokumentalnych.

Tadeusz Łomnicki urodził się w 1927 roku w Podhajcach, należących dziś do Ukrainy. Jako 10-letni chłopiec zamieszkał w Radomyślu Wielkim koło Mielca, gdzie jego ojciec został naczelnikiem poczty. W 1936 roku Łomniccy – z synami: Tadeuszem i Janem oraz córką Anną – przenieśli się do Mszany Dolnej, a we wrześniu 1939 roku – do Podgrodzia koło Dębicy. Tu Tadeusz obserwował okrutny teatr „wojny”.

Wspominał: „Nadleciały z zachodu samoloty, dużo samolotów lecących bardzo nisko. Przywarłem do ziemi. Nade mną przeleciał dwukadłubowy Heinkel. Przeleciały również inne samoloty – z hukiem, niziutko, całą tyralierą, jak ogromne karpie w jakimś potwornym akwarium. Na wschodzie, daleko nad horyzontem widniały kominy fabryki Stomil i lasy [...]. Wtem odezwała się artyleria przeciwlotnicza Stomilu. Heinkiel zachwiał się – zrozumiałem, że został trafiony”.

Podczas wojny, Tadeusz Łomnicki nie tylko uczęszczał do dębickiej „handlówki”, ale też pracował jako robotnik kolejowy w obozie niemieckim w Płaszowie. Widział tam gehennę Żydów, okrucieństwo Niemców i „pociągi śmierci” jadące do Oświęcimia, w którym wkrótce zginął jego ojciec.

Był to czas bolesnych doświadczeń, ale też czas pierwszych zauroczeń, o których tak pisał: „Tęskniłem za koleżanką z Gimnazjum Handlowego w Dębicy i nie wstydziłem się sam przed sobą – jako robotnik kolejowy – przykładąć twarz do szyny biegnącej w stronę Tarnowa i patrzeć w czasie wschodu słońca na odbijające się w szynie światło, które prowadziło mnie gdzieś tam, w kierunku, w którym chciałem się udać. Była to wówczas moja tajemnica...”

Po wojnie Tadeusz Łomnicki podjął studia aktorskie w Krakowie. Debiutował w „Pokoleniu” Andrzeja Wajdy. Później kreował wiele ról filmowych i teatralnych. Chyba najwybitniejszą z nich była rola Michała Wołodjowskiego w „Potopie” i w „Panu Wołodjowskim”.

Łomnicki był też profesorem PWST w Warszawie, później jej rektorem, założycielem i dyrektorem warszawskiego Teatru na Woli, laureatem

licznych nagród. Wielu uważało go za najwybitniejszego aktora polskiego XX wieku. Widzowie tłumnie przychodzili na spektakle z jego udziałem. A on, czekając na wyjście na scenę podobno zwykł ze śmiechem mawiać: – „Jak ja im zazdroszczę, że mnie za chwilę zobaczą”.

Zmarł w 1992 roku podczas prób do szekspirowskiego „Króla Leara” w Teatrze Nowym w Poznaniu. Ma swą gwiazdę na Łódzkiej Alei Gwiazd.

Jego brat – Jan Łomnicki [absolwent gimnazjum – też z 1945 roku] został znanym scenarzystą i reżyserem filmowym. Po maturze ukończył wydział prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim i reżyserię na PWSTiF w Łodzi. Tworzył filmy dokumentalne i fabularne. Najbardziej znane to: „Wiano” [debiut] z Zofią Kucówną, „Bitwa pod Arsenalem” czy serial „Dom”.

Okupacyjnym absolwentem naszego gimnazjum był Józef Buszko [1925-2003] – syn profesora liceum – Alojzego, historyk, badacz dziejów Polski i Europy, profesor zwyczajny nauk humanistycznych, prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowca w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, w Katowicach i w Szkole Ekonomiczno-Handlowej w Bielsku-Białej, kierownik Zakładu Najnowszej Historii Polski i dyrektor Instytutu Historii UP.

Józef Buszko był też przewodniczącym okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Tak, jak Tadeusz Łomnicki i Eugenia Łoch, uczęszczał do szkoły kupieckiej, równocześnie realizując program gimnazjum na tajnych kompletach, a po maturze oprócz studiów na UJ, zdobywał wiedzę w Wyższej Szkole Nauk Politycznych w Krakowie. Chętnie odwiedzał naszą szkołę i miło wspominał lata w niej spędzone.

Józef Buszko jest autorem wielu prac naukowych. Są to m.in. „Historia Polski 1864-1948”, „Galicja i jej dzieje”, „Oświęcim. Historia obozu zagłady”.

Dla mnie najciekawszą lekturą było jego dzieło pt. „Dębica. Zarys dziejów miasta i regionu”, które wydał wspólnie z Feliksem Kirykiem, a które jest kopalnią wiedzy o naszym mieście i w którym znalazłam też informacje o moich przodkach.

Za swe zasługi profesor Józef Buszko był wielokrotnie odznaczany, m. in. Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski i Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Historyczne pasje profesora Józefa Buszki kontynuowało wielu późniejszych absolwentów naszej szkoły.

Był wśród nich dębicki historyk Jacek Dymitrowski [matura 1975] – absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawca dziejów Dębicy i regionu, przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Dębickiej, dyrektor Muzeum

Regionalnego w Dębicy, działacz i mecenas kultury, autor wielu publikacji dotyczących naszej „małej ojczyzny”, m.in. albumu „Dębica dawniej, Dębica dzisiaj – wiek przemian”, recenzent mojej książki „Pola zielone...”.

Znanym historykiem został też inny absolwent naszej szkoły – Profesor doktor habilitowany Zdzisław Noga to historyk-mediewista, dziekan.

Zdzisław Noga [matura 1980] to historyk-mediewista, profesor nauk humanistycznych, dziekan Wydziału Humanistycznego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, kierownik Katedry Archiwistyki i Nauk Pomocniczych, dyrektor Instytutu Historii UJ w Krakowie, autor wielu publikacji, w tym atlasów historycznych, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, mój uczeń.

Tak wspominał go potomek dziedziców Zasowa Maciej Łubieński w swej książce „Portret rodziny z czasów wielkości. O prymasach, milionerach, zakonnicach, bankrutach, pisarkach i innych przodkach”: „Siedzimy we czterech pod zassowskim niebem: Jasiek, Wiesiek, Zdzisiek i Maciek [...]; Zdzisiek to profesor Zdzisław Noga z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, wybitny badacz krakowskiego patrycjatu w XV wieku, który z Jaśkiem chodził do klasy, Maciek to ja, przez moich zassowskich kolegów nazywany hrabią. Rozmyślnie, żebym się zawstydził”.

Znanym historykiem został również doktor Arkadiusz Więch [matura – 2001rok] – absolwent Uniwersytetu Rzeszowskiego, pracownik Instytutu Historii UJ, autor opracowań o Dębicy, m.in. „Miasteczko. Życie codzienne mieszkańców Dębicy w latach 1900-1939”.

Absolwentem liceum z 1946 roku był wspomniany Marian Grundboeck [1923-2010] – profesor, doktor habilitowany nauk weterynaryjnych [brat profesorki Zdzisławy Grundboeck]. Ten wychowanek Korpusu Kadetów w latach 1936-1939, członek Szarych Szeregów i Armii Krajowej, uczestnik akcji partyzanckich i akcji „Burza”, po maturze studiował weterynarię na Uniwersytecie Wrocławskim. Po studiach został lekarzem weterynarii, profesorem Uniwersytetu Przyrodznawstwa we Wrocławiu, później Państwowego Instytutu Weterynarii w Puławach, autorem wspomnień, m. in. z lat licealnych, chętnie odwiedzającym naszą szkołę.

Absolwentem dębickiego liceum był też Andrzej Mikołajków [urodzony w 1937 roku], pochodzący z rodziny, która niezwykle zasłużyła się w ratowaniu dębickich Żydów w czasie II wojny światowej. Rodzice Andrzeja – wspomniana już Leokadia i Aleksander mieszkali w nieistniejącym dziś budynku przy ulicy Kościuszki, naprzeciwko kina, które wówczas nosiło nazwę „Deli”, a po wojnie – „Uciecha”. Obok była brama do getta, gdzie za-

mknięto dębickich Żydów. Przez okno na piętrze domu Mikołajkówów widać było ubogie domki, wąskie uliczki, błotnisty plac zwany „Księżą Łąką” i pracujących tam ludzi.

Aleksander miał stałą przepustkę do getta, gdyż zezwolono mu udzielać pomocy lekarskiej jego mieszkańcom. Gdy zagrożenie było coraz większe, ukrył na strychu swego domu 13 osób, którymi opiekowała się żona Leokadia wraz z synami. Zbigniew Szurek przytoczył wspomnienia jednego z uratowanych wtedy Żydów – rabina Raicha:

„Pamiętam widok dwóch małych chłopców bawiących się na podłodze; doktor Mikołajków powiedział do mnie: ten będzie inżynierem, a ten lekarzem. I tak się stało [...]. Młodszy syn był przerażony, gdy po raz pierwszy przyszedłem do ich domu. Nie mieli jeszcze skrytki, by mnie ukryć. Pani Leokadia zdjęła moją opaskę z ramienia z gwiazdą Dawida i ubrała mnie w ubranie swego męża. Nakazała dzieciom, by bawiły się ze mną i one to zrobiły. Gdy weszli Niemcy, aby zobaczyć się z doktorem, dali się nabrać, ale chłopiec jeszcze wiele razy opowiadał, jak bardzo był przerażony”.

Aleksander Mikołajków nie przeżył wojny, ale ukrywający się w jego domu Żydzi ocaleli. Leokadia wraz ze starszym synem otrzymała medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, a Andrzej został odznaczony Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski z napisem: „Za bohaterską postawę i niezwykłą odwagę wykazaną w ratowaniu życia Żydom w czasie II wojny światowej, za wybitne zasługi w obronie godności, człowieczeństwa i praw ludzkich”.

Absolwenci naszej szkoły, którzy rozpoczynali naukę po wojnie byli szczęśliwcami. Nie musieli już walczyć zbrojnie i ginąć za ojczyznę, ukrywać się, głodować, lękać o życie swoje i swoich najbliższych. Mogli poświęcić się realizacji swych marzeń, szlachetnych ideałów, mogli pracować w spokoju i robić kariery w różnych dziedzinach życia. I korzystali z tej szansy, bez względu na trudności, jakie musieli przezwyciężać. Byli wśród nich lekarze i pielęgniarki, nauczyciele i artyści, politycy i pracownicy umysłowi, księża, sportowcy i ludzie nauki.

W 1947 roku absolwentką naszej szkoły została Eugenia Łoch [Śliwa] – naukowiec, profesor, doktor habilitowany nauk filologicznych. Eugenia Łoch, urodzona w Dębicy w 1923 roku, tak jak Tadeusz Łomnicki uczęszczała w okresie okupacji do szkoły handlowej i równocześnie uczestniczyła w zajęciach realizujących program gimnazjum na tajnych kompletach. Po zdaniu matury studiowała filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie i na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1966 roku została

pracownikiem naukowym w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie, a następnie kierownikiem Instytutu Filologii Polskiej na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie.

W jej biografii czytamy, że „wypromowała blisko tysiąc magistrów i kilku doktorów”.

W tej olbrzymiej liczbie magistrów znalazłam się i ja. Profesor Eugenia Łoch była moim wykładowcą i promotorem pracy magisterskiej z teorii literatury.

Ta cudowna kobieta – miła, elegancka, serdeczna, zawsze spiesząca z pomocą, pełna optymizmu i wiary w swych podopiecznych, specjalizowała się w literaturze pozytywizmu i Młodej Polski. Wydała wiele prac naukowych, m.in. „Wokół modernizmu”, „Szkice o twórczości literackiej Żeromskiego”, „Orient w literaturze i kulturze modernizmu”.

Była posłanką na sejm, laureatką wielu nagród i odznaczeń, w tym Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski.

Chętnie wracała do Dębicy, z którą czuła się mocno związana. Pamiętam, gdy odwiedziła również naszą szkołę. Oprócz wygłoszenia wykładu o literaturze, uczestniczyła w spotkaniu z nauczycielami i uczniami; ze mną ucieła sobie serdeczną pogawędkę i zaprosiła do odwiedzenia jej na lubelskiej uczelni. Eugenia Łoch zmarła w 2019 roku.

Naukowo-literacką karierę zrobił też Marian Morawczyński – maturzysta z 1951 roku. Urodzony w 1932 roku w Dębicy, już w szkole zdradzał zainteresowanie literaturą, brał udział w konkursach recytatorskich i przygotowywał inscenizacje szkolnego teatru, działał również w harcerstwie. Wspominał: „Byłem zdobywcą I miejsca w miejskim konkursie recytatorskim, w setną rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego [1949 rok], obsługiwałem akademie szkolne i wiele zakładowych”.

Po zdaniu matury Morawczyński studiował na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie, po czym pracował jako nauczyciel w Nagawczynie i w Dębicy, pełnił też funkcję kierownika Szkoły nr I w Dębicy, a później inspektora oświaty, dyrektora tarnowskiego oddziału Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych, przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Specjalizacji Zawodowej Nauczycieli i przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Postępu Pedagogicznego.

Doktor nauk humanistycznych, współzałożyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Dębicy i Muzeum Regionalnego, działacz ZHP, honorowy prezes Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Dębickiej, był autorem wielu publikacji historycznych oraz literaturoznawczych, dotyczących naszej „małej ojczyzny”

drukowanych w różnych czasopismach. Najważniejsze jednak w jego dorobku były publikacje książkowe: „Rzeź 1846 roku” oraz „Od Raby do Wisłoki. Szlakami pióra”, w której to książce wpisał mi bardzo sympatyczną dedykację:

„Pani mgr Halinie Niziołek, co mnie zawsze onieśmiela z wysokości profesorskiego majestatu, z podziękowaniem za długi niespłacone, z prośbą o łaskawe pobłażanie błędom – autor”.

Byłam nauczycielką jego dzieci, stąd pewnie owe „długi niespłacone”, choć to ja odczuwałam lęk przed oceną wizytatora Morawczyńskiego.

Marian Morawczyński wspominał epizod związany z pracą w naszej szkole: „W roku 1957/1958 zostałem kierownikiem Punktu Konsultacyjnego Liceum dla Pracujących, na prawach raczej niechcianego lokatora mieszczącego się w budynku Liceum Ogólnokształcącego, co sprawiało pewne trudności; z czasem udało się wypracować consensus omnium [zgode]. Niezależnie od funkcji kierownika byłem w Punkcie zatrudniony jako nauczyciel języka polskiego; co w sumie stanowiło dodatek do niebogatego etatu w Szkole Podstawowej nr I [...]. Do Punktu zapisanych było kilkanaście osób, wiele z nich zajmowało kierownicze stanowisko w swoim zakładzie pracy: wśród nich był I Sekretarz KP PZPR, oficerowie Wojska Polskiego, Milicji Obywatelskiej; geograficznie punkt obejmował cały powiat dębicki i ropczycki”.

Marian Morawczyński, będąc inspektorem oświatowym, hospitował lekcje polonistów w czasie wizytacji szkolnych. Dbał o wysoki poziom nauki, służąc nauczycielom swą wiedzą i doświadczeniem. Był propagatorem literatury regionalnej, a przede wszystkim miłośnikiem poezji Mickiewicza. Z tej to miłości zrodziło się jego zainteresowanie związkiem naszego wieszcza z Ewą Ankwiczówną, pochodzącą z Machowej i starania o ocalenie pamiątek i śladów tego związku, a także propozycja nadania blokom na dębickim osiedlu Pana Tadeusza imion Mickiewiczowskich bohaterów.

Marian Morawczyński zmarł w 2016 roku i został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Dębicy. Za swe zasługi otrzymał m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Komisji Edukacji Narodowej, nagrodę „Uskrzydłonego” i tytuł „Zasłużony dla Dębicy”.

Jego pamięci poświęciłam wspomnienie zamieszczone w „Nowinach”. Zwróciłam w nim uwagę, że doktor Morawczyński w kontaktach prywatnych był szarmanckim, starszym panem, otwartym, dowcipnym, prowadzącym ze swadą interesujące rozmowy, zawsze okraszone kwiecistymi wyrażeniami i licznymi cytatami, szczególnie z ukochanej przez niego lite-

ratury romantycznej. Do końca zachował lekko kpiarski ton. Przekonałam się o tym podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej:

- Czy to mieszkanie pana doktora Morawczyńskiego?
- Nie. Przychodnia ginekologiczna.

I zaraz potem łobuzerski chichot i słowa: – Oczywiście, że moje mieszkanie. A kto mówi?

W czasie krótkiej rozmowy opowiadał, że jest strasznie zapracowany, że poprawia prace młodych twórców, że ma wiele wydawniczych planów. Choć mówił z trudem, powoli, trochę zmienionym głosem, to wydawał się pełen optymizmu i zapału. A gdy wspomniałam, że jako młodziutkie nauczycielki bałyśmy się go straszliwie, gdy nagle zjawiał się na wizytacje naszych lekcji, znów zachichotał i zapytał słowami Radosta ze „Ślubów pannieńskich” Fredry: – „Czy ja straszydło na młode dziewczęta?”

Znanym filologiem klasycznym i literaturoznawcą został też profesor Jerzy Styka, absolwent naszej szkoły z 1973 roku. Ukończył filologię klasyczną i filologię hiszpańską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował na UJ, gdzie prowadził badania literackie nad antykiem, a także na Uniwersytecie Śląskim oraz na uniwersytetach w Warszawie i Bazylei.

Wybitnym absolwentem naszej szkoły był Leszek Starkel [matura -1949] – profesor nauk przyrodniczych, geograf, geolog [prowadzący m.in. przez wiele lat badania w Indiach], autor licznych dzieł naukowych z tej dziedziny wiedzy.

Urodzony w 1931 roku w Wierzbniku, w czasie okupacji przebywał w Dębicy. Po zdaniu matury w naszym liceum, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie później był wykładowcą. Członek Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności, za swe zasługi otrzymał m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski i prestiżowe wyróżnienie Brytyjskiego Towarzystwa Geograficznego – „Medal Odkrywców”. Swoje wspomnienia zawarł w książce „Spotkania w drodze”.

Najwybitniejszym jednak absolwentem naszego liceum [matura – 1951 rok] był Krzysztof Penderecki – światowej sławy kompozytor, dyrygent, pedagog, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, współtwórca nowego oblicza polskiej muzyki XX wieku.

Nie sposób wymienić tu wszystkich jego genialnych utworów. Największe z nich to: „Pasja według świętego Łukasza”, „Polskie requiem”, „Siedem bram Jerozolimy”, „Ofiarom Hiroszimy”. Penderecki tworzył opery, symfonie, koncerty, hymny, suity, serenady, pieśni, oratoria. Pisał muzykę do

wielu filmów, m.in. „Łśnienie” Stanleya Kubrika, „Dzikość serca” Dawida Lyncha, „Wyspa tajemnic” Martina Scorsese, „Rękopis znaleziony w Saragossie” Wojciecha Hasa, czy „Katyń” Andrzeja Wajdy.

W wieku 28 lat, gdy pracował na krakowskiej akademii muzycznej jako adiunkt, wziął udział w konkursie dla młodych kompozytorów. Niespodziewanie jego kompozycje zajęły wszystkie trzy pierwsze miejsca. Od tamtego czasu rozwijała się jego wielka kariera, a jego sława objęła cały świat.

Urodził się w Dębicy w 1933 roku i uczęszczał do naszej szkoły. Możemy być z tego dumni. Jak go zapamiętali koledzy?

Krystyna Kołodziej-Selbirak: „Lubiłam obserwować, jak maszerowały drużyny harcerzy, którzy na werblach i bębenkach wystukiwali z zapalem rytm, robiąc dużo hałasu. Zawsze w pierwszym szeregu maszerowali wyspecjalizowani w tym harcerze: Alfred Maciuba i Krzysław Penderecki”.

Marian Grundboeck: „Było to w lecie 1945 roku na obozie harcerskim w Okoninie koło Dębicy. Przyszły Maestro nie miał w ręku żadnego instrumentu muzycznego tylko karabin, jak inni druhowie. Takie to były czasy, że nawet małodoty bez broni obyć się nie mogli”.

Alfreda Ździebło: „Sławny dziś Krzysztof Penderecki nie wyróżniał się w szkole, chyba tylko psikusami, które płatał koleżankom. Pamiętam też wieczorek, na którym Penderecki grał na skrzypcach własne kompozycje, choć nikt wtedy tego poważnie nie traktował – ot, uczniowskie zabawy”.

I jeszcze fragment rozmowy z Krzysztofem Pendereckim zamieszczonej w książce: „Pendereccy. Saga rodzinna”:

- Podobno był pan kochliwy?
- No tak, moje sympatie, koleżanki z klasy, ech...
- Która szczególnie została panu w pamięci?
- Zosia Sapeta, z którą długo utrzymywałem kontakt”.

W czasach dzieciństwa i młodości Pendereckiego Dębica była małym, prowincjonalnym miastem. Andrzej Zawada napisał, że „są ziemie urodzajne w pszenicę i są ziemie urodzajne w artystów”. Nasza ziemia okazała się cudownie urodzajną, choć – będąc młodym twórcą – Penderecki niechętnie przyznawał się do miejsca swego pochodzenia, mówiąc najczęściej, że urodził się w małym miasteczku niedaleko Krakowa. Sam później tłumaczył: „Sądzę, że większość z nas popełnia ten sam błąd, jeśli chodzi o zainteresowanie własnymi korzeniami. Najpierw człowiek żyje własnym życiem, realizuje swoje plany, a dopiero później zaczyna się zastanawiać, skąd się wziął. Jako dojrzały człowiek i uznany artysta wracał tu i podkreślał emocjonalne związki ze swą „małą ojczyzną”.

Na licznych fotografiach artysty widzimy mężczyznę trochę egzotycznej urody; czarnowłosego i czarnookiego, o rysach raczej orientalnych niż słowiańskich. Nie dziwi to wrażenie, gdy przeczytamy słowa Antoniego Stańki: „Mieszanina krwi polskiej, niemieckiej i ormiańskiej, splątane losy przodków, biografie typowe i nietypowe – wszystko to może odbija się w Pendereckim – człowieku i Pendereckim – artyście [...]. Dobre serce, wrażliwość i czułość dostał od matki, stanowczość – od ojca, a umiłowanie porządku od dziadka. Rysy twarzy pewnie po babce – Ormiance, natomiast niezwykły talent na pewno od samego Pana Boga”.

Rodzice Krzysztofa: Tadeusz [matura – 1924 rok] i Zofia Berger [matura – 1927 rok] byli uczniami naszego gimnazjum i seminarium nauczycielskiego. Ojciec był prawnikiem, pracował też jako wykładowca organizacji handlu w Miejskim Koedukacyjnym Gimnazjum Kupieckim. Jako mecenas, w imieniu rodziców bronił też młodzieży gimnazjalnej po strajku szkolnym w 1946 roku.

Według relacji Antoniego Darłaka „był człowiekiem skrytym, mało mównym, stroniącym od kontaktów towarzyskich [...]. Nie wierzył w talent muzyczny syna i lekceważył te jego młodzieńcze zainteresowania, a jeśli godził się na finansowanie lekcji muzyki, to robił to bez entuzjazmu, proponując mu zupełnie inną drogę życia”.

Krzysztof Penderecki od dziecka miał uzdolnienia językowe. Sam tak o tym pisał: „Zamiłowanie do obcych języków mam widocznie po ojcu. Nauka żadnego nie sprawia mi trudności. Dobrze znam niemiecki, angielski i łacinę, porozumiewam się po włosku, hiszpańsku i rosyjsku. Powąchałem też klasycznej greki. W dzieciństwie mówiłem też trochę w jidisz, gdyż wielu moich kolegów posługiwało się tym językiem”.

Miał siostrę Barbarę [absolwentka z 1957 roku – wykładowca na Akademii Muzycznej w Krakowie, ceniona pianistka, odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi] i starszego brata Cezarego. Gdy ów Cezary był – według relacji Antoniego Darłaka – „wzorem systematyczności i pilności [ukończył 2 fakultety: prawo i medycynę], a rodzicom nie przysparzał żadnych kłopotów, to Krzysztof czynił to w dwójnasób [...]. Żywe srebro, niespokojny duch, nie poddawał się dyscyplinie systematycznej nauki, co w przypadku kształcenia muzycznego jest warunkiem nieodzownym”.

Potwierdzał to wychowanek dziadków Krzysztofa – Stanisław Kobosowicz: „chłopiec przysparzał rodzinie sporo edukacyjnych problemów. Czytał bardzo dużo książek, ale nie tych, które polecali nauczyciele”.

Ojciec postanowił zainteresować syna muzyką, kierując go na lekcje – najpierw do ociemniałego nauczyciela Stanisława Mitka – absolwenta konserwatorium muzycznego, a następnie do profesora Stanisława Darłaka.

Antoni Darlak wspominał: „Mój ojciec był łasy na talenty i miał dar ich wczesnego rozpoznawania [...]. Przyjął Krzysztofa na prośbę zmartwionych rodziców, którzy szukając różnych sposobów naprowadzenia syna na właściwą ich zdaniem ścieżkę edukacyjną, zaznaczali, że zainteresowania muzyczne syna traktują trochę jako epizod, który niewątpliwie z czasem minie”.

Profesora Darłaka dziwiła – jak dalej wspominał jego syn – „kwestia bardzo późnego zainteresowania się Krzysztofa Pendereckiego muzyką.

Historia tej dziedziny sztuki uczy, że wielcy kompozytorzy rozpoczęli edukację muzyczną na ogół bardzo wcześnie, często w wieku przedszkolnym, gdyż ujawniali swoje zainteresowania muzyczne niemalże od kołyski. Nazywano ich cudownymi dziećmi, które w wieku lat kilkunastu miały już poważny dorobek kompozytorski [Mozart, Chopin]. Penderecki tych zdolności i zamiłowań w dzieciństwie nie ujawniał i dopiero w ostatnich latach przed maturą obudził się u niego talent na dobre. Można by go więc raczej określić jako cudownego nastolatka [...].

Rozpoczynanie gry na najtrudniejszym instrumencie w wieku 15 lat nie może nie stawiać pytań o sens takich zamierzeń. Mając za sobą tyle lat, już się częstokroć zdobywa nagrody w konkursach, a nie rozpoczyna od zera, ale stosunkowo szybko odczytał mój ojciec słowo „talent” uzupełniając go wkrótce przymiotnikiem „wielki” [...]. Odkrycie już tych dwóch słów wystarczyło, by traktować Krzysztofa wyjątkowo i układać plany edukacji zdecydowanie muzyczne, a co ważniejsze, wygrać batalię z panem Tadeuszem, który w swych poglądach pozostał jeszcze długo niewzruszony i nie dopuszczał myśli o tak niepewnej opcji edukacyjnej dla syna”.

Będąc w gimnazjum, Krzysztof miał okazję rozwinąć swój talent muzyczny, zostając członkiem szkolnej orkiestry. Po latach mówił: – „Jako młody człowiek zakochałem się skrzypcach od razu”.

„Ponieważ oprócz muzyki interesowała go również filologia klasyczna i malarstwo – pisał dalej Antoni Darlak – najbliższe otoczenie Krzysztofa traktowało jego muzyczny zapal jako jeszcze jedną efemerydę zagubionego na progu życia, niedojrzałego, choć już kilkunastoletniego chłopca. Beztroskie lata dzieciństwa minęły i nastał najwyższy czas decyzji: co dalej? A że była to indywidualność nieprzeciętna, o wielokierunkowych zainteresowaniach, wahania były zrozumiałe. Literatura? Malarstwo? A może przygoda dalekich podróży po świecie? Nie!

Z gąszczy mnożących się znaków zapytania przebijał się mimo wszystko talent oscylujący wokół muzyki. Nieudane podejście najpierw do fortepianu, po nim pierwsza próba zaślubin ze skrzypcami, też nie trafiona, następna, u innego nauczyciela, również przerwana, wreszcie jest!

Powiodło się – w myśl przysłowia – za trzecim razem. Znalazł się człowiek, który sprostął zadaniu pokierowania talentem w ostatnim okresie przed egzaminem dojrzałości [...].

Czy można się było dziwić zniecierpliwieniu i niepokojom zatroskanych rodziców Krzysztofa, gdy „ostatni dzwonek” brzmiał coraz bardziej natarczywie? Czy można ich było nie rozumieć, gdy powtarzające się próby Krzysztofa związania swych losów z muzyką traktowali jako stratę czasu, słomiany zapal?

Adwokat, Tadeusz Penderecki, człowiek konkretnie myślący, miał na uwadze przyszłość syna, jego nadchodzącą samodzielność. Przekonanie, że muzyka mu jej nie zapewni, było u niego bardzo mocne. Owszem, przyjemnie jest umieć grać na tak szlachetnym instrumencie, sam pan Tadeusz grał w młodości na skrzypcach w gimnazjalnej orkiestrze symfonicznej, prowadzonej przez swojego ojca, więc nie była mu ta dziedzina obca. Ale w pierwszym rzędzie trzeba mieć zawód, dobry zawód, a muzyka się do takich, zgodnie z obiegową opinią, nie zaliczała.

Tak mniej więcej przebiegały procesy myślowe rodziców nad przyszłością syna, do których mój ojciec lubił później z satysfakcją wracać, obserwując rozwijającą się karierę kompozytorską dawnego ucznia”.

„Krzysztof Penderecki – wspominał dalej Antoni Darlak – szybko wgryzał się w tajniki techniki skrzypcowej i uczył się przede wszystkim rozumienia muzyki, co łapał w lot. Był to okres niezwykle wytężonej pracy nauczyciela i – zwłaszcza ucznia, którego muzyka pochłoneła bez reszty, zabierając mu każdą chwilę, nawet tę, która powinna być przeznaczona na naukę w liceum [...].

Krzysztof, w miarę szybko czynionych postępów, ćwiczył z coraz większym zapalem. Chyba wierzył jeszcze wtedy w możliwość nadrobienia straconego czasu, ale to nie było takie proste [...], a w dodatku natura wyposażała go w większą sprawność lewej ręki, co w przypadku gry skrzypcowej jest, wbrew pozorom, utrudnieniem. Ale palił się do gry, wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję, a nawet próbował już wówczas coś komponować”.

Sam wspominał: „Już jako chłopiec interesowałem się dziewiętnastowieczną muzyką wirtuozowską; czyli Wieniawski, Paganini, Vieuxtemps [...]. Od Zosi [Sapety] dostałem na urodziny partitę na skrzypce solo Ba-

cha. To było może dwa lata przed maturą i stało się punktem przełomowym; muzyka polifoniczna, bardzo trudna dla chłopca, który nie miał żadnego wykształcenia muzycznego. Zacząłem nawet pisać pod Bacha, w naturalny sposób wychowywałem się z jego muzyką”.

Rzeczywiście podejmował pierwsze próby kompozytorskie, tworząc muzykę dla zespołu, który wówczas założył.

Chociaż – zdawałoby się – Penderecki traktował dębicką edukację jako mało znaczący epizod, ale tak naprawdę był to okres bardzo dla niego ważny, „gdyż odegrał istotną rolę w ukształtowaniu młodego charakteru i w starcie do wielkiej kariery [...]”.

„Nauka gry na skrzypcach – twierdził Antoni Darlak – w początkowym okresie jest rzeczą najnudniejszą w świecie. Ojciec potrafił uczynić z tej nauki fascynujące zajęcie dla mocnego, ale nie utemperowanego charakteru. Znalazł do niego drogę i w pewnym momencie fascynacja ta rozwinęła się aż nazbyt, gdyż Krzysztof przestał się uczyć w szkole i groziło mu „oblanie” matury. Przez długi czas nie pomagały perswazje rodziny [...]. Krzysztof zamierzał zlekceważyć egzamin dojrzałości, uważając go za zbędny balast umysłowy dla przyszłego muzyka [...]. Ostatecznie zdał maturę, choć z wynikiem, na który – używając cytatu z „Pasji o Krzysztofie Pendereckim” – „spuścmy zasłonę milczenia”.

W tym samym – 1951 roku wyjechał do Krakowa, by studiować i robić muzyczną karierę. Kolejni profesorowie Pendereckiego: Franciszek Skołyszewski, Artur Malawski, Stanisław Wiechowicz – nie od razu dostrzegali jego geniusz i jego „niezwykłe śmiałe poszukiwania nowych wyrazów w muzyce XX wieku”, które szokowały starszych mistrzów. Pełna ocena możliwości kompozytorskich Pendereckiego stała się możliwa dopiero po pojawieniu się jego pierwszych, wielkich dzieł. A później przyszła światowa sława, jaka zdarza się naprawdę nielicznym. Dziś, trawestując słowa Schumana o Chopinie, można rzec: „Krzysztof Penderecki – sercem dębiczanie, a talentem świata obywatel”.

W latach siedemdziesiątych Elżbieta i Krzysztof Pendereccy postanowili zorganizować Europejskie Centrum Muzyczne jako miejsce pracy twórczej, miejsce spotkań młodych adeptów muzyki z jej mistrzami, miejsce koncertów i relaksu. Dzięki ich staraniom marzenie się spełniło. Centrum powstało obok pięknie odnowionego dworku w Lusławicach, otoczonego wspaniałym 15-hektarowym parkiem, do którego znakomity właściciel sprowadził setki unikalnych drzew i krzewów z całej Europy.

Krzysztof Penderecki nie zapomniał o miejscu urodzenia i latach młodości. Pamięta również o nim nasze miasto. Na rodzinnym domu kompozytora umieszczono tablicę pamiątkową, a władze miejskie wielokrotnie zapraszały go, gościły i organizowały koncerty najslynniejszemu z dębiczan.

Jednym z takich niezapomnianych koncertów był ten z 9 grudnia 2000 roku, w kościele Ducha Świętego, który – jak wspominał Antoni Stańko: „dostarczył przybyłym na niego słuchaczom niezapomnianych wrażeń, a publiczność wypełniająca szczerze świątynię nagrodziła wykonawców [orkiestrę i chóry: mieszany i chłopięcy] za wspaniały i niepowtarzalny koncert, kilkunastominutową owacją na stojąco. W oczach wielu przybyłych widać było łzy wzruszenia”.

Mogę potwierdzić te słowa, gdyż miałam przyjemność i zaszczyt wysłuchać tego koncertu, podziwiać maestro za pulpitem dyrygenckim, zobaczyć jego niezwykle elegancką żonę Elżbietę i wielu znamienitych gości i przedstawicieli władz, na czele z ówczesnym starostą Władysławem Bielawą – organizatorem owego wydarzenia. Wówczas też Marszałek Senatu RP Alicja Grześkowiak odznaczyła Krzysztofa Pendereckiego Medalem Senatu.

Posiadał też wiele innych odznaczeń, m.in. Order Orła Białego, statuetkę „Złotego Fryderyka”, czterokrotnie uzyskał nagrodę „Grammy”, miał też tytuł doktora honoris causa kilku uczelni i honorowego prezesa Związku Kompozytorów Polskich.

Staraniem władz naszego miasta powstały opracowania dotyczące życia tego wirtuoza, m.in. pióra Mariana Morawczyńskiego – rówieśnika i kolegi szkolnego Krzysztofa czy pedagogów Zespołu Szkół Muzycznych w Dębicy, które w 2021 roku nazwano jego imieniem.

Krzysztof Penderecki zmarł w 2020 roku, a jego prochy spoczęły w Panteonie Narodowym w Krakowie.

Rok wcześniej niż Penderecki, bo w 1950 – ukończył naszą szkołę Stanisław Waltoś [ur. w 1932 roku] – profesor nauk prawnych, specjalista w zakresie historii prawa i postępowania karnego.

Swe wspomnienia z czasów młodości zawarł w książce „Wędrowanie po wyspach pamięci”. W rozdziale o znaczącym tytule „Nauka latania” pisał o naszym liceum, do którego przybył w październiku 1946 roku..

„Było ono jednym z najbardziej liczących się instytucji w mieście. Właściwie nie miało konkurencji. „Buda” – tak a nie inaczej mówiliśmy o naszym gimnazjum”.

Ważnym wydarzeniem było dla Stanisława Waltosia wstąpienie w szeregi harcerzy: „Moja kariera w harcerstwie zaczęła się od zastępowego w druży-

nie gimnazjalnej [...] Potem zostałem zastępcą komendanta hufca, aż w końcu i komendantem. Niestety, to już był koniec prawdziwego harcerstwa”.

Wspominał też, jak jego ojciec na zebraniu Komitetu Rodzicielskiego przevorsował uchwałę nakazującą, by chłopcy obcieli sobie włosy przy samej skórze, co stało się powodem różnych nieprzyjemności ze strony kolegów.

Opowiedział też o lekcjach tańca, o wycieczkach do Krakowa, o wagarach nad Wisłokę, o tym, jak uczniowie ukradli dzwonek, a pomysłowy wózny walił młotkiem w łopatę, a także, których nauczycieli i kolegów najbardziej zapamiętał.

Pisał: „Nie było jeszcze olimpiad, nikt nie zakładał kółek przedmiotowych. Funkcjonowało jednak Szkolne Koło Odbudowy Stolicy. Byłem jego przewodniczącym”.

Profesor Waltoś wielokrotnie gościł w naszej szkole. Pamiętam, gdy zaprosił nasze grono pedagogiczne do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński. Z tego wyjazdu pozostało wiele fajnych wspomnień i zdjęć.

W czasie uroczystości 100-lecia szkoły profesor Waltoś mówił: „Nasi nauczyciele uczyli nas, że nawet w najgorszych czasach należy zachowywać się przyzwoicie. Było, jest i będzie miejsce w Dębicy, gdzie liczy się tolerancja i przestrzeganie tych wartości, bez których życie ludzkie traci sens człowieczy”.

Wybitnymi uczonymi zostało też wielu innych uczniów, którzy uczęszczali do naszego liceum w latach 50. i 60. Warto wymienić choćby kilku:

Stanisław Białas [matura – 1956 rok] – absolwent UJ, pracownik AGH w Krakowie, doktor nauk matematycznych, autor prac naukowych z zakresu automatyki i robotyki, a także pracy „Jakub Szela. Kim był?”. Odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Edukacji Narodowej,

Ryszard Kępa [matura – 1960] – późniejszy profesor fizyki,

Mieczysław Rękas [matura – 1961] – profesor chemii,

Grażyna Jeżewska [matura – 1965] – profesor zootechniki, odznaczona Krzyżem „Virtuti Militari”,

Lucjan Pajak [matura – 1965] – profesor chemii,

Zygmunt Wróbel [matura – 1965] – profesor specjalizujący się w inżynierii biomedycznej,

Piotr Kowalski [matura – 1966] – profesor fizyki,

Jerzy Dydak [matura – 1969] – profesor nauk matematycznych, pracujący w USA.

Wybitnym absolwentem z 1971 roku był profesor doktor habilitowany inż. Janusz Mroczka – twórca polskiej metrologii elektronicznej i fotonicznej.

Wspominał: „Byłem wytworem ówczesnego mi środowiska licealnego, a tym samym w pewnym stopniu typowym przedstawicielem młodzieży licealnej, gdzie niepowodzenia nie były dziełem przypadku czy koniunktury, ale następstwem mojej postawy i postępowania [...]. Wyróżnienia dawały mi satysfakcję i traktowałem je w kategoriach – za właściwą pracę właściwa nagroda. Niepowodzenia, a takich nie brakowało, poza ogólnymi przyczynami, miały swe źródła w niemożliwości wchodzenia w kompromis z własnymi zasadami. Wówczas pamiętam, że poświęcając czas matematyce i fizyce nie mogłem poświęcać więcej czasu, niż programowo wymagał tego materiał, innym przedmiotom oraz nie mogłem uczestniczyć w szkolnym chórze, bo natura w tej kwestii nie była dla mnie hojna. Te uwarunkowania ukształtowały we mnie prawo do odrębności trwania przy raz obranych postanowieniach. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć i czynię to z pokorą, że niekiedy w tego typu postawach bardziej dominował upór niż racjonalne myślenie; ale czy młodość nie mogła mieć swoich praw?”

Profesor Janusz Mroczka to niezwykła osobowość, wybitny uczony wielce zasłużony dla rozwoju polskiej nauki, propagator polskiej myśli naukowej na świecie, autor wielu publikacji naukowych, laureat licznych nagród, tytułów i odznaczeń. Dla niego „nauka jest życiem samym, a nie sposobem na życie”. Oddaje się jej całym sercem, zadziwiając entuzjazmem, sumiennością, otwartością i odwagą. Udowadnia, że „nauka może być i jest piękna, i staje się pasją dla tego, kto poświęca się jej uczciwie i wiernie”.

Profesor jest wychowawcą kilku pokoleń studentów, doktorów i samodzielnych pracowników naukowych, dla których stał się wielkim autorytetem intelektualnym i moralnym.

To człowiek kreatywny, wrażliwy, z dużym zacięciem humanistycznym, poczuciem humoru i dystansu wobec siebie. Dlatego we wstępie do publikacji pt. „Problemy metrologii elektronicznej i fotonicznej. Księga dedykowana Profesorowi z okazji 70. rocznicy urodzin i 46-lecia pracy na Politechnice Wrocławskiej” znalazła się dowcipna propozycja stworzenia nowej jednostki – „1 mroczka”.

Marta Kordas napisała, że spotkać takiego człowieka na swej drodze to jak wygrać szóstkę w znanej grze liczbowej, a Adam Bienkowski, że profesor Mroczka to „Sienkiewiczowski Petroniusz naszych czasów – „arbiter elegantiarum” w środowisku naukowym.

Profesor Mrocza z sentymentem wspominał naszą szkołę, z radością do niej wracał i chętnie spotykał się z nauczycielami i uczniami. Jest też recenzentem tej książki. Kariery naukowe zrobili też późniejsi absolwenci, m.in.:

Mariusz Kozik [matura – 1975 rok] – profesor chemii pracujący w USA,

Adam Grzech [matura 1977 rok] – profesor informatyki,

Tomasz Szarek [matura 1987 rok] – profesor nauk matematycznych i doktor filozofii,

Radosław Uliszak [matura – 1987 rok] – doktor geografii, autor podręczników,

Sławomir Mikrut [matura – 1992 rok] – profesor geodezji,

Anetta Wietecha-Posłuszny [matura 1995 rok] – profesor chemii, czy – moi uczniowie: Joanna Węgrzyn i Jarosław Duda.

Joanna Węgrzyn [matura – 1997 rok] została pracownikiem naukowym prestiżowych uniwersytetów w USA i Kanadzie, zajmujących się onkologią; prowadzi badania nad rozpoznawaniem mechanizmów regulujących ekspresję genów,

Jarosław Duda [matura – 1999 rok] został pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego; to autor wynalazku na światową skalę, dotyczącego sposobu kodowania ANS, służącego do kompresji danych. Ów nowatorski wynalazek jest wykorzystywany w urządzeniach elektronicznych, takich jak laptopy czy smartfony [korzysta z tego wynalazku Apple, czy Facebook]. Wśród uczniów naszej szkoły zawsze było wielu początkujących poetów.

Największą sławę zdobył Wojciech Kawiński [matura – 1958 roku]; według Mariana Morawczyńskiego – „ironiczny sprawozdawca współczesnego świata”, który pisał o sobie z przymrużeniem oka: „nic co wredne nie jest mi obce”.

Wojciech Kawiński urodził się w 1939 roku w Dębicy i tu spędził dzieciństwo. „Do Dębicy poeta wraca często w świecie swojej poezji” [Morawczyński]:

„Czuję na twarzy tamte
ciepłe promienie, słyszę
tamte ulice, tamtą rzekę, tamten wiatr”.

W swych wierszach Wojciech Kamiński wspomina swoją matkę, ojca, rodzinny dom:

„Za domem, w głębi ogrodu
matka pali badyle i liście,
strzępy trawy, kawałki papieru;
pali przeszłość,
zetlałą
pod obłokiem
który coraz mniej rozumie.
A dym
nie chce się rozwiać” [„Lata”].

„Ciągłe myślę o ojcu:
prawie go nie znałem
i nie wiem gdzie
i kiedy zginął: jakie
były jego ostatnie chwile;
czy strach, ulga, nienawiść,
przebaczenie bezsilność,
pamięć o bliskich – tkwiły
wówczas w nim” [„Ciągłe”]?

„Wiele lat nie byłem na strychu
rodzinnego domu
na pewno
błąka się tamtejszy mój dziecięcy cień...” [„Lata”]

Po ukończeniu naszego liceum Wojciech Kawiński studiował filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej i na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Debiutował w 1961 roku w czasopismach literackich, a w roku 1964 ukończył swój pierwszy tomik poezji „Odległości posłuszne”. Podczas swej działalności literackiej wydał około 20 zbiorów wierszy, w tym – w 1980 roku – wybór z dotychczasowych wydań pt. „Pod okiem słońca”.

Jego utwory były tłumaczone na wiele języków obcych, a on sam został laureatem wielu nagród.

Poezja Kawińskiego – „karmiona wyobraźnią i poetycką wizją autora” – jest trudna, hermetyczna, często surrealistyczna i – jak twierdzi Marian Morawczyński – „wielce przydatny byłby słownik do języka Kawińskiego, co najmniej do słów-kluczy”.

Jego oryginalny sposób tworzenia to kreowanie malarskich abstrakcji, nadrealistycznych krajobrazów, fragmentaryczność, dalekie skojarzenia, somnambuliczne wizje, działanie subiektywnego czasu [„Ziarenka sekund”].

Dla nas najciekawsze są te wiersze, w których poeta wracał do „kraju lat dziecinnych” i podnosił otaczającą go, zwyczajną rzeczywistość do rangi sztuki. W wierszu „jest wiatr” pisał:

„wyjeżdżasz do matki
stoi na progu wygasłego domu – nieporuszona
powróciłeś o dwadzieścia lat za późno
zatarte szczegóły chwil, zamknięte twarze,
gałęzie które opadły nisko i głęboko... jest wiatr
nic nie zatrzyma rzeki w której
trwamy mijamy toniemy”.

W wywiadzie przeprowadzonym przez Jana Wanatowicza dla „Echa Zalogi” autor mówił: „Inspiruje mnie własna biografia, między innymi wspomnienie dzieciństwa i młodości, ówczesne przeżycia i pejzaż tamtych lat”:

„Ciepły mur domu
oddycha
cudzą obecnością; zielen
dziko rośnie w ogrodzie,
próchnięją drzewa,
robaczywieją czereśnie;

nie ma nas tutaj; dziecięcy
pordzewiały rower
i zakurzona, wytarta laska
w kącie piwnicy
wskazują
że byliśmy” [„Dębica – byliśmy”].

Nasza szkoła była zawsze bardzo łaskawa dla poetów. Pod okiem nauczycieli – polonistów rodziły się uczniowskie talenty, powstawały pierwsze próby poetyckie, rozwijały się skrzydła pegaza. Absolwentem liceum z 1951 roku był poeta Janusz Pyziński.

Janusz Pyziński pracował w DZOS „Stomil”, był kierownikiem Klubu Rolnika w Podgrodziu, pełnił też przez kilka lat funkcję „ochroniarza” w naszej szkole. Cichy, spokojny, miły; w swych wierszach zaskakuje wyobraźnią poetycką i talentem.

Debiutował w 1984 roku w „Echu Załogi” i tarnowskim „TEMI”. Jego zbiorki [„Tutaj zostanę”, „Stąd niedaleko...”, „Pomiędzy”, „Spóźniony zegar”, „Kardioakordy”] zadziwiają bogactwem wyobraźni, oryginalnością języka, pięknem metafor, mądrością zdobywaną w codziennych doświadczeniach.

Pyziński jest laureatem prawie 200 ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich oraz współautorem kilkudziesięciu almanachów poetyckich. Jego poezja – jak pisał Marian Morawczyński – „jest osnuta na przeżyciach autora i obserwacji świata. Jej aura jest pesymistyczna, codzienność [taki jest też tytuł jednego z wierszy] szara i smutna, a wyznanie: „nie wierzę nadziei” to jakby credo poetyckie autora”.

Janusz Pyziński w swych wierszach chętnie wraca do swojego „kraju lat dziecinnych”, ukazując go w aurze utraconego raj, pozornie sielankowego, który jednak aż kipi od wewnętrznych dramatów. Malując rodzinne pejzaże, wyznaje: „tutaj napełniałem po brzegi wiadra dzieciństwa”. W apostroficznym wierszu „Wiosko moja” pisze:

„wiosko moja
od wieków dzierzawiąca
trzy wzgórze i potok
który pasem tułaczym opina twe biodra
wiosko moja
kościółkiem przytulona do zbocza [...]
tęskno mi wiosko do radosnych ścieżek
namaszczonych bosymi stopami dzieciństwa”.

A w wierszu „Nie było” wspomina:

„mój dom stał w środku tego świata szarym gęganiem ptactwa
trzymającym się spódnicy matki pachnącej łanem
urwany w połowie brzask studni mącił pogodne niebo
czeremchy i wiśni pelargonie przyklepione do szyby
pilnowały ścieżki by nie dała mi zgrzeszyć”.

Jedna z tych ścieżek wiodła do Dębicy:
„ze wzgórza nad wioską
widzę miasto
czołga się u moich stóp
wyciąga macki kominów
kościelnych wież
zaprasza bliskością” [„Spacerkiem po Dębicy”]

Poezja Janusza Pyzińskiego jest poezją nostalgiczną, refleksyjną, bolesną, a przez to bardzo ludzką, zmuszającą do zadumy w czasach, gdy –

„patroszone lasy
proszą o ratunek
a na cokole podwójnie
pęknięte serce Mickiewicza
i rozdarty Chopina fortepian
gdy dziecko tumiwisizm
pije z mlekiem matki
i przestrzeń
szklanych domów
bez drzwi i okien”.

Jako polonistki często poznawałyśmy literackie „pierwociny” potencjalnych wieszczów, zachęcałyśmy ich do dalszej twórczości, chwaliłyśmy się odkryciami ich talentów. W naszej pracy nauczycielskiej spotykałyśmy wielu uczniów utalentowanych poetycko, piszących – najczęściej potajemnie – swe pierwsze utwory, przynoszących je z lękiem, nieśmiałością, ale też z nadzieją. Zawsze spotykali się z naszym zainteresowaniem i zachętą, chociaż nie zawsze były to wiersze najwyższych lotów. Wiele z nich zagięło gdzieś, rozwianych wiatrem czasu. Wiele też zachowało się do dziś, choć – warto pamiętać – że samo oddanie tych, tak bardzo osobistych tekstów do publicznego oglądu, wymagało od młodych twórców wielkiej odwagi. Wszak w czasach kultu siły i przebojowości, gdy z pogardą ocenia się wszelką czułość, wrażliwość czy odkrywanie własnych słabości, poezja nie jest dziedziną chętnie uprawianą.

Z jednego z owych młodych twórców – ciągle przeżywającego jakieś tragiczne miłości – śmiałam się, że postanowił zostać poetą, „bo ma poeta

cztery żony, a z każdą rozwiedziony”, ale tak naprawdę, to mu kibicowałam i zachęcałam do pracy literackiej.

Myślę, że te uczniowskie strofy, choć niedoskonałe, a niekiedy nawet kallekie, warto są utrwalenia. Tak samo przecież zaczynali „nasi najlepsi poeci”. Oto kilku ciekawych licealnych adeptów pióra i ich wierszy:

Katarzyna Białas [absolwentka z 1997 roku]. W jednym ze swych utworów sama się przedstawiła:

„Ja – Kaśka mam biografię
Bardzo krótką. Jestem
Uczennicą IV klasy, mam
19 lat”.

Kasia za wiersze z cyklu „Olimpiada” otrzymała I nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Ateny 1896 – Atlanta 1996”, zorganizowanym przez Centrum Kultury w Krakowie z okazji stulecia nowożytnych olimpiad. Jednym z owych nagrodzonych wierszy jest „Fair play”:

„Fair play jest wtedy, gdy udajesz, że jesteś
Słabszy, aby ten drugi nie płakał
Gdy pozwalasz, aby ten drugi wygrał i wygrywacie obaj
Gdy podnosisz przyjaciela
Fair play to szacunek dla samego siebie”.

A oto kilka innych wierszy – nawiązujących do haiku; lapidarnej formy poetyckiej, wywodzącej się z poezji japońskiej, ulubionej przez autorkę:

„jesienią
drzewa rdzewieją
jak blaszane garnuszki
w deszczu
burzo
- nie gniewaj się!”

„Płatki śniegu
To zamrożnięte
Łzy
Aniołów”

„Stopniał śnieg
Wyrzał policzek ziemi”

„Jestem szczęśliwa
Tylko te łyż takie słone”

„Ptak –
Rozśpiewana dusza drzewa”

„Wiatr –
Oddech Boga”

„Matki dłonie
Są domem”

Utalentowanym poetą był Robert Kuźniar [absolwent z 1984] – po skończeniu studiów teatralnych aktor Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, reżyser spektakli teatralnych w dębickich domach kultury, recytator.

Robert Kuźniar był rówieśnikiem i kolegą z klasy obdarzonego talentem aktorskim Mirosława Kropielnickiego. Mieli tysiące pomysłów na urozmaicanie lekcji języka polskiego recytacjami, scenkami dramatycznymi, chętnie organizowali mini-spektakle literackie, a od solidnej nauki książkowej zdecydowanie wolili zanurzać się w obłokach poezji i fantazji. Robert czasem gubił się gdzieś w labiryncie szkolnych korytarzy i zapomniał o przyjściu na lekcje, nosił skarpetki nie od pary, lub zimą nie pamiętał o założeniu kurtki. Ale był tak uroczym młodzieńcem, naznaczonym „iskrą Bożą”, marzycielem żyjącym poezją, że wszystko mu się wybaczało.

Po latach, gdy odwiedził naszą szkołę z okazji organizowanych tu Dni Kultury, serdecznie wspominał swoje szkolne przygody. Niestety, zmarł przedwcześnie, w 2016 roku, mając tylko 51 lat. Oto jego wzruszające liryki:

„A ty się do mnie tulisz
A ty się we mnie chronisz
W ramion szkle
Przed wyrokiem czarnego anioła”

„Wiatrem biegnę ku tobie
Wbrew wszystkiemu wołam że
Jestem”

„Zamknąć drzwi
I nigdy nie otworzyć
Na drzwiach napisać:
„Zły pies”
Zza szyby patrzeć
Jak z mgłą przychodzi
Jej portret
Malowany we śnie”

Równie ciekawym poetą licealnym był Bogusław Praisner [również absolwent 1984 roku]. Tak jak Robert Kuźniar, miał już za sobą udany debiut poetycki [w małej poligrafii wyszły zbiorki ich wierszy]. Gdy poezja Kuźniara jest przepełniona uczuciami, to – Bogusława Praisnera – raczej refleksyjna. Ale też bardzo interesująca:

„Szukam dziewczyny
Która rozumiałaby wiatraki
Z włosów tkala
Codzienne powitania
Szukam dziewczyny która jeździłaby
Na wielkich polnych koniach
Układała swoje usta do snu
Szukam dziewczyny
Która zgubiłaby się w lesie
I płacząc prosiła drzewa o drogę
Która czytałaby owce
I pasła wiersze
Czytałaby wiersze i pasła owce
Czytałaby owce...” [„Imaginacje?”]

„deszcz
to najlepsza modlitwa
szeptem
w kropli zaklęta

a każdy człowiek
na liściach
swe prośby i skargi
wyrzeźbia
i choć niebo tak daleko
tak blisko jest” [„Święty Mocny...”]

*

„słowa to kamuflaż
wstydzę się słów
tylko deszcz
jest bez słów”

„Kiedy suszyłem liście pierwszych motyli
Nie wiedziałem jeszcze że dzień zaczyna się od Boga
A samotność od Człowieka
Teraz – już wiem”
[„Dla pani profesor. Dziękuję, choć to tak mało znaczy. Naprawdę
dziękuję”]

Zachowało się też kilka wierszy innych „młodocianych poetów”. Oto
kilka z nich:

„Przez łzy
Przez burze jasnych loków
Przez słowa
I przez uścisk dłoni
Na zawsze chciałam cię pożegnać,
Na zawsze z serca cię przegonić!
I tyle razy na peronie
Mówiłam: żegnaj, ja odchodzę,
A potem nocą długie listy
Pisałam – płacząc, w wielkiej trwodze” [Renata Konik „Przez łzy”]

*

„W mego serca głębokiej szufladzie
Są motyle i kolor niebieski,

Srebrny kolczyk, który nie ma pary
I modlitwa do świętej Tereski.

W moim sercu śpi małe dziecko
[może kiedyś będę je miała]
mały gołąb, który spadł z dachu
i malina słodka, dojrzała.

W moim sercu mieszka Pan Jezus
Oparty na drewnianym krzyżu
I baranek, jak mleko biały -
Święty Piotr łowi ryby w pobliżu.

W moim sercu mieszka moja babcia,
Która robi ruskie pierogi
Wszyscy ludzie, których kiedyś spotkałam,
Pewien pan, który nie ma nogi.

W moim sercu jest duża łąka,
Na niej pasą się lśniące konie,
Kot puszysty i nad wyraz głupi,
Przyjaciółka daleko w zakonie.

W moim sercu jest moja siostra,
chrzestna matka, tata i mama,
Zbigniew Herbert, Jan Paweł II,
A często,
Nawet ja sama"... [Anna Maślanka „Co Ania ma w sercu”]

Poetą okazał się też Piotr Szweda [absolwent z roku 1995] – spokojny, cichy, zawsze przygotowany do lekcji, nie zdradzający swych inklinacji do „poezjowania”; po latach – misjonarz Matki Bożej z La Salette.

Przez wiele lat przysyłał mi listy, które zawierały miłe dopiski: „pamiętający uczeń”, „pamiętam o modlitwie”, czy „z darem modlitwy”. Zachował się jeden z listów Piotra, w którym m.in. pisał:

„Szanowna Pani!

Chciałbym jeszcze raz podkreślić, iż to właśnie w dużej mierze dzięki Szanownej Pani odkryłem wartość języka polskiego. Jestem z tego powodu

niezmiernie wdzięczny. Zawsze te godziny polskiego były dla mnie odkrywaniem czegoś nowego, co później inspirowało. Niech Bóg to Pani wynagrodzi stokrotnie. To jeszcze bardziej umacnia mnie w przekonaniu, iż Bóg działa przez ludzi i nimi się posługuje. Kończąc, chciałbym życzyć Drogiej Pani wielu łask Bożych w pracy nauczycielskiej i takiego uśmiechu jak dotychczas. Z pamięcią modlitewną uczeń P. Sz. [27 X 98]”.

Piotr przysyłał mi też swoje wiersze, które wyróżniają się wielką dojrzałością, siłą uczuć, głębią i oryginalnością formy. To prawdziwa poezja. Oto przykłady:

„Chryste który
wisisz na krzyżu
drewnianym
przydrożnym
z zardzewiałymi
gwoźdźmi
Chryste o twarzy
przeoranej bólem
z wygasłym uśmiechem
nieruchomy
Chryste z rozpiętymi
ramionami
napiętymi jak struny gitary
do bólu
Chryste cały obity
skrwawiony
połamany...
umierałeś
umarłeś
wciąż za mnie umierasz
ciągle otwierasz
swój bok
by uleczyć me
rozdarte serce
Miłością”... [„Ukrzyżowanie”]

„mała Teresko
biegnąca drogą miłości

skąpana lazurem ofiary
i cierpieniem radości
mała Teresko
niegniewna ptaszyno
co do Jezusa kierujesz swe
skrzydła
by naprowadził ciebie
ku chwale majestatu
nie dziw się niezłożonym
rękom
wychyłanym kieliszkom
oczom zachodzącym łzawym potem
nie dziw się
pyskowaniu starego dywanu
gderaniu lampy zapalonej
za wcześniej...
mała Teresko
kwiatuszku rozkwitłej
modlitwy
powal mnie na kolana
zawieś na szyi kamień
pojednania
utop mnie w otchłani
pragnienia Boga"... [„Mała Teresko”]

Poetą okazał się również inny mój uczeń – Roman Misiewicz [absolwent z 1990 roku]. Roman Misiewicz ukończył prawo na filii Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie w Rzeszowie i aplikację prokuratorską. Również on podczas nauki w liceum nigdy nie ujawniał swojego poetyckiego talentu, nigdy też nie dawał mi do zrecenzowania żadnych swoich prób literackich. Dlatego jego publikacje były dla mnie niespodzianką.

W moich papierzykach zachował się natomiast fragment jego uczniowskiego komentarza do „Postoju” Adama Ważyka, w którym – zamiast przedstawić zadaną analizę utworu – dowodził, że „wiersz „z powodu płynności znaczeń należy interpretować indywidualnie. Każdemu czytelnikowi musi się ukazać własna wizja podczas analizy tekstu.”

Bardzo mnie ten komentarz rozśmieszył, gdyż tym sposobem jego autor sprytnie wymigał się od domowego zadania na temat formalizmu w poezji.

Roman Misiewicz w 2003 roku został laureatem Nagrody im. Kazimierza Iłakowiczówny za debiutancki zbiorek „//...// punkt/ów//za-cze/p:i,en.i:a//” oraz [w roku 2005] laureatem „Obserwatora Lokalnego” w kategorii Kultura. Jest autorem „Wierszy smoleńskich”, zbioru „Camera obscura”, a także felietonów i komentarzy prasowych.

W jednym z utworów [bez tytułu] prezentuje swą wizję życia [„chciałem sławy miłości i siły mając tylko szlachetne intencje”], przewrotność losu: [„czemu nieba nade mną wciąż szyczą”] i swój dumny bunt [„ale idę na przełaj na stos”]. W wierszu pt. „Galeryjka” autor odwraca się od owej brutalnej rzeczywistości ku przeszłości wygładzonej już przez czas, fragmentarycznej, ośobiście nie doświadczonej, a jakby zatrzymanej na starym obrazie oglądanym w „galeryjce”. Znajdujemy tu epizod z historii naszego miasta:

„płótna z przeszłości są dotykane inaczej
miękkie jak znoszona flanelowa koszula
nie mają tej ostrej sztywności, jaką nadaje rzeczom pośpiech [...]
konie obrok wyżerały z worków przy kolejowym wiadukcie/ a koleja-
rze pili w budce dróżnika wódkę z blaszanych kubków/
i choć to był rok 1921 to jasno widzę odprysk białej emalii/”

Niestety, Nie mam żadnych wierszy innego licealnego poety – Sławomira Ż. [matura – 1986 rok], które zawsze tchnęły rozpacz i „ociekały krwią”, ale były znakiem jego niewątpliwego talentu.

Nasza szkoła obfitowała w absolwentów, którzy zostali świetnymi nauczycielami. Prawie wszyscy traktowali swą pracę jako misję, której oddawali swe siły, talent i serce.

Jedną z takich osób była absolwentka z 1956 roku Wirginia Lis [Kołodziej], zwana przez przyjaciół Basią; wieloletnia polonistka – najpierw w Szkole Podstawowej nr 4, a później w Liceum Ekonomicznym w Dębicy, radna miejska, działaczka i animatorka kultury. Jest autorką słów: „Jan Paweł II Papież Polak, Apostoł wiary, nadziei, miłości i pokoju – ku pamięci pokoleń w hołdzie z miłością i wdzięcznością – mieszkańcy Dębicy” – wyrytych na pomniku Jana Pawła II na dębickim Placu Solidarności.

Kochała swoje miasto, a szczególnie jego historię. Była założycielką i prezesem Towarzystwa Opieki nad Starym Cmentarzem, mającym na celu ratowanie jego zabytkowej architektury.

Za swoje zasługi w 2015 roku otrzymała odznaczenie „Zasłużony dla Miasta Dębica”.

Mówiliśmy o niej „Złotousta”, gdyż mówiła przepięknie, kwieciście, wzruszająco. Miała fantastyczną dykcję, niezwykle bogaty i barwny język i delikatny głos. Ucieleśniała wielkie marzenie Słowackiego, aby:

„Język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był jak piorun jasny, prędkie,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa...”

Profesorka Basia, o wartości pracy nauczycieli polonistów, o uzdolnieniach uczniów, o kulturze i ludziach ją tworzących, mogła mówić nieskończenie. Ale to praca pedagogiczna wypełniała jej serce.

Wspominała: „Szkola była moją miłością”. I dodawała: „Wychodziłam z założenia, że nauczanie nie jest zawodem lecz powołaniem, a spełnianie go to służba. Bo uczyć to znaczy mieć wpływ na życie wielu i pomagać w wyciąganiu wniosków życiowych z lekcji...”

Uczyć to znaczy być rodzicem, opiekunem, przyjacielem, spowiednikiem, wsparciem, przewodnikiem, mistrzem”.

Profesorka Basia była entuzjastką literatury polskiej, poezji i muzyki. Uważała, że piękno języka jest niezwykle ważną wartością, którą uczyła pielęgnować.

Umiała też „damą być, ach damą być”. Zawsze elegancka, w złotopłowych loczkach, pięknych kapeluszach – dużych i „obłocznych”, w szerokich uśmiechach i życzliwych gestach, była barwnym ptakiem wśród powszechnej szarości otoczenia. Uwielbiała występować publicznie i chętnie zabierała głos. Zapraszana na różne uroczystości, umiała docenić trud występujących aktorów, nawet jeśli to byli zwykli uczniowie; chwaliła ich również wtedy, gdy występy niezbyt się udały. Uważała, że każdego warto docenić, zachęcić, dowartościować. Dostrzegała trud włożony w przygotowanie każdego występu, rozumiała treść, gdyż sama – chodząc do naszej szkoły – występowała w wielu inscenizacjach organizowanych przez profesorkę Irenę Jandę. Wcielała się m.in. w postać Karusi z ballady Adama Mickiewicza „Romantyczność”. Po latach, pracując jako polonistka w „ekonomiku”, sama organizowała różne uroczystości, m.in. rocznice literackie. „Przygotowane programy literackie – wspominała – zawierały m.in. udratyzowane sceny z „Pana Tadeusza”, II i III cz. *Dziadów*”, „Ballad i romansów”.

Spotykałyśmy się z profesorką Basią na wielu konferencjach, lekcjach koleżeńskich i imprezach nauczycielskich. Zawsze w jej towarzystwie było

wesoło, interesująco i kolorowo. Do dziś też korzystam z przepisu na pyszne kremówki, który mi podarowała. Dla niej jest ten limeryk:

„Pewna Basia, Wirdżinią też zwana,
Jest w Dębicy znana i kochana.
I choć życie jej czasem daje w kość,
To radości i energii ma dość,
By uśmiechać się do wszystkich od rana”.

Znanym w Dębicy pedagogiem był Edward Wodzień, absolwent z 1958 roku, rówieśnik Wojciecha Kawińskiego. To wieloletni nauczyciel wpisany do Księgi Zasłużonych Nauczycieli Miasta Dębica, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 3, a później Szkoły Podstawowej nr 5, pracownik kuratorium oświaty w Tarnowie, działacz ZNP, członek nauczycielskiej orkiestry, autor opracowania „Dębica. Nasze szkolnictwo do końca XX wieku”.

Absolwentów naszej szkoły, którzy – jak profesorka Basia Lis i Edward Wodzień – wybrali karierę nauczycielską i oddanych – jak oni – swej szlachetnej misji, było w historii naszej szkoły tak dużo, że trzeba by poświęcić im osobną, grubą książkę. Bo dębickie gimnazjum i liceum okazało się prawdziwą kuźnią talentów, kształcącą późniejszych pedagogów. Z konieczności ograniczę się do wymienienia chociaż niektórych moich uczniów, których spotykałam po latach, już jako doświadczonych nauczycieli.

A więc najpierw ci, którzy po studiach wrócili do liceum – już jako moi koledzy: Lucyna Bączek [Stanok], Lidia Górską, Anna Lis [Jeleń], Anna Lach [Wilk], Jadwiga Biernacka [Mytych], Agnieszka Mytnik, Lidia Pogorzelska, Marta Socha [Bonarek].

Z wieloma nauczycielami, których kiedyś uczyłam, spotykałam się w czasie zjazdów absolwentów różnych roczników lub przy wielu innych okazjach. Niech tu wymienieni będą reprezentantami całej rzeszy pedagogów – byłych wychowanków naszego liceum – pracujących w szkołach naszego miasta, okolicy, a także różnych innych miejscowości rozsianych w Polsce:

Dorota Arciszewska, Wioletta Arciszewska, Dorota Augustynowicz, Elżbieta Bacher, Grażyna Bajor, Iwona Bezak, Marta Biduś, Lucyna Bonarek, Bożena Czapruga, Beata Ćwiklicka, Anna Grabowska, Renata Kasprzak, Beata Klimek, Urszula Klimek, Małgorzata Korzeń, Ludmiła Kosiba, Anna Koszelnik, Alicja Krzak, Magdalena Kulig, Agnieszka Kurcz, Anna Lis, Dorota Longosz, Piotr Longosz, Urszula Łukaszewska, Lidia Madej, Elżbieta Mączyńska, Jarosław Mol, Joanna Niemiec, Danuta Nizio-

łek, Marek Ognisty, Ewa Olszko, Aleksandra Osuch, Bożena Parys, Anna Puzon, Małgorzata Pycia, Marta Pyrchla, Agnieszka Rogala, Lidia Rokita, Urszula Stanoch, Barbara Stasicka, Anna Sokół, Agnieszka Ścisłowska, Tomasz Świątek, Krystyna Świder, Maria Tabor, Marzena Underlich, Barbara Wozowicz, Mariola Zima, Urszula Zima i wielu, wielu innych.

Wszyscy profesorzy naszego liceum mogliby mnożyć nazwiska swoich wychowanków, którzy wybrali karierę pedagogów.

Wielu absolwentów, przejawiających zdolności artystyczne, zdobyło sławę w różnych dziedzinach sztuki.

Absolwentką z 1963 roku, która została aktorką, była moja koleżanka z klasy Danuta Borowiecka. Świetnie pamiętam tę wysoką, śliczną blondynkę o jasnych włosach, niebieskich oczach i uroczym uśmiechu. Już w czasach szkolnych objawiał się jej talent aktorski.

Miejscem jej pierwszych występów estradowych był – powstały w 1960 roku – nowatorski jak na owe czasy – kabaret „Skra”.

W „Obserwatorze Lokalnym” mogliśmy przeczytać, że ów kabaret, „najślynniejszy i najpopularniejszy zespół w historii dębickiej kultury, powstał na obozie harcerskim, utworzony przez jego 13 uczestników. Był to wtedy zespół estradowy, dopiero z biegiem czasu skecze i część kabaretowa zaczęły brać górę [...]. Co roku powstawał nowy program [„Perliste okazy”, „Idzie młodość”, „Ach, Dębica”, „Pajacyki”, „Cyrk przyjechał”]. Zespół opierał od początku swój program na twórczości własnych autorów; piosenki czy zapożyczone skecze były rzadkością [...]. Duszą przedsięwzięcia, kierownikiem zespołu, reżyserem, scenarzystą i autorem tekstów był Jerzy Maślanka [matura – 1960 rok]. W początkowym okresie liderował wspólnie z Andrzejem Smetaną [matura – 1960], późniejszym wiceprezydentem Gliwic. Wokalistkami grupy była Danuta Borowiecka [matura – 1963 rok], Maria Lis oraz Danuta Parat [matura – 1964 rok]. W 1964 roku „Skra” wystąpiła nawet na Festiwalu Piosenki w Opolu, reprezentując Związek Harcerstwa Polskiego”.

Stronę muzyczną tekstów opracowywali Jerzy Szymaszek, Kazimierz Salachna i Janusz Hajduk.

Dzięki zaangażowaniu i talentom pierwszych i późniejszych twórców, i wykonawców [wielu z nich było absolwentami liceum], kabaret zdobył zasłużoną popularność. Przez długie lata działał przy dębickich zakładowych domach kultury; najpierw przy „Stomilu”, potem przy WUCh-u. Uświetnił również uroczystość z okazji 100-lecia naszej szkoły.

Danuta Borowiecka urodzona w 1945 roku w Nagoszynie to – jak mogliśmy przeczytać w „Obserwatorze Lokalnym” – „aktorka, związana z wieloma estradami. Zagrała w kilkunastu filmach i serialach, monodramach i spektaklach teatralnych”.

Podziwialiśmy ją już wtedy, gdy w szkolnej auli, podczas występów „Skry”, brawurowo wykonywała różne skecze i śpiewała kabaretowe piosenki.

Zagrała też w spektaklu przygotowanym przez jej ojca Władysława Borowieckiego, jednego ze współzałożycieli „Skry”. Władysław Borowiecki i cała jego rodzina propagowali sztukę nie tylko w Nagoszynie, ale również w Pilźnie, Dębicy oraz w wielu wsiach naszego powiatu.

Zawodową karierę aktorską Danuta Borowiecka rozpoczęła w 1965 roku, występując na deskach „Estrady Rzeszowskiej”, a od 1970 roku – „Estrady Warszawskiej”. Związana była również z Teatrem im. Osterwy w Lublinie, Teatrem Polskim we Wrocławiu, Teatrem Dramatycznym w Słupsku, Teatrem na Targówku w Warszawie oraz Teatrem Nowym w Poznaniu.

Na ekranach telewizyjnych zadebiutowała w latach 80., grając w serialach i spektaklach: „Chwile szczerości”, „Stan alarmowy” oraz „Pan na Żuławach”, „Bariery”, „Lustro”, „Pewnego dnia”, „O rany, nic się nie stało”, „Sala numer 6”, „Dorastanie”, „Sukces”.

Na początku lat 90. wystąpiła w serialu „Puste krzesło, czyli nie wierzę w świętego Mikołaja”, „Nic się nie zdarzy, czyli odmienić życie”, „Czterdziestolatek – 20 lat później”, a także w filmach: „Kraj świata” i „Zwolnieni z życia”.

Przez cały okres swej działalności artystycznej grała też na scenach różnych teatrów. Występowała również w monodramach, m.in. „Polka w Chicago”, „Kłania się PRL”, „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”.

Będąc na emeryturze, zamieszkała z mężem Józefem Onyszkiewiczem – też aktorem – w rodzinnym Nagoszynie. Ich syn Tymoteusz wydał tomik wierszy „Stary dom za kościołem”. Na zamieszczonym w „Obserwatorze Lokalnym” zdjęciu widzimy ją właśnie stojącą na progu owego starego, rodzinnego domu „za kościołem” w Nagoszynie. Aktorka mówiła ze śmiechem, że wygląda tam jak motyl z Nagoszyna. Zawsze chętnie tam powracała.

Spotykałam ją czasami na „nagoskim” cmentarzu, gdzie znajdują się groby jej przodków. Rozmawialiśmy o naszych przeżyciach i miło wspominaliśmy szkolne lata. „Tyłu ludzi wyjechało ze swoich miejsc i zapomnieli skąd są – mówiła – a ja chcę wracać tu. To jest szacunek do swojej historii, do swojego pochodzenia”.

Aktorami zostali również moi uczniowie: Mirosław Kropielnicki [absolwent z 1984 roku], Robert Kuźniar – [absolwent z 1984 roku] czy Ewa Cypcarz.

Mirosław Kropielnicki już w liceum ujawniał swe aktorskie talenty, organizując wraz z Robertem Kuźniarem „scenki teatralne” na lekcjach języka polskiego, występując w szkolnym kabarecie, biorąc udział w konkursach recytatorskich i akademiach szkolnych; prowadził też dowcipną audycję informacyjną przez radiowęzeł.

Po maturze studiował w Wyższej Szkole Teatralnej we Wrocławiu. Jako aktor występował w teatrach w Toruniu i Poznaniu. Kreował różne ciekawe role, m.in. w „Zagraj to jeszcze raz, Sam”, czy w serialu „Pierwsza miłość”. Podczas spotkań z Tadeuszem Łomnickim rozmawiali o Dębicy, którą wspinały aktor-senior wspominał z sentymentem. Gdy dowiedział się, że jego młodszy kolega też ukończył naszą szkołę, pytał o nią z dużą ciekawością, snując własne wspomnienia.

Mirosław Kropielnicki został odznaczony medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, otrzymał też ważną dla aktorów nagrodę – „Srebrną Maskę”.

Wszyscy „nasi” aktorzy wywodzili się z grupy recytatorów, biorących udział w różnych konkursach recytatorskich i uświetniając akademie szkolne recytacjami czy scenkami dramatycznymi. Niektórzy – jak Ewa Cypcarz czy Katarzyna Godzisz – dawali popisy śpiewacze. Wśród recytatorów [niektórzy szlifowali swe talenty pod okiem instruktorki w Domu Kultury „Śnieżka” Urszuli Rojek] szczególnie wyróżniali się: Anna Augustynowicz, Anna Lis, Anna Kądziaława, Bartosz Bąk, Anna Markiewicz.

Niewątpliwie, najsłynniejszą z nich była moja uczennica – Anna Augustynowicz [absolwentka z 1978 roku], laureatka Olimpiady Literatury i Języka Polskiego w roku szkolnym 1977/1978.

Już do liceum przyszła w aurze świetnej recytatorki. Jej popisowym tekstem był wówczas „Byczek Fernando” Munro Leafa, co to wołał wachać kwiatki niż walczyć na arenie.

Ania była barwnym ptakiem, żywiącym się poezją, bujającym w obłokach, tak uroczym, że wszyscy ją kochali. Niezwykle zdolna, kipiąca pomysłami, zawsze gdzieś spiesząca, zachłanna na życie, miała duszę romantyczną i delikatną, która nie poddawała się łatwo szkolnym rygorom. Ale Ania potrafiła też uparcie walczyć, gdy chodziło o ważne dla niej sprawy.

Wiele ciekawych informacji o tej niezwyklej absolwentce naszej szkoły możemy przeczytać w artykule Anny Jabłońskiej zamieszczonym w „Twoim Stylu”.

Swą pasję do teatru ponoć odziedziczyła po tacie. Zamiast szyć ubranka dla lalek, do czego namawiała ją babcia, wołała towarzyszyć ojcu, remontującemu stare samochody. To on namówił córkę, by nie zdawała na

psychologię, jak zamierzała, tylko na wydział teatrologii Uniwersytetu Jagiellońskiego: – Przecież twoje życie, Aniu, to teatr! – mówił.

„Prowincja to obszar mentalny. Można przecież robić fantastyczny teatr gdzieś wysoko w górach, można karleć duchowo i intelektualnie w Paryżu lub w Nowym Jorku. Nie jest ważna geografia, ale ludzie, których spotykamy. Miała do nich szczęście. Na przykład jej wspaniała polonistka z liceum Halina Niziołek, która przygotowywała ją do olimpiad polonistycznych. Albo matematyczka Krystyna Jargas, która pożyczała jej Kępińskiego i Hessego. Urszula Rojkówna – wielce zasłużona dla rozwoju kultury w Dębicy – uczyła ją w domu interpretacji wierszy i wysyłała na konkursy recytatorskie.

Na rzeszowskim konkursie „O złoty lemiesz” pojawił się Jalu Kurek. Zobaczył na próbie śmieszną dziewczynkę w obszernej lejbie, która recytowała jego wiersz. Wyglądała jak ludzik z rysunków Butenki: sukienka jak namiot, mała główka, cienkie nóżki w chłopięcych butach. Napadły na nią instruktorki teatralne, że źle ubrała się na scenę.

– Ona celowo zrobiła się na brzydkie kaczątko, bo to pasuje do mojego wiersza – zaczął ją bronić.

– Polubił mnie. Przysyłał mi listy i swoje książki [...]. Czułam się wyróżniona tą przyjaźnią.

Miłość do poezji zaszczerpiła jej mama, czytając różne utwory. Potem już sama, w łóżku połykała książki. Również w szkole wyróżniała się znajomością literatury, zwłaszcza poezji. Interpretując wiersz, zawsze ze swadą i zadziornością broniła swoich racji. Kochała Leśmiana. Pamiętam, jak recytowała jego „Łąkę” – w letniej sukieneczce, bosą, z sandałkami w rękę, czy „Poszła raz do cerkwi baba” – w czasie akademii z okazji rewolucji październikowej, szokując widzów tematem i oryginalnym sposobem przekazu.

Jak możemy przeczytać w artykule Anny Jabłońskiej, dziś, jako uznana reżyser, „swoje przedstawienia; również klasykę dramatu, realizuje w duchu nowoczesnej estetyki. Odwołuje się do popkultury, telewizyjnych show, wprowadza muzykę techno i dyskotekowe stroje. Jednak to treść jest w jej twórczości najważniejsza. Bo – według niej: – Teatr ma objaśniać rzeczywistość, pobudzać do myślenia, poruszać, pomagać żyć.

– Muszę mieć powód do rozmowy z publicznością – mówi.

Już będąc w liceum, założyła z kolegami teatr. Ubrani we flanelowe koszule deklamowali Wojaczka, Bursę, Szymborską, palili na scenie gazety, darli banknoty.

– Wydawało nam się, że jesteśmy bardzo awangardowi.

Na spektakle z prawdziwego zdarzenia jeździła do Krakowa. A studia okazały się niełatwe. Na pierwszym roku wyszła za mąż, na drugim i trzecim rodziła dziewczynki: Alicję i Łucję. Jej koleżanka wspomina: – Małżeństwo, pieluchy, żłobek, świetne stopnie. Dotąd nie wiem, jak ona to wszystko organizowała.

Po studiach Anka pracowała w sekretariacie Teatru im. Słowackiego. Później był Kalisz – dział literacki w Teatrze im. Bogusławskiego.

Nie lubiła tej pracy biurowej. Biurko zamieniła na Wydział Reżyserii Dramatu na krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Na pierwszym roku była jedyną kobietą na wydziale.

Debiutanckie przedstawienie „Życie wewnętrzne” Marka Koterskiego zrealizowała w Kaliszu. Kontrowersje budziła szczątkowa scenografia, ograniczona do minimum. Ale otrzymała wyróżnienie. Odtąd zaczęła podbijać publiczność i zdobywać kolejne nagrody za reżyserię.

Jej teatr jest łatwo rozpoznawalny. Anna Augustynowicz nie podlizuje się widowni. Nie boi się szoku, skandalu, języka rynsztoku. Robi przedstawienia odważne, demaskatorskie, pełne moralnej pasji. Reżyseruje najbardziej kontrowersyjne propozycje sceniczne [...]. Podczas prób zapomina o reszcie świata [...].

Stop! Zatrzymuje akcję i wielkimi susami biegnie w kierunku sceny. Przekazuje aktorom swe uwagi, gestykuluje. To niecierpliwość wynikająca z fascynacji tym, co robi, perfekcjonizm, dzięki któremu jej przedstawienia są doszlifowane w każdym szczególe. Jej wskazówki są dowcipne i obrazowe.

Anna Augustynowicz, po pobycie w kilku miastach, zamieszkała wraz z mężem, który jest lekarzem i synem Jaśkiem, w starej dzielnicy Szczecina. Tam, od 1991 roku dyrekturuje w Teatrze Współczesnym.

Jak mówiła, „w Szczecinie urzekły ją duże przestrzenie i silny wiatr wywiewający konflikty”.

Obok „Trzech siostr” Czechowa, „Moralności pani Dulskiej”, „Kłątwy” Wyspiańskiego reżyseruje dramaty współczesne, często awangardowe, jak „Siostry, bracia” Stiga Larsona, „Moja wątroba jest bez sensu” Wernera Schaba, czy „Pasożyty” Mariusa von Mayenburga.

Jest laureatką wielu nagród, np. nagrody krytyków teatralnych Szczecina „Oko Recenzenta” za promowanie dramaturgii współczesnej, czy „Paszportu Polityki” [1998] – za „mądre i odważne przedstawienia oraz kształt artystyczny Teatru Współczesnego w Szczecinie”. Teatr niepokoi nawet jej sny:

– Gdy nie mam w perspektywie prób, męczę się, nie wiem, co ze sobą zrobić – mówi”.

W roku 2008 Anna Augustynowicz przyjechała do Dębicy ze spektaklem „Oskar i Pani Róża” Erica Emmanuela Schmitta. Niewiele się zmieniła. Zachowała młodzieńczą sylwetkę, uroczy wigor, roześmiane oczy i szeroki, szczery uśmiech.

Wtedy też spotkała się z osobami, które zapamiętała z lat szkolnych. Znalazłam się wśród zaproszonych gości. A kilka dni temu, na pożyczonej z biblioteki książce, obok pieczętki z napisem: „Dar czytelnika”, zobaczyłam znajome nazwisko darczyńcy: Anna Augustynowicz.

Z wielkim sentymentem i radością wspominam licealnych artystów -kabareciarzy. Chyba najzdolniejszym z nich był Boguś Pytel [matura – 1989], który z wielkim wdziękiem naśladował Genowefę Pigwę – popularną wówczas gwiazdę kabaretową, kreowaną przez Bronisława Opałkę. Pamiętam też Pawła Bielawę czy Darka Świątka, którego – po rezygnacji z występów – koledzy żegnali w bardzo dowcipny sposób. Stojącemu pod napisem: „Rozstaje dróg” śpiewali modny wówczas przebój Ryszarda Rynkowskiego: „Na rozstaju dróg, gdzie przydrożny Świątek stał...”

W moich papierach zachował się „Lament zdesperowanych uczniów” [z lat 70.] – wykonywany przez ówczesnych kabareciarzy na melodię ludowej piosenki: „W poniedziałek rano kosił ojciec siano...”, a oddający atmosferę w szkole widzianą oczami uczniów:

„W poniedziałek rano spóźnienia sprawdzano.
Wielki rwetes był i kram. Tak się tydzień zaczął nam.
A we wtorek rano przerwy nam skracano.
Nie zdążyłem mapy wniesć. Mam uwagę, no i cześć.
A we środę rano z biegu nas pytano.
Profesor zły humor miał, kilkanaście pał nam dał.
A we czwartek rano, tarcze nam sprawdzano
I targano rękaw mój, krzycząc: Tarcza – honor twój!
A znów w piątek rano mleko nam dawano.
Możesz wstręt do mleka mieć, ale uczeń musi chcieć.
A w niedzielę rano na czyn nas wezwano.
Uciekł koleś, no i ja. Oberwiemy obydwu”!

Moją uczennicą była Agnieszka Kosińska [matura roku 1986], absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Agnieszka została pisarką, edytorką, a także osobistą sekretarką naszego noblisty Czesława Miłosza, kustoszem archiwum i opiekunem jego

praw autorskich, organizatorką wystaw, wydawcą tomu pt. „Czesław Miłosz. Wiersze ostatnie”, zawierającego niewydane utwory pisarza. Kierowała projektem międzynarodowej „Bibliografii Czesława Miłosza” oraz pierwszego całościowego opracowania bibliograficznego twórczości naszego noblisty pt. „Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych” i „Rozmowy o Miłoszu”.

Jako propagatorka jego poezji, mówiła: „Jeśli nie rozumiecie Miłosza, to macie rację. Ale nie bójcie się nawet najbardziej odłotowych interpretacji jego poezji”.

Właśnie tę zasadę zastosowała inna moja uczennica – Grażyna Auguścik [Stasiowska], absolwentka z 1979 roku – obecnie polonistka w Zespole Szkół Ekonomicznych w Dębicy, która w pracy maturalnej z języka polskiego [wówczas istniała taka forma matury] podjęła temat poezji Miłosza.

W „Obserwatorze Lokalnym” mogliśmy przeczytać:

„Kiedy informacja o nagrodzie przyznanej Czesławowi Miłoszowi dotarła do Polski, Grażyna była uczennicą III klasy Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy. Poeta był wtedy prawie nieznan w kraju. Nic dziwnego więc, że zaglądając do „Encyklopedii PWN” licealistka nie znalazła o nim wielu informacji. Próżno też było szukać w bibliotekach czy księgarniach jego tomików, bo te były wydawane w drugim obiegu. Cała wiedza, którą wtedy dysponowała, pochodziła od Haliny Niziołek, polonistki z dębickiego LO.

Przełom nastąpił w czwartej klasie. Wtedy to Grażyna Stasiowska zdecydowała, że po maturze zdawać będzie na polonistykę. Wcześniej jednak musiała m.in. napisać pracę maturalną, która dotyczyć miała twórczości Miłosza [...]. Materiałów na temat interesującego ją tomiku „Świat. Poema naiwne”, na Uniwersytecie Jagiellońskim nie znalazła. Stąd właśnie pomysł, by napisać do autora. Licealistka wiedziała, że Miłosz mieszka w Stanach Zjednoczonych i wyklada literaturę słowiańską na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Tak więc zaadresowała list. I czekała. I się doczekała! Miłosz odpisał!

Co prawda, zanim list przeczytała licealistka z Dębicy, wcześniej prawdopodobnie zrobiła to cenzura, bo przyszedł uszkodzony. Jednak w końcu trzymała go w rękach.

W liście Miłosz w kilkunastu zdaniach opowiedział jej o swoim tomiku i życzył wszystkiego dobrego. Grażyna była tak podekscytowana odpowiedzią, że zaraz napisała kolejny list do noblisty. I znów otrzymała odpowiedź. Tym razem było to tylko kilka zdań – niestety – bez nadziei na dalszą korespondencję. Bo Miłosz, jak twierdził, już nie miał na to czasu.

– Mimo tego, trzymam te listy jak relikwie. Pewnie kiedyś będzie to najcenniejsza rzecz, jaką będę mogła przekazać moim dzieciom – twierdzi polonistka.

Osobiście spotkała Czesława Miłosza tylko raz i do tego przypadkiem. Nie pamięta, czy poeta mieszkał już wtedy w Krakowie, czy może przyjeżdżał tam tylko latem. W każdym razie, odwiedzając któregoś dnia Uniwersytet Jagielloński, swoją macierzystą uczelnię, spotkała go na schodach, dyskutującego z jednym z profesorów.

– Podeszłam, przywitałam się i oczywiście wspomniałam, że znamy się już z korespondencji. Wiadomo jednak, że Miłosz nie miał już prawa tego pamiętać.

Ale ona pamięta i zawsze będzie pamiętać. A do listów często powraca. Może nie tak często, jak do poezji noblisty, bo ta jest jej bardzo bliska. I stara się nią zarażać młodzież”.

Grażyna Auguścik była redaktorem książki wspomnieniowej „88-lecie Zespołu Szkół Ekonomicznych im. Janusza Korczaka w Dębicy”, wydanej z okazji jubileuszu szkoły.

Współredaktorką tego opracowania była inna moja uczennica – Małgorzata Szyszka [Pociask], nazywana przeze mnie Małgorzatką, absolwentka z 1988 roku, obecnie profesorka przedmiotów ekonomicznych i kierownik szkoleń praktycznych w dębickim „ekonomiku”.

Polonistyczny talent przejawiali też inni moi uczniowie: Patrycja Wanat, która ukończyła dziennikarstwo i niekiedy pojawia się w telewizji, relacjonując wiadomości z kraju i ze świata, Agata Pieniądz [absolwentka z 1989 roku] – obecnie pracownica w Komisji Europejskiej w Brukseli czy dr Jacek Dziekan [matura – 1993 rok] – dziennikarz Karpackiej Telewizji Kablowej oraz Radia „Dobra Nowina”, „Radia Kraków”; w latach 2002–2005 dziennikarz „Obserwatora Lokalnego”, wykładowca na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Autorką cotygodniowych felietonów w innych ciekawych artykułach zamieszczanych w dębickim „Obserwatorze Lokalnym” jest nasza absolwentka Agnieszka Majba-Pochwat [Porzuczek] – absolwentka z 1990 roku.

Znanym absolwentem liceum z 1989 roku jest Paweł Kudroń – prezes Fundacji Pro Europae Bono, organizator i wykładowca Dębickiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, miłośnik historii, współautor pracy „Kościół spoiwem. 50 lat duszpasterskiej parafii pw. św. Stanisława Biskupa Męczennika w Pustkowie-Osiedlu”, w której zamiesił także swoje poetyckie pró-

by. Dyrektorem i wykładowcą UTW została jego żona Agnieszka Kudroń [Skupnik], absolwentka liceum z roku 1992.

Gdy spotkałyśmy się po latach, ucięłyśmy sobie taką oto krótką rozmówkę:

– To przez panią poszłam na studia – powiedziała z udaną urazą Agnieszka. Odrzekłam: – Przepraszam. A ona: – Nie szkodzi.

Warto wymienić tu również kilku innych utalentowanych absolwentów naszej szkoły, znanych w świecie artystycznym:

Krystyna Kołodziej-Selbirak [matura – 1949 rok] – malarka,

Sławomir Micek [matura – 1975] – artysta – rzeźbiarz, autor ponad 50 rzeźb kameralnych [„Adam i Ewa”, „Szept”, „Kochankowie z Werony”, „Zefir”], kompozycji plenerowych i tablic pamiątkowych; [twórca popiersia króla Władysława Jagiełły przed budynkiem liceum],

Adam Prucnal [matura – 1988 rok] – muzyk, kompozytor, producent muzyczny, pracownik Uniwersytetu Papieskiego w Krakowie, członek zespołu „Brathanki”, twórca takich przebojów, jak „Czerwone korale”, czy „Gdzie jest ten, co powie mi...”,

Edyta Mędrak-Śliwa – tancerka; założycielka i instruktorka studia tanecznego „Soul Dance”, od lat odnoszącego triumfy w kraju i na świecie,

Katarzyna Godzisz [matura – 1998 rok] piosenkarka, właścicielka „Vocal Studio”,

Halina Burakowska [matura – 1960 rok], Urszula Rojek [matura 1969 rok], Agnieszka Jackowska [matura 1987] – animatorki kultury, działające w dębickich domach kultury „Śnieżka” i „Kosmos”,

Dorota Wójcik – kreatorka i uczestniczka wielu wydarzeń kulturalnych w Dębicy, w tym oper przygotowywanych przez Pawła Adamka,

Absolwentami naszego liceum było wiele pielęgniarek, farmaceutów i lekarzy.

Zasłużonym lekarzem był m.in. absolwent z 1918 roku Stefan Zdąnowski uczestniczący w I wojnie światowej, następnie pracujący w Szpitalu Garnizonowym w Krakowie, w oddziałach Wojska Polskiego w Brześciu nad Bugiem i w Gródku Jagiellońskim. W czasie kampanii wrześniowej został wzięty do niewoli niemieckiej. Po powrocie do Dębicy w roku 1940 rozpoczął działalność podziemną; wkrótce został szefem służby sanitarnej placówki Dębica.

Wielu powojennych lekarzy wybrało kariery naukowe. Warto wymienić choćby kilku:

profesor Józef Balsa [matura – 1976 rok] – onkolog, ginekolog i położnik,

profesor Anetta Undas [matura – 1984 rok] – pracownik Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka wielu prac naukowych z dziedziny medycyny, członek Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk,

doktor nauk medycznych Lucyna Samborska [Kaczor], absolwentka z 1985 roku – prezes Okręgowej Rady Aptekarskiej, sekretarz Naczelnej Rady Aptekarskiej, radna powiatu, właścicielka apteki „Melisa”, organizatorka wielu akcji dotyczących zdrowia, dwukrotna laureatka konkursu „Anioły Farmacji”, zdobywczyni wielu odznaczeń, w tym: „Aptekarza Roku 2002”, Srebrnego Krzyża Zasługi czy nagrody Zaufania „Złoty Ofis”,

profesor Ryszard Gil [matura – 1985 rok] – pracownik wydziału Patologii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego,

doktor nauk medycznych Jarosław Zalewski [matura – 1991] – kardiolog, wykładowca na wydziale lekarskim Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Moi byli uczniowie i ci, z którymi spotykałam się na życiowych ścieżkach to, m.in. lekarze, pielęgniarze, rehabilitanci: Janusz Bieniasz, Zbigniew Brzostowski, Beata Ciecieręga, Agnieszka Cisło, Maria Olechniewicz, Jan Chendyński, Krzysztof Czarnobilski, Joanna Czyżowska, Bogusława Darlak, Małgorzata Florka, Marcin Gajewski, Urszula Gąsior, Marcin Granatowicz, Marek Haslinger, Ewa Janeczko, Aniceta Kalita, Marcin Kicia, Beata Kielur, Mariusz Kozioł, Maksymilian Kruczała, Jadwiga Kulij, Piotr Michalski, Marek Niewiadomski, Maria Podhorecka, Artur Puszek, Zofia Rybka, Elżbieta Ryszawa, Maksymilian Stęga, Mariola Śpioch, Małgorzata Śpioch, Marek Undas, Andrzej Waloszek, Przemysław Wojtys, Andrzej Wrona, Maksymilian Wośko, Barbara Zielińska.

Wiele uczennic zostało pielęgniarkami, a także pracownicami różnych instytucji służby zdrowia. Są wśród nich: Lucyna Gniazdowska, Teresa Drobot, Elżbieta Mika, Lidia Ruda, Elżbieta Niedźwiedź czy Małgorzata Pasternak.

Wielu absolwentów naszej szkoły zrobiło karierę prawniczą, jak moi koledzy czy uczniowie: Leszek Ciurkot, Bogdan Chyc, Maciej Czyżowski, Ryszard Kot, Daniel Kruczała, Krzysztof Maj, Dariusz Różański, Marcin Świerk, Sławomir Wysowski.

Wielu też pracuje we władzach miasta i regionu, piastując różne funkcje społeczne oraz ważne stanowiska w urzędach państwowych i instytu-

cjach publicznych. Są to m.in. Władysław Bielawa, Piotr Chęciek, Michał Maziarka, Waldemar Mytkoś, Mateusz Pasek, Barbara Pelczar, Adam Pieńiążek, Anna Sokół, Mariusz Trojan, Przemysław Wojtys.

Nie sposób wyliczyć tych, którzy odnoszą sukcesy w biznesie. Pragnę tu wyróżnić mojego ucznia Piotra Mikruta [matura – 1990 rok], który znalazł się na liście słynnych absolwentów liceum – pełniącego funkcję prezesa zarządu dębickiej Fabryki Farb i Lakierów „Śnieżka”, wspaniałego człowieka, sponsora tej książki.

Podczas spotkania po latach miło wspominał lekcje języka polskiego. Zapamiętał, że pewnego razu dał mi do poprawy zadanie, które sprytnie „ściągnął”. Był pewien, że się nie zorientuję, ale podkreśliłam na czerwono wyrażenie „zgodne różne” [zapamiętał!] i napisałam, że chyba miało być „zgoła różne” oraz dodałam, że odpisując, należy zważać na błędy.

Karierę piłkarską zrobił Zenon Książek [matura – 1950 rok] – piłkarz i trener czy Dariusz Marszałek – siatkarz Wisłoki, potem Legii Warszawa, Resovii i AZS-Częstochowa, z którą zdobył mistrzostwo Polski; reprezentant Polski, a po wyjeździe do Norwegii – trener reprezentacji narodowej.

Mateusz Borek [matura – 1992 rok] został znanym dziennikarzem sportowym, komentatorem zawodów piłkarskich i boksu.

Informacje o karierach naszych absolwentów, o ich sukcesach i szczęśliwym losie bardzo nas – nauczycieli cieszą. Cieszą nas też spotkania po latach, a także ciekawe historie życia naszych uczniów opowiadane przez kogoś spotkanego lub zamieszczane w prasie, a szczególnie przysyłane czasem widokówki, w których z sympatią wspominają nauczycieli i szkolny czas.

Wśród różnych pamiątek zbieranych przez naszych profesorów znajdują się m.in. takie właśnie sympatyczne pocztówki od ich wychowanków.

Pośród moich przechowuję np. taką: „Szczęśliwego Nowego Roku 1987 życzy kochanej pani wychowawczynie Dorota [matura – 1981]; i od innej Doroty [matura – 2000] – przysłaną z Moguncji, gdzie zamierzała studiować: „Muszę się pochwalić, że dostałam się do Poznania na lingwistykę stosowaną. Niestety, nie ułatwia mi to niczego, bo teraz muszę wybierać i na razie cierpię katusze”.

Mam też karteczkę przysłaną z olimpijskich zmagani przez wspomnianego już, przesympatycznego Andrzejka, czy kartkę od Lucyny [absolwentki z roku 1987]: „Najlepszej na świecie Pani profesor, która nawet we mnie umiała wzbudzić pasję do Mickiewicza i zdopingować mnie do nauki, a przede wszystkim podnieść na duchu; dziękując za wszystko”.

Zdarzały się też wierszyki; dowcipne, zrymowane z przymrużeniem oka, jak ta:

„Dla Anioł-Kobiety [czasem zbuntowanej]
wdzięczne: Ola z Beatą – maturzystki „ukochane”.

W „Obserwatorze Lokalnym” mogłam też ze wzruszeniem przeczytać wspomnienia absolwentki Agnieszki: – „To była przecudowna kobieta. Ona żyła językiem polskim. Poza tym uwielbiała poezję, a ja też ją uwielbiałam, więc nadawałyśmy na tych samych falach”.

Pewnego razu otrzymałam przesyłkę ze Stanów Zjednoczonych od naszego absolwenta Wacława Woźniaka [matura – 1980 rok]. Była w niej książka Marii Konopnickiej „Krajobraz Polski” z dedykacją: „Profesorom Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Wiktora w Dębicy z okazji dwudziestolecia matury” oraz fragment „Serca” Edmunda de Amicisa pt. „Wdzięczność”, zawierający słowa:

„Szanuj synu i kochaj nauczyciela swego. Kochaj go, bo twój ojciec kocha go i szanuje. Życie twego nauczyciela poświęcone jest dobru setek dzieci, które kiedyś zapomną o nim. Kochaj go, bo on rozwija i oświeca twój rozum, bo on kształci twoją duszę. Kochaj go, gdy będziesz dorosły, a nas już nie będzie na świecie, ani mnie, ani jego, obraz jego często ci przed oczyma stanie przy moim obrazie. Wtedy spostrzeżesz ten wyraz bólu i znużenia w twoim szlachetnym obliczu, na które dziś nie zwracasz uwagi, przypomnisz je sobie nawet po trzydziestu latach. A wtedy poczujesz żal i wstyd, że go nie kochałeś, że się źle zachowywałeś wobec niego [...]. Są oni jakby duchowymi ojcami tych milionów chłopców, rówieśników twoich, co są nadzieją twojej ojczyzny. Należy do tych pracowników, nie dość cenionych, źle wynagradzanych, którzy przygotowują dla naszego kraju godnych obywateli. [...]. Nauczyciel twój należy do tych, których kochać powinieneś, po twoich rodzicach.

[...]. Kochaj go nie tylko gdy cię pochwali, ale również gdy ciebie zgani. Czy będzie sprawiedliwy, czy wyda ci się niesprawiedliwy. Kochaj go, gdy jest pobłażliwy, wesoły, jeszcze więcej, gdy widzisz go smutnym. Kochaj go zawsze, mój synu! I zawsze ze czcią wymawiaj słowo: nauczyciel”.

Jakże ślicznie, chociaż tak strasznie staroświecko, brzmią słowa Amicisa! I jak miło, że nasz absolwent je przypominał.

Moje wspomnienia o uczniach [i nauczycielach]: ich charakterystycznych cechach, zachowaniu, słabościach i psotach niekiedy układały się w rym:

„Powiem w sekrecie:
Plecie” [„O koledze z ławki”].

„Tchórz -
I już” [„O innym”].

„Jak nie ma bryka,
To nie nafika” [„Przed klasówką”].

„Gadam.
Siadam
I czuję -
dwóję” [„Odpowiedź”].

„Uczeń też miewa rację;
W wakacje” [„Racje ucznia”].

„Czasem gładzi, czasem dusi.
Musi”? [„O pewnym profesorze”]

„Kobieto, puchu marny,
Czemuś tak twardy?” [„O pewnej profesorce”]

„Choć uśmiechy wkoło sypie -
Szczypie” [„O innej profesorce”].

Ktoś powiedział, że wszyscy wiedzą jak wychować dzieci prócz tych, którzy je mają. Myślę, że jest w tym dużo prawdy. Najtrudniej jest wychowywać cudze, choć chwytliwe hasło propagowane w PRL-u brzmiało: „Wszystkie dzieci są nasze”. Staraliśmy się, by powierzone naszej opiece, tak to czuły.

W codziennym trudzie uczniowie nabierali doświadczenia, przyzwyczajali się do szkolnych rygorów i wymagań nauczycieli, Zadzierzgiwały się coraz mocniejsze więzi, rodziły się przyjaźnie, powstawał ów pożądany

„kolektyw” [choć to takie okropne słowo!]. Duży wpływ miały tu zajęcia pozalekcyjne, różne spotkania, imprezy, uroczystości, wycieczki itp.

Pamiętam np. „Andrzejki”, gdy przelewaliśmy przez klucz roztopiony воск, wróżąc sobie przyszłość. Zachowało się zdjęcie roześmianej Marty H. [matura – 1985 rok], odczytującej dziwny cień wosku na ścianie. Czy zawierał straszną tajemnicę, której nie dostrzegła? Uśmiecha się szczęśliwa. Po kilku latach zginie w Warszawie w strasznym wypadku samochodowym.

Pamiętam „Mikołajki”, na które moi wychowankowie mieli dla wylosowanych kolegów przynieść prezenty wykonane przez siebie – dowcipne i zaskakujące. I takie były. A najdowcipniejsze były podpisy na tych prezentach. Śmialiśmy się do łez.

Pamiętam też, gdy z wążutkiej szafki pod tablicą nagle wyskoczył – nie wiem, jak tam upchnięty – Pawełek Z. [matura – 1989 rok] w stroju Mikołaja, by rozdać te pomysłowe podarunki. Zresztą uczniowie tej mojej klasy zawsze mieli moc cudownych pomysłów.

Było w naszej szkole bardzo wiele takich zespołów klasowych – zgranych, pomysłowych, miłych, odpowiedzialnych, ambitnych, mądrych; wspomnienia o nich zostały na zawsze w moim sercu.

Nie jestem wyjątkiem. Takie wspomnienia cudownych klas mają przecież wszyscy wychowawcy. Bo pamięta się najdłużej to, co miłe, choć czasem też to, co bolesne i smutne. A trzeba przyznać, że było czasem ciężko, choć zazwyczaj każdy z pedagogów miał swoje sposoby, by zdyscyplinować gromadkę, a raczej „czeredkę” niesfornych nastolatków. Moi uczniowie liceum na pewno pamiętają owe powiedzonka o tym, kto zawsze w klasie ma rację, czy gdzie jest sprawiedliwość. Mam nadzieję, że przyjmowali je z przymrużeniem oka.

Niekiedy, jak to w życiu bywa, nauczycielskie sposoby na uczniów miały niespodziewane skutki. Pewnego razu jeden z uczniów zdrzemnął się podczas – według niego – nudnego wykładu profesorki. Ta, by go otrzeźwić, rzuciła na jego ławkę pęk kluczy. Pech chciał, że akurat wtedy się poruszył i klucze uderzyły go w głowę, raniąc do krwi. Było bardzo nieprzyjemnie...

Swoje sposoby na nauczycieli mieli też uczniowie; od niewinnych, jak wręczenie kwiatków na początku lekcji – bo tak bardzo panią lubimy”, prośby przekazywane w imieniu klasy przez najmilszego ucznia, wymyślanie różnych świąt, które oni w danym dniu właśnie celebrują, interwencje u wychowawcy; po bardziej wyrafinowane.

Jednym z takich uczniowskich sposobów było „zagadywanie”. Udając zainteresowanie jakimś problemem, przygotowani uczniowie wzniecali dyskusję, by uciekały minutki przeznaczone do pytania. Wprost plagą stały się też w pewnym okresie odwiedziny absolwentów, którzy – jako studenci – zaczęli rok akademicki dopiero w październiku, więc we wrześniu masowo odwiedzali szkołę. Początkowo było to miłe, gdy zajmowali tylko chwilkę czasu, opowiadając o swojej sytuacji, ale później – często okazywało się – że byli specjalnie „nasyłani” przez młodszych kolegów, by przychodzili akurat na lekcje, gdy miała być „pytanina”, sprawdzian, czy klasówka.

Niekiedy psoty uczniowskie przekraczały granicę niewinnego żartu, a okazywały się nieodpowiedzialne, prostackie, wręcz głupie. Niestety, takie piskusy zdarzały się od początku istnienia szkoły.

Jan Wiktor pisał: „Och, jakże często czereda uczniów dokuczała niektórym belfrom, wychwytywała ich słabostki, nawyki, błędy, śmieszności. Okrutna bywa młodość, pełna zuchwałości, gdy poczuje bezkarność”.

Michał Urbanek wspominał np. sytuację, która wydarzyła się już w czasie uroczystości poświęcenia nowego gmachu naszego gimnazjum [24 maja 1907 roku], gdy namiestnik Andrzej Potocki, po podkreśleniu znaczenia gimnazjum jako najważniejszego w Dębicy ośrodka oświaty i kultury”, zwrócił się w swej przemowie do grona nauczycielskiego z wezwaniem, by po ojcowsku, ale surowo i bez pobłażania odnosiło się do młodzieży.

– „Te ostatnie słowa przyjęliśmy pomrukiem i szuraniem nogami – wspominał Urbanek.

Na sali konsternacja. Dyrektor i nauczyciele pobledli. Obawialiśmy się usunięcia dyrektora [Józefa Szydłowskiego] i rozwiązania klasy. Na szczęście skończyło się tylko na strachu”.

Michał Urbanek wspominał też, jak gwałtownie zareagowali uczniowie przeciwko metodom stosowanym przez profesora Jana Szufę [pracował w gimnazjum w latach 1901-1902]. „Mszczono się, za niesprawiedliwe [zdaniem uczniów] noty, za szpiclowanie, za donosy, za miażdżenie indywidualności i samodzielności, za dławienie wszelkiej postępowej i wolnej myśli, za klerykalizm i służalczość wobec władz rządowych [...]. Wybijanie szyb trwało bez przerwy przez kilka miesięcy, mimo ochrony mieszkania przez straż i policję”. Wreszcie nauczyciel wyjechał z Dębicy do Sokala.

Inny incydent wspominał Jacek Bit-Łaszkiewicz [matura – 1966 rok], przeniesiony z Warszawy za działalność antyrządową do naszej szkoły:

„Na jakimś tam szkolnym zgromadzeniu, śpiewając „Międzynarodówkę”, od połowy przeistoczono ją w diabelskie wycie [...]. Awantura była

poważna, jednak ucichła, bo proroczo powiało „marcem 68”. Prowodyrami okazali się synowie miejscowych notabli”.

Krzysztof Cios [matura -1968 rok] wspominał: „Kolega w pamiętnym roku 1968 roku odwrócił twarzami do ściany portrety komunistów wiszące na korytarzach, za co został natychmiast wyrzucony ze szkoły”. Cios przypomniał też incydent, do którego doszło w pracowni chemicznej: „Pewnej soboty coś tam mieszałyśmy – jak się okazało, źle – bo nam mocno wybuchło i całe laboratorium zapełniło się cuchnącym białym dymem. Musieliśmy uciekać, a potem wietrzyć, otwierając okna, drzwi i sprząając laboratorium ze szklanych odłamków”.

Takich „wybuchów” chemicznych było w naszej szkole kilka. O jednym z nich opowiadał Andrzej K. [matura – 1957 rok], gdy prowadziliśmy w Sopocie kolonię dla dzieci pracowników WUCH-u.

W czasie mojej pracy w liceum był też nieprzyjemny incydent z dziewczyną, która udawała omdlenie, by zakłócić trudną sytuację na lekcji. Niestety, dziewczyna okazała się lichą aktorką, bo profesorka szybko odkryła jej oszustwo. Inna znów przybiegła do jednego z profesorów w poszarpanym ubraniu, z potarganymi włosami i brudnymi kolanami, żaląc się, że została napadnięta w Ogródku Jordanowskim. Wtedy również okazało się, że „ofiarą” udaje, by wzbudzić litość i zainteresowanie przystojnego nauczyciela.

Zdarzyło się też, że jeden z profesorów został telefonicznie wezwany do natychmiastowego powrotu do domu w jakiejś ważnej sprawie. Był to fałszywy alarm, wymyślony przez ucznia, chcącego uniknąć klasówki. Na szczęście był to przypadek odosobniony, a delikwent ukarany obniżonym zachowaniem.

Pewnego znów razu w jednej z pracowni rozległo się nagle głośnie stukanie i wzbudzony głos profesorki. Okazało się, że wchodząc, zostawiła w zamku klucz, a jakiś dowcipniś – przechodząc korytarzem – zamknął pracownię i uciekł.

Bywało też, że tuż przed okresem, ginął dziennik klasowy; najczęściej taki – w którym roilo się od dwój.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...”!

Muszę przyznać, że w mojej klasie też zdarzył się taki przypadek. Mimo drobiazgowych poszukiwań, prowadzonego „śledztwa”, apeli, „grózb i próśb”, dziennik jakby zapadł się pod ziemię. Dziwiliśmy się wszyscy, bo akurat w tej klasie nie było problemów z zachowaniem czy frekwencją, a uczniowie osiągalili wysokie oceny.

Nauczyciele, by móc sklasyfikować uczniów, uciekali się do różnych sposobów. Niektórzy przepisywali oceny ze swoich notatników i przechowywanych kartków, inni pytali na potęgę lub organizowali kilka dodatkowych sprawdzianów, a wszystko w atmosferze podejrzliwości i nerwowości.

Ja zaufałam swoim wychowankom i przepisałam z języka polskiego takie oceny, jakie mi podyktowali. Gdy po pewnym czasie dziennik – nie wiadomo jakim sposobem – jednak się odnalazł, okazało się, że wszystkie oceny były zgodne z prawdą, a nawet jeden z uczniów podał o jedną dwójkę za dużo. Byłam dumna i wzruszona uczciwością moich podopiecznych.

Bo na uczniach mogłam polegać wielokrotnie. W różnych sytuacjach przekonywałam się o ich uczciwości, wrażliwości, szlachetności, empatii, dobrym sercu.

Pamiętam. Podczas zwiedzania jednej z wystaw malarskich w szkole muzycznej, zajrzałam do wyłożonej księgi, w której oglądający wpisywali swe wrażenia z wystawy. Z ogromnym zdziwieniem przeczytałam okropny paszkwil na jednego z nauczycieli naszej szkoły. Byłam w szoku. Nie wiedziałam, jak zareagować, gdyż w sali było pełno ludzi. Z pomocą przyszli moi uczniowie. Gdy nikt ich nie obserwował, wyrwali i zniszczyli kartki z owym wpisem. Kiedy indziej pomogli w zerwaniu i zniszczeniu klepsydry przybitej do drzewa przy jednej z ulic, na której ktoś wpisał nazwisko znanego, pracującego w naszej szkole nauczyciela. Dzięki dyskrecji uczniów, nigdy się o tym ów nauczyciel nie dowiedział.

A obcowanie z młodymi ludźmi najczęściej przynosiło radość, odmładzało, mobilizowało, oddziaływało ożywczo na nasze zachowania i postępowanie. Przecież ucząc i wychowując innych, sami się uczyliśmy i zmienialiśmy. Trafnie wyraziła to aktorka Anna Seniuk, będąca wykładowcą w szkole teatralnej: „Kontakt z młodymi daje mi ogromną energię, daje mi poczucie, że sama czuję się młodo, że nie „dziadzieję” [...]. Od nich wiele się uczę, wciąż się rozwijam. Choć są przyczyną wielu frustracji, zatroskań i złości, ale dają mi radość i satysfakcję”.

Absolwenci różnych klas skrzykują się czasami, by spotkać się po latach i powspominać czasy szkolne. Prawie corocznie w okresie majowo-czerwcowym również ja otrzymywałam zaproszenia na takie spotkania; najczęściej z okazji okrągłego jubileuszu matury. Oczywiście mogłam być tylko na niektórych, ale wszystkie wspominam z rozrzewnieniem. Dowiadywałam się wtedy wielu ciekawych rzeczy o losach i karierach moich wychowanków, o ich radościach i troskach, o ich dzieciach, czasem o wnukach, bo – zdarzało się – na spotkanie przybywały szacowne panie będące

już babciami i panowie z łysinką czy ze szlachetną siwizną, chwalcący się, że są już szczęśliwymi dziadkami. Prawie zawsze rozpoznawałam ich twarze i prawie nigdy nie pamiętałam ich nazwisk. Zawsze było bardzo wesoło, choć czasem wkradała się nutka żalu, gdy okazywało się, że ktoś, niestety, odszedł już na zawsze... A jak uczniowie postrzegali swych nauczycieli, spotkanych po latach?

Małgorzata Winkler z przymrużeniem oka pisała: „Spotkania po latach – stresujące, bo uczniowie oceniają. Analizują jak wyglądasz. Czy bardzo się zmieniłaś. Czy się starzejesz na tłusto, czy na koszmarkowato. Powiększasz się, czy kurczysz”.

Myślę jednak, że nasi byli uczniowie najczęściej życzliwie oceniają swoich nauczycieli. Pamiętam np. przemile spotkanie w 1998 roku, zorganizowane z okazji 10-lecia matury jednej z moich ulubionych klas. Dojrzałych, „żonatych i dzieciatych”, przywitałam wierszykiem:

„Dziękuję Ci klaso miła,
Żeś mnie tutaj zaprosiła.
I choć 10 lat minęło
Prawie nic się nie zmieniło.
Wszyscy młodzi, śliczni, mili,
Choć się trochę rozmnożyli.
Więc, gdy dzisiaj „bryłę świata
Nowymi pchacie tory” – już sami,
Sercem – kochani – wciąż jestem z Wami”.

Oczywiście, nie wszyscy przybyli. Jak dalej pisze Małgorzata Winkler: „Nigdy nie przychodzą na nie ci, których gryzie jakiś mól, albo wydarzyło się coś, co można uznać za porażkę [...] i nie mają się czym pochwalić”. Czasami też przeszkodą bywa jakiś wypadek losowy; cóż, życie!

Na tamtym spotkaniu z łatwością rozpoznałam wszystkich. Byli prawie tacy jak przed laty – wciąż piękni i wspaniali, choć ciut poważniejsi. Uczciłiśmy to spotkanie lampką szampana i eleganckim obiadem. Wspomnienia wspólnych chwil spędzonych w dębickim ogólniaku pomykały ręczo jak gazele. Ci, którzy wyjechali na stałe, mówili, jak cieszą ich pozytywne zmiany w wyglądzie Dębicy i w samej szkole, ale chyba bardziej wzruszało ich to, co wciąż trwało niezmiennie jak przed laty – echa przeszłości. Zobaczyli, że budynek liceum wciąż stoi – taki sam duży i dostoyny, że taka sama cisza panuje na korytarzach w czasie, gdy trwają lekcje i taka sama atmos-

fera młodzieńczej beztroski na przerwach, że tak samo na rynku bawią się dzieci i fruwią gołębie, tak samo kwitną kwiaty na dębickich skwerkach i tak samo biją dzwony w dębickich kościołach.

O takich powrotach do dawnych miejsc, związanych z młodością, z pierwszymi zauroczeniami i fascynacjami, pisała Katarzyna Enerlich: „Wyjeżdżają i wracają do swego małego świata nad rzeką, i zawsze będą tu wracać. Ta ziemia ich do siebie przywiązała, oplotła nitkami babiego lata i mgłami wilgotnych łąk [...]; ktokolwiek stąd wyjedzie, i tak tu wróci, bo zawsze trzeba wracać do miejsc, w których rodzi się ludzkie serce”.

Pamiętam, jak Jola P. [absolwentka z 1985 roku], która zamieszkała na równinnym Mazowszu, pięknie mówiła o swej tęsknocie za Dębicą, gdzie z bloków „stomilowskich” mogła oglądać wspaniałe pejzaż pełen urokliwych wzniesień, barwnych pól i zielonych lasków. Dla niej Dębica była najpiękniejszym miejscem na ziemi.

Ze „spotkań po latach” zawsze pozostają nowe wspomnienia i sympatyczne zdjęcia, jak te, które przechowuję w albumie – z roku 2001 ze zjazdu maturzystów rocznika 1981 [z okazji 20-lecia matury], czy z 2010 roku ze zjazdu maturzystów rocznika 1985 [z okazji 30-lecia matury].

Na to ostatnie „uprosiła” mnie przemiła była uczennica, a obecnie nauczycielka języka polskiego – Beata. Napisałam dla niej limeryk:

„Pewna z Dębicy Beata -
Chcąc sprawdzić formę i lata
Moje – urzęduje spotkanie.
Mnie – babcię – zaprasza na nie,
A sama – jak ta dzierlatka”.

Jedną z fotografii z tego spotkania jest repliką innego – sprzed lat: ci sami bohaterowie, choć o 30 lat starsi, ta sama kompozycja, te same pozy. I dziewczyny tak samo piękne i radosne. Tylko kwiaty inne. Na dawnym trzymam na kolanach wielki uschnięty kwiat w doniczce; tak żartobliwie karciłam wychowanków za brak dbałości o klasową roślinność. No, i tamto zdjęcie jest jeszcze czarno-białe, a to nowe – w radosnych kolorach.

Chyba najmilszym i najbardziej niespodziewanym, było dla mnie zaproszenie na spotkanie po latach, które otrzymałam w 2013 roku od koleżanki z mojego szkolnego rocznika. Zaczynało się mottem Scotta Bakкера: „Niektóre wspomnienia odciskają się w nas tak głęboko, że stają się bardziej doniosłe dopiero długi czas później”.

Czytałam z niedowierzaniem:

„Drogie Koleżanki i koledzy. Nadszedł czas, abyśmy spotkali się po 50 latach od dnia ukończenia szkoły. W szkole zostały nasze najpiękniejsze wspomnienia, marzenia, pragnienia. Chcemy je wspólnie jeszcze raz przeżyć, uchwycić to co daje nam radość, co przypomina miłe chwile spędzone w młodości. Spotkanie na pewno dostarczy nam wielu nowych niezapomnianych wrażeń i nowych wspomnień więc jak w parafrazie piosenki:

„Powróćmy jak za dawnych lat
w zaczarowany szkolny świat.
I w życiu zdarzyć może się
Cudowny zjazd...”

Jednym z najważniejszych punktów programu było wspólne obejrzenie filmu zmontowanego przez jednego z kolegów w oparciu o stare zdjęcia. Organizatorami byli absolwenci naszego liceum z moich szkolnych lat: Waleria Kaczmarek [Spyt], Wanda Zygmunt i Jerzy Pikula.

Mąż Wali – Jan Kaczmarek uczył przez kilka lat w naszym liceum matematyki jako nauczyciel dochodzący, był też moim kolegą z pracy w Szkole Podstawowej w Gawrzyłowej.

Niestety, nie mogłam wziąć udziału w tym spotkaniu, ale wysłuchałam wspomnień profesorki Małgosi Kurcz, która była nim zachwycona.

O niektórych „spotkaniach po latach” donosiła nawet nasza lokalna prasa. W 2001 roku „Obserwator Lokalny” informował, że „po 20 latach spotkali się maturzyści dębickiego LO z roku 1981.

Mszę inaugurującą spotkanie odprawił ksiądz prałat Stanisław Fiolek. Po mszy wszyscy przeszli na cmentarz, gdzie złożyli kwiaty na grobach zmarłych profesorów. Spotkanie okazało się dla wielu dużym przeżyciem [...]. Usiedli w swoich ławkach, chociaż to już nie te same ławki. Według listy ze starego dziennika wychowawcy sprawdzili obecność i każdego odpytali z dwudziestoletniego życia po maturze. Każdy miał okazję opowiedzieć o swoim wykształceniu, rodzinie, pracy. Później wszyscy wspominali chwile sprzed 20 lat: ściąganie, klasówki, spóźnienia i wagary, a przede wszystkim klasowe wycieczki. Zachowały się z tej imprezy bardzo sympatyczne zdjęcia. Absolwenci 1981 roku to lekarze, prawnicy, ekonomiści, pracownicy nauki, pielęgniarki, biznesmeni, nauczyciele, księża i siostry zakonne. Przyjechali na zjazd z różnych miast Polski i świata. I co najważniejsze – niewiele się zmienili – wszyscy w klasach bez problemu się rozpoznali”.

Program opisanej imprezy był typowy dla wielu takich „zjazdów po latach”. Uczestnicy zawsze byli bardzo zadowoleni i umawiali się na kolejne spotkania.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje zjazd absolwentów z 1967 roku, który odbył się w roku 2019. W czasie jego trwania – jak pisała Agnieszka Majba w „Obserwatorze Lokalnym” – z inicjatywy profesora Andrzeja Mola „dawni absolwenci podpisali list do władz miasta, w którym domagają się przywrócenia oddanemu właśnie do użytku budynkowi domu kultury przy ulicy Bojanowskiego historycznej nazwy. Chcą, by tak jak przed wojną nosił nazwę „Sokół”. Pod petycją podpisali się wszyscy obecni. Byli wśród nich: Henryk Roztoczyński, który na spotkanie przyjechał ze Stanów Zjednoczonych, Krystyna Bieniasz, Ryszard Kot, Maria Mileszko-Leginowicz, Maryla Roztoczyńska, Waleria Spyt-Kaczmarek, Rozalia Stec-Dąbrowska.

Po wielu „bojach” władze zgodziły się na ufundowanie tablicy pamiątkowej, która ma być odsłonięta w Święto Niepodległości w 2023 roku.

Mija kolejny dzień. Skąpane w złocie lato umyka niepostrzeżenie. Trwają jeszcze ciepłe wieczory, ale w powietrzu czuć już delikatne tchnienie jesieni. Kontury drzew straciły swą wyrazistość, głębokie cienie wchłonęły wilgotną zieleni liści, ubywający księżyc, wiszący nad jabłonką – pomarańczowy, garbaty, sączy światło do okien domów majaczących w nadciągającym mroku. Wielki Wóz zawisł nisko nad horyzontem.

Powietrze po niedawnym deszczu pachnie mokrą trawą, miętą i maciejką. Pusto, cicho, tylko bury kot stąpa ostrożnie, bezszelestnie po lśniącej w blasku księżyca rosie. Leniwy zmierzch sprzyja wspomnieniom. Na biurku – dziś pustym – zawsze czekały stosy uczniowskich zadań, a w nich „humor zeszytów szkolnych”:

„Wokulski zdobywał Izabelę za pomocą i n t e r e s u i pieniędzy.
Zgubą dla trzyletniego Tadeusza z opowiadania Orzeszkowej były panienki ze dworu zrywające kwiaty.
Pozytywiści traktowali dziecko jako coś sztuczne, co można wziąć i wyrzucić.
Siłaczka była kobietą n i e z ł a m a l n ą.
„Pan Tadeusz” każdemu zapiera dech w piersiach.
Mroźne powietrze pozwala odczuć się ciału.
Żeromski pisze o Stasi Bozowskiej z czułością i r o z k o s z ą.
Oceniam się na normalną dziewczynę, bez żadnych d o l e g l i w o ś c i.
Obarecki pragnął leczyć za m a r n e grosze.

Nieugięty charakter Pawła powoli w i o t c z a ł.

Stasia jest jak zwierzyna rzucona przed wytrawne oko strzelca.

Jego charakter ulegał n a c i e r a n i u.

Stasia potrafiła zachęcić c i e m n o t ę do kształcenia się.

Na uszach z w i s a j ą mi złote kolczyki.

Do zabitego powstańca przychodzi chłop i obdziera go z ubrania, a nawet z e s k ó r y. Musi tak się zachowywać, żeby przeżyć.

Justyna, gdy skaleczyła się podczas żniw, traktowała to jako przyjemność.

Gibałowa pośpiesza męża, który bezwzględnie każe się jej wieźć na taczkach, żeby było szybciej.

Górą nad zwierzchnikami, tj. chłopami był pan.

Bohater postępował nie po c z ł o w i e c z e ń s k u.

Jeszcze jednego t y p a przedstawił Mickiewicz w „Konradzie Wallenrodzie”.

Hassan Leilę zapakował za karę do worka.

Oświadczam, że moje zaświadczenie jest w s e k r e c i e [w sekretariacie].

TEN CZAS PŁYNĄCY TAK SZYBKO...

„Jeśli jest góra, to trzeba na nią wejść,
Jeżeli woda – przepłynąć,
Jeśli cierpienie, to je milcząco znieść,
Jeżeli człowiek – nie minąć”.

[Jerzy Połomski].

Znowu jesień. Czas rdzawych liści, przejmujących wiatrów, gęstych mgieł, melancholijnych nastrojów – powolny „czas cedzony sitkiem”. Przyroda zawsze wpływała na mój nastrój. Za Juną Szelińską – narzeczoną Brunona Schulza – mogę powiedzieć: „Od dziecka żyłam w krajobrazie [...]. Drzewa, deszcze, wiatr to dla mnie coś oczywistego, poranki i zmierzchy odliczały dni, rytuały kwitnienia i więdnienia określały mój świat”. Można by też powiedzieć za poetą, że przyroda to „liryka ubrana w codzienność”.

Trwa chłodna cisza jesiennego dnia. Deszcz splukuje resztki lata, za oknem mokną smętne, ślepe słoneczniki, na trawach gruba, zimna rosa, w oddali rachityczne krzewy, brzozowe i olszynowe zagajniki, rozczochrane wiatrem topole i wierzby, i leszczyna. Zwyczajna, polska jesień, która:

„jak gość nieproszony
przyszła niechłujna i zła
cała we łzach” [Janusz Pyziński].

Życie toczy się niespiesznym rytmem, „a mnie jest szkoda lata i letnich miłych wspomnień, niech mówią – głupia – o mnie, a mnie jest żal”.

W takie dni, ciągnące się ospale, gdy – mówiąc słowami jednego z antenatów Macieja Łubieńskiego z Zasowa: „jestem w takim usposobieniu, że sama sobie zawadzam”, ukojenie może dać przytulna kuchnia; jasna, kolorowa, pachnąca kawą, ziołami i – dzieciństwem, obrosła przez lata różnymi drobiazgami; często niepotrzebnymi, nadwyrężonymi przez czas.

Ale, jakże miło mieć obok siebie przedmioty starzejące się wraz z człowiekiem, jedyne w swoim rodzaju, związane z nami i naszymi bliskimi! Tu, w ich otoczeniu, działa się nasz czas obrastający pamięcią, tu pielęgowaliśmy rodzinne tradycje, wspólne „posiady” wokół stołu, i rozmowy, rozmowy, rozmowy...

Tu tworzyły się różne rytuały nadające wydarzeniom głębsze znaczenie i utwierdzające nas w przekonaniu, że życie biegnie w sposób przewidywalny i sensowny. Tu było nasze bezpieczne, oswojone miejsce naznaczone naszą obecnością i wypełnione codzienną krzątaniną.

Włodzimierz Pawluczuk pisał, że rytuały nadają sens życiu, a obecny „rozpad norm, zasad, obrzędów, w których funkcjonowaliśmy, jest wstrząsem, dramatem”. Czując instynktownie potrzebę życia zgodnie z tradycją i naturą, „lepiliśmy” przez lata naszą codzienność, każdy „dzień jak co dzień, zwykły dzień jak co dzień”, przeżywaliśmy wzloty i upadki, drobne przyjemności, radości i smutki, leczyliśmy nasze poturbowane dusze, śniliśmy nasze małe tęsknoty i wielkie marzenia. Dlatego tamtym „małym rzeczom zostajemy w pamiętaniu wierni”.

Czas był naszym wrogiem, ale w codziennej bieganinie zawsze znajdowaliśmy chwilkę na odrobinę słodkiego nieróbstwa, wyrwanie się z rutyny codzienności, na zamyślenie, zapatrzenie, refleksję.

Telewizory – początkowo czarno-białe, ciągle zamiast programu odbierające zakłócenia, były naszym oknem na świat. Nie można było na przykład przeoczyć godziny nadawania cudownego serialu według powieści Johna Galsworthy’ego pt. „Saga rodu Forsytów”. To pierwszy taki serial w naszej telewizji. Opowiadał o barwnych losach trzech pokoleń utytułowanej, bogatej rodziny angielskiej z przełomu XIX i XX wieku. Głos podkładali nasi ulubieńcy: mistrz dubbingu Zdzisław Tobiasz oraz znani aktorzy, w tym: Anna Seniuk i Roman Wilhelmi. Byliśmy zauroczeni. Tak wielką popularność zdobędą dopiero późniejsze amerykańskie serie: „Pogoda dla bogaczy” i „Dynastia”.

Obowiązkowe były też inne widowiska telewizyjne: noworoczny koncert muzyki nadawany z Wiednia, audycje Bogusława Kaczyńskiego – tak pięknie, po mistrzowsku opowiadającego o słynnych operach i ich twór-

cach, występy Elli Fitzgerald, Franka Sinatry, Charlesa Aznavoura, Edith Piaf. Gdy z jakiegoś powodu nie udało się obejrzeć któregoś odcinka „Sagi...”, zawsze można było poprosić o jego streszczenie koleżankę czy sąsiadkę. Mieliśmy tylko jeden, potem dwa programy telewizyjne, więc wszyscy oglądali to samo.

Zresztą o tym serialu mówili wszyscy i wszyscy przeżywali losy bohaterów. Sąsiadki umawiały się na herbatkę i wspólne oglądanie, u fryzjerki – panie schowane pod suszarkami wyglądającymi jak hełmy kosmonautów – przekrzykiwały ich głośny szum, opowiadając szczegóły i dodając własne komentarze. My również przynosiliśmy do pokoju nauczycielskiego nasze wrażenia, nasz podziw i nasze refleksje. Bo ponoć – „bez miłości można żyć, a bez seriali nie” – jak z dużą dozą ironii twierdził Mariusz Szczygieł.

Także poniedziałkowy teatr telewizyjny, działający już od 1953 roku, umożliwiał nam dostęp do największych dzieł światowych twórców. Oglądaliśmy – poskubując jakiś słodki placek i popijając „sypaną” herbatę – „Wizytę starszej pani” Friedricha Dürrenmatta, „Szklaną menażerię” Tennessee’a Williamsa, „Czekając na Godota” Samuela Becketta, „Pożądanie w cieniu więzów” Eugene’a O’Neilla, „Tango” Sławomira Mrożka, „Operetkę” Witolda Gombrowicza i wiele innych, oryginalnych, nowatorskich utworów.

Śledziliśmy też ważne wydarzenia kulturalne, prezentujące spotkania artystów, wystawy sztuki, festiwale.

Pamiętam, gdy do Polski, na warszawską premierę swej sztuki „Wizyta starszej pani” przybył sam Dürrenmatt, który zachwycił się mazowieckim pejzażem: – „Co za piękny kraj, taki płaski, żadnej okropnej góry na horyzoncie”!

Pamiętam też, gdy przyjechał Bułat Okudźawa – wspaniały rosyjski bard, poeta, dramaturg, kompozytor melodii do swych lirycznych ballad, które śpiewał charakterystycznym – schrypłym, ale miękkim, ujmującym głosem. Jego poezja: piękna, mądra, odkrywczą urzekła wielu z nas, gdyż wyrażała również nasze bóle i tęsknoty, jak owa słynna „Modlitwa”:

„Dopóki Ziemia kręci się,
Dopóki jest tak czy siak,
Panie, ofiaruj każdemu z nas,
Czego mu w życiu brak.
Mędrcomi darować głowę racz,
Tchórzowi dać konia chciej,
Sypnij grosza szczęściarzom
I mnie w opiece swej miej”.

Ale najważniejsze były książki; te pożyczane w bibliotekach czy od kolegów oraz te, które udało się zdobyć w księgarni [najczęściej „po znajomości”].

To one otwierały przed nami świat fantazji, polityki, kultury, historii, sztuki, nieznanymi teoriami i niezwykłych ludzi. Były ucieczką od „uwierającej” codzienności, gdy „rzeczywistość skrzeczy”, a obowiązki przytłaczają i aż bolą, odtrutką na kryzysy, klęski, kaprysy losu, a także antidotum na małomiasteczkowe filisterstwo i sposobem na cudowną podróż w nieznanne. Zaspokajały nasze potrzeby poznawcze, działały kojąco, rodziły „małe tęsknoty, ciche marzenia, zwiewne jak obłok, kruche jak dym”, zadziwiała, a czasem szokowała, jak zakazany „Archipelag „Gulag” Aleksandra Sołżenicyna, przepisany przez kogoś pracowicie na przebitce maszynowej, „Miazga” Jerzego Andrzejewskiego, wydana w tzw. „drugim obiegu”, czy „Rok 1984” Georga Orwella – najbardziej szokujący i proroczy. W książkach szukaliśmy klucza do zrozumienia świata, życiowej mądrości, recepty na życie, a także rozrywki; zwłaszcza na długie, jesienne wieczory. Ale – jak to było z jedną z bohaterów wspomnianej już książki Macieja Łubieńskiego – „nie dane nam było długo przebywać w intelektualnych Himalajach, gdyż czekały nas Bieszczady codzienności”...

Dni październikowe płyną leniwie, spokojnie, gnuśnie. W chłodnym powietrzu panuje bezruch i martwota. Świat wygląda jak wyprany z kolorów, zasnuty mgłą, która wypełzła znad Wisłoki i rozpościera swe macki, spowijając szarym oparem korony drzew. „I kłonom ręce opadły, i mnie” – pisała taką jesienią Maria Pawlikowska-Jasnorzewska.

Takie wieczory skłaniają do melancholijnych wzdychań, markotnych zamyśleń i wspomnień, to też dobry czas na przeglądanie zdjęć i innych pamiątek. Biorę więc w ręce widokówki z różnych miejsc Polski i Europy i stare listy od krewnych w pięknych, eleganckich, ciemnoniebieskich kopertach z granatową bibułkową podszewką i te późniejsze – w pospolitych kopertach „w kolorze razowego chleba” [Olga Tokarczuk]. Tamte stare listy, pisane na grubym, papeteryjnym papierze, z maleńkim żółtym pierwioskiem w rogu strony, pochodzą z czasów, gdy byłam dzieckiem mieszkającym w krainie pierwiosnków, stokrotek, złotych jaskrów, słoneczników i malw, gdzie świat rozświecał się uśmiechami bliskich osób. Czytało się je wielokrotnie w ciepłej izbie, której niestraszne były jesienne chłody i zimne wichury, w której rozsnuwał się zapach bulgoczących na ogniu powideł i otulał ciepłym światłem blask lampy, a za kominem ćwierkał świerszcz „starej chaty stróż”. Takich listów już nikt teraz nie pisze...

A żółte pierwiosnki nazywano u nas kluczykami, bo ponoć – darowane dziewczynie – były kluczykiem otwierającym drzwi jej serca.

„Czy jest coś piękniejszego od samej możliwości życia”? – pytał poeta. My chcieliśmy żyć z sensem: godnie i pięknie, mądrze gospodarować czasem, doceniać wartość nawet błahych zdarzeń, które się nam przytrafiają, ale przede wszystkim celebrować ważne dla nas wydarzenia, by nasze dni pełne były szczęśliwych chwil, szlachetnych działań, odpowiedzialnych decyzji, cennych wspomnień. Świadomi odpowiedzialności za swój los, szukaliśmy jego sensu i smaku, by nie uronić najważniejszego, nie zgorsznić, nie marudzić, nie utonąć w smutku. Chociaż niekiedy było ciężko i boleśnie.

To nasze „jedynę” życie, które samo w sobie jest cudem, toczyło się wokół spraw rodzinnych i zawodowych. Każdy z nas marzył, żeby wypełnić je jak najpiękniej i jak najmądrzej, być wiernym wartościom niezniszczalnym, zdolnym się oprzeć nawet największym kataklizmom, a których zdobycie jest osiągnięciem już na zawsze: wiedzy, umiejętności, szlachetności, doceniania najmniejszych radości i ulotnego piękna świata. Chcieliśmy „zaprzyjaźnić się z życiem” i upływającym czasem; budzić się co rano z uśmiechem, wychodzić z domu na światło, na słońce i wiatr, karmić oczy otaczającym nas pięknem, dotykać chropowatej kory drzew, rozmawiać z ludźmi, cenić ich i dostrzegać w nich to, co najlepsze, śmiać się często i szczerze, „kochać bliźniego, jak siebie samego”, wszak „z bliźnim łatwiej się zbliżyć” i zdobywać swoją codzienną działalnością satysfakcję i szacunek.

Praca nauczycielska, którą kazano nam traktować jak posłannictwo, jak powołanie, stawiała nam duże wymagania, pochłaniała wiele czasu, ale przecież nie wypełniała nam całych nocy i dni.

Na studiach pedagogicznych mówiono nam o misji, jaką jest zawód nauczyciela, o konieczności poświęcenia życia dla idei, o ważnej roli inteligencji, którą wyróżnia pozytywne nastawienie do świata, szeroki krąg zainteresowań, wartościowy styl życia, a także o świetlanej przyszłości, jaką mamy budować, a która – jako ta „jutrzienka swobody” – czeka gdzieś za horyzontem. Ale ten horyzont ciągle się przesunął i od nas oddalał, a życie często drwiło z naszych planów i nadziei. Mieliśmy duże ambicje, wzniosłe ideały, wiele potrzeb intelektualnych i twórczych. Wiedzieliśmy, że bez oparcia o kardynalne wartości, bez kultury, bez wiary, bez dawania siebie innym, życie przecieka jak woda „od dnia do dnia, od nocy do nocy, aż do końca”. Staraliśmy się więc łączyć prozę codzienności z poezją marzeń.

Ksiądz Jan Twardowski uczył, że warto znaleźć czas:
„nie mając nawet jednej chwili
na spotkanie na list na spowiedź na obmycie rany
na smutku w telefonie długie pół minuty
na żal niespokojny”.

Marzyliśmy o harmonijnym świecie, mającym swój rytm i smak. Ale – nawet te „małe tęsknoty, ciche marzenia, zwiewne jak obłok, kruche jak dym” – w zderzeniu z twardą rzeczywistością, w której przyszło nam żyć, przynosiły często niespełnienia i rozczarowania, a beztroski świat, „w którym jest tylko to, co dobre, a wszystko, co złe, dzieje się gdzie indziej,” okazywał się ułudą młodości.

Nasze najlepsze lata przypadły na czasy tzw. „małej stabilizacji”. Mało komu była jeszcze w głowie walka o socjalizm: „większość zamknęła się w prywatności życia domowego, rodzinnego, towarzyskiego”. I tak płynęły dni powszednie, szare, znane, spodziewane, łatwe do przewidzenia. Udręczenie codziennością, jednostajność i rutyna odbierały radość; zmagania z problemami, jakie niósł każdy dzień, upokarzające próby zdobycia czegokolwiek, ideologiczne wymogi władz wobec nauczycieli – to wszystko sprawiało, że życie było gorzkie i miało smak piołunu. Nasze wieczorne zamyślenia były brzemienne w pytania i wątpliwości: „Po co to wszystko toczy się, mija”, skąd pochodzimy i dokąd zdążamy, jaki sens możemy nadać przeżywanym dniom, „żeby życie było piękne, żeby było nieulekłe...”

Choć wiedła w nas młodzieńcza wiara w idee równości, sprawiedliwości, powszechnego szczęścia, choć jeszcze buntowaliśmy się, lecz powoli nasz „bunt się ustateczniał”, bo przecież „góry nie przeniesiesz, morza nie wypijesz”.

Żyliśmy trochę pod przymusem ideologiczno-administracyjnym, ale nigdy nie daliśmy się do końca „zdyscyplinować” i byliśmy „zwarc i gotowi”, by działać i walczyć o siebie. Wciąż rodziły się w nas nowe tęsknoty, ambitne plany i dążenia. Wciąż dla nas ogromnie ważna była tradycja, religia, przywiązanie do rodziny, do wiary, do świętości, których „nie wolno szargać, bo trza, żeby święte były”, a „Bóg, honor, ojczyzna” było naszym chlubnym hasłem, odziedziczonym po przodkach.

Złaknieni przeżywania czegoś wielkiego, pięknego, koniecznego staraliśmy się uczestniczyć w poznawaniu i tworzeniu wartości duchowych: doskonaliliśmy swoją wiedzę, chodziliśmy do kina, śledziliśmy prasę, oglądaliśmy różne naukowe i kulturalne programy w telewizji, jeździliśmy do teatru. Dziś już do klasyki należą obejrzone przez nas podczas nauczyciel-

skich wyjazdów spektakle krakowskich teatrów, jak np. „Dziady” Adama Mickiewicza w reżyserii Konrada Swinarskiego z Anną Dymną, Jerzym Stuhrem i Jerzym Radziwiłowiczem.

Pamiętam szczególnie jeden z takich wyjazdów. Trwał stan wojenny. Późnojesienne krakowskie ulice wyglądały upiornie. Miasto – prawie nieoświetlone – tonęło w mroku. Jedynie neony sklepowych wystaw i światła przejeżdżających samochodów rozświetlały zimnym blaskiem ponurą przestrzeń krakowskiego rynku. Rozślimaczył się zimny kapuśniaczek, wiatr rozhulał się między ciemnymi kamienicami, przeganiając z kąta w kąt opadłe z drzew liście, a w rogu odcinała się czernią wielka bryła Mariackiego kościoła, też zupełnie nieoświetlonego; groźna i obca. Ale w sercach nieśliśmy radość dopiero co obejrzanego spektaklu i nadzieję, że przed nami jeszcze wiele takich czarownych chwil, gdy uwolnieni na chwilę od życiowych konieczności przenosiliśmy się do innego świata, urzekającego niezwykle pięknem. To było swoiste zwycięstwo ducha nad materią!

A – jak pisał ksiądz Józef Tischner – „kiedy człowiek pięknem się nakarmi, to mu skrzydła do duszy przyrastają [...]”; piękno jest jak światło, które przychodzi do nas z drugiej strony świata. Bo na tym świecie wszystko przemija – i wiosna, i młodość, i woda w potoku. Ale piękno młodości i piękno potoków dzięki artystom jest wiekuiste”.

Jan Pietrzak w Kabarecie „Pod Egidą” nazwał nas „pokoleniem utraczonych złudzeń i zmarnowanych szans”. A przecież mieliśmy nasze „małe szczęścia”.

Miewały one różne oblicza. Sienkiewicz pisał, że „dla kogoś szczęściem jest dom, dla kogoś chleb, dla zmęczonego sen”, ktoś inny, że „szczęście ukryte jest czasem w wielkiej miłości, w uśmiechu dziecka, w deszczu za oknem i w muzyce, w zmarszczkach kochanej osoby i w dotyku ręki bliskiego człowieka”, a Paulo Coelho – że „można je znaleźć w najmniejszym ziarnku piasku”.

Przekonywaliśmy się też, że życie dane jest po to, by je podzielić z innym człowiekiem, a spokój i bezpieczeństwo domowego ogniska były dla nas dobrem najważniejszym i „najpożądalszym”, o które umieliśmy walczyć.

Zakładaliśmy więc rodziny, obrastaliśmy w dzieci, a także w meble i inne „dobra materialne”. Wiele z tych dóbr było niedostępnych na rynku. Nie kupowało się więc ich, a zdobywało. Pralka, lodówka, dywan, telefon, samochód – obiekty naszych marzeń – były albo za dolary, których nie mieliśmy, bo i skąd, albo na zapisy, co oznaczało nawet kilkuletnie oczekiwanie. „Malucha” można było wygrać w urządzanych loteriach, jak milion

w totolotku. Podstawowe rzeczy mogliśmy kupować tylko na comiesięczne kartki z kuponami do wyrywania, które były namiastką socjalistycznego skarbu, bo „wszystko było reglamentowane: do jedzenia, do picia, do mycia, do życia” – jak pisała poetka Anna Jaśko.

Zanim udało nam się zdobyć jakiś „przedmiot pożądania”, praliśmy w archaicznych baliach, produkty spożywcze chłodziliśmy wieszając je w siatkach za oknem, chodziliśmy pieszo, lub podróżowaliśmy – w koniecznych sprawach – pociągami czy autobusami. Ze względu na wysokie koszty, tylko w razie gwałtownej potrzeby wzywało się taksówkę. W sytuacji potwornych braków na rynku trzeba było wywalczyć każdy mebel, każdy sprzęt domowy, wystać w kolejce najmniejszy drobiazg: zasłony, firanki, dywan, szafę, czy modną ławę zastępującą stół – zwaną jamnikiem, którą nakrywaliśmy własnoręcznie wyhaftowanym bieżnikiem. A potem tuląc w dłoniach szklankę z gorącą herbatą, jak dzieci cieszyliśmy się tym naszym domem, uśmiechając się do żółciutkich kaczeńców włożonych do glinianego dzbanka.

Trzeba było mieć dużo samozaparcia, ważna była skwapliwa dążność do celu, upór, a też zgoda na pewną prowizorkę. Tu liczył się przede wszystkim funkcjonalizm. Ściany wykładało się boazerią, bo drewno sprzedawali właściciele lasu, lub kupowało się obłazącą i łatwo płowiejącą, ale dostępną farbę o znaczącej nazwie „Sam-maluj” i sprawdzało się własny talent malarski. Zaopatrywaliśmy się w sklepikach z artykułami naprawdę pierwszej potrzeby; a nawet i tych wielokrotnie brakowało. Ale zawsze mogliśmy liczyć na czyjąś pomoc. Brakowało cukru – szliśmy do sąsiada. „Gdy się ma M-3 – w codzienność jak w doniczkę człowiek wrasta”.

Radował nasze serca każdy drobiazg ubarwiający szarą codzienność; czy był to zapach świeżo pomalowanych ścian, wykonana własnoręcznie wieczorami firanka, serwetka czy pasiak z „Cepelii”, rozkwitła na oknie różowa pelargonja o sercowatych liściach pachnących „drogeriowo”, dusząco, gorzko, fioletowy, aksamitny fiołek w doniczce ozdobionej niewprawną ręką dziecka czy żółciutkie ranniki zakwitające na grządce wcześniej niż przebiśniegi. Stawialiśmy na naszych modnych, socjalistycznych mebluściankach różne bibeloty, które miały ocieplać wnętrza naszych pokoi i je „zidywidualizować”. Często były to rozmaitego autoramentu prezenty, drobiazgi zakupione okazji czy przywiezione z różnych wyjazdów, a także „starocie” odziedziczone po rodzicach lub po dziadkach. Poeta Adam Zagajewski trochę ironicznie nazywał gromadzenie takich bibelotów „zbieractwem” i pisał, że w naszych domach „rzeczy arystokratyczne, miesz-

czańskie i socjalistyczne musiały ze sobą współżyć, dotykać się i mieszać ze sobą nieustannie, jak przystało na bezklasowe społeczeństwo”. A inny poeta – Jan Lemański – kpił:

„Szczęście w firanek ażurze,
Szczęście w mebli politurze,
Szczęście w lampy abażurze.
Domek niby małży koncha,
W domku-konsze małża żonka
Przylepiona do mał-żonka.
Oto szczęścia abecadło”.

Szara codzienność, bylejakość, „zażywanie życia po łyżeczce” [to Antoni Czechow] – bardzo nas uwierało, a „dni ciche smutne, nijakie, nieśmiałe” [to Krzysztof Kamil Baczyński], monotennie „spełzające” z kalendarza, gdy wydawało się, że wszystko wymyka się z naszych rąk, sprawiały, że przeżywaliśmy napady czarnej melancholii, a nocami śniliśmy kolorowy, dostatni świat zapamiętany z oglądanych filmów czy czytanych książek.

A potem budziliśmy się pełni rozczarowań, czasem łez. Ale łyzy kobiece wysychają łatwo, a nieubłagany budzik podrywał nas do działania. Szybko, szybko...

Czasami ratowaliśmy się poszukując jakichś towarów na bazarku, gdzie pojawiały się kolorowe ciuszki lub inne „luksusowe” towary z amerykańskich paczek, lub przywożone z sąsiednich państw przez szczęśliwców posiadających paszporty, np. sportowców. Sprzedawali je oni sami lub członkowie ich rodzin, by podreperować domowy budżet. Tak np. nabywaliśmy płaszczyki dla dzieci z „misia”, czyli z tkaniny udającej futerko, maść przeciwbólową z „tygrysiem” na wieczku czy rum w plastikowych pojemnikach, dodawany potem do herbaty o wdzięcznej, a tajemniczej nazwie „Ulung”. Naszym dzieciom kupowaliśmy też na tym bazarku tenisówki, dresiki czy kolorowe skarpetki przywożone z NRD, Czechosłowacji, czy Węgier i wracaliśmy do domu z uśmiechem.

Później sami jeździliśmy: do Lipska po buty, do Pragi po dziecięce ciuszki, koszule non iron i biżuterię z Jablonexu” czy do Budapesztu po piękne tkaniny, modne swetry i kuchenne przyprawy. Wracaliśmy obładowani [choć drżący przed celnikami] i to była taka ówczesna forma bycia szczęśliwym.

Najczęściej jednak mijał „dzień jak co dzień, zwykły dzień jak co dzień”, a my – „w owych dni gęstą sieć zaplątani”, przytłoczeni bagażem

codzienności, upokarzającymi próbami zdobycia czegokolwiek, zmęczeni absorbującą i stresującą pracą, zdążyliśmy pośpiesznie do domów, które były naszym azylem. Choć czekały nas jeszcze wszechobecne kolejki. Jonasz Kofta pisał:

„Kolejki, kolejki, w kolejki
Czy dają, co dają, gdzie dają,
Wśród tłumu, wyprana z rozumu
Stałam, powstałam, nie mają”.

Pamiętam. W jakimś małym sklepiku pasmanteryjnym przy ulicy Kolejowej [dziś już nieistniejącym] obłądny ogonek czyli kolejka. Stałam pokornie na końcu, by kupić jakieś nici. Tłumek był dość niezdyscyplinowany, ktoś tam pchał się do przodu, ktoś straszył wpisem do „Książki życzeń i zażaleń”, jakiś mężczyzna perorował głośno, że on absolutnie nie ma czasu i musi bez kolejki! Robiło się coraz głośniejsze, coraz duszniej, awantura wisiała na włosku. Najbardziej zapalała się jakaś młoda kobieta pachnąca mocno wodą toaletową „Być może”, o ufarbowanych na kruczoczarno włosach, o której można by powiedzieć – jak jakiś złośliwiec o George Sand – „czarna jak kret i chuda jak gwóźdź”. Wykrzykiwała na owego mężczyznę „świeżego jak róża i różowego jak marchewka”, a tłumek kobiet zgiełkliwie jej wtórował. Wróciłam bez nici, z bolącą głową.

Tak wyglądała nasza prawdziwa dojrzałość – trudne lata brzemienne w skutki: zdobywanie mieszkania, rodzenie dzieci, codzienny strumień różnych spraw, uczenie, dokształcanie się, zmartwienia, choroby, potem śmierć naszych babć, dziadków, rodziców – rodzące bezbrzeżny żal, poczucie straty i nie dającej się zapełnić pustki, i uświadamiające nam kruchość ludzkiej egzystencji. „Człowieczy los nie jest bajką ani snem...”

Ale uczono nas, że nawet traumatyczne przeżycia, wszystkie smutki i zmartwienia mamy zostawiać za drzwiami klasy, a uczniom prezentować zawsze pogodną twarz. Mówiono nam: „Problemy osobiste zostawiamy na korytarzu. Potem, jak aktor wchodzący na scenę, zaczynamy zajęcia”. Próbowaliśmy się więc uśmiechać, ale te wymuszone uśmiechy były smutne jak mało co na świecie.

Pocieszałyśmy się tym, że ci, których kochamy, nie umierają nigdy i pielęgnowaliśmy w naszych zboląłych sercach serdeczną o nich pamięć. I żyliśmy dalej. Cóż, szczególną cechą świata jest przecież to, że kręci się dalej bez względu na to, jakie spotykają nas nieszczęścia”.

Często odwiedzaliśmy cmentarze, „by się posmucić”, wspominać umarłych i oswajać ze śmiercią. Ulica Cmentarna z kamienicami, których mury pamiętały jeszcze czasy przedwojenne – całe w liszajach łuszczącej się farby, popękane, noszące wciąż ślady po odłamkach, a potem długi, surowy, ceglany mur, zza którego wyłaniały się szczyty nagrobnych krzyży, wysoka wieża cmentarnej kaplicy i stare wysokie drzewa całe w poszumach wiatru – wszystko to nastrajało smętnie i nostalgicznie.

Ktoś powiedział, że żyliśmy w strasznym świecie, ale innego nie było. A to nasze życie – chociaż raniące i nieprzewidywalne, przecież było prawdziwe, pełnokrwiste, zachłanne. Musieliśmy swój „malutki los naparstkiem pić”, choć tak bardzo męczyła nas ta proza życia, monotonia codzienności, ten kraj „szarej mżawki” [Miron Białoszewski], „kraj krzyży i chleba, kraj piekła i nieba [...], ta codzienna „krzątania mysia” [Jacek Cygan], ta siermiężność i beznadzieja, bylejąkość i pośpiech, podejrzliwość, interesowność i manipulowanie ludźmi i ideami.

Zbyt okrutni i niesprawiedliwi są jednak ci, którzy w czambuł krytykują i potępiają wszystko, co działo się w tamtych peerelowskich czasach. Dzięki Bogu, mieliśmy wpojoną przez rodziców hierarchię wartości, która – jak mówili filozofowie – „porządkowała nasze życie broniąc przed chaosem i zagładą”.

Mężczyźni „budowali lepszy świat”, a my, kobiety rodziłyśmy dzieci, otrzymując przy tej okazji trzy miesiące urlopu macierzyńskiego. Potem szliśmy do pracy, powierzając bezradne maluszki naszym babciom, mamom lub niańkom.

Szpital usytuowany w budynku przyklasztornym był obiektem dość mizernie wyposażonym. Ale nikt nie grymasił, bo innego nie było. Z rodzącymi obchodzono się szorstko, rzadko stosowano znieczulenie, dzieci od razu zabierano, a świeże mamy odwożono na którąś z sal, gdzie leżało po kilkanaście kobiet. O jakiegokolwiek intymności nie było mowy. Wszelkie odwiedziny były zabronione.

Pielęgniarki przynosiły dzieci do karmienia. Maluchy były wykąpane, przewinięte, ciasno poowijane w szpitalne kocyki. Pory karmienia wypadały regularnie co trzy godziny, z dłuższą – sześciogodzinną przerwą nocną. Po jakichś 20 minutach dzieci zabierano, a w sali snuł się jeszcze przez chwilę mleczny zapach ich delikatnych ciał. Nie było możliwości przytulania, dopieszczania maluchów. Takie były zalecenia lekarza pediatry, zgodne z zasadami tzw. „świadomego macierzyństwa”.

Anna Janko wspominała: „Lekarze warczeli na położnice [...], pielęgniarki przynosiły dzieci pozawijane jak krokiety i rzucały na łóżka na 20 minut. Nosiły średnio po cztery krokiety naraz. Drżałam ze strachu, że je po drodze pogubią [...]. Ojcowie stali pod oknem szpitala i wołali do swych żon jak do czasowo internowanych, albo przesyłali przez pielęgniarkę liściki – niczym grypsy”.

Prawie wszystko w tym opisie zgadza się z moimi wspomnieniami, choć – muszę przyznać – wśród personelu było wiele życzliwych, miłych pielęgniarek, które wspomagały nas w tamtych trudnych dniach.

Potem powrót do domu. Tu czekała całkiem nowa rzeczywistość: uczenie się pielęgnowania maluszków, dziecięce choroby, nieprzespane noce, przekleństwo pieluch, śliniaki zwane podbródkami, pierwsze ząbki, pierwsze krociki, pierwsze dramaty rozstań: żłobek, przedszkole, szkoła...

Po drodze z pracy wstępowaliśmy często do klasztornej kościółka, by westchnąć przed figurą wzruszająco bladego, naznaczonego cierpieniem Chrystusa, który – mówiąc poetycką mową Krzysztofa Kamila Baczyńskiego:

„Bez słów rozumiał i ciszą niepokój przygarnął,
Ręce liliowe znużeniem i zmierzchem rozdawał jak chleb.
Przykładał spojrzenia do serca”.

Kościół był dla nas pociechą i ostoją, ukojeniem i wsparciem. Uspokajało piękne wnętrze, stłumione światło wiecznej lampki, głośnie oddechy i westchnienia, a także monotonne dźwięki szeptanych półgłosem modlitw, pogodne, skupione twarze zakonnic czytających z opasłych modlitewników, czysta zieleń olbrzymich palm, niebiański śpiew jednej z „siostrzyczek”, pełniącej funkcję organistki. Jej bardzo wysoki, jasny i czysty głos spływał jakby gdzieś z nieziemskich przestrzeni, jakby był mistycznym łącznikiem między niebem a ziemią.

Podniosła atmosfera tego miejsca wyzwalała tajemne uczucia i głębokie wzruszenia. Ksiądz przekonywał, że nie warto zabiegać o dobra doczesne: – „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą, i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą, i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje” [święty Mateusz]. Mieliśmy tak niewiele.

Najczęściej nasze zatroskania, nasze żale, naszą gorycz, szarpaninę z życiem powierzaliśmy Bogu właśnie w ciszy klasztoru, wierząc, że „On – jak

pięknie pisała Iłła – doda pąków cierniom, a szczęścia dorzuci cierpieniom”, złągodzi nasze udreki, ukoi bóle, wleje spokój i otuchę do naszych serc.

Zdarzało się też, że modlitwy i pobożne śpiewy wylewały się na zewnątrz klasztornych murów, rozlewały po ulicach, zwielokrotniały w echu, docierały do domów; nawet dalekich. Pamiętam Drogę Krzyżową, która przez Piaski wiodła uliczkami osiedla Fredry, aż pod dzisiejszy gmach Urzędu Starostwa [wówczas hotel „Lipsk”], a potem wzdłuż ulicy Parkowej i Kraszewskiego, i znów wracała na Piaski, by – po przejściu przez ulicę Krakowską – zakończyć pochód w murach młodziutkiego kościoła Świętego Ducha; już ciemnym wieczorem.

Było w tym wydarzeniu coś tajemniczego, niezwykle, mistycznego, monumentalnego. To mrowie ludzi, okutanych w szale, z postawionymi kołnierzami, mającymi chronić przed mroźnym wciąż, marcowym powietrzem, zdążających za olbrzymim krzyżem niesionym przez mężczyzn, liturgiczne szaty księży lśniące bielą, pobożne, żałobne śpiewy unoszone na skrzydłach wiatru: „Chryste zmiłuj się”... i osiadająca na wszystkim, ścieląca się po ziemi, gęsta, mleczna mgła, rozbijająca chwiejne światelka lampionów na miliony srebrnych iskier. I zdawało się, że z tej mgły wyłania się legendarna postać Eloë z poezji Słowackiego – anioła zrodzonego ze łzy uronionej przez Chrystusa na Golgocie, by dołączyć do naszego orszaku. Niezwykły, niezapomniany czas!

W takich chwilach myśli się o nieskończoności, o sensie istnienia, o naszej małości i niewiedzy. O tym, że – jak pisał Andrzej Szczeklik – uczony pochodzący z Pilzna: „nie mamy dostępu do pewnych odwiecznych prawd [...]. Nauka opiera się na powtarzalności i obiektywizmie, ale wiedza naukowa nie ma zastosowania do egzystencji, wewnętrznej natury ludzkiego życia, gdzie rządzi to, co unikalne, subiektywne i nieprzewidywalne. Nie jest zdolna do zrozumienia najważniejszych aspektów ludzkiego życia: nadziei, strachu, miłości, piękna, zazdrości, honoru, słabości, determinacji, cierpienia, cnoty. Fundamentalne namiętności i teorie naukowe zawsze będą dzielić przepaść. Żaden system myślowy nie jest w stanie pomieścić w swoich ramach pełni ludzkiego doświadczenia”.

A czas mijał, jak to czas ma w zwyczaju; bezustannie, monotonnie, niepowstrzymanie.

Pamiętam. Wyszłam z gmachu liceum na deszczową ulicę. Stał jak przed laty – monumentalny, niewzruszony, milczący, ponury. Późnojesienny świat już zaczął tracić barwy dnia i szara wilgoć przyłgnęła do murów. Chociaż pensum nauczycielskie w szkole średniej wynosiło 18 godzin ty-

godniowo, ale wszyscy mieliśmy godziny nadliczbowe, a i sporo dodatkowych zajęć, więc zazwyczaj wracaliśmy do domów późnym popołudniem.

Spojrzałam w głąb uliczki Słowackiego wiodącej do rynku. Wokół czał się już wczesny zmierzch, kładąc na wszystkim mroczniejące cienie. Rynek – nad którym górowała ciemna sylwetka kamiennego radzieckiego żołnierza, spoglądającego kamiennymi oczami na świat – wyglądał smętnie, biednie, małomiasteczkowo. Nieliczni przechodnie przemykali szybko, kuląc się przed zimnym wiatrem, w brudnej kałuży kąpał się jakiś gołąb, w rynnach kamienic bulgotał deszcz. Przed sklepem mięsnym – pod osłoną parasoli – wiła się niesforna kolejka. Krystyna Prońko śpiewała:

„Za czym kolejka ta stoi?
Po szarość, po szarość, po szarość,
Na co w kolejce tej czekasz?
Na starość, na starość, na starość...”

Stałam i ja, pełna pesymizmu i wszechogarniającej beznadziei, gapiąc się na wyblakły szyld wymalowany nad drzwiami, na odpadający ze ścian budynku tynk, na krzywy chodnik, na ulicę pełną wybojów. Pomyślałam: – Jak nietrwałe są dzieła ludzkich rąk, jak wszystko ulega zniszczeniu, brzydocie, zagładzie!

Kilka starszych kobiet żywo rozprawiało o swych chorobach, chowając głowy przed zimnym wiatrem w kołnierzach i szalach. Na końcu kolejki przystanął cichutko chudziutki staruszek w wytartym paltociku, pamiętającym dawne czasy i w lichych półbutach, założonych na gołe nogi. Jedna z kobiet, spoglądając na niego, zapytała:

– A wam to nie zimno, tak bez skarpetek? – A dziadziuś, uśmiechnąwszy się pod wąsem, odrzekł z lekceważeniem:

– Iii, takie tam zimno. Jak byłem za młodu w wojsku, to – moja pani – już śnieg był, a ja się kąpał w zimny wodzie, rozebrany do pasa. I nawet kataru nie miał.

– E, to pan zahartowany, nie to, co my.

I wtedy staruszek wyprostował plecy, podniósł dumnie głowę i rzuciwszy:

– Nie będę tu stał jak głupi – jak młodziak jakiś, ruszył dziarsko ulicą.

A kolejki były codzienną zmurą. Wciąż wyżywienie rodziny było misją kobiety, więc – jak inni – wiele godzin spędzałam w owych „ogonkach”. Sklepów było niewiele, a w nich ekspedientki – prawdziwe królowe handlu i my – szara masa udręczonych ludzi.

Kubańczyk Jose Torres, obserwując naszą rzeczywistość pisał, że w Polsce, każdy, kto coś znaczył, „manifestował postawę notorycznie obrażoną i nadąsaną. To dotyczyło szatniarek, ekspedientek w sklepie, pań w pocztowych okienkach”. Tak rzeczywiście bywało.

Pamiętam. Po wielu godzinach pracy weszłam do „bóżnicy”, którą przekształcono na dom handlowy. Klębiący się przed stoiskiem z artykułami gospodarstwa domowego tłumek świadczył o dostawie towaru. Stałam i ja.

Po pewnym czasie udało mi się dojrzeć małe, czerwone garnuszki ze wzruszającym kwiatuśkiem – akuratne dla dzieci. Stałam więc, nie zważając na coraz bardziej bolący kręgosłup i upływający czas. Towar znikał w zastraszającym tempie. Gdy dotarłam wreszcie do lady, pani ekspedientka – królowa stoiska – wyniosłe orzekła, że może mi sprzedać tylko jeden garnuszek. – Inni też czekają – dodała pogardliwie.

Akurat przed kilku dniami miałam lekcję o poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Przypomniał mi się jej piękny liryk, poświęcony Le-nartowiczowi:

„Złotniczeńku ty na niebie,
Chcę pić życie, nie mam z czego
Zrób mi kubek, proszę ciebie,
Z szczerozłota gwiaździstego”.

Ja też, jak mogę najpiękniej, proszę o dwa kubki, bo jak tu podzielić jeden między dwoje maluchów? Daremnie. Na szczęście jakiś starszy pan stojący za mną zaoferował pomoc. Kupił kubek i mi go odstąpił, bo – jak powiedział – on takiego rarytasu nie potrzebuje.

To była radość! A on też odszedł szczęśliwy, bo udało mu się zdobyć fajansowe talerze; chociaż II gatunku: krzywe, brzydkie, z brązowymi kwiatuśkami.

Bo każda „zdobycz” cieszyła, jak ową rodzinę „Słowików” z przewrotnego wierszyka:

„Denerwuje się pan Słowik:
Już prawie szesnasta -
A tu pani Słowikowa
Wciąż nie wraca z miasta [...].
Co tu robić? Co gotować?
Rozpacz go ogarnia.

Wczoraj byli Wróbelkowie -
I pusta spiżarnia.
Wreszcie wraca Słowikowa.
– Nie gniewaj się stary,
Ale straszna dziś kolejka
Była po komary.
O motylkach szkoda marzyć,
A muszki – mrożone.
Więc komary tylko wzięłam.
Proszę – oto one”.

My też czasem przynosiliśmy ze sklepu nie to, na co „polowaliśmy”. Ekspedientka wykladała na ladę każdemu stojącemu w kolejce to samo, bo to akurat dowieźli: masło, margarynę, rodzynki. Ale nikt nie narzekał, nikt też nie rezygnował. I było jak w tym skeczu, ze szkolnego kabaretu:

„Co to za fochy, co za grymasy,
brać to co dają i wio! – do kasy”.

Zdarały się czasem w sklepach miłe niespodzianki; np. dowieźli cudownie smakujące pralinki w ozdobnej butonierce. Kupowali wszyscy. Zazwyczaj się ich jednak nie zjadało. Były bowiem świetnym prezentem dla kogoś bliskiego.

Pisarz Melchior Wańkowicz opowiadał zabawną anegdotę związaną właśnie z taką zdobyczną bombonierką. Państwo Wańkowiczowie podarowali ją znajomym, idąc do nich z wizytą. Wcześniej jednak z trudem, niezauważalnie, naprawili uszkodzenie celofanu, które nastąpiło jeszcze w sklepie; ale wtedy nikt nie grymasił i „brał to, co dają”. Jakież było ich zdziwienie, gdy – jakoś tak po upływie roku – otrzymali od całkiem innych znajomych tę samą bombonierkę, którą rozpoznali po naprawionym uszkodzeniu. Wróciła, choć w tym czasie musiała zmienić kilku właścicieli!

Niekiedy „spod lady” lub jako podarunek od znajomych otrzymaliśmy wspaniałą szynkę, niedostępną na rynku, o – jakże ironicznie brzmiącej po polsku nazwie: „Ham”, lub zagraniczny alkohol w eleganckiej, ozdobnej butelce. Dziś te wspomnienia budzą śmiech, ale cóż: „Jakie czasy, takie rarytasy!

Późna jesień. Wiatr smaga twarzę dotkliwym chłodem, porywa uschnięte liście skażonych brązem drzew, miota kurzem, uderza w szare

ściany kamienic z liszajowatym tynkiem, w więdnące rośliny na brudnych podwórzach. Na ulicach „cichosza”, szaro, buro, ponuro. Zaczął się ścigać drobny kapuśniaczek. Świat tonie w jednostajnej mżawce i otula się szarym płaszczem jesiennej mgły. Przed sklepem o perwersyjnej wprost nazwie „Kaprys” [ciekawe, kto ją wymyślił!] wijąca się kolejka stojąca w parasole. Pytam miłą panią, co przywieźli.

– Papier toaletowy.

Jej twarz rozjaśnia zmęczony uśmiech. Na wilgotnych włosach, wymykających się spod beretu, lśnią kropelki deszczu. Staję i ja.

„Kaprys” – otwarty na przełomie lat 1960/1970 – pierwszy w Dębicy duży, samoobsługowy sklep – należał do PSS-„Społem”. Czasem, – zazwyczaj przed świętami; zwłaszcza państwowymi – pojawiała się w nim prawdziwa ziarnista kawa w srebrzystych torebkach z namalowaną na niej zieloną filiżanką i napisem „Extra-selekt”. Ekspedientka, podając upragniony rarytas, pytała: – Czy „zmielić”? Niewielu miało w domu młynek do kawy, więc ten sklepowy pracował pełną parą, a cudowny aromat napelniał wnętrza i wypływał na zewnątrz, na ulicę, w przedświąteczną szarość miasta, by pobudzać zmysły i zachęcać do powrotu do kolejki.

Niekiedy bywały tam też wiśnie w likierze – babski alkohol w butelce z szeroką, ordynarną zakrętką jak u słoika. Na przyjacielskich spotkaniach wypijaliśmy te cymeszy, a potem wyjadaliśmy owoce, delektując się ich smakiem. Pojadaliśmy ciastkami od „Kiciowej” kupionymi po drodze do domu i cieszyliśmy się; jak to młodzi. Celebrowaliśmy te chwile, wiedząc, że – choć pewnie bywały piękniejsze czasy – ale te są nasze, oswojone, jedyne.

Biegnę jak co dzień do pracy. Jezdnią suną nieliczne samochody, po bruku stukają buty śpieszących jak ja, sklepikarze podnoszą kraty w oknach sklepów. A na wystawach nędzne atrapy jakichś towarów, erzace słodkości o oszukańczej nazwie – wyrób czekoladopodobny, informacja o sprzedaży związanej: chcesz masło, musisz też kupić margarynę.

Jakaś matka ciągnie opierającego się malucha. Wiatr targa jego złote włoski. Mały „krzykała” zanoszący się płaczem. Z piekarni „Po schodkach”, usytuowanej w rogu rynku, bucha zapach świeżutkiego chleba. Pieczony w nocy, najlepiej smakował jeszcze ciepły, z chrupiącą skórką, więc od wczesnego rana ustawiała się tam kolejka. Wszyscy czekali cierpliwie, nikt się nie pchał, pogadywano życzliwie o pogodzie, o cenach, o chorobach, o przechodniach. „To nie była kolejka po chleb, to było życie towarzyskie” – pisała o takiej sytuacji Hanna Krall.

Powietrze gęste i duszne, zwiastuje rychłą burzę. Po niebie przetacza się ciężki grzmot i pierwsze krople deszczu znaczą tajemnicze ślady na zakurzonym, krzywym chodniku.

Jaskółka – „siostra burzy” przecina powietrze. Wicher coraz mocniej smaga gałęzie drzew. Byle zdążyć przed ulewą!

Niestety, nagle jakby rozpękło się niebo, potoki deszczu spadają na ziemię, świat tonie w sianej mgle, spod kół pędzących samochodów przyskają strugi wody. Zupełnie przemoczona docieram do szkoły. Z ulgą zamykam ciężkie drzwi i biegnę po schodach do pokoju nauczycielskiego. Wieszam mokry płaszcz i siadam na moim ulubionym miejscu.

To tu, do pokoju nauczycielskiego przynosiliśmy swe problemy, zmartwienia, małe radości i wielkie smutki. Przysiadaliśmy na chwilę przy naszym długim stole „do mielenia spraw” i wiedliśmy „gędźby” – jakby to określił Jacek Cygan. Po każdej lekcji, wymagającej skupienia sił i umysłu, przychodziliśmy tu, by złapać chwilę oddechu. Jonasz Kofta pisał:

„Po to jest przerwa,
Żeby coś przerwać,
Przekąsić, zagryźć,
Przepłukać gardło,
Wyjść na osobność...”

Ponieważ belferka to był w PRL-u sfeminizowany zawód, było nas – kobiet więcej niż mężczyzn, ale i oni przyłączali się do naszych rozmów; choć trochę jakby nieśmiało. Moja ulubiona Iłła pisała: „Nic tak nie onieśmiela mężczyzny, jak znaleźć się pośród kobiet w zbyt wielkiej ilości”. Może i tak było.

Rozmawialiśmy o nauczycielskich powinnościach, o książkach, filmach, o wydarzeniach politycznych, ale najczęściej prowadziliśmy banalne rozmowy o naszych codziennych sprawach małej wagi – pospolitych, zwyczajnych, ale przecież dla nas istotnych: o rodzinie, o zaopatrzeniu, o dzieciach, chorobach, o dręczących problemach codzienności.

Taką sytuację – z właściwym sobie sarkazmem – przedstawił Witold Gombrowicz:

„W tej chwili jedno ciało zwróciło się do drugiego ciała i spytało: – He, he, hm, no co tam? Co tam, panie kolego? – Co tam? – odrzekło tamto ciało. – Staniało. – Staniało? – powiedziało pierwsze ciało. – Chyba podrożało? – Podrożało? – spytało drugie ciało. – Chyba cośkolwiek staniało.

– Bułki nie chcą stanąć – mruknęło pierwsze ciało i schowało resztki nie dojedzonej bułki do kieszeni”.

Witold Gombrowicz był „paniczem” [tak zatytułowana jest jego biografia]; na pewno sam nie doświadczył biednej, szarej, trudnej codzienności, dlatego wyśmiewał miałkie rozmowy nauczycieli, prowadzone zamiast uczonych dysput o szczytnych celach i życiowych ideałach.

Kpił z owej „codziennosci mysiej”. Ale my, przecież oprócz tego, że byliśmy „ważni i poważni”, świetnie wykształceni i niezwykle ambitni, musieliśmy się zmagać z szarą codziennością, której on nie znał, popełnialiśmy różne gafy i życiowe błędy, mieliśmy swoje wady i śmieszności, szliśmy czasami do pracy wściekli, chorzy i niewyspani, z bolącym zębem, lękiem, żalem, czy z krwawiącą duszą. Na pewno nieraz śmieszni, nieprzygotowani, zniechęceni i słabi, no bo przecież ludzcy, zwyczajni – jak wszyscy.

Na dodatek rządziły naszymi nastrojami złe pogody – jak to ujął Andrzej Stasiuk – „bezwzględna melancholia strefy umiarkowanej, ów środkowoeuropejski spleen czterech pór roku, gdy zimne bez przerwy zmienia się w ciepłe, mokre w suche, jasne w zachmurzone, a potem odwrotnie i tak do samej śmierci, bez żadnej nadziei na odmianę. To jest smutek Słowiańszczyzny, gdzie, gdy coś się zaczyna, to zaraz się kończy albo zmienia we własne przeciwieństwo i żadna ostateczność nie jest ostateczna”.

Przecież jednak – choć kapryśne ciśnienie przyprawiało o ból głowy – nie poddawaliśmy się jakiemuś czarnowidztwu, biadoleniu czy rozpacz. Wiezorami włączaliśmy zakupione gdzieś płyty z piosenkami Yvesa Montanda, Charlesa Aznavoura, później – Georges Brassensa. W radiu słuchaliśmy kabaretowych scenek o pani Elizie zakochanej w panu Sułku, o „młodej lekarce” czy o przygodach Dreptaka. Śmialiśmy się często, a śmiech był nam potrzebny jak chleb.

Czasem szliśmy na spacer, by „przewietrzyć smutki”. Szarość ulic niekiedy bywała ożywiona barwnym plakatem, z którego uśmiechał się szeroko cyrkowy, pstrokato ubrany klaun. Cyrk przyjechał!

Innym razem mijała nas grupka śpiewających głośno chłopaków przyodzianych cudacznie w haftowane lub malowane jaskrawo chusty z frędzlami, pozakładane na ramiona – znak powrotu z wojska do cywila. Radość młodych była uzasadniona, bo przymusowa służba wojskowa niejednemu dała się we znaki. Nie było wypros: „Do woja marsz, do woja...”

Jeszcze innym razem przez rynek i okoliczne uliczki, zazwyczaj ciche i senne, płynęły radosne nuty harmonii. To uliczny grajek umiłał życie mieszkańcom, więc wrzucaliśmy mu grosik, by wciąż grał... I wtedy by-

liśmy pewni, że słuszość miał Sienkiewiczowski Zagłoba, twierdzący, że „nie masz takowych terminów, z których by się viribus unitas przy boskich auxiliach podnieść nie można”.

Pamiętam. Spieszę do znanej piekarni Roztoczyńskiego. Zimny wiatr czochra gałęzie jeszcze nagich drzew, „jeszcze na wargach zimowa skarga”, ale pod ścianą domu handlowego jakaś babinka sprzedaje wierzbowe baze niosące nadzieję wiosny i szare palemki zerwane gdzieś nad stawem, związane czerwoną nitką. Mimochodem słyszę rozmowę dwu dziewczyn, zdążających do szkoły:

– Ja jednak nie idę, mamy sprawdzian, a jestem całkiem zielona. I tak będę mieć pałę na koniec roku.

– To nie będziesz poprawiać?

– Ale jak? U mojej nie można poprawiać. Pała to pała.

– Co ty, a moja to pozwala poprawiać, ile się razy chce.

– Naprawdę? A to mała!”

Na chodniku przed restauracją o wdzięcznej nazwie „Syrenka” klęczy garbata staruszka, opatulona na czarno tak szczelnie, że wyściubia tylko kawałeczek nosa. Na piersi tabliczka z nabazgraną byle jak – z błędami, prośbą o datek. Staruszka wyciąga ręce w proszącym geście. Przechodnie wrzucają jakieś grosiki do pudełka ustawionego obok.

Ostatnio prawie codziennie pojawiają się na ulicach różni żebracy, podobno z Rumunii: obdarte, natrętni dzieci szarpiące przechodniów za ubranie i nagabujące o datek, młode kobiety z maleńkimi zawiniątkami, w których śpią maleństwa, jacyś straszliwi kalecy i takie właśnie klęczące staruszki, całe opatulone czernią. Ktoś podobno widział, że wieczorem jedna z nich zdjęła czarne szaty i żwawym krokiem młodej dziewczyny ruszyła gdzieś, z równie młodym mężczyzną. Popatrzyłam uważnie na ręce żebraczki. To były drobne, młode dłonie. No tak, ale staruszki bardziej wzbudzają litość. Stąd ten uliczny teatr!

A owa „Syrenka”, będąca wykwitem socjalistycznej architektury użytkowej, od 1962 roku udanie zaspokajała potrzeby żywieniowe rozwijającego się miasta. Czasami, gdy zostawaliśmy do wieczora w szkole, bo była jakaś konferencja, spotkanie czy wywiadówka, też wpadaliśmy tu na pomidorową zupę lub kotlet mielony. Mieliśmy ochotę na smaczną kawę, ale – choć od 1683 roku, gdy otwarto w Wenecji pierwszą w Europie kawiarnię, minęły wieki – to w Dębicy wciąż nie było ani jednej kawiarni z prawdziwego zdarzenia.

Pamiętam. Czekamy w „Syrence” na popołudniowe zebranie, popijając słomkową herbatkę i zastanawiając się, skąd taka nazwa restauracji, tu, w Dębicy? To coś jak owa „Liga Morska” w naszej szkole...

Nad cienką zupką przy sąsiednim stoliku siedzą dwaj trochę „wczorajsi” faceci w waciakach. Śledzą biegającą między stolikami młodą, żwawą kelnerkę w krótkiej spódniczce.

– Ty, patrz, jaka sarenka!

– Co ty – zaprzecza drugi – raczej syrenka, bo z „Syrenki”. No i zaczęli dociekać swych racji, a kelnerka – nieświadoma rozmowy – wciąż biegła rączo między stolikami. Pomyślałam z zazdrością tekstem piosenki: „I ja bym tak pobiegała, gdybym takie nóżki miała...” Och, te sarenki z „Syrenki”!

Wyszliśmy na ulicę w świetnych humorach. Chociaż znów padał deszcz, dziarskim krokiem wracaliśmy do szkoły, patrząc, jak ptaki szeroskrzydłe kryją się w gałęziach drzew.

Czasami wydawało nam się, że prawdziwe życie toczy się gdzie indziej, a nużący rytm codzienności rodził zniechęcenie i frustracje. Wszak bez poczucia wartości życia dusza więdnie i umiera. Pragnęliśmy odmiany, barwy, odrobiny szaleństwa, kropelki piękna. Estetyka jest przecież jedną z podstawowych potrzeb człowieka, darem Boga danym tylko nam, ludziom.

„Gdy głupota z biedą już mnie mają”, odczuwanie piękna, otaczanie się nim i tworzenie to nieodzowne warunki doznawania szczęścia. „Piękno po to jest, by zachwycalo do pracy” – pisał Cyprian Kamil Norwid. Szukaliśmy więc piękna.

Maja Berezowska mówiła: „Kwiaty są dziećmi zrodzonymi z miłości Słońca i Ziemi. One i ptaki to chyba największy cud na naszej ziemi”. Dodam; – I muzyka...

Kwiaty kochaliśmy wszyscy. I te z ogródka, i te z łąki, z działki, z kwia-ciarni.

W tej, usytuowanej przy ulicy Krakowskiej, nieopodal płytkiego, ale żwawego potoczku można było kupić eleganckie róże na długich łodygach, sztywne, oficjalne goździki, później też margerytki farbowane na żywe, nie-naturalne kolory, malutkie, subtelne frezje czy dorodne lilie, których odu-rzający zapach przyprawiał o ból głowy – z długimi pręcikami, z których osypywał się cynamonowy pył, strasznie trudny do wywabienia. Miła pani kwiaciarka wzbogacała bukiety delikatnym asparagusem, drobnokwiatową gipsówką, czasem liściem bananowca, egzotycznego figowca, filodendro-na, lub rodzimej paproci, a potem owijała łodygi sztywnym sizalem i prze-wiązywała mocno kolorową wstążką.

Chociaż te kwiaty – tak piękne i upajające zapachem – już po kilku dniach brzydko więdły, to właśnie w tej chwilowości, w tej ulotności tkwiła ich największa wartość i urok. Wkładaliśmy je do kryształowego wazonu, a słoneczne światło załamywało się pięknie w tym specyficznym „rezanym” szkłe; niby trwałym, a jednak kruchym i przy rozbiciu rozpryskującym się w drobny mak. Taki wazon był obowiązkowym gadżetem w mieszkaniach naszych młodych lat. Niekiedy towarzyszyły mu jeszcze kryształowe kieliszki z karafką, cukierniczka na cukier rafinowany lub ten w kostkach, prezentująca się na stole elegancko i bogato, lub kryształowa popielniczka – niezbędny przedmiot w czasach, gdy prawie wszyscy dorośli palili papierosy. Nikogo nie dziwiło więc, gdy na ulicy podchodził nieznajomy, pytając: – Mogę prosić o ogień?

Po męczącym dniu spędzonym w szkole, wytchnieniem dla wielu naszych profesorów były ogródki działkowe. Chociaż właściciele takich ogródków śmiali się czasami, że wakacje spędzają na Rodos, bo tak żartobliwie tłumaczono skrót „Robotnicze Ogródki Działkowe Ogrodzone Siatką”, to pielęgnowali je z wielkim oddaniem i radością. Uprawiali zdrowe warzywa, plewili grządki, podlewali, doglądali, chuchali i dmuchali, a potem – dumni – zbierali plony swej pracy. Hodowali też drzewa owocowe, krzewy i kwiaty, które potem zdobiły owe kryształowe wazony w ich pokojach.

Moje „boże poletko” jakoś ciągle zarastało chwastami, ale było tam pełno cudownie pachnących ziół, a późną wiosną – najśladzszych truska-wek, rosnących w wysokiej trawie, usianej dzikimi kwiatami, nad którymi unosił się rój pszczoł, barwnych motyli i różnych innych owadów.

Przy ścieżce pełno było niesfornie rozpychających się krzaków pysznych malin i porzeczek, których liście już wczesną jesienią zabarwiały się złociście i opadały na trawę. Wpływały się w nie cieniutkie nitki babiego lata i czasem chroniły się w nich ptaki. Od Wisłoki nadciągały chłodne powiewy wiatru i zapachy palących się ognisk. I było tak dobrze, cicho, spokojnie i pięknie...

No i były dzieci – dary od losu na dobre i trudne dni, na smutek i stres, na zniechęcenie i poczucie bezsensu. Wartość życiu nadawał dziecięcy szczebiot witający nas w drzwiach, bezładna paplanina, zanucona piosenka. Ktoś tak pięknie powiedział, że „wszystkie najpiękniejsze głosy świata brzmiałyby jak głos przekleństwa, gdyby jednego spośród nich zabrakło – szczebiotu maleństwa”. Dziecięcy uśmiech potrafił przegnać wszystkie smutki. I jeszcze tupot dziecięcych nóżek, blask płowych włosów, iskierki w oczach, przytulanie i ta ufność, że mama może wszystko – utuli, ukoi,

rozproszy lęki i bóle. I najcudniejsze prezenty świata: laurka, wierszyk i siarczysty całus, piosenka o Bobie budowniczym, który „zawsze ma nara-dę” [„zawsze da radę”]. To prawie tak jak my...

Choć nasze możliwości były dużo mniejsze od marzeń, a pensje też niewielkie, staraliśmy się, by nasze dzieci miały radosne dzieciństwo, bo przecież, jak mówił Janusz Korczak, „gdy śmieje się dziecko, śmieje się cały świat”. Organizowaliśmy im różne zabawy, wycieczki, drobne niespodzianki. Kupowaliśmy zabawki, choć zazwyczaj były tandetne i koszmarnokowate. A, oczywiście, po modną, piękną i zgrabną Barbie – przedmiot marzeń wszystkich małych dziewczynek – musieliśmy iść do „Pewexu”, gdzie za bony – udające dolary – mogliśmy nabyć również inne zagraniczne cudenka: pachnący krem „Ponds”, którego reklamowe hasło brzmiało: „Piękno w 7 dni”, prawdziwą, aromatyczną kawę, czy reprezentacyjny alkohol na wyjątkowe okazje. Gdy podczas jednej z wycieczek natknęliśmy się w Rzymie na sklep z szyldem „Pewex”, byliśmy bardzo zdziwieni, gdyż u nas pamięć o tych sklepach już dawno wyblakła. Okazało się, że dwaj Włosi utworzyli w 1968 roku sieć eleganckich sklepów i nadali im nazwę zainspirowaną właśnie polskimi „Pewexami”. A na jednym z dębickich budynków mogliśmy przeczytać namalowany napis: „W trumnie z Pewexu będziesz wyglądał jak żywy”.

Z niepokojem przeżywaliśmy wszystkie polityczne i społeczne zmiany zachodzące w kraju i dotykające nasze rodziny. Czarna wołga była straszakiem dla dzieci, by nie zadawały się z obcymi. A przecież wiele czasu spędzały poza domem z kluczem na szyi. Wiecznie zapracowani, zmuszani do różnych zajęć popołudniowych, akcji, zebrań, czynów społecznych, do kształcania [„obowiązkowe kształcanie permanentne”], różnych kursów i uroczystości, nie mieliśmy wiele czasu, by poświęcić je swoim pociechom. Odprowadzaliśmy je do żłobków czy do przedszkoli, powierzając ich los i opiekę wychowawcom. Czasem nasze starania, by pielęgnować w nich wiarę naszych ojców, tradycję i strzeżenie zasad etycznych, przegrywały z wszechobecną ideologią i propagandą, szerzoną już od przedszkola. Tak wychowywano nasze dzieci. Gdy mąż jednej z koleżanek, w trosce o swój ojцовski autorytet przekonywał córeczkę, że to on, tatuś, jest najważniejszy, ta rezolutnie zaprotestowała: – Nieprawda, najważniejszy jest „E r d w a r d” Gierek!

Pamiętam dzień, gdy po kolejnej kilkugodzinnej „ideologicznej nasiadowce”, z bolącą głową wbiegłam do przedszkola. Dzieciaki beztrósko śpiewały „Ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto dwadzieścia troje”...

Odetchnęłam z ulgą. Czekając na maleńkiej ławeczce w szatni, pomyślałam: – Jak cudnie być tak małym, beztroskim, nieświadomym wielu rzeczy, które my, dorośli gromadzimy w naszych skołatanych głowach. I jak to dobrze, że ów tajemniczy Wirgiliusz nie ma nic wspólnego z polityką, a ta pioseneczka pochodzi z połowy XIX wieku i powstała w Teatrze Wielkim w Warszawie na cześć włoskiego tancerza i choreografa Wirgiliusza Coloriego. Owe 123 dzieci to była łączna liczba członków jego zespołu baletowego.

Zabieraliśmy nasze pociechy do domu, a one już po drodze opowiadały przeurocze przedszkolne historie, z których śmiaaliśmy się potem w pokoju nauczycielskim:

- Kogo najbardziej lubisz w przedszkolku?
- W kokolku to jubię panią detektol, panią Gagatkę i panią Imilkę.

Nasze dzieci były bardzo samodzielne. Wolny czas spędzały na podwórkach, gdzie królowały trzepaki – miejsce spotkań, zabaw i swoistych popisów gimnastycznych. Spotykały się na pobliskich, niezagospodarowanych jeszcze polach, na dzikich trawnikach, na placach socjalistycznych budów. Grały w piłkę, bawiły się w wojnę, w policjantów i złodziei; dziewczynki w klasy i w gumę. Oglądały czarno-białą telewizję, a gdy powstały punkty wypożyczania filmów, przynosiły kasety wideo do domu i wraz z zaproszonymi kolegami przenosiły się w świat Batmanów, żółwi Ninja, lub przy pomocy dżojstików grały w pierwsze komputerowe gry. Przeżywaliśmy ich radości i smutki, wzloty i upadki: pierwszy krok, pierwsze słowo, pierwszy dzień w przedszkolu, pasowanie na ucznia, udział w szkolnym teatryku, Potem Pierwszą Komunię Świętą, kolejne świadectwa, samodzielne wyjazdy, egzaminy do szkoły średniej, pierwsze zakochanie, studniówkę, maturę, studia, wyfrunięcie z domu, a potem założenie własnych rodzin i uśmiechy pierwszych wnuków mówiących do nas: babciu, dziadziu. Tylko w czasie niepogody nasze dzieci pozostawały w domu.

Niestety, „w czasie deszczu dzieci się nudzą” – grymaszą, szaleją, bałaganią. Czytaliśmy im książeczki, graliśmy w gry planszowe, włączaliśmy bajki w radiu, a później w telewizji.

Dorośli nie mieli czasu na nudy. Mężczyźni po pracy próbowali odpoczywać czytając prasę, oglądając mecze lub programy motoryzacyjne, oddawali się też często majsterkowaniu. W latach 70. prawie każdy coś strugał, coś lutował, sklejał, a wszystko za sprawą Adama Słodowego, nazanego później „patronem naszej małej stabilizacji”, który w telewizyjnym programie uczył, jak zrobić coś z niczego. Wystarczyły jakieś deseczki, kartony, sznurki, śrubki, by wkrótce mogły cieszyć oczy i serca pożyteczne

drobiazgi: deseczki do krojenia, karmniki dla sikorek, ramki do obrazów, półeczki pod kwiatki, proste zabawki, próbujące choć trochę zminimalizować niedogodności życia i dające poczucie małego szczęścia.

Ktoś pięknie powiedział, że „kiedy człowiek robi coś z niczego, wystają mu skrzydła, czyni też świat lepszym, znośniejszym, bardziej ludzkim i staje się partnerem samego Boga w dziele stworzenia”.

Najgorsze były remonty, które też próbowaliśmy wykonywać tzw. sposobem gospodarczym. Rację miał Kornel Filipowicz twierdząc: „Słowo remont równa się słowu apokalipsa”.

Dzieci domagały się spacerów; najchętniej do Ogródka Jordanowskiego, gdzie wielką atrakcją był czołg „Rudy”. Jego przyjazd do Dębicy w 1968 roku wywołał wśród maluchów wielkie poruszenie. Wspinanie się po nadkolach osłaniających gąsienice, wieszanie na lufie, zabawy w wojnę, robienie sobie zdjęć na tle czołgu, to były wielkie atrakcje. Podczas wyświetlania w telewizji serialu „Czterej pancerni i pies” wiele dziewczynek marzyło, by być Marusią, chłopcy przeistaczali się w Janków, a swe pieski nazywali Szarikami. Trochę żał, że „Rudy” zniknął niespodziewanie z „Ogródka Jordanowskiego”, tak jak dzieciństwo naszych pociech.

Najtrudniej było, gdy chorowały. Nieprzespane noce i niepokój odbierały siły. Musiałyśmy brać urlopy, spotykając się często z niezrozumieniem i zniecierpliwieniem naszych szefów.

W przychodni zawsze był tłum matek z chorymi dziećmi, zajmujący cały wąski korytarz. Czekало nas długie siedzenie i marudzące pociechy. Rozmowy toczyły się jak zwykle wokół problemów codzienności. Zawsze też mamy z dumą opowiadały o wyjątkowych zdolnościach swych pociech.

– Moja córeczka już recytuje „Lokomotywę”! Aniu, powiedz pani wierszyk:

– Toi na taja koleja cieja, omoma i pot ej pyja...

Byliśmy świadkami zmian w wyglądzie i zasadach funkcjonowania rozbudowującego się miasta. Z dumą oglądaliśmy powstające osiedla, szkoły, przedszkola, kościoły. Obrastały drzewami i krzewami nasze domy – brzydkie sześcienne pudełka z płaskimi dachami, bez wdzięku i charakteru, budowane według obowiązujących projektów i urządzane w wielkim trudzie, i bloki z żelbetonowych płyt, do których wprowadzali się młodzi ludzie.

Na nowiułkim osiedlu Fredry, obok którego chodziłam do pracy, królował beton, a między bloczydłami ustawionymi „tam i siam”, według jakiegoś dziwnego projektu, dominowała garbata ziemia, zeschnięte kępki trawy, jakieś śmieci. Między nimi hulał wiatr.

Szłam labiryntem ścieżek i spoglądałam na balkony – pełne schnącej bielizny, zagracone, brzydkie. Otoczenie tych bloczydeł też wyglądało smętnie. Wszystkie stare drzewa powycinano podczas budowy, a rachityczne drzewka, posadżane dopiero niedawno, często padały łupem wandal. Dopiero po latach i tu balkony obrodziły kwieciami, a wokół bloków, które pomalowano na ładne, ciepłe kolory, zagościła zieleń, która odmieniła także inne dębickie osiedla, dodała im uroku, uczyniła miłszymi, przyjaznymi ludziom i ptakom. Od rana do wieczora panował tu ruch, dźwięki rozmów, śmiechy dzieci, szum samochodów. A było ich coraz więcej, tak jak i stacjonarnych telefonów czy telewizyjnych anten „zdobiących” dachy.

Wieczorem, gdy zniknęły już wrony kraczące nad głowami, które czarną chmurą wracały na nocleg do parku, a słońce osiadało na wierzchołkach drzew, gwar przycichał, a spokojny wietrzyk tchnął zapachem rodzącej się wiosny i nadzieją na odpoczynek.

Ale często wiatr przynosił też nieznośne odgłosy imprez urządzanych w ogrodach, jakieś głośnie okrzyki, śpiewy i zapachy pieczonego mięsa. Nowa „grillowa” moda [sąsiadka mówiła o swym grillu – „pitraszer”] opanowywała cały kraj. Dopiero nocą otulała miasto ciemność i cisza.

Fabryczne syreny głośnym dźwiękiem burzyły nocną sielankę. Ze snu wyrwani ludzie zrywali się z łóżek, by zdążyć na szóstą do „Stomilu”, do „WUCH-u”, do „Rzeźni”. Fabryczne kominy strzelały dymami w niebo jak działa „Aurory”.

Trochę później mogły wstawać dzieci wychowywane przez babcie i niepracujące mamy, choć tych drugich było niewiele. Wszak liczył się każdy grosz, pracy było pod dostatkiem, urlop macierzyński trwał tylko trzy miesiące. Pewnym rozwiązaniem był żłobek i przedszkola. Ale jakim-ż gwałtem było codzienne budzenie maluszków „kiedy ranne wstają zorze”, śpiących jeszcze rozkosznie pod ciepłą pierzynką i gwałtownym wrzaskiem protestujących przeciwko naturalnemu prawu dziecka do miłutkiego wylegiwania się! Każda nowa wiosna niosła nową nadzieję.

Pamiętam. Biegnę do pracy, jak zwykle spóźniona, ale z uwagą przyglądam się światu.. Niebo przybiera już barwę głębokiego błękitu, żółci się złotokap, różem pękają pąki magnolii, zazielenił się drobnymi listkami krzak bzu. Rozpoczyna się pora budowania gniazd. Słychać wesoły świergot, w powietrzu fruwią żdźbła suchej trawy i ptasie piórka.

Moja ulubiona pisarka Roma Ligocka twierdziła, że „być może pory roku są właśnie po to, żeby nie przestawać zachwycać się światem”. A więc – cichutko – za Wisławą Szymborską:

„Jesteś piękne, mówię życiu,
Bujniej już nie można było,
Bardziej żabio i słowiczo,
Bardziej mrówczo i nasiennie...”

Na kontemplowanie tego piękna – my, pracujący – mogliśmy, niestety, poświęcać tylko nieliczne chwile.

„Festina lente” – „Spiesz się powoli” – przekonywała nas profesorka Oleńska. Ale nam wciąż doskwierał permanentny brak czasu. Wszak byliśmy pokoleniem najbardziej chyba zapracowanych ludzi. Naszym znakiem był „całodobowy dyżur życia”, pośpiech i stres. Zwłaszcza my, kobiety-emancypantki: kury domowe i robotnice, zaopatrzeniowcy, kucharki, praczki, sprzątaczk, matki, żony, strażniczki domowego ogniska, wychowawczynie, psycholożki i nauczycielki. Nasze życie w biegu nie było łatwe.

Ledwo „wyrabiałam na zakrętach”, ale starałam się wcielać w życie dewizę oświeceniowego myśliciela Denisa Diderota, którego teksty analizowaliśmy na lekcjach: „Lepiej zużywać się niż rdzewieć”. No, na pewno rdzewieć nie mieliśmy czasu. I spieszyliśmy się wciąż w tym zapętlaniu, świadomi powinności, jakie na nas nałożono.

Ksiądz Józef Tischner słusznie twierdził, że „na tym świecie wszystko jest do czegoś przywiązane: woda do brzegu rzeki, drzewo do ziemi, a człowiek do swojej roboty, do swojego obowiązku. I nic nie jest wolne. Choćby chciało być wolne, to nie jest”.

Najstarsze czasomierze miały tylko jedną wskazówkę – to wystarczało. Potem trzeba było dodać drugą, bo życie przyspieszyło, a zagonieni ludzie za nim nie nadążali. Jeszcze później dodano trzecią, tę, która wyznacza sekundy. „A potem to czas zupełnie zwariował [...]. Dzielenie czasu na coraz mniejsze części wcale nie sprawia, że jest go więcej” – pisał trafnie Filip Springer.

Podobno beczynne ręce są narażone na diabelskie pokusy. Nasze ręce nigdy nie były beczynne. Wiedziałam i ja, że – jak pisał Mikołaj Rey [znów ta literatura!] – „w żywocie, jak w gospodarstwie, jak godzinkę upuścisz, dużo upuścisz”. Więc żyjąc „na najwyższych obrotach”, gdyż praca i dom wypełniały nam prawie każdą minutę, znajdowałyśmy jednak troszkę czasu na robótki ręczne, które były lekiem na skołatane dusze, uspokajały, a także wzbogacały nasze „gniazdka” o makatki-wypalanki z czeskiej włóczki, obrusy haftowane krzyżykami, szydełkowe serwetki czy robione na drutach szaliki, rękawiczki, czapki i inne cudenka. Już w XIX-wiecznych czasopismach kobiecych twierdzono, że „nic tak nie ozdabia kobiety jak dzieła rąk ich własnych”, a wydzier-

gane przez nas swetry, sukienki, czy spódnice były w czasach kryzysu bardzo pożyteczne i modne. Otulałyśmy się więc w te własnoręcznie wydziergane tkaniny, wyglądając potem jak ów teatrolog z powieści Anny Janko „Finalistka”, który wszystko miał wełniane. „Cały był w oczkach prawych i lewych, tu i tam dyskretny warkoczek i dużo ryżu”.

Zawsze starałyśmy się też znaleźć jakąś chwilę, by usiąść, poświęcić kilka chwil tylko dla siebie i zapomnieć, co dzieje się wokół...

Znów od rana pada zimny deszcz. Uliczki toną w smętnej szarości, kobiety skryte pod pieczą parasoli już dźwigają torby z zakupami. Na tablicy przed kościołem niepozorna klepsydra informująca o tragicznej śmierci młodzieutkiej dziewczyny. Myślę, o życiu, które uleciało „jak dymek z papierosa”...

Kryję głowę pod parasolem i patrzę pod nogi na rozchlapujące się kałuże. Zadumana, na ukos przechodzę pustą zupełnie uliczkę – wówczas Świerczewskiego – biegnącą obok poczty. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się groźny milicjant z reprimendą i pouczeniem.

Gdy zerknął do dokumentów i poznał mój zawód, był dodatkowo zgorszony. A ja myślałam już tylko o tym, że spóźnię się na lekcje i że na pewno obserwują mnie idący do szkoły uczniowie.

Ale milicjant się nie spieszył, w przeciwieństwie do mnie. Pokazywał swoją wyższość i służbistość. Patrzył obojętnie gdzieś nade mną, nieczuły na wszelkie tłumaczenia. W końcu zapytał, czy chcę, by mi wypisał mandat, czy wolę iść na kurs z przepisów ruchu drogowego. Pragnęłam jak najszybciej zakończyć to kompromitujące mnie spotkanie, więc zgodziłam się na szkolenie, uznając, że to był tylko taki żart. Jakież było moje zdziwienie, gdy po paru dniach przyszło do domu pismo wzywające mnie na ów kurs!

Zajęcia odbywały się w niedzielę na placyku manewrowym obok mostu na Wisłocze. Rodzinka dworowała sobie z tego, że będą mnie uczyć przechodzić przez jezdnię. Stchórzyłam, narażając się na zapłacenie kary, ale chyba ktoś się zlitował czy zapomniał, bo uszło mi to na sucho.

A życie płynęło nierównym rytmem, szybkie i ulotne jak dym, cierpliwie znacząc zmarszczkami nasze twarze i nasze serca. Jedyne życie, bez powtórek. I choć zwyczajne, to przecież cenne i ciekawe.

Byliśmy świadkami różnych kolei losu i świadkami życia i śmierci nie tylko naszych bliskich, ale także życia, śmierci i legendy współczesnych nam, niezwykłych ludzi, którzy zostali nawet obwołani błogosławionymi lub świętymi; Matki Teresy z Kalkuty, Maksymiliana Kolbego, siostry Faustyny Kowalskiej, Jerzego Popiełuszki czy papieża-Polaka – Jana Pawła II.

Pamiętam 16 października 1978 roku – dzień wyboru naszego rodaka Karola Wojtyły na papieża, gdy zdarzyło się coś, co wydało się niemożliwe, a co Kornel Filipowicz porównał do lądowania na Księżycu i inny dzień: 13 maja 1981 – dramat zamachu na Placu Świętego Piotra, gdy prawie śmiertelna kula Ali Agcy sprawiła, że świat zamarł w grozie. Cudowne ocalenie przywracało wiarę. Jakże bardzo przeżywaliśmy tamte chwile: ból i strach, niepokój i nadzieję!

A potem były niezapomniane pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny, a zwłaszcza ta pierwsza, która wywołała dyskusje w prasie i kłótnie w telewizji o pieniądze potrzebne na tę wizytę, o miejsce na zorganizowanie mszy polowej w Warszawie, niepokój o zadeptane trawniki, o tłok w pociągach, na szosach i w miejscach pobytu Ojca Świętego.

Wreszcie nadszedł ten cudowny dzień czerwcowy 1979 roku. Wielkie wzruszenie! – Papież klęczący na płycie lotniska i całujący ojczyzną ziemię, sztywne sylwetki witających go oficjeli, rząd samochodów, tłumy. Niezwykła atmosfera napięcia i niepokoju: kołatanie serca, jakiś lęk, ale też jakaś radość i nadzieja rozsadzająca piersi. Ksiądz Józef Tischner pisał: „Jan Paweł II zaczynał od pocałowania tej ziemi, po której chodzimy. I po tym pocałowaniu Ziemi każdy z nas stał się już trochę inny. Niby ten sam, ale inny, mądrzejszy, lepszy, z dojrzałym sumieniem”.

Pamiętam gorączkowe poranne rozmowy w pokoju nauczycielskim. Mieliśmy poczucie doniosłości dziejących się wydarzeń, ale – oczywiście – od rana były normalne lekcje. Szczęśliwie – mam okienko!

Wychodzę na podwórze, bo przecież króluje taki piękny, słoneczny dzień czerwcowy. Mieszkanie woźnego otwarte na oścież i telewizor włączony na największą głośność. Słysząc relację z papieskiej wizyty. Miła gospodyni zaprasza do środka.

Chcieliśmy zobaczyć zgromadzone tłumy, ale kamery filmujące papieską mszę świętą ujmowały tylko plany średnie. Okazało się później, że wszechwładny wówczas szef telewizji Maciej Szczepański nakazał kamerzystom przedstawiać pielgrzymkę papieża tak, by bagatelizować, umniejszyć rangę tego wydarzenia; stąd brak dalekich planów. Ale my wiedzieliśmy swoje. Łzy napływały do oczu, serca biły mocniej, słowa Jana Pawła II zapadały głęboko w serce. Zwłaszcza te: „Niech zstąpi duch Twój i odmieni oblicze ziemi, tej ziemi!”

Po tych słowach i wielu innych, tak ważnych, pięknych i potrzebnych nam jak chleb, poczuliśmy się lepsi ważniejsi, podnosiliśmy głowy i uśmiechaliśmy się do siebie. Uwierzylimy, że choć w sercach nosimy wiele ran

i blizn, damy radę wszystkim przeciwnościom i uczynimy nasze życie piękniejszym i lepszym. Przeżywaliśmy mocno każde papieskie kazanie, śledziliśmy każdy jego pielgrzymkowy krok.

Jana Pawła II pokochała młodzież. Podczas spotkania z młodymi ludźmi w Gnieźnie, mówiąc o wartościach tkwiących w historii i tradycji naszego narodu, papież zwrócił się do nich słowami: „Zachowajcie to dziedzictwo, pomnóżcie to dziedzictwo, przekazcie je następnym pokoleniom”. Już po kilku dniach te ważne słowa widniały napisane wielkimi literami na gazetce szkolnej w mojej pracowni.

Na następne pielgrzymki jeździliśmy tłumnie, czerpiąc z nich siłę i nadzieję: w 1983 i 1987 roku – do Krakowa, w 1987 – do Tarnowa, w 1991 – do Rzeszowa, w – 1997 do Krosna, w 1999 – do Starego Sącza. W każdym tym miejscu byli nasi nauczyciele i nasza młodzież. To był wyjątkowy, niezwykle czas!

Ewa Bieńkowska pisała: „Wtedy nikt nie widział nic podobnego: pokazane w telewizji tłumy oszalałe ze szczęścia, gigantyczne msze polowe [...], oniesmielenie przedstawicieli władzy, papież promieniejący radością, wygłaszający słowa pokrzepienia, które od początku brzmiały, jak słowa wyzwalające”.

Jakże przenikające duszę były np. nastroje 1983 roku, gdy na krakowskich Błoniach rozwijano zakazane transparenty „Solidarności”, gdy „wzrok się bławcił łzą wzruszenia” i chciało się wykrzyknąć wszystkie bóle i tragedie życia, całą bezsilność, beznadzieję i rozpacz, a równocześnie – słuchając słów nadziei, wiary i miłości – miało się poczucie wielkości tej chwili, tak boleśnie pięknej; rosła w nas jakąś wewnętrzna siła i spokój, jakaś radość i duma.

„Msza na Błoniach zapierała dech. Coś takiego można przeżyć tylko raz” – wspominał polarnik Marek Kamiński. Wszak – jak znów pisał Konstanty Ildefons Gałczyński – „Gdy wieje wiatr historii, ludziom jak ptakom rosłą skrzydła”...

I jeszcze pamiętne papieskie słowa na polach pod Tarnowem, gdzie staliśmy w dwumilionowym tłumie w jakichś zagonkach porzeczek, w głębokim błocie, a on rozglądał się długo w zupełnym milczeniu, a potem powiedział tak zwyczajnie, a przecież przejmująco, do głębi serc:

– Chciałem się na was napatrzeć...

I gdy tak patrzył, a potem przemawiał i sprawował mszę świętą [do której służył m.in. uczeń naszej szkoły Krzysiek Powróżek – absolwent z 1988 roku]], byliśmy przekonani, że uczestniczymy w czymś, co dotykało najczulszych strun w naszych sercach, co miało posmak cudu.

W 1991 roku śledziliśmy Światowe Dni Młodzieży w Częstochowie, w których masowo uczestniczyli również uczniowie naszego liceum. Zresztą nasza młodzież chętnie brała udział również w wakacyjnych pielgrzymkach do Częstochowy. W moich papierzyskach zachowała się karteczka przysłana z takiej pielgrzymki, napisana dowcipnie przez moje uczennice:

„Mottem naszej pielgrzymki jest: – Czy możemy u pani przenocować, bo jesteśmy tak głodne, że nie mamy gdzie spać.

Nurtują nas pytania, czy Piesza Tarnowska Pielgrzymka to:

1] przenośny piknik;

2] to, czym wszyscy myślą, że jest;

3] wędrowny salon kosmetyczny [sauna, „solar”, kąpiele błotne – w zależności od pogody – oraz siłownia; niezależnie od niczego].

Chcąc poznać odpowiedzi na te, nurtujące nas, pytania, wybrałyśmy się na pielgrzymi szlak. Spostrzeżenia były tak wstrząsające, że chyba zakończymy tę relację: Pozdrawiamy:

Dorota S. Dorota Z. Karolina P. Magda S.”

Pamiętam też jasny, pogodny, radosny dzień, gdy – będąc z młodzieżą na wycieczce w Rzymie – mogliśmy uczestniczyć w bezpośrednim spotkaniu z Janem Pawłem II.

Profesorka Teresa Czyżowska wspominała: „Ogromnym przeżyciem było dla nas uczestnictwo we mszy świętej odprawianej przez papieża -Polaka oraz publiczne powitanie nas – nauczycieli i młodzieży z Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy i gromkie oklaski tłumu zebranego na placu przed bazyliką. Po mszy cisnęliśmy się do barierek, by być bliżej przejeżdżającego naszego Papieża”.

A potem – smutna wiadomość o jego ciężkiej chorobie i śmierci, nasze modlitwy w kościołach, płonące znicze, flagi przepasane kirem przed budynkiem starostwa w pobliżu mojego domu, a wewnątrz kolejka do wpisywania kondolencji.

Stałam również w tłumie ludzi na rynku rodzinnego miasta papieża -Polaka w dzień jego pogrzebu, oglądając na ogromnym ekranie uroczystości żałobne w Watykanie. Gdy wicher, przewracający kartki Biblii, na koniec zamknął Świętą Księgę, z serc tysięcy ludzi wyrwało się łkanie. Czuliśmy, że dzieje się coś niezwykłego – tam w Rzymie i w nas.

Głośnie żądania „Santo subito!” – niosły nadzieję. To ona też sprawiła, że na Placu Solidarności w naszym mieście stanął monumentalny pomnik papieża-Polaka.

Jan Paweł II zawsze cenił nauczycieli i mówił o ich ważnej roli w wychowaniu i kształceniu młodych ludzi. Uważał, że „nauczyciel to nie tylko zawód, to powołanie i każdy musi się w tym powołaniu odnaleźć, nawet wówczas, gdy za swe poświęcenie nie może liczyć na uznanie i zrozumienie wielu ludzi”.

To ważne, ale i trudne dla nas słowa. Ale były też i inne. Papież-Polak powiedział kiedyś: „Nie zwieszaj głowy jak sitowie, ale bądź pogodny, jasny, radosny”.

O optymizm było łatwiej, gdyż byliśmy bardzo zgranym zespołem; spajał nas wzajemny szacunek i życzliwość. Przyjaźniliśmy się, pielęgnując nasze bliskie relacje, czyniące życie znośniejszym, bardziej ludzkim, pamiętając, że przyjaźń jest czymś delikatnym i kruchym jak porcelana.

To nieprawda, że „Przyjaciele to złodzieje czasu” – jak mówi przysłowie. W pokoju nauczycielskim zawsze znajdowaliśmy momencik na rozmowy, na uśmiech, dzieliliśmy się troskami i radościami, wspieraliśmy się w chwilach złych. To było wspaniałe miejsce; mające swój klimat, swą atmosferę, swój urok. To była przestrzeń sprzyjająca odpoczynkowi, stanowiąca przeciwwagę dla naszych pracowni, gdzie każdy nasz gest, każde słowo były obserwowane przez wiele oczu, to centrum naszych posiedzeń, jednoczące nas i relaksujące, gdzie powaga mieszała się z radością, melancholia z żartem, a smutek z żywiołowością. Tu mogliśmy spożyć jakiś „szybkogryz” przyniesiony z domu, podzielić się uwagą, sercem, dobrem.

Nasze „zasiedzenia” przy stole – zwanym też czasami „gadulnikiem” – dotyczyły różnych spraw. Panowie zawsze interesowali się sportem, zwłaszcza w czasie największych sukcesów drużyny piłkarskiej Kazimierza Górskiego, siatkarzy Huberta Wagnera, czy skoczków narciarskich z Adamem Małyszem na czele, a także polityką, motoryzacją, później też komputerami, czy nowymi technologiami. Panie raczej interesował świat kultury, sztuki, moda, no i – oczywiście – życie codzienne: dzieci, dom, kuchnia, ale też to, co działo się wokół nas i gdzieś w szerokim świecie.

Przeżywałyśmy filmy z piękną Marylin Monroe: „Mężczyźni wolą blondynki”, „Pół żartem i pół serio”, „Jak poślubić milionera”, „Księżę i aktoreczka”, „Niagara” czy „Rzeka bez powrotu”, oglądałyśmy festiwale w Opolu i Sopocie, tańce na lodzie i różne programy rozrywkowe w telewizji – początkowo czarno-białej. Zachwycaliśmy się niezwykłym talentem Wioletty Willas, która robiła zagraniczną karierę. Ponoć, gdy w 1966 roku śpiewała w paryskiej Olimpii, drżały żyrandole, a potem Ameryka padła u jej stóp. Podziwialiśmy niezwykle piękne, łagodne głosy Jerzego Po-

łomskiego, Ireny Santor, Sławy Przybylskiej. Całe rodziny zasiadały przed ekranem, by oglądać „Tele-Echo” z uroczą Ireną Dziedzic, która przenosiła nas na chwilę do piękniejszego, wykwintniejszego, bardziej eleganckiego świata, czy śledzić pojawiające się teleturnieje; najpierw „Wielką Grę” prowadzoną przez Stanisławę Ryster, potem „Miliard w Rozumie” z Januszem Weissem czy „Koło Fortuny” z Wojciechem Pijanowskim”.

W kolorowych czasopismach śledziłyśmy modne fryzury i ciuszki, bo przecież moda to „dzieje ludzkiego poszukiwania piękna”. Roma Ligocka pisała, że „nie warto z nią walczyć, nie warto udawać, że nią gardzimy. Nie warto, gdyż posiada magiczną wprost moc. Lubi być nazywana królową, ale nigdy nie zmusza nas, abyśmy byli jej poddanymi”.

„Polowałyśmy” w „Konsumach milicyjnych” na swetry-bliźniaki, w których szpanowała Beata Tyszkiewicz, na ciekawe kaszmiry czy kolorową włóczkę. Owe „Konsumy” – usytuowane obok poczty – były sklepem, w którym zaopatrywały się rodziny milicjantów. Ale czasem można było tam kupić jakieś nadwyżki towarów, które gdzie indziej były niedostępne. Niekiedy też w sklepie jubilerskim przy rynku udało się wypatrzeć niezbyt drogie koraliki z czeskiego „Jablonexu” lub jakieś inne ozdóbki ożywiające nasze sukienki.

Później, gdy rozwinęła się „turystyka handlowa” [tylko dla odważnych, nie bojących się ryzyka!], pojawiły się na bazarku szalenie modne włoskie ortaliony, tureckie wzorzyste swetry, dżinsowe spodnie i bluzy, greckie futra karakułowe – lekkie i miękkie, indyjskie barwne suknie czy niemieckie buty. Ze Związku Radzieckiego przywozono posrebrzane sztucce, bawełniane prześcieradła, a przede wszystkim – złote precjoza.

Pewnego razu, wracając pociągiem z Tarnowa usiadłam obok eleganckiej pani, która opowiadała o swej turystyce handlowej do ZSRR. W pewnym momencie otworzyła dużą torebkę po brzegi wypełnioną złotymi ozdobami, oferując mi którąś z nich. Zapytałam, jak udaje się jej przekraczać granicę z takim towarem, a ona odparła, że zawsze na wierzchu walizki ma jakiś złoty drobiazg, którym obdarowuje celnika. Wtedy ten nie szuka już niczego. Bardzo żałowałam, że w portfelu miałam tylko parę groszy.

Czasem mieliśmy dość narzekania na trudy naszego zawodu, na kłopoty wychowawcze, na programy, podręczniki, reformy oświatowe, na szefów, na cały świat. Pragnęliśmy „jak kania dżdżu” jakiejs odmiany, zabawy, kropli szaleństwa. Wszak już starożytni twierdzili, że człowiek to nie tylko „homo faber”, ale też „homo ludens”, więc trochę zabawy trzeba dodawać do wszystkiego, co się robi; tak, jak to jest z przyprawami potraw.

Urządzaliśmy więc różne imprezy, spotkania w gronie przyjaciół czy sylwestrowe prywatki. To w czasie jednej z takich prywatek postanowiliśmy wspólnie obejrzeć film. W telewizji bardzo rzadko wyświetlano filmy zagraniczne; no chyba, że radzieckie tasiemce o zasiedlaniu Syberii czy o perypetiach kolchoźników, których tematykę określaliśmy ironicznie: „Wania orze na traktorze”, albo czechosłowackie dramaty psychologiczne, których nudną jak flaki z olejem i poplątaną akcją wyrażało znów powiedzenie: „Jak w czeskim filmie: nikt nie wie, o co chodzi”.

Nie było też prawie żadnych filmów o jakimś ciekawym wątku erotycznym, bo „socjalizm bał się seksualności. Do Polski nie można było wwozić broni, narkotyków i pism erotycznych”. Cenzura była bardzo surowa. Na porządku dziennym oglądaliśmy więc filmy o socjalistycznych budowach, o ludziach dobrej roboty albo o takich z marginesu społecznego. Zdarzały się też filmowe „niestrawialne” eksperymenty, jak „Polowanie na muchy” Wajdy czy „Za ścianą” Zanussiego.

Pamiętam. Pewnego roku spotkaliśmy się w gronie kolegów i koleżanek na prywatce sylwestrowej. No, cóż, „komu dzwonią lat południe, niech się spieszy użyć wczasu” – jak twierdziła Radczyni w „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego.

Było pięknie i uroczyście; my w złocie, w złamanych bielach, białych seledynach i słodkich różach, panowie w ciemnych garniturach, eleganckich krawatach, z błyszczącymi spinkami przy mankietach koszul.

Atrakcją wieczoru miało być właśnie oglądanie filmu z wątkiem erotycznym, który wyświetlała w ten wyjątkowy dzień nasza biedniutka telewizja. Jeden z kolegów zapewniał, że na pewno będą tam „momenty”, co było tak rzadkie jak w ostatnich latach śnieg.

O określonej godzinie przerwaliśmy więc zabawę i zasiedliśmy przed ekranikiem naszego radzieckiego telewizora, choć w adapterze czekała przygotowana płyta z nastrojowymi tangami, a na stole – okrytym białym obrusem pracowicie wyhaftowanym w kolorowe róże, wykrochmalonym i wyprasowanym „do kantu” – pyszniły się pracowicie sfabrykowane kanapki, które coraz bardziej namakały od kiszonych ogórków.

Akcja filmu była strasznie nudna, ślimaczyła się okropnie, a my – zniecierpliwieni – czekaliśmy na te „momenty”, coraz częściej zgłaszając pretensje do kolegi, wciąż zapewnającego, że na pewno, że już zaraz, za chwilę, za minutkę. I tak siedzieliśmy marnotrawiąc czas, aż do napisu: „Koniec filmu”. Potem jeszcze długo kpiliśmy z owego kolegi, pytając przy każdej okazji: – Jak tam, „momenty” były?

Zabawa wkrótce zaczęła się na nowo, na stole pojawiły się szklaneczki z Calvadosem kupionym w Pewexie; nie tak dla dobrego smaku, jak dla romantycznej nazwy – „Złota jesień”. Melodia tanga „La cumparsita” płynąca z nastawionej w adapterze winylowej płyty porwała nas do tańca, by szybko zmienić rytm i rozszaleć się twistem o rosyjskiej podniebnej miss – Walentynie Tierieszkowej, tak żywiołowym, że zagrożone były obrazy na ścianach i kieliszki na stołach, a zdobny pajak z kolorowej bibułki, zawieszony pod sufitem, girlandy zrobione z krepiny i kolorowe baloniki zawirowały gwałtownie w takt muzyki. Wiadomo: taniec leczy ciało i duszę, tworzy cudowny nastrój, wzmacnia witalność i optymizm. Tak bardzo nam tego było trzeba!

Śledziliśmy zegar, czekając, aż wybije północną godzinę. Bo chociaż co noc wskazówki zegara spotykały się w tym miejscu, to tradycja nadawała tej właśnie, jedynej w roku chwili nadzwyczajny, magiczny charakter. Wszak odchodziło stare, a nadchodziło nowe, corocznie opromienione nadzieją. Telewizyjny chór śpiewał:

„Przynies polom Nowy Roku bujny plon,
A fabrykom węgla, rudy wiele ton,
Przynies miastom nowe domy, rzece most,
Wszystkim szczęścia,
jak najwięcej dni bez trosk”.

O północy życzenia „Szczęśliwego Nowego Roku” złożyła nam sympatyczna Edyta Wojtczak, pełniąca w tę noc w TV dyżur wraz z Janem Suzinem, a zaraz potem było oczywiście gruzińskie „szampanskoje” rozlane do wysokich kieliszków. Uwolnione z butelki musujące bąbelki wytrysnęły tryumfalnie w górę. Wypijaliśmy „do czysta”, a potem śpiewaliśmy, a głosy niosły się daleko w tę cudną noc. „Ech, ta chata rozśpiewana!”

Czarne płyty nakładane na obracający się talerz wypływały coraz to nowe przeboje. Po uściskach i życzeniach: „Obyśmy tylko zdrowi byli”, „Żeby nam się chciało chcieć”, „Żeby ten rok był lepszy od poprzedniego” – były obowiązkowe przytulanki „na niedźwiadka”, siarczyste całusy i posypywanie głów krążkami confetti zrobionymi dziurkaczem z kolorowego papieru dzieci. I zaraz bieглиśmy na balkon, by obejrzeć fajerwerki, które rozbłysły gdzieś nad stadionem „Wisłoki”, a białe płatki śniegu osiadały na naszych twarzach. Na moment zimowe niebo rozbłysło setkami świateł; czerwone, białe, zielone, żółte kule pędziły w górę, a osiągnąwszy najwyż-

szy punkt, rozpadały się z wielkim hukiem na setki maleńkich ognistych punkcików, które opadały jak liście, tworząc pełną barw, świetlistą drogę. Były naprawdę piękne, więc biliśmy brawo i wiwatowaliśmy po każdym wybuchu petard, a za chwilę żałowaliśmy, że tak szybko gasły i znów ciemność ogarniała świat.

Jest taki śliczny obraz amerykańskiego malarza Whistlera Jamesa „Nokturn” jeszcze z 1877 roku, przedstawiający niezwykłą, czarowną atmosferę takiej właśnie chwili, gdy niebem władają ognie fajerwerków. W nowatorski sposób, trochę zapowiadający styl impresjonizmu, artysta wyraził niezwykłość tego zjawiska. Na czarnym tle nieba rozkwitają cudne blaski w czerwieni i złocie, rozświetlające tajemnicze zarysy jakichś budowli, drzew, postaci. Oburzano się na autora, że „chlusnął puszkę farby w twarz widza”, ale ta śmiała technika właśnie czyni dzieło artysty wyjątkowym. Ten obraz zawsze przypomina mi tamtą noc.

Zmarznięci, wracaliśmy szybko do ciepłego pokoju, aż ciemnego od papierosowego dymu. Bo – oczywiście – prawie wszyscy palili; z konieczności, ale i dla szpanu.

W radiu nastawionym na stację „Luxembourg” rozległy się modne melodie „La paloma blanca”, „Ramaja”, „Dżamajka” więc nuciliśmy w takt melodii, a potem znów ruszaliśmy w tany. Papierosowy dym, confetti i ta noc wirowały wraz z nami.

Zabawy sylwestrowe były w PRL-u bardzo popularne. Prócz prywatek urządzanych w domu, organizowano bale w zakładach pracy i w różnych lokalach. Jak donosiła prasa w roku 1970 „Polacy witali Nowy Rok na 700 balach”. Komentowano toalety pań, modne fryzury, „wyszukane” potrawy i popisy znanych wykonawców przebojów, uświetniających te imprezy.

Z pompą czciliśmy też Dzień Nauczyciela – początkowo 15 listopada; najczęściej w słotny, szary, melancholijny, zimny dzień późnej jesieni, a później jako Dzień Edukacji Narodowej – 14 października, gdy dopiero „mimozami jesień się zaczynała, złotawa, krucha i miła”.

Oprócz szkolnych i miejskich akademii połączonych z wręczaniem nagród zasłużonym pedagogom, bardzo popularne były zabawy nauczycielskie, organizowane w dębickich lokalach, a nawet w jednostce wojskowej. Chcieliśmy na nich wyglądać pięknie i modnie. Zwłaszcza panie przywiązywały do tej sprawy dużą wagę.

Najpierw wybierałyśmy się do fryzjera. Zakładów fryzjerskich było w Dębicy tyle, co kot napłakał, więc kolejki zawsze były bardzo długie. Choć najczęściej maleńkie i ubogo wyposażone, zaczęto je szumnie na-

zywać „salonami”. Czekając w „ogonku” przyglądałyśmy się, jak powstają modne fryzury: na pazia, na boba, na mokrą Włoszkę czy inne, które nie miały swej nazwy, ale były wytworem wybujałej wyobraźni pań fryzjerek.

Klientce, siedzącej pod foliowym czepek, parowała z głowy jakaś mikstura, która z brunetki robiła blondynkę, obok siwa pani farbowała się na rudo, pod suszarkami wyglądającymi jak kosmiczne kaski suszyły się głowy zakręcone na zmyślne wałki, a przed lustrem rodziły się fantazyjne uczesania napuszone tapirem, lśniące od brokatu utrwalonego mocnym lakierem w sprayu, który swym zapachem wypełniał całą, niewielką przecież przestrzeń. To on zapewniał trwałość fryzurom, które zachowywały swój kształt nawet podczas szalonych tańców do białego rana.

Były też wesela rodzinne, które poprzedzały zazwyczaj dwa śluby: cywilny i kościelny. W dzisiejszej „Wiluszówce”, która udawała „pałac ślubów”, zbierali się najbliżsi pary młodej: świadkowie, rodzice, rodzeństwo, zaprzyjaźnieni koledzy. Pani urzędniczka w wytapirowanej modnie fryzurze prezentowała się godnie na tle wielkiego, białego orła; oczywiście bez korony – ubrana w czarną suknię, z ciężkim, złożonym łańcuchem na piersi. Potem było uroczyste przyrzeczenie: „Świadomy praw i obowiązków...”, obrączki, życzenia, „Marsz Mendelсона” z winylowej płyty.

Ale prawdziwy ślub odbywał się dopiero w kościele, w czasie uroczystej mszy świętej, w blasku kandelabrow, z organami i chmarą gości, którzy z radością i troską śpiewali „Ojcze na niebie Ty im błogosław, ratuj w potrzebie i broń od zguby...”, a później, na schodach kościoła sypali ryż i drobniki – na szczęście. Następnie – pogadując – ustawiali się w kolejce, by złożyć Młodym życzenia i wręczyć prezent, zdobyty z trudem, ale ofiarowywany z radością.

A potem w wynajętym lokalu można było zapomnieć o kolejkach, o kartkach na cukier, o biedzie, o jutrzejszym, szarym dniu. Stoły ugięły się od pyszności; przydziałowy alkohol – przysługujący parom zawierającym małżeństwo – smakował tylko mężczyznom; kobiety sęczyły gęste, złociste wino pachnące owocowo, o którym Kornel Makuszyński pisał, że to nic innego jak „zabutelkowane słońce”. Były „tańce, hulanki, swawole...” Wszystkim dopisywały humory i apetyt. I wszyscy wyglądali pięknie i uroczyście.

Nasze okazjonalne, „wyjściowe” suknie, szyte na miarę, zmieniały się wraz z modą. Czerń królowała zawsze. Czasem ozdabiana była cekinami, błyszczącymi dżetami, lśniącą tasiemką czy złotym sznurkiem. Od początku lat siedemdziesiątych zaczęła się pojawiać moda „mini”; jeszcze nieśmiała, jeszcze nie tak odważna jak później, zainspirowana sukienkami

światowej ikony mody lat 60. – Twiggy, co znaczyło „gałązka”. Też chcieliśmy być jak gałązka – szczupłutkie i wiotkie, ale nie byliśmy tak śmiałe, by nosić „mini”; wszak tytuły profesorek zobowiązywały do powagi i dostojności. Dlatego bardziej popularne były dosyć długie, kolorowe, zwiewne sukienki, zainspirowane modą „dzieci-kwiatów” – preferujące naturalność, barwność, lekkość i swobodę. Nosiłyśmy do tych sukienek buty na koturnach i drewniane ozdoby: korale, wisiorki, bransoletki. Potem nową modę wykreowały bohaterki szaleńcze popularnego w latach 70. telewizyjnego „tasiemca” amerykańskiej produkcji – „Dynastii”. Kobiety zaczęły nosić plisowane spódnice „solejki”, trochę kiczowate, wymyślne garsonki i sukienki; królowały falbanki, szerokie, utwardzone ramiona, złoto, brokat, aksamit, welur, krzykliwa biżuteria. W pewnym momencie wielką karierę zrobił niemnący się, lejący lureks, który miał ponoć służyć spontanicznej domowej produkcji flag i transparentów, ale został wykorzystany do szycia modnych sukienek i bluzeczek, podkreślających figurę. Dostępny był głównie w kolorach; białym i czerwonym, ale można go było farbować, co skrzętnie wykorzystywano. Mężczyźni mniej kierowali się trendami w modzie, ale i oni niekiedy szpanowali kolorowymi koszulami, odważnymi krawatami, „paradnymi” garniturami z bistoru, które można było prać w pralce, czy „dzwonami”, czyli spodniami z rozszerzającymi się na dole nogawkami. Ale zupełne szaleństwo ogarnęło panów, gdy pojawiły się białe koszule „non iron” – niemnące się, ale – niestety – nieprzepuszczalne, stąd okrutnie „potliwe”, szczególnie gdy grzało gorące słońce.

Ciuszki najczęściej szyły krawcowe, bo w sklepach trudno było cokolwiek ładnego znaleźć. Czasem w Rzeszowie lub w Tarnowie udawało się „upolować” coś modnego w renomowanych sklepach „Telimeny”, lub „Mody Polskiej” – z charakterystycznym logo w kształcie jaskółki. Najczęściej były to tzw. „odrzuć z eksportu”, choć i tak nieczęsto było nas stać, by z nauczycielskiej pensji wykroić potrzebną na taki ciuszek sumkę.

Po modne ubiory wybieraliśmy się więc nawet do Warszawy, bo przecież: „wiadoma rzecz: stolica! I każde słowo zbędne i w ogóle i w szczególności i pod każdym innym względem” – jak śpiewał Jarema Stępowski.

Najpierw jechało się nocnym pociągami; często na stojąco, w ścisku, by rankiem – gdy ustępowała gęsta zasłona porannej mgły, odsłaniając to miasto nadziei – wysiąść na Dworcu Centralnym i po przejściu obok Pałacu Kultury i Nauki znaleźć się w Domach Towarowych „Centrum”, gdzie w „Sawie”, na drugim piętrze, kupowało się śliczne tkaniny, a potem schodziło się na pierwsze piętro do „Juniora”, gdzie było stoisko „Hofflandu”.

Nietrudno go było dostrzec. Już od rana ustawiały się tam tasiemcowe kolejki, ale zakupione ciuchy z wielkim firmowym napisem były powodem dumy i wynagradzały wszystkie trudy.

Autorka najmodniejszych kolekcji – Barbara Hoff, która lansowała najnowszą modę, podglądając u zachodnich kreatorów, z dumą mówiła: „Nie ma żurnali, nie ma materiałów, nie ma nastroju, a my dalej chodzimy modnie ubrani. I tyle”.

Potem jeszcze szło się do stojącego nieopodal domu towarowego dla dzieci „Smyk” – dawnego CDT [owego pierwszego po wojnie prawdziwego domu towarowego w Warszawie, który w zamyśle architektów miał być realizacją marzeń Żeromskiego o „szklanych domach”]. I znów małe „truchtancko” na wieczorny pociąg, który wiozł nas przez noc do domów, by rano można było zerwać się do swoich codziennych obowiązków i zdążyć do pracy.

Równie wyczerpujące, ale też owocne były wyprawy do Łodzi. Pewnego razu, stojąc w długaśnej kolejce po piękne, ręcznie malowane spódnice, które niepokojąco szybko znikwały z niewielkiego stoiska w łódzkim domu towarowym, nawiązałyśmy rozmowę z miłymi paniami, czekającymi wraz z nami po te „cud-spódnice”. Biorąc nas za łodzianki, strasznie utyskiwały na „tę całą plagę”, która codziennie przyjeżdża z całej Polski, więc miejscowym trudno coś kupić. Przytakiwałyśmy tchórzliwie, nie przyznając się, że my też należymy do „tej całej plagi” i chytrze ukrywałyśmy za torebkami nasze reklamówki, na których dumnie przeżył się wielki napis, pozwalający nas łatwo zdemaskować – WUCH Dębica.

Nasi bliscy dziwili się, że dla „kawałka szmatki” można tak się męczyć. No cóż, „z dziewczynami nigdy nie wie, oj nie wie się ...”

Zawsze też „polowało się” na modne buty: szpileczki, czółenka „na klocku”, kaczuszki, kozaczki z kolorowej skóry czy grube platformy.

Nawet w czasach największego kryzysu, gdy na półkach królowały tylko musztarda i ocet, kobiety umiały sobie radzić, choć wymagało to nie lada kombinacji i poświęceń. Całe wieczory dziergało się swetry z kolorowej włóczki, wyczarowywało spódnice z babcinej chustki „tybetówki” czy modną „bananówkę” – wylansowaną przez Marylę Rodowicz, szytą z resztek materiału, żakiet ze starej atlasowej kapy na łóżko, czy bluzeczkę w ciekawe „plamy”, uszytą z pieluchowej tetry. Ową tetrę najpierw wiązało się w kilku miejscach tworząc grube supły, potem się ją wkładało do farby, by po wysuszeniu i rozwiązaniu owych supłów, uzyskać efekt nieregularnych, „artystycznych” plam, nadających naszym bluzeczkom oryginalny wygląd. Haftowałyśmy też na ciuszkach różne wzorki muliną lub

atłaskiem, by wyglądać modnie i ciekawie. Oczywiście, należało pamiętać, co przystoi paniom profesorkom; jak wyglądać elegancko, ale też godnie i trochę nobliwie. Żadna z nas nie pozwalała sobie na zbytnią ekstrawagancję: nie nosiłyśmy dużych dekoltów, zbyt frywolnych sukienek, czy spódnic odsłaniających kolana. Dlatego wielkim szokiem było to, gdy młodziutkie profesorki zaczęły nosić spódniczki „mini”.

W pewnym okresie świat ogarnęło szaleństwo „dżinsowe”, więc każdy marzył o tych modnych, amerykańskich spodniach. Ponieważ niełatwo je było zdobyć, próbowaliśmy upodobnić do markowych „Riflów” nasze polskie „podróbki” zwane „teksasami”, szyte w Szczecińskich Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Odra” – bawełniane, z dodatkiem sztucznego włókna zwanego „arizona”; wytrzymałe, mocne, wprost „pancerne”. Niestety, nie miały krzty wdzięku. Przeszywało się je więc zwężając nogawki, zmiękczało i nadawało wygląd „dżinsowaty” przez moczenie i drapanie pumeksem. Wyniki były najczęściej mizerne, więc w końcu decydowało się na duży wydatek w Peweksie.

Panowie dłużej niż panie opierali się modzie na „wycieruchy”, za to oszaleli na punkcie włoskich ortalionowych płaszczy. Nosili je namiętnie – wszędzie, przy każdej pogodzie; wymięci i dziwacznie szeleszczący.

Wielu z nas przyjaźniło się i odwiedzało w domach. Gawędziliśmy przy herbacie, poskubując domowej roboty sernik czy biszkopt, ale czasami też organizowaliśmy bardziej uroczyste spotkania towarzyskie czy prywatki, na które przygotowywaliśmy skromne menu. Najczęściej były to stosy kanapek ułożonych na wielkim półmisku z urobionym twarożkiem, kawałkiem wędliny, jajkiem, kiszonym ogórkiem i kapką majonezu, a także marynowane własnoręcznie grzybki zebrane jesienią, nóżki w galarecie, śledzie ze śmietaną i z cebulką, bigos, sałatka jarzynowa – tradycyjna, z gotowanych warzyw: marchewki, pietruszki selera, z dodatkiem zielonego groszku z puszki, gotowanego jajka i kiszzonego ogórka [nazywana przez niektórych „kaczym żerem”]. Bywały też jajka w majonezie, sos tatarski, a do tego jakaś „zdobyczna” wędlina – ułożona starannie, z fantazją i ozdobiona gałązką pietruszki. Na gorąco podawaliśmy barszcz czerwony, gulasz lub bigos, a do picia jakieś gruzińskie wino, oranżadę w zmyślnie zamykanych butelkach i wodę sodową z syfonu. Wszystko wszystkim smakowało. Nikt nie grymasił i posiliwszy się przy stoliku ruszał w tany. Czasami udało się nawet kupić złotawe pomarańcze z delikatną, trochę chropowatą skórą, które pięknie prezentowały się w szklanym kloszu.

Królowały różne modne melodie: „Kwiaty we włosach”, „Takie ładne oczy”, „Kazaczok”, „Kalinka”, „Jarzębina czerwona”. Puszczaliśmy płyty „Czerwonych Gitar” z Sewerynem Krajewskim, pojawiał się rock and roll, twist, później lambada i samba. Jak dzieci tańczyliśmy śmieszne „Kaczuszki”, organizowaliśmy różne quizy i konkursy, np. na najśmieszniejszy dowcip. Stroje były odświeżone ale swobodne; można było tańczyć nawet w letniej sukience i kozakach.

Na prawdziwych balach było bardziej „światowo”. Pojawiał się taniec kotyliowy, odbijany, białe tango, gdy to panie proszą panów, różnego rodzaju kółeczka i korowody. Roilo się od odsłoniętych ramion, gołych pleców, szeleszczących taftą sukien, eleganckich krawatów, przesiąkniętych naftaliną garniturów i aż rażących bielą „nonairowych” koszul. Tak było podczas pamiętnej zabawy nauczycielskiej w „Magnolii”; lokalu usytuowanym na osiedlu „stomilowskim” [dziś już nie istniejącym]. Wówczas wszędzie królował „kozaczok”, ochoczo tańczony przez wszystkie panie i panów.

Wracaliśmy całą grupą przez park: zmęczeni, trochę śpiący, ale zadowoleni.

„A potem znowu codzienności kurz”... W poniedziałek musieliśmy znów być „zwarci i gotowi”.

Rano, jak zwykle pośpiech, by przygotować do wyjścia dzieci, załatwić najpilniejsze sprawy domowe i ruszyć do szkoły. Szybko, szybko...

Ospały dzień dopiero się budzi, z opadającej mgły wyłania się świat skąpany nocnym deszczem. Liście drzew są aż ciężkie od napęczniałych kropli. Biegąc obok klasztoru, macham ręką mężowi, który – stojąc wysoko na rusztowaniu – pomaga w tynkowaniu jego murów. Przede mną trzech chłopców, pewnie pierwszoklasistów, dźwiga ciężkie, nowoczesne plecaki. Głośno dyskutują, nie zważając na to, co dzieje się dokoła. Dwaj więksi chwalą się wspomnieniami z wakacji; wymieniają Grecję, Chorwację, Węgry, wspaniałe przygody i niezapomniane widoki. Najmłodszy – chudziutki, skromnie ubrany, zapewne spędzający wakacje w domu – milczy wyraźnie strapiiony, ze smutkiem w oczach. Aż nagle wykrzykuje:

– A w Woli Rzędzińskiej byliście? Mówię wam, jak w Woli Rzędzińskiej jest fajnie!

Skonfundowani koledzy milkną. Nie byli tam, nic o tym miejscu nie wiedzą. Więc mały triumfuje!

Warto było obserwować tę scenę, choć groziło to spóźnieniem do pracy. Zaczęłam więc prawie biec, uśmiechając się do siebie. Tę cudną historijkę natychmiast opowiedziałam w pokoju nauczycielskim. Odtąd pyta-

nie: – „A w Woli Rzędzińskiej byłeś?” – stało się naszą powszechną reakcją na przechwałki o zagranicznych wojażach.

Zawsze cieszyło nas to, gdy po wyczerpującym dniu czekał nas przytulny dom, ulubione książki, kompot z truskawek pachnący latem i dzieci – zdrowe, chętne do przytulania, do rozmów i wspólnych zabaw. Bo byliśmy przede wszystkim rodzicami i na pierwszym planie stawialiśmy dobro naszych pociech, choć tak często brakowało czasu, siły i możliwości, by ofiarować im wszystko, co tylko było możliwe. Obserwowały naszą pracę, zaangażowanie, nasz codzienny wysiłek i były nieświadomymi uczestnikami naszego szkolnego życia. Często bawiły się w szkołę.

– W co się bawicie?

– W szkołę. My jesteście nauczycielkami, a Maciek dyrektorem.

– Dlaczego on?

– No, bo nauczyciele muszą umieć czytać i pisać, a on jeszcze nie zna literek.

– Mamo, ale ja tak naprawdę to nie chcę być nauczycielką.

– Dlaczego?

– Bo byłabym wredna.

Ciągle na przerwach opowiadaliśmy o tych naszych milusińskich, codziennie wprawiających nas w zdumienie. – O, Piotruś! Mój kawalerek! Kupię mu na urodziny autko z dźwigiem z przodu i z tyłu.

– A skąd weźmiesz pieniądze?

– Z szuflady wyjmę, jak tata.

A mnie mój maluch pytał, gdy zmywałam makijaż: – Mamo, dlaczego się tak polerujesz?

A moja pociecha cały wieczór kazała mi śpiewać: – Mamo, zaśpiewaj o nudnie. – O jakim nudnie? Nie mogłam się połapać. – No to: „Bo chociaż nudnie [nut nie] znamy wcale...”

A u nas wczoraj byli goście. Córką uderzyła koleżankę, więc zażądałam, by ją natychmiast przeprosiła. Trochę się boczyła, ale wreszcie podeszła i podała jej rękę.

– Przepraszam – bąknęła i zaraz dodała: – ty świnió.

A my poszliśmy do moich rodziców. I córka pyta: – Dziadziu, czemu tak sapiesz jak lokomotywa?

Wciąż opowiadaliśmy nowe anegdotki, budzące śmiech i tak pięknie ubarwiające codzienną szarość. Wiadomo, najlepsze lekarstwo na wszystko to śmiech i sen. Niestety, tego drugiego niekiedy brakowało...

Czasami zdarzało się jakieś leniwe popołudnie czy wieczór – wypełnione ulubioną muzyką. Zagnieżdżając się w wygodnym fotelu, braliśmy do ręki dawno kupioną, czekającą na swój czas książkę i słuchaliśmy pięknych utworów muzycznych: Vivaldiego, Schuberta, Chopina, Szymanowskiego. „Wszak muzyka – jak mówił właśnie Karol Szymanowski – to żywioł abstrakcyjny i transcendentny, działający w sposób najbardziej bezpośredni na wrażliwość człowieka i stwarzający niezwykłą atmosferę”.

Władza ludowa miała swoje sposoby na ubarwienie nam życia, np. ogłaszając świętowanie Międzynarodowego Dnia Kobiet. W Polsce po raz pierwszy obchodzono go w 1924 roku i był traktowany raczej jako wymysł i dziwactwo feministek, a dopiero w czasach PRL-u święcił największe tryumfy.

Rządzący traktowali to święto bardzo poważnie. Koniecznie należało je czcić, jako przejaw nowej, świeckiej tradycji. W tym dniu miałyśmy obowiązek czuć się prawdziwymi kobietami. Byłoby to nawet miłe; niestety, wprowadzono również modę na podejmowanie z tej okazji czynów społecznych, czyli nakładanie na nas dodatkowych zadań, jakby bycie kobietą było też trochę winą.

My, polonistki, musiałyśmy – oczywiście – przygotowywać uroczystości czczące nas w tym dniu. Ale nie narzekałyśmy. Takie to były czasy i zwyczaje [„O tempora, o mores”! – powiedziałyby profesorka Oleńska].

W starych papierzykach zachował się nawet jakiś scenariusz, który pewnego roku ułożyłam na tę okazję i według którego organizowałam – po lekcjach oczywiście – próby, a potem samą uroczystość. Mogłam być nawet dumna, gdyż widzowie zasiadający w odświętnie udekorowanej auli: dyrekcja, profesorzy, uczniowie wybranych klas – śmiali się serdecznie. Pamiętam, gdy jeden z uczniów, w świetnie odegranej scenie kabaretowej, przekonywał – naśladując fenomenalnie miny i gesty Wiesława Gołasa z „Kabaretu Starszych Panów”:

„Nie jestem łatwy,
Mnie już mama nauczyła się szanować,
Nie jestem łatwy,
Mnie jest trudno nawet w buzię pocałować,
Nie jestem łatwy
I wystrzegam się przygodnych znajomości,
Nie jestem łatwy, u mnie trzeba długo prosić,
Długo prosić,
Długo prosić
O okruszek mej miłości”.

Po akademii była herbatka i ciastko w pokoju nauczycielskim, ufundowane przez Komitet Rodzicielski. Lubiliśmy się, więc okazja wspólnego poczęstunku była czymś bardzo miłym i sympatycznym. A herbata – oczywiście sypana i oczywiście w szklance, która tkwiła w plastikowym lub metalowym koszyczku z uszkiem.

Picie ze szklanki to był rosyjski zwyczaj, ale zadowolił się u nas na dobre. Często do zagotowania wody na herbatę służyła też rosyjska grzałka w kształcie metalowej spirali wkładanej bezpośrednio do szklanki i podłączanej do prądu. Woda szybko stawała się wrzątkiem, więc masowo kupowaliśmy te „ustrojstwa” od Rosjan, handlujących na dębickim bazarku. W czasie szkolnej wycieczki po Zachodniej Europie taka moja grzałka, a właściwie monstrualnie wielka „grzała”, przeznaczona do zagotowania większej ilości wody, wysadziła korki w całym schronisku. Holenderska sieć elektryczna, niestety, nie wytrzymała jej mocy.

W Dniu Kobiet zawsze było miło. Szliśmy do pracy odświętnie wystrójone „po ten kwiat, po ten kwiat czerwony, skoro przyszedł na to czas”. Panowie też przychodzili elegancko ubrani, a lekcje najczęściej prowadzili uczniowie, pozwalając nam siedzieć sobie przy biurku i wypoczywać. Oni też odświętni, uśmiechnięci, zadowoleni, że w tym dniu nie będą pytani.

Na koniec „obchodów” zwieńczonych herbatką, podpisywałyśmy odbiór goździka i rajstop, i pośpiesznie opuszczałyśmy szkołę, bo po drodze do domu trzeba było zrobić zakupy.

Ulice pełne były spieszących pań; jak my z „obowiązkowym” goździkiem w rękę i siatką z wiktuałami, bo w domu wszyscy czekali na bardziej wystawny w tym dniu obiad. Można też było zobaczyć mężczyzn z kwiatkiem w rękę, co w inne dni było widokiem niezmiernie rzadkim; wielu z nich było już po rozpoczęciu świętowania, a niektórzy nawet zdecydowanie po jego zakończeniu. Bo wielu panów traktowało ten dzień jako okazję do balowania. Ale nasi szkolni koledzy grzecznie zdążyli do domów, gdzie na pewno pozwalali swym żonom odpoczywać, przejmując ich obowiązki.

Wstępuję po drodze do „starej apteki” przy ulicy Krakowskiej – cichszej i bardziej pustej, odkąd oddano do użytku obwodnicę, kierując ruch samochodowy na obrzeża miasta. Marzec ślimaczy się deszczami i chłodem, więc trzeba koniecznie kupić jakieś leki przeciwko przeziębieniom, katarom i kaszłom. Kolejka wije się długąsnym węzłem. Sprzedają nawet ligninę. Co za frajda!

Zdecydowana większość klientów to kobiety z zakupami; niektóre poprawiają „zmęczone” kwiatki, trzymane w ręce wraz z siatkami, któraś coś

mówi głośnym szeptem. Natychmiast elegancka pani magister rzuca jej gniewne spojrzenie i upomina groźnie: – Nie widzi pani tabliczki, że w ap-tece obowiązuje cisza? Tu się pracuje!

Kobieta milknie zawstydzona. Znow zapada cisza, zakłócona tylko niekiedy czymś kasznięciem, czy pociąganiem nosem.

Myślę: – Gdyby tak w klasie zawiesić taką tabliczkę o obowiązującej ciszy! Bo tam się przecież też pracuje! I uśmiecham się do tego głupiego, nierealnego pomysłu.

Gdy wreszcie wychodzę z lekami w torebce, jest późno. Na placu handlowym nazwanym górnolotnie „Manhattanem” handlarze pakują towar i zamykają swe kramy. Jeszcze na „Piaskach” goni mnie głośna melodia z adapteru: „Mój jest ten kawałek podłogi”.

Wilgoć wisi nad ziemią koszmarną mgłą, smętna szarość ogarnia ulice, drzewa szaleją na wietrze, spod kół przejeżdżających samochodów przyskają strugi brudnej wody. Kolejne auta ochlapują przechodniów i mkną dalej. Ale – jak śpiewał Wojciech Młynarski: „choć moknie mi na deszczu grzywka, choć nie dowieźli dziś pieczywka, zadowolona jestem dość”. Przecież trwa Święto Kobiet!

Inną wielką uroczystością obchodzoną w liceum od lat [choć nie za czasów mojej nauki] były studniówki. Odbywały się zawsze w budynku szkolnym i były już na początku roku szkolnego starannie planowane i przygotowywane. Komitet Rodzicielski przejmował patronat nad wszelkimi koniecznymi działaniami: ustalał koszty, zapewniał orkiestrę i zaopatrzenie w różne wiktuały, dyżurował w czasie zabawy, obsługiwał i towarzyszył zaproszonym nauczycielom. Młodzież wymyślała dekoracje klas, pisała i wręczała zaproszenia, przenosiła ławki, później sprzątała i porządkowała sale.

Zaproszenia dla nauczycieli były zawsze starannie przygotowane; często bardzo oryginalne, wymyślne, niekiedy wykonywane ręcznie i ozdabiane przez utalentowanych artystycznie uczniów. Samo wręczanie zaproszeń było uroczystym rytuałem, gdy grupa maturzystów w ciekawych przebra-niach wędrowała od klasy do klasy wesołym korowodem, zawsze z jakimś życzliwym wierszykiem i obowiązkowo z ładnymi uśmiechami.

Na ten pierwszy dorosły bal dziewczyny szyły kreacje, a chłopcy kupowali swoje pierwsze w życiu garnitury [nie licząc tych pierwszokomunijnych, w których wyglądali jak „mali starzy”]. Początkowo można było dobrać sobie partnera tylko spośród uczniów liceum, ale ze względu na dużą przewagę dziewcząt, zgodzono się na zapraszanie chłopców spoza szkoły. Należało jednak wcześniej podać personalia towarzyszącej osoby,

za którą było się odpowiedzialnym, a ona musiała się wylegitymować przy wejściu. Tam też dyżurujący rodzice kontrolowali, czy aby nikt nie wnosi alkoholu. Był on natychmiast rekwirowany, a restrykcje dla takich uczniów były bardzo surowe.

Tuż przed zabawą w poszczególnych klasach przygotowywano „tematyczne” sale; wszyscy starali się, by było jak najpiękniej i najoryginalniej. Wypożyczano z jednostki wojskowej siatki maskujące do rozwieszenia pod sufitem, przynoszono różnego rodzaju kapy, firanki, prześcieradła, kolorowe chusty, nawet pognieciony papier pakowy, który mógł zmienić klasowe wnętrze np. w niezwykłą grootę. Wybrani uczniowie ćwiczyli figury poloneza, który zawsze rozpoczynał zabawę, inni przystrajali aulę, gdzie odbywały się tańce. Wszystkim udzielała się atmosfera radości i podniecenia. Tuż przed zabawą ustawiano stoliki i krzesła, i załatwiano tysiące innych, koniecznych spraw; tak, że lekcje przez kilka dni były w czwartych klasach raczej teoretyczne.

A te studniówki, odbywające się w szkole, miały niezapomnianą atmosferę i swoisty urok.

Na ten jedyny w roku wieczór, obiecujący, że „będzie, będzie zabawa, będzie się działo i całej nocy będzie mało”... – przygotowywali się nie tylko uczniowie, ale także rodzice, no i – oczywiście – my, zaproszeni nauczyciele. W moich papierach zachowało się wiele zaproszeń na owe bale, zawierające ciekawe wierszyki czy inne oryginalne teksty; niekiedy pokrętnie, pisane archaiczną polszczyzną, a będące miłym przypomnieniem tamtych studniówek:

1. „Na studniówkę czas –
Będą tam grały, będą śpiewały
Skrzypice i bas.
A kto się nie naje, kto się nie napije,
Pójdzie do dom w czas!”

2. „Wszem i wobec wiadomym się czyni iż żakowie zacnego Collegium tradycji zadość czyniąc, na 100 dni przed maturą bal Studniówką zwany odpowiadają. A chcąc mu świetności i blasku przysporzyć W. Panią z osobą towarzyszącą na uroczystość ową uniżenie proszą”.

Jakże miło! To nic, że niekiedy do owych zaproszeń wkładały się różne niezręczności, jak wówczas, gdy zaproszono mnie „koniecznie z mężem”, innym razem „z rodziną”, a nawet – w 1977 roku – zmieniono mi imię na Helena.

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie”!

Studniówkę rozpoczynał zawsze dyrektor szkoły, witając przybyłych i życząc wszystkim dobrej zabawy. Niekiedy witał też zebranych przedstawicieli rodziców i uczniów. Zdarzały się też na początku balu żartobliwe scenki kabaretowe w wykonaniu młodzieży, ale – tak na dobre – bal „startował” przygotowywanym długo polonezem.

Wyznaczeni wcześniej uczniowie, często w pięknych strojach z dawnych epok, wypożyczanych od zespołu „Igloopolanie”, po profesjonalnym wykonaniu wielu pięknych, wymyślnych figur, zapraszali do płaśów dyrektora i nauczycieli.

Po dołączeniu nowych „tancerzy”, kontynuowano owego poloneza, wiążącego się w auli długim korowodem; już nie tak nienagannego, profesjonalnego, ale przez uczestnictwo w nim profesorów tak ciekawego, oryginalnego, „nowatorskiego”, że zawsze z ożywieniem obserwowali go wszyscy uczestnicy imprezy. Wkrótce bowiem ów polonez zmieniał swe oblicze i przekształcał się w spontaniczny taniec dowolny, co budziło powszechną wesołość. Ale umieliśmy się śmiać z siebie, więc pomykaliśmy ochoczo za dyrektorem, występującym w ten jeden wieczór w roku w tak osobliwej roli. A potem były już różnorakie tańce – młodzieżowe i tradycyjne, było świetne jedzenie, życzliwa, cudowna, beztroska atmosfera – i tak aż do samego rana. „Niech żyje bal...”

Młodzież uczestnicząca w studniówce początkowo musiała być ubrana skromnie, w zgodzie z regulaminem; chłopcy w ciemnych garniturach, dziewczyny w niezbyt krótkich sukienkach czy spódniczkach – w kolorze czarnym lub granatowym i w białych bluzeczkach pod szyję. Ale co roku ktoś się wyłamywał; przybywało kolorów, odważniejszych dekolatów, kreacji balowych, sukieneczek króciutkich, nawet frywolnych. Były one jednak z trudem tolerowane i zawsze potem ze zgorszeniem komentowane i krytykowane przez wychowawców.

Obecnie, gdy bale studniówkowe wyprowadzono ze szkoły gdzieś do lokali rozrywkowych, nie pozostało nic z dawnej, niezapomnianej atmosfery tych pięknych – jedynych takich w życiu młodych ludzi – imprez. Aż chciałoby się z żalem zanucić: „Dziś prawdziwych studniówek już nie ma”!

Jeszcze kilka dni po imprezie szkoła żyła atmosferą balu. Trwało usuwanie dekoracji, przywracanie salom właściwego wyglądu, przenoszenie

stolików i krzeseł, sprzątanie, no i naprawianie szkód, bo i takie się zdarzały. Ktoś wybił gdzieś szybę, popisał ściany w ubikacji, zniszczył jakąś pomoc naukową, zaplamił firankę, przemycił butelczynę wina. Ale tylko raz zdarzył się poważniejszy incydent, gdy kilku rozozoconych chłopców zrzuciło ze ściany na korytarzu wiszące tam tablice. Dyrektor Galas natychmiast zarządził przerwanie studniówki i nie chciał za nic zmienić zdania, choć wybrało się do niego w delegacji wielu znamienitych przedstawicieli rodziców. Atmosfera była gęsta. Orkiestra milczała, gorące danie stygło, my tkwiliśmy w niepewności, młodzież w strachu. Po długich pertraktacjach dyrektor dał się w końcu jakoś udobruchać i zabawa mogła się wreszcie rozpocząć.

Jeszcze długo po każdej studniówce wspominano ten niezwykle dzień: oglądano wywołane zdjęcia, komentowano dekoracje sal, kreacje dziewcząt i niezwykle atmosferę.

Ale już nadchodziło dla maturzystów ostatnie w tej szkole 100 dni: dni nerwowego niepokoju, skrywanej nadziei i przejmującego strachu, gdy na samo wspomnienie matury żołądek wiązał się na supeł, czas gorączkowego powtarzania materiału i wewnętrznego przekonania, że nic się nie umie...

A świat wirował coraz szybciej wokół nas, coraz bardziej szalony, niepojęty, nawet groźny. Mieliśmy coraz mniej ochoty na tańce, leczyliśmy skołatane nerwy wśród rodzinnych ścian, ale wciąż oddawaliśmy swe serce belfrowaniu i byliśmy dumni, że jesteśmy nauczycielami naszego liceum. Przyjmowaliśmy pozytywistyczną zasadę solidnej i uczciwej pracy dla dobra ogółu, wzbogaconą o troskę o najbliższych i jakoś udawało się w tym dziwnym świecie żyć, choć dramatycznych momentów było wiele.

„Był u nas przecież Poznań, był Radom! Byli górnicy z Wujka, stoczniovcy z Wybrzeża, robotnicy z huty Lenina i innych fabryk” – wyliczała Mirosława Kareta.

Coraz trudniejsza była też nasza praca jako wychowawców i coraz mniej zdyscyplinowana młodzież. Moda na „bezsstresowe” wychowanie wprowadziła wiele zamętu, ograniczała nasze możliwości oddziaływania na uczniów, skutkowała w skrajnych przypadkach chuligańskimi zachowaniami, lekceważeniem szkoły i nauczycieli, bezradnością rodziców, ucieczkami z domu. Zaczęły się też pojawiać inne, nieznane wcześniej zagrożenia – narkotyki, sekty, młodzieżowe subkultury...

Pamiętam. Pada gęsty śnieg. Buty grzęzną w białym puchu, wiatr tarłosi gałęzie nagich drzew, cięży teczka pełna poprawionych zeszytów. Nad kominami kłębią się bure kity dymów. Na nieskazitelną biel opadają czarne

cętki sadzy. Nad miastem wstaje nowy, zimowy dzień. Okutani ludzie spieszą do pracy lub odprowadzają dzieciaki do szkoły.

Na ścianach niektórych budynków – „modne”, malowane nocą grafitti, niszczące elewacje. Najczęściej miało ono wygląd okropnych „maziajów” czy ordynarnych haseł, ale niekiedy przybierało formę zaskakujących, pełnych gorzkiego dowcipu aforyzmów, jak: „Nie ufaj rodzicom. Zrób się sam”, „Kot to ma psie życie”, „Armia Radziecka z tobą od dziecka”, „Bóg dał, złodziej wziął”, „Fortuna wołem się toczy”, „Nie krępuj się. Szkoda sznurka” czy „Moja wiedza mnie przeraża”.

Pewnego dnia również na ścianie jednego z budynków naprzeciw naszej szkoły pojawił się ordynarny napis dotyczący któregoś z nas, nauczycieli. Woźny szybko go zamalował, ale olbrzymi niesmak pozostał, a na brudnej ścianie wyraźnie malowała się jasna plama po świeżej farbie. Zaczęły się też pojawiać nieprzyjemne wpisy w Internecie. Tam nie obowiązywały żadne zasady. I nie było przed nimi żadnej obrony.

Świat zadziwiał wciąż bardziej nieprzewidywalny i trudny. Pojawiały się coraz to nowe cuda techniki, które wkraczały nagle w nasze życie: telewizor plazmowy, kuchenka mikrofalowa, nowoczesne samochody z różnymi bajerami, serialiki telewizyjne z nagrany śmiechem, natrętne reklamy, buty na rzepy, pizza na telefon, „komórka”, komputer, smartfon. Nie tylko ułatwiały i ubarwiały życie, ale też powodowały nowe zagrożenia cywilizacyjne. Znana psycholog Katarzyna Miller wymieniała: „Seks, zakupy, Internet, telewizja, alkohol, leki, narkotyki, papierosy, a także [...] cierpienie, złość, agresja, depresja”.

Codziennie obserwowaliśmy, jak szybko zmienia się nasza Dębica, jak ulega ogólnopolskiej modzie na nowoczesność, jak zamiast sklepów powstają „szopy”, butiki, salony, galerie, jak na szyldach zaczyna szarogęścić się angielszczyzna, a młodzież coraz wyraźniej demonstrować swą niezależność, poczucie swobody i pogardę dla autorytetów.

Uliczką – przy której domy niejedno przeszły, a w sfatygowaniu murów, wyglądzie okien, resztkach starych szyldów czy na niemodnych dziś zwieńczeniach dachów zachowała się pamięć dawnych lat – spaceruje wysoki, potężny mężczyzna, prowadząc na smyczy małego pieska w kolorowym ubranku. Wszyscy oglądają się zadziwieni, bo to widok wcześniej niespotykany; oglądany dotąd chyba tylko w amerykańskich filmach. Coraz więcej tych zadziwień i zaskoczeń. W atmosferze naszego miasta pobrzmiewa już wielki świat...

Galopujące zmiany w każdej dziedzinie życia zmuszają również do zmian w szkole. By skutecznie zmagać się z wymogami czasu, „zaliczamy” kolejne kursy, unowocześniamy metody pracy, reformujemy, eksperymentujemy, podejmujemy nowe wyzwania, przeżykamy porażki. Wielu znajomych i krewnych wyjeżdża za granicę, by tam szukać lepszego życia. My zostajemy „do swych miejsc przypięci jak rzepy”. Tu jest nasz dom, nasze miejsce na ziemi, nasz kraj, tu chcemy wypełnić nasz los...

Jest późna jesień. Mijam zakurzone ulice, stare kamienice o spłowiałym kolorze musztardy, pełne brudnych liszajów, zacieków i głębokich rys, spoglądam w niebo nabrzmiałe od czarnych chmur. W powietrzu czai się szary smutek, ale w pokoju nauczycielskim, przy szklance słodkiej herbaty – jak co dzień – nieśpieszne pogwarki i odstresowujące opowieści:

– Moja córeczka uczy się pacierza, ale strasznie przekręca. Mówi np. módl się za nami „grzeczniymi”, teraz i za godzinę” [na wieki], „niech mnie od złego aniołka strzegą”, „bądź mi zawsze pu pomocy”, „chleba naszego poprzedniego daj nam”, czy „nie budź nas na pokuszenie”.

– A moja chodzi do przedszkola „do sióstr”; kościółek nazywa „amenkiem” i podśpiewuje różne pieśni, straszliwie przekręcając słowa: Zamiast: „Dzieła Twe Panie”... śpiewa: „gdzie łatwe panie”, zamiast „światłość wiekuista” – „światłość ista! ista!”, zamiast: „na niwach zielonych pasie mnie” – „adidas zielony pasie mnie”, zamiast „bydlęta kłękają” – „wyglęta kwękają”.

– A moja śpiewając o kotkach, przekręca, że „kocica upaliła kabanosa” [upaliła kawał nosa].

– Mój syn zaś wymyślił taką wyliczankę: „Entliczek-pętliczek był bardzo rozpustny...” Śmialiśmy się do łez i ten śmiech dodawał nam sił.

W okresie największych braków na rynku szkoła otrzymywała czasem talony na różne towary do rozlosowania wśród pracowników. Miałam wielkie szczęście, gdy pewnego razu wylosowałam talon na buty, których bardzo potrzebowałam. Na talonie był określony rodzaj tych butów: „całoroczne”. W tamtych czasach, gdy jeszcze panowały mroźne zimy i upalne lata, określenie „całoroczne” brzmiało idiotycznie, ale nikt się nie dziwił i nie grymasił.

Ze szczęśliwym talonem w portfelu czekałam cierpliwie na dzień dostawy towaru do sklepu znajdującego się niedaleko dworca. Słynny „Radoskór” nie nadążał, by oblec nasze biedne nogi. Ale doczekałam się. Sklep był wypełniony po brzegi; panował ścisk, harmider, jakieś kłótnie, przepychanki, ogólne zamieszanie. Zmęczona i poirytowana całą sytuacją „pani sklepową” rzuciła pudełka z butami na ladę, przed którą kłębił się tłum.

Poczułam ulgę, gdy wreszcie znalazłam się i ja przy ladzie, i mogłam odebrać należne buty. Okazało się, że były to wyjątkowo ładne, skórzane botki z importu w kolorze jasnego brązu. Popychana i poszturchiwana, zdołałam jakoś przymierzyć jeden but, który okazał się „akuratny”. Szczęśliwa, wracałam do domu z cudownym nabytkiem.

Pamiętam. Świat po deszczu był łagodny i czysty. Cała ulica Głowackiego lśniła wymyta z wszechobecnego puchu opadającego z topól, które rosły tu zwartym szeregiem i strzelały bujnie w górę.

Te „komunistyczne drzewa” – jak je określano – sadzono wszędzie, bo były łatwe w uprawie, dekoracyjne i – w naszym klimacie – najszybciej rosnące ze wszystkich drzew. Szkoda, że później je nagminnie wycinano, bo śmieciły, bo miały kruche gałęzie, łamiące się podczas burz, bo przestały być modne.

Place przed blokami po drugiej stronie ulicy rozbrzmiewały dziecięcym gwarem, zagłuszonym co chwilę przez pędzące pociągi, kryjące się za topolami. Powietrze pachniało świeżością. Na błękitnym, wysokim niebie rosła smuga znaczona przez lecący samolot.

Biegłam, jak na skrzydłach, by w domu pochwalić się szczęśliwym nabytkiem.

Niestety, moja radość była krótka. Okazało się, że jeden but – ten nie przymierzony – był co najmniej o numer mniejszy i za nic nie dał się założyć na nogę. Sytuacja, jak w bajce o Kopciuszku! Nie wiedziałam: śmiać się czy płakać?

Próba wymiany nie powiodła się. W sklepie nie było już żadnego śladu po butach, a ekspedientka rzuciła tylko jakąś przykrą uwagę o zawracaniu głowy i grymaszących klientach. Zostałam więc ze ślicznymi botkami, zalegającymi w szafie, chodząc kolejną zimę, w starych, przemakających i zniszczonych trzewikach. Później udało mi się „wystać” w tasiemcowej kolejce tzw: „relaksy”, sprzedawane w jednym ze sklepów w Rzeszowie. Czasem ratowaliśmy się też – przepłacając – jakimiś zagranicznymi butami „upolowanymi” na bazarku lub w komisie.

W owym komisie, mieszczącym się w maleńkim sklepiku na zakręcie ulicy Kolejowej, sprzedawano towary „z drugiej ręki”; oczywiście bardzo drogo. Tam jednak można było kupić niekiedy ładny sweterek, kożuszek, futerko czy kupon zagranicznej tkaniny. Pamiętam, jak na wystawie panoszyła się piękna, koronkowa suknia ślubna – bielusińska i lekka jak piórko. Przyciągała oczy wszystkich przechodniów. Tak bardzo ta wystawa różniła się od innych, gdzie stały jakieś biedniutkie towary, jakieś atrapy artykułów

spożywczych, czy nadgryzione zębem czasu manekiny, ubrane w brzydkie ciuszki bez polotu i koloru!

Czasem w owym komisie można też było kupić płyty z zagranicznymi przebojami i wtedy śpiewali nam pięknie: Jimi Hendrix, Bob Dylan, Janis Joplin, John Lennon, czy „Rollingstonsi”. I wtedy było święto

Ale najczęściej było zwykłych, szarych, pracowitych dni, spędzanych w szkole i w domu.

Zdarzało się, że nasz nauczycielski trud bywał dostrzeżony, że spotykaliśmy się z uznaniem władz, które przybierało miłą formę nagród za przygotowanie olimpijczyków, czy za wyróżniające się sukcesy w pracy zawodowej; najczęściej były to nagrody dyrektora, czasem kuratora lub nawet ministra.

Z przyjemnością np. wspominam tę od ministra oświaty Jerzego Kuberskiego z 1976, kilka kuratorskich i dyrektorskich; w tym tę ostatnią z 2000 roku od dyrektora szkoły Ryszarda Pękali „za szczególne osiągnięcia w pracy dydaktycznej i wychowawczej”, a także nagrodę Zarządu Wojewódzkiego TWP za „prężną działalność Klubu Miłośników Teatru Telewizji w latach 1986 i 1987” czy srebrny i złoty Krzyż Zasługi.

Moje koleżanki i koledzy wielokrotnie otrzymywali podobne nagrody i odznaczenia. Duża grupa posiada również Medale Komisji Edukacji Narodowej. Były też uroczyste pisemne podziękowania od różnych instytucji, jak np. ta od dyrekcji Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli w Rzeszowie „za przeprowadzenie zajęć otwartych dla nauczycieli języka polskiego związanych z obchodami Roku Reymontowskiego”, od Towarzystwa Literackiego w Tarnowie „za zainspirowanie do pracy i opiekę merytoryczną nad uczestniczką konkursu „Zbigniew Herbert – życie i dzieło” czy z Wojewódzkiego Ośrodka Kultury za przygotowanie uczniów do konkursu recytatorskiego.

Przełom lat 70. i 80. to był dla każdego z nas czas niezwykły. Wszystkim udzielała się gorączkowa atmosfera panująca w kraju, niepokoiły podwyżki, strajki, protesty, powstanie KOR-u, potem „Solidarności”.

Oglądaliśmy „na okrągło” telewizyjne przekazy ukazujące Lecha Wałęsę noszonego na ramionach, rozentuzjasmowane tłumy i las rąk z dłońmi wzniesionymi do góry tak, by dwa palce układały się w kształt litery „V” – jak „victoria!”. Śledziliśmy rozmowy stoczniovców z przedstawicielem rządu Mieczysławem Jagielskim, spoglądaliśmy na karykaturalnie wielkie, „obciachowe”, kulkowe pióro Wałęsy i na postulaty robotników spisane na pakowym papierze.

W tym niezwykłym czasie – wszędzie – w sklepach, w domach, na ulicach, w urzędach i – oczywiście – w pokoju nauczycielskim rozmawiano tylko na ten temat i wszędzie, gdzie się dało, w najmniejszych nawet miejscach pracy, powstawały komórki „Solidarności”. Później, w czasie wycieczek na południe Europy, mogliśmy obserwować wielką popularność owej „Solidarności” i jego przywódcy. W Nicei jechaliśmy promenadą Wałęsy, a w San Marino – na wieść, że jesteśmy Polakami, ściskano nam dłonie, wykrzykując z entuzjazmem „Valansa! Valansa” i wznoszono dwa palce na kształt litery V.

Również w naszej szkole w okresie „karnawału” „Solidarności” panowało gorączkowe podniecenie wywołane niepewnością jutra, poczuciem zagrożenia i braku stabilizacji, a także bliżej nieokreślonych nadziei. Codziennie odbywały się pokątne rozmowy nauczycieli, zebrania organizowane naprędce na przerwach, prowadzone agitacje, które powodowały zamęt w naszych głowach, kołatanie serc, niepewność i lęk. A potem był strajk, który podzielił grono nauczycielskie i po którym już na zawsze pozostała jakaś przykra zmarszczka, chowana głęboko w naszych sercach.

Dyskutowaliśmy jeszcze po lekcjach popijając „modną” kawę rozpuszczalną, stanowiącą ersatz tej, prawdziwej, chociaż była niewiele warta, a wymyślili ją ponoć Amerykanie dla swych żołnierzy, by mogli osłodzić sobie żywot w okopach w czasie wojny. Nam nawet smakowała. A „jak nie ma kawy, człowiek niemrawy...”

Mieliśmy świadomość, że jesteśmy świadkami wielu ważnych, historycznych wydarzeń: czasu walki o nową Polskę, o wolność człowieka, czasu niepokojów, strajków, ale też nadziei.

A potem nadszedł ten śnieżny i mroźny poranek grudniowy 1981 roku, zmącony płaczem sąsiadki:

– Stan wojenny!

I zaraz niepokój, strach, słuchanie telewizyjnych komunikatów, poczucie niepewności jutra, bezradności, braku bezpieczeństwa, odarcie ze złudzeń. I codziennie nowe wiadomości szeptane po cichu; straszne, groźne, znaczone krwią. Na ulicach mundury, w pracy nowe zarządzenia i rygory, szlabany na rogatkach miasta i godzina policyjna – „straszna pora, która zagania ludzi do domów jak kury do kurnika, ogranicza wolność, budzi lęk”. Nieludzki czas poniżenia, upokorzenia i śmierci. Czas klęski!

W 1984 roku z niedowierzaniem i trwogą słuchaliśmy o męczeńskiej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Pamiętam też, jak bardzo przejmowała nas modlitwa papieża Jana Pawła II nad grobem tego męczennika

w czerwcu 1987 roku. Wtedy czuło się ciężar w sercu wielki jak kamień i aurę, która promieniowała od tej mogiły; bolesną, ale przynoszącą też jakąś ulgę w udręczeniu i szarzyźnie życia. Sami też jeździliśmy na grób tego kapłana „Solidarności”. Zakłady pracy organizowały wycieczki do stolicy, w których oficjalnie nie było takiego punktu programu, ale kierowcy zawsze tam podjeżdżali. Nikt nie wstydził się łez.

A potem [w 1989 roku] z mieszanymi uczuciami oglądaliśmy upadek muru berlińskiego, uznany przez świat za symbol rozpadu starego porządku, a w 1991 roku uczestniczyliśmy w pierwszych wolnych wyborach do sejmu i przeżywaliśmy wielkie zmiany ustrojowe. Zmieniali się prezydenci, w 1993 rosyjskie wojska opuściły Polskę, a następująca transformacja ustrojowa odmieniała nasz kraj, otworzyła drzwi do Europy i świata, wreszcie pozwoliła na wejście Polski [w 1999 roku] do NATO.

Powoli – jak to bywa po wielkich zawirowaniach – życie wracało na swe zwyczajne tory. Chociaż – jak zawsze – potrafiło zaskakiwać; najczęściej boleśnie.

Najbardziej dramatyczny był rok 1997, gdy przeżywaliśmy straszną powódź stulecia; szczególnie w dorzeczach Odry i Wisły, śmierć Matki Teresy z Kalkuty, a także tragiczną śmierć „królowej ludzkich serc” – angielskiej księżnej Diany.

Ale zawsze towarzyszyła nam nadzieja. Jan Twardowski pisał: „Gdy Pan Bóg drzwi zamyka, otwiera okno...”

Gdy okazało się, że możemy „otworzyć drzwi do Europy” i uzyskać paszporty bez specjalnych próśb, uzasadnień i pozwoleń, my – „poszukiwacze przygód w kapciach” – postanowiliśmy podróżować. Jak twierdziła Olga Tokarczuk: „Podróżowanie stało się symbolem wolności, chyba dlatego jest dla nas tak atrakcyjne”.

W czasach PRL-u paszport nie był zwyczajnym dokumentem, który wystawiano każdemu, kto chciał wyjechać za granicę, ale przywilejem. Trzeba było najpierw „odstać swoje” z podaniem w ręce, wypełnić szczegółowo skomplikowany kwestionariusz, a potem czekać, nie mając żadnej pewności, że otrzymamy ten wyteścniiony dokument, choć nasze wyjazdy ograniczały się tylko do zaprzyjaźnionych z PRL-owską Polską „krajów demokracji ludowej”. Bo dawano go nam jakby z łaski czy z kaprysu jakichś wyższych instancji. Dawano tylko na określony czas, po którym należało go zwrócić.

A tu wielki świat – który wydawał się nam tak odległy – otwierał swe podwoje i okazało się – jak pisał Jacek Cygan:

„Paryż, Londyn, Rzym –
Nie do wiary, że istnieją takie miasta”!

Odtąd, prawie corocznie, w ramach obowiązków wychowawczych organizowaliśmy zagraniczne wycieczki dla młodzieży. W „peerelowskich” czasach władze nie wymagały specjalnych uprawnień do organizowania szkolnych wyjazdów; dopiero później żądano odbycia specjalnych kursów, by zdobyć potrzebne zaświadczenia. Zaliczaliśmy więc kolejne szkolenia.

Przygotowanie i przeprowadzenie wycieczek szkolnych było bardzo trudnym i wymagającym zadaniem. Braliśmy przecież na siebie odpowiedzialność za życie i zdrowie podopiecznych. A młodzi ludzie – jak to młodzi – lubili w czasie takich wyjazdów płatać różne psoty. Ważny był też aspekt wychowawczy i poznawczy organizowanych wyjazdów, dlatego trzeba było sporządzić dokładny plan zajęć na każdy dzień. Oczywiście, taki wyjazd musiał być przede wszystkim miły i atrakcyjny.

Musieliśmy też na czas naszej nieobecności w domu zapewnić właściwe funkcjonowanie rodziny, co nie zawsze było łatwe. Ale prawie wszystkie takie wycieczki wspominaliśmy potem z przyjemnością; i te zagraniczne, i te niedalekie.

Najciekawsze były – oczywiście – wojaże zagraniczne, podczas których mogliśmy poznawać piękne miasta Europy, podziwiać pejzaże alpejskie niezwyklej urody, wypoczywać nad Morzem Śródziemnym, zwiedzać wspaniałe muzea, dotykać miejsc, które dotychczas znaliśmy tylko z filmów, z lekcji geografii czy z greckiej i rzymskiej mitologii.

Profesor Tomasz Koziół pisał: „Lata dziewięćdziesiąte XX wieku to otwarcie Polski na świat. Polacy zaczęli wyjeżdżać i nadrabiać braki powstałe w czasie komunizmu. W „Jagielle” zadbały o to panie: Anna Dominiak, Halina Niziołek, Teresa Czyżowska, Maria Marek i Małgorzata Pasek. Dzięki nim młodzież miała okazję zwiedzić Francję, Włochy, Austrię, Szwajcarię, Hiszpanię, Grecję i Belgię”. Dodam, że także Holandię i Niemcy.

„A atmosfera na wycieczkach była doskonała – wspominał dalej profesor Tomasz Koziół – młodzież zdyscyplinowana; nie stwarzała żadnych problemów wychowawczych”. Rzeczywiście tak było.

Dotykaliśmy starożytnych murów, oglądaliśmy widoki zapierające dech w piersiach i stawaliśmy zdumieni przed dziełami sztuki, które znaliśmy tylko z albumów i przekazów telewizyjnych. Wiele rzeczy wydawało się snem. Weryfikowaliśmy naszą wiedzę książkową z cudowną rzeczywi-

stością, dziwiąc się, „jak ludzki umysł mógł to wszystko zrodzić, a ludzka dłoń zbudować”.

Będąc na pięknym Lazurowym Wybrzeżu mogliśmy się też przekonać na własne oczy, że rację miał nasz wieszcz Adam Mickiewicz, przedkładając kolory i zmienność naszego nieba nad to – sławione przez poetów – niebo włoskie, które wcale nie było błękitne, a wyglądało „jak rozgrzana stal”. Najczęściej jednak chciało się zakrzyknąć słowami Sandora Marai: „A więc świat jest aż tak piękny!”

Nasze zachwyty przypominały też trochę te Fryderyka Chopina, który zobaczył Londyn. Pisał o nim trochę z ironią: „Ale Angielki, ale konie, ale pałace, ale bogactwo, ale przepych, ale miejsce, ale drzewa, ale wszystko, zaczawszy od mydła, a skończywszy na gazetach, wszystko nadzwyczajne jak... [tu wyraz niecenzuralny, więc pomijam]”.

Z tych podróży, prócz zdjęć, wspomnień, pamiątek pozostały wierszyki, zapisywane na gorąco, podczas jazdy autokarem, jak ten z wycieczki do Hiszpanii:

„Panowie kierowcy prowadzą tak ładnie,
Możesz nosić wrzątek, kropelka nie spadnie.
Piękne krajobrazy, „kuchnia” wyśmienita:
Tu bulion do bólu, tu zupka do syta.
Pan kierowca Irek powołanie czuje,
Jak się dobrze uprze, to wszędzie wceluje.
A nasz pan przewodnik mistrzem jest nie lada,
Gdy tak bosko tańczy i gdy opowiada.
Salwatore Dali tym się nam utrwali,
Ciągłe się gubiłam, a wszyscy czekali.
Nie pojedzie z nami Chulio do ojczyzny;
Szkoda. Lecz zostanie łyk opalenizny.
Czy wiecie kochani, o czym jeszcze marzę?
Jeszcze z pięć upojnych nocy w autokarze!

Wycieczka rzeczywiście była cudowna. Panowie kierowcy byli prawdziwymi mistrzami kierownicy, choć wspomniany pan Irek – przesympatyczny zresztą – miał takiego śmiesznego zeza, że nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie w danym momencie spogląda i przed każdym tunelem, [a przecież jest ich w Alpach mnóstwo], modliliśmy się, żeby właściwie wcelował autobus w wlot do tunelu.

Nasz autokar był niezbyt nowoczesny, bez klimatyzacji, dość ciasny, co nie przeszkodziło profesorce Małgosi Pasek tańczyć ze wspaniałym przewodnikiem, który dawał nam przyspieszone lekcje francuskiego i uczył francuskiej piosenki śpiewanej na słynnym moście w Awinionie, dokąd właśnie zmierzaliśmy. Nazwaliśmy go „Francuzikiem”, bo był filigranowy, zwinny, szarmancki i bardzo sympatyczny. Na wycieczce żywiliśmy się zabranymi z Polski wiktuałami [ach, te zupki z proszku!]; w autokarze kupowaliśmy wrzątek do tych zupek, herbatę lub kawę.

W Hiszpanii wypoczywaliśmy na Costa Brava, korzystając z uroków wczesnej wiosny, a także uczestniczyliśmy w bardzo sympatycznej imprezie z pokazami ognistego flamenco. Szczególnie jeden z artystów, dopinowany przez nasze siarczyste oklaski i wiwaty, dał niesamowity pokaz swego talentu. Nazwaliśmy go „Chuliem”; wzorem jednego z popularnych wówczas bohaterów telewizyjnego serialu hiszpańskiego. Zwiedzaliśmy też wiele ciekawych miejsc, wśród nich Barcelonę ze słynną katedrą Sagrada Família, Parkiem Gaudiego, urokliwą promenadą Ramblą i starą katedrą świętej Eulalii, czy miejscowość Figures z muzeum ekscentrycznego malarza Salvadora Dali. Tam właśnie w plątaninie wystawowych sal się zgubiłam i nie zdążyłam na wyznaczoną godzinę wyjazdu, co było fatalnym przykładem dla młodzieży.

Z wycieczek przywoziliśmy różne „skarby”; nawet futra – dziś smętnie dogorywające w szafach; pachnące antymolowo, niemodne, potępione. A nasze albumy puchły od zdjęć.

W czasie wycieczek poznawaliśmy też bliżej naszych uczniów, odkrywaliśmy ich nieznane nam cechy, talenty, śmieszności czy słabości.

Pięknie zapisał się w mojej pamięci bardzo sympatyczny Mirek, który zdobywał serca koleżanek kupując im lody, gdyż zabrał z sobą chyba „kuferek” dewiz.

Pamiętam. Na placyku w Awinionie, pachnącym lawendą, stała śliczna dziecięca karuzela, przyciągająca oczy jaskrawymi kolorami i cudnymi siodełkami w kształcie bajkowych zwierząt. Kilka dziewcząt pobiegło, by zrobić sobie zdjęcie, udając jazdę na tej ślicznej karuzeli. I wtedy ona samoczynnie ruszyła. Dlaczego? Nie wiadomo. Pewnie tak była zaprogramowana. Dziewczyny krzyczały przerażone; nie mogły jej zatrzymać więc wiorowały nieszczęśliwe, martwiąc się o zapłatę, gdyż miały tylko jakieś marne groszaki. I wtedy nasz Mirek postąpił jak prawdziwy dżentelmen i wyłożył za nie potrzebną sumkę za bilety. To był gest!

Inny z chłopców, szalenie przystojny Arturek, zawsze roześmiany od ucha do ucha, całą wycieczkę chodził – nie wiadomo czemu – skrzywiony, z nieszczęśliwym wyrazem twarzy; nie dawał się nawet skusić na kanapki, które mu oferowały oczarowane nim dziewczyny.

„Ubawił mnie” też inny z chłopców – Wojtek, który w autokarze siedział tuż za mną, dlatego słyszałam jego rozmowy. Cały czas dotyczyły samochodów: ich marek, zalet i wad, różnych części i niezrozumiałych dla mnie motoryzacyjnych zawiłości. W pewnej chwili dosiadła się do niego jedna z dziewczyn, sympatyzująca z nim podczas całej wycieczki. Pomyślałam: -Jeśli nie będą dyskretni, to mogę wreszcie czegoś się dowiedzieć o młodzińczej miłości.

I co? Kawaler cały czas „nawijał” o samochodach: markach, zaletach i wadach aut, różnych częściach i niezrozumiałych dla mnie – i chyba dla tej dziewczyny też – motoryzacyjnych zawiłościach. Milczała; chyba zawiedziona, bo wkrótce wróciła na swoje miejsce w tyle autokaru.

Wracaliśmy do domów „wypodróżowani doszczętnie”, zmęczeni, ale bardzo szczęśliwi.

Fajne też były wycieczki po Polsce. Pamiętam, gdy po zwiedzeniu Iwonicza-Zdroju i Rymanowa-Zdroju, weszliśmy na wzgórze Wołtuszwowej, gdzie dawniej mieszkali Łemkowie, wyrzuceni ze swych siedzib w czasie akcji „Wisła” i wywiezieni na zachodnie rubieże Polski. Miejsce to wydawało nam się magiczne – piękne, a zarazem tragiczne, wzruszające; pachnące bogactwem roślinności, ale strasznie puste i ciche. Tylko nieliczne ślady świadczyły o człowieczej tu obecności. Wtedy powstał wiersz” pt. „Czarodziejska polana”:

„Nad Wołtuszwą słońce w krąg roztacza swoje czary,
Cudne polany toną wprost w kwiatów rozkwicie
I szumi tajemniczą nutą las prastary.
Tak, on pamięta, gdy toczyło się tu Łemków życie.

Dziś w tej niezwyklej, uroczystej niemal ciszy
Daremnie szukasz ech przeszłości nieznajomej:
Głosu modlitwy, śpiewu dziewcząt, płaczu dziecka
I krzyku tych, co opuszczali tu w pośpiechu swoje domy.

Jeszcze ostatni raz popatrzeć chcieli na cmentarzyk,
Ogarnąć wzrokiem, w sercu schować choć wspomnienie

Domowych progów, sadu w kwiatkach, cerkwi krzyża,
by potem iść w nieznane, w poniewierkę, w zatracenie.

Jakże to tak? Choć serce prawie w bólu się rozpęło
Odejść tak nagle, tak bez sensu, tak bez winy
I pozostawić – ziemię, niebo, całe piękno,
Całą swą miłość, swoją przeszłość i szlachetne czyny?

Więc choć zniknęli stąd na zawsze ludzie i zwierzęta,
Został ich krzyk, ich płacz, przekleństwa i lamenty,
I w ciszy tej do dziś zostały zaplątane
W tym miejscu świętym dla nich, choć przecież przeklętym.

Więc kiedy czarna noc nad Wołtuszwą już zapada,
Z mgieł się wyłania znowu święta cerkiew pod lipami
I dzwon ożywa wzywający do modlitwy,
I łąki w kwieciu całe zapełniają się duchami.

I dziwny taniec odbywają one nad tą ziemią -
Taniec pamięci o tych, którzy wrócić tu nie mogą
I przywołują tę historię tak tragiczną,
Co dla nas wszystkich winna być nauką i przestrogą.

A gdy nad ranem wiatr w gałęziach świerków zaplątany,
Potrąci jakąś nutę tajemną i miękką,
Znikają nagle duchy Łemków z tej polany
I pozostaje tylko jej niezwykle piękno”.

Pamiętam, jak wiele radości sprawił wszystkim uczestnikom klasowy weekend pod namiotami w ośrodku wypoczynkowym WUCH w Chotowej czy w ośrodku sportowym w Straszęcinie, gdzie dodatkowo mogliśmy się zająć pysznymi ciasteczkami przywiezionymi przez mamy z Komitetu Rodzicielskiego.

Takich wyjazdów było bardzo dużo. Wszyscy profesorowie i uczestniczący w nich uczniowie mają na pewno wiele miłych wspomnień z owych eskapad.

Wyjeżdżaliśmy też na różne wycieczki organizowane dla nauczycieli przez ZNP albo przez kolegów ze szkoły. Pamiętam taki cudowny wyjazd do Zamościa, Lublina, Kazimierza i Nałęczowa. Było wspaniale. Żałowa-

liśmy tylko, że obiecany przewodnik zachorował i zastąpił go w ostatniej chwili jakiś działacz ZBoWiD-u, który bardzo nas rozczerował, a jego wiedza historyczna pozostawiała wiele do życzenia. Właściwie jego rolę przejął jeden z nauczycieli-historyków – pan Tadeusz Świątek. Przewodnik był jednak przekonany, że jest świetny; chwalił się, ileż to wyrazów wdzięczności odbiera zawsze od wycieczkowiczów, a na koniec wręczył nam zeszytik z owymi pochwałami i prosił, byśmy też wpisali się „ku pamięci”.

Pamiętam, jak profesorka Marysia Grek – pełniąca funkcję kierowniczkii owej wycieczki – była zdenerwowana całą sytuacją. „Wysmażyłyśmy” więc tekst upstrzony trudnymi, obcymi wyrazami, zastosowałyśmy jak najbardziej zawiłą składnię i ocenę wycieczki tak metaforyczną, żeby wszystko było dla owego „chwalipięty” zagadką. Powstał zapis aż gęsty od specjalistycznej terminologii, zawierający też m.in. zachwyt wystawą sztuki nowoczesnej, z której ów przewodnik strasznie kpił i od której nas odводził. „No i kto by się spodziewał po łotrze, że coś z prawdy do niego dotrze”?

Chyba jednak „aluzju poniał”, bo pożegnał nas obrażony. Zupełnie nie zepsuło to nam humorów i miłych wspomnień.

Bardzo ciekawa była też wycieczka do Pragi. Cudowne Hradczany, Złota Uliczka, Dzielnica Żydowska, Most Karola, Wirujący Dom, wspaniały zabytkowy rynek, Włtawa – wszystkie te magiczne miejsca urzekły nas niezmiernie. Jedynym zgrzytem był maleńki incydent w stylowej piwniczce „U Szwejka”, gdzie kelnerzy marudzili z obsłużeniem nas, Polaków, nadskakując czeredzie zadowolonych piwoszy z Niemiec. Z opresji wybawiła nas – jak zwykle zaradna – profesorka Marysia Grek, dając kelnerom ostrą reprimendę po niemiecku; wtedy natychmiast się zjawili – uśmiechnięci i gotowi do usług.

Ogromnie miło wspominaliśmy też nauczycielską wycieczkę do Warszawy. Gdy tylko wszyscy rozsiedli się wygodnie w autokarze, zaraz zaczęto rozmawiać – o szkole, bo to taki nauczycielski nałóg. A przecież miała to być odskocznia od codziennych problemów!

Ustaliliśmy więc: – Kto wspomni szkołę, płaci dwa złote, które przeznaczymy na wieczorne spotkanie w Jahrance, gdzie mieliśmy nocleg. Początkowo, co chwilę ktoś się wyrывał na szkolny temat, ale wkrótce nauczycielska czujność zwyciężyła i pieniędzy było jak na lekarstwo. Wtedy niektórzy postanowili wspomóc wspólną kasę, specjalnie zabierając głos, by stwierdzić; a to, że my tu śpiewamy o stokrotce, co sobie rosła polna, a tam w naszym liceum ciężko pracują, a to, że teraz chyba duża przerwa,

a to, kto ma zastępstwa w osławionej „c” itp. Było dużo śmiechu i wreszcie – trochę kasy.

A wieczór w Jahrance był bardzo miły. Zakupione na te okazję wiktuały – choć pospolite – smakowały jak ambrozja. Opowiadaliśmy o naszych wcześniejszych wycieczkach do Warszawy i do innych miast, o naszych różnych przygodach, no i już bez jakichkolwiek opłat – jak zawsze – o naszych pociechach:

Narzekałem na bolący kręgosłup. A córa mówi: – Nie martw się tato, kupię ci wózek kaleczny.

Mój syn nie chciał słuchać moich poleceń, a na moje ostre słowa odparł: – Ja słucham tylko radia „Zet”.

Moja trzyletnia córa ssie palec, a gdy ją upominam mówi: – Inaczej nie mogę rozmyślać.

A moja, gdy zobaczyła na platformie jadącego pociągu hałdę węgla, to zawołała: – O, piaskownica dla Murzynków!

A jak ja zapytałem mojej, czy wie, do czego służy węgiel, to odpowiedziała: – Wiem. Na guziki dla bałwanka.

A mój syn zapytał kiedyś: – Mamo, czy byś się bała takiego mordercy, co strzela do mam w takim wieku jak ty?

Ja mówię: – No jasne. A wtedy syn oświadcza: – Ja bym cię obronił, bo jestem mały bohater.

Wycieczka do stolicy bardzo się udała. Profesorka Marysia Grek załatwiła bilety na dwa spektakle w różnych teatrach warszawskich, w czasie których mogliśmy oglądać znanych aktorów m.in. Martę Lipińską, Krzysztofa Kowalewskiego, Lecha Ordoną i Jacka Kawalca, wysłuchaliśmy też cudnego koncertu fortepianowego, siedząc w słoneczku na trawie pod pomnikiem Szopena w Parku Łazienkowskim, zwiedziliśmy Starówkę i Wilanów. Wracając, zaśmialiśmy się z żartów profesora Wiesia Ostafina, przypominającego w swej skórzanej kurtce Elvise Presleya. Były wśród nich – oczywiście – i te o Jasiu:

„Jaś, blady i drżący, wpada zdyszany do apteki:

– Czy ma pani jakiś środek przeciwbólowy?

– A co cię boli, chłopcze?

– Jeszcze nic, ale ojciec właśnie ogląda moje świadectwo”. I z tej wycieczki zostały ciekawe zdjęcia i miłe wspomnienia.

Chyba wszyscy z nas kochali podróże i – choć nasze pensje nie były wielkie – czasem wyjeżdżaliśmy na różne wycieczki z rodzinami, a potem w pokoju nauczycielskim dzieliliśmy się wrażeniami, pokazując piękne

zdjęcia z różnych stron świata; a to przedstawiające rzeźbę „Wenus z Milo” w paryskim Luwrze, obrazy Goi w madryckim Prado, Złote Drzwi we Florencji, katedrę w Mediolanie, Bramę Brandenburską w Berlinie, rzymskie Colosseum, ateński Akropol, urokliwe wiatraki w Holandii, szwajcarskie pejzaże, wiedeńskie ulice i wiele innych cudów.

Ponieważ ciągle i mnie gdzieś gnało, brałam chętnie udział w różnych eskapadach. Wielkim przeżyciem był przyjazd do Monte Cassino. Na początek zdumiał nas widok polskiego małego fiacika – nie pierwszej młodości – na szczycie stromego wzgórza, gdzie trudno było się wdrapać naszemu autokarowi. Zadziwiał klasztor odbudowany na nowo od fundamentów, po całkowitym zburzeniu go przez aliantów i – oczywiście – polski cmentarz wojskowy z widocznym napisem: „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni jej służbie”, na którym panowała cudowna cisza i gdzie – zwyczajem odwiedzających – wyrwaliśmy spośród białych kamyczków maleńkie kępki trawy, by trwał czysty i piękny. Wzruszenie dyktowało słowa:

„Przemierzasz różne egzotyczne kraje
I nagle – polski ślad za serce chwyta.
– Skąd Polska tu? – wtedy przystajesz
I ronisz łzę, i napis czytasz.

W Monte Cassino upał, świetne lody,
Piękny krajobraz. Lecz wspomnienie boli,
Gdy serpentyną, co aż dech zapiera
Autokar wtacza się na szczyt powoli.

I najpierw klasztor – solidny, spokojny,
Pełen powagi, świętości i ciszy,
Jakby nie widział nigdy żadnej wojny
I nigdy krzyków boleści nie słyszał.

Z tarasu widok piękny i pogodny;
Jak wielki motyl w tym morzu zieleni
Bieli się cmentarz ten – to tu zmierzamy,
W to święte miejsce – pielgrzymi strudzeni.

Dziś nie ma maków [są tylko goździki],
wspomnienie walki i morza cierpienia.

Palimy znicze na Andersa grobie
i hołd składamy minutą milczenia”.

Wszystkie nasze podróże zrodzone z potrzeby, by zobaczyć inną przestrzeń, inne krajobrazy, inną kulturę i innych ludzi, zapisywały ślady w naszych sercach. I wierzę, że wciąż żyje w każdym z nas ochota nowych przeżyć, doświadczeń i przygód. I ciągła zachłanność poznawania świata, wszystkich jego cudów, doznawania niespodziewanych zadziwień, uczuć i wrażeń: od zapachu konwalii po uśmiechy przechodniów, od gołębi na Placu Świętego Marka w Wenecji po zadziwiająco lekki kamyk z Pompei.

Wspomnienia odbytych wypraw do najpiękniejszych miejsc Europy i marzenia o kolejnych podróżach sprawiały, że łatwiej było dziergać dzień za dniem, łatwiej dostrzegać niebo – błękitne i radosne, łatwiej znosić porażki i trudy codzienności. A w szkole wciąż nadchodziły zmiany. Ustawa z dnia 18 lutego 2000 roku „O zmianie ustawy Karty Nauczyciela oraz o zmianie innych ustaw” sprawiła, że w październiku tegoż roku otrzymaliśmy od dębickiego starosty Tadeusza Kamińskiego akty nadania nowych stopni zawodowych. Wówczas nadano mi „Stopień Nauczyciela Mianowanego”, gdzie stwierdzono: „Posiada pani kwalifikacje: wykształcenie wyższe magisterskie z przygotowaniem pedagogicznym w zakresie filologii polskiej i może być zatrudniona w gimnazjach, szkołach podstawowych, szkołach pomaturalnych, szkołach policealnych, szkołach średnich ogólnokształcących, szkołach średnich zawodowych, szkołach zasadniczych”. Wcześniej unieważniono mi wszystkie stopnie awansu zdobywane przez prawie 40 lat pracy w zawodzie, w tym tytuł „profesora szkoły średniej”, który od lat posiadałam. Zostałam znowu tylko „panią od polskiego”.

Było to dla mnie i dla wielu długoletnich nauczycieli bardzo bolesne i smutne, gdy tak staliśmy w kolejce po to mianowanie wraz z młodzieutkami nauczycielami, dopiero rozpoczynającymi pracę. Ustawiłam się za moją była uczennicą Martusią, czyli profesorką Martą Sochą i pomyślałam: – Jak łatwo przyszło władzom przekreślić to wszystko, co się zdobyło w czasie wielu lat pracy, jak niesprawiedliwie potraktowali nas ci, którzy – wyuczeni w takich jak nasze – „socjalistycznych” liceach [innych przecież nie było!] zrobili kariery i teraz stanowią to nowe prawo. Szkoda, że nie przyszło im do głowy, by sobie również odebrać wszystkie tytuły i stanowiska zdobyte w PRL-u. Oni też powinni zaczynać od początku i stać w kolejce po mianowanie na najniższy stopień zawodowy.

Przypomniały mi się wtedy słowa Andrzeja Szczeklika: „Kiedy przybywa nam lat, czas biegnie coraz prędzej i smugę cienia dawno mamy już za sobą, rodzi się w nas pragnienie zrozumienia, czym jest zawód, który pochłonął nasze życie bez reszty”. Czy było warto? Wszak stare przysłowie mówi: „Komu nieba były wrogiem, zrobiły go pedagogiem”...

Pani Anna Chmura, reprezentująca powiatowy organ władzy, wręczając nam nominacje pięknie się do nas uśmiechała, ale czuliśmy tylko rozgoryczenie i złość. Wracaliśmy do domu ze wzrokiem wbitym w ziemię, powłócząc nogami. Ze świadomością przegranej.

Tam – na szczęście – jak zawsze, czekały na nas kochane dzieci i wnuki. One nigdy nie zawodziły. Były dowodem – jak mówi przysłowie – że „Bóg nie znudził się jeszcze człowiekiem”.

– Zaśpiewam ci piosenkę mamo:
„Rosną sobie kwiatki na łące:
maki, chabry i goździki pachnące.
Nazbieramy kwiatków kwiateczków,
Nasplatamy, nazwijmy wianeczków.
Zaniesiemy mamie te „gary...”

Te „gary” czyli „dary” dziecięce były dla nas najlepszą pociechą i nadzieją. I już na drugi dzień mogliśmy sobie w pokoju nauczycielskim opowiadać, że podczas zabawy coś się „psiepsiulo”, że Gagatka [czyli Agatka] obsiusiała w przedszkolu „pościeradełko, a Kuba wybrudził „szoferek” [sweterek]. Przypominaliśmy śmiesznie przekręcane przez naszych milusińskich słowa, odzyskując dobry humor: czylidełko – liczydełko, lololot – samolot, lufafa – żyrafa, japaja – łapalam, omolek – muchomorek, ugaga – uwaga, gawędy – łabędzie, latawka – latawiec, kościół „wariacki” czyli Mariacki, obrzygliwy hwalibut, leworeczne skarpety.

Wspominaliśmy też mijające dni, miesiące i lata. Nie wiadomo kiedy nasze dzieci dorosły, domy obrosły zielenią, we włosy wplotły się srebrne nitki, świat przybrał nowe, nie zawsze zrozumiałe kształty. Ciągłe trzeba było życie mocno trzymać w ryzach, choć rzeczywistość wymykała się nam z rąk, nie dawała się okiełznać i osiodłać. Czas gnał wciąż w szaleńczym tempie, a nasze skołatanе nerwy, pokaleczone serca i starzejące się kości sprawiały, że coraz bardziej musieliśmy zwalniać. To, co się stawalo, nie było już nasze.

Nauczyciele zawsze mało zarabiali [denominacja złotego w 1995 roku odbierająca naszym pensjom cztery zera była trudna do zaakceptowania – choć była tylko operacją techniczną]; wciąż musieliśmy „wiązać koniec z końcem”, a przecież nie wyobrażaliśmy sobie, że moglibyśmy być kim innym, nawet za cenę dużej forsy.

Pamiętam. Pewnego razu zaczęła mnie na ulicy moja dawna wychowanka. Zapadła mi w pamięć, bo przez wrodzoną łamliwość kości wciąż coś sobie łamała. Bardzo ją lubiłam, ale przez opuszczenie bardzo wielu lekcji, miała duże luki w opanowaniu materiału, stąd niesatysfakcjonujące ją oceny. Chyba dlatego nawet nie przyszła odebrać dyplomu, tylko przysłała swego ojca. Elegancka, pewna siebie, po krótkiej rozmowie, zapytała trochę zaczepnie: – A pani profesorka to ile teraz zarabia w tej szkole? I zaraz dodała: – No, ja na pewno dużo więcej!

Przypomniała mi się wtedy aktorka Zofia Kucówna, która mówiła, iż tak to już jest, że ci co uczyli i kształcili, muszą być zdławieni przez tych, których uczyli i kształcili. Ale zrobiło mi się trochę przykro. No cóż, pomyślałam: „Kto nie ma wyobraźni, skazany jest na belfrowanie” – jak żartobliwie pisała Bożena Chrzastowska. Wracając do domu ze smutkiem patrzyłam na miasto „zmęczone jak ja”, szare, jesienne, mgliste.

Sytuacja materialna nauczycieli trochę się poprawiła, gdy 15 lutego 2000 roku rząd Jerzego Buzka przygotował program wypłat rekompensat za lata 1991-1992, w których to – z obawy o załamanie się budżetu państwa – nie waloryzowano wynagrodzeń. W piśmie do nauczycieli czytaliśmy:

„Rząd wypłacając należne Państwu pieniądze kieruje się zasadą poszanowania prawa i sprawiedliwości społecznej”. Bardzo się cieszyliśmy i choć nie były to sumy „bajońskie”, to dzięki nim łątaliśmy domowe budżety i mogliśmy powiedzieć za Mają Berezowską: „Lubię małe pieniądze. Szczęścia nie dają, ale umilają ubóstwo”.

A w szkole i na świecie – zmiany, zmiany, zmiany... W sklepach i na bazarach coraz więcej zachodnich towarów: już nie dziwią kolorowe pachnące gumy do żucia – balonowe „Donaldy”, które pękają w ustach nie tylko dzieci, ale i telewizyjnych celebrytów, w TV już nie „Wilk i zając”, a „Kaczor Donald i Myszka Miki”, w sklepach wielki wybór towarów wszelkiego asortymentu: chipsy, prażona kukurydza, długopisy z kolorowymi wkładami, pióra kulkowe, piórniki z postaciami z bajek – kolorowo, pachnąco, światowo. I światowe zachowania i mody: amerykański prezydent rozmawia z ręką w kieszeni, młodzież naśladuje swobodny styl ubierania i zachowania: już nikogo nie dziwią glany, skóry, wyzywające dekolty, sprane, dziu-

rawe džinsy, spódniczki „miniowy”, na głowach irokezy, dredy, łysiny, nie dziwią fascynacje hip-hopem, rapem, czy techno. Ale młodzi ludzie jednak wciąż potrafią zaskakiwać.

Jest początek grudnia. Na szkolnym podwórzu grupka uczniów w mi-kołajowych przebraniach popala papierosy. Jeden z chłopaków zamiast czapki ma na głowie wielkie reniferowe rogi. Wygląda dziwacznie, więc zastygam zdziwiona. Pierwszy raz w życiu widzę palącego renifera!

„Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie!”

Coraz częściej uczęszczaną przez nas dróżką jest ta, do lekarza.

Pamiętam. W przychodni przy ulicy Szkolnej korytarz pełniący rolę poczekalni wypełnia tłumek oczekujących w kolejce na wizytę. Trzy starsze panie: gruba, chuda i „średnia”, rozmawiają po cichu o chorobach, licytując się, która ma ich więcej i którą bardziej boli. Inni półgłosem utyskują; a to na pogodę, a to na drożyznę, a to na władze, a to na służbę zdrowia. Coraz to milkną i w poczekalni zalega martwa cisza.

I nagle tę ciszę przerywa świdrujący uszy, wrzaskliwy dźwięk komórki w kieszeni starszego, łysawego mężczyzny z piwnym brzuszkiem, ubranego w szary dres: „Ona tu jest i tańczy dla mnie...”

Po chwili szoku, na twarzach wszystkich – dopiero co ponurych, zbołałych, zatroskanych – wykwita uśmiech, prostują się plecy, ożywają ręce złożone na podołku. Tak oto objawia się nowa, terapeutyczna funkcja telefonu komórkowego.

Za oknami kolejna młodziutka wiosna rozwija nieśmiałe pączki krzewów na rynku, nad którym błękitnieje – przed chwilą zachmurzone – niebo. Okutane kobiety stoją obok domu handlowego z naręczami bazi i z palmami, których pióropusze rozwiewa zimny wiatr.

W pokoju nauczycielskim – przeważające już – młodsze pokolenie nauczycieli – wiedzie prym przy naszym stole „do mielenia spraw”. Teraz oni opowiadają o swych dzieciach:

– Mamo, a czemu maluje się na Wielkanoc jajka?

– Jest taka legenda, że gdy żołdacy wlekli Pana Jezusa z krzyżem na Golgotę, wracał właśnie tamtędy z targu jakiś wieśniak niosący w koszyku jajka. Gdy zobaczył skrwawionego skazańca, postawił koszyk przy drodze i poszedł pomóc mu dźwigać krzyż. Jakież było jego zdziwienie, gdy po powrocie zobaczył, że w jego koszyku aż mieni się od ubarwionych w kolorowe wzorki pisanek. Zrozumiał, że to nagroda na jego trud. No i na pamiątkę tamtego wydarzenia corocznie na Wielkanoc barwimy jajka, które ksiądz nam poświęci.

- A co to jest legęga?
- Nie legęga, a legenda...
- Mamo, a ksiądz to też człowiek?
- Oczywiście, że człowiek.
- To on też je?

No tak, nowe pokolenie wchodzi w okres pytań. Ktoś powiedział, że czterolatek to „hałas pokryty brudem”. A ja dodam: pytający hałas!

- Nie nudź, idź już spać.
- Nie chcę. Jestem mocny narek.
- Wyłączamy telewizor, dajesz buzi i do łóżka.
- Mamo, nie dam ci buzi, bo mam kukurydziany dziób [po popcornie].

Gdy na lekcjach Kordian wciąż wygłaszał swój monolog, stojąc na szczycie Mont Blanc, Judym budował szpitaliki dla ubogich, a Barbara marzyła o Tolibowskim i jego nenufarach, świat gnał jak szalony. Setki wynalazków zmieniało życie w sposób iście rewolucyjny; powstały nowe zawody, nowe możliwości realizowania marzeń, nowe sposoby na robienie karier i na szczęście. Ale to były szanse dla młodych. Nasze myśli krążyły wokół trudnej sytuacji w szkołach i konieczności podjęcia decyzji o emeryturze.

Coraz trudniej było zrozumieć i zaakceptować kolejne zarządzenia władz oświatowych, wymagania, stosy papierzyśk do wypełniania, coraz trudniej też było zrozumieć i uczyć nowoczesną młodzież, ponieważ – jak pisała Olga Tokarczuk: „chyba jeszcze nigdy w historii dystanse między generacjami nie były tak duże [...]”. Wygląda na to, że społeczeństwo ludzkie rozwarstwiło się na pokoleniowe zony różniące się od siebie podejściem do świata, wiedzą, używaniem i jakością języka, umiejętnościami, mentalnością, rodzajem polityczności i wzorcami życia [...]. Coraz wyraźniej i głośniejszemu werbalizowanemu jest konflikt między starymi a młodymi [...]. Wnuków i dziadków dzieli dziś więcej niż kiedyś mieszkańców Nowego Jorku i Sandomierza”.

W pewnej klasie dziewięcioro uczniów przynosi zaświadczenia o dysortografii, a sześcioro jest leworęcznych. Najczęściej wszyscy oni piszą fatalnie, nieczytelnie, koślawo. Ci „dysortograficzni” bezkarnie mogą robić błędy. Niekiedy śmieją się, że choć nic im nie dolega, ale przed maturą warto takie zaświadczenie sobie „załatwić”. Przeraza „anglizacja”, wulgaryzacja i bylejakość języka, pogarda dla lektur, lekceważący stosunek do nauczycieli – tradycjonalistów, gubiących się w świecie internetu, elektronicznych nowości, technicznych nowinek.

Jak w takiej klasie uczyć, jak wychowywać, gdy sposób postrzegania świata i człowieka, podejście do rzeczywistości, do zasad moralnych, oby-

czajowych, religijnych, do sensu życia i tego, co najświętsze tak bardzo nas różni? Opadają mi ręce; chociaż młodzi ludzie, przychodzący do liceum, nie są przecież gorsi niż dawniej, ale są totalnie inni, profesorski autorytet coraz mniej znaczy, w niektórych szkołach uczniowie nauczycielowi mówią po imieniu, telewizja pokazuje gorszące incydenty ośmieszające, a nawet upokarzające pedagogów.

A my „ciągle jeszcze biegniemy”, chociaż – jak pisał Janusz Wiśniewski – uświadamiamy sobie nagle, że medale już zostały rozdane i już nie mamy szans na staniecie na podium. Biegniemy coraz bardziej zdyszani, ale i tak o wiele wolniej niż nasze pragnienia”.

Prawie corocznie pomagałam w sporządzaniu Planu Pracy Szkoły. Aż tu pewnego razu, gdy wypoczęta po wakacjach i pełna zapału przyszłam na konferencję poprzedzającą rozpoczęcie nowego roku szkolnego, nie mogłam wyjść ze zdumienia. Pani wicedyrektor Jadwiga Pajkowska oznajmiła bowiem, że plan pracy jest już „be”, więc dotychczasową przestarzałą formułę zastąpi „Wizja i Misja szkoły”, w której – między innymi – należy opracować główne zadania korelacji międzyprzedmiotowej, holistyczne postrzeganie świata, problemy interpersonalne, strategię zarządzania stresem itd. itd...

Pomyślałam: – Zniosłam mężnie kolejne reformy szkolne, klasyfikowanie uczniów z dwóją do następnej klasy, minimum programowe i wprowadzenie oceny dopuszczającej [co usprawiedliwiało niewiedzę], maturę z języka polskiego ograniczaną zadaniami ujętymi w formularz, nie pozwalającą na fantazję, na polot, na poetyckie ujmowanie problemów literackich, ale teraz to już na pewno najwyższy czas na emeryturę! Ksiądz Adam Kozłowiecki, mówił, że „z odejściem nie należy zwlekać, bo tylko do pewnego czasu ma się świadomość, że należy odejść”. A potem może być tak, jak z tym Dreptakiem z wiersza Andrzeja Waligórskiego, udającym się na zasłużoną emeryturę: „Idzie Dreptak korytarzem jak szosą, trochę idzie, a trochę go niosą”.

Do przechodzenia na „łaskawy chleb emerytalny” skłaniała nowa reforma edukacyjna. Okazało się bowiem, że nauczycieli jest za dużo, więc władze chętnie pozbywały się starszych pedagogów, dając szansę młodym.

Tak o tym informowano w lutym 2001 roku w „Obserwatorze Lokalnym”: „W tym roku ze szkół powiatu dębickiego odejdzie 101 nauczycieli. Przyczyną jest brak naboru do klas pierwszych szkół ponadgimnazjalnych. W tzw. roku zerowym nie ma już ośmioklasistów w podstawówkach, a w gimnazjach uczą się dopiero dwa roczniki [...]. Władze myślały o stwo-

rzeniu zachęty finansowej dla nauczycieli, którzy zdecydują się odejść na emeryturę. Po przepracowaniu 30 lat, w tym 20 lat w zawodzie nauczyciela, mogą oni przejść na tzw. wcześniejszą emeryturę”.

W 2001 roku odchodziliśmy więc na „zasłużony odpoczynek” całą grupą w pogodnych nastrojach. Doświadczenie nauczyło nas, że nie należy opierać życia na jednej idei, że można być szczęśliwym na różne sposoby, że „jest czas wiosny i czas jesieni, czas kwitnienia i czas owocowania, czas łowienia ryb i czas suszenia sieci”. I ten czas właśnie nadszedł.

W starożytnym Rzymie żołnierz-weteran zwany był: „emeritus” – wysłużony. Przed odejściem z służby otrzymywał dary pożegnalne, na przykład kawałek pola w jednej z rzymskich kolonii. My, niestety, nie mogliśmy liczyć nawet na najmniejszy skrawek ziemi, ale też nie odchodziliśmy z niczym. Była miła uroczystość, kwiaty, prezenciki od dyrekcji i społeczności szkolnej. Młodsze koleżanki zorganizowały uroczę przyjęcie. Od profesorki Marty Sochy otrzymałam książkę Antoniego Libery „Madame” z serdeczną dedykacją, a od profesorki Dorotki Stępień sympatyczny wierszyk, który jest dla mnie miłą pamiątką:

„Pani Halinko, licealny wieszczu!
Dziś wylewamy łzy jak krople deszczu.
Kto swymi strofy uszy nam ucieszy?
Napisze fraszkę; ostrością nie zgrzeszy.
Nikt ci talentem z nas tu nie dorówna
Takt, sympatyczność to twa cecha główna.
Kończąc te rymy nie nazbyt udane,
Życzymy wielu podróży w nieznane,
A przy tym setek filiżanek kawy,
Niechaj Cię wzmacnia do dobrej zabawy.
Mnóstwo butelek marchwiowego soku,
Który każdemu dodaje uroku.
Chwyć za paletę, a czasem za pióro,
Zajmij się pasją swą – literaturą”.

Wciąż byliśmy trochę oszołomieni. Więc to już – pytaliśmy w duchu? Okres naszej pracy to zamknięta księga? Pojawiła się nawet łezka żalu, może też odrobina poczucia niespełnienia. Ale już przychodzili młodzi, niecierpliwi, pragnący nas zastąpić.

W czasach kultu młodości, urody, sukcesu nie było łatwo pogodzić się również z nieodwracalnymi zmianami, które zachodziły w nas samych: siwiejącymi włosami, inwazją zmarszczek, coraz większą ilością złego cholesterolu i miażdżycowych płytek, mniejszymi siłami i chęciami do zmagania się z życiem.

Tadeusz Fangrat napisał fraszkę: „Włos siwieje, rozwiewa nadzieję”, ktoś inny powiedział, że „Młodość uskrzydla, a starość usidla”, a Janusz Pyziński ujął dramat starości w formę wiersza:

„zgarbiła się ziemia
pod ciężarem nieszczęść
coraz trudniej
pod garb nam iść [...]
zgarbiona ziemia wciąż nakręca zegar
czas liczy kukułki
ile nam jeszcze
zostało dat
pozytywnych?”

Ale nie poddawaliśmy się. Emerytura wszak nie miała być zasłużoną karą, a czasem – tylko dla nas. A dawne powiedzenie, że należy się starzeć z godnością, zastępowaliśmy nowym, że chcemy się starzeć z wdziękiem.

Jest taki obraz słynnego polskiego malarza Tadeusza Makowskiego „Dziad i baba” z 1930 roku, ukazujący dwoje starych ludzi naznaczonych wiekiem i smutkiem. Zgodnie z charakterystyczną, rozpoznawalną, oryginalną manierą artysty, łączącą elementy kubizmu, ekspresjonizmu i futuryzmu, postacie na obrazie są odrealnione i przypominają trochę ludziki wystrugane z drewna. Poprzez specyficzne połączenie trójkątów, kwadratów i kółek, zastosowanie ostrych kątów i chropowatej faktury obrazu, artysta odrealnił swych bohaterów. Te klockowe postacie siedzą ze splecionymi rękami złożonymi na kolanach – zmęczone życiem, pogodzone z losem. Już chyba na nic nie czekają. Z tematem współgra ciekawe zastosowanie kolorystyki: brązy, bordo, szarość i czerń kontrastują z jasnymi plamami świetlnymi, łagodzącymi pesymizm dzieła. A spokój emanujący z obrazu symbolizuje odwieczną prawdę o starości jako wieku trudnym, ale też wieku zgody ze światem, wynikającej z poczucia, że wypełniło się już swą misję i można z ulgą „złożyć ręce na podołku”. To bardzo mądre przesłanie.

Za oknem już prawie noc. Zagasły barwy wieczorne, brzuchate chmury odpłynęły gdzieś za horyzont, nieprzeniknione niebo – granatowe, dalekie, kryje tak wiele tajemnic, skłania do refleksji. Świat jest wielki i uroczy, choć groźny i niepojęty. A natura jest naszą ostoją, więc „szarpię życie za brzeg listka”. I choć trudno o optymizm, bo kalendarz coraz bardziej „się marszczy”, to „jeszcze w zielone gramy”. I możemy sobie nucić wesołą piosenkę nawiązującą do tej – ze świetnego Kabaretu Starszych Panów:

„Wesołe jest życie staruszki,
Wesołe jak piosnka jest ta,
Choć coraz koślawsze są dróżki
I pamięć, i pamięć nie ta”.

Czyste „boże” powietrze trwa nieruchomo. Zapach kawy – czarnej, smolistej, w ulubionym grubym kubku, długo utrzymującym przyjemne ciepło – przywołuje do biurka.

Klawiatura komputera lubi odgrzewane wspomnienia. Takie pisanie wspomnień to bardzo przyjemna praca, a jak pisał Stanisław Grochowiak: „Godziny przy piórze, one leczą rany, one też wstrzymują od ran zadawania”. To nic, że zazwyczaj zapamiętało się tylko jakieś okrucieństwa zdarzeń, aurę, nastrój, strzęp rozmowy, cień uśmiechu. Tak zwana „licencja poetica” pozwala wpleść między twarde fakty trochę fantazji.

Wokół cisza. Cudowna, krystaliczna, upragniona cisza, którą chcę zatrzymać jak najdłużej. Uśmiecham się. Nie mam już żadnych klasówek do poprawiania! Za to w „papierzyskach” znalazłam takie oto „Przysłowia szkolne”:

Kto rano wstaje, ten na lekcję się nie spóźnia.
Miłe złego początki – piątki.
Zdrowe cielę – kuje i w niedzielę.
Czym chata bogata? – za granicą tata.
Kto nie ma w głowie – jak podpowie?
Prawdziwych przyjaciół – poznaje się na sprawdzianie.
Oko za oko – taki zezowaty?
Dawnych przyjaciół poznaje się, ale udaje się, że się ich nie zna.
Kruk krukowi – nie podpowi.
Zemsta jest rozkoszą bogów – i wrogów.
Złość piękności szkodzi? – i o to chodzi.
Dwa grzyby w barszczu – to chyba w poście.

Nie suknia zdoobi człowieka – zwłaszcza gdy o mężczyznę chodzi.
Każda kobieta dwa razy szaleje: kiedy się kocha i – kiedy się kocha po raz drugi.

Paluszek i główka to organy rzędu naczelnych, gromady ssaków.

Czego Jaś się nie nauczył? – nie będę kablował.

Jak sobie pościesz – to zaśniesz zamiast się uczyć.

Nie czas żałować róż, gdy matura tuż!

Mowa-trawa – to rzeczowniki pospolite rodzaju żeńskiego w mianowniku liczby pojedynczej.

Na złodzieju – znów kurtka z szatni!

Baba z wozu plus baba z wozu – dwie profesorki na parkingu przed szkołą.

Gdzie drwa rąbią – tam wychowanie techniczne.

Kto wiatr sieje – ten niszczy środowisko.

Słowo się rzekło. Kto drugie podpowie?

Aksamitna ciemność powoli wlewa się przez otwarte drzwi, pokój szareje w łagodnym mroku. Za oknem ożywa się łagodna muzyka wieczoru. Otulona w szlafrok [właściwie – jako polonistka – powinnam unikać obcojęzycznych nazw więc może za Witkacym powinnam zamiast „szlafrok” powiedzieć „zatulnik”, „leniwnik”, „rozmemlnik” czy „zawijak – ach, ten język polski!] – zrywam kolejną kartkę z kalendarza i spoglądam, jak na niebo powoli wypływają gwiazdy i na horyzoncie złoci się „księżyc – poeta”, który „w czarnym kajecie nieba złotym atramentem gwiazd pisze dla mnie wiersz” [Janusz Pyziński]. To właśnie ten poeta każe wierzyć:

„jeszcze nas księżyc oczaruje
jeszcze nas gwiazdy wezmą pod rękę
jeszcze nas drzewa obłapią czule
jeszcze nam wiatr potarga włosy...”

A teraz czas kończyć, bo „ugrzęzłam w przeszłości po uszy”.

Doskonale wiem, że – jak twierdził Antoni Czechow – „siostrą talentu jest zwieźłość”, ale – niestety – wyszedł mi strasznie „długaśny latopisiec”. I chociaż – mówiąc znów słowami ukochanego Sztaudyngera: „Oto historia nie skłamana niczem. Nie byłam Mickiewiczem” – to może ów „latopisiec” okaże się „kamieniem grobowym położonym na starej szkole naszej”,

bo obecny – wciąż tradycyjny – system szkolny, jest coraz mocniej krytykowany jako przestarzały i wkrótce może przejść do historii.

Już w latach osiemdziesiątych Marian Morawczyński pisał: „Taka szkoła, w której rozpanoszył się program, podręcznik, autonomia informacji, w której dumnie rozpiera się na stole dziennik lekcyjny z setkami dramatów zapisanych w formie zamasztych zakrętasów dwójek [wówczas najniższych stopni] – jest w istocie instytucją antyhumanistyczną, jest instytucją uczniów, programów, dzienników – ale nie ludzi”.

Coraz liczniej pojawiające się eksperymenty – wprowadzające edukację alternatywną – powinny dokonać w szkole prawdziwej rewolucji. Neuroedukatorka Dorota Witt pisała:

„Nasze mózgi są stworzone do nauki, ale to, co za uczenie uznaje szkoła systemowa, z neurobiologicznego punktu widzenia, z uczeniem nie ma wiele wspólnego”.

I dalej: „Spójrzmy na szkołę, jaką znamy: ławki dla uczniów ustawione naprzeciwko biurka nauczyciela, co ma od razu pokazywać miejsce w szkolnej hierarchii i sztucznie budować wiarę w potęgę autorytetu, lekcje trwające 45 minut, wiedza podzielona sztucznie na przedmioty, co utrudnia wnioskowanie i rozumienie powiązań między faktami. W prawdziwym świecie dziedziny wiedzy się przenikają i uzupełniają, nie da się wskazać naturalnej granicy między biologią a chemią, a szkoła to, niestety, robi. Dzieli uczniów według wieku, bo system zakłada, że ci, którzy urodzili się w tym samym roku, będą w tym samym momencie gotowi na przyswajanie danej wiedzy. Więcej nawet – że wszyscy potrzebują na przyswojenie tej wiedzy np. trzech lekcji. Jak ktoś złapał, super, jak nie – jedziemy dalej z programem”.

Następnie autorka mówi o zaletach szkoły przyszłościowej, alternatywnej:

„Systemy alternatywne mają za założenia likwidować bariery utrudniające dzieciom samodzielne uczenie się. W alternatywnej szkole szanuje się autonomię dziecka, daje się mu możliwość popełniania błędów, odchodzi się od sztucznego podziału wiedzy na przedmioty. Nie ma też cząstkowego oceniania, rutynowego testowania uczniów i stresującego odpytywania przy tablicy, bo te praktyki służą tylko tabelkom analizowanym w kuratorium, nie przyczyniają się do lepszego przetwarzania wiedzy. Gdy usuniemy sztuczne bariery, dzieci uczą się niemal same, bo nasze mózgi są do tego stworzone [...]”.

Systemy alternatywne nie tylko służą zapamiętywaniu wiedzy, ale i jej zrozumieniu – uczymy się wyciągać wnioski, szukać powiązań między

znanymi już faktami z różnych dziedzin wiedzy [...]. Uczeń ma być w stanie nie tylko użyć nowej wiedzy, ale i mieć świadomość, że dzięki niej może sięgać do coraz bardziej skomplikowanych treści”. Może wkrótce taka będzie szkoła; już dla nas – byłych nauczycieli – obca.

A ja – patrząc w ciemne okno i przytulając twarz do zimnej szyby – myślę słowami Boya: – „Co miałam powiedzieć powiedziałam, co miałam napisać, napisałam; czytajcie, badajcie, sądźcie to sobie, ile chcecie”.

„O, wspomnień słodkich, wspomnień rój,
Błogosławiony kaprys twój!”

Dębica 2019-2023 r.

NOTY BIOGRAFICZNE RECENZENTÓW

Profesor dr hab. inż. Janusz Mrocza – twórca polskiej metrologii elektronicznej i fotonicznej – był wybitnym absolwentem naszego liceum z 1971 roku.

Studia wyższe ukończył w roku 1976 na Politechnice Wrocławskiej, z którą związany jest zawodowo do dnia dzisiejszego. W 1980 r. obronił pracę doktorską, a w 1991 r. uzyskał stopień doktora habilitowanego. Tytuł naukowy profesora uzyskał w roku 1996. Od 1999 r. jest zatrudniony na stanowisku profesora zwyczajnego, a od 2021 r. ze statusem *professor magnus*.

Zainteresowania naukowe Profesora dotyczą metodologii procesu poznawczego, algorytmizacji problemu odwrotnego, pomiarów pośrednich źle uwarunkowanych numerycznie, analizy spektralnej i polaryzacyjnej promieniowania rozproszonego w opisie właściwości układów dyspersyjnych, metodologii łączenia danych pomiarowych o różnej przestrzennej rozdzielczości z wykorzystaniem deterministycznych i stochastycznych metod przetwarzania, wykorzystania reprezentacji czasowo-częstotliwościowych sygnałów w przetwarzaniu danych pomiarowych, opracowania metody momentów w analizie układów dyspersyjnych.

Profesor Janusz Mrocza jest autorem 454 publikacji (152 z listy filadelfijskiej), współautorem 13 książek (5 zagranicznych, 8 krajowych), 8 patentów (4 wdrożenia). Liczba cytowań jego prac wynosi 2069, z indeksem Hirscha $h = 30$ (baza Scopus). Był realizatorem (kierownik lub główny wykonawca) 27 grantów (7 międzynarodowych).

Profesor Janusz Mrocza jest członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk. W latach 1991-1996 był z wyboru Dyrektorem Instytutu Metrologii

Elektrycznej Politechniki Wrocławskiej. Założył w 1998 roku Katedrę Metrologii Elektronicznej i Fotonicznej Politechniki Wrocławskiej – pierwszą katedrę na Politechnice Wrocławskiej po 1968 r., którą kieruje do chwili obecnej. W latach 2013-2020 był członkiem Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Wprowadził na listę filadelfijską czasopismo „Metrology and Measurement Systems”. Od 2020 r., rok po roku, jest obecny na prestiżowej liście TOP 2% najbardziej wpływowych ludzi nauki na świecie, publikowanej corocznie przez Uniwersytet Stanforda. Prof. Janusz Mroczka był promotorem 26 prac doktorskich (4 *Cotutelle* we Francji), opiekunem 8 habilitacji, recenzował 3 doktoraty *honoris causa*, 58 wniosków profesorskich (1 zagranicą), 56 habilitacji, 24 doktoratów, wypromował ponad 200 dyplomantów.

Został odznaczony m.in.: Krzyżem Komandorskim (2021r.), Krzyżem Oficerskim (2013r.), Kawalerskim OOP (2003r.), Złotym, Srebrnym i Brązowym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką Politechniki Wrocławskiej z Brylantem, Medalem im. prof. Kazimierza Idaszewskiego, Medalem im. prof. Włodzimierza Krukowskiego.

Został uhonorowany doktoratami *honoris-causa*: Politechniki Lubelskiej (2014 r.), Politechniki Opolskiej (2017 r.), Politechniki Gdańskiej (2019 r.), Wojskowej Akademii Technicznej im. Jarosława Dąbrowskiego (2019 r.) oraz Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie (2020 r.).

Profesor dr hab. Zdzisław Noga – (ur. 1961 w Dębicy) był również wybitnym absolwentem naszego liceum [z roku 1980].

Studia historyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie ukończył w 1985 r., tamże – doktorat w 1993 r. (*Osadnictwo i stosunki własnościowe w księstwie siewierskim do 1790 roku*; promotor – prof. dr Feliks Kiryk) i habilitację – w 2003 r. (*Krakowska rada miejska w XVI wieku. Studium o elicie władzy*, Kraków – 2003 r.), następnie tytuł profesora – w 2010 r. Od 1985 r. zatrudniony w WSP w Krakowie (która przekształciła się kolejno w Akademię Pedagogiczną i Uniwersytet Pedagogiczny) na stanowisku – od asystenta stażysty do profesora zwyczajnego (w 2012 r.). W macierzystej uczelni pełnił funkcje: zastępcy dyrektora Instytutu Historii (2003-2009) dyrektora Instytutu Historii (2009-2012) i dziekana Wydziału Humanistycznego (2012-2016). Wypromował 9 doktorów.

Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół dziejów miast i historii Krakowa w okresie staropolskim, kartografii historycznej oraz stosunków polsko-niemieckich. Jest autorem ponad 200 publikacji. Współwydawca 15-tomowej edycji *Galicja na józefińskiej mapie to-*

pograficznej 1779-1783, uważanego za jedno z największych współczesnych przedsięwzięć edytorskich, nagrodzonego nagrodą Prezesa Rady Ministrów RP (2022). Wydawca atlasów historycznych miast małopolskich w serii *Atlas historyczny miast polskich* wydawanej pod patronatem prestiżowej Międzynarodowej Komisji Historii Miast. Redaktor serii wydawniczych „Biblioteka Krakowska” i „Kraków w dziejach Narodu”, współredaktor „Rocznika Krakowskiego”.

Członek Międzynarodowej Komisji Historii Miast, Komisji do Historii Niemców w Polsce, przewodniczący Komisji Historii Miast przy Komitecie Nauk Historycznych PAN (2011-2020), członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego, wiceprezes Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa; członek Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Sekretarz Rady Naukowej Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie (2010-2014), członek rady naukowej Polskiej Misji Historycznej przy Uniwersytecie Juliusa Maksymiliana w Würzburgu i Friedrich-Christian-Lesser-Kollegs w Jenie, a także Rady Naukowej Instytutu Historii PAN w Warszawie, przewodniczący Rady Naukowej Centrum Studiów Mediewistycznych przy KUL w Lublinie.

Profesor dr hab. Stanisław Waltoś – teoretyk nauk prawnych, wykładowca akademicki – był wybitnym absolwentem naszego liceum z 1950 roku.

Profesor Waltoś ukończył wydział prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim [w 1954 roku]. W 1962 roku uzyskał stopień doktora, w 1968 – doktora habilitowanego, w 1979 – profesora nadzwyczajnego, a w 1987 – profesora zwyczajnego. Był wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, kierownikiem Zakładu Postępowania Karnego na Wydziale Prawa UJ [od 1974 roku], dyrektorem Muzeum UJ [1977-2011], a – po przejściu na emeryturę – wykładowcą w Wyższej Szkole informatyki i Zarządzania w Rzeszowie,

Jest wybitnym specjalistą w zakresie historii prawa i postępowania karnego, wychowawcą wielu pokoleń prawników [promotor 17 prac doktorskich]. Brał m. in. udział w pracach Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych Solidarności [lata 80.] i w komisji ds. Reformy Prawa Karnego [lata 1987-1995]. W latach 1992-1997 był ekspertem Rady Europy.

Profesor Waltoś jest członkiem PAN i PAU, laureatem trzech tytułów honoris causa [UMCS w Lublinie, UW i Bałtyckiego Uniwersytetu Federalnego w Królewcu], właścicielem wielu odznaczeń; m.in. Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą, Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski,

Złotego Krzyża Zasługi, Złotego Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, Złotego Medalu Muzeum Narodowego w Krakowie czy Medalu „Adwokatura Zasłużonym”.

Przez pewien okres czasu pracował w Prokuraturze Wojewódzkiej w Krakowie, był również przewodniczącym Rady Naukowej Zakładu Narodowego Ossolińskich, redaktorem czasopism związanych z prawem i muzealnictwem..

Jest autorem wielu publikacji z zakresu prawa, w tym podręcznika akademickiego „Proces karny. Zarys systemu”.

W roku 2022, z okazji 90. urodzin profesora Waltosia, została wydana [pod red. D. Szumiło-Kulczyckiej] publikacja pt. W pogoni za rzetelnym prawem karnym: księga dedykowana Profesorowi Stanisławowi Waltosiowi”.

PODZIĘKOWANIA

Książka „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” powstawała przez kilka lat, więc – chociaż miała obejmować pierwsze stulecie istnienia Gimnazjum i Liceum w Dębicy – pojawiają się w niej również odniesienia do lat późniejszych. Przez cały czas pisania towarzyszyli mi moi najbliżsi, dzięki którym mogłam uciec od codzienności i zanurzyć się w świecie wspomnień. Dziękuję pięknie im wszystkim; niestety najważniejsza dla mnie osoba odeszła już na zawsze.

Inspiracją do wydania książki były zabiegi kolegi – Pana Leszka Klabachy, który – jeszcze jako dyrektor naszego liceum – zachęcał mnie do napisania wspomnień o szkole. Chętnie też zajął się wszystkimi sprawami dotyczącymi wydania i wypromowania książki, poświęcając wiele serca i czasu, załatwiając tysiące spraw, dzięki czemu mogłam spokojnie czekać na szczęśliwy finał.

Dziękuję żonie Pana Leszka – Pani Danusi, że z pogodą ducha znosiła nieobecności męża i rozumiała jego zapał w poszukiwaniu możliwości wydania książki oraz angażowaniu pomocnych ludzi.

Wśród nich pragnę wymienić mojego profesora wuefu, a zarazem kolegę z pracy – Pana Andrzeja Mola – niezwykle życzliwego, chętnego do pomocy, cieszącego się z szansy ocalenia wielu licealnych wspomnień i fotografii. To dzięki niemu pozyskaliśmy finansowego sponsora.

Został nim Pan Piotr Mikrut – prezes zarządu Fabryki Farb i Lakierów „Śnieżka” – były absolwent naszej szkoły, mój uczeń. Jestem mu za to bardzo wdzięczna. Dziękuję.

Pięknie dziękuję Pani Dorotce Stępień – życzliwej, skrupulatnej korektorze tekstu, mojej serdecznej koleżance.

Serdecznie dziękuję recenzentom – Panu Profesorowi Januszowi Mrocze, Panu Profesorowi Zdzisławowi Nodze i Panu Profesorowi Stanisławowi Waltosiowi.

Jestem dumna i szczęśliwa, że Pan Profesor Janusz Mrocza, pracownik Politechniki Wrocławskiej, autorytet naukowy, człowiek wielkiego serca – mimo nawału zajęć związanych z pracą naukową i pedagogiczną – zainteresował się moją książką i życzliwie ją zrecenzował.

Jestem dumna, że drugim – również bardzo życzliwym recenzentem – został Pan Profesor Zdzisław Noga – wybitny historyk, znawca średniowiecza, absolwent naszej szkoły z 1980 roku, mój uczeń.

Cieszę się również, że trzecim recenzentem został Pan Profesor Stanisław Waltoś z Uniwersytetu Jagiellońskiego – łagodny i tolerancyjny przy ocenie mojej książki.

Dziękuję za pomoc w wydaniu książki wiceburmistrzowi Dębicy – Panu Maciejowi Małozięciowi, Pani Aleksandrze Małozieć – dyrektorowi do Spraw Komunikacji Korporacyjnej ESG z firmy „Śnieżka”, Pani dyrektor Miejskiej i Powiatowej Biblioteki w Dębicy – Monice Rojek-Kałek, Pani dyrektor Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy – Ludmile Stelmach-Kołodziej i bibliotekarce liceum – Pani Marii Trojanowskiej.

Jestem bardzo wdzięczna koleżankom, które podzieliły się ze mną swoimi wspomnieniami i ofiarowały fotografie do książki – Paniom: Ani Dominiak, Małgosi Kurcz, Marysi Marek, Basi Lis oraz Pani Zosi Rybce – córce profesora Piotra Rybki, mojej uczennicy.

Wiele zawdzięczam, przygotowującemu książkę do druku i projekt okładki, Panu Łukaszowi Sady, za anielską cierpliwość i profesjonalną pomoc. Dziękuję.

Wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do wydania wspomnień o dębickim gimnazjum i liceum pt. „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie...” nisko się kłaniam.

Z poważaniem – Halina Niziołek

FOTOGRAFIE



„Nauczyciele pasjonaci i artyści organizowali orkiestrę i wychowywali kolejne pokolenia utalentowanej młodzieży” [Orkiestra gimnazjalna ze swymi profesorami muzyki: Kazimierzem Klamutem, dyr. Błażem Kotfisem i Stanisławem Darłakiem] – zdjęcie zamieszczone w pracy Anety Kwolek pt. „Liceum Ogólnokształcące w Dębicy. Próba monografii”



„Jego zwinne palce wprost pieściły klawiaturę akordeonu, tańczyły po klawiszach” [Profesor Zdzisław Czerny z licealnym zespołem pieśni i tańca] – ze zbiorów Zofii Rybki



„Powaga w oczach i godność przynależna pełnionej funkcji”
[Umundurowani woźni przed gronem profesorskim dębickiego gimnazjum] –
zdjęcie zamieszczone w pracy Anety Kwolek pt. „Liceum Ogólnokształcące
w Dębicy. Próba monografii”



„Dębicka „sokolnia” działała prężnie” [Profesorowie gimnazjum przed budynkiem
„Sokoła” – 1918 rok; Kazimierz Klamut, ks. Błażej Kotfis, Stanisław Wiśniewski –
prezes „Sokoła”, Józef Wyrobek] – zdjęcie zamieszczone w pracy Antoniego Stańki
i Eugeniusza Skowrona pt. „Dębica. W Karpackiej Brygadzie Legionów”



„Tłumaczył matematykę cudownie i reżyserował przedstawienia teatralne, których scenariusze pisał sam” [Profesor Józef Wiercioch ze swoją grupą teatralną] – zdjęcie zamieszczone w pracy Anety Kwolek pt. „Liceum Ogólnokształcące w Dębicy. Próba monografii”

„Ruch skautowski – chociaż zmieniał się jego kształt, charakter, formy działania – to zawsze przyciągał młodzież pragnącą działać i przeżywać wspaniałe przygody” [Stanisław Waltoś – późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, recenzent mojej książki – jako uczeń liceum i harcerz] – zdjęcie zamieszczone w książce Stanisława Waltosia pt. „Wędrowanie po wypach pamięci”





„Elegancki, w spodniach bryczesach i wyglansowanych butach, nosił wysoko głowę, wyrażając swą majestatyczną sylwetką gotowość działania i pewność sukcesu” [Dyrektor liceum – Wiktor Pietrzykowski] – ze zbiorów Zofii Rybki



„Uważał, że chemia to cudowny i łatwy przedmiot, a nie umieją go tylko lenie” [Profesor Rybka jako wychowawca naszej klasy – i my jego wychowankowie] – ze zbiorów Zofii Rybki



„Przesympatyczny katecheta uczący nas religii i my: obowiązkowe chałaty, białe kołnierzyki, gładkie fryzury” [Ksiądz Zbigniew Skubiel z moją klasą przed kościołem świętej Jadwigi] – ze zbiorów HN



„Na zakończenie szkoły chętnie ustawiał się z nami do zdjęć”
[Profesor Władysław Kulig i my – absolwenci z 1963 roku] – ze zbiorów HN



„W Dolinie Pięciu Stawów. Cała grupa uśmiechnięta i szczęśliwa” [Uczestniczki szkolnego obozu wędrownego; profesorki Helena Gałuszka i Maria Nowak – jak zawsze skromne – stoją w ostatnim rzędzie] – ze zbiorów HN



„Lekcje prowadziła wręcz wzorowo” [Profesorka Zdzisława Grundboeck i jej uczennice; wszystkie w białych bluzeczkach uszytych według jednego wzoru] – zdjęcie zamieszczone w pracy Ewy Nowackiej pt. „I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy we wspomnieniach nauczycieli i uczniów”



„Był wychowawcą wielu pokoleń chemików” [Profesor Piotr Rybka z uczniami] –
ze zbiorów Zofii Rybki



„Na owej uroczystości profesor wyglądał pogodnie i dziarsko”
[Jubileusz 50-lecia pracy profesora Władysława Zielińskiego – 1974 rok].
Pierwsza z lewej – profesor UMCS w Lublinie – Eugenia Łoch –
ze zbiorów Anny Dominiak



„Najbardziej byliśmy dumni z olimpijczyków” [Uczniowie „chemicy”:
Tomasz Spalek i Marcin Gajewski – absolwenci z roku 1994] –
ze zbiorów Anny Dominiak



„Wychowały wielu olimpijczyków, hołubiły ich ambicje” [profesorki:
Anna Dominiak i Krystyna Barszcz z uczniami] – ze zbiorów Anny Dominiak



„Sport to przyszłość” [Zawody sportowe na dawnym stadionie liceum, w miejscu, gdzie wybudowano Szkołę Podstawową nr 4] – ze zbiorów Andrzeja Mola



„Byliśmy potęgą w sporcie w województwie” [Rok 1956. Na mieleckim stadionie sportowcy naszego liceum: drużyna siatkówki dziewcząt i lekkoatletyczna – chłopców; wśród nich mistrz – Zbyszek Przybyłowski] – ze zbiorów Andrzeja Mola



„Wyrabianie przy pomocy gimnastyki ducha męskiej dzielności i karność”
[Rok 1953. Zawody sportowe na stadionie Cracovii; profesor Andrzej Mol
jako student – rzut kulą] – ze zbiorów Andrzeja Mola



„Profesor Mol obserwował nasze osiągnięcia, sportowe, a złote iskiereki radości błyszczały w jego oczach” [Dekoracja licealnych mistrzów sportowych; profesorzy: Andrzej Mol i Ferdynand Bachurski] – ze zbiorów profesora Mola



„Matura była egzaminem odbywającym się w atmosferze powagi, dostojęstwa, tajemnicy i magii” [Egzamin pisemny w roku 1980; wśród zdających późniejszy profesor licealny – historyk Artur Bieszczad] – ze zbiorów HN



„Matury w naszej szkole mają długą tradycję” [Ustny egzamin maturalny; profesorki Irena Janda i Stanisława Gawryś] – ze zbiorów Zofii Rybki



„Egzotyczna palma wylądowała na półpiętrze, stając się tłem fotografii klasowych” [Pod palmą wychowankowie profesora Antoniego Wozowicza – przyszli absolwenci 1995 roku, a wśród nich profesorzy: Antoni Wozowicz i HN; obok wychowawcy Piotr Szveda – późniejszy ksiądz i poeta] – ze zbiorów HN



„Tuż za progiem „lato, lato, lato czeka” [Zakończenie roku szkolnego 1977/1978; wśród młodzieży dyr. Edmund Galas i prof. Maria Grek, Teresa Berka, Zofia Wawrzaszek, Stanisław Jantoń, Maria Cierpiak, HN, Urszula Piękoś, Zdzisław Czerny] – zdjęcie zamieszczone w pracy Ewy Nowackiej pt. „I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy we wspomnieniach nauczycieli i uczniów”



"Profesorka Dorotka kochała młodzież" [Zakończenie roku szkolnego; wręczenie kwiatów profesorce Dorocie Stępień przez wdzięcznych uczniów – absolwentów 1990 roku] – ze zbiorów Doroty Greckiej



„Obcowanie z młodymi ludźmi działało ożywczo, odmładzało, nobilitowało, przynosiło radość” [Ja wśród uczennic: Ania U. Asia B. Mirka C. – absolwentki z 1993 roku] – ze zbiorów HN



„Pamiętam zbiórki na stadionie „Wisłoki”. Nasi nauczyciele sprawdzali obecność uczniów” [Przed pierwszomajowym pochodem; profesorzy: Zbigniew Fladerer, Zdzisław Czerny i Władysław Kulig] – zdjęcie zamieszczone w pracy Edwarda Wodzenia pt. „Dębica. Nasze szkolnictwo do końca wieku XX”



„A potem szliśmy: lewoj, lewoj, lewoj...” [W pierwszomajowym pochodzie idą profesorowie: Andrzej Mol, Stanisław Jantoń, Zofia Wawraszek, Maria Nowak i inni] – ze zbiorów Andrzeja Mola



„Już na zawsze maszerujący: „lewoj, lewoj, lewoj...” [W pierwszomajowym pochodzie idą profesorowie: Urszula Piękoś, Ferdynand Bachurski, Zofia Wawrzaszek, Władysława Prokop, Czesława Ryszawa, Stanisław Jantoń, Władysław Kulig, Józef Nowak] – ze zbiorów Anny Dominiak



„Znana z psot klasa „c” wyprzebiarała się za pracowników ZOM-u” [Świętowanie Dnia Wagarowicza; wśród uczniów – moja córka Dorotka] – ze zbiorów Doroty Greckiej



„Absolwenci skrzykują się czasami, by spotkać się po latach” [Rok 1981 – 20-lecie matury; wśród absolwentów stoją profesorowie: Czesława Ryszawa, Helena Oleńska, Irena Janda, Stanisława Gawryś, Edmund Galas] – ze zbiorów Andrzeja Mola



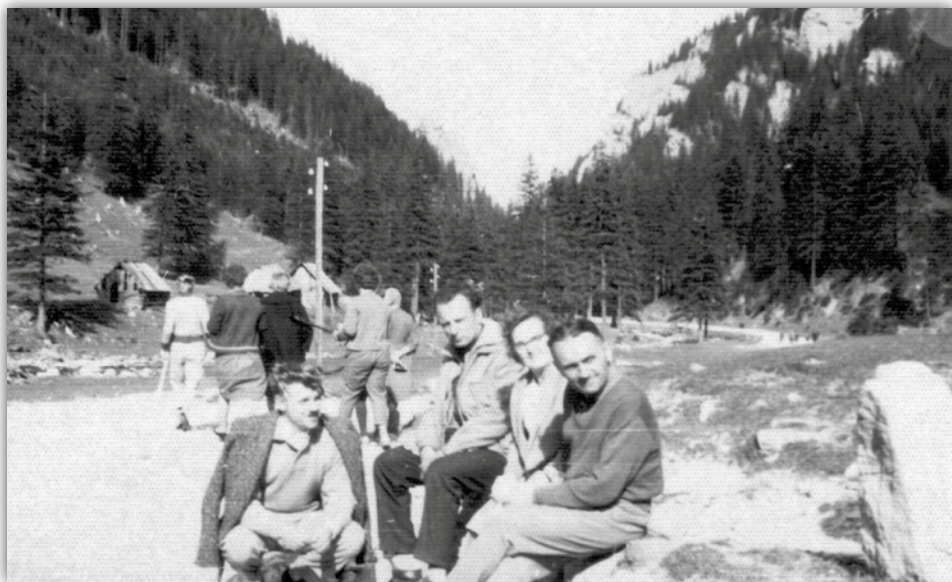
„Wszystkie spotkania po latach wspominam z rozrzewnieniem” [2001 rok – 20-lecie matury; wśród zebranych w auli absolwentów profesorzy: Barbara Olechniewicz, Urszula Piękoś, Anna Dominiak, Krystyna Kumięga, HN, Celina Ukowska] – ze zbiorów HN



„Chociaż tyle lat minęło, prawie nic się nie zmieniło”
[Zjazd absolwentów klas: IV d i IV f z 1985 roku w 30-lecie matury] –
ze zbiorów HN



„Czuliśmy, że profesor Mol kocha młodzież”
[Licealiści z profesorem Andrzejem Molem na wycieczce szkolnej
w Warszawie] – ze zbiorów Andrzeja Moła



„Ach, jak tam było pięknie” [Nauczycielska wycieczka w Pieniny;
profesorowie: Piotr Rybka, Zdzisław Czerny, Olga Sidorowicz
i jej mąż Mieczysław Sidorowicz] – ze zbiorów Zofii Rybki



„Profesor Józef Nowak wydawał mi się dużo bardziej przyjazny, łagodny,
tolerancyjny niż dawniej” [Na nauczycielskiej wycieczce do Lublina,
Nałęczowa i Kazimierza; obok profesora profesorka Maria Marek,
HN i żona profesora Stanisława Koconia – Ewa] – ze zbiorów HN



„Wielki świat, który wydawał nam się taki odległy, otwierał swoje podwoje [Młodzież liceum z profesorką Teresą Czyżowską na wycieczce we Francji; przed budynkiem żandarmerii w Saint Tropez, sławnym z serii filmów o żandarmach] – ze zbiorów HN



„Prawie każdego roku organizowałem wycieczkę” [Profesor Tomasz Kozioł – i inni profesorowie – na wycieczce młodzieży licealnej w Delfach; pod klonem, który – według greckich podań – zasadził starożytny król Teb – Agamemnon] – ze zbiorów HN



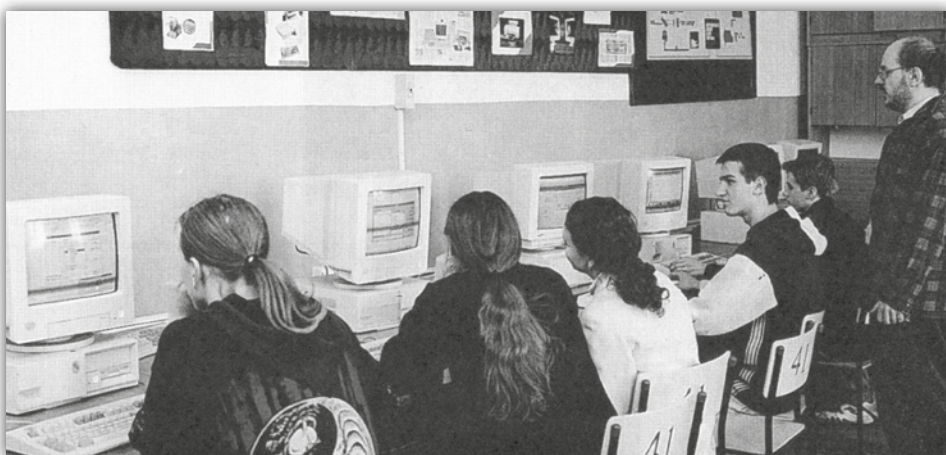
„Śmialiśmy się często, a śmiech był nam potrzebny jak chleb”
[W wycieczkowym autokarze – profesorki: Helena Gałuszka
i Zdzisław Czerny] – ze zbiorów Zofii Rybki



„Wycieczka do Pragi bardzo się
udała” [Przed stylową knajpką
improvizujemy scenkę „ze Szwejka”
– profesorki Marta Socha, Lucyna
Wodzińska HN i Anna Dominiak] –
ze zbiorów HN



„Uczta na Olimpie”; nie było żadnych sporów, bo nie zaproszono bogini niezgody – Eris” [Wieczornica podsumowująca omówienie „Mitologii” Jana Parandowskiego] – ze zbiorów HN



„W latach 90. do szkół zaczęła wkraczać informatyka” [Profesor Leszek Klabacha i jego uczniowie w pracowni informatycznej] – zdjęcie zamieszczone w pracy Anety Kwolek pt. „Liceum Ogólnokształcące w Dębicy. Próba monografii”



„Syzyfową pracą była walka z długimi włosami moich wychowanków, buntujących się przeciwko obowiązującemu „wojskowemu językowi” [Moi pierwsi licealni wychowankowie z profesorką Wandą Zakrzewską] – ze zbiorów HN



„Jak znaleźć klucz do uczniowskich serc” [Lekcja języka polskiego – przy tablicy Urszula Ł. – późniejsza nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 3 w Dębicy] – ze zbiorów HN



„Profesorka Czyżowska kochała uczniów” [Pomaturalne zdjęcie z wychowankami, absolwentami 1988 roku; wśród nich mój syn – Jacek] – ze zbiorów HN



„Śniliśmy nasze małe tęsknoty i wielkie marzenia” [Młodzi profesorzy liceum: Anna Gwóźdź, Kazimierz Gwóźdź, Helena Gałuszka oraz Stanisława Gawryś] – ze zbiorów Zofii Rybki



„Przypominam sobie ich twarze, jakiś uśmiech, rozmowę”
[Ja z uczniem Arturem S. – absolwentem z 1999 roku] – ze zbiorów HN



„Młodość dodawała im skrzydeł” [Uczennice z ostatniej mojej klasy: Dorota Ś.,
Dorota Z., Magda S., Karolina M; czerwiec 2000 – koniec roku szkolnego] –
ze zbiorów HN



„Biskup Wiesław Lechowicz naszą szkołę wspominał ciepło, z nostalgią”
[Spotkanie opłatkowe w naszym liceum – rok 2010] – zdjęcie ze zbiorów HN

„Takich uczniów się nie
zapomina” [Bywałam
noszona na rękach;
moi wychowankowie:
Krzysiek K., Grzesiek
J., Tomek K., Wojtek J.,
Marcin W., i Jacek D. –
absolwenci z 1999 roku
w dniu zakończenia roku
szkolnego] – ze zbiorów HN





„Iluż było tych profesorów!” [Koniec wieku XX; przed budynkiem liceum grono profesorskie: Aneta Kwolek, Barbara Olechniewicz, ks. Krzysztof Pasyk, ks. Wiesław Pieja, Krystyna Wojciechowska, Małgorzata Pasek, Lidia Górską, Maria Szmyd, Zofia Wawrzaszek, Andrzej Pietrasik, Lucyna Wodzińska, Lidia Myszką, Tomasz Pyka, Maria Grek, Urszula Bochyńska, Lech Kruczała, Dorota Stępień, Anna Dominiak, HN, Joanna Krok, Ryszard Kulig, Magdalena Piotrowska, dyr. Ryszard Pękala, Lidia Pogorzelska, Katarzyna Zasadny, Teresa Czyżowska] – ze zbiorów HN



„100-lecie szkoły. Gdy tak szliśmy pod sztandarami, wielu mieszkańców miasta przystawało i uśmiechało się z życzliwością” [z budynku szkolnego do kościoła idą m.in. profesorzy: Antoni Wozowicz, Teresa Berka, Krystyna Kumiega, Maria Marek, Krystyna Barszcz, Grażyna Magnowska, Anna Łucarz, Anna Dominiak, Ewa Kantor, Maria Grek, Małgorzata Pasek, Mieczysław Kogut] – ze zbiorów HN



„Setna rocznica powstania szkoły. Zostało mnóstwo kolorowych zdjęć”
[Profesorowie gromadzący się przed kościołem św. Jadwigi: Ewa Kantor,
Zofia Wawrzaszek, Urszula Piękoś, Antoni Wozowicz, Celina Ukowska,
Małgorzata Kurcz, Maria Grek, Czesław Surowiec, Grażyna Magnowska] –
ze zbiorów HN



„Wyszukiwałyśmy uzdolnioną i chętną do występowania młodzież,
przygotowując corocznie różne akademie”
[Rok 1995 – Uroczystość 95-lecia szkoły] – ze zbiorów HN

„Było tak uroczyście i wzruszająco, że chciało się zakrzyknąć: „Trwaj chwilo, jesteś piękna” [Poświęcenie sztandaru szkoły; przed sztandarem przyklęka dyrektor Ryszard Pękala, obok – profesor Andrzej Mol i uczący religii ks. Bogusław Czech] – ze zbiorów HN



„Zdarzało się, że nasz trud bywał dostrzegany przez władze” [95-lecie szkoły; dyrektor Ryszard Pękala wręcza nagrody profesorom: Małgorzacie Pasek, Władysławie Prokop, Lucynie Wodzińskiej i Kazimierzowi Gwoździowi] – ze zbiorów HN



„Obrazy, którymi obdarowywał bliskich, jeszcze do dziś
zdobią ściany przyjaciół profesora” [Portret profesorki
Marii Marek autorstwa profesora Mieczysława Koguta] –
ze zbiorów Marii Marek



„Jest w naszej szkole taka
kobita...” [Moja karykatura
wykonana przez ucznia] –
ze zbiorów HN

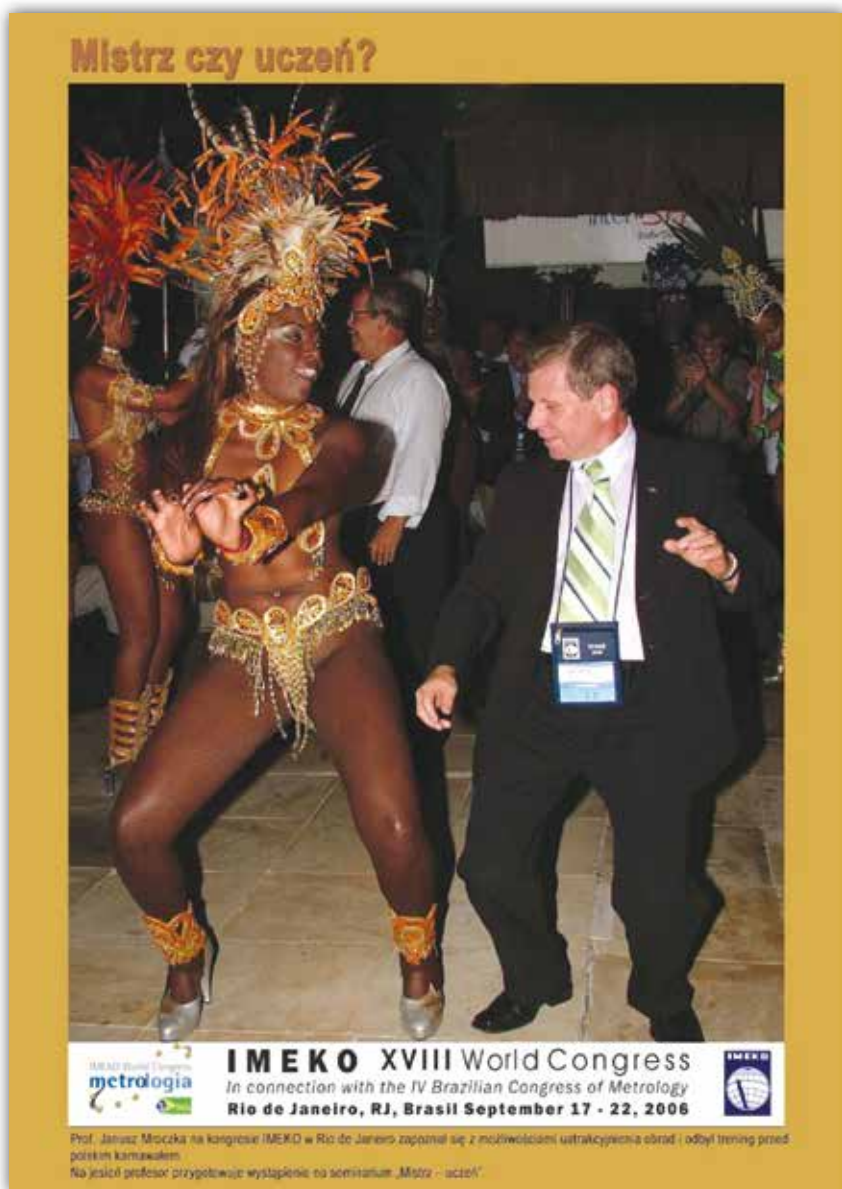


Krzysztof Penderecki – maturzysta dębickiego Liceum z 1951 r.

„Najwybitniejszym absolwentem naszego liceum był Krzysztof Penderecki” [Fotografia genialnego muzyka, światowej sławy kompozytora, najślawniejszego dębiczana wykonana w roku jego matury – 1951.] – zdjęcie zamieszczone w pracy Anety Kwolek pt. „Liceum Ogólnokształcące w Dębicy. Próba monografii”



„Podróżowanie stało się symbolem wolności, chyba dlatego, jest tak atrakcyjne” [Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny absolwent liceum z roku 1980, recenzent książki – Zdzisław Noga w Dolomitach] – ze zbiorów Zdzisława Nogi



„To człowiek kreatywny, wrażliwy, z dużym zacięciem humanistycznym, z poczuciem humoru i dystansu wobec siebie” [Profesor Politechniki Wrocławskiej, wybitny absolwent naszej szkoły z 1971 roku, recenzent książki – Janusz Mroczka w Rio] – zdjęcie zamieszczone w pracy „Problemy metrologii elektronicznej i fotonicznej. Księga dedykowana Prof. Januszowi Mroczce z okazji 70. urodzin i 46-lecia pracy na Politechnice Wrocławskiej” pod red. Grzegorza Świrniaka



„Zaproszenia profesorów na studniówkę były zawsze starannie przygotowane, często oryginalne” [Są do dziś miłą pamiątką; to nic, że czasem zakradały się tam pewne niezręczności] – ze zbiorów HN



„Bał studniówkowy „startował” długo przygotowywanym polonezem” [Studniówka w liceum – 1989 rok; wśród tancerzy późniejsza moja synowa – Marta P.] – ze zbiorów Marty Pociy-Niziołek



„Studniówki, odbywające się w szkole, miały niepowtarzalną atmosferę i swoisty urok” [Studniówka w Technikum Ekonomicznym – prof: Stanisław Kłok, żona prof. Andrzeja Mola – Krystyna Mol i dyr. „ekonomika”, absolwent liceum – Stanisław Ożóg] – zdjęcie zamieszczone w pracy Edwarda Wodzenia pt. „Dębica. Nasze szkolnictwo do końca wieku XX”



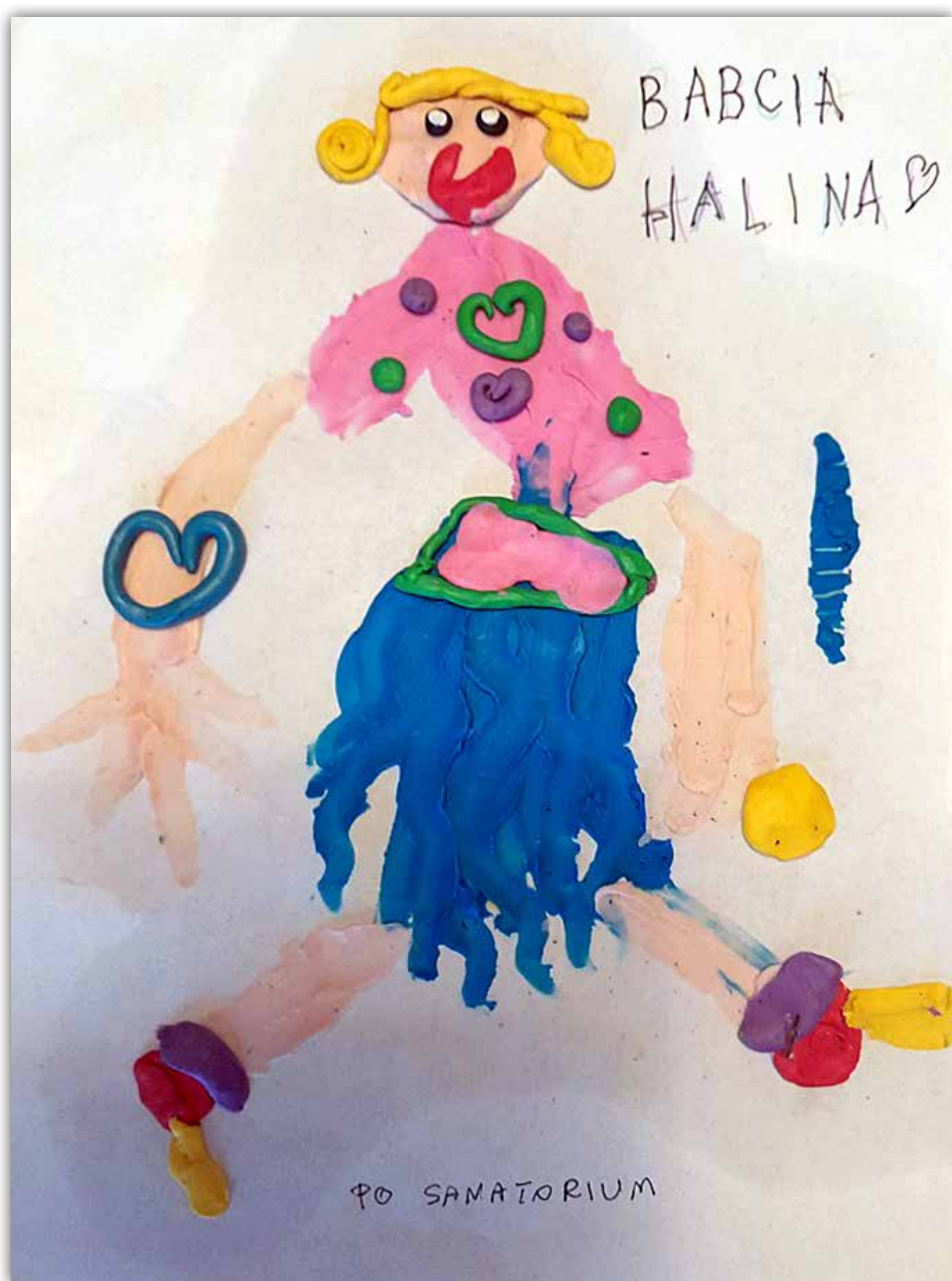
„Co roku na studniówce przybywało kolorów, odważnych dekoltyw, kreacji balowych, sukieneczek króciutkich, a nawet frywolnych”
[Studniówka – 2000 rok] – ze zbiorów HN



„Jeszcze niedawno siedziała z nami na szkolnej studniówce – śliczna, uśmiechnięta, radosna” [Profesorka Bogusława Błażejowska-Kowal z uczennicami na ostatniej studniówce – 1999 rok] – ze zbiorów HN



„Gdy próbowaliśmy strajkować, minister groził nam laską” [Podczas strajku w sklepiku szkolnym; prof. Małgorzata Pasek, Lidia Górską, Maria Szmyd i HN] – ze zbiorów HN



„Nasze dzieci i wnuki nigdy nie zawodziły”
[„Babcia” – dzieło mojej wnuczki Julki] – ze zbiorów HN



„Niskie zarobki wpływały na pauperyzację zawodu nauczyciela” [Gorzka satyra na sytuację w oświacie końca lat 80.] – rysunek z „Super Expressu”



„Władze chętnie pozbywały się starszych pedagogów” [Nowa struktura szkolnictwa z 1999 roku sprawiła, że nauczycielom szkół średnich groziła utrata pracy] – satyryczny rysunek z „Super Expressu”